

# Krzyżacy



HENRYK SIENKIEWICZ

# Krzyżacy

## Tom I

### ROZDZIAŁ PIERWSZY

W Tyńcu, w gospodzie „Pod Lutym<sup>1</sup> Turem<sup>2</sup>”, należącej do opactwa<sup>3</sup>, siedziało kilku ludzi, słuchając opowiadania wojaka bywalca, który z dalekich stron przybywszy, prawił im o przygodach, jakich na wojnie i w czasie podróży doznał. Człek był brodaty, w sile wieku, pleczysty<sup>4</sup>, prawie ogromny, ale wychudły; włosy nosił ujęte w pątlík, czyli w siatkę naszywaną paciorkami; na sobie miał skórzany kubrak z pręgami wyciśniętymi przez pancerz, na nim pas, cały z miedzianych klamr; za pasem nóż w rogowej pochwie, przy boku zaś krótki kord<sup>5</sup> podróżny.

Tuż przy nim za stołem siedział młodzieńczyk o długich włosach i wesołym spojrzeniu, widocznie jego towarzysz lub może giermek, bo przybrany także po podróże, w taki sam powyciskany od zbroicy skórzany kubrak. Resztę towarzystwa stanowiło dwóch ziemian<sup>6</sup> z okolic Krakowa i trzech mieszczan w czerwonych składanych czapkach, których cienkie końce zwieszały się im z boku aż na łokcie.

Gospodarz Niemiec, w płowym kapturze z kołnierzem wycinanym w zęby, lał im z konwi<sup>7</sup> sytne<sup>8</sup> piwo do glinianych stągiewek<sup>9</sup> i nasłuchiwał ciekawie przygód wojennych.

Jeszcze ciekawiej jednak słuchali mieszczanie. W owych czasach nienawiść, jaka dziełała za czasów Łokietkowych<sup>10</sup> miasto od rycerskiego ziemiaństwa, znacznie już była przygasała, mieszczaństwo zaś nosiło głowy górniej niż w wiekach późniejszych. Jeszcze ceniono ich gotowość *ad concessionem pecuniarum*<sup>11</sup>; dlatego też nieraz zdarzało się widzieć w gospodach kupców pijących za pan brat ze szlachtą. Widziano ich nawet chętnie, bo jako ludzie, u których o gotowy grosz<sup>12</sup> łatwiej, płacili zwykle za herbowych<sup>13</sup>.

Tak więc siedzieli teraz i rozmawiali, mrugając od czasu do czasu do gospodarza, aby napełniał stągiewki.

— Toście, szlachetny rycerzu, zwiedzili kawał świata? — rzekł jeden z kupców.

Mieszczanin, Rycerz

<sup>1</sup>luty (daw.) — groźny, srogi. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>tur — wymarły dziki ssak z rzędu parzystokopytnych. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>opactwo — tu: opactwo benedyktynów w Tyńcu (dziś: w pld.-zach. części Krakowa), najstarszy z istniejących klasztorów w Polsce, znajdujące się na wapiennym Wzgórzu Klasztornym nad Wisłą, ufundowane przypuszczalnie przez Kazimierza I Odnowiciela w 1044, po kryzysie młodego państwa wywołanym pogańskim buntem i czeskim najazdem. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>pleczysty — barczysty, muskularny. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>kord — krótki miecz. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>ziemianin — właściciel majątku ziemskiego, obszarnik, dziedzic. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>konew (daw.) — duże naczynie. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>sytny (daw.) — sycący, pożywny. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>stągiewka (daw.) — mała stągiew: wysokie naczynie o szerokim dnie. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Władysław I Łokietek (ok. 1260–1333) — król Polski od 1320, przedtem długo walczył o zjednoczenie kraju po okresie rozbitcia dzielnicowego. Walcząc o władzę, musiał zbrojnie stłumić bunt mieszczaństwa krakowskiego pod wodzą wójta Alberta (1311–1312), stąd wzmianka o napięciach między mieszczaństwem a stanem rycerskim. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*ad concessionem pecuniarum* (łac.) — do wydawania pieniędzy. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>gotowy grosz (daw.) — gotówka. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>herbowy — członek stanu szlacheckiego. [przypis edytorski]

— Niewielu z tych, którzy teraz ze wszystkich stron ściągają do Krakowa, widziało tyle — odpowiedział przybyły rycerz.

— A niemało ich ściągnie — mówił dalej mieszczanin. — Wielkie gody<sup>14</sup> i wielka szczęśliwość dla Królestwa! Prawią<sup>15</sup> też, i to pewna, że król kazał całą łożnicę królowej złotogłowem szytym perłami wysłać i takiż baldachim nad nią uczynić. Zabawy będą i gonitwy w szrankach<sup>16</sup>, jakich świat dotąd nie widział.

— Kumotrze<sup>17</sup> Gamroth, nie przerywajcie rycerzowi — rzekł drugi kupiec.

— Nie przerywam ja, kmotrze Eyeretreter, tylko tak myślę, że i on rad będzie wiedział<sup>18</sup>, co prawią, bo pewnie sam do Krakowa jedzie. Nie wrócim i tak dziś do miasta, gdyż bramy przedtem zamkną, a w nocy gad<sup>19</sup>, który się w wiórach rodzi, spać nie daje, więc mamy czas na wszystko.

— A wy na jedno słowo odpowiadacie dwadzieścia. Starzejecie się, kmotrze Gamroth!

— Ale sztukę wilgotnego sukna pod jedną pachą jeszcze dźwignę.

— O wa! Takiego, co się przez nie świeci jak przez sito.

Lecz dalszą sprzeczkę przerwał podróżny wojak, który rzekł:

— Pewnie, że w Krakowie ostanę, bom słyszał o gonitwach i rad w szrankach<sup>20</sup> siły mojej popróbuję, a i ten mój bratanek także, który choć młody jest i gołowas, niejeden już pancierz widział na ziemi.

Goście spojrzeli na młodzieńca, który uśmiechnął się wesoło i założywszy rękoma długie włosy za uszy, podniósł następnie do ust naczynie z piwem.

Stary zaś rycerz dodał:

— Wreszcie, choćbyśmy chcieli wracać, to nie mamy dokąd.

— Jakże to? — zapytał jeden ze szlachty. — Skąd jesteście i jako was zowią<sup>21</sup>?

— Ja zowię się Maćko z Bogdańca, a ten tu wyrostek, syn mego rodzonego<sup>22</sup>, woła się Zbyszko. Herbu jesteście Tępa Podkowa<sup>23</sup>, a zawołania<sup>24</sup> Grady!

— Gdzieże jest wasz Bogdaniec?

— Ba! Lepiej pytajcie, panie bracie, gdzie był, bo go już nie ma. Hej, jeszcze za czasów wojny Grzymalitzyków z Nałęczami<sup>25</sup> spalili nam do cna nasz Bogdaniec, tak że jeno dom stary ostał, a co było, pobrali, służebni zasie<sup>26</sup> uciekli. Została goła ziemia, bo i kmiecie<sup>27</sup>, co byli w sąsiedztwie, poszli dalej w puszcę. Odbudowaliśmy z bratem, ojcem tego oto wyrostka, ale następnego roku woda nam pobrała. Potem brat umarł, a jak umarł,ostałem sam z sierotą. Myślałem tedy: nie usiedzę! A prawili pod on czas<sup>28</sup> o wojnie i o tym, że Jaśko z Oleśnicy<sup>29</sup>, którego król Władysław po Mikołaju z Moskorzowa do Wilna wysłał, szuka skrzętnie w Polsce rycerzy. Znając ja więc godnego opata<sup>30</sup> i krewniaka naszego, Janka z Tulczy, zastawiłem mu ziemię, a za pieniądze kupiłem zbroiczkę, konie, opatrzyłem się<sup>31</sup> jako zwykle na wojenną wyprawę; chłopca, co mu było dwanaście lat, wsadziłem na podjezdka<sup>32</sup> i haj! do Jaśka z Oleśnicy.

<sup>14</sup>gody — święto. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>prawić (daw.) — mówić, opowiadać. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>gonitwy w szrankach — konkurencje konne na turnieju rycerskim odbywające się na ogrodzonym placu. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>kmotr, kumotr — dawne określenie grzecznościowe, gdzie indziej także: kum, ojciec chrzestny. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>rad będzie wiedział (daw.) — chętnie się dowie. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>gad (daw.) — tu: małe zwierzęta, robactwo bądź szkodniki. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>szranki — ogrodzenie placu, na którym odbywał się turniej; przen.: sam turniej. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>zowią (daw.) — dziś popr.: nazywają. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>rodzony — brat. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>Tępa Podkowa — autentyczny herb: złoty krzyż pod białą podkową na niebieskim polu. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>zawołanie — hasło służące do zwoływania rodu, np. w czasie bitwy, umieszczane w górnej części herbu; nie występuje w heraldyce innych krajów. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>wojna Grzymalitów z Nałęczami — wojna domowa w Wielkopolsce, toczona w latach 1382–1385 między przedstawicielami dwóch rodów możnowładców. Konflikt wynikał z różnych koncepcji obsadzenia tronu polskiego po wygaśnięciu linii Piastów. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>zasie — dziś popr.: zaś. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>kmieć — zamożny chłop, posiadający własne gospodarstwo. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>pod on czas (daw.) — wówczas, wtedy. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>Jan z Oleśnicy (zm. 1413) — wielkorządca Litwy, starosta krakowski. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>opat — przełożony w męskim zakonie kontemplacyjnym. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>opatrzyć się — dziś: zaopatrzyć się. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>podjezdek — koń mniejszej wartości, słaby a. młody. [przypis edytorski]

— Z wyrostkiem?

— Nie był ci on wówczas nawet wyrostkiem, ale krzepkie to było od małego. Bywało, w dwunastym roku oprze kuszę o ziemię, przyciśnie brzuchem i tak korbą zakręci, że i żaden z Angielczyków, którycheśmy pod Wilnem widzieli, lepiej nie naciągnie.

— Takiż był mocny?

— Hełm za mną nosił, a jak mu przeszło trzynaście zim, to i pawęż<sup>33</sup>.

— Już to wojny wam tam nie brakło.

— Za przyczyną Witoldową<sup>34</sup>. Siedziało książę<sup>35</sup> u Krzyżaków i co roku wyprawy na Litwę pod Wilno czynili. Szedł z nimi różny naród: Niemcy, Francuzi, Angielczykowie do łuków najprzedniejsi<sup>36</sup>, Czechy, Szwajcary i Burgundy<sup>37</sup>. Lasy przesiekli, zamki po drodze stawiali i w końcu okrutnie Litwę ogniem i mieczem pognębili, tak że cały naród, który tę ziemię zamieszkuje, chciał już ją porzucić i szukać innej, choćby na kraju świata, choćby między dziećmi Beliala<sup>38</sup>, byle od Niemców daleko.

— Słysząc było i tu, że wszyscy Litwini chcieli pójść z dziećmi i żonami precz, aleśmy temu nie wierzyli.

— A ja na to patrzył. Hej! Gdyby nie Mikołaj z Moskorzowa<sup>39</sup>, nie Jaśko z Oleśnicy, a nie chwalący się, gdyby i nie my, nie byłoby już Wilna.

— Wiemy. Zamkuście nie dali<sup>40</sup>.

— A nie daliśmy. Pilno tedy<sup>41</sup> zważcie, co wam powiem, bom człek służyły<sup>42</sup> i wojny świadom. Starzy jeszcze mawiali: „zajadła Litwa”, i prawda! Dobrze się oni potykają<sup>43</sup>, ale z rycerstwem nie im się w polu mierzyć. Gdy konie Niemcom w bagnach polgną albo gdy gęsty las, to co innego.

— Niemcy dobrzy rycerze! — zawołali mieszczanie.

— Murem oni chłop przy chłopie w żelaznych zbrojach stają tak okryci, że ledwie psubratu oczy przez kratę widać. I ławą idą. Uderzy, bywało, Litwa i rozsypie się jako piasek, a nie rozsypie się, to ją mostem położą i roztratują. Nie sami też między nimi Niemcy, bo co jest narodów na świecie, to u Krzyżaków służy. A chrobre<sup>44</sup> są! Nieraz pochyli się rycerz, kopię przed się wyciągnie i sam jeden, jeszcze przed bitwą, w całe wojsko bije jako jastrząb w stado.

— *Christ!* — zawołał Gamroth. — Którzy też z nich najlepsi?

— Jak do czego. Do kuszy najlepszy Angielczyk, któren<sup>45</sup> pancierz na wylot strzałą przedzieje<sup>46</sup>, a gołębia na sto kroków utrafi. Czechowie okrutnie toporami sieką. Do dwuręcznego brzeszczota<sup>47</sup> nie masz nad Niemca. Szwajcar rad żelaznym cepem hełmy tłucze, ale najwięksi rycerze są ci, którzy z francuskiej ziemi pochodzą. Taki będzie ci się bił z konia i piechotą, a przy tym będzie ci okrutnie waleczne słowa gadał, których wszelako nie wyrozumiesz, bo to jest mowa taka, jakobyś cynowe misy potrząsał, chociaż naród jest pobożny. Przymawiali<sup>48</sup> nam przez Niemców, że pogan i Saracenów<sup>49</sup> przeciw Krzyżowi bronimy, i obowiązywali się dowieść tego rycerskim pojedynkiem. Ma się też

Rycerz, Wojna

<sup>33</sup>pawęż (daw.) — wysoka, czworokątna tarcza z drewna obitego skórą lub blachą. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>Witold Kiejstutowicz, zwany Wielkim (ok. 1350–1430) — wielki książę litewski, brat stryjeczny Władysława Jagiełły. W latach 1382–1385 oraz 1390 przejściowo sprzymierzony z Krzyżakami przeciw Jagiellom. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>siedziało książę — w dawnej polszczyźnie wyraz „książę” miał rodzaj nijaki. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>najprzedniejszy (daw.) — najlepszy, najwyższej jakości. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>Burgund — mieszkaniec Burgundii, regionu w centralnej Francji. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>dzieci Beliala — przen. poganie; Belial: bożek pogański wspominany w *Starym Testamencie*. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>Mikołaj z Moskorzowa — dowódca obrony górnego zamku w Wilnie w 1390. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>Zamkuście nie dali — gdy Krzyżacy zaatakowali Wilno w jesieni 1390, górny zamek obroniła załoga dowodzona przez Mikołaja Moskarzewskiego; w obronie zamku dolnego dowodził i zginął wówczas brat Jagiełły, Korygiello. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>służyły — mający za sobą długą służbę (w domyśle: w wojsku), doświadczony. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>potykać się — walczyć. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>chrobry — dzielny, odważny. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>któren — dziś popr.: który. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>przedzieć (daw.) — przeszyć, przebić; por. „nadziac”. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>brzeszczot — ostrze, tu: miecz. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>przymawiać — czynić zarzuty a. wymówki. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>Saraceni — Arabowie, muzułmanie, przen. poganie; w czasie opisywanym w powieści w Hiszpanii trwała rekonkwista, to jest odbijanie ziem zajętych przez Saracenów. Tu ogólnie o poganach. [przypis edytorski]

takowy sąd boży<sup>50</sup> odbyć między czterema ich i czterema naszymi rycerzami, a zrok<sup>51</sup> naznaczon jest na dworze u Waclawa<sup>52</sup>, króla rzymskiego i czeskiego.

Tu większa jeszcze ciekawość ogarnęła ziemian i kupców, tak że aż powyciągali szyje ponad kufłami w stronę Maćka z Bogdańca, i nuż pytać:

— A z naszych którzy są? Mówcie żywo!

Maćko zaś podniósł naczynie do ust, napił się i odrzekł:

— Ej, nie bójcie się o nich. Jest Jan z Włoszczowy, kasztelan<sup>53</sup> dobrzyński, jest Mikołaj z Waszmuntowa, jest Jaśko ze Zdakowa i Jarosz z Czechowa: wszystko rycerze na schwał i chłopcy morowe. Pójdą-li na kopie, na miecze albo na topory, nie nowina im. Będą miały oczy ludzkie na co patrzeć i uszy czego słuchać, bo, jako rzekłem, Francuzowi gardziel nogą przyciśniesz, a on ci jeszcze rycerskie słowo prawi. Tak mi też dopomóż Bóg i Święty Krzyż, jako tamci przegadają, a nasi pobiją.

— Będzie sława, byle Bóg pobłogosławił — rzekł jeden ze szlachty.

— I święty Stanisław! — dodał drugi.

Po czym, zwróciwszy się do Maćka, jał rozpytywać dalej:

— Nuże, powiadajcie! Sławiliście Niemców i innych rycerzy, że chrobre są i że łatwo Litwę łamali. A z wami nie cięższe im było? Zali<sup>54</sup> równie ochotnie na was szli? Jakże Bóg darzył? Sławcie naszych!

Lecz Maćko z Bogdańca nie był widocznie samochwał, bo odrzekł skromnie:

— Którzy świeżo z dalekich krajów przyszli, ochotnie na nas uderzali, ale popróbawwszy raz i drugi, już nie z takim sercem. Bo jest nasz naród zatwardziały, którą to zatwardziałość często nam wymawiali: „Gardzicie śmiercią, prawią, ale Saracenów wspomagacie, przez co potępieni będziecie!” A w nas zawziętość jeszcze rosła, gdyż nieprawda jest! Oboje królestwo Litwę ochrztili i każdego<sup>55</sup> tam Chrystusa Pana wyznawa, chociaż nie każdego umie. Wiadomo też, że i nasz Pan Miłościwy, gdy diabła w katedrze w Płocku na ziem zrzucano, kazał mu ogarek postawić<sup>56</sup> i dopiero księży musieli mu gadać, że tego się czynić nie godzi. A cóż pospolity człowiek! Niejeden też sobie mówi: „Kazał się książ<sup>57</sup> ochrzcić, tom się ochrzcił, kazał Chrystu czołem bić, to biję, ale po co mam starym pogańskim diabłom okruszyny twaroga żałować albo im pieczonej rzepy nie rzucić, albo piany z piwa nie ułać. Nie uczynię tego, to mi konie padną albo krowy sparszej<sup>58</sup>, albo mleko od nich krwią zajdzie, albo w żniwach będzie przeszkoda”. I wielu też tak czyni, przez co się w podejrzenie podają. Ale oni to robią z niewiadomości i z bojaźni diabłów. Było onym diabłom drzewiej<sup>59</sup> dobrze. Mieli swoje gaje, wielkie numy<sup>60</sup> i konie do jazdy i dziesięcinę brali. A ninie<sup>61</sup> gaje wycięte, jeść nie ma co, dzwony po miastach biją, więc się to paskudztwo w najgęstsze bory pozaszynało i tam z tęskności<sup>62</sup> wyje. Pójdzie Litwin do lasu, to go w chojniakach jeden i drugi za kozuch pociągnie i mówi: „Daj!”. Niektórzy też dają, ale są i śmiałe chłopcy, co nie chcą nic dać albo ich jeszcze łapią. Nasypał jeden prażonego grochu do wołowej mechery<sup>63</sup>, to mu trzynastu diabłów zaraz wlażło. A on zatknął ich jarzębowym<sup>64</sup> kołkiem i księżom franciszkanom na sprzedaż<sup>65</sup> do

Bóg, Diabeł, Chrzest

<sup>50</sup>sąd boży — w średniowieczu pojedynk sądowy, mający dowieść racji jednej ze stron i uważany za dowód. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>zrok (daw.) — umówione miejsce i czas spotkania. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>Waclaw IV Luksemburski (1361–1419) — król niemiecki 1378–1400 i czeski 1378–1419, nazywany tu „czymskim” przez wzgląd na tradycję Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>kasztelan — średniowieczny urzędnik, odpowiedzialny za ściąganie podatków, obronę i sądownictwo na terenie kasztelanii, to jest jednostki administracyjnej średniego szczebla. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>zali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>każden — dziś popr.: każdy. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>gdy diabła w katedrze w Płocku na ziem zrzucano, kazał mu ogarek postawić — anegdota dotyczy udziału Jagielly w misterium wielkanocnym, w trakcie którego zrucano na ziemię postać pokonanego diabła. Wzięło się stąd przysłowie „Stawiać Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek”. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>książ — książę. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>sparszeć — nabawić się grzybicy głowy, zwanej parchem. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>drzewiej (daw.) — dawniej. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>numa — litewska chata z ziemi i nieociosanych bierwion. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>ninie (daw.) — teraz. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>tęskność — dziś popr.: tęsknota. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>mecher — pecherz. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>jarzębowy — jarzębinowy. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>przedaż — dziś popr.: sprzedaż. [przypis edytorski]

Wilna przyniósł, którzy dali mu z chęcią dwadzieścia skojców<sup>66</sup>, aby nieprzyjaciół imienia Chrystusowego zgładzić. Sam tę mecherę widziałem, od której sprosny smród z daleka w nozdrzach człowiekowi wiercił, bo tak to one bezecne duchy strach swój przed święconą wodą okazywały...

— A kto rachował, że ich było trzynastu? — spytał roztropnie kupiec Gamroth.

— Litwin rachował, który widział, jak leżli. Widać było, że są, bo to z samego smrodu można było wymiarkować, a kołka wolał nikt nie odtykać.

— Dziwy też to, dziwy! — zawołał jeden ze szlachty.

— Napatrzyłem ja się wielkich dziwów niemało, gdyż nie można rzec: naród to jest dobry, ale wszystko u nich osobliwe. Kudłaci są i ledwie który książę włosy trefi<sup>67</sup>; pieczoną rzepą żyją, nad wszelkie jadlo ją przekładając, bo mówią, że męstwo od niej rośnie. W numach swych razem z dobytkiem i węzami żyją; w picu i jedle<sup>68</sup> nie znają pomiarkowania. Za nic zamężne niewiasty mają, ale panny bardzo szanują i moc wielką im przyznają: że byle dziewczka natarła człeku<sup>69</sup> suszonym jaferem<sup>70</sup> żywot<sup>71</sup>, to kolki od tego przechodzą.

— Nie żal i kolek dostać, jeśli niewiasty cudne! — zawołał kum Eyertreter.

— O to zapytajcie Zbyszka — odrzekł Maćko z Bogdańca.

Zbyszko zaś roześmiał się, aż ława pod nim poczęła drgać.

— Bywają cudne! — rzekł. — Alboż Ryngalla<sup>72</sup> nie była cudna?

— Cóż to za Ryngalla? Pochutnica<sup>73</sup> jakowaś czy co? Żywo!

— Jakże to? Nie słyszeliście o Ryngalle? — pytał Maćko.

— Nie słyszeliśmy ni słowa.

— To przecie siostra księcia Witoldowa<sup>74</sup>, a żona Henryka<sup>75</sup>, księcia mazowieckiego.

— Nie powiadajcie! Jakiego księcia Henryka? Było jedno książę mazowieckie tego imienia elektem plockim, ale zmarło.

— Ten ci sam był. Miały mu przyjść z Rzymu dyspensy<sup>76</sup>; ale śmierć dała mu pierwszej<sup>77</sup> dyspensę, gdyż widocznie niezbyt postępkiem swoim<sup>78</sup> Boga ucieszył. Byłem wtedy posłany z pismem od Jaśka z Oleśnicy do księcia Witolda, kiedy od króla przyjechał do Ryterswerder książę Henryk, elekt plocki. Już się była Witoldowi wojna wtedy uprzykrzyła, dlatego właśnie, że Wilna nie mógł dobyć, a królowi naszemu uprzykrzyli się rodzeni bracia i ich rozpusta. Widząc tedy król większą u Witolda niż u swych rodzonych obrotność i większy rozum, posłał do niego biskupa z namową, by Krzyżaków porzucił i do posłuszeństwa się nakłonił, za co mu rządy Litwy miały być oddane. A Witold, chciwy zawsze odmiany, mile poselstwa wysłuchał. Były też i uczyty, i gonitwy. Rad elekt konia dosiadał, choć inni biskupi tego nie chwalą, i w szrankach siłę swą rycerską okazywał. A mocarni są z rodu wszyscy książęta mazowieccy, jako jest wiadomo, że nawet i dziewczki z tej krwi<sup>79</sup> ładnie podkowy łamią. Raz przeto zbił książę z siodła trzech rycerzy, drugi raz pięciu, a z naszych mnie zwałił, i pod Zbyszkiem koń przy natarciu na zadzie siadł. Nagrody zaś brał wszystkie z rąk cudnej Ryngalli, przed którą w pełnej zbroi klękał. I rozmiłowali się tak w sobie, że na ucztach ciągnęli go od niej za rękawy *clerici*<sup>80</sup>, którzy z nim przyjechali, a ją brat Witold hamował. Dopieroż książę mówił: „Sam sobie

Obcy

Małżeństwo, Książę

<sup>66</sup>skojec — średniowieczna moneta, 1/24 grzywny. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>trefić — układać w loki. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>jedle — dziś: jadle, jedzeniu. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>człeku — dziś popr.: człowiekowi. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>jafer — borówka (wzięte z gwary podhalańskiej, za pomocą której Sienkiewicz naśladował język staropolski). [przypis edytorski]

<sup>71</sup>żywot (daw.) — brzuch. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>Ryngalla (ok. 1367–ok. 1430) — córka księcia trockiego Kiejstuta oraz Biruty, siostra Witolda. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>pochutnica — kobieta lekkich obyczajów. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>Witoldowa — dziś popr.: Witolda. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>Henryk — najmłodszy syn księcia mazowieckiego Ziemowita III, miał niższe święcenia kapłańskie. Dla małżeństwa z Ryngallą zrezygnował z godności biskupa plockiego. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>dyspensa — wydawane w szczególnych przypadkach zwolnienie z obowiązku przestrzegania któregoś z przepisów prawa kościelnego. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>pierwej (daw.) — dawniej. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>postępkiem swoim — tj. rezygnacją ze święceń kapłańskich. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>krwie — dziś popr.: krwi. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>clerici (łac.) — klerycy. [przypis edytorski]

dyspensę dam, a papież mi ją, jeśli nie rzymski, to awinioński<sup>81</sup> potwierdzi, a ślub zaraz ma być, bo zgorzeję!<sup>82</sup>. Wielka była obraza boska, ale nie chciał się Witold przeciwiać, by posła królewskiego nie zlisić<sup>82</sup>, i ślub był. Potem dojechali do Suraza, a potem do Słucka, z wielkim żalem tego oto Zbyszka, który sobie, niemieckim obyczajem, księżnę Ryngałę za panią serca obrał i dozgonną wierność jej ślubował...

— Ba! — przerwał nagle Zbyszko. — Prawda jest! Ale potem ludzie mówili, że księżna Ryngała pomiarkowawszy, że nie przystoi jej być za elektem<sup>83</sup> (bo ów, choć się ożenił, godności swej duchownej się wyrzec nie chciał) i że nie może być nad takim stadłem błogosławieństwa Boskiego, otruła męża. Co ja usłyszawszy, prosiłem jednego świątobliwego pustelnika pod Lublinem, by mnie od tego ślubowania rozwiązał.

— Był ci on pustelnikiem — odparł, śmiejąc się Maćko — ale czy był świątobliwy, nie wiem, bośmy go w piątek w boru zajechali, a on kości niedźwiedzie toporem łupał i śpik<sup>84</sup> wysysał, aż mu gardziel grała.

— Ale mówił, że śpik to nie mięso, a oprócz tego, że uprosił sobie na to pozwolenie, gdyż po śpiku widzenia cudowne we śnie miewa i nazajutrz prorokować może do południa.

— No! no! — odrzekł Maćko. — A cudna Ryngała wdowa jest i może cię na służbę wezwać.

— Po próżnicy by wzywała, bo ja sobie inną panią obiorę, której do śmierci będę służył, a potem i żonę znajdę.

— Pierwej znajdź rycerski pas.

— O wa! Albo to nie będzie gonitew po połogu królowej? A przedtem albo potem król będzie niejednego pasował. Stanę ja każdemu. Książę nie byłby mnie także obalił, żeby mi koń na zadzie nie siadł.

— Będą tu lepsi od ciebie.

Na to ziemianie spod Krakowa poczęli wołać:

— Na miły Bóg! Toż tu przed królową wystąpią nie tacy jak ty, ale rycerze w świecie najslawniejsi. Będzie gonił Zawisza z Garbowa<sup>85</sup> i Farurej<sup>86</sup>, i Dobko z Oleśnicy, i taki Powala z Taczewa<sup>87</sup>, i taki Paszko Złodziej z Biskupic<sup>88</sup>, i taki Jaśko Naszan, i Abdank<sup>89</sup> z Góry, i Andrzej z Brochocic, i Krystyn z Ostrowa<sup>90</sup>, i Jakub z Kobylan<sup>91</sup>!... Gdzie ci się z nimi mierzyć, z którymi ni tu, ni na dworze czeskim, ni na węgierskim nikt mierzyć się nie może. Cóż to prawisz; lepszys od nich? Ile ci roków?

— Ośmnasty — odpowiedział Zbyszko.

— Tedy cię każdy między knykциями<sup>92</sup> zgniecie.

— Obaczym.

Lecz Maćko rzekł:

— Słyszałem, że król hojnie nagradza rycerzy, którzy z wojny litewskiej wracają. Mówcie, którzy stąd jesteście: prawda-li to?

— Dalibóg, prawda! — odrzekł jeden ze szlachty. — Wiadoma po świecie hojność

Truczna

Król

<sup>81</sup>awinioński — w latach 1378–1417 na skutek tarć politycznych wśród kardynałów oraz działań królów Francji wielokrotnie wybierano dwóch, a nawet trzech papieży jednocześnie. Obóz związany z Francją stworzył drugą siedzibę papieską w mieście Avignon. Obecnie papieże awiniońscy uznawani są za antypapieży (osoby nieprawnie sprawujące ten urząd), a okres ten określany jest mianem „wielkiej schizmy zachodniej”. W czasie przedstawianym w powieści papieżem awiniońskim był Benedykt XIII, a rzymskim — Bonifacy IX. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>zlisić się (daw.) — zrazić się, zniechęcić. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>być za elektem — być żoną biskupa elekta. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>śpik — dziś popr.: szpik. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>Zawisza Czarny z Garbowa (ok. 1370–1428) — polski rycerz, przez pewien czas na służbie króla Węgier Zygmunta Luksemburskiego. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>Jan Farurej z Garbowa — rycerz, brat Zawiszy Czarnego. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>Mikołaj Powala z Taczewa (ok. 1380–ok. 1415) — rycerz i dyplomata, powołany do rady wojennej przed bitwą pod Grunwaldem. [przypis edytorski]

<sup>88</sup>Paweł (Paszko) zwany Złodziej z Biskupic — rycerz, uczestnik bitwy pod Grunwaldem. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>Abdank a. Awdaniec — średniowieczny ród rycerski. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>Krystyn z Ostrowa (1352–1430) — marszałek dworu królowej Jadwigi, w bitwie pod Grunwaldem wystawił własną chorągiew. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>Jakub z Kobylan (zm. 1454) — rycerz i dowódca, w latach 1425–1430 marszałek dworu wielkiego księcia litewskiego Witolda. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>knykcie — stawy w palcach u rąk bądź odcinki między tymi stawami. [przypis edytorski]

królewska, jeno się teraz docisnąć do niego nie będzie łatwo, gdyż w Krakowie aż roi się od gości, którzy się na połóg królowej i na chrzciny zjeżdżają, chcąc przez to panu naszemu cześć albo hołd oddać. Ma być król węgierski, będzie, jako powiadają, i cesarz rzymski, i różnych książąt a komesów<sup>93</sup>, i rycerzy jako maku, że to każdy się spodziewa, iż z próżnymi rękoma nie odejdzie. Prawili nawet, iż sam papież Bonifacy zjedzie, którego także łaski i pomocy naszego pana przeciw swemu nieprzyjacielowi z Awinionu<sup>94</sup> potrzebuje. Owóż w takim natłoku niełatwo będzie o dostęp, ale byle dostęp znaleźć, a pana pod nogi podjąć, to już zasłużonego hojnie opatrzy.

— To go i podejmę, bom się wysłużył, a jeżeli wojna będzie, to jeszcze pójdę. Wzięło się tam coś łupem, a coś od księcia Witolda w nagrodę, i biedy nie ma, tylko że już mi wieczorne lata nadchodzą, a na starość, gdy siła z kości wyjdzie, rad by człek miał kąć spokojny.

— Mile król widział tych, którzy z Litwy pod Jaśkiem z Oleśnicy wrócili, i wszyscy oni tłusto teraz jadają.

— Widzicie! A jam wtedy jeszcze nie wrócił i dalej wojowałem. Bo trzeba wam wiedzieć, że się ta zgoda między królem a kniazem Witoldem na Niemcach skrupiła<sup>95</sup>. Książ chytrze zakładników pościągał, a potem hajze na Niemców! Zamki poburzył, popalił, rycerzy pobił, siła<sup>96</sup> ludu wyścinał. Chcieli się Niemcy mścić razem ze Świdrygiełłą<sup>97</sup>, który do nich uciekł. Była znów wielka wyprawa. Sam mistrz Kondrat<sup>98</sup> na nią poszedł z mnogim ludem. Wilno oblegli, próbowali z wież okrutnych zamki burzyć, próbowali zdradą ich dostać, nic nie wskórali! A za powrotem tylu ich legło, że i połowa nie wyszła. Wychodziliśmy jeszcze w pole przeciw Ulrykowi z Jungingen<sup>99</sup>, bratu mistrzowemu, który jest wójtem sambijskim. Ale się wójt kniazia przeląkł i z płaczem uciekł, od której to ucieczki jest spokój i miasto na nowo się buduje. Jeden też święty zakonnik, który po rozpalonym żelezie<sup>100</sup> boso mógł chodzić, prorokował, że od tej pory, póki świat światem, Wilno zbrojnego Niemca pod murami nie obaczy. Ale jeśli tak będzie, to czyjeż to ręce uczyniły?

To rzekłszy, Maćko z Bogdańca wyciągnął przed się dłonie — szerokie i nadmiar<sup>101</sup> potężne — inni zaś poczęli kiwać głowami i przyświadczać:

— Tak! Tak! Praw<sup>102</sup> w tym, co powiada! Tak!

Lecz dalszą rozmowę przerwał gwar dochodzący przez okna, z których błony były powyjmowane, albowiem noc zapadła ciepła i pogodna. Z dała słycać było brzękania, ludzkie głosy, parskania koni i śpiewy. Zdziwili się obecni, albowiem godzina była późna i księżyc wysoko już wybił się na niebo. Gospodarz, Niemiec, wybiegł na podwórzec gospody, lecz nim goście zdołali wychylić do dna ostatnie kufle, wrócił jeszcze pośpieszniej, wołając:

— Dwór jakowys wali!

W chwilę zaś później we drzwiach zjawił się pacholek w błękitnym kubraku i składananej, czerwonej czapce na głowie. Stał, spojrzął po obecnych i ujrawszy gospodarza, rzekł:

— Wytrzeć tam stoły i światła naniecić<sup>103</sup>: księżna Anna Danuta<sup>104</sup> na odpoczynek się tu zatrzyma.

<sup>93</sup> *komes* — dostojnik dworski bądź zarządca okręgu. [przypis edytorski]

<sup>94</sup> *nieprzyjaciel z Awinionu* — antypapież. [przypis edytorski]

<sup>95</sup> *zgoda między królem a kniazem Witoldem na Niemcach skrupiła* — sens: skutki tej zgody spadły na Niemców. [przypis edytorski]

<sup>96</sup> *siła* (daw.) — wiele. [przypis edytorski]

<sup>97</sup> *Świdrygiełło* (ok. 1370–1452) — najmłodszy brat Jagiełły, przeciwnik unii polsko-litewskiej, często spiskujący z Krzyżakami. [przypis edytorski]

<sup>98</sup> *Konrad von Jungingen* (1355–1407) — wielki mistrz zakonu krzyżackiego w latach 1393–1407, zręczny polityk, umiejętnie rozgrywający konflikty między książętami litewskimi. [przypis edytorski]

<sup>99</sup> *Ulrich von Jungingen* (1360–1410) — wielki mistrz zakonu krzyżackiego, zginął w bitwie pod Grunwaldem. W momencie przedstawianym w książce wielkim mistrzem zakonu był jego brat, Konrad. [przypis edytorski]

<sup>100</sup> *zelezie* — dziś popr.: żelazie. [przypis edytorski]

<sup>101</sup> *nadmiar* — ponad zwykłą miarę, nadmiernie. [przypis edytorski]

<sup>102</sup> *praw* — znaczenie: ma rację. [przypis edytorski]

<sup>103</sup> *naniecić, rozniecić* — rozpalić. [przypis edytorski]

<sup>104</sup> *Anna Danuta* (1358–1448) — córka księcia trockiego Kiejstuta i Biruty, żona księcia mazowieckiego Janusza (było to najdłużej trwające małżeństwo w dziejach dynastii). [przypis edytorski]



To rzekłszy, zawrócił. W gospodzie uczynił się ruch: gospodarz począł wołać na czeladź<sup>105</sup>, a goście spoglądali ze zdumieniem jeden na drugiego.

— Księżna Anna Danuta — mówił jeden z mieszczan — toć to Kiejstutowna<sup>106</sup>, żona Janusza Mazowieckiego<sup>107</sup>. Ona już od dwóch niedziel<sup>108</sup> w Krakowie, jeno<sup>109</sup> że wyjeżdżała do Zatora, do księcia Wacława w odwiedziny, a ninie pewno wraca.

— Kmotrze Gamroth — rzekł drugi mieszczanin — pójdźmy na siano do stodółki; za wysoka to dla nas kompania.

— Że nocą jadą, to mi nie dziwno — ozwał się Maćko — bo w dzień upał, ale czemu, mając pod boki klasztor, do gospody zajeżdżają?

Tu zwrócił się do Zbyszka:

— Rodzona siostra cudnej Ryngalły, rozumiesz?

A Zbyszko odrzekł:

— I mazowieckich panien siła musi z nią być, hej!

## ROZDZIAŁ DRUGI

A wtem przez drzwi weszła księżna — pani średnich lat, ze śmiejącą się twarzą, przybrana w czerwony płaszcz i szatę zieloną, obcisłą, z pozłoczym pasem na biodrach, idącym wzdłuż pachwin i zapiętym nisko wielką kłamrą. Za panią szły panny dworskie, niektóre starsze, niektóre jeszcze niedorośle, w różowych i liliowych wianuszkach na głowach, po większej części z lutniami<sup>110</sup> w ręku. Były i takie, które niosły całe pęki kwiatów świeżych, widocznie ubieranych po drodze. Zaroila się izba, bo za pannami ukazało się kilku dworzan i małych pacholików<sup>111</sup>. Weszli wszyscy rażno, z wesołością w twarzach, rozmawiając głośno lub podśpiewując, jakoby upojeni pogodną nocą i jasnym blaskiem księżycy. Między dworzanami dwóch było rybaltów<sup>112</sup>, jeden z lutnią, drugi z gęślikami<sup>113</sup> u pasa. Jedna z dziewcząt, młódka<sup>114</sup> jeszcze, może dwunastolatka, niosła też za księżną małą luteńkę, nabijaną miedzianymi ćwiekami.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — ozwała się księżna, stając w pośrodku świetlicy.

— Na wieki wieków, amen! — odpowiedzieli obecni, bijąc zarazem niskie pokłony.

— A gdzie gospodarz?

Niemiec, usłyszawszy wezwanie, wysunął się naprzód i przyklęknął obyczajem niemieckim.

— Zatrzymamy się tu dla wypoczynku i posiłku — rzekła pani. — Żywo się jeno zakrzatnij, bośmy głodni.

Mieszczanie już byli odeszli, teraz zaś dwaj miejscowi szlachcice, a wraz z nimi Maćko z Bogdańca i młody Zbyszko, skłonili się powtórnie i zamierzali opuścić świetlicę, nie chcąc dworowi przeszkadzać.

Lecz księżna zatrzymała ich.

— Szlachtą jesteście: nie przeszkodzicie! Zróbcie znajomość z dworzany<sup>115</sup>. Skądże Bóg prowadzi?

Oni wówczas zaczęli wymieniać swoje imiona, herby, zawołania i wsie, z których się pisali. Dopieroż pani, usłyszawszy od Maćka, skąd wraca, klasnęła w dłonie i rzekła:

<sup>105</sup>czeladź — służba. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>Kiejstutowna — córka Kiejstuta (ok. 1310–1382): księcia trockiego, wielkiego księcia litewskiego w ostatnich latach życia, skonfliktowanego z Władysławem Jagiełłą i uwięzionego przez niego w Krewie, gdzie zmarł. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>Janusz I Starszy (*Warszawski*) (ok. 1346–1429) — książę mazowiecki, lennik Władysława Jagiełły. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>niedziela (daw.) — tydzień. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>lutnia (muz.) — dawny instrument strunowy szarpany. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>pacholik — chłopiec. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>rybalt — wędrowny muzyk lub śpiewak. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>gęśle (muz.) — ludowy instrument smyczkowy, podobny do skrzypiec. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>młódka (daw.) — młoda dziewczyna. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>z dworzany — dziś popr.: z dworzanami. [przypis edytorski]

— Otóż się przygodziło<sup>116</sup>! Prawcie nam o Wilnie, o moim bracie i o siostrze<sup>117</sup>. Zali zjedzie tu się książę Witold na połów królowej i na krzciny?

— Chciałby, ale nie wie, czy będzie mógł; dlatego kolebę srebrną przez księży i bojarzynów<sup>118</sup> naprzód w darze królowej przysłał. Przy której kolebce i myśmy z bratańcem przyjechali, strzegąc jej w drodze.

— To kolebka tu jest? Chciałabym obaczyć. Cała srebrna?

— Cała srebrna, ale jej tu nie ma. Powieźli ją do Krakowa.

— A cóż wy w Tyńcu robicie?

— My tu nawrócili do klasztornego prokuratora, naszego krewnego, by pod opiekę zacnych zakonników oddać, co nam wojna przysporzyła i co książę podarował.

— To Bóg poszczęścił. Godneż lupy? Ale powiadajcie, czemu to brat niepewien, czy przyjedzie?

— Bo wyprawę na Tatarów gotuje<sup>119</sup>.

— Wiem ci ja to; jeno mnie trapi, że królowa nie prorokowała szczęśliwego końca tej wyprawie, a co ona prorokuje, to się zawsze ziści<sup>120</sup>.

Maćko uśmiechnął się.

— Ej, świątobliwa nasza pani, nijak przeczyć, ale z księciem Witoldem siła naszego rycerstwa pójdzie, chłopów dobrych, przeciw którym nikomu niesporo<sup>121</sup>.

— A wy to nie pójdziecie?

— Bom z kolebką przy innych wysłał i przez pięć roków<sup>122</sup> nie zdejmowałem z siebie blach<sup>123</sup> — odrzekł Maćko, pokazując na bruzdy powyciskane na łosiowym kubraku od pancerza — ale niech jeno wypocznę, pójdę, a choćbym sam nie szedł, to tego oto bratanka, Zbyszka, panu Spytkowi z Melsztyna<sup>124</sup> oddam, pod którego wodzą wszyscy nasi rycerze pójdą.

Księżna Danuta spojrzała na dorodną postać Zbyszka, lecz dalszą rozmowę przerwało przybycie zakonnika z klasztoru, który powitawszy księżnę, począł jej pokornie wymawiać, że nie przysłała gońca z oznajmieniem o swoim przybyciu i że nie zatrzymała się w klasztorze, ale w zwyczajnej gospodzie, niegodnej jej majestatu. Nie brak przecie w klasztorze domów i gmachów, w których nawet pospolity człowiek znajdzie gościnę, a cóż dopiero majestat, zwłaszcza zaś małżonki księcia, od którego przodków i pokrewnych<sup>125</sup> tylu dobrodziejstw opactwo doświadczyło.

Lecz księżna odpowiedziała wesoło:

— My jeno tu nogi wstąpili rozprostować, a na rano trzeba nam do Krakowa. Wypaliliśmy się w dzień i jedziemy nocą dla chłodu, a że to już kury<sup>126</sup> piały, nie chciałam pobożnych zakonników budzić, zwłaszcza z taką kompanią, która więcej o śpiewaniu i płasach niżeli o odpocznieniu myśli.

Gdy jednak zakonnik nalegał ciągle, dodała:

— Nie. Tu już ostaniem. Dobrze czas na słuchaniu świeckich pieśni zejdzie, ale na jutrznię<sup>127</sup> do kościoła przyjdziemy, aby dzień z Bogiem zacząć.

— Będzie msza za pomyślność miłościwego księcia i miłościwej księżnej — rzekł zakonnik.

— Książę, mój małżonek, dopiero za cztery albo pięć dni zjedzie.

— Pan Bóg potrafi i z daleka szczęście zdarzyć, a tymczasem niech nam, ubogim, wolno będzie choć wina z klasztoru przynieść.

<sup>116</sup>przygodzić się (daw.) — przydarzyć się. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>siostra — błąd w stylizacji, taka wymowa możliwa była na wschodzie Polski, a z tekstu wynika, że Bogdaniec leżał w Wielkopolsce. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>bojarzyn a. bojar — rycerz, szlachcic ruski, wołoski lub litewski. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>gotować (daw.) — przygotowywać. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>ziścić się — spełnić się. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>przeciw którym nikomu niesporo — sens: nikt nie ma ochoty na potyczkę z nimi. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>roków — dziś popr.: lat. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>blacha — zbroja. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>Spytko z Melsztyna (1364–1399) — wojewoda krakowski, poległ w bitwie z Tatarami nad Worską. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>pokrewny — krewny. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>kur (daw.) — kogut. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>jutrznia — pierwsza część katolickiej liturgii godzin (siedmiu codziennych modlitw, do których zobowiązane są osoby ze święceniami duchownymi), odmawiana o wschodzie słońca. [przypis edytorski]

— Radzi odwdzięczym — rzekła księżna.

Gdy zaś zakonnik wyszedł, poczęła wołać:

— Hej, Danusia! Danusia! Wyleż no na ławkę i uwesel nam serce tą samą pieśnią, którą w Zatorze śpiewałaś.

Usłyszawszy to, dworzanie prędko postawili na środku izby ławkę. Rybálci siedli po jej brzegach, między nimi zaś stanęła owa młódka, która niosła za księżną nabijaną miedzianymi ćwieczkami lutnię. Na głowie miała wianeczek, włosy puszczone po ramionach, suknię niebieską i czerwone trzewiczki z długimi końcami. Stojąc na ławce, wydawała się małym dzieckiem, ale zarazem precudnym, jakby jakowaś figurka z kościoła albo z jasełek<sup>128</sup>. Widocznie też nie pierwszy raz przychodziło jej tak stać i śpiewać księżnie, bo nie znać było po niej najmniejszego pomieszania<sup>129</sup>.

— Dalej, Danusia! Dalej! — wołały panny dworskie.

Ona zaś wzięła przed się lutnię, podniosła do góry głowę jak ptak, który chce śpiewać, i przymknąwszy oczęta, poczęła srebrnym głosikiem:

Gdybym ci ja miała  
Skrzydłeczka jak gąska,  
Poleciałaby ja  
Za Jaśkiem do Śląska!

Rybálci zawtórowali jej zaraz, jeden na gęślikach, drugi na dużej lutni; księżna, która miłowała nad wszystko świeckie pieśni, poczęła kiwać głową na obie strony, a dziewczeczka śpiewała dalej głosem cieniuchnym, dziecinnym i świeżym jak śpiewanie ptaków w lesie na wiosnę:

Usiadłaby ci ja  
Na śląkowskim płocie:  
„Przypatrz się, Jasiulku,  
Ubogiej sierocie”<sup>130</sup>.

I znów wtórowali rybálci. Młody Zbyszko z Bogdańca, który przywykłszy od dzieciństwa do wojny i srogich jej widoków, nigdy nic podobnego w życiu nie widział, trącił w ramię stojącego obok Mazura i zapytał:

— Co to za jedna?

— To jest dziewczeczka z dworu księżnej. Nie brak ci u nas rybáltów, którzy dwór rozweselają, ale z niej najmilszy rybálcik i księżna niczych pieśni tak chciwie<sup>131</sup> nie słucha.

— Nie dziwno mi to. Myślałem, że zgoła anioł, i odpatrzyć się nie mogę. Jakże ją wołają?

— A to nie słyszeliście? Danusia. A jej ojciec jest Jurand ze Spychowa, komes<sup>132</sup> możny i mężny, który do przedchorągiewnych<sup>133</sup> należy.

— Hej! Nie widziały takiej ludzkie oczy.

— Miłują ją też wszyscy i za śpiewanie, i za urodę.

— A któren jej rycerz?

— Dyc<sup>134</sup> to jeszcze dziecko.

Dalszą rozmowę znów przerwał śpiew Danusi. Zbyszko patrzył z boku na jej jasne włosy, na podniesioną głowę, na zmrużone oczki i na całą postać oświeconą zarazem

<sup>128</sup>*jasełka* — widowiska teatralne na temat Bożego Narodzenia, wzorowane na średniowiecznych misteriach franciszkańskich. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>*pomieszanie* — zmieszanie, zakłopotanie. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>*Za Jasiem do Śląska* — pieśń ludowa spotykana w Wielkopolsce, Małopolsce, na Mazowszu i na Śląsku. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>*chciwie* — chętnie. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>*komes* — tu raczej w znaczeniu „możny rycerz” niż jako urząd. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>*przedchorągiewny* — rycerz walczący w pierwszym szeregu, przed sztandarem chorągwi (dawnej jednostki wojskowej), do której należy. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>*dyc* (gw.) — przecież. [przypis edytorski]

blaskiem świec woskowych i blaskiem wpadających przez otwarte okna promieni miesiąca<sup>135</sup> — i zdumiewał się coraz bardziej. Zdawało mu się, że już ją niegdyś widział, ale nie pamiętał, czy we śnie, czy gdzieś w Krakowie na szybie kościelnej<sup>136</sup>.

I znów trąciwszy dworzanina, pytał przyciszonym głosem:

— To ona z waszego dworu?

— Matka jej przyjechała z Litwy z księżną Anną Danutą, która wydała ją za grabię<sup>137</sup> Juranda ze Spychowa. Gładka<sup>138</sup> była i możnego rodu, nad wszystkie inne panny księżnie miła i sama księżnę miłująca. Dlatego też córce dała to samo imię: Anna Danuta. Ale pięć lat temu, gdy przy Złotorzy Niemcy napadli na nasz dwór, ze strachu zmarła. Wtedy księżna wzięła dziewczeczkę i od tej pory ją hoduje. Ojciec też często na dwór przyjeżdża i rad widzi, że mu się dziecko zdrowo, w miłości książęcej chowa. Jenó ilekroć na nią spojrzy, tylekroć łzami się zalewa, nieboszczkę swoją wspominając, a potem wraca na Niemcach pomsty szukać za swoją krzywdę okrutną. Miłował ci on tak tę swoją żonę, jako nikt do tej pory swojej na całym Mazowszu nie miłował; i siła już Niemców za nią pomorzył<sup>139</sup>.

Córka

Zemsta

A Zbyszkwowi zaświeciły oczy w jednej chwili i żyły nabrały<sup>140</sup> mu na czole.

— To jej matkę Niemcy zabili? — spytał.

— Zabili i nie zabili. Sama umarła ze strachu. Pięć років temu pokój był, nikt o wojnie nie myślał i każdy bezpiecznie chadzał. Pojechał książę wieżę jedną w Złotorzy budować, bez wojska, jeno z dworem, jako zwyczajnie czasu pokoju. Tymczasem wpadli zdraycy Niemcy, bez wypowiedzenia wojny, bez żadnej przyczyny... Samego księcia, nie pomnąc ni na bojaźń boską, ni na to, że od jego przodków wszystkie dobrodziejstwa na nich spadły, przywiązali do konia i porwali, ludzi pobili. Długo książę w niewoli u nich siedział<sup>141</sup> i dopiero gdy król Władysław wojną im zagroził, ze strachu go puścili; ale przy owym napadzie umarła matka Danusi, bo ją serce udusiło, które jej pod gardło podeszło.

Śmierć, Krzywda

— A wy, panie, byliście przy tym? Jakoże was zowią, bom zapomniał?

— Ja się zowie Mikołaj z Długolasu, a przezywają mnie Obuch. Przy napadzie byłem. Widziałem, jako matkę Danusią jeden Niemiec z pawimi piórami na hełmie chciał do siodła troczyć<sup>142</sup>, i jako w oczach mu na sznurze zbieła. Samego też mnie halebardą<sup>143</sup> zacięli, od czego znak noszę.

To rzekłszy, ukazał głęboką bliznę w czaszce, ciągnącą się spod włosów na głowie aż do brwi.

Nastała chwila milczenia. Zbyszko począł znów patrzeć na Danusię.

Po czym spytał:

— I rzekliście, panie, że ona nie ma rycerza?

Lecz nie doczekał odpowiedzi, gdyż w tej chwili śpiew ustał. Jeden z rybaltów, człowiek tłusty i ciężki, podniósł się nagle, przez co ława przechyliła się w jedną stronę. Danusia zachwiała się i rozłożyła rączki, lecz nim zdołała upaść lub zeskoczyć, rzucił się Zbyszko jak żbik i porwał ją na ręce.

Księżna, która w pierwszej chwili krzyknęła ze strachu, roześmiała się zaraz wesoło i poczęła wołać:

— Oto rycerz Danusin! Bywajże, rycerzyku, i oddaj nam naszą miłą śpiewaczkę!

— Chwacko ci ją ułapił! — ozwały się głosy wśród dworzan.

Zbyszko zaś szedł ku księżnej, trzymając przy piersiach Danusię, która objąwszy go jedną ręką za szyję, drugą podnosiła w górę luteńkę z obawy, by się nie zgmiotła. Twarz miała śmiejącą się i uradowaną, choć trochę przestraszoną. Tymczasem młodzieńczyk, doszedłszy do księżnej, postawił przed nią Danusię, sam zaś klęknął i podniósłszy głowę, rzekł z dziwną w jego wieku śmiałością:

Miłość

<sup>135</sup>miesiąc (daw.) — księżyc. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>szyba kościelna — chodzi o witraż. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>grabia — hrabia; Sienkiewicz nadaje Jurandowi ze Spychowa już trzeci nieodpowiadający sytuacji tytuł. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>gładka — tu: piękna. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>porozycić (daw.) — zabić. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>nabrać — napęcznieć. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>długo książę w niewoli u nich siedział — w 1393; Sienkiewicz prawdopodobnie przesadza na temat czasu trwania niewoli. [przypis edytorski]

<sup>142</sup>troczyć — przywiązać. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>halebarda — dziś popr.: halabarda. [przypis edytorski]

— Niechże będzie wedle waszych słów, miłościwa pani! Pora tej wdzięcznej panience mieć swego rycerza, a pora i mnie mieć swoją panią, której urodę i cnoty będę wyznawał, za czym z waszym pozwolenstwem tej oto właśnie chcę ślubować i do śmierci wiernym jej w każdej przygodzie ostać.

Na twarzy księżnej przemknęło zdziwienie, ale nie z powodu słów Zbyszkwowych, tylko dlatego, że wszystko stało się tak nagle. Obyczaj rycerskiego ślubowania nie był wprawdzie polski, jednakże Mazowsze, leżąc na rubieży<sup>144</sup> niemieckiej i widując często rycerzy z dalekich nawet krajów, znało go lepiej nawet niż inne dzielnice i naśladowało dość często. Księżna słyszała też o nim dawniej, jeszcze na dworze swego wielkiego ojca, gdzie wszystkie obyczaje zachodnie były uważane za prawo i wzór dla szlachetniejszych wojowników — z tych przeto powodów nie znalazła w chęci Zbyszka nic takiego, co by obrazić mogło ją lub Danusię. Owszem, uradowała się, że miła sercu dwórka poczyna zwracać ku sobie rycerskie serca i oczy.

Więc z rozbawioną twarzą zwróciła się do dziewczyny:

— Danuśka, Danuśka! Chceszli mieć swego rycerza?

A przetowłosa<sup>145</sup> Danusia podskoczyła naprzód trzy razy do góry w swoich czerwonych trzewiczkach, a następnie chwyciwszy księżnę za szyję, poczęła wołać z taką radością, jakby jej obiecywano jakąś zabawę, w którą się tylko starszym bawić wolno:

— Chcę! Chcę! Chcę!...

Księżnie ze śmiechu aż łzy napłynęły do oczu, a z nią śmiał się cały dwór; wreszcie jednak pani, uwolniwszy się z rąk Danusinych, rzekła do Zbyszka:

— Aj! Ślubuj! Ślubuj! Cóż zasię jej poprzysięszes?

Lecz Zbyszko, który wśród śmiechu zachował niezachwianą powagę, ozwał się równie poważnie, nie wstając z kłęczek:

— Ślubuję jej, iż stanąwszy w Krakowie, powieszę pawęż na gospodzie, a na niej kartę, którą mi uczony w piśmie kleryk foremnie napisze: jako panna Danuta Jurandówna najurodziwsza jest i najnotliwsza między pannami, które we wszystkich królestwach bydlą<sup>146</sup>. A kto by temu się przeciwiał, z tym będę się potykał póty, póki sam nie zginie albo on nie zginie, chybaży w niewolę radziej<sup>147</sup> poszedł.

— Dobrze! Widać rycerski obyczaj znasz. A co więcej?

— A potem, uznawszy od pana Mikołaja z Długolasu, jako mać panny Jurandówny za przyczyną Niemca z pawim grzebieniem na hełmie ostatni dech puściła, ślubuję kilka takich pawich czubów ze łbów niemieckich zedrzeć i pod nogi mojej pani położyć.

Na to spoważniała księżna i spytała:

— Nie dla śmiechu ślubujesz?

A Zbyszko odrzekł:

— Tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż; któren ślub w kościele przed księdzem powtórzę.

— Chwalebna jest z lutym nieprzyjacielem naszego plemienia walczyć, ale mi cię żal, boś młody i łatwo zginąć możesz.

Wtem przysunął się Maćko z Bogdańca, który dotychczas, jako człowiek dawniejszych czasów, ramionami tylko wzruszał — teraz jednak uznał za stosowne przemówić:

— Co do tego, nie frasujcie się<sup>148</sup>, miłościwa pani. Śmierć w bitwie każdemu się może przygodzić, a szlachcicowi, stary-li czy młody, to nawet chwalebna jest. Ale nie cudna temu chłopcu wojna<sup>149</sup>, bo chociaż mu roków nie dostaje, nieraz już trafiało mu się potykać z konia i piechtą, kopią i toporem, długim albo krótkim mieczem, z pawężą albo bez. Nowotny<sup>150</sup> to jest obyczaj, że rycerz dziewce, którą rad widzi, ślubuje, ale że Zbyszko swojej pawie czuby obiecał, tego mu nie przyganię. Wiskał<sup>151</sup> już Niemców, niech jeszcze powiska, a że od tego wiskania parę łbów pęknie, to mu jeno sława z tego urośnie.

<sup>144</sup>rubież — granica, pogranicze. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>przetowłosa (daw.) — jasnowłosa. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>bydląc (daw.) — mieszkając, przebywać. [przypis edytorski]

<sup>147</sup>radziej (daw.) — chętniej. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>frasować się (daw.) — martwić się. [przypis edytorski]

<sup>149</sup>nie cudna temu chłopcu wojna — sens: wojna nie jest dla niego niczym nowym. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>nowotny (daw.) — nowy. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>wiskać — prawdopodobnie od iskać, drapać. [przypis edytorski]

Obyczaje

Rycerz

— To, widzę, nie z byle otrokiem<sup>152</sup> sprawa — rzekła księżna.

A potem do Danusi:

— Siadajże na moim miejscu jako pierwsza dzisiaj osoba; jeno się nie śmieję, bo nie idzie<sup>153</sup>.

Danusia siadła na miejscu pani; chciała przy tym udać powagę, ale modre jej oczka śmiały się do klęczącego Zbyszka i nie mogła się powstrzymać od przebierania z radości nóżkami.

— Daj mu rękawiczki — rzekła księżna.

Danusia wyciągnęła rękawiczki i podała Zbyszkowi, który przyjął je ze czcią wielką i, przycisnąwszy do ust, rzekł:

— Przypnę je do hełmu, a kto po nie sięgnie, gorze<sup>154</sup> mu!

Po czym ucałował ręce Danusi, a po rękach nogi, i wstał. Ale wówczas opuściła go dotychczasowa powaga, a napełniła mu serce wielka radość, że odtąd za dojrzałego męża wobec całego tego dworu będzie uchodził, więc potrząsając Danusine rękawiczki, począł wołać na wpeł wesoło, na wpeł zapalczywie:

— Bywajcie, psubraty z pawimi czubami! Bywajcie!

Lecz w tej chwili wszedł do gospody ten sam zakonnik, który już był poprzednio, a wraz z nim dwóch innych, starszych. Słudzy klasztorni nieśli za nimi kosze z wikliny, a w nich łagiewki<sup>155</sup> z winem i różne zebrane naprędce przysmaki. Dwaj owi poczęli witać księżnę i znów wymawiać jej, że nie zajęchała do opactwa, a ona tłumaczyła im powtórnie, że wypawszy się w dzień, wraz z całym dworem podróżuje nocą dla chłodu, więc wypoczynku jej nie trzeba — i że nie chcąc budzić ni znakomitego opata, ni zacnych zakonników, wołała zatrzymać się dla wyprostowania nóg w gospodzie.

Po wielu grzecznych słowach stanęło wreszcie na tym, że po jutrzni i mszy porannej księżna z dworem przyjmie śniadanie i wypoczynek w klasztorze. Uprzejmi zakonnicy zaprosili też wraz z Mazurami ziemian krakowskich i Maćka z Bogdańca, który i tak miał zamiar udać się do opactwa, aby dostatek zdobyty na wojnie albo darem od hojnego Witolda otrzymany, a przeznaczon na wykupno z zastawu Bogdańca, w klasztorze złożyć. Ale młody Zbyszko nie słyszał zaprosin, skoczył bowiem do wozów swoich i stryjowskich, stojących pod strażą służby, by się odziać i w przystojniejszej odzieży księżnie i Danusi się przedstawić. Wziąwszy więc z wozu luby<sup>156</sup>, kazał je nieść do izby czeladnej i tam począł się przebierać. Utrefiwszy naprzód pośpiesznie włosy, wsunął je w pątlík<sup>157</sup> jedwabny, bursztynowymi paciorkami wiązany, z przodu zaś mający perełki prawdziwe. Następnie wdział jakę<sup>158</sup> z białego jedwabiu, naszytą w złote gryfy, u dołu zaś szlakiem ozdobną; z wierzchu opasał się pasem pozłocistym, podwójnym, przy którym wisiał mały kord w srebro i kość słoniową oprawny. Wszystko to było nowe, błyszczące i wcale krwią niepoplamione, chociaż łupem na młodym rycerzu fryzyskim<sup>159</sup>, służącym u Krzyżaków, wzięte. Naciągnął następnie Zbyszko prześliczne spodnie, w których jedna nogawica była w podłużne pasy zielone i czerwone, druga w fioletowe i żółte, obie zaś kończyły się u góry pstrą szachownicą. Za czym, wdziawszy jeszcze purpurowe z długimi nosami trzewiki — piękny i wyświeżony udał się do izby ogólnej.

Jakoż, gdy stanął we drzwiach, widok jego mocne na wszystkich sprawił wrażenie. Księżna widząc teraz, jak urodziwy rycerz ślubował miłej Danusi, uradowała się jeszcze bardziej. Danusia zaś skoczyła w pierwszej chwili ku niemu jak sarna. Lecz czy to piękność młodzieńca, czy głosy podziwu dworzan wstrzymały ją, nim dobiegła, tak że zatrzymawszy się na krok przed nim, spuściła nagle oczka i splótłszy dłonie, poczęła wykręcać paluszki, zapłoniona i zmieszana.

Lecz za nią przybliżyli się inni: sama pani, dworzanie i dwórki, i rybálci, i zakonnicy, wszyscy bowiem chcieli mu się lepiej przypatrzeć. Panny mazowieckie patrzyły na niego

Strój

<sup>152</sup>otrok (daw.) — chłopak. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>nie idzie (daw.) — nie uchodzi, nie wypada. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>gorze (ze starop. gorzeć: palić się) — biada, nieszczęście, niebezpieczeństwo. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>łagiew (daw.) — naczynie podróżne. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>luby — kosze, bagaże. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>pątlík — siatka do podtrzymywania włosów. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>jąka (daw.) — rodzaj okrycia wierzchniego. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>fryzyski — pochodzący z Fryzji, krainy nad Morzem Północnym, obecnie stanowiącej pogranicze Niemiec, Danii i Holandii. [przypis edytorski]

jak w tęczę, żalując teraz każdą, że nie ją wybrał — starsze podziwiała kosztowność ubioru, tak że naokół utworzyło się koło ciekawych; Zbyszko zaś stał w środku z chełpliwym uśmiechem na swej młodzieńczej twarzy i okręcał się nieco na miejscu, aby lepiej mogli mu się przyjrzeć.

— Któż to jest? — zapytał jeden z zakonników.

— To jest rycerzyk, bratanek tego oto ślachcica<sup>160</sup> — odrzekła księżna, ukazując na Maćka — jen<sup>161</sup> dopiero co Danusi ślubował.

A zakonnicy nie okazali też zdziwienia, albowiem takie ślubowanie nie obowiązywało do niczego. Ślubowano częstokroć niewiastom zamężnym, a w rodach znamienitych, wśród których zachodni obyczaj był znany, każda prawie miała swego rycerza. Jeśli zaś rycerz ślubował pannie, to nie stawał się przez to jej narzeczonym: owszem, najczęściej ona brała innego męża, a on, o ile posiadał cnotę stałości, nie przestawał jej być wprawdzie wiernym, ale żenił się z inną.

Trochę więcej dziwił zakonników młody wiek Danusi, wszelako i to nie bardzo, gdyż w owym czasie szesnastoletni wyrostkowie bywali kasztelanami. Sama wielka królowa Jadwiga w chwili przybycia z Węgier liczyła lat piętnaście, a trzynastoletnie dziewczęta szły za mąż. Zresztą, patrzano w tej chwili więcej na Zbyszka niż na Danusię i słuchano słów Maćka, który, dumny z bratanka, opowiadał, w jaki sposób młodzik przyszedł do szat tak zacnych.

— Rok i dziewięć niedziel temu — mówił — byliśmy proszeni w gościnę przez rycerzy saksońskich. A był też u nich także w gościnie pewien rycerz z dalekiego narodu Fryzów, którzy hen aż nad morzem mieszkają, a miał z sobą syna trzy roki od Zbyszka starszego. Raz na uczcie ów syn poczał Zbyszкови nieprzystojnie przymawiać, iż ni wąsów, ni brody nie ma. Zbyszko, jako jest wartki<sup>162</sup>, nie słuchał tego mile, ale zaraz, chwyciwszy go za głowę, wszystkie włosy mu z niej wydarł, o co później potykaliśmy się na śmierć lub na niewolę.

— Jak to, potykaliście się? — spytał pan z Długolasu.

— Bo się ojciec za synem ujął, a ja za Zbyszkiem: więc potykaliśmy się samoczwart<sup>163</sup> wobec gości na udeptanej ziemi. Taka zaś stanęła umowa, że kto zwycięży, ten i wozy, i konie, i sługi zwyciężonego zabierze. I Bóg zdarzył. Porznęliśmy owych Fryzów, choć z niemalym trudem, bo im ni męstwa, ni mocy nie brakło, a łup wzięliśmy znamienity: było wozów cztery, w każdym po parze podjezdźków i cztery ogiery ogromne, i sług dziewięciu, i zbroic dwie wybornych, jakich mało byś u nas znalazł. Hełmyśmy po prawdzie w boju połupali, ale Pan Jezus w czym innym nas pocieszył, bo szat kosztownych była cała skrzynia przednio kowana<sup>164</sup>, i te, w które się Zbyszko teraz przybrał, także w niej były.

Na to dwaj ziemianie z Krakowskiego i wszyscy Mazurowie poczęli spoglądać z większym szacunkiem na stryja i na synowca, zaś pan z Długolasu, zwany Obuchem, rzekł:

— Toście, widzę, chłopcy nieociągliwe i srogie.

— Wierzym teraz, że ów młodzik czuby pawie dostanie!

A Maćko śmiał się, przy czym w surowej jego twarzy było istotnie coś drapieżnego.

Lecz tymczasem służba klasztorna powydobywała z wiklinowych koszów wino i przysmaki, a z czeladnej dziewczki służebne poczęły wnosić misy pełne dymiącej jajecznicy, a okolone kielbasami, od których rozszedł się po całej izbie mocny a smakowity zapach wieprzowego tłuszczu. Na ten widok wezbrała we wszystkich ochota do jedzenia — i ruszono ku stołom.

Nikt jednak nie zajmował miejsca przed księżną, ona zaś, siadłszy w pośrodku, kazała Zbyszкови i Danusi usiąść naprzeciw przy sobie, a potem rzekła do Zbyszka:

— Słuszna, abyście jedli z jednej misy z Danusią, ale nie przystępuj jej nóg pod ławą ani też trącaj ją kolany, jak czynią inni rycerze, bo zbyt młoda.

Na to on odrzekł:

<sup>160</sup>ślachcic — dziś popr.: szlachcic. [przypis edytorski]

<sup>161</sup>jen (daw.) — który. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>wartki (daw.) — prędko (tu: do bójk). [przypis edytorski]

<sup>163</sup>samoczwart (daw.) — we czterech. [przypis edytorski]

<sup>164</sup>kowany (daw.) — kuty, wykuty. [przypis edytorski]

— Nie uczynię ja tego, miłościwa pani, chyba za dwa albo za trzy roki, gdy mi Pan Jezus pozwoli ślub spełnić i gdy ta jagódka dojrzeje<sup>165</sup>; a co do nóg przystępowania, choćbym i chciał, nie mogę, boć one w powietrzu wiszą.

— Prawda — odpowiedziała księżna — ale miło wiedzieć, że przystojne masz obyczaje.

Po czym zapadło milczenie, gdyż wszyscy jeść poczęli. Zbyszko odkrawał co najtłustsze kawałki kielbasy i podawał je Danusi albo jej wprost do ust je wkładał, ona zaś rada, że jej tak strojny rycerz służy, jadła z wypchanymi policzkami, mrugając oczkami i uśmiechając się to do niego, to do księżnej.

Po wyprzątnięciu mis słudzy klasztorni poczęli nalewać wino słodkie i pachnące — mężom obficie, paniom po trochu, lecz rycerskość Zbyszkowa okazała się szczególnie wówczas, gdy wniesiono pełne garncówki<sup>166</sup> przysłanych z klasztoru orzechów. Były tam laskowe i rzadkie podówczas, bo z daleka sprowadzane, włoskie, na które też rzucili się biesiadnicy z wielką ochotą, tak że po chwili w całej izbie słychać było tylko trzask skorup kruszonych w szczękach. Lecz na próżno by kto mniemał, że Zbyszko myślał tylko o sobie, albowiem wołał on pokazywać i księżnie, i Danusi swoją rycerską siłę i wstrzemięźliwość, niż łapczywością na rzadkie przysmaki poniżyć się w ich oczach. Jakoż nabierając co chwila pełną garść orzechów, czy to laskowych, czy włoskich, nie wkładał ich między zęby, jak czynili inni, ale zaciskał swe żelazne palce, kruszył je, a potem podawał Danusi wybrane spośród skorup ziarna. Wymyślił nawet dla niej i zabawę, albowiem po wybraniu ziarn zbliżał do ust pięść i wydmuchiwał nagle swym potężnym tchem skorupy aż pod pułap. Danusia śmiała się tak, że aż księżna z obawy, że się dziewczyna udławi, musiała mu nakazać, by tej zabawy zaniechał, widząc jednak uradowanie dziewczyny, spytała:

— A co, Danuśka? Dobrze mieć swego rycerza?

— Oj! Dobrze! — odpowiedziała dziewczyna.

A potem, wyciągnąwszy swój różowy paluszek, dotknęła nim białej, jedwabnej jakiej Zbyszkowej i cofając go natychmiast, zapytała:

— A jutro też będzie mój?

— I jutro, i w niedzielę, i aż do śmierci — odparł Zbyszko.

Wieczera przeciągnęła się, gdyż po orzechach podano słodkie placki pełne rodzyneków. Niektórym z dworzan chciało się tańcować; inni chcieli słuchać śpiewania rybałtów lub Danusi: ale Danusi pod koniec poczęły się oczka kleić, a główka chwiać w obie strony; raz i drugi spojrziała jeszcze na księżnę, potem na Zbyszka, raz jeszcze przetarła piąstkami powieki — i zaraz potem, oparłszy się z wielką ufnością o ramię rycerzyka — usnęła.

— Śpi? — zapytała księżna. — Ot, masz swoją „dame”.

— Milsza mi ona we śnie niżeli inna w tańcu — odrzekł Zbyszko, siedząc prosto i nieruchomie<sup>167</sup>, by dziewczyny nie zbudzić.

Ale jej nie zbudziło nawet granie i śpiewy rybałtów. Inni też przytupywali muzyce, inni brząkali do wtóru misami, lecz im gwar był większy, tym ona spała lepiej, z otwartymi jak rybka ustami.

Zbudziła się dopiero, gdy na odgłos piania kurów i dzwonów kościelnych wszyscy ruszyli się z ław, wołając:

— Na jutrznię! Na jutrznię!

— Pójdziem piechotą, na chwałę Bogu — rzekła księżna.

I wzięwszy za rękę rozbudzoną Danusię, wyszła pierwsza z gospody, a za nią wysypał się cały dwór.

Noc już zbieiała. Na wschodzie nieba widać było leciuchną jasność, zieloną u góry, różową od spodu, a pod nią jakby wąską, złotą wstążeczkę, która rozszerzała się w oczach. Od zachodniej strony księżyc zdawał się cofać przed tą jasnością. Czynił się brzask coraz różowszy, jaśniejszy.

Świat budził się mokry od obfitej rosy, radosny i wypoczęty.

— Bóg dał pogodę, ale upał będzie okrutny — mówili dworzanie książeący.

<sup>165</sup>dojrzeć — dziś popr.: dojrzeć. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>garncówka — właśc. półgarncówka: naczynie o objętości pół garnca. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>nieruchomie — dziś popr.: nieruchomo. [przypis edytorski]



— Nie szkodzi — uspokajał ich pan z Długolasu. — Wyśpimy się w opactwie, a do Krakowa przyjdziem pod wieczór.

— Pewnikiem znów na ucztę.

— Co dzień tam teraz ucztę, a po połogu i po gonitwach nastąpią jeszcze większe.

— Obaczym, jako się pokaże rycerz Danusin.

— Ej, dębowe to jakieś chłopcy!... Słyszeliście, co prawili o onej bitwie samoczwart?

— Może do naszego dworu przystaną, bo się jakoś między sobą naradzają.

A oni rzeczywiście się naradzali, gdyż starszy, Maćko, nie był zbyt rad z tego, co zaszło, idąc więc na końcu orszaku i przystając umyślnie, by swobodniej pogadać, mówił:

— Po prawdzie, nic ci po tym. Ja się tam jakoś do króla docisnę, choćby z tym oto dworem, i może coś dostaniem. Okrutnie by mnie się chciało jakowegoś zameczku alibo<sup>168</sup> gródka... No, obaczym. Bogdaniec swoją drogą z zastawu wykupim, bo co ojce dzierżyli, to i nam dzierżyć. Ale skąd chłopów? Co opat osadził, to i na powrót weźmie, a ziemia bez chłopów tyle, co nic. Tedy miarkuj, co ci rzekę<sup>169</sup>: ty sobie ślubuj, nie ślubuj, komu chcesz, a z panem z Melsztyna idź do księcia Witolda na Tatary. Jeśli wyprawę przed połogiem królowej otrąbią<sup>170</sup>, tedy na zlegnięcie ani na gonitwy rycerskie nie czekaj, jeno idź, bo tam może być korzyść. Książę Witold wiesz, jako jest hojny, a ciebie już zna. Sprawisz się<sup>171</sup>, to obficie nagrodzi. A nade wszystko, zdarzy-li Bóg: niewolnika możesz nabrać bez miary. Tatarów jak mrowia na świecie. W razie zwycięstwa przypadnie i kopa<sup>172</sup> na jednego.

Tu Maćko, który był chciwy na ziemię i robociznę, począł marzyć:

— Boga mi! Przygnać tak z pięćdziesiąt chłopów i osadzić na Bogdańcu! Przetrzebiłoby się puszczy szmat. Uroslibyśmy oba. A ty wiedz, że nigdzie tylu nie nabierzesz, ilu tam można nabrać!

Lecz Zbyszko począł głowę kręcić.

— O wa! Koniuchów natrocze, końskim padłem<sup>173</sup> żyjących, roli niezwyuczajnych<sup>174</sup>! Co po nich w Bogdańcu?... A przy tym ja trzy niemieckie grzebienie ślubowałem. Gdzieże je znajdę między Tatary?

— Ślubowałeś, boś głupi, ale takie to tam i śluby.

— A moja rycerska cześć? Jakże?

— A jak było z Ryngallą?

— Ryngalla księcia otruła; i pustelnik mnie rozwiązał.

— To cię w Tyńcu opat rozwiąże. Lepszy opat od pustelnika, jen to więcej zbójem niżli zakonnikiem patrzył<sup>175</sup>.

— A nie chcę.

Maćko zatrzymał się i zapytał z widocznym gniewem:

— No, to jakoże będzie?

— Jedźcie sobie sami do Witolda, bo ja nie pojedę.

— Ty knechcie<sup>176</sup>! A kto się królowi pokłoni?... I nie żal ci to moich kości?

— Na wasze kości drzewo się zwali, jeszcze ich nie połamie. A choćby mi też było was żal, nie chcę do Witolda.

— Coże będziesz robił? Sokolnikiem<sup>177</sup> czyli też rybałem przy dworze mazowieckim zostaniesz?

— Albo to sokolnik co złego? Skoro wolicie mruczeć, niż mnie słuchać, to mruczcie.

— Gdzie pojedziesz? Za nic ci Bogdaniec? Pazurami będziesz w nim orał? Bez chłopów?

<sup>168</sup>alibo — dziś popr.: albo. [przypis edytorski]

<sup>169</sup>miarkuj, co ci rzekę — zwracaj uwagę na to, co ci mówię. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>otrąbić (daw.) — ogłosić uroczystie. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>sprawić się (daw.) — spełnić powinności a. obowiązki. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>kopa (daw.) — sześćdziesiąt. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>padło — padlina. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>roli niezwyuczajnych — nieprzyzwyczajonych do pracy na roli. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>więcej zbójem niżli zakonnikiem patrzył — bardziej wyglądał na zbójcę niż na zakonnika. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>knecht — żołnierz piechoty niemieckiej, pacholek; tu użyte w charakterze obelgi. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>sokolnik — treser ptaków drapieżnych używanych do polowania na mniejsze zwierzęta. [przypis edytorski]

— Nieprawda! Chwackoście wymądrowali z Tatarami. Zabaczyliście<sup>178</sup>, co prawili Rusini<sup>179</sup>, że Tatarów tyle najdziesz, ile ich pobitych na polu leży, a niewolnika nikt nie ułapi, bo Tataru we stepie nie zgoni. Na czymże go będę gonil? Na onych<sup>180</sup> ciężkich ogierach, któreśmy na Niemcach wzięli? Widzicie no! A co za łup wezmę? Parszywe kozuchy i nic więcej. O, to dopiero bogaczem do Bogdańca zjadę! To dopiero mnie komesem nazowią!

Maćko umilkł, albowiem w słowach Zbyszkowych wiele było słuszności, i dopiero po chwili rzekł:

— Aleby cię kniaź Witold nagroził.

— Ba, wiecie: jednemu da on za dużo, drugiemu nic.

— To gadaj, gdzie pojedziesz.

— Do Juranda ze Spychowa.

Maćko przekręcił ze złości pas na skórzanym kaftanie i rzekł:

— Bodajżeś olsnął<sup>181</sup>!

— Posłuchajcie — odpowiedział spokojnie Zbyszko. — Gadałem z Mikołajem z Długolasu i ten prawi, że Jurand pomsty na Niemcach za żonę szuka. Pójdę, pomogę mu. Po pierwsze, samiście rzekli, że niecudnie mi już z Niemcami się potykać, bo i ich, i sposoby na nich znamy. Po drugie, prędzej ja tam nad granicą one pawie czuby dostanę, a po trzecie, to wiecie, że pawi grzebiń nie lada knecht na łbie nosi, więc jeśli Pan Jezus przysporzy grzebieni, to przysporzy i łupu. W końcu: niewolnik tamtejszy to nie Tatar. Takiego w boru osadzić — nie żal się Boże.

— Cóżes ty, chłopie, rozum stracił? Przecie nie ma teraz wojny i Bóg wie, kiedy będzie!

— O moście wy! Zawarły niedźwiedzie pokój z bartnikami<sup>182</sup> i barci nie psowają ni miodu nie jedzą! Ha, ha! A czy to nowina wam, że choć wielkie wojska nie wojują i choć król z mistrzem pod pergaminem pieczęcie położą, na granicy zawsze mąt<sup>183</sup> okrutny? Zajmą-li sobie bydło, trzody, to się za jeden krowi łeb po kilka wsiów<sup>184</sup> pali i zamki oblegają. A porywanie chłopów i dziewczek? A kupców na gościńcach? Wspomnijcie czasy dawniejsze, o których samiście mi rozpowiadali. Żle to było onemu Nałęczowi<sup>185</sup>, który czterdziestu rycerzy do Krzyżaków jadących chwycił, w podziemiu osadził i póty nie puścił, póki mu pełnego woza grzywien<sup>186</sup> mistrz nie przysłał? Jurand ze Spychowa też nic innego nie czyni i nad granicą zawsze gotowa robota.

Przez chwilę szli w milczeniu, tymczasem rozwidniło się zupełnie i jasne promienie słońca rozświeciły skały, na których pobudowane było opactwo.

— Bóg wszędzie może poszczęścić — rzekł wreszcie udobruchanym głosem Maćko. — Proś, żeby ci błogosławił.

— Pewno, że wszystko Jego łaska!

— I myśl o Bogdańcu, bo w tym mnie nie przekonasz, że ty dla Bogdańca, nie dla tego kaczego kłapaka<sup>187</sup> do Juranda ze Spychowa chcesz jechać.

— Nie powiadajcie tak, bo się rozgniewam. Rad ją widzę i tego się nie zapieram; inne też to niż dla Ryngałły ślubowanie. Spotkaliście urodziwszą?

— Co mi ta jej uroda! Wolej<sup>188</sup> weź ją, jak dorośnie, jeśli możnego komesa córka.

A Zbyszкови rozjaśniła się twarz młodym, dobrym uśmiechem.

— Może i to być. Ni innej pani, ni innej żony! Jak wam kości sparcieją<sup>189</sup>, będziecie wy jeszcze wnuki po mnie i po niej piastowali.

<sup>178</sup>zabaczyć (daw.) — zapomnieć. [przypis edytorski]

<sup>179</sup>Rusin — dziś: Ukrainiec, względnie Białorusin. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>onych — tych. [przypis edytorski]

<sup>181</sup>olsnąć (daw.) — oślepnąć. [przypis edytorski]

<sup>182</sup>bartnik — osoba zajmująca się hodowlą pszczoł w barci, tj. w wydrążonym pniu drzewa w lesie. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>mąt — zamęt. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>wsiów — dziś popr.: wsi. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>Nałęcz — śrdw. ród wielkopolskich możnowładców, który dał początek herbowi Nałęcz. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>grzywina — śrdw. jednostka płatnicza, o wartości pół funta złota lub srebra. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>kaczy kłapak — kołpak z kaczymi piórami. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>wolej (daw.) — lepiej. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>sparcieć — tu: osłabnąć. [przypis edytorski]

Na to uśmiechnął się z kolei Maćko i odrzekł całkiem już udobruchany:

— Grady! Grady! A niechże ich będzie jako gradu. Na starość radość, a po śmierci zbawienie. To nam, Jezu, daj!

## ROZDZIAŁ TRZECI

Księżna Danuta, Maćko i Zbyszko bywali już poprzednio w Tyńcu, ale w orszaku byli dworzanie, którzy widzieli go po raz pierwszy — i ci, podnosząc oczy, patrzyli ze zdumieniem na wspaniałe opactwo, na zębate mury biegnące wzdłuż skał nad urwiskami, na gmachy stojące to na zboczach góry, to wewnątrz blanków<sup>190</sup>, spiętrzone, wyniosłe i jaśniejące złotem od wschodzącego słońca. Z tych okazałych murów i gmachów, z domów, z budowli przeznaczonych na rozliczne użytki, z ogrodów leżących u stóp góry i ze starannie uprawnych pól, które wzrok z wysoka ogarniał, można było na pierwszy rzut oka poznać bogactwo odwieczne, nieprzebrane, do którego nie przywykli i którym zdumiewać się musieli ludzie z ubożego Mazowsza. Istniały wprawdzie starożytne a możliwe opactwa benedyktyńskie<sup>191</sup> i w innych częściach kraju, jak na przykład w Lubuszu nad Odrą, w Płocku, w Wielkopolsce w Mogilnie i w innych miejscach, żadne wszelako nie mogło porównać się z tynieckim, którego posiadłości przewyższały niejedno księstwo udzielne, a dochody mogły budzić zazdrość nawet ówczesnych królów.

Między dworzany<sup>192</sup> rósł więc podziw, a niektórzy oczom prawie nie chcieli wierzyć. Tymczasem księżna, chcąc sobie drogę skrócić i zaciekawic panny przyboczne, poczęła prosić jednego z zakonników, by opowiedział starodawną a straszną powieść o Walgierzu Wdałym<sup>193</sup>, którą opowiadano jej już, chociaż niezbyt dokładnie, w Krakowie.

Usłyszawszy to, panny zbiły się ciasnym stadkiem koło pani i szły z wolna pod górę, we wczesnych promieniach słońca do idących kwiatów podobne.

— Niech o Walgierzu prawi brat Hidulf, któremu on się pewnej nocy ukazał — rzekł jeden z zakonników, spoglądając na drugiego, człowieka sędziwych już lat, który w pochylonej nieco postawie szedł obok Mikołaja z Długolasu.

— Zali widzieliście go własnymi oczyma, pobożny ojcze? — spytała księżna.

— Widziałem — odpowiedział posępnie zakonnik — albowiem zdarzają się takowe terminy<sup>194</sup>, w których z woli bożej wolno mu jest opuszczać piekielne podziemia i ukazywać się światu.

— Kiedyż to bywa?

Zakonnik spojrział na dwóch innych i zamilkł, albowiem istniało podanie, że duch Walgierza pojawia się wówczas, gdy w zakonie psują się obyczaje i gdy zakonnicy więcej, niż wypada, o światowych<sup>195</sup> dostatkach i uciechach myślą.

Tego właśnie żaden nie chciał głośno wyznać, że jednak mówiono także, iż widmo przepowiada również wojnę lub inne nieszczęścia, przeto brat Hidulf po chwili milczenia rzekł:

— Ukazanie się jego nie wróży nic dobrego.

— Nie chciałabym też go widzieć — rzekła, żegnając się księżna — ale czemu to on jest w piekle, skoro, jako słyszałam, tylko za ciężką własną krzywdę się pomścił?

— Choćby też i całe życie był cnotliwy — odparł surowo zakonnik — byłby i tak potępion, albowiem żył za pogańskich czasów i chrztem świętym nie został z pierworodnego grzechu<sup>196</sup> obmyty.

Po tych słowach brwi księżnej ściągnęły się boleśnie, przyszło jej bowiem na myśl, że jej wielki ojciec, którego miłowała całą duszą, zmarł także w błędach pogańskich — i miał gorzeć<sup>197</sup> przez całą wieczność.

<sup>190</sup>blanki — zwieńczenie muru obronnego. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>benedyktyni — zakon założony w 529 przez Benedykta z Nursji, w średniowieczu bardzo aktywny w Polsce; jego motto brzmi po łac. *Ora et labora*, czyli: Módl się i pracuj. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>między dworzany (daw.) — między dworzanami. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>legenda o Walgierzu Wdałym (tj. pięknym) — wzięta przez Sienkiewicza z Kroniki Wielkopolskiej (XIV/XV w.), oparta na zachodnioeuropejskim eposie o WALTERZE I HELGUNDZIE. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>terminy (daw.) — sytuacje, okoliczności, przeważnie stanowiące zagrożenie. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>światowy (daw.) — świecki. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>grzech pierworodny — według doktryny chrześcijańskiej ludzie rodzą się grzeszni, a dopiero chrzest zmywa ten grzech. [przypis edytorski]

<sup>197</sup>gorzeć (daw.) — płonąć. [przypis edytorski]

— Słuchamy — rzekła po chwili milczenia.

A brat Hidulf począł opowiadać:

— Był za czasów pogańskich grabia możny, którego dla wielkiej urody zwano Walgierzem Wdałym. Cały ten kraj, jako okiem sięgnąć, należał do niego, a na wyprawy prócz pieszego ludu wodził po stu kopijników<sup>198</sup>, wszyscy bowiem władcy<sup>199</sup>, na zachód aż po Opole, a na wschód po Sandomierz, wasalami<sup>200</sup> jego byli. Trzód jego nie mógł nikt zliczyć, a w Tyńcu miał wieżę całą nasypaną pieniędzmi, jako teraz mają w Malborgu<sup>201</sup> Krzyżacy.

— Wiem, mają! — przerwała księżna Danuta.

— I był jako wielkolud — ciągnął dalej zakonnik — i dęby z korzeniami wrywał, a w piękności, w graniu na lutni i w śpiewaniu nikt w całym świecie sprostać mu nie mógł. A raz, gdy był na dworze króla francuskiego, rozmiłowała się w nim królowna Helgunda, którą ojciec na chwałę Bogu do zakonu chciał oddać, i uciekła z nim do Tyńca, gdzie w sprośności oboje żyli, gdy żaden ksiądz ślubu chrześcijańskiego dać im nie chciał. Był zaś w Wiślicy Wisław Piękny z rodu króla Popiela<sup>202</sup>. Jen podczas niebytności Walgierza Wdalego grabstwo<sup>203</sup> tynieckie pustoszył. Tego pokonał Walgierz i do Tyńca do niewoli przywiódł nie bacząc, że która tylko niewiasta ujrzała Wisława, gotowa była zaraz ojca, matki i męża odstąpić, byle swe żądze nasycić. Tak stało się i z Helgundą. Zaraz ona takowe więzy na Walgierza wymyśliła, że on wielkolud, choć dęby wrywał, przerwać ich nie mógł, i Wisławowi go oddała, który do Wiślicy go powiózł. Lecz Rynga<sup>204</sup>, siostra Wisława, usłyszawszy w podziemiu śpiewanie Walgierzowe, wnet rozmiłowana, uwolniła go z podziemia, a ów Wisława i Helgundę mieczem posiekłszy, ciała ich krukowi zostawił, a sam z Ryngą do Tyńca powrócił.

— Zali niesłusznie uczynił? — spytała księżna.

A brat Hidulf rzekł:

— Gdyby był chrzest przyjął i Tyniec benedyktynom oddał, może by mu Bóg grzechy odpuścił, ale że tego nie uczynił, przeto go ziemia pożarła.

— A to benedyktyni byli już w tym Królestwie?

— Benedyktynów w tym Królestwie nie było, albowiem sami tu wówczas żyli poganie.

— To jakże mógł chrzest przyjąć albo Tyniec oddać?

— Nie mógł, i właśnie dlatego skazan jest do piekła na męki wiekuiste — odrzekł z powagą zakonnik.

— Pewnie! Słusznie mówi! — ozwało się kilka głosów.

Lecz tymczasem zbliżyli się do głównej bramy klasztornej, w której czekał na księżnę opat na czele licznego orszaku zakonników i szlachty.

Ludzi świeckich: „ekonomów”, „adwokatów”, „prokuratorów” i rozmaitych urzędników zakonnych, zawsze bywało w klasztorze sporo. Wielu też ziemian, możnych nawet rycerzy, trzymało nieprzeliczone ziemie klasztorne dość wyjątkowym w Polsce prawem lennym — i ci, jako „wasale”, radzi przebywali na dworze „suzerena”<sup>205</sup>, gdzie przy wielkim ołtarzu łatwo było o darowizny, ulgi i wszelkiego rodzaju dobrodziejstwa, zależne nieraz od drobnej usługi, od zręcznego słowa lub od chwili dobrego humoru potężnego opata. Przygotowujące się uroczystości w stolicy ściągnęły też wielu takich wasalów z odległych stron, ci zaś, którym trudno było z powodu natłoku znaleźć gospodę w Krakowie,

<sup>198</sup> *kopijnicy* — ciężka jazda uzbrojona w kopie i miecze. [przypis edytorski]

<sup>199</sup> *włodyka* (daw.) — tu: pan, władca. [przypis edytorski]

<sup>200</sup> *wasal* — rycerz bądź szlachcic, który złożył komuś hołd i przysięgę na wierność, obiecując mu pomoc i wsparcie, a w zamian otrzymując lenno (posiadłość ziemską). [przypis edytorski]

<sup>201</sup> *Malborg* — dziś: Malbork. [przypis edytorski]

<sup>202</sup> *Popiel* — legendarny władca, po raz pierwszy wspomniany w kronice Galla Anonima jako przedstawiciel dynastii poprzedzającej Piastów. Pod wpływem modyfikacji legendy w kronice mistrza Wincentego zwanego Kadłubkiem stał się symbolem złego króla. [przypis edytorski]

<sup>203</sup> *grabstwo* — hrabstwo, okręg. [przypis edytorski]

<sup>204</sup> *Rynga* — w wersji z Kroniki Wielkopolskiej siostra Wisława nazywała się Marzanna. [przypis edytorski]

<sup>205</sup> *suzeren* — zwierzchnik wasala, ofiarowujący mu ochronę i ziemię (lenno) w zamian za przysięgę wierności. Jak widać z tego fragmentu, w roli suzerena mógł występować również dostojnik kościelny, w tym wypadku opat tyniecki. [przypis edytorski]

mieścili się w Tyńcu. Z tych powodów *abbas centum villarum*<sup>206</sup> mógł powitać księżnę w liczniejszym jeszcze niż zwyczajnie orszaku.

Był to człowiek wysokiego wzrostu, z twarzą suchą, rozumną, z głową wygoloną na wierzchu<sup>207</sup>, niżej zaś, nad uszami, otoczoną wieńcem siwiejących włosów. Na czole miał bliznę po ranie, widocznie za młodych rycerskich czasów otrzymanej, oczy przenikliwe, wyniosłe spod czarnych brwi patrzące. Ubrany był w habit jak inni mnisi, ale na wierzchu miał czarny płaszcz podbity purpurą, na szyi zaś złoty łańcuch, na którego końcu zwieszał się również złoty, drogimi kamieniami sadzony<sup>208</sup> krzyż — godło opackiej godności. Cała jego postawa zdradzała człowieka dumnego, przywykłego do rozkazywania i ufnego w siebie.

Witał jednak księżnę uprzejmie, a nawet uniżenie, pamiętał bowiem, że mąż jej pochodził z tego samego rodu książąt mazowieckich, z którego pochodzili królowie Władysław i Kazimierz, a po kądzieli<sup>209</sup> i obecnie panująca królowa, władczyni jednego z największych państw w świecie. Przystąpił więc próg bramy, skłonił nisko głowę, a następnie, przeżegnawszy Annę Danutę i cały dwór małą, złotą puszką, którą trzymał w palcach prawej ręki, rzekł:

— Witaj, miłościwa pani, w ubogich progach zakonnych. Niechaj święty Benedykt z Nursji<sup>210</sup>, święty Maurus<sup>211</sup>, święty Bonifacy<sup>212</sup> i święty Benedykt z Aniane<sup>213</sup>, a także i Jan z Tolomei<sup>214</sup>, patronowie nasi w światłości wiekuistej żyjący, obdarzą cię zdrowiem, szczęściem i niechaj błogosławią cię po siedem razy dziennie, przez wszystkie czas żywota twego!

— Chybaby głusi byli, gdyby nie mieli wysłuchać słów tak wielkiego opata — rzekła uprzejmie księżna — tym bardziej że my tu na mszę przybyli, podczas której ich opiece się oddamy.

To rzekłszy, wyciągnęła ku niemu rękę, którą on, przyklękawszy dwornie na jedno kolano, ucałował po rycersku<sup>215</sup>, a następnie przeszli razem bramę. Ze mszą czekano już widocznie, gdyż w tej chwili ozwały się dzwony i dzwonki, trębacze zadęli przy drzwiach kościelnych na cześć księżny w donośne trąby, inni uderzyli w ogromne kotły, wykute z miedzi czerwonej i obciągnięte skórą, dającą huczny rozgłos. Na księżnę, która nie urodziła się w kraju chrześcijańskim, każdy kościół silnie dotychczas czynił wrażenie, ów zaś, tydzień, sprawiał tym większe, że pod względem wspaniałości mało innych mogło się z nim porównać. Mrok napełniał głębię świątyni, tylko przy wielkim ołtarzu drgały pasemka światła rozmaitych, pomieszane z blaskiem świec rozjaśniających złocenia i rzeźby. Zakonnik przybrany w ornat wyszedł ze mszą, skłonił się księżnie — i rozpoczął ofiarę. Wnet wzniosły się dymy wonne a obfite, które przesłoniwszy księdza i ołtarz, szły w spokojnych kłębach ku górze, powiększając tajemniczą uroczystość kościoła. Anna Danuta pochyliła w tył głowę i rozłożywszy ręce na wysokości twarzy, poczęła się modlić żarliwie. Lecz gdy ozwały się rzadkie jeszcze wówczas po kościołach organy<sup>216</sup> i poczęły to potrząsać całą nawą grzmotem wspaniałym, to wypełniać ją anielskimi głosami, to zasypywać jakoby pieśnią słowiczą, wówczas oczy księżny wzniosły się do góry, na twarzy jej obok

Modlitwa

Muzyka

<sup>206</sup>*abbas centum villarum* (łac.) — opat stu wiosek; ma to oznaczać potęgę i bogactwo opata klasztoru w Tyńcu. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>*głowa wygolona na wierzchu* — mowa o tzw. tonsurze: kręgu wygolonym na głowie zakonnika, oznaczającym jego przynależność do stanu duchownego, stosowanym od roku 633 do 1972. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>*sadzony* — tu: wysadzany. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>*po kądzieli* — w linii żeńskiej. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>*św. Benedykt z Nursji* (ok. 480–547) — założyciel zakonu benedyktynów. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>*błogosławiony Hraban Maur* (ok. 780–856) — mnich benedyktyński, kronikarz i poeta z czasów dynastii Karolingów. [przypis edytorski]

<sup>212</sup>*św. Bonifacy* — prawdopodobnie chodzi o Bonifacego-Winfrida (ok. 675–754), biskupa, benedyktyna, misjonarza, męczennika i świętego określanego jako „apostół Niemiec”. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>*św. Benedykt z Aniane* (747–821) — francuski benedyktyn, doradca Ludwika Pobożnego, zapoczątkował istnienie benedyktyńskich klasztorów w dzisiejszej Francji. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>*Jan z Tolomei*, właśc. *Jan Tolomei* (1272–1348) — włoski teolog i założyciel kongregacji oliwetanów, stanowiącej odłam zakonu benedyktynów. Tolomei to nazwisko, nie jak w przypadku wymienionych wcześniej nazwa miasta; bardziej znany pod zakonnym imieniem Bernard. [przypis edytorski]

<sup>215</sup>*ucałował po rycersku* — scena podkreśla rolę opata jako dostojnika świeckiego. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>*rzadkie jeszcze wówczas po kościołach organy* — pierwsza wzmianka o kościelnych organach w Polsce pochodzi z roku 1340 i dotyczy kościoła św. Jakuba w Toruniu. [przypis edytorski]

pobożności i lęku odmalowała się rozkosz bez granic — i patrzącemu na nią zdawać się mogło, że to jakowaś Błogosławiona, która w cudownym widzeniu ogląda niebo otwarte.

Tak to modliła się urodzona w pogaństwie córka Kiejstuta<sup>217</sup>, która choć w życiu codziennym równie jak i wszyscy ludzie tych czasów po przyjacielsku i poufale wspominała imię Boże, jednakże w domu Pana z dziecinną bojaźnią i pokorą wznosiła oczy ku tajemniczej i niezmierzonej potędze.

A tak samo pobożnie, choć z mniejszym lękiem, modlił się cały dwór. Zbyszko klęczał przed stallami<sup>218</sup> wśród Mazurów, bo tylko dwórki weszły z księżną za stalle, i polecał się opiece Boskiej. Chwilami spoglądał na Danusię, która siedziała z przymkniętymi oczyma koło księżny — i myślał, że warto było wprawdzie zostać rycerzem takiej dziewczeczki, ale że też nie lada rzecz jej obiecał. Więc teraz, gdy piwo i wino, które w gospodzie wypił, wywietrzało mu z głowy, zatroskał się niemało, jakim sposobem ją wypełni. Wojny nie było. Wśród nadgranicznego mętu<sup>219</sup> łatwo było wprawdzie natknąć się na jakiego zbrojnego Niemca i albo jemu kości pokołatać, albo samemu głową nałożyć. Tak to on i mówił Maćkowi. „Jeno — myślał — nie byle Niemiec nosi pawi lub strusi czub na hełmie”. Z gości krzyżackich chyba jacy grafowie<sup>220</sup>, a z samych Krzyżaków chyba komtur<sup>221</sup> — i to nie każdy. Jeśli wojny nie będzie, to lata mogą upłynąć, nim on swoje trzy grzebienie dostanie, bo i to jeszcze przyszło mu do głowy, że nie będąc dotąd pasowany<sup>222</sup>, może tylko niepasowanych na pojedynek w bój wyzywać. Spodziewał się wprawdzie, że pas rycerski otrzyma z rąk królewskich w czasie gonitw, które zapowiadano na chrzciny, bo na to dawno zarobił, ale potem co? Pojedzie do Juranda ze Spychowa, będzie mu pomagał, natłucze knechtów, ile się da — i na tym koniec. Knechci krzyżaccy to nie rycerze z pawimi piórami na głowach.

Więc w tym utrapieniu i niepewności, widząc, że bez szczególnej łaski Bożej niewiele wskórać potrafi, począł się modlić:

„Daj, Jezu, wojnę z Krzyżakami i z Niemcami, którzy są nieprzyjaciółmi Królestwa tego i wszystkich narodów w naszej mowie Imię Twoje Święte wyznawających. I nam błogosław, a ich zetrzyj, którzy radziej staroście piekielnemu niżeli Tobie służąc, przeciwko nam zawziętość w sercu noszą, najbardziej o to gniewni, że król nasz z królową Litwę ochrzciwszy, wzbraniają im mieczem chrześcijańskich sług Twoich ścinać. Za którego gniew ich ukarz.

A ja, grzeszny Zbyszko, kajam się przed Tobą i od pięci<sup>223</sup> ran Twoich wspomnienia błagam, abys mi trzech znacznych Niemców z pawimi czuby na hełmach jako najprędzej zesłał i w miłosierdziu swoim pobić mi ich do śmierci pozwolił. Ale to z takowej przyczyny, iżem ja one czuby pannie Danucie, Juranda córce, a Twojej służce, obiecał i na moją rycerską cześć poprzysiągł.

Co zasię więcej przy pobitych się znajdzie, z tego ja dziesięcinę wiernie kościołowi Twemu świętemu oddam, abys i Ty, słodki Jezu, pożytek i chwałę ze mnie odniósł i abys poznał, żem Ci szczerym sercem, nie po próżnicy obiecował<sup>224</sup>. A jako to jest prawda, tak mi dopomóż, amen!”

Lecz w miarę jak się modlił, topniało w nim coraz bardziej z pobożności serce — i nową obietnicę przyrzucił: że po wykupieniu z zastawu Bogdańca odda także na kościół wszystek воск, który pszczoły przez cały rok w barciach zrobią. Spodziewał się, że stryj Maćko temu się nie sprzeciwi, a Pan Jezus szczególnie będzie rad z wosku na świecę — i chcąc go prędzej dostać, prędzej mu też pomoże. Ta myśl wydała mu się tak słuszną, iż radość napełniła mu całkiem duszę: był teraz prawie pewien, że zostanie wysłuchany

<sup>217</sup> *Kiejstut* (ok. 1310–1382) — książę trocki, wielki książę litewski w ostatnich latach życia, skonfliktowany z Władysławem Jagiełłą i uwięziony przez niego w Krewie, gdzie zmarł. [przypis edytorski]

<sup>218</sup> *stalla* — zdobiona ławka w prezbiterium, blisko ołtarza, przeznaczona głównie dla duchownych. [przypis edytorski]

<sup>219</sup> *męt* — zamęt, zamieszanie. [przypis edytorski]

<sup>220</sup> *graf* — tytuł szlachecki używany w Niemczech i w krajach niegdyś zależnych od cesarstwa niemieckiego. [przypis edytorski]

<sup>221</sup> *komtur* — zwierzchnik domu zakonnego bądź okręgu w zakonach rycerskich, do których zaliczali się Krzyżacy. [przypis edytorski]

<sup>222</sup> *pasowany* — na rycerza. [przypis edytorski]

<sup>223</sup> *piąci* (daw.) — pięciu. [przypis edytorski]

<sup>224</sup> *obicowuć* — dziś popr.: obiecywać. [przypis edytorski]

i że wojna niebawem nastąpi, a choćby nie nastąpiła, to i tak on swego dokaze. Poczul w rękach, w nogach moc tak wielką, że w tej chwili byłby sam jeden na całą chorągiew uderzył. Pomyślał nawet, że przyczyniwszy obietnic Bogu, można by i Danusi ze dwóch Niemców przyrzucić! Zapalczliwość młodzieńcza popychała go do tego, lecz tym razem roztropność wzięła górę, albowiem bał się, by zbytnim żądaniem cierpliwości boskiej się nie uprzykrzyć.

Jednakże ufność jego wzrosła jeszcze, gdy po mszy i po długim wypoczynku, na który udał się cały dwór, wysłuchał rozmowy, którą opat prowadził przy śniadaniu z Anną Danutą.

Ówczesne żony książąt i królów, zarówno przez pobożność, jak i wskutek wspaniałych darów, których nie szczędzili im mistrzowie Zakonu, wielką okazywały przyjaźń Krzyżakom. Nawet świątobliwa Jadwiga<sup>225</sup> powstrzymywała, póki jej życia stało, wzniesioną nad nimi rękę swego władnego małżonka. Jedną tylko Anną Danutą, doznawszy od nich okrutnych krzywd rodzinnych, nienawidziła ich z całej duszy. Toteż gdy opat zapytał ją o Mazowsze i jego sprawy, poczęła gorzko skarżyć się na zakon:

— Jakoż się ma dziać w księstwie mającym takich sąsiadów? Niby jest pokój: mijają się poselstwa i listy, a mimo tego nie można być pewnym dnia i godziny. Kto wieczorem na pograniczu układa się spać, nigdy nie wie, czyli nie rozbudzi się w pętach albo z ostrzem miecza na gardzieli, albo z płonącym pułapem nad głową. Nie ubezpieczą od zdrady przysięgi, pieczęcie i pergaminy. Nie inaczej przecie zdarzyło się pod Złotoryją, gdy w czasach najgłębszego pokoju porwano księcia<sup>226</sup> w niewolę. Prawili Krzyżacy, że zamek ów groźnym dla nich stać się może. Aleć zamki naprawia się dla obrony, nie dla napadu; i któryż książę nie ma prawa we własnej ziemi ich stawiać albo przebudowywać? Nie przejedna Zakonu ni słaby, ni mocny, bo słabym gardzą, mocnego zaś do upadku przywieść usiłują. Kto im dobrze uczyni, temu się złem wypłacą. Jestże na świecie zakon, który by w innych królestwach takie dobrodziejstwa otrzymał, jakie oni od polskich książąt otrzymali; a jakże się wypłacili? Oto nienawiścią, oto grabieżą ziem, oto wojną i zdradą. I próżno wyrzekać, próżno samej Stolicy Apostolskiej się na nich skarżyć, gdyż oni w zatwardziałości i pysze żyjąc, nawet papieża rzymskiego nie słuchają. Przysłali niby teraz poselstwo na pológ królowej i na spodziewane chrciny, ale tylko dlatego, że chcą od siebie gniew potężnego króla za to, co uczynili na Litwie, odwrócić. W sercach zawsze jednak myślą o zagładzie Królestwa i całego plemienia polskiego.

Opat słuchał uważnie i potakiwał głową, a potem rzekł:

— Wiem, iż przyjechał do Krakowa na czele poselstwa komtur Lichtenstein, brat w Zakonie, dla znakomitego rodu, męstwa i rozumu wielce szanowany. Może go tu niebawem, miłościwa pani, ujrzycie, albowiem przysłał mi wczoraj wiadomość, że chcąc się przy naszych relikwiach pomodlić, zjedzie do Tyńca w odwiedzinę.

Usłyszawszy to, księżna poczęła nowe żale rozwozić:

— Prawią ludzie, i bogdaj słusznie, że wkrótce musi wielka wojna nastąpić, w której po jednej stronie będzie Królestwo Polskie i wszystkie narody mówiące podobną do polskiej mową, a z drugiej wszyscy Niemcowie i Zakon. Jest podobno o tej wojnie prococtwo jakowejś świętej...

— Brygidy<sup>227</sup> — przerwał uczony opat. — Osiem roków temu<sup>228</sup> została ona w poczet świętych zaliczona. Pobożny Piotr z Alwastra<sup>229</sup> i Maciej z Linköping<sup>230</sup> spisali jej objawienia, w których wielka wojna istotnie jest przepowiedziana.

Zbyszko aż zadrżał z radości na te słowa i nie mogąc wytrzymać, zapytał:

— A prędko ma być?

<sup>225</sup>Jadwiga (ok. 1374–1399) — córka Ludwika Węgierskiego, w 1384 koronowana na króla Polski (prawo nie przewidywało wówczas koronacji królowej), w 1386 poślubiła Władysława Jagiełłę, co dało początek unii polsko-litewskiej. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>w czasach najgłębszego pokoju porwano księcia — historia uprowadzenia księcia mazowieckiego Janusza ze Złotoryi została opisana w poprzednich rozdziałach; przy tej okazji miała zginąć żona powieściowego Juranda ze Spychowa. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>św. Brygida Szwedzka (1303–1373) — wizjonerka, pisarka i teolog, założycielka zakonu brygidek. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>osiem roków temu — w 1391. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>Piotr z Alwastra — spowiednik św. Brygidy i tłumacz jej objawień na łacinę. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>Maciej z Linköping — kanonik, tłumacz objawień św. Brygidy na łacinę. [przypis edytorski]

Lecz opat, zajęty księżną, nie dosłyszał, a może udał, że nie dosłyszał pytania.

Księżna zaś mówiła dalej:

— Ciesz się i u nas młodzi rycerze na oną wojnę, ale starsi i rozważniejsi tak mówią: „Nie Niemców — mówią — się boim, choć wielka jest ich potęga i pycha, nie ich kopii i mieczów, ale — prawią — relikwii krzyżackich się boim, bo przeciw tym na nic wszelka moc ludzka”.

Tu Anna Danuta spojrzała z przestrachem na opata i dodała cichszym głosem:

— Podobno prawdziwe drzewo Krzyża Świętego mają: jakże z nimi wojować?

— Przysłał im je król francuski — odrzekł opat.

Nastała chwila milczenia — po czym zabrał głos Mikołaj z Długolasu, zwany Obuchem, człowiek bywały i doświadczony.

— Byłem w niewoli u Krzyżaków — rzekł — i widywałem procesje, na których ową wielką świętość noszono. Ale oprócz tego jest w klasztorze w Oliwie siła innych najprzedniejszych relikwii, bez których nie byłby Zakon do takiej potęgi doszedł.

Na to powyciągali benedyktyni głowy ku mówiącemu i z wielkim zaciekawieniem poczuli pytać:

— Powiadajcie, co jest?

— Jest krajka<sup>231</sup> z szaty Najświętszej Panny — odrzekł dziedzic z Długolasu — jest trzonowy ząb Marii Magdaleny i głowienki<sup>232</sup> z krza<sup>233</sup> ognistego, w którym się sam Bóg Ojciec Mojżeszowi pokazał, jest ręka świętego Liberiusza, a co kości innych świętych, tych bym na palcach u rąk i nóg nie zliczył...

— Jakoże z nimi wojować? — powtórzyła z westchnieniem księżna.

A opat zmarszczył swe wyniosłe czoło i zastanowiwszy się przez chwilę, tak odrzekł:

— Ciężko z nimi wojować choćby i dlatego, że są zakonnikami i krzyż na płaszczach noszą; ale jeśli przebrali miarę w grzechach, tedy i tym relikwiom może mieszkanie między nimi obrzydnąć, a naonczas nie tylko one mocy im nie dadzą, ale im ją odejmą, dlatego żeby między pobożniejsze ręce się dostać. Niech Bóg oszczędzi krwi chrześcijańskiej, ale jeśli wielka wojna nastąpi, są też i w naszym Królestwie relikwie, które za nas będą wojować. Głos zasię w objawieniu świętej Brygidy mówi: „Postanowiłem ich pszczołami pożyteczności i utwierdziłem na brzegu ziem chrześcijańskich. Ale oto powstali przeciwko mnie. Bo nie dbają o dusze i nie litują się ciał tego ludu, który z błędu nawrócił się ku wierze katolickiej i ku mnie. I uczynili z niego niewolników, i nie uczą go przykazań bożych, i odejmując mu sakramenta święte na większe jeszcze męki piekielne go skazują, niż gdyby był w pogaństwie pozostał. A wojny toczą ku rozpostarciu swej chciwości. Dlatego przyjdzie czas, iż wyłamane będą ich zęby i będzie im ucięta ręka prawa, a prawa noga im ochromieje, aby uznali grzechy swoje”.

— Tak Bóg daj! — zawołał Zbyszko.

Inni rycerze i zakonnicy nabrali także wielkiej otuchy, słysząc słowa prorocstwa, opat zaś zwrócił się do księżny i rzekł:

— Dlatego miejcie ufność w Bogu, miłościwa pani, albowiem prędzej to ich dni niż wasze są policzone, a tymczasem przyjmijcie wdzięcznym sercem tę oto puszkę, w której palec od nogi świętego Ptolomeusza, jednego z naszych patronów, się znajduje.

Księżna wyciągnęła drżące ze szczęścia dłonie — i klękawszy, przyjęła puszkę, którą zaraz poczęła do ust przyciskać. Radość pani podzielali dworzanie i dworki, nikt bowiem nie wątpił, że z takiego podarku spłynie błogosławieństwo i pomyślność na wszystkich, a może i na całe księstwo. Zbyszko czuł się także szczęśliwym, gdyż zdało mu się, że wojna powinna zaraz po uroczystościach krakowskich nastąpić.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Było już dobrze z południa, gdy księżna wraz z orszakiem wyruszyła z gościnnego Tyńca do Krakowa. Częstość ówczesni rycerze, wjeżdżając do większych miast lub do zamków w odwiedziny do znakomitych osób, przywdziewali na się pełny rynsztunek bojowy. Był

<sup>231</sup>krajka — skrawek tkaniny bądź jej pas przyszyty na brzegu sukni, także: chustka. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>głownia — palący się lub spalony kawałek drewna. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>kierz (daw.) — krzak. [przypis edytorski]



wprawdzie zwyczaj zdejmować go zaraz po przebyciu bram, do czego w zamkach zwywał sam gospodarz uświęconymi słowy: „Zdejmcie zbroję, szlachetny panie, albowiem przybyliście do przyjaciół” — niemniej jednak wjazd „wojenny” uważał się<sup>234</sup> za okazalszy i podnosił znaczenie rycerza. Gwoli<sup>235</sup> tej to okazałości tak Maćko, jak i Zbyszko przybrali się w wyborne pancerze i w naramienniki zdobyte na rycerzach fryzyjskich — jasne, błyszczące i po brzegach wpuszczoną nicią złotą ozdobne. Mikołaj z Długolasu, który dużo świata i wielu rycerzy w życiu widział, a był rzeczy wojennych znawcą niemałym, poznał zaraz, iż są to zbroje kowane przez mediolańskich, najslynniejszych w świecie płatnerzy, takie, na jakie najbogatsi tylko rycerze wspomóc się mogą i z których każda za dobrą majątność starczy. Wnioskował z tego, że owi Fryzowie musieli być znakomitymi ludźmi w swoim narodzie i z tym większym szacunkiem począł spoglądać na Maćka i Zbyszka. Lecz hełmy ich, lubo także niepoślednie, nie były tak bogate, natomiast olbrzymie ogiery, pięknie pokryte, wzbudziły między dworzanami podziw i zazdrość. I Maćko, i Zbyszko, siedząc na niezmiernie wysokich kulbakach<sup>236</sup>, spoglądali z góry na cały dwór. Każdy z nich dzierżył w rękę długą kopię, każdy miał miecz przy boku i topór u siodła. Tarcze oddali wprawdzie dla wygody na wozy, ale i bez nich obaj wyglądali tak, jakby ciągnęli na bitwę, nie do miasta.

Obaj też jechali w pobliżu kolaski, w której na tylnym siedzeniu siedziała księżna z Danusią, na przodku zaś stateczna dworka Ofka, wdowa po Krystynie z Jarząbkowa, i stary Mikołaj z Długolasu. Danusia spoglądała z wielkim zajęciem na żelaznych rycerzy, księżna zaś, dobywając od czasu do czasu z zanadru puszkę z relikwiami świętego Ptolomeusza, podnosiła ją do ust.

— Ciekawam okrutnie, jak kości w środku wyglądają — rzekła wreszcie — ale sama nie otworzę, aby Świętego nie urazić. Niech otworzy biskup w Krakowie.

Na co ostrożny Mikołaj z Długolasu odrzekł:

— Ej, lepiej tego z rąk nie popuszczać, zbyt to łakoma<sup>237</sup> rzecz.

— Może i słusznie mówicie — rzekła po chwili zastanowienia księżna, po czym dodała: — Dawno mi nikt nie sprawił takiej uciechy jak ów zacny opat, i tym podarkiem, i tym, że strach mój przed krzyżackimi relikwiami uspokoił.

— Mądrze mówili i sprawiedliwie — ozwał się Maćko z Bogdańca. — Mieli oni i pod Wilnem rozmaite relikwie, a to tym bardziej, że chcieli gości przekonać, iż z poganami wojna. No i co? Obaczyli nasi, że byle w garście splunąć, a od ucha toporem machnąć, to i hełm puszczał, i łeb puszczał. Święci pomagają, grzech by mówić inaczej, ale jeno sprawiedliwym, którzy wedle słuszności w imię Boże do bitwy idą. Tak też i myślę, miłościwa pani, że przyjdzie-li do wielkiej wojny, to chociażby wszystkie Niemcy pomagały Krzyżakom, zbijem ich na powal<sup>238</sup>, bo większy jest nasz naród i Pan Jezus większą moc spuścił nam w kości. A co do relikwii, albo to u nas w klasztorze świętokrzyskim nie ma drzewa Krzyża Świętego?

— Prawda, jak mi jest Bóg miły — rzekła księżna. — Ale u nas ono w klasztorze zostanie, a oni swoje ze sobą w potrzebie wożą.

— Wszystko jedno! Dla mocy bożej nie ma dalekości<sup>239</sup>.

— Prawdaże to? Powiadajcie, jak jest? — pytała księżna, zwracając się do mądrego Mikołaja z Długolasu, a on odrzekł:

— Temu i każdy biskup przyświadczy. Do Rzymu też daleko, a papież światem rządzi; coże dopiero Bóg!

Słowa te uspokoiły do reszty księżnę, więc zwróciła rozmowę na Tyniec i jego wspaniałości. Dziwiła Mazurów w ogóle nie tylko zamożność opactwa, ale i zamożność, a także piękność całego kraju, przez który teraz przejeżdżali. Naokół były wsie gęste, dostatnie, przy nich sady pełne drzew owocowych, gaje lipowe, bocianie gniazda na lipach, a niżej ule ze słomianymi nakrywkami. Wzdłuż gościńca z jednej i drugiej strony ciągnęły się lany zbóż wszelkich. Wiatr chwilami pochylał zielonawe jeszcze morze kłosów, wśród

<sup>234</sup>uważał się — tu: był uważany. [przypis edytorski]

<sup>235</sup>gwoli (daw.) — z powodu. [przypis edytorski]

<sup>236</sup>kulbaka — wysokie siodło, przeważnie wojskowe. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>łakomy — tu: budzący zainteresowanie i chęć posiadania, por. „łakomy kąsek”. [przypis edytorski]

<sup>238</sup>na powal — tak, że będą leżeć pokotem. [przypis edytorski]

<sup>239</sup>dalekość — odległość. [przypis edytorski]

którego gęsto jak gwiazdy na niebie migotały głowy modrych chabrów i jasnoczerwonych maków. Daleko, za lanami czerniał gdzieniegdzie bór, gdzieniegdzie weseliły oczy dąbrowy i olszynie<sup>240</sup>, skąpane w blasku słonecznym, gdzieniegdzie wilgotne łąki, pełne traw i czajek krążących nad mokradłami, i znów wzgórze obsiadłe przez chaty, znów łąny; widocznie ziemię tę zamieszkiwał lud rojny i pracowity, rozmiłowany w roli — i dokąd wzrok sięgnął, kraj wydawał się nie tylko mlekiem i miodem płynący, ale spokojny i szczęśliwy.

— Kazimierzowe<sup>241</sup> to królewskie gospodarstwo — rzekła księżna — ale też żyć tu i nie umierać.

— I Pan Jezus się do takiej ziemi śmieje — odrzekł Mikołaj z Długolasu — i błogosławieństwo Boże jest nad nią; ale jakoż ma być inaczej, kiedy tu, gdy zaczną bić dzwony, to nie masz takowego kąta, do którego by odgłos nie doszedł! Wiadomo przecie, że złe duchy znieść tego nie mogąc, muszą aż na granicę węgierską do głuchych borów uciekać.

— To mi i dziwno — ozwała się pani Ofka, wdowa po Krystynie z Jarząbkowa — że Walgierz Wdały, o którym zakonnicy prawili, może się w Tyńcu pokazywać, gdzie siedem razy na dzień dzwony biją<sup>242</sup>.

Uwaga ta zakłopotła na chwilę Mikołaja, który też dopiero po pewnym namyśle odrzekł:

— Naprzód, wyroki boskie są niezbadane, a po wtóre, to sobie zauważcie, że on osobne pozwolenie za każdym razem otrzymuje.

— A niech ta będzie, jak chce, alem rada, że w klasztorze nie nocujemy. Umarłabym chyba ze strachu, gdyby mi się taki piekielny wielkolud pokazał.

— Hej! Nie wiadomo, bo mówią, że okrutnie wdały<sup>243</sup>.

— Choćby był i najurodziwszy, nie chcę ja pocałowania od takiego, któremu siarką z gęby bucha.

— A skąd wiecie, że zaraz chciałby was całować?

Na te słowa księżna, a za nią pan Mikołaj i obaj rycerze z Bogdańca poczęli się śmiać. Śmiała się, nie rozumiejąc dlaczego, za przykładem innych, i Danusia — zaś Ofka z Jarząbkowa zwróciła zagniewaną twarz do Mikołaja z Długolasu i rzekła:

— Wolalabym jego niż was.

— Ej, nie wywołujcie wilka z lasu — odpowiedział wesoło Mazur — bo jędzon<sup>244</sup> często i po gościńcu między Krakowem a Tyńcem się włóczy, szczególnie pod wieczór; nuż was usłyszysz i nuż się wam w postaci wielkoluda ukaże!

— Na psa urok! — odrzekła Ofka.

Lecz w tej chwili Maćko z Bogdańca, który siedząc na wyniosłym ogierze, dalej mógł widzieć niż ci, którzy siedzieli w kolasce, ściągnął lejce i rzekł:

— O, jak mi Bóg miły, a to co?

— Co takiego?

— Wielkolud jakowys z za wzgórza przed nami wyjeżdża.

— A słowo stało się ciałem! — zawołała księżna. — Nie powiadajcie byle czego!

Lecz Zbyszko uniósł się na strzemionach i rzekł:

— Jako żywo: wielkolud, Walgierz, nikt inny!

Na to woźnica osadził ze strachu konie i nie wypuszczając z rąk lejca, począł się żegnać, albowiem i on dojrzał już z kozła na przeciwległym wzgórzu olbrzymią postać jeźdźca.

Księżna podniosła się — i zaraz usiadła z twarzą zmienioną przez trwogę, Danusia pochowała głowę w fałdy sukni księżnej. Dworzanie, dwórki i rybalki, którzy jechali konno za kolasą, usłyszawszy złowrogie imię, poczęli skupiać się koło niej. Mężowie niby śmiali się jeszcze, ale w oczach mieli niepokój; panny poblady, jeno Mikołaj z Długolasu, który z niejednego pieca chleb jadał — zachował pogodne oblicze i chcąc uspokoić księżnę, rzekł:

<sup>240</sup>olszyniec — zagajnik olchowy. [przypis edytorski]

<sup>241</sup>Kazimierzowe — aluzja do panowania Kazimierza Wielkiego (1310–1370) i poprawy standardów cywilizacyjnych w Polsce za jego czasów. [przypis edytorski]

<sup>242</sup>gdzie siedem razy na dzień dzwony biją — sens: gdzie odprawiana jest liturgia godzin, tj. modlitwa obowiązkowo odmawiana siedem razy na dzień przez osoby ze święceniami duchownymi. [przypis edytorski]

<sup>243</sup>wdały (daw.) — piękny. [przypis edytorski]

<sup>244</sup>jędzon — potwór, upiór. [przypis edytorski]

— Nie bójcie się, miłościwa pani. Toć słońce jeszcze nie zaszło, a choćby była i noc, święty Ptolomeusz da rady Walgierzowi.

Tymczasem nieznany jeździec, wjechawszy na podługowaty grzbiet wzgórza, zatrzymał konia i stanął nieruchomie. W promieniach zachodzącego słońca widać go było doskonale — i istotnie postać jego zdawała się przechodzić<sup>245</sup> ogromem zwykłe ludzkie rozmiary. Przestrzeń między nim a orszakiem księżny nie wynosiła więcej nad trzysta kroków.

— Czego on stoi? — rzekł jeden z rybałów.

— Bo i my stoim — odpowiedział Maćko.

— Spogląda ku nam, jakby sobie kogo chciał wybrać — zauważył drugi rybałt. — Żeby wiedział, że człowiek, a nie złe, tobym ku niemu podjechał i lutnią go przez łeb zwałił.

Kobiety przestraszyły się już całkiem i poczęły się głośno modlić. Zbyszko zaś, chcąc się popisać odwagą wobec księżnej i Danusi, rzekł:

— A ja i tak pojedę. Co mi ta Walgierz!

Na to Danusia poczęła wołać na wpół z płaczem: „Zbyszku! Zbyszku!”, lecz on ruszył koniem i jechał coraz prędzej, ufny, że choćby i prawdziwego Walgierza znalazł, to na wskroś go kopią przebodzie.

A Maćko, który miał wzrok bystry, rzekł:

— Wydaje się wielkoludem, bo na wzgórzu stoi. Chłopisko jakieś duże, ale człek zwyczajny, nic innego. O wa! Pojadę i ja, żeby do zwady między nim a Zbyszkiem nie dopuścić.

Zbyszko tymczasem, jadąc rysi<sup>246</sup>, rozmyślał, czy od razu kopię nastawić, czy też wpierw z bliska obaczyć, jak wygląda ów stojący na wzgórzu człowiek. Postanowił jednak wpierw zobaczyć i zaraz przekonał się, że była to myśl lepsza, albowiem w miarę jak się zbliżał, nieznajomy począł tracić w jego oczach swoje nadzwyczajne rozmiary. Mąż był ogromny i siedział na olbrzymim koniu, roślejszym jeszcze od Zbyszkowego ogiera — ale miary ludzkiej nie przechodził. Był nadto bez zbroi, w czapce aksamitnej na głowie, mającej kształt dzwona, i w białej, płóciennej, osłaniającej od kurzu opończy, spod której wyglądała zielona szata. Stojąc na wzgórzu, głowę miał wzniesioną i modlił się. Widocznie też zatrzymał konia dlatego, by skończyć wieczorne pacierze.

„Ej, co mi za Walgierz!” — pomyślał młody chłopak.

Dojechał już tak blisko, że mógłby był dosięgnąć kopią nieznajomego; ów zaś, widząc przed sobą wspaniale uzbrojonego rycerza, uśmiechnął się do niego życzliwie i rzekł:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków.

— Zali to nie dwór księżnej mazowieckiej tam w dole?

— Tak jest.

— To z Tyńca jedzicie?

Lecz na to nie było już odpowiedzi, albowiem Zbyszko zdumiał się tak, że nawet nie usłyszał zapytania. Przez chwilę stał jak skamieniały, oczom własnym nie wierząc, gdyż oto na ćwierć staj<sup>247</sup> za nieznany mężem ujrzał kilkunastu konnych żołnierzy, na czele których, ale znacznie naprzód, jechał rycerz przybrany cały w świecąą zbroję, w białą, sukieny płaszcz z czarnym krzyżem i w stalowy hełm z przepyszny pawim czubem w grzebieniu.

— Krzyżak! — szepnęła Zbyszko.

I na ten widok pomyślał, że modlitwy jego zostały wysłuchane, że Bóg w miłosierdziu swoim zsyła mu takiego Niemca, o jakiego w Tyńcu prosił, że trzeba z łaski Boskiej korzystać, więc nie wahając się ani chwili — zanim to wszystko przemknęło mu przez głowę, zanim miał czas ochłonąć ze zdumienia, pochylił się w kulbace, złożył głewię<sup>248</sup> w pół końskiego ucha, wydawszy rodowy okrzyk: „Grady! Grady!” — ruszył co koń wyskoczy na Krzyżaka.

<sup>245</sup>przechodzić (daw.) — przekraczać. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>rysi<sup>246</sup> — klusem. [przypis edytorski]

<sup>247</sup>staje, stajanie — dawna miara odległości (etymologicznie: dystans, po przebiegnięciu którego koń musi się zatrzymać i odpocząć). [przypis edytorski]

<sup>248</sup>głewia — broń drzewcowa z grotem w formie jednosiecznego noża; tu: kopia. [przypis edytorski]

A tamten zdumiał się także, gdyż wstrzymał konia i nie pochylając kopii sterczącej w górę od strzemienia, patrzył przed siebie jakby niepewny, czy w niego godzą.

— Pochyl kopie! — wrzeszczał Zbyszko, wbijając żelazne końce strzemion w boki końskie.

— Grady! Grady!

Przestrzeń dzieląca ich poczęła się zmniejszać. Krzyżak widząc, że napad wymierzony jest naprawdę ku niemu, ściągnął konia, nadstawił broń i już, już kopia Zbyszkowa miała się roztrzaskać o jego piersi, gdy naraz jakaś potężna dłoń przyłamała ją Zbyszkowski przy samym ręku jak zeszlą trzcinę, potem też sama dłoń ściągnęła cugle<sup>249</sup> jego konia z tak straszliwą siłą, aż rumak zarył się wszystkimi czterema nogami w ziemię i stanął jak wkopany.

— Szalony człeczce, co czynisz? — ozwał się głęboki, groźny głos. — W posła godzisz, króla znieważasz!

Zbyszko spojrział i poznał tegoż samego olbrzymiego męża, który poczytan za Wąlgierza przestraszył przed chwilą dworskie niewiasty księżny.

— Puszczaj na Niemca! Coś za jeden? — zawołał, chwytając za rękojeść topora.

— Precz z toporem! Na miły Bóg! Precz z toporem, mówię, bo z konia zwałę! — zawołał groźniej jeszcze nieznajomy. — Obraziłeś majestat króla i pod sąd pójdziesz.

Po czym zwrócił się ku ludziom, którzy jechali za Krzyżakiem, i krzyknął:

— Bywaj!

Ale tymczasem nadjechał Maćko z twarzą niespokojną i złowrogą. Rozumiał i on jasno, że Zbyszko postąpił jak szalony i że z tej sprawy zgubne dla niego mogą wyniknąć skutki, ale jednak gotów był do bitki. Cały orszak nieznanego rycerza i Krzyżaka wynosił zaledwie piętnastu ludzi, uzbrojonych po części w dzidy, po części w kusze — dwóch więc całkiem pokrytych rycerzy mogło się z nimi potykać nie bez nadziei zwycięstwa. Myślał też Maćko, że jeżeliby w następstwie miał im zagrozić sąd, to może i lepiej uniknąć go, przejechawszy przez tych ludzi, a potem pochować się gdzie, póki burza nie przeminie. Wiec twarz skurczyła mu się zaraz jak paszcza wilka gotowego kąsać i wsparłszy konia między Zbyszka a nieznajomego męża, począł pytać, imając się jednocześnie miecza:

— Coście za jedni? Skąd wasze prawo?

— Prawo moje stąd — odparł nieznajomy — że król mi nad przepięczeństwem okolicy czuwać rozkazał, a zowią mnie Powala z Taczewa.

Na te słowa Maćko i Zbyszko spojrzeli na rycerza, a następnie pochowali na wpeł już wyciągniętą broń do pochew i pospuszczali głowy. Nie strach ich obleciał, ale pochylili czoła przed głośnym i dobrze sobie znanym nazwiskiem, albowiem Powala z Taczewa, szlachcic znakomitego rodu i pan możny, posiadający liczne ziemie wedle Radomia, był zarazem jednym z najslawniejszych rycerzy w Królestwie. Rybąłci opiewali go w pieśniach jako wzór honoru i męstwa, sławiąc jego imię na równi z imieniem Zawiszy z Garbowa i Farureja, i Skarbka z Góry, i Dobka z Oleśnicy, i Jaśka Naszana, i Mikołaja z Moskorzowa, i Zyndrama z Maszkowic<sup>250</sup>. W tej chwili przedstawiał on przy tym poniekąd osobę królewską, więc porwać się na niego znaczyło tyle, ile oddać głowę pod topór kata.

Maćko też ochłonawszy, ozwał się pełnym poszanowania głosem:

— Cześć i pokłon wam, panie, waszej sławie i męstwu.

— Pokłon i wam, panie — odpowiedział Powala — choć wolałbym nie w tak ciężkiej przygodzie uczynić z wami znajomość.

— Czemu to? — spytał Maćko.

A Powala zwrócił się do Zbyszka:

— Cóżes ty, młodzieniaszku, najlepszego uczynił? Na publicznym gościńcu, pod bokiem królewskim porwałeś się na posła! Zali wiesz, coć za to czeka?

— Porwał się na posła, bo młody i głupi, przeto o uczynek łatwiej mu niż o zastanowienie — rzekł Maćko. — Ale nie osądzicie go surowie, gdy całą sprawę rozpowiem.

— Nie ja go będę sądził. Moja rzecz jeno więzy mu nałożyć...

— Jakże to? — ozwał się Maćko, obrzucając znów ponurym wejrzeniem całą gromadę ludzi.

<sup>249</sup> cugle — wodze, lejce. [przypis edytorski]

<sup>250</sup> Zyndram z Maszkowic (zm. ok. 1414) — polski rycerz niemieckiego pochodzenia. [przypis edytorski]

— Wedle królewskiego rozkazanania.  
Po tych słowach zapadło milczenie.  
— Szlachcic jest — rzekł wreszcie Maćko.  
— To niech zaprzysięże na rycerską cześć, że stawi się na wszelki sąd.  
— Poprzysięgnę na cześć! — zawołał Zbyszko.  
— To dobrze. Jakoże was zowią?  
Maćko wymienił nazwisko i herb.  
— Jeśliście z dworu księżny Januszowej, to proście jej, by się wstawiła za wami do króla.

— Nie z dworu jesteście. Z Litwy od księcia Witolda jedziem. Bogdajemy byli nijakiego dworu nie napotkali! Z tego spotkania przyszło na chłopca nieszczęście.

I tu Maćko począł opowiadać, co się zdarzyło w gospodzie, więc mówił o spotkaniu dworu księżnej i o ślubowaniu Zbyszkiwym, ale w końcu chwycił go nagły gniew na Zbyszka, przez którego nierozwagę popadli w tak ciężkie położenie, więc zwróciwszy się do niego, zawołał:

— A bodajęś ty był legł pod Wilnem! Cóżes ty sobie, warchlaku, myślał?

— Ba — rzekł Zbyszko — po ślubowaniu modliłem się do Pana Jezusa, by mi Niemców przysporzył, i dań<sup>251</sup> mu obiecałem, więc gdym pawie pióra, a przy nich opończę z czarnym krzyżem ujrzał, zaraz jakowyś głos zawołał we mnie: „Bij w Niemca, bo to cud!”. No i skoczyłem; kto by był nie skoczył?

— Słuchajcie — przerwał Powął. — Nie życzę ja wam złego, bo to widzę jasno, że ów młodzianek więcej przez płochość<sup>252</sup> przyrodzoną wiekowi niżli przez złość zawinił. Rad bym też zgoła na jego uczynek nie baczyć i pojechać sobie dalej, jakoby się nic nie stało. Ale mógłbym to tylko w takim razie uczynić, gdyby ów komtur obiecał, że się królowi nie poskarży. Proście go o to: może i jemu żal się uczyni wyrostka.

— Wolej pójść pod sąd, niżlibym się miał Krzyżakowi pokłonić! — zawołał Zbyszko.  
— Nie przystoi to mojej czci szlacheckiej.

Na to Powął z Taczewa spojrział na niego surowo i rzekł:

— Źle czynisz. Lepiej od ciebie starsi wiedzą, co przystoi, a co nie przystoi czci rycerskiej. O mnie też ludzie słyszeli, a to ci powiadam, że gdybym taki uczynek popełnił, nie sromalbym się o darowanie winy prosić.

Zbyszko zawstydzil się, ale rzuciwszy wokół oczyma, odrzekł:

— Tu ziemia równa, byle ją trochę udeptać. Niżli Niemca przeproszać, wolej bym się z nim potykał konną albo pieszą, na śmierć albo niewolę.

— Głupiś! — przerwał Maćko. — Jakże to z posłem będziesz się potykał? Ni tobie z nim, ni jemu z takim chłystkiem!

Tu zwrócił się do Powąły:

— Wybaczcie, szlachetny panie. Do reszty rozwydrzyło mi się chłopisko przez wojnę, ale lepiej niech do Niemca nie gada, bo jeszcze by go zwymyślał. Ja będę gadał, ja będę prosił, a jeśli by po skończonym posłowaniu chciał się ów komtur w ogrodzieńcu samowtór<sup>253</sup> potykać, to i ja mu stanę.

— Wielkiego rodu to jest rycerz, który nie każdemu stanie — odrzekł Powął.

— Jakże? Albo to ja pasa i ostróg nie noszę? Mnie choćby i książę może stanąć.

— Prawda jest, ale mu o tym nie mówcie, chybaby sam wspomniał, bo się boję, żeby się na was nie zawziął. No, niech was tam Bóg wspomaga.

— Pójść za cię oczyma świecić — rzekł do Zbyszki Maćko — ale poczekaj!

I to rzekłszy, zbliżył się do Krzyżaka, który zatrzymawszy się o kilka kroków, siedział nieruchomie na swym ogromnym jak wielbłąd koniu, podobny do odlanego z żelaza posągu, i słuchał z największą obojętnością poprzedniej rozmowy. Maćko podczas długich lat wojny nauczył się nieco po niemiecku, więc począł teraz tłumaczyć komturowi w jego rodowitym języku, co się stało, składać winę na młody wiek i porywczy umysł chłopca, któremu wydawało się, że to sam Bóg zesłał mu rycerza z pawim czubem, a wreszcie prosić o darowanie Zbyszki winy.

<sup>251</sup>dań (daw.) — danina, dar. [przypis edytorski]

<sup>252</sup>płochość (daw.) — lekkomyślność. [przypis edytorski]

<sup>253</sup>samowtór (daw.) — we dwóch. [przypis edytorski]

A twarz komtura ani drgnęła. Sztwywny i wyprostowany, z podniesioną głową, spoglądał na mówiącego Maćka swymi stalowymi oczyma tak obojętnie, a zarazem i pogardliwie, jakby spoglądał nie na rycerza i nawet nie na człowieka, ale na kolek w płocie. Włodyka<sup>254</sup> z Bogdańca dostrzegł to i lubo słowa jego nie przestały być dworne, dusza poczęła się w nim widocznie burzyć; mówił z coraz większym przymusem, a na ogorzających policzkach pokazały się mu rumieńce. Widocznym było, że wobec tej zimnej pychy walczył ze sobą, by nie zazgrzytać zębami i nie wybuchnąć okropnie.

Powała zaś spostrzegł to i mając dobre serce, postanowił mu przyjść w pomoc. I on, szukając za młodych lat na dworach: węgierskim, rakuskim<sup>255</sup>, burgundzkim<sup>256</sup> i czeskim, różnych rycerskich przygód, które szeroko rozślawiły jego imię, wyuczył się był po niemiecku, więc teraz ozwał się w tym języku do Maćka głosem pojednawczym i umyślnie żartobliwym:

— Widzicie, panie, że szlachetny komtur mniema, że cała sprawa nawet i słowa jednego niewarta. Nie tylko w naszym Królestwie, ale i wszędzie wyrostkowie bywają niespełna rozumu, ale taki rycerz z dziećmi nie wojuje ni mieczem, ni prawem.

Na to Lichtenstein wydał swe płowe wąsy i nie rzekłszy ani słowa, ruszył koniem przed siebie, pomijając Maćka i Zbyszka.

A im gniew szalony począł podnosić włosy pod hełmami, a ręce drżały im ku mieczom.

— Czekaj, krzyżacka mać — mówił przez zaciśnięte zęby starszy rycerz z Bogdańca — teraz ja ci będę ślubował i znajdę cię, byleś posłować przestał.

Lecz Powała, któremu serce poczęło również zapływać krwią, rzekł:

— To potem. Niech teraz księżna przemówi za wami, bo inaczej gorze chłopcu<sup>257</sup>.

To rzekłszy, pojechał za Krzyżakiem, zatrzymał go i przez czas jakiś rozmawiali z ożywieniem. I Maćko, i Zbyszko zauważyli, że rycerz niemiecki nie spoglądał jednakże na Powalę z twarzą tak dumną jak na nich — a to ich do większej jeszcze złości przywiodło. Po chwili Powała zawrócił ku nim i poczekawszy chwilę, by się Krzyżak oddalił, rzekł im:

— Mówiłem za wami, ale to nieużyty człek. Powiada, że tylko w takim razie się nie poskarży, jeśli uczynicie to, czego będzie chciał...

— Czego chce?

— Powiedział tak: „Ja zatrzymam się, by księżnę mazowiecką powitać: niech, prawi, nadjadą, niech zleżą z koni, niech zdejmą hełmy i z ziemi, z gołymi głowami mnie proszą, wówczas odpowiem”.

Tu spojrział Powała bystro na Zbyszka i dodał:

— Ciężko to ludziom szlachetnego rodu... rozumiem, ale muszę cię przestrzec, że jeśli tego nie uczynisz, kto wie, co cię czeka: może katowski miecz.

Twarze Maćka i Zbyszka uczyniły się jakby kamienne. Nastąpiło znów milczenie.

— No i co? — spytał Powała.

A Zbyszko odrzekł spokojnie i z taką powagą, jakby mu przez tę jedną chwilę dwadzieścia lat przybyło:

— A cóż! Moc boska nad ludźmi!

— Jak to?

— Tak, że chociażbym miał dwie głowy i choćby mi kat obydwie miał uciąć, jedną mam cześć, której mi pohańbić nie wolno.

Na to spoważniał Powała i zwróciwszy się do Maćka, spytał jeszcze:

— A wy co powiadacie?

— Ja powiadam — odrzekł posępnie Maćko — zem tego chłopca od małości wypia-  
stował<sup>258</sup>... Na nim też stoi nasz ród, bom stary, ale tego on uczynić nie może, choćby miał szczeznąć.

Tu sroga twarz poczęła mu drgać i nagle miłość do bratanka wybuchnęła w nim z taką siłą, że chwycił go w swoje okute żelazem ręce i począł wołać:

— Zbyszku! Zbyszku!

<sup>254</sup>włodyka — rycerz, zwłaszcza niemający lub bez pełni praw stanowych. [przypis edytorski]

<sup>255</sup>rakuski (daw.) — austriacki. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>Burgundia — region w centralnej Francji. [przypis edytorski]

<sup>257</sup>gorze chłopcu (daw.) — źle z chłopcem. [przypis edytorski]

<sup>258</sup>wypiastować — wychować. [przypis edytorski]

A młody rycerz aż zadziwił się i oddawszy stryjcowi uścisk, rzekł:

— Aj! Tom nie wiedział, że mnie tak miłujecie!...

— Widzę, żeście prawi<sup>259</sup> rycerze — rzekł wzruszony Powąła — a skoro młody przysiągł mi na cześć, że się stawi, to go nie będę więził; takim jak wy ludziom można zaufać. Bądźcie też dobrej myśli. Niemiec w Tyńcu z dzionek zabawi, więc ja króla prędej obaczę i tak mu sprawę opowiem, żeby go jak najmniej rozsierzdzić. Szczęście, żeś zdążył kopię przyłamać, wielkie szczęście!

Lecz Zbyszko rzekł:

— Jeśli już koniecznie mam głowę dać, to niechbym miał przynajmniej tę uciechę, żeś Krzyżakowi gnaty połamał.

— Że też to swojej czci potrafisz bronić, a tego nie rozumiesz, że na cały nasz naród hańbę byś ściągnął! — odparł niecierpliwie Powąła.

— Rozumieć, to ja rozumiem — rzekł Zbyszko — ale dlatego mi i żal...

Powąła zaś zwrócił się do Maćka:

— Wiecie, panie, jeśli temu wyrostkowi uda się jakowym sposobem wykręcić, powinniście mu kaptur na głowę założyć, jako czynią sokołom. Inaczej nie skończy on własną śmiercią<sup>260</sup>.

— Udałoby się mu wykręcić, gdybyście wy, panie, chcieli zataić przed królem to, co się przygodziło.

— A z Niemcem cóż uczynim? Języka mu przecież na węzeł nie zawiążę.

— Prawda! Prawda!...

Tak rozmawiając, ruszyli z powrotem ku dworowi księżny. Słudzy Powąły, którzy przedtem pomieszani byli z ludźmi Lichtensteina, jechali teraz za nimi. Z daleka widać było wśród mazowieckich czapek chwiejące się w powiewie pawie pióra Krzyżaka i jego jasny, świecący w słońcu hełm.

— Dziwna to jest natura krzyżacka — ozwał się jakby w zamyśleniu rycerz z Taczewa.

— Gdy z Krzyżakiem źle, będzie ci wyrozumiały jak franciszkanin, pokorny jak jagnię i słodki jak miód, tak że lepszego na świecie nie znajdzie. Ale niech jeno poczuje za sobą moc, nikt ci się więcej nie napuszy i u nikogo nie znajdziesz mniej zmiłowania. Widać Pan Jezus dał im krzemienie zamiast serc. Przypatrywałem ja się przeróżnym narodom i nieraz widziałem, jako prawy rycerz oszczędzi drugiego, który jest słabszy, mówiąc sobie: „Nie przybędzie mi czci, skoro leżącego potratuszę”. A Krzyżak wtedy właśnie najzawziętszy. Dzierżę<sup>261</sup> go za łeb i nie puszczaj, bo inaczej gorze ci! Oto i ów poseł! Zaraz chciał nie tylko waszego przeproszenia, ale i waszej hańby. Ale rad jestem, że tego nie będzie.

— Niedoczekanie jego! — zawołał Zbyszko.

— Miarkujcie też, żeby frasunku po was nie poznał, bo zaraz by się ucieszył.

Po tych słowach dojechali do orszaku i połączyli się z dworem księżny.

Poseł krzyżacki ujrzawszy ich, przybrał natychmiast wyraz pychy i wzgardy, lecz oni zdawali się go wcale nie widzieć. Zbyszko stanął od strony Danusi i jął wesoło mówić jej, że ze wzgórza widać już dobrze Kraków, Maćko zaś opowiadał jednemu z rybałtów o nadzwyczajnej sile pana z Taczewa, który przyłamał kopię w rękę Zbyszka jak suchy badył.

— A po coże ją przyłomił? — spytał rybałt.

— Bo się chłopak do Niemca złożył, ale jeno dla śmiechu.

Rybałtowi, który był szlachcic i człek obyty, nie wydał się taki żart zbyt przystojnym<sup>262</sup>, ale widząc, że Maćko mówi o nim lekko, nie brał go także do serca. Tymczasem Niemca poczęło takie zachowanie się korcić. Raz i drugi spojrzął na Zbyszka, potem na Maćka: wreszcie zrozumiał, że z koni nie zsiędą i że umyślnie na niego nie zważają. Wówczas błysnęło mu coś w oczach jakby stałą — i zaraz począł się żegnać...

W chwili zaś gdy ruszył, pan z Taczewa nie mógł się powstrzymać i rzekł mu na rozstaniu:

<sup>259</sup>prawy (daw.) — prawdziwy. [przypis edytorski]

<sup>260</sup>nie skończy on własną śmiercią — sens: umrze śmiercią gwałtowną, zapewne na skutek wyroku sądu. [przypis edytorski]

<sup>261</sup>dzierżyć — trzymać. [przypis edytorski]

<sup>262</sup>przystojny (daw.) — odpowiedni, właściwy. [przypis edytorski]

— Jedźcie śmiecie, mężny rycerzu. Kraj to spokojny i nikt na was nie napadnie, chyba jakowy dzieciak krotofilny<sup>263</sup>...

— Choć dziwne są obyczaje w tym kraju, nie obrony, ale towarzystwa waszego szukałem — odparł Lichtenstein — jakoż tuszę<sup>264</sup>, że się jeszcze spotkamy i na tutejszym dworze, i gdzie indziej...

W ostatnich słowach brzmiała jakby ukryta groźba, dlatego Powąła odrzekł poważnie:

— Bóg to da...

To powiedziawszy, skłonił się i odwrócił, po czym wzruszył ramionami i rzekł półgłosem, tak jednak, aby go najbliżsi słyszeli:

— Chuchraku! Zdjąłbym cię z kulbaki ostrzem kopii i przez trzy pacierze dzierzył w powietrzu!

I począł rozmawiać z księżną, którą znał dobrze. Anna Danuta pytała go, co robi na gościńcu, on zaś oznajmił jej, że jeździ z królewskiego rozkazania, by utrzymać bezpieczeństwo w okolicy, w której z powodu wielkiej liczby gości ściągających zewsząd do Krakowa, łatwo jakowaś zwada zdarzyć się może. I na dowód przytoczył to, czego przed chwilą sam był świadkiem. Pomyślawszy jednak, że o orędownictwo księżny za Zbyszkiem dość będzie czasu prosić wówczas, gdy okaże się tego potrzeba, nie nadawał zajęciu zbyt wielkiego znaczenia, nie chcąc psuć wesołości. Jakoż księżna śmiała się nawet ze Zbyszka, że mu tak pilno było do pawich czubów — inni zaś, dowiedziawszy się o przyłamaniu kopii, podziwiali pana z Taczewa, że tak łatwo to jedną ręką uczynił...

On zaś chełpliwym nieco będąc, cieszył się w sercu, że go sławia, i sam wreszcie począł opowiadać o swoich czynach, które głośnym uczyniły imię jego szczególnie w Burgundii, na dworze Filipa Śmiałego. Raz on tam w czasie turnieju chwycił, po skruszeniu kopii, pewnego rycerza ardeńskiego wpół, wywłócił go z kulbaki i wyrzucił na wysokość kopii w górę, chociaż Ardeńczyk cały był w żelazo zakuty. Filip Śmiały ofiarował mu za to złoty łańcuch, a księżna aksamitny trzewiczek, który on odtąd na hełmie nosi.

Słyszając to, wszyscy wpadli w wielkie zdumienie, z wyjątkiem Mikołaja z Długolasu, który rzekł:

— Nie ma już w dzisiejszych zniewieściałych czasach takich mężów, jacy bywali za mojej młodości, albo takich, o jakich ojciec mój mi opowiadał. Zdarzy się teraz szlachcicowi rozedrzeć pancerz, naciągnąć kuszę bez korby albo skrócić między palcami tasak żelazny, to się już mocarzem powiada i nad innych się wynosi. A drzewiej czyniły to i dziewczki.

— Nie przecię ja się temu, że dawniej byli ludzie tężsi — odpowiedział Powąła — ale znajdują się i dziś chłopcy krzepkie. Mnie Pan Jezus siły w kościach nie poskąpił, wszelako nie powiadam się najmocniejszym w tym Królestwie. Widziałeś waść kiedy Zawiszę z Garbowa? Ten by mnie zmógł<sup>265</sup>.

— Widziałem. Bary u niego tak szerokie jak wał od krakowskiego dzwonu.

— A Dobko z Oleśnicy? Raz on na turnieju, który Krzyżacy w Toruniu wyprawili, rozciągnął dwunastu rycerzy z wielką chwałą dla siebie i dla naszego narodu...

— Ale nasz Mazur Staszko Ciołek tęższy był, panie, i od was, i od Zawiszy, i od Dobka. Powiadali o nim, że wzięwszy w garść świeży kolek, sok z niego wyciskał.

— Sok ja też wycisnę! — zawołał Zbyszko.

I nim go kto poprosił o próbę, skoczył na brzeg drogi, udarł sporą gałąź z drzewa, a następnie ścisnął ją za koniec w oczach księżny i Danusi tak silnie, że sok począł istotnie kapać kroplami na drogę.

— Aj, Jezu! — zawołała na ten widok Ofka z Jarząbkowa. — Nie chadzajże na wojnę, bo szkoda by była, żeby taki zginął przed ożenkiem...

— Szkoda by! — powtórzył, zasępiwszy się nagle, Maćko.

Lecz Mikołaj z Długolasu począł się śmiać, a z nim i księżna. Inni wszelako wychwalali w głos siłę Zbyszkową, że zaś w owych czasach żelazną rękę ceniono nad wszystkie inne przymioty, więc panny wołały na Danuskę: „Raduj się!” — ona zaś rada była, chociaż nie rozumiała dobrze, co jej przyjść może z tego kawałka wyciśniętego drzewa. Zbyszko,

<sup>263</sup>krotofilny (daw.) — skłonny do żartów. [przypis edytorski]

<sup>264</sup>tuszyć (daw.) — mieć nadzieję. [przypis edytorski]

<sup>265</sup>zmóc — pokonać. [przypis edytorski]



zapomniawszy całkiem o Krzyżaku, spoglądał tak górnio, iż Mikołaj z Długolasu, pragnąc przywieść go do pomiarkowania, rzekł:

— Próżno byś puszył siłą, bo są lepsi od ciebie. Jam tego nie widział, ale ojciec mój był świadkiem czegoś lepszego, co przygodziło się na dworze Karola, cesarza rzymskiego. Pojechał do niego w odwiedzinach nasz król Kazimierz z wielu dworzany, między którymi był właśnie i ów słynny z mocy Staszko Ciołek, syn wojewody Andrzeja. Pocznie się tedy raz chęlcie cesarz, że ma między swoimi ludźmi pewnego Czecha, który niedźwiedzia wpół obłapiwszy, na miejscu go uduś. Dopieroż wyprawili widowisko i Czech dwóch niedźwiedzi po kolei uduś. Bardzo się tym zafrasował nasz król, żeby ze wstydem nie odjechać, i rzeknie: „Ale mój Ciołek nie da mu się pohańbić”. Naznaczyli, że za trzy dni będą się zmagać. Najeżdżało się pań i rycerzy znacznych, a po trzech dniach chycili<sup>266</sup> się Czech z Ciołkiem na zamkowym dworzyszczu; ale niedługo tego było, bo ledwie się objęli, przełomił Ciołek Czechowi krzyż, pokruszył wszystkie żebra i dopiero nieżywego, z wielką chwałą królewską, z rąk wypuścił. Tenże, przezwany od tej pory Łomignatem, raz dzwon wielki na wieżę sam jeden zaniósł, którego dwudziestu mieszczan z miejsca ruszyć nie mogło.

— A ile mu było roków? — pytał Zbyszko.

— Młody był!

Tymczasem Powąła z Taczewa, jadąc po prawej stronie przy księżnie, pochylił się wreszcie do jej ucha i powiedział całą prawdę o ważności przygody, a zarazem prosił ją, by go poparła, gdy się będzie wstawiał za Zbyszkiem, który ciężko może za swój postępek odpowiadać. Księżna, której się Zbyszko podobał, przyjęła tę wiadomość ze smutkiem i zaniepokoiła się bardzo.

— Biskup krakowski rad mnie widzi — rzekł Powąła — to może go uproszę i królowę też, ale im więcej będzie orędowników, tym będzie dla młodziaszka lepiej...

— Byle królowa za nim się ujęła, włos mu z głowy nie spadnie — rzekła Anna Danuta — bo król ją i za świętobliwość, i za wiano czci wielce, a szczególnie teraz, gdy zdjęta jest z niej hańba bezpłodności. Ale jest przecie w Krakowie umiłowana siostra królewska, księżna Ziemowitowa<sup>267</sup>, do niej się udajcie. Ja też uczynię, co będę mogła, ale ona mu rodzona, a ja stryjeczna.

— Kocha król i was, miłościwa pani.

— Ej, nie tak — odrzekła z pewnym smutkiem księżna. — Dla mnie ogniwko, dla niej cały łańcuch; dla mnie liszka<sup>268</sup>, dla niej soból. Nikogo z rodzonych nie miłuje król tak jak Aleksandrę. Nie ma takiego dnia, żeby z próżnymi rękoma odeszła...

Tak rozmawiając, zbliżyli się do Krakowa. Gościniec, rojny od samego Tyńca, zaroił się jeszcze bardziej. Spotykali ziemian ciągnących do miasta na czele pachołków, czasem w zbrojach, czasem w letnich szatach i słomianych kapeluszach. Niektórzy jechali konno, niektórzy koleśno<sup>269</sup>, z żonami i córkami, które chciały widzieć zapowiadane z dawna gonitwy. Miejscami cały gościniec zawalony był przez wozy kupców, którym nie wolno było omijać Krakowa, by nie pozbawić miasta licznych opłat<sup>270</sup>. Wieziono na tych wozach sól, воск, zboża, ryby, skóry bydłce, konopie, drzewo. Inne szły z miasta ładowne sukmem, beczkami piwa i przeróżnym miejskim towarem. Kraków było już widać dobrze: ogrody królewskie, pańskie i mieszczańskie, otaczające zewsząd miasto, za nimi mury i wieże kościołów. Im było bliżej, tym ruch czynił się większy, a przy bramach trudno było wśród ogólnego skrzętu<sup>271</sup> przejechać.

— To miasto! Nie masz chyba takiego drugiego na świecie — rzekł Maćko.

— Zawsze jakoby jarmark — odrzekł jeden z rybaltów. — Dawnoście tu byli, panie?

— Dawno. I dziwuję się, jakobym je pierwszy raz widział, gdyż z dzikich krajów przyjeżdżamy.

<sup>266</sup>chycić — dziś popr.: chwycić. [przypis edytorski]

<sup>267</sup>Aleksandra Olgierdówna (ok. 1370–1434) — córka wielkiego księcia Litwy Olgierda, siostra Władysława II Jagielly, żona księcia mazowieckiego Ziemowita IV. [przypis edytorski]

<sup>268</sup>liszka — tu: futro ze skór lisich. [przypis edytorski]

<sup>269</sup>koleśno (daw.) — w kolasach. [przypis edytorski]

<sup>270</sup>którym nie wolno było omijać Krakowa, by nie pozbawić miasta licznych opłat — niektóre miasta posiadały w średniowieczu przywilej, określane jako „prawo składu”, zgodnie z którym kupcy nie mogli ich omijać, lecz przez określony czas musieli wystawiać tam swój towar na sprzedaż. [przypis edytorski]

<sup>271</sup>skrzęt (daw.) — krzątania, ruch. [przypis edytorski]

— Mówią, że Kraków okrutnie urósł od króla Jagiełły<sup>272</sup>.

Była to prawda: od czasu wstąpienia na tron wielkiego księcia Litwy niezmierzone kraje litewskie i ruskie otwarte zostały dla krakowskiego handlu, wskutek czego miasto z dnia na dzień porastało w ludność, w dostatki, w budowlę — i czyniło się jednym ze znaczniejszych w świecie...

— Krzyżackie miasta też zacne — ozwał się znów gruby rybałt.

— By jeno się do nich dostać — odpowiedział Maćko. — Byłby łup godny!

Lecz Powała myślał o czym innym, mianowicie, że młody Zbyszko, który tylko przez głupią zapalczywość zawinił, idzie jednak jak wilkowi w gardziel. Pan z Taczewa, srogi i zawzięty w czasie wojny, miał jednak w swych potężnych piersiach prawdziwie gołębie serce — że zaś lepiej rozumiał od innych, co winowajcę czeka, więc zdjęła go nad nim litość...

— Waguję się<sup>273</sup> i waguję — rzekł znów do księżny — czy mówić królowi, co się stało, czy nie mówić. Jeśli Krzyżak się nie poskarży, to i nijakiej sprawy nie będzie, ale jeśli się ma skarżyć, to może by lepiej wszystko pierwej powiedzieć, by pan nagłym gniewem nie zagorzał...

— Krzyżak jak może kogo zgubić, to zgubi — odrzekła księżna — ale ja przedtem rzekę młodzieńcowi, żeby do naszego dworu przysłał. Może też król nie tak srodze dworzanina naszego ukarze.

To rzekłszy, zawołała Zbyszka, który dowiedziawszy się, o co idzie, zeskoczył z konia, podjął ją pod nogi i z największą radością zgodził się być jej dworzaninem, nie tyle dla większego bezpieczeństwa, ile dlatego, że w ten sposób mógł blisko Danusi pozostać...

Powała zaś spytał tymczasem Maćka:

— A gdzie zamieszkacie?

— W gospodzie.

— W gospodach z dawna nie masz żadnego miejsca.

— To pójdziem do kupca znajomka, Amyleja, może nas przenocuje...

— A ja wam powiem tak: pójdźcie w gościnę do mnie. Bratanek wasz mógłby z dworzany księżny na zamku zamieszkać, ale lepiej mu będzie nie być królowi pod ręką. Co się w pierwszym gniewie uczyni, tego się w drugim nie uczyni. Pewnie się przy tym rozdzielicie dostatkiem, wozami i służbą, a na to potrzeba czasu. Wiecie! Dobrze wam u mnie będzie i przepiecznicie<sup>274</sup>.

Maćko, lubo zaniepokoił się trochę tym, że Powała tak o ich bezpieczeństwie myśli, podziękował z wielką wdzięcznością i wjechali do miasta. Lecz tu obaj ze Zbyszkiem zapomnieli znów na chwilę o troskach na widok cudów, które ich otoczyły. Na Litwie i na pograniczu widzieli tylko pojedyncze zamki, a z miast znaczniejszych jedno Wilno — źle pobudowane i spalone, całe w popiele i gruzach, tu zaś kamienice kupieckie częstokroć okazałszy się były od tamtejszego wielkopszącego zamku. Wiele domów było wprawdzie drewnianych, ale i te dziwiły wyniosłością ścian i dachów oraz oknami ze szklanych gomółek<sup>275</sup> poprawianych w ołów, które odbijały tak blaski zachodzącego słońca, że można było mniemać, iż w domu jest pożar. W ulicach bliższych rynku pełno było jednak dworzyszcz<sup>276</sup> z czerwonej cegły albo zgoła<sup>277</sup> kamiennych, wysokich, ozdobionych przystawkami i czarnym krzyżowaniem<sup>278</sup> po ścianach. Stały jedne obok drugich jak żołnierze w szyku, niektóre szerokie, drugie wąskie na dziewięć łokci<sup>279</sup>, ale strzeliste, ze sklepionymi sieniami — często ze znakiem Bożej Męki lub z obrazem Najświętszej Panny nad bramą. Były ulice, na których widać było dwa szeregi domów, nad nimi pas

<sup>272</sup>Władysław II Jagiełło (ok. 1362–1434) — syn księcia Olgerda, wielki książę litewski, król Polski od małżeństwa z Jadwigą (1386). Dwukrotnie ochrzczony (przez matkę Julianę w obrządku wschodnim i przez biskupów polskich przed ślubem w obrządku łacińskim), osobiście dowodził w bitwie pod Grunwaldem. [przypis edytorski]

<sup>273</sup>wagować się (daw.) — wahać się, zastanawiać się. [przypis edytorski]

<sup>274</sup>przepiecznicie — dziś popr.: bezpiecznie. [przypis edytorski]

<sup>275</sup>gomółka — niewielka, okrągła szybka. [przypis edytorski]

<sup>276</sup>dworzyszcz (daw.) — gmach, okazały budynek. [przypis edytorski]

<sup>277</sup>zgoła (daw.) — nawet. [przypis edytorski]

<sup>278</sup>krzyżowanie — dekoracja architektoniczna w postaci krzyżujących się belek na fasadzie budynku. [przypis edytorski]

<sup>279</sup>łokieć — dawna miara długości, w przybliżeniu odległość od stawu łokciowego do dłoni, ok. 55–77 cm. [przypis edytorski]

nieba, na dole drogę całkiem wymoszczoną kamieniami, a po obu bokach, jak okiem dojrzyć, składy<sup>280</sup> i składy — sowite<sup>281</sup> — pełne najprzedniejszych, częstokroć dziwnych albo zupełnie nieznanych towarów, na które przywykły do ciągłej wojny i brania łupu Maćko spoglądał jednak nieco łakomym okiem. Lecz w jeszcze większy podziw wprowadziły obydwóch gmachy publiczne: kościół Panny Marii w Rynku, sukiennice, ratusz z olbrzymią piwnicą, w której sprzedawano piwo świdnickie, dżinghus, toż inne kościoły, toż składy sukna, toż ogromne *mercatorium*<sup>282</sup> przeznaczone dla kupców zagranicznych, toż budynek, w którym zamykano wagę miejską, toż postrzygalnie, łaźnie, topnie miedzi, topnie wosku, złota i srebra, browary, całe góry beczek koło tak zwanego Schrotamtu<sup>283</sup> — słowem, dostatki i bogactwa, których nieobyty z miastem człowiek, choćby zamożny właściciel „grodku”, wyobrazić sobie nawet nie umiał...

Powała zaprowadził Maćka i Zbyszka do swego domostwa przy ulicy Świętej Anny, kazał im dać izbę obszerną, polecił ich swym giermkom, sam zaś udał się na zamek, z którego wrócił na wieczerzę dość późną nocą. Wraz z nim przybyło kilku jego przyjaciół — i używając obficie na winie i mięsie, ucztowali wesoło, sam tylko gospodarz był jakiś zatroskany — a gdy wreszcie goście porozchodzili się do domów, rzekł do Maćka:

— Gadałem z jednym kanonikiem, biegłym w piśmie i w prawie, którego powiada, że zniewaga posła to sprawa gardłowa<sup>284</sup>. Proścież tedy Boga, by się Krzyżak nie skarżył...

Usłyszawszy to obaj rycerze, lubo przy uczcie przebrali nieco miarę, jednakże udali się na spoczynek nie z tak już wesołym sercem. Maćko nie mógł nawet zasnąć i po jakimś czasie, gdy się już pokładli, ozwał się do bratańca:

— Zbyszku?

— A co?

— Bo tak pomiarkowawszy wszystko, myślę wszelako<sup>285</sup>, że ci głowę utną.

— Myślicie? — spytał Zbyszko sennym głosem.

I obróciwszy się do ściany, zasnął smaczno, gdyż był utrudzon drogą...

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego dnia obaj rycerze z Bogdańca wraz z Powalą udali się na ranną mszę do katedry, tak dla nabożeństwa, jak i dlatego, by widzieć dwór i gości, którzy schodzili się na zamek. Jakoż po drodze już Powala spotkał mnóstwo znajomych, a między nimi wielu rycerzy sławnych w kraju i za granicą, na których z podziwem patrzył młody Zbyszko, obiecując sobie w duszy, że jeśli sprawa z Lichtensteinem ujdzie mu na sucho, to będzie się starał im wyrównać w męstwie i we wszystkich cnotach. Jeden z tych rycerzy, Toporczyk, krewny kasztelana krakowskiego, powiedział im nowinę o powrocie z Rzymu Wojciecha Jastrzębca<sup>286</sup>, scholastyka, który jeździł do papieża Bonifacego IX<sup>287</sup> z listem królewskim, zapraszającym na chrzciny do Krakowa. Bonifacy przyjął zaprosiny, a jakkolwiek wyraził wątpliwość, czy będzie mógł przybyć własną osobą, upoważnił posła, aby w jego imieniu trzymał do chrztu mające się narodzić dziecko, a zarazem prosił, by w dowód osobliwszej jego miłości dla obojga królestwa dziecku nadano imię Bonifacy lub Bonifacja.

Mówiono także o bliskim przyjeździe króla węgierskiego Zygmunta i spodziewano się go na pewno. Zygmunt bowiem przyjeżdżał i proszony, i nieproszony, zawsze gdy zdarzyła się sposobność jakowychś odwiedzin, uczt i gonitw<sup>288</sup>, w których z zamiłowaniem brał udział, pragnąc zasłynąć po świecie i jako władca, i jako śpiewak, i jako jeden z pierwszych rycerzy. Powala, Zawisza z Garbowa, Dobko z Oleśnicy, Naszan i inni podobnej miary mężowie z uśmiechem wspominali sobie, jako za poprzednich bytności Zygmunta król Władysław prosił ich po cichu, aby na turnieju nie nacierali zbyt ostro i oszczędzali

<sup>280</sup>skład — tu: sklep. [przypis edytorski]

<sup>281</sup>sowity (daw.) — obfity, bogaty. [przypis edytorski]

<sup>282</sup>mercatorium (z łac.) — dom kupców. [przypis edytorski]

<sup>283</sup>Schrotamt — urząd przeładunku beczek winnych. [przypis edytorski]

<sup>284</sup>sprawa gardłowa — sprawa, w której grozi kara śmierci. [przypis edytorski]

<sup>285</sup>wszelako (daw.) — jednak. [przypis edytorski]

<sup>286</sup>Wojciech Jastrzębiec (1362–1436) — biskup krakowski (1412–1423) i poznański (1399–1412), kanclerz koronny, przed osiągnięciem godności biskupiej czynny na dworze Władysława Jagiełły. [przypis edytorski]

<sup>287</sup>Bonifacy IX (ok. 1350–1404) — papież od 1389, poparł Polskę, gdy walczyła z Krzyżakami. [przypis edytorski]

<sup>288</sup>gonitwa — tu: turniej rycerski. [przypis edytorski]

„węgierskiego gościa”, którego znana w świecie próżność była tak wielka, że w razie niepowodzenia wyciskała mu łzy z oczu. Lecz największe zajęcie między rycerstwem budziły sprawy Witoldowe. Rozpowiadano cuda o wspaniałości owej kolebki, ulanej ze szczyrego srebra, którą od Witolda i żony jego Anny przywieźli w darze kniazie i bojarzyni litewscy. Potworzyły się, jako zwykle przed nabożeństwem, gromadki ludzi opowiadające sobie nowiny. W jednej z nich Maćko, posłyszawszy o kolebce, zabrał głos i opisywał kosztowność daru, ale więcej jeszcze opowiadał o zamierzonej ogromnej wyprawie Witolda przeciw Tatarom, gdyż zarzucano go o nią pytaniami. Wyprawa była prawie gotowa, albowiem ogromne wojska ruszyły już na wschód Rusi; gdyby się zaś udała, rozciągnęłaby zwierzchnictwo króla Jagiełły niemal na pół świata, aż do nieznanych głębin azjatyckich, po granice Persji i brzegi Aralu<sup>289</sup>. Maćko, który poprzednio był blisko osoby Witolda i mógł znać jego zamiary, umiał o nich rozpowiadać dokładnie, a nawet i tak wymownie, że zanim zadzwoniono na mszę, przed wschodami<sup>290</sup> katedry utworzył się naokół niego krąg ciekawych. Szło — mówił — po prostu o wyprawę krzyżową<sup>291</sup>. Sam Witold, chociaż go piszą wielkim kniazem, rządzi przecie Litwą z ramienia Jagiełły i jest tylko wielkorządcą, zasługa wiec spadnie na króla. I co za chwała będzie dla nowo ochrzczonej Litwy i dla potęgi Polski, gdy połączone wojska poniosą Krzyż w takie strony, w których, jeśli wspominają imię Zbawiciela, to chyba dlatego, by mu bluźnić, i w których nie powstała dotąd noga Polaka ni Litwina! Wypędzony Tochtamysz<sup>292</sup>, gdy go polskie i litewskie wojska posadzą na nowo na utraconym kapczackim<sup>293</sup> tronie, uzna się „synem” króla Władysława i jako obiecał, wraz z całą Złotą Ordą<sup>294</sup> pokłoni się Krzyżowi.

Słuchano z natężeniem tych słów, lecz wielu nie wiedziało dobrze, o co chodzi, komu Witold ma pomagać, przeciw komu wojować — więc niektórzy poczęli pytać:

— Powiadajcie wyraźnie, z kim wojna?

— Z kim? Z Tymurem Chromym<sup>295</sup> — odrzekł Maćko.

Nastała chwila milczenia. O uszy rycerstwa zachodniego odbijały się wprawdzie niejednokrotnie nazwy Ord Złotych, Sinych, Azowskich i rozmaitych innych, ale sprawy tatarskie i wojny domowe między pojedynczymi Ordami nie były mu dobrze wiadome. Natomiast nie znalazłbyś ani jednego człowieka w ówczesnej Europie, który by nie słyszał o straszliwym Tymurze Chromym, czyli Tamerlanie, którego imię powtarzano z nie mniejszą trwogą niż niegdyś imię Attyli. Był to przecie „pan świata” i „pan czasów” — władca dwudziestu siedmiu zawojowanych państw, władca Rusi Moskiewskiej<sup>296</sup>, władca Sybiru, Chin po Indie, Bagdadu, Ispahanu, Aleppu<sup>297</sup>, Damaszk<sup>298</sup> — którego cień padał przez piaszki arabskie na Egipt, a przez Bosfor na Cesarstwo Greckie — tępicieł ludzkiego rodzaju, potworny budowniczy piramid z czaszek ludzkich, zwycięzca we wszystkich bitwach, niezwyciężony w żadnej, „pan dusz i ciał”. Tochtamysz przez niego posadzon jest na tronie Złotej i Sinej Ordy — i uznan „synem”. Lecz gdy władztwo jego rozciągnęło się od Aralu do Krymu, przez więcej ziem, niż ich było w reszcie Europy, „syn” chciał być władcą niepodległym — za co „jednym palcem” straszego ojca pozbawion tronu uciekł do litewskiego rządcy, wzywając go o pomoc. Jego to właśnie zamierzył

<sup>289</sup>*Aral* — Jezioro Aralskie, dawniej określane jako morze, leżące w dzisiejszym Kazachstanie i Uzbekistanie. [przypis edytorski]

<sup>290</sup>*wschody* (daw.) — schody. [przypis edytorski]

<sup>291</sup>*wyprawa krzyżowa* — tu: wyprawa wojenna przeciw poganom, mająca zmusić ich siłą do chrztu. Określenie to stosowano w szczególności wobec krucjat, mających na celu zdobycie na muzułmanach miejsca narodzin Chrystusa. W szerszym sensie odnosiło się także do innych walk z niechrześcijanami. [przypis edytorski]

<sup>292</sup>*Tochtamysz* (zm. 1406) — chan tatarskiej Złotej Ordy w latach 1380–1395, pokonany przez Timura zbiegł na Litwę, skąd bezskutecznie starał się odzyskać władzę. [przypis edytorski]

<sup>293</sup>*tron kapczacki* — władza nad Ordą Kipczacką, szerzej znaną jako Złota Orda. Było to dawne państwo mongolsko-tatarskie w okolicach gór Kaukazu i dorzecza Wołgi. Orda stanowiła coś pośredniego między zmilitaryzowanym państwem a formą organizacji wojskowej. [przypis edytorski]

<sup>294</sup>*Złota Orda* — dawne państwo mongolsko-tatarskie w okolicach gór Kaukazu i dorzecza Wołgi. Orda była czymś pośrednim między zmilitaryzowanym państwem a formą organizacji wojskowej. [przypis edytorski]

<sup>295</sup>*Timur Chromy* (1336–1405) — znany też jako Tamerlan, chan Złotej Ordy i twórca wielkiego mongolsko-tatarskiego imperium, które rozpadło się po jego śmierci. [przypis edytorski]

<sup>296</sup>*władca Rusi Moskiewskiej* — tereny dzisiejszej Rosji (Rus Moskiewska) i Ukrainy (Rus Kijowska) były w średniowieczu pod władzą Tatarów. [przypis edytorski]

<sup>297</sup>*Aleppo* — miasto na skraju Pustyni Syryjskiej. [przypis edytorski]

<sup>298</sup>*Damaszek* — stolica Syrii. [przypis edytorski]

Witold wprowadzić na powrót na państwo, ale aby to uczynić, trzeba się było wpięć zmierzyć ze światowładnym Kulawcem.

Z tego też powodu imię jego silne na słuchaczach sprawiło wrażenie — i po chwili milczenia jeden z najstarszych rycerzy, Wojciech z Jagłowa, rzekł:

— Nie z byle kim sprawa.

— A o byle co — ozwał się roztropnie Mikołaj z Długolasu. — Bo czy tam za dziesiątą ziemią będzie Tochtamysz, czy jakowys Kutłuk panował synom Beliala, cóż nam z tego przyjdzie?

— Tochtamysz wiarę chrześcijańską by przyjął — odpowiedział Maćko.

— Przyjąłby albo nie przyjął. Zali można psu bratom wierzyć, którzy Chrystusa nie wyznawają?

— Lecz dla imienia Chrystusowego godzi się polec — odparł Powala.

— I dla czci rycerskiej — dodał Toporczyk, krewny kasztelana. — Są przecie między nami tacy, którzy pójdą. Pan Spytko z Melsztyna młodą ma żonę i umiłowaną, a dlatego już do kniazia Witolda pociągnął.

— Bo i nie dziwno — wtrącił Jaśko z Naszan — choćbyś miał najbezpieczniejszy grzech na duszy, odpust<sup>299</sup> za taką wojnę pewny i zbawienie pewne.

— A sława po wieki wieków — rzekł znów Powala z Taczewa. — Jak wojna, to wojna, a że nie byle z kim, to lepiej. Tymur świat zawojował i ma dwadzieścia siedem królestw pod sobą. Toż by była chwała dla naszego narodu, żebyśmy go starli.

— Dlaczego by nie? — odrzekł Toporczyk. — Choćby i sto królestw posiadał, niech się go inni boją, ale nie my! Godnie mówicie! Skrzyknąć by jeno z dziesięć tysięcy kopijników dobrych, to i świat przejdziem.

— A któryż naród ma Chromego pokonać, jeśli nie nasz?...

Tak rozmawiali rycerze, a Zbyszko aż się zdziwił, że przedtem nigdy nie przyszła mu ochota pociągnąć z Witoldem w dzikie stepy... Ale za czasu pobytu w Wilnie chciało mu się widzieć Kraków, dwór, wziąć udział w gonitwach rycerskich, a teraz pomyślał, że tu znaleźć może niesławę i sąd, tam zaś w najgorszym razie znalazłby śmierć pełną chwały...

Lecz stuletni Wojciech z Jagłowa, któremu ze starości trzęsła się już szyja, ale który rozum miał odpowiedni wiekowi, oblał zimną wodą ochotę rycerzy:

— Głupiście — rzekł. — Zali to żaden z was nie słyszał, że wizerunek Chrystusów<sup>300</sup> przemówił do królowej, a jeżeli sam Zbawiciel do takiej dopuszcza ją poufałości, czemu by Duch Święty, który jest trzecią Trójcy osobą, miał na nią być mniej miłosiw. Przez to ona przyszłe rzeczy widzi, jakoby się przed nią działy, i mówiła tak...

Tu zatrzymał się i przez chwilę trząśł głową, a następnie rzekł:

— Zapomniałem, co powiedziała, ale zaraz sobie przypomnę.

I począł się namyślać, oni zaś czekali w skupieniu, albowiem powszechne było mniemanie, że królowa widzi przyszłe zdarzenia.

— Aha! — rzekł wreszcie. — Jużem się obaczył<sup>301</sup>! Królowa powiedziała, że gdyby wszystko rycerstwo tutejsze poszło z kniazem Witoldem na Chromego, tedy byłaby moc pogańska skruszona. Ale to nie może być, dla niepoczciwości panów chrześcijańskich. Trzeba granic pilnować i od Czechów, i od Węgrzynów, i od Zakonu, bo nikomu ufać nie można. Gdy zaś garść jeno Polaków z Witoldem pójdzie, pokona go Tymur Kulawy albo jego wojewodowie, którzy ćmom<sup>302</sup> nieprzeliczonym przywodzą...

— Przecie teraz jest spokój — ozwał się Toporczyk — i sam Zakon daje podobno jakowąś pomoc Witoldowi. Nie mogą nawet Krzyżacy inaczej uczynić, choćby dla wstydu, żeby Ojcu Świętemu pokazać, iż z pogany walczyć gotowi. Prawią też dworscy<sup>303</sup>, że Kuno Lichtenstein nie tylko dla krzcina, ale i dla narad z królem tu bawi...

— A oto i on! — zawołał ze zdziwieniem Maćko.

Proroctwo

<sup>299</sup> *odpust* — w religii katolickiej darowanie bądź zmniejszenie kary za grzechy, które zostały już odpuszczone. [przypis edytorski]

<sup>300</sup> *wizerunek Chrystusów* (daw.) — wizerunek Chrystusowy, wizerunek Chrystusa. [przypis edytorski]

<sup>301</sup> *jużem się obaczył* — już sobie przypominałem. [przypis edytorski]

<sup>302</sup> *ćma* (daw.) — mrowie, tłum. [przypis edytorski]

<sup>303</sup> *dworscy* — ludzie należący do dworu. [przypis edytorski]

— Prawda! — rzekł, oglądając się, Powala. — Dalibóg<sup>304</sup> on! Krótko bawi<sup>305</sup> u opata i musiał chyba do dnia<sup>306</sup> z Tyńca wyjechać.

— Jakoś mu było pilno — odrzekł pośpiesznie Maćko.

Tymczasem Kuno Lichtenstein przeszedł koło nich. Maćko poznał go po krzyżu wyszytym na płaszczu, ale on nie poznał ni jego, ni Zbyszka, gdyż widział ich poprzednio w hełmach, z hełmu zaś, nawet przy otwartej przyłbicy, widać było tylko małą część twarzy rycerza. Przechodząc, skinął głową Powale z Taczewa i Toporczykowi, po czym wraz ze swymi giermkami począł wstępować po schodach do katedry krokiem poważnym i pełnym majestatu.

Wtem ozwały<sup>307</sup> się dzwony, płosząc stada kawek i gołębi gnieźdzących się po wieżach, a zarazem oznajmiając, iż msza niebawem się rozpocznie. Maćko i Zbyszko weszli razem z innymi do kościoła, nieco zaniepokojeni szybkim powrotem Lichtensteina. Lecz starszy rycerz niepokoił się więcej<sup>308</sup>, albowiem uwagę młodszego pochłonął całkowicie dwór królewski. Zbyszko nigdy w życiu nie widział nic równie świetnego jak ten kościół i to zebranie. Na prawo i na lewo otaczali go najznakomitsi mężowie Królestwa, słynni w radzie lub boju. Wielu, których rozum przeprowadził małżeństwo wielkiego księcia Litwy z cudną, młodziuchną królową polską<sup>309</sup>, już pomarło, ale niektórzy żyli jeszcze, i na tych spoglądano ze czcią nadzwyczajną. Nie mógł się napatrzeć młody rycerz wspaniałej postaci Jaśka z Tęczyna<sup>310</sup>, kasztelana krakowskiego, w której łączyła się surowość z powagą i prawością; podziwiał mądre i stateczne twarze innych rajców<sup>311</sup> lub potężne oblicza rycerskie, z włosami równo przyciętymi nad brwią, a spływającymi w długich kędziorach z boków głowy i z tyłu. Niektórzy nosili siatki na głowach, niektórzy tylko przepaski utrzymujące w ładzie włosy. Goście zagraniczni, posłowie króla rzymskiego, czescy, węgierscy i rakuscy, oraz ich przybocznicy dziwili największą wykwintnością ubiorów; kniazie i bojarzynowie litewscy przy boku króla zostający, pomimo lata i gorących dni, mieli na sobie dla okazalności szuby<sup>312</sup> podbite futrem kosztownym; kniazie ruscy, w szatach sztywnych a szerokich, wyglądali na tle ścian i złoceń kościelnych jak obrazy bizantyńskie. Lecz z największą ciekawością oczekiwał Zbyszko wejścia króla i królowej i tłoczył się, ile mógł, ku stallom, za którymi w pobliżu ołtarza widać było dwie poduszki z czerwonego aksamitu, królestwo<sup>313</sup> bowiem słuchali mszy zawsze na kłęczkach. Jakoż nie czekano długo: król wszedł pierwszy drzwiami od zakrystii i zanim doszedł przed ołtarz, można mu się było dobrze przypatrzeć. Włosy miał czarne, zwichrzone i rzędniejące nieco nad czołem, długie, po bokach założone za uszy, twarz smagłą<sup>314</sup>, całkiem ogoloną, nos garbaty i dość spiczasty, koło ust zmarszczki, oczki czarne, małe, świecące, którymi rzucał na wszystkie strony, jakby chciał, zanim dojdzie przed ołtarz, porachować wszystkich ludzi w kościele. Oblicze jego miało wyraz dobrotliwy, ale zarazem i czujny, człowieka, który wyniesion przez fortunę nad własne spodziewanie musi myśleć ustawicznie o tym, czy jego postęпки odpowiadają godności, i który obawia się złośliwych przygan<sup>315</sup>. Ale właśnie dlatego była w jego twarzy i ruchach jakby pewna niecierpliwość. Łatwo było odgadnąć, że gniew jego musi być nagły, straszny i że jest to zawsze ten sam książę, który swego czasu, zniecierpliwiony matactwami Krzyżaków, wołał do ich wysłanników: „Ty do mnie z pergaminem, a ja do ciebie z dzidą!”

Lecz już teraz tę przyrodzoną zapalczywość hamowała wielka i szczerza pobożność. Nie tylko świeżo nawróceni kniazie litewscy, ale i pobożni z dziada pradziada wielmoże polscy budowali się widokiem króla w kościele. Często on, odrzuciwszy poduszkę, kłękał dla większego umartwienia na gołych kamieniach; często, wzniosłszy ręce do góry,

Król

<sup>304</sup>*dalibóg* (daw.) — naprawdę, słowo dając. [przypis edytorski]

<sup>305</sup>*bawić* (daw.) — przebywać. [przypis edytorski]

<sup>306</sup>*do dnia* — rano. [przypis edytorski]

<sup>307</sup>*ozwać się* (daw.) — odezwać się. [przypis edytorski]

<sup>308</sup>*więcej* — bardziej. [przypis edytorski]

<sup>309</sup>*królową polską* — mowa o królowej Jadwidze. [przypis edytorski]

<sup>310</sup>*Jaśko z Tęczyna* — syn Jędrzeja z Tęczyna, wojewody krakowskiego i sandomierskiego, kasztelan krakowski. [przypis edytorski]

<sup>311</sup>*rajca* (daw.) — radny. [przypis edytorski]

<sup>312</sup>*szuba* (daw.) — szerokie okrycie wierzchnie. [przypis edytorski]

<sup>313</sup>*królestwo* — tu: król i królowa. [przypis edytorski]

<sup>314</sup>*smagły* — o ciemnej, oliwkowej cerze. [przypis edytorski]

<sup>315</sup>*przygana* (daw.) — krytyka, zarzut. [przypis edytorski]

trzymał je wzniesione dopóty, dopóki mu same nie opadły ze zmęczenia. Słuchał najmniej trzech mszy dziennie i słuchał ich niemal z chciwością. Odkrycie kielicha i odgłos dzwonka na Podniesienie<sup>316</sup> napełniały zawsze duszę jego uniesieniem, zachwytem, rozkoszą i przestracaniem. Po skończonej mszy wychodził z kościoła jakby zbudzony ze snu, uspokojony, łagodny, i dworzanie wcześniej zwiedzieli się, że wówczas najlepiej jest go prosić czy o przebaczenie, czy o dary.

Jadwiga weszła przez drzwi od zakrystii. Ujrzawszy ją, rycerze bliżsi stallów, jakkolwiek msza się jeszcze nie zaczęła, pokłękali natychmiast, mimo woli oddając jej cześć jak świętej. Zbyszko uczynił to samo, albowiem w całym tym zgromadzeniu nikt nie wątpił, że ma naprawdę przed sobą świętą, której obrazy będą zdobyły z czasem ołtarze kościelne. Szczególniej od kilku lat, surowe, pokutnicze życie Jadwigi sprawiło, że obok czci, winnej królowej, oddawano jej cześć niemal religijną. Z ust do ust między panami i ludem chodziły głosy o cudach spełnianych przez królowę. Mówiono, iż dotknięcie jej dłoni leczyło chorych: ludzie pozbawieni władzy w rękach i nogach odzyskiwali ją po włożeniu starych szat królowej. Wiarogodni świadkowie zapewniali, iż słyszeli na własne uszy, jak raz Chrystus przemówił do niej z ołtarza. Czcił ją na klęczkach monarchowie zagraniczni, czcił i obawiał się ją obrazić nawet hardy zakon krzyżacki. Papież Bonifacy IX nazywał ją świątobliwą i wybraną córką Kościoła. Świat patrzył na jej postęпки i pamiętał, że to dziecię domu Andegaweńskiego i polskich Piastów, że ta córka potężnego Ludwika<sup>317</sup>, wychowanka najświetniejszego dworu, a wreszcie najpiękniejsza z dziewic na ziemi, rzekła się szczęścia, rzekła się pierwszej dziewiczej miłości<sup>318</sup> i poślubiła jako królowa „dzikiego” księcia Litwy, aby wraz z nim skłonić do stóp Krzyża ostatni pogański naród w Europie. Czego nie dokazały siły wszystkich Niemców, potęga Zakonu, wyprawy krzyżowe, morze przelanej krwi — tego dokazało jedno jej słowo. Nigdy chwała apostołstwa nie opromieniła młodszego i cudniejszego czoła — nigdy apostołstwo nie połączyło się z takim poświęceniem — nigdy niewieścia piękność nie zaświeciła taką anielską dobrocią i takim cichym smutkiem.

Opiewali ją też minstrele<sup>319</sup> na wszystkich dworach Europy; zjeżdżali się do Krakowa rycerze z najodleglejszych ziem, by widzieć tę polską królowę, kochał ją jak źrenicę oka jej własny naród, któremu przez związek z Jagiełłą przymnożyła potęgi i sławy. Jedna tylko wielka troska zaciążyła nad nią i nad narodem — oto tej wybrance swojej Bóg odmawiał przez długie lata potomstwa.

Lecz gdy nareszcie i ta niedola minęła, radosna wieść o uproszonym błogosławieństwie rozbiegła się jak błyskawica od Bałtyku po Morze Czarne, po Karpaty i napełniła weselem wszystkie ludy olbrzymiego państwa. Z wyjątkiem stolicy krzyżackiej przyjęto ją radośnie nawet po dworach zagranicznych. W Rzymie śpiewano *Te Deum*<sup>320</sup>. W ziemiach polskich utrwaliło się ostatecznie mniemanie, że o co „święta pani” Boga poprosi, to stanie się nieodmiennie.

Przychodzili więc do niej ludzie błagać, by uprosiła im zdrowie, przychodzili wysłańcy od ziem i powiatów, by w miarę potrzeby modliła się to o deszcz, to o pogodę na żniwa, to o szczęśliwą košbę<sup>321</sup>, to o pomyślne miodobranie, to o obfitość ryby w jeziorach, to o zwierza w lasach. Groźni rycerze z nadgranicznych zamków i grodków, którzy przyjętym od Niemców zwyczajem trudnili się zbójnictwem lub wojną między sobą, na jedno jej napomnienie wkładali miecze do pochew, puszczali jeńców bez okupu, zwracali zagarnięte stada i podawali sobie dłonie do zgody. Wszelka niedola, wszelkie ubóstwo cisnęło się do bram krakowskiego zamku. Czysty duch jej przenikał w serca ludzkie, łagodził los niewolników, dumę panów, surowość sędziów i unosił się jak świt szczęścia, jak anioł sprawiedliwości i spokoju nad całą krainą.

Wszyscy też z bijącymi sercami oczekiwali dni błogosławieństwa.

<sup>316</sup>Podniesienie — część mszy św., gdy kapłan ukazuje wiernym Ciało i Krew Chrystusa. [przypis edytorski]

<sup>317</sup>Ludwik Węgierski — węg. Lajos I Nagy, Ludwik I Wielki (1326–1382), król Węgier w latach 1342–1382, król Polski w latach 1370–1382, ojciec Jadwigi. [przypis edytorski]

<sup>318</sup>rzekła się pierwszej dziewiczej miłości — mowa o Wilhelmie Habsburgu zwanym Uprzejmym (ok. 1370–1406). [przypis edytorski]

<sup>319</sup>minstrel (daw.) — śpiewak, poeta. [przypis edytorski]

<sup>320</sup>*Te Deum* — hymn znany od czasów wczesnochrześcijańskich, głoszący chwałę Boga (*Ciebie, Boże, wystawiamy*). [przypis edytorski]

<sup>321</sup>košba (daw.) — żniwa. [przypis edytorski]

Rycerze pilnie spoglądali na postać królowej, aby z jej kształtów wywnioskować, jak długo przyjdzie im czekać na przyszłego dziedzica lub przyszłą dziedziczkę tronu. Ksiądz biskup krakowski Wysz<sup>322</sup>, który był zarazem najbieglejszym w kraju, a słynnym i za granicą lekarzem, nie zapowiadał jeszcze rychłego połogu, jeśli zaś czyniono przygotowania, to dlatego, że zwyczajem wieku było rozpoczynać wszelkie uroczystości jak najwcześniej, a przeciągając je przez całe tygodnie. Jakoż postać pani, lubo podana nieco naprzód<sup>323</sup>, zachowała dotychczas dawną wysmukłość. Odzież nosiła aż nazbyt prostą. Niegdyś — wychowana na świetnym dworze i piękniejsza od wszystkich współczesnych księżniczek — kochała się w kosztownych tkaninach, w łańcuchach, perłach, w złotych manelach<sup>324</sup> i pierścieniach, obecnie — a nawet od lat już kilku — nie tylko nosiła szaty mniszki, ale przysłała nawet i twarz z obawy, by myśl o własnej piękności nie wzbudziła w niej pychy światowej. Próżno Jagiełło, dowiedziawszy się o odmiennym jej stanie, polecił w uniesieniu radości, by łożnicę przyozdobiła złotogłowiem<sup>325</sup>, bisiosem<sup>326</sup> i klejnotami. Odpowiedziała, że wyrzekłszy się z dawna okazałości, pamięta, iż pora złogów<sup>327</sup> bywa częstokroć porą śmierci, a więc nie wśród klejnotów, ale w cichej pokorze powinna przyjmując łaskę, którą ją Bóg nawiedza.

Złoto i klejnoty szły tymczasem na Akademię<sup>328</sup> lub na wysyłanie nowo ochrzczonej młodzieży litewskiej do zagranicznych uniwersytetów.

Królowa zgodziła się tylko w tym zmienić zakonny pozór<sup>329</sup>, iż od czasu jak nadzieja macierzyństwa stała się zupełną pewnością, nie przysłała więcej twarzy, słusznie mniemając, że nie przystoi jej od tej chwili strój pokutnicy...

Jakoż wszystkie oczy spoczęły teraz z miłością na tym cudnym obliczu, któremu ni złoto, ni drogic kamienie nie mogły przydać ozdoby. Królowa szła z wolna od drzwi zakrystii ku ołtarzowi, mając oczy wzniesione do góry, w jednej ręce książkę, w drugiej różaniec. Zbyszko ujrzał liliową<sup>330</sup> twarz, niebieskie źrenice, rysy po prostu anielskie, pełne spokoju, dobroci, miłosierdzia, i serce poczęło mu bić jak młotem. Wiedział on, że z rozkazaniami bożego powinien kochać i swego króla, i swoją królową, i miłował ich po swojemu, ale teraz serce zawrzało mu nagle miłością wielką, która powstaje nie z nakazu, ale bucha sama przez się jak płomień, a jest zarazem i czią największą, i pokorą, i chęcią ofiary. Młody był i porywczy rycerz Zbyszko, więc chwycił go zaraz chęć, by tę miłość i wierność poddanego rycerza jakoś okazać, coś dla niej uczynić, gdzieś lecieć, kogoś popłatać<sup>331</sup>, coś zdobyć i samemu przy tym karkiem nałożyć. „Pójdę chyba z kniazem Witoldem — mówił sobie — bo jakże świętej Pani usłużę, skoro nie masz nigdzie blisko wojny?”. Nie przyszło mu nawet do głowy, by można inaczej usłużyć niż mieczem, rohatyną<sup>332</sup> lub toporem, ale za to gotów był sam jeden na całą potęgę Tymura Chromego uderzyć. Chciało mu się zaraz po mszy sięść na koń i coś zacząć. Co? Sam nie wiedział. Wiedział tylko, że nie wytrzyma, że go palą ręce i pali się w nim dusza cała...

Zapomniał też znów całkiem o niebezpieczeństwie, które mu groziło. Zapomniał nawet chwilowo i Danusi — a gdy przyszła mu ona na myśl z powodu dziecinnych śpiewów, które nagle ozwały się w kościele, miał poczucie, że „to co innego”. Danusi przyrzekł wierność, przyrzekł trzech Niemców — i tego dotrzyma, ale przecie królowa jest ponad wszystkie niewiasty — i gdy pomyślał, ilu by dla królowej chciał zabić — ujrzał przed sobą całe zastępy pancerzy, hełmów, piór strusich, pawich i czuł, że wedle chęci jeszcze by tego było za mało...

<sup>322</sup>Wysz Radoliński, Piotr (ok. 1354–1414) — biskup krakowski od 1392, poznański od 1412, przeniesiony na to drugie stanowisko na skutek intryg dworskich, wykonawca testamentu królowej Jadwigi. [przypis edytorski]

<sup>323</sup>podana nieco naprzód — nieznacznie pochylona do przodu. [przypis edytorski]

<sup>324</sup>manela (daw.) — złota bransoleta. [przypis edytorski]

<sup>325</sup>złotogłów — kosztowna tkanina ze złotą nicią. [przypis edytorski]

<sup>326</sup>bisior — cienka i kosztowna tkanina, jedwab morski. [przypis edytorski]

<sup>327</sup>złogi — tu: poród. [przypis edytorski]

<sup>328</sup>Akademia Krakowska — założona w 1364 w Kazimierzu z fundacji Kazimierza III Wielkiego, odnowiona w 1400 w Krakowie przez Władysława II Jagiełłę z fundacji Jadwigi Andegaweńskiej, od 1817 funkcjonuje pod nazwą Uniwersytet Jagielloński. [przypis edytorski]

<sup>329</sup>pozór (daw.) — wygląd zewnętrzny. [przypis edytorski]

<sup>330</sup>liliowa — tu: biała jak lilia. [przypis edytorski]

<sup>331</sup>popłatać — pociąć mieczem, posiekać. [przypis edytorski]

<sup>332</sup>rohatyna (z ukr.) — włócznia z grotem zaopatrzoną w hak, aby po wbiciu trudniej ją było wyciągnąć. [przypis edytorski]



Tymczasem nie spuszczał z niej oka, rozmyślając w wezbranym sercu, jaką by ją uczcić modlitwą, sądził bowiem, że za królową byle jak modlić się nie można. Umiał powiedzieć: *Pater noster, qui es in coelis, sanctificetur nomen Tuum*<sup>333</sup> — tego bowiem wyuczył go pewien franciszkanin w Wilnie, ale być może, że zakonnik sam więcej nie umiał, być może, że Zbyszko reszty zapomniał, dość że całego „Ojcie nasz” wyrecytować nie mógł. Teraz jednak począł powtarzać w kółko tych kilka słów, które w jego duszy znaczyły: „Daj naszej umiłowanej pani zdrowie i życie, i szczęście — i więcej o nią dbaj niż o wszystko inne”. Że zaś to mówił człowiek, nad którego własną głową wisiał sąd i kara — przeto w całym kościele nie było szerszej modlitwy...

Po skończonej mszy myślał Zbyszko, że gdyby mu wolno było stanąć przed królową, upaść przed nią na twarz i objąć jej stopy, to niechby potem nawet koniec świata nastąpił, ale po pierwszej mszy wyszła druga, potem trzecia, a następnie pani odeszła do swoich komnat, zwykle bowiem suszyła<sup>334</sup> aż do południa i umyślnie nie brała udziału w wesołych śniadaniach, przy których dla uciechy króla i gości występowali trefnisie<sup>335</sup> i kuglarze. Natomiast przed Zbyszkiem pojawił się stary rycerz z Długolasu i wezwał go do księżny.

— Będziesz posługiwał przy śniadaniu mnie i Danusi jako mój dworzanin — rzekła księżna — a nuż zdarzy ci się przypodobać królowi jakimś krotochwilnym<sup>336</sup> słowem albo postępkim, którym serce jego sobie zjednasz. Krzyżak, jeśli cię pozna, nie będzie może się skarżył, widząc, że przy stole królewskim mnie posługujesz.

Zbyszko ucałował tedy rękę księżny, po czym zwrócił się do Danusi i jakkolwiek przywykły więcej do wojny i bitek niż do dworskich obyczajów, wiedział jednak widocznie, co rycerzowi czynić przystoi, gdy rankiem zobaczy damę swych myśli — gdyż cofnął się i przybrał wyraz zdumienia, zawołał, żegnając się:

— W imię Ojca i Syna, i Ducha!...

A Danusia spytała, podnosząc na niego modre oczki:

— Czego się Zbyszko żegna, kiedy już po mszy?

— Bo przez tę noc tyle ci, piękna panno, gładkości przybyło, aże mi cudnie!

Lecz Mikołaj z Długolasu nie lubił, jako człowiek stary, nowotnych zagranicznych zwyczajów rycerskich, więc wzruszył ramionami i rzekł:

— Co tam będziesz po próżnicy czas tracił i o urodzie jej prawil! Skrzat to, któren ledwie od ziemi odrósł.

Na to Zbyszko spojrział zaraz na niego zawzięcie:

— Warujcie się<sup>337</sup> nazywać ją skrzatem — rzekł, blednąc z gniewu — i to wiedźcie, że gdyby wam było mniej roków, zaraz bym kazał ziemię za zamkiem udeptać i niechby przyszła wasza albo moja śmierć!...

— Cichaj, chłystku!... Dałbym ci rady jeszcze dziś!

— Cichaj! — powtórzyła księżna. — To zamiast o własnej głowie myśleć, będzie tu jeszcze zwady szukał! Wolej bym była stateczniejszego dla Danusi poszukała rycerza. Ale to ci powiadam, że jeśli chcesz burzyć, chybaj sobie<sup>338</sup>, gdzie chcesz, bo tu takich nie trzeba...

Zbyszko zawstydzil się słowami księżny i począł ją przeproszać. Pomyślał przy tym, że jeśli pan Mikołaj z Długolasu ma doletniego<sup>339</sup> syna, to tam kiedyś wyzwie go na walkę pieszą lub konną, byle za skrzata nie darować. Tymczasem jednak postanowił zachować się na pokojach królewskich jak trusia i nie wyzywać nikogo, chybaby tego koniecznie rycerska cześć wymagała...

Odgłos trąb oznajmił, że śniadanie gotowe, więc księżna Anna, wzięwszy za rękę Danusię, udała się do komnat królewskich, przed którymi stali, czekając na jej przyjście, świeccy dygnitarze i rycerze. Księżna Ziemowitowa weszła już była pierwaj, gdyż jako rodzona siostra królewska wyższe brała miejsce za stołem. Wnet zaroilo się w komnacie od gości zagranicznych i zaproszonych miejscowych dygnitarzy i rycerzy. Król siedział

<sup>333</sup>*Pater noster, qui es in coelis, sanctificetur nomen Tuum* (łac.) — Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje. [przypis edytorski]

<sup>334</sup>*suszyć* (daw.) — pościć. [przypis edytorski]

<sup>335</sup>*trefniś* (daw.) — błazen. [przypis edytorski]

<sup>336</sup>*krotochwilny* (daw.) — śmieszny, dowcipny. [przypis edytorski]

<sup>337</sup>*warować się* (daw.) — strzec się. [przypis edytorski]

<sup>338</sup>*chybaj sobie* — idź sobie. [przypis edytorski]

<sup>339</sup>*doletni* (daw.) — taki, który „doszedł do lat”, we właściwym wieku, dorosły. [przypis edytorski]

u wyższego końca stołu, mając przy sobie biskupa krakowskiego i Wojciecha Jastrzębca, który chociaż niższy godnością od infułatów<sup>340</sup>, siedział jako poseł papieski po prawicy króla. Dwie księżne zajęły miejsca następne. Za Anną Danutą rozparł się wygodnie na szerokim krześle były arcybiskup gnieźnieński Jan<sup>341</sup>, książę pochodzący z Piastów śląskich, syn Bolka III, księcia opolskiego. Zbyszko słyszał o nim na dworze Witoldowym i teraz, stojąc za księżną i Danusią, poznał go natychmiast po niezmiernie obfitych włosach, które pozwijane w strąki czyniły głowę jego podobną do kościelnego kropidla. Na dworach książąt polskich przezywano go też Kropidłem, a nawet Krzyżacy dawali mu imię „Grapidla”. Był to człowiek słynny z wesołości i lekkich obyczajów. Otrzymał wbrew woli króla paliusz<sup>342</sup> na arcybiskupstwo gnieźnieńskie, chciał je zająć zbrojną ręką, za co wyzuty z godności i wypędzony, związał się z Krzyżakami, którzy dali mu na Pomorzu ubogie biskupstwo kamieńskie. Wówczas dopiero zrozumiał, że z potężnym królem lepiej jest być w zgodzie, przebłagał go, wrócił do kraju i czekał na opróżnienie której ze stolic, spodziewając się, że ją z rąk dobrotliwego pana otrzyma. Jakoż nie zawiódł się w przyszłości, a tymczasem starał się krotochwilami zaskarbić sobie serce królewskie. Został mu jednak zawsze dawny pociąg do Krzyżaków. Nawet i teraz, na dworze Jagiellowym — niezbyt mile widziany przez dygnitarzy i rycerstwo — szukał towarzystwa Lichtensteina i rad sadowił się obok niego przy stole.

Tak było i obecnie. Zbyszko, stojąc za krzesłem księżny, znalazł się tak blisko Krzyżaka, że mógłby go być ręką dosięgnąć. Jakoż palce poczęły go zaraz swędzić i kurczyć się, lecz to było mimo woli, gdyż pohamował swą popędliwość zupełnie i nie pozwolił sobie na zdróżną myśl. Nie mógł się jednak powstrzymać od rzucania od czasu do czasu nieco łakomych spojrzeń na lysiejącą nieco z tyłu płową<sup>343</sup> głowę Lichtensteina, na szyję, plecy i ramiona, pragnąc zarazem wymiarkować<sup>344</sup>, czyli też wiele miałby z nim do roboty, gdyby się im spotkać przyszło bądź w bitwie, bądź w pojedynczej walce. Wydawało mu się, iż niezbyt wiele, bo choć łopatki Krzyżaka rysowały się dość potężnie pod obciśłą, z szarego, cienkiego sukna szatą, był on jednak chuchrakiem w porównaniu do takiego Powawy, do Paszka Złodzieja z Biskupic<sup>345</sup>, do obu przesławnych Sulimczyków<sup>346</sup>, do Krzonia z Kozichłów i do wielu innych rycerzy siedzących przy stole królewskim.

Na nich to z podziwem i zazdrością spoglądał Zbyszko, lecz główną uwagę jego zwrócił sam król, który rzucając spojrzenia na wszystkie strony, zagarniał co chwila palcami włosy za uszy, jakby zniecierpliwiony tym, że śniadanie się jeszcze nie rozpoczęło. Wzrok jego zatrzymał się przez mgnienie oka i na Zbyszku, a wówczas młody rycerz doznał pewnego uczucia strachu i na myśl, że pewno przyjdzie mu stanąć przed gniewnym obliczem królewskim, opanował go okrutny niepokój. Pierwszy to raz pomyślał naprawdę o odpowiedzialności i karze, jaka nań spaść mogła, dotychczas bowiem wydawało mu się to wszystko dalekie, niewyraźne, zatem niewarte troski.

Ale Niemiec ani się domyślał, że ów rycerz, który natarł na niego zuchwale na gościńcu, znajduje się tak blisko. Rozpoczęło się śniadanie. Wniesiono polewkę winną, zaprawną jajami, cynamonem, gwoździkami<sup>347</sup>, imbirem i szafranem tak silnie, że zapach rozszedł się po całej izbie. Jednocześnie trefniś Ciaruszek, siedzący we drzwiach na zydlu<sup>348</sup>, począł udawać śpiew słowika, co widocznie weseliło króla. Po nim drugi obchodził stół wraz ze służbą obnoszącą potrawy, stawał nieznacznie za gośćmi i naśladował bliskie brzęczenie pszczoły tak dokładnie, że jaki taki kładł łyżkę i poczynił oganiać czuprynę. Na ten widok inni wybuchali śmiechem. Zbyszko pilnie usługiwał księżnie i Danusi, lecz gdy z kolei i Lichtenstein począł się klepać w lysiejącą głowę, zapomniał znów o nie-

Blazen

<sup>340</sup>*infułat* — wyższy dostojnik kościelny; określenie pochodzi od infuły, czyli nakrycia głowy takich osób. [przypis edytorski]

<sup>341</sup>*Jan Kropidło* (ok. 1364–1421) — syn księcia strzeleckiego Bolka III, sprawował kolejno urzędy biskupie w wielu diecezjach. [przypis edytorski]

<sup>342</sup>*paliusz* — szata liturgiczna przysługująca biskupowi metropolii (zwierzchnikowi kościelnej metropolii, czyli archidiecezji z zależnymi od niej diecezjami). [przypis edytorski]

<sup>343</sup>*plowy* — (o włosach) jasny. [przypis edytorski]

<sup>344</sup>*wymiarkować* (daw.) — zorientować się. [przypis edytorski]

<sup>345</sup>*Paszko (Pawel) z Biskupic, zwany Złodziej* — rycerz, uczestnik bitwy pod Grunwaldem. [przypis edytorski]

<sup>346</sup>*Sulimczyk* — człowiek herbu Sulima, tu o Zawiszy Czarnym i jego bratu Farureju. [przypis edytorski]

<sup>347</sup>*gwoździki* — popr.: goździki. [przypis edytorski]

<sup>348</sup>*zydel* — mebel do siedzenia, podobny do taboretu. [przypis edytorski]

bezpieczeństwie i począł śmiać się aż do łez, a stojący blisko niego młody książę litewski Jamont, syn namiestnika smoleńskiego, pomagał mu w tym tak szczerze, że aż ronil<sup>349</sup> potrawy z półmisków.

Lecz Krzyżak, spostrzegłszy wreszcie pomyłkę, sięgnął do kalety<sup>350</sup>, a jednocześnie zwróciwszy się do biskupa Kropidły, przemówił do niego kilka słów po niemiecku, które biskup zaraz po polsku powtórzył:

— Szlachetny pan mówi ci tak: — rzekł, zwracając się do błazna — dostaniesz dwa skojce, ale nie brzęcz za blisko, gdyż pszczoły się odpędzą, a trutniów się bije...

Na to trefniś pochował dwa skojce, które mu podał Krzyżak, i korzystając z przysługującej błaznom na wszystkich dworach wolności, odrzekł:

— Dużo miodu w ziemi dobrzyńskiej<sup>351</sup>, dlatego ją trutnie obsiadły. Bijże ich, królu Władysławie!

— Naści<sup>352</sup> i ode mnie grosz, boś dobrze powiedział — rzekł Kropidło — jeno pamiętaj, że gdy leziwo<sup>353</sup> się urwie, to bartnik kark skręci. Mają żądla te malborskie trutnie, które Dobrzyń obsiadły, i niebezpiecznie leżć na ich barć.

— O wa! — zawołał Zyndram z Maszkowic, miecznik krakowski. — Można ich wykurzyć!

— Czym?

— Prochem!

— Albo toporem barć ściąć! — rzekł olbrzymi Paszko Złodziej z Biskupic.

Zbyszkowi rosło serce, sądził bowiem, że takie słowa zapowiadają wojnę. Ale rozumiał je Kuno Lichtenstein, który przebywając długo w Toruniu i Chełmnie, wyuczył się polskiej mowy i nie używał jej tylko przez pychę. Teraz jednak, podrażnion słowami Zyndrama z Maszkowic, utopił w nim swoje szare źrenice i odrzekł:

— Zobaczymy.

— Widzieli ojce nasi pod Płowcami<sup>354</sup>, a i my widzielim pod Wilnem — odpowiedział Zyndram.

— *Pax vobiscum!*<sup>355</sup> — zawołał Kropidło. — *Pax, pax!* Niech jeno ksiądz Mikołaj z Kurowa ustąpi z biskupstwa kujawskiego, a król miłościwy mnie po nim naznaczy, powiem wam tak piękne kazanie o miłości między chrześcijańskimi narodami, iż was do cna skruszę. Cóż to jest bowiem nienawiść, jeśli nie *ignis*, a do tego *ignis infernalis*... ogień tak okrutny, że woda mu nie poradzi, i chyba winem trzeba go zalewać. Wina dawajcie! Pojedziemy na ops<sup>356</sup>! Jak mawiał nieboszczyk biskup Zawisza z Kurozwęk<sup>357</sup>!

— A z opsu do piekła, jak mówił diabeł! — dodał trefniś Ciaruszek.

— Niechże cię porwie!

— Cudniej będzie, jeśli was porwie. Nie widziano jeszcze diabła z Kropidłem, ale tak myślę, że wszyscy będziemy mieli tę uciechę...

— Wpierw siebie jeszcze pokropię. Wina dajcie i niech żywie miłość między chrześcijany!

— Między prawdziwymi chrześcijany! — powtórzył z naciskiem Kuno Lichtenstein.

— Jakże? — zawołał, podnosząc głowę, biskup krakowski Wysz. — Zali to nie w odwiecznie chrześcijańskim królestwie przebywacie? Zali nie starsze tu kościoły niż w Malborgu?

— Nie wiem — odpowiedział Krzyżak.

<sup>349</sup>*ronić* (daw.) — strącać. [przypis edytorski]

<sup>350</sup>*kaleta* — woreczek na pieniądze, zawieszany u pasa. [przypis edytorski]

<sup>351</sup>*ziemia dobrzyńska* — obszar na wschód od Torunia, zagarnięty przez Krzyżaków wskutek bezprawnej umowy z księciem Władysławem Opolczykiem. [przypis redakcyjny]

<sup>352</sup>*naści* (daw.) — masz. [przypis edytorski]

<sup>353</sup>*leziwo* — przyrząd pomagający w chodzeniu po drzewach. [przypis edytorski]

<sup>354</sup>*bitwa pod Płowcami* — rozegrana 27 września 1331 między wojskami Władysława Łokietka a oddziałami krzyżackimi, przerwała krzyżacką kampanię przeciw Polsce. [przypis edytorski]

<sup>355</sup>*Pax vobiscum!* (łac.) — pokój z wami. [przypis edytorski]

<sup>356</sup>*ops* (daw.) — rozpusta. [przypis edytorski]

<sup>357</sup>*Zawisza z Kurozwęk* (zm. 1382) — regent Królestwa Polskiego, biskup krakowski, kanclerz koronny, podkanclerzy koronny. Niechętny mu kronikarz Janko z Czarnkowa pisze, że po jego śmierci w Kościele Mariackim w Krakowie było słychać diabelskie krzyki „Pojedziemy na ops!”, tj. na rozpustę. [przypis edytorski]

Król szczególnie drażliwy był, gdy szło o chrześcijaństwo. Zdawało mu się, że Krzyżak może jemu właśnie chce przymówić, więc wystające policzki pokryły mu się zaraz czerwonymi piętnami, oczy poczęły błyskać.

— Co to! — odezwał się grubym głosem. — Niechrześcijański ja król? Co?

— Królestwo powiada się chrześcijańskim — odparł zimno Krzyżak — ale obyczaj są w nim pogańskie...

Na to podnieśli się groźni rycerze: Marcin z Wrocimowic<sup>358</sup>, herbu Półkoza, Florian z Korytnicy<sup>359</sup>, Bartosz z Wodzinka, Domarat z Kobylan<sup>360</sup>, Powąła z Taczewa, Paszko Złodziej z Biskupic, Zyndram z Maszkowic, Jaksa z Targowiska, Krzon z Kozichłów, Zygmunt z Bobowy i Staszko z Charbimowic, potężni, sławni, zwycięscy w wielu bitwach, w wielu turniejach, i to płonąć z gniewu, to błędąc, to zgrzytając zębami, poczęli wołać jeden przez drugiego:

— Gorze nam! Bo gościem jest i nie może być wyzwan!

A Zawisza Czarny, Sulimczyk, najślynniejszy między słynnymi, „wzór rycerzy”, zwrócił zmarszczone czoło do Lichtensteina i rzekł:

— Nie poznaję cię, Kunonie. Jakże możesz, rycerzem będąc, hańbić wspaniały naród, gdy wiesz, że jako posłowi żadna ci za to kara nie grozi?

Lecz Kuno wytrzymał spokojnie groźne spojrzenia i odrzekł z wolna, dobitnie:

— Nasz Zakon, zanim do Prus przybył, wojował w Palestynie, ale tam nawet i Saraceni posłów szanowali. Wy jedni ich nie szanujecie i dlatego obyczaj wasz nazwał pogańskim.

Na to gwar uczynił się jeszcze większy. Naokół stołu ozwały się znów okrzyki: „Gorze, gorze!”. Ale uciszyły się, gdy król, na którego obliczu wrzał gniew, klasnął obyczajem litewskim kilkakrotnie w dłoń. Wówczas wstał stary Jaśko Topór z Tęczyna, kasztelan krakowski, sędziwy, poważny, postrach dostojnością urzędu budzący, i rzekł:

— Szlachetny rycerzu z Lichtensteinu, jeśli was jakowaś obelga jako posła spotkała, mówcie, a srogiej sprawiedliwości wartko stanie się zadość.

— Nie przygodziłoby mi się to w żadnym innym chrześcijańskim państwie — odrzekł Kuno. — Wczoraj na drodze do Tyńca napadł mnie jeden wasz rycerz i choć z krzyża na płaszczu łącznie<sup>361</sup> mógł poznać, ktom jest, na życie moje godził.

Zbyszko, usłyszawszy te słowa, pobladł mocno i mimo woli spojrzał na króla, którego twarz była wprost straszna. Jaśko z Tęczyna zdumiał się i rzekł:

— Możeż to być?

— Zapytajcie pana z Taczewa, któren był świadkiem przygody.

Wszystkie oczy zwróciły się na Powagę, który stał przez chwilę mroczny, ze spuszczonymi powiekami, po czym rzekł:

— Tak jest!...

Usłyszawszy to, rycerze poczęli wołać: „Hańba! Hańba! Bogdaj się ziemia pod takim zapadła!”. I ze wstydu jedni uderzali się pięściami w uda i piersi, drudzy skręcali w palcach cynowe misy na stole, nie wiedząc, gdzie oczy podziać.

— Czemuś ty go nie ubił? — zagrział król.

— Bo głowa jego do sądu należy — odparł Powąła.

— Uwięziliście go? — spytał kasztelan Topór z Tęczyna.

— Nie, bo na cześć rycerską poprzysiągł, że się stawi.

— I nie stawi się! — zawołał szyderczo Kuno, podnosząc głowę.

Wtem jakiś młody, smutny głos ozwał się niedaleko za plecami Krzyżaka:

— Nie daj Bóg, abych<sup>362</sup> ja hańbę od śmierci wołał. Jam to uczynił: Zbyszko z Bogdańca.

Po tych słowach porwali się rycerze ku nieszczęsnemu Zbyszкови, lecz powstrzymało ich groźne skinienie króla, który powstawszy z zaiskrzonymi oczyma, począł wołać

<sup>358</sup> *Marcin (Marcisz) z Wrocimowic* (zm. 1442) — polski rycerz niemieckiego pochodzenia, starosta łowicki. [przypis edytorski]

<sup>359</sup> *Florian z Korytnicy* — średniowieczny rycerz polski, kasztelan wiślicki, uczestnik bitwy pod Grunwaldem. [przypis edytorski]

<sup>360</sup> *Domarat z Kobylan* (1380–1440) — uczestnik bitwy pod Grunwaldem, od 1428 marszałek nadworny koronny. [przypis edytorski]

<sup>361</sup> *łącznie* (daw.) — łatwo. [przypis edytorski]

<sup>362</sup> *abych* (daw., reg.) — abym. [przypis edytorski]

zdyszany od gniewu głosem, podobnym do turkotu, jaki wydaje wóz toczący się po kamieniach:

— Uciąć mu szyję! Uciąć mu szyję! Niech Krzyżak głowę jego odesła do Malborga mistrzowi!

Po czym krzyknął na stojącego w pobliżu młodego kniazia litewskiego, syna namiestnika smoleńskiego:

— Trzymaj go, Jamont!

Przerażony gniewem królewskim Jamont położył drżące dłonie na ramionach Zbyszka, który zwróciwszy ku niemu pobladła twarz, rzekł:

— Nie ucieknę...

Lecz białobrody kasztelan krakowski, Topór z Tęczyna, podniósł rękę na znak, że chce mówić — i gdy się uciszyło, rzekł:

— Miłościwy królu! Niechże się ów komtur przekona, że nie twoja zapalczywość, ale nasze prawa karzą śmiercią za porwanie się na osobę posła. Inaczej słusznie by mógł mniemać, że nie masz praw chrześcijańskich w tym Królestwie. Sąd nad winowajcą sam odprawię!

Ostatnie słowa wyrzekł głosem podniesionym i widocznie nie dopuszczając nawet myśli, aby ów głos mógł być niewysłuchanym, skinął na Jamonta:

— Zamknąć go do wieży. Wy zaś, panie z Taczewa, świadczyć będziecie.

— Opowiem całą winę tego wyrostka, której żaden żrzał<sup>363</sup> mąż między nami nigdy by się nie dopuścił — odpowiedział Powął, spoglądając posępnie na Lichtensteina.

— Słusznie prawil! — powtórzyli zaraz inni. — Pacholę<sup>364</sup> to jeszcze! Za cóż nas wszystkich z jego przyczyny pohańbiono?

Nastała chwila milczenia i niechętnych spojrzeń na Krzyżaka, a tymczasem Jamont wiódł Zbyszka, by oddać go w ręce łuczników stojących na zamkowym dziedzińcu. Czuł on w młodym sercu litość dla więźnia, którą potęgowała wrodzona mu nienawiść do Niemców. Ale jako Litwin, przywykły ślepo spełniać wolę wielkiego księcia i sam przerażony gniewem królewskim, począł po drodze szeptać do młodego rycerza sposobem życzliwej namowy:

— Wiesz, co ci rzekę: powieś się! Najlepiej od razu powieś się. „Korol<sup>365</sup>” rozsierzdził się, i tak ci głowę utną. Czemu byś go nie miał uweselić? Powieś się, druhu! U nas taki zwyczaj.

Zbyszko, na wpół przytomny ze wstydu i strachu, zdawał się z początku nie rozumieć słów kniazika, ale wreszcie zrozumiał je i aż zatrzymał się ze zdumienia:

— Coże ty prawisz?

— Powieś się! Po co cię mają sądzić. Króla uweselisz! — powtórzył Jamont.

— Powieśże się sam! — zawołał młody rycerz. — To cię niby ochrztili, a skóra została na tobie pogańska, i tego nawet nie rozumiesz, że grzech chrześcijaninowi taką rzecz czynić.

A kniaź ruszył ramionami:

— Toż nie po dobrej woli. I tak ci głowę utną.

Zbyszkowi przemknęło przez myśl, że za podobne słowa wypadałoby zaraz wyzwąć bojarzynka na walkę pieszą lub konną, na miecze albo na topory, ale stłumił w sobie tę chęć, wspomniawszy, że już mu czasu na to nie stanie<sup>366</sup>. Więc spuścił smutnie głowę i w milczeniu pozwolił się oddać w ręce przywódcy pałacowych łuczników.

A w sali tymczasem uwaga powszechna zwróciła się w inną stronę. Danusia, widząc, co się dzieje, przelekła się z początku tak, iż dech zaparło w jej piersi. Twarzyczka jej pobladła jak płótno, oczki stały się okrągłe z przerażenia — i patrzyła na króla bez ruchu, jak woskowa figurka w kościele. Lecz gdy wreszcie usłyszała, że jej Zbyszkowi mają głowę uciąć, gdy go zabrali i wyprowadzili z izby, wówczas chwycił ją żal niezmierny; usta i brwi poczęły jej się trząść; nie pomógł nic ni strach przed królem, ni przygryzanie ząbkami ust — i nagle wybuchnęła płaczem tak żalonym i donośnym, że wszystkie twarze zwróciły się ku niej, a sam król spytał:

<sup>363</sup>żrzał (daw.) — dojrzały, dorosły. [przypis edytorski]

<sup>364</sup>pacholę (daw.) — dziecko. [przypis edytorski]

<sup>365</sup>korol (z ros.) — król. [przypis edytorski]

<sup>366</sup>nie stanie (daw.) — nie starczy. [przypis edytorski]

— Co to jest?

— Królu miłościwy! — zawołała księżna Anna. — To jest córka Juranda ze Spychow-  
wa, której ów nieszczęsny rycerzyk ślubował. Ślubował ci jej trzy pawie czuby z hełmów  
zdrzeć i ujrawszy czub taki na hełmie tego komtura, mniemał, że go mu sam Bóg zesłał.  
Nie ze złości on to czynił, panie, jeno przez głupstwo, przeto bądź mu miłościw i nie karz  
go, o co cię na kolanach prosimy.

Tak rzekłszy, wstała i chwyciwszy Danusię za rękę, podbiegła z nią do króla, który  
widząc to, począł się cofać. Ale one obie uklęknęły przed nim i Danusia, objąwszy rączynami  
nogi pańskie, poczęła wołać:

— Daruj Zbyszkowi, królu, daruj Zbyszkowi!

I z uniesienia, a zarazem ze strachu, pochowała swą jasną główkę w fałdy szarej szaty  
królewskiej, całując mu przy tym kolana i dygocąc jak liść. Księżna Anna Ziemowitowa  
klęknęła z drugiej strony i złożywszy ręce, patrzyła błagalnie na króla, w którego twarzy  
odbilo się wielkie zakłopotanie. Cofał się wprawdzie wraz z krzesłem, ale nie odpychał  
przemocą Danusi, machał tylko obu rękami, jakby opędzając się od much.

— Dajcie mi spokój! — wołał. — Zawinił, całe Królestwo pohańbił! Niech mu głowę  
utną!

Lecz małe rączyny zaciskały się coraz silniej wokół jego kolan, a dziecinny głosik wołał  
coraz żałośniej:

— Daruj Zbyszkowi, królu, daruj Zbyszkowi!

Wtem ozwały się głosy rycerskie:

— Jurand ze Spychowa, rycerz sławny, postrach na Niemców!

— I ów wyrostek wielce się już pod Wilnem zasłużył — dodał Powala.

Lecz król bronił się dalej, lubo sam widokiem Danusi wzruszony:

— Dajcie mi spokój! Nie mnie zawinił i nie ja mogę mu darować. Niech mu poseł  
Zakonu daruje, to i ja daruję, a nie, to niech mu głowę utną.

— Daruj mu, Kunonie! — rzekł Zawisza Czarny, Sulimczyk. — Sam mistrz ci tego  
nie przygani!

— Daruj mu, panie! — zawołały obie księżne.

— Daruj mu, daruj! — powtórzyły głosy rycerskie.

Kuno przymknął powieki i siedział z podniesionym czołem, jakby rozkoszując się tym,  
że i obie księżne, i tak znamienici rycerze zanoszą do niego prośby. Nagle zmienił się  
w mgnieniu oka, spuścił głowę, skrzyżował ręce na piersiach, z dumnego stał się pokorny  
i ozwał się przyciszonym, łagodnym głosem:

— Chrystus, Zbawiciel nasz, przebaczył łotrowi na krzyżu i nieprzyjaciółom swoim...

— Prawy to rycerz mówi! — ozwał się biskup Wys.

— ...jakżebym ja nie miał przebaczyć — ciągnął dalej Kuno — którym jest nie tylko  
chrześcijaninem, ale i zakonnikiem? Przeto przebaczam mu z duszy serca jako Chrystu-  
sowy sługa i zakonnik!

— Sława mu! — huknął Powala z Taczewa.

— Sława! — powtórzyli inni.

— Ale — rzekł Krzyżak — jestem tu posłem między wami i noszę w sobie ma-  
jestat całego Zakonu, który jest Chrystusowym Zakonem. Kto więc mnie jako posła  
ukrzywdził, ukrzywdził Zakon, a kto obraził Zakon, obraził samego Chrystusa, i takiej  
krzywdy ja wobec Boga i ludzi darować nie mogę, jeśli zaś prawo wasze ją daruje, niech  
się dowiedzą o tym wszyscy panowie chrześcijańscy.

Po tych słowach zapadło głucho milczenie. Po chwili tylko ozwały się gdzieniegdzie  
zgrzytania zębów, ciężkie oddechy tłumionej wściekłości i łkanie Danusi.

Do wieczora wszystkie serca przechyliły się ku Zbyszkowi. Ci sami rycerze, którzy  
z rana byliby go gotowi na jedno skinienie króla roznieść na mieczach, wysilali teraz umy-  
sły, jakim by sposobem przyjść mu z pomocą. Księżne postanowiły udać się z prośbą do  
królowej, by skłoniła Lichtensteina do zupełnego odstąpienia od skargi lub w razie po-  
trzeby napisała do mistrza Zakonu, prosząc, by ten rozkazał Kunonowi zaniechać sprawy.  
Droga zdawała się pewna, gdyż Jadwigę otaczała cześć tak nadzwyczajna, że wielki mistrz  
ściągnąłby na siebie gniew papieża i naganę wszystkich chrześcijańskich książąt, gdyby jej

takiej rzeczy odmówił. Nie było też to prawdopodobnym i dlatego, że Konrad von Jungingen był człowiekiem spokojnym i o wiele od swoich poprzedników łagodniejszym. Na nieszczęście, biskup krakowski Wyszyński, który był zarazem głównym lekarzem królowej, zakazał najsurowiej wspominać jej choćby jednym słowem o całej sprawie. „Nigdy ona o śmiertelnych wyrokach rada nie słucha — mówił — i choćby o prostego zbroja chodziło, zaraz to do serca bierze, a cóż dopiero, jeśli o szyję młodzianka idzie, któren słusznie jej miłosierdzia mógłby wyglądać. Ale wszelka turbacja<sup>367</sup> łatwo do ciężkiej niemocy może ją przywieść, zdrowie zaś jej więcej dla całego Królestwa znaczy niżeli dziesięć głów rycerskich”. Zapowiedział wreszcie, że gdyby kto ośmielił się wbrew jego słowom turbować<sup>368</sup> panią, na tego on ściągnie straszny gniew królewski, a w dodatku klątwą kościelną go obłoży.

Złękły się tej zapowiedzi obie księżne i postanowiły milczeć przed królową, a natomiast póty błagać króla, póki jakowejś łaski nie okaże. Cały dwór i wszyscy rycerze stali już po stronie Zbyszka. Powąła z Taczewa zapowiadał, iż wyzna szczerą prawdę, ale że złoży świadectwo dla młodzieńca przychylnie i całą sprawę przedstawił jako chłopięcą zapędliwość. Z tym wszystkim każdy przewidywał, a kasztelan Jaśko z Tęczyna głośno oświadczał, że jeśli Krzyżak się zatnie<sup>369</sup>, to srogiemu prawu musi się stać zadość.

Burzyły się więc tym bardziej przeciw Lichtensteinowi rycerskie serca i niejednen myślał lub nawet mówił otwarcie: „Posłem jest i w szranki powołan być nie może, ale gdy do Malborga wróci, nie daj Bóg, aby swoją własną szczerą<sup>370</sup> śmiercią”. I nie były to próżne groźby, albowiem rycerzom, którzy nosili pas, nie wolno było jednego słowa na wiatr uronić, kto zaś co zapowiadał, musiał tego dokazać<sup>371</sup> lub zginąć. Groźny Powąła okazał się przy tym najzawziętym, albowiem miał w Taczewie umiłowaną córuchnę w wieku Danusi — skutkiem czego lzy Danusine całkiem skruszyły w nim serce.

Jakoż jeszcze tego samego dnia odwiedził Zbyszka w podziemiu, kazał mu być dobrej myśli i opowiedział o prośbach obu księżn i o lżach Danusi... Zbyszko dowiedziawszy się, iż dziewczyna rzuciła się dla niego do nóg królewskich, rozczulił się tym uczynkiem aż do łez i nie wiedząc, jak swoją wdzięczność i tęsknotę wyrazić, rzekł, obcierając wierzchem dłoni powieki:

— Hej! Niechże ją Bóg błogosławi, a mnie jako najprędzej zezwoli jakąś walkę pieszą albo konną za nią stoczyć! Za mało ja jej Niemców obiecał, bo takiej trzeba było tylu ślubować, ile ma roków. Byle mnie Pan Jezus z tej obierzy wybawił, już ja jej nie poskapię!...

I podniósł pełne wdzięczności oczy ku górze...

— Naprzód kościołowi jakiemu co obiecuj — odrzekł pan z Taczewa — bo jeśli się twoja obietnica Bogu spodoba, pewnikiem wnet wolny będziesz. A po wtóre, słuchaj: poszedł do Lichtensteina twój stryk<sup>372</sup>, a potem pójdę jeszcze i ja. Nie hańba ci będzie przeprosić go za winę, boś zawinił, i nie żadnego Lichtensteina, ale posła będziesz przepraszał. Gotówże jesteś?

— Skoro mi taki rycerz jak wasza miłość mówi, iż się to godzi: uczynię! Ale jeśli będzie chciał, żebym go tak przepraszał, jako żądał na drodze z Tyńca, to niechże mi głowę utną. Stryk ostanie<sup>373</sup> i stryk mu odpłaci, gdy się jego poselstwo skończy...

— Obaczym, co powie Maćkowi — rzekł Powąła.

A Maćko rzeczywiście był wieczorem u Niemca, ale ten przyjął go wzgardliwie: światła nawet nie kazał zapalić i w zmroku z nim gadał. Wrócił więc stary rycerz od niego posępny jak noc i udał się do króla. Król przyjął go dobrotliwie, bo się już był całkiem uspokoił, i gdy Maćko klęknął, kazał mu zaraz wstać, pytając, czego by żądał.

— Miłościwy panie — rzekł Maćko — była wina, musi być kara, bo inaczej nie byłoby nijakiego prawa na świecie. Jeno jest i moja wina, iżem przyrodzonej zapalczywości tego wyrostka nie tylko nie hamował, ałem mu ją jeszcze chwalił. Takem go to hodował,

<sup>367</sup>turbacja (daw.) — trudna sytuacja bądź zmartwienie nią. [przypis edytorski]

<sup>368</sup>turbować (daw.) — martwić. [przypis edytorski]

<sup>369</sup>zaciąć się (daw.) — uprzeć się, zawziąć się. [przypis edytorski]

<sup>370</sup>szczerznąć (daw.) — zginąć. [przypis edytorski]

<sup>371</sup>dokazać (daw.) — dokonać. [przypis edytorski]

<sup>372</sup>stryk (daw.) — stryj. [przypis edytorski]

<sup>373</sup>ostać (daw.) — zostać. [przypis edytorski]

a potem od małości hodowała go wojna. Moja wina, miłościwy królu, bom mu nieraz powiadał: wpierw tnij, a potem obaczysz, kogoś rozciął. I dobrze z tym było na wojnie, źle zasię przy dworze! Ale to chłop jak szczere złoto, ostatni z rodu, i żal mi go okrutny...

— Mnie pohańbił, Królestwo pohańbił — rzekł król — mam-li go za to miodem smarować?

A Maćko umilkł, gdyż na wspomnienie o Zbyszku żal ścisnął go nagle za gardło, i dopiero po długiej chwili jął mówić wzruszonym jeszcze i przerywanym głosem:

— Anim ja wiedział, że go tak miłuję, i dopiero teraz się pokazało, jak bieda przyszła. Ale ja stary, a on z rodu ostatni. Nie będzie jego, nie będzie nas. Królu miłościwy i panie, ulitujże ty się nad rodem naszym!

Tu klęknął znowu Maćko i wyciągnawszy przed się spracowane na wojnach ręce, mówił ze łzami:

— Broniliśmy Wilna: łupy Bóg dał godne, komu ja to ostawię<sup>374</sup>? Chce Krzyżak kary, panie, niech będzie kara, ale pozwólcie, abych ja swoją głowę oddał. Co mi tam po żywocie bez Zbyszka! Młody jest, niech ziemię wykupi i potomstwo płodzi, jako Bóg człowiekowi przykazał. Nie zapyta się nawet Krzyżak, czyja głowa spadła, byle spadła. Hańba też z tego nijaka na ród nie spadnie. Ciężko człowiekowi iść na śmierć, ale pomiarkowawszy<sup>375</sup>, to lepiej, żeby człek zginął, niż żeby ród miał zginąć...

I tak mówiąc, objął nogi królewskie, król zaś począł mrugać oczyma, co było u niego oznaką wzruszenia, a wreszcie rzekł:

— Nie będzie tego, żeby ja opasanemu rycerzowi głowę kazał niewinnie ucinąć! Nie będzie, nie będzie!

— I nie byłoby w tym sprawiedliwości — dodał kasztelan. — Prawo winnego przyciśnie, ale nie smok ci to żaden, który nie patrzy, czyją krew chłepce. A wy uważcie, że właśnie hańba by na wasz ród spadła, bo jeśliby bratanek wasz przystał na to, co mówicie, tedyby i samego, i jego potomstwo za bezecnych wszyscy mieli...

Na to Maćko:

— Nie przystałby on. Ale gdyby się to bez jego wiadomości stało, toby mnie potem pomścił, jako i ja jego pomszczę.

— Ha! — rzekł Tęczyński. — Wskórajcie u Krzyżaka, by skargi zaniechał...

— Jużem u niego był.

— I co? — spytał, wyciągając szyję, król. — Co powiedział?

— Powiedział mi tak: „Trzeba było na tynieckiej drodze o darowanie prosić; nie chcieliście, to teraz i ja nie chcę”.

— A wy czemu nie chcieli?

— Bo przykazał nam z koni zsiąść i na piechotę przepraszać.

Król założył włosy za uszy i chciał coś odpowiedzieć, gdy wtem wszedł dworzanin z oznajmieniem, iż rycerz z Lichtensteinu prosi o posłuchanie.

Usłyszawszy to, Jagiełło spojrział na Jaśka z Tęczyna, potem na Maćka, lecz kazał im pozostać, może w nadziei, że uda mu się przy tej sposobności załagodzić sprawę swoją powagą królewską.

Tymczasem Krzyżak wszedł, skłonił się królowi i rzekł:

— Miłościwy panie! Oto jest spisana skarga o zniewagę, jaka mnie w królestwie waszym spotkała.

— Skarżcie się jemu — odpowiedział król, ukazując na Jaśka z Tęczyna.

Krzyżak zaś rzekł, patrząc wprost w twarz króla:

— Nie znam waszych praw ni waszych sądów, wiem jeno, że poseł Zakonu przed samym tylko królem skarżyć się może.

Małe oczki Jagiełły zamigotały z niecierpliwości, wyciągnął jednak rękę, wziął skargę i oddał Tęczyńskiemu.

Ten zaś rozwinął ją i począł czytać, ale w miarę jak czytał, twarz stawała mu się coraz więcej frasobliwa i smutna.

— Panie — rzekł wreszcie — tak nastajecie na życie tego młodzianka, jakby on całemu waszemu Zakonowi był straszny. Zali wy, Krzyżacy, już się i dzieci boicie?

<sup>374</sup>ostawić (daw.) — zostawić. [przypis edytorski]

<sup>375</sup>pomiarkować (daw.) — zastanowić się. [przypis edytorski]



— My, Krzyżacy, nie boim się nikogo — odparł dumnie komtur.

A stary kasztelan dodał z cicha:

— A zwłaszcza Boga.

Powała z Taczewa czynił nazajutrz przed sądem kasztelańskim wszystko, co było w jego mocy, aby winę Zbyszka umniejszyć. Lecz próżno uczynek przypisywał dzieciństwu i niedoświadczeniu, próżno mówił, że nawet i ktoś starszy, gdyby trzy pawie czuby ślubował i o zesłanie ich się modlił, a potem ujrzał nagle taki czub przed sobą, mógłby także pomyśleć, że jest w tym zrządzenie Boskie. Jednej rzeczy nie mógł zacny rycerz zaprzeczyć, to jest, że gdyby nie on, to kopia Zbyszkowa byłaby uderzyła o pierś Krzyżaka. Kuno zaś kazał przynieść do sądu zbroję, w którą owego dnia był przybrany, i okazało się, że była z cienkiej blachy, używana tylko do uroczystych odwiedzin i tak wiotka, że Zbyszko, zważywszy jego nadzwyczajną siłę, byłby ją niechybnie grotem na wylot przebódl i posła życia pozbawił. Za czym pytano jeszcze Zbyszka, czy myślał Krzyżaka zabić; lecz on nie chciał się tego zapierać. „Wołałem na niego z daleka — rzekł — by kopii nadstawił, bo jużci żywy nie dałby sobie ze łba hełmu zedrzeć — ale gdyby i on był z daleka wołał, iż jest posłem, tedybym go był w spokoju ostawił”.

Podobały się te słowa rycerzom, którzy przez życzliwość dla młodzianka tłumnie się na sąd zgromadzili, i zaraz podniosły się liczne głosy: „Prawda! Czemu nie wołał!”. Lecz twarz kasztelana pozostała posępna i surowa. Nakazawszy obecnym milczenie, sam także przez chwilę milczał, po czym utkwiał w Zbyszka badawcze źrenice i zapytał:

— Możesz-li na Mękę Pańską poprzysiąc, żeś płaszcz i krzyża nie widział?

— Nijak! — odpowiedział Zbyszko. — Żeby ja krzyża nie widział, to myślałbym, że to nasz rycerz, a w naszego przecie bym nie godził.

— A jakoż mógł się inny Krzyżak pod Krakowem znajdować, jeśli nie poseł albo nie z poselskiego pocztu?

Na to nic nie rzekł Zbyszko, bo nie było co rzec. Dla wszystkich było rzeczą aż nazbyt jasną, że gdyby nie pan z Taczewa, to w obecnej chwili leżałby przed sądem nie pancierz posła, ale sam poseł, z przebitą na wieczną hańbę narodowi polskiemu piersią — więc ci nawet, którzy z całej duszy sprzyjali Zbyszskowi, rozumieli, że wyrok nie może być dla niego łaskawy...

Jakoż po chwili kasztelan rzekł:

— Iżes w zapalczywości swej nie pomyślał, w kogo bijesz, i czynił bez złości, przeto ci Zbawiciel nasz to policzy i daruje, ale ty się, nieboże, Najświętszej Pannie polec, gdyż prawo nie może ci tego darować...

Usłyszawszy to Zbyszko, chociaż spodziewał się podobnych słów, przybladł nieco, ale wnet potem wstrząsnął w tył swe długie włosy, przeżegnał się i rzekł:

— Wola boska! Ano, trudno!

Następnie zwrócił się do Maćka i ukazał mu oczyma na Lichtensteina, jakby polecając go jego pamięci, a Maćko kiwnął głową na znak, że rozumie i pamięta. Zrozumiał to spojrzenie i ten ruch także i Lichtenstein, i jakkolwiek w piersiach biło mu zarówno mężne, jak i zawzięte serce, jednakże dreszcz przebiegł go na chwilę od stóp do głów, tak straszną i złowrogą twarz miał w tej chwili stary wojownik. Widział Krzyżak, że między nim a owym starym rycerzem, którego twarzy nie mógł nawet dobrze pod hełmem dojrzeć, pójdzie odtąd na śmierć i życie, że gdyby się nawet chciał przed nim skryć, to się nie skryje, i że gdy przestanie być posłem, to się muszą spotkać choćby w Malborgu.

Tymczasem kasztelan udał się do przyległej izby, by podyktować wyrok na Zbyszka bieglemu w piśmie sekretarzowi. Ten i ów z rycerzy zbliżał się podczas owej przerwy do Krzyżaka, mówiąc:

— Bogdaj na sądzie ostatecznym łaskawiej osądzono! Radześ tej krwi?

Lecz Lichtensteinowi chodziło tylko o Zawiszę, gdyż ten, z powodu swych czynów bojowych, znajomości praw rycerskich i niezmiernej surowości w ich przestrzeganiu, znany był po świecie szeroko. W sprawach najbardziej zawikłanych, w których chodziło o honor rycerski, udawano się do niego nieraz bardzo z daleka i nikt nigdy nie śmiał mu przeczyć, nie tylko dlatego, że pojedyncza walka z nim była niepodobna<sup>376</sup>, ale i dlatego,

<sup>376</sup>niepodobna (daw.) — niemożliwa. [przypis edytorski]

że uważano go za „zwierciadło czci”. Jedno słowo przygany albo pochwały z ust jego szybko rozchodziło się między rycerstwem Polski, Węgier, Czech, Niemiec i mogło stanowić o złej lub dobrej sławie rycerza.

Do niego więc zbliżył się Lichtenstein i jakby chcąc usprawiedliwić się ze swej zawziętości, rzekł:

— Sam tylko wielki mistrz wraz z kapitułą<sup>377</sup> mógłby mu łaskę okazać, ja nie mogę...

— Nic waszemu mistrzowi do naszych praw; łaskę może tu okazać nie on, jeno król nasz — odpowiedział Zawisza.

— A ja, jako poseł, musiałem żądać kary.

— Pierwej byłeś rycerzem niż posłem, Lichtensteinie...

— Zali mniemasz, żem czci uchybił?

— Znasz nasze księgi rycerskie i wiesz, że dwoje zwierząt kazano naśladować rycerzowi: lwa i baranka. Którego żeś z nich w tej przygodzie naśladował?

— Nie tyś moim sędzią...

— Pytałeś, czyś czci nie uchybił, tom ci i odkazał<sup>378</sup>, jako myślę.

— Żleś mi odkazał, bo tego nie mogę przelknąć.

— Własną się, nie moją złością udławisz.

— Ale mi Chrystus policzy, żem o majestat Zakonu więcej dbał niż o swoją chwałbę...

— On też nas wszystkich będzie sądził.

Dalszą rozmowę przerwało wejście kasztelana i sekretarza. Wiedziano już, że wyrok będzie niepomysłny, jednakże uczyniła się głucha cisza. Kasztelan zajął miejsce za stołem i wzięwszy w rękę krucyfiks, rozkazał Zbyszkowi klęknąć.

Sekretarz zaczął odczytywać po łacinie wyrok. Ani Zbyszko, ani obecni rycerze nie zrozumieli go, jednakże wszyscy domyślili się, że jest to wyrok śmierci. Zbyszko po skończeniu czytania uderzył się kilkakrotnie pięścią w piersi, powtarzając: „Boże, bądź miłosciw mnie grzesznemu”. Po czym wstał i rzucił się w ramiona Maćka, który począł całować w milczeniu jego głowę i oczy.

Wieczorem zaś tego dnia herold ogłaszał przy odgłosie trąb rycerzom, gościom i mieszczanstwu na czterech rogach rynku, iż szlachetny Zbyszko z Bogdańca skazan jest z wyroku kasztelańskiego na ucięcie głowy mieczem...

Lecz Maćko wyprosił, by egzekucja nie nastąpiła rychło, co mu przyszło łatwo, gdyż ludziom ówczesnym, zamilowanym w drobiazgowym rozporządzaniu mieniem, zostawiano zwykle czas do układów z rodziną, jak również do pojednania się z Bogiem. Nie chciał też nastawać na prędkie wykonanie wyroku i sam Lichtenstein rozumiejąc, że skoro obrażonemu majestatowi Zakonu stało się zadość, nie należy do reszty zrażać potężnego monarchy, do którego był wysłan nie tylko dla wzięcia udziału w uroczystościach chrzcina, ale i dla układów o ziemię dobrzyńską. Najważniejszym jednak względem było zdrowie królowej. Biskup Wysz ani chciał słyszeć o egzekucji przed pologiem, słusznie mniemając, że takiej sprawy nie można będzie przed panią ukryć, ta zaś, gdy się raz o niej dowie, wpadnie w turbację mogącą jej ciężko zaszkodzić. W ten sposób pozostawało Zbyszkowi może i kilka miesięcy życia do ostatecznych rozporządzeń i pożegnania się ze znajomymi.

Jakoż Maćko odwiedzał go codziennie i pocieszał, jak umiał. Rozmawiali żałośnie o nieuniknionej śmierci Zbyszkowej, a jeszcze żałośnie o tym, że ród może wyginąć.

— Nie będzie inaczej, jeno musicie babę brać — rzekł raz Zbyszko.

— Wolej bym krewniaka jakiego choć z dalekości odszukał — odpowiedział stroskany Maćko. — Gdzie mnie o babach myśleć, kiedy tobie mają szyję uciąć. A choćby też koniecznie przyszło którą brać, nie uczynię tego, nim Lichtensteinowi zapowiedzi rycerskiej nie poślę i pomsty nie dokonam. Już ty się nie bój!...

— Bóg wam zapłać. Niechże mam choć tę uciechę! Alem to wiedział, że mu nie darujecie. Jako że uczynicie?

— Jak się posłowanie jego skończy, będzie albo wojna, albo spokój, rozumiesz? Jeśli będzie wojna, wyślę mu zapowiedź, żeby przed bitwą do pojedynczej walki ze mną stanął.

— Na udeptanej ziemi?

<sup>377</sup>kapituła — rada sprawująca władzę w zakonie. [przypis edytorski]

<sup>378</sup>odkazać (z ros.) — odpowiedzieć. [przypis edytorski]

— Na udeptanej ziemi, konno albo pieszo, ale jeno na śmierć, nie na niewolę. Będzie-li zaś spokój, to do Malboga pojedę i kopią w bramę zamkową uderzę, a trębaczowi każę otrąbić, że go na śmierć wyzywam. Już ci się nie pochowa.

— Pewnie, że się nie pochowa, i rady mu dacie, jakobym widział.

— Rady?... Zawiszy bym nie dał, Paszkowi bym nie dał, Powale też; ale nie chwalać się, takim jak on poradzę dwom. Obaczy krzyżacka jego mać! Zali nie tęższy był ów rycerz od Fryzów? A jakim go ciął z góry bez<sup>379</sup> hełm, gdzie mi się topór zatrzymał? Na zębach się zatrzymał. Albo nie?

Odetchnął na to Zbyszko z wielką ulgą i rzekł:

— Lżej będzie ginąć.

I poczęli wzdychać obydwaj, po czym stary szlachcic jał<sup>380</sup> mówić wzruszonym głosem:

— Ty się nie frasuj. Nie będą twoje kości szukały jedna drugiej na sądzie ostatecznym. Trumnę ci kazałem sporządzić dębową, taką, że i kanonicy od Panny Marii nie mają lepszych. Nie zginiesz ty jako ściertalca<sup>381</sup>. Ba! I tego nawet nie dopuszczę, żebyć mieli ścinać na tym samym suknie, na którym mieszczanów<sup>382</sup> ścinają. Jużem się z Amylejem zgodził, że da całkiem nowe, tak zacne, że starczyłoby i królowi na poszycie kozucha. I mszy ci nie pożałuję, nie bój się!

Uradowało się na to serce Zbyszka, więc pochyliwszy się do ręki stryjca, powtórzył:

— Bóg wam zapłać.

Czasem jednak, mimo wszystkich pociech, zdejmowała go okrutna tęsknota, więc innym razem, gdy Maćko przyszedł go odwiedzić, ledwie się z nim przywitawszy, zapytał, spoglądając przez kratę w murze:

— A co tam na dworze?

— Pogoda jak złoto, a słońko przygrzewa, aże<sup>383</sup> całemu światu miło.

Na to Zbyszko założył na kark obie dłonie i przechyliwszy w tył głowę, mówił:

— Hej, mocny Boże! Konia pod sobą mieć i jeździć po polach, po szerokich. Żal ginąć młodemu! Okrutny żal!

— Gina ludzie i z konia! — odparł Maćko.

— Ba! Ale ilu sami przedtem nabija!...

I począł wypytywać o rycerzy, których na dworze króla widział: o Zawiszę, o Farureja, o Powalę z Taczewa, o Lisa z Targowiska i o wszystkich innych — co robią, czym się zabawiają<sup>384</sup>, na jakich zacnych ćwiczeniach czas im schodzi? I słuchał chciwie opowiadań Maćka, który prawił, jako rano we zbrojach przez konie skaczą, jako powrozy targają, jako się próbują na miecze i na topory z ołowianymi ostrzami, a w końcu, jak uczują i jakie pieśni śpiewają. Chciało się Zbyszkowi lecieć do nich z całej duszy i serca, a gdy się dowiedział, że Zawisza zaraz po chrzcinach wybiera się aż hen gdzieś w dół Węgrów<sup>385</sup> na Turków, nie mógł się wstrzymać od okrzyku:

— Puściliby mnie z nim! Niechbym choć przeciw poganom zginął.

Ale nie mogło to być, a tymczasem zdarzyło się coś innego. Oto obie księżne mazowieckie nie przestały myśleć o Zbyszku, który ujął je swoją młodością i urodą. Wreszcie księżna Aleksandra Ziemowitowa umyśliła wysłać list do mistrza. Mistrz nie mógł wprawdzie zmienić wyroku wydanego przez kasztelana, ale mógł wstawić się za młodzieńcem do króla. Jagielle nie wypadało wprawdzie okazywać łaski, gdy szło o zamach na posła, zdawało się jednak rzeczą niewątpliwą, że rad ją okaże na wstawiennictwo samego mistrza. Więc nadzieja na nowo wstąpiła w serce obu pań. Księżna Aleksandra, mając sama słabość do polerowanych<sup>386</sup> rycerzy zakonnych, była i przez nich nadzwyczaj ceniona. Niejednokrotnie szły dla niej z Malboga bogate dary i listy, w których mistrz nazywał ją czcigodną, świątobliwą dobrodziejką i osobliwszą orędowniczką Zakonu. Słowa jej wiele mogły i było rzeczą wielce prawdopodobną, iż nie doznają odmowy. Chodziło tylko o znalezienie gońca, który by dolożył wszelkiej gorliwości, aby jak najprędzej list

<sup>379</sup>bez (daw.) — przez. [przypis edytorski]

<sup>380</sup>jał (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>381</sup>ściertalca — skartabella, szlachcic bez pełni praw stanowych. [przypis edytorski]

<sup>382</sup>mieszczanów — dziś popr.: mieszczan. [przypis edytorski]

<sup>383</sup>aże (daw.) — aż. [przypis edytorski]

<sup>384</sup>zabawiać się (daw.) — zajmować się. [przypis edytorski]

<sup>385</sup>w dół Węgrów — na południe Węgier. [przypis edytorski]

<sup>386</sup>polerowany — tu: obyczajny, wyrafinowany. [przypis edytorski]

oddać i z odpowiedzią powrócić. Usłyszawszy o tym, stary Maćko podjął się tego bez wahania...

Uproszony kasztelan wyznaczył termin, do którego obiecał powstrzymać wykonanie wyroku. Pełen otuchy Maćko zakrzętnął się tego samego dnia koło odjazdu, po czym udał się do Zbyszka, aby mu szczęśliwą nowinę zwiastować.

Jakoż w pierwszej chwili Zbyszko wybuchnął tak wielką radością, jakby mu już otworzono drzwi wieży. Następnie jednak zamyślił się, sposepniał nagle i rzekł:

— Kto się tam od Niemców czego dobrego doczeka! Lichtenstein też mógł prosić króla o łaskę, i jeszcze by na tym wygrał, bo pomsty byłby się uchronił, a dlatego nie chciał nic uczynić...

— On się zawziął za to, żeśmy go na tynieckiej drodze nie chcieli przeprosić. O mistrzu Kondracie nie mówią ludzie źle. Wreszcie stracić na tym, nie stracisz.

— Pewnie — rzekł Zbyszko — ale mu się tam nisko nie kłaniajcie.

— Co się mam kłaniać? List od księżnej Aleksandry wiozę, i tyła...

— Ha! Kiedyście tacy dobrzy, to niech wam tam Bóg dopomoże...

Nagle spojrzął bystro na stryjca i rzekł:

— Ale jeśli mi król daruje, to Lichtenstein będzie mój, nie wasz. Pamiętajcie...

— Jeszcześ szyi niepewny, to żadnych zapowiedzi nie czyn. Dość masz tamtych głupich ślubów — odrzekł z gniewem stary.

Po czym rzucili się sobie w objęcia — i Zbyszko został sam. Nadzieja i niepewność miały na przemian jego duszą, a gdy przyszła noc, a z nią burza na niebie, gdy zakratowane okno poczęło rozświecać się złowrogim światłem błyskawic, a mury trząść się od grzmotów, gdy wreszcie wicher wpadł ze świstem do wieży i zgasił mdły kaganek<sup>387</sup> przy łożu: pogrążony w ciemności Zbyszko stracił znów wszelką otuchę — i całą noc ani na chwilę oczu nie mógł zamrużyć...

„Już ja się śmierci nie wywinę — myślał — i wszystko nic nie pomoże”.

Wszelako nazajutrz przyszła do niego w odwiedziny zacna księżna Anna Januszowa, a z nią i Danusia ze swoją luteńką za pasem. Zbyszko padł im kolejno do nóg, po czym jakkolwiek był w utrapieniu, po bezsennej nocy, w niedoli i niepewności, nie do tyła jednak zapomniał o rycerskiej powinności, aby nie okazać Danusi zdumienia nad jej urodą...

Lecz księżna podniosła na niego oczy pełne smutku i rzekła:

— Nie dziwuj się ty jej, bo jeśli Maćko dobrej odpowiedzi nie przywiezie albo zgola nie wróci, będziesz ty się wkrótce, niebożę, lepszym rzeczom w niebie dziwował.

Po czym jęła ronić łzy, rozmyślając o przyszłym niepewnym losie rycerzyka, a Danusia zawtórowała jej zaraz. Zbyszko pochylił się na nowo do ich nóg, bo i jego serce zmiękło wobec tych płaczów jak wosk w ciepłe. Nie kochał on tak Danusi, jak mąż kocha niewiastę, poczuł jednak, że ją kocha z całej duszy i że na jej widok dzieje mu się w piersiach coś takiego, jakby w nich tkwił drugi człowiek, mniej srogi, mniej zapędliwy<sup>388</sup>, mniej wojną dyszący, a natomiast jakby słodkiego kochania spragniony. Chwylił go wreszcie żal ogromny, iż musi ją porzucić i nie będzie mógł dotrzymać tego, co ślubował.

— Już ja ci, niebogo, pawich czubów pod nogi nie podłożę — mówił. — Ale jeśli przed boskim obliczem stanę, tedy tak powiem: „Odpuść mi, Panie, grzechy, ale co jest dobra wszelkiego na ziemi, to daj nie komu innemu, tylko pannie Jurandównie ze Spsychowa”.

— Niedawności się poznali — rzekła księżna. — Nie da Bóg, by to było na próżno.

Zbyszko zaczął wspominać wszystko, co zaszło w gospodzie tynieckiej, i rozczulił się zupełnie. W końcu jął prosić Danusi, by mu zaśpiewała tę samą pieśń, którą śpiewała wówczas, kiedy ją to chwycił z ławki i przyniósł do księżnej.

Więc Danusia, choć było jej nie do śpiewania, wzniosła zaraz główkę ku sklepieniu i przymknąwszy jako ptaszek oczki, poczęła:

Gdybym ci ja miała  
Skrzydłeczka jak gaska,  
Poleciałabym ja

<sup>387</sup>kaganek — lampka oliwna. [przypis edytorski]

<sup>388</sup>zapędliwy (daw.) — popędliwy, skłonny do szybkiego a nieprzemyślanego działania. [przypis edytorski]

Za Jaśkiem do Śląska.

Usiadłabym ci ja  
Na śląkowskim płocie...  
„Przypatrz się, Jasiulku...”

Lecz nagle spod stulonych rzęsów<sup>389</sup> wypłynęły jej łzy obfite — i nie mogła dłużej śpiewać. A Zbyszko porwał ją na ręce tak samo jak niegdyś w tynieckiej gospodzie i począł chodzić z nią po izbie, powtarzając w uniesieniu:

— Nie paniej jeno ja bym w tobie szukał. Niechby mnie Bóg wyratował, niechbyś dorosła i niechby rodzic pozwolili, toby ja cię brał, dziewczyno!... Hej!...

Danusia, objąwszy go za szyję, skryła spłakaną twarz na jego ramieniu — a w nim żal wstawał coraz większy, który płynąc z głębi wolnej natury słowiańskiej, zmieniał się w tej prostej duszy niemal w pieśń polną:

Toby ja cię brał, dziewczyno!  
Toby ja cię brał!...

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wtem zaszedł wypadek, wobec którego inne sprawy straciły wszelkie znaczenie w ludzkich oczach. Pod wieczór dnia 21 czerwca rozeszła się po zamku wiadomość o nagłym zasłabnięciu królowej. Wezwani medycy pozostali wraz z biskupem Wyszem przez całą noc w jej komnacie, a tymczasem dowiedziano się od niewiast służebnych, iż pani zagroziła słabość przedwczesna. Kasztelan krakowski Jaśko Topór z Tęczyna wysłał tejsze nocy gońców do nieobecnego króla. Nazajutrz rano wieść gruchnęła po mieście i okolicy. Był dzień niedzielny, więc tłumy napęliły wszystkie świątynie, w których księza nakazał modlitwy za zdrowie królowej. Wówczas ustala wszelka wątpliwość. Po nabożeństwie goście rycerscy, którzy się już byli zjechali na spodziewane uroczystości, szlachta oraz deputacje<sup>390</sup> kupieckie udały się na zamek; cechy<sup>391</sup> i bractwa<sup>392</sup> wystąpiły z chorągwiami. Od południa nieprzeliczone roje ludu otoczyły Wawel, między którymi utrzymywali ład łucznicy królewscy, nakazując spokojność i ciszę. Miasto wyludniło się prawie zupełnie i tylko przez opustoszałe ulice przeciągały od czasu do czasu gromady okolicznego chłopstwa, które również już zwiedziało się o chorobie uwielbianej pani i dążyło pod zamek. Wreszcie w głównej bramie pojawili się biskup i kasztelan, z nimi zaś kanonicy<sup>393</sup> katedralni, rajcy<sup>394</sup> królewscy i rycerze. Ci rozeszli się wzdłuż murów, między lud, z twarzami zwiastującymi nowinę, zaczęli jednak od surowego rozkazu, aby powstrzymano się od wszelkich okrzyków, te bowiem mogłyby chorej zaszkodzić. Za czym zwiastowali wszem wobec, iż królowa powiła córkę. Nowina napęliła radością serca, zwłaszcza gdy zarazem dowiedziano się, iż jakkolwiek pológ był przedwczesny, nie masz<sup>395</sup> jednak widomego<sup>396</sup> niebezpieczeństwa ni dla matki, ni dla dziecięcia. Tłumy poczęły się rozchodzić, albowiem pod zamkiem nie wolno było krzyczeć, każdy zaś chciał pofolgować radości. Jakoż, gdy wypełniły się ulice prowadzące na rynek, ozwały się wnet pieśni i radosne nawoływania. Nie trapiło się tym, że przyszła na świat córka. „Albo źle było, mówiono, że król Louis nie miał synów i że Królestwo dostało się Jadwidze? Przez jej to małżeństwo z Jagiełłą podwoiła się moc państwa. Tak będzie i teraz. Gdzież szukać takiej dziedziczki, jako będzie nasza królowa, gdy ni cesarz rzymski, ni żaden z innych królów nie posiadają

Tłum

<sup>389</sup>rzęsów — dziś popr.: rzęs. [przypis edytorski]

<sup>390</sup>deputacja (daw.) — delegacja. [przypis edytorski]

<sup>391</sup>cech — samorządna organizacja rzemieślników, skupiająca przedstawicieli określonego zawodu. [przypis edytorski]

<sup>392</sup>bractwo — organizacja religijna, zrzeszająca ludzi o podobnych formach pobożności (np. bractwo różańcowe). [przypis edytorski]

<sup>393</sup>kanonik — w średniowieczu duchowny żyjący przy katedrze według reguł kanonicznych. [przypis edytorski]

<sup>394</sup>rajca — tu: doradca. [przypis edytorski]

<sup>395</sup>nie masz (daw.) — nie ma. [przypis edytorski]

<sup>396</sup>widomy (daw.) — widoczny. [przypis edytorski]

tak wielkiego państwa, tak obszernych ziemi ni tak licznego rycerstwa! Będą się dobijali o jej rękę najpotężniejsi monarchowie ziemi, będą się kłaniali królowej i królowi, będą zjeżdżali do Krakowa, a nam, kupcom, korzyść z tego wypadnie, nie mówiąc o tym, że nowe jakieś państwo, czeskie albo węgierskie, z naszym się Królestwem połączy”. Tak to między sobą mówili kupcy — i radość stawała się z każdą chwilą powszechniejsza. Uczto- wano w domach prywatnych i w gospodach. Rynek zaroił się od latarni i pochodni. Po przedmieściach podkrakowscy kmiecie, których coraz więcej ściągało się do miasta, porozkładali się obozem przy wózkach. Żydzi rajcowali<sup>397</sup> przy synagodze na Kazimierzu. Do późna w noc, prawie do brzasku, wrzało na rynku, szczególnie koło ratusza i wagi, jak w czasie wielkich jarmarków. Udzielano sobie wzajem wiadomości; posyłano po nie na zamek i oblegano tłumnie wracających z nowinami.

Najgorsza z nich była ta, że ksiądz biskup Piotr ochrzcił dziecko tej samej nocy, z czego wnoszono, że musi być bardzo słabe. Doświadczone mieszczki przytaczały jednak wypadki, w których dzieci urodzone na wpeł martwe odzyskiwały siłę do życia właśnie po chrzcie. Więc pokrzepiano się nadzieją, którą wzmagalo i imię nadane dziewczynce. Mówiono, że żaden Bonifacy ni żadna Bonifacja nie może umrzeć zaraz po urodzeniu, gdyż przeznaczono im jest coś dobrego uczynić, w pierwszych zaś leciech<sup>398</sup>, tym bardziej w pierwszych miesiącach życia, dziecko nie może czynić ni źle, ni dobrze.

Następnego dnia jednak przysły z zamku wiadomości niepomyślne i o niemowlę- ciu, i o matce — i wzburzyły miasto. W kościołach przez cały dzień panował tłok jak w czasie odpustu. Posypały się wota<sup>399</sup> za zdrowie królowej i królowy. Widziano ze wzruszeniem ubogich wieśniaków ofiarujących ćwiartki zboża, jagnięta, kury, wianuszki suszonych grzybów lub krobie<sup>400</sup> orzechów. Płynęły znaczne ofiary od rycerstwa, od kup- ców, od rzemieślników. Rozesłano gońców do cudownych miejsc. Astrologowie badali gwiazdy. W samym Krakowie nakazano uroczyste procesje. Wystąpiły wszystkie cechy i wszystkie bractwa. Całe miasto zakwitło chorągwiemi. Odbyla się i procesja dzieci, są- dzono bowiem, że niewinne istoty najłatwiej ublagają Boga o łaskę. Przez bramy miejskie zjeżdżały coraz nowe tłumy z okolicy.

I tak płynął dzień za dniem wśród ustawicznego bicia w dzwony, wśród gwaru po kościołach, procesyj i nabożeństw. Lecz gdy upłynął tydzień, a i dostojna chora, i dziecko żyły jeszcze, poczęła otucha wstępować w serca. Zdawało się ludziom rzeczą niepodob- ną, aby Bóg zabrał przedwcześnie władczynię państwa, która tyle dla niego uczyniwszy, musiałaby pozostawić niedokończone ogromne dzieło — i apostołkę, która ofiarą wła- snego szczęścia przywiodła do chrześcijaństwa ostatni pogański naród w Europie. Uczeń wspominali, ile uczyniła dla Akademii, duchowni — ile dla chwały Bożej, statysty<sup>401</sup> — ile dla pokoju między chrześcijańskimi monarchami, prawoznawcy — ile dla sprawie- dliwości, biedni — ile dla ubóstwa, i wszystkim nie mieściło się w głowie, iżby życie tak potrzebne dla Królestwa i świata całego mogło być przedwcześnie przecięte.

Tymczasem 13 lipca dzwony żałobne oznajmiły śmierć dziecka. Zawrzało znów mia- sto i niepokój ogarnął ludzi, a tłumy powtórnie obiegly Wawel, dopytując o zdrowie królowej. Lecz tym razem nikt nie wychodził z dobrą nowiną. Owszem, twarze panów wjeżdżających na zamek lub wyjeżdżających przez bramy były posępne i z każdym dniem posępniejsze. Mówiono, że ksiądz Stanisław ze Skarbimierza<sup>402</sup>, mistrz nauk wyzwolo- nych<sup>403</sup> w Krakowie, nie odstępuje już królowej, która codziennie przystępuje do komu- nii. Mówiono również, że po każdym przystąpieniu komnata jej napenia się światłem niebieskim. Niektórzy widzieli je nawet przez okna, ale widok ten raczej przerażał oddane pani serca jako oznaka, że rozpoczyna się już dla niej życie zaziemskie.

Śmierć, Niebezpieczeństwo

<sup>397</sup>rajcować (daw.) — radzić. [przypis edytorski]

<sup>398</sup>leciech — dziś popr.: latach. [przypis edytorski]

<sup>399</sup>wotum — symboliczny dar wieszany na ołtarzu, na świętym obrazie bądź na posągu religijnym jako prośba o wstawiennictwo lub podziękowanie za nie. [przypis edytorski]

<sup>400</sup>krobia (daw.) — kosz. [przypis edytorski]

<sup>401</sup>statysta (daw.) — mąż stanu, polityk, strateg. [przypis edytorski]

<sup>402</sup>Stanisław ze Skarbimierza (ok. 1365–1431) — pierwszy rektor Akademii Krakowskiej, wybitny kaznodzieja. [przypis edytorski]

<sup>403</sup>siedem nauk wyzwolonych — stanowiły program średniowiecznej edukacji uniwersyteckiej i obejmowały: gramatykę, dialektykę, retorykę, geometrię, arytmetykę, astronomię, muzykę. [przypis edytorski]

Niektórzy nie wierzyli jednak, aby się mogła stać rzecz tak straszna, i ci krzepili się nadzieją, że sprawiedliwe nieba poprzestaną na jednej ofierze. Tymczasem w piątek z rana dnia 17 lipca gruchnęło między ludem, iż królowa kona. Kto żył, spieszył pod zamek. Miasto opustoszało tak, że zostali w nim tylko kalecy, albowiem nawet matki z niemowlętami pośpieszyły do bram. Sklepy były pozamykane; nie gotowano jadła. Ustały wszystkie sprawy, a natomiast pod Wawelem czerniało jedno morze ludu — niespokojne, przerażone, ale milczące.

Wtem o godzinie trzynastej z południa ozwał się dzwon na katedralnej wieży. Nie zrozumiano od razu, co to znaczy, jednakowoż niepokój począł podnosić włosy na głowach. Wszystkie głowy i wszystkie oczy zwróciły się ku wieżycy na kołyszący się z coraz większym rozmachem dzwon, którego żalony jęk zaczęły powtarzać inne w mieście: u Franciszkanów, u Świętej Trójcy, u Panny Marii — i hen dalej, jak miasto długie i szerokie. Zrozumiano wreszcie, co znaczą owe jęki; dusze ludzkie napęły się przerażeniem i takim bólem, jakby one spiżowe serca dzwonów uderzały wprost w serca wszystkich obecnych.

Nagle na wieży ukazała się czarna chorągiew z wielką trupią głową pośrodku, pod którą białe dwa złożone na krzyż piszczele ludzkie. Wówczas ustała wszelka wątpliwość. Królowa oddała ducha Bogu.

Pod zamkiem rozległ się ryk i płacz stu tysięcy ludzi — i pomieszał się z ponurymi odgłosami dzwonów. Niektórzy rzucali się na ziemię, inni darli na sobie szaty lub rozdrapywali twarze, inni spoglądali na mury w niemym osłupieniu, niektórzy jęczyli głucho, niektórzy wyciągając ręce ku kościołowi i komnacie królowej, wzywali cudu i Bożego miłosierdzia. Lecz ozwały się także głosy gniewne, które w uniesieniu i rozpaczach dochodziły do bluźnierstw. „Przecz<sup>404</sup> nam zabrano naszą umiłowaną? Na cóż się zdały nasze procesje, nasze modlitwy i błagania? To miłe były srebrne i złote wota, a za to nic? Wziąć, wzięto, a dać, nie dano!”. Inni wszelako powtarzali, zalewając się łzami i jęcząc: „Jezu! Jezu! Jezu!”. Tłumy chciały wejść do zamku, by spojrzeć jeszcze raz na ukochaną twarz Pani. Nie puszczono ich, ale im przyobiecano, że wkrótce ciało będzie wystawione w kościele, a wtedy każdy będzie mógł oglądać je i modlić się przy nim. Za czym pod wieczór posępne tłumy zaczęły wracać ku miastu, opowiadając sobie o ostatnich chwilach królowej, o przyszłym pogrzebie i o cudach, które się będą działy przy jej ciele i około jej grobowca, a których wszyscy byli zupełnie pewni. Rozpowiadano również, że królowa zaraz po śmierci będzie kanonizowaną — gdy zaś niektórzy wątpili, czy się to może stać, poczęto się oburzać i grozić Awinionem<sup>405</sup>...

Smutek ponury padł na miasto, na cały kraj, i nie tylko ludowi pospolitemu, ale i wszystkim wydało się, że wraz z królową zagaśła dla Królestwa pomyślna gwiazda. Nawet między panami krakowskimi byli tacy, którzy czarno patrzyli w przyszłość. Poczęto zadawać sobie i innym pytania, co teraz będzie? Czyli Jagiełło po śmierci królowej ma prawo panować w Królestwie, czyli też wróci na swoją Litwę i poprzestanie na wielkosiążęcym tronie? Niektórzy przewidywali — i jak się okazało, nie bez słuszności — że sam on zechce ustąpić i że w takim razie odpadną od Korony obszerne ziemie, rozpoczną się znów napady od strony Litwy i krwawe odwety zawziętych mieszkańców Królestwa. Zakon się wzmoże, wzmoże się cesarz rzymski i król węgierski — a Królestwo, do wczoraj jedno z najpotężniejszych w świecie, przyjdzie do upadku i pohańbienia.

Kupcy, dla których stanęły otworem obszerne kraje litewskie i ruskie, czynili w przewidywaniu strat śluby pobożne, aby Jagiełło pozostał na Królestwie, lecz w takim znów razie przepowiadano rychłą wojnę z Zakonem. Wiadomo było, że powstrzymywała ją tylko królowa. Ludzie przypominali sobie teraz, jak niegdyś, oburzona na chciwość i drapieżność Krzyżaków, mówiła im w proroczym widzeniu: „Póki ja żyję, póty powstrzymuję rękę i słuszny gniew męża mego, lecz pamiętajcie, iż po mojej śmierci spadnie na was kara za wasze grzechy!”.

Żaloba

Święty

<sup>404</sup>przecz (daw.) — dlaczego. [przypis edytorski]

<sup>405</sup>Awinion — w latach 1378–1417 na skutek tarć politycznych wśród kardynałów oraz działań królów Francji wielokrotnie wybierano dwóch, a nawet trzech papieży jednocześnie. Obóz związany z Francją stworzył drugą siedzibę papieską w mieście Avingon. Obecnie papieże awiniońscy uznawani są za antypapieży (osoby nieprawnie sprawujące ten urząd), a okres ten określanym jest mianem „wielkiej schizmy zachodniej”. [przypis edytorski]

Oni w pysze i zaślepieniu nie lękali się wprawdzie wojny, licząc, że gdy po śmierci królowej urok jej świętobliwości nie będzie powstrzymywał napływu ochotników z państw zachodnich, naówczas przyjdą im w pomoc tysiące bojowników z Niemiec, z Burgundii, Francji i dalszych jeszcze krajów. Lecz śmierć Jadwigi była jednakże wypadkiem tak doniosłym, że poseł krzyżacki Lichtenstein, nie czekając nawet na przyjazd nieobecnego króla, ruszył co prędzej do Malborka, by jak najprędzej donieść wielkiemu mistrzowi i kapitule ważną i poniekąd groźną nowinę.

Posłowie: węgierski, rakuski, cesarski, czeski, wyruszyli za nim lub też wysłali gońców do swych monarchów. Jagiełło przyjechał do Krakowa w ciężkiej rozpacz. W pierwszej chwili oświadczył panom, że nie chce już dalej królować bez królowej i że odjedzie na swoje dziedzictwo do Litwy, po czym z żalu wpadł jakoby w odrętwienie, nie chciał rozstrzygać żadnych spraw, nie odpowiadał na pytania, chwilami zaś wpadał w straszny gniew na samego siebie za to, że był odjechał, że nie był przy śmierci królowej, że się z nią nie pożegnał i nie wysłuchał jej ostatnich słów i poleceń. Próżno Stanisław ze Skarbimierza i biskup Wysz przedkładali mu, że choroba królowej wypadła niespodzianie i że wedle ludzkich obliczeń miał wszelki czas wrócić, gdyby połów odbył się był w porze właściwej. Nie przynosiło mu to żadnej pociechy ani nie koilo jego żalu. „Nie król ja bez niej — odpowiadał biskupowi — jeno grzesznik pokajany, który nie zazna pociechy”. Po czym wbijał oczy w ziemię i nikt nie mógł od niego słowa więcej wydobyć.

Tymczasem wszystkie umysły zajęły się pogrzebem królowej. Z całego kraju poczęły ścigać nowe tłumy panów, szlachty i ludu, zwłaszcza ubóstwa, które spodziewało się obfitych zysków z jałmużn przy obrzędzie pogrzebowym, mającym trwać przez cały miesiąc. Ciało królowej ustawiono w katedrze na podwyższeniu urządzonym w ten sposób, że szersza część trumny, w której spoczywała głowa zmarłej, znajdowała się znacznie wyżej od dolnej. Urządzono tak umyślnie, by lud mógł lepiej widzieć twarz królowej. W katedrze odprawiano się nieustające nabożeństwo: przy katafalku płonęły tysiące świec woskowych, a wśród tych blasków i wśród kwiatów leżała Ona, spokojna, uśmiechnięta, podobna do białej róży mistycznej — ze złożonymi w krzyż rękoma na lazurowej sukni. Lud widział w niej świętą, przyprowadzano do niej opętanych, kaleki, chore dzieci — i raz w raz w środku świątyni rozlegał się krzyk to jakiejś matki, która na twarzy chorego dziecka spostrzegła rumieńce, zwiastuny zdrowia, to jakiegoś paralytyka, który nagle odzyskiwał władzę w schorzałych członkach. Wówczas serca ludzkie przejmował dreszcz, wieść o cudzie przelatowała kościół, zamek, miasto i ścigała coraz większe roje nędzy ludzkiej, która od cudu tylko mogła spodziewać się poratowania.

O Zbyszku zapomniano tymczasem zupełnie, któż bowiem wobec tak olbrzymiego nieszczęścia pamiętać mógł o zwyczajnym pacholęciu szlacheckim i o jego uwięzieniu w baszcie zamkowej! Zbyszko wiedział jednakowoż od stróżów więziennych o chorobie królowej, słyszał gwar ludu koło zamku, a gdy usłyszał jego płacz i bicie we dzwony, rzucił się na kolana i przepomniawszy o własnym losie, z całej duszy jął oplakiwać śmierć uwielbionej Pani. Zdawało mu się, że razem z nią zgasło coś i dla niego i że wobec takiej śmierci nie warto nikomu żyć na świecie.

Echa pogrzebu, dzwony kościelne, śpiewy procesyj i zawodzenia tłumów dochodziły go przez całe tygodnie. Przez ten czas sposepniał, stracił ochotę do jedzenia, do snu i chodził po swoim podziemiu jak dziki zwierz po klatce. Ciężyła mu samotność, gdyż bywały dni, że nawet stróż więzienny nie przynosił mu świeżego jedzenia i wody, tak dalece wszyscy byli zajęci pogrzebem królowej. Od czasu jej śmierci nie odwiedził go nikt: ani księżna, ani Danusia, ani Powął z Taczewa, który dawniej tyle okazywał mu życzliwości, ani kupiec Amylej, znajomek Maćka. Zbyszko z goryczą myślał, że gdy Maćka nie stało<sup>406</sup>, zapomnieli o nim wszyscy. Chwilami przychodziło mu do głowy, że może zapomni o nim i prawo — i że przyjdzie mu gnąć do śmierci w tym więzieniu. Wówczas modlił się o śmierć.

Wreszcie gdy od pogrzebu królowej upłynął miesiąc, a rozpoczął się drugi, poczęł wątpić i o powrocie Maćka. Obiecał przecie Maćko jechać pośpiesznie, konia nie żalować. Malbork nie na końcu świata. Przez dwanaście niedziel można było dojechać i wrócić — zwłaszcza gdy komuś pilno było. „Ale może i jemu niepilno! — myślał z żalem Zbyszko.

<sup>406</sup>nie stało (daw.) — zabrakło. [przypisy edytorski]

Rozpacz

Pogrzeb

Święty

Więzienie



— Może sobie gdzie po drodze babę upatrzył i rad ją do Bogdańca powiezie, aby się własnego potomstwa doczekać, a ja tu będę przez wieki zmiłowania boskiego wyglądał!”

Stracił wreszcie rachubę czasu, przestał całkiem rozmawiać ze stróżą<sup>407</sup> i tylko z pajęczyny, pokrywającej coraz obficie żelazną kratę w oknie, miarkował, że na świecie nadchodzi jesień. Siadywał teraz całymi godzinami na łożu, z łokciami na kolanach, z palcami we włosach, które mu już daleko za ramiona sięgały — i w półśnie, w półodrętwieniu nie podnosił głowy nawet i wówczas, gdy strażnik zagadał do niego, przynosząc spyżę<sup>408</sup>. Aż pewnego dnia skrzyknęły wrzeczadze i znajomy głos zawołał od progu więzienia:

— Zbyszku!

— Stryjko! — krzyknął Zbyszko, zerwawszy się z tapczana<sup>409</sup>.

Maciek chwycił go w ramiona, po czym objął mu jasną głowę dłońmi i pocałował ją całować. Żal, gorycz i tęsknota tak wezbrały w sercu młodzianka, że pocałował płakać na piersiach stryjca jak małe dziecko.

— Myślałem, że już nie wrócicie — rzekł, łkając.

— Boć i niewiele brakło — odrzekł Maciek.

Dopieroż Zbyszko podniósł głowę i spojrzawszy na niego, zawołał:

— A z wami co się stało?

I patrzył ze zdumieniem na wynędzniałą, zapadłą i bladą jak płótno twarz starego wojownika, na jego pochyloną postać i na posiwiałe włosy.

— Co z wami? — powtórzył.

Maćko siadł na tapczanie i przez chwilę oddychał ciężko.

— Co się stało? — rzekł wreszcie. — Ledwie granicę przejechał, postrzelili mnie w boru Niemcy z kuszy. Zbóje-rycerze! Wiesz? Ciężko mi jeszcze dychać... Bóg zesłał mi pomoc, inaczej byś mnie tu nie widział.

— Któż was zratował?

— Jurand ze Spychowa — odrzekł Maćko.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Oni napadli mnie, a w pół dzionka później on ich. Ledwie połowa mu ich uszła. Mnie wziął do gródka i tam w Spychowie ze śmiercią się przez trzy niedziele zmagał. Bóg nie dał skonać, i choć mi jeszcze ciężko, ale wrócił.

— A to nie byliście w Malborgu?

— Z czymżem miał jechać? Obdarli mnie do cna i list z innymi rzeczami zabrali. Wróciłem prosić księżny Ziemowitowej o drugi, ale się z nią w drodze rozminął, i czy ją zgonię<sup>410</sup>, nie wiem, bo mi się też na tamten świat wybierać.

To rzekłszy, splunął na dłoń i wyciągnąwszy ją ku Zbyszowski, ukazał na niej czystą krew, mówiąc:

— Widzisz?

A po chwili dodał:

— Widać wola boska.

Czas jakiś milczeli obaj pod brzemieniem posępnych myśli, po czym Zbyszko rzekł:

— To tak ciągle krwią plwacie<sup>411</sup>?

— Jakoże nie mam plwać, kiedy mi na pół piędzi<sup>412</sup> grota między zębami utkwilo! Plwałbyś i ty, nie bój się. Ale u Juranda ze Spychowa już mi się lepiej uczyniło, jeno żem się ninie okrutnie znów zmęczył, bo droga długa, a pilnom jechał.

— Hej! Po co wam się było spieszyć?

— Bom chciał księżnę Aleksandrę zdybać<sup>413</sup> i brać od niej drugie pisanie. A Jurand ze Spychowa prawil tak: „Jedźcie — powiada — i wracajcie z listem do Spychowa. Ja — prawi — mam kilku Niemców pod podłogą, to jednego na słowo rycerskie uwolnię i ten list do mistrza powiezie”. A on ich tam zawsze kilku przez pomstę za śmierć żony

<sup>407</sup>stróża (daw.) — straż. [przypis edytorski]

<sup>408</sup>spyża (daw.) — pożywienie. [przypis edytorski]

<sup>409</sup>tapczana — dziś popr.: tapczanu. [przypis edytorski]

<sup>410</sup>zgonić (daw.) — dogonić. [przypis edytorski]

<sup>411</sup>plwać — dziś: pluć. [przypis edytorski]

<sup>412</sup>piędź — dawna miara długości, ok. 18-22 cm. [przypis edytorski]

<sup>413</sup>zdybać — spotkać. [przypis edytorski]

pod sobą trzyma i rad słucha, jako mu nocami jęczą a żelaziwem brzękają, gdyż jest człek zawzięty. Rozumiesz?

— Rozumiem. Jeno to mi dziwno, żeście pierwszy list stracili, bo skoro Jurand ułapił tych, którzy was napadli, to list powinien być przy nich.

— Nie ułapił ci ich wszystkich. Uszło coś z pięciu. Taka już dola nasza.

To rzekłszy, Maćko odchrząknął, splunął znów krwią i stęknął trochę z bólu w piersiach.

— Ciężko was postrzelili — rzekł Zbyszko. — Jakże to? Z zasadzki?

— Z kuszców<sup>414</sup> tak gęstych, że na krok nie było nic widać. A jechałem bez zbroi, bo mi kupcy mówili, że kraj bezpieczny, i upał był.

— Któż zbójom przywoził? Krzyżak?

— Nie zakonnik, ale Niemiec, Chelmińczyk z Lentzu, wstawion z rozbojów i grabieży.

— Cóż się z nim stało?

— U Juranda na łańcuchu. Ale on też ma w podziemi dwóch szlachty Mazurów, których chce za siebie oddać.

Znów zapadło milczenie.

— Miły Jezu — rzekł wreszcie Zbyszko — to Lichtenstein będzie żyw i ów z Lentzu także, a nam trzeba ginąć bez pomsty. Mnie głowę utną, a i wy pewnikiem już się nie przezimujecie.

— Ba! I do zimy nie dociągnę. Żeby choć ciebie jako zratować...

— Widzieliście tu kogo?

— Byłem u kasztelana krakowskiego, bo jakem się dowiedział, że Lichtenstein wyjechał, myślałem, że ci pofolgują<sup>415</sup>.

— A to Lichtenstein wyjechał?

— Zaraz po śmierci królowej, do Malbarga. Byłem tedy u kasztelana, ale on powiedział tak: „Nie dlatego waszemu bratankowi głowę utnę, aby się Lichtensteinowi pochlebić, jeno że taki jest wyrok, a czy Lichtenstein tu jest, czy go nie ma, to wszystko jedno. Choćby też Krzyżak i umarł, nic to nie zmieni, bo — powiada — prawo jest wedle sprawiedliwości — nie tak jako kubrak, któren możesz do góry podszewką przewrócić. Król — prawi — może łaskę okazać, ale nikt inny”.

— A gdzie król?

— Pojechał po pogrzebie aż na Ruś.

— No, to i nie ma rady.

— Nijakiej. Kasztelan powiadał jeszcze: „Żal mi go, bo i księżna Anna za nim prosi, ale jak nie mogę, to nie mogę...”.

— A księżna Anna jeszcze też jest?...

— Niech jej ta Bóg zapłaci! To dobra pani. Jeszcze tu jest, bo Jurandówna zachorzała, a księżna ją miłuje jak własne dziecko.

— O, dla Boga! To i Danuskę chorobę napadła. Coże jej takiego?

— Bo ja wiem!... Księżna powiada, że ją ktoś urzekł<sup>416</sup>.

— Pewnie Lichtenstein! Nikt inny, jeno Lichtenstein; sobacza mać!

— Może i on. Ale co mu zrobisz? Nic.

— To dlatego wszyscy mnie tu zabaczyli, że i ona była chora...

To rzekłszy, Zbyszko jął chodzić wielkimi krokami po izbie, a wreszcie chwycił rękę Maćka, ucałował ją i rzekł:

— Bóg wam zapłać za wszystko, boć z mojej przyczyny pomrzecie, ale skoroście jeździli aż do Prus, to póki do reszty nie zesłabniecie, uczynicież jeszcze dla mnie jedną rzecz. Pójdźcie do kasztelana i proście, żeby mnie na słowo rycerskie puścił choć na dwanaście niedziel. Potem wrócę i niech mi szyję utną, ale to przecie tak nie może być, byśmy bez nijakiej pomsty poginęli. Wiecie... pojedę do Malbarga i zara<sup>417</sup> zapowiedź Lichtensteinowi poślę. Już też nie może być inaczej. Jego śmierć albo moja!

Maćko począł trzeć czoło:

— Pójsz, pójdę, ale czy kasztelan pozwoli?

<sup>414</sup>kuszcze (daw.) — krzaki, chaszczce, zarośla. [przypis edytorski]

<sup>415</sup>pofolgować (daw.) — potraktować łagodniej. [przypis edytorski]

<sup>416</sup>urzec — tu: rzucić na kogoś zły urok. [przypis edytorski]

<sup>417</sup>zara — dziś popr.: zaraz. [przypis edytorski]

— Słowo rycerskie dam. Na dwanaście niedziel, więcej mi nie trza...  
— Co ta gadać: na dwanaście niedziel! A jak będziesz ranny i nie wrócisz, co pomyślę?...  
— To choćby na czworakach wróć. Ale nie bójcie się! I widzicie, może przez ten czas zjedzie król z Rusi; to mu się będzie można o zmiłowanie pokłonić.

— Prawda jest — rzekł Maćko.

Lecz po chwili dodał:

— Bo mnie kasztelan i to jeszcze powiadał: „Przepomnieliśmy<sup>418</sup> o waszym bratanku z przyczyny śmierci królowej, ale teraz niechże się to już skończy”.

— Ej, pozwoli — odpowiedział z otuchą Zbyszko. — Jużci przecie wie, że szlachcic mu słowo zdzierży<sup>419</sup>, a czy mi teraz głowę utną, czy po świętym Michale, to mu wszystko jedno.

— Ha! Pójdę dziś jeszcze.

— Dziś idźcie do Amyleja i legnijcie trochę. Niech wam jakowej driakwi<sup>420</sup> na ranę przyłożą, a jutro pójdziecie do kasztelana.

— No, to z Bogiem!

— Z Bogiem!

Uściskali się i Maćko zwrócił się ku drzwiom, ale w progu zatrzymał się jeszcze i namarszczył czoło, jakby sobie coś nagle przypomniał.

— Ba, toć przecie ty pasa rycerskiego jeszcze nie nosisz: powie ci Lichtenstein, że z niepasowanym nie będzie się potykał, i co mu zrobisz?

Zbyszko zafrasował się, ale tylko na chwilę, po czym rzekł:

— A jakoże bywa na wojnie? Czy to koniecznie pasowany tylko pasowanych wybiera?

— Wojna to wojna, a walka samowtór co innego.

— Prawda... ale... poczekajcie... Trzeba poradzić... Ano, widzicie! Jest rada. Książę Janusz będzie mnie pasował. Jak go księżna z Danušką poproszą, to będzie pasował. A ja po drodze będę się zaraz na Mazowszu z synem Mikołaja z Długolasu też potykał.

— Za co?

— Bo Mikołaj, wiecie, ten, co jest przy księżnie i którego Obuchem zowią, powiedział na Danuškę: „skrzat”.

Maćko popatrzył na niego ze zdumieniem, a Zbyszko, chcąc widocznie lepiej wytłumaczyć, o co mu chodziło, mówił dalej:

— Jużci tego też darować nie mogę, a z Mikołajem przecie nie będę się potykał, bo mu chyba z osiemdziesiąt lat.

Na to Maćko:

— Słuchaj, chłopie! Szkoda mi twojej głowy, ale rozumu nie szkoda, ile żeś głupi jak cap.

— A wy się czego sierzdzicie?

Maćko nie odrzekł nic i chciał wyjść, ale Zbyszko poskoczył jeszcze ku niemu:

— A jakoże Danuška? Zdrowa już? Nie gniewajcie się za byle co. Przecie was tyle czasu nie było.

I pochylił się znów do ręki starego, ten zaś wzruszył ramionami, ale odrzekł łagodniej:

— Jurandówna zdrowa, jeno jej jeszcze z komnaty nie puszczają. Bywaj zdrow.

Zbyszko pozostał sam, ale jakby odrodzony na duszy i ciele. Miło mu było pomyśleć, że będzie miał jeszcze ze trzy miesiące życia przed sobą, że pojedzie w dalekie kraje, wyszuka Lichtensteina i stoczy z nim walkę śmiertelną. Na samą myśl o tym radość zapełniała mu piersi. Dobrze choć przez dwanaście niedziel czuć konia pod sobą, jeździć po szerokim świecie, bić się i nie zginąć bez pomsty. A potem — niech się dzieje, co chce — to przecie ogromny szmat czasu. Może król wrócić z Rusi i darować winę, może wybuchnąć ta wojna, którą wszyscy z dawna zapowiadali — może i sam kasztelan, gdy po trzech miesiącach ujrzy zwyciężcę hardego Lichtensteina, powie: „Ruszajże teraz na bory, lasy!”. Czuł bowiem jasno Zbyszko, że zawziętości nikt prócz Krzyżaka przeciw niemu nie żywił — i że sam surowy pan krakowski<sup>421</sup> tylko jakoby z musu skazał go na śmierć.

<sup>418</sup>przepomnieć (daw.) — zapomnieć. [przypis edytorski]

<sup>419</sup>słowo zdzierżyć (daw.) — dotrzymać słowa. [przypis edytorski]

<sup>420</sup>driakiew (daw.) — roślina lecznicza, lekarstwo. [przypis edytorski]

<sup>421</sup>pan krakowski — zwyczajowe określenie kasztelana krakowskiego. [przypis edytorski]

Więc nadzieja wstępowała w niego coraz większa, gdyż nie wątpił, że mu tych trzech miesięcy nie odmówią. Owszem, myślał, że mu dadzą nawet więcej, to bowiem, by szlachcic, poprzysiągłszy na cześć rycerską, miał słowa nie dotrzymać, nawet nie przyjdzie starremu panu z Tęczyna do głowy.

Toteż gdy Maćko przyszedł nazajutrz o zmroku do więzienia, Zbyszko, który ledwie mógł już usiedzieć, skoczył ku niemu do proga i zapytał:

— Pozwolił?

Maćko siadł na tapczanie, bo stać z wielkiego osłabienia nie mógł; przez chwilę odychał ciężko i wreszcie rzekł:

— Kasztelan powiedział tak: „Jeśli wam potrzeba podzielić grunt albo statek<sup>422</sup>, to waszego bratanka na jedną albo na dwie niedziele na rycerskie słowo wypuszczę, ale na dłużej nie”.

Zbyszko zdumiał się tak, iż czas jakiś słowa nie mógł przemówić.

— Na dwie niedziele? — zapytał po chwili. — A toć ja przez dwie niedziele nawet do granicy nie zajadę! Cóż to jest?... Chybaście kasztelanowi nie powiedzieli, po co ja chcę do Malborka?

— Nie tylko ja za tobą prosiłem, ale i księżna Anna.

— No i co?

— I co? Powiedział jej stary, że mu po twojej szyi nic i że sam cię żałuje. „Niechbym, powiada, jakie prawo za nim znalazł — ba! niechby i pozór — to bym go całkiem puścił — ale jak nie mogę, to nie mogę. Nie będzie, powiada, dobrze w tym Królestwie, gdy ludzie poczną na prawo oczy zamykać i po przyjaźni sobie folgować<sup>423</sup>; czego ja nie uczynię, choćby o Toporczyka, mego krewniaka, albo zgoła brata chodziło”. Tacy to tu ludzie nieużyci. A on jeszcze powiadał tak: „My nie potrzebujemy się oglądać na Krzyżaków, ale hańbić się nam przed nimi nie wolno. Co by pomyśleli i oni, i ich goście, którzy z całego świata przychodzą, gdyby ja skazanego na śmierć szlachcica puścił po to, by miał wolę pojechać sobie do nich na bitkę? Zaliby uwierzyli, że go kara dosięgnie i że jest jakaś w naszym państwie sprawiedliwość? Wolę ja jedną głowę uciąć, niżli króla i Królestwo na śmiech podawać”. Powiedziała na to księżna, że cudna<sup>424</sup> jej taka sprawiedliwość, od której nawet krewna królewska nie może człeka wyprosić, ale stary jej odrzekł: „I samemu królowi służy łaska, ale nie służy bezprawie”. Dopieroż wzięli się kłócić, bo księżnę porwał gniew: „To go, powiada, nie gnójcie w więzieniu!”. A kasztelan na to: „Dobrze! Od jutra każę pomostek na rynku stawić”. I na tym się rozeszli. Już ciebie, niebożę, chyba sam Pan Jezus zratuje...

Nastała długa chwila milczenia.

— Jakże? — ozwał się głuchym głosem Zbyszko. — To to już zaraz będzie?

— Za dwa albo trzy dni. Jak nie ma rady, to nie ma. Co ta mogłem, tom uczynił. Padłem do nóg kasztelanowi, proszę o zmiłowanie, ale on swoje: „Wynajdź prawo alibo pozór”. A co ja wynajdę? Byłem u księdza Stanisława ze Skarbimierza, aby do ciebie z Panem Bogiem przyszedł. Niechże choć ta sława będzie, że cię ten sam spowiadał, co i królową. Ale go nie znalazłem doma<sup>425</sup>, bo był u księżny Anny.

— Może u Danuśki?

— Bogdać tam. Dziewka coraz zdrowsza. Pójdę do niego jeszcze jutro do dnia. Powiadają, że po jego spowiedzi to ci zbawienie tak pewne, jakobyś je miał w torbie.

Zbyszko siadł, wsparł łokcie na kolanach i pochylił głowę tak, że włosy całkiem mu pokryły oblicze. Stary wpatrywał się w niego przez czas długi, wreszcie począł z cicha wołać:

— Zbyszku! Zbyszku!

Chłopak podniósł twarz raczej rozdrażnioną i pełną chłodnej zawziętości niż zboląłą.

— A co?

— Słuchajże pilnie, bom może co i znalazł.

To rzekłszy, przysunął się blisko i począł prawie szeptać:

— Słyszałeś ty o księciu Witoldzie, jako drzewiej, uwięzion przez dzisiejszego naszego

Prawo

Podstęp

<sup>422</sup>statek (daw.) — majątek, zwł. ruchomy. [przypis edytorski]

<sup>423</sup>folgować (daw.) — traktować łagodnie. [przypis edytorski]

<sup>424</sup>cudny (daw.) — dziwny. [przypis edytorski]

<sup>425</sup>doma (daw.) — w domu. [przypis edytorski]

króla w Krewie<sup>426</sup>, wyszedł z więzienia w niewieścim przebraniu. Niewiasta tu żadna za ciebie nie ostanie, ale bierz mój kubrak, bierz kaptur i wychodź, rozumiesz. A nuż się nie postrzegą. I pewno. Za drzwiami ciemno. W oczy nie będą ci świecić. Widzieli mnie wczoraj, jakom wychodził, i żaden ani spojrzal. Cicho bądź i słuchaj: znajdą mnie jutro, i co? Utną mi głowę? To ci im będzie pociecha, kiedy mnie i tak za dwie lub trzy niedziele śmierć pisana. A ty, jak stąd wyjdiesz, siadaj na konia i prosto do kniazia Witolda ruszaj. Przypomnisz mu się, pokłonisz, to cię przyjmie i będzie ci u niego jak u Pana Boga za piecem. Tu ludzie gadają, że wojska kniaziove zniesione przez Tatarów. Nie wiadomo, czy prawda, ale może być, bo nieboszczka królowa tak prorokowała. Jeśli prawda, to tym bardziej będzie kniaz rycerzy potrzebował i rad cię obaczy. Ty zaś trzymaj się go, bo nie masz na świecie lepszej służby. Przegra-li inszy król wojnę, to już po nim, a w kniazu Witoldzie taka obrotność, że po przegranej jeszcze się czyni potężniejszy. I hojny jest, a naszych miłuje okrutnie. Powiedz mu wszystko, jako było. Powiedz, żeś chciał na Tatary z nim iść, aleś nie mógł, boś w wieży siedział. Bóg da, że cię obdarzy ziemią, chłopami, i rycerzem będzie cię pasował, i do króla się za tobą wstawi. Dobry to orędownik, obaczysz! Co?

Zbyszko słuchał w milczeniu, Maćko zaś, jakby podniecony własnymi słowami, mówił dalej:

— Nie ginąć tobie za młodu, ale do Bogdańca wracać. A jak wrócisz, zaraz masz żonę brać, żeby nasz ród nie zginął. Dopiero jak dzieci napłodzisz, możesz Lichtensteina na śmierć pozwać, ale przedtem waruj mi się<sup>427</sup> od szukania pomsty, bo nużby cię postrzelili gdzie w Prusach tak jako mnie, toby już nie było nijakiej rady. Bierżże teraz kubrak, bierz kaptur i ruszaj w imię Boże.

To rzekłszy, Maćko wstał i począł się rozdzwiać — lecz Zbyszko podniósł się także, zatrzymał go i rzekł:

— Nie uczynię ja tego, czego ode mnie chcecie, tak mi pomagaj Bóg i Święty Krzyż.

— Czemu? — spytał ze zdumieniem Maćko.

— Bo nie uczynię.

A Maćko aż pobladł ze wzruszenia i gniewu.

— Bogdajes ty się był nie rodził.

— Mówiliście już kasztelanowi — rzekł Zbyszko — iż swoją głowę za moją oddajecie.

— Skąd wiesz?

— Powiadał mi pan z Taczewa.

— To i co z tego?

— Co z tego? A cóż wam kasztelan rzekł, że hańba by spadła na mnie i na cały nasz ród. Zali nie większa by jeszcze hańba była, gdyby ja stąd uciekł, a was tu na pomstę prawu zostawił?

— Na jaką pomstę? Co mnie prawo uczyni, kiedy ja i tak zamrę? Mieję rozum, na miłosierdzie Boże!

— A toć tym bardziej. Niechże mnie Bóg pokarze, jeśli ja was starego i chorego tu opuszczę. Tfu! Hańba...

Nastało milczenie; slychać było tylko ciężki, rżący oddech Maćka — i nawoływania łuczników stojących na straży przy bramach. Na dworze uczyniła się już noc głęboka...

— Słuchaj — ozwał się wreszcie Maćko złamanym głosem — nie była hańba kniazowi Witoldowi uciekać tak z Krewa, nie będzie i tobie...

— Hej! — odrzekł z pewnym smutkiem Zbyszko. — Wiecie! Kniaź Witold, wielki kniaz: ma ci koronę z rąk królewskich, bogactwo i panowanie, a ja, ubogi ślachcic, jeno cześć...

Po chwili zaś zawołał jakby z nagłym wybuchem gniewu:

— A to nie rozumiecie, że was takóž miłuję i że waszej głowy za swoją nie dam?

Na to Maćko podniósł się na chwiejnych nogach, wyciągnął przed się ręce — i choć natury ówczesnych ludzi twarde były, jakby je kowano<sup>428</sup> z żelaza — ryknął nagle rozdzierającym głosem:

<sup>426</sup>Krewo — średniowieczne miasto na Litwie, obecnie wieś w powiecie grodzieńskim na Białorusi. [przypis edytorski]

<sup>427</sup>warować się od czegoś — powstrzymać się od czegoś, strzec się czegoś. [przypis edytorski]

<sup>428</sup>kować (daw.) — kuć. [przypis edytorski]

— Zbyszku!...

A następnego dnia pacholcy sądowi poczeli zwozić na rynek belki na rusztowanie, które miało być wzniesione naprzeciw głównej bramy ratusza.

Księżna jednakże naradzała się jeszcze z Wojciechem Jastrzębcem, ze Stanisławem ze Skarbimierza i z innymi uczonymi kanonikami, biegłymi zarówno w prawie pisanim i obyczajowym. Zachęcały ją do tych usiłowań słowa kasztelana, który oświadczył, że gdyby mu znalaziono „prawo alibo pozór”, nie omieszkałby Zbyszka uwolnić. Radzono więc długo i gorliwie, czyby nie można czegoś znaleźć, a chociaż ksiądz Stanisław przygotował Zbyszka na śmierć i dał mu Ostatnie Sakramenta, jednakże prosto z podziemia wrócił raz jeszcze na naradę, która trwała niemal do świtu.

Tymczasem nadszedł dzień egzekucji. Od rana tłumy ściagały na rynek, gdyż głowa szlachcica większą budziła ciekawość niż zwykła, a do tego pogoda uczyniła się cudna. Między kobietami rozeszła się też wieść o młodzieńczym wieku i nadzwyczajnej piękności skazanego, więc cała droga wiodąca od zamku zakwitła jak kwiatami od całych gromad strojnych mieszczanek; w oknach na rynku i w wystających przystawkach widać też było czepce, złote i aksamitne czołka lub przetowłose głowy dziewcząt, zdobne tylko wieńcami z róż i lilij. Rajcy miejscy, choć sprawa właściwie do nich nie należała, wyszli wszyscy dla dodania sobie powagi i ustawili się w pobliżu rusztowania tuż za rycerstwem, które chcąc okazać swoje współczucie młodzieńcowi, stanęło gromadnie najbliżej pomostu. Za nimi pstrzył się tłum, złożony z pomniejszych kupców i rzemieślników w barwach cechowych. Żaki<sup>429</sup> i w ogóle dzieci, wypychane w tył, krążyły jak uprzykrzone muchy wśród tłumy, wdzierając się wszędzie, gdzie ukazało się choć trochę wolnego miejsca. Nad ową zbitą masą głów ludzkich widniał pomost pokryty nowym suknem, na którym stało trzech ludzi: jeden kat, barczysty i groźny Niemiec przybrany w czerwony kubrak i takiż kapтур, z ciężkim, obosiecznym mieczem w ręku — i dwóch jego pacholców z obnażonymi ramionami i powrozami u pasów. U nóg ich stał pień i trumna obita również suknem. Na wieżach Panny Marii były dzwony, napelniając miasto spiżowym dźwiękiem i płosząc stada kawek i gołębi. Ludzie patrzyli to na drogę wiodącą z zamku, to na pomost i sterzącego na nim kata z pałającym w słonecznym blasku mieczem, to wreszcie na rycerzy, na których zawsze z chciwością i szacunkiem spoglądali mieszczanie. Tym razem było zaś na co patrzeć, gdyż najslawniejsi stanęli w kwadrat koło rusztowania. Podziwiano więc szerokość ramion i powagę Zawiszy Czarnego, jego kruczy włos spadający na ramiona — podziwiano krępą, kwadratową postać oraz pałaczaste<sup>430</sup> nogi Zyndrama z Maszkowic i olbrzymi, nadludzki niemal wzrost Paszka Złodzieja z Biskupic, i groźną twarz Bartosza z Wodzinka — i urodę Dobka z Oleśnicy, który w Toruniu pokonał na turnieju dwunastu rycerzy niemieckich — i Zygmunta z Bobowy, który podobnie wślawił się z Węgrami w Koszycach — i Krzona z Kozichłów, i straszego w ręcznym spotkaniu Lisa z Targowiska, i Staszka z Charbimowic, który konia w biegu doganiał. Powszechną uwagę zwracał także Maćko z Bogdańca swoją wybladłą twarzą, podtrzymywany przez Floriana z Korytnicy i Marcina z Wrocimowic. Sądzono powszechnie, iż jest to ojciec skazanego.

Ale największą ciekawość wzbudzał Powął z Taczewa, który stojąc w pierwszym szeregu, trzymał w swych potężnych ramionach Danusię, przybraną całkiem białą, z zielonym, rucianym wianuszkciem na jasnym włosach. Ludzie nie rozumieli, co to znaczy i dlaczego ta biała ubrana dziewczeczka ma patrzeć na egzekucję skazanego. Jedni mówili sobie, że to siostra, inni odgadywali w niej panią myśli młodego rycerza, ale i ci nie umieli sobie wytłumaczyć ani jej ubioru, ani obecności przy pomoście. Natomiast we wszystkich sercach widok jej podobnej do rumianego jabłuszka, ale zalanej łzami twarzy — budził współczucie i wzruszenie. W zbitych tłumach ludu poczęto szemrać na nieugiętość kasztelana, na surowość prawa — i szemrania owe przechodziły stopniowo w pomruk wprost groźny — a wreszcie tu i ówdzie jęły podnosić się głosy, że gdyby zburzono rusztowanie, egzekucja musiałaby być odłożona.

Tłum ożywił się i rozkołysał. Podawano sobie z ust do ust, że gdyby król był obecny,

Tłum

<sup>429</sup>żak (daw.) — uczeń, student. [przypis edytorski]

<sup>430</sup>pałaczasty — (o nogach) wygięty w pałąk, krzywy (częsta przypadłość u osób dużo jeżdżących konno). [przypis edytorski]

byłby niewątpliwie ulaskawił młodzianka, który, jak zapewniano, nie dopuścił się żadnej winy.

Ale wszystko ucichło, gdy dalekie okrzyki oznajmiły zbliżanie się łuczników i halebardników<sup>431</sup> królewskich, między którymi szedł skazany. Jakoż wkrótce orszak pojawił się na rynku. Pochód otwierało bractwo pogrzebowe, przybrane w czarne, do ziemi sięgające opończe i także zasłony na twarzach z powycinanymi otworami na oczy. Lud bał się tych posepnych postaci i na ich widok umilkł. Za nimi szedł oddział kuszników, złożony z doborowych Litwinów, przybranych w łosiowe, niewyprawne kubraki. Był to oddział gwardii królewskiej. Z tyłu orszaku widać było halebardy drugiego oddziału, w środku zaś, między pisarzem sądowym, który miał czytać wyrok, a księdzem Stanisławem ze Skarbimierza, niosącym krucyfiks, szedł Zbyszko.

Wszystkie oczy zwróciły się teraz na niego i ze wszystkich okien i przystawek wychyliły się niewieście postacie. Zbyszko szedł przybrany w swą zdobyczną białą jakę, haftowaną w złote gryfy i zdobną złotą frędzlą u dołu — i w tym świetnym stroju wydawał się oczom tłumów jakowymś książątkiem albo pacholęciem z wielkiego domu. Ze wzrostu, z barków, widnych pod obcisłym ubraniem, z tęgich ud i szerokich piersi wydawał się być mężem całkiem dojrzałym, ale nad tą postawą męża wznosiła się głowa dziecinna prawie i twarz młoda, z pierwszym meszkiem nad ustami — i zarazem cudna — twarz królewskiego pazia ze złotym włosom, uciętym równo nad brwiami, a puszczone długo na ramiona. Szedł krokiem równym i sprężystym, ale z czołem pobladyłym. Chwilami patrzył na tłum jakby nieco przez sen, chwilami wznosił oczy ku wieżom kościelnym, ku stadom kawek i ku rozkołysanym dzwonom, które wydzwaniały mu ostatnią godzinę; chwilami wreszcie odbijało mu się na twarzy jakby zdziwienie, że te dźwięki i szlochania niewieście, i cała ta uroczystość, to wszystko dla niego. Na rynku ujrzał wreszcie z daleka pomost i na nim czerwoną sylwetkę kata. Wówczas drgnął i przeżegnał się — ksiądz zaś w tej chwili podał mu krucyfiks do pocałowania. O kilka kroków dalej padł mu pod nogi pęk chabrów rzucony przez młodą dziewczynę z ludu. Zbyszko schylił się, podniósł go, a następnie uśmiechnął się do dziewczyny, która wybuchnęła głośnym płaczem. Lecz on pomyślał widocznie, że wobec tych tłumów i wobec niewiast powiewających chustkami z okien trzeba umrzeć odważnie i zostawić po sobie przynajmniej pamięć „dzielnego chłopca”, więc wyteżył całą odwagę i wolę, nagłym ruchem odrzucił w tył włosy, podniósł głowę jeszcze wyżej i szedł hardo, tak prawie, jak idzie zwycięzca po skończonych rycerskich gonitwach, gdy go prowadzą po nagrodę. Posuwali się jednak z wolna, gdyż tłum był przed nimi coraz większy i niechętnie ustępujący. Próżno kusznicy litewscy, idący w pierwszym szeregu, wołali co chwila: „Eyk szalin! Eyk szalin!” (precz z drogi!). Nie chciano się domyślać, co znaczą te słowa — i czyniło się coraz ciasniej. Jakkolwiek ówczesne mieszczaństwo krakowskie składało się w dwóch trzecich z Niemców — jednakże naokół rozlegały się groźne klątwy przeciw Krzyżakom: „Hańba! Hańba! Niechby szczyły te krzyżowe wilki, jeśli dzieci gwoli im będą tu wytracać! Wstyd dla króla i Królestwa!”. Litwini widząc opór, zdjawszy napięte kusze z ramion, poczęli spoglądać spode łbów na lud, nie śmieli jednak szyc w gęstwą bez rozkazu. Lecz kapitan wysłał naprzód halebardników, halebardami bowiem łatwiej było torować sobie drogę, i w ten sposób dotarli aż do rycerzy stojących w kwadrat koło rusztowania.

Ci rozstąpili się bez oporu. Pierwsi weszli halebardnicy, za nimi szedł Zbyszko z księdzem i pisarzem. Lecz wówczas stało się to, czego się nikt nie spodziewał. Oto nagle spomiędzy rycerzy wystąpił Pował z Danusią na rękę i krzyknął: „Stój!”, tak grzmiącym głosem, iż cały orszak zatrzymał się jak wkopany w ziemię. Ni kapitan, ni nikt z żołnierzy nie chciał sprzeciwić się panu i pasowanemu rycerzowi, którego codziennie widywano w zamku, a nieraz w poufnych z królem rozmowach. Wreszcie i inni, również znamienici, poczęli wołać rozkazującymi głosami: „Stój! stój!” — pan z Taczewa zaś zbliżył się do Zbyszka i podał mu białą ubraną Danusie.

Ów mniemając, że to pożegnanie, chwycił ją, objął i przycisnął do piersi — lecz Danusia, zamiast przytulić się do niego i zarzucić mu na szyję rączęta, zerwała co prędzej ze swych jasnych włosów, spod rucianego wianka, białą zasłonę i owinęła w nią całkiem głowę Zbyszka, a jednocześnie poczęła wołać z całej siły rozplakany dziecinnym głosem:

<sup>431</sup>halebardnik — dziś popr.: halabardnik. [przypis edytorski]

Strój

Zaręczyny

Obyczaje

— Mój ci jest! Mój ci jest!

— Jej ci jest! — powtórzyły potężne głosy rycerzy. — Do kasztelana!

Odpowiedział im podobny do grzmotu krzyk ludu: „Do kasztelana! Do kasztelana!”. Spowiednik podniósł oczy w górę, zmieszał się pisarz sądowy, kapitan i halebardnicy opuścili broń, albowiem wszyscy zrozumieli, co się stało.

Był stary, polski i słowiański obyczaj, mocny jak prawo, znany na Podhalu, w Krakowskim, a nawet i w innych krajach, że gdy na prowadzonego na śmierć chłopca rzuciła niewinna dziewczka zasłonę na znak, że chce za niego wyjść za mąż, tym samym zbawiała go od śmierci i kary. Zнали ów obyczaj rycerze, znali kmiecie, znał polski lud miejski — a słyszeli o jego mocy i Niemcy, z dawniejszych czasów w grodach i miastach polskich zamieszkali. Stary Maćko też aż zesłabł na ten widok ze wzruszenia, rycerze odsunawszy wnet kuszników, otoczyli Zbyszka i Danusię; wzruszony i rozradowany lud krzychał coraz potężniej: „Do kasztelana! Do kasztelana!”. Tłumy ruszyły się nagle, na kształt olbrzymich wełn<sup>432</sup> morskich. Kat i pomocnicy zbiegli co prędzej z pomostu. Uczyniło się zamieszanie. Dla wszystkich stało się jasnym, że gdyby Jaśko z Tęczyna chciał się teraz oprzeć uświęconemu obyczajowi, w mieście wszcząłby się groźny rozruch. Jakoż ława ludzka rzuciła się zaraz na rusztowanie. W mgnieniu oka ściągnięto sukno i rozerwano je w kawałki, potem belki i deski, ciągnięte silnymi rękoma lub rąbane toporami, poczęły uginać się, trzeszczeć, pękać — i w kilka pacierzy później na rynku nie zostało śladu z pomostu.

A Zbyszko, wciąż trzymając Danusię na ręku, wracał na zamek, ale tym razem jak prawdziwy zwycięzca-tryumfator. Naokół niego bowiem szli z radosnymi twarzami pierwsi rycerze Królestwa, a z boków, z przodu i z tyłu tłoczyły się tysiące kobiet, mężczyzn i dzieci, krzycząc wniebogłosy, śpiewając, wyciągając ręce ku Danusi i sławiąc obojga męstwo i urodę. Z okien białe ręce bogatych mieszczek były im oklaski, wszędzie widać było oczy zalane łzami radości. Deszcz wianuszków różanych, liliowych, deszcz wstążek, a nawet złocistych przepasek i pątlików padał szczęśliwemu młodziankowi pod nogi, a on, rozpromieniony jak słońce, z sercem przepelnionym wdzięcznością, podnosił co chwila w górę swoją białą panienkę, czasem całował jej w uniesieniu kolana, a ten widok rozczulał do tego stopnia mieszczki, że niektóre rzucały się w objęcia swoim kochankom, oświadczając, że byle zasłużyli na śmierć — zostaną także uwolnieni. I Zbyszko, i Danusia stali się jakby ukochanymi dziećmi rycerzy, mieszczan i pospolitego tłumu. Stary Maćko, którego wiedli wciąż pod ręce Florian z Korytnicy i Marcin z Wrocimowic, odchodził niemal od zmysłów z radości i zarazem ze zdumienia, że taki środek ratunku dla bratanka nawet mu do głowy nie przyszedł. Powąła z Taczewa opowiadał wśród ogólnego wrzasku swym potężnym głosem rycerzom, jako ów sposób wymyślili, a raczej przypomnieli na naradach z księżną Wojciech Jastrzębiec i Stanisław ze Skarbimierza, biegli w prawie pisanim i obyczajowym — rycerze zaś dziwili się jego prostocie, mówiąc między sobą, że chyba dlatego nikt inny o owym obyczaju nie pamiętał, iż w mieście przez Niemców zamieszkanym z dawna już nie był praktykowany.

Wszystko jednak zależało jeszcze od kasztelana. Rycerze i lud pociągnęli na zamek, w którym pod niebytność króla mieszkał pan krakowski — i zaraz pisarz sądowy, książdz Stanisław ze Skarbimierza, Zawisza, Farurej, Zyndram z Maszkowic i Powąła z Taczewa udali się do niego, aby przedstawić moc obyczaju i przypomnieć, jako sam mówił, iż gdyby znalazł „prawo alibo pozór” — to wnet by skazanego uwolnił. A czyż mogło być lepsze prawo nad starodawny obyczaj, którego nie łamano nigdy? Pan z Tęczyna odpowiedział wprawdzie, że więcej się do prostego ludu i do podhalskich<sup>433</sup> zbójników ów obyczaj stosuje niż do szlachty, ale zbyt on sam był biegłym we wszelakim zakonie<sup>434</sup>, aby mógł siły jego nie uznać. Przykrywał przy tym srebrną brodę dłonią i uśmiechał się pod palcami, bo widocznie był rad. Wreszcie wyszedł na niski krużganek, mając przy sobie księżną Annę Danutę, kilku duchownych i rycerzy.

Zbyszko ujrawszy go, podniósł znów w górę Danusię — a on położył zgrzybiałą rękę na jej złotych włosach, chwilę ją trzymał — a potem skinął poważnie i dobrotliwie sędziwą głową.

<sup>432</sup>wełna (daw.) — tu: fala. [przypis edytorski]

<sup>433</sup>podhalski — dziś popr.: podhalański. [przypis edytorski]

<sup>434</sup>zakon (daw.) — prawo. [przypis edytorski]



Zrozumiano ten znak i aż mury zamkowe zatrzęsły się od okrzyków. „Pomagaj ci Bóg! Żyj długo, sprawiedliwy panie! Żyj i sądz nas!” — wołano ze wszystkich stron. Potem nowe okrzyki wzniosły się dla Danusi i Zbyszka, a w chwilę później oboje, wszedłszy na krążganek, padli do nóg dobrej księżnie Annie Danucie, której Zbyszko zawdzięczał życie, ona to bowiem obmyśliła z uczonymi sposób i nauczyła Danusię, co ma robić.

— Niech żywie<sup>435</sup> młoda para! — zawołał na widok klęczących Powala z Taczewa.

— Niech żywie! — powtórzyli inni.

A sędziwy kasztelan zwrócił się do księżny i rzekł:

— Już też, miłościwa księżno, zrękowiny<sup>436</sup> muszą być zaraz, bo ów obyczaj tak każe.

— Zrękowiny uczynię zaraz — odpowiedziała z rozpromienioną twarzą dobra pani — ale pokładzin<sup>437</sup> bez ojcowej woli Juranda ze Spychowa nie dopuszczę.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

U kupca Amyleja Maćko i Zbyszko naradzali się nad tym, co czynić. Stary rycerz spodziewał się rychłej śmierci, a że przepowiadał mu ją także znający się na ranach franciszkanin ojciec Cybek, więc chciał wracać do Bogdańca, aby być pochowanym wedle<sup>438</sup> ojców na cmentarzu w Ostrowiu.

Nie wszyscy jednak ojce tam leżeli. Był to niegdyś liczny ród. Czasu wojen zwoływali się okrzykiem: „Grady!” w herbie zaś — mieniać się<sup>439</sup> lepszymi od innych włódków, którym nie zawsze przysługiwało prawo herbu — nosili Tępą Podkowę. Roku 1331, w bitwie pod Płowcami, siedmdziesięciu czterech wojowników z Bogdańca wystrzelali na bagnie kusznicy niemieccy, ocalał tylko jeden, Wojciech, przewiskiem Tur, któremu król Władysław Łokietek po pogromie Niemców potwierdził osobnym przywilejem herb i ziemie bogdanieckie. Tamtych kości białeły odtąd na polach płowieckich, Wojciech zaś wrócił do domowych pieleszy, lecz po to tylko, by całkowitą zgubę rodu swego oglądać.

Albowiem podczas gdy mężowie z Bogdańca ginęli pod strzałami Niemców, zbójnicy-rycerze z pobliskiego Śląska napadli na ich gniazdo<sup>440</sup>, spalili do cna osadę, ludność wysieklili lub uprowadzili w niewolę po to, by ją sprzedać w odległe kraje niemieckie. Wojciech został sam jeden w starym domostwie, które ocalało od ognia, jako dziedzic obszernych, ale pustych ziem, poprzednio do całego włódczego rodu należących. W pięć lat później ożenił się i spłodziwszy dwóch synów, Jaśka i Maćka — od tura w lesie na łowach zabit.

Synowie rośli pod opieką matki, Kachny ze Spalenicy, która w dwóch wyprawach pomściła na śląskich Niemcach dawne krzywdy, w trzeciej zaś poległa. Jaśko, doszedłszy do lat<sup>441</sup>, pojął w małżeństwo Jagienkę z Mocarzewa, z którą spłodził Zbyszka. Maćko zaś, pozostawszy w stanie bezzennym, pilnował majątności i synowca, o ile pozwalały mu na to wyprawy wojenne.

Lecz gdy w czasie wojny domowej Grzymalitów z Nałęczami spalono po raz drugi chałupy w Bogdańcu i rozproszono kmieciów, samotny Maćko próżno usiłował go na nowo dźwignąć. Nabiedziwszy się lat niemało, zastawił wreszcie ziemię krewnemu opatowi, sam zaś z małym jeszcze Zbyszkiem pociągnął na Litwę przeciw Niemcom.

Nigdy on jednak nie tracił z oczu Bogdańca. Na Litwę pociągnął właśnie dlatego, by wzbogaciwszy się łupami, z czasem powrócić, wykupić ziemię, zaludnić ją jeńcami, odbudować gródek i osadzić na nim Zbyszka. Teraz też, po szczęśliwym ocaleniu młodzianka, o tym tylko myślał i nad tym naradzał się z nim u kupca Amyleja.

Ziemię mieli za co wykupić. Z łupów, z okupów, które składali wzięci przez nich do niewoli rycerze, i z darów Witolda zebrali zapasy dość znaczne. Szczególnie dużą korzyść przyniosła im owa walka na śmierć z dwoma rycerzami fryzyjskimi. Same zbroje, które po nich wzięli, stanowiły w owych czasach prawdziwą majątność, prócz zbroi zaś wzięli przecie wozy, konie, ludzi, szaty, pieniądze i cały bogaty sprzęt wojenny. Wiele z tych

<sup>435</sup>żywie (daw.) — żyje. [przypis edytorski]

<sup>436</sup>zrękowiny (daw.) — zaręczyny. [przypis edytorski]

<sup>437</sup>pokładziny — położenie się małżonków w jednym łóżu w obecności świadków. [przypis edytorski]

<sup>438</sup>wedle — tu: obok. [przypis edytorski]

<sup>439</sup>mieniać się (daw.) — podawać się za. [przypis edytorski]

<sup>440</sup>gniazdo (przen.) — siedziba rodu. [przypis edytorski]

<sup>441</sup>dojść do lat (daw.) — osiągnąć odpowiedni wiek. [przypis edytorski]

lupów nabył teraz kupiec Amylej, a między innymi dwie sztuki cudnego flandryjskiego<sup>442</sup> sukna, które przezorni i możni Fryzjczycy mieli z sobą na wozach. Maćko sprzedał także kosztowną zdobyczną zbroję, mniemając, że wobec bliskiej śmierci na nic mu się już nie przyda. Płatnerz<sup>443</sup>, który ją nabył, odprzedał ją na drugi dzień Marcinowi z Wrocimowic herbu Półkoza z zyskiem znacznym, gdyż pancerze pochodzenia mediolańskiego ceniono wówczas nad wszystkie w świecie.

Zbyszkowi też żal było tej zbroi z całej duszy.

— Jeśli wam Bóg wróci zdrowie — mówił do stryja — gdzie taką drugą znajdziecie?

— Tam, gdzie i tę znalazł, na jakowym innym Niemcu — odpowiedział Maćko. — Ale już ja się śmierci nie wywinę. Żeleźce<sup>444</sup> się mi między żebrami rozszczępiło i szczebrzuch<sup>445</sup> ostał we mnie. Com go zmacał i chciałem pazurami wyciągnąć, tom go jeno głębiej zapychał. A teraz nijakiej rady nie ma.

— Niedźwiedziego sadła by wam się saganek jeden i drugi napić!

— Ba! Ojciec Cybek mówi też, że dobrze by było, bo może by się jako drzazga wylizgła. Ale skąd tu dostanę? W Bogdańcu jeno by topór wziął, a pod barcią<sup>446</sup> na noc przykucnął!

— To i trza do Bogdańca. Tylko mi tam gdzie w drodze nie zamrzyjcie.

Stary Maćko spojrział z pewnym rozczuleniem na bratanka.

— Wiem ja, gdzie by ci się chciało: na dwór księcia Janusza albo do Juranda ze Spychowa, chełmińskich Niemców najezdzać.

— Tego się nie zaprę. Razem z dworem księżny rad bym do Warszawy albo do Ciechanowa pojechał, a to z przyczyny, by jako najdłużej być z Danuską. Nijak mi teraz bez niej, bo to nie tylko moja pani, ale i moje miłowanie. Tak ci ją rad widzę, że jak o niej pomyślę, to aż mnie ciągoty biorą. Pójdę ja za nią choćby na kraj świata, ale teraz pierwsze moje prawo to wy. Nie opuściliście mnie, to ja i was nie opuszczę. Jak do Bogdańca, to do Bogdańca!

— Toś dobry chłop — rzekł Maćko.

— Bóg by mnie skarał, gdyby ja był dla was inny. Obaczcie, że już wozy ładują, a jeden kazałem sianem dla was wymościć. Amylejówna podarowała też pierzynę zącą, jeno nie wiem, czy na niej od gorąca wyleżycie. Pojedziemy wolno razem z księżną i dworem, żeby wam starunku<sup>447</sup> nie zbrakło. Potem oni nawrócą na Mazowsze, a my do siebie, i pomagaj Bóg!

— Niechbym tyle pożył, by gródek na nowo wznieść — rzekł Maćko — bo to wiem, że po mojej śmierci niewiele ty będziesz o Bogdańcu myślał.

— Co nie miałbym myśleć!

— Bo ci będą w głowie bitki i kochanie.

— A wam to nie była w głowie wojna? Właśnie, żem sobie już całkiem wymiarkował, co mam czynić, i pierwsza rzecz gródek z dębiny mocnej zbuduję, a rowem każemy okopać na porządek<sup>448</sup>.

— Także myślisz? — spytał zaciekawiony Maćko. — No, a jak gródek stanie?... Gadaj!

— Jak gródek stanie, dopieroż na dwór książęcy do Warszawy albo do Ciechanowa pojedę.

— Po mojej śmierci?

— Jeśli prędko zamrzecie, to po waszej śmierci, ale wprzód<sup>449</sup> was godnie pochowam; a jeśli Pan Jezus da wam zdrowie, to w Bogdańcu ostaniecie. Mnie księżna obiecała, że tam pas rycerski od księcia dostanę. Inaczej nie chciałby się ze mną Lichtenstein potykać.

— To potem do Malborga wyruszysz?

— Do Malborga albo choćby na kraj świata, byle tylko Lichtensteina dostać.

<sup>442</sup>Flandria — region rozciągający się wzdłuż wybrzeży Morza Północnego na terenie Belgii, Francji i Holandii. [przypis edytorski]

<sup>443</sup>płatnerz — rzemieślnik wytwarzający zbroje płytowe, później także broń białą. [przypis edytorski]

<sup>444</sup>żeleźce (daw.) — grot. [przypis edytorski]

<sup>445</sup>szczebrzuch — słowniki podają znaczenie: wiano panny młodej. Sienkiewicz prawdop. skontaminował to ze słowem „brzeszczot”. [przypis edytorski]

<sup>446</sup>barć — wydrążony w drzewie ul dla leśnych pszczół. [przypis edytorski]

<sup>447</sup>starunek (daw.) — opieka. [przypis edytorski]

<sup>448</sup>na porządek (daw.) — porządnie. [przypis edytorski]

<sup>449</sup>wprzód, wprzódy (daw.) — najpierw. [przypis edytorski]

— Tego ci nie przyganię. Twoja śmierć albo jego!  
— Już ja wam jego rękawicę i pas do Bogdańca przywiozę, nie bójcie się!  
— Jeno się strzeż zdrady. U nich o zdradę łatwo.  
— Pokłonię się księciu Januszowi, żeby posłał po glejt<sup>450</sup> do mistrza. Teraz jest spokój. Pojadę za glejtem do Malboga, a tam zawsze gości rycerstwa kupa. To wiecie? Naprzód Lichtenstein, a potem będę upatrywał, którzy pawie czuby na hełmach mają, i po kolei ich wyzywał. Boga mi! Zdarzy-li Pan Jezus zwycięstwo, to zarazem i ślub spełnię.

Tak mówiąc, Zbyszko uśmiechał się do swoich własnych myśli, przy czym twarz miał zupełnie pacholęcia, które zapowiada, jakich to czynów rycerskich dokona, gdy dorośnie.

— Hej! — rzekł, kiwając głową, Maćko. — Żebyś ty trzech rycerzy ze znakomitych rodów pokonał, to nie tylko byś ślub spełnił, ale jaki byś sprzęt po nich wziął, miły Boże!

— Co to trzech! — zawołał Zbyszko. — Już ja w więzieniu powiedziałem sobie, że nie będę Danuśce skąpił. Ile palców u rąk, nie trzech!

Maćko wzruszył ramionami.

— Dziwujcie się albo i nie wiercie — rzekł Zbyszko — a ja przecie z Malboga do Juranda ze Spychowa pojadę. Jakże mu się nie pokłonić, kiedy to Danuśkowy ojciec? I z nim będziem chełmińskich Niemców najeżdżali. Samiście przecie mówili, że większego wilkolaka na Niemców nie masz na całym Mazowszu.

— A jak ci Danuśki nie da?

— Miałby nie dać! On swojej pomsty szuka, ja swojej. Kogóż lepszego sobie upatrzy? Wreszcie, skoro księżna na zrękowiny pozwoliła, to i on się nie przeciwi.

— Już ja jedno miarkuję — rzekł Maćko — że ty wszystkich ludzi z Bogdańca zabierzesz, żeby poczet mieć, jako się rycerzowi patrzy, a ziemia ostanie bez rąk. Póki będę żywy, to nie dam, ale po mojej śmierci, już widzę, że zabierzesz.

— Pan Bóg mi poczet obmyśli, a przecie i Janko z Tulczy krewniak, więc nie poskapi.

A wtem drzwi się otworzyły i jakby na dowód, że Pan Bóg Zbyszowski poczet obmyśli, weszło dwóch ludzi, czarniawych, krępych, przybranych w żółte, podobne do żydowskich kaftany, w czerwone krymki<sup>451</sup> i w niezmiernie szerokie hajdawery<sup>452</sup>. Ci, stanąwszy we drzwiach, poczęli przykładać palce do czoła, do ust, do piersi i zarazem bić pokłony aż do ziemi.

— Cóż to za odmiercy? — zapytał Maćko. — Coście za jedni?

— Niewolnicy wasi — odpowiedzieli polskim łamanym językiem przybysze.

— A to jak? Skąd? Kto was tu przysłał?

— Przysłał nas pan Zawisza w darze młodemu rycerzowi, abyśmy niewolnikami jego byli.

— O dla Boga! Dwóch chłopów więcej! — zawołał z radością Maćko. — A z jakiego narodu?

— My Turki.

— Turki? — powtórzył Zbyszko. — Będę miał dwóch Turków w poczcie. Widzieliście kiedy Turków?

I skoczywszy ku nim, począł ich okręcać dłońmi i oglądać jak osobliwe zamorskie stworzenia. Maćko zaś rzekł:

— Widzieć, nie widziałem, alem slyszal, że pan z Garbowa ma w służbie Turków, których pobrał, wojując nad Dunajem u cesarza rzymskiego Zygmunta<sup>453</sup>. Jakże to? Toście, psubraty, poganie?

— Pan kazał się ochrzcić — rzekł jeden z jeńców.

— A wykupić się nie mieliście za co?

— My z daleka, z azjatyckiego brzegu, z Brussy<sup>454</sup>.

Zbyszko, który chciwie zawsze słuchał wszelkich opowiadań wojennych, a zwłaszcza gdy chodziło o czyny przesławnego Zawiszy z Garbowa, począł wypytywać ich, jakim

<sup>450</sup>glejt (daw.) — „list żelazny”, wystawiona przez władze przepustka, pozwalająca podróżować przez dane terytorium. [przypis edytorski]

<sup>451</sup>krymka — mała, okrągła czapka tatarska, podobna do mycki. [przypis edytorski]

<sup>452</sup>hajdawery — szerokie, bufiaste spodnie. [przypis edytorski]

<sup>453</sup>Zygmunt Luksemburski (1368–1437) — król węgierski od 1387, niemiecki od 1411, książę Luksemburga od 1419, król włoski od 1431, cesarz rzymski od 1433. Sienkiewicz tytułuje go cesarzem o 30 lat za wcześnie. [przypis edytorski]

<sup>454</sup>Brussa — dziś Bursa: miasto w pln.-zach. Turcji. [przypis edytorski]

sposobem dostali się do niewoli. Ale w opowiadaniach jeńców nie było nic nadzwyczajnego: Zawisza napadł ich kilkudziesięciu przed trzema laty w wężozie, częścią wytracił, częścią pochwytał — i wielu potem rozdarował. Zbyszkowi i Maćkowi serca zalewały się radością na widok tak znakomitego daru, zwłaszcza że o ludzi było w owych czasach trudno i posiadanie ich stanowiło prawdziwy majątek.

Tymczasem po chwili nadszedł i sam Zawisza w towarzystwie Powały i Paszka Złodziej z Biskupic. Ponieważ wszyscy oni pracowali nad ocaleniem Zbyszka i radzi byli, że udało im się tego dokazać, przeto każdy składał mu jakowyś dar na pożegnanie i pamiątkę. Hojny pan z Taczewa dał mu kropierz<sup>455</sup> na konia, szeroki, bogaty, obsyty na piersiach frędzlą złotą. Paszko zaś miecz węgierski, wartości kilku grzywien. Nadeszli potem Lis z Targowiska, Farurej i Krzon z Kozichłów z Marcinem z Wrocławowic, a na ostatku przyszedł Zyndram z Maszkowic — każdy z pełnymi rękoma.

Zbyszko witał ich z wezbranym sercem, podwójnie uszczęśliwiony — i z darów, i z tego, że najślawniejsi w Królestwie rycerze okazują mu przyjaźń. Oni zaś wypytywali go o odjazd i o zdrowie Maćka, radząc, jako ludzie doświadczeni, choć młodzi, rozmaite maście i driakwie cudownie rany gojące.

Lecz Maćko polecał im jeno Zbyszka, sam zaś wybierał się na tamten świat. Trudno żyć z żelazną drzazgą pod żebrami. Skarżył się też, że ustawicznie krwią spluwa i jeść nie może. Kwarta wyłuskanych orzechów, dwie pięćdzie kielbasy, misa jajeczniczy — ot i całe jego dzienne jedzenie. Ojciec Cybek puszczał mu krew kilkakrotnie, myśląc, że w ten sposób odciągnie mu gorączkę spod serca i wróci ochotę do jadła — ale i to nie pomogło.

Był jednak tak uradowany z darów dla bratanka, że w tej chwili czuł się zdrowszym i gdy kupiec Amylej kazał dla uczczenia tak znakomitych gości przynieść do izby baryłkę z winem — zasiadł razem z nimi do kielicha. Poczęto rozmawiać o ocaleniu Zbyszka i o jego zrękowinach z Danuską. Rycerze nie wątpili, iż Jurand ze Spychowa nie będzie się chciał sprzeciwić woli księżny, zwłaszcza jeśli Zbyszko pomści pamięć jej matki i ślubowane pawie czuby zdobędzie.

— Jeno co do Lichtensteina — rzekł Zawisza — nie wiemy, czy ci będzie chciał stanąć, gdyż jest zakonnik, a do tego i jeden ze starostów w Zakonie. Ba! Powiadali ludzie z jego orszaku, że byle doczekał, to i wielkim mistrzem z czasem zostanie.

— Jeśli walki odmówi, to cześć utraci — ozwał się Lis z Targowiska.

— Nie — odpowiedział Zawisza — gdyż nie jest rycerz świecki, zakonnikom zaś nie wolno do pojedynczej walki<sup>456</sup> stawać.

— A przecież często bywa, że stają.

— Bo się prawa w Zakonie popsowały. Różne oni składają śluby i słyną z tego, że ku zgorszeniu całego chrześcijańskiego świata raz w raz je łamią. Ale do walki na śmierć może Krzyżak, a zwłaszcza komtur, nie stanąć.

— Ha! To go chyba na wojnie dostaniesz.

— Kiedy powiadają, że wojny nie będzie — rzekł Zbyszko — gdyż Krzyżacy boją się teraz naszego narodu.

Na to Zyndram z Maszkowic rzekł:

— Niedługo tego spokoju. Z wilkiem nie może być zgody, bo on musi cudzym żyć.

— A tymczasem może nam przyjdzie z Tymurem Kulawym za bary się wziąć — ozwał się Powała. — Książę Witold kłęskę poniósł od Edygi<sup>457</sup>, to już pewna.

— Pewna. I wojewoda Spytko nie wrócił — przywodził Paszko Złodziej z Biskupic.

— A kniazów litewskich siła została na polu.

— Królowa nieboszczka przepowiadała, że tak będzie — rzekł pan z Taczewa.

— Ha! To może i przyjdzie nam na Tymura wyruszyć.

Tu rozmowa zwróciła się na litewską wyprawę przeciw Tatarom. Nie było już żadnej wątpliwości, że książę Witold, wódz więcej porywczy niż biegły, poniósł straszliwą kłęskę pod Worską<sup>458</sup>, w której legło mnóstwo bojarów litewskich, ruskich, a z nimi razem

Wojna

<sup>455</sup>kropierz — długa kapa osłaniająca konia. [przypis edytorski]

<sup>456</sup>pojedyncza walka — pojedynek. [przypis edytorski]

<sup>457</sup>Edygej (1352–1419) — dowódca tatarski, podwładny Timura, potem chan Złotej Ordy. [przypis edytorski]

<sup>458</sup>bitwa nad Worską — stoczona w połowie sierpnia 1399 między wojskami rusko-litewskimi dowodzonymi przez wielkiego księcia Witolda, wspierającymi starającego się odzyskać władzę Tochtamysza, a Tatarami pod wodzą Edygeja. Litwini ponieśli kłęskę. [przypis edytorski]

garść posiłkowych rycerzy polskich, a nawet i krzyżackich. Zebrani u Amyleja biadali szczególnie nad losem młodego Spytka z Melsztyna, największego pana w Królestwie, który pociągnął na wyprawę jako ochotnik i po bitwie przepadł bez wieści. Wynoszono też pod niebo jego prawdziwie rycerski postępek, że dostawszy od wodza nieprzyjaciół kołpak<sup>459</sup> ochronny, nie chciał takowego w czasie bitwy wdziać, przekładając śmierć sławną nad życie z łaski pogańskiego władcy. Nie było jednak jeszcze pewności, czy zginął, czy popadł w niewolę. Z niewoli miał zresztą czym się wykupić, gdyż bogactwa jego były niezmiernie, a w dodatku król Władysław puścił mu być w lenne posiadanie całe Podole.

Lecz klęska Litwinów mogła być groźną i dla całego Jagiellowego państwa, nikt bowiem dobrze nie wiedział, czy Tatarzy zachęteni zwycięstwem nad Witoldem nie rzucą się na ziemię i grody przynależne do Wielkiego Księstwa. W takim razie zostałyby wciągnięte do wojny i Królestwo. Wielu też rycerzy, którzy jak Zawisza, Farurej, Dobko, a nawet i Powąła, przywykli byli szukać przygód i bitew na dworach zagranicznych, nie opuszczało umyślnie Krakowa, nie wiedząc, co niedaleka przyszłość przyniesie. Gdyby Tamerlan, pan dwudziestu siedmiu królestw, poruszył cały świat mongolski, wówczas niebezpieczeństwo mogło być straszne. Otóż byli ludzie, którzy przewidywali, że to nastąpi.

— Jeżeli będzie potrzeba, to się i z samym Kulawcem zmierzymy. Nie pójdzie mu tak łatwo z naszym narodem, jako poszło z tymi wszystkimi, które wytracił i podbił. A przecie inni książęta chrześcijańscy przyjdą nam w pomoc.

Na to Zyndram z Maszkowic, który płonął szczególną nienawiścią przeciw Zakonowi, odrzekł z goryczą:

— Książęta: nie wiem, ale Krzyżacy gotowi z Tatarami się pokumać i na nas z drugiej strony uderzyć.

— To i będzie wojna! — zawołał Zbyszko. — Ja przeciw Krzyżakom!

Lecz inni rycerze zaczęli zaprzeczać. Nie znają Krzyżacy bojaźni bożej i swego dobra tylko patrzą, ale przecie poganom by przeciw chrześcijańskiemu narodowi nie pomagali. Zresztą Tymur daleko gdzieś w Azji wojuje, a wódz tatarski Edyga tyle ludzi w bitwie utracił, że się podobno własnego zwycięstwa przeląkł. Książę Witold zaradny jest i pewno grody dobrze opatrzył, a zresztą, chociaż nie udało się tym razem Litwinom, jednakże nie nowina im Tatarów zwyciężać.

— Nie z Tatarami nam, ale z Niemcami na śmierć i życie — rzekł Zyndram z Maszkowic — i jeśli ich nie zetrzem, od nich zguba przyjdzie.

Po czym zwrócił się do Zbyszka:

— A najpierw zginie Mazowsze. Znajdziesz tam zawsze robotę, nie bój się!

— Hej! Żeby stryj był zdrow, zaraz bym tam pociągnął.

— Pomagaj ci Bóg! — rzekł Powąła, wznosząc kielich.

— Na zdrowie twoje i Danuśki!

— A na ztratę Niemcom! — dodał Zyndram z Maszkowic.

I poczęli go żegnać. A tymczasem wszedł dworzanin księżny z sokołem na rękę i skłoniwszy się obecnym rycerzom, zwrócił się z jakimś dziwnym uśmiechem do Zbyszka:

— Księżna pani kazała wam powiedzieć — rzekł — że przenocuje jeszcze w Krakowie, a w drogę ruszy jutro rano.

— To i dobrze — rzekł Zbyszko — ale czemu to? Zali kto nie zachorzał?

— Nie. Jeno księżna ma gościa z Mazowsza.

— Samże książę przyjechał?

— Nie książę, jeno Jurand ze Spychowa — odrzekł dworzanin.

Usłyszawszy to, Zbyszko zmieszał się okrutnie i serce poczęło mu się tak tłuc w piersi jak wówczas, gdy mu czytano wyrok śmierci.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Księżna Anna nie zdziwiła się zbyt przyjazdem Juranda ze Spychowa, zdarzało się bowiem często, że wśród ustawicznych pościgów, napadów i walk z sąsiednimi rycerzami niemieckimi porywała go nagle tęsknota za Danusią. Wówczas zjawiał się niespodzianie bądź w Warszawie, bądź w Ciechanowie lub gdziekolwiek czasowo bawił dwór księcia Janusza. Na widok dziecka wybuchał zawsze okropną żalnością. Danusia bowiem z upływem

Córka

<sup>459</sup> kołpak — czapka tatarska obrzeżona futrem. [przypis edytorski]

lat stawała się tak do matki podobna, że za każdym razem zdawało mu się, że widzi swoją nieboszczkę, taką, jaką niegdyś poznał u księżny Anny w Warszawie. Ludzie myśleli nieraz, że od tej żalości skruszeje w nim wreszcie żelazne, zemście tylko oddane serce. Księżna namawiała też go często, by porzuciwszy swój krwawy Spychów, został przy dworze i przy Danusi. Sam książę, ceniąc jego męstwo i znaczenie, a zarazem chcąc uniknąć kłopotów, na jakie narażały go ustawiczne zajścia graniczne, ofiarował mu urząd miecznika<sup>460</sup>. Zawsze na próżno. Właśnie widok Danusi rozdzierał w nim dawne rany. Po kilku dniach tracił ochotę do jadła, do snu, do rozmowy. Serce poczynało mu się widocznie burzyć i zalewać krwią, a wreszcie znikał z dworu i wracał w swoje bagna spychowskie, by żal i gniew we krwi zatopić. Ludzie wówczas mówili: „Gorze Niemcom! Wcale ci oni nie owce, ale dla Juranda owce, bo on im wilkiem”. Jakoż po upływie pewnego czasu rozchodziły się wieści to o pochwytych gościach, ochotnikach, którzy szlakiem granicznym dążyli do Krzyżaków, to o popalonych gródkach, to o zagarniętych chłopach lub walcach na śmierć, z których straszny Jurand zawsze wychodził zwycięsko. Przy drapieżnym usposobieniu Mazurów i rycerzy niemieckich, którzy z ramienia Zakonu dzierżyli ziemię i gródki do Mazowsza przyległe, nawet w czasach największego pokoju między książętami mazowieckimi a Zakonem na granicy nie ustawała nigdy wrzawa bojowa. Nawet na ścińnianie drzew w boru lub na żniwa mieszkańcy wybierali się z kuszami lub zbrojni w dzidy. Ludzie żyli w niepewności jutra, w ciągłym wojennym pogotowiu, w zatwardziałości serc. Nikt nie przestawał na samej obronie, ale za grabież płacił grabieżą, za pożogę pożogą, za napad napadem. I zdarzało się, że gdy Niemcy przekradali się cicho leśnymi rubieżami, by ubiec jakowyś gródek, porwać chłopów lub stada, Mazury w tym samym czasie czyniły to samo. Nieraz też spotykali się z sobą i bili się do upadłego, często wszakże tylko wodzowie wyzywali się na śmiertelną walkę, po której zwycięzca zabierał poczet pokonanego przeciwnika. Toteż gdy na dwór warszawski przychodziły skargi na Juranda, książę odpowiadał skargami na napady poczynione w innych stronach przez rycerzy niemieckich. W ten sposób, gdy obie strony żądały sprawiedliwości, a nie chciała i nie mogła jej uczynić żadna — wszystkie grabieże, pożogi, napady uchodziły całkiem bezkarnie.

Niemiec

Lecz Jurand, siedząc w swym błotnym, porośłym sitowiem Spychowie i płonąć nieugaszoną chęcią zemsty, stał się tak ciężkim dla swych zagranicznych sąsiadów, iż w końcu przestrach ich stał się większym od zawziętości. Pola graniczące ze Spychowem leżały odłogiem, lasy zarastały dzikim chmielem i leszczyną, łąki szuwarem. Niejeden rycerz niemiecki, przywykły do prawa pięści w ojczyźnie, próbował osiadać w sąsiedztwie Spychowa, lecz każdy po pewnym czasie wołał odbiec lenna<sup>461</sup>, stad i chłopów, niż żyć pod bokiem nieubłaganego męża. Często też rycerze zmawiali się, aby uczynić wspólną na Spychów wyprawę, lecz każda z nich kończyła się klęską. Próbowano różnych sposobów. Raz sprowadzono znanego z siły i srogości rycerza znanego z Menu, który we wszystkich walkach bywał zwycięzcą, aby wyzwał Juranda na udeptaną ziemię. Lecz gdy stanęli w szrankach, upadło w Niemcu jakoby przez czary serce na widok straszego Mazura i zwrócił konia do ucieczki, Jurand zaś mu niezbrojny<sup>462</sup> pośladek kopią przeszył i w ten sposób czci i światłości dziennej go pozbawił. Od tej pory tym większa trwoga ogarnęła sąsiadów, i który Niemiec chociaż z daleka dymy spychowskie spostrzegł, wnet żegnał się i do patrona swego w niebiesiach<sup>463</sup> rozpoczynał modlitwę, albowiem utrwaliła się wiara, że Jurand nieczystym siłom duszę dla pomsty zaprzedał.

Niemiec

Opowiadano też o Spychowie straszliwe rzeczy: że przez grząskie bagna, wśród drzemiących, zarosłych rzęsą i wodnym rdestem topielisk, wiodła do niego droga tak wąska, iż dwóch mężów na koniach nie mogło obok siebie po niej jechać; że po obu jej stronach wały się kości niemieckie, nocami zaś przechadzały się na pajęczych nogach głowy potopionych, jęcząc, wyjąc i wciągając ludzi razem z końmi w głębinę. Powtarzano, że w samym gródku częstokół<sup>464</sup> przybrany był w czaszki ludzkie. Prawdą w tym wszystkim było tylko to, że w zakratowanych jamach, wykopanych pod dworzyszczem w Spychowie,

<sup>460</sup>miecznik — dostojnik, pierwotnie urzędnik dworski zarządzający zbrojownią. [przypis edytorski]

<sup>461</sup>lenno — posiadłość nadawana wasalowi przez suzerena w zamian za służbę. [przypis edytorski]

<sup>462</sup>niezbrojny — nieopancerzony. [przypis edytorski]

<sup>463</sup>w niebiesiach — dziś popr.: w niebie a. w niebiosach. [przypis edytorski]

<sup>464</sup>częstokół — palisada. [przypis edytorski]

jęczało zawsze kilku lub kilkunastu jeńców i że imię Juranda straszniejsze było od owych wymysłów o kościotrupach i topielcach.

Zbyszko, dowiedziawszy się o jego przybyciu, pośpieszył do niego natychmiast, ale jako do ojca Danusi, szedł z pewnym niepokojem w sercu. Że Danuskę obrał sobie na panią myśli i że jej ślubował, tego mu nikt nie mógł wzbronić, ale później księżna wyprawiła mu z Danuską zrękowiny. Co Jurand na to powie? Zgodzi się czy nie zgodzi? I co będzie, jeżeli jako ojciec zakrzyknie, iż nigdy tego nie dopuści? Pytania te przejmowały trwogą duszę Zbyszka, gdyż już mu o Danusię chodziło więcej niż o wszystko na świecie. Otuchy dodawała mu tylko myśl, że Jurand poczyta mu za zasługę, nie za ujmę, napaść na Lichtensteina, bo przecie to uczynił także przez zemstę za Danusiną matkę — i omal własnej szyi nie stracił.

Tymczasem jął badać dworzanina, który po niego przyszedł do Amyleja:

— A gdzie mnie wiedziecie? — pytał. — Na zamek?

— Juści na zamek. Jurand razem z dworem księżny stanął.

— Powiedzcie mi też, jaki to człowiek?... Żebym wiedział, jako z nim gadać...

— Co wam powiem! To jest człek zgoła od innych ludzi odmienny. Powiadają, że dawniej był wesół, póki mu się krew w wątrobie nie zapiekła.

— A mądry jest?

— Chytry jest, bo innych łupi, a sam się nie da. Hej! Jedno on oko ma, gdyż drugie mu Niemcy z kuszy wystrzelili, ale tym jednym do dna ci człowieka przejrzy. Nikt z nim na swoim nie postawi... Jeno księżnę, naszą panią, to miłuje, bo jej dwórkę za żonę wziął, a teraz się dziewczka u nas hoduje.

Zbyszko odetchnął.

— To mówicie, że on się woli księżny nie sprzeciwi?

— Wiem ja, czego byście się chcieli dowiedzieć, i com zaś słyszał, to powiem. Mówiła z nim księżna o waszych zrękowinach, boć nieładnie byłoby utaić, ale co on na to rzekł, nie wiadomo.

Tak rozmawiając, doszli do bramy. Kapitan łuczników królewskich, ten sam, który poprzednio prowadził Zbyszka na śmierć, skinął mu teraz przyjaźnie głową, więc przeszedłszy warty, znaleźli się w dziedzińcu, a potem weszli na prawo do oficyny, którą zajmowała księżna.

Dworzanin, spotkawszy przed drzwiami pacholka, spytał:

— A gdzie Jurand ze Spsychowa?

— W Krzywej Komnacie, z córką.

— To tamój<sup>465</sup> — rzekł dworzanin, ukazując drzwi.

Zbyszko przeżegnał się i podniósłszy zasłonę w otwartych drzwiach, wszedł z bijącym sercem. Ale nie od razu dostrzegł Juranda z Danusią, gdyż komnata nie tylko była krzywa, ale i mroczna. Po chwili dopiero ujrzał jasną główkę dziewczyny siedzącej na kolanach ojca. Oni też nie usłyszeli, gdy wszedł, więc zatrzymał się przy zasłonie, chrząknął i wreszcie ozwał się:

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków — odpowiedział, wstając, Jurand.

W tej chwili Danusia skoczyła ku młodemu rycerzowi i chwyciwszy go za rękę, poczęła wołać:

— Zbyszku! Tatuś przyjechali!

Zbyszko ucałował jej rękę, po czym wstał, zbliżył się wraz z nią do Juranda i rzekł:

— Przyszedłem się wam pokłonić; wiecie, ktom jest?

I schylił się lekko, czyniąc rękoma ruch, jakby go chciał podjąć pod nogi<sup>466</sup>. Lecz on chwycił jego dłoń, obrócił go ku światłu i począł mu się w milczeniu przypatrywać.

Zbyszko już był nieco ochłonął, więc podniósłszy zaciekawiony wzrok ku Jurandowi, ujrzał przed sobą męża postawy ogromnej, z płowym włosiem i również płowymi wąsami, z twarzą dziobatą i jednym okiem barwy żelaza. Zdawało mu się, że oko to chce go przewiercić na wylot, tak że zmieszanie poczęło go znów ogarniać, wreszcie nie wiedząc, co ma rzec, a chcąc koniecznie coś powiedzieć, by przerwać kłopotliwe milczenie, zapytał:

<sup>465</sup>tamój (daw.) — tam. [przypis edytorski]

<sup>466</sup>podjąć pod nogi — dawny sposób wyrażania szacunku. [przypis edytorski]

— To wyście Jurand ze Spychowa, ociec Danusin?  
Lecz tamten wskazał mu tylko ławę obok dębowego krzesła, na którym sam zasiadł, i nie odrzekłszy ni słowa, przypatrywał mu się dalej.

Zbyszko zniecierpliwiał się wreszcie.

— Bo wiecie — rzekł — nieskładnie<sup>467</sup> mi tak siedzieć jako na sądzie.

Dopieroż Jurand ozwał się:

— Tyś chciał bić w Lichtensteina?

— Ano! — odrzekł Zbyszko.

W oku pana ze Spychowa błysnęło jakieś dziwne światło i groźna jego twarz rozjaśniła się nieco. Po chwili spojrzął na Danusię i znów spytał:

— I to dla niej?

— A dla kogoż by? Musieli wam stryjko powiadać, jakom jej ślubował Niemcom ze łbów pawie czuby pozdzierać. Ale nie będzie ich trzy, jeno co najmniej tyle, ile palców u obu rąk. Przez to i wam do pomsty dopomogę, boć to przecie za Danusiną mac<sup>468</sup>.

— Gorze im! — odrzekł Jurand.

I znów zapadło milczenie. Zbyszko jednak pomiarkowawszy, iż okazując swoją zawziętość na Niemców, trafia do serca Jurandowego, rzekł:

— Nie daruję ja za swoje, choć mało mi już szyi nie ucięli.

Tu zwrócił się ku Danusi i dodał:

— Ona mnie zratowała.

— Wiem — rzekł Jurand.

— A nie krzywiście o to<sup>469</sup>?

— Skoroś jej ślubował, to jej służ, bo jest taki rycerski obyczaj.

Zbyszko zawahał się nieco, lecz po chwili począł mówić z widocznym niepokojem:

— Bo to uważcie... nałęczką<sup>470</sup> mi głowę nakryła... Wszystko rycerstwo słyszało i franciszkanin, który był przy mnie krzyżem, słyszał, jako rzekła: „Mój ci jest!”. I pewno, iż niczyj inny do śmierci nie będę, tak mi dopomóż Bóg.

To rzekłszy, przyklęknął znów i chcąc pokazać, że zna rycerski obyczaj, ucałował z wielką czcią oba trzewiki siedzącej na poręczy od krzesła Danusi, po czym wstał i zwróciwszy się do Juranda, zapytał:

— Widzieliście taką drugą... co?

A Jurand założył nagle na głowę swe straszne, mężobójcze ręce — i zamknąwszy powieki, odrzekł głucho:

— Widziałem, ale Niemce ci mi ją zabili.

— To słuchajcie — rzekł z zapalem Zbyszko — jedna nam krzywda i jedna pomsta. I naszych kupę z Bogdańca, co im konie w mlące<sup>471</sup> polgnęły, psubraty z kusz wystrzelali... Już wy nikogo lepszego ode mnie do waszej roboty nie znajdziecie... Nie nowina mi to! Spytajcie stryka. Na kopie albo na topory, na długie albo na krótkie miecze, za jedno mi! A powiadał wam stryk o onych Fryzaczach?... Narzně ja wam Niemców jako baranów, a co do dziewczyny, to wam klękający ślubuję, jako się będę o nią bodaj z samym piekielnym starostą<sup>472</sup> potykał i jako nie odstąpię jej ni za ziemię, ni za stada, ni za sprzęt żaden, a choćby mi i zamek o szklanych oknach bez niej dawali, to i zamek porzucę, a za nią na kraj świata powędruję.

Jurand siedział czas jakiś z głową w dłoniach, lecz wreszcie ocknął się jakoby ze snu i rzekł z żalnością i smutkiem:

— Udałeś ty mi się<sup>473</sup>, pacholku, ale ci jej nie dam, bo nie tobie ona pisana, nieboże!

Zbyszko, usłyszawszy to, aż oniemiał i począł patrzeć na Juranda okrągłymi oczyma, nie mogąc słowa przemówić.

Lecz Danusia przyszła mu w pomoc. Bardzo jej miły był Zbyszko i miło jej było uchoździć nie za „skrzata”, ale za „źrzałą<sup>474</sup> dziewczkę”. Podobały jej się i zrękowiny, i słodkości,

<sup>467</sup>nieskładnie (daw.) — niezręcznie. [przypis edytorski]

<sup>468</sup>mac (daw., gw.) — matka. [przypis edytorski]

<sup>469</sup>być o coś krzywym (daw.) — mieć o coś źal. [przypis edytorski]

<sup>470</sup>nałęczka (daw.) — chusta służąca jako przepaska na głowę. [przypis edytorski]

<sup>471</sup>mlaka — bagno. [przypis edytorski]

<sup>472</sup>piekielny starosta — Lucyfer, przywódca wszystkich diabłów. [przypis edytorski]

<sup>473</sup>udać się (daw.) — (o osobie) spodobać się. [przypis edytorski]

<sup>474</sup>źrzały (daw.) — dojrzały. [przypis edytorski]



jakie jej rycerzyk codziennie znosił, więc teraz, gdy zrozumiała, że jej to wszystko chcą odjąć, zsunęła się co prędzej z poręczy krzesła i ukrywając głowę na kolanach ojca, poczęła wołać:

— Tatulu! Tatulu! Bo będę<sup>475</sup> płakać!

On zaś widocznie kochał ją nad wszystko, gdyż położył łagodnie dłoń na jej głowie. W twarzy jego nie było ni zawziętości, ni gniewu, tylko smutek.

Zbyszko tymczasem ochłonął i rzekł:

— Jakże to? To woli boskiej chcecie się przeciwici?

A na to Jurand:

— Jak będzie wola boska, to ją dostaniesz, jeno ci mojej nie mogę przychylić. Ba, rad bym ci przychylił, ale nie lża<sup>476</sup>...

To powiedziawszy, podniósł Danusię i wzięwszy ją na ręce, skierował się ku drzwiom, gdy zaś Zbyszko chciał mu zastąpić drogę, zatrzymał się jeszcze na chwilę i rzekł:

— Nie będę na cię krzywo o rycerskie służby, ale mnie więcej nie pytaj, gdyż nie mogę ci nic rzec.

I wyszedł.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Następnego dnia nie unikał Jurand bynajmniej Zbyszka ani mu też przeszkadzał w oddaniu Danusi w drodze rozmaitych przysług, które jako rycerz powinien był jej oddawać. Owszem — Zbyszko, choć wielce w sercu strapiony, zauważył przecie, iż posępny pan ze Spychowa spogląda na niego życzliwie i jakby z żalem, że musiał mu dać tak okrutną odpowiedź. Próbował też młody włodyka niejednokrotnie zbliżyć się do niego i zacząć z nim rozmowę. Po wyruszeniu z Krakowa, w czasie podróży, o sposobność nie było trudno, gdyż obaj towarzyszyli księżnej konno. Jurand, lubo zwykle milczący, rozmawiał dość chętnie, ale gdy tylko Zbyszko chciał dowiedzieć się czegoś o przeszkodach dzielących go od Danusi, rozmowa urywała się nagle, a twarz Jurandowa czyniła się chmurna. Myślał Zbyszko, że księżna wie więcej — upatrzawszy zatem sposobną chwilę, starał się od niej jakkolwiek wiadomość wydostać, ale ona niewiele także mogła mu powiedzieć.

— Jużci jest tajemnica — rzekła. — Powiedział mi o tym sam Jurand, jeno prosił zarazem, abym go nie wypytywała. Pewnikiem<sup>477</sup> przysięgą jakowąś związany, jak to między ludźmi bywa. Bóg wszelako da, że z czasem wszystko to wyjdzie na jaw.

— Tako by mi bez Danuśki na świecie było jako psu na powrozie albo jak niedźwiedziowi w dole<sup>478</sup> — odrzekł Zbyszko. — Ni radości nijakiej, ni uciechy. Nic, jedno frasunek i wdychanie. Poszedłby ja już do Tawani<sup>479</sup> z księciem Witoldem, niechby mnie tam Tatarzy zabili. Ale w pierw muszę stryjca odwieźć, a potem one pawie czuby Niemcom ze łbów pościagać, jakom zaprzysiągł. Może mnie przy tym zabiją, co i wolę, niż patrzeć, jako Danuśkę inny zabierze.

Księżna podniosła na niego swoje dobre, niebieskie oczy i spytała z pewnym zdziwieniem:

— A to byś na to przyzwolił?

— Ja? Póki mi tchu w nozdrzach, nie będzie tego! Chybaby mi ręka uschła i topora zdzierzyć nie mogła!

— Ano, widzisz.

— Ba! Ale jakoże mi ją przeciw ojcowej woli brać?

Na to księżna jakby do siebie:

— Mocny Boże! Albo to się i tak nie przytrafia...

Potem zaś do Zbyszka:

— Zali wola boska nie mocniejsza od ojcowej? A coże Jurand rzekł? „Jak — powiada — będzie wola boska, to ją dostanie”.

<sup>475</sup> *będem* — dziś popr.: *będę*. [przypis edytorski]

<sup>476</sup> *nie lża* (daw.) — nie można. [przypis edytorski]

<sup>477</sup> *pewnikiem* (daw.) — zapewne. [przypis edytorski]

<sup>478</sup> *niedźwiedziowi w dole* — istniała metoda polowania na niedźwiedzie przez zastawianie na nie pułapek w postaci dołów. [przypis edytorski]

<sup>479</sup> *Tawani* — wyspa na Dniestrze. [przypis edytorski]

— To samo i mnie rzekł! — zawołał Zbyszko. — „Jak — powiada — będzie wola boska, to ją dostaniesz”.

— A widzisz?

— Toż przy waszej łasce, miłościwa pani, jedyna pociecha.

— Moją łaskę masz, a Danuśka ci dotrzyma. Wczoraj jeszcze mówię jej: Danuśka, a dotrzymasz-li ty Zbyszkowi? A ona powiada tak: „Będem Zbyszkowa albo niczyja”. Zielona to jeszcze jagoda, ale jak co powie, to i dotrzyma, boć to szlacheckie dziecko, nie żadna powsinoga. I matka jej była taka sama.

— Dałby Bóg! — rzekł Zbyszko.

— Jeno pamiętaj, byś i ty dotrzymał, bo to niejedyn chłop bywa płochy: obiecuję wiernie miłować, a zaraz ci potem dęba<sup>480</sup> do innej, że go i na postronku nie utrzymasz! Sprawiedliwie mówię!

— A niechże mnie Pan Jezus wpierw skarże! — zawołał z zapalem Zbyszko.

— No, to pamiętaj. A jak stryjca odwieziesz, to na nasz dwór przyjeżdżaj. Zdarzy się tam sposobność, że ostrogi dostaniesz<sup>481</sup>, a potem zobaczymy, jako Bóg da. Danuśka przez ten czas dojrzeje i wolę bożą<sup>482</sup> poczuje, bo teraz miłuje cię ona wprawdzie okrutnie — inaczej nie mogę rzec — ale nie tak jeszcze, jako wyrosłe dziewczki miłują. Może też i Jurand się w duszy do ciebie nakłoni, bo jako miarkuję, to on by rad. Pojedziesz i do Spychowa, i razem z Jurandem na Niemców, może się przytrafić, że mu się jako przysłużysz i całkiem go sobie zjednasz.

— To właśnie, miłościwa księżno, tak samo myślałem uczynić, ale z pozwolenstwem będzie mi łatwiej.

Rozmowa ta wielce dodała ducha Zbyszkowi. Tymczasem jednak na pierwszym popasie stary Maćko zachorzał tak, że trzeba było przyzostać<sup>483</sup> i czekać, póki choć trochę sił do dalszej podróży nie odzyska. Zostawiła mu dobra księżna Anna Danuta wszystkie leki i driakwie, jakie z sobą miała, ale sama musiała jechać dalej, przyszło więc obu rycerzom z Bogdańca rozstać się z dworem mazowieckim. Padł Zbyszko jak długi do nóg naprzód księżnie, potem Danusi, poprzysiął jej jeszcze raz wierne służby rycerskie, obiecał przyjechać rychło do Ciechanowa albo do Warszawy, wreszcie porwał ją w swoje silne ramiona i podniósłszy do góry, jął powtarzać wzruszonym głosem:

— Pamiętajże ty o mnie, kwiatuśku najmilejszy, pamiętaj, rybeńko moja złota!

A Danusia, objąwszy go ramionami tak właśnie, jak młodszą siostrą obejmuje miłego brata, przyłożyła swój zadarty nosek do jego policzka i płakała wielkimi jak groch łzami, powtarzając:

— Nie chcę do Ciechanowa bez Zbyszka, nie chcę do Ciechanowa!

Widział to Jurand, ale gniewem nie wybuchnął. Owszem, pożegnał i sam bardzo życzliwie młodzianka, a gdy już siedział na koniu, nawrócił jeszcze raz ku niemu i rzekł:

— Ostawaj z Bogiem i urazy do mnie nie chowaj.

— Jakoby miał urazę do was chować, kiedyście Danuśków ojciec! — odrzekł szczerze Zbyszko.

I pochylił mu się do strzemion, ów zaś ścisnął mu silnie rękę i rzekł:

— Szczęść ci Boże we wszystkim!... Rozumiesz?

I odjechał. Zbyszko jednakże zrozumiał, jak wielka życzliwość tkwiła w ostatnich jego słowach, i wróciwszy do wozu, na którym leżał Maćko, rzekł:

— Wiecie? On by też chciał, jeno mu coś przeszkadza. Wyście byli w Spychowie i rozum macie bystry, to starajcie się wymiarkować, co to jest.

Lecz Maćko zbyt był chory. Gorączka, którą miał od rana, powiększyła się pod wieczór do tego stopnia, że począł tracić przytomność, więc zamiast odpowiedzieć Zbyszkowi, spojrzął na niego jakby ze zdziwieniem, potem spytał:

— A gdzie tu dzwonią?

Zbyszko zląkł się, przyszło mu bowiem do głowy, że skoro chory słyszy dzwony, to widać, że już śmierć ku niemu idzie. Pomyślał też, że stary może umrzeć bez księdza, bez spowiedzi, a tym samym dostać się, jeżeli zgoła nie do piekła, to przynajmniej na długie

Honor, Zdrada

Rodzina

Choroba

<sup>480</sup> *dać dęba* — uciec. [przypis edytorski]

<sup>481</sup> *ostrogi dostaniesz* — sens: zostaniesz pasowany na rycerza. [przypis edytorski]

<sup>482</sup> *wola boża* (daw.) — pożądanie. [przypis edytorski]

<sup>483</sup> *przyzostać* (daw.) — zostać przy nim. [przypis edytorski]

wieki do czyścica — więc postanowił go jednak wieźć dalej, by jak najprędzej dojechać do jakowejś parafii, w której Maćko mógłby przyjąć Ostatnie Sakramenta.

W tym celu ruszyli na całą noc. Zbyszko siadł na wóz z sianem, na którym leżał chory, i czuwał nad nim aż do białego dnia. Od czasu do czasu poił go winem, którym zaopatrzył ich na drogę kupiec Amylej, a które spragniony Maćko pił chciwie, albowiem przynosiło mu ono widoczną ulgę. Po drugiej kwarcie odzyskał nawet przytomność, po trzeciej zaś zasnął tak głęboko, że Zbyszko pochylał się nad nim chwilami, by się przekonać, że nie umarł.

I na myśl o tym zdejmował go żal głęboki. Do czasu swego uwięzienia w Krakowie nie zdawał sobie nawet dobrze sprawy, jak dalece miłuje tego stryjca, który mu był w życiu ojcem i matką. Lecz teraz wiedział o tym dobrze, a zarazem czuł, że po jego śmierci będzie okrutnie sam na świecie — bez krewnych, prócz opata, który trzymał w zastawie Bogdaniec, bez przyjaciół i bez pomocy. Jednocześnie przychodziło mu na myśl, że Maćko, jeśli umrze, to też przez Niemców, przez których on sam mało szyi nie stracił, przez których zginęli wszyscy jego ojciec i Danusina matka, i wielu, wielu niewinnych ludzi, których znał lub o których słyszał od znajomych — i aż poczynało go zdejmować zdziwienie. „Zali — mówił sobie — w całym tym Królestwie nie ma człowieka, który by od nich krzywdy nie doznał i pomsty nie pragnął?”. Tu przypomniał sobie Niemców, z którymi wojował pod Wilnem, i pomyślał, że pewnie i Tatarzy srożej od nich nie wojują i że takiego drugiego narodu chyba na świecie nie ma.

Świt przerwał mu te rozmyślenia. Dzień wstawał jasny, ale chłodny. Maćko widocznie miał się lepiej, bo oddychał równiej i spokojniej. Zbudził się dopiero, gdy słońce dobrze już przygrzało, otworzył oczy i rzekł:

— Ulżyło mi. A gdzie jesteśmy?

— Dojeżdżamy do Olkusza. Wiecie?... Gdzie srebro kopią i olbory<sup>484</sup> do skarbu odają.

— Żeby tak mieć, co jest w ziemi! Ot by można Bogdaniec zabudować!

— Widać, że wam lepiej — odrzekł, śmiejąc się, Zbyszko. — Hej! Starczyłoby i na murowany zamek! Ale zajedźmy do fary<sup>485</sup>, bo tam i gościć nam dadzą, i będziecie się mogli wyspowiadać. Wszystko jest w boskich ręku, ale równo lepiej mieć sumienie na porządek.

— Ja grzeszny człowiek, rad się pokajam — odrzekł Maćko. — Śniło mi się w nocy, że mi diabli skórznie<sup>486</sup> z nóg ściągną... I po niemiecku z sobą szwargotali<sup>487</sup>. Bóg łaskaw, że mi ulżyło. A ty spałeś krzywą?

— Jakożem miał spać, kiedyś was pilnował?

— To przylegnij sobie trochę. Jak dojedziemy, to cię zbudzę.

— Gdzie mnie tam do spania!

— A co ci przeszkadza?

Zbyszko spojrzął na stryjca oczyma dziecka.

— A co, jak nie kochanie? Aże mnie kolki od wzdychania w dołyszku sparły, ale siędę trochę na konia, to mi ulży.

I zlazłszy z wozu, siadł na konia, którego mu Turczynek podarowany przez Zawiszę sprawnie podał. Maćko tymczasem brał się nieco z bólu za bok, ale widocznie myślał o czym innym, nie o własnej chorobie, bo kręcił głową, cmokał ustami i wreszcie rzekł:

— Toć dziwuję się, dziwuję i nie mogę się wydziwować, skąd ty na to kochanie taki pażerny<sup>488</sup>, bo ani twój rodzic nie był taki, ani ja też.

Lecz Zbyszko zamiast odpowiedzieć wyprostował się nagle w kulbace, wziął się w boki, głowę zadarł do góry i huknął całą siłą piersi:

Płakałem ci bez noc, płakałem i z rana,  
Gdzieś mi się podziała, dziewucho kochana!

<sup>484</sup>olbor (daw.) — opłata za prawo eksploatacji kopalni kruszcu, wnoszona do skarbcza królewskiego. [przypis edytorski]

<sup>485</sup>fara — miejski kościół parafialny. [przypis edytorski]

<sup>486</sup>skórznie — skórzane buty z wysokimi cholewami. [przypis edytorski]

<sup>487</sup>szwargotać — mówić w niezrozumiałym i/lub nie lubianym języku, zwł. po niemiecku. [przypis edytorski]

<sup>488</sup>pażerny — dziś popr.: pazerny. [przypis edytorski]

Nic mi nie pomoże, choć oczy wypłaczę,  
Bo ciebie, dziewczyno, nigdy nie zobaczę.  
Hej!

I to „hej!” runęło po lesie, odbiło się o pnie przydrożne, wreszcie ozwało się dalekim echem i ucichło w gęstwinach.

A Maćko pomacał się znów po boku, w którym ugrzęzło niemieckie żeleźce, i rzekł, stękając trochę:

— Drzewiej ludzie byli mądrzejsi, rozumiesz?

Po chwili jednak zamyślił się, jakby sobie przypominając jakieś dawne czasy, i dodał:

— Chociaż poniekąd bywał i drzewiej głupi.

Ale tymczasem wyjechali z boru, za którym ujrzeli szopy gwarków<sup>489</sup>, a dalej zębate mury Olkusza wzniesione przez króla Kazimierza i wieżę fary zbudowanej przez Władysława Łokietka.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kanonik od fary wypowiedział Maćka i zatrzymał ich gościnnie na nocleg, tak że wyjechali dopiero nazajutrz rano. Za Olkuszem skręcili ku Śląskowi, którego granicą mieli wciąż jechać aż do Wielkopolski. Droga szła po większej części puszcza, w której pod zachód słońca odzywały się często, podobne do podziemnych grzmotów, ryki turów i żubrów, nocami zaś pobłyskiwały spośród leszczykowej gęstwy oczy wilcze. Większe jednak niebezpieczeństwo niż od zwierza groziło na tej drodze wędrownikom i kupcom od niemieckich lub ziemczalnych rycerzy ze Śląska, których zameczki wznosiły się tu i ówdzie nad granicą. Wprawdzie wskutek wojny z Opolczykiem Naderspanem<sup>490</sup>, któremu pomagali przeciw królowi Władysławowi synowcowie<sup>491</sup> śląscy, większą część tych zameczków pokruszyły ręce polskie, zawsze jednak trzeba się było mieć na baczności i zwłaszcza po zachodzie słońca nie popuszczać broni z ręki.

Jechali jednak spokojnie, tak że Zbyszki poczyną się już droga przykrzyż, i dopiero na dzień kołowej jazdy od Bogdańca posłyszeli za sobą pewnej nocy parskanie i tupot koni.

— Jacyś ludzie jadą za nami — rzekł Zbyszko.

Maćko, który nie spał, spojrzął na gwiazdy i odpowiedział jako człowiek doświadczonej:

— Świt niedaleko. Przecieżby zbóje nie napadali przy schyłku nocy, bo nade dniem czas im do domu.

Zbyszko wstrzymał jednak wóz, uszykował ludzi w poprzek drogi czołem do nadjeżdżających, sam zaś wysunął się naprzód i czekał.

Jakoż po pewnym czasie ujrzął w pomroce kilkunastu konnych. Jeden z nich jechał na czele, na kilka kroków przed innymi, ale widocznie nie miał zamiaru się ukrywać, albowiem śpiewał głośno. Zbyszko nie mógł dosłyszeć słów, ale do uszu jego dochodziło wesołe: „hoc! hoc!”, którym nieznamy kończył każdą zwrotkę pieśni.

— Nasi! — rzekł sobie.

Po chwili jednak zawołał:

— Stój!

— A ty se siednij — odpowiedział żartobliwy glos.

— Coście za jedni?

— Coście za drudzy?

— A czemu nas najeżdżacie?

— A czemuż drogę zagradasz?

— Odpowiadaj, bo kusze napięte.

— A u nas... wypięte; strzelaj!

Świt

Śmiech

<sup>489</sup> *gwarek* (daw.) — górnik. [przypis edytorski]

<sup>490</sup> *Władysław II Opolczyk zwany Naderspan* (ok. 1330–1401) — książę opolski, znakomity administrator, prowadzący politykę prowęgierską. W roku 1391 skonfliktowany z Władysławem Jagiełłą, który pozbawił go lenn na terytorium Polski. [przypis edytorski]

<sup>491</sup> *synowiec* — syn brata. [przypis edytorski]

— Odkazuje<sup>492</sup> po ludzku, bo ci będzie bieda.  
Na to odpowiedziała Zbyszku wesoła pieśń:

Jedna bieda z drugą biedą  
Na rozstaju w taniec idą...  
Hoc! hoc! hoc!  
Na cóż im się taniec przyda?  
Dobry taniec, chociaż bieda...  
Hoc! hoc! hoc!

Śpiew

Zdumiał się, usłyszawszy taką odpowiedź, Zbyszko; a tymczasem pieśń ustała, ale ten sam głos spytał:

— A jak się ta ma stary Maćko? Dycha jeszcze?

Maćko przypodniósł się na wozie i rzekł:

— Dla Boga, to jacyś swoi!

Zbyszko zaś ruszył koniem naprzód:

— Kto o Maćka pyta?

— A somsiad<sup>493</sup>, Zych ze Zgorzelic. Już z tydzień jadę za wami i rozpytuję ludzi po drodze.

— Rety! Stryku! Zych ze Zgorzelic tu jest! — zawołał Zbyszko.

I poczęli się witać radośnie, Zych bowiem był istotnie ich sąsiadem, a do tego człowiekiem dobrym i powszechnie lubianym dla wielkiej wesołości.

— No, jak się macie? — pytał, potrząsając dłoń Maćka. — Hoc jeszcze, czyli już nie hoc!

— Hej, już nie hoc! — odrzekł Maćko. — Ale rad was widzę. Miły Boże, to jakbym już był w Bogdańcu!

— A co wam jest, bo jak słyszałem, to was Niemce postrzelili?

— Postrzelili psubraty! Żeleźce mi się między żebrami ostało...

— Bójcie się Boga! No i co? A próbowaliście niedźwiedziego sadła się napić?

— Widzicie! — rzekł Zbyszko. — Każdy niedźwiedzie sadło rai<sup>494</sup>. Byle do Bogdańca. Zara pójdę na noc z toporem po barcie.

— Może Jagienka będzie miała, a nie, to posłę pytać.

— Jaka Jagienka? Waszej przecie było Małgochna? — spytał Maćko.

— Oo! Co ta Małgochna! Na święty Michał będzie trzecia jesień, jak Małgochna na księżej grudzi<sup>495</sup>. Zadzierzysta<sup>496</sup> była baba; Panie, świeć nad jej duszą! Ale Jagienka po niej poszła, jeno że młoda...

...Za dołami świeci górka,  
Jaka mać taka i córka...  
Hoc! hoc!

...A Małgochnie gadałem: Nie leż na sosnę, kiedy ci pięćdziesiąt roków. Nieprawda! Wlazła. A to gałąź się ułomiła<sup>497</sup> i buch! To powiadam wam, że aż dziurę w ziemi wybiła, ale też we trzy dni puściła ostatnią parę.

— Panie, świeć jej! — rzekł Maćko. — Pamiętam, pamiętam... kiedy to się w boki wzięła, a poczęła cudować, to się parobcy w siano chowali. Ale do gospodarki była sprawna! I z sosny jej się zleciało?... Widzicie ludzie!...

— Zleciała jak szyszka na zimę... Oj, był frasunek<sup>498</sup>. Wiecie? Po pogrzebie tom się tak z żalości upił, że trzy dni nie mogli mnie dobudzić. Myśleli, że się też wykopyrtnął. A com się potem napłakał, to byście cebrem nie wynieśli! Ale do gospodarstwa i Jagienka sprawna. Wszystko to teraz na jej głowie.

Śmierć

<sup>492</sup>odkazywać (z ros.) — odpowiadać. [przypis edytorski]

<sup>493</sup>somsiad — dziś popr.: sąsiad. [przypis edytorski]

<sup>494</sup>raić (daw.) — zalecać. [przypis edytorski]

<sup>495</sup>na księżej grudzi — nie żyje (dosł.: leży w ziemi koło kościoła). [przypis edytorski]

<sup>496</sup>zadzierzysty — charakterny. [przypis edytorski]

<sup>497</sup>ułomić (gw.) — złamać. [przypis edytorski]

<sup>498</sup>frasunek (daw.) — smutek. [przypis edytorski]

— Ledwie że ją pamiętam. Nie większa była, kiedym wyjeżdżał, jak toporzysko<sup>499</sup>. Pod koniem mogła przejść, głową o brzuch nie zawadziwszy. Ba! Dawno to już i musiała wyrosnąć.

— Na świętą Agnieszkę skończyła piętnaście lat; alem jej też już blisko rok nie widział.

— A cóż się z wami działo? Skąd wracacie?

— Z wojny. Albo to mi niewola mający Jagienkę w domu siedzieć?

Maćko, chociaż chory, na wzmiankę o wojnie nadstawił ciekawie uszu i zapytał:

— Byliście może z kniazem Witoldem pod Worską?

— A byłem — odrzekł wesoło Zych ze Zgorzelic. — No, Pan Bóg mu nie poszczęścił: ponieśliśmy klęskę od Edygi okrutną. Naprzód konie nam wystrzelali. Tatar ci nie uderzy wręcz jako rycerz chrześcijański, jeno z luków z daleka szyje. Ty na niego obces<sup>500</sup>, to ci się umknie i znów szyje. Róbże z nim, co chcesz! Bo widzicie, w naszym wojsku chępli się rycerze bez pomiarkowania i gadali tak: „Kopij nawet nie będziemy pochylać ni mieczów dobywać, jeno na kopytach to robactwo rozniesiem”. Tak to oni się chwaliли, aż tu jak wzięły grotę warczeć, to aż się ciemno uczyniło; i po bitwie, co? Ledwie jeden na dziesięciu żyw ostał. Dacie wiarę? Więcej niż połowa wojska, siedemdziesięciu kniaziów litewskich i ruskich zostało na polu, a co bojarzynów i różnych tam dworzan, czyli jako oni zowią: otroków, tego byście i bez dwie niedziele nie policzyli.

— Słyszałem — przerwał Maćko. — I naszych posiłkowych rycerzy też siła legło.

— Ba, nawet i dziewięciu Krzyżaków, gdyż i ci musieli Witoldowej potędze służyć. A naszych także kupa, że to, jako wiecie, gdzie inny się obejrzy za siebie, tam nasz się nie obejrzy. Dufał najbardziej wielki książę naszym rycerzom i nie chciał mieć innej straży w bitwie koło siebie, jeno samych Polaków. Hi! hi! Mostem się też koło niego położyli, a jemu nic! Legł pan Spytko z Melsztyna i miecznik Bernat, i cześnik<sup>501</sup> Mikołaj, i Prokop, i Przecław, i Dobrogost, i Jaśko z Lazewic, i Pilik Mazur, i Warsz z Michowa, i wojewoda Socha, i Jaśko z Dąbrowy, i Pietrko z Miłosławia, i Szczepiecki, i Oderski, i Tomko Łagoda. Kto by ich ta wszystkich zliczył! A niektórych tom widział tak nabitych grotami, że jako jeże po śmierci wyglądali, aż śmiech brał patrzeć!

Tu roześmiał się istotnie, jak gdyby opowiadał rzecz najweselszą — i nagle począł śpiewać:

Oj poznałeś, co to Tatar,  
Kiej ci dobrze skóry natar!

— No, a potem co? — spytał Zbyszko.

— Potem umknął wielki książę<sup>502</sup>, ale zaraz ducha nabrał, jako to on zwykle. Im mocniej go przygniesz, tym ci lepiej odskoczy, jak leszczynowy kierz. Poskoczyliśmy tedy do Tawańskiego brodu bronić przeprawy. Przyszła też garść rycerzy nowych z Polski. No i nic! Dobrze! Na drugi dzień nadciągnął Edyga z ćmą<sup>503</sup> tatarstwa, ale już nic nie wskórał. Hej, było wesele! Co on chce przez bród, to my go w pysk. Nijak nie mógł. Jeszcześmy ich nabili i nałapali niemało. Ja sam pięciu ułowiłem, których z sobą do Zgorzelic prowadzę. Obaczycie po dniu, jakie mają psie mordy.

— W Krakowie powiadali, że i na Królestwo może przyjść wojna.

— Albo to Edyga głupi. Wiedział ci on dobrze, jakie u nas rycerstwo, a i to też, że najwięksi rycerze ostali doma, bo królowa nierada była, że Witold na swoją rękę wojny wszczyna. Ej, chytry on jest, stary Edyga! Zaraz pomiarkował u Tawani, że książę w siłę rośnie, i poszedł sobie precz, hen, za dziewiątą ziemię!...

— A wyście wrócili?

— A wróciłem. Już tam nie ma co robić. I w Krakowie dowiedziałem się o was, żeście mało co przede mną wyjechali.

— To dlatego wiedzieliście, że to my?

<sup>499</sup>toporzysko — drewniany uchwyt siekiery bądź topora. [przypis edytorski]

<sup>500</sup>obces — tu: dążąc do bezpośredniego starcia. [przypis edytorski]

<sup>501</sup>cześnik (daw.) — dostojnik dworski, pierwotnie urzędnik dbający o zapas wina na dworze. [przypis edytorski]

<sup>502</sup>wielki książę — chodzi o Witolda Kiejstutowicza. [przypis edytorski]

<sup>503</sup>ćma (daw.) — mrowie, tłum. [przypis edytorski]

— Wiedziałem, że to wy, bom się wszędzie o was na popasach pytał.

Tu zwrócił się do Zbyszka:

— Hej, mój Boże, to ja cię małego ostatni raz widział, teraz zasie choć i po ciemku miarkuję, żeś chłop jak tur. A zaraz gotów był z kuszy dziać!... Widać, że na wojnie bywałeś.

— Mnie od małości wojna chowała. Niech stryjko powie, czyli mi doświadczenia brak.

— Nie potrzebuje mi stryjko nic mówić. Widziałem w Krakowie pana z Taczewa, który mi o tobie rozповідаł... Ale pono ów Mazur nie chce ci dziewczki dać, a ja bym ta nie był taki zawzięty, boś mi się udał... Zapomnisz ty o tamtej, jeno zobaczysz moją Jagienkę. To ci rzepa!...

— A nieprawda! Nie zapomnę, choćbym i dziesięć takich jak wasza Jagna obaczył.

— Za nią pójda Moczydoły, gdzie jest młyn. Było też na łęgach<sup>504</sup>, jakem wyjeżdżał, dziesięć świerzop dobrych ze źrebięty... Niejeden mi się jeszcze o Jagnę pokłoni, nie bój się!

Zbyszko chciał odpowiedzieć: „Ale nie ja!” — lecz Zych ze Zgorzelic począł sobie znów pośpiewywać:

Ja wam się do kolan nagnę,  
A wy za to dajcie Jagnę,  
Bogdaj was!

— Wam zawsze wesołość i śpiewanie w głowie — zauważył Maćko.

— Ba, a cóż błogosławione dusze w niebie robią?

— Śpiewają.

— No, to widzicie! A potępione płaczą. Wolę ja iść do śpiewających niż do płaczących. Święty Pieter też powie tak: „Trzeba go puścić do raju, bo inaczej będzie jucha<sup>505</sup> i w piekle śpiewała, a to nie przystoi”. Patrzcie, świta już.

I rzeczywiście czynił się dzień. Po chwili wyjechali na szeroką polanę, na której było już wcale widno. Na jezioru zajmującym większą część polany jacyś ludzie łapali ryby, ale na widok zbrojnych mężów porzucili niewód<sup>506</sup> i wypadli z wody, pochwycili co prędzej za osęki<sup>507</sup>, za drągi i stanęli w groźnej postawie, gotowi do bitki.

— Wzięli nas za zbójów — rzekł, śmiejąc się, Zych. — Hej, rybitwy<sup>508</sup>! A czyście wy?

Tamci stali jeszcze czas jakiś w milczeniu, spoglądając nieufnie, na koniec jednak starszy między nimi, rozpoznawszy rycerzy, odrzekł:

— Księdza opata z Tulczy.

— Naszego krewniaka — rzekł Maćko — który Bogdaniec w zastawie trzyma. To muszą być jego bory, ale chyba niedawno je kupił.

— Bogać kupił — odpowiedział Zych. — Wojował on o nie z Wilkiem z Brzozowej i widać wywojował. Mieli się nawet rok temu potykać konno na kopie i na długie miecze o całą tę stronę<sup>509</sup>, ale nie wiem, jako się skończyło, bom był wyjechał.

— No, my swojaki — rzekł Maćko — z nami się nie będzie darł, a może jeszcze co z zastawu odpuści.

— Może. Z nim byle po dobrej woli, to jeszcze ze swego dołoży. Rycerski to opat, któremu nie nowina hełmem głowę nakryć. A przy tym pobożny i bardzo pięknie odprawia nabożeństwo. Musicie przecie pamiętać... Jak ci huknie przy mszy, to aż jaskółki pod pułapem z gniazd wylatują. No, i chwała Boża rośnie.

— Co nie mam pamiętać! Przecie o dziesięć kroków świece tchem w ołtarzu gasił. Zajeżdżałże on choć raz do Bogdańca?

<sup>504</sup>łęg — podmokła łąka. [przypis edytorski]

<sup>505</sup>jucha — krew; tu: określenie osoby krewkiej, tj. energicznej i skłonnej do gniewu. [przypis edytorski]

<sup>506</sup>niewód — sieć rybacka złożona ze stożkowatego worka i dwóch skrzydeł służących do zagarniania ryb. [przypis edytorski]

<sup>507</sup>osęka (daw.) — bosak. [przypis edytorski]

<sup>508</sup>rybitwa (daw.) — rybak. [przypis edytorski]

<sup>509</sup>strona (daw.) — okolica. [przypis edytorski]

— A jakże. Zajeżdżał. Pięciu nowych chłopów z żonami na karczunkach osadził. I u nas, w Zgorzelicach, też bywał, bo jako wiecie, on mi krzcił<sup>510</sup> Jagienkę, którą zawsze bardzo nawidzi<sup>511</sup> i córuchną ją zowie.

— Dałby Bóg, żeby chciał mi chłopów ostawić — rzekł Maćko.

— O wa! Co tam dla takiego bogacza pięciu chłopów! Wreszcie, jak Jagienka go poprosi, to ostawi.

Tu rozmowa umilkła na chwilę, albowiem znad ciemnego boru i znad rumianej zorzy podniosło się jasne słońce i rozświeciło okolicę. Powitali je rycerze zwykłym: „Niech będzie pochwalony!”, a następnie, przeżegnawszy się, poczęli ranne pacierze.

Zych skończył pierwszy i uderzywszy się po kilkakroć w piersi, ozwał się do towarzyszków:

— Teraz się wam dobrze przypatrzę. Hej, zmieniliście się obaj... Wy, Maćku, musicie wprawdzie do zdrowia przyjść... Jagienka będzie miała o was staranie, bo to w waszym dworze baby nie uświęci... Ano, znać, że wam szczebrzuch tkwi między żebrami... I dobrze nie bardzo...

Tu zwrócił się do Zbyszka:

— Pokażże się i ty... Oj, mocny Boże! Pamiętam cię małym, jakoś przez ogon żrebakom na grzbiet łąził, a teraz, wciornaści, co za rycerzyk!... Z gęby czyste paniątko<sup>512</sup>, ale chłop pleczysty... Takiemu się choć i z niedźwiedziem brać...

— Co mu ta niedźwiedź! — rzekł na to Maćko. — Toć młodszy był niż dziś, gdy go ów Fryzyczyk<sup>513</sup> nazwał gołowąsem, a on, że to nie całkiem mu się spodobało, zaraz mu garścią wąsy wydarł...

— Wiem — przerwał Zych. — I potykaliście się potem, i wzięliście ich poczet. Wszystko mi rozpowiadał pan z Taczewa:

Wyszedł Niemiec z wielgim<sup>514</sup> zyskiem,  
Pogrzebli go z gołym pyskiem,  
Hoc! hoc!

I począł spoglądać na Zbyszka rozbawionymi oczyma, on zaś patrzył także z wielką ciekawością na jego długą jak tyczka postać, na chudą twarz z ogromnym nosem i na okrągłe, pełne śmiechu oczy.

— O! — rzekł. — Przy takim somszedzie byle Bóg stryjkowi wrócił zdrowie, to i nie będzie smutku.

— Lepiej mieć wesołego somsiada, bo z wesołym nie może być zwady — odrzekł Zych. — A teraz posłuchajcie, co wam po dobremu i po krześcijańsku powiem. Doma dawności nie byli i porządków nijakich w Bogdańcu nie zastaniecie. Nie mówię: w gospodarstwie, bo opat dobrze gospodarzył... lasu szmat wykarczował i chłopów nowych osadził... Ale że sam jeno czasem dojeżdża, więc w spiżarni będą pustki, ba, i w domu ledwie tam ława jaka jest albo i wiązka grochowin<sup>515</sup> do spania, a choremu potrzeba wygod. Więc wiecie co? Jedźcie ze mną do Zgorzelic. Zabawicie jaki miesiąc albo dwa, to mi będzie po sercu<sup>516</sup>, a bez ten czas Jagienka o Bogdańcu pomyśli. Tylko się na nią zdajcie i niech was głowa o nic nie boli... Zbyszko będzie dojeżdżał gospodarki pilnować, a księdza opata też wam do Zgorzelic sprowadzę, to się z nim zaraz porachujecie... O was, Maćku, będzie dziewczka miała taki starunek<sup>517</sup> jak o ojcu, a w chorobie babski starunek od innego lepszy. No! Moiście wy! Uczynicie tak, jako was proszę.

— Wiadoma rzecz, żeście dobry człowiek i zawszeście tacy byli — odrzekł z pewnym wzruszeniem Maćko — ale widzicie, mam-li umrzeć przez tę juchę zadziore, co mi pod ziobrem siedzi, to wołę na własnych śmieciach. Przy tym w domu, choć ta człek i chory,

<sup>510</sup>krzcił — dziś popr.: chrzcil. [przypis edytorski]

<sup>511</sup>nawidzieć (daw.) — lubić, kochać. [przypis edytorski]

<sup>512</sup>paniątko — tu: dziecko. [przypis edytorski]

<sup>513</sup>Fryz a. Fryzyczyk — mieszkaniec Fryzji, krainy nad Morzem Północnym, obecnie stanowiącej pogranicze Niemiec, Danii i Holandii. [przypis edytorski]

<sup>514</sup>wielgi — dziś popr.: wielki. [przypis edytorski]

<sup>515</sup>grochowiny (daw.) — słoma z wymłóconego grochu. [przypis edytorski]

<sup>516</sup>to mi będzie po sercu — sens: to będzie zgodne z tym, co czuję. [przypis edytorski]

<sup>517</sup>starunek (daw.) — staranie, opieka. [przypis edytorski]



to o niejedno się rozpyta, niejednego dopatrzy i niejedno zładzi<sup>518</sup>. Jeśli Bóg każe iść na tamten świat, no, to nie ma rady! Czy przy większym starunku, czy przy mniejszym: jednak się nie wykręcisz. Do niewygód my na wojnie przywykli. Miła i wiacha grochowin temu, co przez kilka roków na gołej ziemi sypiał. Ale za wasze serce to wam szczerze dziękuję i jeśli nie ja się wywdzięczę, to da Bóg, Zbyszko się wywdzięczy.

Zych ze Zgorzelic, który słynął istotnie z dobroci i uczynności, począł znów nalegać i prosić, ale Maćko się uparł: kiedy umierać, to na własnym podwórku! Cniło<sup>519</sup> mu się oto bez tego Bogdańca całymi latami, więc teraz, gdy granica już niedaleko, nie wyrzeknie się go za nic, choćby to miał być ostatni nocleg. Bóg łaskaw i tak, że mu choć pozwolił tu się przywlec.

Tu roztarł pięciami lzy, które wezbrały mu pod powiekami, obejrzał się wkoło i rzekł:

— Jeśli tu już bory Wilka z Brzozowej, to zaraz po południu dojedziem.

— Nie Wilka z Brzozowej, jeno ninie opatowe — zauważył Zych.

Uśmiechnął się na to chory Maćko i po chwili odrzekł:

— Jeśli opatowe, to może kiedyś będą nasze.

— Ba! Dopieroście mówili o śmierci — zawołał wesoło Zych — a teraz chce wam się opata przetrzymać.

— Nie ja go przetrzymam, jeno Zbyszko.

Dalszą rozmowę przerwały im odgłosy rogów w boru, które ozwały się daleko przed nimi. Zych wstrzymał zaraz konia i począł słuchać.

— Ktoś ci tu chyba poluje — rzekł. — Poczekajcie.

— Może opat. To by dobrze było, żebyśmy się zaraz spotkali.

— Cichajcie no!

Tu zwrócił się do orszaku:

— Stój!

Stanęli. Rogi ozwały się bliżej, a w chwilę później rozległo się szczekanie psów.

— Stój! — powtórzył Zych. — Ku nam idą.

Zbyszko zaś zeskoczył z konia i począł wołać:

— Dawajcie kuszę! Może zwierz na nas wypadnie! Wartko! Wartko!

I porwawszy kuszę z rąk pacholka, wsparł ją o ziemię, przycisnął brzuchem, pochylił się, wyprężył grzbiet jak łuk i chwyciwszy palcami obu rąk cięciwę, naciągnął ją w mgnieniu oka na żelazny zastawnik, za czym założył strzałę i skoczył przed siebie w bór.

— Napiął! Bez korby ci napiął! — szepnął Zych zdumiony przykładem tak nadzwyczajnej siły.

— Ho, to morowy chłop! — odszepnął z dumą Maćko.

Tymczasem rogi i granie psów ozwało się jeszcze bliżej, aż nagle po prawej stronie boru rozległ się ciężki tupot, trzask łamanych krzów i gałęzi — na drogę wypadł z gęstwiny, jak piorun, stary, brodaty żubr z olbrzymią, nisko pochyloną głową, z krwawymi oczyma i wywalonym ozorem, zziąjany, straszny. Trafivszy na wyrwę przydrożną, przesadził<sup>520</sup> ją jednym skokiem, upadł z rozpędu na przednie nogi, ale podniósł się i już, już miał skryć się w gęstwinie po drugiej stronie drogi, gdy nagle zawarczała złowrogo cięciwa kuszy, rozległ się świst grotu, po czym zwierz wspiął się, zakręcił, ryknął okropnie i runął jak gromem rażony na ziemię.

Zbyszko wychylił się zza drzewa, napiął znów kuszę i zbliżył się gotów do strzału ku leżącemu bykowi, którego zadnie<sup>521</sup> nogi kopały jeszcze ziemię.

Lecz popatrzywszy chwilę, zawrócił spokojnie do orszaku i z daleka począł wołać:

— Tak dostał, aże gnojem popuścił!

— A niechże cię! — ozwał się, podjeżdżając, Zych. — Od jednej strzały!

— Ba, blisko było, a to przecie okrutny pęd. Obaczcie: nie tylko żeleźce, ale i brzechwa<sup>522</sup> całkiem mu się schowała pod łopatką.

— Myśliwcy muszą być już blisko; pewnikiem ci go zabiorą.

— Nie dam! — odpowiedział Zbyszko. — Na drodze zabita, a droga niczyja.

<sup>518</sup>ładzić (daw.) — porządkować. [przypis edytorski]

<sup>519</sup>cnić się (daw.) — tęsknić za czymś, martwić się, nudzić. [przypis edytorski]

<sup>520</sup>przesadzić (daw.) — przeskoczyć. [przypis edytorski]

<sup>521</sup>zadni — tylny. [przypis edytorski]

<sup>522</sup>brzechwa — tylna część strzały. [przypis edytorski]

— A jeśli to opat poluje?

— A jeśli opat, to niech go bierze.

Tymczasem z lasu wychyliły się naprzód psy, których było kilkanaście. Ujrzawszy zwierza, rzuciły się na niego ze strasznym harmidrem, zbiły się na nim w kupę i niebawem poczęły się między sobą gryźć.

— Zaraz będą i myśliwi — rzekł Zych. — Ot, patrz! Już są, jeno dalej przed nami wypadli i nie widzą jeszcze zwierza. Hop! hop! Bywajcie tu, bywajcie!... Leży! Leży!...

Lecz nagle umilkł, przysłonił oczy ręką, a po chwili ozwał się:

— Dla Boga! Coże to jest? Czym oślepl, czy mi się zdaje...

— Jeden na wronym<sup>523</sup> koniu na przedzie — rzekł Zbyszko.

Lecz Zych zawołał nagle:

— Miły Jezu! Dyc to chyba Jagienka!

I naraz począł krzyczeć:

— Jagna! Jagna!...

Po czym ruszył naprzód, ale nim zdążył puścić w cwał podjezdka, Zbyszko ujrzał najdziwniejsze w świecie widowisko: oto na chybkim srokaczu<sup>524</sup> sadziła ku nim, siedząc po męsku, dziewczyna z kuszą w ręku i z oszczepem na plecach. W rozpuszczone od pędu włosy powszczepiały jej się chmielowe szyszki; twarz miała rumianą jak zorza, na piersiach rozchełstaną koszulinę, a na koszuli serdak wełną do góry. Dopadłszy, osadziła na miejscu konia; przez chwilę na twarzy jej odbijało się niedowierzanie, zdumienie, radość — na koniec jednak, nie mogąc świadectwom oczu i uszu zaprzeczyć, poczęła krzyczeć cienkim, nieco jeszcze dziecinnym głosem:

— Tatulo! Tatuś najmilejsi!

I w mgnieniu oka zsunęła się z konia, a gdy Zych zeskoczył także dla powitania jej na ziemię, rzuciła mu się na szyję. Przez długi czas Zbyszko słyszał tylko odgłos pocałunków i dwa wyrazy: „Tatulo! Jagula! Tatulo! Jagula!” — powtarzane w radosnym upojeniu.

Nadjechały oba poczty, nadjechał na wozie Maćko, a oni jeszcze powtarzali: „Tatulo! Jagula!”, i jeszcze się obejmowali za szyję. Aż gdy wreszcie mieli już do sytu powitań i okrzyków, poczęła go Jagienka wypytywać:

— To z wojny wracacie? Zdrowiście aby?

— Z wojny. Co nie mam być zdrów! A ty? A młodsze chłopaki? Myślę, że zdrowe? Tak? Bo inaczej nie latałybyś po lesie. Ale coże ty tu robisz najlepszego, dziewczyno?

— Przecie widzicie: poluję — odpowiedziała, śmiejąc się, Jagienka.

— W cudzych lasach?

— Opat dał mi pozwolenie<sup>525</sup>. Jeszcze przysłał pacholków do tego uczonych i psy.

Tu zwróciła się do swej czeladzi:

— A odpędzić mi ta psy, bo skórę podrą!

Po czym do Zycha:

— Oj, też rada jestem, rada, że was widzę!... U nas wszystko dobrze.

— A jam to nierad? — odparł Zych. — Dajże jeszcze, dziewucho, pyska!

I poczęły się znów całować, a gdy skończyli, Jagna rzekła:

— Do domu okrutny szmat drogi... Takeśmy się za oną bestią zagnali. Chyba ze dwie mileśmy gnali, że już i konie ustawały. Ale tęgi żubr, widzieliście?... Ma on ze trzy moje strzały w sobie, a od ostatniej musiał paść.

— Padł on od ostatniej, ale nie od twojej: ten to rycerzyk go ustrzelił.

Jagienka odgarnęła dłonią włosy, które się jej nasunęły na oczy, i spojrzała bystro, lubo niezbyt życzliwie na Zbyszka.

— Wiesz, kto to jest? — spytał Zych.

— Nie wiem.

— Nie dziwota, żeś go nie poznała, bo wyrósł. Ale może starego Maćka z Bogdańca poznasz?

— Dla Boga! To Maćko z Bogdańca! — zawołała Jagienka.

I zbliżywszy się do woza, pocałowała Maćka w rękę.

— Toście wy?

<sup>523</sup>wrony — (o koniu) kary, czarny. [przypis edytorski]

<sup>524</sup>srokacz — srokaty koń, koń o umaszczeniu w cętki bądź w łaty. [przypis edytorski]

<sup>525</sup>pozwolenie (daw.) — pozwolenie. [przypis edytorski]

— A ja. Jenom na wozie, bo mnie Niemcy postrzelili.  
— Jakie Niemcy? Przecie to z Tatory była wojna? Wiem ci ja to, bom się niemało tatula naprosiła, żeby mnie z sobą wziął.

— Była wojna z Tatory, ale my na niej nie byli, bośmy na Litwie przedtem wojowali i ja, i Zbyszko.

— A gdzie jest Zbyszko?

— Toś nie poznała, że to Zbyszko? — rzekł ze śmiechem Maćko.

— To jest Zbyszko? — zawołała dziewczyna, spoglądając znów na młodego rycerza.

— A jakże!

— Dajże mu po znajomości gęby — zawołał wesoło Zych.

Jagienka zwróciła się żywo ku Zbyszskowi, lecz nagle cofnęła się i zakrywszy ręką oczy, rzekła:

— Kiedy się wstydam...

— My się przecie od małości znamy! — ozwał się Zbyszko.

— Aha! Dobrze się znamy. Pamiętam ci ja, pamiętam. Z ośm roków temu przychaliście do nas z Maćkiem i nieboszczka matula przynieśli nam orzechów z miodem. A wy, jak jeno starsi wyszli z izby, zaraz mnie pięścią w nos, a orzechy samiście zjedli!

— Nie uczyniłby on teraz tego! — rzekł Maćko. — U kniazia Witolda bywał, w Krakowie na zamku bywał i obyczaj dworski zna.

Lecz Jagience przyszło co innego do głowy, zwróciwszy się bowiem do Zbyszka, spytała:

— To wyście żubra zabili?

— Ja.

— Obejrzym, gdzie tkwi grot.

— Nie obaczycie, bo mu się całkiem pochował pod łopatką.

— Daj spokój, nie prawuj się<sup>526</sup> — rzekł Zych. — Widzielim wszyscy, jak go ustrzelił, i widzielim jeszcze coś lepszego, bo kuszę w mig bez korby naciągnął.

Jagienka spojrziała po raz trzeci na Zbyszka, ale tym razem z podziwem:

— Naciągnęliście kuszę bez korby? — spytała.

Zbyszko odczuł w jej głosie jakby pewne niedowierzanie, wsparł więc o ziemię kuszę, którą był poprzednio spuścił, naciągnął ją w mgnieniu oka, aż zaskrzypiała żelazna obręcz, po czym chcąc pokazać, że zna dworski obyczaj, przyklęknął na jedno kolano i podał ją Jagience.

Dziewczyna zaś, zamiast ją wziąć z jego rąk, zaczerwieniła się nagle, sama nie wiedząc dlaczego, i poczęła zaciągać pod szyją zgrzebną<sup>527</sup> koszulę, która się była od szybkiej jazdy po lesie otwarła.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Drugiego dnia po przyjeździe do Bogdańca Maćko i Zbyszko poczęli rozglądać się po swojej starej siedzibie i wkrótce dostrzegli, iż Zych ze Zgorzelic miał słuszność, mówiąc, że z początku dokuczy im bieda niemała. Z gospodarstwem szło jeszcze jako tako. Było kilka łanów<sup>528</sup> obrabianych przez chłopów dawnych albo świeżo osadzonych przez opata. Niegdyś bywało w Bogdańcu uprawnej ziemi daleko więcej, ale od czasu gdy w bitwie pod Płowcami ród Gradów wyginął prawie do szczętu<sup>529</sup> — zbrakło rąk roboczych, a po napadzie śląskich Niemców i po wojnie Grzymalitów z Nałęczami żyzne niegdyś niwy<sup>530</sup> bogdańskie pozarastały po większej części lasem. Maćko nie mógł sam dać rady. Próżno chciał przed kilkunastu laty przyciągnąć wolnych kmieciów z Krześni i puścić im ziemię za odsepy<sup>531</sup> — ci bowiem woleli siedzieć na swoich własnych „lebach”<sup>532</sup>, niżli uprawiać cudzy zagon. Przywabił jednak nieco ludzi bezdomnych; w różnych wojnach wziął kilkunastu jeńców, których pozenił, osadził po chatach — i w ten sposób wieś poczęła

<sup>526</sup>prawować się (daw.) — spierać się o coś. [przypis edytorski]

<sup>527</sup>zgrzebny — prosty, nieozdobny bądź utkany z grubego płótna. [przypis edytorski]

<sup>528</sup>łan — obszar ziemi przeznaczony do uprawy, wydzierżawiony osadnikom. [przypis edytorski]

<sup>529</sup>do szczętu — dziś: doszczętnie, całkiem. [przypis edytorski]

<sup>530</sup>niwy (daw.) — pola. [przypis edytorski]

<sup>531</sup>odsep — opłata w formie odsypanej mąki. [przypis edytorski]

<sup>532</sup>lech (daw.) — obszar ziemi uprawnej. [przypis edytorski]

się dźwigać na nowo. Ale trudno mu to szło, więc gdy zdarzyła się sposobność zastawu, zastawił Maćko skwapliwie<sup>533</sup> cały Bogdaniec, mniemając naprzód, że możnemu opatowi łatwiej będzie zagospodarować ziemię, a po wtóre, że tymczasem jemu i Zbyszkowi wojna przysporzy ludzi i pieniędzy. Jakoż opat rządził sprężyscie. Siłę roboczą Bogdańca powiększył o pięć rodzin chłopskich, stada bydła i koni pomnożył, a przy tym zbudował spichlerz, chruścianą oborę i takąż stajnię. Natomiast nie mieszkając stale w Bogdańcu, o dom nie dbał — i Maćko, który marzył czasami, że wróciwszy, zostanie go otoczonym rowem i częstokołem, zastał wszystko tak, jak był zostawił, z tą chyba różnicą, że węgły<sup>534</sup> pokrzywiły się nieco, a ściany wydawały się niższe, bo osiadły i zasunęły się w ziemię.

Dwór składał się z ogromnej sieni, dwóch obszernych izb z komorami<sup>535</sup> i z kuchni. W izbach były okna z błon, na środku zaś każdej ognisko w ulepionej z gliny podłodze, z którego dym wychodził przez szpary w pułapie. Pułap ów, czarny zupełnie, bywał za lepszych czasów zarazem i wędlarnią<sup>536</sup>, na kolkach bowiem powbijanych w belki wieszano wówczas szynki wieprzowe, dzicze, niedźwiedzie i łosie, combry<sup>537</sup> jelenie i sarnie, grzbiety wołowe i całe zwoje kielbas. W Bogdańcu jednak haki były teraz puste, jak również i półki biegnące wzdłuż ścian, na których po innych „dworach” ustawiano misy cynowe i gliniane. Tylko ściany pod półkami nie wydawały się już zbyt nagie. Zbyszko bowiem kazał ludziom porozwieszać na nich pancerze, hełmy, miecze krótkie i długie, a dalej oszczepy, widły, kusze, kopie rycerskie, wreszcie tarcze i topory, i kropierze na konie. Broń czerniała od takiego rozwieszania w dymie i trzeba było często ją czyścić, ale za to była wszystka pod ręką i w dodatku czerw<sup>538</sup> nie toczył drzewa w kopiach, kuszach i toporzyskach. Szaty kosztowne kazał troskliwy Maćko poprzenieć do komory, w której sypiał.

W przednich izbach były też w pobliżu bloniastych okien stoły zbite z sosnowych desek i takież ławy, na których panowie zasiadali wraz z czeladzią do jadła. Ludziom odwykłym przez długie lata wojny od wygod nie trzeba było wiele, w Bogdańcu jednak brakło chleba, mąki i różnych innych zapasów, a zwłaszcza statków. Chłopi poznosili, co mogli, liczył głównie Maćko na to, że jako bywa w takich razach, przyjdą mu w pomoc sąsiedzi — i rzeczywiście nie omylił się, przynajmniej co do Zycha ze Zgorzelic.

Drugiego dnia po przyjeździe siedział właśnie stary na kłodzie przed domem, chcąc użyć pięknej jesiennej pogody, gdy na dziedziniec zajechała na tym samym wronym koniu Jagienka. Czeladnik, który drzewo rąbał koło płota, chciał jej do zsiadania pomóc, lecz ona zeskoczywszy w jednej chwili na ziemię, zbliżyła się do Maćka, zdyszana nieco od prędkiej jazdy i zarumieniona jak jabłuszko.

— Niech będzie pochwalony! Przyjechałam pokłonić się wam od tatula i zapytać o zdrowie.

— Nie gorzej niż było w drodze — odrzekł Maćko. — Człek się przynajmniej wyspał na własnych śmieciach.

— Ale niewygodę musicie mieć wielką, a choremu potrzeba starunku.

— Twarde my chłopcy. Juźci, z początku nie ma wygod, ale nie ma i głodu. Kazalim zarznąć wołu i dwie owce, mięsa jest dość. Poznosiły też baby trochę mąki i jaj, ale tego mało, a już najgorzej statków nam brak.

— Bo ja kazałam wyladzić<sup>539</sup> dwa wozy. Na jednym idą dwie pościele i statki, a na drugim spyża różna. Są placki i mąka, i słonina, i suszone grzyby, jest beczuleczka piwa, a druga miodu, i co tam było w domu, ze wszystkiego po trochu.

Maćko, który rad był zawsze z każdego przybytku w domu, wyciągnął rękę, pogładził Jagienkę po głowie i rzekł:

— Bóg zapłać tobie i twojemu rodzicowi. Jak się zagospodaruję, to oddamy.

— Bogdajże was! A czy to my Niemce, żebyśmy mieli odbierać to, co dajem!

— No, to jeszcze bardziej Bóg wam zapłać. Powiadał o tobie rodzic, jakaś gospodarna. Toś ty całymi Zgorzelicami bez rok rządziła?

<sup>533</sup>skwapliwie (daw.) — chętnie i szybko. [przypis edytorski]

<sup>534</sup>węgiel — styk pionowych ścian budynku. [przypis edytorski]

<sup>535</sup>komora (daw.) — pomieszczenie magazynowe. [przypis edytorski]

<sup>536</sup>wędlarnia — dziś: wędzarnia. [przypis edytorski]

<sup>537</sup>comber — mięso z kością z grzbietu zwierzęcia. [przypis edytorski]

<sup>538</sup>czerw — pasożyt (larwa) żerujący na drewnie. [przypis edytorski]

<sup>539</sup>wyladzić (daw.) — przygotować. [przypis edytorski]

Dwór

Sąsiad

Niemiec

— Ano!... Jak wam będzie czego więcej potrzeba, to kogo przyślijcie, jeno takiego, co by wiedział, czego trzeba, bo to czasem głupi jaki sługa przyjedzie i nie wie, po co go przysłali.

Tu Jagienka poczęła się nieco oglądać, a Maćko, spostrzegłszy to, uśmiechnął się i zapytał:

— Za kimże się oglądasz?

— Nie oglądam się za nikim!

— Przyślę Zbyszka, niech za mnie tobie i Zychowi podziękuje. Udał ci się Zbyszko? Co?

— A, nie patrzyłam!

— To przypatrz się mu teraz, bo ci właśnie nadchodzi.

Jakoż Zbyszko nadchodził rzeczywiście od wodopoju i ujrawszy Jagienkę, przyśpieszył kroku. Ubrany był w łosi kubrak i okrągłą, pilśniową<sup>540</sup> myckę<sup>541</sup>, taką, jakich używano pod hełmy, włosy miał bez pątlaka, obcięte równo nad brwiami, a po bokach spływające w złotych zwojach na ramiona — i zbliżał się szybko, rosły, hoży<sup>542</sup>, do giermka z wielkiego domu zupełnie podobny.

Jagienka odwróciła się całkiem do Maćka, aby przez to okazać, że tylko do niego przyjechała, lecz Zbyszko przywitał ją wesoło, a następnie wzięwszy jej rękę, podniósł ją do ust mimo oporu dziewczyny.

— Czemu mnie w rękę całujesz? — spytała. — Czy to ja ksiądz?

— Nie brońcie się! To taki zwyczaj.

— A choćby cię i w drugą pocałował za to, coś przywiozła — wtrącił Maćko — nie byłoby nadto.

— Co zaś przywiozła? — zapytał Zbyszko, rozglądając się po dziedzińcu, nie widząc nic więcej prócz wronego konia, który stał przywiązany do palika.

— Wozy jeszcze nie nadeszły, ale przyjdą — odpowiedziała Jagienka.

Maćko począł wymieniać, co przywiozła, niczego nie opuszczając, gdy zaś wspomniał o dwóch pościelach, Zbyszko rzekł:

— Ja tam rad i na żubrowej skórze przylegam, ale dziękuję wam, żeście i o mnie pomyśleli.

— To nie ja: tatulo... — odrzekła, czerwieniąc się, dziewczyna. — Jeśli wolicie na skórze, to niewoli nie ma.

— Wołę, na czym wypadnie. Bywało, nieraz w polu, po bitwie, to się sypiało i z zabitym Krzyżakiem pod głową.

— Alboście to zabili kiedy Krzyżaka? Pewno, że nie!

Zbyszko, zamiast odpowiedzieć, począł się śmiać. Maćko zaś zawołał:

— Bójże się Boga, dziewczyno, to ty jego nie znasz! Nic ci on innego nie czynił, jeno w Niemców bił, aże grzmiało. Na kopie, na topory, do wszystkiego gotów, a jak Niemca z dała dopatrzeć, to choć go na powrozie trzymaj, tak się do niego rwie. W Krakowie chciał nawet w posła Lichtensteina bić, za co mało mu głowy nie ucięli. Taki to chłop! I o Fryzach dwóch ci opowiem, po których wzięliśmy poczet i łup tak godny, że za połowę tego można by Bogdaniec wykupić.

Tu Maćko ją opowiadać o pojedynku z Fryzjczykami, a następnie o innych przygodach, jakie się im przytrafiały, i czynach, jakich dokonali. Potykali się przecie zza murów i w otwartym polu z największymi rycerzami, jacy w cudzoziemskich krajach żyją. Bili w Niemców, bili we Francuzów, bili w Angielczyków i w Burgundów. Bywali w zacieklých wirach bitew, że z koni, z ludzi, ze zbroi, z Niemców i piór czynił się jakoby jeden kłęb. A czego to oni przy tym nie widzieli! Widzieli krzyżackie zamki z czerwonej cegły, litewskie grodzce<sup>543</sup> drewniane i kościoły, jakich koło Bogdańca nie ma, i miasta, i srogie puszcze, w których nocami kwiliły powypędzane ze świątyn litewskie bożeczki, i różne, różne cuda; wszędzie zaś, gdzie do bitki przyszło, Zbyszko na przedzie, tak że dziwowali mu się najwięksi rycerze.

<sup>540</sup>*pilśniowy* — wykonany z gęstego, zbitego materiału produkowanego z włókien wełny. [przypis edytorski]

<sup>541</sup>*mycka* — mała, okrągła czapka. [przypis edytorski]

<sup>542</sup>*hoży* — tryskający zdrowiem, urodziwy. [przypis edytorski]

<sup>543</sup>*grodziec* (daw.) — gród. [przypis edytorski]

Pocałunek

Niemiec

Walka

Jagienka, przysiadłszy na kłodzie obok Maćka, słuchała z otwartymi ustami tego opowiadania, kręcąc głową, jakby ją miała na śrubkach, to w stronę Maćka, to w stronę Zbyszka, i spoglądając na młodego rycerza z coraz większym podziwem. Wreszcie, gdy Maćko skończył, westchnęła i rzekła:

— Bogdaj się to chłopakiem urodzić!

Lecz Zbyszko, który przez czas opowiadania przyglądał się jej również bacznie, myślał w tej chwili widocznie o czym innym, gdyż niespodzianie rzekł:

— Ale też z was krasna<sup>544</sup> dziewczka!

Jagienka zaś odrzekła, na wpół z niechęcią, a na wpół ze smutkiem:

— Widzieliście wy krasniejsze ode mnie.

Zbyszko jednak mógł bez kłamstwa odpowiedzieć jej, że wiele takich nie widział, gdyż od Jagienki bił po prostu blask zdrowia, młodości i siły. Stary opat nie próżno mawiał o niej, że wygląda jak na wpół kalina<sup>545</sup>, wpół sosienka. Wszystko w niej było piękne: i wysmukła postawa, i szerokie ramiona, i piersi jak ze skały wykute, i czerwone usta, i modre oczki bystro patrzące. Była też przybrana staranniej niż poprzednio w lesie na łowach. Na szyi miała krasne<sup>546</sup> paciorki, kożuszek otwarty na przodzie, kryty zielonym suknem, spódnicę z samodziału<sup>547</sup> w prążki i nowe buty. Nawet stary Maćko zauważył ten piękny strój i popatrzawszy na nią przez chwilę, zapytał:

— A czemuś to się tak przybrała jako na odpust?

Lecz ona, zamiast odpowiedzieć, poczęła wołać:

— Idą wozy, idą!...

Jakoż gdy wozy zajęchały, skoczyła ku nim, a za nią poszedł Zbyszko. Wylądowanie trwało aż do zachodu słońca, ku wielkiemu zadowoleniu Maćka, który każdą rzecz z osobna oglądał i za każdą wysławiał Jagienkę. Mrok też już zapadał zupełny, gdy dziewczyna poczęła się zabierać do domu. Przy wsiadaniu na koń Zbyszko chwycił ją nagle wpół i nim zdążyła słowo wymówić, podniósł ją w górę i posadził na kulbakę. Wówczas zarumieniła się jak zorza i zwróciwszy ku niemu twarz, rzekła przytłumionym nieco głosem:

— Mocarny z was pacholek...

On zaś, nie dojrawszy jej rumieńców i zmieszania z powodu ciemności, roześmiał się i zapytał:

— A nie boicie się zwierza?... Już zaraz noc!

— Jest na wozie oszczep... podajcie mi go.

Zbyszko poszedł do wozu, wyjął oszczep i wręczył go Jagience:

— Bądźcie zdrowi!

— Bądźcie zdrowi!

— Bóg wam zapłać! Przyjadę jutro albo pojutrze do Zgorzelic pokłonić się Zychowi i wam za somsiędką<sup>548</sup> uczynność.

— Przyjeżdżajcie! Radzi będziem! Wiśta!

I ruszywszy koniem, znikła po chwili w przydrożnych krzaczach.

Zbyszko wrócił do stryja.

— Czas wam do izby wracać.

Lecz Maćko odrzekł, nie ruszając się z kłody:

— Hej! Co za dziewczyna! Aże podwórze od niej pojaśniało!

— Bo pewnie!

Nastała chwila milczenia. Maćko zdawał się o czymś rozmyślać, patrząc w ukazujące się gwiazdy, po czym znów rzekł jakby sam do siebie:

— I przyszczypne<sup>549</sup> to, i gospodarne, choć nie ma więcej nad piętnaście roków...

— Ano! — rzekł Zbyszko. — Stary Zych miłuje ją też jak oko w głowie.

— I mówił, że Moczydoły za nią pójda, a tam jest w łęgach stadko świerzop<sup>550</sup> ze źrebięty.

<sup>544</sup>krasny (daw.) — piękny. [przypis edytorski]

<sup>545</sup>kalina — roślina o czerwonych owocach; w poezji ludowej porównanie do niej dziewczyny uchodziło za komplement. [przypis edytorski]

<sup>546</sup>krasny — tu: czerwony. [przypis edytorski]

<sup>547</sup>samodział — tkanina wełniana lub lniana, wyprodukowana na ręcznym warsztacie. [przypis edytorski]

<sup>548</sup>somsiędzki — dziś popr.: sąsiedzki. [przypis edytorski]

<sup>549</sup>przyszczypny (daw. a. gw.) — zadziorny, ale na sposób humorystyczny. [przypis edytorski]

<sup>550</sup>świerzopa — kobyła, klacz. [przypis edytorski]

— W borach moczylówskich ponoś okrutne bagna?...

— Ale żeremia<sup>551</sup> bobrowe w nich są.

I znów nastąpiło milczenie. Maćko spoglądał czas jakiś z ukosa na Zbyszka, a wreszcie spytał:

— Cożes się tak zapamiętał<sup>552</sup>? O czym rozmyślasz?

— Bo... widzicie... po Jagience tak mi się Danuśka przypomniała, aże mnie coś w sercu zabolalo.

— Chodźmy do izby — rzekł na to stary. — Późno już.

I wstawszy z trudem, wsparł się na Zbyszku, który odprowadził go do komory.

Zbyszko pojechał jednak zaraz nazajutrz do Zgorzelic, albowiem Maćko bardzo o to przynaglał. Wymógł również na bratanku, by wziął z sobą dla okazałości dwóch pachotków i przybrał się jak najpiękniej, aby w ten sposób cześć Zychowi wyrządzić i należytą wdzięczność mu okazać. Zbyszko ustąpił i pojechał wystrojony jak na wesele w tę samą zdobyczną jakę z białego atlasu<sup>553</sup>, obszytą złotą frędzlą i zahaftowaną w złote gryfy. Zych przyjął go z otwartymi ramionami, radością i ze śpiewaniem, Jagienka zaś, wszedłszy na próg izby, stanęła jak wryta i omal nie upuściła łagiewki<sup>554</sup> z winem na widok młodziana, myślała bowiem, że królewicz jaki przyjechał. Straciła też od razu śmiałość i siedziała w milczeniu, przecierając tylko kiedy niekiedy oczy, jak gdyby się chciała ze snu obudzić. Zbyszko, któremu brakło doświadczenia, myślał, że z niewiadomych mu przyczyn nierada go widzi, rozmawiał więc tylko z Zychem, sławiąc jego sąsiedzką hojność i podziwiając dwór zgorzelicki, który rzeczywiście w niczym nie był do bogdanieckiego podobny.

Wszędzie znać tu było dostatek i zasobność. W izbach były okna z szybami z rogu, zestruganego cienko i tak wygładzonego, że był prawie jak szkło przezroczyste. Nie było ognisk na środku izb, tylko wielkie kominy z okapami po rogach. Podłoga była z modrzewiowych desek czysto umytych, na ścianach zbroje i mnóstwo mis błyszczących jak słońca oraz pięknie wyciętych łyżników<sup>555</sup>, z szeregami łyżek, z których dwie były ze srebra. Gdzieniedzie wisiały też makatki, złupione w wojnach lub nabyte od wędrownych kupców. Pod stołami leżały olbrzymie płowe skóry turze, a także żubrze i dzicze. Zych z chęcią pokazywał swoje bogactwa, mówiąc co chwila, że to Jagienkowe gospodarowanie. Zaprowadził także Zbyszka do alkierza<sup>556</sup>, pachnącego całkiem żywicą i miętą, w którym u pułapu wisiały całe pęki skór wilczych, lisich, kunich i bobrowych. Pokazał mu sernik<sup>557</sup>, składy wosku i miodu, beczki z mąką, składy sucharów, konopi i suszonych grzybów. Wziął go następnie do spichrzów, obór, stajen i chlewów, do szop, w których były wozy, sprzęty myśliwskie, sieci, i tak olśnił oczy jego dostatkami, że Zbyszko, wróciwszy na wieczerzę, nie mógł utrzymać w sobie podziwu.

— Życ nie umierać w waszych Zgorzelicach! — rzekł.

— W Moczylóbach bez mała<sup>558</sup> takie same porządki — odrzekł Zych. — Pamiętasz Moczylóły? To przecie ku Bogdańcowi. Drzewiej wadzili się nawet nasi ojce o granice i zapowiedzi sobie posyłałi na bitki, ale ja ta nie będę się wadził.

Tu trącił się ze Zbyszkiem kubkiem miodu i zapytał:

— A może byś chciał sobie coś zaśpiewać?

— Nie — rzekł Zbyszko — ciekawie was słucham.

— Zgorzelice, widzisz, wezmą niedźwiadki. Byle się jeno kiedyś o nie nie podarli!...

— Jakie niedźwiadki?

— Ano, chłopaki, Jagienkowi bracia.

— Hej! Nie będą potrzebowali łapy przez zimę ssać.

— A nie. Ale i Jagience w Moczylóbach sperki<sup>559</sup> w gębie nie zabraknie...

— Pewnikiem!

Bogactwo

<sup>551</sup>żeremie — konstrukcja z gałęzi, mchu i szlamu, budowana przez bobry, w której rodzą one młode. [przypis edytorski]

<sup>552</sup>zapamiętać się — zamyślić się a. zająć się czymś, zapominając o wszystkim innym. [przypis edytorski]

<sup>553</sup>atlas — tkanina z jednej strony gładka, z drugiej szorstka. [przypis edytorski]

<sup>554</sup>łagiewka a. łagiew — naczynie podróżne. [przypis edytorski]

<sup>555</sup>łyżnik — drewniana półeczka z otworami na łyżki. [przypis edytorski]

<sup>556</sup>alkierz — izba narożna, często reprezentacyjna. [przypis edytorski]

<sup>557</sup>sernik — pomieszczenie do przechowywania serów. [przypis edytorski]

<sup>558</sup>bez mała (daw.) — prawie. [przypis edytorski]

<sup>559</sup>sperka (gw.) — słonina. [przypis edytorski]

— A czemu nie jesz i nie pijesz? Jagienka, nalej i jemu, i mnie.  
— Jem i piję, jako mogę.  
— Jak nie będziesz mógł, to się odpasz... Piękny pas! Wy też na Litwie musieliście wziąć łup godny?

— Nie narzekamy — odrzekł Zbyszko, korzystając ze sposobności, aby okazać, że i dziedzice Bogdańca nie byle włodyczkowie. — Część łupów przedaliśmy w Krakowie i wzięliśmy czterdzieści grzywien<sup>560</sup> srebra...

— Bój się Boga! Toż za to można kupić wieś.

— Bo była jedna zbroja mediolańska, którą stryjko spodziewający się śmierci sprzedał, a to wiecie...

— Wiem! No! To warto na Litwę iść. Ja swego czasu chciałem, ale się bojałem<sup>561</sup>.

— Czego? Krzyżaków?

— E, kto by się ta ich bał. Póki cię nie zabiją, to czegoś się bać, a jak cię zabiją, to już i nie czas na strach. Bojałem się onych pogańskich bożków, czyli diabłów. Po lasach to podobno tego jak mrowia.

— A gdzie mają siedzieć, kiedy im bożnice<sup>562</sup> popalili?... Dawniej mieli dostatek, a teraz jeno grzybami i mrówkami żyją.

— Widziałeś też ich?

— Ja sam nie widziałem, ale słyszałem, że ludzie widzieli... Wysunie ta poniektóry kosmatą łapinę i zza drzewa potrząsa nią, żeby mu co dać...

— Powiadali to samo Maćko — ozwała się Jagienka.

— A jakże! Prawił ci i mnie o tym w drodze — dodał Zych. — No, nie dziwota! Przecie i u nas, choć kraj dawno krześcijański, czasem się coś po bajorach śmieje, a i w domu, choć księża o to krzyczą, lepiej zawsze skrzatom miskę z jadem na noc ostawić, bo inaczej tak ci skrobia w ściany, że i oka nie zmrużysz... Jagienka!... Postaw, córuchno, pod progiem miskę!

Jagienka wzięła glinianą miskę pełną klusków<sup>563</sup> z serem i postawiła ją pod progiem. Zych zaś rzekł:

— Księża krzyczą, pomstują! Panu Jezusowi przecie przez trochę klusków chwały nie ubędzie, a skrzat byle był syt i życzliwy, to i od ognia, i od złodzieja ustrzeże.

Po czym zwrócił się do Zbyszka:

— Ale może byś się odpasał i trochę sobie zaśpiewał?

— Zaśpiewajcie wy, bo już widzę, że z dawna macie ochotę, ale może panna Jagienka zaśpiewa?

— Będziem po kolei śpiewali — zawołał uradowany Zych. — Jest też w domu pacholek, który nam do wtóru na drewnianej fujarce zapiska. Wołać pachółka!

Zawołano pachółka, który siadł na zydlu i włożywszy „piszczkę” w usta, a następnie rozstawiwszy na niej palce, jął spoglądać po obecnych, czekając, komu ma zawtórować.

Oni zaś poczęli się sprzeczać, nikt bowiem nie chciał być pierwszy. Kazał wreszcie Zych dać przykład Jagience, więc Jagienka, chociaż bardzo jej było wstyd Zbyszka, wstała z ławy, włożyła ręce pod fartuch i poczęła:

Gdybym ci ja miała  
Skrzydłeczka jak gaska,  
Poleciałabym ja  
Za Jaśkiem do Śląska!...

Zbyszko otworzył naprzód szeroko oczy, po czym zerwał się na równe nogi i zawołał wielkim głosem:

— A wy skąd to umiecie śpiewać?

Jagienka spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Przecie to wszyscy śpiewają... Co wam?

Zych zaś, który sądził, że Zbyszko podpił, zwrócił ku niemu rozradowaną twarz i rzekł:

<sup>560</sup>grzywina — średniowieczna jednostka monetarna, wartość określonej wagi kruszcu. [przypis edytorski]

<sup>561</sup>bojać się — dziś popr.: bać się. [przypis edytorski]

<sup>562</sup>bożnica — tu: świątynia. [przypis edytorski]

<sup>563</sup>kluszków — dziś popr.: klusek. [przypis edytorski]



— Odpasz się! Zaraz ci ulży!

Lecz Zbyszko stał przez chwilę z mieniającą się twarzą, po czym opanowawszy wzruszenie, ozwał się do Jagienki:

— Przepraszam was. Cosik mi się niespodzianie przypomniało. Śpiewajcie dalej.

— A może wam smutno słuchać?

— Ej, gdzie tam! — odrzekł drgającym głosem. — Słuchałbym tego przez całą noc. To rzekłszy, siadł i zakrywszy dłonią brwi, umilkł, nie chcąc żadnego słowa uronić.

Jagienka zaśpiewała drugą zwrotkę, lecz skończywszy ją, spostrzegła wielką lżę staczającą się po palcach Zbyszkowej dłoni.

Łzy

Wówczas przysunęła się żywo ku niemu i siadłszy obok, poczęła go trącać łokciem:

— No? Co wam? Nie chcę, byście płakali. Mówcie, co wam jest?

— Nic, nic! — odrzekł z westchnieniem Zbyszko. — Siła by gadać... Co było, to przeszło. Już mi weselej.

— A może byście się wina słodkiego napili?

— Poćciwa<sup>564</sup> dziewczka! — zawołał Zych. — Czemu to mówicie sobie: wy? Mów mu: Zbyszku, a ty jej: Jagienko. Znacie się przecie od małości...

Po czym zwrócił się do córki:

— Że cię tam ongi<sup>565</sup> sprął, to nic!... Ninie tego nie uczyni.

— Nie uczynię! — rzekł wesoło Zbyszko. — Niechże mnie ona za to teraz spierze, jeśli jej wola.

Na to Jagienka, chcąc go do reszty rozweselić, złożyła dłoń w piąstkę i śmiejąc się, poczęła udawać, że bije Zbyszka.

— A masz ci za mój rozbity nos! A masz! A masz!

— Wina! — zawołał rozochocony dziedzic Zgorzelic.

Jagienka skoczyła do komory i po chwili wyniosła kamionkę<sup>566</sup> z winem, dwa kubki piękne, wygniatane w srebrne kwiaty, roboty wrocławskich złotników, i parę gomólek z daleka pachnących.

Zycha, mającego już w głowie, rozczulił ten widok zupełnie, więc przygarnął do siebie kamionkę, przycisnął ją do łona i sądząc widocznie, że to Jagienka, począł mówić:

Pijaństwo

— Oj, córuchno ty moja! Oj, niebogo, sieroto! Co ja, biedny chudzina, w Zgorzelicach pocznę, jak mi cię zabiorą; co ja pocznę!...

— A trza ją będzie niezadługo dać! — zawołał Zbyszko.

Zych zaś w mgnieniu oka z rozczulenia przeszedł do śmiechu:

— Chy! chy! A dziewce piętnaście roków i już ją do chłopów ciągnie!... Już jak którego choć z daleka uwidzi<sup>567</sup>, to ażę kolaniem o kolano trze!...

Pożądanie

— Tatusiu, bo sobie pójdę — rzekła Jagienka.

— Nie chodź! Dobrze z tobą...

Po czym ją mrugać tajemniczo na Zbyszka.

— Zajeżdża ich tu dwóch: jeden młody Wilk, syn starego Wilka z Brzozowej, a drugi Cztan<sup>568</sup> z Rogowa. Żeby cię tu zastali, zaraz by wzięli na cię zgrzytać, jako i na się wzajem zgrzytają.

— O wa! — rzekł Zbyszko.

Po czym zwrócił się do Jagienki i mówiąc jej: ty, wedle polecenia Zycha, zapytał:

— A ty którego wolisz?

— Żadnego.

— Wilk, sierzysty<sup>569</sup> pacholek! — zauważył Zych.

— Niech w inną stronę wyje!

— A Cztan?

Jagienka poczęła się śmiać.

— Cztan — mówiła, zwracając się do Zbyszka — takie ci ma kudły na gębie jak cap, że mu oczu nie widać, i sadła tyle na nim co na niedźwiedziu.

<sup>564</sup>poćciwa — dziś popr.: pocziwa. [przypis edytorski]

<sup>565</sup>ongi (daw.) — kiedyś, dawniej. [przypis edytorski]

<sup>566</sup>kamionka — naczynie ceramiczne. [przypis edytorski]

<sup>567</sup>uwidzieć (daw.) — zobaczyć. [przypis edytorski]

<sup>568</sup>Cztan — skrócona forma imienia Przeclaw. [przypis edytorski]

<sup>569</sup>sierzysty (daw.) — śmiały, czupurny. [przypis edytorski]

A Zbyszko uderzył się w głowę, jakby coś sobie nagle przypominając, i rzekł:  
 — Ale!... Kiedyście tacy dobrzy, to was jeszcze o jedną rzecz poproszę: nie ma też u was w domu niedźwiedziego sadła, bo stryjkowi na lek potrzebne, a w Bogdańcu nie mogłem dopytać?  
 — Było — rzekła Jagienka — ale chłopaki na dwór wynieśli do smarowania luków i psi do szczętu zjedli... Bodajże to!  
 — Nic nie zostało?  
 — Do czysta wylizane!  
 — Ha! To nie ma innej rady, jeno trza będzie w boru poszukać.  
 — Uczynicie obławę, bo niedźwiedzi nie brak, a jeśli myśliwskiego sprzętu chcecie, to damy.  
 — Gdzie mi tam czekać! Pójdę na noc pod barcie.  
 — Weźcie z pięciu naroczników<sup>570</sup>. Są między nimi chłopcy sprawne.  
 — Nie będę kupą chodził, bo jeszcze mi zwierza spłoszą.  
 — To jakże? Z kuszą pójdziecie?  
 — A co bym z kuszą w boru po ciemku zrobił? Miesiąc teraz przecie nie świeci. Wezmę widły z zadziorami, topór dobry i pójdę jutro sam.  
 Jagienka umilkła na chwilę, po czym w twarzy jej odbił się niepokój.  
 — Poszedł od nas łośńskiego roku<sup>571</sup> — rzekła — myśliwiec Bezduch i niedźwiedź go rozdarł. Zawsze to jest nieprzeznaczona<sup>572</sup> rzecz, bo on, jak samego człowieka w nocy uwidzi, a tym bardziej przy barciach, to zaraz na zadnie łapy staje.  
 — Żeby uciekał, to by się go nie dostało — odrzekł Zbyszko.  
 Tymczasem Zych, który się był zdrzemnął, zbudził się nagle i począł śpiewać:

A ty, Kuba, od roboty,  
 A ja, Maciek, od ochoty!  
 Idźże rano z sochą<sup>573</sup> w pole!  
 A ja z Kasią w żytko wolę.  
 Hoc! hoc!

Po czym do Zbyszka:  
 — Wiesz? Jest ich dwóch: Wilk z Brzozowej i Cztan z Rogowa... a ty...  
 Lecz Jagienka, bojąc się, żeby Zych nie powiedział czegoś nadto, zbliżyła się szybko do Zbyszka i jęła wypytywać:  
 — I kiedy pójdziesz? Jutro?  
 — Jutro, po zachodzie słońca.  
 — A do których barci?  
 — Do naszych, do bogdańskich, niedaleko od waszych kopców<sup>574</sup>, wedle Radziko-  
 wego błota. Powiadali mi, że tam o misia łatwo.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zbyszko wybrał się, jak zapowiedział, gdyż Maćko czuł się coraz gorzej. Z początku podtrzymywała go radość i pierwsze domowe zajęcia, lecz trzeciego dnia wróciła mu gorączka i ból w boku oznał mu się z taką siłą, iż musiał się położyć. Zbyszko poszedł naprzód w dzień, obejrzał barci, zobaczył, że jest blisko ogromny ślad na błocie — i rozmówił się z bartnikiem Wawrkiem, który nocami sypiał w pobliżu w szalasię razem z parą srogich podhalskich kundli, ale właśnie miał się już wynieść do wsi z powodu chłódów jesien-  
 nych.

Obaj rozrzcili szalasię, zabrali psy, tu i ówdzie rozsmarowali trochę miodu po pniach, by zapach znęcił zwierza, za czym Zbyszko wrócił do domu i począł się gotować na wyprawę. Ubrał się dla ciepła w kubrak łośi, bez rękawów; na ciemię nawdziął żelazny czepiec

<sup>570</sup>*narocznik* — słowo wieloznaczne: chłop płacący roczną daninę bądź przedstawiciel ludności niewolnej zobowiązany do bliżej niesprecyzowanych świadczeń wojskowych. [przypis edytorski]

<sup>571</sup>*łośńskiego roku* (gw.) — zeszłego roku. [przypis edytorski]

<sup>572</sup>*nieprzeznaczony* — dziś popr.: niebezpieczny. [przypis edytorski]

<sup>573</sup>*socha* — prymitywny, drewniany pług. [przypis edytorski]

<sup>574</sup>*kopce* — kopcami często oznaczano granicę posiadłości. [przypis edytorski]

z drutu, aby niedźwiedź nie mógł mu obedrzeć skóry z głowy, wreszcie wziął widły dobrze okute, dwuzębne, z zadziarami, i topór stalowy, szeroki, na dębowym toporzysku nie tak krótkim, jakich zażywają<sup>575</sup> cieśle. O wieczornym udoju<sup>576</sup> był już u celu i wybrawszy sobie dogodne miejsce, przeżegnał się, zasiadł i czekał.

Czerwone promienie zachodzącego słońca świeciły między gałęziami chojarów<sup>577</sup>. Po wierzchołkach sosen tłukły się wrony, kracząc i łopocąc skrzydłami; gdzieś kicały ku wodzie zające, czyniąc szelest po żółciejących jagodziskach<sup>578</sup> i po opadłych liściach; czasem śmignęła po buczku chyba<sup>579</sup> kuna. W gąszczach odzywał się jeszcze świegot ptaków, który stopniowo ustawał.

O samym zachodzie nie było w boru spokoju. Przeszło niebawem opodał Zbyszka stadko dzików z wielkim hałasem i fukaniem, a potem kłusowały losie długim rzędem, trzymając jeden drugiemu łeb na ogonie. Suche gałęzie trzeszczały im pod racicami i las aż dudnił, one atoli<sup>580</sup> połyskując czerwono w słońcu, dążyły do błota, gdzie im było nocą bezpiecznie i błogo. Nareszcie zorze rozpały się na niebie, od których wierzchołki sosen zdawały się płonąć jak w ogniu, i z wolna jęło się wszystko uspokajać. Bór szedł spać. Mrok wstawał od ziemi i podnosił się w górę ku świetlistym zorzom, które też w końcu poczęły omdlewać, zasępiąc się, czernieć i gasnąć.

„Teraz, póki się wilki nie odezwą, to będzie cicho” — pomyślał Zbyszko. Żałował jednak, że nie wziął kuszy, mógłby był bowiem z łatwością położyć dzika lub łosia. Tymczasem od strony błota dochodziły jeszcze czas jakiś przytłumione odgłosy, podobne do ciężkiego stękania i poświstywania. Zbyszko spoglądał ku temu błotowi z pewną nieufnością, albowiem chłop Radzik, który mieszkał tu niegdyś w ziemnej chacie, znikł razem z rodziną, jakby się pod ziemię zapadł. Jedni mówili, że porwali ich zbójce, byli wszelako ludzie, którzy widzieli później wedle chaty jakieś dziwne ślady ni to ludzkie, ni zwierzęce — i którzy bardzo kręcili nad tym głowami, a nawet namyślali się, czyby nie sprowadzić księdza z Krześni, aby tę chałupę poświęcił. Nie przyszło wprawdzie do tego, bo nie znalazł się nikt, który by chciał tu zamieszkać, i chatę, a raczej glinę na chruścianych ścianach, rozpląkały z czasem dżdże<sup>581</sup> — miejsce jednakże nie używało<sup>582</sup> odtąd dobrej sławy. Nie uważał wprawdzie na to Wawrek, bartnik, który tu nocował latem w szałasie, ale i o tym Wawrku różnie mówiono. Zbyszko, mając widły i topór, nie obawiał się dzikich zwierząt — myślał natomiast z pewnym niepokojem o siłach nieczystych i rad też był, gdy owe gwary wreszcie umilkły.

Ostatnie odbłaski znikły i uczyniła się noc zupełna. Wiatr ustał, nie było nawet zwykłego szumu w wierzchołkach sosen. Kiedy niekiedy spadała tu i ówdzie szyszka, wydając na tle ogólnego milczenia odgłos mocny i donośny, ale zresztą było tak cicho, że Zbyszko słyszał własny oddech.

W ten sposób przesiedział długi czas, rozmyślając naprzód o niedźwiedziu, który mógł nadejść, a następnie o Danusi, która z dworem mazowieckim jechała w dalekie strony. Przypomnił sobie, jak ją chwycił na ręce w chwili rozstania się z księżną i jak jej łzy spływały mu po policzku, przypomniał sobie jej jasną twarz, jej przetowłosą główkę, jej chabrowe wianuszki i jej śpiewanie, jej czerwone trzewiczki z długimi nosami, które całował na odjeździe — wreszcie wszystko, co zaszło od chwili, jak się poznali; i ogarnął go taki żal, że jej blisko nie ma, i taka po niej tęsknota, że całkiem w niej zatonął, stracił pamięć, że jest w lesie, że czatuje na zwierza, a natomiast począł sobie mówić w duszy:

„Pójdę ja k'tobie<sup>583</sup>, bo mi nie żyć bez ciebie”.

I czuł, że tak jest — i że musi jechać na Mazowsze, bo inaczej skapieje<sup>584</sup> w Bogdańcu. Przyszedł mu na myśl Jurand i jego dziwny opór, więc pomyślał, że tym bardziej trzeba mu jechać, aby się dowiedzieć, co to za tajemnica, co za przeszkody i czyby jakowyś pozew

<sup>575</sup>zażywać — tu: używać. [przypis edytorski]

<sup>576</sup>udój — dojenie krów. [przypis edytorski]

<sup>577</sup>chojar (daw.) — wysokie drzewo iglaste. [przypis edytorski]

<sup>578</sup>jagodzisko — miejsce, gdzie rosną jagody. [przypis edytorski]

<sup>579</sup>chybki (daw.) — szybki i zwinny. [przypis edytorski]

<sup>580</sup>atoli (daw.) — jednak. [przypis edytorski]

<sup>581</sup>dżdże (daw.) — deszcze. [przypis edytorski]

<sup>582</sup>używać (daw.) — mieć coś, dysponować czymś, cieszyć się czymś. [przypis edytorski]

<sup>583</sup>k'tobie (daw.) — do ciebie. [przypis edytorski]

<sup>584</sup>skapieć (daw.) — zmarnować się. [przypis edytorski]

Las, Polowanie

Tęsknota

do walki na śmierć nie zdołał ich usunąć. Wreszcie wydało mu się, że Danusia wyciąga do niego ręce i woła: „Bywaj<sup>585</sup>, Zbyszku, bywaj!”. Jakże mu do niej nie iść!

I nie spał — a widział ją tak wyraźnie, jakby w zjawieniu<sup>586</sup> albo we śnie. Jedzie teraz oto Danuśka obok księżny, brząka jej na luteńce i pośpiewuje, a myśli o nim. Myśli, że go ujrzy niezadługo, a może się i obziera<sup>587</sup>, czy on za nimi w skok<sup>588</sup> nie pędzi — a on tymczasem w boru ciemnym.

Tu ocknął się Zbyszko — i ocknął się nie tylko dlatego, że sobie przypomniał bór ciemny, ale i dla tej przyczyny, że z dala za nim ozwał się jakiś szelest.

Wówczas ścisnął mocniej widły w garściach, nadstawił uszu i począł słuchać.

Szelest zbliżał się i po jakimś czasie stał się całkiem wyraźny. Chrupały pod czyjąś ostrożną stopą suche gałązki, szurały opadłe liście i jagodziska... Coś szło.

Chwilami szelest ustawał, jak gdyby zwierz zatrzymywał się przy drzewach, i wówczas robiła się taka cisza, że Zbyszkowi poczynało aż w uszach dzwonić — po czym znów odzywały się kroki wolne i przezorne. W ogóle było w tym zbliżaniu się coś tak ostrożnego, że Zbyszka ogarnęło zdziwienie.

— Musi się „Stary”<sup>589</sup> psów bać, które tu były przy szałasie — rzekł sobie — ale może to i wilk, który mnie zwietrzył.

Tymczasem kroki ucichły. Zbyszko jednak słyszał wyraźnie, że coś zatrzymało się może o dwadzieścia albo o trzydzieści kroków za nim i jakby przysiadło. Obejrzał się raz i drugi — ale lubo pnie rysowały się w zmroku dość wyraźnie, nie mógł nic dojrzeć. Nie było innej rady, tylko czekać.

I czekał tak długo, że aż zdziwienie ogarnęło go po raz wtóry.

— Niedźwiedź nie przyszedłby tu przecie spać pod barcią, a wilk byłby mnie już zawietrzył i też by nie czekał do rana.

I nagle mrowie przeszło go od stóp do głowy.

A nuż to co „paskudnego” wylazło z błota i zachodzi mu z tyłu? Nuż niespodzianie chwycą go jakie oślizgłe ramiona topielca albo zajrzą mu w twarz zielone oczy upióra, nuż się coś roześmieje okropnie tuż za nim albo zza sosny wylezie sina głowa na pajęczych nogach?

I uczył, że pod żelaznym czepcem włosy poczynają mu się jeżyć.

Lecz po chwili szelest odezwał się przed nim — i tym razem wyraźniejszy jeszcze niż poprzednio. Zbyszko odetchnął. Przypuszczał wprawdzie, że to samo „dziwo” obeszło go, a teraz zbliża się z przodu. Ale to wołał. Chwycił wygodnie widły, podniósł się cicho i czekał.

Wtem nad głową usłyszał szum sosen, na twarzy uczył silny powiew, ciągnący od strony błota, a jednocześnie do jego nozdrzy doleciał swąd niedźwiedzi.

Nie było teraz najmniejszej wątpliwości: siedł miś!

Zbyszko jednej chwili przestał się bać i pochyliwszy głowę, wyteżył wzrok i słuchał. Kroki zbliżały się ciężkie, wyraźne, swąd czynił się ostrzejszy; wkrótce dało się słyszeć sapanie i pomruk.

„Byle nie szło dwóch!” — pomyślał Zbyszko.

Ale w tej chwili zobaczył przed sobą wielki i ciemny kształt zwierzęcia, które idąc z wiatrem, do ostatniej chwili nie mogło go zwietrzyć<sup>590</sup>, tym bardziej że zajmował je zapach rozsmarowanego po pniach miodu.

— Bywaj, dziadku! — zawołał Zbyszko, wysuwając się spod sosny.

Niedźwiedź ryknął krótko, jakby przerażony niespodzianym zjawiskiem, lecz był już zbyt blisko, aby mógł ratować się ucieczką, więc w jednej chwili podniósł się na zadnie łapy, rozwarłszy przednie jak do uścisku. Tego właśnie czekał Zbyszko; zebrał się w sobie, skoczył jak błyskawica i całą siłą potężnych ramion oraz własnego ciężaru wbił widły w piersi zwierza.

<sup>585</sup>bywaj (daw.) — przybywaj. [przypis edytorski]

<sup>586</sup>zjawienie (daw.) — widzenie. [przypis edytorski]

<sup>587</sup>obzierać się (daw.) — oglądać się za siebie. [przypis edytorski]

<sup>588</sup>w skok (daw.) — szybko, galopem. [przypis edytorski]

<sup>589</sup>stary — niedźwiedź; istniał przesąd, że wymawianie nazwy tego zwierzęcia jest niebezpieczne, zwłaszcza po zmroku, toteż często zastępowano ją synonimami. [przypis edytorski]

<sup>590</sup>zwietrzyć — wyczuć, wywachać. [przypis edytorski]

Cały bór zatrząsł się teraz od przeraźliwego ryku. Niedźwiedź chwycił łapami widły, pragnąc je wyrwać, ale zadziory przy ostrzach wstrzymały, więc poczuwszy ból, zagrział jeszcze straszliwiej. Chcąc dosięgnąć Zbyszka, wsparł się na widłach i wbił je w siebie mocniej. Zbyszko nie wiedząc, czy ostrza weszły dość głęboko, nie puszczał rękoięści. Człowiek i zwierz poczęli się szarpać i szamotać. Bór trząsł się wciąż od ryku, w którym brzmiała wściekłość i rozpacz.

Zbyszko nie mógł się jąć<sup>591</sup> topora, nie wbiwszy poprzednio drugiego, zaostzonego końca wideł w ziemię, niedźwiedź zaś chwyciwszy za osadę<sup>592</sup> łapami, miotał nią i Zbyszkiem, jakby rozumiejąc, o co chodzi, i — mimo bólu, który sprawiało mu każde poruszenie utkwionych głęboko ostrzy, nie dając się „podeprzeć”. W ten sposób straszna walka przedłużała się — i Zbyszko zrozumiał, że siły jego w końcu wyczerpią się. Mógł także upaść, a wówczas byłby zginął, więc zebrał się w sobie, wytrzymał ramiona, rozstawił nogi, wygiął grzbiet jak łuk, by się nie przewrócić na wznak, i począł powtarzać przez zaciśnięte zęby:

— Moja śmierć albo twoja!...

I chwycił go wreszcie taki gniew, taka zawziętość, że istotnie wołałby był w tej chwili sam zginąć niż bestię puścić. Wreszcie, zawadziwszy nogą o korzeń sosny, zachwiał się i byłby padł, gdyby nie to, że w tej chwili stanęła przy nim jakaś ciemna postać — i drugie widły „podparły” bestię, a jednocześnie głos jakiś zawołał mu nagle tuż nad uchem:

— Toporem!...

Zbyszko w uniesieniu walki ani na jedno mgnienie oka nie zastanowił się, skąd mu niespodziewana pomoc nadeszła, natomiast chwycił topór i ciął strasznie. Trzasnęły teraz widły złamane ciężarem i ostatnią konwulsją zwierza — ów zaś zwał się jakby piorunem rażony na ziemię i począł na niej chrapać. Lecz zaraz ustał. Nastąpiła cisza przerywana tylko głośnym oddechem Zbyszka, który wsparł się o sosnę, gdyż nogi chwiały się pod nim. Po chwili dopiero podniósł głowę, spojrzał na stojącą obok siebie postać — i przeląkł się, myśląc, że to może nie człowiek.

— Ktoś jest? — zapytał niespokojnie.

— Jagienka! — odpowiedział cienki, niewieści głos.

Zbyszko aż zaniemówił ze zdziwienia, oczom własnym nie wierząc. Ale wątpliwości jego nie trwały długo, gdyż głos Jagienki ozwał się znowu:

— Nakrzesam ognia...

Wraz ozwał się szczeł krzesiwa o krzemień, iskry poczęły się sypać i przy ich migotliwym blasku ujrział Zbyszko białe czoło, ciemne brwi i wysunięte naprzód usta dziewczyny, które dmuchały w zatloną<sup>593</sup> hubkę<sup>594</sup>. Wówczas dopiero pomyślał, że ona przyszła do tego boru, żeby mu dać pomoc, że bez jej wideł mogłoby być z nim źle — i poczuł tak wielką wdzięczność dla niej, że nie namyślając się długo, chwycił ją wpół i ucałował w oba policzki.

A jej hubka i krzesiwo wypadły na ziemię.

— Daj spokój! Czego? — poczęła powtarzać stłumionym głosem, ale jednocześnie nie usuwała mu twarzy, owszem, ustami dotknęła nawet niby wypadkiem ust Zbyszka.

On zaś puścił ją i rzekł:

— Bóg ci zapłać. Nie wiem, co by się bez ciebie przygodziło.

A Jagienka kucnąwszy w ciemności, by odnaleźć krzesiwo i hubkę, poczęła się tłumaczyć:

— Bojałam się o ciebie, bo Bezduch poszedł też z widłami i z toporem i niedźwiedź go ozdard<sup>595</sup>. Broń czego Boże, Maćkowi byłoby markotno, a on przecie i tak ledwie dycha... No, to i wzięłam widły, i poszłam.

— Toś to ty zachodziła tam za sosny?

— Ja.

— A ja myślał, że to „złe”.

<sup>591</sup> *jąć* (daw.) — chwycić. [przypis edytorski]

<sup>592</sup> *osada* — tu: drzewce, na którym osadzone są widły. [przypis edytorski]

<sup>593</sup> *zatłony* (daw.) — podpalony, tłący się. [przypis edytorski]

<sup>594</sup> *hubka* — materiał łatwopalny, wytwarzany z huby (odmiany grzyba rosnącej na pniach drzew). [przypis edytorski]

<sup>595</sup> *ozdard* (daw.) — rozdarł. [przypis edytorski]

— Niemal i mnie strach brał, bo tu koło Radzikowego błota w nocy bez ognia niedobrze.

— Czemuś się nie obezwała<sup>596</sup>?

— Bom się bała, że mnie odpędzisz.

I to rzekłszy, znów zaczęła krzesać, a następnie położyła na hubkę kłaczek suchych konopnych paździerz<sup>597</sup>, które wnet strzeliły jasnym płomieniem.

— Mam dwie szczyпки<sup>598</sup> — rzekła — a ty nazbieraj wartko<sup>599</sup> sucharzy<sup>600</sup>; będzie ogień.

Jakoż po chwili buchnęło rzeczywiście wesołe ognisko, którego blask rozświetlił ogromne, rude cielsko niedźwiedzia, leżące w kałuży krwi.

— Hej, sroga stwora! — ozwał się z pewną chępliwością Zbyszko.

— Ale ci łeb prawie caluśki rozwalony! O Jezu!

To powiedziawszy, schyliła się i zanurzyła rękę w kudły niedźwiedzie, aby przekonać się, czy zwierz dużo ma w sobie sadła, po czym podniosła się z wesołą twarzą:

— Będzie sadła na jakie dwa roki!

— A widły połamane, patrz!

— To i bieda, bo co ja w domu powiem?

— Albo co?

— Bo tatuś nie byłiby mnie wcale do boru puścili, więc musiałam czekać, póki się wszyscy nie pokładą.

Po chwili zaś dodała:

— Nie powiadaj też, że tu była, żeby nade mną nie cudowali.

— Ale cię pod dom odprowadzę, bo jeszcze wilcy na cię napadną, a widel nie masz.

— No dobrze!

I tak rozmawiali czas jakiś przy wesołym brzasku ogniska, nad trupem niedźwiedzia, podobni oboje do jakichś młodych leśnych stworzeń.

Zbyszko popatrzał na wdzięczną twarz Jagienki oświetloną blaskiem płomienia i rzekł z mimowolnym zdziwieniem:

— Ale takiej drugiej dziewczyny jak ty to chyba na świecie nie ma. Tobie by na wojnę chodzić!

Ona zaś spojrzała mu na chwilę w oczy, po czym odrzekła prawie smutno:

— Ja wiem... ale nie śmieję się ze mnie.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jagienka sama wytopiła duży garnek niedźwiedziego sadła, którego pierwszą kwartę wypił Maćko z ochotą, albowiem było świeże, nieprzypalone i miało zapach dzięgielu, którego znająca się na lekach dziewczyna dorzuciła w miarę<sup>601</sup> do garnka. Pokrzepił się też zaraz Maćko na duchu i nabrał nadziei, że wyzdrowieje.

— Tego mi było trzeba — mówił. — Jak się w człeku wszystko godnie<sup>602</sup> wytłuści, to się może i ta, psia mać, drzazga którą wypśnie<sup>603</sup>.

Następne kwarty nie smakowały mu jednak tak dobrze jak pierwsza, ale pił przez rozum. Jagienka dodawała mu też otuchy, mówiąc:

— Będziecie zdrowi. Biludowi z Ostroga wbili ogniwa od kolczugi<sup>604</sup> głęboko pod karkiem, a od sadła mu wyszły. Jeno jak się rana otworzy, trzeba skromem<sup>605</sup> bobrowym zatykać.

— A skrom masz?

Lek

<sup>596</sup> *obezwać się* — dziś popr.: odezwać się. [przypis edytorski]

<sup>597</sup> *paździerz* — suche odpady po pozyskiwaniu włókien z lnu bądź konopii. [przypis edytorski]

<sup>598</sup> *szczyпка* — szczapka, kawałek drewna. [przypis edytorski]

<sup>599</sup> *wartko* (daw.) — szybko. [przypis edytorski]

<sup>600</sup> *sucharze* — suche badyle. [przypis edytorski]

<sup>601</sup> *w miarę* (daw.) — według miary, tyle ile potrzeba. [przypis edytorski]

<sup>602</sup> *godnie* (daw.) — porządnie, solidnie. [przypis edytorski]

<sup>603</sup> *wypsnąć się* — tu: wyslizgnąć się. [przypis edytorski]

<sup>604</sup> *kolczuga* — zbroja z niewielkich, metalowych kółeczek. [przypis edytorski]

<sup>605</sup> *skrom* — tłuszcz zwierzęcy. [przypis edytorski]

— Mamy. Jeśli zasie świeżego będzie trzeba, to pójdziem ze Zbyszkiem do żeremiów. O bobra nietrudno. Ale nie wadziłoby także, żebyście jakiemu świętemu co przyobiecali, takiemu, który jest patronem od ran.

— Mnie już to przez głowę przechodziło, tylko że nie wiem dobrze: któremu? Święty Jerzy<sup>606</sup> jest patronem rycerzów: on ci strzeże wojennika od przygody i wždy<sup>607</sup> męstwa we wszelkiej potrzebie mu przydawa, a powiadają, że często osobą własną po sprawiedliwej stronie staje i niemiłych Bogu bić pomaga. Ale taki, co sam rad bije, rzadko rad sam smaruje, i od tego może być inny, któremu on nie będzie chciał wchodzić w drogę. Każdy święty ma w niebie swój urząd i swoją gospodarkę, to się wie! A jeden do drugiego nigdy się nie miesza, bo z tego mogłyby niezgody wyniknąć, w niebie zaś nie przystoi się świętym wadzić albo się potykać... Są Kosma i Damian<sup>608</sup>, też wielcy święci, do których się medycy modlą o to, by choróbska na świecie nie wyginęły, gdyż inaczej nie miałiby co jeść. Jest także święta Apolonia<sup>609</sup> od zębów i święty Liboriusz od kamienia, ale to wszystko nie to! Przyjedzie opat, to mi powie, do kogo mam się udać, bo i nie byle kleryk wszystkie tajemnice boskie posiadał, i nie każdy takie rzeczy wie, chociaż ma głowę wygoloną.

Święty

— A żebyście samemu Panu Jezusowi ślubowali.

— Pewnie, że On nad wszystkimi. Ale to byłoby tak, jakoby mi, nie przymierzając, twój ojciec chłopą pobił, a ja bym do Krakowa do króla na skargę jechał. Co by mi ta król powiedział? Powiedziałby tak: „Ja nad całym Królestwem gospodarz, a ty do mnie z twoim chłopem przychodzisz! A to nie masz urzędów? Nie możesz iść do grodu, do mojego kasztelana i pośrednika<sup>610</sup>?”. Pan Jezus jest gospodarzem nad całym światem, rozumiesz? A od mniejszych spraw ma świętych.

Lekarz

— To ja wam powiem — rzekł Zbyszko, który nadszedł na koniec rozmowy. — Ślubujcie naszej nieboszczce królowej, że jeśli się za wami przyczyni, to pielgrzymkę do Krakowa, do jej grobu odprawicie. Albo to się tam mało cudów już w naszych oczach przygodziło? Po co obcych świętych szukać, kiedy jest swoja Pani od innych lepsza.

— Ba! Żebym to wiedział, że ona od ran!

— A choćby ta i nie była od ran! Nie będzie się śmiał na nią skrzywić byle święty, a skrzywi się, to jeszcze sam od Pana Boga oberwie, boć to przecie nie żadna zwyczajna nawojka<sup>611</sup>, ale królowa polska...

Święty

— Która w ostatku<sup>612</sup> pogańską krainę do krześcijańskiej wiary przywiodła. Toś mądrze rzekł — odpowiedział Maćko. — Wysoko ona tam musi siadać w boskim wiecu i pewno, że lada pacholek przeciw niej nie wskóra. Tak też uczynię, jak radzisz, żebym tak zdrów był!

Rada ta podobała się i Jagience, która nie mogła oprzeć się podziwieniu dla Zbyszko-wego rozumu, a Maćko uczynił uroczysty ślub tego samego wieczora i odtąd z większą jeszcze otuchą pił niedźwiedzie sadło, wyglądając z dnia na dzień niechybnego uzdrowienia. Po tygodniu jednak począł tracić nadzieję. Mówił, że sadło „burzy” mu w żywocie, a na skórze, wedle ostatniego żebra, coś mu rośnie jakoby guz. Po dziesięciu dniach było jeszcze gorzej: guz urósł i poczerwieniał, a sam Maćko zesłabł bardzo, i gdy przyszła gorączka, począł znów gotować się na śmierć.

Aż pewnej nocy zbudził nagle Zbyszka:

— Zapal wartko luczywo — rzekł — bo cości się dzieje ze mną, ale nie wiem, czy co dobrego, czy złego.

Zdrowie

Zbyszko zerwał się na równe nogi i nie krzesząc ognia, rozdmuchał w przyległej do komory izbnie ognisko, zapalił od niego smolną szczypkę i wrócił.

— Co z wami?

<sup>606</sup>św. Jerzy — męczennik z III-IV w., patron rycerzy. [przypis edytorski]

<sup>607</sup>wždy (daw.) — zawsze, przecież. [przypis edytorski]

<sup>608</sup>św. Kosma i św. Damian — lekarze, męczennicy rzymscy z przełomu III-IV w. [przypis edytorski]

<sup>609</sup>św. Apolonia (zm. 249) — męczennica, wg legendy przed spaleniem na stosie wybito jej zęby. [przypis edytorski]

<sup>610</sup>pośrednik — dziś popr.: pośrednik. [przypis edytorski]

<sup>611</sup>nawojka — tu: dziewczyna. [przypis edytorski]

<sup>612</sup>w ostatku (daw.) — w końcu. [przypis edytorski]

— Co ze mną! Guz mi coś przebodło, pewno zadziora! Trzymam ci ją, ale wydobyć nie mogę! Czuję jeno, jako mi pod pazdurami<sup>613</sup> brzęka i zbirczy<sup>614</sup>...

— Zadziora! Nic innego. Chyćcie dobrze i ciągnijcie.

Maćko jął się przekręcać i syczeć z bólu, ale tkał<sup>615</sup> palce coraz głębiej, póki nie objął dobrze twardego przedmiotu: wreszcie szarpnął i wyciągnął.

— O Jezu!

— Jest? — spytał Zbyszko.

— Jest. Aż na mnie zimne poty uderzyły. Ale jest: patrzaj!

To rzekłszy, pokazał Zbyszkowi podługowatą, ostrą drzazgę, która się była od złe ukutego grotu odlupła i od kilku miesięcy tkwiła w ciele.

— Chwała Bogu i królowej Jadwidze! Teraz będziecie zdrowi.

— Może, że mi ulżyło, ale okrutnie boli — mówił Maćko, wyciskając guz, z którego poczęła wypływać obficie krew pomieszana z ropą. — Tyle będzie tego paskudztwa w człeku mniej, to i musi chorować<sup>616</sup> popuścić. Jagienka mówiła, że teraz trzeba będzie skromem bobrowym zatykać.

— Pójdziemy po bobra zaraz jutro.

Maćkowi jednakże zrobiło się zaraz nazajutrz znakomicie lepiej. Spał do późna, a zbudziwszy się, wołał o jedzenie. Na niedźwiedzie sadło nie mógł już patrzeć, ale za to rozbito mu dwadzieścia jaj do rynki, gdyż na więcej nie chciała przez ostrożność Jagienka pozwolić. On zaś spożył je łączywie wraz z półbochenkiem chleba i popił garncem piwa, po czym jął wołać, by mu przywieśli<sup>617</sup> Zycha, bo mu się uczyniło wesoło.

Posłał więc Zbyszko jednego ze swoich Turczynków darowanych przez Zawiszę po Zycha, który siadł na koń i przyjechał po południu, właśnie wtedy, kiedy młodzi wybierali się do Odstajanego jeziora po bobry. Było z początku śmiechu, żartów i śpiewania przy miodzie bez miary, ale później starzy poczęli rozmawiać o dzieciach i wychwalać każdy swoje.

— Co to za chłop Zbyszko! — mówił Maćko. — To takiego drugiego na świecie nie ma. A mężne to, a wartkie jako ryś, a sprawne. Wiecie! Jak go na śmierć w Krakowie prowadzili, to tak dziewczki w oknach piszczały, jakby je kto z tyłu stojący szydłem kłuł, i to jakie dziewczki: rycerskie i kasztelańskie córki, o różnych cudnych mieszczkach nie wspominając.

— A niech ta będą i kasztelańskie, i cudne, a od mojej Jagienki nie lepsze! — odrzekł Zych ze Zgorzelic.

— Albo ja wam mówię, że lepsze? Milszej dziewczki ku ludziom niż Jagienka chyba nie znaleźć.

— Ja też na Zbyszka nic nie powiadam: kuszę ci bez pokrętki<sup>618</sup> naciąga!...

— I niedźwiedzia sam jeden podeprze. Widzieliście, jak go ciał? Cały łeb z jedną łapą odwalił.

— Łeb odwalił, ale podparł nie sam, Jagienka mu pomogła.

— Pomogła?... Nie mówił mi nic.

— Bo jej obiecał... że to dziewce wstyd po nocy do boru chodzić. Mnie zaraz powiedziała, jako było. Inne rade zmyślają, ale ona prawdy nie ukryje. Szczerze rzekłszy, nie byłem rad, bo kto ta wie... Chciałem ją skrzyć, ona zasie powiedziała tak: „Jak ja sama wianka nie upilnuje, to i wy, tatulu, nie upilnujecie, ale nie bójcie się. Zbyszko też wie, co rycerska cześć”.

— Bo pewno. Przecie i dziś sami poszli.

— Ale przed wieczorem wrócą. Po nocy diabeł najgorszy, a wstydzić się dziewce nie potrzeba, bo ciemno.

Maćko pomyślał chwilę, po czym rzekł jakby do siebie:

— A wszelako radzi się oni widzą...

<sup>613</sup>pazdury — dziś popr.: pazury. [przypis edytorski]

<sup>614</sup>zbirczeć (gw.) — brzęczeć (z gwary góralskiej, za pomocą której Sienkiewicz naśladował staropolszczyznę). [przypis edytorski]

<sup>615</sup>tkać (daw.) — wpychać. [przypis edytorski]

<sup>616</sup>chorość (daw.) — choroba. [przypis edytorski]

<sup>617</sup>przywieść (daw.) — przyprowadzić. [przypis edytorski]

<sup>618</sup>pokrętka — tu: korba. [przypis edytorski]



— Ba! Żeby to innej nie był ślubował.

— To, jak wiecie, jest rycerski obyczaj... Który by z młodych swojej paniej nie miał, tego inni za prostaka uważają... Ślubował on pawie czuby i te musi ze łbów pozdzierać, gdyż poprzysiął na rycerską cześć; Lichtensteina też musi dostać, ale od innych ślubów może go opat uwolnić.

— Opat zjedzie lada dzień...

— Myślicie? — spytał Maćko, po czym ozwał się znów: — Wreszcie co tam takie ślubowanie, kiedy Jurand wręcz mu powiedział, że dziewczki nie da! Czy ją innemu obiecał, czy na służbę Bożą ochwiarował<sup>619</sup>, tego ja nie wiem, ale wręcz powiedział, że nie da...

— Mówiłem wam — zapytał Zych — że opat tak Jagienkę miłuje, jakby była jego? Ostatni raz to jej rzekł tak: „Krewnych mam jeno po kądzieli, ale z tej kądzieli więcej będzie nici dla ciebie niż dla nich”.

Na to Maćko spojrział niespokojnie, a nawet podejrzliwie, na Zycha i dopiero po chwili odpowiedział:

— Naszej krzywdy przecie byście nie chcieli...

— Za Jagienką pójdą Moczydoły — rzekł wymijająco Zych.

— Zaraz?

— Zaraz. Innej bym nie popuścił, a jej popuszczę.

— Bogdaniec i tak w połowie Zbyszków<sup>620</sup>, a da Bóg zdrowie, to mu go zagospodaruję jako się patrzy. Miłujecież wy Zbyszka?

Na to Zych począł mrugać oczyma i rzekł:

— Gorzej to, że jakoś Jagienka, byle kto o nim wspomniał, zaraz się do ściany obraca.

— A jak wspominiacie innych?

— Jak innego wspomnę, to jeno prychnie i powiada: „czegóż?!”

— Ano widzicie. Da Bóg, że przy takiej dziewczce zapomni Zbyszko o tamtej. Ja stary, a też bym zapomniał... Napijecie się miodu?

— Napiję się.

— No, opat... juści mądry człowiek! Bywają między opatami, jako wiecie, całkiem świeccy ludzie, ale ten, choć między mnichami nie siedzi, przecie jest ksiądz, a ksiądz zawsze lepiej poradzi od zwykłego człeka, bo i na czytaniu się zna, i z Duchem Świętym jest w pobliżności. A wy, że dziewczynie zaraz Moczydoły puścicie, to słusznie. Ja też, byle Pan Jezus do zdrowia pomógł, co będę mógł Wilkowi z Brzozowej kmieciów odmówić<sup>621</sup>, to odmówię. Po żrebiu<sup>622</sup> dobrej ziemi każdemu dam, bo w Bogdańcu ziemi nie brak. A Wilkowi<sup>623</sup> niech się na Boże Narodzenie<sup>624</sup> pokłonią i do mnie przyjdą. Albo to im nie wolno? Z czasem to i gródek w Bogdańcu zbuduję, godny kasztelik z dębów i z rowem wokół... Zbyszko i Jagienka niech sobie ninie na polowiczko<sup>625</sup> razem chadzają... Myślę, że i śniegu niezadługo czekać... Wezwyczań<sup>626</sup> się jedno do drugiego i chłopak o tamtej zapomni. Niech sobie chadzają. Co tam długo gadać! Dalibyście mu Jagienkę czy nie dali?

— Dałbym. Z dawna my to przecie uradzili, żeby jedno było dla drugiego, a Moczydoły i Bogdaniec dla naszych wnuków.

— Grady! — zawołał z radością Maćko. — Bóg da, że posypie się ich jak gradu. — Opat będzie ich nam krzczył...

— Byle nadążył! — zawołał wesoło Zych. — Ale was to już dawno w takiej radości nie widziałem.

— Bo mi pocieszno w sercu... Zadziora wyszła, a co do Zbyszka, wy się o niego nie bójcie. Wczoraj, jak Jagienka na koń siadała... wiecie... wiatr dął... Pytam ja tedy Zbyszka: „Widziałeś?”, a jego zaraz ciągoty<sup>627</sup> wzięły. I tom też zmiarkował<sup>628</sup>, że z początku mało

Pożądanie

<sup>619</sup>ochwiarować — dziś popr.: ofiarować. [przypis edytorski]

<sup>620</sup>Zbyszków (daw.) — Zbyszkowy, należący do Zbyszka. [przypis edytorski]

<sup>621</sup>odmówić — tu: przekonać do odejścia. [przypis edytorski]

<sup>622</sup>żreb — dawna miara powierzchni ziemi. [przypis edytorski]

<sup>623</sup>Wilkowi — poddani Wilka. [przypis edytorski]

<sup>624</sup>na Boże Narodzenie — Boże Narodzenie stanowiło zwyczajowy termin, do którego obowiązywały umowy. [przypis edytorski]

<sup>625</sup>polowiczko — polowanie. [przypis edytorski]

<sup>626</sup>wezwyczań się — przyzwyczać się. [przypis edytorski]

<sup>627</sup>ciągoty — pożądanie. [przypis edytorski]

<sup>628</sup>zmiarkować (daw.) — zauważyć, zorientować się. [przypis edytorski]

ze sobą gadali, a teraz, jak razem chodzą, to ciągle jedno ku drugiemu szyję obraca i tak uradzają... uradzają!... Napijcie się jeszcze.

— Napiję się...

— Za zdrowie Zbyszka i Jagienki!

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Stary Maćko nie mylił się, mówiąc, że Zbyszko i Jagienka radzi z sobą przestają<sup>629</sup>, a nawet że tęsknią do siebie. Jagienka pod pozorem odwiedzin chorego Maćka przyjeżdżała częstokroć do Bogdańca, z ojcem lub sama, Zbyszko przez samą wdzięczność wpadał co czas jakiś do Zgorzelic, więc wraz z upływem dni wyrodziła się między nimi bliska zażyłość i przyjaźń. Poczęli się lubić i chętnie z sobą „uradzać”, to jest rozmawiać o wszystkim, co ich mogło obchodzić. Było też trochę wzajemnego podziwu w tej przyjaźni, albowiem młody i śliczny Zbyszko, który i na wojnie się już wślawił, i w gonitwach brał udział, i na pokojach królewskich bywał, wydawał się dziewczynie w porównaniu z takim Czta-  
nem z Rogowa lub z Wilkiem z Brzozowej prawdziwym dworskim rycerzem i niemal królewiczem, jego zaś zdumiewała chwilami uroda dziewczyny. Myślał wiernie o swojej Danusi, nieraz jednak, gdy spojrzal niespodzianie na Jagienkę, czy to w lesie, czy w domu, mimo woli mówił sobie: „Hej! To ci łania!” — gdy zaś wzięwszy ją pod boki, wsadzał na konia i wyczuwał pod dłońmi jej czerstwe<sup>630</sup>, jakby z kamienia wykrzesane ciało, to aż go ogarniał niepokój i — jak powiadał Maćko: — „brały go ciągoty”, a zarazem coś poczynało mu chodzić po kościach i morzyć go niby sen.

Pożądanie

Jagienka, z natury harda, skora do wyśmiewania, a nawet zaczepna, stawiała się stopniowo z nim coraz pokorniejsza, zupełnie jak służka, która tylko w oczy patrzy, w czym by usłużyć i dogodzić, on zaś rozumiał tę jej wielką przychylność, był jej wdzięczny<sup>631</sup> i coraz mu milej było z nią przestawać. W końcu, zwłaszcza od czasu gdy Maćko począł pić niedźwiedzie sadło, widywali się prawie codziennie, a po wyjściu szczebrzucha z rany wybrali się razem na bobry po świeży skrom do gojenia bardzo potrzebny.

Wzięli kuszę, siedli na koń i pojechali naprzód do Moczydołów, które miały być w przyszłości wianem<sup>632</sup> Jagienkowym, potem pod las, gdzie zostawili konie pacholce, i dalej poszli piechotą, gdyż przez gęstwę i mokradła trudno było przejechać. Po drodze pokazała Jagienka za rozległą, pokrytą szuwarami łąką siną wstęgę lasu i rzekła:

— To bory Czta z Rogowa.

— Tego, który by cię rad wziął?

A ona poczęła się śmiać:

— Wziąłby, żebym się jeno dała!

— Łacnie mu się obronisz, mając Wilka do pomocy, który, jako słyszałem, na tamtego zęby szczyrzy. I dziwno mi to nawet, że się jeszcze nie pozwalają na śmierć.

— Bo tatulo, jadąc na wojnę, powiedzieli im tak: „Jeśli się pobijecie, to żadnego na oczy nie chcę widzieć”. To i cóż mieli robić? Jak są w Zgorzelicach, to na się sapią, ale potem piją razem w gospodzie w Krześni, póki pod ławy nie pozlatują.

— Głupie chłopcy!

— Czemu?

— Bo jak Zycha nie było doma, powinien był jeden albo drugi nastąpić na Zgorzelice i siłą cię brać. Cóż by Zych uczynił, jeśliby wróciwszy, znalazł cię z dzieciakiem na ręku!

A modre oczy Jagienki zaiskrzyły się od razu:

— To myślisz, że bym się była dała? A czy to w Zgorzelicach nie ma ludzi, a ja to nie umiem chycić oszczepu albo kuszy? Niechby spróbowali! Pognałabym ja każdego do domu, jeszcze bym sama Rogów albo Brzozową najechała. Wiedzieli tatuś, że mogą przepiecznić na wojnę iść.

I tak mówiąc, poczęła marszczyć swe śliczne brwi i potrząsać tak groźnie kuszą, że aż Zbyszko roześmiał się i rzekł:

— No, tobie rycerzem być, nie dziewczyną.

<sup>629</sup>przestawać (daw.) — przebywać. [przypis edytorski]

<sup>630</sup>czerstwy (daw.) — zdrowy. [przypis edytorski]

<sup>631</sup>wdzięczny — dziś popr.: wdzięczny. [przypis edytorski]

<sup>632</sup>wiano — posag. [przypis edytorski]

Ona zaś, uspokoiwszy się, odrzekła:

— Cztan mnie strzegł od Wilka, a Wilk od Cztana. Byłam ci ja zresztą pod opatową opieką, a z opatem lepiej nikomu nie zadzierać...

— O wa! — odpowiedział Zbyszko. — Wszyscy się tu opata boją! A ja, niech mi tak święty Jerzy pomaga, jako ci mówię prawdę, że nie bojałbym się ni opata, ni Zycha, ni zgorzelickich osaczników<sup>633</sup>, ni ciebie, jeno bym cię brał...

Na to Jagienka zatrzymała się na miejscu i podniósłszy oczy na Zbyszka, spytała jakimś dziwnym, miękkim i przewlekłym głosem:

— Brałbyś?...

Po czym usta jej rozchyliły się i czekała odpowiedzi, zarumieniona jak zorza.

Lecz on widocznie myślał tylko o tym, co by uczynił na miejscu Cztana lub Wilka, po chwili bowiem potrząsnął swą złotą głową i mówił dalej:

— Co tu dziewce z chłopami wojować, kiedy jej trzeba za mąż! Nie zdarzy-li się trzeci, to jednego z nich musisz wybrać, bo jakże?

— Ty mi tego nie powiadaj — odpowiedziała smutno dziewczyna.

— Bo co? Dawnom tu nie bywał, więc nie wiem, zali tu jest kto koło Zgorzelic, który by ci się więcej udał?...

— Hej! — odrzekła Jagienka. — Daj spokój!

I szli dalej w milczeniu, przedzierając się przez gęstwą tym bardziej zbitą, że krze i drzewa pokryte były dzikim chmielem. Zbyszko szedł naprzód, rozrywając zielone zwoje, łamiąc tu i ówdzie gałęzie, Jagienka zaś podążała za nim z kuszą na plecach jak jakowaś boginka myśliwa.

— Będzie — rzekła — za tą gęstwiną głęboka struga, ale wiem miejsce, gdzie jest bród.

— Mam skórnie za kolana, to i sucho przejdziem — odparł Zbyszko.

Jakoż po jakimś czasie trafili na strugę. Jagienka, znająca dobrze moczycielskie lasy, odnalazła z łatwością bród, pokazało się jednak, że rzeczulka nieco wezbrała od deszczów i że woda jest dość głęboka. Wówczas Zbyszko, nie pytając, chwycił dziewczynę na ręce.

— Przeszłabym i tak — rzekła Jagienka.

— Trzymaj się szyi! — odpowiedział Zbyszko.

I szedł z wolna przez rozlaną wodę, próbując za każdym krokiem nogą, czy nie trafi na głębinę, dziewczyna zaś przytulała się wedle rozkazu do niego, wreszcie, gdy już byli niedaleko drugiego brzegu, rzekła:

— Zbyszku!

— Ano?

— Nie pójdę<sup>634</sup> ni za Cztana, ni za Wilka...

On tymczasem doniósł ją, spuścił uważnie na szczyrk<sup>635</sup> i odpowiedział nieco wzburzony:

— A niech ci ta Bóg da jak najlepszego! Nie będzie on miał krzywdy.

Do Odstajanego jeziora nie było już daleko. Jagienka, idąc teraz na przedzie, odwracała się niekiedy i kładąc palce na usta, nakazywała Zbyszкови milczenie. Szli wśród kęp łożin<sup>636</sup> i szarych wierzb po gruncie mokrym i niskim. Od prawej strony dolatywały ich gwary ptasie, którym dziwił się Zbyszko, gdyż była to już pora odlotu.

— Tam oparzelisko<sup>637</sup> — szepnęła Jagienka — gdzie kaczki zimują, ale i w jezioru woda jeno z brzegu na wielkie mrozy zamarza. Obacz, jako dymi...

Zbyszko spojrział przez łożinę i spostrzegł przed sobą jakoby tuman mgły: było to Odstajane jezioro.

Jagienka znów przyłożyła palec do ust i po chwili doszli. Dziewczyna pierwsza wczłonęła się cicho na grubą, starą wierzbę, pochyloną całkiem nad wodą. Zbyszko poszedł za jej przykładem i przez długi czas leżeli spokojnie, nie widząc przed sobą nic z powodu

<sup>633</sup>osacznik — człowiek idący w obławie podczas polowania. [przypis edytorski]

<sup>634</sup>pójdę — dziś popr.: pójdę. [przypis edytorski]

<sup>635</sup>szczyrk — ilasta gleba. [przypis edytorski]

<sup>636</sup>łożina (daw.) — zarośla wierzbowe. [przypis edytorski]

<sup>637</sup>oparzelisko — niezamarzające zimną torfowisko, nad którym unoszą się opary (stąd nazwa). [przypis edytorski]

mgły, słysząc tylko żałośliwy pisk czajek i rybitew nad głowami. Wreszcie jednak powiał wiatr, zaszeleścił łożyną, żółciejącymi liśćmi wierzb i odsłonił zapadłą toń jeziora, zmarszczoną nieco od powiewu i pustą.

— Nie widać? — szepnął Zbyszko.

— Nie widać. Cichaj!...

Jakoż po chwili wiatr opadł i nastąpiła cisza zupełna. Wówczas na powierzchni wody zaczerniała jedna głowa, potem druga — a wreszcie znacznie bliżej spuścił się do wody z brzegu duży bóbr ze świeżo uciętą gałęzią w pysku i począł płynąć wśród rzęsy i kaczeńca, podnosząc paszczę w górę i holując gałąź przed sobą. Zbyszko, leżąc na pniu poniżej Jagienki, ujrzał nagle, jak łokcie jej poruszyły się cicho, a głowa pochyliła się ku przodowi: widocznie mierzyła do zwierza, który nie podejrzewając żadnego niebezpieczeństwa, przepływał nie dalej niż na pół strzelenia ku niezaroślej toni.

Wreszcie zawarczała cięciwa kuszy, a jednocześnie głos Jagienki zawołał:

— Jest! Jest!...

Zbyszko wdrapał się w mgnieniu oka wyżej i spojrział przez gałęzie na wodę: bóbr to zanurzał się, to wypływał na powierzchnię, koziolkując przy tym i ukazując chwilami jaśniejszy od grzbietu brzuch.

— Dobrze dostał! Zaraz się uspokoi! — rzekła Jagienka.

I zgadła, gdyż ruchy zwierza stawały się coraz słabsze, a po upływie jednej zdrowaśki spłynął na powierzchnię brzuchem do góry.

— Pójdę po niego — rzekł Zbyszko.

— Nie chodź. Tu z brzegu jest mułu na kilku chłopów. Kto nie wie, jak sobie porazić, utopi się na pewno.

— To jakże go dostaniem?

— Już on wieczorem będzie w Bogdańcu, niech cię o to głowa nie boli: a nam czas do domu...

— Aleś go dobrze ustrzeliła!

— Ba! Nie pierwszego!...

— Inne dziewczki boją się i spojrzeć na kuszę, a z taką to choćby całe życie po boru chodzić!...

Jagienka, słysząc tę pochwałę, uśmiechnęła się z radości, ale nie odrzekła nic, i poszła tą samą drogą przez łożynę. Zbyszko począł wypytywać o żeremia bobrowe, ona zaś opowiadała mu, ile jest bobrów na Moczydołach, ile na Zgorzelicach i jak sobie po jeziorach i strugach bobrują.

Nagle jednak uderzyła się dłonią po biodrze.

— Ot! — zawołała. — Zabaczyłam grotów na wierzbie. Czekaj!

I nim zdążył odpowiedzieć, że sam po nie pójdzie, skoczyła jak sarna z powrotem, a po chwili znikła mu z oczu. Zbyszko czekał i czekał, aż wreszcie począł się dziwić, dlaczego jej tak długo nie ma.

— Chyba pogubiła grotę i szuka ich — rzekł sobie — ale pójdę, obaczę, czy jej się co nie stało...

Zaledwie jednak przeszedł parę kroków, gdy dziewczyna zjawiła się przed nim z kuszą w ręku, ze śmiejącą się, rumianą twarzą i z bobrem na plecach.

— Dla Boga! — zawołał Zbyszko. — A ty jakieś go wyłowiała?

— Jak? Włazłam do wody i tyła! Mnie nie pierwszyczna, a ciebie nie chciałam puścić, bo kto tam nie wie, jak pływać, zaraz go muł wciągnie.

— A jam ci tu czekał jak kto głupi! Chytra z ciebie dziewczka.

— No to i co? Miałam się przy tobie rozdziewać<sup>638</sup> czy jak?

— Toś i grotów nie zapomniała?

— A nie, jeno chciałam cię odwieść od brzegu.

— Ba, a żebym tak za tobą poszedł, to bym dopiero dziwo zobaczył. Byłoby się nad czym cudować! Hej!...

— Cichaj!

— Jak mi Bóg miły, takem już szedł.

— Cichaj!...

Polowanie

Las, Broń

<sup>638</sup>rozdziewać (daw.) — rozbierać. [przypis edytorski]

Po chwili zaś, chcąc widocznie odwrócić rozmowę, rzekła:

— Wyżmij mi warkocz, bo mi okrutnie plecy moczy.

Zbyszko chwycił jedną ręką warkocz blisko głowy, drugą zaś począł go wykręcać, mówiąc przy tym:

— Najlepiej go rozpleć, to wiatr zaraz wysuszy.

Lecz ona nie chciała tego uczynić z powodu gęstwiny, przez którą musieli się przedzierać. Zbyszko wziął teraz bobra na plecy, Jagienka zaś, idąc na przedzie, mówiła:

— Prędko teraz Maćko wyzdrowieje, bo na rany nie masz nad niedźwiedzie sadło do środka, a bobrowy skrom na wierzch. Za jakie dwie niedziele na koń będzie siadał.

— Dajże mu Boże! — odrzekł Zbyszko. — Czekam też tego jak zbawienia, bo mi nijak od chorego odjeżdżać, a ciężko mi tu siedzieć.

— Ciężko ci tu siedzieć? — spytała Jagienka. — Czemu to?

— To ci nic Zych nie mówił o Danusi?

— Coś mi tam mówił... Wiem... ona cię nałęczką nakryła... Wiem!... Mówił mi także, że każdy rycerz śluby jakoweś czyni, że będzie swojej paniej<sup>639</sup> służył... Ale powiadał, że to nic, taka służba... bo poniektóry, choć żeniaty<sup>640</sup>, a też jakowejś pani służy. A ta Danusia, Zbyszku, to co? Powiadaj!... Co ona Danusia?

I przysunawszy się blisko, podniosła oczy i począła patrzeć z wielkim niepokojem w jego twarz, on zaś, nie zwróciwszy najmniejszej uwagi na jej trwożny głos i spojrzenie, rzekł:

— Pani ci to jest moja, ale i kochanie najmilsze. Nie mówię ja tego nikomu, ale tobie powiem jakoby właśnie siostrze, bo się od małego znamy. Poszedłby ja za nią za dziewiątą rzekę i za dziewiąte morze, do Niemców i do Tatarów, gdyż nie ma takiej drugiej w caluśkim świecie. Niech stryk w Bogdańcu siedzi, a ja zaś przed się ku niej powędruję... Co mi ta bez niej Bogdaniec, co statek, co stada, co opatowe bogactwa! Siadę, ot, na koń i na zamry<sup>641</sup> pojedę, a tak mi dopomóż Bóg, jako że to, com jej ślubował, spełnię, chyba że wprzód sam legnę.

— Nie wiedziałam... — odparła glucho Jagienka.

Zbyszko zaś począł jej opowiadać, jako się z Danusią w Tyńcu poznali, jak jej zaraz ślubował, i wszystko, co nastąpiło potem, więc swoje uwięzienie, ratunek, jaki mu dała Danusia, Jurandową odmowę, pożegnanie, swoje tęsknoty i wreszcie radość z tego, że po wyzdrowieniu Maćka będzie mógł jechać do kochanej dziewczyny, by spełnić, co jej obiecał. Opowiadanie przerwał mu dopiero widok pachołka z końmi, który czekał na skraju lasu.

Jagienka siadła zaraz na koń i począła się żegnać ze Zbyszkiem.

— Niech pachołek jedzie z bobrem za tobą, a ja nawrócę do Zgorzelic.

— A to nie pojedziesz do Bogdańca? Zych tam jest.

— Nie. Tatulo mieli wrócić i mnie kazali.

— No, to Bóg ci zapłać za bobra.

— Z Bogiem...

I po chwili Jagienka została sama. Jadąc przez wrzosa ku domowi, czas jakiś oglądała się za Zbyszkiem, a gdy znikł wreszcie za drzewami, zakryła oczy dłonią, jakby chroniąc się od blasku słońca. Wkrótce jednak spod ręki poczęły jej spływać po policzkach łzy wielkie i padać jedna za drugą, jak groch, na siodło i grzywę końską.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Po rozmowie ze Zbyszkiem Jagienka przez trzy dni nie ukazywała się w Bogdańcu, atoli czwartego wpadła z wiadomością, że opat przyjechał do Zgorzelic. Maćko przyjął nowinę z pewnym wzruszeniem. Miał on wprawdzie z czego spłacić sumę zastawną, a nawet wyliczył, że dość mu zostanie na pomnożenie osadników, zaprowadzenie stad i inne potrzeby gospodarskie, niemniej jednak dużo w całej sprawie zależało od życzliwości bogatego krewnego, który mógł na przykład chłopów, osadzonych przez się na źrebiach, zabrać albo zostawić, i tym samym zniżyć albo powiększyć wartość majątku.

<sup>639</sup>paniej — dziś popr.: pani. [przypis edytorski]

<sup>640</sup>żeniaty — dziś popr.: żonaty. [przypis edytorski]

<sup>641</sup>na zamry (daw.) — rzykując zamęczenie konia. [przypis edytorski]

Wypytał zatem Maćko bardzo dokładnie Jagienkę o opata, jaki przyjechał: wesół czy chmurny, co o nich mówił i kiedy zjedzie do Bogdańca? Ona zaś odpowiadała mu roztropnie na pytania, starając się pokrzepić go i uspokoić we wszystkim.

Mówiła, iż opat przyjechał zdrów i wesół, ze znacznym pocztem, w którym prócz zbrojnych pacholków było kilku kleryków-wagantów<sup>642</sup> i rybałów, że pośpiewuje z Zychem i rad podaje ucha pieśniom, nie tylko duchownym, lecz i świeckim. Zauważyła też, że rozpytywał z wielką troskliwością o Maćka, a opowiadał Zychowych o przeprawach<sup>643</sup> Zbyszka w Krakowie chciwie słuchał.

— Sami najlepiej wiecie, co wam czynić należy — rzekła w końcu mądra dziewczyna — ale ja tak myślę, iż wypadaloby Zbyszskowi zaraz jechać, starszego krewnego powitać, nie czekając, aż on pierwszy do Bogdańca zjedzie.

Maćkowi trafiła ta rada do przekonania, więc kazał przywołać Zbyszka i rzekł mu:

— Przybierz się pięknie i pojedziesz pod nogi opata podjąc, cześć mu wyrządzić, aby i on cię umiłował.

Następnie zwrócił się do Jagienki:

— Nie dziwowałbym się, choćbyś była głupia, boś od tego niewiasta, ale że rozum masz, to się dziwuję. Powiedzże mi, jako mam najlepiej opata ugościć i czym go ucieszyć, gdy tu przyjedzie?

— Co do jadła, sam powie, na co ma ochotę; lubi on dobrze podjeść, ale byle dużo było szafranu, to i nie przebredza<sup>644</sup>.

Maćko, słysząc to, porwał się za głowę.

— Skąd ja mu szafranu wezmę!...

— Przywiozłam — rzekła Jagienka.

— A bogdaj się takie dziewczki na kamieniu rodziły! — zawołał uradowany Maćko. — I ku oczom to miłe, i gospodarne, i rozropne, i ludziom życzliwe! Hej! Żebym tak był młody, zaraz bym cię brał!...

Na to Jagienka spojrzała nieznacznie na Zbyszka i westchnąwszy cicho, mówiła dalej:

— Przywiozłam też i kości, i kubek, i sukno, bo on po każdym jedzeniu rad się kośćmi zabawia.

— Miał ten obyczaj i drzewiej, a gniewliwy przy tym bywał okrutnie.

— Gniewliwy to on ci i teraz bywa; nieraz kubkiem o ziemię praśnie i precz za drzwiami do pola<sup>645</sup> wyskoczy. Ale potem śmiejący się wraca i sam pierwszy nad swoim gniewem wydziwia... Wy go przecie znacie... Jenemu się nie przeciwic, to nie ma lepszego człowieka na świecie.

— A kto by mu się tam sprzeciwiał, kiedy on i rozum ma od innych większy!

Tak to oni ze sobą rozmawiali, gdy tymczasem Zbyszko przebierał się w alkierzu. Wyszedł wreszcie tak piękny, że Jagienkę aż olśniło, zupełnie jak wówczas, gdy pierwszy raz przyjechał w swojej białej jace do Zgorzelic. Ale tym razem zdjął ją głęboki żal na myśl, że ta jego uroda nie dla niej i że on inną umiłował.

Maćko zaś rad był, pomyślał bowiem, że opat pewno sobie Zbyszka upodoba i przy układach nie będzie czynił trudności. Ucieszył się nawet tą myślą tak dalece, iż postanowił jechać razem.

— Każ mi wymościć wóz — rzekł do Zbyszka. — Mogłem jechać z Krakowa aż do Bogdańca z żeleźcem między żebrami, to mogę teraz bez żeleźca do Zgorzelic.

— Byle was nie zamroczyło — rzekła Jagienka.

— Ej, nic mi nie będzie, bo już czuję w sobie moc. A choćby mnie ta trochę i zamroczyło, będzie wiedział opat, jakom ku niemu śpieszył, i tym hojniejszym się okaże.

— Milsze mi wasze zdrowie niż jego hojność — ozwał się Zbyszko.

Lecz Maćko uparł się i postawił na swoim. Po drodze stękał trochę, nie przestawał jednak dawać Zbyszskowi nauk, jak się ma zachować w Zgorzelicach, szczególnie zaś zalecał mu posłuszeństwo i pokorę wobec możnego krewnego, który nigdy nie znosił najmniejszego oporu.

<sup>642</sup>wagant — średniowieczny kleryk lub żak, żyjący w sposób prowokacyjnie swobodny, często zajmujący się twórczością poetycką bądź aktorstwem. [przypis edytorski]

<sup>643</sup>przeprawy — tu: przygody. [przypis edytorski]

<sup>644</sup>przebredzać — tu: wybrzydzać. [przypis edytorski]

<sup>645</sup>do pola — na zewnątrz. [przypis edytorski]

Przyjechawszy do Zgorzelic, znaleźli Zycha i opata na przyłapie<sup>646</sup>, spoglądających przed się na pogodny świat boży i popijających wino. Za nimi, pod ścianą, siedziało rzędem na ławie sześciu pocztowych<sup>647</sup>, w tym dwóch rybałtów i jeden pątnik<sup>648</sup>, którego łatwo było rozeznac po zakrzywionym kiju, obońce<sup>649</sup> u pasa i po małżowinach naszytych na ciemnej opończy. Inni wyglądali na kleryków, albowiem głowy mieli z wierzchu pogolone, odzież jednakże nosili świecką, pasy z byczej skóry, a przy boku kordy.

Na widok Maćka, który zajechał na wozie, ruszył się żywo Zych, opat zaś, widocznie bacząc na swą duchowną godność, został na miejscu, począł tylko coś mówić do swoich kleryków, których jeszcze kilku wysypało się przez otwarte drzwi izby. Zbyszko i Zych wprowadzili pod ręce słabego Maćka na przyłap.

— Trocha jeszcze nie mogę — rzekł Maćko, całując opata w rękę — alem przyjechał, aby się wam, dobrodziejowi mojemu, pokłonić, za gospodarstwo w Bogdańcu podziękować i o błogosławieństwo poprosić, które grzesznemu człowiekowi najpotrzebniejsze.

— Słyszałem, żeście zdrowsi — rzekł opat, ściskając go za głowę — i żeście się do grobu naszej nieboszczki królowej ofiarowali.

— Bo nie wiedząc, do którego świętego się udać, do niej się udałem.

— Dobrzeście uczynili! — zawołał zapalczywie opat. — Lepsza ona od innych i niechaby jej który śmiał pozazdrościć!

I w jednej chwili gniew wystąpił mu na oblicze, policzki napłynęły krwią, oczy poczęły się iskrzyć.

Znali tę jego zapalczywość obecni, więc Zych począł się śmiać i wołać:

— Bij, kto w Boga wierzy!

Opat zaś odsapnął rozgłośnie, potoczył oczyma po obecnych, za czym roześmiał się, równie nagle jak poprzednio wybuchnął, i spojrzawszy na Zbyszka, zapytał:

— A to wasz bratanek i mój krewniak?

Zbyszko pochylił się i ucałował go w rękę.

— Małego widziałem; nie poznałbym! — mówił opat. — Pokaż się jeno!

I począł go oglądać od stóp do głowy bystrymi oczyma, a wreszcie rzekł:

— Zbyt urodziwy! Panna to, nie rycerz!

Na to Maćko:

— Brali tę pannę Niemce w taniec, ale co ci ją który wziął, wnet się wykopyrtnął<sup>650</sup> i już nie wstał.

— I kuszę bez pokrętki napnie! — zawołała nagle Jagienka.

Opat zwrócił się ku niej:

— A ty tu czego?

Ona zaś zaczerwieniła się tak, że aż szyja i uszy jej stały się różowe, i odrzekła ogromnie zmieszana:

— Bom widziała...

— Strzeżże się, by cię przypadkiem nie ustrzelił; musiałybyś się bez trzy kwartały goić...

Śmiech

Na to rybałtowie, pątnik i klerycy-waganci wybuchnęli jednym gromkim śmiechem, od którego Jagienka stropiła się<sup>651</sup> do reszty, tak że opat ulitował się nad nią i podniósłszy ramię, ukazał jej olbrzymi rękaw swej sukni.

— Pochowaj się, dziewucho — rzekł — bo ci krew z jagód<sup>652</sup> tryśnie.

Tymczasem Zych usadził Maćka na ławie i kazał przynieść wina, po które skoczyła Jagienka. Opat zwrócił oczy na Zbyszka i począł tak mówić:

— Dość krotochwil<sup>653</sup>! Nie dla sromoty ja cię do dziewczki porównałem, jeno z wesołości dla twojej urody, której i niejedna dziewczka mogłaby pozazdrościć. Ale wiem, żeś chłop na

<sup>646</sup>przyłap a. przyłapa — płytka podcień ze słupów drewnianych ustawionych bezpośrednio przy ścianie domu. [przypis edytorski]

<sup>647</sup>pocztowy — tu: osoba należąca do poczty. [przypis edytorski]

<sup>648</sup>pątnik (daw.) — pielgrzym. [przypis edytorski]

<sup>649</sup>obońka — płaska beczułka do przewożenia płynów. [przypis edytorski]

<sup>650</sup>wykopyrtnąć się — przewrócić się. [przypis edytorski]

<sup>651</sup>stropić się (daw.) — zakłopotać się, stracić pewność siebie. [przypis edytorski]

<sup>652</sup>jagody — tu: policzki. [przypis edytorski]

<sup>653</sup>krotochwila (daw.) — żart. [przypis edytorski]

schwał! Słyszałem i o twoich uczynkach pod Wilnem, i o Fryzjach, i o Krakowie. Powiadali mi Zych o wszystkim, rozumiesz!...

Tu począł patrzeć przenikliwie w oczy Zbyszka i po chwili ozwał się znowu:

— Iżes trzy pawie czuby poprzysiągł, to ich sobie szukaj! Chwalebny to jest i Bogu miły uczynek nieprzyjaciół naszego plemienia ścigać... Ale jeżeliś i co innego przy tym ślubował, to wiedz, że cię tu na poczekaniu mogę od onych ślubów rozwiązać, bo takową moc mam.

— Hej! — rzekł Zbyszko. — Jak człowiek co Panu Jezusowi w duszy obiecał, to jakaż moc może go od tego rozwiązać?

Usłyszawszy to, Maćko spojrział z pewną obawą na opata, lecz on widocznie był w wybornym humorze, gdyż zamiast wybuchnąć gniewem, pogroził wesoło palcem Zbyszskowi i rzekł:

— To ci mądrała! Bacz, by ci się nie przygodziło to, co Niemcowi Beyhardowi.

— A co mu się przygodziło? — spytał Zych.

— A spalili go na stosie.

— Za co?

— Bo gadał, że świecki człek potrafi tak samo tajemnice boskie wyrozumieć jako i osoba duchowna.

— Surowie ci go pokarali!

— Ale słusznie! — zagrmiał opat. — Gdyż przeciw Duchowi Świętemu pobluznił. Cóż to sobie myślicie! Może-li człek świecki co z tajemnic boskich wymiarkować?

— Nijak nie może! — ozwali się zgodnym chórem wędrowni klerycy.

— A wy, szpylmany<sup>654</sup>, cicho siedzieć! — rzekł opat. — Boście też żadni duchowni, choć głowy macie pogolone.

— Nie szpylmany my już ni goliardowie<sup>655</sup>, jeno waszej miłości dworzanie — odpowiedział jeden z nich, zaglądając w tymże czasie do dużej konwi, od której z daleka bił zapach słodu<sup>656</sup> i chmielu.

— Patrzcie!... Mówi jakoby z beczi! — zawołał opat. — Hej, ty kudłaty! A czego do konwi zagładasz? Łaciny tam na dnie nie znajdziesz.

— Ja też nie łaciny szukam, jeno piwa, którego nie mogę naleźć.

Opat zaś zwrócił się do Zbyszka, który ze zdziwieniem spoglądał na tych dworzan, i rzekł:

— Wszystko to *clerici scholares*<sup>657</sup>, choć każdy wołał prasnąć książkę, a chycić lutnię i z nią włóczyć się po świecie. Przygarnąłem ich i żywię, bo cóż mam robić? Nicponie i powsinogi wierutne, ale umieją śpiewać i trochę służby Bożej liznęli, więc mam z nich przy kościele pożytek, a w potrzebie i obronę, bo niektórzy sierdžite pacholki! Ten tu pątnik prawi, że był w Ziemi Świętej, ale próżno byś go pytał o jakowe morza alibo kraje, bo on tego nawet nie wie, jak cesarzowi greckiemu na imię i w którym mieście mieszka.

— Wiedziałem — odrzekł ochryplym głosem pątnik — ale jak mnie wzięła frybra<sup>658</sup> na Dunaju trząść, tak i wszystko wytrzęsła.

— Najbardziej się mieczom dziwuję — rzekł Zbyszko — bo takich nigdy u wędrownych kleryków nie widziałem.

— Im wolno — rzekł opat — gdyż nie mają święceń, a że ja także kord przy boku noszę, to nie dziwota. Rok temu pozwałem Wilka z Brzozowej na udeptaną ziemię o te bory, przez któreście przejeżdżali do Bogdańca. Nie stawil się...

— Jakoże miał duchownemu stawać? — przerwał Zych.

Na to zaperzył się opat i uderzywszy pięścią w stół, zawołał:

— Gdym we zbroi, to ja nie ksiądz, jeno ślachcic!... A on nie stanął, bo mnie wołał z pacholkami nocą w Tulczy najechać. Ot, dlaczego kord przy boku noszę!... *Omnes leges*,

Broń

Prawo

<sup>654</sup>szpylman a. szpilman (z niem.) — grajek. [przypis edytorski]

<sup>655</sup>goliard — wędrowny bard. [przypis edytorski]

<sup>656</sup>słód — skielkowane i wysuszone ziarna zbóż, jeden z surowców do produkcji piwa. [przypis edytorski]

<sup>657</sup>clerici scholares (łac. forma M. Im.) — klerycy-studenci. [przypis edytorski]

<sup>658</sup>frybra (daw.) — febra, gorączka. [przypis edytorski]



*omniaque iura vim vi repellere cunctisque sese defensare permittunt!*<sup>659</sup> Ot, dlaczego i im dałem miecze.

Umilkli, zasłyszawszy łacinę, Zych, Maćko i Zbyszko i schylili głowy przed mądrością opata, gdyż żaden ni jednego słowa nie wyrozumiał; on zaś toczył jeszcze czas jakiś wokoło gniewnymi oczyma, a wreszcie rzekł:

— Kto go wie, czy on i tu na mnie napadnie?

— O wa! Niech jeno napadnie — zawołali wędrowni klerycy, chwytając za rękojeść mieczów.

— A niechby napadł! Cni się już i mnie bez bitki.

— Nie uczyni on tego — rzekł Zych — prędzej z pokłonem i zgodą przyjdzie. Borów się już wyrzekł, a o syna mu chodzi... Wicie!... Ale niedoczekanie jego!...

Tymczasem opat uspokoił się i rzekł:

— Młodego Wilka widziałem, jako pił z Cztanem z Rogowa w gospodzie w Krześni. Nie uznali<sup>660</sup> nas zrazu, było ciemno, i precz<sup>661</sup> uradzali o Jagience.

Tu zwrócił się do Zbyszka:

— I o tobie.

— A oni czego ode mnie chcieli?

— Oni od ciebie niczego nie chcieli, jeno nie po myśli im to, iż jest w pobliżu Zgorzelic trzeci. Tak tedy mówi Cztan do Wilka: „Jak mu skórę wygarbuję<sup>662</sup>, to przestanie być gładki”. A Wilk mówi: „Może się nas będzie bojał, a nie, to mu gnaty w mig połamię!”. A potem poczęli się obaj upewniać, że się będziesz bojał.

Usłyszawszy to, Maćko spojrział na Zycha, Zych na niego, i oblicza obu przybrały wyraz chytry i radosny. Żaden nie był pewny, czy opat słyszał istotnie taką rozmowę, czy też zmyśla dlatego jedynie, by Zbyszkowi dodać bodźca; natomiast rozumieli obaj, a zwłaszcza znający dobrze Zbyszka Maćko, że nie było na świecie lepszego sposobu, aby go popchnąć do Jagienki.

A opat jakby umyślnie dodał:

— I po prawdzie, morowe to chłopcy!...

Zbyszko zaś nie pokazał po sobie nic, tylko począł pytać Zycha jakimś jakby nieswoim głosem:

— A to jutro niedziela?

— Niedziela.

— Na mszę świętą zaś pojedziecie?

— Ano!...

— Dokąd? Do Krześni?

— Bo najbliższej. Gdzieżbyśmy jechali?

— No, to dobrze!

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Zbyszko, dogoniwszy Zycha i Jagienkę jadących w towarzystwie opata i jego kleryków do Krześni, przylączył się do nich i jechał razem, chodziło mu bowiem o to, by dowieść opatowi, że się ni Wilka z Brzozowej, ni Cztana z Rogowa nie lęka i chować się przed nimi nie myśli. Zdziwiła go znów w pierwszej chwili uroda Jagienki, bo chociaż nieraz widywał ją i w Zgorzelicach, i w Bogdańcu przybraną pięknie do gości, ale nigdy tak, jak teraz do kościoła. Odzież miała z czerwonego sukna, podbitą gronostajami, czerwone rękawiczki i gronostajowy, naszyty złotem kapturek na głowie, spod którego wysuwały się na ramiona dwa warkocze. Nie siedziała też na koniu po męsku, ale na wysokim siodle z poręczą i z ławeczką pod stopy, które ledwie było widać spod długiej i ułożonej w równe zagiętki spódnicy. Zychowi, który pozwalał dziewczynie ubierać się w domu

Strój

<sup>659</sup>*Omnes leges, omniaque iura vim vi repellere cunctisque sese defensare permittunt!* (łac.) — Wszystkie prawa i zwyczaje pozwalają siłę odpierać siłą oraz się bronić. [przypis edytorski]

<sup>660</sup>*uznać* — tu: poznać. [przypis edytorski]

<sup>661</sup>*precz* (daw.) — ciągle. [przypis edytorski]

<sup>662</sup>*garbować skórę* — preparować skórę zwierzęcą tak, by była odporniejsza na warunki pogodowe; tu przen.: pobić. [przypis edytorski]

w kozuch i jałowicze<sup>663</sup> buty, chodziło o to, by przed kościołem każdy poznał, iż przyjechała nie córka byle szarego włódczki albo ścieciałki, lecz panna z możnego, rycerskiego domu. W tym celu konia jej prowadziło dwóch wyrostków, przybranych od dołu obcisło, od góry w buchaste<sup>664</sup> szaty, jakie nosili zwykle paziowie. Czterech dworskich ludzi jechało z tyłu, a z nimi opatowi klerycy, z kordami i lutniami przy pasach. Zbyszko podziwiał wielce cały orszak, szczególnie zaś Jagienkę, wyglądającą jak obrazek, i opata, który w czerwieni i z olbrzymimi rękawami u sukni wydawał mu się jak jaki podróżujący książę. Najskromniej ze wszystkich przybrany był sam Zych, który dbał o okazałość dla innych, dla siebie zaś tylko o wesołość i śpiewanie.

Zrównawszy się, jechali w szeregu: opat, Jagienka, Zbyszko i Zych. Opat z początku kazał śpiewać nabożne pieśni swoim szpylmanom — później atoli, mając ich dosyć, począł rozmawiać ze Zbyszkiem, który z uśmiechem spoglądał na jego potężny kord, nie mniejszy od dwuręcznych niemieckich brzeszczotów.

— Widzę — rzekł z powagą — że cudujesz się nad moim mieczem: wiedz przeto, że synody<sup>665</sup> zezwalają duchownym na miecze, a nawet na balisty<sup>666</sup> i katapulty w podróży, my zaś jesteśmy w podróży. Wreszcie gdy Ojciec Święty mieczów i czerwonych szat księżom zabraniał, to pewnikiem myślał o ludziach niskiego stanu, ślachcica bowiem Bóg stworzył do broni, i kto by mu chciał ją odjąć, ten by się odwiecznym Jego wyrokom przeciwiał.

— Widziałem księcia mazowieckiego Henryka, który się w szrankach potykał — odrzekł Zbyszko.

— Nie to mu się też gani, że się potykał — odpowiedział, podnosząc w górę palec, opat — ale to, że się ożenił, i do tego nieszczęśliwie, albowiem *fornicariam*<sup>667</sup> i *bibulam*<sup>668</sup> wziął *mulierem*<sup>669</sup>, która, jak mówią, *Bacchum*<sup>670</sup> od młodości *adorabat*<sup>671</sup>, a do tego i *adultera*<sup>672</sup> była, z czego też nic dobrego wypaść nie mogło.

Tu aż zatrzymał konia i począł nauczać z większą jeszcze powagą:

— Kto-li bo masz się żenić, czyli *uxorem*<sup>673</sup> wybierać, masz baczyć, aby była bogobojna, dobrych obyczajów, gospodarna i ochędzożna<sup>674</sup>, co wszystko, oprócz Ojców Kościoła, jeszcze ci i pewien pogański mędrzec imieniem Seneka<sup>675</sup> poleca. A jakoż uznasz, iżeś dobrze utrafił, jeśli nie znasz gniazda, z którego towarzyszkę dozgonną wybierasz? Albowiem inny mędrzec Pański powiada: *Pomus non cadit absque arbore*<sup>676</sup>... Jaki wół, taka i skóra, jaka mać, taka i córka... Z czego bierz, grzeszny człowiecze, tę naukę, abyś nie w dalekości, ale w pobliżu żony szukał, bo jeśli złą i fryjowną<sup>677</sup> dostaniesz, nieraz na nią zapłaczesz, jako płakał oto filozof, gdy mu swarliwa niewiasta *aquam sordidam*<sup>678</sup> na głowę w gniewie wylała.

— *In saecula saeculorum, amen!*<sup>679</sup> — zagrzmieli jednym głosem wędrowni klerycy, którzy odpowiadając tak zawsze opatowi, nie bardzo baczyli, czy odpowiadają do sensu.

Wszyscy słuchali w wielkim skupieniu słów opata, dziwiąc się jego wymowie i bieglności w Piśmie, on zaś nie mówił rzekomo wprost do Zbyszka, owszem, więcej zwracał się do Zycha i Jagienki, jakby szczególnie ich chciał zbudować. Jagienka jednak pojęła

Grzech

Kobieta

<sup>663</sup>jałowica — jałowka, młoda krowa. [przypis edytorski]

<sup>664</sup>buchasty (daw.) — szeroki, worowaty. [przypis edytorski]

<sup>665</sup>synod — zebranie duchowieństwa i świeckich, podejmujące decyzje w sprawach kościelnych. [przypis edytorski]

<sup>666</sup>balista — rodzaj broni miotającej. [przypis edytorski]

<sup>667</sup>fornicaria (łac.) — kobieta lekkich obyczajów; tu B. lp. *fornicariam*: kobietę lekkich obyczajów. [przypis edytorski]

<sup>668</sup>bibula (łac.) — pijaczka; tu B. lp. *bibulam*: pijaczkę. [przypis edytorski]

<sup>669</sup>mulier (łac.) — kobieta; tu B. lp. *mulierem*: kobietę. [przypis edytorski]

<sup>670</sup>Bacchus — rzymski bóg wina; tu B. lp. *Bacchum*: Bachusa. [przypis edytorski]

<sup>671</sup>adoro, adorare (łac.) — czcić, szanować; tu 3. os. lp. cz. przesz. *adorabat*: czciła. [przypis edytorski]

<sup>672</sup>adultera (łac.) — cudzołożnica. [przypis edytorski]

<sup>673</sup>uxor (łac.) — żona; tu B. lp. *uxorem*: żonę. [przypis edytorski]

<sup>674</sup>ochędzożny (daw.) — porządny, umiejący utrzymać porządek. [przypis edytorski]

<sup>675</sup>Seneka (ok. 4 p.n.e.–65 n.e.) — rzymski filozof stoicki, autor wielu tekstów moralistycznych. [przypis edytorski]

<sup>676</sup>*Pomus non cadit absque arbore* (łac.) — niedaleko pada jabłko od jabłoni. [przypis edytorski]

<sup>677</sup>fryjowny — chętny do zalotów. [przypis edytorski]

<sup>678</sup>*aquam sordidam* (łac.) — brudną wodę. [przypis edytorski]

<sup>679</sup>*In saecula saeculorum, amen!* (łac.) — Na wieki wieków, amen! [przypis edytorski]

widocznie, o co chodzi, gdyż spoglądała pilnie spod swoich długich rzęs na chłopaka, który namarszczył brew i spuścił głowę, niby głęboko rozważając to, co słyszał.

Po chwili orszak ruszył dalej, ale w milczeniu; dopiero gdy już Krześnię było widać, zmacał się opat po pasie, obrócił go ku przodowi, tak aby łatwo było chwycić za rękojeść korda, i rzekł:

— A stary Wilk z Brzozowej pewnie z dobrym pocztem przyjedzie.

— Pewnie — potwierdził Zych — ale coś tam słudzy gadali, że zachorzał.

— A jeden z moich kleryków słyszał, że ma na nas nastąpić<sup>680</sup> przed gospodą po kościele.

— Nie uczyniłby on tego bez zapowiedzi i zwłaszcza po mszy świętej.

— Niech mu tam Bóg ześle upamiętanie. Ja wojny z nikim nie szukam i krzywdy cierpliwie znoszę.

Tu obejrzał się na swoich szpylmanów i rzekł:

— Nie wydobywać mi mieczów i pamiętać, żeście duchowni słudzy, a dopiero gdyby tamci pierwsi wydobyli, to w nich!

Zbyszko zaś, jadąc wedle Jagienki, wypytywał ją ze swej strony o sprawy, o które mu głównie chodziło.

— Cztana i młodego Wilka zastaniem niechybnie w Krześni — mówił. — Pokażesz mi ich z daleka, abym wiedział, którzy są.

— Dobrze, Zbyszku — odrzekła Jagienka.

— Przed kościołem i po kościele zapewne cię oni spotykają. Coże wówczas robią?

— Służą mi, jako umieją.

— Nie będą ci dziś służyli, rozumiesz?

A ona odrzekła znów niemal z pokorą:

— Dobrze, Zbyszku.

Dalszą rozmowę przerwał im głos drewnianych kołatek, gdyż w Krześni nie było jeszcze dzwonów. Po chwili dojechali. Z tłumów czekających na mszę przed kościołem wysunęli się natychmiast młody Wilk i Cztan z Rogowa, lecz Zbyszko uprzedził ich, zeskoczył z konia, nim zdolałi dobiec, i chwyciwszy pod boki Jagienkę, zsadził ją z siodła, po czym wziął za rękę i spoglądając na nich wyzywająco, prowadził do kościoła.

W przedsionku kościelnym czekał ich nowy zawód. Obaj pospieszyli do kropielnicy i obaj zanurzywszy w nią ręce, wyciągnęli je do dziewczyny. Lecz to samo uczynił Zbyszko, ona zaś dotknęła jego palców, a następnie przeżegnała się i z nim razem weszła do kościoła. Wtedy nie tylko młody Wilk, ale i Cztan z Rogowa, chociaż miał rozum miarki, domyślił się, iż to wszystko było uczynione umyślnie, i obydwóch ogarnął gniew tak dziki, że aż włosy poczęły się im jeżyć pod pątlkami. Zachowali zaledwie tyle przytomności, że w gniewie nie chcieli, bojąc się kary boskiej, wchodzić do kościoła; natomiast Wilk wypadł z przedsionka i leciał jak szalony przez cmentarz między drzewami, sam nie wiedząc dokąd. Cztan leciał za nim także, nie wiedząc, w jakim to czyni celu.

Zatrzymali się aż w rogu parkanu, gdzie leżały wielkie kamienie przygotowane pod fundamenta dzwonnicy, którą miano stawiać w Krześni. Tam Wilk, chcąc spędzić złość, która burzyła mu się aż pod szyję w piersiach, chwycił za jeden z głazów i jął nim potrząsać ze wszystkich sił, co widząc, Cztan chwycił go także i po chwili poczęli obaj toczyć go ze wściekłością przez cały cmentarz, aż ku wrotom kościelnym.

Ludzie patrzyli na nich ze zdziwieniem, mniemając, że uczynili ślub jakowys i że w ten sposób chcą się do budowy dzwonnicy przyczynić. Lecz im wysiłek ów ulżył znacznie, tak że oprzytomnieli obaj, stali tylko bladzi z natężenia, sapiąc i spoglądając na się niepewnym wzrokiem.

Milczenie przerwał pierwszy Cztan z Rogowa.

— No i co? — spytał.

— A co? — odpowiedział Wilk.

— Zaraz-li go napadniem?

— Jakoże w kościele będziesz napadał?

— Nie w kościele, jeno po mszy.

<sup>680</sup>nastąpić na kogoś (daw.) — zaatakować kogoś. [przypis edytorski]

— Z Zychem jest i z opatem. A toś zabaczył, co mówił Zych, że niech-li się zdarzy bitka, obydwoh ze Zgorzelic wyżenie<sup>681</sup>. Gdyby nie to, byłbym ci dawno żebra połomił<sup>682</sup>.

— Albo ja tobie! — odparł Cztan, ściskając swe potężne pięści.

I oczy poczęły im się skrzyć złowrogo, lecz wnet pomiarkowali obaj, że teraz więcej im potrzeba zgody niż kiedykolwiek. Nieraz już oni bili się z sobą, lecz zawsze jednali się po bitce, bo chociaż rozdzielała ich miłość do Jagienki, jednak żyć bez siebie nie mogli i tęsknili jeden do drugiego zawsze. Obecnie zaś mieli wspólnego wroga i czuli obaj, że jest to wróg okrutnie niebezpieczny.

Po chwili Cztan spytał:

— Co robić? Chyba mu zapowiedź<sup>683</sup> posłać do Bogdańca?

Wilk, który był mądrzejszy, nie wiedział jednakże na razie, co robić. Na szczęście przyszły mu w pomoc kołatki, które ozwały się znowu na znak, iż nabożeństwo się poczyna. Więc rzekł:

— Co robić? Pójść na mszę, a potem będzie, co Bóg da.

Ucieszył się z tej rozumnej odpowiedzi Cztan z Rogowa.

— Może ta Pan Jezus nas natchnie — rzekł.

— I pobłogosławi — dodał Wilk.

— Po sprawiedliwości.

I poszli do kościoła, a wysłuchawszy pobożnie nabożeństwa, nabrali otuchy. Nie stracili głów nawet wówczas, gdy Jagienka po mszy w przedsionku znowu przyjęła wodę święconą z ręki Zbyszka. Na cmentarzu przy wrotach podjęli pod nogi Zycha, Jagienkę, a nawet i opata, choć ten był nieprzyjacielem starego Wilka z Brzozowej. Na Zbyszka parzyli wprawdzie spode łba, ale żaden nie warknął, chociaż serca skowytały im w piersiach z bólu, z gniewu i zazdrości, gdyż nigdy Jagienka nie wydawała im się tak cudną i tak do królowny podobną. Dopiero gdy świetny orszak ruszył z powrotem i gdy z dała doszła ich wesoła pieśń wędrownych kleryków, Cztan począł ocierać pot ze swych zarosłych policzków i parskać jak koń. Wilk zaś ozwał się, zgrzytając zębami:

— Do gospody! Do gospody! Gorze mi!...

Po czym, pamiętając, co im poprzednio ulżyło, chwycili znów głąz i potoczyli go zapalczywie na dawne miejsce.

Zbyszko zaś jechał wedle Jagienki, słuchając pieśni opatowych szpylmanów, lecz gdy ujechali pięć albo sześć stajañ, zatrzymał nagle konia i rzekł:

— Ba, miałem dać na mszę za stryjkowe zdrowie i zabaczyłem, wrócę się.

— Nie wracaj! — zawołała Jagienka. — Poślę ze Zgorzelic.

— Wrócę, a wy nie czekajcie na mnie. Z Bogiem!

— Z Bogiem! — rzekł opat. — Jedź!

I twarz mu poweselała, a gdy Zbyszko znikł im z oczu, trącił nieznacznie Zycha i rzekł:

— Rozumiecie?

— Co mam rozumieć?

— Pobije się w Krześni z Wilkiem i Cztanem, jako amen w pacierzu, ale tegom chciał i do tegom prowadził.

— To morowe chłopcy! Jeszcze go poranią, i co z tego?

— Jak to co z tego? Jeśli za Jagienkę się pobije, to jakże mu potem o tej Jurandównie myśleć? Jagienka ci mu odtąd będzie panią, nie tamta; tego zaś chcę, bo to mój krewny i udał mi się!

— Ba, a ślubowanie?

— Na poczekaniu go rozgrzeszę! Zaliście nie słyszeli, że m to już obiecał?

— Wasza głowa na wszystko poradzi — odrzekł Zych.

Opat uradował się pochwałą, po czym przysunął się do Jagienki i zapytał:

— Czegożes taka frasobliwa<sup>684</sup>?

Ona pochylała się w siodle i chwyciwszy rękę opatową, podniosła ją do ust:

— Ojcie krzestny, a może byście też podesłali z paru szpylmanów do Krześni.

— Po co? Popiją mi się w gospodzie i tyła.

<sup>681</sup>wyżenąć (daw.) — wygnąć. [przypis edytorski]

<sup>682</sup>połomił — dziś popr.: połamał. [przypis edytorski]

<sup>683</sup>zapowiedź — tu: wyzwanie na pojedynek. [przypis edytorski]

<sup>684</sup>frasobliwy (daw.) — smutny. [przypis edytorski]

— Ale może jakowej zwadzie przeszkodzą.

Opat spojrział jej bystro w oczy i nagle rzekł ostro:

— A choćby go tam i zabili!

— To niech i mnie zabiją! — zawołała Jagienka.

I gorycz, która nagromadziła się z żalem w jej piersiach od czasu rozmowy ze Zbyszkiem, spłynęła teraz nagłym potokiem łez. Widząc to, opat objął ramieniem dziewczynę, tak że nakrył ją prawie całą swoim olbrzymim rękawem, i począł mówić:

— Nie bój się, córuchno, o nic. Zwada może się przygodzić, ale przecie i tamci są ślachtą, przeto go kupą nie napadną, jeno na pole rycerskim obyczajem pozwą, a już tam on da sobie rady, choćby się naraz z obydwoma miał potykać. A co do Jurandówny, o której słyszałaś, to ci jeno tyle rzekę, że drzewo na tamtą łożnicę w nijakim boru nie rośnie.

— Skoro mu tamta milsza, to i ja o niego nie dbam! — odpowiedziała przez łzy Jagienka.

— To czegoż chlipiesz?

— Bo się o niego boję.

— Ot, babski rozum! — rzekł, śmiejąc się, opat.

Po czym, schyliwszy się do ucha Jagienki, począł mówić:

— Pomiarkuj się, dziewczyno, że choć cię i weźmie, to też nieraz zdarzy mu się potykać, bo od tego ślachcic.

Tu schylił się jeszcze niżej i dodał:

— A weźmie cię, i to niezadługo, jako Bóg w niebie!

— Zaśby tam brał! — odpowiedziała Jagienka.

A jednocześnie poczęła się uśmiechać przez łzy i spoglądać na opata, jakby się go chciała zapytać, skąd to wie.

A tymczasem Zbyszko wróciwszy do Krześni, zajechał wprost do księdza, chciał bowiem rzeczywiście dać na mszę za zdrowie Maćka; po załatwieniu zaś tej sprawy udał się wprost do gospody, w której spodziewał się znaleźć młodego Wilka z Brzozowej i Cztana z Rogowa.

Jakoż zastał obydwóch, a oprócz tego pełno ludzi — i szlachty, i skartabellów<sup>685</sup>, i kmieciów, i kilku „sowizdrzałów”<sup>686</sup> pokazujących rozmaite niemieckie sztuki. W pierwszej chwili nie mógł jednakże nikogo rozoznać, gdyż okna karczmy z błonami z wołowych pęcherzy mało przepuszczały światła — i dopiero gdy miejscowy pacholek dorzucił na komin szczypek sosnowych, ujrzał w kącie za łagwiami piwa włochaty pysk Cztana i srogą, zapalczywą twarz Wilka z Brzozowej.

Wtedy począł iść z wolna ku nim, roztrzającą po drodze ludzi i doszedłszy, uderzył pięścią w stół, aż zagrzmiało w całej gospodzie.

A oni podnieśli się natychmiast i jęli śpiesznie przekręcać na sobie skórzane pasy, nim jednakże chwycili za rękojeści, Zbyszko rzucił na stół rękawicę i mówiąc przez nos, jak mieli zwyczaj mówić rycerze przy wyzwaniu, ozwał się w następujące, niespodziane dla nikogo słowa:

— Pakliby<sup>687</sup> który z was dwóch albo z innych ludzi rycerskich w izbie będących przeciwił się temu, iż najcudniejsza i najcnotliwsza dziewczka na świecie jest panna Danuta Jurandówna ze Spychowa, tego pozywam na walkę konną albo pieszą do pierwszego klęknienia albo do ostatniego tchu.

Zdumieli się Wilk i Cztan, równie jak byłby zdumiał się opat, gdyby coś podobnego usłyszał — i przez chwilę słowa nie mogli przemówić. Co to za panna? Im przecie o Jagienkę, nie o nią chodziło?... A jeśli temu żbikowi nie o Jagienkę idzie, to czego od nich chce? Czemu ich rozsierzcił przed kościołem? Po co tu przyszedł i po co szuka z nimi zaczepki? Od tych pytań zrobiła im się w głowie taka kasza, że pootwierali szeroko usta, Cztan zaś wytrzeszczył tak oczy, jakby nie człowieka, ale jakby jakieś dziwo niemieckie miał przed sobą.

Lecz bystrzejszy Wilk, który znał nieco rycerskie zwyczaje i wiedział, że nieraz innym niewiastom rycerze służby ślubują, a z innymi się żeniają, pomyślał, że i w tym wypadku

<sup>685</sup>skartabella — szlachcic *ex carta belli* (łac.: prawem wojny), bez pełni praw stanowych. [przypis edytorski]

<sup>686</sup>sowizdrzał — tu: wędrowny błazen. [przypis edytorski]

<sup>687</sup>pakliby (daw.) — jeśli. [przypis edytorski]

tak być może i że gdy zdarza się taka sposobność ujęcia się za Jagienką, to należy w lot z niej skorzystać.

Więc wysunął się zza stołu i zbliżywszy się ze złowrogą twarzą do Zbyszka, zapytał:

— Jak to, psubrace, to nie Jagienka Zychówna najcudniejsza?

Za nim wysunął się Cztań — a ludzie poczęli się wokół nich kupić, bo już wszystkim było wiadomo, że się to na byle czym nie skończy.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jagienka, wróciwszy do domu, wysłała natychmiast parobka do Krześni, aby dowiedział się, czy w gospodzie nie zaszła jakowaś bitka albo czy kto kogo nie wyzwał. Ten jednakże, dostawszy na drogę skojca, począł pić z księżymi sługami i nie myślał o powrocie. Drugi, wysłany do Bogdańca, który miał zapowiedzieć Maćkowi przyjazd opata, wrócił spełniwszy polecenie i zarazem oznajmił, że widział Zbyszka zabawiającego się ze starym dziedzicem w kości.

Uspokoilo to w części Jagienkę, wiedząc bowiem o doświadczeniu i sprawności Zbyszkowej, nie tyle bała się dla niego wyzwania, ile jakowejś doraźnej ciężkiej przygody w karczmie. Miała też ochotę razem z opatem jechać do Bogdańca, ale ów sprzeciwił się temu, pragnął bowiem rozmówić się z Maćkiem w sprawie zastawu i w innej, jeszcze ważniejszej, przy której nie chciał mieć za świadka Jagienki.

Zresztą wybierał się na noc. Dowiedziawszy się o szczęśliwym powrocie Zbyszka, wpadł w wyborny humor i kazał swoim klerykom-wagantom śpiewać i hukać tak, że aż się bór trząsał, a w samym Bogdańcu aż kmiecie wyglądali z chałup, patrząc, czy się nie pali albo czy nieprzyjaciel nie nastąpił. Ale jadący naprzód pątnik z krzywą łagą<sup>688</sup> uspokajał ich, iż to jedzie osoba duchowna wysokiej godności — więc kłaniali mu się, a niektórzy nawet kładli na piersi znak krzyża; on zaś widząc, jak go szanują, jechał w dumie radosnej, rad ze świata i pełen dla ludzi życzliwości.

Maćko i Zbyszko, zasłyszawszy krzyki i śpiewy, wyszli aż do wrót na jego spotkanie. Niektórzy z kleryków bywali już z opatem w Bogdańcu, ale byli i tacy, którzy przyłączywszy się niedawno do kompanii, nie widzieli go dotychczas nigdy. Tym upadły serca na widok nędznego domu, który nie mógł iść w porównanie z obszernym dworzyszczem w Zgorzelicach. Skrzepił ich jednakowoż widok dymu dobywającego się przez słomiane poszycie dachu, a zwłaszcza nabrali całkiem otuchy, gdy wszedłszy do izby, poczuli zapach szafranu i rozmaitych mięsów, a zarazem spostrzegli dwa stoły pełne cynowych mis, jeszcze wprawdzie pustych, ale tak ogromnych, iż każde oczy musiały poweseleć na ich widok. Na mniejszym stole świeciła przygotowana dla opata misa cała srebrna i także cudnie rzeźbiona łagiewka, obie zdobyte razem z innymi skarbami na Fryzach.

Maćko i Zbyszko poczęli zaraz prosić do stołu, lecz opat, który był dobrze podjadł na odjeźdnym w Zgorzelicach, odmówił, tym bardziej że zajmowało go co innego. Od pierwszej chwili przybycia spoglądał on bacznie, a zarazem niespokojnie na Zbyszka, jakby chciał śladów bitki na nim dopatrzeć, widząc zaś spokojną twarz młodzianka, niecierpliwił się widocznie, aż wreszcie nie mógł już dłużej ciekawości swej pohamować.

— Pójdziemy do alkierza — rzekł — o zastawie uradzać. Nie przeciwie się, bo się zgniewam!

Tu zwrócił się do kleryków i zagrzmaiał:

— A wy, cicho mi siedzieć i pode drzwiami nie podsłuchiwać!

To rzekłszy, otworzył drzwi do alkierza, w które zaledwie mógł się pomieścić, i wszedł, a za nim weszli Zbyszko i Maćko. Tam, gdy siedli na skrzyniach, opat zwrócił się do młodego rycerza.

— Byłeś z nawrotem<sup>689</sup> w Krześni? — zapytał.

— Byłem.

— No i co?

— A dałem na mszę za stryjowe zdrowie, i tyła.

Opat poruszył się niecierpliwie na skrzyni.

<sup>688</sup>łaga — kij, laska. [przypis edytorski]

<sup>689</sup>z nawrotem — z powrotem. [przypis edytorski]

„Ha! — pomyślał. — Nie spotkał się ni z Cztanem, ni z Wilkiem; może ich nie było, a może ich nie szukał. Omyliłem się!”. Ale zły był, że się pomylił i że go wyrachowanie zawiodło, więc zaraz poczerwieniało mu oblicze i począł sapać.

— Gadajmy o zastawie! — rzekł po chwili. — Macie pieniądze?... Bo jak nie, to dziedzina moja!...

Na to Maćko, który wiedział, jak z nim postępować, podniósł się w milczeniu, otworzył skrzynię, na której siedział, wydobyl z niej przygotowany już widocznie worek z grzywnami i rzekł:

— Ubodzyśmy ludzie, ale pieniądze mamy i co się należy, to płacimy, jako stoi w „liście”<sup>690</sup> i jakom znakiem krzyża świętego sam poświadczył<sup>691</sup>. Jeżelibyście zasie chcieli jeszcze za porządki i za dobytek dopłaty, to też nie będziem się sprzeczały, jeno zapłacim, co każecie, i pod nogi was, dobrodzieja naszego, podejmim.

To rzekłszy, pochylił mu się do kolan, a za nim uczynił też to samo Zbyszko. Opat, który spodziewał się sporów i targów, wielce był takim postępowaniem zaskoczony, a nawet i nie całkiem rad, gdyż przy targach chciał stawiać różne swoje warunki, a tymczasem sposobność ominęła.

Więc oddając „list”, czyli kwit zastawny, na którym Maćko był znakiem krzyża podpisany, rzekł:

— Czego mi o dopłacie prawicie?

— Bo nie chcem<sup>692</sup> darmo brać — odpowiedział chytrze Maćko, wiedząc, że im więcej będzie się w tym wypadku sprzeczały, tym więcej zyska.

Jakoż opat zaperzył się w mgnieniu oka:

— Widzicie ich! Nie chcą od krewnych darmo brać! Chleb ludzi bodzie<sup>693</sup>! Nie brałem pustki i nie oddaję pustki, a jak mi się spodoba i tym tu oto workiem prasnąć, to i prasnę!

— Tego nie uczynicie! — zawołał Maćko.

— Nie uczynię? Ot mi wasz zastaw! Ot mi wasze grzywny! Dałem, bo moja łaska, a choćby mi wola była na gościńcu ostawić, to wam do tego nic. Ot, jak nie uczynię!

To rzekłszy, porwał worek za zwitkę i grzmotnął nim o podłogę, aż z rozpękłego płótna posypały się pieniądze.

— Bóg zapłać! Bóg wam zapłać, ojczy i dobrodzieju! — począł wołać Maćko, który tylko czekał na tę chwilę. — Od innego bym nie wziął, ale od krewniaka i duchownego wezmę...

Opat zaś spoglądał czas jakiś groźnie to na niego, to na Zbyszka, wreszcie rzekł:

— Wiem ci ja, choć i gniewający się, co robie; za czym trzymajcie, coście dostali, bo to wam też zapowiadam, że więcej jednego skojca nie uwidzicie.

— Nie spodziewaliśmy się i tego.

— Ale wiedzcie, że co po mnie zostanie, to weźmie Jagienka.

— I ziemię? — spytał naiwnie Maćko.

— I ziemię! — huknął opat.

Na to przedłużyła się Maćkowi twarz, ale opanował się i rzekł:

— Ej, co tam o śmierci myśleć! Niech wam Pan Jezus da sto lat albo i więcej, a przedtem biskupstwo zacne.

— A choćby!... Albo to ja gorszy od innych! — odrzekł opat.

— Nie gorszy, jeno lepszy.

Te słowa podziały uspokajająco na opata, gdyż w ogóle gniew jego był krótkotrwały.

— No — rzekł — wyście moi krewni, a ona tylko krześniaczka, ale ja miłuję i ją, i Zycha od dawnych lat. Lepszego człeka niż Zych nie ma na świecie, i lepszej dziewczki niż Jagienka też! Co będzie miał kto na nich powiedzieć?

I począł toczyć wyzywającym wzrokiem, lecz Maćko nie tylko nie przeczył, ale skwapliwie potwierdził, że godniejszego sąsiada próżno by w całym Królestwie szukać.

<sup>690</sup>list — tu: kwit potwierdzający zastaw. [przypis edytorski]

<sup>691</sup>jakom znakiem krzyża świętego sam poświadczył — znak krzyża stawały na dokumentach osoby nieumiejące pisać. [przypis edytorski]

<sup>692</sup>chcem — dziś popr.: chcę. [przypis edytorski]

<sup>693</sup>chleb ludzi bodzie — zwrot przysłowiowy mówiący o zuchwałości ludzi sytych. [przypis edytorski]

— A co do dziewczki — rzekł — córki rodzonej więcej bym nie miłował, niżli ją miłuję. Za jej to przyczyną przyszedłem do zdrowia i tego jej do śmierci nie zapomnę.

— Potępieni będziecie i jeden, i drugi, jeśli zapomnicie — rzekł opat — i pierwszy was za to przeklnę. Ja krzywdy waszej nie chcę, boście moi krewni, i dlatego wymyśliłem sposób, żeby to, co po mnie zostanie, było i Jagienkowe, i wasze, rozumiecie?

— Dałby Bóg, aby się to stało! — odrzekł Maćko. — Miły Jezu! Piechtą<sup>694</sup> bym poszedł do grobu królowej w Krakowie i na Łysą Górę, aby się drzewu Krzyża Świętego pokłonić.

Uradował się opat szczerością, z jaką mówił Maćko, uśmiechnął się i rzekł:

— Dziewka ma prawo przebierać, bo i gładka, i wiano godne, i ród zacny! Co ta dla niej Cztan albo Wilk, kiedy i wojewodziński syn nie byłby nadto. Ale niechbym tak ja, nie przymierzając, kogo zaswatał, toby za niego poszła, bo mnie miłuje i wie, że jej źle nie poradzę...

— Dobrze temu będzie, kogo zaswatacie — rzekł Maćko.

Lecz opat zwrócił się do Zbyszka:

— A ty co?

— Ano, ja tako myślę, jako i stryjko...

Zacne oblicze opata rozjaśniło się jeszcze bardziej; uderzył Zbyszka dłonią w łopatkę, aż się rozległo w alkierzu, i zapytał:

— Czemuś to przy kościele ni Cztana, ni Wilka do Jagienki nie dopuścił?... Co?...

— By zaś nie myśleli, że się ich boję, i byście nie myśleli i wy.

— Ale i święconą wodę jej podałeś.

— A podałem.

Opat uderzył go po raz drugi:

— To... To ją bierz!

— Bierz ją! — zawołał jak echo Maćko.

Na to Zbyszko zagarnął pod siatkę włosy i odpowiedział spokojnie:

— Jakoże ją mam brać, kiedym ja przed ołtarzem w Tyńcu Danusi Jurandównie ślubował?

— Ślubowałeś pawie czuby, to ich szukaj, a Jagienkę zaraz bierz.

— Nie — odrzekł Zbyszko — potem jak na mnie nałęczką rzuciła, ślubowałem, że ją za żonę wezmę.

Twarz opata poczęła nabiegać krwią; uszy mu posiniały, a oczy poczęły wychodzić na wierzch: zbliżył się do Zbyszka i rzekł potłumionym przez gniew głosem:

— Twoje śluby plewa, a ja wiatr, rozumiesz! Ot!

I dmuchnął mu w głowę tak potężnie, że aż pątlík zleciał, a włosy rozsypały się w nieladzie po ramionach i plecach. Wówczas Zbyszko zmarszczył brwi i patrząc opatowi wprost w oczy, rzekł:

— W moim ślubowaniu moja cześć, a nad moją czcią ja sam stróża!

Usłyszawszy to, nieprzywykły do oporu opat stracił do tego stopnia dech, iż mowa była mu na czas jakiś odjęta. Nastąpiło złowrogie milczenie, które przerwał wreszcie Maćko:

— Zbyszku! — zawołał. — Upamiętaj się! Coć jest?

Opat tymczasem podniósł ramię i wskazując młodzianka, począł krzyczeć:

— Co mu jest? Ja wiem, co mu jest: dusza w nim nie rycerska i nie ślachecka, jeno zajęcza. To mu jest, że się Cztana i Wilka boi!

A Zbyszko, który nie stracił ani na chwilę zimnej krwi, ruszył niedbale ramionami i odpowiedział:

— O wa! Porozbijałem im łby w Krześni.

— Bój się Boga! — zawołał Maćko.

Opat patrzył czas jakiś na Zbyszka wytrzeszczonymi oczyma. Gniew walczył w nim o lepszą z podziwem, a jednocześnie przyrodzony bystry rozum począł mu przypominać, że z tego pobicia Wilka i Cztana może dla swych zamiarów korzyść wyciągnąć.

Więc ochłonawszy nieco, krzyknął na Zbyszka:

— Czemuś nie gadał?

— Bo mi było wstyd. Myślałem, że mnie pozwą, jako rycerzom przystało, na walkę

Bijatyka

<sup>694</sup>piechtą (daw.) — na piechotę. [przypis edytorski]



konną albo pieszą, ale to zbóje, nie rycerze. Pierwszy Wilk uderzył deskę ze stołu, Cztan uderzył drugą, i do mnie! To i cóżem miał robić? Chwyciłem ławę też, no... i wiecie!...

— Żywi aby? — zapytał Maćko.

— Żywi, jeno ich zamroczyło. Ale jeszcze przy mnie poczęli dychać.

Opat słuchał, tarł czoło, po czym zerwał się nagle ze skrzyni, na której był poprzednio przysiadł dla lepszego namysłu, i zawołał:

— Poczkaj!...<sup>695</sup> Ja ci teraz coś powiem!

— A co powiecie? — zapytał Zbyszko.

— To ci powiem, że jeśliś ty się za Jagienkę bił i ludziom przez nią łby rozwał, toś ty naprawdę jej rycerz, nie czyj inny, i musisz ją brać.

To rzekłszy, wziął się w boki i począł spoglądać tryumfalnie na Zbyszka, lecz ów uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Hej, dobrzem ja wiedział, dlaczegoście chcieli mnie na nich napuścić, ale to wam zgoła chybiło.

— Czemu chybiło?... Gadaj!

— Bo ja im kazał przyświadczyć, jako najgładsza i najcnotliwsza dziewczka w świecie jest Danuśka Jurandówna, a oni właśnie ujęli się za Jagienką, i z tego była bitka.

Usłyszawszy to, opat stał przez chwilę na miejscu jak skamieniały i tylko po mruganiu oczyma można było poznać, że żyw jeszcze. Nagle zawrócił się na miejscu, wywalił nogą drzwi alkierza, wpadł do izby, tam chwycił krzywą łagę z rąk pątnika i począł nią okładać swoich szpyłmanów, rycząc przy tym jak ranny tur:

— Na koń, skomorochy<sup>696</sup>! Na koń, psiawiary! Noga moja w tym domu nie postanie! Na koń, kto w Boga wierzy! Na koń!...

I znów wywaliwszy drzwi, wyszedł na dziedziniec, a przerażeni klerycy-waganci za nim. Tak ruszywszy hurmem do szopy, poczęli w mig kulbaczyć konie. Próżno Maćko pogonił za opatem, próżno prosił, błagał, bożył się<sup>697</sup>, że nie winien — nic nie pomogło! Opat kłął, przeklinał dom, ludzi, pola, a gdy podano mu konia, skoczył na niego bez strzemion i puścił się w cwał z miejsca, z rozwianymi przez wiatr rękawami, podobny do olbrzymiego, czerwonego ptaka. Klerycy lecieli za nim w trwodze na kształt stada, które podąża za przewodnikiem.

Maćko spoglądał czas jakiś za nimi, aż gdy znikli w boru, wrócił z wolna do izby i rzekł do Zbyszka, kiwając posępnie głową:

— Cóżes ty najlepszego narobił!...

— Nie byłoby tego, gdybym był sobie wcześniej pojechał, a żem nie pojechał, to przez was.

— Jak to przeze mnie?

— Ba, bom nie chciał was chorych odjeżdżać.

— A teraz jako będzie?

— A teraz pojedę.

— Dokąd?

— Na Mazury, do Danuśki... I pawich czubów szukać między Niemców.

Maćko pomilczał chwilę, po czym rzekł:

— „List” oddał, ale zastaw jest i w księdze sądowej zapisany. Nie daruje nam tera<sup>698</sup> opat ni skojca.

— To niech nie daruje. Pieniądze macie, a ja na drogę nie potrzebuję. Przecie mnie wszędzie przyjmą i koniom dadzą żreć; a byłem miał pancierz na grzbiecie a kord w garści, to i o nic nie dbam.

Maćko zamyslił się i począł rozważać wszystko, co się stało. Nic nie poszło po jego myśli ni wedle jego serca. Sam on życzył sobie także z całej duszy Jagienki dla Zbyszka; zrozumiał jednak, że nie może być chleba z tej mąki i że wobec gniewu opata, wobec Zycha i Jagienki, wreszcie wobec bójki z Cztanem i Wilkiem lepiej, żeby sobie Zbyszko pojechał, niż żeby miał być dalszych niezgód i poswarków<sup>699</sup> przyczyną.

<sup>695</sup> *Poczkaj!* — dziś popr.: *Poczekaj!* [przypis edytorski]

<sup>696</sup> *skomorocha* (daw.) — wędrowny śpiewak a. aktor, zwłaszcza słowiański. [przypis edytorski]

<sup>697</sup> *bożyć się* (daw.) — zarzekać się, przysięgając na Boga. [przypis edytorski]

<sup>698</sup> *tera* — dziś popr.: *teraz*. [przypis edytorski]

<sup>699</sup> *poswarki* a. *swary* (daw.) — kłótnie. [przypis edytorski]

— Ha! — rzekł wreszcie. — Łbów krzyżackich i tak musisz szukać, więc skoro nie ma innej rady, to jedź. Niech się ta stanie wedle woli Pana Jezusowej... Ale mnie trzeba zaraz do Zgorzelic; może jako Zycha i opata przejednam... Zycha mi osobliwie żal.

Tu spojrział w oczy Zbyszkowi i spytał nagle:

— A tobie Jagienki nie żal?

— Niechże jej Bóg da zdrowie i wszystko najlepsze! — odrzekł Zbyszko.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Maćko czekał cierpliwie przez kilka dni, czy nie dojdzie go jaka wieść ze Zgorzelic lub czy opat się nie udobrucha, aż wreszcie sprzykrzyła mu się niepewność i czekanie i postanowił sam wybrać się do Zycha. Wszystko, co się stało, stało się bez jego winy, chciał jednak wiedzieć, czy Zych nie czuje i do niego urazy, bo co do opata był pewnym, że gniew jego będzie odtąd ciężył i na Zbyszku, i na nim.

Chciał jednak uczynić wszystko, co było w jego mocy, by ów gniew złagodzić, więc jadąc, rozmyślał i układał sobie, co komu w Zgorzelicach powie, aby urazę zmniejszyć i starą sąsiedzką przyjaźń zachować. Myśli jednak nie kleiły mu się jakoś w głowie, rad też był, że zastał samą Jagienkę, która przyjęła go po staremu pokłonem, ucałowaniem ręki — słowem: przyjaźnie, choć trochę smutno.

— A ojciec doma? — zapytał.

— Doma, jeno się wybrali z opatem na lowy. Mało patrzeć, jak wróćą...

To rzekwszy, wprowadziła go do izby, w której zasiadłszy, milczeli oboje przez dłuższą chwilę, po czym dziewczyna spytała pierwsza:

— Cni się wam samemu w Bogdańcu?

— Cni — odpowiedział Maćko. — A to już wiesz, że Zbyszko pojechał?

Jagienka westchnęła cicho:

— Wiem. Wiedziałam tego samego dnia i myślałam... że wstąpi choć dobre słowo rzec, a nie wstąpił.

— Jakże mu było wstępować! — rzekł Maćko. — Toć opat chybaby go rozerwał na dwoje, a i ojciec twój nierad by go też widział.

Ona zaś potrząsnęła głową i odrzekła:

— Ej! Nie dałaby ja mu krzywdy uczynić nikomu.

Na to Maćko, choć serce miał hartowne<sup>700</sup>, wzruszył się jednak, przyciągnął do się dziewczynę i rzekł:

— Bóg z tobą, dziewucho! Tobie smutek, ale i mnie smutek, bo to ci jeno rzekę, że ni opat, ni ociec rodzony nie miłują cię barziej<sup>701</sup> ode mnie. Niechbym był lepiej szczeł od tej rany, z której mnie wygoiłaś, byle on ciebie brał, nie inną.

A na Jagienkę przysła taka chwila żalu i tęsknoty, w której człowiek nie potrafi niczego w sobie zataić — i rzekła:

— Nie obaczę już ja go nigdy, a jeśli obaczę, to z Jurandówną; wolałabym zasię wpierv oczy wypłakać.

I podniósłszy końce fartucha, przesłoniła nim oczy, które zasły jej łzami.

A Maćko:

— Daj spokój! Pojechał ci, bo pojechał, ale za łaską Boską z Jurandówną nie wróci.

— Co nie ma wrócić! — ozwała się spod fartucha Jagienka.

— Bo mu Jurand nie chce dziewczki dać.

Na to Jagienka odsłoniła nagle twarz i zwróciwszy się do Maćka, spytała żywo:

— Mówił mi! Ale prawda-li to?

— Prawda, jako Bóg na niebie.

— A czemu?

— Kto jego wie. Ślubowanie jakieś czy co, a na ślubowanie nie ma rady! Udał mu się Zbyszko, ile że<sup>702</sup> mu obiecał do pomsty pomagać, ale i to nie pomogło. Na nic było i księżny Anny swatanie. Ni prośby, ni namowy, ni rozkazania nie chciał Jurand słuchać. Powiadał, że nie może. No, i widać przyczyna takowa jest, że nie może, a to człek

<sup>700</sup>hartowny — zahartowany, twardy. [przypis edytorski]

<sup>701</sup>barziej — dziś popr.: bardziej. [przypis edytorski]

<sup>702</sup>ile że (daw.) — ponieważ. [przypis edytorski]

twardy, który tego, co rzekł, nie zmieni. Ty, dziewczyno, nie trać otuchy i pokrzep się. Po sprawiedliwości musiał chłop jechać, boć te pawie grzebienie w kościele zaprzysiągł. Dziewka też go nałęczką przykryła na znak, że go chce za męża brać, bez co mu głowy nie ucięli, za to jej powinien<sup>703</sup>, nie ma co gadać. Nie będzie, da Bóg, ona jego, ale on jest wedle prawa jej. Zych na niego krzyw<sup>704</sup>, opat pewnikiem pomstuje, a że skóra cierpnie, mnie też gniewno, a wszelako pomiarkowawszy, co on miał robić? Skoro tamtej powinien, to i trza mu było jechać. Przecie jest ślachcic. Ale ci to jeno powiadam, że jeśli go tam gdzie Niemce godnie nie pokolączą, to jak pojechał, tak i wróci; i wróci nie tylko do mnie starego, nie tylko do Bogdańca, ale do ciebie, bo cię strasznie rad widział.

— Gdzie on mnie ta rad widział! — rzekła Jagienka.

Ale jednocześnie przysunęła się do Maćka i trąciwszy go łokciem, zapytała:

— Skąd wiecie? Co? Pewnie nieprawda?...

— Skąd wiem? — odrzekł Maćko. — Bo widziałem, jak mu ciężko było odjeżdżać.

I jeszcze było tak, że jak już stanęło na tym, że ma jechać, tak pytam ja go: „A nie żal ci też Jagienki?”. A on prawi: „Niechże jej Bóg da zdrowie i wszystko najlepsze”. I tak ci zaraz wziął wdychać, jakby miał kowalski miech w brzuchu...

— Pewnie nieprawda!... — powtórzyła ciszej Jagienka. — Ale powiadajcie jeszcze...

— Jak mi Bóg miły, prawda!... Już mu tamta nie będzie tak po tobie smakować, bo to i sama wiesz, że jędrniejszej a zaś urodziwszej dziewczki na całym świecie nie znaleźć. Czuł on do ciebie wolę bożą, nie bój się, może i więcej niż ty do niego.

— Bogać tam!<sup>705</sup> — zawołała Jagienka.

I pomiarkowawszy, co w prędkości<sup>706</sup> wyrzekła, zakryła rumianą jak jabłko twarz rękawem, a Maćko uśmiechnął się, pociągnął ręką po wąsach i rzekł:

— Hej, żeby ja był młody! Ale ty się pokrzep, bo już widzę, jako będzie: pojedzie, ostrogi<sup>707</sup> na dworze mazowieckim zyszcze<sup>708</sup>, gdyż tam granica blisko i o Krzyżaka nie-trudno... Jużci wiem, że i między Niemcami bywają tędzy rycerze, a żelazo od jego skóry nie odskoczy, ale tak myślę, że byle który rady mu nie da, bo to jucha do bitki okrutnie sprawna. Patrzcie, jako Cztana z Rogowa i Wilka z Brzozowej w mig potar mosił, choć to przecie, mówią, chłopcy na schwał i mocarne jak niedźwiedzie. Przywiezie on swoje czuby, jeno Jurandówny nie przywiezie, bo i ja gadałem z Jurandem i wiem, jako jest. No, a potem co? Potem tu wróci, bo gdzież by miał wracać.

— Kiedy tam wróci?

— Ba! Jeśli nie wytrzymasz, to ci nie będzie krzywdy. Ale tymczasem powtórz opatowi i Zychowi to, co ci mówię. Niechby ta w gniewie na Zbyszka choć trochę pofolgowali.

— Jakoże mam mówić? Tatuś więcej frasobliwi niż gniewni, ale przy opacie i wspomnieć o Zbyszku nieprzebiecznie. Dał ci on i mnie, i tatusiowi za tego pacholka, którego Zbyszkwowi posłałam.

— Za jakiego pacholka?

— Wiecie. Był tu u nas Czech, co go tatuś pojмали pod Bolesławcem, dobry pacholek i wierny. Wołali na niego Hława. Tatuś mi go dali do posług, bo się powiadał tamtejszym włodyką, a ja dałam ci mu zbroiczkę godną i posłałam go Zbyszkwowi, aby mu służył i strzegł go w przygodzie<sup>709</sup>, a broń Boże czego, żeby dał znać... Dałam ci mu i trzosik na drogę, a on zaprzysiągł mi na zbawienie duszy, że do śmierci będzie Zbyszkwowi wiernie służył.

— Mojaż ty dziewczyno! Bóg ci zapłać! A Zych się nie przeciwil?

— Co się miał przeciwil! Zrazu całkiem tatuś nie pozwalali, dopiero jak wzięłam go pod nogi podejmować, tak i stanęło na moim. Z tatusiem nijakiego kłopotu nie masz, ale jak opat zwiedził się o tym od swoich skomorochów, w mig pełniuską izbę naklął i taki był sądny dzień, że tatuś do stodół uciekli. Dopiero wieczorem ulitował się opat moich leż i jeszcze mi paciorki podarował... Ale ja rada byłam pocierpieć, byle Zbyszko poczet miał większy.

<sup>703</sup>za to jej powinien (daw.) — ma wobec niej powinności, jest wobec niej zobowiązany. [przypis edytorski]

<sup>704</sup>krzyw (daw.) — niechętny. [przypis edytorski]

<sup>705</sup>Bogać tam! (daw.) — Gdzie tam! [przypis edytorski]

<sup>706</sup>w prędkości — w zdenerwowaniu. [przypis edytorski]

<sup>707</sup>ostrogi — tu przen. znak przynależności do stanu rycerskiego. [przypis edytorski]

<sup>708</sup>zyszcze — dziś popr.: zyska. [przypis edytorski]

<sup>709</sup>przygoda — tu: niebezpieczeństwo. [przypis edytorski]

— Jak mi Bóg miły, tak nie wiem, czy więcej jego miłuję, czy ciebie, ale on i tak poczet wziął zacny; i pieniędzy też mu dałem, choć nie chciał... No, Mazury przecie nie za morzem...

Dalszą rozmowę przerwało im ujadanie psów, okrzyki i odgłosy trąb mosiężnych przed domem. Usłyszawszy to, Jagienka rzekła:

— Tatusi i opat wrócili z łowów. Pójdziemy na przyłap, bo lepiej, żeby was opat pierwej z daleka uwidział, nie zaś znienacka w izbie.

To rzekłszy, wyprowadziła Maćka na przyłap, z którego ujrzeni w podwórzu na śniegu kupę ludzi, koni, psów, a zarazem pobudzone oszczepami lub postrzelone z kuszy łosie i wilki. Opat ujrzawszy Maćka, zanim jeszcze zsiadł z konia, cisnął w jego stronę oszczepem, nie dlatego wprawdzie, aby go ugodzić, ale by w ten sposób tym dowodniej<sup>710</sup> swą zawziętość przeciw bogdanieckim ludziom okazać. Lecz Maćko skłonił mu się z dala czapką, jak gdyby nic nie zauważył, Jagienka zaś nie zauważyła tego istotnie, gdyż przede wszystkim zdumiała ją obecność dwóch jej zalotników w orszaku.

— Są Cztan i Wilk! — zawołała. — Musieli się w boru z tatusiem zdybać<sup>711</sup>.

A Maćka aż zakłóło coś w dawnej ranie na ich widok. W lot przez głowę przebiegła mu myśl, że jeden z nich może dostać Jagienkę, a z nią Moczydoły, opatowe ziemie, bory i pieniądze... I żał wspólnie ze złością chwyciły go za serce, zwłaszcza że po chwili ujrzał rzecz nową. Oto Wilk z Brzozowej, choć z jego ojcem chciał się niedawno opat potykać, skoczył teraz do jego strzemiesienia, aby mu pomóc zsiąść z konia, on zaś zsiadając, oparł się przyjaźnie na ramieniu młodego szlachcica.

„Pogodzi się opat ze starym Wilkiem takowym sposobem — pomyślał Maćko — że za dziewczyną odda bory i ziemie”.

Lecz przerwał mu owe przykre myśli głos Jagienki, która w tej samej chwili rzekła:

— Wygoili się już po Zbyszowym biciu, ale choćby tu co dnia przyjeżdżali: niedo-czekanie ich!

Maćko spojrział — twarz dziewczyny była rumiana zarówno z gniewu, jak i z zimna, a modre jej oczy iskrzyły się gniewem, pomimo iż wiadomo jej było dobrze, że Wilk i Cztan za nią właśnie ujęli się w gospodzie i przez nią zostali pobici.

Więc Maćko rzekł:

— Ba! Uczynisz, co opat każe.

A ona na to z miejsca:

— Opat uczyni, co ja zechcę.

„Miły Boże! — pomyślał Maćko. — I ten głupi Zbyszko takiej dziewczki odbieżeł<sup>712</sup>!”

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

A tymczasem „głupi Zbyszko” wyjechał był z Bogdańca istotnie z ciężkim sercem. Naprzód, było mu jakoś obco i nieswojo bez stryjca, z którym dotychczas od dawnych lat się nie rozłączał i do którego tak nawykł, że sam teraz dobrze nie wiedział, jak się bez niego i w podróży, i na wojnie obejdzie. Po wtóre, żał mu było i Jagienki, bo chociaż mówił sobie, że jedzie do Danusi, którą miłował z całej duszy, jednakże bywało mu tak dobrze przy Jagience, iż teraz dopiero uczuł, jaka przy niej była radość, a jaki bez niej może być smutek. I aż sam się dziwił swojemu żalowi, a nawet się nim zaniepokoił, bo żeby to tęsknił po Jagience, jak brat tęskni po siostrze, nic by to było. Ale on spostrzegł, że mu się „cni” za tym, by ją przed się pod boki brać i na konia sadzać albo z kulbaki zdejmować, by ją przez strugi przenosić, wodę jej z warkocza wykręcać, by z nią po lasach chadzać i patrzeć na nią, i „uradzać” z nią. Tak zaś do tego przywykł i takie mu to było miłe, że gdy teraz począł o tym myśleć, zaraz się zapamiętał i całkiem zapomniał, że w długą drogę aż na Mazury jedzie, a natomiast stanęła mu w oczach ta chwila, gdy Jagienka dała mu pomoc w lesie, gdy się z niedźwiedziem borykał. I zdało mu się, że to było wczoraj, jak również że wczoraj chodzili na bobry do Odstajanego jeziora. Nie widział jej przecie wówczas, gdy się wplaw po bobra puściła, a teraz zdało mu się, że ją widzi — i zaraz poczęły go brać takie same ciągoty, jakie brały go parę tygodni temu, gdy

<sup>710</sup>dowodnie (daw.) — wyraźnie. [przypis edytorski]

<sup>711</sup>zdybać się (daw.) — spotkać się. [przypis edytorski]

<sup>712</sup>odbieżeć (daw.) — uciec. [przypis edytorski]

wiatr nazbyt z Jagienkową suknią poswawolił. Potem zaś przypomniał sobie, jak jechała wspaniale przybrana do kościoła w Krześni i jak się dziwił, że taka prosta dziewczyna naraz wydała mu się niby dwornie jadące wysokiego rodu paniątko. Wszystko to sprawiło, że koło serca zaczęło mu się czynić jakoś bałamutnie<sup>713</sup>, zarazem błogo i smutno, i pożądliwie, a gdy jeszcze pomyślał, że byłby z nią mógł uczynić, co chciał, i jak ją też ku niemu ciągnęło, jak mu patrzyła w oczy i jak się do niego garnęła, to ledwie że na koniu mógł usiedzieć. „Niechbym jej był gdzie dopadł i choć pożegnał, a objął na drogę — mówił sobie — może by mnie było popuściło” — ale wnet uczył, że to nieprawda i że nie byłoby go popuściło, gdyż na samą myśl o takim pożegnaniu poczęły mu skry po skórze chodzić, chociaż na świecie był przymrozek.

Aż wreszcie przestraszył się owych wspomnień nazbyt do żądz podobnych i strząsnął je z duszy jak suchy śnieg z opończy<sup>714</sup>.

— Do Danuśki jadę, do mojej najmilejszej! — rzekł sobie.

I wraz zmiarkował, że to jest inne kochanie, jakby pobożniejsze i mniej po kościach chodzące. Powoli też, w miarę jak w strzemionach marzły mu nogi, a chłodny wiatr studził mu krew, wszystkie myśli jego poleciały ku Danusi Jurandównie. Tej — to był naprawdę powinien. Gdyby nie ona, dawno by jego głowa była spadła na krakowskim rynku. Przecie gdy wyrzekła wobec rycerzy i mieszczan: „Mój ci jest” — to go przez to samo katom z rąk odjęła — i od tej pory on tak należy do niej jak niewolnik do pana. Nie on ją brał, ale ona jego wzięła; na to żadne sprzeciwianie się Jurandowe nie poradzi. Ona jedna mogłaby go odpędzić, jako pani może sługę odpędzić, chociaż on i wówczas nie poszedłby daleko, bo go i własne ślubowanie wiąże. Pomyślał jednak, że ona go nie odpędzi, że raczej pójdzie za nim z mazowieckiego dworu choćby na kraj świata — i pomyślawszy to, począł ją wysławiać w duszy ze szkodą Jagienki, jakby to była wyłącznie jej wina, że go napastowały pokusy i że dwoiło się w nim serce. Nie przyszło mu do głowy teraz, że Jagienka wygoiła starego Maćka, a prócz tego, że bez jej pomocy byłby mu może niedźwiedź obdarł owej nocy ze skóry głowę — i burzył się przeciw Jagience rozmyślnie, sądząc, że tym sposobem Danusi się zasłuży i we własnych oczach się usprawiedliwi.

A wtem nadjechał Czech Hława wysłany przez Jagienkę — prowadząc ze sobą jucznego konia.

— Pochwalony! — rzekł, kłaniając się nisko.

Zbyszko widział go raz lub dwa razy w Zgorzelicach, ale go nie poznał, więc ozwał się:

— Pochwalony na wieki wieków. A coś za jeden?

— Wasz pacholek, słowutny<sup>715</sup> panie.

— Jak to mój pacholek? Tamci moi pacholcy — rzekł, ukazując na dwóch Turczynków, podarowanych mu przez Sulimczyka Zawiszę, i na dwóch tęgich parobków, którzy siedząc na mierzynach<sup>716</sup>, prowadzili rycerskie ogiery. — Tamci moi; a ciebie kto przysłał?

— Panna Jagienka Zychówna ze Zgorzelic.

— Panna Jagienka?

Zbyszko dopiero co właśnie burzył się był przeciw niej i serce jego pełne było jeszcze niechęci, więc rzekł:

— Wróćcie do dom i podziękuj pannie za łaskę, bo cię nie chcę.

Lecz Czech potrząsnął głową.

— Nie wróć, panie. Mnie wam podarowali, a prócz tego ja zaprzysiągł do śmierci wam służyć.

— Jeśli mi cię podarowali, toś mój sługa.

— Wasz, panie.

— Więc rozkazuję wrócić.

— Ja zaprzysiągł, a choć ja jeniec spod Bolesławca i chudy pacholek, ale włodyczka...

A Zbyszko rozgniewał się:

Miłość platoniczna

Sługa

Pan, Przysięga

<sup>713</sup>bałamutny (daw.) — wprowadzający w błąd a. zalotny, uwodzicielski. [przypis edytorski]

<sup>714</sup>opończa — płaszcz z kapturem, ubranie podróżne. [przypis edytorski]

<sup>715</sup>słowutny (czes.) — sławetny. [przypis edytorski]

<sup>716</sup>mierzyn — koń niewielkiego wzrostu. [przypis edytorski]

— Ruszaj precz! Jakże to! Będziesz mi zaś przeciw mojej woli służył czy co? Ruszaj, bo każę kuszę napiąć.

Czech zaś odtroczył<sup>717</sup> spokojnie sukienną opończę podbitą wilkami, oddał ją Zbysz-  
kowi i rzekł:

— Panna Jagienka i to wam przysłała, panie.

— Chcesz, abych ci kości połomił? — zapytał Zbyszko, biorąc drzewce z rąk parobka.

— A jest i trzosik na wasze rozkazanie — odrzekł Czech.

Zbyszko zamierzył się drzewcem, lecz wspomniał, że pacholek, chociaż jeniec, jest jednakże z rodu włodyką, którego widocznie dlatego tylko został u Zycha, że nie miał się za co wykupić — więc opuścił ratyszczę<sup>718</sup>.

Czech zaś pochylił mu się do strzemięcia i rzekł:

— Nie gniewajcie się, panie. Nie każecie mi ze sobą jechać, to pojedę za wami o stajanie albo o dwa, ale pojedę, bom to na zbawienie duszy mojej zaprzysiągł.

— A jak cię każę ubić albo związać?

— Jak mnie każecie ubić, to nie będzie mój grzech, a jak mnie każecie związać, to ostanę, póki mnie dobrzy ludzie nie rozwiążą albo wilcy nie zjedzą.

Zbyszko nie odpowiedział — ruszył jeno koniem przed siebie, a za nim ruszyli jego ludzie. Czech z kuszą za plecami i z toporem na ramieniu włókł się z tyłu, zatulając się w kosmatą skórę żubrzą, albowiem począł dąć ostry wiatr, niosący krupki śniegowe.

Nawałnica wzmagała się nawet z każdą chwilą. Turczynkowie, lubo w tohubach<sup>719</sup>, kostnieli od niej, parobcy Zbyszskowi poczęli „zabijać” ręce, a on sam, będąc również przybrany nie dość ciepło, rzucił raz i drugi oczyma na wilczą opończę przywiezioną przez Hławę i po chwili rzekł do Turczyńka, aby mu ją podał.

I owinąwszy się w nią szczerlnie, wkrótce poczuł ciepło rozchodzące się po całym ciele. Wygodny był szczególnie kaptur, który osłaniał mu oczy i znaczną część twarzy, tak iż wicher przestał mu prawie dokuczać. Wówczas mimo woli pomyślał, że Jagienka to jednak poczciwa z kośćciami<sup>720</sup> dziewczka — i wstrzymał nieco konia, albowiem wzięła go chęć wypytać Czecha o nią i o wszystko, co się w Zgorzelicach działo.

Więc skinąwszy na pacholka, rzekł:

— Zali stary Zych wie, że cię panna do mnie wysłała?

— Wie — odpowiedział Hława.

— I nie przeciwiał się?

— Przeciwiał.

— Powiadajże, jako było.

— Pan chodził po izbie, a panna za nim. On krzyczał, a panienska nic; jeno co się ku niej nawrócił, to ona mu do kolan. I ani słowa. Powiada wreszcie panisko: „Czyś ogłuchła, że nic nie mówisz na moje przyczyny<sup>721</sup>? Przemów, bo wreszcie pozwolę, a jak pozwolę, to mi opat łeb urwie!”. Dopieroż panna pomiarkowała, że już na swoim postawi, i nuż z płaczem dziękować. Pan jej wymawiał, że go pozbadła<sup>722</sup>, i narzekał, że we wszystkim musi być jej wola, w końcu zaś rzekł: „Przyrzecz mi, że chyłkiem nie wyskoczysz żegnać się z nim, to pozwolę, inaczej nie”. Dopieroż zafrasowała się panienska, ale przyrzekła; i pan rad był, bo oni oba z opatem okrutnie się tego bali, by jej nie przysłała chęć widzieć się z waszą miłością... No, nie na tym koniec, bo później panna chciała, by były dwa konie, a pan bronił, panna chciała wilczury<sup>723</sup> i trzosika, pan bronił. Ale co tam z takich zakazowań! Żeby jej się umyśliło dom spalić, toby też panisko przystał. Dlatego jest drugi koń, jest wilczura i jest trzosik...

„Pocciwa dziewczka!” — pomyślał w duchu Zbyszko.

Po chwili zaś zapytał głośno:

— A z opatem nie było biedy?...

<sup>717</sup>odtroczyć (daw.) — odwiązać. [przypis edytorski]

<sup>718</sup>ratyszczę — drzewce od broni kłującej, takiej jak spisa. [przypis edytorski]

<sup>719</sup>tohub (daw.) — rodzaj futra. [przypis edytorski]

<sup>720</sup>pocciwy z kośćciami (fraz.) — zacny, dobry, uczciwy. [przypis edytorski]

<sup>721</sup>przyczyny — tu: powody postępowania. [przypis edytorski]

<sup>722</sup>pozbaść (daw.) — uczynić kogoś uległym. [przypis edytorski]

<sup>723</sup>wilczura — opończa podbita wilczym futrem. [przypis edytorski]

Czech uśmiechnął się jak roztropny pacholek, który zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co się wokół niego dzieje, i odrzekł:

— Oni to oboje w tajemnicy przed opatem czynili, a nie wiem, co było, gdy się dowiedział, bom wcześniej wyjechał. Opat jako opat! Huknie czasem i na panienkę, ale potem to jeno oczyma za nią wodzi i patrzy, czyli jej zbyt nie pokrzywdził. Sam widziałem, jako ją raz skrzyczał, a potem do skrzyni poszedł, łańcuch przyniósł taki, że zaciejszego i w Krakowie nie dostać, i powiada jej: „na!”. Poradzi sobie ona i z opatem, gdyż i ojciec rodzony więcej jej nie miłuje.

— Pewnie, że tak jest.

— Jak Bóg na niebie...

Tu umilkli i jechali dalej wśród wiatru i śnieżnych krupów; nagle jednak Zbyszko powstrzymał konia, gdyż z pobocza leśnego ozwał się jakiś żaloszny głos, na wół przytłumiony przez szum leśny:

— Chrześcijanie, ratujcie Bożego sługę w nieszczęściu!

I jednocześnie na drogę wybiegł człowiek, przybrany w odzież na wół duchowną, na wół świecką, i stanąwszy przed Zbyszkim, począł wołać:

— Ktokolwiek jesteś, panie, daj pomoc człowiekowi i bliźniemu w ciężkiej przygodzie!

— Coć się przytrafiło i coś zasz? — zapytał młody rycerz.

— Sługam Boży, chociaż bez święceń, a przygodziło mi się, iż dzisiejszego rana wyrwał mi się koń, skrzynie ze świętościami niosący. Zostałem sam, bez broni, a wieczór się zbliża i rychło czekać, jako luty zwierz ozwie się w boru. Zginę, jeśli mnie nie poratujecie.

— Jeśli byś z mojej przyczyny zginął — odrzekł Zbyszko — musiałbym za twoje grzechy odpowiadać, ale po czymże poznam, że prawdę mówisz i żeś nie powsinoga jakowys albo nie rzezimieszek, jakich wielu po drogach się włóczy?

— Po skrzyniach poznasz, panie. Niejeden oddałby trzos nabity dukatami, byle pojąć to, co się w nich znajduje, ale ja tobie darmo z nich udzielę, byleście mnie i moje skrzynie zabrali.

— Mówisz, żeś sługa Boży, a tego nie wiesz, że poratunek nie dla ziemskich, jeno dla niebieskich trzeba dawać nagród. Ale jakżeś to skrzynie ocalił, skoro ci niosący je koń uciekł?

— Bo konia, nimem go odnalazł, wilcy w lesie na polance zarżnęli, a zasię skrzynie ostały, które ja do drogi przywlokłem, aby czekać na zmiłowanie i pomoc dobrych ludzi.

To rzekłszy i chcąc zarazem dać dowód, że prawdę mówi, wskazał na dwie łubowe<sup>724</sup> skrzynki leżące pod sosną. Zbyszko patrzył na niego dość nieufnie, gdyż człowiek nie wydawał mu się zbyt zacnym, a przy tym mowa jego, lubo czysta, zdradzała pochodzenie z dalekich stron. Nie chciał jednakże odmówić mu pomocy i pozwolił mu przysiąc się wraz ze skrzyniami, które okazały się dziwnie lekkie, na luźnego konia, którego powodował<sup>725</sup> Czech.

— Niech Bóg pomnoży twoje zwycięstwa, mężny rycerzu! — rzekł nieznajomy.

Po czym, widząc młodocianą twarz Zbyszkową, dodał półgłosem:

— A również twoje włosy na brodzie.

I po chwili jechał obok Czecha. Przez czas jakiś nie mogli rozmawiać, albowiem dął silny wiatr i w boru szum był okrutny, lecz gdy się nieco uspokoiło, Zbyszko usłyszał za sobą następującą rozmowę:

— Nie przeczę ci, że w Rzymie byłeś, ale wyglądasz na piwożłopa — mówił Czech.

— Strzeż się wiekuistego potępienia — odrzekł nieznajomy — albowiem mówisz do człowieka, który zeszej Wielkanocy jadł jaja na twardo z Ojcem Świętym. Nie mów mi na takie zimno o piwie, chyba o grzonym, ale jeśli masz gdzie przy sobie gąsiorek<sup>726</sup> z winem, to daj mi dwa lub trzy łyki, a ja ci miesiąc czyścica odpuszczę.

— Nie masz święceń, bom słyszał, żeś sam o tym mówił, jakoże więc odpuszczisz mi miesiąc czyścica?

— Święceń nie mam, ale głowę mam ogoloną, gdyż na to pozwolenstwo otrzymałem, prócz tego odpusty i relikwie wożę.

<sup>724</sup>łubowy (daw.) — wykonany z kory. [przypis edytorski]

<sup>725</sup>powodować (daw.) — kierować, prowadzić. [przypis edytorski]

<sup>726</sup>gąsiorek — pękate naczynie z wąską szyjką. [przypis edytorski]

— W tych lubach? — zapytał Czech.

— W tych lubach. A gdybyście wszystko ujrzeni, co mam, padlibyście na twarze nie tylko wy, ale i wszystkie sosny w boru razem z dzikimi zwierzęty.

Lecz Czech, który był pacholek roztropny i doświadczony, spojrział podejrzliwie na przekupnia odpustów i rzekł:

— A wilcy konie zjedli?

— Zjedli, gdyż są diabłom pokrewni, ale popekali. Jednogom ci rozpukniętego na własne oczy widział. Jeśli masz wino, to daj, bo choć wiatr ustał, alem przemarzł, siedząc przy drodze.

Czech wina jednak nie dał i znów jechali w milczeniu, aż przekupień relikwii sam począł pytać:

— Dokąd jedziecie?

— Daleko. Ale tymczasem do Sieradza. Pojedziesz z nami?

— Bo muszę. Prześpię się w stajni, a jutro może mi ten pobożny rycerz konia podaruje, i ruszę dalej.

— Skądże jesteś?

— Spod pruskich panów, spod Malbarga.

Usłyszawszy to, Zbyszko zwrócił głowę i kiwnął na nieznanomego, aby się przybliżył.

— Spod Malbarga jesteś? — rzekł. — Stamtąd jedziesz?

— Spod Malbarga.

— Ale chyba nie Niemiec, ile że naszą mową dobrze mówisz. Jako cię wołają?

— Niemiec jestem, a wołają mnie Sanderus; waszą mową mówię, gdyż się w Toruniu urodziłem, gdzie wszystek naród tak mówi. Później mieszkałem w Malborgu, ale i tam to samo! Ba! Nawet i bracia zakonni waszą mowę rozumieją.

— A dawność z Malbarga?

— Byłem, panie, w Ziemi Świętej, potem zaś w Konstantynopolu i w Rzymie, skąd przez Francję wróciłem do Malbarga, a z Malbarga jechałem na Mazowsze, obwożąc relikwie święte, które pobożni chrześcijanie radzi dla zbawienia duszy kupują.

— Byłeś w Płocku czyli też w Warszawie?

— Byłem i tu, i tu. Niech Bóg da zdrowie obum księżnom! Niepróżno księżnę Aleksandrę nawet panowie pruscy miłują, bo to świątobliwa pani; chociaż i księżna Anna Januszowa nie gorsza.

— Widziałeś w Warszawie dwór?

— Nie napotkałem go w Warszawie, jeno w Ciechanowie, gdzie mnie oboje księstwo jako sługę Bożego gościnnie przyjęli i hojnie na drogę obdarowali. Ale i ja też zostawiłem im relikwie, które błogosławieństwo Boskie muszą na nich ściągnąć.

Zbyszko chciał zapytać o Danusię, ale naraz zdjęła go jakby pewna nieśmiałość i pewien wstyd, zrozumiał bowiem, że byłoby to samo, co zwierzyć się z miłości przed nieznanym, gminnego pochodzenia człkiem, który przy tym wyglądał podejrzanie i mógł być prostym oszustem. Więc po chwili milczenia spytał:

— Jakież to relikwie po świecie wozisz?

— Wożę i odpusty, i relikwie, które to odpusty są różne: są całkowite i na pięćset lat, i na trzysta, i na dwieście, i na mniej, tańsze, aby i ubodzy ludzie mogli je nabywać i tym sposobem czyścicowe męki sobie skracać. Mam odpusty na przeszłe grzechy i na przyszłe, ale nie myślcie, panie, abym pieniądze, za które je kupują, sobie chował... Kawałek czarnego chleba i łyk wody: ot, co dla mnie; a resztę, co zbieram, do Rzymu odwożę, aby się z czasem na nową wyprawę krzyżową zebrało. Jeździ ci wprawdzie po świecie wielu wydrwigroszów, którzy wszystko mają fałszywe: i odpusty, i relikwie, i pieczęcie, i świadectwa, i takich słusznie Ojciec Święty listami ściga, ale mnie przeor<sup>727</sup> sieradzki krzywdę i niesprawiedliwość wyrządził, gdyż moje pieczęcie są prawdziwe. Obejrzyjcie, panie, воск i sami powiecie.

— A cóż przeor sieradzki?

Podróż

<sup>727</sup> przeor — przełożony domu zakonnego lub wyższy duchowny, niebędący biskupem. [przypis edytorski]



— Ach, panie! Bogdajbym niesłusznie mniemał, że heretycką nauką Wiklefa<sup>728</sup> za-  
razon. Ale jeśli, jako mi wasz giermek powiedział, jedziecie do Sieradza, tedy mu się wołę  
nie pokazować, aby go do grzechu i bluźnierstw przeciw świętościom nie przywozicie.

— To się znaczy, niewiele mówiąc, że cię wziął za oszusta i rzezimieszka?

— Żebyż to mnie, panie! Opuściłbym mu dla miłości bliźniego, jak zresztą już uczy-  
niłem, ale on przeciw towarom moim świętym pobлуźnił, za co, obawiam się wielce, że  
potępiony zostanie bez ratunku.

— Jakież to masz towary święte?

— Takie, że się i mówić o nich z nakrytą głową nie godzi, ale tym razem, mając go-  
towe odpusty, damę wam, panie, pozwolenie nie zrzucac kaptura, gdyż wiatr dmie znowu.  
Kupicie za to odpuszcik na popasie i grzech nie będzie wam policzon. Czego ja nie mam!  
Mam kopyto osiołka, na którym odbyła się ucieczka do Egiptu, które znalezione było  
koło piramid. Król aragoński<sup>729</sup> dawał mi za nie pięćdziesiąt dukatów dobrym złotem.  
Mam pióro ze skrzydeł archanioła Gabriela, które podczas Zwiastowania uronił; mam  
dwie głowy przepiórek zesłanych Izraelitom na puszczy; mam olej, w którym poganie  
świętego Jana chcieli usmażyć; i szczebel z drabiny, o której się śniło Jakubowi; i łyż  
Marii Egipcjanki<sup>730</sup>, i nieco rdzy z kluczy świętego Piotra... Ale wszystkiego wymienić  
nie zdołam, dlatego żem przemarzył, a twój giermek, panie, nie chciał mi dać wina, a po  
wtóre dlatego, że do wieczora bym nie skończył.

— Wielkie są te relikwie, jeśli prawdziwe! — rzekł Zbyszko.

— Jeśli prawdziwe? Weź, panie, dzidę z rąk pacholka i nadstaw, bo diabeł jest w po-  
bliżu, który ci takie myśli poddaje. Trzymaj go, panie, na długość kopii. A nie chcesz-li  
nieszczęścia na się sprowadzić, to kup u mnie odpust za ten grzech, inaczej w trzech  
niedzielach umrze ci ktoś, kogo najwięcej na świecie miłujesz.

Zbyszko przeląkł się groźby, gdyż przyszła mu na myśl Danusia, i odrzekł:

— Toć nie ja nie wierzę, jeno przeor dominikanów w Sieradzu.

— Obejrzyjcie, panie, sami wask na pieczęciach; a co do przeora, Bóg wie, zali on  
jeszcze żyw, albowiem prędka bywa sprawiedliwość boska.

Lecz gdy przyjechali do Sieradza, pokazało się, że przeor był żyw.

Zbyszko udał się nawet do niego, aby dać na dwie msze, z których jedna miała się  
odprawić na intencję Maćka, druga na intencję owych pawich pióropuszków, po które  
Zbyszko jechał. Przeor, jak wielu wówczas w Polsce, był cudzoziemcem, rodem z Cylii,  
ale przez czterdzieści lat życia w Sieradzu wyuczył się dobrze polskiej mowy i był wielkim  
nieprzyjacielem Krzyżaków.

Za czym, dowiedziawszy się o Zbyszkowym przedsięwzięciu, rzekł:

— Większa ich jeszcze spotka kara boska, ale i ciebie od tego, coś zamierzył, nie  
odwodzę, naprzód z tej przyczyny, iż się zaprzysiągł, a po wtóre, że za to, co tu w Sieradzu  
uczynili, nigdy ich dosyć polska ręka nie przycisnie.

— Coże uczynili? — zapytał Zbyszko, który rad był wiedzieć o wszystkich niepra-  
wościach krzyżackich.

Na to starszek przeor rozłożył dłonie i naprzód począł odmawiać głośno *Wieczny*  
*odpoczynek*, potem zaś siadł na zydlu, przez chwilę oczy trzymał zamknięte, jakby chcąc  
zebrać dawne wspomnienia, i wreszcie tak mówić począł:

— Sprowadził ich tu Wincenty z Szamotuł<sup>731</sup>. Było mi wtedy dwanaście roków i wła-  
śniam przybył tu z Cylii, skąd mnie wuj mój Petzoldt, kustosz, zabrał. Krzyżacy napadli  
w nocy na miasto i zaraz je podpalili. Widzieliśmy z murów, jako w rynku mężów, dzieci  
i niewiasty ścinali mieczami albo jako niemowlęta rzucali w ogień... Widziałem zabi-  
janych i księży, gdyż w złości swej nie przepuszczali nikomu. A zdarzyło się, iż przeor  
Mikołaj, z Elbląga rodem będąc, znał komtura Hermana, który wojskiem przewodził.  
Wyszedł on tedy ze starszymi braćmi do owego lutego rycerza i klękawszy przed nim,

Zbrodnia

<sup>728</sup>Wycliffe, John (ok. 1329–1384) — angielski teolog, profesor teologii w Oksfordzie, głoszący poglądy, jakie  
później przejęła reformacja. [przypis edytorski]

<sup>729</sup>Aragonia — region w Hiszpanii ze stolicą w Saragossie, w czasach przedstawionych w powieści stanowił  
samodzielne królestwo (unia personalna z królestwem Kastylii nastąpiła w 1469). [przypis edytorski]

<sup>730</sup>Maria Egipcjanka — święta pustelnica, żyjąca między IV a VI w. [przypis edytorski]

<sup>731</sup>Wincenty z Szamotuł (zm. 1332) — wojewoda poznański, brał udział w bitwie pod Płowcami. [przypis  
edytorski]

zaklinał go po niemiecku, aby się chrześcijańskiej krwi ulitował. Który mu rzekł: „Nie rozumiem”, i dalej rzezać ludzi nakazał. Wtedy to wycięto i zakonników, a z nimi wuja mego Petzoldta, a zaś Mikołaja koniowi do ogona przywiązali<sup>732</sup>... A nad ranem nie było jednego żywego człowieka w mieście, prócz Krzyżaków i prócz mnie, który się na belce ode dzwonu zataiłem. Bóg ich już pokarał za to pod Płowcami, ale oni ciągle na zgubę tego chrześcijańskiego Królestwa dybią i póty dybać będą, póki ich całkiem nie zetrze ramię boskie.

— Pod Płowcami toż — odrzekł Zbyszko — wszyscy prawie mężowie z rodu mego wyginęli; ale ich nie żałuję, skoro Bóg króla Łokietka tak wielkim zwycięstwem udarował i dwadzieścia tysięcy Niemców wygubił.

— Doczekasz ty się jeszcze większej wojny i większych zwycięstw — rzekł przeor.

— Amen! — odpowiedział Zbyszko.

I poczęli mówić o czym innym. Młody rycerz wypytywał trochę o przekupnia relukwii, którego zdybał w drodze, i dowiedział się, iż wielu podobnych oszustów włóczy się po drogach, durząc<sup>733</sup> łatwowiernych ludzi. Mówił mu także przeor, iż są bulle papieskie nakazujące biskupom ścigać podobnych przekupniów, i który by nie miał prawdziwych listów i pieczęci, zaraz go sądzić. Ponieważ świadectwa owego włóczęgi wydały się przeorowi podejrzanym, więc chciał go zaraz do jurysdykcji biskupiej odesłać. Jeśliby się okazało, że prawdziwym jest wysłannikiem od odpustów, tedyby mu się krzywda nie stała. Ale on wołał uciec. Może jednak bał się mitregi<sup>734</sup> w podróży — ale przez tę ucieczkę w jeszcze większe podejrzenie się podał.

Pod koniec odwiedzin zaprosił też przeor Zbyszka na odpoczynek i nocleg do klasztoru, lecz ów nie mógł się na to zgodzić, chciał bowiem wywiesić kartę przed gospodą z wyzwaniem na „walkę pieszą albo konną” wszystkich rycerzy, którzy by zaprzeczyli, że panna Danuta Jurandówna jest najurodziwszą i najcnotliwszą dziewczką w Królestwie — nie wypadalo zaś żadną miarą wywieszać takowego wyzwania na furcie klasztornej. Ni przeor, ni inni księża nie chcieli mu nawet karty napisać, skutkiem czego młody rycerz wpadł w wielki kłopot i całkiem nie wiedział, jak sobie poradzić.

Aż dopiero po powrocie do gospody przyszło mu na myśl udać się o pomoc do przekupnia odpustów.

— Przeor zgoła nie wie, czyliś nie hultaj — rzekł — bo powiada tak: „Czego by się miał bać biskupiego sądu, gdyby prawe miał świadectwa?”

— Nie boję się też biskupa — odrzekł Sanderus — jeno mnichów, którzy się na pieczęciach nie znają. Właśnie chciałem do Krakowa jechać, ale że konia nie mam, więc muszę czekać, póki mi go ktoś nie podaruje. Ale tymczasem pismo poślę, do którego własną pieczęć przyłożę.

— Jam też sobie pomyślał, iż jeśli pokaże się, że znasz pismo, to będzie znak, żeś nie prostak. Ale jakże list pošlesz?

— Przez jakiego pątnika albo wędrownego mnicha. Małoż to ludzi do Krakowa do grobu królowej jeździ?

— A mnie potrafisz kartę napisać?

— Wypiszę, panie, wszystko, co każecie, gładko a do rzeczy, choćby na desce.

— Lepiej, że na desce — rzekł uradowany Zbyszko — bo to się nie zedrze i na później się przyda.

Jakoż, gdy po upływie pewnego czasu pacholikowie znaleźli i przynieśli świeżą deskę, zabrał się Sanderus do pisania. Co tam napisał, tego Zbyszko przeczytać nie umiał, ale kazał zaraz przybić wyzwanie na wrotach, pod nim zaś zawiesić tarczę, której Turczynkowie pilnowali na przemian. Kto by w nią kopią uderzył, ten by dał znak, że wyzwanie przyjmuje. W Sieradzu jednak brakło widocznie ochotników do takich spraw, tego bowiem dnia ani nazajutrz do południa nie zadźwięczała tarcza ani razu od uderzenia — o południu zaś wybrał się strapiony nieco młodzieńczyk w dalszą drogę.

Jednakże przedtem jeszcze przyszedł do Zbyszka Sanderus i rzekł mu:

— Gdybyście, panie, wywiesili tarczę w krajach panów pruskich, pewnie by już teraz giermek musiał na was rzemienie od zbroi dociągać.

<sup>732</sup>koniowi do ogona przywiązali — włóczenie końmi, średniowieczna forma egzekucji. [przypis edytorski]

<sup>733</sup>durzyć (daw.) — zwodzić, oszukiwać. [przypis edytorski]

<sup>734</sup>mitrega — męczący wysiłek, strata czasu. [przypis edytorski]

— Jak to! Przecie Krzyżak, jako zakonnik, nie może mieć damy, w której się kocha, bo mu nie wolno.

— Nie wiem, czy im wolno, jeno wiem, że je miewają. Prawda, że Krzyżak bez zgorzenia do pojedynczej walki stanąć nie może, gdyż przysięga, że tylko za wiarę będzie się wespół z drugimi potykał, ale tam prócz zakonników siła jest i świeckich rycerzy z dalekich stron, którzy panom pruskim w pomoc przychodzą. Ci patrzą jeno, z kim by się szczepić, a szczególnie rycerze francuscy.

— O wa! Widziałem ja ich pod Wilnem, a da Bóg, zobaczę i w Malborgu. Potrzeba mi pawich piór z hełmów, bom to ślubował, rozumiesz?

— Kupcie, panie, ode mnie dwie albo trzy krople potu świętego Jerzego, które wylał, ze smokiem walcząc. Żadna relikwia lepiej się rycerzowi nie przygodzi. Dacie mi za to konia, na którego kazaliście mi się przysiąc, to wam jeszcze i odpust dołożę za tę krew chrześcijańską, którą w walce przelejecie.

— Daj spokój, bo się zaś zgniewam. Nie będę twego towaru brał, póki nie wiem, czy dobry.

— Jedzicie, panie, jakoście rzekli, na dwór mazowiecki do księcia Janusza. Spytajcie się tam, ile relikwiów ode mnie nabrali i sama księżna, i rycerze, i panny na weselach, na których byłem.

— Na jakich weselach? — zapytał Zbyszko.

— Jako zwyczajnie przed adwentem. Żenili się rycerze jeden przez drugiego, bo ludzie prawią, że będzie wojna między królem polskim a pruskimi pany o ziemię dobrzyńską... Mówi też sobie poniek który: „Bogu wiadomo, czy żyw będę”, i chce przedtem szczęśliwości z niewiastą zażyć.

Zbyszka zajęła mocno wieść o wojnie, ale jeszcze mocniej to, co Sanderus mówił o zamęściach, więc zapytał:

— Jakież tam dziewczki się wydały?

— A dwórki księżny. Nie wiem, czy jedna ostała, bom słyszał, jako księżna mówiła, że przyjdzie jej nowych służebnych niewiast szukać.

Usłyszawszy to, Zbyszko umilkł na chwilę, po czym spytał nieco zmienionym głosem:

— A panna Danuta Jurandówna, której imię na desce stoi, też się wydała?

Sanderus zawahał się z odpowiedzią, naprzód dlatego, że sam nic dobrze nie wiedział, a po wtóre, że pomyślał, iż utrzymując rycerza w niepewności, nabierze nad nim pewnej przewagi i potrafi go lepiej wyzyskać. Już on poprzednio rozważył to w duszy, iż należy mu się trzymać tego rycerza, którego poczet miał zacny i opatrzon był dostatnio. Sanderus znał się na ludziach i na rzeczach. Wielka młodość Zbyszka pozwalała mu przypuszczać, że będzie to pan hojny a nieopatrzny, i łatwo groszem rzucający. Zobaczył już był także ową kosztowną zbroję mediolańską i ogromne ogiery bojowe, których byle kto posiadać nie mógł — więc powiedział sobie, że przy takim paniątku będzie się miało i gościnność po dworach zapewnioną, i niejedną sposobność do zyskowej sprzedaży odpustów, i bezpieczeństwo w drodze — i wreszcie obfitość jadła i napoju, o którą mu przede wszystkim chodziło.

Zatem, usłyszawszy Zbyszkowe pytanie, namarszczył czoło, podniósł w górę oczy, jakby natężając pamięć, i odrzekł:

— Panna Danuta Jurandówna... A skąd ona jest?

— Jurandówna Danuta ze Spychowa.

— Widziałem ci ja je wszystkie, ale jak tam na którą wołali, nie bardzo pomnę.

— Młódka to jeszcze jest, na luteńce grywająca, która śpiewaniem księżnę rozwesela.

— Aha... młódka... na luteńce grywająca... Wychodziły i młódki... Nie czarnać ona jest jako agat?

Zbyszko odetchnął.

— To nie ta! Tamta biała jako śnieg, jeno na jagodach rumiana, i płowa.

A na to Sanderus:

— Bo jedna, czarna jak agat, przy księżnie ostała, a inne prawie wszystkie się wydały.

— Przecie mówisz, że „prawie wszystkie”, to się znaczy, że nie co do jednej. Na miły Bóg, chcesz-li ode mnie co mieć, to sobie przypomnij.

— Tak we trzy albo cztery dni to bym sobie przypomniał, a najmilszy byłby mi koń, który by moje święte towary nosił.

Małżeństwo

Młodość, Bogactwo,  
Bezpieczeństwo

— To go dostaniesz, byleś prawdę rzekł.  
Wtem Czech, który słuchał tej rozmowy od początku i uśmiechał się w garść, ozwał się:

Kłamstwo

— Prawda będzie wiadoma na mazowieckim dworze.

Sanderus popatrzył na niego przez chwilę, po czym rzekł:

— A to myślisz, że się dworu mazowieckiego boję?

— Ja nie mówię, że się dworu mazowieckiego boisz, jeno że zaraz ni też po trzech dniach z koniem nie odjedziesz, a pokaże się li, żeś zełgał, to i na własnych nogach nie odejdziesz, bo ci je Jego Miłość każe połamać.

— Jako żywo! — rzekł Zbyszko.

Sanderus pomyślał, że wobec takiej zapowiedzi lepiej być ostrożnym, i odrzekł:

— Gdybym chciał zełgać, to byłbym od razu powiedział, że się wydała albo że się nie wydała, a ja rzekłem: nie pomnę. Żebyś miał rozum, to byś zaraz cnotę moją z tej odpowiedzi wymiarkował.

— Nie brat mój rozum twojej cnotcie, bo ona może być psu siostra.

Kłótnia, Piekło, Pies

— Nie szczeka moja cnota jako twój rozum; a kto za życia szczeka, ten snadnie<sup>735</sup> może wyc po śmierci.

— I pewnie! Twoja cnota nie będzie po śmierci wyla, jeno zgrzytała, chyba że za życia na usługach diabłu zęby straci.

I poczęli się kłócić, gdyż Czech wartki miał język i na każde słowo Niemca dwa znajdował. Lecz tymczasem dał Zbyszko rozkaz odjazdu i niebawem ruszyli, wypytawszy wprzód dobrze ludzi bywałych o drogę do Łęczycy.

Wkrótce za Sieradzem wjechali w gluche bory, którymi większa część kraju była porośnięta. Lecz środkiem ich szedł gościniec, miejscami nawet okopany, miejscami na nizinach wymoszczony okrągłakami, zabytek króla Kazimierzowej gospodarki. Wprawdzie po jego śmierci wśród zawieruchy wojennej, jaką wzniesli Nałęczce i Grzymalicy, podpadły nieco drogi, lecz za Jadwigi po uspokojeniu Królestwa zawrzały znów w rękach zabiegłego<sup>736</sup> ludu łopaty po bagnach, siekiery po lasach i pod koniec jej życia wszędzie już kupiec mógł między znacniejszymi grodami prowadzić swoje ładowne wozy bez obawy, iż mu się połamią wśród wybojów lub pogrzęzną w młakach. Zwierz chyba dziki lub zbóje mogli wstręt czynić po drogach, lecz od zwierza były kaganki na noc, zaś kusze do obrony w dzień, a zbójów, zawalidrogów mniej było niż w krajach ościennych. Zresztą, kto jechał z pocztem i zbrojny, ten mógł się niczego nie obawiać.

Falsz

Zbyszko też nie obawiał się zbójów ni zbrojnych rycerzy, a nawet i nie myślał o nich, gdyż opadł go srogi niepokój — i duszą całą był na mazowieckim dworze. Zastanie-  
-li jeszcze swoją Danuskę dwórką księżny, czyli też żoną jakiego mazowieckiego rycerza — sam nie wiedział i od rana do nocy bił się z myślami nad tym pytaniem. Czasem wydawało mu się to niepodobieństwem, by ona miała o nim zapomnieć — lecz chwilami przychodziło mu do głowy, że może Jurand przybył na dwór ze Spychowa i wydał dziewczkę za mąż za jakiego sąsiada lub przyjaciela. Mówił on przecie jeszcze w Krakowie, że nie Zbyszkowi Danusia pisana i że mu jej oddać nie może — więc widocznie przyrzekł ją komuś innemu, widocznie był związany przysięgą, a teraz przysięgi dotrzymał. Zbyszkowi, gdy o tym myślał, zdało się rzeczą pewną, że już nie ujrzy Danuski dziewczyną<sup>737</sup>. Wołał wówczas Sanderusa i znów go badał, znów wypytywał, ale ów mącił coraz bardziej. Nieraz już, już przypominał sobie dwórkę Jurandównę i jej wesele — a potem nagle wsadzał palec w usta, zamyślał się i odpowiadał: „Chyba nie ta!”. W winie, które mu miało jasność w głowie czynić, nie odnajdował też Niemiec pamięci — i trzymał ciągle młodego rycerza między śmiertelną obawą a nadzieją.

Jechał więc Zbyszko w trosce, zmartwieniu i niepewności. Po drodze nie myślał już wcale ni o Bogdańcu, ni o Zgorzelicach, tylko o tym, co mu należy czynić. Przede wszystkim należało jechać dowiedzieć się prawdy na mazowieckim dworze, jechał więc spieszenie, zatrzymując się tylko na krótkie noclegi po dworach, gospodach i miastach, aby koni nie zniszczyć. W Łęczycy kazał wywiesić znów deskę z wyzwaniem przed bramą, rozumując

<sup>735</sup>snadnie (daw.) — łatwo. [przypis edytorski]

<sup>736</sup>zabiegły — od „zabiegać”, czynić starania. [przypis edytorski]

<sup>737</sup>dziewczyna — tu: panna, osoba niezamężna. [przypis edytorski]

sobie w duszy, że czy Danuśka jeszcze trwa w panińskim stanie, czy za mąż wyszła, zawsze jest panią jego serca i potykać się o nią powinien. Ale w Łęczycy nie bardzo kto umiał wyzwanie przeczytać, ci zaś z rycerzy, którym odczytali je biegli w piśmie klerycy, wzruszali ramionami, nie znając obcego obyczaju i mówiąc: „Głupi to jakiś jedzie, bo jakże mu kto ma przyświadczyć albo się sprzeciwić, skoro onej dziewczki na oczy nie widział”. A Zbyszko jechał dalej w coraz większym strapieniu i z coraz większym pośpiechem.

Nigdy on nie ustawał kochać swojej Danuśki, ale w Bogdańcu i w Zgorzelicach „uradzając” prawie co dzień z Jagienką i patrząc na jej urodę, nie tak często o tamtej myślał, a teraz dniem i nocą nie schodziła mu ni z oczu, ni z pamięci, ni z myśli. We śnie nawet widywał ją przed sobą, przetowłosa, z lutnią w ręku, w czerwonych trzewikach i z wianeczkiem na głowie. Wyciągała do niego ręce, a Jurand ją od niego odcigał. Rankiem, gdy sny pierzchały, przychodziła zaraz na ich miejsce tęsknota większa, niż była przedtem — i nigdy tak Zbyszko tej dziewczyny nie kochał w Bogdańcu, jak zaczął ją kochać właśnie teraz, gdy nie był pewien, czy mu jej nie zabrali. Przychodziło mu też do głowy, że pewnie ją po niewoli wydali, więc jej w duszy nie oskarżał, zwłaszcza że dzieckiem będąc, woli swej jeszcze mieć nie mogła. Burzył się natomiast w duszy przeciw Jurandowi i przeciw księżnie Januszowej, a gdy pomyślał o Danusynym mężu, zaraz serce podnosiło mu się aż po szyję w piersiach i groźnie się na pacholków wiozących pod oponami<sup>738</sup> zbroje oglądał. Układał też sobie, że służyć jej nie przestanie i że choćby ją cudzą żoną zastał, to pawie grzebienie złożyć jej u nóg musi. Ale było w tej myśli więcej żalu niż pociechy, bo całkiem nie wiedział, co pocznie potem.

Pocieszała go tylko myśl o wielkiej wojnie. Chociaż nie chciało mu się bez Danuśki żyć, nie obiecywał sobie, że koniecznie zginie, natomiast czuł, że tak mu się jakoś zapodzieje w czasie wojny dusza i pamięć, iż zbędzie wszelkich innych trosk i frasunków. A wielka wojna wisiała jakby w powietrzu. Nie wiadomo było, skąd się brały o niej wieści, gdyż między królem a Zakonem panował spokój — a jednakże wszędzie, gdzie Zbyszko zajechał, nie mówiono o niczym innym. Ludzie mieli jakby przeczucie, że to nastąpić musi, a niektórzy mówili otwarcie: „Po cóż nam się było z Litwą łączyć, jeśli nie przeciw onym wilkom krzyżackim? Raz więc trzeba z nimi skończyć, aby zaś dłużej nie szarpali nam wnętrzości”. Inni wszelako powiadali: „Szaleni mnichowie! Mało im było Płowców! Śmierć jest nad nimi, a oni jeszcze ziemię dobrzyńską porwali, którą wraz z krwią wyrzygać muszą”. I gotowano się po wszystkich ziemiach Królestwa poważnie, bez chępliwości, jako zwyczajnie do boju na śmierć i życie, ale z głuchą zawziętością potężnego ludu, który zbyt długo krzywdy znosił i wreszcie do wymierzenia straszliwej kary się gotował. Po wszystkich dworach spotykał Zbyszko ludzi przekonanych, że lada dzień trzeba będzie na koń siadać, i aż dziwił się temu, albowiem mniemając również jak i inni, że do wojny przyjść musi, nie słyszał jednak o tym, by miała nastąpić tak prędko. Nie przyszło mu wszelako do głowy, że ludzka chęć wyprzedza w tym razie wypadki. Wierzył innym, nie sobie, i radował się w sercu na widok owej przedwojennej krzątaniny, którą na każdym spotykał kroku. Wszędzie wszystkie inne troski ustępowały trosce o konie i zbroje, wszędzie oglądano w wielkim skupieniu kopie, miecze, topory, rohatyny, hełmy, pancerze, rzemienie przy napierstnikach<sup>739</sup> i kropierzach. Kowale dzień i noc bili młotami w żelazne blachy, kowając zbroje grube, ciężkie, które by ledwie dźwignąć mogli wytworni rycerze z Zachodu, ale które z łatwością nosili krzepcy „dziedzice” z Wielkopolski i Małopolski. Starcy wydobywali ze skrzyń w alkierzach spleśniałe worki z grzywnami na wojenną wyprawę dla dzieci. Raz nocował Zbyszko u możnego szlachcica Bartosza z Bielaw, który mając dwudziestu dwóch tęgich synów, zastawił liczne ziemie klasztorowi w Łowiczu, aby zakupić dwadzieścia dwa pancerze, tyleż hełmów i innych przyborów na wojnę.

Więc Zbyszko, choć o tym w Bogdańcu nie słyszał, myślał także, że zaraz przyjdzie do Prus pociągnąć, i dziękował Bogu, że tak przednio jest na wyprawę opatrzon. Jakoż zbroja jego budziła powszechny podziw. Brano go za wojewodzińskie dziecko, a gdy powiadał ludziom, że prostym jest tylko szlachcicem i że taką zbroję można u Niemców kupić, byle godnie toporem zapłacić, wzbierały serca ochotę wojenną. Lecz niejednen na

<sup>738</sup>opona (daw.) — zasłona, tu zapewne: oponcza. [przypis edytorski]

<sup>739</sup>napierstnik a. napierśnik — część zbroi osłaniająca pierś. [przypis edytorski]

widok tej zbroi nie mogąc poządlivosti potłumić, doganiał Zbyszka na gościńcu i mówił: „Nuż byś się o nią spotkał?”. Ale on, mając drogę pilną, nie chciał się potykać, a Czech kuszę naciągał. Przestał nawet Zbyszko wywieszać po gospodach deskę z wyzwaniem, albowiem pomiarkował, iż im głębiej od granic w kraj wjeżdżał, tym mniej się ludzie na tym rozumieli i tym bardziej poczytywali go za głupiego.

Na Mazowszu mniej ludzie mówili o wojnie. Wierzyli i tu, że będzie, ale nie wiedzieli kiedy. W Warszawie spokój był, tym bardziej że dwór bawił w Ciechanowie, który książę Janusz po dawnym napadzie litewskim przebudowywał, a raczej całkiem na nowo wznosił, gdyż z dawnego został tylko zamek. W grodzie warszawskim przyjął Zbyszka Jaśko Socha, starosta zamkowy, syn wojewody Abrahama, który pod Worską poległ. Jaśko znał Zbyszka, gdyż był z księżną w Krakowie, więc też i ugościł go z radością — on zaś, nim do jadła i napoju zasiadł, zaraz począł go wypytywać o Danusię i o to, czy się wraz z innymi dwórkami księżny nie wydała.

Lecz Socha nie umiał mu na to odpowiedzieć. Księstwo bawili na zamku ciechanowskim od wczesnej jesieni. W Warszawie została tylko garść łuczników i on dla straży. Słyszał, że były w Ciechanowie różne uciechy i wesela, jak bywa zwyczajnie przed adwentem, ale która by z dwórek za męża poszła, a która się ostała, o to, jako człek żonaty, nie wypytywał.

— Myślę wszelako — mówił — że Jurandówna się nie wydała, gdyżby się to bez Juranda obyć nie mogło, a nie słyszałem, aby przyjeżdżał. Bawią też u księstwa w gościnie dwaj bracia zakonnicy, komturowie, jeden z Jansborku, a drugi ze Szczytnej, a z nimi podobno jacyś goście zagraniczni, a wtedy Jurand nigdy nie przyjeżdża, gdyż jego widok białego płaszcza do szaleństwa zaraz przywodzi. Nie było zaś Juranda, nie było i wesela! A chcesz, to posłę ci gończego zapytać, któremu pilno wracać każe, choć jako żywo tak myślę, że Jurandównę w panińskim jeszcze stanie napotkasz.

— Sam zaraz jutro pojedę, ale za pociechę Bóg ci zapłać. Niech jeno konie odpoczną, to pojedę, gdyż nie będę miał spokoju, póki się prawdy nie dowiem, Bóg ci wszelako zapłać, bo zaraz mi ulżyło.

Socha nie poprzestał jednak na tym i począł się przepytować między szlachtą bawiącą przygodnie w zamku i między żołnierzami, czy kto czego o weselu Jurandówny nie słyszał. Nie słyszał jednak nikt — choć znaleźli się tacy, którzy byli w Ciechanowie, a nawet i na niektórych weselach: „Chybaby kto ją wziął w ostatnich tygodniach albo w ostatnich dniach”. Jakoż mogło się i tak zdarzyć, gdyż w owych czasach nie tracili ludzie czasu na namysł. Ale tymczasem Zbyszko poszedł spać wielce pokrzepiony. Już w łóżu będąc, namyślał się, czy nie odpędzić nazajutrz Sanderusa, pomyślał jednak, że hultaj może mu się dla swej znajomości niemieckiej mowy przydać wówczas, gdy się przeciw Lichtensteinowi wybierze. Pomyślał także, że Sanderus nie okłamał go, a chociaż był nabytkiem kosztownym, gdyż jadł i pił po gospodach za czterech, był jednak usłużny i okazywał nowemu panu pewne przywiązanie. Nadto posiadał także sztukę pisania, czym górował nad giermkim Czechem i nad samym Zbyszkiem.

To wszystko sprawiło, iż młody rycerz pozwolił mu jechać ze sobą do Ciechanowa, z czego Sanderus był rad nie tylko dla wiktów, ale i dlatego, iż zauważył, że w zacnym towarzystwie więcej wzbudza ufności i łatwiej znajduje kupców na swój towar. Po jeszcze jednym noclegu w Nasielsku, jadąc ni zbyt wartko, ni zbyt wolno, ujrzeni następnego dnia pod wieczór mury ciechanowskiego zamku. Zbyszko zatrzymał się w gospodzie, aby wdziać na się zbroję i wjechać obyczajem rycerskim do zamku, w hełmie i z kopią w ręku — za czym siadł na olbrzymiego zdobycznego ogiera i uczyniwszy w powietrzu znak krzyża — ruszył przed siebie.

Lecz nie ujechał i dziesięciu kroków, gdy jadący z tyłu Czech porównał się z nim i rzekł:

— Wasza miłość, rycerze jacyś za nami walą, Krzyżacy chyba czy co?

Zbyszko zawrócił konia i nie dalej jak na pół stajania za sobą ujrzał okazały poczet, na którego czele jechało dwóch rycerzy na tęgich pomorskich koniach, obaj w pełnych zbrojach, każdy w białym płaszczu z czarnym krzyżem i w hełmie z wysokim pawim pióropuszem.

— Krzyżacy, na miły Bóg! — rzekł Zbyszko.

I mimo woli pochylił się w siodle i złożył kopię w pół ucha końskiego, co widząc, Czech splunął w garście, aby mu się nie ślizgało w nich toporzysko.

Czeladnicy Zbyszkwowi, ludzie bywali i znający obyczaj wojenny, stanęli także w gotowości — nie do walki wprawdzie, albowiem w spotkaniach rycerskich służba nie brała udziału, ale do odmierzenia miejsca pod bitwę konną lub do udeptania zaśnieżonej ziemi pod pieszą. Jeden Czech tylko szlachcicem będąc, miał się ku robocie, lecz i on spodziewał się, że Zbyszko przemówi, zanim uderzy, i w duszy mocno się nawet dziwił, iż młody pan pochylił kopię przed wyzwaniem.

Lecz i Zbyszko opamiętał się w porę. Przypomnił sobie swój szalony uczynek pod Krakowem, gdy nieopatrznie chciał bić w Lichtensteina — i wszystkie nieszczęścia, jakie z tego wynikły, więc podniósł kopię, oddał ją Czechowi i nie dobywając miecza, ruszył koniem ku rycerzom zakonnym.

Zbliżywszy się, zauważył, że prócz nich był jeszcze trzeci rycerz, również z piórami na głowie, i czwarty, niezbrojny, długowłosy, który wydawał mu się Mazurem.

Widząc zaś ich, rzekł sobie w duszy: „Ślubowałem mojej panience w więzieniu nie trzy czuby, jeno tyle, ile palców w rąk, ale trzy, byle to nie byli posłowie — mogłoby być zaraz”. Jednakże pomyślał, że to właśnie muszą być jacyś posłowie do księcia mazowieckiego, więc westchnąwszy, ozwał się głośno:

- Pochwalony Jezus Chrystus!
- Na wieki wieków — odpowiedział długowłosy, niezbrojny jeździec.
- Szczęść wam Boże.
- I wam, panie.
- Chwała świętemu Jerzemu!
- Nasz ci to patron. Witajcie, panie, w podróży.

Tu poczęli się sobie kłaniać, a następnie Zbyszko wymienił, kto jest, jakiego herbu, zawołania i skąd na dwór mazowiecki podąży, długowłosy zaś rycerz oznajmił, iż zowie się Jędrzek z Kropiwnicy i gości księciu wiedzie: brata Gotfryda, brata Rotgiera oraz pana Fulka de Lorche z Lotaryngii<sup>740</sup>, który u Krzyżaków bawiąc, chce księcia mazowieckiego, a zwłaszcza księżnę, córkę sławnego „Kynstuta”, na własne oczy obaczyć. Przez ten czas, gdy wymieniano ich nazwiska, rycerze zagraniczni, siedząc prosto na koniach, pochylali raz po raz przybrane w żelazne helmy głowy, sądząc bowiem ze świetnej zbroi Zbyszkowej, mniemali, że księżę kogoś znacznego, może krewnego lub syna, na spotkanie ich wysłał.

Jędrzek zaś z Kropiwnicy mówił dalej:

— Komtur, jakobyście po naszymu rzekli: starosta z Jansborku, bawi w gościnie u księcia, któremu rozpowiadał o tych trzech rycerzach, jako mają żywną ochotę przybyć, ale nie śmia, a zwłaszcza ów rycerz z Lotaryngii, on bowiem z daleka będąc, mniemał, że za krzyżacką granicą zaraz mieszkają Saraceny, z którymi wojna nie ustaje. Księżę, jako ludzki pan, wnet mnie na granicę posłał, abym ich bezpiecznie wśród zamków przeprowadził.

— To bez waszej pomocy nie mogliby przejechać?

— Jest nasz naród okrutnie na Krzyżaków zawzięty, a to z przyczyny nie tyle ich napaści, bo i my do nich zaglądamy, ile z przyczyny wielkiej ich zdradliwości, że to, jeśli cię Krzyżak obłąpi, a z przodu w gębę cię całuje, to z tyłu gotów cię w tym samym czasie nożem żgnąć<sup>741</sup>, którego obyczaj zgoła jest świński i nam Mazurom przeciwny... Ba! Jużci!... Pod dach i Niemca każdy przyjmie, i goście krzywdy nie uczyni, ale na drodze rad mu zastąpi. A są i tacy, którzy nic innego nie czynią, przez pomstę alibo dla chwały, którą daj Bóg każdemu.

— Któż jest między wami najślawniejszy?

— Jest jeden taki, że lepiej by Niemcu śmierć obaczyć niż jego; zowie się Jurand ze Spsychowa.

Zadręgało w młodym rycerzu serce, gdy usłyszał to nazwisko — i wraz postanowił pociągnąć Jędrka z Kropiwnicy za język.

— Wiem! — rzekł. — Słyszałem: to ów, którego córka Danuta dwórką księżny była, póki się nie wydała.

<sup>740</sup>Lotaryngia — kraina historyczna, obecnie region administracyjny w pn.-wsch. Francji. [przypis edytorski]

<sup>741</sup>żgnąć (daw.) — dźgnąć, ukłuć. [przypis edytorski]

I to rzekłszy, począł pilnie patrzeć w oczy mazowieckiego rycerza, tamując prawie dech w piersiach, ów zaś odrzekł z wielkim zdziwieniem:

— A wam to kto powiadał? Dyc to młódka. Bywa po prawdzie, że i takie wychodzą za mąż, ale Jurandówna nie wyszła. Szczęść dni temu jak wyjechałem z Ciechanowa i widziałem ją przy księżnie. Jakoże jej w adwencie wychodzić?

Zbyszko, słysząc to, wyteżył całą siłę woli, by nie pochwycić Mazura za szyję i nie zakrzyknąć mu: „Bóg ci zapłać za nowinę!” — pohamował się jednak i rzekł:

— Bo słyszałem, że ją Jurand komuś oddał.

— Księżna chciała ją oddać, nie Jurand, jeno przeciw woli Jurandowej nie mogła. Chciała ją oddać jednemu rycerzowi w Krakowie, który dziewczce ślubował i którego ona miłuje.

— Miłuje ci go? — zakrzyknął Zbyszko.

Na to Jędrzek spojrział na niego bystro, uśmiechnął się i rzekł:

— Wiecie, jakoś strasznie się o tę dziewczuchę przepytujecie.

— Przepytuję o znajomych, ku którym jadę.

Mało Zbyszkowi widać było twarzy spod hełmu, ledwie oczy, nos i trochę policzków, ale za to nos i policzki tak były czerwone, że skory do drwin a przechera<sup>742</sup> Mazur rzekł:

— Pewnikiem od mrozu tak wam gęba pokraśniała jako wielkanocne jaje!

A młodzian zmieszał się jeszcze bardziej i odpowiedział:

— Pewnikiem...

Ruszyli i jechali czas jakiś w milczeniu, tylko konie parskały, wyrzucając z nozdrzy słupy pary — i obcy rycerze poczęli między sobą szwargotać.

Lecz po chwili Jędrzek z Kropiwnicy zapytał:

— Jakoże was zowią, bom niedobrze dosłyszał?

— Zbyszko z Bogdańca.

— Moście wy! A toć tamtemu, co to Jurandównie ślubował, podobnie było.

— Zali myślicie, że się zaprę? — odpowiedział prędko i z dumą Zbyszko.

— Bo i nie ma czego. Miły Boże, to wyście ów Zbyszko, któremu dziewczucha nałęczką głowę nakryła! Po powrocie z Krakowa wszystkie dwórki o niczym innym nie gadały, jeno o was, a niejednemu to aż śluzę<sup>743</sup>, słuchający<sup>744</sup>, po jagodach ciekły. Toście wy! Hej! Radość też będzie na dworze... że to i księżna was nawidzi.

— Bóg jej błogosław i wam także za dobrą nowinę... Bo jak mi powiedzieli, że się wydała, to ażem ścierpl.

— Co się miała wydać!... Łakoma to jest rzecz taka dziewczka, bo za nią cały Spychów stoi, ale choć siła jest gładkich chłopów na dworze, żaden ci jej w ślepią nie zaglądał, bo kaźden i jej uczynek, i wasze ślubowanie szanował. Nie byłaby też dopuściła do tego i księżna. Hej! Będzie radość. Po prawdzie przekomarzali się czasem dziewczusze! Powie jej kto: „Nie wróci twój rycerz”, to ona jeno piętami przytupuje: „Wróci! Wróci!”; chociaź nieraz, gdy kto jej rzekł, żeście inną wzięli, to i do płakania przychodziło.

Rozczuliły te słowa Zbyszka, ale zarazem chwycił go gniew na ludzkie gadanie, więc rzekł:

— Kto o mnie takie rzeczy szczekał, to go pozwę!

A Jędrzek z Kropiwnicy począł się śmiać:

— Baby na przekór gadały! Będziecie pozywać baby? Mieczem przeciw kądzieli<sup>745</sup> nie poradzisz!

Zbyszko rad, że mu Bóg zesłał tak wesołego i życzliwego towarzysza, począł go wypytywać o Danusię, potem o obyczaje mazowieckiego dworu i znów o Danusię, potem o księcia Janusza, o księżnę, i znów o Danusię — na koniec jednak, wspomniawszy o swych ślubach, rozpowiedział Jędrkowi, co słyszał po drodze o wojnie — jako się ludzie do niej gotują, jako jej z dnia na dzień czekają — a wreszcie zapytał, czyli i w księstwach mazowieckich tak samo myśla.

Lecz dziedzic Kropiwnicy nie myślał, aby wojna była tak bliska. Gadają ludzie, że nie może inaczej być, ale on słyszał oto, jak raz sam książę mówił do Mikołaja z Długolasu, że

<sup>742</sup>przechera — osoba przebiegła, klótniwa. [przypis edytorski]

<sup>743</sup>śluzy — lzy. [przypis edytorski]

<sup>744</sup>słuchający (daw.) — kiedy słuchał. [przypis edytorski]

<sup>745</sup>kądziel — pęk włókien przygotowanych do przedzenia, daw. symbol płci żeńskiej. [przypis edytorski]



pochowali rogi Krzyżacy i że byle król nastawał, to i z ziemi dobrzyńskiej, którą porwali, odstąpią, bo się potęgi jego boją — albo przynajmniej będą sprawę przewłóczyć, póki się dobrze nie przygotują.

— Zresztą — rzekł — książe niedawno do Malborge jeździł, gdzie pod niebytność mistrza wielki marszałek go podejmował i gonitwy dla niego wyprawił, a teraz u księcia komtury bawią; i ot, nowi goście jeszcze jadą...

Tu jednak zastanowił się przez chwilę i dodał:

— Powiadają ludzie, że te Krzyżaki nie bez przyczyny u nas i u księcia Ziemowita w Płocku siedzą. Chcieliby oni pono, żeby w razie wojny nasi książęta nie wspomagali króla polskiego, jeno ich, a jeśli się nie dadzą do tego pociągnąć, to żeby choć na boku spokojnie ostali, ale tego nie będzie...

— Bóg da, że nie będzie. Jakżebyście to w domu usiedzieli? Wasi książęta przeciw Królestwu Polskiemu powinni. Nie usiedzicie, myślę.

— Nie usiedzimy — odrzekł Jędrzek z Kropiwnicy.

Zbyszko spojrział znów na obcych rycerzy i na ich pawie pióra:

— To i ci po to jadą?

— Bracia zakonni, może i po to. Kto ich wie?

— A ów trzeci?

— Trzeci jedzie, bo ciekawy.

— Znaczny jakiś musi być.

— Ba! Wozów idzie za nim okutych trzy z godnym sprzętem, a ludzi pocztowych jest dziewięciu. Bogdajby się z takim zewrzeć! Aże ślina do gęby idzie.

— Ale nie możecie?

— Jakże! Toć mi książe kazał ich strzec. Włos im z głowy nie spadnie do Ciechanowa.

— A nużbym ich pozwał? Nużby się chcieli ze mną potykać?

— Tedy musielibyście się wpierw ze mną potykać, bo pókim żyw, nie będzie z tego nic.

Zbyszko, usłyszawszy to, spojrział przyjaźnie na młodego szlachcica i rzekł:

— Rozumiecie, co rycerska cześć. Z wami nie będę się potykał, bom wam przyjacielem, ale w Ciechanowie, da Bóg, przyczynę przeciw Niemcom znajdę.

— W Ciechanowie róbcie sobie, co wam się podoba. Nie obejdzie się też tam bez jakowychś gonitw, to może pójsć i na ostre, byle książe i komturowie dali pozwolenstwo.

— Mam ci ja taką deskę, na której stoi pozwanie dla każdego, kto by nie przyznał, że panna Danuta Jurandówna najcnotliwsza i najładniejsza dziewczka na świecie. Ale wiecie... wszędy ludzie jeno ramionami ruszali i śmiali się.

— Bo też to jest obcy obyczaj, a prawdę rzekłszy, głupi, którego u nas ludzie nie znają, chyba gdzieś na pograniczach. To i ten tu Lotaryńczyk zaczepiał po drodze szlachtę, każąc jakąś swoją panią nad inne wysławiać. Ale go nikt nie rozumiał, a jam do bitki nie dopuszczał.

— Jak to? Kazał swoją panią wysławiać? Bójcie się Boga! Chyba że wstydu w oczach nie ma.

Tu spojrział na zagranicznego rycerza, jakby się chcąc przekonać, jak też wygląda człowiek, który wstydu w oczach nie ma, ale w duszy musiał jednak przyznać, iż Fulko de Lorche nie wyglądał wcale na zwykłego zawalidrogę. Owszem, spod uchylonej przyłbicy patrzyły oczy łagodne i wychylała się twarz młoda, a pełna jakiegoś smutku.

— Sanderus! — zawołał nagle Zbyszko.

— Do usług — odpowiedział, zbliżając się, Niemiec.

— Zapytaj się tego rycerza, jaka jest najcnotliwsza i najładniejsza dziewczka na świecie.

— Jaka jest najładniejsza i najcnotliwsza dziewczka na świecie? — zapytał Sanderus.

— Ulryka de Elner! — odpowiedział Fulko de Lorche.

I podniósłszy oczy w górę, począł raz po razu wdychać, Zbyszkowi zaś, gdy usłyszał takie bluźnierstwo, oburzenie zaparło dech w piersi, a gniew chwycił go tak wielki, że zdarł na miejscu ogiera; zanim jednak zdołał przemówić, Jędrzek z Kropiwnicy przedzielił go koniem od cudzoziemca i rzekł:

— Nie będziecie się tu wadzić.

Lecz Zbyszko zwrócił się znów do przekupnia relikwii.

— Powiedz mu ode mnie, że sowę miłuje.

— Pan mój mówi, szlachetny rycerzu, że miłujecie sowę! — powtórzył jak echo Sanderus.

Na to pan de Lorche puścił cugle i prawą ręką począł odpinać, a następnie ściągać żelazną rękawicę, po czym rzucił ją w śnieg przed Zbyszkiem, ów zaś skinął na swego Czecha, aby ją podjął ostrzem kopii.

Wtem Jędrak z Kropiwnicy zwrócił się do Zbyszka z twarzą już groźną i rzekł:

— Nie spotkacie się, powiadam, póki się moje stróżowanie nie skończy. Nie pozwolę ni jemu, ni wam.

— Przecie ja go nie pozwalałem, jeno on mnie.

— Ale za sowę. Dość mi tego, a który by się przeciwiał... Ejże!... Wiem i ja, jako pas okręcić.

— Nie chcę się z wami bić.

— A musielibyście ze mną, bo ja tamtego poprzysiągł bronić.

— To jakże będzie? — spytał uparty Zbyszko.

— Ciechanów niedaleko.

— Ale co Niemiec pomyśli?

— Niech mu wasz człowiek powie, że tu spotkania być nie może i że pierwaj musi być książęce pozwolenstwo dla was, a komturowe dla niego.

— Ba! A jeżeli pozwolenstwa nie dadzą?

— To się przecie znajdziecie. Dość gadania.

Zbyszko widząc, że nie ma rady, i rozumiejąc, że Jędrak z Kropiwnicy nie może istotnie na bitkę pozwolić, zawołał znów Sanderusa, aby wytłumaczył lotaryńskiemu rycerzowi, że bić się będą dopiero, jak staną na miejscu. De Lorche, wysłuchawszy słów Niemca, skinął głową na znak, że rozumie, a następnie wyciągnawszy ku Zbyszskowi rękę, potrzymał przez chwilę jego dłoń i ścisnął ją mocno po trzykroć, co wedle zwyczajów rycerskich oznaczało, że bić się ze sobą gdziekolwiek i kiedykolwiek muszą.

Po czym w pozornej zgodzie ruszyli ku ciechanowskiemu zamkowi, którego tępe wieże widać już było na tle zarumienionego nieba.

Wjechali jeszcze za widna, lecz nim opowiedzieli się przy bramach zamkowych i nim spuszczone most, nastąpiła głęboka noc. Przyjął ich i ugościł znajomy Zbyszkowy, Mikołaj z Długolasu, którego przywodził załodze złożonej z garści rycerstwa i trzystu niechybnych łuczników puszczańskich.

Zaraz na wstępie dowiedział się ku wielkiemu swemu strapieniu Zbyszko, że dworu nie było. Książę, chcąc uczcić komturów ze Szczytna i z Jansborka, wyprawił wielkie łowy w puszczy, na które udała się dla przydania okazałości widowisku i księżna wraz z dworskimi pannami. Ze znajomych niewiast znalazł Zbyszko tylko Ofkę, wdowę po Krzysku z Jarząbkowa, która była klucznicą w zamku. Ta rada mu była bardzo, albowiem od czasu powrotu z Krakowa opowiadała każdemu, kto chciał i nie chciał, o jego miłości do Danusi i przygodzie z Lichtensteinem. Jedną jej te opowiadania wielki mir<sup>746</sup> wśród młodszych dworzan i panien — była więc wdzięczna Zbyszskowi — i teraz starała się pocieszyć młodzianka w smutku, jakim przejęła go nieobecność Danusi.

— Nie poznasz jej — mówiła. — Dziewczynie roki idą i w szatkach już jej szwy poczynają pod szyją trzaskać, bo wszystko w niej pęcznieje. Nie skrzat to już taki, jaki był, i inaczej cię miłuje niż dawniej. Teraz niech jej kto jeno krzyknie do ucha: „Zbyszko”, to jakby ją kto szydłem żgnął. Taka już nas wszystkich niewiast dola, przeciw czemu nie ma rady, gdyż to z rozkazania boskiego... A stryjko twój, powiadasz, zdrowi? Czemu zaś nie przyjechali?... Juźci, że taka dola... Cni się, cni samej niewieście na świecie... Łaska boska, że dziewczyna nóg nie połamała, bo co dzień na wieżę wylazi, a na drogę spogląda... Każda z nas potrzebuje przyjaciółstwa...

— Popasę jeno konie i pojedę ku niej, choćby i nocą pojedę — odpowiedział Zbyszko.

— Uczyni to, jeno przewodnika z zamku weź, bo w puszczy zabłądzisz.

Jakoż na wieczery, którą Mikołaj z Długolasu dla gości wyprawił, oświadczył Zbyszko, że zaraz za księciem pojedzie i o przewodnika prosi.

Zdrożeni bracia zakonnicy poprzysuwali się po uczcie do olbrzymich kominów, na których płonęły całe pnie sosnowe, i postanowili jechać dopiero nazajutrz, po wypoczynku.

<sup>746</sup>mir (daw.) — cześć, szacunek. [przypis edytorski]

Lecz de Lorche wypytawszy się, o co chodzi, oznajmił chęć jechania razem ze Zbyskiem, mówiąc, że inaczej mogliby się spóźnić na łowy, które chciał widzieć koniecznie.

Po czym zbliżył się do Zbyszka i wyciągnawszy doń rękę, znów trzykrotnie ścisnął jego palce.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Lecz nie miało i tym razem przyjść między nimi do bitki, gdyż Mikołaj z Długolasu dowiedziawszy się od Jędrka z Kropiwnicy, o co im chodzi, wziął od obojgu słowo, że się bez wiedzy księcia i komturów potykać nie będą, w razie zaś oporu groził zamknięciem bram. Zbyszkowi chciało się jak najprędzej zobaczyć Danusie, więc nie śmiał się sprzeciwiać, de Lorche zaś, który bił się chętnie, gdy było trzeba, ale nie był człowiekiem krwiożerczym, poprzysiął bez trudności na swą rycerską cześć, iż będzie czekał na pozwolenie księcia, tym bardziej że postępując przeciwnie, obawiałby się mu ubliżyć. Chodziło też Lotaryńczykowi, który nasłuchawszy się pieśni o turniejach, lubił świetne zgromadzenia i okazałe uroczystości, aby potykać się właśnie wobec dworu, dostojników i dam — gdyż sądził, że w ten sposób zwycięstwo jego nabierze większego rozgłosu i tym łatwiej złote ostrogi mu wyjedna. Przy tym zaciekał go kraj i ludzie, więc po myśli była mu zwłoka — zwłaszcza że Mikołaj z Długolasu, którego lata całe u Niemców w niewoli przesiedział i z cudzoziemcami mógł łatwo się rozmówić, dziwy opowiadał o łowach książęcych na różne bestie nieznane już w krajach zachodnich. O północy więc ruszyli razem ze Zbyskiem ku Przasnyszowi, mając ze sobą swe zbrojne poczty i ludzi z kaganiami dla ochrony od wilków, które zbierając się zimą w nieprzeliczone gromady, mogły okazać się groźne nawet dla kilkunastu jeźdźców, choćby najlepiej uzbrojonych. Z tej strony Ciechanowa nie brakło już także lasów, które niedaleko za Przasnyszem przechodziły w olbrzymią puszcę kurpieską<sup>747</sup>, łączącą się na wschód z nieprzebytymi borami Podlasia i dalszej Litwy.

Przed niedawnymi czasy tymi to borami spływała zwykle na Mazowsze, omijając jednak groźnych miejscowych osadników, dzicz litewska, która w roku 1337 doszła aż pod Ciechanów i zburzyła miasto. De Lorche z największą ciekawością słuchał opowiadań o tym starego przewodnika, Maćka z Turobojów, albowiem pałał w duszy chęcią zmierzenia się z Litwinami, których — jak i inni rycerze zachodni — za Saracenów uważał. Przybył on przecie w te strony na wyprawę krzyżową, pragnąc uzyskać sławę i zbawienie duszy, a jadąc, mniemał, że wojna nawet i z Mazurami, jako z pogańskim przez pół narodem, także zupełny odpust zapewnia. Oczom też prawie nie wierzył, gdy wjechawszy w Mazowsze, ujrzał kościoły po miastach, krzyże na wieżach, duchownych, rycerzy ze świętymi znamionami na zbrojach i naród bujny wprawdzie, zapalczywy, do zwady i bitki pochopny, ale chrześcijański i wcale od Niemców, wśród których młody rycerz przejeżdżał, nie drapieźniejszy. Więc gdy mu prawiono, że od wieków ten naród Chrystusa wyznaje, sam nie wiedział, co o Krzyżakach myśleć, a gdy się dowiedział, że i Litwę już nieboszczka królowa krakowska ochrzciła, zdumienie jego, a zarazem i troska nie miały granic.

Więc począł rozpytywać Maćka z Turobojów, czy w owych lasach, ku którym jadą, nie ma przynajmniej smoków, którym ludzie muszą ofiarowywać dziewice i z którymi można by walczyć. Lecz odpowiedź Maćka i pod tym względem sprawiła mu zawód zupełny.

— W borach jest rozmaity godny zwierz, jako wilcy, tury, żubry i niedźwiedzie, z którymi dość jest roboty — odrzekł Mazur. — Może też po bagnach są i duchy nieczyste, ale o smokach nie słyszałem, a choćby i były, pewnie byśmy im dziewczek nie dawali, ale kupą byśmy na nie poszli. Ba, gdyby były, już by dawno osadnicy puszczańscy pasy z ich skóry nosili!

— Co to za naród i czyby nie można z nim walczyć? — spytał de Lorche.

— Walczyć z nim można, ale niezdrowo — odrzekł Maćko — a wreszcie rycerzowi nie przystoi, gdyż to jest naród chłopski.

— Szwajcarowie także są chłopami. Zali ci Chrystusa wyznają?

— Nie masz innych na Mazowszu, a ci są ludzie nasi i książęcy. Widzieliście przecie łuczników na zamku. Sami to Kurpie, albowiem nie masz nad nich łuczników w świecie.

<sup>747</sup>kurpiwski — dziś popr.: kurpiowski. [przypis edytorski]

— Anglicy i Szkoci, których na dworze burgundzkim widziałem...

— Widziałem ich i w Malborgu — przerwał Mazur. — Tęgie pacholki, ale nie daj im Bóg kiedy przeciw tym stawać! U nich dzieciak w siedmiu leciech póty jeść nie dostanie, póki jadła strzałą z wierzchołka sosny nie zrzuci.

— O czym gadacie? — zapytał nagle Zbyszko, o którego uszy odbił się kilkakrotnie wyraz: Kurpie.

— O łucznicach kurpieskich i angielskich. Prawi ten rycerz, iż angielscy, a zasię szkoccy nad wszystkimi celują.

— Widziałem ich i ja pod Wilnem. O wa! Słyszałem ich grotę koło uszu. Byli też tam i rycerze ze wszystkich krajów, którzy zapowiadali, że nas bez soli zjedzą, ale popróbawszy raz i drugi, stracili do jadła ochotę.

Maćko rozśmiał się i powtórzył słowa Zbyszkowe panu de Lorche.

— Mówili o tym na różnych dworach — odrzekł Lotaryńczyk — chwalono tam zawziętość waszych rycerzy, ale przyganiano im, iż pogan przeciw Krzyżowi bronią.

— Broniliśmy naród, który chciał się ochrzcić, przeciw napaściom i niesprawiedliwości. Niemcy to chcą ich w pogaństwie utrzymać, aby powód do wojny mieli.

— Bóg to osądzi — rzekł de Lorche.

— Może i niezadługo już — odpowiedział Maćko z Turobojów.

Lecz Lotaryńczyk zasłyszawszy, iż Zbyszko był pod Wilnem, począł się go o nie pytywać, albowiem wieść o walkach i pojedynkach rycerskich tam stoczonych rozeszła się już szeroko po świecie. Szczególniej ów pojedynek, na który wyzwało się czterech rycerzy polskich i czterech francuskich, podniecił wyobraźnię wojowników zachodnich. Więc de Lorche począł spoglądać z większym szacunkiem na Zbyszka, jako na człowieka, który w tak sławnych bojach brał udział — i radował się w sercu, iż nie z byle kim przyjdzie mu się potykać.

Rycerz, Walka

Jechali więc dalej w pozornej zgodzie, świadcząc sobie grzeczności na postojach i częstując się wzajem winem, którego de Lorche miał znaczne zapasy w wozach. Lecz gdy z rozmowy między nim a Maćkiem z Turobojów okazało się, że Ulryka de Elner naprawdę nie jest panną, ale czterdziestoletnią zamężną niewiastą, mającą sześcioro dzieci, wzburzyła się tym bardziej dusza w Zbyszku, że ów dziwny cudzoziemiec śmie „babę” nie tylko z Danuszką porównywać, ale i pierwszeństwa dla niej wymagać.

Pomyślał jednakowoż, że może to być człowiek niespełna zmysłów, któremu ciemna izba i batogi więcej by się przydały od podróży po świecie — i myśl ta powstrzymała w nim wybuch natychmiastowego gniewu.

— Czy nie myślicie — rzekł do Maćka — że zły duch rozum mu pomieszał? Może też siedzi mu diabeł w głowie jako czerw w orzechu i gotów po nocy na którego z nas przeskoczyć. Trzeba się nam mieć na baczności...

Diabeł

Usłyszawszy to, Maćko z Turobojów zaprzeczył wprawdzie, ale począł jednak spoglądać z pewnym niepokojem na Lotaryńczyka i w końcu rzekł:

— Czasem bywa, że ich w opętanym siedzi sto i więcej, a ciasno-li im, to radzi pomieszkania w innych ludziach szukają. Najgorszy też taki diabeł, którego baba naśle.

Po czym zwrócił się nagle do rycerza:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— I ja go chwale — odpowiedział z pewnym zdziwieniem de Lorche.

Maćko z Turobojów uspokoił się zupełnie.

— No, widzicie — rzekł — żeby w nim złe siedziało, zaraz by się zapienił albo by go o ziem rzuciło, bom go nagle zagabnął<sup>748</sup>. Możem jechać.

Jakoż ruszyli dalej spokojnie. Z Ciechanowa do Przasnysza nie było zbyt daleko i łatwym goniec na dobrym koniu mógł w dwie godziny przebiec drogę dzielącą dwa miasta. Ale oni jechali daleko<sup>749</sup> wolniej z powodu nocy, postojów i zasp śnieżnych leżących w lasach, a ponieważ wyjechali znacznie po północy, więc do myśliwskiego dworu księżęcego, który leżał za Przasnyszem, na brzegu borów, przybyli dopiero o brzasku. Dwór stał prawie oparty o puszcę, duży, niski, drewniany, mający jednakże szyby w oknach ze szklanych gomólek. Przed dworem widać było żurawie studienne i dwie szopy dla

<sup>748</sup>zagabnąć (daw.) — zagadnąć. [przypis edytorski]

<sup>749</sup>daleko — tu: znacznie. [przypis edytorski]

koni, naokół zaś dworu roiło się od szalasów, skleconych naprędce z sosnowych gałęzi, i od namiotów ze skór. Przy szarzącym dopiero dniu błyszcząły jasno przed namiotami ogniska, a wokół nich stali osacznicy w kozuchach wełną do góry, w tołubach lisich, wilczych i niedźwiedzych.

Panu de Lorche wydało się, że widzi dzikie bestie na dwóch łapach przed ogniem, albowiem większość tych ludzi przybrana była w czapki uczynione ze łbów zwierzęcych. Niektórzy stali wsparci na oszczepach, inni na kuszach, niektórzy zajęci byli zwijaniem ogromnych sieci i powrozów — inni obracali nad węglami potężne ćwierci żubrze i łosie, przeznaczone widocznie na ranny posiłek. Blask płomienia padał na śnieg, oświecając zarazem te dzikie postacie poprzესłaniane nieco dymem ognisk, mgłą oddechów i parą podnoszącą się z pieczonych mięsów. Za nimi widać było zaróżowione pnie olbrzymich sosen i nowe gromady ludzi, których mnogość dziwiła nieprzywykłego do widoku takich łowieckich zebrań Lotaryńczyka.

— Wasi książęta — rzekł — na łowy jakoby na wojenne wyprawy chodzą.

— Jakbyście wiedzieli — odrzekł Maćko z Turobojów — że nie brak im ni myśliwskiego sprzętu, ni też ludzi. To są osacznicy książęcy, ale są też i inni, którzy dla targu z puszczańskich komyszy<sup>750</sup> tu przychodzą.

— Co będziemy czynili? — przerwał Zbyszko. — We dworze śpią jeszcze.

— Ano, zaczekamy, aż się pobudzą — odparł Maćko. — Przecie nie będziemy do drzwi kołatać i księcia, pana naszego, budzić.

To rzekłszy, zaprowadził ich do ogniska, przy którym osacznicy ponarzucali im skór żubrzych i niedźwiedzych, a następnie poczęli ich skwapliwie częstować dymiącym mięsem — słysząc zaś obcą mowę, jęli się skupiać, ażeby na Niemca popatrzeć. Wnet rozniosło się przez ludzi Zbyszkowych, że to jest rycerz „aż z za morza” — i wówczas stało się naokół tak ciasno, że pan na Turobojach musiał użyć powagi, aby cudzoziemca od zbytnej ciekawości uchronić. De Lorche zauważył też w tłumie niewiasty, poprzybierane przeważnie również w skóry, ale rumiane jak jabłka i nadzwyczaj urodziwe, więc począł pytać, czy one także w łowach biorą udział.

Maćko Turobojski wyjaśnił mu, że do łowów one nie należą, ale że przybywają wraz z osacznikami przez babską ciekawość albo jakby na jarmark, dla kupna miejskich towarów i sprzedaży leśnych bogactw. Jakoż tak było w istocie; ów dworzec<sup>751</sup> książęcy był jakby ogniskiem, naokół którego, nawet w czasie nieobecności księcia, kupiły się<sup>752</sup> dwa żywioły: miejski i leśny. Osacznicy nie lubili wychodzić z puszczy, gdyż nieswojo im było bez szumu drzew nad głowami, więc przasnyszenie zwozili na ową leśną krawędź słynne swe piwa, mąkę mieloną w miejskich wiatrakach lub na wodnych młynach na Węgierce, sól rzadką w puszczy i poszukiwaną chciwie, żelaziwo, rzemienie i tym podobny owoc ludzkiej przemyślności, a brali w zamian skóry, kosztowne futra, suszone grzyby, orzechy, ziola w chorobach przydatne lub bryłki bursztynu, o które między Kurpiami nie było zbyt trudno. Z tego powodu około książęcego dworca wrzał jakby ustawiczny targ, który potęgował się jeszcze w czasie książęcych łowów, gdy i obowiązek, i ciekawość wywabiały mieszkańców z głębin leśnych.

De Lorche słuchał opowiadań Maćkowych, przypatrując się z zajęciem postaciom osaczników, którzy żyjąc w zdrowym, żywicznym powietrzu i karmiąc się, jak zresztą większość chłopów ówczesnych, przeważnie mięsem — zdumiewali nieraz zagranicznych wędrowców wzrostem i siłą, Zbyszko zaś, siedząc przy ogniu, spoglądał ustawicznie na drzwi i okna dworca, zaledwie mogąc wytrwać na miejscu. Świeciło się tylko jedno okno, widocznie od kuchni, gdyż dym wychodził przez szpary między nie dość szczelnie dopasowanymi szybami. Inne były ciemne, połyskujące tylko od blasków dnia, który biał z każdą chwilą i posrebrzał coraz mocniej ośnieżoną puszcę za dworem. W małych drzwiach wybitych w bocznej ścianie domostwa ukazywała się czasem służba w barwie książęcej — i z wiadrami lub cebrami na powerkach<sup>753</sup> bieгла po wodę do studzien. Lu-

<sup>750</sup>komysze — zarośla, chaszczce. [przypis edytorski]

<sup>751</sup>dworzec (daw.) — dwór (budynek). [przypis edytorski]

<sup>752</sup>kupić się (daw.) — skupiać się, schodzić się. [przypis edytorski]

<sup>753</sup>powerek (daw.) — drządek do noszenia wiader, na którego każdym końcu zawieszano jedno. [przypis edytorski]

dzie ci, zapytywani, czy wszyscy śpią jeszcze, odpowiadali, że dwór strudzon wczorajszymi łowami spoczywa dotąd, ale że już warzy się stawa na ranny posiłek przed wyruszeniem.

Jakoż przez okno kuchenne począł wydobywać się zapach tłuszczów i szafranu, który rozszedł się daleko między ogniskami. Skrzypnęły wreszcie i otwarły się drzwi główne, odkrywając wewnątrz suto oświetlonej sieni — i na ganek wyszedł człowiek, w którym Zbyszko na pierwszy rzut oka poznał jednego z rybaltów, których w swoim czasie widział między służbą księżny w Krakowie. Na ów widok, nie czekając na Maćka z Turobojów ni na de Lorche, skoczył Zbyszko z takim pędem ku dworowi, że aż zdziwiony Lotaryńczyk zapytał:

— Co się stało temu młodemu rycerzowi?

— Nic się nie stało — odrzekł Maćko z Turobojów — jeno miłuje jedną dwórkę księżny i rad by ją jako najprędzej uwidzieć.

— Ach! — odpowiedział de Lorche, przykładając obie dłonie do serca.

I podniósłszy oczy w górę, począł wdychać raz po raz tak żałośnie, że aż Maćko wzruszył ramionami i w duchu rzekł: „Zaliby do swojej starki<sup>754</sup> tak wdychał? Nużby szczerze był niespełna rozumu?”. Ale tymczasem wprowadził go do dworca i obaj znaleźli się w obszernej sieni, przybranej rogami turów, żubrów, łosi i jeleni, i oświetlonej przez płonące na potężnym kominie suche kłody. W środku stał nakryty kilimkiem stół z przygotowanymi misami do jadła, w sieni było zaledwie kilku dworzan, z którymi rozmawiał Zbyszko. Maćko z Turobojów zapoznał ich z panem de Lorche, ale że nie umieli po niemiecku, musiał sam dalej dotrzymywać mu towarzystwa. Jednakże dworzan przybywało co chwila, chłopów po większej części na schwał, surowych jeszcze, ale rosłych, pleczystych, płowowłosych, poprzybieranych już jak do puszczy. Ci, którzy znali Zbyszka i wiedzieli o jego przygodach krakowskich, witali się z nim jak ze starym przyjacielem — i znać było, że ma mir między nimi.

Inni patrzyli na niego z takim podziwem, z jakim zwykle patrzy się na człowieka, nad którego karkiem wisiał topór katowski. Naokół słychać było głosy: „Jużci! Jest księżna, jest Jurandówna, zaraz ją tu ujrzysz, niebożę, i na łowy z nami pojedziesz”. A wtem weszli dwaj goście krzyżacy, brat Hugo de Danveld, starosta z Ortelsburga, czyli ze Szczytna, którego krewny był w swoim czasie marszałkiem, i Zygfryd de Löwe, także z zasłużonej w Zakonie rodziny — wójt z Jansborku. Pierwszy dość młody jeszcze, ale otyły, z twarzą chytrego piwożłopa i grubymi, wilgotnymi wargami, drugi wysoki, o rysach surowych, ale szlachetnych. Zbyszkowi wydało się, że Danvelda widział niegdyś przy księciu Witoldzie i że go Henryk, biskup płocki, zwał w gonitwach z konia, lecz wspomnienia owe pomieszało mu wejście księcia Janusza, ku któremu zwrócili się z pokłonami i Krzyżacy, i dworzanie. Zbliżył się ku niemu de Lorche i komturowie, i Zbyszko, on zaś witał uprzejmie, ale z powagą na swej bezwąsej, wieśniaczej twarzy, okolonej włosami obciętymi równo nad czołem, a spadającymi aż na ramiona po obu bokach. Wnet zagrzmiały za oknami trąby na znak, że książę zasiada do stołu: zagrzmiały raz, drugi, trzeci, aż za trzecim razem otworzyły się duże drzwi po prawej stronie izby i ukazała się w nich księżna Anna, mając przy sobie cudną, przetowłosą dziewczeczkę z lutnią zawieszoną na ramieniu.

Ujrawszy je, Zbyszko wysunął się naprzód i złożywszy przy ustach ręce, klęknął na oba kolana w postawie pełnej czci i uwielbienia.

Na ten widok szmer uczynił się w sali, gdyż zdziwił Mazurów postępek Zbyszka, a nawet niektórych i zgorszył. „A wiera — mówili starsi — pewnikiem nauczył się tego obyczaju od zamorskich jakowychś rycerzy, a może zgoła od pogan, gdyż nie masz go nawet między Niemcami”. Młodzi wszelako myśleli: „Nie dziwota, toć dziewce szyję powinien”. A księżna i Jurandówna nie poznały zrazu Zbyszka, gdyż klęknął plecami do ognia i twarz miał w cieniu. Księżna myślała w pierwszej chwili, iż to któryś z dworzan, zawiniwszy coś względem księcia, prosi jej o wstawiennictwo, lecz Danusia, która wzrok miała bystrzejszy, postąpiła krok naprzód — i pochyliwszy swą jasną głowę, krzyknęła nagle cienkim, przeraźliwym głosem:

— Zbyszko!

Po czym, nie myśląc o tym, że patrzy na nią cały dwór i zagraniczni goście, skoczyła jak sarna ku młodemu rycerzowi i objąwszy go ramionami, poczęła całować jego oczy, usta,

Obyczaje

<sup>754</sup>starka (daw. lub reg.) — babka, przen. również starsza kobieta. [przypis edytorski]

policzki, tuląc się do niego i piszcząc przy tym z wielkiej radości póty, póki nie zagrzmieli jednym wielkim śmiechem Mazurowie i póki księżna nie pociągnęła ją za kołnierz ku sobie.

Wówczas spojrziała po ludziach i stropiwszy się okrutnie, z równą szybkością schowała się za księżną, ukrywszy się w fałdach jej spódnicy, tak że jej ledwie wierzch głowy było widać.

Zbyszko objął nogi pani, ta zaś podniosła go i poczęła witać, a zarazem wypytywać się o Maćka: czy zmarł, czy też żyw, a jeśli żyw, czy nie przyjechał także na Mazowsze? Zbyszko odpowiadał niezbyt przytomnie na te pytania, albowiem przechylając się na obie strony, starał się dojrzeć za księżną Danuskę, która to wychylała się przez ten czas ze spódnicy pani, to znów dawała nurka w jej fałdy. Mazurowie w boki się brali na owo widowisko, śmiał się i sam książę, aż wreszcie, gdy wniesiono gorące misy, zwróciła się rozradowana pani do Zbyszka i rzekła:

— Służcie nam, miły służko, a bogdaj nie tylko przy jedle, ale i na zawsze.

Potem zaś do Danusi:

— A ty, mucho utrapiona, wyleźże raz zza spódnicy, bo mi ją do reszty oberwiesz.

Więc Danusia wyszła zza spódnicy, sploniona, pomieszana, podnosząca co chwila na Zbyszka oczy lękliwe, zawstydzone, a ciekawe — i tak cudna, że aż rozplynęło się serce nie tylko w Zbyszku, ale i w innych mężach: starosta krzyżacki ze Szczytna począł przykładać raz po raz dłoń do swych grubych, wilgotnych warg, de Lorche zaś zdumiał się; podniósł obie ręce w górę i zapytał:

— Na świętego Jakuba z Compostelli, kto jest ta dziewica?

Na to starosta ze Szczytna, który przy otyłości był niski, podniósł się na palce i rzekł do ucha Lotaryńczyka:

— Córka diabła.

De Lorche popatrzył na niego, mrugając oczyma, następnie zmarszczył brwi i zaczął mówić przez nos:

— Nie praw to rycerz, który przeciw piękności szczeka.

— Noszę złote ostrogi i jestem zakonnikiem — odparł z wyniosłością Hugo de Darnveld.

Tak wielka była cześć dla pasowanych rycerzy, iż Lotaryńczyk spuścił głowę, lecz po chwili odrzekł:

— A jam krewny książąt Brabantu<sup>755</sup>.

— *Pax! Pax!*<sup>756</sup> — odpowiedział Krzyżak. — Cześć potężnym książętom i przyjacielom Zakonu, z którego rąk wkrótce, panie, złote ostrogi otrzymacie. Nie odmawiam ja urody tej dziewczce, ale posłuchajcie, kto jest jej ojciec.

Lecz nie zdążył nic opowiedzieć, albowiem w tej chwili książę Janusz zasiadł do śniadania, a dowiedziawszy się poprzednio od wójta z Jansborku o wielkich pokrewieństwach pana de Lorche, dał mu znak, aby siadł koło niego. Naprzeciw zajęła miejsce księżna z Danusią. Zbyszko zaś stanął, jak ongi w Krakowie, za ich krzesłami do usługi. Danusia trzymała głowę, jak mogła najniżej, nad miską, bo wstyd jej było ludzi, ale trochę na bok, by Zbyszko mógł widzieć jej twarz. On zaś patrzył chciwie i z zachwyceniem na jej jasną, drobną głowę, na różowy policzek, na ramiona przybrane w obcisłą odzież, które przestawały już być dziecinne, i czuł, że wzbiera w nim jakby rzeka nowej miłości, która zalewa mu całe piersi. Czuł także na oczach, na ustach i na twarzy świeże jej pocałunki. Niegdyś dawała mu je ona tak jak siostra bratu i on przyjmował je jak od milego dziecka. Teraz, na świeże ich wspomnienie, działo się z nim to, co czasem działo się przy Jagience: brały go ciagoty i ogarniała go omdlałość, pod którą taił się żar jak w przysypanym popiołem ognisku. Danusia wydawała mu się dorosłą zupełnie panną — bo też i rzeczywiście wyrosła, rozkwitła. A przy tym tyle i tak ciągle mówiono przy niej o miłości, że równie jak pączek kwiatowy przygrzany słońcem kraśnieje i otwiera się coraz bardziej, tak i jej otworzyły się oczy na miłość — i skutkiem tego było w niej teraz coś, czego nie było poprzednio — jakaś uroda, już nie tylko dziecinna, i jakaś ponęta, mocna, upajająca, bijąca od niej tak, jak bije ciepło od płomienia albo zapach od róży.

<sup>755</sup> *Brabancja* — obecnie część Belgii i Holandii, w czasach opisywanych przez powieść była księstwem. [prypis edytorski]

<sup>756</sup> *pax* (łac.) — pokój, tu: „Spokój!”. [prypis edytorski]

Zbyszko to czuł, ale nie zdawał sobie z tego sprawy, gdyż się zapamiętał.

Zapomniał nawet o tym, że trzeba przy stole służyć. Nie widział, że dworzanie patrzą na niego, trącają się łokciami, że pokazują sobie ich oboje z Danusią i śmieją się. Nie zauważył również ani jakby skamieniałej ze zdumienia twarzy pana de Lorche, ani wypukłych oczu krzyżackiego starosty ze Szczytna, które ustawicznie utkwione były w Danusię i, odbijając zarazem płomień komina, wydawały się tak czerwone i błyszczące jak wilcze.

Ocknął się dopiero, gdy trąby ozwały się ponownie, dając znak, że czas do puszczy — i gdy księżna Anna Danuta, zwróciwszy się ku niemu, rzekła:

— Przy nas pojedziesz, abys zaś miał uciechę i dziewce o kochaniu mógł prawić, czego i ja rada posłucham.

To powiedziawszy, wyszła z Danusią, aby się na koń przybrać. Zbyszko zaś skoczył na podwórzec, na którym trzymano już pokryte sędzielizną<sup>757</sup> i parszające konie dla księstwa, gości i dworzan. Na dziedzińcu nie było tak rojno jak przedtem, gdyż osacznicy wyszli już pierwsi z sieciami i potonęli w puszczy. Ogniska poprzygasaly, dzień uczynił się jasny, mroźny, śnieg skrzypiał, a z drzew poruszanych lekkim powiewem sypała się sadz<sup>758</sup> sucha, iskrząca. Wkrótce wyszedł i siadł na koń księżę, mając za sobą pacholka z kuszą i z oszczepem tak długim i ciężkim, że mało kto mógł nim władać; księżę jednak władał nim z łatwością, albowiem, jak i inni Piastowie mazowieccy, posiadał siłę nadzwyczajną. Bywały nawet i takie niewiasty w tym rodzie, które wychodząc za obcych książąt, zwijały w palcach przy weselnych ucztach szerokie tasaki żelazne<sup>759</sup>. Blisko księcia trzymało się też dwóch mężów gotowych w nagłym razie do pomocy, a wybranych ze wszystkich dziedziców ziemi warszawskiej i ciechanowskiej, strasznych na samo wejście, o barach jak pnie leśne — na których patrzył z podziwem przybyły z daleka pan de Lorche.

Sila

Tymczasem wyszła i księżna z Danusią, obie przybrane w kaptury ze skór białych łasic. Nieodrodna córka Kiejstuta lepiej umiała „szyć” z łuku niż igłą, niesiono więc i za nią ozdobną, nieco tylko lżejszą od innych kuszę.

Zbyszko, przykleknąwszy na śniegu, wyciągnął dłoń, na której pani wsparła — siadając na koń — nogę, po czym uniósł w górę Danusię, tak samo jak w Bogdańcu unosił Jagienkę — i ruszyli. Orszak wyciągnął się w długiego węża: skręcił na prawo od dworu, mieniając się i migocąc na brzegu puszczy jak barwna krajka na brzegu ciemnego sukna, a następnie począł się w nią z wolna zanurzać.

Byli już dość głęboko w boru, gdy księżna, zwróciwszy się do Zbyszka, rzekła:

— Przeczże nie gadasz? Nuże, mów do niej.

Zbyszko, lubo tak zachęcony, milczał jeszcze przez chwilę, albowiem opanowała go jakaś nieśmiałość — i dopiero po upływie jednej lub dwóch zdrowasiek ozwał się:

— Danuśka!

— Co, Zbyszku?

— Miłuję cię tak...

Tu zaciął się, szukając słów, o które było mu trudno, bo chociaż klękał jak zagraniczny rycerz przed dziewczyną, choć wszelkimi sposobami cześć jej okazywał i starał się unikać gminnych wyrażań, jednakże próżno się silił na dworność, gdyż mając duszę połą, tylko po prostu umiał mówić.

Więc i teraz po chwili rzekł:

— Miłuję cię tak, aże mi dech zapiera!

Ona zaś podniosła na niego spod lasiczego kapturka modre oczęta i twarz wyszczypaną na różowo przez zimne leśne powietrze:

— I ja, Zbyszku! — odrzekła jakby z pośpiechem.

Po czym zaraz nakryła oczy rzęsami, bo już wiedziała, co to jest miłość.

— Hej, krocie ty moje! Hej, dziewczyno ty moja! — zawołał Zbyszko.

— Hej!...

<sup>757</sup>sędzielizna (daw.) — szron. [przypis edytorski]

<sup>758</sup>sadz — dziś: szadz, osad lodu powstały ze skroplonej mgły. [przypis edytorski]

<sup>759</sup>Bywały nawet i takie niewiasty w tym rodzie, które wychodząc za obcych książąt, zwijały w palcach przy weselnych ucztach szerokie tasaki żelazne — chodzi prawdopodobnie o Cymbarkę, córkę księcia Ziemowita IV. [przypis edytorski]



I znowu umilkł ze szczęścia i ze wzruszenia, lecz dobra, a zarazem ciekawa księżna przysła im powtórnie z pomocą:

— Powiadajże — rzekła — jako ci się cniło bez niej, a zdarzy się li gąszczyk, to choćbyś ją tam i w gębę pocałował, nie będę krzywa, boć to najlepiej o twoim kochaniu zaświadczy.

Więc począł opowiadać, „jako mu się cniło” bez niej i w Bogdańcu przy doglądaniu Maćka, i między „somsiadami”. O Jagiencie nic tylko nie wspomniął chytry wykrętnik — ale zresztą szczerze mówił, bo w tej chwili tak kochał śliczną Danusię, że chciało mu się chwycić ją, przesadzić na swego konia, wziąć przed się i trzymać przy piersiach.

Nie śmiał jednak tego uczynić; natomiast gdy pierwszy gąszczyk przedzielił ich od jadących za nimi dworzan i gości, pochylił się ku niej, objął ją i pochował twarz w łasiczy kaptur, świadcząc tym uczynkiem o swej miłości.

Ale że zimą nie ma liści na krzaczach leszczynowych, dojrzał go Hugo von Danveld i pan de Lorche, dojrżeli go również dworzanie i poczęli między sobą mówić:

— Poboćkał<sup>760</sup> ci ją przy księżnie! Wierę, jako wnet im pani weselisko wyprawi.

— Chwacki to jakiś pacholek, ale i ona siarczysta Jurandowa krew!

— Krzemień to i krzesiwo, choć dziewczka niby trusia. Pójdą z nich iskry, nie bój się! Przywarł ci do niej jak kleszcz do żywej skóry!

Tak oni rozmawiali, śmiejąc się, lecz starosta krzyżacki ze Szczytna zwrócił ku panu de Lorche swą koźlą, złą i lubieżną twarz — i zapytał:

— Czy chcielibyście, panie, by jaki Merlin<sup>761</sup> zmienił was czarnoksięską mocą w tamtego oto rycerzyka?

— A wy, panie? — zapytał de Lorche.

Na to Krzyżak, w którym widocznie zawrzała zazdrość i żądza, ściągnął niecierpliwą ręką konia i zawołał:

— Na moją duszę!...

W tej chwili jednak opamiętał się i pochyliwszy głowę, odrzekł:

— Zakonnikiem jestem, który ślubował czystość.

I spojrział bystro na Lotaryńczyka, w obawie, czy nie zobaczy na jego twarzy uśmiechu, albowiem pod tym względem Zakon złą miał sławę u ludzi, a między zakonnikami Hugo de Danveld najgorszą. Był on przed kilku laty pomocnikiem wójta w Sambii i tam skargi na niego stały się tak głośne, że pomimo całej pobłażliwości, z jaką patrzano na podobne sprawy w Malborgu, musiano go przenieść na dowódcę zamkowej załogi w Szczytnie. Przybywszy w ostatnich dniach z tajnymi zleceniami na dwór księcia i ujrawszy cudną Jurandównę, zapalał do niej żądzą, dla której wiek Danusi nie był żadnym hamulcem, albowiem w tych czasach młodsze od niej wychodziły za mąż. Lecz że zarazem wiedział Danveld, jaki był ród dziewczyny i że imię Juranda łączyło się ze strasznym wspomnieniem w jego pamięci, więc i jego żądza wyrosła na podkładzie dzikiej nienawiści.

A de Lorche począł go właśnie wypytywać o te dzieje.

— Nazwaliście, panie, tę piękną dziewczę córką diabła; dlaczegoście ją tak nazwali?

Danveld począł na to opowiadać historię Złotoryi: jako przy odbudowywaniu zamku porwano szczęśliwie księcia wraz z dworem i jako w tym zdarzeniu zginęła matka Jurandówny, za którą Jurand mścił się od owej pory w okropny sposób na wszystkich rycerzach zakonnych. I nienawiść buchała z Krzyżaka przy tym opowiadaniu jak płomień, albowiem miał i osobiste do niej powody. Oto i on sam zetknął się przed dwoma laty z Jurandem, ale wówczas na widok strasznego „Dzika ze Spychowa” pierwszy raz w życiu upadło w nim serce tak nikczemnie, że opuścił dwóch swoich krewnych, ludzi, łupy i jak obłąkany uciekał dzień cały aż do Szczytna, gdzie z trwogi na długi czas zachorzał<sup>762</sup>. Gdy przyszedł do zdrowia, wielki marszałek Zakonu oddał go pod sąd rycerski, którego wyrok uniewinnił go wprawdzie, gdy Danveld poprzysiął na krzyż i cześć, że rozhukany koń uniósł go z pola walki — ale zamknął mu drogę do wyższych dostojeństw w Zakonie. Krzyżak zamilczał wprawdzie teraz o tych wypadkach przed panem de Lorche, natomiast wypowiedział tyle skarg na okrucieństwo Juranda i zuchwałość całego polskiego narodu, że wszystko to zaledwie mogło pomieścić się w głowie Lotaryńczyka.

<sup>760</sup>boćkać (daw.) — całować. [przypis edytorski]

<sup>761</sup>Merlin — czarodziej z legend i romansów o królu Arturze. [przypis edytorski]

<sup>762</sup>zachorzał — dziś popr.: zachorował. [przypis edytorski]

Pocałunek

Pożądanie

— My wszelako — rzekł po chwili — jesteście u Mazurów, nie u Polaków?  
— To osobne księstwo, ale jeden naród — odpowiedział starosta — jednaka ich bezecność i jednaka przeciw Zakonowi zawziętość. Bóg daj, aby niemiecki miecz całe to plemię wygubił!

— Słusznie mówicie, panie; bo żeby ten książę, który na pozór zacy się wydaje, śmiały zamek przeciw wam w waszych ziemiach wznosić: o podobnym bezprawiu nawet i między poganami nie słyszałem.

— Zamek on wznosił przeciw nam, ale Złotoryja leży w jego, nie w naszych ziemiach.

— Tedy chwala Chrystusowi, że wam dał nad nim zwycięstwo. Jakoże skończyła się ta wojna?

— Nie było wówczas wojny.

— A wasze zwycięstwo pod Złotoryją?

— Bóg nam właśnie i w tym pobłogosławił, że książę był bez wojska, jeno z dworem i niewiastami.

Na to de Lorche spojrział ze zdumieniem na Krzyżaka.

— Jak to? Więc w czasie pokoju napadliście na niewiasty i na księcia, który we własnych ziemiach zamek budował?

— Dla chwały Zakonu i chrześcijaństwa nie masz bezecnych uczynków.

— A ówże straszny rycerz jeno za młodą małżonkę pomsty szuka, zabita przez was czasu pokoju?

— Kto przeciw Krzyżakowi rękę podnosi, synem ciemności jest.

Zadumał się, usłyszawszy to, pan de Lorche, ale nie miał już czasu Danveldowi odpowiedzieć, gdyż wyjechali na obszerną, zaśnieżonym szuwarem pokrytą polankę, na której książę zsiadł z konia, a za nim poczeli zsiadać i inni.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Biegli leśnicy poczeli pod wodzą wielkiego łowczego<sup>763</sup> rozstawiać myśliwych długim rzędem na skraju polany, tak aby będąc sami w ukryciu, mieli przed sobą pustą przestrzeń, ułatwiającą strzały z kuszy i łuków. Dwa krótsze boki polany obstawione były sieciami, za którymi taili się borowi „nawrotnicy”, których obowiązkiem było nawracać zwierza ku strzelcom lub, jeśli nie dając się spłoszyć, zaplątywał się w sieciach, dobijając go oszczepami. Nieprzeliczone gromady Kurpiów, umiejętnie rozstawione w tak zwaną otokę<sup>764</sup>, miały pędzić wszelkie żywe stworzenie z głębin leśnych na polanę. Za strzelcami znów znajdowała się sieć, rozpięta w tym celu, by zwierz, który zdoła przedrzeć się przez ich szereg, został nią powstrzymany i w jej skrętach dobity.

Książę stanął w pośrodku szeregu w lekkim zagłębieniu, które biegło przez całą szerokość polany. Główny łowczy, Mrokota z Mocarzewa, wybrał mu to stanowisko, wiedząc, że tym właśnie wgłębieniem będzie pomykał przed otoką najgrubszy zwierz z puszczy. Sam książę miał w ręku kuszę, tuż pod bokiem pana stał oparty o drzewo ciężki oszczep, a nieco z tyłu trzymali się dwaj „brońcy” z toporami na ramionach, ogromni, do pni leśnych podobni, którzy prócz toporów mieli jeszcze gotowe napięte kusze dla podania księciu w razie potrzeby. Księżna i Jurandówna nie zsiadały z koni, albowiem nie zezwalał na to nigdy książę ze względu na niebezpieczeństwo od turów i zubrów, przed których wściekłością łatwiej się było w razie wypadku chronić konno niż pieszo. De Lorche, lubo wezwany przez księcia, aby zajął miejsce po prawej jego stronie, prosił, aby mu wolno było zostać dla obrony dam na koniu, i stał opodal księżny do długiego gwoźdźca podobny, z rycerską kopią, z której podrwiali z cicha pod wąsem Mazurowie jako z broni mało na łowach przydatnej. Natomiast Zbyszko wbił oszczep w śnieg, kuszę przekręcił na plecy i stojąc przy koniu Danusi, podnosił ku niej głowę, chwilami szeptał do niej, a chwilami obejmował jej nogi i całował kolana, albowiem wcale się już przed ludźmi ze swoją miłością nie krył.

Uspokoił się dopiero wówczas, gdy Mrokota z Mocarzewa, który w puszczy ośmielał się i na samego księcia burczeć, nakazał mu groźnie milczenie.

<sup>763</sup>łowczy — urzędnik zajmujący się organizacją polowania. [przypis edytorski]

<sup>764</sup>otoka — nagonka, oblawa. [przypis edytorski]

Tymczasem daleko, daleko w głębi puszczy ozwały się rogi kurpieskie, którym z polany odpowiedział krótko wrzaskliwy głos krzywuly<sup>765</sup> — po czym nastąpiła cisza zupełna. Ledwie niekiedy zaskrzeczała sójka w wierzchołkach sosen, niekiedy zakrakali jak kruki ludzie z otoki. Myśliwi wyteżyli oczy na białą, pustą przestrzeń, na której wiatr poruszał oszronionym sitowiem i bezlistnymi krzami wikliny — każdy czekał z niecierpliwością, jaki też pierwszy zwierz pojawi się na śniegu — w ogóle zaś wrócono sobie łowy obfite i wspaniałe, gdyż puszcza roiała się od żubrów, turów, dzików. Kurpie wykurzyli też z barłogów<sup>766</sup> i kilka niedźwiedzi, które zbudzone w ten sposób chodziły po gąszczach złe, głodne i czujne, domyślając się, że wkrótce przyjdzie im stoczyć walkę nie o spokojny sen zimowy, ale o życie.

Zwierzęta

Trzeba było jednak czekać długo, gdyż ludzie, którzy parli zwierza ku klamrom otoki i ku polanie, zajęli ogromny szmat boru i szli z tak daleka, że do uszu myśliwych nie dochodziło nawet szczekanie psów, które zaraz po odezwaniu się trąb spuszczone zostały ze smyczy. Jeden z nich, spuszczonej widocznie za wcześnie albo też włóczący się luzem za chłopami, ukazał się na polanie i przebiegłszy ją całą z nosem ku ziemi, przeszedł między myśliwcami. I znów uczyniło się pusto i cicho, tylko nawrotnicy krakali ciągle jak krucy, dając w ten sposób znać, że wkrótce robota się rozpocznie.

Zwierzęta

Jakoż po upływie kilku pacierzy na skraju pojawiły się wilki, które jako najczujniejsze pierwsze usiłowały się wynieść z obierzy<sup>767</sup>. Było ich kilka. Ale wypadłszy na polanę i zawietrzywszy wokół ludzi, dały znów nurka w bór, szukając widocznie innego wyjścia. Potem dziki wynurzywszy się z kniei, poczęły biec długim, czarnym łańcuchem przez zaśnieżoną przestrzeń, podobne z dala do swojskiej trzody chlewnej, która na wołanie gospodarnej niewiasty zdąża, trzęsąc uszyna, ku chacie. Ale łańcuch ów zatrzymywał się, słuchał, wietrzył — zawracał i znów słuchał; wyboczył<sup>768</sup> ku sieciom i poczuwszy nawrotników, znów puścił się ku myśliwym, chrapiąc, zbliżając się coraz ostrożniej, ale coraz bardziej, póki wreszcie nie rozległ się szczęk żelaznych zastawników przy kuszach, warkot grotów i póki pierwsza krew nie splamiła białej, śnieżystej podścieli. Wówczas rozległ się okrzyk i stado rozproszyło się, jakby w nie piorun uderzył; jedne poszły na oślepie przed siebie, drugie rzuciły się ku sieciom, inne poczęły biegać to w pojedynkę, to po kilka, mieszając się z innym zwierzem, od którego zaroiała się tymczasem polana. Już też dochodziły wyraźnie do uszu głosy rogów, ujadanie psów i daleki gwar ludzi idących w głównej ławie z głębi boru. Mieszkańcy leśni, odpędzani z boków przez rozciągnięte szeroko w puszczy skrzydła otoki, zapełniali coraz szczelniej leśną łąkę. Nic podobnego nie można było zobaczyć nie tylko w krajach zagranicznych, ale nawet i w innych ziemiach polskich, w których nie było już takich puszczy jak na Mazowszu. Krzyżacy, chociaż bywali na Litwie, gdzie czasem zdarzało się, że żubry, uderzając na wojsko, sprawiały w nim zamieszanie — dziwili się niepomąłu tej niezmiernej ilości zwierza, a zwłaszcza dziwił się pan de Lorche. Stojąc przy księżnie i dwórkach jak żuraw na straży, a nie mogąc się z żadną rozmówić, począł on już był nudzić się, marznąć w swej żelaznej zbroi i mniemać, że łowy chybiły. Aż oto ujrzał przed sobą całe stado lekkonogich sarn, płowych jeleni i łosiów o łbach ciężkich, ukoronowanych, pomieszane z sobą, wichrzące po polanie, oślepienie trwogą i szukające na próżno wyjścia. Księżna, w której na ten widok zagrała Kiejstutowa, ojcowska krew, wypuszczała grot za grotem w ową pstrą cizbę<sup>769</sup>, pokrzykując z radości za każdym razem, gdy ugodzony jeleni lub łos wspiął się w pędzie do góry, a następnie walił się ciężko i kopał śnieg nogami. Inne dwórki pochylały też często twarze ku kuszom, albowiem wszystkie ogarnął zapal myśliwski. Jeden tylko Zbyszko nie myślał o łowach, ale wsparłszy łokcie na kolanach Danusi, a głowę na dłoniach, patrzył jej w oczy, ona zaś, na wpół śmiejąca się, na wpół zawstydzona, próbowała mu zamykać palcami powieki, niby nie mogąc takiego wzroku wytrzymać.

Miłość

Lecz uwagę pana de Lorche zwrócił ogromny, siwy na karku i łopatkach niedźwiedź, który niespodzianie wychynął z szuwarów w pobliżu strzelców. Książę strzelił do niego z kuszy, a następnie wypadł ku niemu z oszczepem i gdy zwierz podniósł się, rycząc

Zwierzęta

Siła

<sup>765</sup>krzywula — instrument dęty drewniany o zakrzywionej rurze. [przypis edytorski]

<sup>766</sup>barłóg — legowisko niedźwiedzia. [przypis edytorski]

<sup>767</sup>obierza — sieć myśliwska, tu przen.: oblawa. [przypis edytorski]

<sup>768</sup>wyboczyć (daw.) — zboczyć, skrócić. [przypis edytorski]

<sup>769</sup>cizba (daw.) — mrowie, tłum. [przypis edytorski]

okropnie, na zadnie łapy — skłul go na oczach całego dworu tak sprawnie i szybko, że żaden z dwu „brońców” nie potrzebował użyć topora. Pomyślał tedy młody Lotaryńczyk, że jednak niewielu panów, na dworach których bawił po drodze, ważyłoby się na taką zabawę i że z takimi książętami i z takim ludem ciężką może Zakon mieć kiedyś przeprawę i ciężkie przeżyć godziny. Lecz w dalszym ciągu zobaczył skłute w ten sam sposób przez innych myśliwych srogie, białokłowe odyńce, ogromne, daleko większe i zacieklejsze od tych, na które polowano w lasach Niższej Lotaryngii i w puszczech niemieckich. Tak wprawnych i dufnych w siłę dłoni łowców ani też takich uderzeń oszczepem nie widział pan de Lorche nigdzie — co, jako człowiek bywały, tłumaczył sobie tym, że wszyscy ci wśród niezmiernych borów siedzący ludzie przywykają od dziecięcych lat do kuszy i oszczepu — za czym i do większej w ich użyciu dochodzą od innych biegłości. Polana usłała się wreszcie gęsto trupami wszelkiego rodzaju zwierząt, lecz łowom daleko jeszcze było do końca. Owszem, najciekawsza, a zarazem najbardziej niebezpieczna ich chwila miała dopiero nadejść, gdyż otoka wparła właśnie na pustac<sup>770</sup> kilkanaście żubrów i turów. Chociaż w lasach trzymały się one zwykle osobno, szły teraz pomieszane razem, ale bynajmniej nie osłępe z trwogi, raczej groźne niż przerażone. Nie szły też zbyt szybko, jakby pewne w poczuciu okrutnej siły, że złamią wszelkie zapory i przejdą — ziemia jednak zaczęła dudnić pod ich ciężarem. Brodate byki, idące na czele gromady ze łbami nisko nad ziemią, zatrzymywały się chwilami, jakby rozważając, w którą stronę uderzyć. Z potwornych ich płuc wydobywał się głuchy ryk do podziemnego grzmotu podobny, z nozdrzów dymiło parą, a kopiąc śnieg przednimi nogami, zdawały się upatrywać spod grzyw krwawymi oczyma ukrytego nieprzyjaciela.

Tymczasem nawrotnicy podnieśli ogromny krzyk, któremu od strony głównej ławy i od skrzydeł otoki odpowiedziały setki gromkich głosów; zawrzały rogi i piszczalki; zadrżała puszcza aż hen do najdalszych głębin, a jednocześnie wypadły na polanę ze strasznym harmidrem goniące po tropie psy kurpieskie. Widok ich wprawił w mgnieniu oka we wściekłość samice mające przy sobie młode. Idące dotąd z wolna stado rozproszyło się w szalonym pościgu po całej polanie. Jeden z turów, płowy, olbrzymi, niemal potworny byk, ogromem żubry przenoszący<sup>771</sup>, puścił się w ciężkich skokach ku szeregowi strzelców, zawrócił ku prawej stronie polany, po czym ujrzawszy o kilkadziesiąt kroków między drzewami konie, zatrzymał się i hucząc, począł orać nogami ziemię, jakby podniecając się do skoku i walki.

Na ten straszny widok nawrotnicy podnieśli krzyk jeszcze większy, w szeregu zaś myśliwych ozwały się przeraźliwe głosy: „Księżna, księżna! Ratujcie panią!”. Zbyszko porwał za utkwiony w śniegu oszczep i skoczył na skraj lasu, za nim skoczyło kilku Litwinów gotowych zginąć w obronie córki Kiejstuta — a wtem zgrzytnęła w rękach pani kusza, zaświszczał grot i przeleciawszy ponad schylonym łbem zwierzęcia, utkwiał w jego karku.

— Dostał! — zawołała księżna. — Nie pójdzie...

Ale dalsze jej słowa zgłuszył ryk tak straszliwy, że aż konie przysiadły na zadach. Tur rzucił się jak burza wprost na panią, lecz nagle z nie mniejszym pędem wypadł spomiędzy drzew mężny pan de Lorche i pochyłony na koniu, z kopyą wyciągniętą jak na rycerskim turnieju, runął wprost na zwierza.

Obecni ujrzeli przez jedno mgnienie oka kopyę utkwioną w karku byka, która wnet wygięła się jak pałak i przysła w drobne złamki, za czym olbrzymi rogaty łeb zniknął całkiem pod brzuchem konia pana de Lorche i zanim kto z obecnych zdołał wykrzyknąć, i rumak, i jeździec wylecieli jak z procy w powietrze.

Koń, spadłszy na bok, począł bić w przedśmiertnych drgawkach nogami, oplątując je we własne wyprute trzewia, pan de Lorche leżał w pobliżu bez ruchu, podobny na śniegu do żelaznego klina, tur zaś zdawał się przez chwilę wahać, czy nie pominąć ich i nie uderzyć na inne konie, lecz mając tuż przed sobą te pierwsze ofiary, zwrócił się znów ku nim i jął pastwić się nad nieszczęsnym rumakiem, gniotąc go łbem i orząc z wściekłością rogami jego otwarty brzuch.

Z boru jednakże sygnęli się ludzie na ratunek obcego rycerza. Zbyszko, któremu chodziło o ochronę księżny i Danusi, dobiegł pierwszy i wbił ostrze oszczepu pod łopatkę

<sup>770</sup>pustac — pusty, niezalesiony teren. [przypis edytorski]

<sup>771</sup>przenosić (daw.) — przewyższać. [przypis edytorski]

zwierzęcia. Lecz uderzył z takim rozmachem, że oszczep przy nagłym zwrocie tura pękł mu w rękę, on sam zaś upadł twarzą w śnieg. „Zginął! Zginął!” — ozwały się głosy biegnących z pomocą Mazurów. Tymczasem łeb byka pokrył Zbyszka i przycisnął go do ziemi. Od strony księcia już, już nadbiegali dwaj potężni „brońcy” — byliby jednak przybyli za późno, gdyby na szczęście nie uprzedził ich darowany przez Jagienkę Zbyszkowi Czech Hlawa. Ten dopadł przed nimi i podniósłszy oburącz szeroki topór, ciął w pochylony kark tura tuż za rogami.

Sluga

Cięcie było tak straszne, że zwierz runął jak gromem rażony z przerąbanymi kręgami i łbem niemal do połowy odwalonym; lecz padając, przygniótł Zbyszka. Obaj „brońcy” odciągnęli w mgnieniu oka potworne cielsko, a tymczasem księżna i Danusia zeskoczywszy z koni, nadbiegły, nieme z przerażenia, do rannego młodzianka. On zaś blady, cały zalany krwią tura i własną, podniósł się nieco, spróbował wstać, ale zachwiał się, upadł na kolana i wsparłszy się na rękę, zdołał przemówić jedno tylko słowo:

— Danuśka...

Po czym wyrzucił krew ustami i ciemności objęły mu głowę. Danusia chwyciła go przez plecy za ramiona, ale nie mogąc go utrzymać, zaczęła krzyczeć o ratunek. Jakoż otoczono go ze wszystkich stron, tarto śniegiem, wlewano wino do ust, wreszcie łowczy Mrokota z Mocarzewa rozkazał położyć go na opończy i tamować krew za pomocą miękkich hubek borowych.

— Żyw będzie, jeśli jeno ziobra<sup>772</sup>, nie pacierze<sup>773</sup>, ma połamione — rzekł, zwracając się do księżny.

Wszelako inne dwórki zajęły się przy pomocy myśliwców ratunkiem pana de Lorche. Obracano nim na wszystkie strony, szukając na zbroi dziur lub wgłęć uczynionych przez rogi byka, ale prócz śladów śniegu, który wbił się między złożenia blach, nie można było znaleźć innych. Tur mścił się głównie na koniu, który leżał obok już martwy, mając pod brzuchem wszystkie swe wnętrzności, pan de Lorche zaś nie był ugodzon. Omdlał tylko wskutek upadku — i jak się pokazało później, rękę prawą miał ze stawu wybitą. Teraz jednak, gdy zdjęto mu hełm i wiano do ust wina, wnet otworzył oczy, oprzytomniał — i widząc pochylone nad sobą zatroskane twarze dwóch młodych i hożych dwórek, rzekł po niemiecku:

— Pewniem już w raju i aniołowie są nade mną?

Dwórki nie zrozumiały wprawdzie tego, co powiedział, ale rade, że ożył i przemówił, zaczęły się do niego uśmiechać i przy pomocy myśliwców podniosły go z ziemi, on zaś jęknął, poczuwszy ból w prawej ręce, lewą wsparł się na ramieniu jednego z „aniołów” — i przez chwilę stał nieruchomo, bojąc się kroku postąpić, gdyż nie czuł się pewny w nogach. Za czym powiódł mętnym jeszcze wzrokiem po pobojowisku: ujrzał płowe cielsko tura, które z bliska wydawało się potwornie wielkie, ujrzał łamiącą rękę nad Zbyszkim Danusią — i samego Zbyszka na opończy.

— Ten to rycerz przybył mi z pomocą? — zapytał. — Żywy-li?

Rycerz

— Ciężko pobit — odpowiedział jeden z umiających po niemiecku dworzan.

— Nie z nim, ale za niego będę się odtąd potykał! — rzekł Lotaryńczyk.

Lecz w tej chwili książę, który poprzednio stał nad Zbyszkim, zbliżył się do niego i począł go wysławiać: że swoim śmiałym postępkim ochronił od srogiego niebezpieczeństwa księżnę i inne niewiasty, a może i życie im ocalił — za co, prócz rycerskich nagród, otoczy go chwała u ludzi, którzy teraz żyją, i u potomnych.

Slawa

— W dzisiejszych zniewieściałych czasach — rzekł — coraz mniej prawych rycerzy jeździ po świecie, bądźcie mi więc gościem jako najdłużej albo i całkiem na Mazowszu ostańcie, gdzie łaskę moją jużście zdobyli, a miłość ludzką również łatwie<sup>774</sup> cnymi uczynkami zdobędziecie!

Rozpływało się od takich słów chciwe na sławę serce pana de Lorche, gdy zaś pomyślał, że tak przeważnego czynu rycerskiego dokonał i na takie pochwały zarobił w owych dalekich ziemiach polskich, o których tyle dziwnych rzeczy opowiadano na Zachodzie — z radości nie czuł prawie wcale bólu w zwichniętym ramieniu. Rozumiał, że rycerz, który na dworze brabanckim lub burgundzkim będzie mógł opowiedzieć, iż na łowach

<sup>772</sup>ziobro (gw.) — źebro. [przypis edytorski]

<sup>773</sup>pacierze (daw.) — kręgosłup. [przypis edytorski]

<sup>774</sup>łatwie — dziś popr.: łatwo. [przypis edytorski]

ocalił życie księżnie mazowieckiej, będzie chodził w chwale jak w słońcu. Pod wpływem tych myśli chciał nawet zaraz iść do księżny i na klęczkach jej wierne służby ślubować, ale i sama pani, i Danusia zajęte były Zbyszkiem.

Ów oprzytomniał znowu na chwilę, ale tylko uśmiechnął się do Danusi, podniósł dłoń do pokrytego zimnym potem czoła i zaraz powtórnie omdlał.

Doświadczeni łowcy widząc, jak zawarły się<sup>775</sup> przy tym jego ręce, a usta pozostały otwarte, mówili między sobą, że nie wyżyje, lecz doświadczeni jeszcze Kurpie, z których niejeden nosił na sobie ślady niedźwiedzi pazurów, dziczych klów lub żubrzych rogów, lepszą czynili nadzieję, twierdząc, że róg tura obsunął się między żebrami rycerza, że może jedno z nich albo dwa są złamane, ale krzyż cały, gdyż inaczej nie mógłby się młody pan ani na chwilę przypodnieść. Pokazywali też, że w miejscu, gdzie upadł Zbyszko, była jakby zaspas śnieżna i to właśnie go ocaliło — albowiem zwierzę, przycisnąwszy go międzyrożem<sup>776</sup>, nie podołał zgnieść mu do szczytu piersi ni krzyża. Nieszczęściem lekarz książęcy, ksiądz Wyszoniek z Dziewanny, nie był na łowach, choć zwykle na nich bywał, albowiem zajęty był tym razem wypiekaniem opłatków we dworze. Skoczył po niego, dowiedziawszy się o tym, Czech, tymczasem jednak ponieśli Kurpie Zbyszka na opończy do książęcego dworu. Danusia chciała iść przy nim piechotą, lecz księżna sprzeciwiła się temu, albowiem droga była daleka i w parowach leśnych leżały już głębokie śniegi, chodziło zaś o pośpiech. Starosta krzyżacki, Hugo de Danveld, pomógł więc dziewczynie sięść na koń, a następnie jadąc przy niej, tuż za ludźmi, którzy nieśli Zbyszka, rzekł po polsku przyciszonym głosem, tak aby przez nią tylko mógł być słyszany:

— Mam w Szczytnie cudowny balsam gojący, który od pewnego pustelnika w Hercyńskim Lesie<sup>777</sup> dostałem i który mógłbym w trzech dniach sprowadzić.

— Bóg wam wynagrodzi, panie! — odpowiedziała Danusia.

— Bóg zapisuje każdy miłosierny uczynek, ale czy mam i od was spodziewać się zapłaty?

— Jakoż mogę wam zapłacić?

Krzyżak przysunął się bliżej z koniem, widocznie chciał coś mówić, ale się zawahał i dopiero po chwili rzekł:

— W Zakonie, prócz braci, są i siostry... Jedna z nich przywiezie balsam gojący, a wtedy powiem o zapłacie.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Ksiądz Wyszoniek opatrzył rany Zbyszka, uznał, iż tylko jedno żebro jest złamane, ale pierwszego dnia nie ręczył za wyzdrowienie, nie wiedział bowiem, „czy się w chorym nie przekreśliło serce i czy się w nim wątroba nie oberwała”.

Pana de Lorche opanowała też pod wieczór niemoc tak wielka, iż musiał się położyć, na drugi dzień zaś nie mógł ni ręką, ni nogą bez wielkiego bólu we wszystkich kościach poruszyć. Księżna i Danusia oraz inne dwórki pilnowały chorych i warzyły<sup>778</sup> dla nich wedle przepisu księdza Wyszonka rozliczne smarowania i driakwie. Zbyszko jednakże ciężko był pobity i od czasu do czasu oddawał krew ustami, co wielce niepokoiło księdza Wyszonka. Był jednakże przytomny i na drugi dzień, lubo jeszcze osłabiony bardzo, dowiedziawszy się od Danusi, komu życie zawdzięcza, przywołał swego Czecha, aby mu podziękować i wynagrodzić. Musiał jednak przy tym pomyśleć, że miał go od Jagienki i że gdyby nie jej życzliwe serce, byłby zginął. Myśl ta była mu nawet ciężka, czuł bowiem, że nie wypłaci się nigdy poczciwej dziewczynie dobrem za dobre i że będzie dla niej tylko zmartwień i okrutnego smutku przyczyną. Powiedział sobie wprawdzie zaraz: „Toć się na dwoje nie rozetnę” — ale na dnie duszy został mu jakby wyrzut sumienia, Czech zaś zaognił jeszcze ów wewnętrzny niepokój.

— Przysięgłem mojej panience — rzekł — na włodyczą cześć, że was będę strzegł, to i będę, bez nijakiej nagrody. Jej to, nie mnie, powinniście, panie, za ratunek.

<sup>775</sup>zawrzeć się (daw.) — zamknąć się. [przypis edytorski]

<sup>776</sup>międzyroże — głowa zwierzęcia między jego rogami. [przypis edytorski]

<sup>777</sup>Las Hercyński a. Góry Hercyńskie — górzysty i lesisty region nad rzeką Ren. [przypis edytorski]

<sup>778</sup>warzyć (daw.) — gotować. [przypis edytorski]

Zbyszko nie odpowiedział, jeno począł oddychać ciężko — a Czech pomilczał przez chwilę, po czym ozwał się znowu:

— Jeślibyście kazali mi skoczyć do Bogdańca, to skoczę. Może byście radzi starego pana ujrzeli, gdyż Bóg to wie, co z wami będzie.

— A co powiada ksiądz Wyszoniek? — zapytał Zbyszko.

— Ksiądz Wyszoniek powiada, że pokaże się to na nowiu<sup>779</sup>, a do nowiu jeszcze cztery dni.

— Hej! To nie trzeba ci do Bogdańca. Albo zamrę przedtem, nim stryk nadaży, albo ozdrowię.

— Posłałibyście choć pismo do Bogdańca. Sanderus czysto wszystko wypisze. Będą przynajmniej o was wiedzieć i bogdaj na mszę dadzą.

— Daj mi teraz spokój, bom słaby. Jeśli zamrę, wrócisz do Zgorzelic i powiesz, jak co było; wtedy dadzą na mszę. A mnie tu pochowają albo w Ciechanowie.

— Chyba że w Ciechanowie albo w Przasnyszu, bo w boru jeno Kurpie się grzebią, nad którymi wilcy wyją. Słyszałem też od służby, że ksiązę za dwa dni razem ze dworem do Ciechanowa, a potem do Warszawy wraca.

— Przecież mnie tu nie ostawią — odrzekł Zbyszko.

Jakoż odgadł, bo księżna tegoż dnia jeszcze udała się do księcia z prośbą, aby pozwolił jej zabawić w puszczańskim dworcu wraz z Danusią, z pannami służebnymi i z księdzem Wyszonkiem, który przeciwny był prędkiemu przewożeniu Zbyszka do Przasnysza. Pan de Lorche miał się po dwóch dniach znacznie lepiej i począł wstawać, dowiedziawszy się jednak, że „damy” zostają, pozostał także, aby towarzyszyć im w drodze powrotnej i w razie napadu Saracenów bronić ich od złej przygody. Skąd się mieli wziąć owi Saraceni — tego pytania nie zadawał sobie mężny Lotaryńczyk.

Nazywano tak wprawdzie na dalekim Zachodzie Litwinów — od nich jednak nie mogło grozić żadne niebezpieczeństwo córce Kiejstuta, rodzonej siostrze Witolda, a stryjecznej potężnego „króla krakowskiego”, Jagiełły. Ale pan de Lorche zbyt długo bawił między Krzyżaki, aby mimo wszystkiego, co na Mazowszu słyszał i o chrzcie Litwy, i o połączeniu dwu koron na głowie jednego władcy, nie miał przypuszczać, że od Litwinów zawsze wszystkiego złego można się spodziewać. Tak mówili Krzyżacy, a on jeszcze nie całkiem stracił wiarę w ich słowa.

Ale tymczasem zaszedł wypadek, który padł cieniem między gości krzyżackich i księcia Janusza. Na dzień przed wyjazdem dworu przybyli bracia Gotfryd i Rotgier, którzy byli zostali poprzednio w Ciechanowie, a z nimi przyjechał niejaki pan de Fourcy jako zwiastun niepomyślniej dla Krzyżaków nowiny. Oto zdarzało się, że goście zagraniczni bawiący u starosty krzyżackiego w Lubawie, a więc on, pan de Fourcy, a dalej pan de Bergow i pan Majneger, obaj z rodzin poprzednio już w Zakonie zasłużonych, nasłuchawszy się wieści o Jurandzie ze Spychowa, nie tylko się ich nie ulękli, ale postanowili wywabić w pole słynnego wojownika, aby przekonać się, czy rzeczywiście jest tak straszny, za jakiego go głoszą. Starosta sprzeciwiał się wprawdzie, powołując się na pokój między Zakonem a księstwami mazowieckimi, w końcu jednak, może w nadziei, iż uwolni się od groźnego sąsiada, nie tylko postanowił patrzeć przez szpary<sup>780</sup> na wyprawę, ale i knechtów zbrojnych na nią pozwolił. Rycerze posłali wyzwanie Jurandowi, który je skwapliwie przyjął pod warunkiem, że ludzi odprawia, a samotrzeć z nim i z dwoma towarzyszami będą się potykali na samej granicy Prus i Spychowa. Gdy jednak nie chcieli ani knechtów odprawić, ani z ziem spychowskich ustąpić, napadł na nich, knechtów wytracił, pana Majnegera sam okrutnie kopią przebódl, a pana de Bergow wziął w niewolę i do piwnic spychowskich wtrącił. De Fourcy jeden się ocalił i po trzechdniowym błakaniu się po mazowieckich lasach, dowiedziawszy się od smolarzy, iż w Ciechanowie bawią bracia zakonni, przedarł się do nich, aby razem z nimi zanieść skargę przed majestat księcia, prosić o karę i o rozkaz uwolnienia pana de Bergow. Wieści te wnet zmąciły dobre stosunki między księciem i gośćmi, gdyż nie tylko dwaj przybyli bracia, ale i Hugo de Danveld, i Zygfryd de Löwe poczęli natarczywie upominać się u księcia, aby raz przecie uczynił sprawiedliwość Zakonowi, uwolnił granicę od drapieźnika i ryczałtem karę za wszystkie

<sup>779</sup>now — faza księżycy, gdy jest on niewidoczny z Ziemi. [przypis edytorski]

<sup>780</sup>patrzeć przez szpary — patrzeć przez palce. [przypis edytorski]

winy wymierzył. Szczególniej Hugo de Danveld, mający własne dawne rachunki z Jurandem, których wspomnienie piekło go bólem i wstydem — upominał się niemal groźnie o zemstę.

— Pójdzie skarga do wielkiego mistrza — mówił — i jeśli sprawiedliwości od waszej książęcej mości nie uzyskamy, on sam potrafi ją uczynić, choćby za owym zbójem całe Mazowsze stanęło.

Lecz książę, lubo z natury łagodny, rozgniewał się i rzekł:

— Jakieżże to sprawiedliwości się domagacie? Gdyby Jurand pierwszy na was nastąpił, wsie popalił, stada zagarnął i ludzi pobił, pewnie bym go na sąd wezwał i karę mu odmierzył. Ale wasi to sami go naszli. Wasz starosta knechtów na wyprawę pozwolił, a cóże Jurand? Jeszcze wyzwanie przyjął, a tego jeno żądał, by ludzie odeszli. Jakoże mam go za to karać alibo na sąd pozywać? Zaczepiliście strasznego męża, którego się wszyscy boją, i dobrowolnie ściągnęliście klęskę na wasze głowy, więc czegoż chcecie? Zali mam mu rozkazać, aby się nie bronił, gdy się wam spodoba go najechać?

— Nie Zakon go napastował, jeno goście, obcy rycerze — odparł Hugo.

— Za gości Zakon odpowiada, a do tego byli z nimi knechci z lubawskiej załogi.

— Miałże starosta gości jako na rzeź wydać?

Na to książę zwrócił się do Zygryda i rzekł:

— Patrzcież, w co się sprawiedliwość w waszych uścicach<sup>781</sup> obraca i zali wasze wykręty nie obrażają Boga?

Lecz surowy Zygryd odrzekł:

— Pan de Bergow musi być z niewoli wypuszczon, albowiem mężowie z jego rodu bywali starszymi w Zakonie i wielkie Krzyżowi oddali usługi.

— A śmierć Majnegera musi być pomszczona — dodał Hugo de Danveld.

Książę, usłyszawszy to, odgarnął na obie strony włosy i wstawszy z ławy, począł iść ku Niemcom z twarzą złowrogą, po chwili jednak wspomniął widocznie, że byli jego gośćmi, więc pohamował się raz jeszcze, położył rękę na ramieniu Zygryda i rzekł:

— Słuchajcie, starosto: krzyż na płaszczu nosicie, więc odpowiedzcie wedle sumienia, na ten krzyż! Praw<sup>782</sup>—li był Jurand czy też nie praw?

— Pan de Bergow musi być z niewoli wypuszczon — odpowiedział Zygryd de Löwe.

Nastała chwila milczenia, po czym książę rzekł:

— Bóg<sup>783</sup>, daj mi cierpliwość.

Zygryd zaś mówił dalej głosem ostrym, do cięć miecza podobnym:

— Ta krzywda, która nas w osobach gości naszych spotkała, to jeno nowa sposobność do skargi. Jak Zakon Zakonem, nigdy, ni w Palestynie, ni w Siedmiogrodzie<sup>784</sup>, ni między dotychczas pogańską Litwą, nie uczynił nam jeden zwykły mąż tyle złego, ile ten zbój ze Spychowa. Wasza książęca mość! My sprawiedliwości i kary żądamy nie za jedną krzywdę, ale za tysiąc, nie za jedną bitwę, ale za pięćdziesiąt, nie za krew raz przelaną, ale za całe lata takowych postępów, za które ogień niebieski powinien był spalić to bezbożne gniazdo złości i okrucieństwa. Czyż tam jęki wołają o pomstę do Boga? Nasze! Czyje łyzy? Nasze! Próżno zanosiliśmy skargi, próżno wołali o sąd. Nigdy nie uczyniono nam zadość!

Usłyszawszy to, książę Janusz począł kiwać głową i odrzekł:

— Hej! Nieraz drzewiej Krzyżacy gościli w Spychowie i nie był Jurand waszym wrogiem, póki mu umiłowana niewiasta na waszym powrozie nie skonowała. Ale ileż to razy zaczepialiście go sami, chcąc go zgładzić, jako i ninie, za to, że pozywał i zwyciężał waszych rycerzy? Ile razy nasadzaliście<sup>785</sup> na niego zbójców albo biliście do niego z kusz w boru? Następowal ci on na was, prawda, bo go piekła zemsta, ale czyliż wy lub rycerze, którzy na ziemiach waszych siedzą, nie następowali na spokojnych ludzi na Mazowszu, nie zagarniali stad, nie palili wsiów, nie mordowali mężów, niewiast i dzieci? A gdy się skarżył mistrzowi, to mi odpowiadał z Malbarga: „Zwyczajna graniczna swawola!”.

Sprawiedliwość,  
Niebezpieczeństwo

Krzywda

<sup>781</sup>w uścicach — dziś popr.: w ustach. [przypis edytorski]

<sup>782</sup>czy był praw (daw.) — czy miał prawo, czy miał rację. [przypis edytorski]

<sup>783</sup>Bóg — stylizacja staropolska: mianownik w roli wołacza. [przypis edytorski]

<sup>784</sup>Siedmiogród a. *Transylwania* — kraina hist. w centralnej Rumunii, zamieszkała m.in. przez liczną mniejszość węgierską. Król węgierski Andrzej Drugi sprowadził tam krzyżaków w 1212 dla obrony pogranicza przed koczownikami, lecz wygnał ich w 1225 za próbę zerwania zależności lennej. [przypis edytorski]

<sup>785</sup>nasadzać — nasyłać, przygotowywać zasadzki. [przypis edytorski]



Dajcie mi spokój! Nie wam przystoi się skarżyć, którzyście chwycili mnie samego, bez broni, w czasie pokoju, na mojej własnej ziemi, i gdyby nie strach przed gniewem króla krakowskiego, to może bym dotychczas w podziemiach waszych jęczał. Tak odpłaciliście się mnie, który z rodu waszych dobrodziejów pochodzę. Dajcie mi spokój, bo nie wam gadać o sprawiedliwości!

Ushyszawszy to, Krzyżacy spojrzeli po sobie niecierpliwie, gdyż przykro i wstyd im było, że książę wspomniał o zajściu pod Złotoryję wobec pana de Fourcy, więc Hugo de Danveld, chcąc położyć koniec dalszej o tym rozmowie, rzekł:

— Z waszą książęcą mością zdarzyła się omyłka, którąśmy nie ze strachu przed królem krakowskim, ale dla sprawiedliwości naprawili, a za graniczną swawolę mistrz nasz nie może odpowiadać, bo ile jest królestw na świecie, wszędy na granicach niespokojne duchy swawolą.

— To sam to gadasz, a sądu na Juranda wołasz. Czegoże chcecie?

— Sprawiedliwości i kary.

Książę zacisnął swe kościste pięści i powtórzył:

— Bóg, daj mi cierpliwość!

— Niech wasz książęcy majestat wspomni też i na to — mówił dalej Danveld — że nasi swywolnicy<sup>786</sup> krzywdzą jeno świeckich i nienależących do niemieckiego plemienia ludzi, wasi zaś przeciw niemieckiemu Zakonowi rękę podnoszą, przez co samego Zbawiciela obrażają. A jakichże mąk i kar dosyć na krzywdzicieli Krzyża?

— Słuchaj! — rzekł książę. — Bogiem nie wojuj, bo Go nie oszukasz!

I położywszy ręce na ramionach Krzyżaka, potrząsnął nim silnie, on zaś stropił się zaraz i począł łagodniejszym już głosem:

— Jeśli prawda, że goście pierwsi naszli Juranda i że nie odesłali ludzi, nie pochwałę im tego, ale czy istotnie Jurand przyjął wyzwanie?

To rzekłszy, począł patrzeć na pana de Fourcy, mrugając przy tym nieznacznie oczyma, jakby mu chcąc dać do zrozumienia, żeby zaprzeczył — lecz ów, nie mogąc czy nie chcąc tego uczynić, odrzekł:

— Chciał, byśmy odesławszy ludzi, samotrzeć<sup>787</sup> się z nim potykali.

— Pewni jesteście?

— Na moją cześć! Ja i de Bergow zgodziliśmy się, ale Majneger nie przystał.

Wtem książę przerwał:

— Starosto ze Szczytna! Wy lepiej od innych wiecie, że Jurand nie uchybił wyzwaniu.

Tu zwrócił się do wszystkich i rzekł:

— Który by z was chciał go pozwać na pieszą alibo na konną walkę, daję na to pozwolenie. Jeśliby Jurand był zabit lub pojman, pan Bergow wyjdzie bez wykupu z niewoli. Więcej ode mnie nie żądajcie, bo nie wskóracie.

Lecz po tych słowach zapadła cisza głęboka. I Hugo de Danveld, i Zygfyrd de Löwe, i brat Rotgier, i brat Gotfryd, jakkolwiek mężni, zbyt dobrze znali straszego dziedzica Spychowa, by którykolwiek z nich podjął z nim walkę na śmierć i życie. Mógł to uczynić chyba człowiek obcy, pochodzący z dalekich stron, jak de Lorche lub Fourcy, ale de Lorche nie był obecny przy rozmowie, zaś pan de Fourcy nadto pełen był jeszcze wewnętrznego przerażenia.

— Raz go widziałem — mruknął z cicha — i nie chcę widzieć więcej.

Zaś Zygfyrd de Löwe rzekł:

— Zakonnikom nie wolno jest w pojedynczej walce się potykać, chyba za osobnym mistrza i wielkiego marszałka pozwoleniem, ale my tu nie pozwoleniśmy na walkę żądamy, jeno by de Bergow był z niewoli wypuszczon, a Jurand na gardle skaran.

— Nie wy prawa w tej ziemi stanowicie.

— Bośmy do tej pory cierpliwie ciężkie sąsiedztwo znosili. Ale mistrz nasz potrafi wymierzyć sprawiedliwość.

— Zasię<sup>788</sup> mistrzowi i wam od Mazowsza!

<sup>786</sup>swywolnik a. swawolnik (daw.) — człowiek postępujący według własnej woli, niepodporządkowujący się autorytetom. [przypis edytorski]

<sup>787</sup>samotrzyć — we trzech. [przypis edytorski]

<sup>788</sup>zasię (daw.) — wara, precz. [przypis edytorski]

— Za mistrzem stoją Niemcy i cesarz rzymski<sup>789</sup>.  
— A za mną król polski, któremu więcej ziem i narodów podlega.  
— Czy wasza książęca mość chce wojny z Zakonem?  
— Gdybym chciał wojny, nie czekałbym was na Mazowszu, jeno szedł ku wam, ale i ty mi nie groź, boć się nie boję.  
— Cóż mam donieść mistrzowi?  
— Wasz mistrz o nic nie pytał. Mów mu, co chcesz.  
— Tedy sami wymierzmy karę i pomstę.  
Na to książę wyciągnął ramię i począł kiwać groźnie palcem przy samej twarzy Krzyżaka.

— Waruj się! — rzekł stłumionym przez gniew głosem. — Waruj się! Jam ci pozwolił wyzwąć Juranda, ale gdybyś z wojskiem zakonnym wdarł mi się do kraju, tedy na cię uderzę i więźniem, nie gościem, tu osiedzisz.

I widocznie cierpliwość jego była już wyczerpana, gdyż cisnął ze wszystkich sił czapkę o stół i wyszedł z izby, trzasnąwszy drzwiami. Krzyżacy pobladli ze wściekłości, a pan de Fourcy spoglądał na nich jak błędny.

— Co tedy będzie? — spytał pierwszy brat Rotgier.

A Hugo de Danveld przyskoczył niemal z pięściami do pana de Fourcy.

— Po coś powiedział, że wyście pierwsi naśli<sup>790</sup> Juranda?

— Bo prawda!

— Trzeba ci było zelgać.

— Jam tu przyjechał bić się, nie łągać.

— Tęgo się bileś, ni słowa!

— A tyś to nie pomykał przed Jurandem do Szczytna?

— *Pax!* — rzekł de Löwe. — Ten rycerz jest gościem Zakonu.

— I wszystko jedno, co rzekł — wtrącił brat Gotfryd. — Bez sądu nie skaraliby Juranda, a na sądzie rzecz by musiała wyjść na wierzch.

— Co tedy będzie? — powtórzył brat Rotgier.

Nastała chwila milczenia, po czym zabrał głos surowy i zawzięty Zygfryd de Löwe.

— Trzeba z tym krwawym psem raz skończyć! — rzekł. — De Bergow musi być z więzów wydobyty. Ściągniem załogi ze Szczytna, z Insburka, z Lubawy, wezwiem chełmińską szlachtę i uderzymy na Juranda... Czas z nim skończyć!

Lecz przebiegły Danveld, który umiał każdą rzecz na obie strony rozważyć, założył ręce na głowę, namarszczył się i po namyśle rzekł:

— Bez pozwolenia mistrza nie można.

— Jeśli się uda, to mistrz pochwali! — ozwał się brat Gotfryd.

— A jeśli się nie uda? Jeśli książę ruszy kopijników i uderzy na nas?

— Jest pokój między nim i Zakonem: nie uderzy!

— Ba! Jest pokój, ale my go pierwsi naruszym. Załogi nasze przeciw Mazurom nie wystarczą.

— To mistrz ujmie się za nami i będzie wojna.

Danveld znów się namarszczył i zamyślił:

— Nie! Nie! — rzekł po chwili. — Jeśli się uda, mistrz będzie w duchu rad... Pójdą posły do księcia, będą układy i ujdzie nam bezkarnie. Ale w razie klęski Zakon nie ujmie się za nami i wojny księciu nie wypowie... Innego by na to trzeba mistrza... Za księciem stoi król polski, a z nim mistrz nie zdrze...

— Wszelako wzięliśmy ziemię dobrzyńską, to widać nie strach nam Krakowa.

— Bo były pozory... Opolczyk<sup>791</sup>... Wzięliśmy niby zastaw, a i to...

Tu obejrzał się naokół i zniżonym głosem dodał:

— Słyszałem w Malborgu, iż gdyby wojną grozili, to byle nam zastaw wrócono, od-damy.

— Ach! — rzekł brat Rotgier. — Gdyby tu między nami był Markwart Salzbach<sup>792</sup>

Okrucieństwo

<sup>789</sup> *cesarz rzymski* — tytuł cesarza niemieckiego. [przypis edytorski]

<sup>790</sup> *naśli* — dziś popr.: *nasli*. [przypis edytorski]

<sup>791</sup> *Opolczyk* — chodzi o Władysława II Opolczyka, stronnika dynastii Andegawenów, który zastawił Krzyżakom zamek w Złotorzy, co stało się dla nich uzasadnieniem do zawłaszczenia terytoriów Polski. [przypis edytorski]

albo Szomberg<sup>793</sup>, który szczenięta Witoldowe wydusił, ci znaleźliby radę na Juranda. Cóż Witold! Namiestnik Jagiełłów! Wielki książę, a pomimo tego Szombergowi nic... Wydusił Witoldowi dzieci i nic mu!... Zaprawdę, brak między nami ludzi, którzy na wszystko potrafią znaleźć sposób...

Ushłyszawszy to, Hugo de Danveld wsparł łokcie na stole, głowę na rękach i na długi czas zatopił się w rozmyślaniu. Nagle rozjaśniły mu się oczy, obtarł wedle zwyczaju wierzchem dłoni wilgotne, grube wargi i rzekł:

— Błogosławiona niech będzie chwila, w której wspomnieliście, pobożny bracie, imię mężnego brata Szomberga.

— Czemu tak? Zaliście coś obmyślili? — spytał Zygfryd de Löwe.

— Mówcie żywo! — zawołali bracia Rotgier i Gotfryd.

— Słuchajcie — rzekł Hugo. — Jurand ma tu córkę, jedyne dziecko, którą jako żrenicę oka miłuje.

— Ma! Znamy ją. Miłuje ją i księżna Anna Danuta.

— Tak. Otóż słuchajcie, gdybyście porwali tę dziewczkę, Jurand oddałby za nią nie tylko Bergowa, ale wszystkich jeńców, siebie samego i Spychów w dodatku!

— Na krew świętego Bonifacego przelaną w Dochum! — zawołał brat Gotfryd. — Byłoby tak, jako mówicie!

Po czym zamilkli, jakby przestraszeni śmiałością i trudnościami przedsięwzięcia.

Dopiero po chwili brat Rotgier zwrócił się do Zygryda de Löwe:

— Rozum wasz i doświadczenie — rzekł — równe są męstwu; co tedy o tym musicie?

— Mniemam, że sprawa warta rozważenia.

— Bo — mówił dalej Rotgier — dziewczka jest przyboczną księżną; ba, więcej, gdyż prawie córką umiłowaną. Pomyślcie, pobożni bracia, jaki powstanie hałas.

A Hugo de Danveld począł się śmiać.

— Samiście mówili — rzekł — że Szomberg wytruł czy też wydusił Witoldowe szczenięta, i cóż mu za to? Hałas oni z byle przyczyny podnoszą, ale gdybyśmy posłali mistrzowi Juranda na łańcuchu, czeka nas pewnie nagroda niż kara.

— Tak — ozwał się de Löwe — sposobność do najazdu jest. Książę wyjeżdża, Anna Danuta zostaje tu jeno z dworskimi dziewczki. Jednakże najazd na dwór książęcy w czasie pokoju: nie byle sprawa. Dwór książęcy nie Spychów. To znów jak w Złotoryi! Znów pójdą skargi do wszystkich królestw i do papieża na gwałty Zakonu; znów odezwie się z groźbą przeklęty Jagiełło, a mistrz... znacie go przecie: rad on uchwyci, co się da chwycić, ale wojny z Jagiełłą nie chce... Tak! Krzyk się podniesie we wszystkich ziemiach Mazowska i Polski.

— A tymczasem gości Juranda zbieleją na haku — odparł brat Hugo. — Kto wreszcie mówi wam, by ją tu z dworca spod boku księżny porwać?

— Przecie nie z Ciechanowa, gdzie prócz szlachty jest trzystu łuczników.

— Nie. Ale zali Jurand nie może zachorzeć i przysłać ludzi po dziewczkę. Nie wzbrowni jej wtedy księżna jechać, a jeśli dziewczka w drodze przepadnie, kto powie wam lub mnie: „Tyś ją porwał!”

— Ba! — odrzekł zniecierpliwiony de Löwe. — Sprawcie, by Jurand zachorzał i dziewczkę wezwał...

Na to uśmiechnął się z tryumfem Hugo i odrzekł:

— Mam ci ja u siebie złotnika, który z Malbarga za złodziejstwo wypędzony w Szczytnie osiadł i który każdą pieczęć wyciąć potrafi; mam i ludzi, którzy, choć nasi poddani, z mazurskiego narodu pochodzą... Zali mnie jeszcze nie rozumiecie?...

— Rozumiem! — zawołał z zapalem brat Gotfryd.

A Rotgier podniósł dłonie do góry i rzekł:

— Niech ci Bóg szczęści, pobożny bracie, bo ni Markwart Salzbach, ni Szomberg nie znaleźliby lepszego sposobu.

<sup>792</sup>Markwart von Salzbach — komtur krzyżacki, ścięty przez wielkiego księcia Witolda po bitwie pod Grunwaldem, ponoć za krzywdę wyrządzoną Birucie. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że Markwart von Salzbach był wieloletnim doradcą Witolda i współuczestnikiem bitwy nad Worskłą. [przypis edytorski]

<sup>793</sup>Szomberg — nazwisko to, jako zabójcy dzieci księcia Witolda, pojawia się w tekstach pisarza i historyka Karola Szajnochy (1818–1868). [przypis edytorski]

Po czym przymrzył oczy, jakby chciał dojrzeć coś dalekiego.

— Widzę Juranda — rzekł — jako z powrozem na szyi stoi przy Gdańskiej Bramie w Malborgu i jako kopią go nogami knechty nasze...

— A dziewczka zostanie służką Zakonu — dodał Hugo.

Uszyszawszy to, de Löwe zwrócił oczy na Danvelda, on zaś uderzył się znów wierzchem dłoni w usta i rzekł:

— A teraz do Szczytna nam jak najprędzej!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Jednakże przed wyruszeniem do Szczytna czterej bracia i de Fourcy przyszli jeszcze pożegnać się z księciem i księżną.

Było to pożegnanie niezbyt przyjazne, wszelako książe, nie chcąc wedle starego polskiego obyczaju wypuszczać gości z domu z próżnymi rękoma, podarował każdemu z braci piękny błam<sup>794</sup> kuni i po grzywnie<sup>795</sup> srebra, oni zaś przyjęli z radością, zapewniając, że jako zakonnicy zaprzysiężeni na ubóstwo nie zatrzymają tych pieniędzy dla siebie, ale rozdadzą je ubogim, którym zarazem polecą się modlić za zdrowie, sławę i przyszłe zbawienie księcia. Uśmiechali się pod wąsem z tych zapewnień Mazurowie, albowiem dobrze znana im była chciwość zakonna, a jeszcze lepiej kłamstwa Krzyżaków. Powtarzano na Mazowszu, że „jako tchórz cuchnie, tak Krzyżak łże”. Książe też jeno machnął ręką na podobną podziękę, a po ich wyjściu rzekł, iż rakiem<sup>796</sup> chyba pojechałby do nieba za przyczyną modlitw krzyżackich.

Kłamstwo

Lecz przedtem jeszcze, przy pożegnaniu się z księżną, w chwili gdy Zygfryd de Löwe całował jej rękę, Hugo von Danveld zbliżył się do Danusi, położył dłoń na jej głowie i głaszcząc ją, rzekł:

— Nam przykazano dobrem za złe płacić i miłować nawet nieprzyjaciół naszych, więc przyjedzie tu siostra zakonna i przywiezie wam, panienko, gojący balsam hercyński.

— Jakoże mam wam podziękować, panie? — odpowiedziała Danusia.

— Bądźcie przyjaciółką Zakonu i zakonników.

Zauważył tę rozmowę de Fourcy, a że uderzyła go przy tym uroda dziewczyny, więc gdy już ruszyli ku Szczytnu, zapytał:

— Co to za piękna dwórka, z którą rozmawialiście na odjeźdny?

— Córnka Juranda! — odpowiedział Krzyżak.

A pan de Fourcy zdziwił się.

— Ta, którą macie pochwycić?

— Ta. A gdy ją pochwycim, Jurand nasz.

— Nie wszystko widać złe, co od Juranda pochodzi. Warto być stróżem takiego jeńca.

— Myślicie, że łatwiej by było wojować z nią niż z Jurandem?

— To znaczy, że myślę tak samo jak i wy. Ojciec wróg Zakonu, a do córki mówiliście miodek smarowane słowa i w dodatku obiecaliście jej balsam.

Hugo de Danveld uczył widocznie potrzebę usprawiedliwienia się kilkoma słowy.

— Obiecałem jej balsam — rzekł — dla tego młodego rycerza, który od tura pobit i z którym, jako wiecie, jest zmówiona<sup>797</sup>. Jeśli podniosą krzyk po pochwyceniu dziewczki, powiemy, żeśmy nie tylko nie chcieli jej krzywdy, aleśmy jej jeszcze leki przez chrześcijańskie miłosierdzie posyłałi.

— Dobrze — rzekł de Löwe. — Trzeba jeno posłać kogoś pewnego.

— Poślę jedną pobożną niewiastę, całkiem Zakonowi oddaną. Przykażę jej patrzeć i słuchać. Gdy ludzie nasi niby od Juranda przybędą, znajdą gotowe porozumienie...

— Takich ludzi trudno będzie dobrać.

— Nie. Naród u nas mówi tym samym językiem. Są też w mieście, ba! nawet między knechtami w załodze, ludzie, którzy prawem ścigani z Mazowsza zbiegli; zbóje, złodzieje: prawda, ale żadnej trwogi nieznający i na wszystko gotowi. Tym obiecę, jeśli wskórają, wielkie nagrody, jeśli nie wskórają — powróż.

<sup>794</sup>błam — zszyte skóry zwierząt futerkowych. [przypis edytorski]

<sup>795</sup>grzywna — tu jako jednostka wagi: pół funta. [przypis edytorski]

<sup>796</sup>rakiem (daw.) — tyłem. [przypis edytorski]

<sup>797</sup>zmówiony (daw.) — zaręczony. [przypis edytorski]

— Ba! A nuż zdradzą?

— Nie zdradzą, bo na Mazowszu każdy dawno na łamanie kołem<sup>798</sup> zarobił i nad każdym wyrok cięży. Trzeba im tylko dać ochędożne szaty, aby ich za prawych Jurandowych pacholków poczytano; i główna rzecz: list z pieczęcią od Juranda.

— Należy wszystko przewidzieć — rzekł brat Rotgier. — Jurand po ostatniej bitwie zechce może zobaczyć księcia, aby się na nas poskarżyć, a siebie usprawiedliwić. Będąc w Ciechanowie, zajędzie do córki, do leśnego dworca. Może się wtedy przygodzić, że nasi ludzie, przybywszy po Jurandównę, natkną się na samego Juranda.

— Ci ludzie, których wybiorę, są szelmy<sup>799</sup> kute na cztery nogi. Będą oni wiedzieć, że jeśli się natkną na Juranda, pójdą na haki<sup>800</sup>. Ich głowa w tym, żeby się nie spotkali.

— Jednak może się zdarzyć, że ich pochwyć.

— Tedy wyprzemy się i ich, i listu. Kto nam dowiedzie, że to myśmy ich wysłali? Wreszcie: nie będzie porwania, nie będzie krzyku, a że kilku wisielców<sup>801</sup> Mazury pócwiertują, nie stanie się przez to szkoda dla Zakonu.

A brat Gotfryd, najmłodszy między zakonnikami, rzekł:

— Nie rozumiem tej waszej polityki ani tej waszej bojaźni, aby się nie wydało, że dziewczka z naszego nakazu porwana. Mając ją raz w rękę, musimy przecie posłać kogoś do Juranda i powiedzieć mu: „Twoja córka jest u nas; chcesz-li, by odzyskała wolność, oddaj za nią de Bergowa i siebie samego...”. Jakże inaczej?... Ale wtedy będzie wiadomo, że to my nakazaliśmy dziewczynę pochwyć.

— Prawda! — rzekł pan de Fourcy, któremu niezbyt przypadła do smaku cała sprawa.

— Po co ukrywać to, co musi się wydać.

A Hugo de Danveld począł się śmiać i zwróciwszy się do brata Gotfryda, zapytał:

— Jak dawno nosicie białe płaszcz?

— Skończy się sześć lat na pierwszą niedzielę po Świętej Trójcy.

— Jak go przenosicie jeszcze sześć, będziecie lepiej rozumieli sprawę Zakonu. Jurand zna nas lepiej niż wy. Powie mu się tak: „Twojej córki pilnuje brat Szomberg i jeśli słowo piśniesz, to wspomnij na dzieci Witolda...”.

— A później?

— Później de Bergow będzie wolny, a Zakon będzie także uwolnion od Juranda.

— Nie! — zawołał brat Rotgier. — Wszystko jest tak rozumnie pomyślane, że Bóg powinien pobłogosławić naszemu przedsięwzięciu.

— Bóg błogosławi wszelkim czynkom mającym na celu dobro Zakonu — rzekł posepny Zygfryd de Löwe.

I jechali dalej w milczeniu — a przed nimi na dwa lub trzy strzelania z kuszy szły ich poczty, aby torować drogę, która stała się kopna<sup>802</sup>, albowiem w nocy spadł śnieg obfity. Na drzewach leżała bogata okiść<sup>803</sup>, dzień był chmurny, ale ciepły, tak że z koni podnosił się opar. Z lasów ku ludzkim siedliskom leciały stada wron, napełniając powietrze posepnym krakaniem.

Pan de Fourcy pozostał nieco za Krzyżakami i jechał w głębokim zamyśleniu. Był on od kilku lat gościem Zakonu, brał udział w wyprawach na Żmudź, gdzie odznaczył się wielkim męstwem i podejmowany wszędy tak, jak tylko Krzyżacy umieli podejmować rycerzy z dalekich stron, przywiązał się do nich mocno, a nie mając własnej fortuny, zamierzał wstąpić w ich szeregi. Tymczasem to przesiadywał w Malborgu, to odwiedzał znajome komandorie<sup>804</sup>, szukając w podróży rozrywki i przygód. Przybywszy świeżo do Lubawy wraz z bogatym de Bergowem i zasłyszawszy o Jurandzie, począł płonąć żądzą zmierzenia się z mężem, którego otaczała groza powszechna.

Przybycie Majnegera, który ze wszystkich walk wychodził zwycięzcą, przyspieszyło wyprawę. Komtur z Lubawy dał na nią ludzi; naopowiadał jednak tyle trzem rycerzom nie tylko o okrucieństwie, ale o podstępach i wiarołomstwie Juranda, iż gdy ów zażądał,

<sup>798</sup>łamanie kołem — forma średniowiecznej egzekucji. [przypis edytorski]

<sup>799</sup>szelma — osoba sprytna i nieuczciwa. [przypis edytorski]

<sup>800</sup>pójść na haki — forma średniowiecznej egzekucji. [przypis edytorski]

<sup>801</sup>wisielec — tu: osoba, która zasługuje na śmierć przez powieszenie. [przypis edytorski]

<sup>802</sup>kopny — grząski lub sypki, trudny do przebycia. [przypis edytorski]

<sup>803</sup>okiść — przypominający liście śnieg przyrośnięty do gałęzi. [przypis edytorski]

<sup>804</sup>komandoria a. komturia — jednostka administracyjna w zakonach rycerskich. [przypis edytorski]

by odprawili żołnierzy, nie chcieli się na to zgodzić, bojąc się, że gdy to uczynią, otoczy ich, wytraci lub wtrąci do piwnic spychowskich. Wówczas Jurand, mniemając, że chodzi im nie tylko o walkę rycerską, ale i o grabież, uderzył na nich wstępnym bojem i zadał im klęskę okrutną. De Fourcy widział Bergowa obalonego wraz z koniem, widział Majnegera z odłamem włóczni w brzuchu, widział ludzi próżno błagających o litość. Sam ledwo zdołał się przebić — i kilka dni tułał się po drogach i lasach, gdzie byłby zamarł z głodu lub stał się łupem dzikiego zwierza, gdyby wypadkiem nie dostał się do Ciechanowa, w którym znalazł braci Gotfryda i Rotgiera. Z całej wyprawy wyniósł uczucie upokorzenia, wstydu, nienawiści, zemsty i żalu za Bergowem, który był mu bliskim przyjacielem. Toteż z całej duszy przyłączył się do skargi zakonnych rycerzy, gdy domagali się kary i wolności dla nieszczęsnego towarzysza, a gdy ta skarga pozostała bezowocną — w pierwszej chwili gotów był zgodzić się na wszystkie środki, które wiodły do zemsty nad Jurandem. Teraz jednak ozwały się w nim nagle skrupuły. Przysłuchując się rozmowom zakonników, a zwłaszcza temu, co mówił Hugo de Danveld, niejednokrotnie nie mógł oprzeć się zdziwieniu. Poznawszy bliżej w ciągu kilku lat Krzyżaków, widział już wprawdzie, że nie są oni tacy, za jakich przedstawiają ich w Niemczech i na Zachodzie. W Malborgu poznał jednakże kilku prawych i surowych rycerzy; ci sami często rozwodzili skargi nad zepsuciem braci, nad ich rozpustą, brakiem karność — i de Fourcy czuł, że mają słusność, ale sam będąc rozpustnym i niekarnym, nie brał zbyt za złe innym tych wad, zwłaszcza że wszyscy rycerze zakonnicy nagradzali je męstwem. Widział ich przecie pod Wilnem uderzających piersią o pierś polskich rycerzy, przy zdobywaniu zamków broniowych z nadludzką uporczywością przez posiłkowe polskie załogi; widział ich ginących pod ciosami toporów i mieczów, w szturmach ogólnych lub w pojedynczych walkach. Byli nieubłagani i okrutni dla Litwy, ale byli zarazem jako lwy — i chodzili w chwale jak w słońcu. Teraz jednak wydało się panu de Fourcy, że Hugo de Danveld mówi takie rzeczy i podaje takie sposoby, na które wzdrygnąć się powinna dusza w każdym rycerzu — a zaś inni bracia nie tylko nie powstają na niego z gniewem, ale przytakują każdemu jego słowu. Więc zdziwienie ogarniało go coraz większe i wreszcie zadumał się głęboko, czy mu przystoi do takich uczynków rękę przykładać. Gdyby bowiem chodziło tylko o porwanie dziewczyny, a następnie o wymienienie jej za Bergowa, byłby się może na to zgodził, chociaż poruszyła go i ujęła za serce uroda Danusi. Gdyby przyszło mu być jej stróżem, nie miałby także nic przeciwko temu, a nawet nie był pewien, czyby z rąk jego wyszła taką, jaką w nie wpadła. Ale Krzyżakom szło widocznie o co innego.

Oni przez nią chcieli dostać wraz z Bergowem i samego Juranda — obiecać mu, że ją wypuszczą, jeśli się za nią odda, a potem zamordować go, a z nim razem, dla ukrycia oszustwa i zbrodni — zapewne i dziewczynę. Wszakże już grozili jej losem dzieci Witoldowych na wypadek, gdyby Jurand śmiał się skarżyć. „Niczego nie chcą dotrzymać, oboje oszukać i oboje zgładzić — rzekł sobie de Fourcy — a przecie krzyż noszą i czci więcej od innych przestrzegać winni”. I burzyła się w nim dusza co chwila mocniej na taką bezczelność, ale postanowił jeszcze sprawdzić, o ile jego podejrzenia są słuszne — więc podjechał znów do Danvelda i zapytał:

— A jeśli Jurand się wam odda, czy wypuścicie dziewczę?

— Gdybyśmy ją wypuścili, cały świat wnet by wiedział, że to my chwyciliśmy oboje — odrzekł Danveld.

— Ba, cóż z nią uczynicie?

Na to Danveld pochylił się ku mówiącemu i ukazał w uśmiechu swe spróchniałe zęby spod grubych warg.

— O co pytacie? Czy o to, co uczynimy z nią przedtem, czy o to, co potem?

Lecz Fourcy wiedząc już, co chciał wiedzieć, zamilkł — przez chwilę jeszcze zdawał się walczyć z sobą, a następnie podniósł się nieco na strzemionach i rzekł tak głośno, aby go wszyscy czterej zakonnicy usłyszeli:

— Pobożny brat Ulryk von Jungingen, który jest wzorem i ozdobą rycerstwa, rzekł mi raz tak: „Jeszcze między starymi w Malborgu znajdziesz godnych Krzyża rycerzy, ale ci, którzy na pogranicznych komandoriach siedzą, zakałę<sup>805</sup> jeno Zakonowi przynoszą”.

— Wszyszcysmy grzeszni, ale Panu naszemu służymy — odrzekł Hugo.

<sup>805</sup>zakała — tu: wstyd, hańba. [przypis edytorski]

— Gdzie wasza rycerska cześć? Nie przez haniebne uczynki Panu się służy; chyba że nie Zbawicielowi służycie. Któż to wasz Pan? Wiedźcie przeto, że nie tylko do niczego ręki nie przyłożę, ale i wam nie pozwolę...

— Na co nie pozwolicie?

— Na podstęp, na zdradę, na hańbę.

— A jakoż możecie nam zabronić? W bitwie z Jurandem postradaliście poczet i wozy. Żyć musicie tylko z łaski Zakonu i z głodu zamrzecie, jeśli wam kawałek chleba nie rzucim. A w dodatku: wyście jeden, nas czterech; jakoż nie pozwolicie?

— Jako nie pozwolę? — powtórzył Fourcy. — Mogę nawrócić do dworca i ostrzec księcia, mogę przed całym światem wasze zamiary rozgłosić.

Na to spojrzeli po sobie bracia zakonni i twarze zmieniły im się w okamgnieniu. Szczególniej Hugo de Danveld popatrzył przez długą chwilę pytającym wzrokiem w oczy Zygryda de Löwe, po czym zaś zwrócił się do pana de Fourcy:

— Przodkowie wasi — rzekł — służywali już w Zakonie i wy chcecie do niego wstąpić, ale my zdrajców nie przyjmujem.

— Ja zaś nie chcę ze zdrajcami służyć.

— Ejże! Nie spełnicie waszej groźby. Wiedziecie, że Zakon umie karać nie tylko zakonników...

Morderstwo, Zdrada

A de Fourcy, którego podnieciły te słowa, wy dobył miecz, lewą ręką schwycił za ostrze, prawą dłoń położył na rękojeści i rzekł:

— Na tę rękojmię mającą kształt krzyża, na głowę świętego Dionizego<sup>806</sup>, mego patrona, i na moją rycerską cześć, ostrzegę księcia mazowieckiego i mistrza.

Hugo de Danveld znów popatrzył pytającym wzrokiem na Zygryda de Löwe, a ów przymknął powieki, jakby dając znak, że się na coś zgadza.

Wówczas Danveld ozwał się jakimś dziwnie głuchym i zmienionym głosem:

— Święty Dionizy mógł nieść pod pachą swą uciętą głowę, ale gdy wasza raz spadnie...

— Grozicie mi? — przerwał de Fourcy.

Morderstwo

— Nie, jeno zabijam! — odpowiedział Danveld.

I pchnął go nożem w bok z taką siłą, że aż ostrze schowało się w ciele po krzyżyk. De Fourcy zawrzasnął strasznym głosem, przez chwilę usiłował chwycić prawą ręką miecz, który poprzednio trzymał w lewej, ale upuścił go na ziemię, w tym samym zaś czasie pozostali trzej bracia poczęli go żgać bez litości nożami w szyję, w plecy, w brzuch, dopóki nie spadł z konia.

Po czym nastąpiło milczenie. De Fourcy, krwawiąc okropnie z kilkunastu ran, drgał na śniegu i darł go powykrzywianymi przez konwulsje palcami.

Spod ołowianego nieba dochodziło tylko krakanie wron lecących z głuchych puszczy ku ludzkim siedliskom.

A następnie poczęła się śpieszna rozmowa morderców:

— Ludzie nic nie widzieli! — rzekł zdyszonym głosem Danveld.

— Nic. Poczty są na przedzie; nie widać ich — odparł Löwe.

— Słuchajcie: będzie powód do nowej skargi. Rozgłosim, że mazowieccy rycerze napadli na nas i zabili nam towarzysza. Podniosiem krzyk, aż go w Malborgu usłyszą, że nawet na gości ksiądz nasadza morderców. Słuchajcie! Należy mówić, iż Janusz nie tylko nie chciał wysłuchać naszych skarg na Juranda, ale kazał zamordować skarżyciela.

De Fourcy przewrócił się tymczasem w ostatniej konwulsji na wznak i leżał nieruchomy, z krwawą pianą na ustach i z przerażeniem w martwych już, szeroko otwartych oczach. Brat Rotgier popatrzył na niego i rzekł:

— Uważcie<sup>807</sup>, pobożni bracia, jako Bóg karze sam zamiar zdrady.

— Cośmy uczynili, uczyniliśmy dla dobra Zakonu — odrzekł Gotfryd. — Chwała tym...

Lecz przerwał, bo w tej samej chwili z tyłu za nimi, na zakręcie śnieżnej drogi, ukazał się jakiś jeździec, który pędził co koń wyskoczy. Ujrzawszy go, Hugo de Danveld zawołał prędko:

<sup>806</sup>*św. Dionizy* (zm. ok. 250–258) — pierwszy biskup Paryża, męczennik, patron Francji. Według legendy po egzekucji przez ścięcie wstał i przeszedł kilka kilometrów z głową pod pachą, by oddać ją jakiejś pobożnej kobiecie. [przypis edytorski]

<sup>807</sup>*uważcie* — tu: patrzcie, zauważcie. [przypis edytorski]

— Ktokolwiek ten człowiek jest: musi zginąć.

A de Löwe, który, lubo najstarszy między braćmi, miał wzrok nadzwyczaj bystry, rzekł:

— Poznając go: to ów giermek, który tura toporem zabił. Tak jest: to on!

— Pochowajcie noże, aby się nie spłoszył — mówił Danveld. — Ja znów pierwszy uderzę, wy za mną.

Tymczasem Czech dojechał i o dziesięć lub ośm kroków zapał konia w śnieg. Dojrzał trupa w kałuży krwi, konia bez jeźdźca i zdumienie odbiło mu się na twarzy, ale trwało tylko przez jedno mgnienie oka. Po chwili zwrócił się do braci, tak jakby nic nie widział, i rzekł:

— Czołem, mężni rycerze!

— Poznaliśmy cię — odpowiedział, zbliżając się z wolna, Danveld. — Masz-li co do nas?

— Wysłał mnie rycerz Zbyszko z Bogdańca, za którym kopię noszę, a który od tura na łowach pobit, sam nie mógł ku wam.

— Czego chce od nas twój pan?

— Za to, żeście niesłusznie Juranda ze Spychowa oskarżyli z ujmą dla jego rycerskiej czci, pan mój każe wam powiedzieć, iżeście nie jako prawi rycerze czynili, ale jako psi szczekali; a któren by był krzyw o te słowa, tego pozywa na walkę pieszą albo konną, aż do ostatniego tchu, do której stanie, gdzie mu wskażecie, gdy tylko za łaską i zmiłowaniem bożym dzisiejsza krzypota<sup>808</sup> go popuści.

— Powiedz panu swemu, że rycerze zakonni obelgi cierpliwie dla imienia Zbawiciela znoszą, zasię do walki bez osobliwego pozwolenstwa mistrza albo wielkiego marszałka stawać nie mogą, o które to pozwolenstwo jednakże będziem do Malborga pisali.

Czech znów spojrzął na trupa pana de Fourcy, albowiem do niego to głównie był posłany. Zbyszko wiedział już przecie, że zakonnicy do pojedynków nie stają, zasłyszawszy jednak, że był między nimi rycerz świecki, jego szczególnie chciał poznać, sądząc, że tym sobie ujmie i zjedna Juranda.

Tymczasem rycerz ów leżał oto teraz zarżnięty jak wół między czterema Krzyżakami. Czech nie zrozumiał wprawdzie, co zaszło, ale ponieważ był od dziecka ze wszelkimi niebezpieczeństwami oswojon, więc zwiertzył jakieś niebezpieczeństwo. Zdziwiło go też i to, że Danveld, mówiąc z nim, zbliżał się coraz bardziej ku niemu, inni zaś poczęli zjeżdżać na boki, jakby go chcieli nieznacznie okrążyć. Z tych powodów począł się mieć na baczności, zwłaszcza że nie miał przy sobie broni, bo jej w pośpiechu wziąć nie zdążył.

A Danveld tymczasem był tuż i mówił dalej:

— Obiecałem twemu panu balsam gojący, więc źle mi się za uczynność wypłaca. Zwykła to zresztą u Polaków rzecz... ale że ciężko jest pobit i wkrótce przed Bogiem może stanąć, więc powiedz mu...

Tu wsparł lewą dłoń na ramieniu Czecha.

— Więc powiedz mu, że ja, ot, jak odpowiadam!...

I w tej samej chwili błysnął nożem przy gardle giermka. Lecz nim zdołał pchnąć, Czech, który już od dawna śledził jego ruchy, chwycił go swymi żelaznymi rękoma za prawicę, wygiął ją, zakręcił, aż chrupnęły stawy i kości — i dopiero usłyszawszy okropny ryk bólu, wspiął konia — i pomknął jak strzała, zanim inni zdołali mu zastąpić. Bracia Rotgier i Gotfryd poczęli go gonić, ale wnet wrócili, przerażeni strasznym krzykiem Danvelda. De Löwe podtrzymał go pod ramiona, on zaś z twarzą bladą i zarazem zsiniałą krzyczał tak, że aż pocztowi, jadący przy wozach znacznie na przedzie, wstrzymali konie.

— Co wam jest? — pytali bracia.

Lecz de Löwe kazał im jechać co sił, sprowadzić wóz, albowiem Danveld widocznie nie mógł się na kulbace utrzymać. Po chwili zimny pot okrył mu czoło i zemdłał. Po sprowadzeniu wozu ułożono go na słomie i ruszono ku granicy. De Löwe pilił<sup>809</sup>, albowiem rozumiał, że po tym, co zaszło, nie można czasu tracić nawet dla opatrunku Danvelda. Siadłszy przy nim na wozie, wycierał od czasu do czasu śniegiem jego twarz, ale nie mógł przywrócić mu przytomności.

<sup>808</sup>krzypota (daw.) — kaszel, u Sienkiewicza konsekwentnie: choroba. [przypis edytorski]

<sup>809</sup>pilić — poganiać. [przypis edytorski]



Dopiero w pobliżu granicy Danveld otworzył oczy i począł obzierać się jakby ze zdziwieniem dokoła.

— Jak wam jest? — spytał Löwe.

— Nie czuję bólu, ale nie czuję i ręki — odrzekł Danveld.

— Bo wam już zdrętwiała, dlatego i ból minął. W cieplej izbie wróci. Tymczasem podziękujcie Bogu i za chwilę ulgi.

A Rotgier i Gotfryd zbliżyli się zaraz do wozu.

— Stało się nieszczęście — rzekł pierwszy. — Co teraz będzie?

— Powiemy — odparł słabym głosem Danveld — że giermek zamordował de Fourcy'ego.

— Nowa ich zbrodnia i winowajca wiadomy! — dodał Rotgier.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Czech tymczasem poleciał jednym pędem wprost do leśnego dworca i zastawszy jeszcze w nim księcia, opowiedział jemu pierwszemu, co się stało. Na szczęście znaleźli się dworzanie, którzy widzieli, że giermek wyjechał bez broni. Jeden z nich krzyknął mu był nawet na drogę półzartem, aby wziął jakie żelaziwo, bo inaczej Niemcy go pokolaczą, ów jednak, bojąc się, aby rycerze nie przejechali tymczasem granicy, skoczył na konia tak, jak stał, w koźuchu tylko, i pognał za nimi. Świadectwa te rozproszyły wszelkie wątpliwości księcia co do tego, kto mógł być zabójcą de Fourcy'ego, ale napęliły go niepokojem i gniewem tak wielkim, że w pierwszej chwili chciał wysłać pościg za Krzyżakami, aby ich w łańcuchach odesłać wielkiemu mistrzowi na ukaranie. Po chwili jednak sam zmiarkował, że pościg nie zdolałby już dosięgnąć rycerzy przed granicą, i rzekł:

— Wysłę wszelako pismo do mistrza, aby zasię wiedział, co oni tu wyrabiają. Źle się poczyna dzieć w Zakonie, bo drzewiej posłuch był okrutny, a teraz byle komtur na swoją rękę poczyna. Dopust boży, ale za dopustem idzie kara.

Po czym zamyślił się, a po chwili znów począł mówić do dworzan:

— Tego jeno nie mogłem nijak wyrozumieć, po co oni gościa zabili; i żeby nie to, że pacholek bez broni pojechał, miałbym na niego posądzenie.

— Ba — rzekł ksiądz Wyszoniek — a po cóż by go pacholek miał zabijać, którego przedtem nigdy nie widział, a po drugie, choćby i miał broń, jakże mu było jednemu na pięciu uderzyć i na ich poczty zbrojne.

— Juźci prawda — rzekł książę. — Musiał się im ów gość w czym przeciwieć albo może nie chciał tak łąć, jako im było trzeba, bom i to już widział, że mrugali na niego, aby powiedział, że Jurand pierwszy zaczął.

A Mrokota z Mocarzewa rzekł:

— Chwacki<sup>810</sup> to pacholek, jeśli on temu psu Danveldowi rękę pokruszył.

— Powiada, że słyszał, jak w Niemcu gnaty chrupnęły — odpowiedział książę — i miarkując z tego, jako się w boru popisał: może to być! Widać i sługa, i pan sierdзите chłopcy. Żeby nie Zbyszko, byłby się tur na konie rzucił. I Lotaryńczyk, i on wielce się do zratowania księżnej przyczynili...

— Pewnie, że sierdzyty chłop — przywodził ksiądz Wyszoniek. — Ot i teraz, ledwie dycha, a jednak się za Jurandem ujął i tamtych pozwał... Takiego właśnie Jurandowi trzeba zięcia.

— Coś ta Jurand inaczej w Krakowie gadał, ale teraz myślę, że się nie przeciwi — rzekł książę.

— Pan Jezus to sprawi — ozwała się księżna, która wszedłszy właśnie w tej chwili, usłyszała koniec rozmowy. — Nie może się Jurand teraz przeciwieć, byleby Bóg Zbyszskowi zdrowie powrócił. Ale i z naszej strony musi być też nagroda.

— Najlepsza dla niego nagroda będzie Danuśka, a ja też myślę, że ją dostanie, a to przez tę przyczynę, że jak się baby na co zawezmą, to przeciw nim i taki Jurand nie poradzi.

— Albo nie po sprawiedliwości się zawzięłam? — zapytała księżna. — Żeby Zbyszko był płochy<sup>811</sup>, to nie mówię, ale wierniejszego chyba na świecie nie ma. I dziewczyna też. Krokiem teraz od niego nie odstąpi; i po gębie go gładzi, a on się do niej w boleści śmieje.

<sup>810</sup>chwacki (daw.) — odważny, śmiały i zaradny. [przypis edytorski]

<sup>811</sup>płochy (daw.) — niestały w uczuciach. [przypis edytorski]

Aże mi samej czasem służy z oczu pociekną! Sprawiedliwie mówię!... Takiemu kochaniu warto pomóc, bo i Matka Boska rada na szczęśliwość ludzką patrzy.

— Byle była wola boska — rzekł książę — to i szczęśliwość się zdarzy. Ale co prawda, to mało mu przez tę dziewczynę głowy nie ucieli, a teraz znowu tur go starmosił.

— Nie powiadaj, że „przez nią”! — zawołała żywo księżna. — Boć nie kto inny, jeno Danuśka go w Krakowie zratowała.

— Prawda. Ale żeby nie ona, nie byłby w Lichtensteina bił, aby mu pióra ze łba zedrzeć, a za Lorcheho tożby karku tak ochotnie nie nadstawił. Co zasię do nagrody, to rzekłem już, że im obum się należy, i w Ciechanowie ją obmyślę.

— Niczego by Zbyszko tak rad nie widział jak rycerskiego pasa i złotych ostróg.

Książę uśmiechnął się na to dobrotliwie i odrzekł:

— To niechże mu je dziewczyna poniesie, a gdy krzypota go popuści, wówczas dopilnujem, aby wszystko wedle zwykłego obyczaju się odbyło. Niech mu wnet poniesie, bo prędka radość najlepsza!

Księżna, usłyszawszy to, uściskała pana wobec dworzan, potem ucałowała kilkakrotnie jego ręce, on zaś uśmiechał się wciąż, a wreszcie rzekł:

— Widzicie... No! Dobra ci rzecz do głowy przyszła! Że też to Duch Święty i niewiastom krzyny rozumu nie poskąpił! Zawołajże teraz dziewczynę.

— Danuśka! Danuśka! — zawołała księżna.

I po chwili we drzwiach bocznej komory ukazała się Danusia, z zacerwienionymi od bezsenności oczyma i z dwojakami<sup>812</sup> w ręku, pełnymi dymiącej kaszy, którą ksiądz Wyszoniek okładał potłuczone kości Zbyszka, a którą stara dwórka właśnie przed chwilą jej oddała.

— Pójdźże tu jeno do mnie, sierotko! — rzekł książę Janusz. — Postaw dwojaki i chodź.

I gdy zbliżyła się z pewną nieśmiałością, „pan” bowiem wzbudzał w niej zawsze pewną obawę, przygarnął ją z dobrocią do siebie i począł gładzić po twarzy, mówiąc:

— Ano, bieda na cię, dziecko, przyszła, co?

— Jużci! — odpowiedziała Danusia.

I mając smutek w sercu, a łzy na pogotowiu, poczęła zaraz płakać, ale cichutko, by księcia nie urazić; on zaś znów spytał:

— Czegóż płaczesz?

— Bo Zbyszko chory — odrzekła, wkładając piąstki w oczy.

— Nie bój się, nic mu nie będzie. Prawda, ojczy Wyszonku?

— Hej! Bliżej mu ta za wolą boską do ślubu niż do truchły<sup>813</sup> — odpowiedział dobry ksiądz Wyszoniek.

A książę rzekł:

— Poczekaj! Tymczasem dam ci dla niego lek, którego mu ulży albo go i całkiem uzdrowi.

— Balsam Krzyżaki przyszła? — zawołała żywo Danusia, odejmując od oczu ręce.

— Tym, co Krzyżaki przyszła, psa lepiej posmaruj, nie zaś rycerzyka, którego miłujesz. Ale ja dam ci co innego.

Po czym zwrócił się do dworzan i zawołał:

— Chybaj<sup>814</sup> mi ta który do komory po ostrogi i pas!

Po chwili zaś, gdy mu je przyniesiono, rzekł do Danusi:

— Bierz, a nieś Zbyszкови; i powiedz mu, że od tej pory jest przepasan<sup>815</sup>. Jeśli zamrze, to przed Bogiem jako *miles cinctus*<sup>816</sup> stanie, a jeśli nie, to reszty w Ciechanowie albo w Warszawie dopełnim.

Usłyszawszy to, Danusia naprzód podjęła Pana pod nogi, po czym chwyciła jedną ręką oznaki rycerskie, drugą dwojaki i skoczyła do izby, w której leżał Zbyszko. Księżna, nie chcąc tracić widoku ich radości, poszła za nią.

<sup>812</sup>dwojaki — dwa połączone naczynia gliniane. [przypis edytorski]

<sup>813</sup>truchła (gw.) — trumna. [przypis edytorski]

<sup>814</sup>chybać (daw.) — lecieć, pędzić. [przypis edytorski]

<sup>815</sup>przepasan — pasowany na rycerza. [przypis edytorski]

<sup>816</sup>miles cinctus (lac.) — rycerz pasowany. [przypis edytorski]

Zbyszko ciężko był chory, ale ujrawszy Danusię, zwrócił ku niej pobladłą z boleści twarz i zapytał:

— A Czech, jagódko, wrócił?

— Co tam Czech! — odpowiedziała dziewczyna. — Lepszą ja ci tu nowinę przynoszę. Pan cię rycerzem pasował i ot, co ci przeze mnie posyła.

To rzekłszy, położyła przy nim pas i złote ostrogi. Zbyszkowi zapłonęły radością i zdumieniem blade policzki, spojrzął na Danusię, potem na oznaki, a następnie przymknął oczy i począł powtarzać:

— Jakże to mógł mnie rycerzem pasować?

A gdy w tej chwili weszła księżna, przypodniósł się nieco na ramionach i począł jej dziękować a przeproszać miłościwą panią, że jej do nóg nie może paść, gdyż wraz odgadł, że to za jej wstawiennictwem spotkało go takie szczęście. Lecz ona kazała mu zachować się spokojnie i własnymi rękoma pomogła Danusi ułożyć znów jego głowę na wezglówiu. Tymczasem nadszedł książę, a z nim książd Wyszoniek, Mrokota i kilku innych dworzan. Książę Janusz z daleka dał znak ręką, by Zbyszko się nie ruszał, a następnie, siadłszy przy łożu, tak przemówił:

— Wiecie! Nie ma to ludziom być dziwno, że za mężne a zacne uczynki jest zapłata, bo jeśliby cnota miała ostać bez nagrody, tedy i nieprawości ludzkie chodziłyby po świecie bez kary. A żeś ty żywota nie szczędził i z utratą zdrowia od srogiej żaloby nas bronił, przeto pozwalamy ci pasem rycerskim się przepasać i we czci a sławie odtąd chadzać.

— Miłościwy panie — odrzekł Zbyszko — ja bym i dziesięciu żywotów nie żałował...

Lecz nie mógł nic więcej powiedzieć i ze wzruszenia, i dlatego, iż księżna położyła mu rękę na ustach, gdyż książd Wyszoniek nie pozwalał mu mówić. Książę zaś mówił dalej:

— Tak myślę, że powinności rycerskie znasz i że będziesz godnie one ozdoby nosił. Zbawicielowi naszemu jako się patrzy masz służyć, a ze starostą piekielnym<sup>817</sup> wojować. Pomazańcowi ziemskiemu<sup>818</sup> masz być wierny, wojny niesłusznej unikać i niewinności w ucisku bronić, w czym ci pomagają Bóg i Święta Jego Męko!

— Amen — rzekł książd Wyszoniek.

Książę zaś wstał, przeżegnał Zbyszka i na odchodnym dodał:

— A jak wyzdrowiejesz, to prosto do Ciechanowa jedź, gdzie i Juranda sprowadzę.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

W trzy dni później przyjechała zapowiedziana niewiasta z hercyńskim balsamem, a z nią razem przybył i kapitan łuczników ze Szczytna z listem podpisanym przez braci i opatrzonym pieczęcią Danvelda, w którym Krzyżacy niebo i ziemię brali na świadków krzywd, które ich na Mazowszu spotkały, i pod zagrożeniem pomsty Bożej wołali o karę za zamordowanie „ukochanego towarzysza i gościa”. Danveld podyktował do listu i skargę od siebie, upominając się w słowach zarazem pokornych i groźnych o zapłatę za ciężkie kalectwo i o wyrok śmierci na czeskiego pacholka. Książę przedarł list w oczach kapitana, rzucił mu pod nogi i rzekł:

— Przysłał tu ich, krzyżackie macie, mistrz po to, aby mnie zjednali, a oni mnie do gniewu przywiekli. Powiedźcie im ode mnie, że sami gościa uśmiercili i pacholka chcieli uśmiercić, o czym do mistrza napiszę i to też dodam, aby innych posłów wybierał, jeśli chce, bym w razie wojny z królem krakowskim po żadnej stronie nie stanął.

— Miłościwy panie — odparł kapitan — czy jeno taką odpowiedź mam potężnym i pobożnym braciom odnieść?

— Jeślic nie dosyć, powiedz im jeszcze, że ich za psubratów, nie za prawych rycerzy uważam.

I na tym skończyło się posłuchanie. Kapitan odjechał, bo i książę tegoż dnia odjechał do Ciechanowa. Została tylko „siostra” z balsamem, którego nieufny książd Wyszoniek użyć jednakże nie chciał, tym bardziej że chory poprzedniej nocy zasnął dobrze, a nazajutrz obudził się wprawdzie osłabiony bardzo, ale bez gorączki. Siostra po wyjeździe księcia wyprawiła zaraz z powrotem jednego ze swoich sług niby po nowe lekarstwo — po „jaje bazyliuszka”, które, jak twierdziła, miało moc przywracania sił nawet konającym

<sup>817</sup>starosta piekielny — Lucyfer jako zwierzchnik wszystkich diabłów. [przypis edytorski]

<sup>818</sup>pomazaniec ziemski — król (od użycia olejów świętych w ceremonii koronacji). [przypis edytorski]

— sama zaś chodziła po dworcu, pokorna, niewładnąca jedną ręką, przybrana w świecką wprawdzie, ale podobną do zakonnej odzież — z różańcem i małą pątniczą<sup>819</sup> tykwą<sup>820</sup> u pasa. Mówiąc dobrze po polsku, dopytywała z wielką troskliwością służbę i o Zbyszka, i o Danusię, której przy sposobności podarowała różę jerychońską<sup>821</sup>, a na drugi dzień w czasie snu Zbyszka, gdy dziewczyna siedziała w izbie jadalnej, przysunęła się do niej i rzekła:

— Boże wam błogosław, panienko. Dziś w nocy po pacierzu śniło mi się, że przez śnieg padający szło ku wam dwóch rycerzy, ale jeden doszedł pierwszej i w bieluchny płaszcz was obwinął, a drugi zaś rzekł: „Śnieg jeno widzę, a jej nie ma”, i wrócił się.

A Danusia, której chciało się spać, otworzyła zaraz ciekawie swe modre oczy i spytała:

— A co to znaczy?

— To znaczy, że ten was dostanie, który was najbardziej miłuje.

— To Zbyszko! — odrzekła dziewczyna.

— Nie wiem, bom mu twarzy nie widziała, widziałam jeno biały płaszcz, a potem obudziłam się zaraz, gdyż Pan Jezus zsyła mi każdej nocy bóle w nogach, a rękę całkiem mi odjął.

— A że to wam ten balsam nie pomógł?

— Nie pomoże mi, panienko, i balsam, gdyż to za ciężki grzech mój, a chcecie wiedzieć, za jaki, to opowiem.

Danusia skinęła głową na znak, że chce wiedzieć, więc siostra mówiła dalej:

— Są w Zakonie i służki, i niewiasty, które choć ślubów nie czynią, bo nawet i mężate być mogą, wszelako powinności względem Zakonu wedle rozkazania braci pełnić są obowiązane. A którą takowa łaska i cześć ma spotkać, ta otrzymuje pobożne pocałowanie od brata-rycerza, na znak, że odtąd uczynkami i mową Zakonowi ma służyć. Ach, panienko! I mnie tak wielka łaska miała spotkać, ale ja w grzesznej zatwardziałości, zamiast ją przyjąć wdzięcznie, popełniłam ciężki grzech i karę na się ściągnęłam.

— Cóżście takiego uczynili?

— Brat Danveld przyszedł do mnie i dał mi zakonne pocałowanie, ja zasię myśląc, iż on to przez swawolę jakowąś czyni, podniosłam na niego bezbożną rękę...

Tu zaczęła się bić w piersi i powtórzyła kilkakrotnie:

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznej.

— I cóż się stało? — zapytała Danusia.

— I zaraz mi rękę odjęło i od tej pory kaleką jestem. Młoda byłam i głupia, nie wiedziałam! A jednak kara na mnie spadła. Bo choćby niewieście się wydało, że brat zakonny chce coś złego uczynić, niech Bogu sąd ostawi, a sama się nie sprzeciwia, gdyż kto się Zakonowi albo krzyżowemu bratu sprzeciwi, tego gniew Boży dosięgnie...

Danusia słuchała tych słów z przykrością i lękiem, siostra zaś poczęła wzdychać i dalej żale rozwodzić.

— Nie staram jeszcze i dziś — mówiła — ledwie mi trzydzieści roków, ale Bóg razem z ręką odjął młodość i urodę.

— Żeby nie ręka — odrzekła Danusia — to byście jeszcze nie mogli narzekać...

Po czym nastąpiło milczenie. Nagle siostra, jakby sobie coś przypomniawszy, rzekła:

— A śniło mi się, że was jakiś rycerz w biały płaszcz na śniegu owinął. Może to był Krzyżak! Gdyż oni też białe płaszcze noszą.

— Nie chcę ja ni Krzyżaków, ni ich płaszców — odpowiedziała dziewczyna.

Lecz dalszą rozmowę przerwał ksiądz Wyszoniek, który wszedłszy do komory, kiwnął na Danusię i rzekł:

— Chwalże Boga i chodź do Zbyszka! Zbudził się i jeść woła. Znacznie go popuściło<sup>822</sup>.

Jakoż tak było rzeczywiście. Zbyszko miał się lepiej i ksiądz Wyszoniek miał już prawie pewność, że będzie zdrow, gdy nagle niespodziane zdarzenie pomieszało wszystkie rachuby i nadzieje. Oto od Juranda przybyli wysłannicy z pismem do księżny, zawierają-

<sup>819</sup>pątniczny (daw.) — pielgrzymi. [przypis edytorski]

<sup>820</sup>tykwa — naczynie wykonane z twardej skorupy rośliny nazywanej również tykwą. [przypis edytorski]

<sup>821</sup>róża jerychońska — roślina pustynna, w czasie suszy zwijająca się w kulkę toczoną przez wiatr po pustyni. [przypis edytorski]

<sup>822</sup>znacznie go popuściło — bardzo mu się poprawiło. [przypis edytorski]

cym same zło i straszne nowiny. W Spychowie spaliła się część Jurandowego gródka, on zaś został przy ratunku płonąca belką przytluczony. Książdz Kaleb, który w imieniu jego list pisał, donosił wprawdzie, że wyzdrowieć jeszcze Jurand może, ale że skry i węgle tak przypaliły mu jedyne pozostałe oko, iż już mu niewiele światła w nim pozostało — i grozi mu niechybna ślepotą.

Z tej przyczyny wzywał Jurand córkę, by spiesznie przybywała do Spychowa, bo chce ją widzieć jeszcze, zanim ciemności go ogarną. Mówił też, że odtąd ma już pozostać przy nim, bo jeśli nawet między ślepcami, którzy po proszonym chlebie między ludźmi chadzają, ma każdy jakoweś pacholę, które go za rękę wiedzie i drogę mu pokazuje, czemuż by on tej ostatniej pociechy miał być pozbawion i między obcymi umierać? Były też pokorne podziękia dla księżny, która dziewczynę jakby rodzona matka hodowała — a w końcu obiecywał Jurand, że choć i ślepy, raz jeszcze do Warszawy przyjedzie, aby upaść pani do nóg i o łaskę i opiekę na dalsze lata dla Danusi jej prosić.

Księżna, gdy jej ojciec Wyszoniek przeczytał ów list, przez jakiś czas słowa prawie nie mogła przemówić. Miała ona nadzieję, że gdy Jurand, który pięć lub sześć razy do roku przyjeżdżał do dziecka, przyjedzie na bliskie święta, wówczas go powagą własną i księcia Janusza przejedna dla Zbyszka i zgodę jego na bliskie wesele uzyska. Tymczasem list ów nie tylko burzył jej zamiary, ale pozbawiał jej zarazem i Danusi, którą kochała na równi z własnymi dziećmi. Przyszło jej do głowy, że Jurand może i wyda zaraz dziewczynę za któregoś z sąsiadów, aby reszty dni pomiędzy swoimi dożyć. O Zbyszku nie było co i myśleć, aby mógł do Spychowa jechać, gdyż żebra dopiero mu się zaczęły zrastać, i zresztą, któż mógł wiedzieć, jak by był w Spychowie przyjęty? Wiedziała przecie pani, że Jurand wręcz mu swego czasu Danusi odmówił — i jej samej powiedział, że dla tajemnych przyczyn nigdy na ich połączenie nie zezwoli. Więc w ciężkim frasunku kazała wezwać do siebie starszego spomiędzy przysłanych ludzi, aby go o nieszczęście spychowskie rozpytał, a zarazem czegoś się o zamiarach Jurandowych dowiedzieć.

I zdziwiła się nawet, gdy na jej wezwanie wszedł człowiek zupełnie nieznan, nie zaś stary Tolima, którym tarczę za Jurandem nosił i zwykle z nim razem przyjeżdżał — ów jednak odpowiedział jej, że Tolima w bitce ostatniej z Niemcami okrutnie poszczerbion ze śmiercią w Spychowie się zмага, zaś Jurand ciężką chorobą złożony o prędko powrót córki prosi, gdyż coraz mniej widzi, a za dni parę może i całkiem oślepnie. Prosił nawet usilnie wysłannik, by zaraz, jak tylko konie odetchną, wolno było wziąć dziewczynę, ale że to był wieczór, sprzeciwiła się temu stanowczo pani — zwłaszcza by i Zbyszkowi, i Danusi, i sobie do reszty serca przez prędkie pożegnanie nie rozdzierać.

A Zbyszko już wiedział o wszystkim i leżał w izbie jakby uderzony obuchem w głowę, a gdy pani weszła i łamiąc ręce, ozwała się zaraz z proga: „Nie ma rady, boć to przecie ojciec!” — powtórzył za nią jak echo: „Nie ma rady” — i zamknął oczy jak człowiek, który się spodziewa, że zaraz śmierć do niego przystąpi.

Lecz śmierć nie nadeszła, choć w piersiach zbierał mu się żal coraz większy, a przez głowę przelatywały mu myśli coraz ciemniejsze, takie właśnie jak chmury, które gnane wichrem jedna za drugą przysłaniają blask słoneczny i gaszą wszelką radość na świecie. Rozumiał bowiem Zbyszko równie jak i księżna, że gdy Danusia raz do Spychowa wyjedzie, będzie dla niego tak jak stracona. Tu wszyscy byli dla niego życzliwi, tam Jurand może go nawet przyjąć ani wysłuchać nie zechce, zwłaszcza jeśli go wiąże ślub lub jakaś inna nieznaną przyczyna, równie jak religijny ślub ważna. Zresztą, gdzie mu tam jechać do Spychowa, gdy oto chory jest i ledwie się może na łożu poruszyć. Przed kilku dniami, gdy z łaski księcia spadły nań złote ostrogi wraz z rycerskim pasem, myślał, że radość przemoże w nim chorobę, i modlił się z całej duszy, aby rychło mógł powstać i z Krzyżakami się zmierzyć, ale teraz stracił znów wszelką nadzieję, czuł bowiem, że gdy mu zbraknie przy łożu Danusi, to razem z nią zbraknie mu i ochoty do życia, i sił do walki ze śmiercią. Przyjdzie oto dzień jutrzejszy i pojutrzejszy, nadejdzie wreszcie Wigilia i święta, kości go będą tak samo bolały i tak samo będzie go chwytało omdlenie, a nie będzie przy nim tej jasności, która po całej izbie rozchodzi się od Danusi, ni tego uradowania oczu, które na nią patrzą. Co za pociecha i co za osłoda była pytać kilka razy na dzień: „Miłym ci?”, i widzieć ją potem, jak sobie przysłania śmiejące się i zawstydzone oczy dłonią albo też pochyła się i odpowiada: „A któż inny?”. Obecnie zaś tylko choroba zostanie i ból zostanie, i tęsknota, a szczęście odejdzie — i nie wróci.

Łzy

Łzy zabłysły w oczach Zbyszkowych i stoczyły mu się z wolna po policzkach, po czym zwrócił się do księżny i rzekł:

— Miłościwa pani, już ja tak myślę, że Danuśki więcej w życiu nie obaczę.

A pani, sama stroskana, odpowiedziała:

— Bo i nie dziwno by było, żebyś zamarł od żalości. Ale Pan Jezus jest miłosierny.

Po chwili zaś, chcąc go jednak choć trochę pokrzepić, dodała:

— Chociaż żeby, nie przymierzając, Jurand umarł przed tobą, to opiekuństwo przeszłoby na księcia i na mnie, a my byśmy ci dziewczynę zaraz oddali.

— Kiedy on tam umrze! — odrzekł Zbyszko.

Lecz nagle widocznie jakaś nowa myśl błysnęła mu w głowie, gdyż przypodniósł się, siadł na łożu i rzekł zmienionym głosem:

— Miłościwa pani...

Wtem przerwała mu Danusia, która wbiegłszy z płaczem, poczęła od progu wołać:

— To już wiesz, Zbyszku! Oj, żal mi tatusia, ale żal i ciebie, niebożę!

Zbyszko zaś, gdy zbliżyła się ku niemu, ogarnął zdrowym ramieniem swoje kochanie i począł mówić:

— Jakże mi żyć bez ciebie, dziewczyno? Nie po tom tu przez rzeki i bory jechał, nie po tom ci ślubował i służył, abym cię zaś miał utracić. Hej, nie pomoże żal, nie pomoże płkanie, ba! i śmierć sama, bo choćby i murawa na mnie porosła, dusza o tobie nie zapomni, by i na Pana Jezusowym dworze, by i u samego Boga Ojca na pokojach... I rzekę, rady nie ma, a rada musi być, bo bez niej nijak! Krzypotę w kościach czuję i boleść srogą, ale choć ty padnij pani do nóg, bo ja nie mogę, i prosz o zmiłowanie nad nami.

Danusia, posłyszawszy to, prędko skoczyła do nóg księżnej i objąwszy je ramionami, pochowała swą jasną twarz w zagięciach jej ciężkiej sukni, pani zaś zwróciła pełne litości, ale zarazem zdziwione oczy na Zbyszka.

— W czymże ja wam mogę okazać zmiłowanie? — zapytała. — Nie puszczę dziecka do chorego rodzica, to i gniew Boży ściągnę.

Zbyszko, który poprzednio przypodniósł się był na łożu, zesunął się znów na wezgiłowie i przez jakiś czas nie odpowiadał, gdyż mu tchu brakło.

Powoli jednak począł posuwać na piersiach jedną rękę ku drugiej, aż wreszcie złożył je jak do modlitwy.

— Odpocznij — rzekła księżna — potem zasię powiadaj, o co ci idzie, a ty, Danuśka, wstań mi od kolan.

— Pofolguj, ale nie wstawaj, i prosz wraz ze mną — ozwał się Zbyszko.

Po czym ją mówić słabym i przerywanym głosem:

— Miłościwa pani... Był ci mi Jurand przeciwny w Krakowie... będzie i tu, ale gdyby ojciec Wyszoniek dał mi ślub z Danuśką, to niechby potem i jechała do Spychowa, bo mi jej żadna moc ludzka nie odejmie...

Słowa te były dla księżny Anny czymś tak niespodzianym, że aż zerwała się z ławy, po czym znów siadła i jakby nie rozumiejąc dobrze, o co chodzi, rzekła:

— Rany boskie!... Książdz Wyszoniek?...

— Miłościwa pani!... Miłościwa pani! — prosił Zbyszko.

— Miłościwa pani — powtarzała za nim Danusia, obejmując znów kolana księżny.

— Jakoże to być może bez pozwolenstwa rodzicielskiego...

— Zakon Boży mocniejszy! — odpowiedział Zbyszko.

— Bójcieże się Boga!

— Kto ojciec, jeśli nie książę?... Kto matka, jeśli nie wy, miłościwa pani!

A Danusia na to:

— Miłościwa matuchno!

— Prawda, że to ja byłam jej i jestem jako matka — rzekła księżna — i z mojej też ręki Jurand dostał żonę. Prawda! A jakby raz ślub był, to i przepadło. Może by się Jurand i posierdził, ale przecie i on księciu jako panu swojemu powinien. Wreszcie można by mu zrazu nie mówić, dopiero gdyby dziewczynę chciał innemu dać albo mniszką uczynić... Jeśli zaś śluby jakowe uczynił, to i nie będzie jego winy. Przeciw woli boskiej nikt nie poradzi... Dla Boga żywego, może to i wola boska!

— Inaczej nie może być! — zawołał Zbyszko.

Lecz księżna, cała jeszcze wzruszona, rzekła:

Ślub

— Poczekajcie, niech się opamiętam<sup>823</sup>! Żeby tu ksiądz był, zaraz bym do niego poszła i zapytałabym: mam-li Danuskę dać czyli też nie?... Ale bez niego się boję... Aż mi dech zaparło, a tu i czasu na nic nie ma, bo i dziewczyna musi jutro jechać!... O miły Jezu! Niechby żeniata jechała, byłby już spokój. Jeno nie mogą się opamiętać i czegoś mi strach. A tobie nie strach, Danuśka? Gadajże!

— Już ja bez tego zamrę! — przerwał Zbyszko.

A Danuśka podniosła się od kolan księżny i ponieważ istotnie była przez dobrą panią nie tylko do poufności dopuszczana, ale i pieszczona, więc chwyciła ją za szyję i poczęła ścisnąć z całej siły.

Lecz księżna rzekła:

— Bez ojca Wyszonia nic wam nie powiem. Skoczże po niego co prędzej!

Danusia skoczyła po ojca Wyszonia, Zbyszko zaś zwrócił swą wybladłą twarz do księżny i rzekł:

— Co mi Pan Jezus przeznaczył, to będzie, ale za tę pociechę niech wam Bóg, miłościwa pani, nagrodi.

— Jeszcze mnie nie błogosław — odrzekła księżna — bo nie wiadomo, co się stanie. I musisz mi też na cześć poprzysiąc, że jeśli ślub będzie, nie wzbronisz dziewczynie do rodziciela zaraz jechać, abys, broń Boże, przekleństwa jego na siebie i na nią nie ściągnął.

— Na moją cześć! — rzekł Zbyszko.

— To i pamiętaj! A Jurandowi niech dziewczyna zrazu nic nie mówi. Lepiej, aby go nowina nie oparzyła jak ogień. Poślemy po niego z Ciechanowa, by z Danuską przyjeżdżał, i wtedy sama mu powiem albo też księcia uproszę. Jak zobaczy, że nie ma rady, to się i zgodzi. Nie był ci on przecie krzyw?

— Nie — rzekł Zbyszko — nie był mi krzyw, więc może i rad będzie w duszy, że Danuśka będzie moja. Bo jeśli ślubował, to już nie będzie jego winy, jeśli nie dotrzyma.

Wejście księdza Wyszonia z Danusią przerwało dalszą rozmowę. Księżna wezwała go w tej chwili do narady i z wielkim zapalem poczęła mu opowiadać o Zbyszkowych zamiarach, lecz on zaledwie usłyszawszy, o co idzie, przeżegnał się ze zdumienia i rzekł:

— W imię Ojca i Syna, i Ducha!... Jakże ja to mogę uczynić! Toć przecie adwent!

— Dla Boga! Prawda! — zawołała księżna.

I nastalo milczenie; tylko strapione twarze okazywały, jakim ciosem były dla wszystkich słowa ojca Wyszonia. On zaś po chwili rzekł:

— Gdyby dyspensa była, tobym się i nie przeciwiał, bo mi was żal. O Jurandowe pozwolenstwo niekoniecznie bym pytał, bo skoro pani miłościwa pozwala i za zgodę księcia pana naszego zaręcza: no! to oni ojciec i matka dla całego Mazowsza. Ale bez dyspensy biskupiej nie mogę. Ba! Żeby to ksiądz biskup Jakub z Kurdwanowa był między nami, może by dyspensy nie odmówił, choć to surowy jest ksiądz, nie taki, jak był jego poprzednik, biskup Mamphiolus, któren na wszystko powiadał: „*Bene!*<sup>824</sup> *Bene!*”.

— Biskup Jakub z Kurdwanowa miłuje wielce i księcia, i mnie — wtrąciła pani.

— Toteż dlatego mówię, że dyspensy by nie odmówił, ile że są do tego przyczyny... Dziewczyna musi jechać, a ów młodzianek chorzeje i może zamrzeć... Hm! *In articulo mortis*<sup>825</sup>... Ale bez dyspensy nijak...

— Już ja bym tam i później biskupa Jakuba o dyspensę uprosiła i choćby też nie wiem jak był surowy, nie odmówi on mi tej łaski... Ej, uręczam<sup>826</sup>, że nie odmówi.

Na to ksiądz Wyszoniak, który był człek dobry i miękki, rzekł:

— Słowo pomazanki boskiej: wielkie słowo... Strach mi księdza biskupa, ale to wielkie słowo!... Mógłby też młodzianek co do katedry w Płocku przybiecać... Nie wiem... Zawsze to, póki dyspensa nie nadejdzie, będzie grzech; i to nie kogo innego, jeno mój... Hm! Pan Jezus po prawdzie jest miłosierny i jeśli kto zgrzeszy nie dla własnego zysku, jeno z politowania nad ludzką biedą, to tym łatwiej przebacza!... Ale grzech będzie i nużby się biskup zaciął, kto mi da odpust?

— Biskup się nie zatnie! — zawołała księżna Anna.

A Zbyszko rzekł:

Grzech

<sup>823</sup>opamiętać się — tu: zastanowić się. [przypis edytorski]

<sup>824</sup>bene (łac.) — dobrze. [przypis edytorski]

<sup>825</sup>in articulo mortis (łac.) — w obliczu śmierci. [przypis edytorski]

<sup>826</sup>uręczać — tu: zaręczać. [przypis edytorski]

— Ten Sanderus, któren ze mną przyjechał, ma gotowe na wszystko odpusty.

Ksiądz Wyszoniak może i niezupełnie wierzył w odpusty Sanderusa, ale rad był chwycić się choćby pozorów, byle tylko Zbyszowski i Danusi przyjść z pomocą, gdyż dziewczynę, którą znał od małego, kochał bardzo. Wreszcie pomyślał, że w najgorszym razie spotkać go może pokuta kościelna, więc zwrócił się do księżny i rzekł:

— Ksiądz ci ja jestem, ale i książęcy sługa. Jakoże, miłościwa pani, rozkażecie?

— Nie chcę ja rozkazywać, wołę prosić — odpowiedziała pani. — Ale jeśli ten Sanderus ma odpusty...

— Sanderus ma. Jeny o biskupa chodzi. Srogie on tam w Płocku z kanonikami synody odprawuje.

— Biskupa się nie bójcie. Zabronił on, jako słyżałam, księżom mieczów, kusz i różnej swawoli, ale dobrze czynić nie zabronił.

Ksiądz Wyszoniak podniósł oczy i ręce w górę:

— To niechże się stanie wedle waszej woli.

Na te słowa radość opanowała serca. Zbyszko znów osiadł na wezgłowiu, a księżna, Danusia i ojciec Wyszoniak siedli koło łoża i poczęli „uradzać”, jak rzecz należy uczynić. Więc postanowili zachować tajemnicę, tak aby w domu żywa dusza o tym nie wiedziała; postanowili też, że i Jurand nie powinien nic wiedzieć, póki mu sama pani w Ciechanowie o wszystkim nie oznajmi. Natomiast miał ksiądz Wyszoniak napisać list od księżny do Juranda, by zaraz przyjeżdżał do Ciechanowa, gdzie i lepsze leki na jego kalectwo mogą się znaleźć, i samotność mniej mu będzie dokuczać. Uradzili na koniec, że i Zbyszko, i Danusia przystąpią do spowiedzi, ślub zaś odbędzie się nocą, gdy już wszyscy spać się pokładą.

Przyszło Zbyszowski na myśl, żeby wziąć giermka Czecha na świadka ślubu, ale porzucił ten zamiar, przypomniawszy sobie, że ma go od Jagienki. Przez chwilę stanęła mu w pamięci jakby żywa, tak iż zdało mu się, że widzi jej rumianą twarz, jej zapłakane oczy i słyży głos proszący: „Nie czyn mi tego! Nie płac mi złem za dobre i niedolą za kochanie!”. Aż nagle chwyciła go wielka litość nad nią, gdyż czuł, że jej się stanie ciężka krzywda, po której nie znajdzie pociechy ni pod zgorzelickim dachem, ni w głębi boru, ni w polu, ni w darach opata, ni w zalotach Cztana i Wilka. Więc rzekł jej w duchu: „Daj ci Bóg wszystko najlepsze, dziewczyno, ale choćbym ci rad i nieba przychylić — nie poradzę”. I rzeczywiście, przekonanie, że nie było to w jego mocy, przyniosło mu nawet ulgę i wróciło spokojność, tak że zaraz począł myśleć tylko o Danusi i o ślubie. Nie mógł się jednak obejść bez pomocy Czecha, więc lubo postanowił zamilczeć przed nim o tym, co się miało stać, kazał go do siebie przywołać i rzekł mu:

— Przystąpię dziś do spowiedzi i do Stołu Pańskiego, przybierz mnie przeto jak najochędźniej<sup>827</sup>, jakoby na królewskie pokoje miał iść.

Czech przeląkł się nieco i począł patrzeć mu w twarz, co zrozumiawszy, Zbyszko rzekł:

— Nie bój się, nie tylko na śmierć ludzie się spowiadają, a tym bardziej że idą święta, na które ojciec Wyszoniak z księżną do Ciechanowa wyjedzie i nie będzie księdza bliżej niż w Przasnyszu.

— A wasza miłość nie pojedzie? — spytał giermek.

— Jeśli wyzdrowię, to pojedę, ale to w boskim ręku.

Więc Czech się uspokoił i skoczywszy do łubów, przyniósł ową białą jakę zdobyczną, złotem szytą, w którą rycerz ubierał się zwykle na wielkie uroczystości, a też i piękny kobierczyk dla okrycia nóg i łoża, za czym podniósłszy Zbyszka przy pomocy dwóch Turczynek, umył go, uczesał jego długie włosy, na które nałożył szkarłatną przepaskę, wreszcie wsparł tak przybranego o czerwone poduszki i rad z własnego dzieła, rzekł:

— Żeby jeno wasza miłość płasć mogła, to choćby i wesele wyprawić!

— Musiałoby się obyć bez płasów — odrzekł z uśmiechem Zbyszko.

A tymczasem księżna rozmyślała również w swojej izbie, jak przybrać Danusię, gdyż dla jej niewieściej natury była to sprawa wielkiej wagi i za nic nie chciałaby przyzwolić, by miła jej wychowanka stanęła w codziennej szacie do ślubu. Służki, którym powiedziano, że dziewczyna też do spowiedzi w barwę niewinności się przybiera, łatwo znalazły w skrzyni

<sup>827</sup> ochędźnie (daw.) — porządnie. [przypis edytorski]



białą sukienkę, ale bieda była z przybraniem głowy. Na myśl o tym opanował panią jakiś dziwny smutek, tak iż poczęła wyrzekać.

— Gdzie ja dla ciebie, sierotko — mówiła — wianek ruciany w tym boru wynajdę! Ni tu kwiatuszka jakowego, ni liścia, chyba się mchy gdzie pod śniegiem zielenią.

A Danusia, stojąc z rozpuszczonymi już włosami, zatroskała się także, bo i jej chodziło o wianek; po chwili jednak ukazała na równianki<sup>828</sup> z nieśmiertelników wiszące na ścianach izby i rzekła:

— Choćby i z tego co uwić, bo nic innego nie znajdziem, a Zbyszko weźmie mnie i w takim wianku.

Księżna nie chciała się z początku na to zgodzić, bojąc się złej wróżby, ale że w dworcu, do którego tylko na łowy przyjeżdżano, nie było żadnych kwiatów, więc skończyło się na nieśmiertelnikach. Tymczasem nadszedł ojciec Wyszoniek, który poprzednio wyspowiadał już Zbyszka, i zabrał dziewczynę do spowiedzi, a potem zapadła głucha noc. Służba po wieczerzy poszła z rozkazu księżny spać. Wysłańcy Jurandowi pokładli się jedni w czeladnej<sup>829</sup>, inni przy koniach w stajniach. Wkrótce ogień w służebnych izbach zasudy<sup>830</sup> się popiołem na trzonach i pogasły, aż wreszcie uczyniło się całkiem cicho w leśnym dworze i tylko psy szczekały od czasu do czasu na wilki w stronę boru.

Jednakże u księżny, u ojca Wyszońka i u Zbyszka okna nie przestawały świecić, rzucając czerwone blaski na śnieg pokrywający dziedziniec. Oni zaś czuwali w ciszy, słuchając bicia własnych serc — niespokojni i przejęci uroczystością chwili, która zaraz nadejść miała. Jakoż po północy księżna wzięła za rękę Danusię i poprowadziła ją do izby Zbyszkowej, gdzie ojciec Wyszoniek czekał już na nich z Panem Bogiem. W izbie palił się wielki ogień w grabie<sup>831</sup> i przy jego obfitym, ale nierównym świetle ujrzał Zbyszko Danusię, bladą nieco od bezsenności, białą, z wiankiem nieśmiertelników na skroni, przybraną w sztywną, spadającą aż do ziemi sukienkę. Powieki miała ze wzruszenia przymknięte, rączyny opuszczone wzdłuż sukni — i przypominała tak jakieś malowania na szybach<sup>832</sup>, było w niej coś tak kościelnego, że Zbyszka zdjęło zdziwienie na jej widok, pomyślał bowiem, że nie dziewczynę ziemską, ale jakąś duszyczkę niebieską ma wziąć za żonę.

A pomyślał to jeszcze bardziej, gdy klękała ze złożonymi dłońmi do komunii i przechyliwszy w tył głowę, zamknęła całkiem oczy. Wydała mu się nawet wówczas jak umarła i aż lęk chwycił go za serce. Nie trwało to jednak długo, gdyż posłyszawszy głos księdza: *Ecce Agnus Dei*<sup>833</sup> — sam skupił się w duchu i myśli jego wzięły lot w stronę Bożą. W izbie słychać było teraz tylko uroczysty głos księdza Wyszońka: *Domine, non sum dignus*<sup>834</sup> — a wraz z nim trzaskania skier w ognisku i świerszcze grające zawzięcie, a jakoś żałośnie w szparach komina. Za oknami wstał wiatr, zaszumiał w ośnieżonym lesie, lecz zaraz ścichł.

Zbyszko i Danusia pozostali jakiś czas w milczeniu, ksiądz Wyszoniek zaś wziął kielich i odniósł go do kapliczki dworskiej. Po chwili wrócił, ale nie sam, tylko z panem de Lorche, i widząc zdziwienie na twarzach obecnych, położył naprzód palec na ustach, jakby chcąc jakiemuś niespodzianemu okrzykowi zapobiec, po czym zaś rzekł:

— Rozumiałem, że będzie lepiej, aby było dwóch świadków ślubu, i dlatego wpierw jeszcze ostrzegłem tego rycerza, którego mi na cześć i na relikwie akwizgrańskie<sup>835</sup> poprzysiągł, że tajemnicy, póki będzie trzeba, dochowa.

A pan de Lorche przykląkł naprzód przed księżną, potem przed Danusią, następnie zaś podniósł się i stał w milczeniu, przybrany w uroczystą zbroję, po której zagięciach pełgały czerwone światelka od ognia, długi, nieruchomy, pogrążon jakby w zachwycie, gdyż i jemu ta biała dziewczyna z wiankiem nieśmiertelników na skroni wydała się jakby aniołem widzianym na szybie w gotyckim tumie<sup>836</sup>.

<sup>828</sup>równianka (daw.) — wianek. [przypis edytorski]

<sup>829</sup>czeladna — izba, w której przebywała czeladź (służba). [przypis edytorski]

<sup>830</sup>zasuć (gw.) — zasypać, pokryć. [przypis edytorski]

<sup>831</sup>graba, właśc. gruba — palenisko. [przypis edytorski]

<sup>832</sup>malowania na szybach — witraże. [przypis edytorski]

<sup>833</sup>*Ecce Agnus Dei* (łac.) — Oto Baranek Boży, słowa wypowiedane podczas Podniesienia. [przypis edytorski]

<sup>834</sup>*Domine, non sum dignus* (łac.) — Panie, nie jestem godzien. [przypis edytorski]

<sup>835</sup>akwizgrański — Akwizgran a. Aachen to miasto koronacyjne cesarzy niemieckich; w tamtejszej kaplicy cesarz Karol Wielki (ok. 747–814) zgromadził wiele ważnych relikwii. [przypis edytorski]

<sup>836</sup>tum (daw.) — świątynia. [przypis edytorski]

Lecz ksiądz postawił ją przy łożu Zbyszka i narzuciwszy im stulę na ręce, rozpoczął zwykły obrządek. Księżnie splotły lzy jedna za drugą po pocziwej twarzy, lecz w duszy nie czuła w tej chwili niepokoju, sądziła bowiem, że dobrze czyni, łącząc tych dwoje cudnych i niewinnych dzieci. Pan de Lorche klęknął po raz wtóry i wsparty obiema rękoma na rękojeści miecza wyglądał zupełnie jak rycerz, który ma widzenie — tych zaś dwoje powtarzało kolejno słowa księdza: „Ja... biorę... ciebie sobie...” — a do wtóru tym słowom cichym i słodkim grały znów świerszcze w szparach komina i trzaskał ogień w grabie. Po skończonym obrządku Danusia padła do nóg księżnie, która błogosławiła oboje, a gdy wreszcie oddała ich w opiekę mocom niebieskim, rzekła:

— Radujcie się teraz, bo już ona twoja, a ty jej.

Wówczas Zbyszko wyciągnął swe zdrowe ramię do Danusi, ona zaś objęła go rączkami za szyję i przez chwilę słychać było, jak powtarzali sobie z ustami przy ustach:

— Mojaś ty, Danuśko.

— Mój ty, Zbyszku.

Lecz zaraz potem Zbyszko zesłabł, gdyż za dużo było na jego siły wzruszeń — i zesunąwszy się na poduszki, począł oddychać ciężko. Nie przyszło jednak nań omdlenie i nie przestał się uśmiechać do Danusi, która obcierała mu twarz zroszoną zimnym potem, a nawet nie przestał powtarzać jeszcze: „Mojaś ty, Danuśka” — na co ona pochylała za każdym razem swą przetowłosą głowę. Widok ten wzruszył do reszty pana de Lorche, który oświadczył, że gdy w żadnym kraju nie przygodziło mu się widzieć serc tak czułych, przeto poprzysięga uroczyście, jako gotów jest potykać się pieszo lub konno z każdym rycerzem, czarnoksiężnikiem lub smokiem, który by ich szczęśliwości śmiał stanąć na zawadzie. I rzeczywiście poprzysięgł ową zapowiedź natychmiast na mającej kształt krzyżyka rękojeści od mizerykordii<sup>837</sup>, to jest małego miecza, który służył rycerzom do dobijania rannych. Księżna i ojciec Wyszoniek wezwani byli na świadków tej przysięgi.

Lecz pani, nie rozumiejąc ślubu bez jakowegoś wesela, przyniosła wina — więc pili następnie wino. Godziny nocy płynęły jedna za drugą. Zbyszko, przewyciężywszy słabość, przygarnął znów Danusie i rzekł:

— Skoro mi cię Pan Jezus oddał, nikt mi cię nie odbierze, ale mi żal, że wyjeżdżasz, jagódka moja najmilsza.

— Do Ciechanowa z tatulem przyjeździem — odpowiedziała Danusia.

— Byle cię chorość jakaś nie napadła, albo co... Boże cię strzeż od złej przygody... Musisz do Spychowa, wiem!... Hej!... Bogu Najwyższemu i miłościwej pani dziękować, żeś już moja, bo już ci ślub, to tego moc ludzka nie odrobi.

Że jednak ślub ten odbył się w nocy i tajemniczo, i że zaraz po nim miało nastąpić rozstanie, więc chwilami jakiś dziwny smutek ogarniał nie tylko Zbyszka, ale i wszystkich. Rozmowa rwała się. Od czasu do czasu przygasał też ogień w grabie — i głowy pogrążyły się w mroku. Ksiądz Wyszoniek dorzucał wówczas na węgle nowe bierwiona<sup>838</sup>, a gdy zapiszczało co żałośnie w szczapie, jako często bywa przy świeżym drzewie, mówił:

— Duszo pokutująca, czego żądasz?

Odpowiadały mu świerszcze, a potem wzmagający się płomień, który wydobywał z cienia bezsenne twarze, odbijał się w zbroi pana de Lorche, rozświetlając zarazem białą sukienkę i nieśmiertelniki na głowie Danusi.

Psy na dworze poczęły znów poszczekiwać w stronę boru takim szczekaniem jak na wilki.

I w miarę jak płynęły godziny nocy, coraz częściej zapadało milczenie, aż wreszcie księżna rzekła:

— Miły Jezu! Ma-li tak być po ślubie, lepiej by pójść spać, ale skoro mamy czuwać do rana, to i zagrajże nam jeszcze, kwiatuśku, ostatni raz przed odjazdem na luteńce, mnie i Zbyszkowi.

Danusia, która czuła zmęczenie i senność, rada była czymkolwiek się orzeźwić, więc skoczyła po lutnię i wróciwszy z nią, po chwili siadła przy łożku Zbyszka.

— Co mam grać? — zapytała.

Alkohol

Duch, Obyczaje

<sup>837</sup>*mizerykordia* (od łac. *miser cordia*: miłosierdzie) — krótki, wąski sztylet do dobijania rannych. [przypis edytorski]

<sup>838</sup>*bierwiono* — polano. [przypis edytorski]

— Co? — rzekła księżna. — A cóż by jak nie ona pieśń, którąś w Tyńcu śpiewała, kiedy to cię pierwszy raz Zbyszko ujrzał!

— Hej! Pamiętam i do śmierci nie zabaczę — rzekł Zbyszko. — Jakem, bywało, to gdzie usłyszał, to aż mi śluzę z oczu płynęły.

— To i zaśpiewam! — rzekła Danusia.

I zaraz poczęła brząkać na luteńce, następnie zaś, zadarłszy jak zwykle główkę do góry, zaśpiewała:

Gdybym to ja miała  
Skrzydłeczka jak gaska,  
Poleciałabym ja  
Za Jaśkiem do Śląska.

Usiadłabym ci ja  
Na śląkowskim płocie:  
„Przypatrz się, Jasieńku,  
Ubogiej sierocie!...”

Lecz nagle głos się jej załamał, usta poczęły się trząść, a spod zamkniętych rzęs łzy wydostawały się przemocą na policzki. Przez chwilę starała się ich nie puścić spod powiek, ale nie mogła — i w końcu rozplakała się serdecznie, zupełnie jak wówczas, gdy ostatni raz śpiewała tę pieśń Zbyszкови w krakowskim więzieniu, gdy myślała, że mu nazajutrz szyję utną.

— Danuśka! Co ci, Danuśka? — pytał Zbyszko.

— Czego płaczesz? Jakież to wesele! — zawołała księżna. — Czego?

— Nie wiem — odpowiedziała, łkając, Danuśka — tak ci mi smutno!... Taki żal!... Zbyszka i pani...

Więc zatroskali się wszyscy i nuż ją pocieszać, nuż tłumaczyć jej, że to nie na długo tego odjazdu i że pewnie jeszcze na święta zjadą z Jurandem do Ciechanowa. Zbyszko znów objął ją ramieniem, przytulał do piersi i wycalowywał łzy z oczu — ucisk jednak pozostał we wszystkich sercach — i w tym ucisku zbiegały im godziny nocy.

Aż wreszcie na dziedzińcu rozległ się odgłos tak nagły i przeraźliwy, że aż wzdrygnęli się wszyscy. Księżna, zerwawszy się z ławy, zawołała:

— O dlaboga! Żurawie studzienne! Konie poją!

A ksiądz Wyszoniek spojrział w okno, w którym szklane gomółki przybierały barwę szarawą, i ozwał się:

— Noc już bieje i dzień się czyni. *Ave Maria, gratia plena...*<sup>839</sup>

Po czym wyszedł z izby i wróciwszy po jakimś czasie, rzekł:

— Dnieje, chociaż będzie ciemny dzień. To Jurandowi ludzie konie poją. Czas ci do drogi, niebogo!...

Na te słowa i księżna, i Danusia uderzyły w głośny płacz i obie wraz ze Zbyszkiem poczęły wyrzekać, tak jak wyrzekają ludzie prości, gdy im przychodzi się rozstać, to jest, że było w tym wyrzekaniu coś obrządkowego i zarazem jakby pół zawodzenie, pół śpiewanie, które wylewa się z dusz polnych tak przyrodzoną drogą, jak leją się łzy z oczu.

Hej! Nie pomoże już nic płkanie,  
Już cię żegnamy, miłe kochanie,  
Już płkanie nie pomoże.  
Już żegnamy cię, nieboże,  
Żegnamy cię — hej!...

Lecz Zbyszko przytulił po raz ostatni Danusię do piersi i trzymał ją długo, dopóty, dopóki mu tchu starczyło i dopóki księżna nie oderwała jej od niego, aby ją przebrać na drogę.

Tymczasem rozedniało zupełnie. We dworcu rozbudzili się wszyscy i poczęli się krzątać. Do Zbyszka wszedł Czech, giermek, dowiedzieć się o zdrowie i pytać o rozkazy.

<sup>839</sup>*Ave Maria, gratia plena* (łac.) — Zdrowaś Mario, łaskiś pełna. [przypis edytorski]

— Przyciągnij łoże do okna — rzekł mu rycerz.

Czech przyciągnął z łatwością łoże do okna, ale zdziwił się, gdy Zbyszko kazał mu je otworzyć — usłuchał jednak i tego rozkazu, nakrył tylko pana własnym kożuchem, gdyż na dworze chłodno było, choć chmurno — i padał śnieg miękki a obfity.

Zbyszko począł patrzeć: na dziedzińcu przez lecące z chmur płatki śniegowe widać było sanki, wokół nich siedzieli na szerszeniałych<sup>840</sup> i dymiących koniach ludzie Jurandowi. Wszyscy byli zbrojni, a niektórzy mieli blachy na kożuchach, w których przeglądały się blade i posępne promienie dnia. Las zasulo całkiem śniegiem; plotów i kołowrota prawie nie można było dojrzeć.

Danusia wpadła jeszcze do izby Zbyszka cała już zakutana w kożuszek i lisią szubę; jeszcze raz objęła za szyję i jeszcze raz rzekła mu na pożegnanie:

— Chociaż i odjeżdżam, tom twoja.

A on całował jej ręce, policzki i oczy, które ledwie było widać spod lisiego puchu, i mówił:

— Boże cię strzeż! Boże cię prowadź! Mojaś ty już, moja do śmierci!

I gdy znów oderwano ją od niego, podniósł się, ile mógł, wsparł głowę na oknie i patrzył; więc poprzez płatki śniegowe jakby przez jakowąś zasłonę widział, jak Danusia siadała do sanek, jak księżna trzymała ją długo w objęciach, jak całowały ją dworki i jak ksiądz Wyszoniek żegnał ją znakiem krzyża na drogę. Obróciła się jeszcze przed samym odjazdem ku niemu i wyciągnęła ręce:

— Ostawaj z Bogiem, Zbyszku!

— Boże, daj w Ciechanowie cię obaczyć...

Ale śnieg padał tak obfity, jakby chciał wszystko zgłuszyć i wszystko przesłonić, więc te ostatnie słowa doszły ich tak przytłumione, że obojgu wydało się, iż wołają na siebie — już z daleka.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Po obfitych śniegach nastały ciężkie mrozy i dni pogodne, suche. Dniem bory iskrzyły się w promieniach słońca, lód popętał<sup>841</sup> rzeki i ustalił<sup>842</sup> bagna. Przyszły jasne noce, wśród których mróz wzmagął się do tego stopnia, że drzewa pękały z hukiem w lesie; ptactwo zbliżało się do domostw; drogi stały się niebezpieczne z powodu wilków, które jeły się zbierać w stada i napadać nie tylko na pojedynczych ludzi, lecz i na wsie. Lud jednak radował się w dymnych chatach<sup>843</sup> przy ogniskach, przepowiadając po mroźnej zimie rok urodzajny, i wesoło czekał świąt, które miały niebawem nadejść.

Leśny dworzec książęcy opustoszał. Księżna wraz z dworem i księdzem Wyszońkiem wyjechała do Ciechanowa. Zbyszko, znacznie już zdrowszy, ale nie dość jeszcze mocny, by na koń sięść, został w dworcu razem ze swymi ludźmi, z Sanderusem, z giermkim Czechem i z miejscową służbą, nad którą miała dozór stateczna szlachcianka pełniąca obowiązki gospodyni.

Lecz dusza w rycerzu rwała się do młodej żony. Była mu wprawdzie niezmierną osłodą myśl, że Danusia już jest jego i żadna moc ludzka nie zdoła mu jej odjąć, ale z drugiej strony też sama myśl potęgowała jego tęsknotę.

Po całych dniach wdychał do tej chwili, w której będzie mógł dworzec opuścić, i rozważał, co wówczas ma uczynić, gdzie jechać i jak Juranda przejednać. Miewał też chwile ciężkiego niepokoju, ale w ogóle przyszłość przedstawiała mu się radośnie. Kochać Danuskę i łuskać hełmy z pawimi piórami — oto miało być jego życie. Często brała go ochota porozmawiać o tym z Czechem, którego polubił, ale zauważył, że Czech, oddany duszą całą Jagience, nierad rozmawiał o Danusi, on zaś związany tajemnicą nie mógł mu powiedzieć wszystkiego, co się stało.

Zdrowie jego polepszało się jednak z każdym dniem. Na tydzień przed Wigilią dosiadł po raz pierwszy konia i choć czuł, że nie mógłby jeszcze tego uczynić w zbroi, jednakże nabral otuchy. Nie spodziewał się zresztą, by miała go zaskoczyć potrzeba prędkiego

Zima

Zdrowie

<sup>840</sup>szerszeniały (daw.) — pokryty szronem. [przypis edytorski]

<sup>841</sup>popętać — spętać, związać. [przypis edytorski]

<sup>842</sup>ustalić — tu: utwardzić. [przypis edytorski]

<sup>843</sup>dymna a. kurna chata — chata bez komina, w której dym wydostawał się przez dach. [przypis edytorski]

przywdziania pancerza i hełmu, a w najgorszym razie tuszył, iż wkrótce będzie miał i na to dość sił. W izbie próbował dla zabicia czasu podnosić miecz i szło mu nieźle; topór okazał się tylko dla niego za ciężki, mniemał wszelako, że chwyciwszy toporzysko w obie dłonie, zdołałby już skutecznie machnąć.

Na koniec, na dwa dni przed Wigilią, kazał wymościć wozy, pokulbaczyć konie i oznajmił Czechowi, że pojedą do Ciechanowa. Wierny giermek zatroskał się nieco, zwłaszcza że na dworze był mróz trzaskający, ale Zbyszko rzekł mu:

— Nie twoja głowa, Głowaczu (tak go bowiem z polska nazywał). Nic tu po nas w tym dworcu, a choćbym miał zachorzeć, toć starunku w Ciechanowie nie zabraknie. Wreszcie pojedę nie konno, ale w saniach, po szyć w sianie i pod skórą, a dopiero pod samym Ciechanowem na koń się przesiadę.

I tak się stało. Czech już przeznał<sup>844</sup> swego młodego pana i wiedział, że niedobrze mu się przeciwiać, a jeszcze gorzej nie spełnić w lot rozkazu; więc w godzinę później ruszono. W chwili odjazdu Zbyszko, widząc Sanderusa ładującego się na sanie wraz ze swoją skrzynią, rzekł mu:

— A ty czegoś się do mnie przyczepił jak rzep do owczej wełny?... Mówiłeś, że chcesz do Prus.

— Mówiłem, że chcę do Prus — rzekł Sanderus — ale jakże mi tam samemu iść w takie śniegi? Wilcy mnie zjedzą, nim pierwsza gwiazda zejdzie, a tu też nie mam po co ostawać. Wolej mi w mieście ludzi pobożnością budować, świętym towarem ich darzyć i z diabelskich obierzy ratować, jakom Ojcu wszystkiego chrześcijaństwa<sup>845</sup> w Rzymie zaprzysiągł. A prócz tego okrutniem waszą miłość pokochał, więc jej nie opuszczę przed odejściem do Rzymu, bo może się zdarzy i jakąś przysługę oddać.

— Zawsze on za was, panie, gotów zjeść i wypić — rzekł na to Czech — i taką przysługę najbardziej rad by oddać. Ale jeśli nas za wielka chmara wilków w przasnyskim boru opadnie, to im go rzucim na odprawę<sup>846</sup>, bo na nic lepszego się nie przygodzi.

— A wy patrzcie, by wam grzeszne słowo do wąsów nie przymarzło — odparł Sanderus — gdyż takowe sople tylko w piekielnym ogniu topnieją.

— O wa! — rzekł Głowacz, sięgając rękawicą do wąsów, które ledwie poczynały mu się sypać. — Pierwej spróbuję zagrzać piwa na popasie, ale tobie go nie dam.

— A przykazanie jest: spragnionego napoić. Nowy grzech!

— To ci dam wiadro wody, a tymczasem naści, co mam pod ręką.

I tak mówiąc, nabrał śniegu, ile mógł dwiema rękawicami objąć, i rzucił nim w brodeł Sanderusa, ale ów uchylił się i rzekł:

— Nic po was w Ciechanowie, bo tam już jest chowany<sup>847</sup> niedźwiadek, co śniegiem praska.

Tak to oni przekomarzali się ze sobą, dosyć się lubiąc wzajemnie. Zbyszko jednakże nie zabronił Sanderusowi jechać ze sobą, albowiem cudaczny ów człowiek bawił go, a zarazem zdawał się być istotnie do niego przywiązany. Ruszyli więc z dworca leśnego jasnym rankiem w mróz tak wielki, że trzeba było konie okrywać. Cała kraina leżała pod obfitym śniegiem.

Dachy chat ledwie było spod niego widać, a miejscami dymy zdawały się wychodzić wprost z białych zasp i szły w górę strzeliste, różowe od poranku, rozszerzone u szczytu w kiście, podobne do rycerskich pióropuszków.

Zbyszko jechał na wozie, raz, dla zaoszczędzenia sił, a po wtóre, dla wielkiego zimna, przed którym łatwiej się było uchronić w wymoszczonych sianem i skórą wozach. Kazał też Głowaczowi przysiąść się do siebie i mieć kuszę na podorędziu<sup>848</sup> od wilków, tymczasem zaś gawędził z nim wesoło.

— W Przasnyszu — rzekł — jeno konie popasiem, rozgrzejem się i zaraz ruszymy dalej.

— Do Ciechanowa?

— Naprzód do Ciechanowa państwu się pokłonić i nabożeństwa zażyć.

<sup>844</sup>przeznać (daw.) — tu: poznać, przejrzeć kogoś. [przypis edytorski]

<sup>845</sup>Ojciec wszystkiego chrześcijaństwa — papież. [przypis edytorski]

<sup>846</sup>na odprawę — aby je odprawić, tj. pozbyć się ich. [przypis edytorski]

<sup>847</sup>chowany (daw.) — udomowiony. [przypis edytorski]

<sup>848</sup>na podorędziu (daw.) — pod ręką. [przypis edytorski]

— A potem? — pytał Głowacz.

Zbyszko uśmiechnął się i odrzekł:

— Potem, kto wie, czy nie do Bogdańca.

Czech spojrział na niego ze zdziwieniem. W głowie błysnęła mu myśl, że może młody pan wyrzekł się Jurandówny, i wydało mu się to tym podobniejszym do prawdy, ponieważ Jurandówna wyjechała, o uszy zaś Czecha odbiła się w leśnym dworcu wiadomość, że pan na Spychowie przeciwny był młodemu rycerzowi. Więc ucieszył się pocziwy giermek, bo chociaż miłował Jagienkę, ale patrzył na nią tak jak na gwiazdę na niebie i rad by był okupić jej szczęście choćby krwią własną, Zbyszka też pokochał i z całej duszy pragnął obojgu do śmierci służyć.

— To już wasza miłość osiedzie na dziedzinie! — rzekł z radością.

— Jakże mi na dziedzinie siedzieć — odpowiedział Zbyszko — kiedym owych rycerzy krzyżowych pozwał, a przedtem jeszcze Lichtensteina? Mówił de Lorche, że ponoć mistrz ma króla w gościnę do Torunia zaprosić, to się do królewskich pocztów przyczepię; i tak myślę, że w Toruniu pan Zawisza z Garbowa alibo pan Powąła z Taczewa wyprosi mi u pana naszego pozwolenie, abym się mógł na ostre<sup>849</sup> z tymi mnichami potykać. Pewnikiem wystąpią oni z giermkami, więc i tobie przyjdzie się spotkać.

— Już bym też chyba sam mnichemostał, gdyby miało być inaczej — rzekł Czech.

Zbyszko spojrział na niego z zadowoleniem.

— No i nie będzie temu dobrze, który ci się pod żelazowo nawinie. Pan Jezus dał ci siłę okrutną, ale źle byś uczynił, gdybyś nią zbyt puszył, albowiem prawemu giermkowi pokora przystoi.

Czech począł kiwać głową na znak, że siłą nie będzie puszył, ale jej też i na Niemców nie poskąpi — a Zbyszko uśmiechał się w dalszym ciągu, ale już nie do giermka, tylko do własnych myśli.

— Stary pan będzie rad, gdy wrócim — rzekł po chwili Głowacz — i w Zgorzelicach też będą radzi.

Zbyszku stanęła Jagienka tak w oczach, jakby przy nim siedziała na saniach. Bywało to zawsze, że gdy wypadkiem o niej pomyślał, to widział ją ogromnie wyraźnie...

„Nie! — rzekł sobie. — Nie będzie ona rada, bo jeśli wrócę do Bogdańca, to z Danuską, a ona niech bierze innego...”. Tu mignęli mu przed oczyma: Wilk z Brzozowej i młody Cztań z Rogowa — i nagle uczyniło mu się przykro na myśl, że dziewczyna może pójść w ręce jednego z tych dwóch. „Wolej by lepszego jakiego znalazła — mówił sobie w duszy — bo to piwożłopy i kostery<sup>850</sup>, a dziewczka uczciwa jest”. Pomyślał też i o tym, że stryjowi, gdy się dowie o tym, co zaszło, będzie okrutnie markotno, ale pocieszył się wraz myślą, że Maćkowi chodziło zawsze w pierwszym rzędzie o ród i o dostatki, które mogły znaczenie rodu podnieść. Jagienka była wprawdzie bliżej, bo o miedzę, ale za to Jurand większy był dziedzic od Zycha ze Zgorzelic, więc łatwo było przewidzieć, że Maćko nie będzie długo krzyw o taki związek, tym bardziej że wiedział przecie o miłości bratanka i o tym, ile ów Danusi zawdzięcza... Pomruczy, a potem będzie rad i pocznie Danuskę miłować jak własne dziecko!

I nagle serce w Zbyszku poruszyło się przywiązaniem i tęsknotą do tego stryjca, który był człowiek twardy, a przecie tak go kochał jak źrenicę oka; w bitwach jego więcej strzegł niżli siebie, dla niego łup brał, dla niego zabiegał o majątność. Dwóch ich było oto samotników na świecie! Krewnych nawet nie mieli, chyba dalekich jak opat — więc gdy, bywało, przyszło im się czasem rozłączyć, to jeden bez drugiego nie wiedział, co począć, a zwłaszcza stary, który niczego już dla siebie nie pożądał.

— Hej! Będzie rad, będzie rad! — powtarzał sobie Zbyszko. — I tego bym jeno chciał, żeby mnie i Jurand tak przyjął, jako on mnie przyjmie.

I próbował sobie wyobrazić, co też powie i pocznie Jurand, gdy się o ślubie dowie. Było w tej myśli trochę niepokoju, ale niezbyt wiele, właśnie dlatego, że już klamka zapadła. Na bitkę nie wypadło przecie Jurandowi go wyzywać, gdyby zaś zbyt się sprzeciwiał, to mógł mu Zbyszko odpowiedzieć tak: „Przystańcie, póki proszę, bo wasze prawo do Danuski ludzkie, a moje boskie — i nie wasza teraz ona, jeno moja”. Coś tam zasłyszał

Sluga

Rodzina

Ślub

<sup>849</sup>na ostre — na broń ostrą, przen.: na śmierć. [przypis edytorski]

<sup>850</sup>kostera (daw.) — gracz w kości, hazardzista. [przypis edytorski]

w swoim czasie od pewnego kleryka biegłego w Piśmie, że niewiasta powinna porzucić ojca i matkę, a pójść za mężem — więc czuł, że przy nim większa moc. Nie spodziewał się jednak, by między nim a Jurandem miało dojść aż do zawziętej niezgody i złości, liczył bowiem, że dużo wskórają prośby Danusi, a równie wiele, jeśli nie więcej, wstawiennictwo księcia, którego Jurand był podwładnym, i księżny, którą umiłował jako opiekunkę swego dziecka.

W Przasnyszu radzono im zostać na nocleg, ostrzegając ich przed wilkami, które z powodu mrozów pozbijały się w stada tak wielkie, że napadały nawet gromadnie jadących ludzi. Zbyszko jednak nie chciał na to zważać, albowiem zdarzyło się, iż w gospodzie spotkali kilku rycerzy mazowieckich z pocztami, którzy też jechali do księcia do Ciechanowa, i kilku zbrojnych kupców z samego Ciechanowa, prowadzących ładowne wozy z Prus. W tak wielkiej kupie nie było niebezpieczeństwa, więc ruszyli na noc, choć pod wieczór zerwał się nagle wiatr, nagnał chmur i poczęła się zadymka. Jechali, trzymając się blisko jedni drugich, ale tak wolno, iż Zbyszko począł myśleć, iż nie zdążą na Wilię<sup>851</sup>. W niektórych miejscach trzeba było rozkopywać zasy, gdyż konie wcale nie mogły przejść. Szczęściem, droga leśna nie była błędna. Jednakże zmierzch już był na świecie, gdy dojrzeli Ciechanów.

Może nawet byliby jeździli wokół miasta wśród śnieżnych tumanów i poświstu wicherów, nie domyślając się, że są tuż, gdyby nie ognie płonące na wzniesieniu, na którym budowano nowy zamek. Nikt już dobrze nie wiedział, czy w wigilię Bożego Narodzenia palono te ognie dla gości, czy dla jakiegoś starożytnego zwyczaju, ale też i nikt ze Zbyszkowych towarzyszy teraz o tym nie myślał — wszyscy bowiem chcieli znaleźć jak najprędzej ochronę w mieście.

Tymczasem zamieć zwiększała się coraz bardziej. Ostry i mroźny wiatr niósł niezmiernie tumany śnieżne, targał drzewami, huczał, szalał, podrywał całe zasy, podnosił je w górę, skręcał, rozpylał, przykrywał nimi wozy, konie, ciął po twarzach podróżników jakby ostrym piaskiem — tłumił im oddech w piersiach i mowę. Głosu kołatek przytwierdzonych do dyszlów nie było wcale słyhać, natomiast w wyciu i poświście wichru odzywały się jakieś głosy żałosne jakby wycie wilcze, jakby odległe rzenie koni, a czasem jakby pełne trwogi ludzkie wołanie o ratunek. Wyczerpane konie poczęły się spierać bokami o siebie i iść coraz wolniej.

— Hej, kurniawa<sup>852</sup> też to, kurniawa! — rzekł zdyszany głosem Czech. — Szczęście, panie, żeśmy pod miastem i że owe ognie się palą, bo inaczej źle by było z nami.

— Kto w polu, temu śmierć — odrzekł Zbyszko — ale owo i ognia już nie widzę.

— Bo tuman taki, że i ogień nie prześwieci. A może rozmiotło drwa i węgle.

Na innych wozach rozmawiali także kupcy i rycerze, że kogo zamieć z dala od siedzib ludzkich ułapi, ten już dzwonoń jutro nie usłyszy. Lecz Zbyszko zaniepokoił się nagle i rzekł:

— Nie daj Bóg, aby tam Jurand był gdzie w drodze.

Czech, lubo całkiem zajęty wpatrywaniem się w stronę ognisk, usłyszawszy słowa Zbyszka, odwrócił jednak głowę i zapytał:

— To pan ze Spychowa miał zjechać?

— Miał.

— Z panną?

— A ogień to ci naprawdę przesłoniło — odpowiedział Zbyszko.

I rzeczywiście, płomień przygasł, ale natomiast na drodze tuż przy koniach i saniach zjawilo się kilku jeźdźców.

— A czego następujesz? — zawołał czujny Czech, chwytając kuszę. — Kto wy?

— Ludzie książęcy, wysłani w pomoc podróżnym.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków.

— Prowadźcie do miasta! — ozwał się Zbyszko.

— Czy nikt z was nie ostał?

— Nikt.

<sup>851</sup>Wilia — Wigilia. [przypis edytorski]

<sup>852</sup>kurniawa — zadymka (z gwary góralskiej, którą Sienkiewicz wykorzystywał do naśladowania języka staropolskiego). [przypis edytorski]

Ogień

Zima

Pomoc

— Skąd jedziecie?  
— Od Przasnysza.  
— A więcej podróźnych nie widzieliście po drodze?  
— Nie widzieliśmy. Ale może znajdują się na innych gościńcach.  
— Na wszystkich ludzie szukają. Jedźcie za nami. Zjechaliście z drogi! W prawo!  
I zawrócili konie. Przez czas jakiś słyhać było tylko szum wichru.  
— Siła gości w starym zamku? — spytał po chwili Zbyszko.  
Najbliższy jeździec, nie dosłyszawszy, pochylił się ku niemu:  
— Jako zaś mówicie, panie?  
— Pytam, czy siła gości u księstwa?  
— Po staremu: jest dość!  
— A dziedzica ze Spychowa nie ma?  
— Nie ma, ale go czekają. Pojechali też ludzie naprzeciw.  
— Z kagankami?  
— Zaśby tam wiatr pozwolił!

Lecz dalej nie mogli rozmawiać, bo szum zamieci wzmógł się jeszcze.

— Czyste diabelskie wesele! — ozwał się Czech.

Zbyszko jednak kazał mu milczeć i paskudnego imienia nie wywoływać.

— Nie wiesz to — rzekł — że w takie święta diabelska moc truchleje i że diabły w przeręble się chowają? Jednego raz pod Sandomierzem rybacy przed Wilią w niewodzie znaleźli: trzymał szczupaka w pysku, ale jak go głos dzwonów doszedł, zaraz omdlał, oni zasie kijami go tłukli aż do wieczery. Juźci wichura tęga jest, ale to z Pana Jezusowego pozwolenstwa, któren widać chce, żeby jutrzejszy dzień był tym radośniejszy.

— Ba! Byliśmy tuż pod miastem, a wszelako gdyby nie ci ludzie, jeździlibyśmy może i do północkska, gdyż jużesmy z drogi zjechali — odpowiedział Głowacz.

— Bo ogień przygaś.

Tymczasem wjechali jednak rzeczywiście do miasta. Zasy śniegowe leżały tam w ulicach jeszcze większe, tak wielkie, że w wielu miejscach zakrywały niemal okna, z którego to powodu błądząc za miastem, nie mogli dojrzeć światła. Ale natomiast wicher mniej tu dawał się we znaki. Na ulicach były pustki, mieszczanie siedzieli już przy Wilii. Przed niektórymi domami chłopcy z jasleczkami i z kozą śpiewali, mimo zamieci, kolędy. Na rynku też było widać ludzi poowijanych w grochowiny i udających niedźwiedzi, ale w ogóle było pusto. Kupcy, którzy towarzyszyli Zbyszkowi i innej szlachcie w drodze, zostali w mieście, owi zaś jechali dalej do starego zamku, w którym mieszkał książę i który, mając już szyby szklane, zająśniał przed nimi wesoło mimo zawiei, gdy podjechali bliżej.

Zwodzony most na rowie był spuszczoney, gdyż dawne czasy litewskich napadów minęły, a Krzyżacy, przewidując wojnę z królem polskim, sami szukali przyjaźni księcia mazowieckiego. Jeden z ludzi książęcych zadał w róg i wnet otworzono bramę. Było przy niej kilkunastu łuczników, ale na murach i blankach ani żywej duszy, gdyż książę pozwolił strażom zejść. Naprzeciw gości wyszedł stary Mrokota, który już był przyjechał przed dwoma dniami, i powitawszy ich w imieniu księcia, zaprowadził do izb, w których mogli się przybrać godniej do stołu.

Zbyszko począł go zaraz wypytywać o Juranda ze Spychowa, ów zaś odrzekł, że go nie ma, ale się go spodziewają, gdyż obiecał przecie przyjechać, a gdyby był zachorzał mocniej, to dałby znać. Wysłali jednak naprzeciw kilkunastu jeźdźców, bo takiej zawiei najstarsi ludzie nie pamiętają.

— To może niezadługo tu będą.

— Wiera<sup>853</sup>, że niezadługo. Księżna kazała postawić dla nich miski przy wspólnym stole.

Więc Zbyszko, choć zawsze strach mu było trochę Juranda, uradował się w sercu i mówił sobie: „Choćby też nie wiem, co czynił, tego nie odrobi, że to żona moja przyjeżdża, moja niewiasta, moja Danuśka najmilsza”. I gdy sobie to powtarzał, ledwie własnemu szczęściu mógł uwierzyć. Po czym pomyślał, że może mu tam już wszystko wyznała, może go przejednała i uprosiła, żeby ją zaraz oddał. „Po prawdzie, to i cóż ma lepszego do zrobienia? Jurand jest chłop mądry i wie, że choćby mi jej bronił, to ją i tak wezmę, bo

<sup>853</sup>wiera (daw.) — wierzę, że... [przypis edytorski]



moje prawo mocniejsze”. Tymczasem przebierając się, rozmawiał z Mrokotą, wypytując o zdrowie księcia, a szczególnie księżny, którą jeszcze od bytności w Krakowie pokochał jak matkę. Rad też był, dowiedziawszy się, że w zamku wszyscy zdrowi i weseli, chociaż księżna wielce po swojej miłej śpiewaczce tęskniła.

Grywa jej teraz na luteńce Jagienka, którą księżna dość lubi, ale już nie tak.

— Jaka Jagienka? — zapytał ze zdziwieniem Zbyszko.

— Jagienka z Długolasu, wnuczka starego pana z Długolasu. Gładka dziewczka, w której się ów Lotaryńczyk rozkochał.

— To pan de Lorche tu jest?

— Gdzie by miał być? Przecie z leśnego dworca tu przyjechał i siedzi, bo mu dobrze. Nie brak naszemu księciu nigdy gości.

— Rad go obaczę, bo to rycerz, któremu w niczym nie przyganić<sup>854</sup>.

— I on też was miłuje. Ale już chodźmy, gdyż księstwo wraz do stołu zasięda.

I poszli. W sali stołowej w dwóch kominach paliły się wielkie ognie, nad którymi czuwali pacholki, i roilo się już od gości i dworzan. Książę wszedł pierwszy w towarzystwie wojewody i kilku przybocznych. Zbyszko pochylał mu się do kolan, a następnie ucałował jego rękę.

On zaś ścisnął go za głowę, następnie odwiódłszy go nieco na stronę, rzekł:

— Juści o wszystkim wiem. Mruczno mi było<sup>855</sup> z początku, żeście to bez mego pozwolenstwa uczynili, ale po prawdzie nie było czasu, bom ja w oną porę był w Warszawie, gdzie i święta chciałem przepędzić. Wiadoma wreszcie rzecz, iż jak się niewiasta czego chyci, to się i nie przeciw, bo nic nie wskórasz. Księżna pani wam życzy jak matka, a i ja zawdy<sup>856</sup> wolę jej dogodzić, niż się przeciw, z takowej przyczyny, aby zaś smutku i płakania jej oszczędzić.

Zbyszko pochylał się po raz wtóry do kolan książęcych.

— Daj Bóg waszej książęcej miłości odsłużyć.

— Chwalić Jego imię, żeś już zdrów. Powiedzże księżnie, jakom cię życzliwie przyjął, to się niewiasta ucieszy! Boga mi! Jej uciecha, moja uciecha! Jurandowi za tobą dobre słowo też rzeknę i tak myślę, że pozwolenstwo da, bo on też księżnę miłuje.

— Choćby i nie chciał dać, to moje prawo pierwsze.

— Twoje prawo pierwsze i musi się zgodzić, ale błogosławieństwa może wam umknąć. Przemocą mu tego nikt nie wydrze, a bez rodzicielskiego błogosławieństwa nie masz i Boskiego.

Zatroskał się Zbyszko, usłyszawszy te słowa, gdyż dotąd o tym nie pomyślał. W tej chwili jednak weszła księżna z Jagienką z Długolasu i z innymi dwórkami, więc skoczył pokłonić się pani, ona zaś powitała go jeszcze łaskawiej od księcia i zaraz poczęła mu mówić o spodziewanym przyjeździe Juranda. Oto misy dla nich zastawione, a ludzie wysłani, by ich przeprowadzić wśród zamieci. Z wieczerzą wigilijną czekać już dłużej nie podobna, bo pan tego nie lubi, ale oni pewnie zjadą, nim wieczerza się skończy.

— Co do Juranda — mówiła księżna — będzie wedle natchnienia bożego. Albo mu powiem dziś wszystko, albo jutro po pasterce, a książę też przyobiecał, że swoje słowo doloży. Zawzięty bywa Jurand, ale nie dla tych, których miłuje, i nie dla tych, którym powinien.

Tu poczęła mówić Zbyszkowi, jak się ma z teściem zachować, by go, broń Boże, nie urazić i do zawziętości nie przywieść. Była w ogóle dobrej myśli, ale kto by lepiej znał świat i patrzył bystrzej od Zbyszka, ten zauważyłby w słowach jej pewien niepokój. Może było tak dlatego, że pan ze Spychowa nie był w ogóle człowiek łatwy, a może też poczęła się księżna trwożyć nieco tym, że ich tak długo nie było widać. Wieja<sup>857</sup> stawała się na dworze coraz okrutniejsza i wszyscy mówili, że kogo w szczerym polu złapie, ten może i zostać; księżnie jednakże przychodziło do głowy i inne przypuszczenie: mianowicie, że Danuśka wyznała ojcu, iż jest już ślubem ze Zbyszkim połączona, a ów, obraziwszy się, postanowił wcale do Ciechanowa nie przyjeżdżać. Nie chciała jednak pani zwierzyć się

<sup>854</sup>przyganić (daw.) — skrytykować. [przypis edytorski]

<sup>855</sup>mruczno mi było (daw.) — byłem niezadowolony. [przypis edytorski]

<sup>856</sup>zawdy a. zawždy (daw.) — zawsze. [przypis edytorski]

<sup>857</sup>wieja — zawieja, zadymka. [przypis edytorski]

Zbyszku z tych myśli, a nawet nie było na to i czasu, gdyż pacholcy poczęli wnosić jadło i zastawiać je na stole. Zdążył wszelako Zbyszko podjąć ją jeszcze pod nogi i zapytać:

— A jeśli przyjadą, to jakoże będzie, miłościwa pani? Mówił mi Mrokota, że dla Juranda jest osobna izba, gdzie też i dla giermków znajdzie się siano na posłanie. Ale jakoże będzie?...

A księżna poczęła się śmiać i uderzywszy go z lekka rękawicą po twarzy, rzekła:

— Cichaj! Czegóż? Widzicie go!

I odeszła ku księciu, przed którym rękodajni<sup>858</sup> wysunęli już krzesło, aby mógł na nim zasiąść. Przedtem jednak jeden z nich podał mu płaską misę, pełną cienko pokrajanego placka i opłatków, którymi książę miał się dzielić z gośćmi, dworzany i służbą. Drugą podobną trzymał dla księżny piękny wyrostek, syn kasztelana sochaczewskiego. Po przeciwnej stronie stołu stał ksiądz Wyszoniek, który miał błogosławić ustawioną na pachnącym sianie wieczerzę. A wtem we drzwiach ukazał się człowiek pokryty śniegiem i począł wołać głośno:

— Miłościwy panie!

— Czego? — rzekł książę, nierad, iż mu przerywają obrządek.

— Na Radzanowskim gościńcu całkiem przysypało jakichś podróżnych. Ludzi nam trzeba więcej, by ich odgrześć<sup>859</sup>.

Złękli się, usłyszawszy to, wszyscy, zatrwożył się książę i zwróciwszy się do kasztelana sochaczewskiego, zakrzyknął:

— Konnych z łopatami żywo.

Po czym do zwiastuna nowiny:

— Wielu przysypanych?

— Nie mogliśmy zmiarkować. Dmie okrutnie. Są konie i wozy. Znaczny poczet.

— Nie wiecie, czyj zaś?

— Ludzie mówią: dziedzica ze Spychowa.

Niebezpieczeństwo

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Zbyszko, usłyszawszy nieszczęsną nowinę, nie pytając nawet i o pozwolenie księcia, skoczył do stajen i kazał konie siodłać. Czech, który jako szlachetnie urodzony giermek znajdował się z nim na sali, zaledwie zdołał wrócić do izby i przynieść ciepłą lisiurę<sup>860</sup>; nie próbował jednakże młodego pana wstrzymywać, gdyż mając z przyrodzenia<sup>861</sup> rozum tęgi, wiedział, że wstrzymywanie na nic się nie przyda, a mitręga może okazać się zgubną. Siadłszy na drugiego konia, pochwylił jeszcze w bramie od odźwiernego kilka pochodni i wnet ruszyli razem z książęcymi ludźmi, których wartko sprawił<sup>862</sup> stary kasztelan. Za bramą ogarnęły ich nieprzebite ciemności, ale wichura wydawała się im mniejsza. Byliby może zaraz za miastem zbłądzili, gdyby nie ów człowiek, który pierwszy dał znać o wypadku, a który teraz prowadził ich tym szybciej i pewniej, że miał przy sobie psa już poprzednio z drogą obeznanego. Na otwartym polu wicher począł znowu siec ich ostro po twarzach, głównie jednak dlatego, że jechali w cwał. Gościniec był kopny, miejscami zaś tak zawiany, że trzeba było zwalniać, gdyż konie zapadały po brzuchy. Ludzie książęcy pozapalali pochodnie, kaganki i jechali wśród dymu i płomieni, w które wiatr dął z taką siłą, jakby je chciał oderwać od smolnych szczap i ponieść na pola i bory. Droga była daleka — minęli osady bliższe Ciechanowa, a następnie Niedzborz, po czym skierowali się w stronę Radzanowa. Za Niedzborzem burza poczęła jednak uciszać się rzeczywiście. Uderzenia wichru stały się słabsze i nie niosły już w sobie całych tumanów śnieżnych. Niebo pojaśniało. Z góry sypał jeszcze czas jakiś śnieg, ale wkrótce ustał. Potem tu i ówdzie w szczelinach chmur błysnęła gwiazda. Konie poczęły parskać — jeźdźcy odetchnęli swobodniej. Gwiazd przybywało z każdą chwilą i brał mróz. Po upływie kilku pacierzy uciszyło się zupełnie.

Wiatr

<sup>858</sup>rękodajny (daw.) — sługa. [przypis edytorski]

<sup>859</sup>odgrześć (daw.) — odgrzebać. [przypis edytorski]

<sup>860</sup>lisiura (daw.) — płaszcz podbity lisim futrem. [przypis edytorski]

<sup>861</sup>z przyrodzenia (daw.) — z natury. [przypis edytorski]

<sup>862</sup>sprawić (daw.) — przygotować, zorganizować. [przypis edytorski]

Pan de Lorche, który jechał obok Zbyszka, jął go pocieszać, mówiąc, że niezawodnie Jurand w chwili niebezpieczeństwa myślał przede wszystkim o ocaleniu córki i że choćby wszystkich odkopali zmarłych, ją znajdą niezawodnie żywą, a może i śpiącą pod skórami. Ale Zbyszko mało go rozumiał, a wreszcie nie miał i czasu go słuchać, gdyż po niejakej chwili przewodnik jadący na przedzie skręcił z gościńca.

Młody rycerz wysunął się naprzód i począł pytać:

— Czemu zbaczamy?

— Bo ich nie na gościńcu zasypało, jeno tam, hen! Widzicie, panie, ten olszniak<sup>863</sup>?

To rzekłszy, ukazał ręką ciemniejące w dali zarośla, które można było dojrzeć na białej płaszczyźnie śniegowej, gdyż chmury odsłoniły tarczę księżycą i noc stała się widna.

— Widać zjechali z gościńca.

— Zjechali z gościńca i jeździli w kółko wedle rzeki. W czasie wiei i zadyмки łatwo się taka rzecz przygodzi. Jeździli i jeździli, póki konie nie ustały.

— Jakożeście ich znaleźli?

— Pies doprowadził.

— W pobliżu nie ma jakich chat?

— Są, ale po tamtej stronie rzeki. Tu zaraz Wkra.

— W konie! — zawołał Zbyszko.

Ale rozkazać było łatwiej, niż rozkaz wykonać, bo jakkolwiek brał ostry mróz, na łące jednak leżał śnieg niezamarzły jeszcze, sypki, świeżo nawiany i głęboki, w którym konie zapadały wyżej kolan; musieli więc posuwać się z wolna. Nagle doszło ich szczekanie psa, wprost zaś przed nimi zamajaczył gruby i garbaty pień wierzb, nad którym połyskiwała w świetle księżycą korona bezlistnych prętów.

— Tamci są dalej — rzekł przewodnik — w pobliżu olszniaka; ale i tu coś musi być.

— Jest zaspą pod wierzbą. Poświećcie!

Kilku ludzi księżących zsiadło z koni i zaczęło świecić pochodniami, po czym zaraz jeden zawołał:

— Człowiek pod śniegiem! Widać głowę, ot tu!

— Jest i koń! — zawołał zaraz drugi.

— Odkopać!

Łopaty zaczęły zanurzać się w śnieg i odrzucać go na obie strony.

Po chwili ujrzano siedzącą pod drzewem postać ludzką ze schyloną na piersi głową i czapką głęboko zasuniętą na twarz. Jedną ręką trzymała lejce konia, który leżał obok z nozdrzami zarytymi w śnieg. Widocznie człowiek odjechał od orszaku, może dlatego, by dostać się prędzej do mieszkań ludzkich i sprowadzić pomoc, a gdy koń mu padł, wówczas schronił się pod wierzbę po stronie przeciwnej od wiatru — i tam skrzepł<sup>864</sup>.

— Poświeć! — zawołał Zbyszko.

Pachołek przysunął pochodnię do twarzy zmarzłego, ale rysów trudno było zrazu rozpoznać. Dopiero gdy drugi pachoł uniośł pochyloną głowę do góry, ze wszystkich piersi wyrwał się jeden okrzyk:

— Pan ze Spychowa!

Zbyszko kazał go porwać dwom ludziom i ratować w najbliższej chacie, sam zaś nie tracąc chwili, skoczył wraz z pozostałą służbą i przewodnikiem na ratunek reszty orszaku. Po drodze myślał, że tam znajdzie Danuśkę, żonę swoją, może nieżywą — i wypierał ostatni dech z konia, który buchał się w śniegu po piersi. Szczęściem nie było już daleko — najwyżej kilka stajen. Z ciemności ozwały się głosy: „Bywaj!” — ludzi, którzy poprzednio zostali przy zaspanych. Zbyszko dopadł i zeskoczył z konia:

— Do łopat!

Dwoje sani było już odkopanych przez tych, którzy pozostali na straży. Konie i ludzie w nich zmarli bez ratunku. Gdzie są inne zaprzęgi, można było poznać po pagórkach śnieżnych, chociaż nie wszystkie sanie były całkiem pokryte. Przy niektórych widać było konie, brzuchami wsparte o zaspę, rwące się jakby do biegu, zakrzepłe w ostatnim wysileniu. Przed jedną parą stał człowiek z dzidą w ręku, zanurzony po pas w śniegu, nieruchomy jak słup; w dalszych pachołkowie pomarli przy koniach, trzymając je przy pysku.

Śmierć

<sup>863</sup>olszniak (daw.) — zagajnik olchowy. [przypis edytorski]

<sup>864</sup>skrzepnąć — zamarznąć. [przypis edytorski]

Śmierć ich zaskoczyła widocznie w chwili, gdy chcieli wydobywać konie ze śnieżnych zawałów. Jeden zaprząg na samym końcu orszaku całkiem był nieprzysypany. Woźnica siedział skulony na przedzie z rękoma przy uszach, zaś w tyle leżało dwóch ludzi; długie rzuty śniegowe nawiane w poprzek ich piersi łączyły się z zaspą leżącą obok i przykrywały ich jak pościel, a oni zdawali się spać cicho i spokojnie. Lecz inni poginęli, walcząc do ostatka z zawieją, albowiem skrzepli w postawach pełnych wysilenia. Kilka sań było wywróconych; u niektórych połamane dyszle. Łopaty odkrywały co chwila grzbiety końskie wyprężone jak łuki lub łby wbite zębami w śnieg, ludzi w saniach i obok sań — lecz na żadnych nie znaleziono niewiast. Zbyszko chwilami pracował łopatą, aż pot zlewał mu czoło; chwilami świecił w oczy trupom z bijącym sercem, czy nie ujrzy między nimi kochanej twarzy — wszystko na próżno! Płomień oświecał tylko groźne, wąsate twarze spychowskich zabijaków — ni Danusi, ni żadnej innej niewiasty nie było nigdzie.

— Co to jest? — pytał się siebie ze zdumieniem młody rycerz.

I wołał na ludzi pracujących opodal, pytając, czy czego nie odkryli; lecz ci odkrywali samych mężów. Wreszcie robota była skończona. Pacholkiwie pozaprzęgali do sani własne konie i siadłszy na kozły, ruszyli z trupami ku Niedzborzu, by tam w ciepłym dworze próbować jeszcze, czyli którego ze zmarłych nie będzie można przywrócić do życia. Zbyszko z Czechem i dwoma ludźmi pozostał. Na myśl mu przyszło, że może sanie z Danusią odłączyły się od orszaku; może Jurand, jeśli, jak należało się spodziewać, zaprzężone były w konie najlepsze, kazał im jechać naprzód; a może zostawił je gdzie przy chacie po drodze. Zbyszko sam nie wiedział, co ma począć; w każdym razie chciał przepatrzeć pobliskie zasy, olszniak, a potem nawrócić i szukać po gościńcu.

Ale w zaspach nie znaleziono nic. W olszniaku błysnęły im jeno kilkakrotnie<sup>865</sup> wilcze, nigdzie jednak nie trafili na ślady ludzi i koni. Łąka między olszniakiem a gościńcem lśniła się teraz w blasku księżycy i na białej, smutnej jej powierzchni widać było wprawdzie z dala tu i ówdzie kilka ciemniejszych plam, ale były to także wilki, które za zbliżeniem się ludzi poczynały szybko umykać.

— Wasza miłość! — rzekł wreszcie Czech. — Próżno tu jeździm i szukamy, bo panny ze Spychowa nie było w orszaku.

— Na gościniec! — odpowiedział Zbyszko.

— Nie znajdziem i na gościńcu. Patrzałem ja dobrze, czy na których saniach nie było jakowych lubów, a w nich białogłowskich<sup>866</sup> przyodziewków. Nie było nic. Panna ostała w Spychowie.

Zbyszka uderzyła trafność tej uwagi, więc odrzekł:

— Daj Bóg, aby tak było, jako mówisz.

A Czech poszedł jeszcze głębiej po rozum do głowy:

— Gdyby była gdzie w saniach, starszy pan nie byłby od niej odjechał albo odjeżdżając, wziąłby ją przed siebie na koń i bylibyśmy ją przy nim znaleźli.

— Jedźmy tam jeszcze raz — rzekł Zbyszko zaniepokojonym głosem.

Na myśl bowiem przyszło mu, że może tak i było, jak mówił Czech. Nuż nie szukali dość starannie! Nuż Jurand wziął przed siebie na konia Danusię, a potem, gdy koń padł, Danusia odeszła od ojca, chcąc znaleźć dla niego jakąś pomoc. W takim razie mogła znajdować się gdzie pod śniegiem w pobliżu.

Ale Głowacz, jakby odgadłszy te myśli, powtórzył:

— W takim razie znalazłby się na saniach przyodziewek, boć nie jechałaby na dwór jeno w tych szatach, które na sobie miała.

Mimo tej słusznej uwagi pojechali jednakże pod wierzbę — ale ni pod nią, ni na staje wokoło nie znaleźli nic. Juranda już byli zabrali ludzie książeńcy do Niedzborza i wokół było pusto zupełnie. Czech zauważył jeszcze, że pies, który biegł przy przewodniku i który znalazł Juranda, byłby znalazł i panienkę. Wówczas Zbyszko odetchnął, nabral bowiem niemal pewności, że Danusia została w domu. Umiał nawet zdać sobie sprawę, dlaczego się tak stało: oto Danusia widocznie wyznała wszystko ojcu, ów zaś, nie zgodziwszy się na małżeństwo, umyślnie ostawił ją w domu, sam zaś przyjechał wytoczyć sprawę przed księcia i szukać jego wstawiennictwa do biskupa. Na tę myśl Zbyszko nie mógł oprzeć

<sup>865</sup>świeczki — tu: ślepie. [przypis edytorski]

<sup>866</sup>białogłowa (daw.) — kobieta. [przypis edytorski]

się uczuciu pewnej ulgi, a nawet i radości, gdyż zrozumiał, że wraz ze śmiercią Juranda znikły wszelkie przeszkody. „Jurand nie chciał, ale Pan Jezus chciał — rzekł sobie młody rycerz — i wola boska zawsze mocniejsza”. Teraz jechać mu tylko do Spychowa i brać Danuškę jak swoją, a potem jeno ślub spełnić, który też na samym pograniczu łatwiejszy był do spełnienia niż w dalekim Bogdańcu. „Wola boska! Wola boska!” — powtarzał sobie w duszy. Nagle jednak zawstydził się tej prędkiej radości i zwróciwszy się do Czecha, rzekł:

— Juści mi go żal i głośno to przyświadczam<sup>867</sup>.

— Ludzie mówili, że Niemcy bały się go jak śmierci — odrzekł giermek.

Po chwili zaś zapytał:

— Wrócim teraz do zamku?

— Przez Niedzbórz — odpowiedział Zbyszko.

Jakoż wstąpili do Niedzborza i zajechali przede dwór, w którym przyjął ich stary dziedzic Żelech. Juranda już nie znaleźli, lecz Żelech powiedział im dobrą nowinę:

— Tarli go tu śniegiem, ledwie nie do kości — rzekł — i wino mu wlewali w głębę, a potem parzyli go w łaźni, gdzie też począł i dychać.

— Żyje? — zapytał z radością Zbyszko, który na tę wieść zapomniał o swoich własnych sprawach.

— Żyje, ale czy wyżyje, Bóg wie, bo dusza nierada z pół drogi wracać.

— Czemu zaś go powieźli?

— Bo przysłali od księcia. Co było pierzyn w domu, to go nimi przykryli i powieźli.

— A nie powiadał o córce nic?

— Ledwie że zaczął dychać; mowy nie odzyskał.

— A inni?

— A inni u Boga już za piecem. Nie będą niebożęta na pasterce, chyba na tej, którą sam Pan Jezus w niebie odprawi.

— Żaden nie ożył?

— Żaden. Chodźcie do izby, miast w sieni rozmawiać. A jeśli chcecie ich widzieć, to leżę wedle ognia w czeladnej. Chodźcie do izby.

Lecz oni spieszyli się i nie chcieli wejść, choć stary Żelech ciągnął ich, bo rad łapał ludzi, aby z nimi „ugwarzyć”<sup>868</sup>. Mieli jeszcze z Niedzborza do Ciechanowa szmat drogi i Zbyszka paliło jak ogniem, by co prędzej zobaczyć Juranda i czegoś się od niego dowiedzieć.

Jechali więc, jak mogli, spiesznie po zawianym gościńcu. Gdy przyjechali, było już po północy i pasterka kończyła się właśnie w zamkowej kaplicy. Do uszu Zbyszka doszedł ryk wołów i beczenie kóz, które to głosy udawali wedle starego zwyczaju pobożni, na pamiątkę tego, że Pan urodził się w stajence. Po mszy przysła do Zbyszka księżna z twarzą stroskaną, pełną przestachu i poczęła wypytywać:

— A Danuška?

— Nie masz jej. Zali Jurand nie przemówił, bo jako słyszałem, żyje?

— Jezusie miłosierny!... Kara to boska i gorze nam! Nie przemówił ci Jurand i leży jak drewno.

— Nie bójcie się, miłościwa pani. Danuška ostała w Spychowie.

— Skąd wiesz?

— Bo w żadnych saniach ni śladu przyodziewku. Nie byłby ci jej przecie wiózł w jednej kożuszynie.

— Prawda, jak mi Bóg miły!

I wnet oczy poczęły jej błyskać radością, a po chwili zawołała:

— Hej! Jezusiczku, coś się dziś narodził, nie gniew widać Twój, jeno błogosławieństwo jest nad nami.

Zastanowiło ją jednak przybycie Juranda bez dziewczyny, więc pytała dalej:

— Czemu by zaś miał ją ostawiać?

Zbyszko wyluszczył jej swoje domysły. Wydały się jej one słuszne, ale nie przejmowały jej zbytnią obawą.

<sup>867</sup>przyswiadczać (daw.) — przyznawać. [przypis edytorski]

<sup>868</sup>ugwarzyć (daw.) — porozmawiać. [przypis edytorski]

— Będzie nam teraz Jurand życie zawdzięczał — rzekła — a po prawdzie, to i tobie, boś i ty jeździł go odgrzebywać. Już by też kamień chyba w piersi miał, żeby się dłużej upierał! Jest też w tym dla niego i przestroga boska, by z sakramentem świętym nie wojował. Jak tylko się obaczy<sup>869</sup> a przemówi, zaraz mu to powiem.

— Trzeba, żeby się pierwiej obaczył, gdyż jeszcze nie wiadomo, dlaczego Danuśki nie wziął. A nuż chora?

— Nie powiadaj byle czego! I tak mi markotno, że jej nie ma. Żeby była chora, to by jej nie odjechał!

— Prawda! — rzekł Zbyszko.

I poszli do Juranda. W izbie gorąco było jak w łaźni i widno zupełnie, gdyż na kominie paliły się ogromne kłody sosnowe. Ksiądz Wyszoniek czuwał nad chorym, który leżał na łożu pod niedźwiedzimi skórami, z twarzą bladą, z polepionymi od potu włosami i z zamkniętymi oczyma. Usta miał otwarte i robił piersiami jakby z trudem, ale tak silnie, że aż skóry, którymi był nakryty, podnosiły się i opadały od oddechu.

— Jakoże jest? — spytała księżna.

— Wlałem mu dzbaniec grzanego wina w gębę — odrzekł ksiądz Wyszoniek — i poty na niego przyszły.

— Śpi czy nie śpi?

— Może i nie śpi, bo bokami okrutnie robi.

— A próbowaliście do niego gadać?

— Próbowałem, ale nie odpowiada nic i tak myślę, że przed świtaniem nie przemówi.

— Będziem czekać świtania — rzekła księżna.

Ksiądz Wyszoniek jął nalegać, by udała się na spoczynek, ale ona nie chciała go słuchać. Chodziło jej zawsze i we wszystkim o to, by dorównać w cnotach chrześcijańskich, a zatem i w doglądaniu chorych, zmarłej królowej Jadwidze i odkupić swymi zasługami duszę ojca; nie pomijała więc żadnej sposobności, by w chrześcijańskim od wieków kraju okazać się gorliwszą od innych i tym zatrzeć pamięć, że urodziła się w pogaństwie.

A oprócz tego paliła ją chęć, by dowiedzieć się czegoś z ust Juranda o Danusi, nie była bowiem zupełnie o nią spokojna. Siadłszy więc przy jego łożu, poczęła odmawiać różaniec, a następnie i drzemać. Zbyszko, który nie był jeszcze zupełnie zdrow, a w dodatku strudził się nad miarę jazdą nocną, poszedł wkrótce za jej przykładem i po upływie godziny posnęli oboje tak mocno, że byliby może dospali do białego dnia, gdyby nie to, że o świtaniu obudził ich głos dzwonka z zamkowej kaplicy.

Ale głos ów rozbudził i Juranda, który otworzył oczy, siadł nagle na łożu i jął rozglądać się wokół, mrugając przy tym oczyma.

— Pochwalony Jezus Chrystus!... Jakoże wam? — rzekła księżna.

Lecz on widocznie nie oprzytomniał jeszcze, gdyż patrzył na nią, jakby jej nie poznawał, i po chwili zawołał:

— Bywaj! Bywaj! Rozkopać zasnąć!

— W imię Boże: jużeście w Ciechanowie! — ozwała się znów pani.

Jurand zaś zmarszczył czoło jak człowiek, który z trudem zbiera myśli, i odrzekł:

— W Ciechanowie?... Dziecko czeka i... księstwo... Danuśka! Danuśka!...

I nagle, zamknąwszy oczy, upadł znów na wezgielnie. Zbyszko i księżna zlekli się, czy nie umarł, lecz w tej samej chwili piersi jego poczęły się poruszać głębokim oddechem jak u człowieka, którego pochwycił twardy sen.

Ojciec Wyszoniek przyłożył palec do ust i dał znak ręką, by go nie budzić, po czym szepnął:

— Może tak prześni cały dzień.

— Tak, ale co on mówił? — zapytała księżna.

— Mówił, że dziecko czeka w Ciechanowie — odpowiedział Zbyszko.

— Bo się nie opamiętał — objaśnił ksiądz.

<sup>869</sup>obaczyć się — tu: dojść do zmysłów. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Ojciec Wyszoniek obawiał się nawet, czy i po powtórnym rozbudzeniu nie chwyci Juranda dur<sup>870</sup> i nie odejmie mu na długo przytomności. Tymczasem obiecał księżnie i Zbyszkwowi, że im da znać, gdy stary rycerz przemówi, a po ich odejściu sam udał się na spoczynek. Jakoż Jurand rozbudził się dopiero w drugie święto przed samym południem, ale za to zupełnie przytomny. Księżna i Zbyszko byli przy tym obecni, więc on, siadłszy na łożu, spojrzął na nią, poznał i rzekł:

— Miłościwa pani... Dlaboga, tom ja w Ciechanowie?

— I przespaliście święto — odrzekła pani.

— Śniegi mnie przysypały. Kto mnie zratował?

— Ten rycerz: Zbyszko z Bogdańca. Pamiętacie, w Krakowie...

A Jurand popatrzył chwilę swoim zdrowym okiem na młodzieńca i rzekł:

— Pamiętam... A gdzie Danuśka?

— Nie jechała przecie z wami? — spytała z niepokojem księżna.

— Jakże miała ze mną jechać, kiedy to ja do niej jechał?

Zbyszko i księżna spojrzeli po sobie w mniemaniu, że to jeszcze gorączka mówi przez usta Jurandowe, po czym pani rzekła:

— Ocknijcie się, na miły Bóg! Nie było-li z wami dziewczyny?

— Dziewczyny? Ze mną? — spytał ze zdumieniem Jurand.

— Bo wasi ludzie poginęli, ale jej między nimi nie znaleźli. Czemuście ją ostawili w Spychowie?

Ów zaś powtórzył jeszcze raz, ale już z trwogą w głosie:

— W Spychowie? Toć ona przy was, miłościwa pani, nie przy mnie!

— Przecie przysłałście po nią do leśnego dworca ludzi i pismo!

— W imię Ojca i Syna! — odpowiedział Jurand. — Zgoła po nią nie posyłałem.

Wówczas księżna przybladła nagle.

— Co to jest? — rzekła. — Zali wyście pewni, że przytomnie mówicie?

— Na miłosierdzie Boskie, gdzie dziecko? — zawołał, zrywając się, Jurand.

Ojciec Wyszoniek, usłyszawszy to, wyszedł pospiesznie z izby, a księżna mówiła dalej:

— Słuchajcie: przybył poczet zbrojny i pisanie od was do leśnego dworca po Danuškę.

W piśmie było, że was belki w pożarze przytłukły... żeście na wpół oślepli i że chcecie dziecko widzieć... Wzięli Danuškę i pojechali...

— Gorze! — zawołał Jurand. — Jako Bóg na niebie, tak ni ognia nijakiego w Spychowie nie było, ni ja po nią nie posyłałem!

A wtem wrócił ksiądz Wyszoniek z listem, który podał Jurandowi, i zapytał:

— Nie waszego to księdza pisanie?

— Nie wiem.

— A pieczęć?

— Pieczęć moja. Co w piśmie stoi?

Ojciec Wyszoniek odczytał pismo, Jurand słuchał, chwytając się za włosy, po czym rzekł:

— Pismo zmyślane!... Pieczęć udana! Gorze duszy mojej! Chwycili mi dziecko i zatrąca!

— Kto?

— Krzyżaki!

— Rany boskie! Księciu trzeba oznajmić! Niech posłów śle do mistrza! — zawołała pani. — Jezu miłosierny, ratujże ją i wspomagaj!...

I to rzekłszy, wybiegła z krzykiem z izby. Jurand wyskoczył z łoża i począł gorączkowo wciągać szaty na swój olbrzymi grzbiet. Zbyszko siedział jak skamieniały, ale po chwili zaciśnięte zęby jego poczęły zgrzytać złowrogo.

— Skąd wiecie, że Krzyżaki ją porwały? — zapytał ksiądz Wyszoniek.

— Na Mękę Bożą przysięgnę!

— Czekajcie!... Może być. Przyjeżdżali skarżyć się na was do leśnego dworca... Chcieli pomsty na was...

<sup>870</sup>dur (daw.) — stan odurzenia, obłąd, choroba. [przypis edytorski]

— I oni ją porwali! — zawołał nagle Zbyszko.

To rzekłszy, wybiegł z izby i poskoczywszy do stajen, kazał zaprzęgać wozy i konie siodłać, sam nie wiedząc dobrze, dlaczego to czyni. Rozumiał tylko, że trzeba iść na ratunek Danusi — i to zaraz — i aż do Prus — i tam wyrwać ją z wrogich rąk albo zginąć.

Po czym wrócił do komnaty, by powiedzieć Jurandowi, że oręż i konie zaraz będą gotowe. Był pewien, że Jurand z nim pojedzie. W sercu wrzał mu gniew, ból i żal — ale jednocześnie nie tracił nadziei, zdawało mu się bowiem, że we dwóch z groźnym rycerzem ze Spychowa potrafią wszystkiego dokazać — i że mogą się porwać choćby na całą potęgę krzyżacką.

W izbie, prócz Juranda, ojca Wyszonia i pani, zastał także księcia i pana de Lorche oraz starego pana z Długolasu, którego książę, dowiedziawszy się o sprawie, wezwał także na naradę, a to dla jego rozumu i doskonałej znajomości Krzyżaków, u których przesiedział długie lata w niewoli.

— Potrzeba poczynać roztropnie, by zaś zapalczywością nie zgrzeszyć i dziewczki nie zgubić — mówił pan z Długolasu. — Mistrzowi należy się zaraz poskarżyć i jeśli wasza książęca mość da do niego pisanie, to ja pojedę.

— Pisanie dam i wy z nim pojedziecie — rzekł książę. — Nie damy dziecku zginąć, tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż. Mistrz boi się wojny z królem polskim i chodzi mu o to, by sobie i Semka<sup>871</sup>, brata mego, i mnie zjednać... Już nie z jego rozkazania ją porywano — i nakaze ją oddać.

— A jeśli z jego rozkazania? — spytał ksiądz Wyszoniek.

— Chociaż to Krzyżak, więcej w nim uczciwości niż w innych — odrzekł książę — i jakom wam rzekł, prędzej by on mi teraz chciał wygodzić, niż mnie rozgniewać. Potęga Jagiełłowa nie śmiech... Hej! Zalewali oni nam sadła za skórę, póki mogli, ale ninie obaczyli się<sup>872</sup>, że jak jeszcze i my Mazury pomożem Jagielle, to będzie źle...

Lecz pan z Długolasu począł mówić:

— Prawda jest. Krzyżaki po próżnicy niczego nie czynią; toteż tak miarkuję, że jeśli dziewczkę porwali, to jeno dlatego, by Jurandowi miecz z rąk wytrącić i alibo wykup wziąć, alibo ją wymienić.

Tu zwrócił się do pana ze Spychowa:

— Kogo macie teraz z jeńców?

— De Bergowa — odpowiedział Jurand.

— Znacznyż to kto?

— Widzi się<sup>873</sup>, że znaczny.

Pan de Lorche, usłyszawszy nazwisko de Bergowa, począł o niego wypytywać i dowiedziawszy się, o co idzie, rzekł:

— To krewny hrabiego Geldrii<sup>874</sup>, wielkiego dobrodzieja Zakonu i z rodu Zakonowi zasłużonego.

— Tak jest — rzekł pan z Długolasu, przetłumaczywszy obecnym jego słowa. — De Bergowowie wielkie piastowali dostojeństwa w Zakonie.

— A przecież Danveld i de Löwe okrutnie się o niego upominali — rzekł książę. — Co który gębę otworzył, to mówił, że de Bergow musi być wolny. Jako Bóg w niebie, tak niechybnie po to oni dziewczkę porwali, by de Bergowa wydostać.

— Za czym ją i oddadzą — rzekł ksiądz.

— Ale lepiej by wiedzieć, gdzie jest — rzekł pan z Długolasu. — Bo dajmy, że mistrz spyta: komu mam rozkazać, by ją oddał? Cóż mu powiemy?

— Gdzie jest? — rzekł głucho Jurand. — Nie trzymają oni jej pewnie na pograniczu, ze strachu, bym jej nie odbił, jeno gdzieś ją na dalekie mierzeje<sup>875</sup> wiślane albo morskie wywieźli.

A Zbyszko rzekł:

— Znajdziem ją i odbijem.

<sup>871</sup>Semko, właśc. *Ziemowit IV* (ok. 1352–1426) — książę płocki, prowadzący samodzielną politykę zagraniczną, znany jako dobry administrator. [przypis edytorski]

<sup>872</sup>obaczyć się (daw.) — zorientować się. [przypis edytorski]

<sup>873</sup>widzi się (daw.) — wydaje się. [przypis edytorski]

<sup>874</sup>Geldria — prowincja Holandii położona pomiędzy rzekami IJssel, Moza i Ren. [przypis edytorski]

<sup>875</sup>mierzeja — piaszczyste przedłużenie półwyspu, przen. wybrzeże. [przypis edytorski]



Lecz książę wybuchnął nagle tłumionym gniewem:

— Z dworca mojego psubraty ją porwały, przeto i mnie pohańbiły, a tego im nie daruję, pókim żyw. Dość mi ich zdrać! Dość napastliwości! Wolej każdemu wilkołaków mieć za sąsiadów! Ale teraz musi mistrz tych komturów pokarać i dziewczkę wrócić, a do mnie posłów z przeprosinami ślać. Inaczej wici<sup>876</sup> roześlę!

Tu uderzył pięścią w stół i dodał:

— O wa! Brat z Płocka pójdzie za mną, i Witold, i króla Jagiełłowa potęga. Dość folgi<sup>877</sup>! Święty by cierpliwość przez nozdrza wyparsknął. Juże mi dość!

Umilkli wszyscy, czekając z naradą, póki się w nim gniew nie uspokoi.

Anna Danuta zaś ucieszyła się, że książę bierze tak do serca sprawę Danusi, albowiem wiedziała, iż był cierpliwy, ale i zawzięty, i że gdy raz co przedsięwzięmie, to już nie zaniecha, póki na swoim nie postawi. Po czym zabrał głos ksiądz Wyszoniek.

— Był niegdyś w Zakonie posłuch — rzekł — i żaden komtur nie śmiał bez pozwolenistwa kapituły i mistrzowego nic na swoją rękę poczynać. Dlatego Bóg podał w ich ręce kraje tak znaczne, że prawie ich nad wszelką inną ziemską potęgę wywyższył. Ale teraz nie masz między nimi ni posłuchu, ni prawdy, ni uczciwości, ni wiary. Nic, jeno chciwość a złoba<sup>878</sup> taka, jakoby wilkami, nie ludźmi byli. Jakże im słuchać przykazań mistrza albo kapituły, skoro i boskich nie słuchają? Każdy na swoim zamku jako książę udzielny siedzi i jeden drugiemu w złem pomaga. Poskarżym się mistrzowi, a oni się zaprą. Mistrz każe im dziewczkę oddać, a oni nie oddadzą albo też rzekną: „Nie masz jej u nas, bośmy jej nie porywali”. Każe im przysiąc, to i przysięgną. Co tedy nam robić?

— Co robić? — rzekł pan z Długolasu. — Niech Jurand jedzie do Spychowa. Jeśli ją porwali dla okupu albo by ją na de Bergowa wymienić, to muszą dać znać i dadzą znać nie komu innemu, jeno Jurandowi.

— Porwali ją ci, którzy do leśnego dworca przyjeżdżali — rzekł ksiądz.

— To ich mistrz pod sąd odda albo każe im pole Jurandowi dać<sup>879</sup>.

— Pole — zawołał Zbyszko — mnie muszą dać, bom ja ich wpierw pozwał!

A Jurand odjął ręce od twarzy i zapytał:

— Którzy to byli w leśnym dworcu?

— Był Danveld i stary de Löwe, i dwóch braci: Gotfryd i Rotgier — odpowiedział ksiądz. — Skarżyli się i chcieli, by książę wam rozkazał de Bergowa z niewoli wypuścić. Ale książę, dowiedziawszy się od Fourcy’ego, że Niemcy to pierwsi was napadli, zgromił ich i z niczym odprawił.

— Jedźcie do Spychowa — rzekł książę — bo oni tam się zgłoszą. Nie uczynili tego dotąd dlatego, że Danveldowi giermek tego oto młodego rycerza ramię pokruszył, gdy im pozwanie woził. Jedźcie do Spychowa, a jak się zgłoszą, to mnie dawajcie znać. Oni wam dziecko za de Bergowa odeślą, ale ja przeto pomsty nie poniecham, bo i mnie pohańbili, z dworca ją mojego biorąc.

Tu gniew począł go chwycić na nowo, gdyż istotnie Krzyżacy wyczerpali wszelką jego cierpliwość — i po chwili dodał:

— Hej! Dmuchałi i dmuchałi w ogień, ale w końcu pyski poparzą.

— Zaprą się! — powtórzył ksiądz Wyszoniek.

— Jak raz Jurandowi oznajmiam, że dziewczka u nich, to się nie będą mogli zaprzec — odpowiedział nieco niecierpliwie Mikołaj z Długolasu. — Wierzę, że jej na pograniczu nie trzymają i że, jako słusznie wymiarkował Jurand, do dalszych zamków albo na morskie mierzeje ją wywieźli, ale gdy będzie dowód, że to oni, to się przed mistrzem nie zaprą.

A Jurand począł powtarzać jakimś dziwnym i zarazem strasznym głosem:

— Danveld, Löwe, Gotfryd i Rotgier...

Mikołaj z Długolasu polecił jeszcze wysłać bywałych<sup>880</sup> a przebiegłych ludzi do Prus, aby się w Szczytnie i Insborku wywiadzieli, czy Jurandówna tam jest, a jeśli nie, to dokąd

<sup>876</sup>wici — wezwanie na wojnę wysyłane w formie pęku powrozów lub gałązek (witek) wierzbowych. [przypis edytorski]

<sup>877</sup>folga — pobłażanie, łagodniejsze traktowanie. [przypis edytorski]

<sup>878</sup>złoba (daw.) — zło. [przypis edytorski]

<sup>879</sup>dać pole (daw.) — stanąć do pojedynku. [przypis edytorski]

<sup>880</sup>bywały (daw.) — obyty w świecie, doświadczony. [przypis edytorski]

została wywieziona; po czym książe wziął kostur w rękę i wyszedł, by wydać odpowiednie rozkazy, księżna zaś zwróciła się do Juranda, chcąc go dobrym słowem pokrzepić:

— Jakoże wam jest? — spytała.

Ów zaś przez chwilę nic nie odpowiedział, jakby nie słyszał pytania, a potem nagle rzekł:

— Jakoby mnie kto w dawną ranę ugodził.

— Ale ufajcie w miłosierdzie Boskie; wróci Danuśka, jeno im de Bergowa oddajcie.

— Nie pożałowałbym im i krwi.

Księżna zawahała się, czyby mu zaraz o ślubie nie wspomnieć, ale pomyślawszy nieco, nie chciała przyrzucić nowego zmartwienia do ciężkich już i tak nieszczęść Juranda i przy tym ogarnął ją jakiś strach. „Będą jej szukali ze Zbyszkim, niech mu Zbyszko przy sposobności powie — rzekła sobie — a ninie w głowie by się mu mogło do reszty pomieszać”. Więc wołała mówić o czym innym.

— Wy nas nie winujcie — rzekła. — Przyjechali ludzie w waszych barwach, z pismem z waszą pieczęcią, oznajmującym, jakoście chorzy, jako oczy wam gasną i jako na dziecko raz jeszcze spojrzeć chcecie. Jakże się było przeciwzić i ojcowego przykazania nie spełnić?

Jurand zaś podjął ją pod nogi.

— Ja nikogo nie winuję, miłościwa pani.

— I to wiedzcie, że Bóg ją wam odda, bo oko Jego jest nad nią. Ześle on jej poratowanie, jako na ostatnich łowach zesłał, gdy srogi tur na nas uderzył, a Pan Jezus natchnął Zbyszka, żeby nas bronił. Sam ci o mało nie stradał żywota i długo potem chorzał, ale Danuskę i mnie obronił, za co mu książe dał pas i ostrogi. Widzicie!... Ręka boska jest nad nią. Pewnie, że dziecka żal. Myślałam, że z wami przyjedzie, że ją obaczę, najmilszą, a tymczasem...

I głos jej zadrżał, i łzy puściły się z oczu, a w Jurandzie tłumiona dotychczas rozpacz zerwała się na chwilę, nagle i straszna jak wichur. Chwyił rękoma swe długie włosy, a głową począł bić w belki ściany, jęcząc i powtarzając chrapliwym głosem:

— Jezu! Jezu! Jezu!...

Lecz Zbyszko skoczył ku niemu i potrząsnawszy go z całą siłą za ramiona, zawołał:

— W drogę nam! Do Spychowa!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

— Czyj to poczet? — zapytał nagle Jurand, ocknąwszy się za Radzanowem z zamyslenia jakby ze snu.

— Mój — odpowiedział Zbyszko.

— A ludzie moi wszyscy poginęli?

— Widziałem ich nieżywych w Niedzborzu.

— Nie masz starych towarzyszków!

Zbyszko nie odrzekł nic i jechali dalej w milczeniu a szybko, gdyż chcieli jak najprędzej być w Spychowie, spodziewając się, że może zastaną tam jakich wysłanników krzyżackich. Na szczęście ich przyszły znów mrozy i drogi były przetarte, więc mogli pośpieszać. Pod wieczór Jurand znów przemówił i począł wypytywać o owych braci zakonnych, którzy byli w leśnym dworcu, a Zbyszko opowiadał mu wszystko — i o ich skargach, i o odjeździe, i o śmierci pana de Fourcy, i o postępkach swego giermka, który w tak straszny sposób pokruszył ramię Danvelda, a podczas tego opowiadania przypomniała mu się i uderzyła go jedna okoliczność, to jest bytność owej niewiasty w leśnym dworcu, która przywiozła od Danvelda balsamy gojące. Na popasie począł więc wypytywać o nią i Czecha, i Sanderusa — ale obaj nie wiedzieli dokładnie, co się z nią stało. Zdawało im się, że odjechała albo razem z tymi ludźmi, którzy przybyli po Danusię, albo wnet po nich. Zbyszkowi przyszło teraz do głowy, że to mógł być ktoś nasłany w tym celu, aby tych ludzi przestrec na wypadek, gdyby Jurand znajdował się własną osobą w dworcu. W takim razie nie podawaliby się za ludzi ze Spychowa, mogli zaś mieć przygotowane jakieś inne pismo, które by byli oddali księżnie zamiast zmyślnego Jurandowego listu. Wszystko to było ułożone z piekielną zręcznością i młody rycerz, który dotychczas znał Krzyżaków tylko z pola, po raz pierwszy pomyślał, że pięści na nich nie dość, ale że trzeba umieć zmóc ich i głowę. Myśl ta była mu przykra, albowiem jego ogromny żal i ból

Rozum

zmieniły się w nim przede wszystkim w żądzę walki i krwi. Nawet ratunek dla Danusi przedstawiał mu się jako szereg bitew kupą lub w pojedynkę; tymczasem teraz poznał, że trzeba może będzie chęć pomsty i łupania łbów wziąć jak niedźwiedzia na łańcuch i szukać całkiem nowych dróg ocalenia i odzyskania Danusi. Myśląc o tym, żałował, że nie ma przy nim Maćka. Maćko bowiem równie był przebiegły, jak mężczy. Postanowił jednak i sam wysłać ze Spychowa Sanderusa do Szczytna, aby ową niewiastę odszukał i starał się od niej wywiedzieć, co się z Danusią stało. Mówił sobie, że choćby Sanderus chciał go zdradzić, to niewiele sprawie zaszkodzi, a w razie przeciwnym może znaczne mu usługi oddać, albowiem rzemiosło jego otwierało mu wszędzie dostęp.

Chciał jednak naradzić się przedtem z Jurandem, odłożył wszelako tę rzecz do Spychowa, tym bardziej że zapadła noc i zdawało mu się, że Jurand, siedząc na wysokim siodle rycerskim, usnął z trudów, zmęczenia i ciężkiej troski. Ale Jurand dlatego tylko jechał z głową spuszczoną, że mu ją pochyliło nieszczęście. I widać, że ciągle o nim rozmyślał, że serce jego pełne było okrutnych obaw, gdyż wreszcie rzekł:

— Wolejbym był zamarł pod Niedzborzem! Tyś to mnie odgrzebywał?

— Ja, z innymi.

— A na onych łowach tyś mi dziecko ratował!

— Jakożem miał czynić?

— I teraz mi pomożesz?

A w Zbyszku wybuchnęła zarazem miłość do Danuśki i nienawiść do Krzyżaków krzywdzicieli tak wielka, że aż wstał na siodle i jął mówić przez zaciśnięte zęby, jakby z trudem:

— Słuchajcie, co rzekę: choćby mi przyszło zębami pruskie zamki gryźć, to je zgryzę, a ją dostanę.

I nastała chwila milczenia. Mściwa i niepohamowana natura Juranda ozwała się też widocznie z całą siłą pod wpływem Zbyszkowych słów, gdyż począł zgrzytać w ciemności, a po chwili powtarzać znów nazwiska:

— Danveld, Löwe, Rotgier i Gotfryd!

I w duszy myślał, że jeśli zechcą, by im Bergowa oddał, to go odda, jeśli każą mu dopłacić, to dopłaci, choćby miał cały Spychów do ceny przyrzucić<sup>881</sup>, ale później biada tym, którzy na to jedyne dziecko jego rękę podnieśli!

Przez całą noc sen nie zamknął im ani na chwilę powiek. Nad ranem ledwie się poznali, tak twarze ich były zmienione przez tę jedną noc. Juranda uderzył wreszcie ten ból i ta zawziętość Zbyszka, więc rzekł:

— Nałęczką cię ona przykryła i śmierci wydarła, wiem. Ale też ją miłujesz?

Zbyszko spojrział mu prosto w oczy z twarzą niemal zuchwałą i odpowiedział:

— To żona moja.

Na to Jurand powstrzymał konia i patrzył na Zbyszka, mrugając ze zdumienia.

— Jako powiadasz? — zapytał.

— Mówię, że ona niewiasta moja, a ja jej mąż.

Rycerz ze Spychowa przykrył rękawicą oczy, jak gdyby olnął od nagłego uderzenia pioruna, po czym nie odrzekł nic, po chwili ruszył koniem i wysunąwszy się na czoło orszaku, jechał w milczeniu.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Ale Zbyszko, jadąc za nim, nie mógł długo wytrzymać i rzekł sobie w duszy: „Wolę, żeby gniewem wybuchnął, niż żeby się zaciął”. Więc podjechał ku niemu i trąciwszy strzemieniem w jego strzemię, począł mówić:

— Posłuchajcie, jako to było. Co Danuśka dla mnie uczyniła w Krakowie, to wiecie, ale tego nie wiecie, że w Bogdańcu swatali mi Jagienkę, Zychową córkę, ze Zgorzelic. Stryj mój, Maćko, chciał; rodzic jej, Zych, chciał; a i krewny opat, bogacz, także... Co wam tam długo prawić? Ućciwa dziewczka i jak łania, a wiano też godne. Ale nie mogło to być. Było mi Jagienki żal, ale jeszcze większy żal Danuśki; i zabrałem się ku niej na Mazowsze, bo szczerze wam rzekę: nie mogłem dłużej żyć. Wspomnijcie, jakoście sami miłowali — wspomnijcie! — a nie będzie wam dziwota.

<sup>881</sup> przyrzucić — dodać. [przypis edytorski]

Tu przerwał Zbyszko, czekając na jakieś słowo z ust Juranda, lecz gdy ów milczał, jął mówić dalej:

— W leśnym dworcu Bóg mi dał, żem i panią, i Danuskę od tura na łowach zradował. I zaraz pani mówiła: „Teraz już Jurand nie będzie przeciwny, bo jakoże mu się nie wypłacić za taki uczynek?”. Ale ja i wtedy bez waszego rodzicielskiego pozwolenstwa nie myślałem jej brać. Ba! I nijak mi było, bo mnie zwierz luty tak starmosił, że ledwie duszy ze mnie nie wyżenął. Ale potem, wiecie, przyszli ci ludzie po Danuskę, by ją niby do Spychowa powieźć, a jam jeszcze z łoża nie wstawał. Myślałem, że już jej nigdy nie ujrzę. Myślałem, że ją do Spychowa weźmiecie i komu innemu oddacie. W Krakowie byliście mi przecie przeciwni... Jużem myślał, że zamrę. Hej, mocny Boże, co to była za noc! Nic, jeno strapienie; nic, jeno żałość! Myślałem, że jak mi ona odjedzie, to już i słońce nie wszędzie. Wyrozumcie wy ludzkie kochanie i ludzką boleść...

I aż lzy zadrgały na chwilę w głosie Zbyszka, ale że serce miał mężne, więc się opanował i rzekł:

— Ludzie przyjechali po nią w wieczór i chcieli ją zaraz brać, ale księżna kazała im czekać do rana. Aż tu Pan Jezus zesłał mi myśl, aby się księżnie pokłonić i o Danuskę ją prosić. Myślałem, że jeśli zamrę, to choć tę jedną będę miał pociechę. Wspomnijcie, że dziewczyna miała jechać, a ja ostawałem chory i śmierci bliski. Nie było też czasu prosić was o pozwolenstwo. Księcia nie było już w leśnym dworcu, więc wagowała się Pani na obie strony, bo nie miała się kogo poradzić. Ale zlitowali się wreszcie oboje z księdzem Wyszońkiem nade mną i ksiądz Wyszońek dał nam ślub... Moc boska, prawo boskie...

A Jurand przerwał głucho:

— I kara boska.

— Czemu zaś ma być kara? — zapytał Zbyszko. — Pomiarkujcie jeno, że przysłali po nią przed ślubem i czyby był, czyby go nie było, tak samo by ją powieźli.

Lecz Jurand znów nie odrzekł nic i jechał zamknięty w sobie, mroczny i z twarzą tak skamieniałą, że Zbyszko, lubo zrazu uczuł ulgę, jaką sprawia zawsze wyznanie rzeczy długo tajonej, zląkł się wreszcie i począł mówić sobie w duszy z coraz większym niepokojem, że stary rycerz zaciął się w gniewie i że odtąd będą dla siebie jak obcy i nieprzyjaźni ludzie.

I przyszła nań chwila wielkiego pogwałcenia. Nigdy, od czasu jak wyjechał z Bogdańca, nie było mu tak źle. Zdawało mu się teraz, że nie ma żadnej nadziei ni przejednania Juranda, ni, co gorsza, uratowania Danusi, że wszystko na nic i że w przyszłości spadną na niego tylko coraz większe nieszczęścia i coraz większa niedola. Ale pogwałcenie to trwało krótko, a raczej zgodnie z jego naturą wnet zmieniło się w gniew, chęć sporu i walki. „Nie chce zgody — mówił sobie, myśląc o Jurandzie — niech będzie niezgoda, niech będzie, co chce!”. I gotów był skoczyć do oczu samemu Jurandowi. Chwyciła go też żądza bitki z kimkolwiek o cokolwiek, byle coś zrobić, byle dać ujście żalom, goryczy i gniewowi, byle znaleźć jakowąś ulgę.

A tymczasem zajechali do karczmy na rozdrożu, zwanej Świetlik, gdzie Jurand w czasie powrotu z dworu książęcego do Spychowa dawał zwykle wypoczynek ludziom i koniom. Mimo woli uczynił to i teraz. Po chwili obaj ze Zbyszkiem znaleźli się w osobnej izbie. Nagle Jurand zatrzymał się przed młodym rycerzem i utkwivszy w nim wzrok, zapytał:

— Toś ty dla niej tu przywędrował?

Ów zaś odpowiedział prawie szorstko:

— Myślicie, że się zaprę?

I począł patrzeć wprost w oczy Juranda, gotów na gniew gniewem wybuchnąć. Lecz na twarzy starego wojownika nie było zawziętości, był tylko smutek prawie bez granic.

— I dzieckoś mi ratował? — spytał po chwili. — I mnieś odgrzebl?...

A Zbyszko spojrział na niego ze zdziwieniem i obawą, czy mu się w głowie nie miesza, gdyż Jurand powtarzał zupełnie te same pytania, które już poprzednio był zadał.

— Siądźcie sobie — rzekł — bo widzi mi się, żeście jeszcze słabi.

Lecz Jurand podniósł ręce, położył je na ramionach Zbyszka — i nagle przygarnął go z całą siłą do piersi; ów zaś, ochłonawszy z chwilowego zdumienia, chwycił go w pół i trzymali się tak długo, gdyż przykuwały ich do siebie wspólne strapienia i wspólna niedola.

Gdy zaś się puścili, Zbyszko ścisnął jeszcze za kolana starszego rycerza, a następnie pocałował go ze łzami w oczach po rękę.

— Nie będziecie mi przeciwni? — pytał.

A na to Jurand odrzekł:

— Byłem ci przeciwny, bom ją w duszy Bogu ofiarowałem.

— Wyście ofiarowali ją Bogu, a Bóg mnie. Wola Jego!

— Wola Jego! — powtórzył Jurand. — Jenemu trzeba nam teraz i miłosierdzia.

— Komuż Bóg pomoże, jeśli nie ojcu, który szuka dziecka, jeśli nie mężowi, który szuka żony? Zbójcom nie będzie ci pomagał.

— A przecie ją porwali — odpowiedział Jurand.

— To im de Bergowa oddacie.

— Oddam wszystko, co chcę.

Lecz na myśl o Krzyżakach zbudziła się w nim wnet stara nienawiść i objęła go jak płomień, gdyż po chwili dodał przez zaciśnięte zęby:

— I dołożę, czego nie chcę.

— Jam im też poprzysiągł — odpowiedział Zbyszko — ale teraz trzeba nam do Spychowa.

I zaczął pilić<sup>882</sup>, by siodłano konie. Jakoż, gdy zjadły obroki<sup>883</sup>, a ludzie rozgrzali się trochę w izbach, ruszono dalej, chociaż na dworze czynił się już mrok. Ponieważ droga była jeszcze daleka, a na noc brał mróz okrutny, przeto Jurand i Zbyszko, którzy nie odzyskali jeszcze wszystkich sił, jechali w saniach. Zbyszko opowiadał o stryjcu Maćku, do którego w duszy tęsknił, i żałował, że go nie ma, gdyż zarówno mogło się przydać jego męstwo, jak chytryść, która przeciw takim nieprzyjaciolom więcej jeszcze od męstwa jest potrzebna. W końcu zwrócił się do Juranda i zapytał:

— A wyście chytry?... Bo ja to nijak nie potrafię.

— I ja nie — odpowiedział Jurand. — Nie chytryścią ja z nimi wojowałem, jeno tą ręką i tą boleścią, która we mnie ostała.

— Juźci ja to rozumiem — rzekł młody rycerz. — Przez to rozumiem, że Danuškę miłuję i że ją porwali. Gdyby, uchwaj Bóg...

I nie dokończył, bo na samą myśl o tym poczuł w piersi nie ludzkie, ale wilcze serce. Przez czas jakiś jechali w milczeniu białą, zalaną światłem miesięcznym drogą, po czym Jurand zaczął mówić jakby sam do siebie:

— Bo gdyby mieli przyczynę do pomsty nade mną, nie mówię! Ale na miły Bóg! Nie mieli... Wojowałem z nimi w polu, gdym w poselstwie od naszego księcia do Witolda chadzał, ale tu byłem jako sąsiad sąsiadom... Bartosz Nałęcz czterdziestu rycerzy, którzy ku nim śli, chwycił, skował<sup>884</sup> i w podziemiach w Koźminie zamknął. Musieli mu Krzyżacy pół woza pieniędzy za nich nasypać. A ja, trafił się li gość Niemiec, który do Krzyżaków ciągnął, tom go jeszcze jako rycerz rycerza podejmował i obdarzał. Nieraz też i Krzyżacy do mnie przez bagna przyjeżdżali. Nie byłem im wtedy ciężki, a oni mi to uczynili, czego bym ja i dziś jeszcze największemu nieprzyjacielowi nie uczynił...

I straszne wspomnienia poczęły go targać z coraz większą siłą, głos zamarł mu na chwilę w piersi, po czym mówił na wół z jękiem:

— Jedną ci miałem jako owieczkę, jako jedno serce w piersiach, a oni ją na powrót jak psa chwycili i zbiełała im na powrozie... Teraz znów dziecko... Jezu! Jezu!

I znów zapadło milczenie. Zbyszko podniósł ku księżycowi swą młodą twarz, w której malowało się zdziwienie, następnie spojrzął na Juranda i zapytał:

— Ojcze!... Toć by im lepiej było na miłość ludzką niż na pomstę zarabiać. Po co oni tyle krzywd wszystkim narodom i wszystkim ludziom czynią?

A Jurand rozłożył jakby z rozpaczą ręce i odrzekł głuchym głosem:

— Nie wiem...

Zbyszko rozmyślał czas jakiś nad własnym pytaniem, po chwili jednak myśl jego wróciła do Juranda.

— Ludzie mówią, żeście godną pomstę wywarli — rzekł, Jurand tymczasem zdusił w sobie ból, opamiętał się i zaczął mówić:

<sup>882</sup>pilić — poganiać. [przypis edytorski]

<sup>883</sup>obrok — pasza dla koni. [przypis edytorski]

<sup>884</sup>skować (daw.) — skuć. [przypis edytorski]

Zemsta

Krzywdy

Niemiec, Nienawiść

— Bom im poprzysiągł... I Bogum poprzysiągł, że jeśli mi pomstę da spełnić, to Mu to dziecko, które mi ostało, oddam. Dlatego ci był przeciwny. A teraz nie wiem: wola to Jego była czyli też gniew Jego rozbudziliście waszym uczynkiem.

— Nie — rzekł Zbyszko. — Toćżem wam już mówił, że choćby ślubu nie było, i tak byłyby ją psubraty chwyciły. Bóg przyjął waszą chęć, a Danuškę mnie podarował, bo bez takowej Jego woli nic byśmy nie wskórali.

— Każdy grzech jest przeciw woli bożej.

— Grzech jest, ale nie sakrament. Sakrament przecie boska rzecz.

— To i dlatego nie ma rady.

— A chwała Bogu, nie ma! Nie narzekajcie też na to, bo nikt by wam tak nie pomógł przeciw tym zbójcom, jako ja pomogę. Obaczycie! Za Danuškę swoją drogą im zapłacim, ale jeśli żywie jeszcze choć jeden z tych, którzy waszą nieboszczkę porywali, zdajcie go mnie, a obaczycie!

Lecz Jurand począł trząść głową.

— Nie — odpowiedział posępnie — z tych żaden nie żywie...

Przez czas jakiś słychać było tylko parskanie koni i przytłumiony odgłos kopyt uderzających o wyjeżdżoną drogę.

— Raz w nocy — mówił dalej Jurand — usłyszałem jakiś głos jakoby ze ściany wychodzący, który mi rzekł: „Dość pomsty!”, ale ja nie usłuchałem, bo to nie był głos nieboszczki.

— A co to mógł być za głos? — zapytał z niepokojem Zbyszko.

— Nie wiem. Często w Spychowie coś w ścianach gada, a czasem jęczy, bo dużo ich na łańcuchach w podziemiu pomarło.

— A wam ksiądz co mówi?

— Ksiądz święcił gródek i mówił też, żeby zemsty poniechać, ale nie mogło to być. Stałem się im zbyt ciężki i później sami chcieli się mścić. Czynili zasadzki i pozywali w pole... Tak było i teraz. Majneger i de Bergow pierwsi mnie pozwali.

— Braliście kiedy wykup?

— Nigdy. Z tych, których chwyciłem, pierwszy de Bergow żyw wyjdzie.

Rozmowa ustała, gdyż skręcili z szerszego gościńca na węższą drogę, którą jechali długo, gdyż szła kręto, a miejscami zmieniała się jakby we wpadlinę<sup>885</sup> leśną, pełną zasp śnieżnych, trudnych do przebycia. Wiosną albo latem podczas dżdżów droga ta musiała być prawie nieprzystępna.

— Czy to już ku Spychowowi jedziem? — zapytał Zbyszko.

— Tak — odrzekł Jurand. — Boru jeszcze szmat znaczny, a potem zaczną się oparzeliska, wśród których gródek... Za oparzeliskami są łęgi i suche pola, zaś do gródka można dojechać tylko groblą. Nieraz chcieli mnie Niemcy dostać, ale nie mogli i siła ich kości próchnieje po leśnych brzeżkach.

— I trafić niełatwo — rzekł Zbyszko. — Jeśli Krzyżaki ludzi z listami wyszlą<sup>886</sup>, jakoże trafią?

— Nieraz już wysyłali i mają takich, którzy drogę wiedzą<sup>887</sup>.

— Bogdajeśmy ich zastali w Spychowie! — rzekł Zbyszko.

Tymczasem życzenie to miało się urzeczywistnić wcześniej, niż młody rycerz myślał, albowiem wyjechawszy z boru na odkrytą płaszczyznę, na której leżał wśród bagien Spychów, ujrzeli przed sobą dwóch konnych i niskie sanie, w których siedziały trzy ciemne postacie.

Noc była bardzo jasna, więc na białym podścielisku śniegów widać było całą gromadę doskonale. Jurandowi i Zbyszkowi uderzyły żywiej serca na ten widok, kto bowiem mógł jechać do Spychowa wśród nocy, jeśli nie wysłańcy krzyżacy?

Zbyszko kazał woźnicy jechać żywiej, więc wkrótce zbliżyli się tak znacznie, że usłyszano ich i dwaj konni, którzy czuwali widocznie nad bezpieczeństwem sani, zwrócili się ku nim i pozejmowawszy kusze z ramion, poczęli wołać:

— *Wer da?*<sup>888</sup>

<sup>885</sup>*wpadlina* — rozpadlina, wąwóz. [przypis edytorski]

<sup>886</sup>*wyszła* — dziś popr.: wysła. [przypis edytorski]

<sup>887</sup>*wiedzą* — tu: znają. [przypis edytorski]

<sup>888</sup>*Wer da?* (niem.) — Kto tam? [przypis edytorski]

- Niemcy! — szepnął Zbyszkowi Jurand.  
 Po czym podniósł głos i rzekł:  
 — Moje prawo pytać, twoje odpowiadać! Kto wy?  
 — Podróźni.  
 — Jacy podróźni?  
 — Pielgrzymi.  
 — Skąd?  
 — Ze Szczytna.  
 — Oni! — szepnął znów Jurand.

Tymczasem sanki porównały się<sup>889</sup> ze sobą, a jednocześnie na przodzie przed nimi ukazało się sześciu konnych. Była to spychowska straż, która dniem i nocą czuwała nad groblą wiodącą do gródka. Przy koniach biegły psy straszne i ogromne, całkiem do wilków podobne.

Strażnicy, poznawszy Juranda, poczęli wykrzykiwać na jego cześć, lecz w okrzykach tych brzmiało i zdziwienie, że dziedzic wraca tak wcześniej i niespodzianie, lecz on całkiem zajęty był wysłańcami, więc znów zwrócił się ku nim:

- Dokąd jedziecie? — zapytał.  
 — Do Spychowa.  
 — Czego tam chcecie?  
 — To możemy jeno samemu panu powiedzieć.

Jurand miał już na ustach: „Jam jest pan ze Spychowa” — ale się powstrzymał, rozumiejąc, że rozmowa nie może się odbywać przy ludziach. Natomiast spytawszy jeszcze, czy mają jakowe listy, i otrzymawszy odpowiedź, że polecono im ustnie się rozmówić, kazał jechać nieledwie co koń wyskoczy. Zbyszkowi było również tak pilno do wiadomości o Danusi, że nie umiał na nic innego zwrócić uwagi. Niecierpliwił się tylko, gdy jeszcze dwukrotnie straż zastępowały im drogę na grobli; niecierpliwił się, gdy spuszczano most na fosie, za którą sterczał na wałach olbrzymi ostrokół<sup>890</sup>, a chociaż poprzednio nieraz brała go ciekawość obaczyć, jak wygląda ten złowroziej sławy gródek, na którego wspomnienie Niemcy żegnali się znakiem krzyża — teraz nie widział nic prócz krzyżackich wysłańców, od których mógł usłyszeć, gdzie jest Danusia i kiedy będzie wrócona jej wolność. Nie przewidział zaś, że za chwilę czeka go ciężki zawód. Prócz konnych, dodanych dla obrony, i woźnicy poselstwo ze Szczytna składało się z dwóch osób: jedną z nich była też sama niewiasta, która swego czasu przywoziła balsam gojący do leśnego dworca, drugą młody pątnik. Niewiasty Zbyszko nie poznał, albowiem jej w leśnym dworcu nie widział, pątnik zaś od razu wydał mu się jakimś przebrany giermkciem.

Jurand wnet wprowadził oboje do narożnej izby i stanął przed nimi ogromny i prawie straszny w blasku płomienia, który padał na niego od płonącego w kominie ognia.

- Gdzie dziecko? — zapytał.

Oni jednakże zlekli się, stanąwszy oko w oko z groźnym mężem. Pątnik, choć twarz miał zuchwałą, trząsł się po prostu jak liść, a i pod niewiastą drżały nogi. Wzrok jej przeszedł z oblicza Juranda na Zbyszka, następnie na błyszczącą, łysą głowę księdza Kaleba i znów wrócił do Juranda, jakby z zapytaniem, co tamci dwaj tu robią.

— Panie — odrzekła wreszcie — nie wiemy, o co pytaacie, ale przysłano nas ku wam w sprawach ważnych. Wszelako ten, który nas wysłał, rozkazał nam wyraźnie, aby rozmowa z wami odbyła się bez świadków.

- Nie mam dla nich tajemnic! — rzekł Jurand.

— Ale my je mamy, szlachetny panie — odrzekła niewiasta — i jeśli każecie im zostać, to o nic innego prosić was nie będziemy, tylko abyście nam pozwolili jutro odjechać.

Na twarzy nieprzywykłego do oporu Juranda odbił się gniew. Przez chwilę płowe jego wąsy poczęły się poruszać złowrogo, lecz pomyślał, że idzie o Danusie, i pohamował się. Zbyszko zresztą, któremu chodziło przede wszystkim o to, by rozmowa odbyła się jak najprędzej, i który był pewien, że Jurand mu ją powtórzy, rzekł:

- Skoro tak ma być, ostanicie sami.

<sup>889</sup>porównać się — zrównać się. [przypis edytorski]

<sup>890</sup>ostrokół — palisada. [przypis edytorski]

I wyszedł wraz z księdzem Kalebem, zaledwie jednak znalazł się w głównej izbie obwieszonej tarczami i bronią zdobytą przez Juranda, gdy Głowacz zbliżył się ku niemu.

— Panie — rzekł — to ta sama niewiasta.

— Jaka niewiasta?

— Od Krzyżaków, która przywoziła balsam hercyński. Poznałem ją od razu i Sanderus poznał ją także. Przyjeżdżała widać na przespiegi, a teraz wie ona pewnie, gdzie jest panienka.

— I my będziemy wiedzieć — rzekł Zbyszko. — Zali znacie także i tego pątnika?

— Nie — odpowiedział Sanderus. — Ale nie kupujcie, panie, od niego odpustów, bo to fałszywy pątnik. Gdyby go na męki położyć, siła można by się od niego dowiedzieć.

— Czekać! — rzekł Zbyszko.

Tymczasem w izbie narożnej, zaledwie drzwi się zamknęły za Zbyszkiem i księdzem Kalebem, siostra zakonna przysunęła się szybko do Juranda i poczęła szeptać:

— Waszą córkę zbóje porwali.

— Z krzyżem na płaszczach?

— Nie. Ale Bóg pobłogosławił pobożnym braciom, że ją odbili i teraz ona jest u nich.

— Gdzie jest? Pytam.

— Pod opieką pobożnego brata Szomberga — odrzekła, krzyżując ręce na piersiach i schylając się pokornie.

A Jurand, usłyszawszy straszne nazwisko kata Witoldowych dzieci, zbladł jak płótno; po chwili siadł na ławie, przykniął oczy i począł dłonią rozcierać zimny pot, który uperlił mu czoło.

Co widząc, pątnik, jakkolwiek nie umiał przedtem pohamować strachu, wsparł się teraz w boki, rozwalil się na ławie, wyciągnął nogi i spojrzal na Juranda oczyma pełnymi pychy i pogardy.

Nastało długie milczenie.

— I brat Markwart pomaga bratu Szombergowi w czuwaniu nad nią — rzekła znów niewiasta. — Pilna<sup>891</sup> to opieka i nie stanie się panience krzywda.

— Co mam czynić, by mi ją oddali? — zapytał Jurand.

— Upokorzyć się przed Zakonem! — rzekł z dumą pątnik.

Usłyszawszy to, Jurand wstał, podszedł ku niemu i pochyliwszy się nad nim, rzekł sflumionym, straszonym głosem:

— Milczeć!...

A pątnik przeraził się znowu. Wiedział, że może grozić i może rzec coś takiego, co powstrzyma i złamie Juranda, ale zląkł się, że wpierv, nim słowo przemówi, stanie się z nim coś okropnego; więc zamilkł, oczy okrągłe, jakby skamieniałe ze strachu, utkwil w groźnej twarzy spychowskiego pana i siedział bez ruchu — tylko broda poczęła mu się trząść silnie.

Jurand zaś zwrócił się do siostry zakonnej:

— List macie?

— Nie, panie. Nie mamy listu. Co mamy do powiedzenia, kazano nam ustnie powiedzieć.

— Za czym<sup>892</sup> mówcie!

A ona powtórzyła jeszcze raz, jakby pragnąc, by Jurand wbił sobie to dobrze w pamięć:

— Brat Szomberg i brat Markwart czuwają nad panienką, przeto wy, panie, hamujcie swój gniew... Ale nie stanie się jej nic złego, bo choć przez wiele lat krzywdziliście ciężko Zakon, jednakże bracia chcą wam dobrem za złe wypłacić, jeśli uczynicie zadość sprawiedliwym ich żądaniom.

— Czego chcą?

— Chcą, abyście uwolnili pana de Bergowa.

Jurand odetchnął głęboko.

— Oddam im de Bergowa — rzekł.

— I innych brańców, których w Spychowie macie.

— Jest dwóch giermków Majnegera i de Bergowa, prócz ich pacholków.

Szantaż

Strach

<sup>891</sup>*pilny* — tu: staranny. [przypis edytorski]

<sup>892</sup>*za czym* (daw.) — więc, zatem, wobec tego. [przypis edytorski]



— Macie ich uwolnić, panie, i wynagrodzić za uwięzienie.

— Nie daj Bóg, abym się o dziecko miał targować.

— Tego też po was spodziewali się pobożni zakonnicy — rzekła niewiasta — ale to jeszcze nie wszystko, co mi kazano powiedzieć. Waszą córkę, panie, porwali jacyś ludzie, zapewne zbóje i zapewne dlatego, aby wziąć od was okup bogaty... Bóg pozwolił braciom, że ją odbili i teraz niczego więcej nie żądają, tylko abyście im towarzysza i gościa oddali. Ale bracia wiedzą i wy wiecie, panie, jaka w tym kraju jest ku nim nienawiść i jak niesprawiedliwie sądzą wszystkie ich, choćby najpobożniejsze, uczynki. Z tego powodu bracia są pewni, iż gdyby tu ludzie dowiedzieli się, że córka wasza jest u nich, zaraz by poczęli ich posądzać, że to oni ją porwali, i w ten sposób za swą cnotę zebrałiby jeno oszczerstwa i skargi... O tak! Żli i złośliwi ludzie tutejsi nieraz im się już tak wypłacali, na czym sława pobożnego Zakonu cierpiała bardzo, o którą bracia dbać muszą, i przeto kładą ten jeszcze tylko warunek, abyście sami i księciu tej krainy, i wszystkiemu srogiemu rycerstwu oświadczyli, jako i jest prawda, że nie bracia krzyżowi, jeno zbóje waszą córkę porwali i że od zbójów musieliście ją wykupywać.

— Prawda jest — rzekł Jurand — że zbóje mi dziecko porwali i od zbójów muszę ją wykupywać...

— Nikomu też nie macie inaczej mówić, bo gdyby choć jeden człowiek dowiedział się, żeście układali się z braćmi, gdyby choć jedna żywa dusza albo gdyby choć jedna skarga poszła czy to do mistrza, czy do kapituły, tedyby ciężkie zrodziły się trudności...

Na twarzy Juranda odbił się niepokój. W pierwszej chwili wydawało mu się dość naturalnym, że komturowie żądają tajemnicy z obawy przed odpowiedzialnością i niesławą, ale teraz zrodziło się w nim podejrzenie, że może być i jakaś inna przyczyna, że zaś nie umiał sobie zdać z niej sprawy, więc chwycił go lęk taki, jaki chwyta najodważniejszych ludzi, gdy niebezpieczeństwo zagraża nie im samym, lecz ich bliskim i kochanym.

Postanowił jednakże dowiedzieć się czegoś więcej od zakonnej służki.

— Komturowie chcą tajemnicy — rzekł — ale jakoż tajemnica ma się zachować, gdy de Bergowa i tamtych innych za dziecko wypuszczę?

— Powiecie, żeście wzięli okup za pana de Bergowa, aby mieć czym zbójom zapłacić.

— Ludzie nie uwierzą, bom nigdy okupu nie brał — odrzekł pośepnie Jurand.

— Bo nigdy nie chodziło o wasze dziecko — odrzekła syczącym głosem służka.

I znów nastąpiło milczenie, po czym pątnik, który przez ten czas nabrał ducha i osądził, że Jurand musi się już teraz więcej hamować, rzekł:

— Taka jest wola braci Szomberga i Markwarta.

Służka zaś mówiła dalej:

— Oto powiecie, że ten pątnik, który przyjechał ze mną, przywiózł wam okup, my zaś odjedziem stąd ze szlachetnym panem de Bergowem i z jeńcami.

— Jak to? — rzekł Jurand, marszcząc brwi. — Zali myślicie, że wam oddam jeńców, nim mi dziecko wrócicie?

— Uczynicie, panie, jeszcze inaczej. Możecie sami jechać po córkę do Szczytna, dokąd wam ją bracia przywiozą.

— Ja? Do Szczytna?

— Bo gdyby ją znów zbójcy w drodze porwali, znów posądzą was i tutejszych ludzi padłby na pobożnych rycerzy, i dlatego ci wolą ją wam do rąk własnych oddać.

— A kto zaś zaręczy mi, że wrócę, gdy sam wleżę wilkowi w gardziel?

— Cnota braci, sprawiedliwość ich i pobożność.

Jurand począł chodzić po izbie. Począł już przewidywać zdradę i obawiał się jej, ale czuł jednocześnie, że Krzyżacy mogą mu nałożyć warunki, jakie im się podoba — i że jest wobec nich bezsilny.

Jednakże przyszedł mu widocznie do głowy jakiś sposób, gdyż zatrzymawszy się nagle przed pątnikiem, począł mu się bystro przypatrywać, po czym zwrócił się do służki i rzekł:

— Dobrze. Pojadę do Szczytna. Wy i ten człowiek, który ma na sobie szaty pątnicze, ostaniecie tu do mego powrotu, po którym odjedziecie z de Bergowem i z jeńcami.

— Nie chcecie, panie, zawierzyć zakonnikom — rzekł pątnik — jakże więc oni mają wam zawierzyć, że wróciwszy, wypuścicie nas i de Bergowa?

Twarz Juranda pobladła ze wzburzenia i nastąpiła groźna chwila, w której już, już zdawało się, że chwyci pątnika za pierś i weźmie go pod kolano — lecz zdusił w sobie gniew, odetchnął głęboko i począł mówić z wolna i dobitnie:

— Ktośkolwiek jest, nie naginaj zbyt mojej cierpliwości, aby zaś nie pękła.

A pątnik zwrócił się do siostry:

— Mówcie, co wam kazano!

— Panie — rzekła — waszej przysiędze na miecz i na rycerską cześć nie ośmielilibyśmy się nie wierzyć, ale i wam nie przystoi składać przed ludźmi prostego stanu przysięgi, i nas nie po waszą przysięgę przysłano.

— Po cóż was przysłano?

— Powiedzieli nam bracia, iż macie, nie mówiąc nic nikomu, stawić się w Szczytnie z panem de Bergow i z jeńcami.

Na to ramiona Juranda poczęły się cofać w tył, a palce rozszerzać się na kształt szponów drapieżnego ptaka; na koniec, stanąwszy przed niewiastą, pochylił się tak, jakby chciał jej mówić do ucha, i rzekł:

— Azali nie powiedziano wam, że każę was i Bergowa kołem połamać w Spychowie?

— Wasza córka jest w mocy braci, a pod opieką Szomberga i Markwarta — odrzekła z naciskiem siostra.

— Zbójców, trucicieli, katów! — wybuchnął Jurand.

— Którzy potrafią nas pomścić, a którzy rzekli nam na odjeźdźnym tak: „Jeśliby miał spełnić wszystkich naszych rozkazów, lepiej by było, by ta dziewczka umarła, jako i Witoldowe dzieci pomarły”. Wybierajcie!

— I zrozumiejcie, żeście w mocy komturów — ozwał się pątnik. — Nie chcą oni uczynić wam krzywdy i starosta ze Szczytna przysłała wam przez nas słowo, że wolni wyjedziecie z jego zamku, ale chcą, byście za te, któreście im wyrządzili, przyszli pokłonić się przed krzyżackim płaszczem i błagać o łaskę zwycięzców. Chcą wam przebaczyć, ale wprawdzie chcą zgiąć wasz hardy kark. Głosiliście ich za zdrajców i krzywoprzysięzców, więc chcą, byście się zdali na ich wiarę. Wrócą wolność i wam, i córce, ale musicie o nią błagać. Deptaliście ich: musicie przysiąc, iż ręka wasza nigdy się na biały płaszcz nie wzniesie.

— Tak chcą komturowie — dodała niewiasta — a z nimi Markwart i Szomberg.

Nastąpiła chwila śmiertelnej ciszy. Zdawało się tylko, że gdzieś między belkami pułapu jakieś przytłumione echo powtarza jakby z przerażeniem: „Markwart... Szomberg”. Zza okien dochodziły też nawoływania Jurandowych łuczników czuwających na wałach przy ostrokołe gródka.

Pątnik i służka zakonna przez długi czas spoglądali to na siebie, to na Juranda, który siedział oparty o ścianę, nieruchomy i z twarzą pogrążoną w cieniu padającym na nią od pęku skór, zawieszzonego przy oknie. W głowie pozostała mu jedna tylko myśl, że jeśli nie uczyni tego, czego Krzyżacy chcą — uduszą mu dziecko; jeśli zaś uczyni, to i tak może nie uratować ani Danusi, ani siebie. I nie widział żadnej rady, żadnego wyjścia. Czuł nad sobą niemiłosierną przemoc, która go zgmiotła. W duszy widział już żelazne ręce Krzyżaka na szyi Danusi — znając ich bowiem, nie wątpił ani chwili, że ją zamordują, zakopią w wale zamkowym, a potem się wyprą, wyprzysięgną — i wówczas któż zdola im dowieść, że to oni ją porwali? Miał wprawdzie Jurand w ręku wysłańców, mógł ich zawieźć księciu, mękami wydobyć z nich zeznania — ale Krzyżacy mieli Danusię — i mogli także nie pożałować dla niej mąk. I przez chwilę zdawało mu się, że dziecko wyciąga do niego ręce z dalekości, prosząc o ratunek. Gdyby choć wiedział na pewno, że ona jest w Szczytnie, mógłby ruszyć tej samej nocy ku granicy, napaść na niespodziewających się napadu Niemców, wziąć zamek, wyciąć załogę i uwolnić dziecko — ale jej mogło nie być i pewnie nie było w Szczytnie. Jeszcze mignęło mu błyskawicą przez głowę, że gdyby chwycił niewiastę i pątnika, a zawiózł ich wprost do wielkiego mistrza, może mistrz wydobyłby z nich zeznania i kazał mu oddać córkę, ale błyskawica ta jak zapaliła się, tak i wnet zgasła... Przecie ci ludzie mogli powiedzieć mistrzowi, że przyjechali wykupić Bergowa i że nic o żadnej dziewczynie nie wiedzą. Nie! Ta droga nie wiodła do niczego — ale któraż wiodła? Pomyślał bowiem, że jeśli pojedzie do Szczytna, to go skują i wrzucą do podziemia, a Danusi i tak nie puszcza, choćby dlatego, by się nie wydało, że ją porwali. A tymczasem śmierć jest nad jedynym dzieckiem, śmierć nad ostatnią drogą głową!... I wreszcie myśli poczęły mu się płatać, a boleść stała się tak wielka, że przesiłiła

Pokora

się i przeszła w odrętwienie. Siedział nieruchomie dlatego, że ciało jego stało się martwe, jakby wykute z kamienia. Gdyby chciał podnieść się w tej chwili, nie byłby zdołał tego dokazać.

Tymczasem tamtym sprzykrzyło się długie czekanie, więc służka zakonna podniosła się i rzekła:

— Już i świt niezadługo, więc pozwólcie nam odejść, panie, albowiem potrzebujemy spoczynku.

— I posiłku po długiej drodze — dodał pątnik.

Po czym oboje skłonili się Jurandowi i — wyszli.

On zaś siedział dalej bez ruchu, jakby ujęty snem lub martwy.

Ale po chwili drzwi uchyliły się i ukazał się w nich Zbyszko, a za nim ksiądz Kaleb.

— Cóż wysłańcy? Czego chcą? — zapytał młody rycerz, zbliżając się do Juranda.

Jurand drgnął, ale zrazu nie odrzekł nic, począł tylko mrugać mocno jak człowiek zbudzony z twardego snu.

— Panie, czyście nie chorzy? — ozwał się ksiądz Kaleb, który znając lepiej Juranda, spostrzegł, iż dzieje się z nim coś dziwnego.

— Nie — odrzekł Jurand.

— A Danuśka? — dopytywał dalej Zbyszko. — Gdzie jest i co wam rzekli? Z czym przyjechali?

— Z wy-ku-pem — odpowiedział z wolna Jurand.

— Z wykupem za Bergowa?

— Za Bergowa...

— Jak to za Bergowa? Co wam jest?

— Nic...

Lecz w głosie jego było coś tak niezwykłego i jakby zniedołęźniałego, że tamtych obu chwyciła nagle trwoga, zwłaszcza że przy tym Jurand mówił o wykupie, nie o zamianie Bergowa na Danusię.

— Na miły Bóg! — zawołał Zbyszko. — Gdzie Danuśka?

— Nie masz jej u Krzy-ża-ków, nie! — odpowiedział sennym głosem Jurand.

I nagle zwał się jak martwy z ławy na podłogę.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Nazajutrz o południu wysłańcy widzieli się z Jurandem, a w jakiś czas później wyjechali, zabrawszy z sobą de Bergowa, dwóch giermków i kilkunastu innych jeńców. Jurand wezwał następnie ojca Kaleba, któremu podyktował list do księcia z oznajmieniem, że Danusi nie porwali rycerze zakonni, ale że zdołał odkryć jej schronienie i ma nadzieję, iż w ciągu kilku dni ją odzyszcze<sup>893</sup>. To samo powtórzył i Zbyszkowi, który od wczorajszej nocy szalał ze zdumienia i trwogi. Stary rycerz nie chciał jednak odpowiadać na żadne jego pytania, oświadczył mu natomiast, by czekał cierpliwie i tymczasem nic nie przedsiębrał dla uwolnienia Danusi, gdyż to jest rzecz zbyteczna. Pod wieczór zamknął się znów z księdzem Kalebem, któremu naprzód rozkazał spisać swą ostatnią wolę, potem zaś spowiadał się, a po przyjęciu komunii wezwał przed siebie Zbyszka i starego, wiecznie milczącego Tolimę, który bywał mu towarzyszem we wszystkich wyprawach i walkach, a w czasie spokoju gospodarzył w Spychowie.

— Oto jest — rzekł, zwracając się do starego wojownika i podnosząc głos, jakby mówił do człowieka, który nie dosłyszy — mąż mojej córki, którą na księżęcym dworze zaślubił, na co i moją zgodę uzyskał. Ten ci ma tu przeto być po mojej śmierci panem i zaś dziedzicem gródka, ziem, borów, ługów<sup>894</sup>, ludzi i wszelakiego statku, który się w Spychowie znajduje...

Usłyszawszy to, Tolima zdumiał się bardzo i począł zwracać swą kwadratową głowę w stronę Zbyszka, to w stronę Juranda; nie rzekł jednak nic, gdyż prawie nigdy nic nie mówił, tylko pochylił się przed Zbyszkiem i objął z lekka dłońmi jego kolana.

A Jurand mówił dalej:

— Którą to wolę moją spisał ksiądz Kaleb, a pod pismem pieczęć się moja na wosku

<sup>893</sup>odzyszcze — dziś popr.: odzyska. [przypis edytorski]

<sup>894</sup>ług a. łęg — podmokła łąka. [przypis edytorski]

znajduje; ty zaś masz świadczyć, żeś to ode mnie słyszał i żeś rozkazał, aby tu dla tego młodego rycerza taki sam posłuch był jako i dla mnie. Zaś co jest w skarbcu łupów i pieniędzy, to mu pokażesz i będziesz mu wiernie w pokoju i na wojnie do śmierci służył. Słyszałeś?

Tolima podniósł ręce do uszu i skinął głową, po czym na dany znak przez Juranda skłonił się i odszedł, rycerz zaś zwrócił się do Zbyszka i rzekł z naciskiem:

— Tym, co jest w skarbcu, można choćby największą chciwość pokusić i nie jednego, ale stu brańców wykupić. Pamiętaj.

Lecz Zbyszko spytał:

— A czemu to już zdajecie<sup>895</sup> mi Spychów?

— Więcej ci ja niż Spychów zdaję, bo dziecko.

— I śmierci godzina niewiadoma — rzekł ksiądz Kaleb.

— Jużci niewiadoma — powtórzył jakby ze smutkiem Jurand. — Toć że niedawno śniegi mnie przysypały, a chociaż Bóg mnie zratował, nie ma już we mnie dawnej siły...

— Na miły Bóg! — zawołał Zbyszko. — Coś się w was odmieniło od wczoraj i o śmierci niż o Danusi radziej mówicie. Na miły Bóg!

— Wróci Danuśka, wróci — odpowiedział Jurand — nad nią jest opieka Boska. Ale jak wróci... słuchaj... Bierz ty ją do Bogdańca, a Spychów na Tolimę zdaj... To człek wierny, a tu ciężkie sąsiedztwo... Tam ci jej na powrót nie wezmą... tam przezpieczniej...

— Hej! — zakrzyknął Zbyszko. — A wy już jakby z tamtego świata gadacie. Cóż to jest?

— Bom już przez pół był na tamtym świecie, a teraz tak mi się widzi, że jakowaś choroba mnie ima<sup>896</sup>. I chodzi mi o dziecko... toć ja ją jedną mam. A i ty, choć wiem, że ją miłujesz...

Tu przerwał i wydobywszy z pochwy krótki mieczyk zwany mizerykordią, zwrócił go rękojęścią ku Zbyszkowi:

— Przysięgnijże mi jeszcze na ten krzyżyk, jako jej nigdy nie pokrzywdzisz i będziesz statecznie<sup>897</sup> miłował...

A Zbyszkowi aż łzy stanęły nagle w oczach; w jednej chwili rzucił się na kolana i położywszy palec na rękojęści, zawołał:

— Na świętą Mękę, tak jej nie pokrzywdzę i będę statecznie miłował!

— Amen — rzekł ksiądz Kaleb.

Jurand zaś pochował w pochwę mizerykordię i otworzył mu ramiona:

— Toś mi i ty dziecko!...

Po czym rozeszli się, bo noc już zapadła głęboka, a od kilku już dni nie zaznali dobrego wywczasu<sup>898</sup>. Zbyszko jednakże wstał nazajutrz świtaniem, albowiem wczoraj zląkł się istotnie, czy nie idzie na Juranda jakowaś choroba, i chciał teraz dowiedzieć się, jak starszy rycerz spędził noc.

Przed drzwiami Jurandowej izby natknął się na Tolimę, który z niej właśnie wychodził.

— A jakoże pan? Zdrowi? — zapytał.

Ów zaś skłonił się, a następnie otoczył ucho dłonią i rzekł:

— Wasza miłość co każą?

— Pytam: jak się ma pan? — powtórzył głośniejszym głosem Zbyszko.

— Pan pojechał.

— Dokąd?

— Nie wiem. We zbroi...

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Świt począł właśnie bielić drzewa, krze i bryły wapienne rozrzucone tu i ówdzie po polach, gdy najęty przewodnik idący przy koniu Juranda zatrzymał się i rzekł:

— Pozwólcie mi odetchnąć, panie rycerzu, bom się zasapał. Odwilż jest i mgła, ale to już niedaleko...

<sup>895</sup> *zdawać* (daw.) — oddawać. [przypis edytorski]

<sup>896</sup> *imać* (daw.) — chwytać. [przypis edytorski]

<sup>897</sup> *statecznie* — trwale i pewnie. [przypis edytorski]

<sup>898</sup> *wywczas* (daw.) — odpoczynek. [przypis edytorski]

— Doprowadzisz mnie do gościńca, a potem wrócisz — odrzekł Jurand.

— Gościniec będzie w prawo za borkiem, a z pagórka zaraz zamek ujrzycie.

To rzekłszy, chłop począł „zabijać” ręce, to jest uderzać dłońmi pod pachy, gdyż był zziębły od rannej wilgoci, po czym przysiadł na kamieniu, bo się przy tej robocie jeszcze bardziej zasapał.

— A nie wiesz, jest-li komtur w zamku? — zapytał Jurand.

— Gdzie by zaś miał być, kiedy chory?

— Coże mu?

— Ludzie mówią, że go rycerze polscy sprali — odrzekł stary chłop.

I w głosie jego czuć było jakby pewne zadowolenie. Był poddanym krzyżackim, ale jego mazurskie serce radowało się przewagą polskich rycerzy.

Jakoż po chwili dodał:

— Hej! Mocni nasi panowie, ale im z nimi ciężko.

Lecz zaraz potem spojrział bystro na rycerza i jakby chcąc się upewnić, że nie spotka go nic złego za słowa, które mu się niebacznie wymknęły, rzekł:

— Wy, panie, po naszymu mówicie, wyście nie Niemiec?

— Nie — odrzekł Jurand — ale prowadź dalej.

Chłop wstał i począł znów iść przy koniu. Po drodze zasuwał niekiedy dłoń w kaletę, wydostawał z niej garść niemięlonego żyta i wysypywał ją sobie do ust, gdy zaś zaspokoił w ten sposób pierwszy głód, począł tłumaczyć, dlaczego je surowe ziarno, chociaż Jurand, zbyt zajęty własnym nieszczęściem i własnymi myślami, nawet tego nie dostrzegł.

— Chwała Bogu i za to — mówił. — Ciężkie życie pod naszymi niemieckimi panami. Ponakładali podatki i od mlewa<sup>899</sup> takie, że ubogi człek musi z plewą<sup>900</sup> ziarno gryźć jak bydłę. A gdzie żarna<sup>901</sup> w chałupie znajdują, tam chłopą skatują, dobytek zagarną, ba! dzieciom i babom nie przepuszczają... Nie boją się oni ni Boga, ni księży, jako i wielborskiego proboszcza, który im to przyganiał, na łańcuch wzięli. Oj, ciężko pod Niemcem! Co tam człek ziarna między dwoma kamieniami ugniecie, to tę przygarść mąki na świętą niedzielę chowa, a w piątek tak jeść musi jako ptacy. Ale chwała Bogu i za to, bo przyjdzie-li przednowek<sup>902</sup>, to i tego nie stanie... Ryby łowić nie wolno... zwierza bić też... Nie tak jak na Mazowszu.

W ten sposób wyrzekał krzyżacki chłop, mówiąc przez pół do siebie, przez pół do Juranda, a tymczasem minęli pustać pokrytą utulonymi pod śniegiem bryłami wapienia i weszli w las, który w zarannym świetle wydawał się siwy i od którego bił surowy, wilgotny chłód. Rozedniało już zupełnie; inaczej trudno byłoby Jurandowi przejechać leśną drożyną idącą nieco w górę i tak ciasną, że miejscami olbrzymi jego bojowy koń zaledwie mógł się precisnąć wśród pni. Lecz borek skończył się wkrótce i po upływie kilku pacierzy znaleźli się na szczycie białego pagórka, którego środkiem biegł wyjeżdżony gościniec.

— To i droga — rzekł chłop — traficie teraz, panie, sami.

— Trafie — odrzekł Jurand. — Wracaj, człeku, do domu.

I sięgnąwszy ręką do skórzanej torby przymocowanej na przedzie siodła, wydobył z niej srebrny pieniądz i podał go przewodnikowi. Chłop, przezwyczajony więcej do razów niż do datków z rąk miejscowych krzyżackich rycerzy, oczom prawie nie chciał wierzyć i porwawszy pieniądz, przypadł głową do strzemięcia Juranda i objął je rękoma.

— O Jezusie, Maryjo! — zawołał. — Bóg zapłać waszej wielmożności!

— Ostawaj z Bogiem.

— Niech was boska moc prowadzi. Szczytno przed wami.

To rzekłszy, raz jeszcze pochylił się do strzemięcia i zniknął. Jurand został na wzgórzu sam i spoglądał we wskazanym mu przez wieśniaka kierunku na szarą, wilgotną oponę mgły, która zasłaniała przed nim świat. Za tą mgłą krył się ów złowrogi zamek, ku któremu popychała go przemoc i niedola. Blisko, już blisko! A potem co się ma stać i spełnić,

<sup>899</sup>mlewo (daw.) — zmielone ziarno. [przypis edytorski]

<sup>900</sup>plewa — w przypadku zbóż i traw: osłona ziarna. [przypis edytorski]

<sup>901</sup>żarna — urządzenia do ręcznego mielenia ziarna, rozcieranego na kamiennej płycie. [przypis edytorski]

<sup>902</sup>przednowek — okres przed wiosennymi zasiewami, kiedy chłopom z reguły kończyły się zimowe zapasy żywności. [przypis edytorski]

to się stanie i spełni... Na tę myśl w sercu Juranda, obok trwogi i niepokoju o Danusię, obok gotowości wykupienia jej z wrogich rąk choćby krwią własną, zrodziło się nowe, niesłychanie gorzkie a nieznanne mu dotychczas nigdy uczucie upokorzenia. Oto on, Jurand, na którego wspomnienie drżeli pograniczni komturowie, jechał teraz na ich rozkaz z powinną głową<sup>903</sup>. On, który tyłu ich zwyciężył i podeptał, czuł się teraz zwyciężonym i podeptanym. Nie zwyciężyli go wprawdzie w polu, nie odwagą i rycerską siłą, niemniej jednak czuł się zwyciężonym. I było to dla niego czymś tak niesłychanym, iż zdawało mu się, że cały porządek świata został na nice<sup>904</sup> wywrócony. On jechał ukorzyć się Krzyżakom, on, który gdyby nie chodziło o Danusię, wołałby sam jeden potykać się ze wszystkimi siłami Zakonu. Alboż nie trafiało się, że pojedynczy rycerz, mając wybór między sromotą a śmiercią, uderzał na całe wojska? A on czuł, że może mu się przygodzić i sromota, i na myśl o tym wyło w nim serce z bólu, jak wyje wilk, uczuwszy w sobie grot.

Lecz był to człowiek mający nie tylko ciało, lecz i duszę z żelaza. Umiał łamać innych, umiał i siebie.

— Nie ruszę się — rzekł sobie — póki nie spętam tego gniewu, którym mógłbym zgubić, nie zaś wybawić dziecko.

I wraz schwycił się jakby za bary ze swoim hardym sercem, ze swoją zawziętością i żądzą boju. Kto by go widział na onym wzgórzu, we zbroi, bez ruchu, na ogromnym koniu, rzekłby, że to jakiś olbrzym ulany z żelaza, i nie poznałby, że ów nieruchomy rycerz toczy w tej chwili najcięższą ze wszystkich walk, jakie kiedykolwiek w życiu stoczył. Lecz on zmagał się z sobą póty, póki się nie zmógł i póki nie poczuł, że wola go nie zawiedzie.

Tymczasem mgły rzedły i jakkolwiek nie rozproszyły się do cna, jednakże zamajaczało w końcu w nich coś ciemniejszego. Jurand odgadł, że to są mury szczytnieńskiego zamku. Na ten widok nie ruszył się jeszcze z miejsca, ale począł się modlić tak gorąco i gorliwie, jak modli się człowiek, któremu na świecie pozostało już tylko Boskie miłosierdzie.

I gdy wreszcie ruszył koniem, poczuł, że w serce poczyna mu wstępować jakowaś otucha. Gotów był teraz znieść wszystko, co go mogło spotkać. Przypomnił mu się święty Jerzy, potomek największego rodu w Kapadocji, który znosił różne hańbiące katusze, a jednakże nie tylko czci nie stradał<sup>905</sup>, lecz na prawicy Bożej jest posadzon i patronem wszystkiego rycerstwa mianowany. Jurand słyszał nieraz opowiadania o jego przygodach od pątników przybyłych z dalekich krain i wspomnieniem ich ukrzepił<sup>906</sup> w sobie teraz serce.

Z wolna poczęła się w nim budzić nawet i nadzieja. Krzyżacy słynęli wprawdzie z mściwości, przeto nie wątpił, że wywrą nad nim pomstę za wszystkie klęski, jakie im zadał, za hańbę, która spadała na nich po każdym spotkaniu, i za strach, w jakim przez tyle lat żyli.

Ale to właśnie dodawało mu ducha. Myślał, że Danusię porwali po to tylko, by go dostać, więc gdy go dostaną, to co im po niej? Tak! Jego skują niechybnie i nie chcąc trzymać w pobliżu Mazowsza, wyślą do jakich odległych zamków, gdzie może do końca życia przyjdzie mu jęczeć w podziemiu, ale Danusię będą woleli puścić. Choćby też wyszło na jaw, że go podstępem dostali i gnębią, nie weźmie im tego zbyt za złe ni wielki mistrz, ni kapituła, bo przecie on, Jurand, bywał istotnie ciężkim Krzyżakom i wytoczył z nich więcej krwi niż jakikolwiek inny rycerz w świecie. Natomiast ten sam wielki mistrz może by ich i pokarał za uwięzienie niewinnej dziewczyny, a do tego wychowanki księcia, o którego przychyłność starał się wobec grożącej wojny z królem polskim usilnie.

I nadzieja ogarniała go coraz potężniej. Chwilami wydawało mu się rzeczą niemal pewną, że Danusia wróci do Spychowa, pod Zbyszkową mozną opiekę... „A chłop tęgi jest — myślał — nie da ci jej nikomu ukrzywdzić”. I począł przypominać sobie z pewnym rozrzewnieniem wszystko, co o Zbyszku wiedział: „Bił w Niemców pod Wilnem, na pojedynkę z nimi chadzał, Fryzów, których ze stryjcem pozwali, poćwiertował, w Lichtensteina też bił, od tura dziecko bronił i tamtych czterech pozwał, którym pewnikiem nie daruje”. Tu podniósł Jurand oczy ku górze i rzekł:

<sup>903</sup>z *powinną głową* (daw.) — posłusznie. [przypis edytorski]

<sup>904</sup>na *nice* (daw.) — na drugą stronę, podszewką na wierzch. [przypis edytorski]

<sup>905</sup>*stradać* a. *postradać* (daw.) — stracić. [przypis edytorski]

<sup>906</sup>*ukrzepić* (daw.) — wzmocnić. [przypis edytorski]

— Ja ją Tobie, Boże, a Ty Zbyszkowi!

I uczyniło mu się jeszcze raźniej, sądził bowiem, że skoro ją Bóg młodziankowi podarował, to przecie nie pozwoli Niemcom z siebie zadrwić, z rąk ich ją wyrwie, choćby cała potęga krzyżacka nie puszczała. Lecz potem znów jął myśleć o Zbyszku: „Ba! Nie tylko chłop tęgi, ale i szczerzy jak złoto. Będzie jej strzegł, będzie ją miłował i daj, Jezu, dziecku, jako możesz najlepiej, ale widzi mi się, że przy nim nie pożałuje ni książęcego dworca, ni ojcowego kochania...”. Na tę myśl powieki Juranda zwilgotniały nagle i w sercu zerwała mu się ogromna tęsknota. Chciałby przecie jeszcze dziecko w życiu widzieć i kiedyś, kiedyś umrzeć w Spychowiu przy tych dwojgu, nie zaś w ciemnych piwnicach krzyżackich. Ale wola boska!... Szczytno było już widać. Mury rysowały się we mgle coraz wyraźniej, bliska już była godzina ofiary, więc zaczął się jeszcze pokrząć i tak do siebie mówić:

— Juźci, że wola boska! Ale wieczór żywota bliski. Kilka roków więcej, kilka mniej, wyjdzie na jedno. Hej! Chciałoby się jeszcze na oboje dzieci pojrzeć, ale po sprawiedliwości, to człek się nażył. Czego miał doznać, doznał, kogo miał pomścić, pomścił. A teraz co? Radziej do Boga niż do świata, a skoro trzeba przecierpieć, to trzeba. Danuśka ze Zbyszkim, choćby im było najlepiej, nie zapomną. Pewnie, że nieraz będą wspominać a uradzać: gdzie też jest? żyw-li czy też już u Boga w wiecu?... Będą przepytawać i może się dowiedzą. Łapczywi są na pomstę Krzyżacy, ale i na wykup łapczywi. Zbyszko by nie pożałował, aby choć kości wykupić. A na mszę to z pewnością nieraz dadzą. Uczciwe u obojga serca i kochające, za co ich, Boże, i Ty, Matko Najświętsza, błogosław.

Gościniec stawał się nie tylko coraz szerszy, ale się i zaludniał. Ciągnęły ku miastu wozy z drzewem i słomą. Skotarze<sup>907</sup> pędzili bydło. Od jezior wieziono na saniach zmarzłą rybę. W jednym miejscu czterech łuczników wiodło na łańcuchu chłopą, widać za jakies przewinienie, na sąd, gdyż ręce miał z tyłu związane, a na nogach kajdany, które zawadzając o śnieg, ledwie pozwoliły mu się poruszać. Ze zdyszanych jego nozdrzy i ust wychodził oddech w kształcie kłębow pary, a oni, popędzając go, śpiewali. Ujrzawszy Juranda, poczęli spoglądać na niego ciekawie, dziwiąc się widocznie ogromowi jeźdźca i konia, ale na widok złotych ostróg i rycerskiego pasa pospuszczali kusze ku ziemi na znak powitania i czci. W miasteczku było jeszcze ludniej i gwarniej, ustępowano jednak z pośpiechem zbrojnemu mężowi z drogi, ów zaś przejechał główną ulicę i skręcił ku zamkowi, który otulony w tumany podnoszące się z fosy zdawał się jeszcze spać.

Lecz nie wszystko naokół spało, a przynajmniej nie spały wrony i kruki, których całe stada wichrzyły się na podniesieniu stanowiącym dojazd do zamku, łopocąc skrzydłami i kracząc. Jurand, podjechawszy bliżej, zrozumiał powód tego ptasiego wiecu. Oto obok drogi wiodącej do bramy zamkowej stała obszerna szubienica, na niej zaś wisały ciała czterech mazurskich chłopów krzyżackich. Nie było najmniejszego powiewu, więc trupy, które zdawały się spoglądać na własne stopy, nie kołysały się, chyba wówczas, gdy czarne ptactwo siadało im na ramiona i na głowy, przepychając się wzajem, trącąc w powrozy i dziobiąc o pospuszczane głowy. Niektórzy wisielcy musieli wisieć już od dawna, gdyż czaszki ich były całkiem nagie, a nogi niezmiernie wydłużone. Za zbliżeniem się Juranda stado zerwało się z wielkim szumem, ale wnet zawróciło w powietrzu i poczęło się sadowić na poprzecznej belce szubienicy. Jurand przejechał mimo<sup>908</sup>, czyniąc znak krzyża, zbliżył się do przepokopy i stanąwszy w miejscu, w którym nad bramą wznosił się most zwodzony, uderzył<sup>909</sup> w róg.

Po czym zatrąbił raz, drugi, trzeci i czekał. Na murach nie było żywej duszy i zza bramy nie dochodził żaden głos. Po chwili jednak ciężka, widoczna za kratą klapa, wmurowana w pobliżu zamku bramy, podniosła się ze zgrzytem i w otworze ukazała się brodata głowa niemieckiego knechta.

— *Wer da?* — spytał szorstki głos.

— Jurand ze Spychowa! — odpowiedział rycerz.

Po tych słowach klapa zamknęła się na nowo i nastąpiło głucho milczenie.

Czas począł płynąć. Za bramą nie słychać było żadnego ruchu, tylko od strony szubienicy dochodziło krakanie ptactwa.

Jurand stał jeszcze długo, zanim podniósł róg i uderzył weń powtórnie.

<sup>907</sup>skotarz (daw.) — pasterz. [przypis edytorski]

<sup>908</sup>mimo (daw.) — obok. [przypis edytorski]

<sup>909</sup>uderzyć — tu: zadąć. [przypis edytorski]

Ale odpowiedziała mu znów cisza.

Wówczas zrozumiał, że trzymają go przed bramą przez krzyżacką pychę, która wobec zwyciężonego nie ma granic, dlatego by go upokorzyć jak żebraka. Odgadł też, że przyjdzie mu tak czekać może aż do wieczora albo i dłużej. Więc w pierwszej chwili zawrzała w nim krew; chwyciła go nagle chęć zsiąść z konia, podnieść jeden z głazów, które leżały przed przekopem, i rzucić nim w kratę. Tak byłby w innym razie uczynił i on, i każdy inny mazowiecki albo polski rycerz, i niechby potem wypadli zza bramy bić się z nim. Ale wspomniawszy, po co tu przybył, opamiętał się i powstrzymał.

„Zalim się nie ofiarował za dziecko?” — rzekł sobie w duszy.

I czekał.

Tymczasem w wyźębieniach murów zaczęło coś czernieć. Ukazywały się futrzane nakrycia głów, ciemne kapice i nawet żelazne blachy, spod których spoglądały na rycerza ciekawe oczy. Przybywało ich z każdą chwilą, bo już też ten groźny Jurand wyczekujący samotnie pod krzyżacką bramą był dla załogi nie byle widowiskiem. Kto go dawniej ujrzał przed sobą, ujrzał śmierć, a teraz można było patrzeć na niego bezpiecznie. Głowy podnosiły się coraz wyżej, aż wreszcie wszystkie wyźębenia bliższe bramy pokryły się knechtami. Jurand pomyślał, że zapewne i starsi muszą na niego spoglądać przez kraty okien w przybramnej wieży, i podniósł wzrok ku górze, ale tam okna powycinane były w głębokich murach i patrzeć przez nie było niepodobna, chyba w dal. Za to na blankach czereda<sup>910</sup>, która z początku spozierała<sup>911</sup> na niego w milczeniu, zaczęła się odzywać. Ten i ów powtórzył jego imię, tu i ówdzie ozwały się śmiechy, ochryple głosy pokrzykiwały jak na wilka coraz głośniej, coraz zuchwalej, a gdy widocznie nikt nie przeszkadzał ze środka, zaczęto wreszcie miotać na stojącego rycerza śniegiem.

Ów, jakby mimo woli, ruszył przed siebie koniem, wówczas na jedną chwilę bryły śniegu przestały lecieć, głosy ucichły, a nawet i niektóre głowy poznikały za murami. Groźne musiało być istotnie Jurandowe imię. Wnet jednak najtchórzliwsi opamiętali się, że dzieli ich od straszego Mazura rów i mur, więc znów grube<sup>912</sup> żołdactwo zaczęło miotać nie tylko bryłkami śniegu, ale lodu i nawet gruzu i kamyków, które z brzękiem odbijały się od zbroi i kropierza pokrywającego konia.

— Ofiarowałem się za dziecko — powtarzał sobie Jurand.

I czekał. Przyszło południe, mury opustoszały, gdyż knechtów odwołano na obiad. Nieliczni ci, którym przypadło stróżować, jedli jednak na murach, a po spożyciu strawy zabawiali się znowu ciskaniem na głodnego rycerza ogryzionych gnatów. Poczeli też przekomarzać się z sobą i zapytywać się wzajem, który podejmie się zejść i dać mu po karku pięścią albo dragiem oszczepu. Inni, wróciwszy z obiadu, wołali na niego, że jeśli zmierziło<sup>913</sup> mu się czekać, to się może powiesić, gdyż na szubienicy jest jeden wolny hak z gotowym powrozem. I wśród takich szyderstw, wśród nawoływań, wybuchów śmiechu i przekleństw zbiegały popołudniowe godziny. Krótki zimowy dzień chylił się stopniowo ku wieczorowi, a most wisiał wciąż w powietrzu i brama pozostawała zamknięta.

Lecz pod wieczór wstał wiatr, rozwiął mgły, oczyścił niebo i odsłonił zorze. Śniegi uczyniły się modre<sup>914</sup>, a później fioletowe. Nie było mrozu, ale noc zapowiadała się pogodna. Z murów zeszedli znów ludzie, prócz straży, kruki i wrony odleciały od szubienicy ku lasom. Wreszcie poczerniało niebo i cisza nastąpiła zupełna.

„Nie otworzą przed nocą bramy” — pomyślał Jurand.

I na chwilę przeszło mu przez głowę, by nawrócić ku miastu, ale zaraz porzucił tę myśl. „Chcą tego, bym tu stał — mówił sobie w duszy. — Jeśli nawrócę, jużci nie puszczą mnie do domu, jeno otoczą, pojmagają, a potem rzekną, że mi nic nie powinni, bo mnie siłą wzięli, a choćbym zaś po nich przejechał, to i tak muszę wrócić...”

Niezmierna, podziwiana przez obcych kronikarzy wytrzymałość polskich rycerzy na chłód, głód i trudy nieraz pozwalała im dokonywać czynów, na które nie mogli się zdobyć bardziej zniewieściali ludzie z Zachodu. Jurand zaś posiadał tę wytrzymałość w większej

<sup>910</sup>czereda (daw.) — gromada. [przypis edytorski]

<sup>911</sup>spozierać (daw.) — spoglądać. [przypis edytorski]

<sup>912</sup>gruby — tu: prymitywny. [przypis edytorski]

<sup>913</sup>zmierzić się — sprzykrzyć się, zbrzydzić się. [przypis edytorski]

<sup>914</sup>modry — niebieski. [przypis edytorski]



jeszcze od innych mierze, więc choć głód począł mu już od dawna skręcać wnętrzności, a zamróz wieczorny przeniknął przez pokryty blachami kozuch, postanowił czekać, choćby miał skonać pod tą bramą.

Nagle jednak, nim jeszcze zapanowała zupełna noc, usłyszał za sobą chrzęst kroków na śniegu.

Obejrzał się: szło ku niemu od strony miasta sześciu zbrojnych we włócznie i halabardy, w środku zaś między nimi szedł siódmy, podpierając się mieczem.

„Może im bramę otworzą i z nimi wjadę — pomyślał Jurand. — Siłą nie będą mnie przecie chcieli brać ni zabić, bo ich za mało; gdyby wszelako uderzyli na mnie, to znak, że nie chcą niczego dotrzymać, i wtedy — gorze im!”

Tak pomyślawszy, podniósł stalowy topór wiszący mu przy siodle, tak ciężki, że za ciężki nawet na dwie ręce zwykłego męża — i ruszył ku nim koniem.

Lecz oni nie myśleli na niego uderzać. Owszem, knechtowie wbili zaraz w śnieg tyłka włóczni i halabard — że zaś noc nie była jeszcze całkiem ciemna, więc Jurand spostrzegł, że osady drżą im jednak nieco w ręku.

Ów zaś siódmy, który wydawał się starszym, wyciągnął spiesznie przed siebie lewe ramię i zwróciwszy dłoń do góry palcami, ozwał się:

— Wyście, rycerzu, Jurand ze Spychowa?

— Jam jest...

— Chcecie-li słuchać, z czym mnie przysłano?

— Silny i pobożny komtur von Danveld każe wam powiedzieć, panie, że póki nie zsiądziecie z konia, brama nie będzie wam otworzona.

Jurand pozostał chwilę bez ruchu, następnie zsiadł z konia, po którego w tej chwili poskoczył jeden z włóczników.

— I broń ma nam być oddana — ozwał się znów człowiek z mieczem.

Pan ze Spychowa zawahał się. Nuż potem uderzą na bezbronniego i zadźgają go jak zwierzę, nuż chwycą i wtrącą do podziemia? Lecz po chwili pomyślał, że gdyby tak miało być, toby ich jednak przysłano więcej. Bo gdyby się na niego mieli rzucić, zbroi od razu na nim nie przebodą, a wówczas on mógłby wydrzeć broń pierwszemu z brzegu i wytracić wszystkich, nimby nadbiegła pomoc. Znali go przecie.

— I choćby też — rzekł sobie — chcieli wytoczyć ze mnie krew, toć zem ja nie po co innego tu przybył.

Tak pomyślawszy, rzucił naprzód topór, następnie miecz, następnie mizerykordię — i czekał. Oni zaś chwycili to wszystko, po czym ów człowiek, który do niego przemawiał, oddaliwszy się na kilkanaście kroków, zatrzymał się i począł mówić zuchwałym, podniesionym głosem:

— Za wszystkie krzywdy, któreś Zakonowi wyrządził, masz z rozkazu komtura przywdziać na się ów zgrzebny wór, który ci zostawiam, przywiązać u szyi na powrozie pochwę od miecza i czekać w pokorze u bramy, poki ci łaska komtura nie rozkaże jej otworzyć.

I po chwili Jurand pozostał sam w ciemności i ciszy. Na śniegu czerniał przed nim pokutniczy wór i powróż, on zaś stał długo, czując, że mu się w duszy coś rozprzega, coś łamie, coś kona i mrze i że oto po chwili nie będzie już rycerzem, nie będzie już Jurandem ze Spychowa, lecz nędzarzem, niewolnikiem bez imienia, bez sławy, bez czci.

Więc upłynęły jeszcze długie chwile, nim zbliżył się do pokutniczego wora i począł mówić:

— Jakoż mogę inaczej postąpić? Ty, Chryste, wiesz: dziecko niewinne uduszą, jeśli nie uczynię wszystkiego, co mi każą. I to też wiesz, że dla własnego żywota tego bym nie uczyni! Gorzka rzecz hańba!... Gorzka! Ale i Ciebie przed śmiercią hańbili. Ano, w Imię Ojca i Syna...

Hańba

Po czym pochylił się, wdział na się wór, w którym były poprzecinane otwory na głowę i ręce, następnie u szyi zawiesił na powrozie pochwę od miecza — i powłókł się przed bramę.

Nie zastał jej otwartej, ale teraz było mu już wszystko jedno, czy mu ją prędeż, czy później otworzą. Zamek pograżył się w milczeniu nocy, strażę tylko obwoływały się kiedy niekiedy po narożnikach. W wieży przybramnej świeciło wysoko jedno okienko, inne były ciemne.

Godziny nocy płynęły jedna za drugą, na niebo wzbił się sierp księżycy i rozświetlił posępne mury zamku. Cisza uczyniła się taka, że Jurand mógłby słyszeć bicie własnego serca. Ale on zdrętwiał, skamieniał całkiem, jakby z niego wyjęto duszę, i nie zdawał już sobie sprawy z niczego. Została mu tylko jedna myśl, że przestał być rycerzem, Jurandem ze Spychowa, ale czym jest — nie wiedział... Chwilami także majaczyło mu się coś, że wśród nocy od tych wisielców, których z rana widział, idzie ku niemu cicho po śniegu śmierć...

Nagle drgnął i rozbudził się zupełnie:

— O Chryste miłościwy! Co to jest?!

Z wysokiego okienka w przybramnej wieży ozwały się jakieś zaledwie z początku dosłyszalne dźwięki lutni. Jurand, jadąc do Szczytna, był pewien, że nie ma Danusi w zamku, a jednak ten głos lutni po nocy wzburzył w nim w jednej chwili serce. Wydało mu się, że on te dźwięki zna i że to nie kto inny gra, tylko ona — jego dziecko! Jego kochanie... Więc padł na kolana, złożył ręce jak do modlitwy i dygocąc jak w gorączce, słuchał.

A wtem na wpeł dziecinny i jakby niezmiernie stęskniony głos począł śpiewać:

Gdybym ci ja miała  
Skrzydłeczka jak gąska,  
Poleciałabym ja  
Za Jaśkiem do Śląska.

Jurand chciał odezwać się, wykrzyknąć kochane imię, ale słowa uwięzły mu w gardle, jakby je ścisnęła żelazna obręcz. Nagła fala bólu, łez, tęsknoty, niedoli wezbrała mu w piersiach, więc rzucił się twarzą w śnieg i jął w uniesieniu wołać ku niebu w duszy jakby w dziękczynnej modlitwie:

— O Jezu! Dyc słyszę jeszcze dziecko! O Jezu!!!...

I szlochaniem poczęło targać jego olbrzymim ciałem.

W gorze tęskny głos śpiewał dalej wśród niezmaconej nocnej ciszy:

Usiadłabym ci ja  
Na śląkowskim płocie:  
„Przypatrz się, Jasieńku,  
Ubogiej sierocie...”

Rankiem gruby, brodaty knecht niemiecki począł kopać w biodro leżącego przy bramie rycerza.

— Na nogi, psie!... Brama otwarta i komtur każe ci stanąć przed sobą.

Jurand zbudził się jakby ze snu. Nie chwycił knechta za gardło, nie skruszył go w żelaznych rękach, twarz miał cichą i niemal pokorną; podniósł się i nie mówiąc ni słowa, poszedł za żołdakiem przez bramę.

Zaledwie jednak ją przeszedł, gdy ozwał się za nim zgrzyt łańcuchów i most zwodzony począł podnosić się do góry, w samej zaś bramie spadła ciężka żelazna krata...

## Tom II

### ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jurand, znalazłszy się na podwórzu zamkowym, nie wiedział zrazu, dokąd iść, gdyż knecht, który go przeprowadził przez bramę, opuścił go i udał się ku stajniom. Przy blankach stali wprawdzie żołdacy, to pojedynczo, to po kilku razem, ale twarze ich były tak zuchwałe, a spojrzenia tak szydercze, iż łatwo było rycerzowi odgadnąć, że mu drogi nie wskażą, a jeżeli na pytanie odpowiedzą, to chyba grubiaństwem lub zniewagą. Niektórzy śmieli się, pokazując go sobie palcami; inni poczęli nań znów miotać śniegiem, tak samo jak dnia wczorajszego. Lecz on, spostrzegłszy drzwi większe od innych, nad którymi wykuty był w kamieniu Chrystus na krzyżu, udał się ku nim w mniemaniu, że jeśli komtur

i starszyzna znajdują się w innej części zamku lub w innych izbach, to go ktoś przecie musi z błędnej drogi nawrócić.

I tak się stało. W chwili gdy Jurand zbliżył się do owych drzwi, obie ich połowy otworzyły się nagle i stanął przed nimi młodzianek z wygoloną głową jak klerycy, ale przybrany w suknię świecką, i zapytał:

— Wyście, panie, Jurand ze Spychowa?

— Jam jest.

— Pobożny komtur rozkazał mi prowadzić was. Pójdźcie za mną.

I począł go wieść przez sklepioną wielką sień ku schodom. Przy schodach jednak zatrzymał się i obrzuciwszy Juranda oczyma, znów spytał:

— Broni zaś nie macie przy sobie żadnej? Kazano mi was obszukać.

Jurand podniósł do góry oba ramiona, tak aby przewodnik mógł dobrze obejrzeć całą jego postać, i odpowiedział:

— Wczoraj oddałem wszystko.

Wówczas przewodnik zniżył głos i rzekł prawie szeptem:

— Tedy strzeżcie się gniewem wybuchnąc, boście pod mocą i przemocą.

— Aleć i pod wolą boską — odpowiedział Jurand.

I to rzekłszy, spojrział uważnie na przewodnika, a spostrzegłszy w jego twarzy coś w rodzaju politowania i współczucia, rzekł:

— Uczciwość patrzy ci z oczu, pachółku. Odpowiesz mi szczerze na to, o co spytam?

— Śpieszcie się, panie — rzekł przewodnik.

— Oddadzą dziecko za mnie?

A młodzieniec podniósł brwi ze zdziwieniem:

— To wasze dziecko tu jest?

— Córka.

— Owa panna w wieży przy bramie?

— Tak jest. Przyrzekli ją odesłać, jeśli im się sam oddam.

Przewodnik poruszył ręką na znak, że nic nie wie, ale twarz jego wyrażała niepokój i zwątpienie.

A Jurand spytał jeszcze:

— Prawda-li, że strzegą jej Szomberg i Markwart?

— Nie ma tych braci w zamku. Odbierzcie ją jednak, panie, nim starosta Danveld ozdrowieje.

Usłyszawszy to, Jurand zadrżał, ale nie było już czasu pytać o nic więcej, gdyż doszli do sali na piętrze, w której Jurand miał stanąć przed obliczem starosty szczytnieńskiego. Pacholek, otworzywszy drzwi, cofnął się na powrót ku schodom.

Rycerz ze Spychowa wszedł i znalazł się w obszernej komnacie, bardzo ciemnej, gdyż szklane, oprawne w olów gomółki przepuszczały niewiele światła, a przy tym dzień był zimowy, chmurny. W drugim końcu komnaty palił się wprawdzie na wielkim kominie ogień, ale źle wysuszone kłody mało dawały płomienia. Dopiero po jakimś czasie, gdy oczy Juranda oswoiły się ze zmrokiem, dostrzegł w głębi stół i siedzących za nim rycerzy, a dalej za ich plecami całą gromadę zbrojnych giermków i równie zbrojnych knechtów, między którymi błazen zamkowy trzymał na łańcuchu oswojonego niedźwiedzia.

Jurand potykał się niegdyś z Danveldem, po czym widział go dwukrotnie na dworze księcia mazowieckiego jako posła, ale od tych terminów upłynęło kilka lat; poznał go jednak pomimo mroku natychmiast i po otyłości, i po twarzy, a wreszcie po tym, że siedział za stołem w pośrodku, w poręczastym krześle, mając rękę ujętą w drewniane łupki<sup>915</sup>, opartą na poręczy. Po prawej jego stronie siedział stary Zygfryd de Löwe z Insburka, nieublagany wróg polskiego plemienia w ogóle, a Juranda ze Spychowa w szczególności; po lewej młodszy bracia Gotfryd i Rotgier. Danveld zaprosił ich umyślnie, aby patrzyli na jego tryumf nad groźnym wrogiem, a zarazem nacieszyli się owocami zdrady, którą na wspólkę<sup>916</sup> uknuli i do której wykonania dopomogli. Siedzieli więc teraz wygodnie, przybrani w miękkie, z ciemnego sukna szaty, z lekkimi mieczami przy boku — radośni,

<sup>915</sup>łupki — odłupane kawałki drewna, często wykorzystywane jako prowizoryczne uszytywnienie złamanej kończyny. [przypis edytorski]

<sup>916</sup>na wspólkę — dziś popr. wspólnie bądź na spółkę. [przypis edytorski]

pewni siebie, spoglądając na Juranda z pychą i z taką niezmierną pogardą, którą mieli zawsze w sercach dla słabszych i zwyciężonych.

Długi czas trwało milczenie, albowiem pragnęli się nasycić widokiem męża, którego przedtem po prostu się bali, a który teraz stał przed nimi ze spuszczoną na piersi głową, przybrany w zgrzebny wór pokutniczy, z powrozem u szyi, na którym wisiała pochwa miecza.

Chcieli też widocznie, by jak największa liczba ludzi widziała jego upokorzenie, gdyż przez boczne drzwi, prowadzące do innych izb, wchodził, kto chciał, i sala zapełniła się niemal do połowy zbrojnymi mężczyznami. Wszyscy patrzyli z niezmierną ciekawością na Juranda, rozmawiając głośno i czyniąc nad nim uwagi. On zaś widząc ich, nabrał właśnie otuchy, albowiem myślał w duszy: „Gdyby Danveld nie chciał dotrzymać tego, co obiecywał, nie wzywałby tylu świadków”.

Tymczasem Danveld skinął ręką i uciszył rozmowy, po czym dał znak jednemu z giermków, ów zaś zbliżył się do Juranda i chwyciwszy dłonią za powróż otaczający jego szyję, przyciągnął go o kilka kroków bliżej do stołu.

A Danveld spojrział z tryumfem po obecnych i rzekł:

— Patrzcie, jako moc Zakonu zwycięża złość i pychę.

— Daj tak Bóg zawsze! — odpowiedzieli obecni.

Nastąpiła znowu chwila milczenia, po której Danveld zwrócił się do jeńca:

— Kąsałeś Zakon jako pies zapieniony<sup>917</sup>, przeto Bóg sprawił, że jako pies stoisz przed nami, z powrozem na szyi, wyglądając łaski i zmiłowania.

— Nie równaj mnie z psem, komturze — odrzekł Jurand — bo czci ujmujesz tym, którzy potykali się ze mną i z mojej ręki polegali.

Na te słowa szmer powstał między zbrojnymi Niemcami: nie wiadomo było, czy rozgniewała ich śmiałość odpowiedzi, czy uderzyła jej słuszność.

Lecz komtur nie był rad z takiego obrotu rozmowy, więc rzekł:

— Patrzcie, oto tu jeszcze pluje nam w oczy hardością i pychą!

A Jurand wyciągnął w górę dłonie jak człowiek, który niebiosy wzywa na świadki, i odrzekł, kiwając głową:

— Bóg widzi, że moja hardość została za bramą tutejszą. Bóg widzi i będzie sądził, czy hańbiąc mój stan rycerski, nie pohańbiliście się i sami. Jedna jest cześć rycerska, którą każdy, kto opasan, szanować winien.

Danveld zmarszczył brwi, ale w tej chwili błazen zamkowy począł brząkać łańcuchem, na którym trzymał niedźwiadka, i wołał:

— Kazanie! Kazanie! Przyjechał kaznodzieja z Mazowsza! Słuchajcie! Kazanie!

Po czym zwrócił się do Danvelda:

— Panie! — rzekł. — Graf Rosenheim, gdy go dzwonnik za wcześnie na kazanie dzwoniem rozbudził, kazał mu zjeść sznur dzwonnicy od węzła do węzła; ma i ów kaznodzieja powróż na szyi, każcie mu go zjeść, nim kazania dokończy.

I to rzekłszy, począł patrzeć na komtura nieco niespokojnie, nie był bowiem pewien, czy ów roześmieje się, czy każe go za niewczesne odezwanie się wysmagać. Lecz bracia zakonnicy, gładcy, układni, a nawet i pokorni, gdy nie poczuli się w sile, nie znali natomiast żadnej miary wobec zwyciężonych; więc Danveld nie tylko skinął głową skomorochowi na znak, że na urągawisko pozwala, lecz i sam wybuchnął grubiaństwem tak niesłychanym, że na twarzach kilku młodszych giermków odbiło się zdumienie.

— Nie narzekaj, żeć pohańbiono — rzekł — bo choćbym cię psiarczykiem uczynił, lepszy psiarczyk zakonny niż wasz rycerz!

A ośmielony błazen począł krzyczeć:

— Przynieś zgrzebło, wyczesz mi niedźwiadzia, a on ci wzajem kudły łapą wyczese!

Na to tu i owdzie ozwały się śmiechy, jakiś głos zawołał spoza pleców braci zakonnych:

— Latem będziesz trzcinię na jeziorze kosił!

— I raki na ścierwo łowił! — zawołał inny. Trzeci zaś dodał:

— A teraz pocznij wrony od wisielców odganiać! Nie zbraknie tu roboty.

Tak to oni sztychli ze strasznego im niegdyś Juranda. Powoli wesołość ogarnęła zgromadzenie. Niektórzy, wyszedłszy zza stołu, zaczęli zbliżać się do jeńca, opatrywać go

Tłum

Hańba, Honor

Błazen

<sup>917</sup>zapieniony — piana toczona z pyska psa jest objawem wściekłości. [przypis edytorski]

z bliska i mówić: „Toć jest ów dzik ze Spychowa, któremu nasz komtur kły powybił; pianę pewnie ma w pysku; rad by kogo ciął, ale nie może!”. Danveld i inni bracia zakonni, którzy chcieli z początku dać posłuchaniu jakiś uroczysty pozór sądu, widząc, że rzecz obróciła się inaczej, popodnosili się także z ław i pomieszali się z tymi, którzy zbliżyli się ku Jurandowi.

Nie był wprawdzie z tego rad stary Zygfyrd z Insburka, ale sam komtur mu rzekł: „Rozmarszczcie się, będzie jeszcze większa uciecha!”. I poczęli także oglądać Juranda, gdyż to była sposobność rzadka, albowiem który z rycerzy lub knechtów widział go przedtem tak blisko, ten zwykle zamykał oczy potem na wieki. Więc niektórzy mówili także: „Pleczysty jest, chociaż ma kożuch pod worem; można by go grochowinami owinąć i po jarmarkach prowadzać...”. Inni zaś jęli wołać o piwo, aby dzień stał im się jeszcze weselszy.

Jakoż po chwili zadzwoniły kopiaste dzbańce, a ciemna sala wypełniła się zapachem spadającej spod pokryw piany. Rozweselony komtur rzekł: „Tak właśnie dobrze, niech nie myśli, że jego pohańbienie wielka rzecz!”. Więc znowu zbliżali się do niego i trącając go pod brodę konwiami, mówili: „Rad byś pił, mazurski ryju!” — a niektórzy, ulewając na dłonie, chlustali mu w oczy, on zaś stał między nimi, zahukany, zelżony, aż wreszcie ruszył ku staremu Zygfyrdowi i widocznie czując, że nie wytrzyma już długo, począł krzyczeć tak głośno, aby zagłuszyć gwar panujący w sali:

— Na Mękę Zbawiciela i duszne zbawienie, oddajcie mi dziecko, jakoście obiecali!

I chciał chwycić prawą dłoń starego komtura, lecz ów odsunął się szybko i rzekł:

— Z dała, niewolniku! Czego chcesz?

— Wypuściłem z jeństwa Bergowa i przyszedłem sam, boście obiecali, że za to oddacie mi dziecko, które się tu znajduje.

— Kto ci obiecywał? — spytał Danveld.

— W sumieniu i wierze ty, komturze!

— Świadców nie znajdziesz, ale za nic świadkowie, gdy chodzi o cześć i słowo.

— Na twoją cześć! Na cześć Zakonu! — zawołał Jurand.

— Tedy córka będzie ci oddana! — odpowiedział Danveld.

Po czym zwrócił się do obecnych i rzekł:

— Wszystko, co go tu spotkało, niewinna to igraszka, nie w miarę jego występków i zbrodni. Ale żeśmy przyrzekli wrócić mu córkę, jeśli się stawi i upokorzy przed nami, tedy wiedzcie, że słowo Krzyżaka ma być jako Słowo Boże niewzruszonym i że ową dziewczkę, którąśmy rozbójnikom odjęli, darujęm teraz wolnością, a po przykładowej pokucie za grzechy przeciw Zakonowi i jemu do domu wrócić dozwolimy.

Zdziwiła niektórych taka mowa, gdyż znając Danvelda i jego dawne do Juranda urazy, nie spodziewali się po nim tej uczciwości. Więc stary Zygfyrd, a z nim razem Rotgier i brat Gotfyrd spoglądali na niego, podnosząc ze zdumienia brwi i marszcząc czoła, ów jednakże udał, że tych pytających spojrzeń nie widzi, i rzekł:

— Córkę ci pod strażą odeślem, ty zaś tu ostaniesz, póki straż nasza bezpiecznie nie wróci i póki okupu nie zapłacisz.

Jurand sam był nieco zdumiony, albowiem już był stracił nadzieję, by nawet dla Danusi ofiara jego mogła się na coś przydać, więc spojrział na Danvelda prawie z wdzięcznością i odpowiedział:

— Bóg ci zapłać, komturze!

— Poznaj rycerzy Chrystusa — rzekł Danveld.

A na to Jurand:

— Jużci z niego wszelkie miłosierdzie! Ale zem też dziecka kęs czasu<sup>918</sup> nie oglądał, pozwólże mi dziewczkę obaczyć i pobłogosławić.

— Ba, i nie inaczej jak wobec nas wszystkich, aby zaś byli świadkowie naszej wiary i laski.

To rzekłszy, kazał przybocznemu giermkowi sprowadzić Danusie, sam zaś zbliżył się do von Löwego, Rotgiera i Gotfyda, którzy otoczywszy go, poczęli szybką i żywą rozmowę.

— Nie przeciwię się, lubo nie takiś miał zamiar — mówił stary Zygfyrd.

A gorący, słynny z męstwa i okrucieństwa Rotgier mówił:

<sup>918</sup>kęs czasu (daw.) — długo. [przypis edytorski]

— Jak to? Nie tylko dziewczkę, ale i tego diabelskiego psa wypuścisz, aby znów kąsał?  
— Nie tak ci jeszcze będzie kąsał! — zawołał Gotfryd.  
— Ba!... Zapłaci okup! — odparł niedbale Danveld.  
— Choćby wszystko oddał, w rok dwa razy tyle złupi.  
— Nie przeciwie się co do dziewczki — powtórzył Zygfryd — ale na tego wilka nieraz jeszcze owieczki zakonne zapłaczą.

— A nasze słowo? — spytał, uśmiechając się, Danveld.

— Inaczej mówileś...

Danveld wzruszył ramionami.

— Mało wam było uciechy? — spytał. — Chcecie więcej?

Inni zaś otoczyli znów Juranda i w poczuciu chwały, która z uczciwego postępu Danvelda spadła na wszystkich ludzi zakonnych, poczęli mu się chępić do oczu:

— A co, łamignacie! — mówił kapitan zamkowych łuczników. — Nie tak by postąpili twoi pogańscy bracia z chrześcijańskim naszym rycerzem!

— Krew zaś naszą toś pijał?

— A my ci za kamień chlebem...

Ale Jurand nie uważał już ni na pychę, ni na pogardę, która była w ich słowach: serce miał wezbrane, a rzęsy wilgotne. Myślał, że oto za chwilę zobaczy Danusię i że zobaczy ją istotnie z ich łaski, więc spoglądał na mówiących prawie ze skruczą i wreszcie odrzekł:

— Prawda! Prawda! Bywałem wam ciężki, ale... nie zdradliwy.

Wtem w drugim końcu sali jakiś głos krzyknął nagle: „Wiodą dziewczkę!” — i naraz w całej sali uczyniło się milczenie. Żołnierze rozstąpili się na obie strony, gdyż jakkolwiek żaden z nich nie widział dotąd Jurandówny, a większa ich część z powodu tajemniczości, którą Danveld otaczał swe uczynki, nie wiedziała nawet nic o jej pobycie w zamku, jednakże ci, którzy wiedzieli, zdążyli już teraz szepnąć innym o precudnej jej urodzie. Wszystkie więc oczy skierowały się z nadzwyczajną ciekawością na drzwi, przez które miała się ukazać.

Tymczasem naprzód ukazał się giermek, za nim znana wszystkim służka zakonna, ta sama, która jeździła do leśnego dworca, za nią zaś weszła przybrana białą dziewczyna, z rozpuszczonymi włosami przewiązanymi wstążką na czole.

I nagle w całej sali rozległ się na kształt grzmotu jeden ogromny wybuch śmiechu. Jurand, który w pierwszej chwili skoczył był ku córce, cofnął się nagle i stał błądzący jak płótno, spoglądając ze zdumieniem na spiczastą głowę, na sine usta i na nieprzytomne oczy niedojdy<sup>919</sup>, którą mu oddawano jako Danusię.

— To nie moja córka! — rzekł trwożnym głosem.

— Nie twoja córka? — zawołał Danveld. — Na świętego Liboriusza z Padebornu! To albośmy nie twoją zbójom odbili, albo ci ją jakiś czarownik zmienił, bo innej nie masz w Szczytnie.

Stary Zygfryd, Rotgier i Gotfryd zamienili z sobą szybkie spojrzenia, pełne największego podziwu nad przebiegłością Danvelda, ale żaden z nich nie miał czasu odezwać się, gdyż Jurand począł wołać okropnym głosem:

— Jest! Jest w Szczytnie! Słyszałem, jako śpiewała, słyszałem głos mojego dziecka!

Na to Danveld obrócił się do zebranych i rzekł spokojnie, a dobitnie:

— Biorę was tu obecnych na świadków, a szczególnie ciebie, Zygfrydzie z Insburka, i was, pobożni bracia, Rotgierze i Gotfrydzie, że wedle słowa i uczynionej obietnicy oddaję tę dziewczkę, o której pobici przez nas zbójcy powiadali, jako jest córką Juranda ze Spychowa. Jeśli zaś nią nie jest, nie nasza w tym wina, ale raczej wola Pana naszego, który w ten sposób chciał wydać Juranda w nasze ręce.

Zygfryd i dwaj młodsi bracia skłonili głowy na znak, że słyszą i będą w potrzebie świadczili. Potem znów zamienili szybkie spojrzenia — gdyż było to więcej, niż sami mogli się spodziewać: schwytać Juranda, nie oddać mu córki, a jednak pozornie dotrzymać obietnicy, któż inny by to potrafił!

Lecz Jurand rzucił się na kolana i począł zaklinać Danvelda na wszystkie relikwie w Malborgu, a potem na prochy i głowy rodziców, by oddał mu prawdziwe jego dziecko i nie postępował jako oszust i zdrajca łamiący przysięgi i obietnice. W głosie jego tyle było

<sup>919</sup>niedojda — tu: niedorozwinięta. [przypis edytorski]

rozpaczy i prawdy, że niektórzy poczęli się domyślać podstęp, innym zaś przychodziło na myśl, że może naprawdę jaki czarownik odmienił postać dziewczyny.

— Bóg patrzy na twoją zdradę! — wołał Jurand. — Na rany Zbawiciela! Na godzinę śmierci twojej, oddaj mi dziecko!

I wstawszy z klęczek, szedł zgięty we dwoje ku Danveldowi, jakby chciał mu objąć kolana, i oczy błyszczały mu prawie szaleństwem, a głos łamał mu się na przemian bólem, trwogą, rozpaczą i groźbą. Danveld zaś, słysząc wobec wszystkich zarzuty zdrady i oszustwa, począł parskać nozdrzami, wreszcie gniew buchnął mu na twarz jak płomień, więc chcąc do reszty zdeptać nieszczęśnika, posunął się również ku niemu i pochyliwszy się do jego ucha, szepnął przez zaciśnięte zęby:

— Jeślić ją oddam, to z moim bękartem<sup>920</sup>...

Lecz w tej samej chwili Jurand ryknął jak buhaj<sup>921</sup>: obie jego dłonie chwyciły Danvelda i podniosły go w górę. W sali rozległ się przeraźliwy krzyk: „Oszczędź!!!” — po czym ciało komtura uderzyło z tak straszną siłą o kamienną podłogę, że mózg z roztrzaskanej czaszki obryzgał bliżej stojących Zygryda i Rotgiera.

Jurand skoczył ku bocznej ścianie, przy której stały zbroje, i porwawszy wielki dwuręczny miecz, runął jak burza na skamieniałych z przerażenia Niemców.

Byli to ludzie przywykli do bitew, rzezi i krwi, a jednak upadły w nich serca tak dalece, że nawet gdy odrętwienie minęło, poczęli się cofać i pierzchać, jak stado owiec pierzcha przed wilkiem, który jednym uderzeniem kłów zabija. Sala zabrzmiała okrzykami przerażenia, tupotem nóg ludzkich, brzękiem przewracanych naczyń, wyciem pacholków, rykiem niedźwiedzia, który wyrwawszy się z rąk skomorocha, począł wdrapywać się na wysokie okno — i rozpaczliwym wołaniem o zbroje, o tarcze, o miecze i kusze. Zablęśla wreszcie broń i kilkadziesiąt ostrzy skierowało się ku Jurandowi, lecz on niebaczny na nic, na wpeł obłąkany, sam skoczył ku nim i rozpoczęła się walka dzika, niesłychana, podobniejsza do rzezi niż do orężnej rozprawy. Młody i zapalczywy brat Gotfryd pierwszy zastąpił drogę Jurandowi, lecz ów odwalił mu błyskawicą miecza głowę wraz z ręką i łopatką; za czym padł z jego ręki kapitan łuczników i ekonom zamkowy von Bracht i Anglik Hugues, który choć nie bardzo rozumiał, o co chodzi, litował się jednak nad Jurandem i jego męką, a wydobyl oręż dopiero po zabiciu Danvelda. Inni, widząc straszną siłę i rozpętanie męża, zbili się w kupę, by razem stawić opór, ale sposób ten gorszą jeszcze sprowadził klęskę, gdyż on z włosem zjeżonym na głowie, z obłąkanymi oczyma, cały oblany krwią i krwią dyszący, rozhuwany, zapamiętały, łamał, rozrywał i rozcinał strasznymi cięciami miecza tę zbitą ciżbę, walał ludzi na podłogę spluskaną posoką<sup>922</sup>, jak burza wali krze i drzewa. I przyszła znów chwila okropnej trwogi, w której zdawało się, że ten straszliwy Mazur sam jeden wytnie i wymorduje tych wszystkich ludzi i że równie jak wrzaskliwa psiarnia nie może bez pomocy strzelców pokonać srogiego odyńca<sup>923</sup>, tak i ci zbrojni Niemcy do tego stopnia nie mogą się zrównać z jego potęgą i wściekłością, że walka z nim jest tylko dla nich śmiercią i zagubą.

— Rozproszyc się! Otoczyć go! Z tyłu razić<sup>924</sup>! — krzyknął stary Zygryf de Löwe.

Więc rozbiegli się po sali, jak rozprasza się stado szpaków na polu, na które runie z góry jastrząb krzywodzioby, lecz nie mogli go otoczyć, albowiem w szale bojowym zamiast szukać miejsca do obrony, począł ich gonić wokół ścian i kogo dognał — ten marł jakby rażony gromem. Upokorzenia, rozpacz, zawiedziona nadzieja, zmienione w jedną żądzę krwi, zdawały się mnożyć w dziesięcioro jego okrutną przyrodzoną siłę. Mieczem, do którego najtępsi między Krzyżaki<sup>925</sup> mocarze potrzebowali obu rąk, władał jak piórem, jedną. Nie szukał życia, nie szukał ocalenia, nie szukał nawet zwycięstwa, szukał pomsty i jako ogień albo jako rzeka, która zerwawszy tamy, niszczy ślepo wszystko, co jej prądowi opór stawi, tak i on, straszliwy, zaślepiony niszczyciel — porywał, łamał, deptał, mordował i gasił żywoty ludzkie.

Walka

<sup>920</sup>bękart — dziecko poczęte poza małżeństwem. [przypis edytorski]

<sup>921</sup>buhaj — byk. [przypis edytorski]

<sup>922</sup>posoka — krew. [przypis edytorski]

<sup>923</sup>odyniec — samiec dzika. [przypis edytorski]

<sup>924</sup>razić (daw.) — uderzać. [przypis edytorski]

<sup>925</sup>między Krzyżaki — dziś popr.: między Krzyżakami. [przypis edytorski]

Nie mogli go razić przez plecy, gdyż z początku nie mogli go dognać, a przy tym pospolici żołdacy bali się zbliżyć nawet z tyłu, rozumiejąc, że gdyby się obrócił, żadna moc ludzka nie wyrwie ich śmierci. Innych chwyciło zupełne przerażenie na myśl, że zwykły mąż nie mógłby sprawić tyłu klęsk i że mają do czynienia z człowiekiem, któremu jakieś nadludzkie siły w pomoc przychodzą.

Lecz stary Zygfyrd, a z nim brat Rotgier wpadli na galerię, która biegła ponad wielkimi oknami sali, i poczęli nawoływać innych, aby chronili się za nimi, ci zaś czyniąc to skwapliwie, tak że na wąskich schodkach przepychali się wzajem, pragnąc jak najprędzej dostać się na górę i stamtąd razić mocarza, z którym wszelka walka wręcz okazywała się niepodobną. Wreszcie ostatni zatrzasnął drzwi prowadzące na chór i Jurand pozostał sam na dole. Z galerii ozwały się krzyki radości, tryumfu i wnet poczęły lecieć na rycerza dębowe ciężkie zydle, ławy i żelazne kuny<sup>926</sup> od pochodni. Jeden z pocisków trafił go w czoło nad brwiami i zalał mu krwią twarz. Jednocześnie rozwarły się wielkie drzwi wchodowe i przywołani przez górne okna knechci wpadli hurmem do sali, zbrojni w dzidy, halabardy, topory, kusze, w ostrokoły, drągi, powrozy i we wszelką broń, jaką każdy mógł napędce pochwycić.

A szalony Jurand obtarł lewą ręką krew z twarzy, aby nie ćmiła<sup>927</sup> mu wzroku, zebrał się w sobie — i rzucił się na cały tłum. W sali rozległy się znów jęki, szczęk żelaza, zgrzyt zębów i przeraźliwe głosy mordowanych mężów.

## ROZDZIAŁ DRUGI

W tej samej sali wieczorem siedział za stołem stary Zygfyrd de Löwe, który po wójcie Danweldzie objął tymczasem zarząd Szczytna, a obok niego brat Rotgier, rycerz de Bergow, dawny jeniec Juranda, i dwaj szlachetni młodzieńcy, nowicjusze<sup>928</sup>, którzy wkrótce przywdziać mieli białe płaszczce. Wicher zimowy wyl za oknami, wstrząsał ołowiane osady okien, chwiały płomieniem pochodni palących się w żelaznych kunach, a kiedy niekiedy wypychał z komina kłęby dymu na salę. Między braćmi, chociaż zebrali się na naradę, panowała cisza, albowiem czekali na słowo Zygfyda, ów zaś, wsparłszy łokcie na stole i splótłszy dłonie na siwej pochylonej głowie, siedział posepny, z twarzą w cieniu i z ponurymi myślami w duszy.

— Nad czym mamy radzić? — spytał wreszcie brat Rotgier.

Zygfyrd podniósł głowę, popatrzył na mówiącego i zbudziwszy się z zamyślenia, rzekł:

— Nad klęską, nad tym, co powie mistrz i kapituła, i nad tym, by z naszych uczynków nie wynikła szkoda dla Zakonu.

Po czym umilkł znów, lecz po chwili rozejrzał się naokół i poruszył nozdrzami:

— Tu czuć jeszcze krew.

— Nie, komturze — odpowiedział Rotgier — kazałem zmyć podłogę i wykadzić siarką. Tu czuć siarkę<sup>929</sup>.

A Zygfyrd spojrział dziwnym wzrokiem po obecnych i rzekł:

— Zmiłuj się, Duchu Światłości, nad duszą brata Danwelda i brata Gotfryda!

Oni zaś zrozumieli, że wzywał miłosierdzia Boskiego nad tymi duszami i że wzywał dlatego, iż po wzmiance o siarce przyszło mu na myśl piekło, więc dreszcz przebiegł im przez kości i odrzekli wszyscy naraz:

— Amen! Amen! Amen!

Przez chwilę znów było słychać wycie wiatru i drganie osad okiennych.

— Gdzie ciało komtura i brata Gotfryda? — spytał starzec.

— W kaplicy; księża śpiewają nad nimi litanie.

— W trumnach już?

— W trumnach, jeno komtur głowę ma zakrytą, bo i czaszka, i twarz zmiążdżone.

— Gdzie inne trupy? I ranni?

— Trupy na śniegu, aby zeszytniały, zanim porobią trumny, a ranni opatrzeni już w szpitalu.

<sup>926</sup>kuna — tu: obręcz. [przypis edytorski]

<sup>927</sup>ćmić — zaćmiewać, zasłaniać. [przypis edytorski]

<sup>928</sup>nowicjusz — osoba przygotowująca się do wstąpienia do zakonu. [przypis edytorski]

<sup>929</sup>tu czuć siarkę — zapach siarki symbolizował piekło. [przypis edytorski]



Zygryd splótł powtórnie dłonie nad głową:

— I to jeden człowiek uczynił!... Duchu Światłości, miej w swojej pieczy Zakon, gdy przyjdzie do wielkiej wojny z tym wilczym plemieniem!

Na to Rotgier podniósł wzrok w górę, jakby coś sobie przypominając, i rzekł:

— Słyszałem pod Wilnem, jako wójt sambijski mówił bratu swemu, mistrzowi: „Jeśli nie uczynisz wielkiej wojny i nie wytracisz ich tak, aby i imię nie zostało, tedy biada nam i naszemu narodowi”.

— Daj Bóg takową wojnę i spotkanie z nimi! — rzekł jeden ze szlachetnych nowicjuszków.

Zygryd spojrział na niego przeciągle, jak gdyby miał ochotę powiedzieć: „Mogłeś dziś spotkać się z jednym z nich” — lecz widząc drobną i młodą postać nowicjusza, a może wspomniawszy, że i sam, choć sławion z odwagi, nie chciał iść na pewną zgubę, zaniechał wymówki i zapytał:

— Który z was widział Juranda?

— Ja — odrzekł de Bergow.

— Żyje?

— Żyje, leży w tej samej sieci, w którąśmy go zaplątali. Gdy się ocknął, chcieli go knechci dobić, ale kapelan nie pozwolił.

— Dobić nie można. Człek to znaczny między swymi i byłby krzyk okrutny — odparł Zygfryd. — Niepodobna też będzie ukryć tego, co zaszło, gdyż zbyt wielu było świadków.

— Jako więc mamy mówić i co czynić? — spytał Rotgier.

Zygryd zamyślił się i wreszcie tak rzekł:

— Wy, szlachetny grafie de Bergow, jedźcie do Malbarga do mistrza. Jęczeliście w niewoli u Juranda i jesteście gościem Zakonu, więc jako goście, który niekoniecznie potrzebuje mówić na stronę zakonników, tym snadniej wam uwierzą. Mówcie przeto, coście widzieli, że Danveld, odbiwszy pogranicznym łotrzykom jakąś dziewczynę i myśląc, że to dziewczka Jurandowa, dał znać o tym Jurandowi, którego też przybył do Szczytna, i... co się dalej stało, sami wiecie...

— Wybaczcie, pobożny komturze — rzekł de Bergow. — Ciężką niewolę znosiłem w Spychowie i jako gość wasz rad bym zawsze świadczył za wami, ale dla pokoju sumienia mego powiedzcie mi: zali nie było prawdziwej Jurandówny w Szczytnie i zali nie zdrada Danvelda doprowadziła do szalu strasznego jej rodzica?

Zygryd de Löwe zawahał się przez chwilę z odpowiedzią; w naturze jego leżała głęboka nienawiść do polskiego plemienia, leżało okrucieństwo, którym nawet Danvelda przewyższał, i drapieźność, gdy chodziło o Zakon, i pycha, i chciwość, ale nie było w nim zamiłowania do niskich<sup>930</sup> wykrętów. Największą też goryczą i zgryzotą życia jego było, że w ostatnich czasach sprawy zakonne przez niekarność i swawolę ułożyły się w ten sposób, że wykręty stały się jednym z najwalnieszych<sup>931</sup> i nieodzownych<sup>932</sup> już środków zakonnego życia. Przeto pytanie de Bergowa poruszyło w nim tę najboleśniejszą stronę duszy i dopiero po długiej chwili milczenia rzekł:

— Danveld stoi przed Bogiem i Bóg go sędzi, a wy, grafie, jeśli was zapytają o domysły, tedy mówcie, co chcecie: jeśli zasie o to, co widziały oczy wasze, tedy powiedzcie, iż nim splątaliśmy siecią wściekłego męża, widzieliście dziewięciu trupów, prócz rannych na tej podłodze, a między nimi trup Danvelda, brata Gotfryda, von Brachta i Huga, i dwóch szlachetnych młodzianów... Boże, daj im wieczny odpoczynek. Amen!

— Amen! Amen! — powtórzyli znów nowicjusze.

— I mówcie także — dodał Zygfryd — że jakkolwiek Danveld chciał przycisnąć nieprzyjaciela Zakonu, nikt tu jednak pierwszy miecza na Juranda nie wy dobył.

— Będę mówił jeno to, co widziały oczy moje — odrzekł de Bergow.

— Przed północą zaś bądźcie w kaplicy, gdzie i my przyjdziemy modlić się za dusze zmarłych — odpowiedział Zygfryd.

I wyciągnął do niego rękę, zarazem na znak podzięk i pożegnania, albowiem pragnął do dalszej narady pozostać tylko z bratem Rotgierem, którego miłował jak źrenicę oka

<sup>930</sup>niski (daw.) — zły, podły, niezastępujący na szacunek. [przypis edytorski]

<sup>931</sup>walny — mający decydujące znaczenie. [przypis edytorski]

<sup>932</sup>nieodzowny — niezastąpiony. [przypis edytorski]

i jak tylko ojciec mógł miłować jedyne go syna. W Zakonie czyniono nawet z powodu tej niezmierniej miłości różne przypuszczenia, ale nikt nic dobrze nie wiedział, zwłaszcza że rycerz, którego Rotgier uważał za ojca, żył jeszcze na swym zamczku w Niemczech i nie wypierał się tego syna nigdy.

Jakoż po odejściu Bergowa Zygryd wyprawił również i dwóch nowicjuszków pod pozorem, aby dopilnowali roboty trumien dla pobitych przez Juranda prostych knechtów, a gdy drzwi zamknęły się za nimi, zwrócił się żywo do Rotgiera i rzekł:

— Słuchaj, coć powiem: jedna jest tylko rada, aby żadna żywa dusza nie dowiedziała się nigdy, że prawdziwa Jurandówna była u nas.

— Nie będzie to trudno — odrzekł Rotgier — gdyż o tym, że ona tu jest, nie wiedział nikt prócz Danvelda, Gotfryda, nas dwóch i tej służki zakonnej, która jej dozoruje. Ludzi, którzy ją przywieźli z leśnego dworca, kazał Danveld popoić<sup>933</sup> i powiesić. Byli tacy w załodze, którzy się czegoś domyślali, ale tym pomieszała w głowie owa niedojda i sami nie wiedzą teraz, czy stała się pomyłka z naszej strony, czy też jakiś czarownik naprawdę przemienił Jurandównę.

— To dobrze — rzekł Zygryd.

— Ja zaś myślałem, szlachetny komturze, czyby, ponieważ Danveld nie żyje, nie zwalić na niego całej winy...

— I przyznać się przed całym światem, żeśmy w czasie pokoju i układów z księciem mazowieckim porwali z jego dworu wychowankę księżny i ulubioną jej dworkę? Nie, to nie może być!... Na dworze widziano nas razem z Danveldem i wielki szpitalnik<sup>934</sup>, jego krewny, wie, iżeśmy przedsiębrali zawsze wszystko razem... Gdy oskarżym Danvelda, zechce się mścić za jego pamięć...

— Radźmy nad tym — rzekł Rotgier.

— Radźmy i znajźmy dobrą radę, bo inaczej biada nam! Gdyby Jurandównę oddać, to ona sama powie, żeśmy nie od zbójów ją odebrali, jeno że ludzie, którzy ją pochwycili, zawiedli ją wprost do Szczytna.

— Tak jest.

— I nie tylko o odpowiedzialność mi chodzi. Będzie się książę skarżył królowi polskiemu i wysłańcy ich nie omieszkają krzyczeć na wszystkich dworach na nasze gwałty, na naszą zdradę, na naszą zbrodnię. Ile może być z tego szkody dla Zakonu! Sam mistrz, gdyby wiedział prawdę, powinien rozkazać nam ukryć tę dziewczkę.

— A czy i tak, gdy ona przypadnie, nie będą oskarżali nas? — zapytał Rotgier.

— Nie! Brat Danveld był człowiekiem przebiegłym. Czy pamiętasz, że postawił warunek Jurandowi, aby nie tylko sam stawił się w Szczytnie, ale by przedtem ogłosił i do księcia napisał, iż jedzie córkę od zbójów wykupywać i wie, że nie ma jej u nas.

— Prawda, ale jakże usprawiedliwim w takim razie to, co stało się w Szczytnie?

— Powiemy, iż wiedząc, że Jurand szuka dziecka, a odjąwszy zbójom jakąś dziewczkę, która nie umiała powiedzieć, kto jest, daliśmy znać o tym Jurandowi, myśląc, że to być może jego córka, ów zaś, przybywszy, wpadł na widok tej dziewczki w szaleństwo i opętany przez złego ducha rozlał tyle krwi niewinnej, że i niejedna potyczka więcej nie kosztuje.

— Zaprawdę — odrzekł Rotgier — mówi przez was rozum i doświadczenie wieku. Złe uczynki Danvelda, choćbyśmy na niego tylko winę zwalili, zawsze by poszły na karb Zakonu, zatem na karb nas wszystkich, kapituły i samego mistrza; tak zaś wykaże się nasza niewinność, wszystko zaś spadnie na Juranda, na złość polską i związki ich z piekielnymi mocami...

— I niech nas sędzi wówczas, kto chce: papież czy cesarz rzymski!

— Tak.

Nastała chwila milczenia, po czym brat Rotgier spytał:

— Więc co uczynim z Jurandówną?

— Radźmy.

— Dajcie ją mnie.

A Zygryd popatrzył na niego i odpowiedział:

— Nie! Słuchaj, młody bracie! Gdy chodzi o Zakon, nie folgujcie mężowi ni niewie-

Pożądanie

<sup>933</sup>popoić (daw.) — upić. [przypis edytorski]

<sup>934</sup>wielki szpitalnik — urzędnik zarządzający krzyżackimi szpitalami, a jednocześnie komtur elbląski. [przypis edytorski]

ście, ale nie folgujcie i sobie. Danvelda dosięgła ręka boża, bo nie tylko chciał pomścić krzywdy Zakonu, ale i własnym chuciom<sup>935</sup> dogodzić.

— Źle mnie sądzicie! — rzekł Rotgier.

— Nie folgujcie sobie — przerwał mu Zygryd — bo zniewieścieją w was ciała i dusze, i kolano tamtego twardego plemienia przyciśnie kiedyś pierś waszą tak, iż nie powstaniecie więcej.

I po raz trzeci wsparł posępną głowę na rękę, ale widocznie rozmawiał tylko z własnym sumieniem i o sobie tylko myślał, gdyż po chwili rzekł:

— I na mnie dużo ciąży krwi ludzkiej, dużo bólu, dużo łez... I ja, gdy chodziło o Zakon i gdy widział, że samą siłą nie wskóram, nie wahałem się szukać innych dróg; ale gdy stanę przed tym Panem, którego czczę i miłuję, rzeknę mu: „To uczyniłem dla Zakonu, a dla siebie wybrałem jeno cierpienie”.

Po czym chwycił rękoma skronie, a głowę i oczy podniósł w górę i zawołał:

— Wyrzeczcie się rozkoszy i rozpusty, zatwardzicie wasze ciała i serca, gdyż oto widzę białość orłowych piór na powietrzu i szpony orła, czerwone od krwi krzyżackiej...

Dalsze słowa przerwało mu uderzenie wichru tak straszne, że jedno okno w górze nad galerią otworzyło się z trzaskiem, a cała sala napelniła się wyciem, poświstem zawiei oraz płatkami śniegu.

— W imię Ducha Światłości! Zła ta noc — rzekł stary Krzyżak.

— Noc mocy nieczystych — odrzekł Rotgier. — Ale dlaczego, panie, zamiast: w imię Boga, mówicie: „w imię Ducha Światłości<sup>936</sup>”?

— Duch Światłości to Bóg — odparł starzec, po czym, jakby chcąc odwrócić rozmowę, spytał: — A przy ciebie Danvelda są księża?

— Są...

— Boże, bądź mi miłościwi!

I umilkli obaj, po czym Rotgier przywołał pacholków, którym rozkazał zamknąć okno i objaśnić pochodnie, a gdy poszli precz, znów zapytał:

— Co uczynicie z Jurandówną? Weźmiecie ją stąd do Insburka?

— Wezmę ją do Insburka i uczynię z nią to, czego dobro Zakonu wymagać będzie.

— Ja zasię co mam czynić?

— Masz-li w duszy odwagę?

— Cóżem takiego uczynił, abyście mieli o tym wątpić?

— Nie wątpię, bo cię znam, a za twoje męstwo miłuję cię więcej niż kogokolwiek w świecie. Tedy jedź na dwór księcia mazowieckiego i opowiedz mu wszystko, co się tu stało, tak, jakeśmy między sobą ułożyli.

— Mogeż się na pewną zgubę narażać?

— Jeśli twa zguba wyjdzie na chwałę Krzyża i Zakonu, to powinieś. Ale nie! Nie czeka cię zguba. Oni goście krzywdy nie czynią: chybaby cię kto chciał pozwać, jako uczynił ów młody rycerz, który nas wszystkich pozwał... On lub kto inny, lecz to przecie niestraszne...

— Daj to Bóg! Mogą mnie jednak chwycić i do podziemi wtrącić.

— Nie uczynią tego. Pamiętaj, że jest list Jurandowy do księcia, a ty pojedziesz prócz tego skarżyć na Juranda. Opowiesz wiernie, co uczynił w Szczytnie, i muszą ci uwierzyć... Oto pierwsi daliśmy mu znać, że jest jakaś dziewczka, pierwsi zaprosiliśmy go, by przybył i obaczył ją, a on przyjechał, oszalał, komtura zabił, ludzi nam powytracał. Tak będziesz mówił, a oni cóż ci na to powiedzą? Jużci śmierć Danvelda rozgłosi się po całym Mazowszu. Wobec tego zaniechają skarg. Jurandówny będą oczywiście szukali, ale skoro sam Jurand pisał, że nie u nas jest, więc nie na nas padnie posąd. Trzeba nadrobić odwagą i pozamykać im paszczęki, bo i to także pomyśl, że gdybyśmy byli winni, nikt z nas nie odważyłby się przyjechać.

— Prawda. Po pogrzebie Danvelda wyruszę zaraz w drogę.

<sup>935</sup> *chuć* (daw.) — żądza. [przypis edytorski]

<sup>936</sup> *Duch Światłości* — być może Sienkiewicz czyni tu aluzję do imienia Lucyfera, pochodzącego od łac. *lux ferrens*: niosący światło. [przypis edytorski]

— Niech cię Bóg błogosławi, synaczku! Gdy wszystko uczynim, jak należy, tedy nie tylko nie zatrzymają cię, ale się muszą wyprzeć Juranda, abyśmy zaś nie mogli rzec: Oto jak oni z nami postępują!

— I tak trzeba się będzie skarżyć na wszystkich dworach.

— Wielki szpitalnik dopilnuje tego i dla dobra Zakonu, i jako krewny Danvelda.

— Ba, ale gdyby ten diabeł spychowski wyżył i odzyskał wolność...

A Zygfryd począł patrzeć posępnie przed siebie, następnie zaś odpowiedział z wolna i dobitnie:

— Choćby odzyskał wolność, nigdy on nie wypowie jednego słowa skargi na Zakon.

Po czym jął jeszcze nauczać Rotgiera, co ma mówić i czego żądać na mazowieckim dworze.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Wiść o zajściu w Szczytnie przybyła jednak do Warszawy przed bratem Rotgierem i wzbudziła tam zdumienie i niepokój. Ani sam książę, ani nikt z dworu nie mógł zrozumieć, co zaszło. Przed niedawnym czasem, właśnie gdy Mikołaj z Długolasu miał jechać do Malborka z listem księcia, w którym tenże skarżył się gorzko na porwanie przez niesfornych pogranicznych komturów Danusi i niemal groźnie upominał się o niezwłoczne jej oddanie, przyszedł list od dziedzica ze Spychowa oznajmiający, że córka jego pochwycona została nie przez Krzyżaków, ale przez zwyczajnych zbójów nadgranicznych, i że wkrótce będzie za okup uwolniona. Wskutek tego poseł nie pojechał, nikomu bowiem ani przez głowę nie przeszło, żeby Krzyżacy wymogli takie pismo na Jurandzie pod groźbą śmierci dziecka. Trudno było i tak zrozumieć, co zaszło, gdyż warchołowie<sup>937</sup> pograniczni, tak poddani księcia, jak i Zakonu, czynili wzajemne na się napady latem, nie zaś zimą, gdy śniegi zdradzały ich ślady. Napadali też zwykle kupców albo dopuszczali się grabieży po wioskach, chwytając ludzi i zagarniając ich stada, by jednak ośmielili się zahaczyć samego księcia i porwać jego wychowankę, a przy tym córkę potężnego i wzbudzającego powszechną obawę rycerza, to zdawało się przechodzić wprost wiarę ludzką. Na to jednak, jak również na inne wątpliwości, był odpowiedzią list Juranda z jego własną pieczęcią i przywieziony tym razem przez człowieka, o którym wiedziano, że pochodzi ze Spychowa; wobec czego wszelkie podejrzenia stały się niemożliwe, książę tylko wpadł w gniew, w którym go dawno nie widziano, i nakazał pościg opryszków na całą granicę swego księstwa, wezwawszy zarazem księcia plockiego<sup>938</sup>, aby uczynił również to samo i również nie szczędził kar na zuchwałców.

A wówczas właśnie przyszła wieść o tym, co zdarzyło się w Szczytnie.

I przechodząc z ust do ust, przyszła powiększona dziesięciokrotnie, opowiadano, iż Jurand, przybywszy samosześć<sup>939</sup> do zamku, wpadł przez otwarte bramy i uczynił w nim rzecz taką, iż z załogi mało kto pozostał, że musiano posyłać po ratunek do pobliskich zamków, zwoływać rycerstwo i zbrojne zastępy ludu pieszego, które dopiero po dwóch dniach oblężenia zdołały wdrzeć się na powrót do zamku i tam zgładzić Juranda zarówno, jak jego towarzyszków. Mówiono też, że wojska owe wejdą prawdopodobnie teraz w granice i że wielka wojna niechybnie się rozpocznie. Książę, który wiedział, jak wiele zależy wielkiemu mistrzowi na tym, by na wypadek wojny z królem polskim siły obu księstw mazowieckich pozostały na stronie, nie wierzył tym wieściom, albowiem nietajnym mu było, że gdyby Krzyżacy rozpoczęli wojnę z nim lub z Ziemowitem plockim, żadna siła ludzka nie powstrzyma Polaków z Królestwa, mistrz zaś obawiał się tej wojny. Wiedział, że musi przyjść, ale pragnął ją odwlec, raz dlatego, że był pokojowego ducha, a po wtóre dlatego, że aby zmierzyć się z potęgą Jagielly, trzeba było przygotować siłę, jakiej nigdy dotychczas Zakon nie wystawił i zarazem zapewnić sobie pomoc książąt i rycerstwa nie tylko w Niemczech, ale na całym Zachodzie.

Nie obawiał się więc książę wojny, chciał jednak wiedzieć, co się stało, co ma naprawdę myśleć o zajściu w Szczytnie, o zniknięciu Danusi i o tych wszystkich wieściach,

Plotka

<sup>937</sup>warchoł — siejący zamieszanie hulaka a. przestępca. [przypis edytorski]

<sup>938</sup>Ziemowit IV (ok. 1352–1426) — książę plocki, prowadzący samodzielną politykę zagraniczną, długo występował jako przeciwnik Jagielly, dał się poznać jako dobry administrator. [przypis edytorski]

<sup>939</sup>samosześć (daw.) — w sześciu ludzi. [przypis edytorski]

które przychodziły z nad granicy, więc też, jakkolwiek nie cierpiał Krzyżaków, rad był, gdy pewnego wieczora kapitan łuczników doniósł mu, że przyjechał rycerz zakonny i prosi o posłuchanie.

Przyjął go jednak wyniośle i jakkolwiek natychmiast poznał, że to jest jeden z braci, którzy byli w leśnym dworcu, udał, że go sobie nie przypomina, i zapytał, kto jest, skąd przybywa i co go do Warszawy sprowadza.

— Jestem brat Rotgier — odpowiedział Krzyżak — i przed niedawnym czasem miałem zaszczyt pochylić się do kolan waszej książęcej miłości.

— Czemu zaś, bratem będąc, nie masz na sobie zakonnych znamion?

Rycerz począł tłumaczyć się, że białego płaszcza z krzyżem nie przywdział tylko dlatego, iż gdyby to był uczynił, niechybnie byłby pojman lub zabit przez mazowieckie rycerstwo: wszędzie na całym świecie, we wszystkich królestwach i księstwach, znak krzyża na płaszczu ochrania, zjednywa życzliwość i gościnność ludzką, i tylko w jednym księstwie mazowieckim krzyż na pewną zgubę naraża człowieka, który go nosi.

Lecz książę przerwał mu gniewnie:

— Nie krzyż — rzekł — bo krzyż i my całujem, jeno wasza niecnota... A jeśli was gdzie indziej lepiej przyjmują, to dlatego, że was mniej znają.

Po czym widząc, że rycerz stropił się bardzo tymi słowy, zapytał:

— Byłeś w Szczytnie albo-li wiesz, co się tam stało?

— Byłem w Szczytnie i wiem, co się tam stało — odrzekł Rotgier — a przybywam tu nie jako czyjś wysłannik, ale z tej jeno przyczyny, że doświadczony i świętobliwy komtur z Insburka rzekł mi: Nasz mistrz miłuje pobożnego księcia i ufa w jego sprawiedliwość, więc gdy ja pośpieszę do Malborka, ty jedź na Mazowsze i przedstaw naszą krzywdę, nasze pohańbienie, naszą niedolę. Juźci nie pochwali sprawiedliwy Pan gwałciciela pokoju i srogiego napastnika, który rozlał tyle krwi chrześcijańskiej, jakby nie Chrystusa, ale szatana był sługą.

I tu począł opowiadać wszystko, co stało się w Szczytnie: jako Jurand przez nich samych wezwany, aby zobaczył, czy dziewczyna, którą zbójcom odjęli<sup>940</sup>, nie jest jego córką, zamiast wdzięcznością się wypłacić wpadł w szal; jak zabił Danvelda, brata Gotfryda, Anglika Huga, von Brachta i dwóch szlachetnych giermków, nie licząc knechtów; jak oni, pomni na przykazania boskie, nie chcąc zabijać, musieli w końcu splątać siecią straszego męża, który wówczas przeciw sobie samemu podniósł broń i poranił się okrutnie; jak wreszcie nie tylko w zamku, ale i w mieście byli ludzie, którzy wśród wichury zimowej słyszeli podczas nocy po walce straszliwe jakieś śmiechy i głosy wołające w powietrzu: „Nasz Jurand! Krzywdziciel Krzyża! Rozlewca krwi niewinnej! Nasz Jurand!”

I całe opowiadanie, a zwłaszcza ostatnie słowa Krzyżaka wielkie uczyniły wrażenie na wszystkich obecnych. Zdjął ich po prostu strach, czy istotnie Jurand nie wezwał w pomoc sił nieczystych — i zapadło głucho milczenie. Lecz księżna, która była obecna przy posłuchaniu i która kochając Danusię, nosiła w sercu nieutulony żal po niej, zwróciła się z niespodzianym pytaniem do Rotgiera:

— Mówicie, rycerzu — rzekła — że odbiwszy dziewczynę-niedojdę, myśleliście, iż to Jurandowa córka, i dlatego wezwaliście go do Szczytna?

— Tak, miłościwa pani — odrzekł Rotgier.

— A jakożście mogli to myśleć, skoroście w leśnym dworze widzieli przy mnie prawdziwą Jurandównę?

Na to brat Rotgier zmieszał się, gdyż nie był przygotowany na podobne pytanie. Książę powstał i utkwiał surowy wzrok w Krzyżaku, zaś Mikołaj z Długolasu, Mrokota z Mocarzewa, Jaśko z Jagielnicy i inni rycerze mazowieccy przyskoczyli zaraz do mnicha, pytając na przemian groźnymi głosami:

— Jakożście mogli to myśleć? Mów, Niemcze! Jako to być mogło?

A brat Rotgier ochłonął i rzekł:

— My, zakonnicy, nie podnosim oczu na niewiasty. Było w leśnym dworze przy miłościwej księżnie dwórek niemało, ale która była między nimi Jurandówna, nikt z nas nie wiedział.

<sup>940</sup>odjąć (daw.) — zabrać. [przypis edytorski]

— Danveld wiedział — ozwał się Mikołaj z Długolasu. — Gadał ci z nią nawet na lowach.

— Danveld stoi przed Bogiem — odparł Rotgier — i powiem o nim jeno to, że nazajutrz znaleziono rozkwitłe róże na jego trumnie, których, jako w czasie zimowym, nie mogła położyć ręka ludzka.

Znów nastalo milczenie.

— Skąd wiedzieliście o porwaniu Jurandówny? — zapytał książę.

— Sama bezbożność i zuchwalstwo uczynku zrobiły go rozgłośnym<sup>941</sup> tu i u nas. Więc dowiedziawszy się o tym, daliśmy na msze dziękczynne, że jeno zwykła dwórka, a nie które z rodzonych dzieci waszych miłości było porwane z leśnego dworca.

— Ale to mi zawsze dziwno, żeście mogli niedojść poczytać za córkę Juranda.

Na to brat Rotgier:

— Danveld mówił tak: „Często szatan zdradza swych sług, więc może odmienił Jurandównę”.

— Zbóje wszelako nie mogli, jako prostacy, podrobić pisma Kalebowego i pieczęci Juranda. Któż mógł to uczynić?

— Zły duch.

I znów nikt nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Rotgier zaś począł patrzeć pilnie w oczy księciu i rzekł:

— Zaiste, są mi jako miecze w piersi te pytania, albowiem posąd w nich tkwi i podejrzenie. Ale ja, ufny w sprawiedliwość bożą i w moc prawdy, pytam waszą książęcą mość: zali sam Jurand posądzał nas o ten uczynek, a jeśli posądzał, to czemu, nim wezwaliśmy go do Szczytna, szukał na całym pograniczu zbójów, aby od nich córkę wykupić?

— Jużci... prawda! — rzekł książę. — Choćbyś co ukrył przed ludźmi, nie ukryjesz przed Bogiem. Posądzał was w pierwszej chwili, ale potem... potem myślał co innego.

— Oto jak blask prawdy zwycięża ciemności! — rzekł Rotgier.

I potoczył zwycięskim wzrokiem po sali, pomyślał bowiem, że w głowach krzyżackich więcej jest obrotności i rozumu niż w polskich i że to plemię zawsze będzie łupem i karmią<sup>942</sup> Zakonu, równie jak mucha bywa łupem i karmią pająka.

Więc, porzuciwszy poprzednią układność, przystąpił ku księciu i począł mówić głosem podniesionym i natarczywym:

— Nagródź nam, panie, nasze straty, nasze krzywdy, nasze łzy i naszą krew! Twoim był ten piekielnik poddanym, więc w imię Boga, z którego władza królów i książąt wypływa, w imię sprawiedliwości i Krzyża, nagródź nam nasze krzywdy i krew!

A książę popatrzył na niego w zdumieniu:

— Na miły Bóg! — rzekł. — Czegóż ty chcesz? Jeśli Jurand wytoczył w szaleństwie waszą krew, zali ja mam za jego szaleństwa odpowiadać?

— Twoim był, panie, poddanym — rzekł Krzyżak — w twoim księstwie leżą jego ziemie, jego wieś i jego gród, w którym więził sług Zakonu; niechaj więc chociaż ta majątność, niech chociaż te ziemie i ów bezbożny kasztel<sup>943</sup> staną się odtąd własnością Zakonu. Zaprawdę nie będzie to godna zapłata za tę szlachetną krew przelaną! Zaprawdę nie wskrzesi ona zmarłych, ale może choć w części uspokoi gniew Boży i zetrze niesławę, która inaczej na całe to księstwo spadnie. O, panie! Wszędzie posiada Zakon ziemie i zamki, które łaska i pobożność chrześcijańskich książąt mu nadała, jeno tu nie masz ni pędzi ziemi w jego władaniu. Niechże nasza krzywda, która o pomstę do Boga woła, choć tak nam się nagrodzi, abysmy mogli powiedzieć, że i tu żywią ludzie mający w sercach bojaźń bożą.

Usłyszawszy to, książę zdumiał się jeszcze więcej i dopiero po długiej chwili milczenia odrzekł:

— Rany boskie!... A wždy, jeśli ten wasz Zakon tutaj siedzi, z czyjejże łaski, jeśli nie z łaski przodków moich? Małoż wam jeszcze tych krajów, ziem i miast, które do nas i do naszego kraju niegdyś należały, a które dzisiaj są wasze? Żyje przecie jeszcze dziewczka Jurandowa, gdyż nikt nam o jej śmierci nie doniósł, wy zaś już chcecie sierocie wiano zagarnąć i sierocym chlebem wasze krzywdy sobie nagrodzić?

<sup>941</sup>rozgłośny (daw.) — głośny, znany. [przypis edytorski]

<sup>942</sup>karmia — dziś popr.: karma. [przypis edytorski]

<sup>943</sup>kasztel (daw.) — zameczek, niewielka twierdza. [przypis edytorski]

— Panie, przyznajesz krzywdę — rzekł Rotgier — więc tak ją nagródź, jako ci twoje książęce sumienie i twoja sprawiedliwa dusza nakaże.

I znowu rad był w sercu, gdyż myślał sobie: „Teraz nie tylko nie będą skarżyli, ale będą jeszcze uradzać, jak by samym ręce umyć i z tej sprawy się wykręcić. Nikt już nie nam nie zarzuci i sława nasza będzie jako biały płaszcz zakonny — bez skazy”.

A wtem ozwał się niespodzianie głos starego Mikołaja z Długolasu:

— Pomawiają was o chciwość i Bóg wie, czyli nie słusznie, bo oto i w tej sprawie więcej wam o zysk niż o cześć Zakonu chodzi.

— Prawda! — odrzekli chórem rycerze mazowieccy.

A Krzyżak postąpił kilka kroków, podniósł dumnie głowę i mierząc ich wyniosłym wzrokiem, rzekł:

— Nie przybywam tu jako poseł, jeno jako świadek sprawy i rycerz zakonny gotów czci Zakonu krwią własną do ostatniego tchnienia bronić!... Kto by tedy, wbrew temu, co mówił sam Jurand, śmiał Zakon o uczestnictwo w porwaniu onego córki posądzać, niechaj podniesie ten rycerski zakład i niechaj zda się na sąd boży!

To rzekłszy, rzucił przed nich rycerską rękawicę, która upadła na podłogę, oni zaś stali w głuchym milczeniu, bo choć niejedyn z nich rad by był wyszczerbić miecz na krzyżackim karku, jednakże bali się sądu bożego. Nikomu nie było tajno, że Jurand wyraźnie oświadczył, iż nie rycerze zakonnicy porwali mu dziecko, każdy przeto w duszy myślał, że jest słuszność, a zatem będzie i zwycięstwo po stronie Rotgiera.

Ów zaś uzuchwiał się tym bardziej i wsparł się w boki, zapytał:

— Jest-li taki, któren by podniósł tę rękawicę?

A wtem jakiś rycerz, którego wejścia poprzednio nikt nie zauważył i który od niejakiemu czasu słuchał przy drzwiach rozmowy, wystąpił na środek, podniósł rękawicę i rzekł:

— Jam ci jest!

I powiedziawszy to, rzucił swoją prosto w twarz Rotgiera, po czym ją mówiąc głosem, który wśród powszechnego milczenia rozlegał się jak grzmot po sali:

— Wobec Boga, wobec dostojnego księcia i wszystkiego zacnego rycerstwa tej ziemi mówię ci, Krzyżaku, że szczekasz jako pies przeciw sprawiedliwości a prawdzie, i pozywam cię w szranki na walkę pieszą albo konną, na kopie, na topory, na krótkie albo długie miecze i nie na niewolę, jeno do ostatniego tchnienia, na śmierć!

W sali można by było usłyszeć przelatującą muchę. Wszystkie oczy zwróciły się na Rotgiera i na wyzywającego rycerza, którego nikt nie poznał, albowiem na głowie miał hełm, wprawdzie bez przyłbicy, ale z kolistym okapem schodzącym niżej uszu, który zakrywał zupełnie górną część twarzy, na dolną zaś rzucał cień głęboki. Krzyżak nie mniej był zdumiony od wszystkich. Pomieszenie, blade i wściekły gniew mignęły mu tak po twarzy, jak błyskawica miga po nocnym niebie. Schwycił dłonią łosiową rękawicę, która obsunąwszy mu się z oblicza, zahaczyła na końcu naramiennika, i zapytał:

— Ktoś jest, który wyzywasz sprawiedliwość boską?

A ów odpiął sprzączkę pod brodą, zdjął hełm, spod którego ukazała się jasna, młoda głowa, i rzekł:

— Zbyszko z Bogdańca, mąż Jurandowej córki.

Zdziwili się wszyscy i Rotgier wraz z innymi, gdyż nikt z nich prócz obojga księstwa, ojca Wyszonia i de Lorche nie wiedział o ślubie Danusi, Krzyżacy zaś byli pewni, że prócz ojca nie ma Jurandówna innego przyrodzonego obrońcy, lecz w tej chwili wystąpił pan de Lorche i rzekł:

— Na moją rycerską cześć poświadczam prawdę słów jego; kto by zaś śmiał wątpić, oto moja rękojmia<sup>944</sup>.

Rotgier, który nie znał, co to trwoga, i w którym serce burzyło się w tej chwili gniewem, byłby może podniósł i tę rękawicę, ale wspomniawszy, że ten, który ją rzucił, był sam przez się możnym panem, a w dodatku krewnym hrabiego Geldrii, powstrzymał się, uczynił zaś tak tym bardziej, że sam książę wstał i zmarszczywszy brwi, rzekł:

— Nie wolno tej rękojmi podnosić, albowiem i ja poświadczam, jako prawdę powiedział ów rycerz.

<sup>944</sup>rękojmia (daw.) — poręczenie, gwarancja. [przypis edytorski]

- Krzyżak, usłyszawszy to, skłonił się, po czym rzekł do Zbyszka:
- Jeślic wola, to pieszo, w zamkniętych szrankach na topory.
  - Jam cię już i tak wprzód pozwał — odpowiedział Zbyszko.
  - Boże, daj zwycięstwo sprawiedliwości — zawołali mazowieccy rycerze.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

O Zbyszka niepokój był na całym dworze tak między rycerstwem, jak między niewiastami, gdyż lubiono go powszechnie, wobec zaś listu Juranda nikt nie wątpił, że słuszność jest po stronie Krzyżaka. Z drugiej strony wiadano, że Rotgier jest jednym ze sławniejszych braci w Zakonie. Giermek van Krist rozповідаł, może umyślnie, między mazowiecką szlachtą, że pan jego, nim został zbrojnym mnichem, zasiadał raz u stołu honorowego Krzyżaków, do którego to stołu dopuszczano tylko słynnych w świecie rycerzy, takich, którzy odbyli wyprawę do Ziemi Świętej albo też walczyli zwycięsko przeciw olbrzymom-smokom lub moźnym<sup>945</sup> czarnoksiężnikom. Słyszac takie opowiadania van Krista, a zarazem i chępliwe zapewnienia, że pan jego nieraz potykał się z mizerykordią w jednej, a toporem lub mieczem w drugiej ręce, z pięciu naraz przeciwnikami, niepokoił się Mazurowie i poniektóry mówił: „Hej, gdyby tu był Jurand, ten dalby i takim dwóm rady, jemu nigdy się żaden Niemiec nie odjął<sup>946</sup>, ale młodziankowi gorze! gdyż tamten siłą, laty i ćwiczeniem góruje”. Więc inni żalowali, że nie podnieśli rękawicy, twierzac, że gdyby nie owa wiadomość od Juranda, niechybnie byliby to uczynili... „Ale wyroku boskiego strach...”. Wymieniano też przy sposobności i dla wzajemnej pociechy nazwiska mazowieckich i w ogóle polskich rycerzy, którzy bądź na dworskich igrzyskach, bądź goniąc na ostre<sup>947</sup>, liczne nad zachodnimi rycerzami odnosili zwycięstwa, przede wszystkim zaś Zawiszę z Garbowa, z którym żaden rycerz w chrześcijaństwie mierzyć się nie mógł. Lecz byli i tacy, którzy co do Zbyszka mieli także dobrą nadzieję: „Nie ułomek<sup>948</sup> ci to jest — mówili — i jakośwa<sup>949</sup> słyszeli, godnie już raz Niemcom porozwalał lby na udeptanej ziemi”. Lecz szczególnie skrzepiły się serca z powodu uczynku giermka Zbyszkowego, Czecha Hlawy, który w wigilię<sup>950</sup> spotkania, słyszac van Krista opowiadającego o niesłychanych zwycięstwach Rotgiera, a będąc młodzianem porywczym, chwycił tegoż van Krista za brodę, zadarł mu głowę i rzekł: „Jeślic nie wstyd lgać wobec ludzi, spójrz w górę, że to i Bóg cię słyszy!”. I trzymał go tak przez tyle czasu, ile trzeba na zmówienie *Ojcze nasz*, zaś ów, wreszcie uwolnion, zaraz jął go wypytywać o ród i dowiedziawszy się, że pochodzi z włodyków, pozwał go także na topory.

Ucieszyli się tedy tym postępkiem Mazurowie i znów niejeden mówił: „Juże tacy nie będą chramać<sup>951</sup> na boisku<sup>952</sup> i byle po ich stronie była prawda a Bóg, nie wyniosą zdrowych gnatów te krzyżackie macie”. Lecz właśnie Rotgier tak potrafił zasypać piaskiem oczy wszystkim, że wielu niepokoiło się o to, po której stronie prawda — i sam książe podzielał ten niepokój.

Więc wieczorem przed bitką wezwał Zbyszka na rozmowę, przy której obecną była tylko księżna, i zapytał:

— Pewny żeś, że Bóg będzie z tobą? Skąd wiesz, że oni chycili Danuskę? Zali Jurand mówił ci co? Bo, ot, widzisz, tu jest list Jurandowy: pismo księdza Kaleba, a jego pieczęć, i w tym liście Jurand powiada, iż wie, że to nie Krzyżacy. Co on ci mówił?

— Mówił, że to nie Krzyżacy.

— Jakoże tedy możesz życie ważyć i na sąd boski stawac?

A Zbyszko umilkł, tylko przez czas jakiś drgały mu szczęki i lzy zbierały się w oczach.

— Ja nic nie wiem, miłościwy panie — rzekł. — Wyjechaliśmy stąd razem z Jurandem i po drodze przyznałem mu się do ślubu. Począł wówczas narzekać, iż to może być krzywda Boża, ale gdym mu rzekł, że to wola boża, uspokoił się i przebaczył. Przez

<sup>945</sup>moźny (daw.) — potężny. [przypis edytorski]

<sup>946</sup>odjąć się — tu: uratowac się. [przypis edytorski]

<sup>947</sup>gonić na ostre — pojedynkowac się konno na ostre, nie zaś stępione kopie a. włócznie. [przypis edytorski]

<sup>948</sup>ułomek (daw.) — słabeusz. [przypis edytorski]

<sup>949</sup>jakośwa (daw.) — jak żeśmy. [przypis edytorski]

<sup>950</sup>w wigilię (daw.) — w przeddzień. [przypis edytorski]

<sup>951</sup>chramać (daw.) — kuleć, przren. nie radzić sobie. [przypis edytorski]

<sup>952</sup>boisko — tu: plac boju. [przypis edytorski]



całą drogę mówił, że nikt inny nie porwał Danusi, jeno Krzyżacy, a potem już ja sam nie wiem, co się stało!... Do Spychowa przyjechała ta sama niewiasta, która przywiozła dla mnie jakoweś leki do leśnego dworu, a z nią jeszcze jeden wysłannik. Zamknęli się z Jurandem i uradzali. Co mówili, też nie wiem, jeno po onej rozmowie własni słudzy nie mogli poznać Juranda, bo taki był, jakby go z truchły wyjęto. Powiedział nam: „Nie Krzyżacy”, ale Bergowa i co miał jeńców z podziemia puścił, Bóg wie dlaczego, sam zaś pojechał bez żadnego giermka ni sługi... Mówił, że jedzie do zbójów Danuskę wykupić, a mnie przykazał czekać. Ano! Czekałem. Aż tu przychodzi wiadomość ze Szczytna, że Jurand namordował Niemców i sam legł! O, miłościwy panie! Już mnie parzyła spychowska ziemia i małym nie oszalał. Ludzi wsadziłem na koń, by pomścić śmierć Jurandową, a tu ksiądz Kaleb powiada: „Kasztelu nie weźmiesz, a wojny nie wszczynaj. Jedź do księcia, może tam co o Danusce wiedz”. Tom i przyjechał, i właśnie trafiłem, jako ów pies szczekał o krzyżackiej krzywdzie i Jurandowym szaleństwie... Jam, panie, podniósł jego rękawicę, bom go już przedtem pozwał, a chociaż nie wiem nic, to jedno wiem tylko, że to łgarze są piekielni: bez wstydu, bez czci i wiary! Patrzcie, miłościwi państwo! Toż oni zadźgali Fourcy’ego, a na mojego giermka chcieli zwalić ten uczynek. Na Boga! Zadźgali go jako wołu, a potem do cię, panie, przyszli po pomstę i po zapłatę! Kto tedy przysięgnie, że nie nałgali i przedtem przed Jurandem, i teraz przed tobą, panie?... Nie wiem, nie wiem, gdzie Danuska! Alem go pozwał, bo choćby mi też i żywota stradać przyszło, wolej mi śmierć niż żywot bez mojego kochania, bez mojej najmilszej na świecie całym.

Kłamstwo

To rzekłszy, zerwał w uniesieniu pątlak z głowy, aż włosy rozsypały mu się po ramionach i chwyciwszy je, począł szlochać ciężko. Księżna Anna Danuta, sama do głębi strapiona stratą Danusi i litując się nad jego bólem, położyła mu ręce na głowie i rzekła:

— Boże cię wspomagaj, pociesz i błogosław!

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Książę nie sprzeciwił się pojedynkowi, gdyż wedle ówczesnych obyczajów nie był w możności<sup>953</sup> tego uczynić. Wymógł tylko, by Rotgier napisał list do mistrza i do Zygryda de Löwe, że sam pierwszy rzucił rękawicę rycerzom mazowieckim, wskutek czego staje do walki z mężem Jurandówny, który zresztą już pierwszej go był pozwał. Tłumaczył się też Krzyżak wielkiemu mistrzowi, że jeśli staje bez pozwolenia, to dlatego, że chodzi o cześć Zakonu i odwrócenie szpetnych podejrzeń, które by hańbę przynieść mogły, a które on, Rotgier, gotów jest zawsze własną krwią okupić. List ten wysłany był natychmiast do granicy przez jednego z pacholków rycerza, dalej zaś miał iść do Malborga pocztą, którą Krzyżacy na wiele lat przed innymi wynaleźli i zaprowadzili w swoich ziemiach.

Tymczasem na podwórzu zamkowym ubito śnieg i posypano go popiołem, aby nogi walczących nie grzęzły lub nie ślizgały się po gładkiej powierzchni. W całym zamku panował ruch nadzwyczajny. Wzruszenie tak opanowało rycerzy i dwórki, że w nocy poprzedzającej bitwę nikt nie spał. Mówiono sobie, że walka konna na kopie, a nawet na miecze, często kończy się na ranach, natomiast piesza, a zwłaszcza na straszliwie topory, zawsze bywa śmiertelna. Wszystkie serca były po stronie Zbyszka, ale właśnie im kto więcej miał przyjaźni dla niego lub dla Danusi, z tym większym niepokojem przypominał sobie, co rozpowiadano o sławie i sprawności Krzyżaka. Wiele niewiast spędziło noc w kościele, gdzie też po odbytej przed księdzem Wyszońkiem spowiedzi kajał się i Zbyszko. Mówiły więc jedna do drugiej, patrząc na jego prawie chłopięcą twarz: „Toż to jeszcze dzieciuch!... Jakże mu młodą głowę pod niemiecki topór oddawać?”. I tym gorliwiej modliły się dla niego o wspomóżenie. Ale gdy świtaniem podniósł się i szedł przez kaplicę, aby przywdziać zbroję w izbie zamkowej, znowu przybyło im nieco serca, gdyż głowa i twarz Zbyszka były wprawdzie chłopięce, natomiast ciało nad miarę rosłe i silne, tak iż wydawał im się chłopem na schwał, który poradzi sobie choćby z najtęższym mężem.

Bitka miała się odbyć na podwórzu zamkowym, które wkoło otaczał krużganek.

Gdy dzień uczynił się już zupełny, przybyli książę i księżna razem z dziećmi i zasiedli w środku między słupami, skąd najlepiej widać było cały podwórzec. Obok nich zajęli miejsca co przedniejsi dworzanie, szlachetne niewiasty i rycerstwo. Zappełniły się wszystkie

<sup>953</sup>nie był w możności (daw.) — nie miał władzy. [przypis edytorski]

kąty krużganku; czeladź usadowiła się za wałem, który utworzon był z wymiecionego śniegu, niektórzy poprzyczepiali się na wykuszach<sup>954</sup>, a nawet na dachu. Tam prostactwo gwarzyło między sobą: „Daj Bóg, aby się nasz nie dał!”. Dzień był zimny, wilgotny, ale jasny; powietrze roilo się od kawek, które zamieszkiwały dachy i szczyty baszt, a które spłoszone niezwykłym ruchem kołowały z wielkim łopotaniem skrzydeł nad zamkiem. Mimo chłodu ludzie potnieli<sup>955</sup> ze wzruszenia, a gdy ozwała się pierwsza trąba oznajmująca wejście zapaśników, wszystkie serca poczęły bić jak młoty.

Oni zaś weszli z przeciwnych stron szranków i zatrzymali się na krańcach. Każdy z patrzących utulił wówczas dech w piersiach, każdy pomyślał, że oto niezadługo dwie dusze ulecą ku sądowym progom boskim, a dwa trupy zostaną na śniegu — i usta oraz jagody niewiast pobladyły i posiniały na tę myśl, oczy zaś mężów wpatrzone były jak w tęczę w przeciwników, każdy bowiem pragnął z samej postawy i z uzbrojenia ich wywróżyć sobie, na czyją stronę padnie zwycięstwo.

Krzyżak przybrany był w szmelcowany<sup>956</sup>, błękitny pancerz, w także nabiodrza i w takiż hełm z podniesioną przyłbicą i ze wspaniałym pawim pióropuszem na grzebieniu. Zbyszowski piersi, boki i grzbiet opinała pyszna mediolańska zbroja, którą był swego czasu zdobył na Fryzach. Na głowie miał hełm z okapem, niezamknięty i bez piór, na nogach bycze skórznie. Na lewych ramionach dźwigali tarcze z herbami: na krzyżackiej była u góry szachownica, u dołu trzy lwy stojące na zadnich łapach, na Zbyszkowej — tępa podkowa<sup>957</sup>. W prawicach dźwigali szerokie, straszne topory, osadzone na dębowych, poczerniałych toporzyskach, dłuższych niż ramię rosnącego męża. Towarzyszyli im giermkowie: Hława, zwany przez Zbyszka Głowaczem — i van Krist, obaj przybrani w ciemne żelazne blachy, obaj również z toporami i tarczami: van Krist miał w herbie krzak janowca, herb Czecha podobny był do Pomiana, z tą różnicą, że zamiast topora tkwił w byczej głowie krótki miecz do połowy w oku pogrążon.

Trąba ozwała się po raz drugi, a za trzecim mieli przeciwnicy wedle umowy na się nastąpić<sup>958</sup>. Dzieliła ich już teraz tylko niewielka, posypana szarym popiołem przestrzeń, nad tą zaś przestrzenią unosiła się jako złowrogi ptak — śmierć. Zanim jednak dano trzeci znak, Rotgier zbliżył się ku słupom, między którymi siedzieli księstwo, podniósł swą zakutą w stal głowę i ozwał się głosem tak donośnym, że słyszano go we wszystkich zakątkach krużganku:

— Biorę na świadka Boga, ciebie, dostojny panie, i całe rycerstwo tej ziemi, jakom niewinien tej krwi, która będzie przelana.

Na te słowa ścisnęły się znów serca, że Krzyżak tak był pewien siebie i swego zwycięstwa. Lecz Zbyszko, mając duszę prostą, zwrócił się do swego Czecha i rzekł:

— Śmierdzi mi ta krzyżacka chwamba, gdyż byłaby do rzeczy po mojej śmierci, nie zaś pókim żyw. Ma też ów samochwał pawi czub na hełmie, a ja nasamprzód<sup>959</sup> takich trzy ślubował, a potem, ile palców<sup>960</sup> u rąk. Bóg zdarzył<sup>961</sup>!

— Panie... — zapytał Hława, pochylając się i nabierając w ręce nieco popiołu ze śniegiem, aby toporzysko nie ślizgało mu się w dłoniach — może da Chrystus, że prędko uwinę się z tym pruskim chmyzem<sup>962</sup>, zali mi wolno będzie wówczas jeśli nie sięgnąć Krzyżaka, to przynajmniej wsadzić mu toporzysko między kolana i zwalić go na ziemię?

— Boże cię uchowaj! — zawołał żywo Zbyszko. — Hańbą byś okrył mnie i siebie.

A wtem zabrzmiał po raz trzeci głos trąby. Usłyszawszy to, giermkowie skoczyli jeden ku drugiemu żywo i zapalczywie, rycerze zaś posunęli się ku sobie wolniej i rozważniej, jako aż do pierwszego starcia nakazywała ich dostojność i powaga.

Mało kto zważał na giermków, ale ci z doświadczonych mężów i z czeladzi, którzy

Pycha

Walka, Pojedynek

<sup>954</sup>wykusz — część budynku wystająca z fasady, a zaczynająca się na pewnej wysokości nad ziemią. [przypis edytorski]

<sup>955</sup>potnieć — dziś: pocić się. [przypis edytorski]

<sup>956</sup>szmelcowanie — metoda konserwacji metalu, polega na kilkakrotnym pokryciu go olejem jadalnym i każdorazowo wypaleniu. Powstaje wówczas twarda, szklista powłoka. [przypis edytorski]

<sup>957</sup>tępa podkowa — autentyczny herb: złoty krzyż pod białą podkową na niebieskim tle. [przypis edytorski]

<sup>958</sup>następować (daw.) — atakować. [przypis edytorski]

<sup>959</sup>nasamprzód a. najsamprzód (daw.) — najpierw. [przypis edytorski]

<sup>960</sup>palców — dziś popr.: palców. [przypis edytorski]

<sup>961</sup>zdarzyć — tu: obdarzyć. [przypis edytorski]

<sup>962</sup>chmyz (daw.) — słabeusz (często stosowane do zwierząt). [przypis edytorski]

na nich patrzyli, zrozumieli od razu, jak okrutna przewaga jest po stronie Hławy. Topór chodził ciężej w rękę Niemca, a również i ruchy jego tarczy były wolniejsze. Spod puklerza<sup>963</sup> widać było jego nogi dłuższe, ale wątle i mniej sprężyste od potężnych, pokrytych obcisłym ubraniem nóg Czecha. Hława natarł też tak zapalczywie, że van Krist prawie od pierwszej chwili musiał się cofać. Zrozumiano od razu, że jeden z tych przeciwników zwał się na drugiego jak burza, że prze, naciska, razi jak piorun, drugi zaś w poczuciu, że śmierć nad nim, broni się tylko, aby jak najbardziej opóźnić okropną chwilę. Jakoż tak było istotnie. Ów samochwał, który w ogóle stawał do bitki tylko wówczas, gdy inaczej nie mógł uczynić, poznał, że zuchwałe a niebaczne słowa przywiodły go do walki ze strasznym osiłkiem, którego powinien był jak zguby unikać; więc gdy poczuł teraz, że każde z tych uderzeń mogłoby zważyć wołu, upadło w nim zupełnie serce. Zapomniał prawie, że nie dość chwycić ciosy tarczą, ale że trzeba je także zadawać. Widział nad sobą błyski toporu i myślał, że każdy z nich jest ostatni. Nadstawiając puklerz, mrużył mimo woli oczy z poczuciem trwogi i zwątpienia, czy je jeszcze otworzy. Z rzadka sam zadał cios, bez nadziei, że przeciwnika dosięże<sup>964</sup>, puklerz tylko podnosił coraz wyżej nad głowę, aby ją jeszcze i jeszcze uchronić.

Sila

Wreszcie począł się męczyć, a Czech bił w niego coraz potężniej. Równie jak z roslęgo chojara odszczepiają się pod toporem chłopca wióry ogromne, tak i pod razami Czecha poczęły kruszyć się i odpadać blachy ze zbroi niemieckiego giermka. Górny brzeg tarczy wygiął się i spękał, naramiennik z prawego barku stoczył się wraz z przeciętym i pokrwawionym już rzemieniem na ziemię. Van Kristowi włosy stanęły dębem na głowie — i chwyciła go trwoga śmiertelna. Uderzył jeszcze raz i drugi całą siłą ramienia w puklerz Czecha, wreszcie widząc, że wobec okrutnej siły przeciwnika nie ma dla niego ratunku i że ocalić go tylko może jakiś nadzwyczajny wysilek, rzucił się nagle całym ciężarem zbroi i ciała pod nogi Hławy.

Padli obaj na ziemię i zmagali się wzajem, tocząc i przewracając się po śniegu. Lecz Czech wnet wy dostał się na wierzch, przez chwilę tłumil jeszcze rozpaczliwe ruchy przeciwnika, wreszcie przycisnął kolanem żelazną siatkę pokrywającą jego brzuch i wy dobył zza pasa krótką, trójgranną<sup>965</sup> mizerykordię.

Śmierć

— Oszczędź! — wyszeptał cicho van Krist, wznosząc oczy ku oczom Czecha.

Lecz ów zamiast odpowiedzieć rozciągnął się na nim, by łatwiej rękoma dostać jego szyi, i przeciąwszy rzemienną zapinkę hełmu pod brodą, pchnął nieszczęśnika dwukrotnie w gardło, kierując ostrze w dół, ku środkowi piersi.

Wówczas źrenice van Krista uciekły w głąb czaszki, ręce i nogi poczęły trzepać śnieg, jakby chciały go oczyścić z popiołu, po chwili jednak wyprężył się — i pozostał nieruchomy, wydymając tylko jeszcze pokryte czerwoną pianą wargi i krwawiąc nadzwyczaj obficie. A Czech wstał, obtarł o suknię Niemca mizerykordię, następnie podniósł topór i wsparł się na nim, począł spoglądać na cięższą i upartszą bitkę swego rycerza z bratem Rotgierem.

Rycerze zachodni przywykli już byli do wygod i zbytków, podczas gdy „dziejczycie” w Małopolsce i Wielkopolsce oraz na Mazowszu wiedli jeszcze życie surowe i twarde, wskutek czego nawet w obcych i niechętnych budzili podziw krzepkością ciała i wytrzymałością na wszelki trud bądź ciągły, bądź doraźny. Pokazało się też i teraz, że Zbyszko góruje nad Krzyżakiem siłą rąk i nóg nie mniej, niż jego giermek górował nad van Kristem, ale pokazało się także, że jako młody ustępuje mu w ćwiczeniu rycerskim.

Było to dla Zbyszka rzeczą poniekąd pomyślną, iż wybrał walkę na topory, albowiem fechtunek<sup>966</sup> tego rodzaju bronią był niemożliwy. Na krótkie lub długie miecze, przy których trzeba było znać cięcia, sztychy<sup>967</sup> i umieć ciosy odbijać, miałby Niemiec znaczną przewagę. Lecz i tak zarówno sam Zbyszko, jak i widzowie po ruchach i władaniu tarczą poznali, iż mają przed sobą męża doświadczonego i groźnego, który widocznie nie pierwszy raz staje do tego rodzaju walki. Za każdym ciosem Zbyszka Rotgier podstawał tarczę i w chwili uderzenia cofał ją nieco, przez co rozmach, choćby największy, tracił na sile

<sup>963</sup>puklerz — okrągła, wypukła tarcza. [przypis edytorski]

<sup>964</sup>dosięże — dziś: dosięgnie. [przypis edytorski]

<sup>965</sup>trójgranny (daw.) — o trójkątnym przekroju. [przypis edytorski]

<sup>966</sup>fechtunek (z niem.) — szermierka. [przypis edytorski]

<sup>967</sup>sztych — pchnięcie. [przypis edytorski]

i nie mógł przeciąć ani też pokruszyć gładkiej powierzchni. Chwilami cofał się, chwilami nacierał, czyniąc to spokojnie, lubo tak szybko, że ledwie można było pochwycić oczyma jego ruchy. Zląkł się książę o Zbyszka, a twarze mężów zasępiły się, wydało im się bowiem, że Niemiec igra jakby umyślnie z przeciwnikiem. Nieraz nie podstawał nawet tarczy, ale w chwili gdy Zbyszko uderzał, czynił pół obrotu w bok w ten sposób, że ostrze topora przecinało puste powietrze. Było to najstraszniejsze, gdyż Zbyszko mógł przy tym stracić równowagę i upaść, a wówczas zguba jego stałaby się nieuchronna. Widząc to, Czech stojący nad zarżniętym Kristem trwożył się także i mówił sobie w duszy: „Boga mi, jeśli pan padnie, huknę Niemca obuchem między łopatki, aby się też wykopyrtnął”. Zbyszko jednak nie padał, gdyż mając w nogach siłę ogromną i rozstawiając je szeroko, mógł utrzymać na każdej całej ciężar ciała i rozmachu. Rotgier zauważył to natychmiast i widzowie mylili się, przypuszczając, że lekceważy przeciwnika. Owszem, po pierwszych uderzeniach, gdy pomimo całej umiejętności cofania tarczy ręka prawie zdrętwiała mu pod nią, zrozumiał, że czeka go z tym młodziankiem ciężki trud i że jeśli go nie zwali dobrym pomysłem, to walka może być długą i niebezpieczną. Liczył, że po cięciu w próżnię Zbyszko runie na śnieg, a gdy to się nie stało, począł się wprost niepokoić. Spod stalowego okapu widział zaciśnięte nozdrza i usta przeciwnika, a chwilami błyszczące oczy, i mówił sobie, że zapalczliwość powinna go unieść, że się zapamięta, straci głowę i w zaślepieniu więcej będzie myślał o zadawaniu razów niż obronie. Ale pomylił się i w tym.

Zbyszko nie umiał uchylać się od ciosów półobrotom, ale nie zapomniał o tarczy i wznosząc topór, nie odsłaniał się więcej, niż należało. Widocznie uwaga jego zdwoiła się, a poznawszy doświadczenie i sprawność przeciwnika, nie tylko się nie zapamiętał, ale skupił się w sobie, stał się ostrożniejszym i w uderzeniach jego coraz straszniejszych był jakiś rozmyśl, na który nie gorąca, ale tylko zimna zawziętość zdobyć się może.

Rotgier, który niemało wojen odbył i niemało staczał bitew bądź kupą, bądź w pojedynkę, wiedział z doświadczenia, że bywają ludzie jako ptaki drapieżne stworzeni do walki i szczególnie obdarowani przez naturę, którzy jakby odgadują to wszystko, do czego inni dochodzą przez całe lata ćwiczeń, i wraz pomiarkował, że ma z jednym z takich do czynienia. Od pierwszych uderzeń zrozumiał, że w tym młodziku jest coś takiego, co jest w jastrzębiu, który w przeciwniku widzi jedynie łup swój i nie myśli o niczym więcej, tylko aby go dosięgnąć szponami. Pomimo swej siły spostrzegł się również, że nie dorównywa w niej Zbyszkowi i że jeśli wyczerpie się przedtem, niż zdoła zadać cios stanowczy, to walka z tym straszonym, choć mniej doświadczonym wyrostkiem może się stać dla niego zgubną. Pomyślawszy to, postanowił walczyć z najmniejszym możliwie wysiłkiem, przyciągnął ku sobie tarczę, ni zbyt następował, ni zbyt się cofał, ograniczył ruchy, zebrał całą moc duszy i ramienia na jeden cios stanowczy i czekał pory.

Okrutna walka przeciągała się dłużej nad zwykłą miarę. Na krużgankach zaległa cisza śmiertelna. Słychać było tylko czasem dźwiękliwe, a czasem głuche uderzenie ostrzy i obuchów o tarcze. I księżtwa, i rycerzom, i dwórkom nieobce były podobne widowiska, a jednakże jakieś uczucie podobne do przerażenia ścisnęło jakby kleszczami wszystkie serca. Rozumiano, że tu nie chodzi o wykazanie siły, sprawności, męstwa i że większa jest w tej walce zaciekłość, większa rozpacz, większa i bardziej nieubłagana zawziętość, głębsza zemsta. Z jednej strony: straszne krzywdy, miłość i żal bez dna, z drugiej: cześć całego Zakonu i głęboka nienawiść szły na tym pobojożywie na sąd boży.

Tymczasem pojaśniał nieco zimowy, błady ranek, przetarła się szara opona mgły i promień słońca rozświetlił błękitny pancerz Krzyżaka i srebrną mediolańską zbroję Zbyszka. W kaplicy zadzwoniono na tercję<sup>968</sup>, a razem z odgłosem dzwonu całe stada kavek zerwały się z dachów zamkowych, łopocąc skrzydłami i kracząc zgiełkliwe jakby z radości na widok krwi i tego trupa, który leżał już nieruchomo na śniegu. Rotgier rzucił na niego w czasie walki raz i drugi oczyma i nagle uczył się ogromnie samotnym. Wszystkie oczy, które na niego patrzyły, były to oczy wrogów. Wszystkie modły, życzenia i ciche wota<sup>969</sup>, które czyniły niewiasty, były po stronie Zbyszka. Prócz tego, jakkolwiek Krzyżak był zupełnie pewien, że giermek Zbyszków nie rzuci się na niego z tyłu i nie sięgnie go zdradliwie, jednakże obecność i bliskość tej groźnej postaci przejmowała go takim mi-

Walka, Pojedynek

Strach

<sup>968</sup>tercja — jedna z godzin liturgicznych, sygnalizowanych kościelnymi dzwonami. [przypis edytorski]

<sup>969</sup>wota — tu: śluby, ślubowania. [przypis edytorski]

mowolnym niepokojem, jakim przejmują ludzi widok wilka, niedźwiedzia lub bawołu, od którego nie przedziela ich krata. I nie mógł się temu uczuciu obronić, tym bardziej że Czech, chcąc śledzić przebieg walki, poruszał się i zmieniał miejsce, zachodząc walczącym to z boku, to z tyłu, to od czoła — pochylając przy tym głowę i przypatrując się mu złowrogo przez szpary w żelaznej przyłbicy hełmu, a czasem podnosząc nieco, jakby mimo woli, zakrwawione ostrze.

Zmęczenie poczęło wreszcie Krzyżaka ogarniać. Raz po raz zadał dwa ciosy krótkie, ale straszne, kierując je na prawe ramię Zbyszka, ten jednakże odepchnął je tarczą z taką siłą, że toporzysko zachwiało się w dłoni Rotgiera, sam zaś musiał się cofnąć nagle, aby nie upaść. I od tej pory cofał się ciągle. Wyczerpywały się zresztą nie tylko jego siły, ale zimna krew i cierpliwość. Z piersi widzów na widok jego cofania się wyrwało się kilka okrzyków jakby tryumfu, które wzbudziły w nim złość i rozpacz. Uderzenia toporów stały się coraz gęstsze. Pot zlewał czoła obu walczących, a przez zwarte zęby dobywał im się z piersi chrapliwy oddech. Patrzący przestali zachowywać się spokojnie i co chwila teraz odzywały się wołania to męskie, to niewieście: „Bij! W niego!... Sąd Boży! Kara Boża! Bóg ci pomaga!” Książę skinął kilka razy dłonią, by je uciszyć, ale nie mógł ich powstrzymać. Czyniło się coraz głośniejsze, gdyż dzieci poczęły tu i ówdzie płakać na kruzgankach, a wreszcie przy samym boku księżny jakiś młody, łkający głos niewieści zawołał:

— Za Danuskę, Zbyszku! Za Danuskę!

Zbyszko wiedział przecie, że idzie o Danusię. Był pewny, że ten Krzyżak przyłożył ręki do jej porwania, i walcząc z nim — walczył za jej krzywdy. Ale jako młody i chciwy bitew, w chwili walki myślał o samej walce. Nagle ów krzyk uprzytomnił mu jej stratę i jej niedolę. Miłość, żal i zemsta nalały mu ognia do żył. Serce zaskowyczało w nim z rozbudzonego bólu i chwycił go po prostu szał bojowy. Strasznych, podobnych do uderzeń burzy jego ciosów nie mógł już Krzyżak pochwycić ni im wydażyć<sup>970</sup>. Zbyszko uderzył tarczą w jego tarczę z tak nadludzką siłą, że ramię Niemca zdrętwiało nagle i opadło bezwładnie. Ów zaś cofnął się w trwodze i przerażeniu i przechylił się w tył, a wtem w oczach mignął mu błysk topora i ostrze spadło mu jak piorun na prawy bark.

Do uszu widzów doszedł tylko rozdzierający krzyk: „*Jesus!*...” — po czym Rotgier odstąpił jeszcze krok i runął na wznak na ziemię.

Wnet zagrzmiało i zaroilo się na kruzgankach jak w pasiece, w której pszczoły przegrzane słońcem poczynają ruszać się i szumieć. Rycerze zbiegali całymi tłumami po schodach, czeladź przeskakiwała wał śnieżny, by się trupom przypatrzeć. Wszędzie rozlegały się okrzyki: „Ot, Sąd Boży!... Ma Jurand dziedzica. Chwała mu i podzięka! To ci chłop do topora!”, inni zaś wołali: „Patrzcie, a dziwujcie się! Już by sam Jurand godniej nie ciał!”. Jakoż utworzyła się cała gromada ciekawych naokół trupa Rotgiera, a on leżał na grzbiecie, z twarzą białą jak śnieg, z szeroko otwartymi ustami i z krwawym ramieniem, odwalonym tak strasznie od szyi aż do pachy, że ledwie się na kilku włóknach trzymało. Więc mówili znów niektórzy: „Ot, żyw był i w hardości po ziemi chodził, a teraz i palcem ci nie ruszy!”. A tak mówiąc, jedni podziwiali jego wzrost, gdyż wielką przestrzeń na poboju zajmował i po śmierci wydawał się jeszcze ogromniejszy, drudzy zaś pawi pióropusz mieniący się cudnie na śniegu, a trzeci zbroję, którą na dobrą wieś oceniano. Lecz Czech Hława zbliżył się właśnie z dwoma Zbyszkowymi pacholkami, by ją zdjąć z nieboszczyka, więc ciekawi otoczyli Zbyszka, wychwalając go i wynosząc pod niebiosa, bo im się słusznie zdawało, że sława jego spadnie na całe mazowieckie i polskie rycerstwo. Tymczasem odjęto mu tarczę i topór, by mu ulżyć, a Mrokota z Mocarzewa odpiął mu i hełm, spotniałe zaś włosy przykrył czapką ze szkarłatnego sukna. Zbyszko stał jakby w osłupieniu, oddychając ciężko, z ogniem jeszcze niezgasłym w oczach, z twarzą pobladłą z wysiłku i zawziętą, drżąc nieco ze wzruszenia i trudu. Ale chycono go pod ręce i poprowadzono do księstwa, którzy czekali nań w ogrzanej komnacie przy kominie. Tam Zbyszko klęknął przed nimi, a gdy ojciec Wyszoniek przeżegnał go i zarazem odmówił wieczny odpoczynek za dusze zmarłe, książę uściśnął za głowę młodego rycerzyka i rzekł:

— Bóg Najwyższy rozsądził między wami i prowadził rękę twoją, za co niech będzie błogosławione imię Jego, amen!

Po czym, zwróciwszy się do rycerza de Lorche i do innych, dodał:

<sup>970</sup>wydażyć (daw.) — zdążyć, nadażyć. [przypis edytorski]

— Ciebie, obcy rycerzu, i was wszystkich obecnych biorę na świadków w tym, o czym i sam świadczę, jako się potykali wedle prawa i obyczaju, a jako się sądy boże wszędy odprawują, tak się też i ten odprawił po rycersku i po bożemu.

Okrzyknęli się na to zgodnym chórem miejscowi wojownicy, gdy zaś panu de Lorche przetłumaczono słowa książęce, wstał i oznajmił, że nie tylko świadczy, jako wszystko odbyło się po rycersku i po bożemu, ale gdyby nawet ktokolwiek w Malborgu lub na jakim innym dworze książęcym śmiał o tym wątpić — on, de Lorche, pozwie go natychmiast w szranki na walkę pieszą lub konną, choćby to był nie tylko zwyczajny rycerz, ale olbrzym lub czarnoksiężnik, samego Merlina magiczną siłą przewyższający.

A tymczasem księżna Anna Danuta, w chwili gdy Zbyszko z kolei objął jej nogi, mówiła, pochylając się ku niemu:

— Czemu się zaś nie radujesz? Raduj się i dziękuj Bogu, bo jeśli cię Bóg w miłosierdziu swym wyzwał z tej obieży, to cię i dalej nie opuści i do szczęśliwości doprowadzi.

A Zbyszko odrzekł:

— Jakoże mam się radować, miłościwa pani? Dał ci mi Bóg zwycięstwo i pomstę nad onym Krzyżakiem, ale Danuśki jako nie było, tak i nie ma, i nie bliżej mi do niej teraz niż przedtem.

— Najzawziętsi nieprzyjaciele, Danveld, Gotfryd i Rotgier nie żyją — odpowiedziała księżna — a o Zygfyrdzie mówią, iż sprawiedliwszy od nich, choć okrutny. Chwalże miłosierdzie Boskie i za to. A mówił także pan de Lorche, że jeśli Krzyżak legnie, to on ciało jego odwiezie, a potem wraz do Malborga pojedzie i u samego wielkiego mistrza o Danuśkę się upomni. Juźci nie ośmielą się wielkiego mistrza nie posłuchać.

— Bóg daj zdrowie panu de Lorche — rzekł Zbyszko — i ja z nim pojedę do Malborga.

A księżna przestraszyła się tych słów, jak gdyby Zbyszko rzekł, że bezbronny pójdzie między wilki, które zbierały się zimą w stada w głębokich borach Mazowsza.

— Po co? — zawołała. — Na zgubę pewną? Zaraz po spotkaniu nie pomoże ci ni de Lorche, ni te listy, które Rotgier pisał przed walką. Nie zratujesz nikogo, a zgubisz siebie.

Lecz on wstał, złożył w krzyż dłonie i rzekł:

— Tak mi dopomóż Bóg, że pojedę do Malborga i choćby za morza. Tak mi błogosław, Chryste, jako jej będę szukał do ostatniego tchu w nozdrzach i jako nie ustane, póki nie zgine. Łacniej mi bić Niemców i potykać się we zbroi, niż sierocie jęczeć w podziemi. Oj, łacniej! łacniej!

I mówił to, jak zresztą zawsze, gdy wspominał Danusię, w takim uniesieniu, w takim bólu, że aż chwilami słowa urywały mu się, tak jakby go kto chwycił za gardło. Księżna poznała, że próżno by go odwodzić, że kto by go chciał powstrzymać, ten musiałby go chyba skuć i wtrącić do podziemia.

Zbyszko nie mógł jednak wyjechać natychmiast. Wolno było ówczesnemu rycerzowi nie zważać na żadne przeszkody, ale nie wolno było złamać obyczaju rycerskiego, który nakazywał, by zwycięzca w pojedynku spędził na miejscu walki cały dzień aż do następnej północy, a to dla okazania, że został panem pobojowiska, jak i dla okazania gotowości do nowej walki, gdyby ktokolwiek z krewnych lub przyjaciół zwyciężonego chciał go ponownie do niej wyzwąć. Obyczaj ten zachowywały nawet całe wojska, tracąc nieraz korzyści, jakie by pośpiech po zwycięstwie mógł przynieść. Zbyszko nie próbował nawet wyłamać się spod nieubłaganego prawa i posiliwszy się nieco, a następnie przywdziawszy zbroję, tkwił aż do północy na dziedzińcu zamkowym pod zasępionym niebem zimowym, czekając na nieprzyjaciela, który znikąd przybyć nie mógł.

O północy dopiero, gdy heroldowie obwieścili ostatecznie przy dźwięku trąb jego zwycięstwo, Mikołaj z Długolasu zawezwał go na wieczerzę, a zarazem na naradę do księcia.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Książę pierwszy zabrał głos na naradzie i tak mówił:

— To bieda, że nie mamy nijakiego pisma ani świadectwa przeciw komturom. Bo choć posąd nasz zdaje się słuszny i ja sam myślę, że Jurandównę oni chwycili, nie kto inny,

Obyczaje

ale co z tego? Wyprą się. A jak wielki mistrz spyta o jakowys dowód, co mu pokażem? Ba! Jeszcze list Jurandowy świadczy za nimi.

Tu zwrócił się do Zbyszka:

— Powiadasz, że ten list groźbą na nim wymusili. Może być i pewnie tak jest, bo gdyby po ich stronie była sprawiedliwość, toby ci był Bóg przeciw Rotgierowi nie pomógł. Ale skoro wymusili jeden, to mogli wymusić i dwa. Może i oni mają od Juranda świadectwo, że niewinni porwania nieszczęsnej dziewczki. A w takim razie pokażą je mistrzowi, i co będzie?

— Sami przecie przyznali, miłościwy panie, że Danuskę niby zbójom odbili i że ją mają.

— To wiem. Ale teraz powiadają, że się omylili i że to inna dziewczka, a najlepszy dowód, że sam Jurand jej się zaparł.

— Zaparł się, bo mu pokazali inną, przez co go właśnie rozjuszyli.

— Pewnie tak było, ale mogą powiedzieć, że to jeno nasze domysły.

— Ich łgarstwa — rzekł Mikołaj z Długolasu — są jakoby bór. Z brzegu jeszcze coś widać, ale im głębiej, tym większa gęstwa, że się człek zabłąka i całkiem drogę straci.

Po czym powtórzył swoje słowa po niemiecku panu de Lorche, który rzekł:

— Sam wielki mistrz lepszy od nich, a i brat jego, choć duszę ma zuchwałą, ale na cześć rycerską czułą.

— Tak jest — odpowiedział Mikołaj. — Mistrz człowiek ludzki. Nie umie ci on hamować komturów ni kapituły i nie poradzi na to, że wszystko w Zakonie na ludzkich krzywdach stoi, ale im nierad. Jedźcie, jedźcie, rycerzu de Lorche, i opowiedzcie mu, co tu się działo. Obcych więcej się oni wstydzą niż nas, by zaś nie opowiadali na obcych dworach o ich zdradach i nieuczciwych postępkach. A gdy mistrz spyta was o dowody, tedy rzeknijcie mu tak: „Znać prawdę boska rzecz, a ludzka jej szukać, więc jeśli chcesz, panie, dowodów, to ich poszukaj: każ przetrząść zamki, wybadaj ludzi, pozwól nam szukać, boć to głupstwo i bajka, że oną sierotę chwycili zbójce leśni”.

— Głupstwo i bajka — powtórzył de Lorche.

— Bo zbójce nie podnieśliby ręki na księżęcy dworzec ni na Jurandowe dziecko. A gdyby wreszcie nawet ją chwycili, to dla okupu, i sami by dali znać, że ją mają.

— Wszystko to powiem — rzekł Lotaryńczyk — i de Bergowa też odszukam. My z jednego kraju, a choć go nie znam, mówią, że i on jakowys krewniak hrabiego Geldrii. Był w Szczytnie, niech mistrzowi opowie, co widział.

Zbyszko zrozumiał cośkolwiek z tych słów, a czego nie zrozumiał, to wytłumaczył mu Mikołaj, więc chwycił przez pół pana de Lorche i przycisnął go do piersi tak, że aż rycerz jęknął.

Księżę zaś rzekł do Zbyszka:

— A ty koniecznie chcesz też jechać?

— Koniecznie, miłościwy panie. Cóż mam innego czynić? Chciałem Szczytna dobywać, choćby zębami przyszło mur gryźć, ale jakoże mi bez pozwolenstwa wojnę wszczynać?

— Kto by wojnę bez pozwolenstwa wszczął, pod katowskim by się mieczem kajał — rzekł księżę.

— Juści prawo prawem — odpowiedział Zbyszko. — Ba! Chciałem potem pozywać wszystkich, którzy byli w Szczytnie, ale powiadali ludzie, że Jurand narznął ich tam jak wolów, i nie wiedziałem, który żyw, a który zabit... Bo, tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż, jako ja Juranda do ostatniego tchu nie opuszczę!

— To zacnie mówisz i udałeś mi się — rzekł Mikołaj z Długolasu. — A żeś do Szczytna sam nie leciał, to też widać, że rozum masz, bo i głupi by się domyślił, że oni tam ni Juranda, ni jego córki nie trzymają, jeno musieli ich do innych zamków wywieźć. Bóg cię Rotgierem nagrodził za to, żeś tu przyjechał.

— Ano! — rzekł księżę. — Jako się od Rotgiera słyszało, to z tych czterech jeden tylko stary Zygfryd żywie, a innych Bóg już pokarał albo twoją, albo Jurandową ręką. Co do Zygfryda, mniejszy od tamtych szelma, ale okrutnik może największy. Źle, że Jurand i Danuska w jego ręku i trzeba ich prędko ratować. Aby zaś i ciebie zła przygoda nie spotkała, dam ci do mistrza list. Słuchaj jeno dobrze i rozumiej, że nie jedziesz jako

Szantaż

Kłamstwo

Prawo

poseł, jeno jako wysłannik, a ja mistrzowi piszę tak: Skoro się swego czasu na naszą osobę, potomka ich dobrodziejów, targnęli, to rzecz podobna jest, że Jurandównę chwycili, zwłaszcza mając złość do Juranda. Proszę tedy mistrza, aby pilnie jej szukać nakazał i jeśli chce przyjaźni mojej, zaraz ci ją w ręce oddał.

Zbyszko, usłyszawszy to, rzucił się do nóg księcia i objąwszy jego kolana, począł mówić:

— A Jurand, miłościwy panie! A Jurand? Wstawcie się też za nim! Jeśli śmiertelne ma rany, niech choć u siebie na dziedzinie i przy dzieciach zamrze.

— Jest i o Jurandzie — rzekł łaskawie książę. — Ma wysłać mistrz dwóch sędziów i ja też dwóch, którzy uczynki komturów i Jurandowe wedle praw czci rycerskiej rozpatrzą. A ci zaś wybiorą jeszcze jednego, by zaś był im głową, i jako wszyscy uradzą, tak będzie.

Na tym skończyła się narada, po której Zbyszko pożegnał księcia, gdyż wnet mieli wyruszyć w drogę. Lecz przed rozejściem się doświadczony i znający Krzyżaków Mikołaj z Długolasu wziął Zbyszka na bok i zapytał:

— A onego pacholka Czecha weźmiesz z sobą do Niemców?

— Pewnie, że mnie nie odstąpi. Albo co?

— Bo mi go żal. Chłop ci jest na schwał, a zaś miarkuj, co ci rzekę: ty z Malborga zdrową głowę wyniesiesz, chyba że potykając się tam, trafisz na lepszego, ale jego zguba pewna.

— A dlaczego?

— Bo go psubraty oskarżali, że on de Fourcy'ego zadźgał. Musieli też do mistrza o jego śmierci pisać i też pewnikiem napisali, iż Czech onę krew rozlał. Tego mu w Malborgu nie darują. Czekają go sąd i pomsta, bo jakże o jego niewinności mistrza przekonasz? A przecie on także i Danveldowi ramię pokruszył, który wielkiego szpitalnika był krewny. Szkoda mi go, a powtarzam ci, że jeśli pojedzie, to po śmierć.

— Nie pojedzie po śmierć, bo go w Spychowie ostawię.

Lecz stało się inaczej, gdyż zaszły powody, dla których Czech nie został w Spychowie. Zbyszko i de Lorche ruszyli wraz ze swymi pocztami nazajutrz. De Lorche, którego książę Wyszoniek rozwiązał ze ślubów względem Ulryki de Elner, jechał szczęśliwy i cały oddany rozpamiętywaniu urody Jagienki z Długolasu, więc milczący; Zbyszko zaś nie mogąc z nim rozmawiać o Danuście także i z tej przyczyny, że nie bardzo się z sobą rozumieli, rozmawiał z Hławą, który dotąd nic o zamierzonej w dzierzawy krzyżackie wyprawie nie wiedział.

— Jedziem do Malborga — rzekł — a kiedy ja wrócę, to w mocy boskiej... Może prędko, może na wiosnę, może za rok, a może i wcale, rozumiesz?

— Rozumiem. Wasza miłość jedzie też także pewnie i dlatego, aby tamtejszych rycerzy pozywać. I chwała Bogu, boć przy każdym rycerzu jest przecie giermek.

— Nie — odrzekł Zbyszko. — Nie po to ja tam jadę, by ich pozywać, chybaby się samo zdarzyło, a ty wcale nie pojedziesz, jeno w domu, w Spychowie, zostaniesz.

Usłyszawszy to, Czech naprzód zmartwił się okrutnie i począł żałośnie narzekać, a potem nuż prosić młodego pana, by go nie ostawiał.

— Ja poprzysiągł, że waszej miłości nie opuszczę: poprzysiągł na Krzyż i na cześć. A gdyby waszą miłość jakowaś przygoda spotkała, jakoże pokazałbym się na oczy mojej pani w Zgorzelicach! Ja jej przysięgał, panie! Więc zmiłujcie wy się nade mną, bym się nie pohańbił przed nią.

— A nie przysięgałeś jej, że mi będziesz posłuszny? — zapytał Zbyszko.

— Jakże nie! We wszystkim, jeno nie w tym, bym poszedł precz. Jeśli mnie wasza miłość odpędzi, pojedę opodał, abym w razie potrzeby był pod ręką.

— Ja cię nie odpędzam i nie odpędzę — odpowiedział Zbyszko — ale niewola by mi to była, gdybym cię nie mógł nigdzie wysłać, choćby w najdalszą drogę, ni też odczepić się od ciebie bogdaj na jeden dzień. Nie będzieszże stał bez przestanku<sup>971</sup> nade mną jak kat nad dobrą duszą! A co do bitwy, jakże mi pomożesz? Nie mówię, na wojnie, bo na wojnie ludzie się kupą biją, a w spotkaniu samowtór już ci się nie będziesz za mnie bił. Gdyby Rotgier był tęszy<sup>972</sup> ode mnie, nie na naszym wozie byłaby jego zbroja, jeno moja

<sup>971</sup>bez przestanku (daw.) — bez przerwy. [przypis edytorski]

<sup>972</sup>tęszy (daw.) — silniejszy. [przypis edytorski]



na jego. A przy tym wiedz, że mi tam z tobą będzie gorzej i że mnie na niebezpieczeństwo podać możesz.

— Jak to, wasza miłość?

Więc Zbyszko począł mu opowiadać to, co słyszał od Mikołaja z Długolasu, że komturowie, nie mogąc się przyznać do zamordowania de Fourcy'ego, jego oskarżyli i będą go zemstą ścigali.

— A jeśli cię schwycą — rzekł w końcu — przecie cię im jako psom w gardle nie ostawię, przez co i sam mogę głową nałożyć<sup>973</sup>.

Zasepił się, usłyszawszy te słowa, Czech, albowiem czuł w nich prawdę: jednakże usiłował jeszcze rzecz wedle swojej chęci wykręcić.

— Toć już nie ma na świecie tych, którzy mię widzieli, bo jednych, jako mówią, stary pan ze Spychowa pobił, a Rotgiera wasza miłość.

— Widzieli cię pacholcy, którzy się opodal za nimi wlekli, i żywie ów stary Krzyżak, który pewnie w Malborgu teraz siedzi, a jeśli nie siedzi, to przyjedzie, gdyż go, da Bóg, mistrz wezwie.

Na to nie było już co odpowiedzieć, więc jechali w milczeniu aż do Spychowa. Zastali tam zupełną gotowość wojenną, gdyż stary Tolima spodziewał się, że albo Krzyżacy na gródek uderzą, albo Zbyszko, wróciwszy, poprowadzi ich na ratunek staremu panu. Straże czuwały wszędy, na przejściach przez bagniska i w samym gródku. Chłopi byli zbrojni, że zaś nie nowina im była wojna, więc czekali na Niemców z ochotą, obiecując sobie łup znamienity. W kasztelu przyjął Zbyszka i de Lorchego ksiądz Kaleb i zaraz po wieczery pokazał im pergamin z pieczęcią Juranda, w którym własnoręcznie spisał ostatnią wolę rycerza ze Spychowa.

— Dyktował ci mi ją — rzekł — tej nocy, której do Szczytna ruszył. No i nie spodziewał się wrócić.

— A czemuście nie mówili nic?

— Nie mówiłem nic, bo mi pod tajemnicą spowiedzi wyznał, co chce czynić. Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niech mu świeci...

— Nie mówcie za niego pacierza. Żyw jeszcze. Wiem to ze słów Krzyżaka Rotgiera, z którym potykałem się na dworze księcia. Był między nami sąd boży i zabiłem go.

— Tym bardziej Jurand nie wróci... Chybaby moc boża!...

— Jadę z tym oto rycerzem, aby go z ich rąk wyrwać.

— To nie znasz widać krzyżackich rąk; jać je znam, gdyż nim mnie Jurand w Spychowie przygarnął, byłem piętnaście років księdzem w ich kraju. Jeden Bóg może Juranda ratować.

— I może też nam pomóc.

— Amen.

Po czym rozwinął dokument i jął go czytać. Jurand zapisywał wszystkie swe ziemie i całą majątność Danusi i jej potomstwu, w razie zaś bezpotomnej śmierci tejże, jej mężowi, Zbyszskowi z Bogdańca. W końcu polecał tę swoją wolę opiece księżęcej: „by zaś, jeśliby co nie było wedle prawa, łaska księżęca w prawo zmieniła”. Koniec ów dodany był dlatego, że ksiądz Kaleb znał się tylko na prawie kanonicznym, a sam Jurand, zajęty wyłącznie wojną, tylko na rycerskim. Po odczytaniu dokumentu Zbyszskowi ksiądz odczytał go starszym<sup>974</sup> ludziom załogi spychowskiej, którzy uznali zaraz młodego rycerza jako dziedzica i przyrzekli mu posłuszeństwo.

Myśleli też, że Zbyszko wnet ich poprowadzi na ratunek staremu panu, i radowali się, albowiem w piersiach ich były serca srogie i łakome na wojnę, a do Juranda przywiązane. Toteż smutek ogarnął ich wielki, gdy dowiedzieli się, że zostaną w domu i że pan z małym jeno poczem uda się do Malborga, i nie na wojnę, lecz na skargę. Dzielił ten ich smutek Czech Głowacz, choć z drugiej strony rad był z tak znacznego pomnożenia Zbyszkowego dobra.

— Hej! Komu by była uciecha — rzekł — to staremu panu z Bogdańca! I umiałby też on tu rządzić! Co tam Bogdaniec w porównaniu z taką dziedzina<sup>975</sup>!

<sup>973</sup>głową nałożyć — zginać. [przypis edytorski]

<sup>974</sup>starszy (daw.) — tu: przełożony. [przypis edytorski]

<sup>975</sup>dziedzina (daw.) — ziemia, gospodarstwo, dziedzictwo, coś, co się dziedziczy. [przypis edytorski]

A Zbyszka zdjęła w tej chwili nagle tęsknota do stryjca, taka, jaka zdejmowała go często, zwłaszcza zaś w trudnych i ciężkich wypadkach życia, więc zwróciwszy się do giermka, rzekł bez namysłu:

— Co masz tu po próżnicy siedzieć! Jedź do Bogdańca, list powieszysz.

— Jeśli nie mam z waszą miłością iść, to już wołałbym tam jechać! — odrzekł uradowany pacholik.

— Wołaj mi księdza Kaleba, niech wypisze jako się patrzy wszystko, co tu było, a stryjcowi odczyta list proboszcz z Krześni albo-li też opat, jeśli jest w Zgorzelicach.

Lecz powiedziawszy to, uderzył się dłonią po młodych wąsietach i dodał, mówiąc jakby sam do siebie:

— Ba! Opat!...

I zaraz przed oczyma przesunęła mu się Jagienka — modrooka, ciemnowłosa, hoża jak łania, a ze łzami na rzęsach! Uczyniło mu się kłopotliwie i przez czas jakiś tarł ręką czoło, lecz wreszcie rzekł:

— Jużci, będzie ci smutno, dziewczyno, ale nie gorzej niżli mnie.

Tymczasem nadszedł ksiądz Kaleb i zaraz zasiadł do pisania. Zbyszko dyktował mu obszernie wszystko, co się zdarzyło od chwili, gdy przybył do leśnego dworca. Nic nie zataił, gdyż wiedział, że stary Maćko, gdy się dobrze w tych sprawach rozpatrzy<sup>976</sup>, to w końcu będzie rad. Bogdańca istotnie ani porównać ze Spychowem, który był włością obszerną i bogatą, a Zbyszko wiedział, że Maćkowi okrutnie zawsze o takie rzeczy chodziło.

Lecz gdy po długich mozołach list był napisany i pieczęcią zamknięty, zawołał znów Zbyszko giermka i wręczył mu go, mówiąc:

— A może ze stryjcem tu wrócisz, z czego wielce bym był rad.

Lecz Czech miał twarz także jakby zakłopotaną; marudził, z nogi na nogę przestępował i nie odchodził, póki młody rycerz nie ozwał się:

— Masz-li co jeszcze powiedzieć, to mów.

— Chciałbym, wasza miłość... — odrzekł Czech — chciałbym, ot! jeszcze zapytać, jako tam mam ludziom rozpowiadać?

— Jakim ludziom?

— Niby nie w Bogdańcu, ale w okolicy... Bo się też z pewnością będą chcieli dowiedzieć.

Na to Zbyszko, który postanowił już nic nie ukrywać, spojrział na niego bystro i rzekł:

— Tobie nie o ludzi chodzi, jeno o Jagienkę ze Zgorzelic.

A Czech splonął<sup>977</sup>, potem przybladł nieco i odpowiedział:

— O nią, panie.

— A skąd wiesz, czy się tam nie wydała za Cztana z Rogowa albo za Wilka z Brzozowej?

— Panienska nie wydała się za niego — odrzekł stanowczo giermek.

— Mógł jej opat rozkazać.

— Opat panienki słucha, nie ona jego.

— To czegoś chcesz? Powiadaj prawdę tak jej, jak wszystkim.

Czech skłonił się i odszedł nieco zły.

— Daj Bóg — mówił sobie, myśląc o Zbyszku — by cię zapomniała. Daj jej Bóg jeszcze lepszego niż ty. Ale jeśli nie zapomniała, to też jej rzeke, żeś żeniaty, ale bez niewiasty i że bogdaj owdowiejesz, nim do łożnicy wstąpisz.

Giermek przywiązał się był jednak do Zbyszka, litował się i nad Danusią, ale Jagienkę miłował nad wszystko w świecie i od czasu, jak się przed ostatnią bitką w Ciechanowie dowiedział o małżeństwie Zbyszkowym, nosił ból i gorycz w sercu.

— Bogdaj, że wprzód owdowiejesz! — powtórzył.

Lecz następnie inne, widocznie słodsze myśli poczęły mu przychodzić do głowy, gdyż schodząc ku koniom, mówił:

— Chwała Bogu, że jej choć nogi obejmę.

Tymczasem Zbyszko rwał się do drogi, gdyż trawiła go gorączka — i o ile z konieczności nie musiał zajmować się innymi sprawami, o tyle znosił po prostu męki, myśląc

<sup>976</sup>rozpatrzyć się (daw.) — rozeznac się. [przypis edytorski]

<sup>977</sup>splonąć (daw.) — zaczerwienić się. [przypis edytorski]

bez ustanku o Danusi i Jurandzie. Trzeba było jednak zostać w Spychowie chociaż na jeden nocleg, choćby dla pana de Lorche i dla przygotowań, których tak długa podróż wymagała. Sam był wreszcie utrudzon nad wszelką miarę walką, czuwaniem, drogą, bezsennością, zmartwieniem. Gdy więc noc uczyniła się bardzo późna, rzucił się na twarde Jurandowe łoże w nadziei, że choć krótki sen go nawiedzi. Lecz nim zasnął, zapukał do niego Sanderus i skłoniwszy się, rzekł:

— Panie, ocaliliście mnie od śmierci i dobrze mi było przy was, jako dawno przedtem nie bywało. Bóg wam dał teraz włość wielką, żeście jeszcze bogatsi niż wprzód, a i skarbiec spychowski niepusty. Dajcie mi, panie, trzos jaki taki, a ja pójdę do Prus od zamku do zamku i choć mi tam nie bardzo bezpiecznie, może wam usłużyć.

Zbyszko, który chciał go w pierwszej chwili wyrzucić z izby, zastanowił się nad tymi słowami i po chwili, wydobywszy ze stojącej wedle łoża podróżnej kalety spory worek, rzucił mu go i rzekł:

— Masz, idź! Jeśliś szelma, odrwiesz<sup>978</sup>, jeśliś uczciwy — usłużyysz.

— Odrwię jako szelma, panie — rzekł Sanderus — ale nie was, a usłużyć poczciwie — wam.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zygryf de Löwe miał właśnie wyjeżdżać do Malborga, gdy niespodzianie pocztowy pacholek przyniósł mu list od Rotgiera z wiadomościami z mazowieckiego dworu. Wiadomości te poruszyły do żywego starego Krzyżaka. Przede wszystkim widać było z listu, iż Rotgier wybornie przedstawił i poprowadził wobec księcia Janusza sprawę Juranda. Zygfryd uśmiechnął się, czytając, że Rotgier zażądał jeszcze, by książę za krzywdy Zakonu oddał jeszcze Spychów w maństwo<sup>979</sup> Krzyżakom. Natomiast druga część listu zawierała nowiny niespodziane i mniej korzystne. Oto donosił także Rotgier, że dla tym lepszego okazania niewinności Zakonu w porwaniu Jurandówny rzucił był rękawicę rycerzom mazowieckim, pozywając każdego, kto by o tym wątpił, na sąd boży, to jest na walkę wobec całego dworu... „Żaden jej nie podnosił — pisał dalej Rotgier — wszyscy bowiem wiedzieli, iż świadczył za nami list samego Juranda, więc bali się sprawiedliwości bożej, gdy wtem znalazł się młodzik, któregośmy w leśnym dworcu widzieli — i ów zakład podjął. Z której przyczyny nie dziwujcie się, pobożny i mądry bracie, że się z powrotem o dwa albo trzy dni opóźnię, gdyż — sam pozwawszy, stanąć muszę. A iżem to dla chwały Zakonu uczynił, mam nadzieję, że nie poczyna mi tego za złe ani wielki mistrz, ani też wy, którego czczę i synowskim sercem miłuję. Przeciwnik — prawy dzieciuch, a mnie walka, jako wiecie, nie nowina, więc łatwie tę krew na chwałę Zakonu rozleję, a zwłaszcza przy pomocy Pana Chrystusowej, któremu pewnie więcej chodzi o tych, którzy krzyż Jego noszą niż o jakowegoś Juranda albo o krzywdy jednej mizernej dziewczki z mazurskiego narodu!”

Zygryfda zdziwiła przede wszystkim wiadomość, że Jurandówna była zamężna. Na myśl, że w Spychowie osiąść może nowy groźny i mściwy nieprzyjaciół, objął nawet starego komtura pewien niepokój: „Oczywiście — mówił sobie — zemsty nie poniecha, a tym bardziej gdyby niewiastę odzyskał i gdyby mu powiedziała, że to myśmy ją porwali z leśnego dworca! Ba, wydałoby się też zaraz, żeśmy Juranda sprowadzili jeno dlatego, by go zagubić, i że córki nikt nie myślał mu oddawać”. Tu przyszło Zygfrydowi na myśl, że jednak na skutek listów księcia wielki mistrz prawdopodobnie każe czynić poszukiwania w Szczytnie choćby dlatego, by się przed tymże księciem oczyścić. Przecież mistrzowi i kapitule tak chodziło o to, by na wypadek wojny z potężnym królem polskim książęta mazowieccy pozostali na stronie<sup>980</sup>. Pominąwszy siły książąt wobec rojności<sup>981</sup> mazowieckiej szlachty niepoślednie<sup>982</sup>, a wobec jej bitności — godne, by ich nie lekceważyć, pokój z nimi zabezpieczał granicę krzyżacką na ogromnej, rozciągłej przestrzeni i pozwalał im skupić lepiej swe siły. Nieraz mówiono o tym przy Zygfrydzie w Malborgu, nieraz cieszone się nadzieją, że po zwycięstwie nad królem znajdzie się później byle pozór przeciw

<sup>978</sup>odrwić (daw.) — oszukać. [przypis edytorski]

<sup>979</sup>maństwo (daw.) — posiadłość, zarząd; od *man*: lennik, hołdownik. [przypis edytorski]

<sup>980</sup>na stronie — tu: neutralni. [przypis edytorski]

<sup>981</sup>rojny (daw.) — liczny. [przypis edytorski]

<sup>982</sup>niepośledni (daw.) — nie byle jaki. [przypis edytorski]

Mazowszu, a wówczas żadna siła nie wyrwie tej krainy z rąk krzyżackich. Był to rachunek i wielki, i pewny, dlatego było rzeczą równie pewną, że mistrz uczyni tymczasem wszystko, by nie rozdrażnić księcia Janusza, albowiem pan ów, żonaty z córką Kiejstuta, trudniejszym był do zjednania niż Ziemowit płocki, którego małżonka była nie wiadomo dlaczego całkiem Zakonowi oddana.

I wobec tych myśli stary Zygfryd, który przy całej swej gotowości do wszelkich zbrodni, zdrad i okrucieństw miłował jednak nad wszystko Zakon i chwałę jego, począł się rachować z sumieniem: „Zali nie lepiej będzie wypuścić Juranda i jego córkę? Zdrada i ohyda wyda się wprawdzie wówczas w całej pełni, ale obciążę imię Danvelda, ten zaś nie żyje. A choćby też — myślał — mistrz pokarał srodze mnie i Rotgiera, którzyśmy byli jednak współnikami Danveldowych uczynków, to czy nie lepiej tak będzie dla Zakonu?”. Lecz tu jego mściwe i okrutne serce zaczęło burzyć się na myśl o Jurandzie.

Wypuścić go, tego ciemniejszą i kata zakonnych ludzi, zwyciężcą w tylu spotkaniach, przyczynę tylu klęsk i hańby, pogromcę, a potem zabójcą Danvelda, pogromcę de Bergowa, zabójcą Majnegera, zabójcą Gotfryda i Huga, tego, który w samym Szczytnie wytoczył więcej krwi niemieckiej, niż jej wytacza niejedna dobra utarczka czasu wojny: „Nie mogę! Nie mogę! — powtarzał w duszy Zygfryd i na samą tę myśl drapieżne palce zaciskały mu się kurczowo, a stara, wyschła pierś z trudnością łowiła oddech. — A jednak, gdyby to było z większym pożytkiem i chwałą Zakonu? Gdyby kara, która by spadła w takim razie na jeszcze żyjących sprawców zbrodni, miała przejednać wrogiego dotychczas księcia Janusza i ułatwić z nim układ albo nawet i przymierze?... Zapalczywi są oni — myślał dalej stary komtur — lecz byle im trochę dobroci okazać, łatwo krzywd zapominają. Ot i książę sam był we własnym kraju pochwycon, a przecie czynnie się nie mścił...”. Tu począł chodzić po sali w wielkiej rozterce wewnętrznej, gdy nagle wydało mu się, że mu coś z góry rzekło: „Wstań i czekaj na powrót Rotgiera”. Tak! Należało czekać. Rotgier zabije niechybnie onego młodzianka, a i potem albo trzeba będzie ukryć Juranda i jego córkę, albo ich oddać. W pierwszym razie książę wprawdzie o nich nie zapomni, ale nie mając pewności, kto porwał dziewczkę, będzie jej szukał, będzie słał listy do mistrza nie z oskarżeniem, ale rozpytujące — i rzecz pójdzie w niezmierną odwłokę<sup>983</sup>. W drugim razie radość z powrotu Jurandówny większą będzie niż chęć zemsty za jej porwanie. „A wszak ci zawsze możemy powiedzieć, żeśmy ją znaleźli już po Jurandowej napaści!”. Ta ostatnia myśl uspokoiła całkiem Zygfryda. Co do samego Juranda, dawno już na wspólną z Rotgierem wymyślili sposób, żeby jeśli go przyjdzie wypuścić, nie mógł ni mścić się, ni skarżyć. Zygfryd radował się w srogiej duszy, myśląc teraz o tym sposobie. Radował się również na myśl o sądzie bożym, który miał odbyć się w ciechanowskim zamku. Co do wyniku śmiertelnej walki nie nurtował go żaden niepokój. Przypomniawszy sobie pewien turniej w Królewcu, gdy Rotgier pokonał dwóch słynnych rycerzy, którzy w ojczystej swej andegaweńskiej krainie uchodzili za niezwalczonych zapaśników. Wspomniał i walkę pod Wilnem z pewnym polskim rycerzem, dworzaninem Spytka z Melsztyna, którego Rotgier zabił. I rozjaśniła mu się twarz, a serce wezbrało dumą, gdyż Rotgiera, jakkolwiek już słynnego rycerza, on pierwszy na wyprawę do Litwy wodził<sup>984</sup> i najlepszych sposobów wojny z tym plemieniem go uczył. A teraz ów synaczek rozleje raz jeszcze zienawidzoną krew polską i wróci okryty chwałą. Wszak ci to sąd boży, więc i Zakon będzie zarazem z podejrzeń oczyszczony... „Sąd boży!...” Na jedno mgnienie oka stare serce ścisnęło się uczuciem podobnym do trwogi. Oto Rotgier stanąć ma do walki śmiertelnej w obronie niewinności krzyżackiej, a przecie oni winni, będzie zatem walczył za kłamstwo... Nużby stało się nieszczęście. Lecz po chwili Zygfrydowi wydało się to znów niemożliwym. Rotgier nie może być zwyciężony.

Uspokoiwszy się w ten sposób, stary Krzyżak zamyślił się jeszcze nad tym, czyby nie lepiej wysłać tymczasem Danusi do któregoś odleglejszego zamku, który by w żadnym razie nie mógł ulec zamachowi Mazurów. Lecz po chwili zastanowienia zaniechał i tej myśli. Obmyślić zamach i stanąć na czele mógłby jeno mąż Jurandówny, a on przecie zginie pod ręką Rotgiera... Potem będą tylko ze strony księcia i księżny dochodzenia, przepytywania, pisanie, skargi, ale przez to właśnie sprawa zatrze się i zaciemni, nie mó-

<sup>983</sup>odwłoka (daw.) — zwłoka. [przypis edytorski]

<sup>984</sup>wodzić (daw.) — prowadzić. [przypis edytorski]

więc o odwłóce niemal bez końca. „Wpierw, nim do czego dojdą — rzekł sobie Zygfyd — ja umrę, a może i Jurandówna postarzeje się w krzyżackim zamknięciu”. Kazał jednakże, by wszystko było gotowe w zamku do obrony, a również i do drogi, nie wiedział bowiem dokładnie, co może z narady z Rotgierem wypaść, i czekał.

Tymczasem upłynęły od terminu, na który obiecywał pierwotnie Rotgier wrócić, dni dwa, po czym trzy i cztery, a żaden orszak nie ukazywał się przed szczytniejszą bramą. Dopiero piątego, prawie już o zmroku, rozległ się odgłos rogu przed basztą odzwiernego. Zygfyd, który ukończył był właśnie przedwieczorne czynności, wysłał natychmiast pacholka, aby się dowiedział, kto przybył.

Pacholek wrócił po chwili z twarzą zmieszana, ale zmiany tej nie mógł Zygfyd dostrzec, gdyż w izbie ogień palił się w głębokim kominie i mało rozświecał mrok.

— Przyjechali? — spytał stary rycerz.

— Tak! — odpowiedziało pachole.

Lecz w głosie jego było coś takiego, co nagle zaniepokoiło Krzyżaka, więc rzekł:

— A brat Rotgier?

— Przywieźli brata Rotgiera.

Na to Zygfyd podniósł się z krzesła. Przez długą chwilę trzymał dłonią za poręcz, jakby obawiał się upaść, po czym ozwał się przytłumionym głosem:

— Daj mi płaszcz.

Pacholek zarzucił mu płaszcz na ramiona, on zaś widocznie odzyskał już siły, gdyż sam nasunął kaptur na głowę i wyszedł z izby.

Po chwili znalazł się na dziedzińcu zamkowym, na którym mrok uczynił się już zupełny, i szedł przez skrzypiący śnieg powolnym krokiem ku orszakowi, który przejechawszy bramę, zatrzymał się w jej pobliżu. Stała tam już gęsta gromada ludzi i świeciło kilka pochodni, które żołnierze z załogi zdążyli przynieść. Na widok starego rycerza knechtowie rozstąpili się.

Przy blasku pochodni widać było jednak trwożne oblicza i ciche głosy szeptały w pomroce:

— Brat Rotgier...

— Brat Rotgier zabit...

Zygfyd przysunął się do sani, na których leżało na słomie pokryte płaszczem ciało, i podniósł koniec płaszcza.

— Zbliźcie światło — rzekł, odchylając kaptur.

Jeden z knechtów pochylił pochodnię, przy której blasku stary Krzyżak dojrzał głowę Rotgiera i twarz białą jak śnieg, zmarzniętą, otoczoną ciemną chustą, którą zawiązano mu pod brodą widocznie w tym celu, aby usta nie pozostały otwarte. Jakoż cała twarz była jakby ściągnięta, a przez to zmieniona tak, że można by rzec, iż to kto inny. Oczy były zakryte powiekami, naokoło oczu i przy skroniach plamy błękitne. Na policzkach szklili się zamróż.

Trup

Komtur patrzył przez długą chwilę wśród ogólnego milczenia. Inni patrzyli na niego, wiedzano bowiem, że był jako ojciec dla zmarłego i że go miłował. Lecz jemu ani jedna łza nie wypłynęła z oczu, oblicze tylko miał jeszcze surowsze niż zwykle, a w nim jakiś skrzeplony spokój.

— Tak go odesłali! — rzekł wreszcie.

Lecz zaraz potem zwrócił się do ekonoma zamku:

— Niech do północy zbiją trumnę i ustawią ciało w kaplicy.

— Została jedna trumna z tych, które robiono dla pobitych przez Juranda — odrzekł ekonom. — Każę ją tylko suknem obić.

— I przykryć go płaszczem — rzekł Zygfyd, zakrywając twarz Rotgiera — nie takim jak ten, jeno zakonnym.

Po chwili zaś dodał:

— A wieka nie przymykać.

Ludzie zbliżyli się do wozu. Zygfyd nasunął znów kaptur na głowę, lecz widocznie przypomniał sobie jeszcze coś przed odejściem, gdyż spytał:

— Gdzie jest van Krist?

— Zabit także — odpowiedział jeden z pacholców — ale musieli go pochować w Ciechanowie, bo począł gnić.

— To dobrze.

I to rzekłszy, odszedł powolnym krokiem, a wróciwszy do izby, siadł na tym samym krześle, na którym go wiadomość zastała — i siedział z twarzą kamienną, nieruchomy, tak długo, że mały pacholik począł się niepokoić i wsuwać coraz częściej głowę przez drzwi. Godzina płynęła za godziną, w zamku ustawał zwykły ruch, tylko od strony kaplicy dochodziło głucho, niewyraźne stukanie młotka, a potem nic nie mąciło ciszy prócz nawoływań wartowników.

Była też już blisko północ, gdy stary rycerz rozbudził się jakby ze snu i zawołał pacholka.

— Gdzie jest brat Rotgier? — zapytał.

Lecz chłopak, rozstrojony ciszą, wypadkami i bezsennością, widocznie nie zrozumiał go, gdyż spojrział nań z trwogą i odrzekł ze drżeniem w głosie:

— Nie wiem, panie!...

A starzec uśmiechnął się rozdzierającym uśmiechem i rzekł łagodnie:

— Jać, dziecko, pytam: zali już w kaplicy?

— Tak jest, panie.

— To dobrze. Powiedzże Diederichowi, by tu przyszedł z kluczami i latarnią i by czekał, póki nie wrócę. Niech ma także i kocielek<sup>985</sup> z węglami. Czy w kaplicy już jest światło?

— Goreją świece wedle trumny.

Zygfyrd zawdziął<sup>986</sup> płaszcz i wyszedł.

Przyszedłszy do kaplicy, rozejrzał się od drzwi, czy nie ma nikogo, potem zamknął je starannie, zbliżył się do trumny, odstawił dwie świece z sześciu, które przy niej gorzały w wielkich, miedzianych lichtarzach, i kłękł przy niej.

Wargi nie poruszały mu się wcale, więc się nie modlił. Przez czas jakiś patrzył tylko w skrzepłą, ale piękną jeszcze twarz Rotgiera, jakby chciał śladów życia w niej dopatrzeć.

Po czym wśród ciszy kaplicznej począł wołać przyciszonym głosem:

— Synaczku! Synaczku!

I umilkł. Zdawało się, że czeka odpowiedzi.

Następnie wyciągnąwszy ręce, wsunął wychudłe, podobne do szponów palce pod płaszcz okrywający piersi Rotgiera i począł ich nimi dotykać: szukał wszędzie, w pośrodku i z boków, poniżej żeber i wedle obojczyków, zmacał na koniec przez sukno szczelinę ciągnącą się od wierzchu prawego barku aż pod pachę, zagłębił palce, przesunął je przez całą długość rany i znów jął mówić głosem, w którym drgała jakby skarga:

— Oo!... Jakież to niemiłosierny cios!... A mówiłeś, że tamten prawy dzieciuch!... Całe ramię! Całe ramię! Tyle razy wznosiłeś je na pogan w obronie Zakonu. A teraz odrąbał ci je polski topór... I ot ci koniec! Ot ci kres! Nie błogosławił ci On, bo mu może nie chodzi o nasz Zakon. Opuścił i mnie, chociażem mu służył od długich lat.

Słowa urwały mu się na ustach, wargi poczęły drżeć i w kaplicy znów uczyniło się głucho milczenie.

— Synaczku! Synaczku!

W głosie Zygfyryda była teraz prośba, a zarazem wołał jeszcze ciszej, jak ludzie, którzy dopytują się o jakąś ważną i straszną tajemnicę:

— Jeśliś jest, jeśli mnie słyszysz, daj znak: porusz ręką albo otwórz na jedno mgnienie oczy, bo mi skowycze serce w starych piersiach... Daj znak, jam cię miłował; przemów!...

I wsparłszy dłonie na krawędziach trumny, utkwiał swe sępie oczy w zamkniętych powiekach Rotgiera i czekał.

— Ba! Jakoże masz przemówić — rzekł wreszcie — bije od ciebie mróz i zaduch. Ale skoro ty milczysz, to ja ci coś powiem, a dusza twoja niech tu przyleci między gorejące świece i słucha.

To rzekłszy, pochylił się do twarzy trupa.

— Pamiętasz, jako kapelan nie dał dobić Juranda i jakośmy mu przysięgli. I dobrze: dotrzymam przysięgi, ale ciebie uraduję, gdziekolwiek jest.

<sup>985</sup>kocielek — dziś popr.: kociołek. [przypis edytorski]

<sup>986</sup>zawdziąć (daw.) — przywdziać, ubrać. [przypis edytorski]

To rzekłszy, cofnął się od trumny, przystawił na powrót lichtarze, które był poprzednio odsunął, nakrył trupa płaszczem wraz z twarzą i wyszedł z kaplicy.

Przy drzwiach komnaty spał zmorzony głębokim snem pacholek, wewnątrz zaś czekał wedle rozkazu na Zygryda Diederich.

Był to niski, krępy człowiek, o kabłączastych<sup>987</sup> nogach i z kwadratową, zwierzęcą twarzą, którą w części zasłaniał ciemny, ząbkowany kaptur spadający na ramiona. Na sobie miał bawoli, niewyprawny<sup>988</sup> kaftan, na biodrach również bawoli pas, za który zatknięty był pęk kluczy i krótki nóż. W prawej ręce trzymał żelazną, pozasłanianą błonami latarnię, w drugiej miedziany kotlik i pochodnię.

— Gotów jesteś? — zapytał Zygryd.

Diederich skłonił się w milczeniu.

— Kazałem, byś miał węgle w kotliku.

Krępy człowiek znów nic nie odpowiedział, wskazał tylko płonące w kominie bierwiona, wziął stojącą wedle komina żelazną łopatkę i począł wygarniać spod nich węgle do kociołka, po czym zapalił latarnię i czekał.

— A teraz słuchaj, psie — rzekł Zygryd. — Niegdyś wygadałeś, co kazał ci czynić komtur Danveld, i komtur kazał ci wyciąć język. Ale że możesz kapelanowi pokazać wszystko, co chcesz, na palcach, więc ci zapowiadam, iż jeśli jednym ruchem pokażesz mu to, co z mego rozkazu uczynisz, każę cię powiesić.

Diederich znów skłonił się w milczeniu, tylko twarz ściągnęła mu się złowrogo straszonym wspomnieniem, albowiem wyrwano mu język z zupełnie innego powodu, niż mówił Zygryd.

— Ruszaj teraz naprzód i prowadź do Jurandowego podziemia.

Kat chwycił swą olbrzymią dłonią pałąk kotlika, podniósł latarnię i wyszli. Za drzwiami minęli uspiętego pacholka i zszedłszy ze schodów, udali się nie ku drzwiom głównym, lecz w tył schodów, za którymi ciągnął się wąski korytarz idący przez całą szerokość gmachu, a zakończony ciężką furtą ukrytą we framudze muru. Diederich otworzył ją i znaleźli się znów pod gołym niebem, na małym podwórku, otoczonym z czterech stron murywanymi spichrzami, w których chowano zapasy zboża na wypadek oblężenia zamku. Pod jednym z tych spichrzów, od prawej strony, były podziemia dla więźniów. Nie stała tam żadna straż, albowiem więzień, choćby zdołał wyłamać się z podziemia, znalazłby się w dziedzińcu, którego jedyne wyjście było właśnie przez ową furtę.

— Czekaj! — rzekł Zygryd.

I wsparłszy się ręką o mur, zatrzymał się, albowiem uczuł, że dzieje się z nim coś niedobrego i że brak mu tchu, jak gdyby piersi jego były zakute w zbyt ciasny pancerz. Po prostu to, przez co przeszedł, było nad jego stare siły. Uczuł też, że czoło pokrywa mu się pod kapturem kroplami zimnego potu, i postanowił chwilę odetchnąć. Noc po posepny dniu uczyniła się nadzwyczaj pogodna. Na niebie świecił księżyc i cały dziedzińczyk zalany był jasnym światłem, przy którym śnieg połyskiwał zielono. Zygryd z chciwością wciągał w płuca rzeźwe i nieco mroźne powietrze. Ale przypomniało mu się zarazem, że w taką samą świetlistą noc wyjeżdżał Rotgier do Ciechanowa, skąd wrócił trupem.

— A teraz leżysz w kaplicy — mruknął z cicha.

Diederich zaś sądząc, że komtur do niego mówi, podniósł latarnię i oświecił jego twarz, bladą strasznie, niemal trupią, ale zarazem podobną do głowy starego sępa.

— Prowadź! — rzekł Zygryd.

Żółte koło światła od latarni zachybotowało znów na śniegu i poszli dalej. W grubym murze spichlerza było wgłębienie, przy którym kilka schodów wiodło do niskich, żelaznych drzwi. Diederich otworzył je i znów począł schodzić po schodach w głąb czarnej czeluści, podnosząc mocno latarnię, by oświecić komturowi drogę. Na końcu schodów był korytarz, a w nim na prawo i na lewo nadzwyczaj niskie furty od cel więziennych.

— Do Juranda — rzekł Zygryd.

Po chwili zaskrzypiały rygle i weszli. Ale w jamie było zupełnie ciemno, więc Zygryd, nie widząc dobrze przy mdłym świetle latarni, rozkazał zapalić pochodnię i wkrótce

<sup>987</sup>kabłączasty (daw.) — krzywy, wygięty w kabłąk. [przypis edytorski]

<sup>988</sup>niewyprawny (daw.) — z niewyprawionej skóry. [przypis edytorski]

w mocnym blasku jej płomienia ujrzał leżącego na słomie Juranda. Jeniec miał kajdany na nogach, na ręku zaś łańcuch nieco dłuższy, taki, by mu pozwalał podawać sobie pokarm do ust. Ubrany był w ten sam wór zgrzebny, w którym stanął przed komturami, lecz pokryty teraz ciemnymi śladami krwi, albowiem w dniu owym, w którym położono kres walce dopiero wówczas, gdy oszalałego z bólu i wściekłości rycerza splątano siecią, knechtowie chcieli go dobić i halabardami zadali mu kilkanaście ran. Dobiciu przeszkodził miejscowy, szczytnieński kapelan, ciosy zaś nie okazały się śmiertelne, natomiast uszło z Juranda tyle krwi, że go odniesiono do więzienia na wpół żywego. W zamku mniemano powszechnie, że lada godzina skończy<sup>989</sup>, lecz jego ogromna siła zmogła śmierć i żył, chociaż nie opatrzone mu ran, a wtrącono go do straszego podziemia, w którym w dniach odwilży kapalo ze sklepień, w czasie zaś mrozów ściany pokrywały się grubą sadzią śnieżną i kryształkami lodu.

Leżał więc na słomie, w łańcuchach, niemocem<sup>990</sup>, ale ogromny, tak iż, zwłaszcza leżąc, czynił wrażenie jakiegoś odłamu skały, który wykuto w kształt człowieka. Zygfyrd kazał mu świecić prosto w twarz i przez czas jakiś wpatrywał się w nią w milczeniu, po czym zwrócił się do Diedericha i rzekł:

— Widzisz, iż ma tylko jedną źrenicę, wykup mu ją.

W głosie jego była jakaś niemoc i zgrzybiałość, ale właśnie dlatego straszny rozkaz wydawał się jeszcze straszniejszy. Toteż pochodnia zadrżała nieco w ręku kata, jednakże pochylił ją i wkrótce na oko Juranda poczęły spadać wielkie, płonące krople smoły, a wreszcie pokryły je zupełnie od brwi aż do wystającej kości policzka.

Twarz Juranda skurczyła się, płowe wąsy jego podniosły się ku górze i odkryły zaciśnięte zęby, ale nie wyrzekł ani słowa i czy to z wyczerpania, czy przez zawziętość przyrodzoną strasznej jego naturze, nie wydał nawet jęku.

A Zygfyrd rzekł:

— Przyrzeczono ci, iż wyjdiesz wolny, i wyjdiesz, ale nie będziesz mógł oskarżać Zakonu, gdyż język, którym przeciw niemu bluźniłeś, będzie ci odjęty.

I znów dał znak Diederichowi, lecz ów wydał dziwny, gardlany<sup>991</sup> głos i pokazał razem na migi, że potrzebuje obu rąk, a nadto, że chce, by komtur mu poświecił.

Wówczas starzec wziął pochodnię i trzymał ją wyciągniętą drżącą ręką; jednakże gdy Diederich przycisnął kolanami piersi Juranda, odwrócił głowę i patrzył na pokrytą szronem ścianę.

Na chwilę rozległ się dźwięk łańcuchów, po czym dały się słyszeć zdyszane oddechy piersi ludzkich, coś jakby jedno głuche, głębokie stękniecie i nastąpiła cisza.

Wreszcie ozwał się znów głos Zygfyda.

— Jurandzie, kara, którą poniosłeś, i tak cię spotkać miała, ale prócz tego bratu Rotgierowi, którego mąż twej córki zabił, obiecałem włożyć prawą twoją dłoń do trumny.

Diederich, który już był podniósł się, usłyszawszy te słowa, przychylił się znów nad Jurandem.

Po jakimś czasie stary komtur i Diederich znaleźli się znów na owym dziedzińcu, zalanym światłem miesięcznym. Przeszedłszy korytarz, Zygfyrd wziął z rąk kata latarnię i jakiś ciemny przedmiot owinięty w szmatę i rzekł do siebie głośno:

— Teraz do kaplicy z powrotem, a potem do wieży.

Diederich spojrział na niego bystro, lecz komtur kazał mu iść spać, sam zaś powłókł się, kołyszając latarnię, w stronę oświetlonych kaplicznych okien. Po drodze rozmyślał o tym, co się stało. Czuł jakąś pewność, że i na niego przychodzi już kres i że to są jego ostatnie uczynki na ziemi; a jednak jego dusza krzyżacka, chociaż z natury więcej okrutna niż kłamliwa, tak już pod wpływem nieubłaganej konieczności wzwyczała<sup>992</sup> się do wykretów, matactw i osłaniania krwawych zakonnych postępów, że i teraz mimo woli myślał, iż mógłby zrzucić hańbę i odpowiedzialność za Jurandową mękę zarówno z siebie jak i z Zakonu. Diederich przecie niemowa, nic nie wyzna, a chociaż umie porozumieć się z kapłanem, nie porozumie się z samego strachu. Więc co? Więc któż dowiedzie, że Jurand nie otrzymał tych wszystkich ran w bitwie? Łatwo mógł stracić język od pchnięcia

<sup>989</sup>skończyć — tu: umrzeć. [przypis edytorski]

<sup>990</sup>niemocen (daw.) — słaby, chory, pozbawiony sił. [przypis edytorski]

<sup>991</sup>gardlany — dziś popr.: gardłowy. [przypis edytorski]

<sup>992</sup>wzwyczała się (daw.) — przyzwyczała się. [przypis edytorski]

Okrucieństwo

Zemsta

Zemsta, Okrucieństwo



włócznią między zęby, łatwo miecz albo topór mógł odrąbać prawicę, a oko miał tylko jedno, więc coś dziwnego, że mu je wybito, gdy sam jeden rzucił się w szaleństwie na całą załogę szczytnieńską? Ach, Jurand! Ostatnia w życiu radość wstrząsnęła na chwilę sercem starego Krzyżaka. Tak, Jurand, jeśli wyżyje, powinien być wypuszczony wolno! Tu Zygryd przypomniał sobie, jak niegdyś radzili o tym z Rotgierem i jak młody brat, śmiejąc się, mówił: „Niech wówczas pójdzie, gdzie go oczy poniosą, a jeśli nie będzie mógł trafić do Spychowa, to niech się rozpyta o drogę”. Bo to, co się stało, było już w części postanowione między nimi. A teraz, gdy Zygryd znów wszedł do kaplicy i klękawszy przy trumnie, złożył u nóg Rotgiera krwawą dłoń Jurandową, ta ostatnia radość, która przed chwilą w nim zadrgała, odbiła się również po raz ostatni na jego twarzy.

— Widzisz — rzekł — uczyniłem więcej, niżesmy uradzili: bo król Jan Luksemburski<sup>993</sup>, chociaż był ślepy, stanął jeszcze do walki i zginął z chwałą, a Jurand nie stanie już i zginie jak pies pod płotem.

Tu znów uczuł brak oddechu, taki jak poprzednio, gdy szedł do Juranda, a na głowie ciężar jakby żelaznego hełmu, lecz trwało to jedno mgnienie oka. Odetchnął głęboko i rzekł.

— Hej, czas i na mnie. Miałem cię jednego, a teraz nie mam nikogo. Ale jeśli mi przeznaczono żyć jeszcze, to ci ślubuję, synaczk, że ci i tamtą rękę, która cię zabiła, na grobie położę albo sam zginę. Żyw jeszcze twój zabójca...

Tu zęby ścisnęły mu się, chwycił go kurcz tak silny, iż słowa urwały mu się w ustach, i dopiero po jakimś czasie począł znów mówić przerywanym głosem:

— Tak... żyw jeszcze twój zabójca, ale ja go dosięgnę... A nim dosięgnę, inną, gorszą od samej śmierci mękę mu zadam.

I umilkł.

Po chwili wstał i zbliżywszy się do trumny, jął mówić spokojnym głosem:

— Ot, pożegnaj cię... Spojrzę ci w twarz raz ostatni, może poznam, czyś rad z obietnicy. Ostatni raz!

I odkrył oblicze Rotgiera, lecz nagle cofnął się.

— Śmiejesz się... — rzekł — ale się strasznie śmiejesz...

Jakoż ciało odtajało pod płaszczem, a może od ciepła świec, skutkiem czego poczęło się rozkładać z nadzwyczajną szybkością — i twarz młodego komtura stała się rzeczywiście straszną. Spuchłe ogromnie i poczerniałe uszy miały w sobie coś potwornego, sine zaś, wzdęte wargi wykrzywione były jakby uśmiechem.

Zygryd zakrył co prędzej tę okropną maskę ludzką.

Po czym wziął latarnię i wyszedł. W drodze po raz trzeci zbrakło mu oddechu, wróciwszy więc do izby, rzucił się na swe twarde łożo zakonne i przez pewien czas leżał bez ruchu. Myślał, że zaśnie, gdy nagle ogarnęło go dziwne uczucie. Oto wydało mu się, że sen nie przyjdzie do niego już nigdy, a natomiast jeśli zostanie w tej izbie, to przyjdzie zaraz śmierć.

Zygryd nie bał się jej. W niezmiernym zmęczeniu i bez nadziei snu widział w niej jakiś ogromny wypoczynek, ale nie chciał się jej poddać jeszcze tej nocy, więc siadłszy na łożu, począł mówić:

— Daj mi czas do jutra.

A wtem usłyszał wyraźnie jakiś głos szepczący mu do ucha:

— Wychodź z tej izby. Jutro będzie za późno i nie spełnisz tego, coś przyrzekł; wychodź z tej izby!

Komtur, podniósłszy się z trudem, wyszedł. Na blankach obwoływały się z narożników strażę. Przy kaplicy padał na śnieg żółty blask z okien. W pośrodku, przy kamiennej studni dwa czarne psy bawiły się, ciągnąc jakąś szmatę; zresztą na dziedzińcu było pusto i cicho.

— Więc koniecznie jeszcze tej nocy? — mówił Zygryd. — Otom utrudzon bez miary, ale idę... Wszyscy śpią. Jurand zmożon męką może także śpi, tylko ja nie zasną. Idę, idę, bo w izbie śmierć, a jam ci przyrzekł... Ale potem niechże już przyjdzie śmierć, skoro nie ma przyjść sen. Ty się tam śmiejesz, a mnie sił brak. Śmiejesz się, toś widać rad.

<sup>993</sup>Jan Luksemburski (1296–1346) — król Czech od 1310, zginął w bitwie pod Crécy. Źródła podają, że był wtedy niewidomy, a walczył przywiązany do dwóch rycerzy. [przypis edytorski]

Trup, Wampir

Śmierć

Duch, Śmierć

Jeno widzisz, palce mi podrętwiały, moc opuściła dłonie i sam już tego nie dokonam...  
Dokona służka, która z nią śpi...

Tak mówiąc, szedł ociężałym krokiem ku wieży leżącej przy bramie.

Tymczasem psy, które bawiły się przy kamiennej studni, przybiegły ku niemu i poczęły się lasić. W jednym z nich Zygfyrd rozpoznał brytana, który był tak nieodstępny towarzyszem Diedericha, iż w zamku mówiono, że służy mu w nocy za poduszkę.

Pies, powitawszy komtura, zaszczekał z cicha raz i drugi, po czym zwrócił się ku bramie i począł iść ku niej, jak gdyby odgadywał myśl człowieka.

Zygfyrd znalazł się po chwili przed wąskimi drzwiczkami wieży, które na noc zaryglowywano z zewnątrz. Odsunawszy rygle, zmacał poręcz schodów, które zaczynały się tuż za drzwiami, i począł iść na górę. Zapomniawszy z powodu rozbicia myśli latarni, szedł omackiem, stąpając ostrożnie i szukając nogami stopni.

Nagle po kilku krokach zatrzymał się, gdyż wyżej, ale tuż nad sobą, usłyszał coś jakby sapanie człowieka albo zwierzęcia.

— Kto tam?

Nie było odpowiedzi, tylko sapanie stało się szybsze.

Zygfyrd był człowiekiem nieustraszoną; nie bał się śmierci, ale i jego odwaga, i panowanie nad sobą wyczerpały się już do dna tej strasznej nocy. Przez głowę przeleciała mu myśl, że drogę zastępuje mu Rotgier, i włosy zjeżyły mu się na głowie, a czoło okryło się zimnym potem.

I cofnął się prawie do samego wyjścia.

— Kto tam? — zapytał zdławionym głosem.

Lecz w tej chwili coś pcheło go w piersi z siłą tak strasliwą, że starzec padł zemdłony na wznak przez otworzone drzwi, nie wydawszy ani jęku.

Uczyniła się cisza. Potem z wieży wysunęła się jakaś ciemna postać i chyłkiem poczęła umykać ku stajniom leżącym obok cekhauzu<sup>994</sup> po lewej stronie dziedzińca. Wielki brytan Diedericha popędził za nią w milczeniu. Drugi pies skoczył za nimi również i zniknął w cieniu muru, ale wkrótce zjawił się znowu ze łbem spuszczonej ku ziemi, biegnąc z wolna z powrotem i jakby wietrząc pod ślad tamtych. W ten sposób zbliżył się do leżącego bez ruchu Zygfyda, obwąchał go uważnie i wreszcie, siadłszy przy jego głowie, podniósł paszczę w górę i począł wyć.

Wycie rozlegało się przez długi czas, napęlniając jakby nową żalością i zgrozą tę posępną noc. Na koniec zaskrzyziały drzwi ukryte we wnętrzu wielkiej bramy i na dziedzińcu zjawił się odźwierny z halebardą.

— Mór<sup>995</sup> na tego psa! — rzekł. — Nauczę ja cię wyć po nocy.

I nastawiwszy ostrze, chciał pchnąć nim zwierzę, lecz w tej samej chwili ujrzał, iż ktoś leży w pobliżu otwartych drzwiczek baszty.

— *Herr Jesus!*<sup>996</sup> Co to jest?...

Pochyliwszy głowę, spojrział w twarz leżącego człowieka i począł krzyczeć:

— Bywaj! Bywaj! Ratunku!

Po czym skoczył do bramy i jął targać z całych sił za sznur dzwonu.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Jakkolwiek Głowaczowi pilno było do Zgorzelic, nie mógł jednakże jechać tak prędko, jakby chciał, albowiem drogi stały się niezmiernie trudne. Po zimie ostrej, po mrozach tęgich i po śniegach tak obfitych, że chowały się pod nimi całe wsie, przyszły wielkie odwilże. Luty, wbrew swojej nazwie, nie okazał się bynajmniej lutym. Naprzód powstały mgły gęste i nieprzeniknione, potem dżdże prawie ulewne, od których w oczach tajały białe zaspasy, w przerwach zaś między ulewami dął wicher taki, jaki zwykł dąć w marcu, więc przerywany, nagły, którego zganiał i rozganiał nabrzmiałe chmury po niebie, a na ziemi wył po zaroślach, huczał po lasach i pożerał śniegi, pod którymi niedawno jeszcze drzemały konary i gałęzie w zimowym, cichym śnie. Poczerniały też wnet bory. Na łąkach marszczyła się szeroko rozlana woda, wezbrały rzeki i strumienie. Radzi byli z takiej

<sup>994</sup>cekhauz (z niem.) — arsenał, zbrojownia. [przypis edytorski]

<sup>995</sup>mór (daw.) — zaraza. [przypis edytorski]

<sup>996</sup>Herr Jesus! (niem.) — Panie Jezu! [przypis edytorski]

obfitości mokrego żywiołu tylko rybitwowie, natomiast inna wszelka ludność, trzymana jakby na uwięzi, przykryła sobie po domach i chatach. W wielu miejscach od wsi do wsi można się było dostać tylko łodzią. Nie brakło wprawdzie nigdzie grobel<sup>997</sup> ani gościńców przez bagna i bory poczynionych z pni i okrągłaków<sup>998</sup>, ale teraz groble rozmiękły, a pnie na nizinnych miejscach pogrzeźły w rozmokłych młakach<sup>999</sup> i przejazd przez nie uczynił się niebezpieczny albo i wcale niepodobny. Szczególniej trudno było posuwać się Czechowi w jezierzystej Wielkopolsce, gdzie każdej wiosny roztopy bywały większe niż w innych stronach kraju, a przeto i droga, zwłaszcza dla konnych, cięższa.

Musiał też często zatrzymywać się i czekać po całych tygodniach bądź to po miasteczkach, bądź po wsiach u dziedziców, którzy zresztą przyjmowali go wraz z jego ludźmi, wedle obyczaju, gościnnie, radzi słuchając opowiadań o Krzyżakach i płacąc chlebem i solą za nowiny. Za czym wiosna dobrze już zapowiadała się na świecie i zbiegła większa część marca, zanim znalazł się w pobliżu Zgorzelic i Bogdańca.

Biło mu serce na myśl, iż niebawem ujrzy swoją panią, bo choć wiedział, że nie dostanie jej nigdy, tak jak nie dostanie i gwiazdy z nieba, jednakże wielbił ją i kochał z całej duszy. Postanowił jednak zajeżdżać naprzód do Maćka, raz dlatego, że do niego był wysłany, a po wtóre, że prowadził ludzi, którzy mieli zostać w Bogdańcu. Zbyszko po zabiciu Rotgiera zabrał był jego orszak wynoszący wedle przepisów zakonnych dziesięć koni i tyłu ludzi. Dwaj spomiędzy nich odwieźli ciało zabitego do Szczytna, pozostałych zaś, wiedząc, jak chciwie stary Maćko poszukuje osadników, odesłał Zbyszko z Głowaczem w darze stryjcowi.

Czech, zajechawszy do Bogdańca, nie zastał Maćka w domu; powiedziano mu, iż poszedł z psami i kuszą do boru, lecz wrócił jeszcze za dnia i dowiedziawszy się, iż znaczny jakowyś poczet bawi u niego, przyśpieszył kroku, aby przyjezdnych powitać i ofiarować im gościnność. Nie poznał też zrazu Głowacza, a gdy ów pokłonił mu się i nazwał, w pierwszej chwili przeraził się okrutnie i rzuciwszy kuszę i czapkę o ziem<sup>1000</sup>, zawołał:

— Dla Boga! Zabili mi go! Gadaj, co wiesz!

— Nie zabit — odparł Czech. — W dobrym zdrowiu!

Usłyszawszy to, Maćko zawstydzził się nieco i począł sapać, wreszcie odetchnął głęboko.

— Chwała Chrystusowi Panu! — rzekł. — Gdzie zaś jest?

— Do Malbarga pojechał, a mnie z nowinami tu przysłał.

— A on po co do Malbarga?

— Po żonę.

— Bój się, chłopie, ran boskich! Po jaką żonę?

— Po Jurandową córkę. Będzie o czym prawić choćby całą noc, ale pozwólcie, poczesny<sup>1001</sup> panie, abym też odsapnął, bom się zdrożył<sup>1002</sup> okrutnie, a od północkska ciągiem<sup>1003</sup> jechałem.

Więc Maćko przestał na chwilę pytać, głównie jednak z tej przyczyny, że zdumienie odjęło mu mowę. Ochłonąwszy nieco, zakrzyknął na pacholka, by dorzucił drew do ogniska i przyniósł Czechowi jeść, po czym jął chodzić po izbie, wymachiwać rękoma i mówić sam do siebie:

— Uszom nie wierzyć... Jurandowa córka... Zbyszko żonaty...

— I żonaty, i nieżonaty — rzekł Czech.

Dopieroż jął z wolna opowiadać, co i jak było, a tamten słuchał chciwie, przerywając kiedy niekiedy pytaniami, bo nie wszystko było jasne w opowiadaniu Czecha. Nie wiedział na przykład dokładnie Głowacz, kiedy się Zbyszko ożenił, bo nie było żadnego wesela, twierdził jednak na pewno, że ślub był i że się to stało za przyczyną samej księżny Anny Danuty, a wydało się przed ludźmi dopiero po przyjeździe Krzyżaka Rotgiera, z którym Zbyszko, pozwawszy go na sąd boży, potykał się wobec całego mazowieckiego dworu.

<sup>997</sup> *grobla* — wał ziemny przecinający jezioro bądź bagno, usypany w celach komunikacyjnych. [przypis edytorski]

<sup>998</sup> *okrągłak* — okorowany pień drzewa. [przypis edytorski]

<sup>999</sup> *młak* — teren podmokły. [przypis edytorski]

<sup>1000</sup> *o ziem* — dziś popr.: na ziemię. [przypis edytorski]

<sup>1001</sup> *poczesny* — tu: szanowny. [przypis edytorski]

<sup>1002</sup> *zdrożyć się* — zmęczyć się drogą. [przypis edytorski]

<sup>1003</sup> *ciągiem* (daw.) — ciągle. [przypis edytorski]

— Aa! Potykał ci się? — zawołał, błysnąwszy oczyma z okrutnym zaciekawieniem, Maćko. — No i co?

— Na dwie połowie<sup>1004</sup> Niemca rozwalil, a i mnie też Bóg z giermkim poszczęścił.

Maćko znów począł sapać, tym razem z zadowolenia.

— No! — rzekł. — Chłop to on jest nie na śmiech. Ostatni z Gradów, ale, tak mi dopomóż Bóg, niepośledni. Juści, a wówczas z Fryzami?... Prawy wyrostek był...

Tu spojrział uważniej raz i drugi na Czecha, po czym znów:

— Ale i tyś mi się udał. I widać nie łiesz. Ja ci łgarza i przez deskę poczuję. Nic jeszcze ten giermek, bo sam mówisz, żeś nie miał wiele roboty, ale żeś tamtemu psubratu ramię skruszył, a przedtem tura zwałil, to godne uczynki.

Po czym spytał nagle:

— A hup? Czy także godny?

— Wzięliśmy zbroje, konie i chłopą dziesięciu, a ośmiu wam młody pan przysyła.

— Cóż z dwoma uczynił?

— Odesłał z ciałem.

— Nie mógł to księżę swoich pacholków wyprawić? Tamci już nie wrócą.

Czech uśmiechnął się na tę chciwość, z którą zresztą Maćko często się zdradzał.

— Młody pan nie potrzebuje na to teraz już zważać — rzekł. — Spychów wielka dziedzina.

— Wielka! Ba, i co? Ale jeszcze nie jego.

— Jeno czyja?

Maćko aż wstał.

— Powiadaj! A przecie Jurand!

— Jurand u Krzyżaków w podziemiu i śmierć nad nim. Bóg wie, czy wyżyje, a jeśli wyżyje, czy wróci; choćby zaś wyżył i wrócił, przecie czytał ksiądz Kaleb jego testament i zapowiedział wszystkim, że dziedzicem ma być młody pan.

Na Maćku nowiny te uczyniły widocznie ogromne wrażenie, tak dalece bowiem były zarazem pomyślnie i niepomyślnie, że nie mógł się w nich połapać ani przyprowadzić do ładu uczuć, które na przemian nim wstrząsały. Wiadomość, że Zbyszko się ożenił, ukłuła go w pierwszej chwili boleśnie, kochał bowiem jak rodzony ojciec Jagienkę i ze wszystkich sił pragnął Zbyszka z nią skojarzyć. Ale z drugiej strony już się był przyzwyczaił uważać tę rzecz za przepadłą, a znów Jurandówna przynosiła to, czego nie mogła przynieść Jagienka, bo i łaskę księżęcą, i wiano, jako jedynaczka, wielokroć razy większe. Widział już Maćko w duszy Zbyszka księżęcym komesem, panem na Bogdańcu i Spychowie, ba, w przyszłości i kasztelanem. Rzecz nie była niepodobna, bo mówiło się przecie w onych czasach o szlachcicu chudopacholku<sup>1005</sup>: „Miał ci synów dwunastu: sześciu w bitwach legło, sześciu zostało kasztelanami”. I naród, i rody były na dorobku do wielkości. Znaczne mienie mogło tylko pomóc Zbyszkowi na tej drodze, więc chciwość i pycha rodowa Maćka miały się z czego cieszyć. Nie brakło jednakże staremu powodów i do niepokoju. Sam jeździł niegdyś dla uratowania Zbyszka do Krzyżaków i przywiózł z tej podróży żelazny szczebrzuch pod żebrem, a oto teraz pojechał Zbyszko do Malborga jakoby wilkowi w gardziel. Zali doczeka się tam żony czy śmierci? „Nie będą tam na niego mile patrzyli — pomyślał Maćko — dopiero co zatłukł im przecie znacznego rycerza, a przedtem bił w Lichtensteina, one zaś, psiajuchy, miłują zemstę”. Na tę myśl zatroskał się stary rycerz wielce. Przyszło mu też do głowy, że nie będzie także bez tego, aby Zbyszko, jako „jest chłop prędki”, nie potykał się tam z jakim Niemcem. Ale o to mniejsza była trwoga. Najgorzej się obawiał Maćko, że go chwycą. „Chwycili starego Juranda i córkę, nie wzdrali się chwycić swego czasu samego księcia przy Złotorzy, czemu by zaś mieli Zbyszkowi pofolgować”.

Tu przyszło mu do głowy pytanie: co będzie, jeśli młodzik, choćby sam uszedł z rąk krzyżackich, wcale żony nie odnajdzie? Na razie pocieszył się Maćko myślą, że mu zostanie po niej Spychów, ale była to krótka pociecha. Chodziło staremu mocno o mienie, ale chodziło niemniej o ród, o Zbyszkowe dzieci. „Jeśli Danuśka wpadnie jako kamień w wodę i nikt nie będzie wiedział, żywa-li czy umarła, nie będzie się mógł Zbyszko z drugą żenić

<sup>1004</sup>dwie połowie — dziś popr.: dwie połowy (pozostałość tzw. liczby podwójnej). [przypis edytorski]

<sup>1005</sup>chudopacholek (daw.) — niezamożny szlachcic. [przypis edytorski]

i wówczas nie stanie Gradów z Bogdańca na świecie. Hej! Z Jagienką byłoby inaczej!... Moczydłów też kwoka skrzydłami ani pies ogonem nie przykryje, a taka dziewczka co rok by rodziła bez pochyby<sup>1006</sup> jako ona jabłoń w sadzie”. Więc żal Maćka stał się większy od radości z nowego dziedzictwa — i z tego żalu, z niepokoju jął znowu wypytywać Czecha, jako to było z tym ślubem i kiedy było.

A Czech na to:

— Mówiłem już wam, poczesny panie, że kiedy było, nie wiem, a czego się domyślam, na to nie przysięgnę.

— Czego się zaś domyślasz?

— Przecież ja młodego pana nie odstępowałem w krzypocie i w izbie z nim razem spałem. Raz tylko wieczór kazali mi pójść precz, a potem widziałem, jak do pana poszli: sama miłościwa, a z nią panna Jurandówna, pan de Lorche i ksiądz Wyszoniek. Dziwowałem się nawet, bo panna miała wianuszek na głowie, alem myślał, że sakramenta będą panu dawać... Może to było wtedy... Pamiętam, że pan kazał, abym go przybrał pięknie jak na wesele, ale myślałem też, że to dla przyjęcia Ciała Chrystusowego.

— A potem jakoże? Ostali sami?

— I! Nie ostali sami, a choćby i ostali, pan wondrous<sup>1007</sup> i jeść nie mógł o swej mocy. A już byli po panienkę ludzie, niby od Juranda, i nad raniem<sup>1008</sup> pojechała...

— Nie widziałże jej Zbyszko od tego czasu?

— Oko ludzkie jej nie widziało.

Nastała chwila milczenia.

— Cóż myślisz — zapytał po chwili Maćko — oddadzą ją Krzyżacy czy nie oddadzą? Czech począł trząść głową, po czym kiwnął ręką ze zniechęceniem.

— Wedle mojej głowy — rzekł z wolna — to ona już przepadła na wieki.

— Dlaczego? — zapytał prawie ze strachem Maćko.

— Bo gdyby mówili, że ją mają, to byłaby nadzieja. Można by się było skarżyć alibo okup zapłacić, alibo siłą ją odbić. Ale oni mówią tak: Mieliliśmy jakowąś odbitą dziewczkę i daliśmy Jurandowi znać, on zaś jej nie przyznał, a za nasze serce ludzi nam tyłu nabił, że i dobra potyczka więcej nie kosztuje.

— To Jurandowi pokazywali jakowąś dziewczkę?

— Mówią, że pokazywali. Bóg raczy wiedzieć. Może nieprawda, a może pokazali mu inną. To jeno prawda, że ludzi pobili i że oni gotowi przysiąc, że panny Jurandówny nigdy nie porywali. I to jest okrutnie ciężka sprawa. Choćby mistrz dał rozkaz, to mu też odpowiedzą, że jej nie mają. I kto im dowiedzie? Tym bardziej że dworscy w Ciechanowie mówili o Jurandowym liście, w którym stoi, że ona nie u Krzyżaków.

— A może nie u Krzyżaków?

— Prosim waszą miłość!... Już jeśliby ją zbóje porwali, to przecie nie dla czego innego, jeno dla okupu. A przy tym zbóje nie potrafiliby ni listu napisać, ni pieczęci pana ze Spychowa uczynić, ni zacnego pocztu przysłać.

— Prawda jest. Ale co Krzyżakom po niej?

— A pomsta nad Jurandową krwią? Wolą oni pomstę niż miód i wino, a że przyczyny mają, to mają. Straszny im był pan ze Spychowa, a co w ostatku sił uczynił, to do reszty ich rozjadło<sup>1009</sup>... Mój pan też, słyszałem, na Lichtensteina rękę podnosił, Rotgiera zabił... Mnie Bóg pomógł, zem psubratu ramię skruszył. Hej!... Prosim pięknie: czterech było, zatracona ich mać, a teraz ledwie jeden żywie, i to stary. My też zęby mamy, wasza miłość.

Nastała znów chwila milczenia.

— Roztropny z ciebie giermek — rzekł wreszcie Maćko. — A jakoże myślisz, co z nią uczynią?

— Książ Witold: potężny książ; mówią, że i cesarz niemiecki w pas mu się kłania, a co uczynili z jego dziećmi? Mało tu u nich zamków? Mało podziemi? Mało studzien? Mało powrozów i pętli na szyję?

— Dla Boga żywego! — zawołał Maćko.

<sup>1006</sup>bez pochyby (daw.) — niechybnie, na pewno. [przypis edytorski]

<sup>1007</sup>wondrous (daw.) — wówczas, w tym czasie. [przypis edytorski]

<sup>1008</sup>nad raniem — dziś popr.: nad ranem. [przypis edytorski]

<sup>1009</sup>rozjść (daw.) — rozjuszyć, wprawić we wściekłość. [przypis edytorski]

— Daj Bóg, żeby młodego pana nie pochowali, choć z książęcym listem i panem de Lorche pojechał, którego jest pan możny i książętom pokrewny. Hej, nie chciałem ja tu jechać, bo tam łatwiej by się potykać zdarzyło. Ale mi kazał. Słyszałem, jako raz mówił do starego pana ze Spychowa: „Zaliście wy chytrzy? — powiada. — Bo ja chytrością nie wskóram nic, a z nimi tego trzeba! Oj! — powiada. — Stryk Maćko, ten by się tu przydał!”. I z tej przyczyny mnie wysłał. Ale Jurandówny to i wy, panie, nie najdziecie<sup>1010</sup>, bo ona może już na tamtym świecie, a przeciwko śmierci by<sup>1011</sup> i największa chytrność nie pomoże...

Maćko zamyślił się i dopiero po długim milczeniu rzekł:

— Ha! To nie ma i rady! Przeciwko śmierci chytrność nie pomoże. Ale gdybym tam pojechał, a dowiedział się choć tego, że tamtą zgładzili, to Spychów zostałby i tak Zbysz-kowi, a sam mógłby tu wrócić i inną dziewczkę brać...

Tu odetchnął Maćko, jakby jakiś ciężar zrzucił z serca, a Głowacz spytał nieśmiałym, cichym głosem:

— Panienkę ze Zgorzelic?...

— Ano! — odpowiedział Maćko. — Tym bardziej że sierota, a Cztan z Rogowa i Wilk z Brzozowej coraz gorzej na nią nastają.

Lecz Czech zerwał się na równe nogi:

— Panienska sierota? Rycerz Zych?...

— To nie wiesz o niczym?

— Na miły Bóg! Cóż się stało?

— Ba, prawda, jakoże masz wiedzieć, kiedyś tu prosto zajechał, a gadaliśmy jeno o Zbyszku! Sierota jest! Zych zgorzelicki po prawdzie nigdy w domu miejsca nie przygrzał, chyba że miał gości. Inaczej zaraz mu się w Zgorzelicach cniło. Pisał ci tedy do niego opat, że jedzie w gości do księcia Przemka Oświęcimskiego<sup>1012</sup> i jego z sobą prosi. A Zychowi w to graj, ile że z księciem się znał i nieraz się z nim weselił. Przybywa zatem Zych do mnie i powiada tak: „Jadę do Oświęcimia, a potem do Glewic, a wy tu miejcie oko na Zgorzelice”. Mnie zaś zaraz coś tknęło i powiadam tak: „Nie jedźcie! Pilnujcie dziedziny i Jagienki, bo wiem, że Cztan z Wilkiem coś ci złego zamyślają”. A trzeba ci wiedzieć, że opat ze złości na Zbyszka chciał dla dziewczki Wilka albo Czтана, ale później, poznawszy ich obyczaj, sprął kiedyś obu lagą i ze Zgorzelic wyrzucił. I dobrze, ale nie bardzo, bo się okrutnie zawzięli. Teraz jest trochę spokoju, gdyż się wzajem poszczerbili i leżą, ale przedtem nie było i chwili pewnej. Wszystko na mojej głowie: obrona i opieka. A teraz Zbyszko znów chce, abym jechał... Jako tu będzie z Jagienką, nie wiem, ale tymczasem dopowiem ci o Zychu. Nie zważał na moje gadanie, pojechał. No i ucztowali, weselili się! Z Glewic jechali do ojca księcia Przemka, do starego Nosaka<sup>1013</sup>, którego w Cieszynie włada. Aż tu Jaśko, książę raciborski<sup>1014</sup>, z nienawiści ku księciu Przemkowi zbójów pod przewodem Czecha Chrzana<sup>1015</sup> na nich nasadził. I książę Przemko legł, a z nim razem i Zych zgorzelicki, strzałą w tchawicę ugodzon. Opata cepem żelaznym ogłuszyli, tak że dotychczas głową trzęsie, o świecie nie wie i mowę bodaj na zawsze utracił. No, Chrzana stary książę Nosak od pana na Zampachu kupił i tak go udręczył, że najstarsi ludzie o podobnej męce nie słyszeli, aleć ni sobie męką żalu po synu nie zmniejszył, ni Zycha nie wskrzesił, ni Jagienkę lez nie otarł. Ot im zabawa... Sześć niedziel temu przywieźli tu Zycha i pochowali.

— Taki tegi pan!... — mówił z żalem Czech. — Nie byłem ci ja już pod Bolesławcem ułomek, a on i jednego pacierza ze mną się nie zabawił i w niewolę mię wziął. Ale taka to była niewola, że bym jej był i za wolę nie pomieniał... Dobry, zacny pan! Dajże mu, Boże, światłość wiekuistą. Hej, żal, żal! Ale największy panienki, niebogi.

<sup>1010</sup>należć — dziś popr.: znaleźć. [przypis edytorski]

<sup>1011</sup>by — tu: choćby. [przypis edytorski]

<sup>1012</sup>Przemysław Oświęcimski (ok. 1365–1406) — książę cieszyński, zginął zamordowany w podróży. Kronika Długosza podaje błędną datę zajścia (1 stycznia 1400) lepiej, bo z dokładnością do miesiąca, dopasowaną do czasu akcji powieści. [przypis edytorski]

<sup>1013</sup>Przemysław I Noszak (ok. 1336–1410) — książę cieszyński, bytomski i siewierski. [przypis edytorski]

<sup>1014</sup>Jan II Raciborski, zwany Żelaznym (ok. 1365–1424) — książę raciborski od ok. 1380. [przypis edytorski]

<sup>1015</sup>Jerzy Chrzan — morderca księcia Przemysława Oświęcimskiego, stracony w publicznej egzekucji. [przypis edytorski]

— Bo i szczerą nieboga. Poniekąd i matki tak nie miłuje, jako ona ojca miłowała. I do tego nieprzeznaczono jej siedzieć w Zgorzelicach. Po pogrzebie, jeszcze śniegiem nie zasypało Zychowej mogiły, już Cztań i Wilk na zgorzelicki dwór nastąpili. Szczęściem dowiedzieli się moi ludzie przedtem, więcem z parobkami w pomoc skoczył i Bóg dał, żeśmy ich godnie sprali. Dopieroż po bitce dziewczka, kiedy to nie ułapi mnie za kolana: „Nie mogem być Zbyszkowa, prawi, nie będęm niczyja, jeno mnie od tych odmieńców ratujcie, bo, prawi, wolałabym śmierć niż ich...”. To ci mówię, nie poznałbyś teraz Zgorzelic, bom z nich kasztel prawy uczynił. Następowali jeszcze dwa razy potem, ale wiera, nie mogli dać rady. Teraz na czas jakiś jest spokój, bo jakom ci rzekł, poszczerbili się wzajem, tak że żaden ni ręką, ni nogą ruszyć nie może.

Głowacz nie odrzekł na to nic, tylko słuchając o Cztań i Wilku, zgrzytać począł tak, jakoby kto skrzypiące drzwi otwierał i zamykał, a potem jął wycierać o uda swe potężne dłonie, w których widocznie uczuł swędzenie. Wreszcie z ust wyszło mu z trudem jedno tylko słowo:

— *Zatraceny...*<sup>1016</sup>

Lecz w tej chwili głosy jakieś ozwały się w sieni, drzwi otworzyły się nagle i do izby wbiegła pędem Jagienka, a z nią najstarszy z jej braci, czternastoletni Jaśko, podobny tak do niej jak bliźniak. Ona, dowiedziawszy się od zgorzelickich chłopów, którzy po drodze widzieli poczet, że jakowis ludzie pod wodzą Czecha Hławy jechali do Bogdańca, przerażona jak Maćko, a gdy powiedzieli jej jeszcze, że Zbyszka między nimi nie widziano, była niemal pewna, że stało się nieszczęście, więc przyleciała jednym tchem do Bogdańca, by się prawdy dopytać.

— Co się stało?... Na miły Bóg! — zaczęła wołać od proga.

— Co się miało stać? — odpowiedział Maćko. — Żyw Zbyszko i zdrowy.

Czech skoczył ku pani i klękawszy na jedno kolano, począł całować kraj jej sukni, lecz ona wcale tego nie zauważyła, gdyż usłyszawszy odpowiedź starego rycerza, odwróciła głowę od ognia w cień i dopiero po chwili, jakby przypomniałszy sobie, że trzeba się przywitać, rzekła:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odpowiedział Maćko.

A ona, spostrzegłszy teraz Czecha u swych kolan, pochyliła się ku niemu.

— Radam ci, Hławo, z duszy, ale czemuś to pana ostawił?

— Wysłał mnie, panienko miłościwa.

— Co przykazał?

— Przykazał jechać do Bogdańca.

— Do Bogdańca?... I co jeszcze?

— Wysłał po radę... i z pokłonem, z pozdrowieniem.

— Do Bogdańca, i tyła? No, dobrze. A sam gdzie?

— Między Krzyżaki pojechał do Malborga.

Na twarzy Jagienki odbił się znów niepokój.

— Zali mu życie niemiłe? Czegóż?

— Szukać, miłościwa panienko, tego, czego nie odnajdzie.

— Wiera, nie odnajdzie! — wtrącił Maćko. — Jako ćwieka<sup>1017</sup> nie utwierdzisz bez młota, tako i woli ludzkiej bez boskiej.

— Cóże prawicie? — zapytała Jagienka.

Lecz Maćko na pytanie odpowiedział takim pytaniem:

— Gadałże ci co Zbyszko o Jurandównie, bo jako słyszałem, to gadał?

Jagienka zrazu nie odpowiedziała nic i dopiero po chwili, przytłumiwszy westchnienie, odrzekła:

— Ej! Gadał! A co mu wadziło gadać!

— To i dobrze, bo przez to łatwiej mi prawić — odrzekł stary.

I począł jej opowiadać, co od Czecha słyszał, sam dziwiąc się, że chwilami opowiadanie przychodzi mu jakoś nieskładnie i trudno. Że jednak istotnie był człek chytry, a szło mu o to, by na wszelki wypadek nie „złisic” Jagienki, więc mocno nastawał na to, w co zresztą

<sup>1016</sup>*zatraceny* (z czes.) — zatraceni, skazani na potępienie (przekleństwo). [przypis edytorski]

<sup>1017</sup>*ćwiek* — gwóźdź. [przypis edytorski]

sam wierzył, że Zbyszko w rzeczy<sup>1018</sup> nigdy nie był mężem Danusi i że ona przepadła już na wieki.

Czech przyświadczał mu kiedy niekiedy, to kiwając głową, to powtarzając: „Przez Bóg, jako żywo!” lub: „Tak ono, nie inac<sup>1019</sup>” — dziewczyna zaś słuchała ze spuszczonymi rzęsami na jagody, o nic już nie dopytująca i tak cicha, że aż jej milczenie zaniepokoiło Maćka.

— No i cóż ty? — pytał, skończywszy opowiadanie.

A ona nie odrzekła nic, tylko dwie łzy zabyły jej pod spuszczonymi rzęsami i stoczyły się po policzkach.

Po chwili zaś zbliżyła się do Maćka i pocałowała go w rękę, rzekła:

— Niech będzie pochwalony.

— Na wieki wieków — odrzekł stary. — Tak ci to pilno do domu? Ostańże z nami.

Lecz ona nie chciała zostać, tłumacząc się, że w domu nie wydała na wieczerzę. Maćko zaś, choć wiedział, że w Zgorzelicach jest stara szlachcianka Sieciechowa, która mogłaby ją zastąpić, nie zatrzymywał jej zbyt natarczywie, rozumiejąc, że smutek nierad świeci ludziom łzami i że człowiek jest jako ryba, która, poczuwszy w sobie grot ości, chowa się jak może najgłębiej na dno.

Więc pogładził tylko dziewczynę po głowie, a następnie odprowadził ją wraz z Czechem na dziedziniec. Ale Czech wywiódł konia ze stajni, dosiadł go i pojechał za panienką.

Maćko zaś wróciwszy, westchnął i kiwając głową, począł mruzczyć:

— Głupi ten Zbyszko to ci jest!... Aż pachnie po onej dziewce w izbie!

I rozżalił się stary w sobie. Pomyślał, że gdyby tak Zbyszko zaraz po powrocie był ją brał, to może by już do tego czasu była radość i uciecha! Zaś teraz co? Byle go wspomnieć, to wnet jej łza z oka kapnie, a chłopisko światami chodzi<sup>1020</sup> i będzie tam gdzieś o tyny<sup>1021</sup> malborskie łbem bił, póki go nie rozbije, a w chałupie pusto, jeno zbroiska ze ścian się szczyrzą. Nijaki pożytek z gospodarki, na nic zabieglivość, na nic Spychów i Bogdaniec, skoro nie będzie ich komu zostawić.

Tu gniew począł burzyć w duszy Maćka.

— Poczekaj, powsinogo — rzekł głośno — nie pojedę ja za tobą, a ty rób, co chcesz!

Lecz w tej samej chwili zdjęła go jak na złość okrutna tęsknota za Zbyszkiem. „Ba, nie pojedę — pomyślał — a w domu to zaś usiedzę? Nie usiedzę! Skaranie boskie! Bo żeby tego juchy<sup>1022</sup> choć raz w życiu nie obaczyć — nijak nie może być! Znowu tam jednego psubrata rozszczepił — i łup pobrał... Inny posiwieje, nim pas zyszcze, a jego już tam książkę opasał... I słusnie, bo siła jest chwackich pacholków między szlachtą, ale takiego drugiego chyba nie ma”.

I rozczuliwszy się całkiem, począł naprzód spoglądać po zbrojach, po mieczach i po toporach, które czerniały w dymie, jakby rozważając, co z sobą brać, a co zostawić, po czym wyszedł z izby, raz dlatego, że nie mógł w niej wytrzymać, a po wtóre, by kazać wysmarować wozy i dać koniom podwójny obrok.

Na podwórku, na którym się już mroczyło, przypomniał sobie Jagienkę, która tu przed chwilą na koń siadała, i nagle zatroskał się znowu.

— Jechać, to jechać — rzekł sobie — ale kto tu będzie dziewczyny przed Cztanem i Wilkiem bronił! Bogdaj w nich piorun trzasł!...

Jagienka zaś jechała tymczasem wraz z małym Jaśkiem drogą leśną ku Zgorzelicom, a Czech włócił się w milczeniu za nimi, z sercem przepelnionym miłością i żalem... Widział przedtem łzy dziewczyny, patrzył teraz na jej ciemną postać, zaledwie widną w mroku leśnym, i odgadywał jej smutek i ból. Zdawało mu się też, że lada chwila wyciągną się po nią z pomroki i gęstwiny drapieżne ręce Wilka lub Cztana — i na tę myśl porywała go dzika żądza bitki. Żądza ta stawała się chwilami tak nieprzeparta, że brała go ochota chwycić za topór lub miecz i razić<sup>1023</sup> bodaj sosny przy drodze. Czuł, że gdyby się dobrze

<sup>1018</sup>w rzeczy (daw.) — w rzeczywistości. [przypis edytorski]

<sup>1019</sup>inac (daw.) — inaczej. [przypis edytorski]

<sup>1020</sup>światami chodzić (daw.) — daleko podróżować. [przypis edytorski]

<sup>1021</sup>tyny (daw.) — ogrodzenie, tu: mur. [przypis edytorski]

<sup>1022</sup>jucha (daw.) — krew; tu jako przekleństwo. [przypis edytorski]

<sup>1023</sup>razić (daw.) — uderzać. [przypis edytorski]



zmachał, to by mu ulżyło. Rad by był wreszcie choć konia cwałem puścić, ale oni tam w przedzie jechali właśnie wolno, noga za nogą, nic prawie nie rozmawiając, gdyż i mały Jaśko, choć zwykle mowny<sup>1024</sup>, widząc po kilku próbach, że siostra nie chce rozmawiać, pograżył się także w milczeniu.

Lecz gdy już byli blisko Zgorzelic, żal w sercu Czecha przeważał nad gniewem na Cztana i Wilka. „Nie pożałowałbym ci ja i krwi — mówił sobie — byle cię pocieszyć, ale cóż, nieszczęsny, uczynię? Co ci powiem? Powiem chyba, że on ci się pokłonić kazał, i dajże Boże, aby ci to za pociechę starczyło”. Tak pomyślawszy, przysunął konia do konia Jagienki:

— Panienko miłościwa...

— To jedziesz z nami? — zapytała dziewczyna, ocknąwszy się jak ze snu. — A co powiesz?

— Bom zapomniał, co mi pan kazał wam powiedzieć. Na odjeźdnym w Spychowie zawołał mnie i powiedział tak: „Podejmij pod nogi panienkę ze Zgorzelic, bo czy w złej, czy w dobrej doli nigdy jej nie zabaczę, a za to, powiada, co dla stryjca i dla mnie uczyniła, niech jej Bóg zapłaci i w zdrowiu ją zachowa”.

— Bóg zapłać i jemu za dobre słowo — odrzekła Jagienka.

Po czym dodała takim jakimś dziwnym głosem, że w Czechu stopniało serce do reszty.

— I tobie, Hlawo.

Rozmowa urwała się na czas, lecz giermek rad był z siebie i z tego, co panience powiedział, w duszy bowiem mówił sobie: „Przynajmniej tego nie pomyśli, że ją niewdzięcznością nakarmiono”. Zaczął też zaraz wyszukiwać w swej pocziwej głowie, co by jej jeszcze znów takiego powiedzieć, i po chwili znów począł:

— Panienko...

— Co?

— To... niby... chciałem rzec, jakom i staremu panu z Bogdańca mówił, że tamta już przepadła na wieki i że on jej nigdy nie odnajdzie, choćby mu sam mistrz pomagał.

— To żona jego — odrzekła Jagienka.

A Czech ją kręcić głową:

— Taka ona i żona...

Jagienka nie odpowiedziała już na to nic, lecz w domu po wieczery, gdy Jaśko i młodszy bracia spać poszli, kazała przynieść dzban miodu i zwróciwszy się do Czecha, spytała:

— A może wołałbyś spać, bom chciała krzyne<sup>1025</sup> ugwarzyć.

Czech, choć był zdrożon, gotów był gwarzyć choćby do rana, więc poczęli rozmawiać, a raczej on opowiadał znów szczegółowo wszystkie przygody Zbyszka, Juranda, Danusi i swoje.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Maćko gotował się do drogi, a Jagienka nie pokazywała się w Bogdańcu przez dwa dni, spędziła je bowiem na naradach z Czechem. Spotkał ją stary rycerz dopiero dnia trzeciego, w niedzielę, w drodze do kościoła. Jechała do Krześni z bratem Jaśkiem i ze znacznym pocztem zbrojnych pachółków, albowiem nie była pewna, czy Cztan i Wilk leżą jeszcze i czy nie uczynią na nią jakowejś napaści.

— Chciałam i tak wstąpić po mszy do Bogdańca — rzekła, powitawszy Maćka — bo pilną mam do was sprawę, ale możemy i zaraz o niej gadać.

To rzekłszy, wysunęła się na przodek orszaku, nie chcąc widocznie, by pachółkowie słyszeli rozmowę, a gdy Maćko znalazł się przy niej, zapytała:

— To już pewno jedziecie?

— Da Bóg, jutro, nie później.

— I do Malborga?

— Do Malborga albo i nie. Gdzie wypadnie.

— To posłuchajcie teraz i mnie. Długo myślałam, co mi trzeba uczynić, a teraz chcę się i was o radę spytać. Drzewiej, wiecie, póki tatulo był żywy, a opat miał moc w sobie, było co innego. Cztan i Wilk myśleli też, że jednego z nich wybiorę, i hamowali się

<sup>1024</sup>mowny (daw.) — gadatliwy. [przypis edytorski]

<sup>1025</sup>krzyne (daw.) — trochę. [przypis edytorski]

wzajem. A teraz останę bez nijakiej obrony i albo będę w Zgorzelicach za ostrokołem jako w więzieniu siedzieć, albo niechybnie stanie mi się tu od nich krzywda. Sami powiedzcie, czy nie tak?

— Ba — rzekł Maćko — myślałem o tym i ja.

— I coście wymyślili?

— Nie wymyśliłem nic, ale to jeno ci muszę powiedzieć, że u nas przecie polski kraj i że za przemoc nad dziewczką okrutne są kary w statucie<sup>1026</sup>.

— To dobrze, ale granicę nietrudno przeskoczyć. Jużci wiem, że i Śląsk polski kraj, a wždy tam książęta sami się z sobą wadzą i na się wzajem następują. Żeby nie to, żyłby mój tatulo kochany. Nalazło tam już Niemców i burzą a krzywdy czynią, więc kto się chce między nimi skryć, to się i skryje. Pewnie, że łatwo bym się ni Cztanowi, ni Wilkowi nie dała, ale chodzi mi też i o braci. Nie będzie tu mnie, będzie spokój, a jeśli w Zgorzelicach останę, Bóg wie, co się przygodzi. Zdarzą się napaści, bitki, a Jaśkowi już czternaście roków i żadna, a nie dopieroż moja, moc go nie utrzyma. Ostatni raz, kiedyście to nam w pomoc przyszli, już on się rwał ku przodowi i jak Cztan prasnął w kupę buławą<sup>1027</sup>, mało mu o głowę nie zawadził. Hej! Gadał już Jaśko czeladzi, że obu tamtych pozwie na udeptaną ziemię. Nie będzie, mówię wam, ni dnia spokoju, bo i młodszych może co złego spotkać.

— Wiera! Psubraty oni są, i Cztan, i Wilk — rzekł żywo Maćko — wszelako na dzieci ręki nie podniosą. Tfu! Taką rzecz chyba Krzyżak uczyni.

— Na dzieci ręki nie podniosą, ale w zgiełku albo, czego Boże broń, w razie ognia o przygodę nietrudno. Co tu gadać! Miłuje braci stara Sieciechowa jak rodzonych i opieki a zaś starunku im nie zbraknie, jeno beze mnie byłoby przepieczniej niż ze mną.

— Może być — odrzekł Maćko.

Po czym spojrział bystro na dziewczynę:

— Czegoż ty chcesz?

A ona odrzekła przyciszonym głosem:

— Weźcie mnie z sobą.

Na to Maćko, choć nietrudno mu już było domyślić się zakończenia rozmowy, zdumiał się jednak mocno, zatrzymał konia i zawołał:

— Bój się Boga, Jagienka!

Ona zaś spuściła głowę i odrzekła jakby z nieśmiałością i zarazem smutkiem:

— Moiście wy! Jako co do mnie, wolę szczerze mówić niż taić. I Hława, i wy powiadacie, że Zbyszko już tamtej nigdy nie odnajdzie, a Czech gorzej się jeszcze spodziewa. Bóg mi świadek, nie życzę jej nijakiego zła. Niech mu ją tam, niebogę, Matka Boska strzeże i uchroni. Milsza ona była ode mnie Zbyszskowi, no i nie ma rady! Taka moja dola. Ale widzicie, póki jej Zbyszko nie odnajdzie albo jeśli, jako wierzycie, nigdy nie odnajdzie, to to...

— To co? — spytał Maćko, widząc, że dziewczka coraz się więcej miesza i zacina.

— To ja nie chcę być ni Cztanowa, ni Wilkowa, ni niczyja.

Maćko odetchnął z zadowoleniem.

— Myślałem, żeś go już zahaczyła<sup>1028</sup> — rzekł.

A ona odpowiedziała jeszcze smutniej:

— Hej!...

— To i czegoż chcesz? Jakoże mi między Krzyżaki cię brać?

— Niekoniecznie między Krzyżaki. Chciałabym teraz choć do opata, który w Sieradzu chorobą złożon. Nie ma on tam jednej życzliwej duszy przy sobie, bo szpyłmany pewnikiem dzbana więcej pilnują niż jego, a to przecie mój krzestny i dobrodziej. A choćby zdrów był, to też bym szukała jego opieki, bo ludzie się go boją.

— Nie będę ja się tam sprzeczał — rzekł Maćko, który w gruncie rzeczy rad był z postanowienia Jagienki, znając bowiem Krzyżaków, wierzył głęboko, że Danuška nie wyjdzie żywa z ich rąk. — Ale to ci jeno rzekę, że w drodze z dziewczką okrutny kłopot.

Wróg

<sup>1026</sup>statut — dokument spisujący prawa. [przypis edytorski]

<sup>1027</sup>bulawa (daw.) — broń o kulistej głowicy. [przypis edytorski]

<sup>1028</sup>zahaczyć — tu: skreślić, zrezygnować z niego. [przypis edytorski]

— Może z inną, ale nie ze mną. Nie potykałam ja się dotychczas nigdy, ale nie nowina mi z kuszy dziać<sup>1029</sup> i trudy na łowach znosić. Jak trzeba, to trzeba, nie bójcie się. Wezmę szatki Jaśkowe, pątlík na włosy, kordzik przypaszę i pojedę. Jaśko, choć młodszy, ni na włos nie mniejszy, a z gęby taki ci do mnie podobny, że jak bywało, przebieraliśmy się na zapusty, to i tatulo nieboszczyk nie umiał rzec, które on, a które ja... Obaczycie, że nie pozna mnie ni opat, ni kto inny.

— Ni Zbyszko?

— Jeśli go obaczę...

Maćko zamyślił się przez chwilę, po czym uśmiechnął się nagle i rzekł:

— A Wilk z Brzozowej i Cztan z Rogowa to chyba się powściekają!

— A niech się powściekają. Gorzej, że może za nami pojedą.

— No! Nie boję się. Stary ja, ale lepiej mi pod pięść nie włożyć. I wszystkim Gradom też!... Zbyszka już przecie spróbowali.

Tak rozmawiając, dojechali do Krześni. W kościele był i stary Wilk z Brzozowej, który kiedy niekiedy rzucał posępne spojrzenia na Maćka, ale ów o to nie dbał. I z lekkim sercem powracał po mszy wraz z Jagienką do domu. Lecz gdy na rozstaju pożegnali się z sobą i gdy znalazł się sam w Bogdańcu, poczęły mu przychodzić do głowy mniej wesołe myśli. Rozumiał, że ni Zgorzelicom, ni rodzeństwu Jagienki na wypadek jej wyjazdu istotnie nic nie grozi. „Po dziewczkę by sięgali — mówił sobie — bo to jest inna rzecz, ale na sieroty albo na ich mienie ręki nie podniosą, gdyż okryliby się hańbą okrutną i kto żyw, ruszyłby przeciw nim jakoby przeciw prawdziwym wilkom. Ale Bogdaniec zostanie na łasce Bożej!... Kopce poprzesypują, stada zagarną, kmiściów odmówią!... Da Bóg, jak wrócę, to odbiję, zapowiedź poślę i do sądu pozwę, boć nie sama pięść, ale i prawo u nas rządzi... Jenó czy wrócę i kiedy wrócę?... Strasznie się oni na mnie zawzięli, że im do dziewczki przeszkadzam, a gdy ona pojedzie za mną, to będą jeszcze zawzięti!”

Prawo

I chwycił go żal, bo już zagospodarował się był w Bogdańcu, jako się patrzy, a teraz był pewien, że gdy powróci, zastanie znów pustkę i zniszczenie.

„Ano! Trzeba radzić” — pomyślał.

Jakoż po obiedzie kazał okulbaczyć konia, siadł na niego i pojechał wprost do Brzozowej.

Przyjechał już mrokiem. Stary Wilk siedział w przodowej izbie<sup>1030</sup> za dzbanem miodu, młody zaś, poszczerbion przez Cztana, leżał na pokrytej skórą ławie i pił także. Maćko wszedł niespodzianie do izby i stanął w progu z twarzą surową, wysoki, kościsty, bez zbroi, ale z tęgim kordem przy boku, oni zaś poznali go natychmiast, bo na oblicze padał mu jasny blask płomienia, i w pierwszej chwili zarówno ojciec, jak i syn zerwali się piorunem na równe nogi i skoczywszy ku ścianom, chwycili za oręż, jaki im wpadł pod rękę.

Lecz stary bywalec, znający na wylot ludzi i obyczaje, nie zmieszał się bynajmniej, dłonią nie sięgnął do korda, tylko wsparł się pod bok i rzekł spokojnym głosem, w którym drgało nieco szyderstwa:

— Jakoże? Taka ślachecka gościna w Brzozowej?

Na te słowa tamtych opadły zaraz ręce, a po chwili stary wypuścił z brzękiem na ziemię miecz, młody — dzidę, i stali z powyciąganymi ku Maćkowi szyjami, mając twarze jeszcze złowrogie, ale już zdumione i zawstyżone.

Ów zaś uśmiechnął się i rzekł:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków.

— I święty Jerzy.

— Służym mu.

— Po somsiedzkum<sup>1031</sup> przyjechał, z dobrą wolą.

— Z dobrą wolą witamy. Święta osoba gość.

Dopieroż stary Wilk skoczył ku Maćkowi, a za starym młody i obaj poczęli ścisnąć mu prawicę, a następnie usadzili na poczesnym miejscu za stołem. W mig dołożono szczap do komina, nakryto kilimkiem stół, postawiono misy pełne jada, łagwie piwa, dzbańce

<sup>1029</sup>dziać (daw.) — strzelać z łuku bądź z kuszy. [przypis edytorski]

<sup>1030</sup>przodowa izba (daw.) — pomieszczenie od frontu. [przypis edytorski]

<sup>1031</sup>po somsiedzkum — dziś popr.: po sąsiedzku. [przypis edytorski]

miodu i poczęli jeść i pić. Młody Wilk rzucał od czasu do czasu na Maćka szczególnym wzrokiem, w którym cześć dla gościa usiłowała przezwyciężyć nienawiść do człowieka, ale służył mu jednak tak pilnie, że aż pobladł ze zmęczenia, gdyż był ranny i pozbawion zwykłej siły. I ojca, i syna paliła ciekawość, z czym Maćko przyjechał, żaden jednak nie zapytał go o nic, czekając, póki sam mówić nie zacznie. Ów zaś, jako człowiek znający obyczaj, chwalił jadło, napitek i gościnność i dopiero gdy się dobrze nasycił, spojrzął przed się z powagą i rzekł:

— Zdarzy się nieraz ludziom wadzić, ba! i potykać, ale somszedzki mir nade wszystko!

— Nie masz nad mir godniejszej rzeczy — odpowiedział z równą powagą stary Wilk.

— Bywa też — rzekł znów Maćko — że gdy czleku w daleką drogę jechać trzeba, to chociaż z kim w nieprzyjaźni żył, przecie mu go żal i bez pożegnania nie chce odjechać.

— Bóg zapłać za szczere słowo.

— Z duszy radziśmy wam. Przyjeżdżajcie choćby i co dzień.

— Bogdajem mógl i was w Bogdańcu uczcić, jako się należy ludziom znającym rycerską cześć, ale mi rychło w drogę czas.

— Na wojnę zaś alibo do jakowegoś świętego miejsca?

— Wolej by to lub tamto, ale gorzej, bo między Krzyżaki.

— Między Krzyżaki? — zakrzyknęli jednocześnie ojciec i syn.

— Tak jest! — odparł Maćko. — A kto między nich, nie będąc im przyjacielem, jedzie, temu się lepiej i z Bogiem, i z ludźmi pojednać, aby zaś nie tylko żywota, ale i wiekuistego zbawienia nie stradał.

— To aż dziw — rzekł stary Wilk. — Jeszczem też takiego czleka nie widział, który by się z nimi zetknął, a krzywdy i uciemiężenia nie doznał.

— Tak jak i całe nasze królestwo! — dodał Maćko. — Ni Litwa przed krztem świętym, ni Tatarzy nie byli mu ciężsi od tych diabelskich mnichów.

— Rzetelna prawda, ale bo też wiecie: zbierało się i zbierało, póki się nie nazbierało, a teraz czas by skończyć, ot jak!

To rzekłszy, stary splunął z lekka w obie dłonie, młody zaś dodał:

— Nie może już inaczej być.

— I pewnie będzie, ale kiedy? Nie nasza w tym głowa, jeno królewska. Może prędko, może nieprędko... Bóg to wie, a tymczasem trzeba mi do nich jechać.

— A czy nie z wykupem za Zbyszka?

Na wzmiankę uczynioną przez ojca o Zbyszku twarz młodego Wilka pobladła w jednej chwili z nienawiści i uczyniła się złowroga.

Lecz Maćko odpowiedział spokojnie:

— Może i z wykupem, ale nie za Zbyszka.

Słowa te wzmogły jeszcze ciekawość obu dziedziców Brzozowej, więc stary, nie mogąc już dłużej wytrzymać, rzekł:

— Wola wasza mówić albo nie mówić, po co tam jedziecie.

— Powiem! Powiem! — rzekł, kiwając głową, Maćko. — Ale pierwej powiem wam co innego. Oto, uważcie, po moim wyjeździe Bogdaniec zostanie na opiece Bożej... Drzewiej, kiedyśmy to oba ze Zbyszkiem wojowali pod księciem Witoldem, miał oko na naszą chudobę<sup>1032</sup> opat, ba, trochę i Zych ze Zgorzelic, a teraz nie będzie i tego. Strasznie markotno pomyśleć człowiekowi, że po próżnicy zabiegał i pracował... A przecie rozumiecie, jako to bywa: ludzi mi odmówią, granicę zaorzą, ze stad też urwie każdy, co będzie mógl, i choćby Pan Jezus pozwolił szczęśliwie wrócić, to wrócim znów do pustki... Jeden na to sposób i jedno poratowanie: dobry sąsiad. Przeto tum przyjechał prosić was po sąsiedzku, abyście Bogdaniec w opiekę wzięli i krzywdy nie dali uczynić.

Usłyszawszy tę prośbę, spojrzął stary Wilk na młodego, a młody na starego i obaj zdumieni się niepomiernie<sup>1033</sup>. Nastąpiła chwila milczenia, gdyż na razie żaden nie zdobył się na odpowiedź. Maćko zaś podniósł do ust czarę miodu, wypił ją, po czym mówił dalej tak spokojnie i poufnie, jakby ci obaj byli mu od lat najbliższymi przyjaciółmi.

— To już powiem wam szczerze, od kogo się tu najwięcej szkód boję. Jużci nie od kogo innego, jeno od Cztana z Rogowa. Od was, choćbyśmy i w nieprzyjaźni się rozstali,

<sup>1032</sup>chudoba — skromny dobytek. [przypis edytorski]

<sup>1033</sup>niepomiernie (daw.) — bardzo. [przypis edytorski]

nie bałbym się, a to z takiej przyczyny, żeście ludzie rycerscy, którzy do oczu nieprzyjacielowi staną, wszelako niegodnej pomsty za jego oczyma nie wywrą. Hej! Z wami całkiem co innego... Co rycerz, to rycerz! Ale Cztan jest prostak, a od prostaka wszystkiego się można spodziewać, tym bardziej że jako wiecie, okrutnie on na mnie zawzięty za to, że mu do Jagienki Zychówny przeszkadzam.

— Którą dla bratanka chowacie! — wybuchnął młody Wilk.

A Maćko spojrział na niego i przez chwilę trzymał go pod zimnym wzrokiem, następnie zwrócił się do starego i rzekł spokojnie:

— Wiecie, mój bratanek z jedną mazurską dziedziczką się ożenił i wiano zacne wziął.

Nastało ponowne, głębsze jeszcze milczenie; ojciec i syn patrzyli przez jakiś czas na Maćka z otwartymi ustami, na koniec starszy ozwał się:

— He! Jakże to? Bo gadali... Powiedźcie?...

A Maćko, niby nie zważając na pytanie, mówił dalej:

— Dlatego właśnie trzeba mi jechać i dlatego proszę was: wejrzyjcie też od czasu do czasu na Bogdaniec i nie dajcie mi nikomu krzywdy uczynić, a zwłaszcza od najścia Cztanowego mnie ustrzeżcie, jako godni i uczciwi somsiedzi<sup>1034</sup>!...

Przez ten czas młody Wilk, który miał rozum dość bystry, prędko pomiarkował, że skoro Zbyszko się ożenił, to Maćka lepiej jest mieć przyjacielem, albowiem i Jagienka miała do niego ufność, i we wszystkim gotowa była iść za jego radą. Nagle całkiem nowe widoki otworzyły się przed oczyma młodego paliwody<sup>1035</sup>. „Nie dość się Maćkowi nie sprzeciwić, trzeba go jeszcze zjednać!” — rzekł sobie. Więc choć był trochę napity, wyciągnął wartko pod stołem rękę, ułapił ojca za kolano, ścisnął mocno na znak, żeby czegoś niepotrzebnego nie powiedział, sam zaś rzekł:

— Wy się Cztana nie bójcie! Oho! Niechby jeno spróbował! Poszczerbił mnie on krzywą: prawda! Alem też mu za to tak ten włochaty pysk pochlastał, że go rodzona mać nie poznała. Nie bójcie się niczego! Jedźcie spokojnie. Nie zginie wam i jedna wrona z Bogdańca!

— To widzę, zacni z was ludzie. Przyrzekacie?

— Przyrzekamy! — zawołali obaj.

— Na rycerską cześć?

— Na rycerską cześć.

— I na klejnot?

— I na klejnot! Ba! I na krzyż! Tak nam dopomóż Bóg!

Maćko uśmiechnął się z zadowoleniem, po czym rzekł:

— No, tegom się po was i spodziewał. A kiedy tak, to wam jeszcze coś rzekę... Zych, jako wiecie, mnie zdał opiekę nad dziećmi. Dlatego to Cztanowi i tobie, młodziaku, przeszkadzał, kiedyście to siłą chcieli wtargnąć do Zgorzelic. A teraz, jak będę w Malborgu albo Bóg wie gdzie, taka to będzie i opieka... Prawda, że nad sierotami jest Bóg i że takiemu, który by je chciał pokrzywdzić, nie tylko by szyję toporem ucięto, ale by go i za bezecnego ogłoszono. Wszelako markotno mi, że jadę. Okrutnie markotno. Obiecacież mi, jako i sierot Zychowych nie tylko sami nie pokrzywdzicie, ale i nikomu ich pokrzywdzić nie dacie.

— Przysięgamy! Przysięgamy!

— Na rycerską cześć i na klejnot?

— Na rycerską cześć i na klejnot!

— I na krzyż także?

— I na krzyż!

— Bóg słyszał. Amen! — zakończył Maćko.

I odetchnął głęboko, bo wiedział, że takiej przysięgi dotrzymają, choćby każdy miał sobie pięści z gniewu i złości poobgryzać.

I począł się zaraz żegnać, ale oni zatrzymali go prawie przemocą. Musiał pić i pokumał się ze starym Wilkiem, młody zaś, choć zwykle po pijanemu zwady szukał, tym razem odgrażał się tylko na Cztana, a koło Maćka zabiegał tak gorliwie, jakby zaraz jutro miał dostać od niego Jagienkę. Przed północą jednak omdlał z wysiłku, a gdy go docucono,

<sup>1034</sup>somsiedzi — dziś popr.: sąsiedzi. [przypis edytorski]

<sup>1035</sup>paliwoda (daw.) — człowiek gwałtowny i lekkomyślny. [przypis edytorski]

zasnął kamieniem. Stary poszedł wkrótce za przykładem syna, tak że Maćko zostawił ich obu jak nieżywych przy stole.

Sam jednak, mając głowę nad miarę wytrzymałą, nie był pijany, tylko nieco rozochocion, więc wracając do domu, rozmyślał prawie z radością o tym, czego dokazał.

— No! — mówił sobie. — Bogdaniec bezpieczny i Zgorzelice bezpieczne. Powściekają się z przyczyny Jagienkowej jazdy, a strzec i mojego, i jej dobra będą, bo muszą. Pan Jezus dał człeku obrotność... Jak gdzie nie można pięścią, to trzeba rozumem... Jeśli wróce, nie bez tego będzie, żeby mnie stary w pole nie pozwał, ale mniejsza o to... Bóg by dał, żeby tak i Krzyżaków usidlić... Ale z nimi trudniej... Nasz, choć trafi się i psubrat, wszelako gdy na rycerską cześć i klejnot przysięże, to i zdzierzy, a dla nich przysięga tyle, co plucie na wodę. Ale może mnie Matka Pana Chrystusowa wesprze, że przydam się na coś Zbyszkowi, jakom się teraz Zychowym dzieciom i Bogdańcowi przydał...

Tu przyszło mu do głowy, że po prawdzie mogłaby dziewczyna nie jechać, bo dwaj Wilkowie będą jej strzegli jak żrenicy oka. Po chwili jednak porzucił tę myśl: „Wilkowie będą jej strzegli, ale za to Cztan będzie tym bardziej nastawał. Bóg wie, kto kogo zmoże, a rzecz pewna, że zdarzą się bitki i napaści, w których ucierpieć mogą Zgorzelice, Zychowe sieroty i sama nawet dziewczyna. Wilkom pilnować samego Bogdańca będzie łatwiej, a dla dziewczki lepiej w każdym razie, by była z dala od tych dwóch zabijaków i zarazem blisko bogatego opata”. Maćko nie wierzył w to, by Danusia mogła wyjść żywa z rąk krzyżackich, więc nie wyzbył się jeszcze nadziei, że gdy czasem Zbyszko wróci wdowcem, wówczas niechybnie poczuje ku Jagience wolę bożą.

— Hej, mocny Boże! — mówił sobie. — Żeby tak, mając Spychów, jeszcze potem Jagienkę wziął z Moczydołami i z tym, co jej opat ostawi, nie pożałowałbym i kamienia<sup>1036</sup> wosku na świecę!

Na podobnych rozmyślniach prędko zesła mu droga z Brzozowej, jednakże przybył późną już nocą i zdziwił się, ujrawszy mocno oświetlone błony okien. Parobcy też nie spali, bo zaledwie wjechał na oborę<sup>1037</sup>, wybiegł ku niemu stajenny.

— Goście jakowis czy co? — zapytał Maćko, zsiadając z konia.

— Jest panicz ze Zgorzelic z Czechem — odrzekł stajenny.

Maćka zdziwiły te odwiedziny. Jagienka obiecała przyjechać nazajutrz do dnia i mieli zaraz ruszać. Czemu więc przyjechał Jaśko i to tak późno.

Stary rycerz pomyślał, że mogło się coś przytrafić w Zgorzelicach, i z pewnym niepokojem w duszy wszedł do domu.

Ale w izbie, w wielkim, glinianym kominie, który zastąpił we dworze zwykle ułożone na środku izby ognisko, paliły się jasno i wesoło żywiczne szczypki, a nad stołem płonęły w żelaznych kunach dwie pochodnie, przy których blasku ujrzał Maćko Jaśka, Czecha Hławę i jeszcze jednego młodego pacholka z twarzą rumianą jak jabłuszko.

— Jakoże się miewasz, Jaśku, a co tam z Jagienką? — zapytał stary szlachcic.

— Jagienka kazała wam powiedzieć — rzekł, całując go w rękę, chłopak — że się rozmyśliła i woli zostać doma.

— Bójcież się Boga! A to co? Jak? Cóż jej tam do głowy strzeliło?

A chłopak podniósł na niego modre oczęta i pocałował się śmiać.

— Czegoż się rzechoczesz?

Lecz w tej chwili Czech i drugi pacholek wybuchnęli także wesołym śmiechem.

— Widzicie! — zawołał mniemany chłopak. — Któż mnie pozna, skoroście wy nie poznali?

Dopieroż Maćko przypatrzył się wdzięcznej figurce uważniej i zawołał:

— W imię Ojca i Syna! Czyste<sup>1038</sup> zapusty<sup>1039</sup>! A ty tu, skrzacie, czego?

— Ba! Czego?... Komu w drogę, temu czas!

— Miałaś przecie jutro świtanem przyjechać?

— Juźci! Jutro świtanem, żeby wszyscy widzieli! Jutro pomyślą w Zgorzelicach, żem u was w gościnie, i nie opatrzą się aż pojutrze. Sieciechowa i Jaśko wiedzą, ale Jaśko obiecał

<sup>1036</sup>kamień — dawna jednostka wagi, nazwa pochodzi od kamieni będących częścią żaren. [przypis edytorski]

<sup>1037</sup>obora — dawniej także: dziedziniec. [przypis edytorski]

<sup>1038</sup>czysty — prawdziwy (por. „czysty zysk”). [przypis edytorski]

<sup>1039</sup>zapusty (daw.) — karnawał, przebierańce. [przypis edytorski]

na rycerską cześć, że powie dopiero wtedy, gdy poczną się niepokoić. Ale nie poznaliście mnie, co?

Więc z kolei pocałował się Maćko śmiać.

— A niechże ci się ta jeszcze przyjrzę... Hej! Okrutnie śwarny<sup>1040</sup> z ciebie pacholik!... I osobliwy, bo z takiego można się i przychowku<sup>1041</sup> doczekać... Sprawiedliwie mówię! Żeby to nie był stary, no! Ale i tak ci powiadam: waruj się, dziewczko, włazić mi w oczy! Waruj się!...

I pocałował jej przygrzącać<sup>1042</sup> palcem, śmiejąc się, ale patrzył na nią z wielkim upodobaniem, albowiem takiego pacholka nigdy w życiu nie widział.

Na głowie miała pątliczek jedwabny, czerwony, na sobie zielony sukieny kubrak, a zaś spodenki buchaste przy biodrach, a dalej obciste, w których jedna nogawiczka była barwy pątlaka, druga w podłużne pasy. I z bogatym kordzikiem przy boku, z uśmiechniętą i jasną jak zorza twarzą wyglądała tak ślicznie, że oczu nie można było od niej oderwać.

— Boga mi! — mówił rozweselony Maćko. — Alibo cudne jakoweś paniątko, alibo kwiatuszek czy co?

Po czym zwrócił się do drugiego pacholka i zapytał:

— A ten tu?... Pewnikiem też jaki odmieniec?

— A wżdy to Sieciechówna — odrzekła Jagienka. — Nieskładnie by mi było samej między wami, bo jakże? To dlatego wzięłam z sobą Anulkę, że we dwie różnie, i pomoc jest, i sługa. Jej też nikt nie pozna.

— Masz ci babo wesele! Mało było jednej, będzie dwie.

— Nie przekomarzajcie się.

— Nie przekomarzam się ja, ale przecie w dzień każdy pozna i ją, i ciebie.

— Ba! A po czym?

— Bo ci kolana k'sobie<sup>1043</sup> idą, i jej też.

— Dajcie spokój!...

— Juźci dam, bo mi nie pora, ale czy i Czta z Wilkiem dadzą, Bóg wie. Wiesz ty, bąku, skąd wracam? Z Brzozowej.

— Na miły Bóg! Co też mówicie?

— Prawdę, jako i to prawda, że Wilkowie będą bronili od Czta i Bogdańca, i Zgorzelic. No! Pozwać nieprzyjaciół i pobić się z nimi łatwo, ale z nieprzyjaciół stróżów własnego dobra uczynić to nie byle cap potrafi.

Tu Maćko pocałował opowiadać o swoich odwiedzinach u Wilków, jak ich sobie zjednał i na hak przywiódł<sup>1044</sup>, a ona słuchała z wielkim zdumieniem, a gdy wreszcie skończył, rzekła:

— Chytróści to Pan Jezus wam nie poskąpił i miarkuję, że wszystko tak zawsze będzie, jak chcecie.

Lecz Maćko pocałował na to kiwać głową jakby ze smutkiem.

— Ej, dziewczyno, kiedy by tak wszystko było, jako ja chcę, to ty byś dawno już była gospodynią w Bogdańcu!

Na to Jagienka popatrzyła na niego czas jakiś swymi modrymi oczyma, po czym zbliżywszy się, pocałowała go w rękę.

— Czegóż mnie boćkasz? — zapytał stary.

— Nic!... Mówię jeno dobranoc, bo późno, a jutro trzeba nam do dnia ruszyć.

I zabrawszy Sieciechównę, odeszła, a Maćko zaprowadził Czecha do alkierza, gdzie ległszy na żubrzych skórach, zasnęli obaj snem mocnym i krzepiącym.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jakkolwiek po zniszczeniu, pożodze i rzezi, którą w 1331 roku wyprawili w Sieradzu Krzyżacy, Kazimierz Wielki<sup>1045</sup> odbudował zrównane z ziemią miasto — nie było ono jednak

<sup>1040</sup>śwarny (daw.) — ładny. [przypis edytorski]

<sup>1041</sup>prychówek — potomstwo. [przypis edytorski]

<sup>1042</sup>przygrzącać — dziś popr.: wygrzącać. [przypis edytorski]

<sup>1043</sup>k'sobie (daw.) — do siebie. [przypis edytorski]

<sup>1044</sup>na hak przywieść (daw.) — złapać, poskromić, jak psa łańcuchowego. [przypis edytorski]

<sup>1045</sup>Kazimierz Wielki (1310–1370) — ostatni król Polski z dynastii Piastów (od 1333), znacząco poprawił sytuację gospodarczą kraju i standardy cywilizacyjne. [przypis edytorski]

zbyt świetne i nie mogło iść w porównanie z innymi grodami Królestwa. Ale Jagienka, której życie płynęło dotychczas między Zgorzelicami a Krześnią, nie posiadała się ze zdumienia i podziwu na widok murów, wież, ratusza, a zwłaszcza kościołów, o których drewniany krześniński nie dawał najmniejszego pojęcia. W pierwszej chwili straciła tak dalece zwykłą rezolutność, że nie śmiała mówić głośno i tylko szeptem wypytywała Maćka o te wszystkie cuda, od których olśniewały jej oczy, gdy zaś stary rycerz upewniał ją, że Sieradzowi tak do Krakowa jako zwyczajnej głowni do słońca, uszom nie chciała wierzyć, albowiem wydawało się jej prostym niepodobieństwem, aby mógł istnieć drugi równie wspaniały gród na świecie.

W klasztorze przyjął ich ten sam zgrzybiały przeor, który pamiętał jeszcze z dziecińczych lat rzeź krzyżacką i który poprzednio przyjmował Zbyszka. Wiadomości o opacie sprawiły im smutek i kłopot. Mieszkał on długo w klasztorze, ale przed dwoma tygodniami wyjechał do swego przyjaciela, biskupa płockiego. Chorzał ciągle. Za dnia, z rana bywał przytomny, ale wieczorami tracił głowę, zrywał się, kazał sobie nakładać pancerz i pozywał na bitwę księcia Jana z Raciborza. Klerykowie waganci musieli go siłą trzymać w łóżu, co nie przychodziło bez wielkich trudności, a nawet i niebezpieczeństwa. Przed dwoma dopiero tygodniami oprzytomniał całkiem i pomimo że osłabł jeszcze bardziej, kazał się zaraz wieźć do Płocka.

— Mówił, że nikomu tak nie ufa jako biskupowi płockiemu — kończył przeor — i że z jego rąk chce przyjąć sakramenta, a przy tym i testament u niego zostawić. Przeciwiłiśmy się tej podróży, jakeśmy mogli, bo był mdły bardzo, i baliśmy się, że i mili żyw nie ujedzie. Ale przeciwić mu się niełatwo, więc szpylmany wymościłi wóz i powieźli go, daj Boże, szczęśliwie.

— Gdyby był zmarł gdzie blisko Sieradza, to bylibyście przecie słyszeli — rzekł na to Maćko.

— Bylibyśmy słyszeli — odparł staruszek — toteż tak myślím, że nie zmarł i że przynajmniej do Łęczycy ostatniej pary nie puścił, ale co się dalej mogło przygodzić, nie wiemy. Jeśli pojedziecie za nim, to się po drodze dowiecie.

Maćko zatroskał się tymi wiadomościami i udał się na naradę do Jagienki, która już przez Czecha dowiedziała się, dokąd opat wyjechał.

— Co robić? — spytał jej. — I co z sobą uczynisz?

— Pojedziecie do Płocka, a ja z wami — odrzekła krótko.

— Do Płocka! — zawtórowała jej ciekim głosem Sieciechówna.

— Patrzcie, jako to się rządzą! Tak ci od razu do Płocka jak sierpem rzucić?

— A jakoże mi samej z Sieciechówną wracać? Miałabym z wami dalej nie jechać, to lepiej było wcale nie wyjeżdżać. Zali nie myślicie, że tamci się gorzej jeszcze rozsiędzili i zawzięli?

— Wilkowie cię przed Cztanem obronią.

— Boję ja się tak samo Wilkowej obrony jak Cztanowej napaści, a to też widzę, że wy się przeciwicie, byle się przeciwic, ale nieszczerze.

Maćko rzeczywiście nie sprzeciwiał się szczerze. Owszem, wołał, by Jagienka z nim jechała, niż żeby miała wracać, więc usłyszawszy jej słowa, uśmiechnął się i rzekł:

— Spódnicy się wyzbyła, to jej się rozumu zachciewa.

— Rozum nie gdzie indziej, jeno w głowie.

— Ale mnie z drogi przez Płock.

— Mówił Czech, że nie z drogi, a do Malborga to i bliżej.

— To jużście z Czechem uradzali?

— A pewnie, i powiedział jeszcze tak: jeśli, powiada, młody pan popadł w jakowe złe terminy w Malborgu, to przez księżnę Aleksandrę płocką siła można by wskórać, bo ona, rodzona<sup>1046</sup> królewska i prócz tego będąc osobliwszą przyjaciółką Krzyżakom, wielkie ma między nimi zachowanie<sup>1047</sup>.

— Prawda, jak mi Bóg miły! — zawołał Maćko. — Wszyscy o tym wiedzą i gdyby chciała dać list do mistrza, przepiecznie byśmy jeździli po wszystkich ziemiach krzyżackich. Miłują ci oni ją, bo i ona ich miłuje... Dobra to rada i niegłupi chłop ten Czech!

<sup>1046</sup>rodzona — siostra. [przypis edytorski]

<sup>1047</sup>zachowanie (daw.) — poważanie, cześć, szacunek. [przypis edytorski]



— Jeszcze i jak! — zawołała z zapalem Sieciechówna, wznosząc ku górze niebieskie oczki.

Maćko zaś zwrócił się nagle ku niej:

— A ty tu czego?

Więc dziewczyna zmieszała się okrutnie i opuściwszy długie rzęsy, zapłonila<sup>1048</sup> się jak róża.

Jednakże widział Maćko, że nie ma innej rady, tylko trzeba obie dziewczyny dalej z sobą brać, że zaś i w duszy miał na to ochotę, więc nazajutrz, pożegnawszy staruszka przeora, ruszyli w dalszą podróż. Z przyczyny tajania śniegów i wezbranych wód jechali z większym trudem niż poprzednio. Po drodze dopytywali o opata i trafili na wiele dworów, plebanii, a gdzie ich nie było, to nawet i karczem, w których zatrzymywał się na noclegi. Łatwo było iść w jego tropy, gdyż rozdzielał hojne jałmużny, zakupował msze, dawał na dzwony, wspomagał podupadłe kościoły, więc niejeden dziadyga chodzący „po pytaniu”<sup>1049</sup>, niejeden klecha, ba, nawet i niejeden pleban wspominali go z wdzięcznością. Mówiono ogólnie, że „jechał jakoby anioł” — i modlono się za jego zdrowie, chociaż tu i ówdzie dawały się słyszeć obawy, że bliżej mu już do wiekuistego zbawienia niż do doczesnego zdrowia. W niektórych miejscach popasał dla zbytnej słabości po dwa i trzy dni. Maćkowi wydawało się też prawdopodobnym, że go dogonią.

Jednakże pomylił się w rachubie, gdyż zatrzymały ich wezbrane wody Neru i Bzury. Nie dojechawszy do Łęczycy, przez dni cztery zmuszeni byli zamieszkać w pustej karczmie, z której gospodarz wyniósł się, widocznie z obawy powodzi. Droga wiodąca od karczmy ku miastu, jakkolwiek wymoszczona pniami drzew, pogrzyżała się i zakłęsała na znacznej przestrzeni w błotnistą topiel. Pacholek Maćków<sup>1050</sup> Wit, rodem z tych stron, słyszał coś wprawdzie o przejściu lasami, ale nie chciał podjąć się przewodnictwa, albowiem wiedział również, że w błotach łęczyckich miały swoje pielesze<sup>1051</sup> siły nieczyste, a mianowicie możny Boruta<sup>1052</sup>, który rad naprowadzał ludzi na bezdenne mokradła, a następnie tylko za cenę duszy ratował. Sama karczma miała także złą sławę i jakkolwiek w owych czasach podróżni wozili z sobą żywność, za czym nie obawiali się i głodu, przecie pobyt w takim miejscu nabawiał nawet starego Maćka niepokoju.

Nocami słyszano harce na dachu gospody, a czasem pukało coś i we drzwi. Jagienka i Sieciechówna śpiące w alkierzu, tuż koło wielkiej izby, słyszały też w ciemnościach jakoby szelest drobnych stóp po polepie<sup>1053</sup>, a nawet i po ścianach. Nie przerażało ich to zbyt, albowiem obie przywykły były w Zgorzelicach do skrzatów, które stary Zych nakazywał swego czasu karmić i które wedle powszechnego w tych czasach mniemania, byle im kto nie żałował okruszyn, nie bywały złośliwe. Lecz pewnej nocy rozległ się w pobliskich gąszczach głuchy i złowrogi ryk, a nazajutrz odkryto ślady ogromnych racic na błocie. Mógł to być żubr albo tur, lecz Wit utrzymywał, że i Boruta, choć nosi postać ludzką, a nawet szlachecką, ma zamiast stóp racice, buty zaś, w których się pokazuje między ludzi, zdejmuje dla oszczędności na błotach. Maćko zasłyszawszy, że można go sobie przejednać napitkiem, namyślał się przez cały dzień, czyby nie było grzechem uczynić sobie złego ducha przyjacielem, i radził się nawet w tym względzie Jagienki.

— Powiesiłbym na noc na płocie wołową mecherę<sup>1054</sup> pełną wina albo miodu — rzekł — i jeśli by go w nocy co wypilo, tobyśmy przynajmniej wiedzieli, że krąży.

— Byle mocy niebieskich przez to nie obrazić — odrzekła dziewczyna — bo nam błogosławieństwo potrzebne, abyśmy Zbyszkowi szczęśliwie poratowanie dać mogli.

— Toż i ja tego się boję, ale tak myślę, że co miód, to przecie nie dusza. Duszy nie dam, a co tam dla mocy niebieskich jedna mechera miodu znaczy!

Po czym niżył głos i dodał:

— Że ślachcic ślachcica, choćby największego zawalidrogę, poczęstuje, to zwykła rzecz, a ludzie gadają, że on ci ślachcic.

<sup>1048</sup>zapłonąć się (daw.) — zaczerwieńnić się. [przypis edytorski]

<sup>1049</sup>po pytaniu (daw.) — po prośbie, na żebry. [przypis edytorski]

<sup>1050</sup>Maćków (daw.) — Maćka, Maćkowy. [przypis edytorski]

<sup>1051</sup>pielesze (daw.) — dom, strony rodzinne. [przypis edytorski]

<sup>1052</sup>Boruta — diabeł z polskich legend, związany z Łęczycą. [przypis edytorski]

<sup>1053</sup>polepa (daw.) — gliniana podłoga. [przypis edytorski]

<sup>1054</sup>mechera (daw.) — pęcherz. [przypis edytorski]

— Kto? — zapytała Jagienka.

— Nie chcę nieczystego imienia wspominać.

Jednakże tegoż wieczora zawiesił Maćko na płocie własnymi rękoma duży wołowy pęcherz, w jakich pospolicie wożono napitki — i nazajutrz okazało się, że pęcherz został do dna wypity.

Wprawdzie Czech, gdy o tym opowiadano, uśmiechał się jakoś dziwnie, ale nikt na to nie zważał, Maćko zaś rad był w duszy, albowiem spodziewał się, że gdy przyjdzie przeprowiać się przez błota, nie znajdą przy tym jakieś niespodziane przeszkody i wypadki.

— Chybaby nieprawdę powiadali, że zna jakowąś cześć — mówił sobie.

Przed wszystkim należało jednak zbadać, czy nie ma jakowegoś przejścia przez lasy. Mogło to być, albowiem tam, gdzie grunt utrwalał się przez korzenie drzew i zarośli, ziemia nie rozmiękała łatwo od dżdżów. Wszelako Wit, który jako miejscowy mógł najlepiej spełnić tę czynność, na samą o niej wzmiankę począł krzyczeć: „Zabijcie, panie! Nie pójdę!”. Próżno mu tłumaczono, że w dzień siły nieczyste nie mają władzy. Maćko chciał sam iść, ale skończyło się na tym, że Hława, któren był pacholek zuchwały i rad wobec ludzi, a zwłaszcza wobec dziewcząt, puszył<sup>1055</sup> odwagę, wziął za pas topór, w rękę kosztur<sup>1056</sup> i poszedł.

Poszedł do dnia i spodziewano się, że koło południa wróci, a gdy go nie było widać, poczęto się niepokoić. Próżno czeladź nasłuchiwała od strony lasu i po południu. Wit machał tylko ręką: „Nie wróci albo jeśli wróci, to gorze nam, bo Bóg wie, czy nie z wilczą mordą, na wilkołaka przemienion!” Słyszac to, bali się wszyscy; sam Maćko był nieswój, Jagienka czyniła, zwracając się ku borowi, znaki krzyża. Anulka zaś Sieciechówna próżno szukała co chwila na swych ubranych w spodenki kolanach fartucha i nie znajdując nic, czym by mogła oczy przysłonić, przysłaniała je palcami, które wnet stawały się mokre od łez jedna za drugą kąpiących.

Jednakże w porze wieczornego udoju, właśnie gdy słońce miało zachodzić, Czech wrócił — i nie sam, jeno z jakąś ludzką postacią, którą pędził przed sobą na powrozie. Wypadli zaraz wszyscy ku niemu z okrzykami i radością, ale umilkli na widok owej postaci, która była mała, kosołapa<sup>1057</sup>, zarosła, czarna i przybrana w skóry wilcze.

— W imię Ojca i Syna, cożes to za bezerę<sup>1058</sup> sprowadził? — zawołał, ochłonawszy, Maćko.

— A co mi tam — odrzekł giermek — powiada, że człowiek i smolarz<sup>1059</sup>, ale czy prawda: nie wiem.

— Oj, nie człowiek to, nie człowiek! — ozwał się Wit.

Lecz Maćko nakazał mu milczenie, za czym jął bacznie przypatrywać się schwytanemu i nagle rzekł:

— Przeżegnaj się! Duchem<sup>1060</sup> mi się tu przeżegnaj!...

— Pochwalony Jezus Chrystus! — zawołał jeniec i przeżegnawszy się co prędzej, odechnął głęboko, spojrzął z większą ufnością na zgromadzonych i powtórzył: — Pochwalony Jezus Chrystus! Bom ja też nie wiedział, czyli w krześcijańskich, czy w diabelskich rękach. O Jezu!...

— Nie bój się. Między krześcijany jesteś, którzy radzi mszy świętej słuchają. Cóżes zacz?<sup>1061</sup>

— Smolarz, panie, budnik<sup>1062</sup>. Jest nas siedmiu w budach z babami i dziećmi.

— Jakoż daleko stąd?

— O dziesięć stajañ niespełna.

— Którędyż do miasta chadzacie?

— Mamy swoją drogę za Czarcim Wądołem.

— Za czarcim? Przeżegnaj no się jeszcze raz!

<sup>1055</sup>puszyć — tu: pokazywać. [przypis edytorski]

<sup>1056</sup>kosztur — kij podróżny, laska. [przypis edytorski]

<sup>1057</sup>kosołapy (daw.) — o krótkich rękach. [przypis edytorski]

<sup>1058</sup>bezera (daw.) — łajdak, niegodziwiec. [przypis edytorski]

<sup>1059</sup>smolarz — człowiek wytwarzający smołę i dziegieć, a przy okazji węgiel drzewny. [przypis edytorski]

<sup>1060</sup>duchem (daw.) — szybko. [przypis edytorski]

<sup>1061</sup>Cóżes zacz? (daw.) — Kim jesteś? [przypis edytorski]

<sup>1062</sup>budnik — człowiek mieszkający w budzie, tj. w szałasie. [przypis edytorski]

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen.

— To dobrze. A wóz tą drogą przejdzie?

— Teraz grząsko wszędy, chociaż tam nie tak jak na gościńcu, bo wądołem<sup>1063</sup> wiatremie i błoto suszy. Jeno do Bud bieda, ale i do Bud znający bór pomału przeprowadzi.

— Za skojca przeprowadzisz? Ba! Niechby za dwa!

Smolarz podjął się chętnie, wyprosiwszy jeszcze pół bochenka chleba, bo w lesie, chociaż głodem nie przymierali, ale chleba z dawna nie widzieli.

Ułożono, że wyjadą nazajutrz rano, gdyż pod wieczór było „niedobrze”.

O Borucie mówił smolarz, że okrutnie czasem „burzy” w boru, ale prostactwu krzywydy nie czyni i zazdrosnym będąc o księstwo łęczyckie, innych diabłów po chrustach gania. Żle tylko spotkać się z nim w nocy, zwłaszcza gdy człek napity<sup>1064</sup>. W dzień i po trzeźwemu nie ma przyczyny bać się.

— A wszelakoś się bał? — rzekł Maćko.

— Bo mnie ten rycerz niespodzianie chycili z mocą taką, że myślałem, iż nie człowiek.

Więc Jagienka poczęła się śmiać, że to oni wszyscy smolarza poczytali za coś „paskudnego”, a smolarz ich. Śmiała się z nią razem i Anula Sieciechówna, aż Maćko rzekł:

— Jeszcze ci ślepiec nie obeschły po płakaniu za Hławą, a teraz się już szczerzysz?

Więc Czech spojrzął na jej różaną twarz i widząc, że rzęsy ma jeszcze mokre, zapytał:

— Po mnieście płakali?

— Ej, nie! — odrzekła dziewczyna. — Jeno się bałam, i tyła.

— Przecieście szlachcianka, a szlachciance wstyd. Pani wasza nie taka bojąca. Cóż się wam mogło złego przygodzić w dzień i między ludźmi?

— Mnie nic, ale wam.

— A powiadacie przecie, że nie po mnieście płakali?

— Bo nie po was.

— A zaś czemu?

— Ze strachu.

— A teraz się nie boicie?

— Nie.

— A zaś czemu?

— Boście wrócili.

Na to Czech spojrzął na nią z wdzięcznością, uśmiechnął się i rzekł:

— Ba, takim sposobem można by do jutra gadać. Okrutnieście chytry.

Ale ją było prędzej o wszystko inne niż o chytrą posądzić i Hława, który sam był pacholek przebiegły, rozumiał to dobrze. Rozumiał również, że dziewczyna lgnie do niego z każdym dniem więcej. Sam on miłował Jagienkę, ale tak jako poddany miłuje córkę króla, wiec z pokorą i czcią największą, a bez żadnej nadziei. Tymczasem podróż zbliżała go z Sieciechówną.

W czasie pochodów stary Maćko jechał zwykle w pierwszą parę z Jagienką, a on z Anulą, że zaś chłop był jak tur, a krew miał jak ukrop, więc gdy w czasie drogi spoglądał w jej jasne oczki, na płowe kosmyki włosów, które nie chciały trzymać się pod pątlikiem, na całą postać smukłą a urodziwą, a zwłaszcza na cudne, jakby utoczone<sup>1065</sup> nogi, obejmujące wronego podjezdka, to ciarki przechodziły go od stóp do głów. Nie mógł też się wstrzymać od coraz częstszego i coraz bardziej łakomego spoglądania na te wszystkie doskonałości i mimo woli myślał, że gdyby diabeł zmienił się w takiego pacholka, to łatwo zdołałby go przywieść na pokuszenie.

A był to przy tym słodki jak miód pacholiczek, zarazem tak posłuszny, że tylko w oczy patrzył, i wesoły jak wróbel na dachu. Czasem dziwne myśli przychodziły Czechowi do głowy i raz gdy przystali z Anulą nieco w tyle, przy jucnych koniach, zwrócił się nagle do niej i rzekł:

— Wiecie? Tak tu wedle was jadę jako wilk wedle jagnięcia.

A jej aż białe zębki rozbłyły wraz od szczerego śmiechu.

— Chcielibyście mnie zjeść? — zapytała.

<sup>1063</sup>wądół — rozpadlina, niewielki wawóz. [przypis edytorski]

<sup>1064</sup>napity — pijany. [przypis edytorski]

<sup>1065</sup>utoczony — wykonany na tokarce, tu: krągły. [przypis edytorski]

— Ba! Z kosteczkami!

I spojrzal na nią takim wzrokiem, że splonęła pod nim, po czym zapadło między nimi milczenie i tylko serca biły im mocno, jemu z żądz, jej z jakiejś słodkiej, odurzającej bojaźni.

Lecz początkowo żądza przemagała w Czechu całkiem nad tkliwością i mówiąc, iż patrzy na Anulkę jak wilk na jagnię, mówił prawdę. Dopiero tego wieczora, w którym ujrzał jej mokre od łez policzki i rzęsy, zmiękło w nim serce. Wydała mu się dobra i jakaś bliska, i jakaś swoja, że zaś i sam miał naturę uczciwą, a zarazem rycerską, nie tylko więc nie wzbil się w pychę i nie zhardział na widok tych słodkich łez, ale stał się nieśmielszy i więcej na nią uważający. Opuściła go dawna niefrasobliwość w mowie i choć jeszcze trochę dworował<sup>1066</sup> przy wieczerzy z bojaźliwości dziewczyny, ale już inaczej, i przy tym służył jej tak, jak rycerski giermek obowiązany był służyć szlachciance. Stary Maćko, pomimo iż głównie myślał o jutrzejszej przeprawie i dalszej podróży, spostrzegł to jednak, ale pochwalił go tylko za górne<sup>1067</sup> obyczaje, których, jak mówił, musiał przy Zbyszku na dworze mazowieckim nabrać.

Po czym, zwróciwszy się do Jagienki, dodał:

— Hej! Zbyszko!... Ten ci się choć i u króla znajdzie!

Ale po owej służbie przy wieczerzy, gdy przyszło rozchodzić się na noc, Hława po ucałowaniu ręki Jagienki podniósł z kolei do ust i dłoń Sieciechówny, przy czym rzekł:

— Wy się nie tylko o mnie nie bójcie, ale i przy mnie niczego nie bójcie, bo ja was nikomu nie dam.

Po czym mężczyźni pokładli się w przodowej izbie, zaś Jagienka z Anulą w alkierzu na jednym, ale szerokim i dobrze wymoszczonym tapczanie. Obie nie mogły jakoś prędko zasnąć, a zwłaszcza Sieciechówna kręciła się co chwila na drelichowym gnieźle, więc po jakimś czasie Jagienka przysunęła do niej głowę i poczęła szeptać:

— Anula?

— A co?

— Bo... mi się tak zdaje, że ty okrutnie nawidzisz tego Czecha... Jakoże?

Ale pytanie pozostało bez odpowiedzi, więc Jagienka znów poczęła szeptać:

— Przecie ja to rozumiem... Powiadaj...

Sieciechówna nie odpowiedziała i teraz, tylko przywarła ustami do policzka swej pani i poczęła ją raz po raz całować.

A biednej Jagience również raz po raz westchnienia jęły podnosić pierś dziewczęcą.

— Oj, rozumiem, rozumiem! — szepnęła tak cicho, że Anula zaledwie mogła ułoić uchem jej słowa.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nazajutrz po nocy mglistej, miękkiej przyszedł dzień wietrzny, chwilami jasny, chwilami z powodu chmur, które gnane wiatrem cwałowały stadami po niebie — posępny. Maćko kazał poruszać tabor<sup>1068</sup> równo z brzaskiem. Smolarz, który podjął się przewodniczyć do Bud, twierdził, że konie wszędy przejdą, ale wozy miejscami trzeba będzie rozbierać i przenosić je częściowo, również jak i łuby z odzieżą i zapasami żywności. Nie mogło to przyjść bez wysiłku i mitręgi, ale hartowni i przywykli do trudu ludzie woleli trud największy niż gnuśny wypoczynek w pustej karczynie, z ochotą więc ruszyli w drogę. Nawet i bojaźliwy Wit, ośmielony słowy i obecnością smolarza, nie okazywał przestachu.

Zaraz za karczmą weszli w wysokopienny, niepodszyty<sup>1069</sup> bór, w którym przy zręcznym prowadzeniu koni można się było, nawet nie rozbierając wozów, między chojarami wykręcić. Wichor chwilami ustawał, chwilami zrywał się z mocą niesłychaną, uderzał jakby olbrzymimi skrzydłami w konary gonnych sosen, przeginał je, wykręcał, wywijał nimi niby śmigami<sup>1070</sup> wiatraka, łamał; bór giął się pod tym rozpętanym tchnieniem i nawet w przerwach między jednym a drugim uderzeniem nie przestawał huczeć i grzmieć jakby z gniewu na ową napaść i przemoc. Kiedy niekiedy chmury przesłaniały całkiem blask

<sup>1066</sup>dworować (daw.) — żartować. [przypis edytorski]

<sup>1067</sup>górnny — tu: wzniosły. [przypis edytorski]

<sup>1068</sup>tabor — wozy konne w podróży. [przypis edytorski]

<sup>1069</sup>niepodszyty — pozbawiony podszycia, bez krzewów. [przypis edytorski]

<sup>1070</sup>śmigi (daw.) — części śmigła. [przypis edytorski]

dzienny; siekło dżdżem pomieszczonym ze śnieżnymi krupami i czyniło się tak ciemno, jakby nastawała wieczorna pomroka. Wit tracił wówczas znowu ducha i wołał, iż to „złe zawzięło się i przeszkadza”, ale nikt go nie słuchał, nawet trwożliwa Anula nie brała do serca jego słów, zwłaszcza że Czech był tak blisko, iż mogła strzemiemem trącić o jego strzemię, patrzył zaś przed się tak zuchwale, jakby samego diabła chciał wyzwać na rękę.

Za borem wysokopiennym zaczynał się podszyty, a potem gąszcz, przez który nie można było przejechać. Tu musieli rozebrać wozy, ale uczynili to sprawnie i w mgnieniu oka. Koła, dyszle i przodki<sup>1071</sup> przenieśli krzepcy pacholkowo na barkach, a także toboły i zapasy żywności. Było takiej złej drogi trzy stajania, jednakże za ledwie pod wieczór stanęli w Budach, gdzie smolarze przyjęli ich gościnnie i zapewnili, że Czarcim Wądołem, a ściślej biorąc wzdłuż niego, można było dostać się do miasta. Ludzie ci, zżyci z puszcza, rzadko widywali chleb i mąkę, ale nie przymierali głodem, gdyż wszelkich wędlin, a zwłaszcza wędzonych piskorzów<sup>1072</sup>, od których roily się wszystkie błota, mieli w bród. Częstowali też nimi hojnie, wyciągając w zamian łakome ręce po placki. Były między nimi niewiasty i dzieci, wszystko czarne od smolistego dymu, a był także i jeden stary chłop, przeszło stuletni, który pamiętał rzeź Łęczycy dokonaną w 1331 roku i zupełne zburzenie miasta przez Krzyżaków. Maćko, Czech i dwie dziewczyny, jakkolwiek słyszeli takie samo niemal opowiadanie przeora w Sieradzu, słuchali ciekawie i tego dziada, który siedząc przy ognisku i grzebiąc w nim, zdawał się odgrzebywać zarazem straszne wspomnienia swej młodości. Tak! W Łęczycy, równie<sup>1073</sup> jak w Sieradzu, nie oszczędzono nawet kościołów i księży, a krew starców, niewiast i dzieci spłynęła po nożach zdobywców. Krzyżacy, wiecznie Krzyżacy! Myśli Maćka i Jagienki ulatywały ustawicznie ku Zbyszkowi, który przebywał właśnie jakoby w paszczy wilczej, wśród wrażego<sup>1074</sup> plemienia nieznanego ni litości, ni praw gościnnych. Sieciechównie mdlało także serce, nie była bowiem pewna, czy w gonitwie za opatem nie przyjdzie im aż między tych okrutnych ludzi zajechać...

Lecz stary począł następnie opowiadać o bitwie pod Płowcami, która zakończyła najazd krzyżacki, a w której on brał udział z cepem żelaznym w ręku jako pacholik w piechocie wystawionej przez gminę kmiecią<sup>1075</sup>. W tej to bitwie wyginął przecie cały niemal ród Gradów, więc Maćko znał dobrze wszelkie jej szczegóły, a jednak słuchał i teraz jak nowiny opowiadania o strasznym pogromie Niemców, gdy jak łan pod wichrem położyli się pod mieczami rycerstwa polskiego i króla Łokietka potęgą...

— Ha! Juźci pamiętam — mówił dziad. — Naszli tę ziemię, popalili grody i zamki, ba! dzieci w kolebkach rzeźali<sup>1076</sup>, ale im przyszło na czarny koniec. Hej! Godna ci była bitwa. Ano! Co przymknę oczy, to ono pole widzę...

I przymknął oczy, i umilkł, z lekka tylko węgle we wiatr poruszał, póki Jagienka, nie mogąc się dalszego opowiadania doczekać, nie spytała:

— Jakoż to było?

— Jakoż to było? — powtórzył dziad. — Pole pamiętam, jakobym tera patrzył: były chruśniaki<sup>1077</sup> i w prawo młaka, i szmat rżyska<sup>1078</sup> jakoby poletko niewielgie<sup>1079</sup>. Ale po bitwie nie było widać ni chruśniaków, ni młaki, ni rżyska, jeno żelaziwo wszędy, miecze, topory, dzidy i zbroje piękne, jedna na drugiej, jakoby kto całą świętą ziemię nimi przykrył... Nigdy ja tyła pobitego narodu na kupie nie widział i tyła krwi ludzkiej płynącej...

Pokrzepiło się znowu tym wspomnieniem Maćkowe serce, więc rzekł:

— Prawda! Pan Jezus miłosierny! Ogarnęli oni wówczas to Królestwo jako pożoga albo zaraza. Nie tylko Sieradz i Łęczycę, ale i wiele innych miast napsowali<sup>1080</sup>. I co? Jest nasz naród okrutnie żywięcy<sup>1081</sup> i moc w sobie też ma niepożyta<sup>1082</sup>. Choć ta i chycisz

Walka

<sup>1071</sup>przodek — tu: przednia część wozu. [przypis edytorski]

<sup>1072</sup>piskorz — ryba o brązowym, wydłużonym ciele, żyjąca w słabo natlenionych wodach. [przypis edytorski]

<sup>1073</sup>równie (daw.) — tak samo. [przypis edytorski]

<sup>1074</sup>wraży — dziś: wrogi. [przypis edytorski]

<sup>1075</sup>gmina kmiecia — jednostka dawnego samorządu chłopskiego. [przypis edytorski]

<sup>1076</sup>rzezać (daw.) — zabijać. [przypis edytorski]

<sup>1077</sup>chruśniak — krzaki, zarośla. [przypis edytorski]

<sup>1078</sup>rżysko — pole po skoszeniu zboża. [przypis edytorski]

<sup>1079</sup>niewielgie — dziś popr.: niewielkie. [przypis edytorski]

<sup>1080</sup>napsować (daw.) — zniszczyć. [przypis edytorski]

<sup>1081</sup>żywięcy (daw.) — żywotny. [przypis edytorski]

<sup>1082</sup>niepożyty (daw.) — niedający się pokonać. [przypis edytorski]

go, krzyżacki psubracie, za grzdykę, zdławić go nie podolisz<sup>1083</sup>, jeszcze ci zęby wybije... Bo jeno patrzcie: król Kazimierz i Sieradz, i Łęczycę tak zacnie odbudował, że lepsze są, niż były, i zjazdy<sup>1084</sup> się w nich po staremu odprawują<sup>1085</sup>, a Krzyżaków jak ci sprali pod Płowcami, tak tam leżą i gniją. Daj Bóg zawdy taki koniec!

Stary chłop, słysząc te słowa, począł z początku kiwać głową na znak przytakiwania, lecz w końcu rzekł:

— Ponoś nie leżą i nie gniją. Kazał król nam, piechocie, po bitwie rowy kopać, i chłopcy też przyszedli z okolicy pomagać w robocie, aże łopaty warczały. Poukładaliśmy potem Niemców w rowach i przysypali na porządek, by się z nich jakoweś choróbska nie wyległy, ale oni tam nie ostali.

— Jak to nie ostali? Cóż im się przygodziło?

— Ja tam tego nie widział, jeno rzekę, jako ludzie potem prawili. Nastąpiła po bitwie wieja sroga, która trwała bez dwanaście niedziel, ale tylko nocami. W dzień słońko świeciło jako się patrzy, a w nocy wiat bez mała włosów ze łba nie zdzierał. To ci diabły całymi chmarami kotłowały się we wichurze, kaźden z widłami, i co który nadleciał, to siup widłami w ziemię i Krzyżaka se wydobył, a potem do piekła poniósł. Słyszeli we Płowcach ludziska harmider taki, jakby psi stadami wyli, ale tego nie mogli wyrozumieć, czy to Niemcy wyli ze strachu a zaś żałości, czyli też diabły z wesela. Było tego, póki księża rowów nie poświęcili i póki ziem<sup>1086</sup> na Nowy Rok nie zamarzła tak, że i widły nie brały.

Tu umilkł i po chwili dodał:

— Ale daj Bóg, panie rycerzu, taki koniec, jakoście mówili, bo chociaż ja tego nie dożyję, ale tacy pacholeckowie, jako ci dwaj, dożyją i nie będą tego widzieli, na co oczy moje patrzyły.

To rzekłszy, począł przyglądać się Jagience, to Sieciechównie i dziwić się ich cudnym twarzom, i głowę kręcić.

— Nikiej<sup>1087</sup> mak we zbożu — rzekł. — Takich ja jeszcze nie widział.

W podobny sposób przegwarzyli<sup>1088</sup> część nocy, potem pokładli się spać w budach na mchach miękkich jak puch, ciepłymi skórąmi pokrytych, a gdy sen mocny pokrzepił ich członki, ruszyli nazajutrz dobrze już za widna dalej. Droga wzdłuż wądołu nie była wprawdzie zbyt łatwa, ale też i nie trudna, tak że jeszcze przed zachodem słońca ujrzeli zamek łęczycki. Miasto było na nowo z popiołów wzniesione, w części z czerwonej cegły, a nawet i z kamienia. Mury miało wysokie, wieżami bronne<sup>1089</sup>, kościoły jeszcze od sieradzkich wspanialsze. U dominikanów łatwo zasięgnęli wieści o opacie. Był, mówił, że mu lepiej, radował się nadzieją, że całkiem ozdrowieje, i przed kilku dniami wyruszył w dalszą drogę. Maćkowi nie chodziło już zbyt o dośnięcie go w drodze, gdyż postanowił już wieść obie dziewczki aż do Płocka, gdzie i tak byłby je opat zawiózł, ale że mu pilno było do Zbyszka, więc zakłopotał się srodze inną nowiną: że już po opatowym wyjeździe rzeki tak wezbrały, iż całkiem nie można było jechać dalej. Dominikanie, widząc rycerza ze znacznym poczem, któren, jak mówił, do księcia Ziemowita jechał, przyjęli i podejmowali ich gościnnie, a nawet opatrzyli Maćka na drogę drewnianą, oliwną tabliczką, na której wypisana była po łacinie modlitwa do anioła Rafała, patrona podróżnych.

Przez dwa tygodnie trwał przymusowy pobyt w Łęczycy, przy czym jeden z giermków zamkowego starosty odkrył, że pacholętkowie przejeźdnego rycerza byli dziewczynkami, i z miejsca zakochał się na umór w Jagience. Czech chciał go zaraz pozywać za to na udeptaną ziemię, ale że stało się to wigilią wyjazdu, więc Maćko odradzał mu ten postępek.

Gdy wyruszyli w dalszą ku Płockowi drogę, wiatr osuszył nieco gościńce, bo jakkolwiek przychodziły dżdże częste, ale jak zwykle wiosną trwały krótko. Były też ciepłe i duże, albowiem wiosna nastąpiła zupełna. Na polach świeciły w brzdach jasne pasy wody, od zagonów dolatywał z powiewem mocny zapach mokrej ziemi. Bagna pokryły

<sup>1083</sup> *podolić* (daw.) — zdołać. [przypis edytorski]

<sup>1084</sup> *zjazd* — tu: zebranie szlachty z danego regionu, mające na celu uchwalenie praw. [przypis edytorski]

<sup>1085</sup> *odprawować się* (daw.) — odbywać się. [przypis edytorski]

<sup>1086</sup> *ziem* — dziś popr.: ziemia. [przypis edytorski]

<sup>1087</sup> *nikiej* (gw.) — niby, tak jak. [przypis edytorski]

<sup>1088</sup> *przegwarzyć* (daw.) — przegadać. [przypis edytorski]

<sup>1089</sup> *bronny* (daw.) — tu: broniony, wzmocniony. [przypis edytorski]

się kaczeńcem, w lasach zakwitły przyłaszczki — i piegże<sup>1090</sup> podnosiły między gałęziami świergot radosny. W serca podróżnych wstąpiła też nowa ochota i nadzieja, zwłaszcza że jechało im się dobrze i że po szesnastu dniach podróży stanęli u bram Płocka.

Ale przyjechali w nocy, gdy bramy grodu były już zamknięte, więc musieli nocować u tkacza za murami. Dziewczyny, poszedłszy spać późno, pospały się po trudach i niewygodach długiej podróży kamiennym snem. Maćko, którego żaden trud nie mógł obalić, nie chciał ich budzić, ale sam równo z otwarciem bram poszedł do miasta, łatwo odnalazł katedrę i dom biskupi, w którym pierwszą nowiną, którą usłyszał, była wiadomość, że opat zmarł przed tygodniem.

Zmarł przed tygodniem, ale wedle ówczesnego zwyczaju odprawiano msze przy trumnie i stypy żałobne od dni sześciu, pogrzeb zaś miał nastąpić dziś dopiero, a po nim wspominki i stypa ostatnia dla uczczenia pamięci zmarłego.

Maćko od wielkiego frasunku nawet się nie rozglądał po mieście, które zresztą znał nieco z tych czasów, gdy jeździł z listem księżny Aleksandry do mistrza — tylko wracał co prędzej do domu tkacza za murami i po drodze mówił sobie:

— Ha, zmarło mu się i wieczny odpoczynek! Nie masz na to rady we świecie, ale co ja teraz z tymi dziewczkami zrobię?

I począł się nad tym zastanawiać, czyby je lepiej u księżny Aleksandry zostawić, czy u księżny Anny Danuty, czy może do Spychowa wieźć. Bo nieraz przychodziło mu do głowy w czasie tej drogi, że gdyby się pokazało, iż Danuśka nie żyje, to nie wadziłoby, by Jagienka była blisko Zbyszka. Nie wątpił, że Zbyszko długo będzie tamtej, nad wszystkie inne umiłowanej, żałował i długo po niej płakał, ale nie wątpił też, że taka dziewczyna, tuż pod bokiem, robi swoje. Pamiętał, jak chłopaka, chociaż serce rwało mu się hen za bory i lasy na Mazowsze, ciągoty jednak brały przy Jagience. Z tych powodów i wierząc przy tym głęboko, że Danuśka przepadła, myślał nieraz, by na wypadek śmierci opata nie odsyłać nigdzie Jagienki. Ale że był nieco łapczywy na ziemskie dobro, więc chodziło mu i o majątność po opacie. Opat gniewał się wprawdzie na nich i zapowiadał, że nic im nie zostawi, ale nuż ogarnęła go skrucha przed śmiercią? Ze zapisał coś Jagience, to było pewne, bo nieraz odzywał się z tym w Zgorzelicach, więc przez Jagienkę mogłoby to i tak nie minąć Zbyszka. Chwilami brała też Maćka ochota zostać w Płocku, dowiedzieć się jak i co, i zająć się tą sprawą, ale wnet pokonywał w sobie takie myśli. „Ja tu będę — myślał — o majątność zabiegał, a mój chłopaczysko może tam do mnie z jakowego krzyżackiego podziemia ręce wyciąga i ratunku ode mnie czeka”. Była wprawdzie jedna rada: zostawić Jagienkę pod opieką księżny i biskupa z prośbą, by jej nie dali skrzywdzić, jeśli jej opat co zostawił. Ale rada ta nie całkiem podobała się Maćkowi. „Dziewczyna ma i tak — mówił sobie — wiano zacne, jeśli zaś i po opacie odziedziczy, weźmie ją który Mazur, jak Bóg na niebie, a ona też długo nie wytrzyma, bo to jeszcze i nieboszczyk Zych powiadał, że już wtedy jako po węglach chodziła”. I zląkł się tej myśli stary rycerz, gdyż pomyślał, że w takim razie i Danusia, i Jagienka mogłyby Zbyszka ominąć, tego zaś nie chciał za nic na świecie.

— Którą mu Bóg przeznaczył, tę niech ma, ale jedną musi mieć.

Postanowił też w końcu przede wszystkim ratować Zbyszka, a Jagienkę, jeśli trzeba będzie się z nią rozstać, zostawić albo w Spychowie, albo u księżny Danuty, nie zaś tu w Płocku, gdzie dwór był nierównie świetniejszy i pięknych rycerzy na nim niemało.

Obarczony tymi myślami, szedł wartkim krokiem ku domowi tkacza, aby Jagience opatową śmierć oznajmić, w duchu zaś obiecywał sobie, że jej tego od razu nie powie, gdyż niespodziana a zła wieść łatwo dech by w dziewce zaprzec i nieplodną ją potem uczynić mogła. Przybywszy do domu, zastał już obie ubrane, nawet przystrojone i wesole jak gajówki, więc siadłszy na zydlu, zawołał na tkackich czeladników<sup>1091</sup>, by mu misę grzanego piwa przynieśli, po czym, nachmurzywszy surowe i bez tego oblicze, rzekł:

— Słyszysz, jako w mieście dzwonią? Zgadnijże, dlaczego dzwonią, boć przecie nie niedziela, a jutrznię<sup>1092</sup> przespałaś. Chciałabyś widzieć opata?

— Pewnie, że bym chciała — rzekła Jagienka.

<sup>1090</sup>piegża — mały ptak wędrowny. [przypis edytorski]

<sup>1091</sup>czeladnik — rzemieślnik po egzaminie, pracujący pod okiem mistrza. [przypis edytorski]

<sup>1092</sup>jutrznia — pierwsza z godzin liturgicznych, ogłaszanych biciem w dzwony. [przypis edytorski]

- No, to tak go zobaczysz jak króla *Ćwieka*.
- Zaśby pojechał gdzie dalej?
- Juźci, że pojechał. A to nie słyszysz, że dzwonią?
- *Pomer*<sup>1093</sup>? — zawołała *Jagienka*.
- Zmów wieczny odpoczynek.

Więc natychmiast ukłękły obie z *Sieciechówną* i poczęły mówić wieczny odpoczynek dźwięcznymi jak dzwonki głosami. Po czym lży ciurkiem jęły płynąć po twarzy *Jagienki*, bo bardzo kochała opata, który choć zapalczywy z ludźmi, krzywdy nie wyrządził nikomu, a dobro obu rękoma czynił, ją zaś, która była jego chrześniaczką, miłował jak córkę rodzoną. Maćko wspomniawszy, że to był jego i *Zbyszków* krewny, wzruszył się także i nieco zapłakał, a dopiero gdy im część boleści łzami spłynęła, zabrał *Czecha* i obie dziewczyny na pogrzeb do kościoła.

Pogrzeb był wspaniały. Prowadził kondukt sam biskup *Jakub z Kurdwanowa*<sup>1094</sup>, byli wszyscy księża i wszyscy mnisi w *Płocku* konwenty<sup>1095</sup> mający, bito we wszystkie dzwony, mówiono mowy, których nikt prócz duchownych nie rozumiał, bo je mówiono po łacinie, po czym wrócili duchowni i świeccy na ucztę obfitą do biskupa.

Poszedł na nią *Maćko*, wzięwszy ze sobą dwóch pacholików, gdyż jako krewny zmarłego i znajomek biskupa miał wszelkie prawo. Biskup też przyjął go jako krewnego nieboszczyka chętnie<sup>1096</sup> i z odznaczeniem, lecz zaraz przy przywitaniu rzekł mu:

— Są tu jakoweś bory dla was *Gradów z Bogdańca* zapisane, ale co ostaje, a na klasztor i na opactwo nie idzie, to ma być krześniaczki jego, niejakiej *Jagienki z Zgorzelic*.

*Maćko*, który się niewiele spodziewał, rad był i z borów, biskup zaś nie zauważył, że jeden z pacholików starego rycerza podniósł na wzmiankę o *Jagience z Zgorzelic* zroszone i modre jak chabry oczy w górę i rzekł:

— Bóg mu zapłać, ale wolałabym, by żył.

Więc *Maćko* zwrócił się i rzekł gniewnie:

— Cichaj, bo wstydu sobie narobisz.

Lecz nagle urwał, w oczach błysnęło mu zdumienie, po czym twarz uczyniła mu się sroga i wilcza, gdyż opodał od siebie, obok drzwi, przez które wchodziła właśnie księżna *Aleksandra*, ujrzał zgiętego w dworskiej, układnej postawie *Kunona Lichtensteina*, tego samego, przez którego omal nie zginął *Zbyszko* w *Krakowie*.

*Jagienka* w życiu nie widziała takiego *Maćka*: oblicze miał skurczone jak paszcza złego psa, spod wąsów błysnęły mu zęby, w jednej chwili okręcił na sobie pas i ruszył ku znieawidzonemu *Krzyżakowi*.

Lecz w pół drogi zatrzymał się i począł wodzić szeroką dłonią po włosach. Przypomnił sobie w porę, że *Lichtenstein* może być na dworze *płockim* tylko albo gościem, albo, co prawdopodobniej, posłem i że gdyby chciał, nie pytając o nic, bić w niego, postąpiłby właśnie tak samo jak *Zbyszko* na drodze z *Tyńca*.

Więc, mając więcej rozumu i doświadczenia od *Zbyszka*, pohamował się, odkręcił na powrót pas, wypogodził oblicze, poczekał, a następnie gdy księżna po przywitaniu się z *Lichtensteinem* poczęła rozmawiać z księdzem *Jakubem z Kurdwanowa*, zbliżył się do niej i skłoniwszy się głęboko, przypomniawszy jej, co zacytował, że za swą dobrodziejkę ją poczytuje z przyczyny owego listu, którym go swego czasu opatrzyła.

Księżna zaledwie pamiętała jego twarz, ale przypomniawszy sobie z łatwością i list, i całą sprawę. Było jej także wiadomym to, co stało się na sąsiednim dworze *mazowieckim*; słyszała o *Jurandzie*, o uwięzieniu jego córki, o małżeństwie *Zbyszka* i o śmiertelnym jego pojedynku z *Rotgierem*. Wszystko to zaciekało ją niezmiernie, tak jak jakaś opowieść rycerska lub jedna z takich pieśni, jakie wygłaszali u *Niemców* minstrele, a na *Mazowszu* gądkowie<sup>1097</sup>. *Krzyżacy* nie byli jej wprawdzie tak nienawistni jak *żonie Janusza*, *Annie Danucie*, zwłaszcza że chcąc ją sobie zjednać, przesadzali się dla niej w hołdach, pochlebstwach i obsypywali ją hojnie darami; lecz w tym razie serce jej było po stronie *kochan-*

<sup>1093</sup>*pomer* — dziś popr.: umarł. [przypis edytorski]

<sup>1094</sup>*Jakub z Kurdwanowa* — biskup płocki w latach 1396–1425. [przypis edytorski]

<sup>1095</sup>*konwent* — zakon. [przypis edytorski]

<sup>1096</sup>*chętnie* — dziś popr.: chętnie. [przypis edytorski]

<sup>1097</sup>*gądek* — śpiewak, grajek; od „gędzba”: muzyka. [przypis edytorski]



ków. Gotowa była im pomóc — i przy tym cieszyło ją, iż ma przed sobą człowieka, który mógł jej najdokładniej przebieg zdarzeń opowiedzieć.

Maćko zaś, który przedtem już postanowił uzyskać jakimkolwiek sposobem opiekę i protekcję wpływowej księżny, widząc, z jakim słucha zajęciem, chętnie prawil jej o nieszczęsnych losach Zbyszka i Danuśki i prawie do łez ją wzruszył, a to tym bardziej, że sam niedołą bratanka lepiej niż ktokolwiek odczuwał i z całej duszy nad nią ubolewał.

— Nic rzewliwszego<sup>1098</sup> w życiu nie słyszałam — rzekła wreszcie księżna. — A największa żalność chwytła mnie wskrós tej przyczyny<sup>1099</sup>, że on już tę dziewczeczkę zaślubił, już ci była jego, a żadnej szczęśliwości nie zaznał. Wszelako wiecie—li na pewno, że nie zaznał?

— Hej, mocny Boże! — odparł Maćko. — Żeby choć był zaznał, ale on ją zaślubił, obłożnie chorym będąc, wieczorem, a o świtanu już ją wzięli!

— I myślicie, że Krzyżacy? Bo u nas powiadali o zbójach, którzy Krzyżaków zwiedli, inną dziewczkę im oddając. Mówili też o Jurandowym pisaniu...

— To już nie ludzkie sądy rozstrzygnęły, jeno Boski. Wielki to był, prawią, rycerz ten Rotgier, który najtęższych zwyciężał, a przecież z ręki dzieciucha poległ.

— No, taki to i dzieciuch — rzekła, uśmiechając się, księżna — co mu przezpieczniej w drogę nie włożyć. Krzywda jest, prawda! I słusznie się krzywdujecie<sup>1100</sup>, a jednak z tamtych czterech trzech już nie żywie, a ten stary, który ostał, ledwie także, jako słyszałam, wydarł się śmierci.

— A Danuśka? A Jurand? — odrzekł Maćko. — Gdzież oni są? Bóg też wie, czy i ze Zbyszkiem co złego się nie stało, którego do Malborga pojechał.

— Wiem, ale Krzyżacy nie całkiem tacy psu braci, jako myślicie. W Malborgu przy boku mistrza i jego brata Ulryka, który jest człowiek rycerski, nic się złego bratankowi waszemu stać nie mogło, który przecie miał pewnikiem i listy od księcia Janusza. Chyba że tam jakiego rycerza pozwał i poległ, bo w Malborgu siła zawsze najślawniejszych rycerzy ze wszystkich stron świata przebywa.

— Ej, nie bardzo już się tam tego boję — rzekł stary rycerz. — Byle go do podziemia nie zamknęli, byle zdradą nie ubili i byle jakoweś żelaziwo miał w garści, to nie bardzo się boję. Raz tylko znalazł się od niego tęższy, którego w szrankach rozciągnął, a to właśnie książę mazowiecki Henryk, ten, co był tu biskupem i co się w gładkiej Ryngalle rozmiłował. Ale Zbyszko zgoła był wówczas pacholęciem. Przy tym jednego byłby on tylko jako amen w pacierzu pozwał, tego, któremu i ja ślubowałem, a którego tu jest.

To rzekłszy, pokazał oczyma na Lichtensteina, który z wojewodą płockim rozmawiał.

Lecz księżna zmarszczyła brwi i rzekła surowym, oschłym głosem, którym zawsze mówiła, gdy gniew poczynał ją chwycić:

— Ślubowaliście mu czy nie ślubowali, a to pamiętajcie, że on u nas w gościnie; kto naszym gościem chce być, powinien obyczajności przestrzegać.

— Wiem, miłościwa pani — odrzekł Maćko. — Tożem już okręcił pas i do niegom szedł, ałem się pohamował, pomyślawszy, że może postuje.

— Bo i postuje. A człek jest między swymi znaczny, na którego radach sam mistrz siła polega i nie byle czego mu odmówi. Bóg to może zdarzył, że go w Malborgu podczas bytności waszego bratanka nie było, ile że Lichtensteina, choć z zacnego rodu idzie, powiadają zawziętym i mściwym. Poznałże was?

— Nie bardzo mógł poznać, bo mię mało widział. Na drodze tynieckiej byliśmy w hełmach, a potem raz tylko byłem u niego w Zbyszkowej sprawie, ale wieczorem, gdyż było pilno, i raz widzieliśmy się w sądzie. Zmieniłem się na gębie od tego czasu i broda znacznie mi posędzielała<sup>1101</sup>. Uważałem też teraz, że patrzył na mnie, ale widać jeno dlatego, że przydłużej z miłościwą panią rozmawiam, gdyż potem oczy całkiem spokojnie w inną stronę obrócił. Zbyszka to by był poznał, ale mnie zabaczył, a o moim ślubowaniu może i nie słyszał, mając o lepszych do myślenia.

— Jak to o lepszych?

<sup>1098</sup>rzewliwy (daw.) — smutny, pobudzający do płaczu. [przypis edytorski]

<sup>1099</sup>wskrós tej przyczyny (daw.) — z tego powodu. [przypis edytorski]

<sup>1100</sup>krzywdować się (daw.) — czuć się pokrzywdzonym. [przypis edytorski]

<sup>1101</sup>posędzielać (daw.) — posiwieć. [przypis edytorski]

— Bo jemu pono ślubowali i Zawisza z Garbowa, i Powała z Taczewa, i Marcin z Wro-  
cimowic, i Paszko Złodziej, i Lis z Targowiska. Każdy z nich, miłościwa pani, i dziesięciu  
takim by poradził, a cóż dopiero, że ich kupa! Lepiej jemu się było nie rodzić, niżeli jeden  
takowy miecz mieć nad głową. A ja nie tylko mu o ślubowaniu nie wspomnę, ale jeszcze  
w pouchwałość<sup>1102</sup> się wejść z nim postaram.

— Czemu zaś tak?

A twarz Maćka stała się naraz chytra, do głowy starego lisa podobna.

— Żeby mi jakowe pismo dał, za którym mógłbym przezpiecznie po krajach krzy-  
żackich jeździć i Zbyszkowi w razie potrzeby dać poratowanie.

— Zali to godne czci rycerskiej? — zapytała z uśmiechem księżna.

— Godne — odrzekł stanowczym głosem Maćko. — Gdybym na ten przykład w bi-  
twie z tyłu na niego natarł, a nie zawołał, by się obrócił, jużci bym hańbę na się ściągnął,  
ale czasu pokoju rozumem na hak nieprzyjaciela przywieść: tego się żaden prawy rycerz  
nie zasroma<sup>1103</sup>.

— To was poznajomię — odrzekła księżna.

I skinąwszy na Lichtensteina, poznała z nim Maćka, pomysławszy, że choćby go  
Lichtenstein poznał, to i tak nie stałoby się nic wielkiego.

Lecz Lichtenstein nie poznał go, albowiem istotnie na drodze tynieckiej widział go  
w hełmie, a potem raz tylko jeden z nim rozmawiał, i to wieczorem, gdy Maćko przy-  
chodził do niego prosić go o odpuszczenie Zbyszkowej winy.

Sklonił się jednak dość dumnie, dopiero ujrzawszy za rycerzem dwóch cudnych, bo-  
gato ubranych pacholków, pomyślał, że nie byle kto takich mieć może, i twarz rozjaśniła  
mu się nieco, jakkolwiek nie przestał wydymać dumnie ust, co czynił zawsze, jeśli nie  
z panującym miał do czynienia.

A księżna rzekła, ukazując Maćka:

— Jedzie ten rycerz do Malbarga i ja sama polecam go łasce wielkiego mistrza, ale  
on, posłyszawszy o zachowaniu, jakie w Zakonie macie, pragnąłby i od was mieć pismo.

To rzekłszy, odeszła do biskupa, Lichtenstein zaś utkwiał w Maćku swe zimne, stalowe  
oczy i zapytał:

— Jakież powód skłania was, panie, do odwiedzenia naszej pobożnej i skromnej stolicy?

— Uczciwy powód i pobożny powód — odrzekł, wznosząc żrenice, Maćko. — Gdy-  
być było inaczej, nie uręczałaby za mną miłościwa księżna. Ale prócz ślubów pobożnych,  
chciałbym też i mistrza waszego poznać, któren pokój na ziemi czyni, a jest najslawniej-  
szym na świecie rycerzem.

— Za kogo księżna miłościwa, pani nasza i dobrodziejka uręcza<sup>1104</sup>, ten nie będzie  
narzekał na naszą ubogą gościnność; wszelako co do mistrza, trudno będziecie go mo-  
gli obaczyć, bo przed miesiącem już do Gdańska wyjechał, a stamtąd miał do Królewca  
i dalej ku granicy ruszyć, gdyż choć miłośnik pokoju, musi przecie od zdradzieckich  
Witoldowych zapędów dziedziny zakonnej bronić.

Usłyszawszy to, Maćko zafrasował się tak widocznie, że Lichtenstein, przed którego  
oczy nic nie mogło się ukryć, rzekł:

— Widzę, że równą mieliście chęć poznać wielkiego mistrza jak dopełnić ślubów  
zakonnych.

— Miałem ci ją, miałem! — odrzekł prędko Maćko. — Więc to już wojna z Witol-  
dem o Żmujdz<sup>1105</sup> pewna?

— Sam ją rozpoczął, podając wbrew przysięgom pomoc buntownikom.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Ha! Niech ta Bóg szczęści Zakonowi, jak na to zasługuje! — rzekł wreszcie Maćko.  
— Nie mogę mistrza poznać, to choć ślubów dopełnię.

Lecz wbrew tym słowom sam nie wiedział, co ma na razie począć, i z uczuciem  
ogromnego strapienia zadawał sobie w duszy pytanie:

<sup>1102</sup>pouchwałość — dziś popr.: poufałość. [przypis edytorski]

<sup>1103</sup>zasromać (daw.) — zawstydzić. [przypis edytorski]

<sup>1104</sup>uręczać — dziś popr.: ręczyć, zareczać. [przypis edytorski]

<sup>1105</sup>Żmudź — historyczna nazwa tzw. Dolnej Litwy, nizinna kraina geograficzna i region administracyjny.  
[przypis edytorski]

„Gdzie ja mam teraz Zbyszka szukać i gdzie go odnajdę?”. Łatwo było przewidzieć, że jeśli mistrz opuścił Malborg i udał się na wojnę, to nie ma co szukać w Malborgu i Zbyszka — a w każdym razie trzeba o nim dokładniejszych wiadomości zasięgnąć. Stary Maćko zatroskał się wielce, ale że był człek prędki do rady, postanowił czasu nie tracić i zaraz nazajutrz ruszyć w dalszą drogę. Uzyskanie listu od Lichtensteina przy poparciu księżny Aleksandry, w której komtur miał nieograniczone zaufanie, przyszło mu łatwo. Otrzymał tedy polecenie do starosty w Brodnicy i do wielkiego szpitalnika w Malborgu, za które darował jednak Lichtensteinowi spory srebrny pucharek, ozdobnie wykuty we Wrocławiu, taki, jaki rycerze mieli zwyczaj stawiać napełniony winem na noc przy łożu, aby w razie bezsenności mieć pod ręką i lekarstwo na sen, i uciechę. Hojność ta Maćkowa zdziwiła nieco Czecha, który wiedział, iż stary rycerz nie był zbyt pochopny do obsypywania darami nikogo, a zwłaszcza Niemców — lecz ów rzekł:

— Uczyniłem tak, bom mu ślubował i potykać się z nim muszę, a nijak by mi było nastawać na gardło człeka, który mi usługę oddał. Nie nasz to obyczaj bić w dobrodzieja...

— Ale zacnego pucharka szkoda! — odpowiedział trochę przekornie Czech.

Na to zaś Maćko:

— Nie czynię ja nic przez<sup>1106</sup> rozmysłu, nie bój się! Bo jeśli mi Pan Jezus miłosierny pozwoli Niemca powalić, to już ci i pucharek odzyszczę, i siła innych godnych rzeczy wraz z nim zdobędę.

Po czym jęli naradzać się obaj, a z nimi Jagienka, co czynić dalej. Maćkowi przechodziło przez rozum, aby i ją, i Sieciechównę zostawić w Płocku pod opieką księżny Aleksandry, a to z powodu opatowego testamentu, który był złożony u biskupa. Lecz dziewczyna sprzeciwiła się temu całą siłą swej niezłomnej woli. Prawda, że sporzej<sup>1107</sup> by było jechać bez nich, bo nie trzeba by na noclegach osobnych izb wyszukiwać ani też oglądać się na obyczajność, na bezpieczeństwo i różne inne tego rodzaju przyczyny. Ale przecie nie po to wyjechały ze Zgorzelic, by siedzieć w Płocku. Testament, skoro jest u biskupa, to nie przepadnie, a co do nich, gdyby się pokazało, że muszą gdzieś po drodze ostać, to lepiej by im było ostać się na opiece u księżny Anny, nie u Aleksandry, bo na tamtym dworze mniej nawidzą Krzyżaków, a więcej miłują Zbyszka. Rzekł wprawdzie na to Maćko, że rozum nie niewieścia rzecz i że nie przystoi dziewce „dowodzić”, tak jak by naprawdę ten rozum miała — nie sprzeciwił się jednak stanowczo, a wkrótce ustąpił całkiem, gdy Jagienka, odciągawszy go na bok, poczęła mówić ze łzami w oczach:

— Wiecie!... Bóg patrzy na moje serce, że co rania<sup>1108</sup> i co wieczora proszę go za ona Danuskę, ba, i o Zbyszkową szczęśliwość! Bóg to w niebiesiach wie najlepiej! Ale i Hława, i wy powiadacie, że już ona zginęła i że żywa z krzyżackich rąk nie wyjdzie, co jeśli tak ma być, to ja...

Tu zawahała się nieco, wezbrane łzy stoczyły się jej z wolna po jagodach i skończyła po cichu:

— To ja chcę być Zbyszka blisko...

Maćka wzruszyły te łzy i słowa, jednak odrzekł:

— Jeśli tamta zginie, Zbyszko z żalości ani na cię spojrzy.

— Ja też nie chcę, by na mnie spoglądał, jeno chcę być przy nim.

— Wiesz przecie, że ja tego samego bym chciał, co i ty; ale on w pierwszym żalu gotów cię jeszcze zwymyślać...

— Niech tam i zwymyśla — odpowiedziała ze smutnym uśmiechem. — Ale tego nie uczyni, bo nie będzie wiedział, że to ja.

— Pozna cię.

— Nie pozna. Wyście także nie poznali. Powiecie mu, że to nie ja, jeno Jaśko, a Jaśko przecie całkiem z gęby do mnie podobny. Powiecie mu, że urosł i tyła, a jemu nawet przez głowę nie przejdzie, by zaś to nie był Jaśko...

Na to stary rycerz wspomniął coś jeszcze o kolanach k'sobie, ale że kolana k'sobie miewali czasem i chłopaki, więc nie mogło to być przeszkodą, zwłaszcza że Jaśko miał istotnie twarz prawie taką samą, a włosy po ostatnich postrzyżynach wyrosły mu znów długie — i nosił je w pątliku, tak jak inne szlachetne pacholęta i sami rycerze. Z tych

<sup>1106</sup>przez (daw.) — bez. [przypis edytorski]

<sup>1107</sup>sporzej (daw.) — tu: łatwiej, lepiej. [przypis edytorski]

<sup>1108</sup>rania — dziś popr.: rana. [przypis edytorski]

przyczyn ustąpił Maćko i poczęli mówić już o drodze. Mieli wyruszyć nazajutrz. Postanowił Maćko puścić się w krzyżackie kraje, dotrzeć do Brodnicy, tam zasięgnąć języka i gdyby mistrz był wbrew przewidywaniom Lichtensteina jeszcze w Malborgu, to jechać do Malborga, w razie zaś przeciwnym pociągnąć krzyżacką granicą w stronę Spychowa, przepytując po drodze o młodego polskiego rycerza i jego poczet. Stary rycerz spodziewał się nawet, że łatwiej się czegoś dowie o Zbyszku w Spychowie lub na dworze księcia Janusza warszawskiego niż gdzie indziej.

Jakoż nazajutrz wyruszyli. Wiosna już uczyniła się zupełna, więc rozlewy wód, a mianowicie Skrwy i Drwęcy, tamowały drogę, tak że dopiero dziesiątego dnia po opuszczeniu Płocka przejechali granicę i znaleźli się w Brodnicy. Miasteczko czyste było i porządne, ale zaraz na wstępie można było poznać twarde rządy niemieckie, albowiem ogromna murowana szubienica, wzniesiona za miastem przy drodze do Gorczenicy, ubrana była ciałami wisielców, z których jedno było kobiece. Na strażniczej wieży i na zamku powiewała chorągiew z czerwoną ręką w białym polu. Samego komtura nie zastali jednak podróżni na miejscu, albowiem pociągnął był z częścią załogi i na czele okolicznej szlachty do Malborga. Objasnienia te dał Maćkowi stary Krzyżak, ślepy na oba oczy, który był niegdyś komturem Brodnicy, później zaś, przywiązawszy się do miejsca i zamku, przeżywał w nim ostatki żywota. Ów, gdy kapelan miejscowy przeczytał mu list Lichtensteina, przyjął Maćka gościnnie, że zaś, mieszkając wśród polskiej ludności, umiał wybornie po polsku, przeto łatwo było się z nim rozmówić. Zdarzyło się też, iż przed sześciu tygodniami jeździł do Malborga, dokąd wzywano go jako doświadczonego rycerza na radę wojenną, wiedział więc, co się w stolicy działo. Zapytywany o młodego polskiego rycerza mówił, że nazwiska nie pomni, ale że słyszał o jakimś, który naprzód budził podziw tym, że pomimo młodych lat przybył jako rycerz już pasowany, a po wtóre potykał się szczęśliwie na turnieju, który wielki mistrz urządził wedle zwyczaju dla cudzoziemskich gości przed wyruszeniem na wojenną wyprawę. Powoli przypomniał sobie nawet, iż owego rycerza polubił i wziął w szczególną opiekę mężny i szlachetny brat mistrzów, Ulryk von Jungingen, i że dał mu żelazne listy<sup>1109</sup>, z którymi młodzian później odjechał podobno w stronę wschodnią. Maćko ucieszył się z tych wiadomości ogromnie, nie miał bowiem najmniejszej wątpliwości, że tym młodym rycerzem był Zbyszko. Wobec tego nie było chwilowo po co jechać do Malborga, bo jakkolwiek wielki szpitalnik lub inni pozostali tam urzędnicy zakonni i rycerze mogliby może jeszcze dokładniejszych udzielić wskazówek, jednakowoż żadną miarą nie mogli powiedzieć, gdzie na razie bawi Zbyszko. Zresztą sam Maćko wiedział najlepiej, gdzie go znaleźć, nietrudno bowiem było domyślić się, że krąży koło Szczytna albo, jeżeli tam Danusi nie znalazł, czyni poszukiwania po dalszych wschodnich zamkach i komturiach<sup>1110</sup>.

Nie tracąc więc czasu, ruszyli i oni krzyżackim krajem ku wschodowi i Szczytnu. Droga szła im sporo, gdyż gęste miasta i miasteczka połączone były gościńcami, które Krzyżacy, a raczej kupcy w miastach osiedli, w dobrym utrzymywali stanie, prawie nie gorszym niż polskie, które powstały pod opieką gospodarnej i sprężystej króla Kazimierzowej ręki. Przy tym pogoda nastąpiła cudna. Noce były gwiazdziste, dni jasne, a w porze południowego udoju powiewał ciepły, suchy wiaterek, który napępiał czerstwością<sup>1111</sup> i zdrowiem piersi ludzkie. Zazieleniły się zboża na polach, łąki pokryły się hojnie kwieciami, a lasy sosnowe poczęły ronić woń żywiczną. Przez całą drogę do Lidzbarku, a stamtąd do Działdowa i dalej do Niedzborza podróżni nie widzieli ani chmurki na niebie. W Niedzborzu dopiero w nocy przysłała ulewa z grzmotami, które pierwszy raz tej wiosny słyszano, ale trwała krótko i nazajutrz rozbłysnął znów poranek przejrzysty, różowy, złoty i tak świetlisty, że jak okiem sięgnąć wszystko lśniło jednym bisiosem brylantów i pereł, cała zaś kraina zdawała się uśmiechać niebu i radować się z bujnego życia.

W taki to ranek wykręcili z Niedzborza ku Szczytnu. Granica mazowiecka nie była daleko i łatwo by im przyszło nawrócić do Spychowa. Była chwila nawet, że Maćko chciał to uczynić, ale rozważywszy wszystko, wolał dotrzeć wprzód do straszego krzyżackiego gniazda, w którym tak ponuro rozstrzygnęła się część Zbyszkowych losów. Wziąwszy

<sup>1109</sup>list żelazny a. głąt — dokument wystawiony przez władze, dający posiadaczowi prawo do swobodnego poruszania się po danym terenie. [przypis edytorski]

<sup>1110</sup>komturia — jednostka administracyjna w zakonie krzyżackim. [przypis edytorski]

<sup>1111</sup>czerstwość (daw.) — zdrowie, siła. [przypis edytorski]

więc chłopą przewodnika, kazał mu prowadzić poczet ku Szczytnu, choć i przewodnik nie był konieczny, albowiem z Niedzborza szedł prosty gościniec, na którym niemieckie mile były białymi kamieniami znaczone.

Przewodnik jechał kilkadziesiąt kroków naprzód, za nim konno Maćko z Jagienką, następnie dość daleko za nimi Czech ze śliczną Sieciechówną, a dalej szły wozy otoczone przez zbrojnych pachółków. Ranek był wczesny. Różana barwa nie zesła jeszcze ze wschodniej strony nieba, choć słońce świeciło już, zmieniając na opale krople rosy na drzewach i trawach.

— Nie boisz się jechać do Szczytna? — zapytał Maćko.

— Nie boję się — odrzekła Jagienka. — Pan Bóg nade mną, bom sierota.

— Bo tam nijakiej wiary nie dotrzymują. Najgorszy pies był ci wprawdzie ów Darnveld, którego Jurand razem z Gotfrydem zgładził... Tak powiadał Czech. Drugi po Darnveldzie był Rotgier, który legł od Zbyszkowego topora, ale i ten stary jest okrutnik, diabłu zaprzedan... Ludzie nic dobrze nie wiedzą, wszelako ja tak myślę, że jeśli Danuśka zginęła, to z jego ręki. Gadają, że spotkała go też jakowaś przygoda, ale księżna powiedziała mi w Płocku, że się wykręcił. Z nim to będziemy mieli w Szczytnie sprawę. Dobrze, że mamy pismo od Lichtensteina, bo jego się podobno gorzej psubraty boją niż samego mistrza... Że to, prawią, powagę ma okrutną i zachowanie wielkie, a przy tym mściwy jest. Najmniejszej krzywdy nie daruje... Bez tego pisma nie jechałby ja tak spokojnie do Szczytna.

— A ówże stary jako się zowie?

— Zygfryd de Löwe.

— Bóg da, że damy sobie i z nim rady.

— Bóg da!

Tu Maćko roześmiał się i po chwili począł mówić:

— Powiada do mnie księżna w Płocku: „Krzywdujecie się, krzywdujecie jako baranki na wilków, a tu, powiada, z tych wilków trzech już nie żywie, bo ich niewinne baranki zdusiły”. I prawdę rzekłszy, tak to i jest...

— A Danuśka? A jej rodzic?

— To samo powiedziałem księżnie. Ale w duszy rad jestem, iż się pokazuje, jako i nas krzywdzić jest nieprzeznaczona<sup>1112</sup> rzecz. Juści wiemy, jak toporzysko chycić w garść i godnie nim machnąć! A co do Danuśki i Juranda, to prawda. Ja myślę tak samo jak i Czech, że ich już na świecie nie ma, ale w rzeczy to nikt dobrze nie wie... Tego Juranda też mi żal, bo i za życia się boleści o dziewczynę najadł i jeżeli zginął, to ciężką śmiercią.

— Co go kto przy mnie wspomni, to zaraz o tatusiu myślę, którego też na świecie nie ma — odpowiedziała Jagienka.

I tak mówiąc, podniosła zwilżone, śliczne oczy ku górze. Maćko zaś pokiwał głową i rzekł:

— W bożym on wiecu i w światłości wiekuistej na pewno, bo lepszego od niego człowieka chyba w całym naszym królestwie nie było...

— Oj, nie było ci, nie było! — westchnęła Jagienka.

Lecz dalszą rozmowę przerwał im chłop przewodnik, który powstrzymał nagle żrebca, a następnie zawrócił go, przyleciał pędem do Maćka i zawołał jakimś dziwnym, wylęknionym głosem:

— O dla Boga! Patrzcie no, panie rycerzu, kto to ku nam z pagórka idzie.

— Kto, gdzie? — zawołał Maćko.

— A owdzie! Chyba wielgolud<sup>1113</sup> czy co...

Maćko z Jagienką wstrzymali stępaki<sup>1114</sup>, spojrzeli we wskazanym przez przewodnika kierunku i istotnie oczy ich ujrzały na wyniosłości pagórka, na pół albo i więcej stajania, jakowś postać, której wymiary zdawały się znacznie przenosić zwykłe ludzkie kształty.

— Sprawiedliwie mówi, że chłop jest duży — mruknął Maćko.

Potem zmarszczył się, splunął nagle w bok i rzekł:

— Na psa urok!

— Czemu zaś zaklinacie? — spytała Jagienka.

<sup>1112</sup>nieprzeznaczony (daw.) — niebezpieczny. [przypis edytorski]

<sup>1113</sup>wielgolud — dziś popr.: wielkolud. [przypis edytorski]

<sup>1114</sup>stępak — silny i powolny koń, także: koń idący stępa. [przypis edytorski]

— Bom wspomniał, jako w taki sam ranek obaczyliśmy ze Zbyszkim na drodze z Tyńca do Krakowa takiego samego niby wielkoluda. Powiadali wówczas, że to Walgierz Wdały. Ba! Pokazało się, że to był pan z Taczewa, ale też nic dobrego z tego nie wypadło. Na psa urok.

— To nie rycerz, bo piechtą idzie — rzekła, wytyżając wzrok, Jagienka. — I widzę nawet, że nijakiej broni nie ma, jeno kostur w lewej ręce dzierży...

— I maca nim przed sobą, jakby była noc — dodał Maćko.

— I ledwie się rusza. Pewnie! Ślepy chyba czy co?

— Ślepy jest, ślepy! Jako żywo!

Ruszyli końmi i po jakimś czasie zatrzymali się naprzeciw dziada, który schodząc z pagórka niezmiernie powoli, szukał przed sobą kosturę drogi.

Był to starzec rzeczywiście ogromny, chociaż widziany z bliska przestał im się wydawać wielkoludem. Sprawdzili też, że był zupełnie ślepy. Zamiast oczu miał dwie czerwone jamy. Brakło mu również prawej dłoni, na miejscu której nosił węzeł uczyniony z brudnej szmaty. Białe włosy spadały mu aż na ramiona, a broda sięgała pasa.

— Nie ma chudzina<sup>1115</sup> ni pacholęcia, ni psa i sam omackiem drogi szuka — ozwała się Jagienka. — Dla Boga, nie mogę go przecie bez pomocy ostawić. Nie wiem, czy mnie będzie rozumiał, ale przemówię do niego po naszymu.

To rzekłszy, zeskoczyła żywo ze stępaka i zatrzymawszy się tuż przed dziadem, poczęła szukać pieniędzy w skórzanej kalecie wiszącej u jej pasa.

Dziad też, usłyszawszy przed sobą tupot koński i gwar, wyciągnął przed siebie kostur i podniósł do góry głowę, jak czynią ludzie ślepi.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — rzekła dziewczyna. — Rozumiecie, dziadku, po krześcijańsku?

Ów zaś, usłyszawszy jej słodki, młody głos, drgnął, przez twarz przeleciał mu jakiś dziwny błysk, jakby wzruszenia i rozzerwienia, nakrył powiekami swe puste jamy oczne i nagle, rzuciwszy kostur, padł przed nią na kolana, z wyciągniętymi w górę ramionami.

— Wstańcie, i tak was wspomogę. Co wam jest? — spytała ze zdziwieniem Jagienka.

Lecz on nie odpowiedział nic, tylko dwie łzy spłynęły mu po policzkach, a z ust wyszedł podobny do jęku głos:

— Aa! a!

— Na miłosierdzie Boskie! Niemowaście czy jak?

— Aa! a!

To wygłosiwszy, podniósł dłoń; naprzód uczynił nią znak krzyża, potem jął wodzić lewą dłonią wzdłuż ust. Jagienka, nie rozumiawszy, spojrzała na Maćka, który rzekł:

— Chyba coś ci takiego pokazuje, jakby mu język urznęli.

— Urznęli wam język? — spytała dziewczyna.

— A! a! a! — powtórzył kilkakrotnie dziad, kiwając przy tym głową.

Po czym wskazał palcami na oczy, następnie wysunął prawe ramię bez dłoni, a lewą wykonał ruch do cięcia podobny.

Teraz zrozumieli go oboje.

— Kto wam to uczynił? — spytała Jagienka.

Dziad zrobił znów kilkakrotnie znak krzyża w powietrzu.

— Krzyżacy! — zakrzyknął Maćko.

Starzec opuścił na znak potwierdzenia głowę na piersi.

Nastała chwila milczenia, tylko Maćko i Jagienka spoglądali na się z niepokojem, mieli bowiem przed sobą jawny dowód tego braku miłosierdzia i braku miary w karaniu, jakimi odznaczeni się rycerze zakonnicy.

— Srogie rządy! — rzekł wreszcie Maćko. — I ciężko go pokarali, a Bóg wie, czy słusznie. Nie dopytamy się o to. Żeby choć wiedzieć, gdzie go odwieźć, bo to musi być człek z tych okolic. Po naszymu rozumie, gdyż tu prosty naród taki jest jako i na Mazowszu.

— Rozumiecie przecie, co mówimy? — spytała Jagienka.

Dziad potwierdził głową.

— A tutejsiście?

<sup>1115</sup>chudzina — biedak. [przypis edytorski]

— Nie — odpowiedział na migi starzec.

— Zaś może z Mazowsza?

— Tak.

— Spod księcia Janusza?

— Tak.

— A cóżeście u Krzyżaków robili?

Starzec nie umiał odpowiedzieć, lecz twarz jego przybrała w jednej chwili wyraz tak niezmiernego bólu, że litościwe serce Jagienki zadrgało tym większym współczuciem, a nawet Maćko, chociaż nie byle co wzruszyć go mogło, rzekł:

— Pewnikiem skrzywdzili go, psubraty, może i bez jego winy.

Jagienka zaś wetknęła w dłoń nędzarza kilka drobnych pieniążków.

— Słuchajcie — rzekła. — Nie opuścim was. Pojedziecie z nami na Mazowsze i w każdej wsi będziemy was pytać, czy nie wasza. Może się jako dogadamy. Wstańcie jeno teraz, boć my przecie nie święci.

Lecz on nie wstał, owszem, pochylił się i objął jej nogi, jakby w opiekę się oddając i dziękując, przy czym jednak pewne zdziwienie, a nawet jakby zawód mignęły mu na obliczu. Być może, iż miarkując z głosu, sądził, iż stoi przed dziewczyną, tymczasem dłoń jego trafiła na jałowicze skórznie, jakie w podróży nosili rycerze i giermkowie.

Ona zaś rzekła:

— Tak i będzie. Przyjdą wnet nasze wozy, to sobie odpoczniecie i pożywicie się. Ale na Mazowsze nie od razu pojedziecie, bo przedtem trzeba nam do Szczytna.

Na to słowo starzec zerwał się na równe nogi. Zgroza i zdumienie odbiły mu się na twarzy. Roztworzył ramiona, jakby chcąc zagrozić drogę, a z ust poczęły mu się wydobywać dzikie i jak gdyby pełne przerażenia dźwięki.

— Co wam? — zawołała przelękniona Jagienka.

Lecz Czech, który już przedtem był z Sieciechówną nadjechał i od pewnego czasu wpatrywał się uporczywie w dziada, zwrócił się nagle do Maćka ze zmienioną twarzą i dziwnym jakimś głosem rzekł:

— Na rany boskie! Pozwólcie, panie, bym do niego przemówił, bo ani wiecie, kto on może być!

Po czym, nie pytając o pozwolenie, poskoczył do dziada, położył mu ręce na barkach i jął pytać:

— Ze Szczytna idziecie?

Starzec jakby uderzony dźwiękiem jego głosu uspokoił się i skinął głową.

— A nie szukaliście tam dziecka?...

Gluchy jęk był jedyną odpowiedzią na to pytanie.

Wówczas Hława przybladł nieco, chwilę jeszcze wpatrywał się swym rysim wzrokiem w rysy starca, po czym rzekł z wolna i dobitnie:

— To wyście Jurand ze Spsychowa!

— Jurand! — zakrzyknął Maćko.

Lecz Jurand zachwiał się w tej chwili i omdlał. Przebyte męki, brak pożywienia, trudy podróży obaliły go z nóg. Oto dziesiąty już dzień upływał, jak szedł tak omackiem, błędząc i szukając przed sobą kijem drogi, o głodzie, w utrudzeniu i niepewności, dokąd idzie. Nie mogąc pytać o drogę, w dzień kierował się tylko ciepłem promieni słonecznych, nocę spędzał w rowach przy gościńcu. Gdy zdarzyło mu się przechodzić przez wieś, osadę lub gdy spotykał ludzi naprzeciw idących, dłońią i głosem żebrał jałmużny, lecz rzadko kiedy wspomogła go litościwa ręka, powszechnie bowiem brano go za zbrodniarza, którego dosięgła pomsta prawa i sprawiedliwości. Od dwóch dni żywił się korą drzewną i liśćmi i już był zwątpił, czy trafi kiedykolwiek na Mazowsze — aż tu nagle otoczyły go litościwe swojackie serca i swojskie głosy, z których jeden przypomniał mu słodki głos córki — a gdy w końcu wymieniono jeszcze i jego imię, przebrała się wreszcie miara wzruszeń, serce ścisnęło mu się w piersi, myśli zakręciły się wichrem w głowie i byłby zwałił się twarzą w proch gościńca, gdyby nie podtrzymały go krzepkie ramiona Czecha.

Maćko zeskoczył z konia, po czym obaj wzięli go, ponieśli ku taborkowi, a następnie ułożyli na wymoszczonym sianem wozie. Tam Jagienka z Sieciechówną ocuciwszy go, nakarmiły i napiły winem, przy czym Jagienka widząc, że nie może utrzymać kubka,

sama podawała mu napój. Zaraz potem chwycił go nieprzeparty kamienny sen, z którego dopiero na trzeci dzień miał się rozbudzić.

Oni zaś złożyli tymczasem prędką doraźną naradę.

— Krótko rzekę — ozwała się Jagienka. — Nie do Szczytna teraz jechać, ale do Spychowa, by go w przepiecznym miejscu między swoimi we wszelakim starunku zostawić.

— Obacz, jak się to rządź! — odpowiedział Maćko. — Do Spychowa trzeba go odesłać, ale niekoniecznie mamy wszyscy jechać, bo z nim może jeden wóz pójść.

— Nie rządź ja się, jeno tak mniemam, że siła możemy się od niego i o Zbyszku, i o Danuście dowiedzieć.

— A po jakimu będziesz z nim gadać, kiedy języka nie ma?

— A któż jak nie on pokazał wam, że nie ma? Widzicie, że i bez gadania dowiedzieliśmy się wszystkiego, czego nam było trzeba, a cóż dopiero, gdy się do jego pokazywania głową i rękoma wezwyczym! Spytacie go na ten przykład, czy wracał Zbyszko z Malborga do Szczytna, to juźci albo skinie głową, albo zaprzeczy. I to samo o innych rzeczach.

— Prawda jest! — zawołał Czech.

— Nie sprzecam się i ja też, że prawda — rzekł Maćko — i sam takową myśl miałem, jeno u mnie pierwsza rozważa, a gęba potem.

To rzekłszy, kazał zawrócić taborkowi ku mazowieckiej granicy. W czasie drogi Jagienka raz po raz podjeżdżała do wozu, na którym leżał Jurand, bojąc się, aby nie zamarł we śnie.

— Nie poznałem go — mówił Maćko — ale i nie dziwota. Chłop był jak tur! Powiadali o nim Mazurowie, że on jeden między nimi mógłby się być z samym Zawiszą potykać; a teraz iście kościotrup.

— Chodziły słuchy — rzekł Czech — że go mękami zmożyli, ale poniektóry i wierzyć nie chciał, by zaś chrześcijanie tak mieli postąpić z pasowanym rycerzem, który też świętego Jerzego ma za patrona.

— Bóg dał, że go Zbyszko choć w części pomścił. No, ale patrzcie, jakowa jest między nami a nimi różnica. Prawda! Z czterech psubratów trzech już legło, ale w bitwie legli i nikt żadnemu języka w niewoli nie obrzezał<sup>1116</sup> ani też oczu nie wyluskiwał.

— Bóg ich pokarze — rzekła Jagienka.

Lecz Maćko zwrócił się do Czecha:

— A tyś jak go uznał?

— Zrazum go też nie uznał, chociażem go później, panie, od was widział. Ale mi coś tam chodziło po głowie i im więcej mu się przypatrywałem, tym więcej chodziło... Ba! Brody nie miał ni białych włosów, moźny był pan a potężny; jakoże go było w takim dziadzie uznać! Ale gdy panienska rzekła, że jedziem do Szczytna, a on wyć począł, zaraz mi się oczy otwarły.

Maćko zamyślił się.

— Ze Spychowa trzeba by go księciu zawieźć, który przecież takiej krzywdy znacnemu człowiekowi wyrządzonej płazem puścić nie może.

— Wyprą się, panie; porwali mu zdradą dziecko i wyparli się, a o panu ze Spychowa powiedzą, że w bitwie i język, i rękę, i oczy utracił.

— Słusznie — rzekł Maćko. — Toćże oni i samego księcia swego czasu porwali. Nie może on z nimi wojować, bo nie podola, chybaby mu nasz król pomógł. Gadają ludzie i gadają o wielkiej wojnie, a tu ani małej nie ma.

— Jest z księciem Witoldem.

— Chwalić Boga, że choć ten ich za nic ma... Hej! Książ Witold to mi książ! A chytrnością go też nie zmoją, bo on jeden chytrzejszy niż oni wszyscy razem. Bywało, przycisną go, psiajuchy, tak, że zguba nad nim jako miecz nad głową, a on się jako wąż wyśliźnie i zaraz ich ukąsi... Strzeż go się, gdy cię bije, ale bardziej się strzeż, gdy cię głaszczce.

— Takż on jest ze wszystkimi?

— Nie ze wszystkimi, jeno z Krzyżaki. Z innymi dobry i hojny książ!

Tu zamyślił się Maćko, jakby chcąc lepiej sobie Witolda przypomnieć.

<sup>1116</sup>obrzezać — tu: uciąć. [przypis edytorski]



— Całkiem to inny człowiek niż tutejsi książęta — rzekł wreszcie. — Powinien był Zbyszko do niego się udać, bo i pod nim, i przez niego najwięcej można przeciw Krzyżakom wskórać.

Po chwili zaś dodał:

— Kto wie, czy się tam jeszcze obaj nie znajdziem, gdyż tam i pomstę można mieć najsluszniejszą.

Potem znów mówili o Jurandzie, o jego nieszczęsnym losie i niewypowiedzianych krzywdach, jakich od Krzyżaków doznał, którzy naprzód bez żadnej przyczyny zamordowali mu umiłowaną żonę, a potem zemstą płacąc za zemstę, porwali dziecko — i samego umęczyli tak okrutnymi mękami, że i Tatarzy nie umieliby lepszych obmyślić. Maćko i Czech zgrzytali zębami na myśl, że nawet i w wypuszczeniu go na wolność było nowe wyrachowane okrucieństwo. Stary rycerz obiecywał też sobie w duszy, że postara się wywieźć dobrze, jako to wszystko było, a potem zapłacić zawiązką.

Na takich rozmowach i myślach schodziła im droga do Spychowa. Po dniu pogodnym nastąpiła noc cicha, gwieździsta, więc nie zatrzymywali się nigdzie na nocleg, trzykrotnie tylko popaśli obficie konie, po ciemku jeszcze przejechali granicę i nad ranem stanęli pod wodzą najętego przewodnika na ziemi spychowskiej. Stary Tolima trzymał widocznie tam wszystko żelazną ręką, gdyż zaledwie zapuścili się w las, wyjechało naprzeciw dwóch zbrojnych pacholków, którzy jednak, widząc nie żadne wojsko, lecz niewielki poczet, nie tylko przepuścili ich bez pytania, ale przeprowadzili przez niedostępne dla nieznanających miejscowości rozlewiska i moczary.

W gródku przyjęli goście Tolima i ksiądz Kaleb. Wieść, że pan przybył, przez zbożnych<sup>1117</sup> ludzi odwiezion, błyskawicą rozleciała się między załogą. Dopieroż gdy zobaczyli, jakim wyszedł z rąk krzyżackich — wybuchła taka burza gróźb i wściekłości, że gdyby w podziemiach spychowskich znajdował się jeszcze jaki Krzyżak, żadna moc ludzka nie zdołałaby go wybawić od strasznej śmierci.

Konni „parobje” chcieli i tak zaraz siadać na koń, skoczyć ku granicy, złapać co się da Niemców i głowy ich rzucić pod nogi panu, ale okiełznał tę ich chęć Maćko, który wiedział, że Niemcy siedzą po miasteczkach i gródkach, a wieśniacza ludność tej samej jest krwi, jeno że pod obcą przemocą<sup>1118</sup> żyje. Ale ani ów rozgwar, ani okrzyki, ani skrzypienie żurawi studziennych nie zdołały rozbudzić Juranda, którego z wozu przeniesiono na skórze niedźwiedziej do jego izby na łożo. Został przy nim ksiądz Kaleb, przyjaciel od dawnych lat, a tak jak rodzony kochający, który począł błagalną modlitwę, aby Zbawiciel świata wrócił nieszczęsnemu Jurandowi i oczy, i język, i rękę.

Znużeni drogą podróżni poszli też po spożyciu rannego posiłku na spoczynek. Maćko zbudził się dobrze już z południa i kazał pacholcowi przywołać do siebie Tolimę.

I wiedząc poprzednio od Czecha, że Jurand przed wyjazdem nakazał wszystkim posłuch dla Zbyszka i że mu dziedzinę na Spychowie przez usta księdza przekazał, rzekł do starego głosem zwierzchnika:

— Jam jest stryj waszego młodego pana i póki nie wróci, moje tu będą rządy.

Tolima schylił swą siwą głowę, nieco do głowy wilczej podobną, i otoczywszy dłonią ucho, zapytał:

— To wyście, panie, szlachetny rycerz z Bogdańca?

— Tak jest — odrzekł Maćko. — Skąd o mnie wiecie?

— Bo się tu was spodziewał i pytał o was młody pan, Zbyszko.

Usłyszawszy to, Maćko zerwał się na równe nogi i zapominając o swej powadze, zakrzyknął:

— Zbyszko w Spychowie?

— Był, panie; dwa dni temu wyjechał.

— Na miły Bóg! Skąd przybył i dokąd pojechał?

— Przybył z Malbörga, a po drodze był w Szczytnie, dokąd zaś wyjechał, nie powiadał.

— Nie powiadał?

— Może księdzu Kalebowi powiadał.

<sup>1117</sup>zbożny (daw.) — pobożny, dobry, szlachetny. [przypis edytorski]

<sup>1118</sup>przemoc — tu: sroga i niechciana władza. [przypis edytorski]

— Hej, mocny Boże! Tośmy się zminęli! — mówił, uderzając się dłońmi po udach, Maćko.

Tolima zaś otoczył dłońią i drugie ucho:

— Jako powiadacie, panie?

— Gdzie jest ksiądz Kaleb?

— U pana starszego, przy łożu.

— Przyzwijcie go! Albo nie... Sam do niego pójdę.

— Przyzwę go! — rzekł stary.

I wyszedł. Lecz nim przyprowadził księdza, weszła Jagienka.

— Chodź tu! Wiesz, co jest! Dwa dni temu był tu Zbyszko.

A ona zmieniła się w jednej chwili na twarzy i nogi przybrane w obcisłe, pasiaste nogawiczki<sup>1119</sup> zdrzęzały pod nią widocznie.

— Był i pojechał? — pytała z bijącym sercem. — Dokąd?

— Dwa dni temu, a dokąd, może ksiądz wie.

— Trzeba nam za nim! — rzekła stanowczym głosem.

Po chwili wszedł ksiądz Kaleb, który sądząc, że Maćko wzywa go po to, aby zapytać o Juranda, rzekł, uprzedzając pytanie:

— Śpi jeszcze.

— Słyszałem, że Zbyszko tu był? — zawołał Maćko.

— Był. Dwa dni temu wyjechał.

— Dokąd?

— Sam nie wiedział... Szukać... Pojechał ku granicy żmujdzkiej, gdzie teraz wojna.

— Na miły Bóg, powiadajcie, ojcze, co o nim wiecie!

— Wiem tyle, ilem od niego słyszał. Był w Malborgu i możną tam opiekę pozyskał, bo brata mistrzowego, który jest pierwszym między nimi rycerzem. Z jego rozkazania wolno było szukać Zbyszkowi po wszystkich zamkach.

— Juranda i Danuśki?

— Tak, ale Juranda nie szukał, bo mu powiedzieli, że nie żyje.

— Mówcie od początku.

— Zaraz, jeno odetchnę i oprzytomnieję, bo z innego świata powracam.

— Jak to z innego świata?

— Z tego świata, do którego na koniu nie zajedzie, ale na modlitwie zajedzie... i od nóg Pana Chrystusowych, u których prosiłem o zmiłowanie nad Jurandem.

— Cuduście prosili? Macieź tę moc? — zapytał z wielką ciekawością Maćko.

— Mocy nijakiej nie mam, ale ją Zbawiciel ma, któren jeśli zechce, powróci Jurandowi i oczy, i język, i rękę...

— Byle chciał, to jużci że i potrafi — odrzekł Maćko — wszelako nie o byle coście prosili.

Ksiądz Kaleb nie odpowiedział nic, może nie dosłyszał, gdyż oczy miał jeszcze jakby nieprzytomne i istotnie widać było, iż się poprzednio całkiem w modlitwie zapamiętał.

Więc zakrył teraz twarz rękoma i czas jakiś siedział w milczeniu. Wreszcie wstrząsnął się, przetarł dłońmi oczy i źrenice, po czym rzekł:

— Teraz pytajcie.

— Jakim sposobem pozyskał sobie Zbyszko wójta sambińskiego<sup>1120</sup>?

— Już on nie jest wójtem sambińskim...

— Mniejsza z tym... Wy miarkujcie, o co pytam, i prawcie, co wiecie.

— Pozyskał go sobie na turnieju. Ulryk rad się w szrankach potyka, potykał ci się i ze Zbyskiem, bo było siła gości rycerskich w Malborgu i mistrz gonitwy wyprawił. Pękł Ulrykowi poprąg<sup>1121</sup> w siodle i łączno go mógł Zbyszko z konia zbić, ale on to ujrzawszy, prasnął glewię o ziem i jeszcze chwiejącego się podtrzymał.

— Hej! Ano widzisz! — zawołał Maćko, zwracając się do Jagienki. — Za to go Ulryk pokochał?

Modlitwa

Rycerz, Honor

<sup>1119</sup>nogawice (daw.) — spodnie. [przypis edytorski]

<sup>1120</sup>Sambia — kraina historyczna w Prusach, obecnie obwód kaliningradzki. [przypis edytorski]

<sup>1121</sup>poprąg — rzemień podtrzymujący siodło. [przypis edytorski]

— Za to go pokochał. Nie chciał już z nim gonić na ostre ani na tępe kopie i pokochał go. Zbyszko też powiedział mu swoje utrapienia, a ów, że to o cześć rycerską jest dbający, okrutnym gniewem zapłonął i do brata swego, mistrza, Zbyszka na skargę zaprowadził. Bóg da mu za to zbawienie, bo niewielu jest między nimi, którzy miłują sprawiedliwość. Mówił mi też Zbyszko, że pan de Lorche wielce mu dopomógł przez to, iż go tam dla wielkiego rodu i bogactw szanują, a on zasie we wszystkim za Zbyszkciem świadczył.

— A co ze skargi i z onego świadectwa przyszło?

Przyszło to, iż wielki mistrz surowie komturowi szczytnieńskiemu przykazał, aby wszystkich jeńców i więźniów, jacy są w Szczytnie, duchem do Malborga odesłał, samego Juranda nie wyjmując<sup>1122</sup>. Komtur co do Juranda odpisał, iż z ran umarł i tamże przy kościele jest pogrzebion. Innych jeńców odesłał, między którymi była dziewczka nie-dojda, ale naszej Danusi nie było.

— Wiem od giermka Hławy — rzekł Maćko — iż Rotgier, ten, który od Zbyszka zabit, też na dworze księcia Januszowym o takiej dziewczce-matołce wspominał. Mówił, że ją mieli za Jurandównę, a gdy mu księżna odpowiedziała, że przecie prawą Jurandównę znali i widzieli, jako nie była matolka, rzekł: „Iście prawda, ale myślelim, że ją złe przemieniło”.

— To samo napisał komtur mistrzowi: iż ową dziewczkę nie w więzieniu, jeno na opiece mieli, wpoprzd ją zbójcom odjąwszy, którzy przysięgali, że to przemieniona Jurandówna.

— I mistrz uwierzył?

— Sam nie wiedział, czyli ma wierzyć, czy nie wierzyć, ale Ulryk jeszcze większym gniewem zapłonął i wymógł na bracie, aby urzędnika zakonnego ze Zbyszkciem do Szczyt-na posłał, co też się stało. Przyjechawszy do Szczyt-na, starego komtura już nie zastali, bo na wojnę z Witoldem ku wschodnim zamkom wyruszył, jeno podwójciego, któremu urzędnik kazał wszystkie sklepy<sup>1123</sup> i podziemia otworzyć. Za czym szukali i szukali, i nic nie znaleźli. Brali też ludzi na spytki. Jeden sam powiedział Zbyszkowi, że od kapelana można się siła dowiedzieć, gdyż kapelan umie kata niemową wyrozumieć. Ale kata zabrał z sobą stary komtur, a kapelan do Królewca na jakowyś duchowny *congressus*<sup>1124</sup> był wyjechał... Oni się tam często zjeżdżają i skargi na Krzyżaków do papieża ślą, bo i księżom chudziętom pod nimi ciężko...

— To mi jeno dziwno, że Juranda nie znaleźli! — zauważył Maćko.

— Bo go widać wprzd stary komtur wypuścił. Większa była złość w tym wypuszczeniu, niż żeby mu byli po prostu gardło wzięli<sup>1125</sup>. Chciało im się, żeby pocierpiał przed śmiercią tyle, ba! i więcej, niż człowiek jego stanu wytrzymać może. Ślepy, niemowa i bez prawicy: bójcieże się Boga!... Ni do domu trafić, ni o drogę alboli o chleb poprosić... Myśleli, że zamrze gdzie pod płotem z głodu albo się w jakowej wodzie utopi... Co mu ostawili? Nic, tylko pamięć, kim był, i rozeznanie nędzy. A to przecie męka nad męki... Może tam gdzieś pod kościołem albo przy drodze siedział, a Zbyszko przejeżdżał i nie poznał go. Może i on słyszał głos Zbyszkowy, ale zawołać na niego nie mógł... Hej!... Nie mogę od słuz!... Cud Bóg uczynił, iżście go spotkali, i dlatego mniemam, że i jeszcze większy uczyni, choć Go o niego niegodne i grzeszne wargi moje proszą.

— A cóż Zbyszko więcej powiadał? Dokąd jechał? — pytał Maćko.

— Powiadał tak: „Wiem, iż była Danuśka w Szczytnie, ale oni ją porwali i albo zamorzyli<sup>1126</sup>, albo wywieźli. Stary de Löwe, powiada, to uczynił, i tak mi dopomóż Bóg, jako wprzd nie spocznę, nim go dostanę”.

— Także powiadał? To pewno ku wschodnim komturiom wyjechał, ale tam teraz wojna.

— Wiedział, że wojna, i dlatego do kniazia Witolda pociągnął. Powiadał, iż prędzej przez niego coś przeciw Krzyżakom wskóra niż przez samego króla.

— Do kniazia Witolda! — zawołał, zrywając się, Maćko.

Po czym zwrócił się do Jagienki:

— Widzisz, co to rozum! Nie gadałem tego samego? Przepowiadałem jako żywo, że przyjdzie nam iść do Witolda...

<sup>1122</sup>nie wyjmując (daw.) — nie wykluczając. [przypis edytorski]

<sup>1123</sup>sklep (daw.) — piwnica. [przypis edytorski]

<sup>1124</sup>congressus (łac.) — zjazd. [przypis edytorski]

<sup>1125</sup>gardło wziąć — zabić. [przypis edytorski]

<sup>1126</sup>zamorzyć (daw.) — zabić. [przypis edytorski]

— Zbyszko miał nadzieję — ozwał się ksiądz Kaleb — iż Witold do Prus wtargnie i tamtejszych zamków będzie dobywał.

— Jeśli mu dadzą czas, to i nie omieszką — odparł Maćko. — No! Chwalić Boga, wiemy przynajmniej, gdzie Zbyszka szukać.

— To i trzeba nam zaraz ruszyć! — rzekła Jagienka.

— Cichaj! — zawołał Maćko. — Nie przystoi pacholkom z radami się odzywać.

To rzekłszy, spojrział na nią znacząco, jakby przypominając jej, że jest pacholkiem, a ona upamiętała się<sup>1127</sup> i umilkła.

Zaś Maćko pomyślał chwilę i rzekł:

— Juźci, Zbyszka teraz najdziem, bo pewnie nie gdzie indziej, tylko przy boku kniazia Witoldowym będzie, ale trzeba by raz wiedzieć, czy on ma jeszcze czego po świecie szukać prócz tych łbów krzyżackich, które ślubował?

— A jakoże to przeznac? — spytał ksiądz Kaleb.

— Żebym wiedział, że ten ksiądz szczytnieński wrócił już z synodu, tobym go chciał widzieć — odpowiedział Maćko. — Mam listy Lichtensteina i do Szczytna mogę przepiecznie jechać.

— Nie był to ci żaden synod, jeno *congressus* — odparł ksiądz Kaleb — i kapelan dawno już musiał wrócić.

— To dobrze. Zdajcieże resztę na moją głowę... Wezmę z sobą Hławę, dwóch pacholków z bojowymi końmi od wypadku i pojedę.

— A potem ku Zbyszkowi? — zapytała Jagienka.

— A potem ku Zbyszkowi, ale tymczasem ty tu ostaniesz i będziesz czekać, dopóki ze Szczytna nie wrócę. Tak też myślę, że więcej nad trzy albo cztery dni nie zabawię. Twarde we mnie gnaty i trud mi nie nowina. Przedtem jeno, was, ojcze Kalebie, o pismo do szczytnieńskiego kapelana poproszę. Łacniej mi zawierzy, jeśli mu list wasz pokażę... że to zawsze jest większa między księżmi podufałość<sup>1128</sup>.

— Ludzie dobrze o tamtym księdzu mówią — rzekł ojciec Kaleb. — I jeżeli kto co wie, to on.

I pod wieczór wygotował<sup>1129</sup> list, a nazajutrz, nim słońce weszło, nie było już starego Maćka w Spychowie.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jurand rozbudził się z długiego snu w obecności księdza Kaleba i zapomniawszy we śnie, co się z nim działo, a nie wiedząc, gdzie jest, począł macać łożo i ścianę, przy której i łożo stało. Lecz ksiądz Kaleb chwycił go w ramiona i płacząc z rozrzewnienia, począł mówić:

— To ja! Jesteś w Spychowie! Bracie Jurandzie! Bóg cię doświadczył... aleś między swymi... zbożni ludzie odwieźli cię... Bracie Jurandzie! Bracie!!!...

I przycisnąwszy go do piersi, jął całować jego czoło, jego puste oczy, i znów cisnąć do piersi, i znów całować, a ów z początku był jakby odurzony i zdawał się nic nie rozumieć, wreszcie jednak jął wodzić lewą dłonią po czole i głowie, jakby chcąc odgarnąć i rozproszyć ciężkie chmury snu i odurzenia.

— Słyszysz ty mnie i rozumiesz? — spytał ksiądz Kaleb.

Jurand dał znak głową, że słyszy, po czym dłonią sięgnął po srebrny krucyfiks, który swego czasu zdobył był na jednym możnym rycerzu niemieckim, zdjął go ze ściany, przycisnął do ust, do piersi i oddał księdzu Kalebowi.

Ów zaś rzekł:

— Rozumiem cię, bracie! On ci zostaje i jako cię wywiódł z ziemi niewoli, tak ci i wszystko, coś stracił, wrócić może.

Jurand wskazał ręką ku górze na znak, że wszystko dopiero tam wróconym mu będzie, przy czym załzawiły się znów jego wykapano oczy i ból niezmierny odbił się na jego umęczonej twarzy.

A ksiądz Kaleb, ujrawszy ów ruch i ową bolesć, zrozumiał, że Danuśka już nie żyje, więc klęknął przy łożu i rzekł:

<sup>1127</sup>upamiętać się — dziś popr.: opamiętać się. [przypis edytorski]

<sup>1128</sup>podufałość (daw.) — poufałość, zaufanie, przyjaźń. [przypis edytorski]

<sup>1129</sup>wygotować (daw.) — przygotować. [przypis edytorski]

— Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci, niech odpoczywa w spokoju wiecznym, amen.

Na to ślepy podniósł się i siadłszy na łożu, począł kręcić głową i machać dłońią, jakby chcąc zaprzeczyć i powstrzymać księdza Kaleba, lecz nie mogli się porozumieć, gdyż w tej chwili wszedł stary Tolima, a za nim załoga gródka, karbowi<sup>1130</sup>, przedniejsi i starsi kmiecie spychowscy, leśnicy i rybacy, albowiem wieść o powrocie pana rozbiegła się już po całym Spychowie. Ci obejmowali mu kolana, całowali ręce i wybuchali płaczem rzewnym na widok tego kaleki i starca, który w niczym nie przypominał dawnego groźnego Juranda, pogromiciela Krzyżaków i zwycięzcy we wszystkich spotkaniach. Lecz niektórych — tych mianowicie, co chadzali z nim na wyprawy, porywał wicher gniewu, więc oblicza im bladły i stawały się zawzięte. Po chwili poczęli się zbijać w kupy, szeptać, trącać łokciami, popychać, aż wreszcie wysunął się naprzód jeden z załogi gródkowej, a zarazem kowal spychowski, niejaki Sucharz; przystąpił do Juranda, podjął go pod nogi i rzekł:

— Jak was tu przywieźli, panie, zaraz chcieliśmy na Szczytno ruszyć, ale ów rycerz, który was przywiózł, wzbronił. Wy, panie, teraz pozwólcie, bo zaś przez pomsty nie możemy ostać. Niech tak będzie, jako drzewiej bywało. Darmoć nas nie hańbili i nie będą... Chodziliśmy do nich za waszych rządów, pójdziem i teraz, pod Tolimą alibo i bez niego. Już my Szczytno musimy dobyć i tę sobaczą krew z nich wytoczyć; tak nam dopomóż Bóg!

— Tak nam dopomóż Bóg! — powtórzyło kilkanaście głosów.

— Do Szczytna!

— Krwi nam trzeba!

I wraz płomień ogarnął zapalczywe serca mazurskie. Łby poczęły się marszczyć, oczy błyskać, tu i ówdzie ozwało się zgrzytanie zębów. Lecz po chwili głosy i zgrzytania umilkły, a oczy wszystkich wpatrzyły się w Juranda.

Owemu zaś zrazu zakwitły policzki, jakby zagrała w nim dawna zawziętość i dawna bojowa ochota. Podniósł się i znów począł szukać dłońią po ścianie. Ludziom wydało się, że szuka miecza, ale tymczasem palce jego trafiły na krzyż, który ksiądz Kaleb zawiesił był na dawnym miejscu.

Więc zdjął go po raz wtóry ze ściany, po czym twarz mu pobladła; zwrócił się ku ludziom, podniósł ku górze puste jamy oczu i wyciągnął przed się krucyfiks.

Nastało milczenie. Na dworze czynił się już wieczór. Przez otwarte okna dochodził świergot ptactwa, które układało się do snu na poddaszach gródka i w lipach rosnących na dziedzińcu. Ostatnie czerwone promienie słońca padały, przenikając do izby, na wzniesiony w górę krzyż i na białe włosy Juranda.

Kowal Sucharz popatrzał na Juranda, obejrzał się na towarzyszków, popatrzał raz, drugi, wreszcie przeżegnał się i wyszedł na palcach z izby. Za nim wyszli równie cicho inni i dopiero zatrzymawszy się na dziedzińcu, poczęli między sobą szeptać:

— No i cóż?

— Nie pójdziem czy jak?

— Nie pozwoli!

— Zostawuje<sup>1131</sup> zemstę Bogu. Widać, że się i dusza w nim zmieniła.

I tak było rzeczywiście.

Ale tymczasem w izbie Juranda został tylko ksiądz Kaleb, stary Tolima, a z nimi Jagienka z Sieciechówną, które ujrawszy poprzednio całą kupę zbrojnych ludzi idącą przez dziedziniec, przyszły także zobaczyć, co się dzieje.

Jagienka, śmielsza i pewniejsza siebie od Sieciechówny, przystąpiła teraz do Juranda.

— Bóg wam dopomóż, rycerzu Jurandzie! — rzekła. — To my; my, cośmy was tu z Prus przywieźli.

A jemu na dźwięk jej młodego głosu pojaśniała twarz. Widocznie też przypomniał sobie jeszcze dokładniej wszystko, co zaszło na szczycieńskim gościńcu, bo począł dziękować, kiwając głową i kładąc kilkakrotnie dłoń na sercu. Ona zaś jęła mu opowiadać, jak go spotkali i jak poznał go Czech Hława, który jest giermkim rycerza Zbyszka, i jak wreszcie przywieźli go do Spychowa. Powiedziała też i o sobie, że nosi wraz z towarzyszem

<sup>1130</sup>karbowy (daw.) — osoba pilnująca pracy chłopów. [przypis edytorski]

<sup>1131</sup>zostawować — dziś popr.: zostawiać. [przypis edytorski]

miecz i hełm z tarczą za rycerzem Maćkiem z Bogdańca, Zbyszkowym stryjcem, który z Bogdańca na poszukiwanie bratanka wyruszył, a teraz do Szczytna pojechał i za trzy albo cztery dni powróci znów do Spychowa.

Na wzmiankę o Szczytnie Jurand nie wpadł wprawdzie w takie uniesienie jak pierwszym razem na gościńcu, ale wielki niepokój odbił się na jego twarzy. Jagienka jednak zapewniła go, że rycerz Maćko był równie chytry, jak mężny i że nikomu nie da się na hak przywieść, a prócz tego posiada listy od Lichtensteina, z którymi wszędy bezpieczne może jechać. Słowa te uspokoiły go znacznie; znać też było, że chciał i o wiele innych rzeczy zapytać, nie mogąc zaś tego uczynić, cierpiał w duszy, co wnet spostrzegłszy, bystra dziewczyna rzekła:

— Jak częściej będziem ze sobą gwarzyć, to się wszystkiego dogadamy.

Na to on znów uśmiechnął się, wyciągnął ku niej dłoń i złożywszy ją omackiem na jej głowie, trzymał przez długą chwilę, jakby ją błogosławiąc.

Wiele jej też istotnie zawdzięczał, ale prócz tego przypadła mu widocznie do serca ta młodość i to jej szczebiotanie przypominające świągot ptasi.

Jakoż od tej pory, gdy się nie modlił — co prawie po całych dniach czynił — lub gdy nie pogrążon był we śnie, szukał jej koło siebie, a gdy jej nie było, tęsknił do jej głosu i wszelkimi sposobami starał się dać poznać księdzu Kalebowi i Tolimie, że tego wdzięcznego pacholka chce mieć przy sobie blisko.

Ona zaś przychodziła, gdyż pocziwie jej serce litowało się nad nim szczerze, a prócz tego prędzej jej schodził przy nim czas oczekiwania na Maćka, którego pobyt w Szczytnie przedłużał się jakoś dziwnie.

Miał wrócić za trzy dni, tymczasem upłynął czwarty i piąty. Szóstego pod wieczór zaniepokojona dziewczyna miała już prosić Tolimy, by wysłał ludzi na zwiady, gdy nagle ze strażniczego dębu dano znać, że jacyś jeźdźcy zbliżają się do Spychowa.

Po chwili zadudniły rzeczywiście kopyta na zwodzonym moście i na dziedziniec wjechał giermek Hława z drugim pocztowym pacholkiem. Jagienka, która już poprzednio zeszła z górnej izby i czekała na podwórzcu, podskoczyła ku niemu, nim zdołał zsiść z konia.

— Gdzie Maćko? — zapytała z bijącym trwogą sercem.

— Pojechał do kniazia Witolda, a wam kazał tu ostać — odpowiedział giermek.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Jagienka dowiedziawszy się, iż ma pozostać z rozkazu Maćka w Spychowie, przez chwilę ze zdumienia, żalu i gniewu słowa nie mogła przemówić, patrzyła tylko na Czecha szeroko otwartymi oczyma, który rozumiejąc dobrze, jak niemiłą jej przynosi wiadomość, rzekł:

— Chciałbym też wam sprawę zdać z tego, cośmy w Szczytnie słyszeli, bo siła jest nowin i ważnych.

— A o Zbyszku są?

— Nie, jeno są szczytnieńskie; wiecie...

— Rozumiem! Konie niech pacholik rozkulbaczy, a wy pójdziecie za mną.

I dawszy rozkaz pacholikowi, poprowadziła Czecha z sobą na górę.

— Czemu to nas Maćko opuścił? Dlaczego mamy w Spychowie ostawać i dlaczegoście wy wrócili? — zapytała jednym tchem.

— Ja wróciłem — odrzekł Hława — bo mi rycerz Maćko kazali. Chciało mi się na wojnę, ale jak rozkaz, to rozkaz. Powiedzieli mi rycerz Maćko tak: „Wrócisz, będziesz panny zgorzelickiej pilnował i ode mnie na nowiny czekał. Być może, powiada, że ci przyjdzie ją do Zgorzelic odprowadzić, bo jużci sama nie wróci”.

— Na miły Bóg! Cóż się stało? Znalazła się córka Jurandowa? Zali Maćko nie do Zbyszka, tylko po Zbyszka pojechał? Widziałeś ją? Gadałeś z nią? Czemuż jej nie przywiózł i gdzie ona teraz?

Usłyszawszy Czech ten nawał pytań, skłonił się do kolan dziewczyny i rzekł:

— Niechże to nie będzie gniewno waszej miłości, iż na wszystko razem nie odpowiem, bo nie sposób; jeno będę kolejno na jedno po drugim odpowiadał, jeśli przeszkody nie znajdę.

— Dobrze! Znalazła się czy nie?

— Nie, ale wždy jest wiadomość pewna, że była w Szczytnie i że ją pono gdzieś ku wschodnim zamkom wywieźli.

— A my dlaczego mamy siedzieć w Spychowie?

— Ba, a jeśli się odnajdzie?... To jakoś widzi wasza miłość... Bo i prawda, że nie byłoby po co...

Jagienka zamilkła, tylko policzki jej zapłonęły.

Czech zaś rzekł:

— Myślałem i jeszcze myślę, że z tych psubrackich pazurów nie wyrwiemy jej żywej, ale wszystko w boskich rękach. Trzeba mi gadać od początku. Przyjechaliśmy do Szczytna, i dobrze. Rycerz Maćko pokazał podwójciemu pismo Lichtensteina, a podwójci, że to za młodu miecz za Kunonem nosił, pocałował pieczęć w naszych oczach, przyjął nas gościnnie i w niczym nie podejrzewał. Żeby się tak miało co chłopu w pobliżu, można by i zamek wziąć, tak nam dufał<sup>1132</sup>... W widzeniu się z księdzem nie było też przeszkód i gadaliśmy przez dwie noce, i dowiedzieliśmy się dziwnych rzeczy, które ksiądz od kata wiedział.

— Kat niemowa.

— Niemowa, ale księdzu umie wszystko na migi powiedzieć, a ów go tak rozumie, jakby żywym słowem do niego gadał. Dziwne to rzeczy i był w tym chyba palec boży. Ów kat obcinał rękę Jurandowi, wyrwał mu język i wykapywał oczy. On jest taki, że gdy o męża chodzi, przed żadną męką się nie wzdrygnie, a choćby mu człeka kazali zębami rwać: i to uczyni. Ale na żadną dziewczkę nie całkiem żrzą ręki nie podniesie i na to znów żadne męki nie pomogą. A taki ci jest wskrós tej przyczyny, że sam niegdyś miał dziewczkę jedyną, którą okrutnie miłował i którą mu Krzyżacy...

Tu zaciął się Hława i nie wiedział, jak dalej mówić, co widząc, Jagienka rzekła:

— Co mi tam o katówce<sup>1133</sup> prawicie!

— Bo to jest do rzeczy — odpowiedział Czech. — Gdy nasz młody pan poćwiartował rycerza Rotgiera, tak stary komtur Zygfryd mało się nie wściekł. W Szczytnie gadali, że Rotgier to był jego syn, i ksiądz to potwierdził, że nigdy ojciec syna więcej nie miłował. I przez pomstę diabłu duszę zaprzedał, co kat widział! Z zabitym tak gadał, jako ja z wami, a tamten to mu się z trumny śmiał, to zgrzytał, to się czarnym ozorem oblizywał z radości, że mu stary komtur pana Zbyszkową głowę przyobiecał. Ale że pana Zbyszka nie mógł wówczas dostać, więc tymczasem kazał umęczyć Juranda, a potem język jego i rękę do trumny Rotgierowi włożył, który je na surowo żreć począł...

— Straszno słuchać. W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen! — rzekła Jagienka.

I podniósłszy się, dorzuciła szczepek na komin, albowiem wieczór uczynił się już zupełny.

— A jakże! — mówił dalej Hława. — Nie wiem, jako to będzie na sądzie ostatecznym, bo jużci co Jurandowe, to musi do Juranda wrócić. Ale to nie ludzki rozum. Kat tedy wszystko to widział. Więc napchawszy strzygę<sup>1134</sup> ludzkim mięsem, poszedł stary komtur Jurandowe dziecko mu przynieść, bo mu tamten widać szepnął, że chciałby krwią niewinną strawę popić... Ale kat, który jako mówiłem, wszystko uczyni, jeno krzywdy wyrządzonej dziewczce przenieść<sup>1135</sup> nie może, już przedtem się na schodach zasadził<sup>1136</sup>... Mówił ksiądz, że on niespełna rozumu i w rzeczy bydlę, ale to jedno rozumie i jak trzeba, to w chytrności nikt mu nie wyrówna<sup>1137</sup>. Siadł ci tedy na schodach i czekał, aż tu nadchodzi komtur. Usłyszał katowe dychanie<sup>1138</sup>, ujrzał świecące ślepia i zląkł się, bo rozumiał, że upiór. A on komtura pięścią w kark! Myślał, że mu śpik<sup>1139</sup> przetrąci, tak że i znaku nie będzie, wszelako nie zabił. Ale komtur omdlał i ze strachu zachorzał, a gdy zaś ozdrowiał, bał się już na Jurandównę porywać.

— Ale ją wywiózł.

<sup>1132</sup>*dufać* — tu: ufać. [przypis edytorski]

<sup>1133</sup>*katówka* — córka kata. [przypis edytorski]

<sup>1134</sup>*strzyga* — upiór. [przypis edytorski]

<sup>1135</sup>*przenieść* — tu: tolerować, wytrzymać. [przypis edytorski]

<sup>1136</sup>*zasadzić się* (daw.) — zacząć się. [przypis edytorski]

<sup>1137</sup>*wyrównać* — tu: dorównać. [przypis edytorski]

<sup>1138</sup>*dychanie* (daw.) — oddech. [przypis edytorski]

<sup>1139</sup>*śpik* — szpik, tu: rdzeń kręgowy. [przypis edytorski]

— Wywiózł ją, a z nią zabrał i kata. Nie wiedział, że to on Jurandówny bronił, myślał, że jakowaś siła niepojęta, zła albo dobra. A w Szczytnie wołał kata nie ostawiać. Bał się jego świadectwa czy co... Niemowa ci on jest, ale jeżeliby był sąd, to przez księdza mógł powiedzieć, co wiedział... Więc ksiądz mówił w końcu rycerzowi Maćkowi tak: „Stary Zygfryd nie zgładzi już Jurandówny, bo się boi, a choćby komu innemu kazał, to póki Diederich żyw, nie da jej; tym bardziej że już raz obronił”.

— Wiedział zaś ksiądz, dokąd ją powieźli?

— Dobrze nie wiedział, ale słyszał, że coś tam gadali o Ragnecie, który zamek niedaleko od litewskiej, czyli też żmujdzkiej granicy leży.

— A cóż na to Maćko?

— Rycerz Maćko, wysłuchawszy tego, powiedział mi nazajutrz dzień: „Jeśli tak, to ją może i znajdziem, a mnie co ducha<sup>1140</sup> trzeba do Zbyszka, aby go przez Jurandównę na hak nie przywiedli, tak jak Juranda przywiedli. Niech rzekną mu, że ją oddadzą, byle sam po nią przyjechał, to i przyjedzie, a wówczas dopiero stary Zygfryd pomstę za Rotgiera na nim wyrwie, jakiej oko ludzkie nie widziało”.

— Prawda jest! Prawda! — zawołała z niepokojem Jagienka. — Skoro dlatego tak się śpieszył, to i dobrze.

Po chwili zaś zwracając się do Hławy:

— W tym jeno pobłądził, że was tu odesłał. Po co nas tu w Spychowie strzec? Ustrzeże i stary Tolima, a tam Zbyszkowi byście się przydali, boście i mocni, i roztropni.

— A kto was, panienko, w razie czego do Zgorzelic odwiezie?

— W razie czego przyjedziecie tu przed nimi. Mają przez kogo innego nowinę przysłać, to prześlą przez was — i odwieziecie nas do Zgorzelic.

Czech pocałował ją w rękę i zapytał wzruszonym głosem:

— Zaś przez ten czas tu ostaniecie?

— Bóg nad sierotą! Tu ostaniam.

— I nie będzie się wam cniło? Cóż tu będziecie czynić?

— Pana Jezusa prosić, by wrócił Zbyszkowi szczęście, a wszystkich was w zdrowiu uchował.

I to rzekłszy, rozpląkała się serdecznie.

A giermek pochylił się znów do jej kolan:

— Tacyście właśnie — rzekł — jako anieli w niebiesiech.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Ale ona obtarła łzy i zabrawszy giermka, poszła z nim do Juranda, aby mu nowiny oznajmić. Zastała go w wielkiej świetlicy z oswojoną wilczycą u nóg, siedzącego z księdzem Kalebem, z Sieciechówną i ze starym Tolimą. Miejscowy klecha, który był zarazem rybałem, śpiewał im przy lutni pieśń o jakimś dawnym boju Jurandowym ze „sprośnymi Krzyżaki”, a oni, podparłszy rękoma głowy, słuchali w zadumie i smutku. W świetlicy widno było od księżycy. Po dniu prawie już znojnym<sup>1141</sup> nastął wieczór cichy, ogromnie ciepły. Okna były otwarte i w blasku miesięcznym widać było krążące po izbie chrabąszcze, które roily się w rosnących na dziedzińcu lipach. Na kominie tliło się jednakże kilka głowni, przy których pacholik przygrzewał miód, pomieszany z winem krzepiącym i pachnącymi ziołami.

Rybał, a raczej klecha i sługus księdza Kaleba, zaczynał właśnie nową pieśń „O szczęśliwym potkaniu”:

Jadzie<sup>1142</sup> Jurand, jadzie, koń pod nim cisawy...

gdy weszła Jagienka i rzekła:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków — odpowiedział ksiądz Kaleb.

<sup>1140</sup>co ducha (daw.) — co tchu, jak najszybciej. [przypis edytorski]

<sup>1141</sup>znojnny (daw.) — pełen trudu, męczący. [przypis edytorski]

<sup>1142</sup>jadzie — dziś popr.: jedzie. [przypis edytorski]



Jurand siedział na poręczastej ławie z łokciami opartymi na poręczach, usłyszawszy jednak jej głos, zwrócił się zaraz ku niej i ją witał swą białą jak mleko głową.

— Przyjechał Zbyszkowy giermek ze Szczytna — ozwała się dziewczyna — i nowiny przywiózł od księdza. Maćko już tu nie wróci, bo do kniazia Witolda pociągnął.

— Jak to nie wróci? — zapytał ojciec Kaleb.

Więc ona poczęła opowiadać wszystko, co od Czecha wiedziała, o Zygfrydzie, jak mścił się za śmierć Rotgiera, o Danuście, jak ją stary komtur chciał Rotgierowi zanieść, aby jej niewinną krew wypił, i o tym, jak ją niespodzianie kat obronił. Nie zataiła i tego, że Maćko miał teraz nadzieję, iż we dwóch ze Zbyszkciem Danusią znajdą, odbiją ją i przywiozą do Spychowa, z której to właśnie przyczyny sam prosto do Zbyszka pojechał, a im tu został rozkazał.

I głos zadrżał jej w końcu jakby smutkiem albo żalem, a gdy skończyła, w świetlicy nastąpiła chwila ciszy. Tylko w lipach rosnących na dziedzińcu rozlegały się kłaskania słowików, które zdawały się zalewać przez otwarte okna całą izbę. Oczy wszystkich zwróciły się na Juranda, który z zamkniętymi oczyma i przechyloną w tył głową nie dawał najmniejszego znaku życia.

— Słyszycie? — spytał go wreszcie ksiądz Kaleb.

A on przechylił jeszcze bardziej głowę, podniósł lewe ramię i palcem wskazał na niebo.

Blask księżycy padał mu wprost na twarz, na białe włosy, na wykapane oczy, i było w tej twarzy takie męczeństwo, a zarazem takie jakieś niezmierne zdanie się na wolę bożą, że wszystkim zdało się, iż widzą tylko duszę z cielesnych pęt wyzwoloną, która rozbratana raz na zawsze z ziemskim życiem niczego już w nim nie czeka i nie wygląda.

Więc znów nastąpiło milczenie i znów słychać było tylko fale głosów słowicznych zalewających dziedziniec i izbę.

Ale Jagienkę ogarnęła nagle litość ogromna i jakby dziecięca miłość do tego nieszczęsnego starca, za czym, idąc za pierwszym popędem, skoczyła ku niemu i chwyciwszy jego dłoń, poczęła ją całować, a zarazem polewać łzami.

— I ja sierota! — zawołała z głębi wezbranego serca. — Ja nie pacholek żaden, jeno Jagienka ze Zgorzelic. Maćko mnie wziął, by mnie od złych ludzi uchronić, ale teraz ostanę z wami, póki wam Bóg Danusi nie wróci.

Jurand nie okazał nawet zdziwienia, jakby już wiedział poprzednio, że była dziewczyną, tylko przygarmał i przytulił ją do piersi, a ona, całując wciąż jego dłoń, mówiła dalej głosem przerywanym i łkającym:

— Ostanę z wami, a Danuśka wróci... To potem do Zgorzelic pojedę... Bóg nad sierotami! Niemcy i mnie tatusia zabiły, ale wasze kochanie żywie i wróci. Dajże to, Boże miłościwy, dajże, Matko Najświętsza, litościwa...

A ksiądz Kaleb ukląkł nagle i ozwał się uroczystym głosem:

— *Kyrie elejson!*<sup>1143</sup>

— *Chryste elejson!* — odpowiedział zaraz Czech i Tolima.

Wszyscy poklękali, bo zrozumieli, że to jest litania, jaką odmawiano nie tylko w chwili śmierci, lecz i dla wybawienia ze śmiertelnego niebezpieczeństwa osób bliskich i drogich. Klękła Jagienka, Jurand obsunął się z ławy na kolana i chórem poczęto mówić:

— *Kyrie elejson! Chryste elejson!...*

— Ojczy z nieba, Boże, zmiłuj się nad nami!...

— Synu, Odkupicielu świata, Boże, zmiłuj się nad nami!...

Głosy ludzkie i wołania błagalne: „Zmiłuj się nad nami!...” mieszały się z kłaskaniem słowików.

Lecz nagle chowana wilczyca podniosła się z niedźwiedziej skóry leżącej przy ławie Juranda, zbliżyła się do otwartego okna, wspięła się na ramię i zadarłszy ku księżycowi swą trójkątną paszczę, poczęła wyc z cicha i żałośnie.

Jakkolwiek Czech wielbił Jagienkę, a serce lgnęło mu coraz bardziej do ślicznej Sieciechówny, jednakże młoda a chrobra dusza rwała mu się przede wszystkim do wojny. Wrócił wprawdzie do Spychowa z rozkazu Maćka, gdyż był służbisty<sup>1144</sup>, a przy tym znajdował pewną osłodę w myśli, iż będzie obu pannom strażą i opiekunem, lecz gdy sama

<sup>1143</sup>*Kyrie elejson!* (gr.) — Panie, zmiłuj się nad nami! [przypis edytorski]

<sup>1144</sup>*służbisty* — posłuszny rozkazom. [przypis edytorski]

Milosierdzie

Modlitwa

Sługa

Jagienka rzekła mu to, co zresztą było prawdą, że im w Spychowie nic nie grozi i że jego powinność przy Zbyszku, z radością na to przystał. Maćko nie był jego bezpośrednim zwierzchnikiem, więc łatwo mógł usprawiedliwić się przed nim, że nie został w Spychowie z rozkazu prawej swojej pani, która kazała mu iść do pana Zbyszka.

Jagienka zaś uczyniła to w myśli, iż giermek tej siły i sprawności zawsze może się przydać Zbyszku i z niejednej toni<sup>1145</sup> go wybawić. Dał już przecie tego dowody podczas owych łowów książęcych, w których Zbyszko omal życia od tura nie stradał. Tym bardziej mógł być pożyteczny na wojnie, zwłaszcza takiej, jaka toczyła się na żmujdzkiej granicy. Głowaczowi było tak pilno w pole<sup>1146</sup>, że gdy razem z Jagienką wrócili od Juranda, podjął ją pod nogi i rzekł:

— To wołę waszej miłości zaraz się pokłonić i o dobre słowo na drogę poprosić...

— Jakże — zapytała Jagienka — dziś jeszcze chcesz jechać?

— Jutro do dnia, by konie przez noc wypoczęły. Okrutnie daleka na Żmujdz wyprawa!

— To i jedź, bo łatwiej rycerza Maćka dogonisz.

— Ciężko będzie. Stary pan twardy na wszelakie trudy i o kilka dni mnie wyprzedził. Przy tym pojedzie przez Prusy, by sobie drogę skrócić, ja zaś puszciami muszę. Pan ma listy od Lichtensteina, które po drodze może pokazywać, ja zaś musiałbym pokazywać chyba ot co! — i tym sobie wolny przejazd czynić.

To rzekłszy, położył rękę na głowni korda, który miał przy boku, co widząc, Jagienka zawołała:

— A ostrożnie! Skoro jedziesz, to trzeba, byś dojechał, a nie w jakowymś podziemiu krzyżackim ostał. Ale i w puszczech dawaj na się baczenie<sup>1147</sup>, bo tam teraz różne złe bożki mieszkają, które tamtejszy naród czcił, nim do krześcijaństwa nie przystał. Pamiętam, jako to i rycerz Maćko, i Zbyszko opowiadali w Zgorzelicach.

— Pamiętam, ale jakoś nie boję się, bo chudziny to, nie bożeczkowie, i siły nijakiej nie mają. Dam ja sobie z nimi rady i z Niemcami, których napotkam też, byle wojna chciała dobrze rozgorzeć.

— A to nie rozgorzała? Powiadaj, coście o niej między Niemcami słyszeli.

Na to roztropny pacholek namarszczył brew, zastanowił się przez chwilę, po czym rzekł:

— I rozgorzała, i nie rozgorzała. Pilnie my o wszystko dopytywali, a szczególnie rycerz Maćko, którego jest chytry i objechać<sup>1148</sup> każdego Niemca umie. Niby to o co innego pyta, niby życzliwość udaje, z niczym się sam nie wyda, a w sedno utrafi i z każdego nowinę jakoby rybę hakiem wyciągnie. Zechce-li wasza miłość cierpliwie słuchać, to powiem. Książę Witold lat temu kilka, mając zamysły przeciw Tatarom i chcąc od niemieckiej ściany spokoju, ustąpił Niemcom Żmujdz. Była wielka przyjaźń i zgoda. Zamki im wznosić pozwolił, ba, sam pomagał. Zjeżdżali się też z mistrzem na jednej wyspie, pili, jedli i świadczyli sobie miłość. Łowy nawet w tamecznych puszczech nie były Krzyżakom wzbronione, a jak niebożęta Żmujdzini podnosili się przeciw zakonnemu panowaniu, to książę Witold Niemcom pomagał i wojska im swoje w pomoc wysyłał, o co szemrano nawet na całej Litwie, że na własną krew nastaje. Wszystko to nam podwójci w Szczytnie rozpowiadał i chwalił krzyżackie rządy na Żmujdzi, że posyłali Żmujdzinom księży, którzy ich mieli chrzczyć, i zboże w czasie głodu. Jakoż podobno posyłali, bo wielki mistrz, którego więcej od innych ma bojaźni boskiej, kazał, ale za to zabierali im dzieci do Prus, a niewiasty sromocili<sup>1149</sup> w oczach mężów i braci, kto się zaś przeciwił, to go wieszali; i stąd, panienko, jest wojna.

— A książę Witold?

Książę długo na żmujdzkie krzywdy oczy zamykał i Krzyżaków kochał. Niedawne czasy, jak księżna, jego żona, jeździła do Prus, do samego Malborka w odwiedzinę. To tam ją przyjmowali jakoby samą królową Polską. A toż niedawno, niedawno! Obsypywali ci ją darami, a co było turniejów, uczt i różnych wszelakich dziwów w każdym mieście, tego by nikt nie zliczył. Myśleli ludzie, że to już na wieki miłość między Krzyżakami a księżciem

Wróg

<sup>1145</sup>toni — tu przen.: zagrożenie. [przypis edytorski]

<sup>1146</sup>w pole — na pole bitwy, do walki. [przypis edytorski]

<sup>1147</sup>dawać baczenie (daw.) — uważać. [przypis edytorski]

<sup>1148</sup>objechać — tu: oszukać. [przypis edytorski]

<sup>1149</sup>sromocić (daw.) — hańbić. [przypis edytorski]

Witoldem nastanie, aż tu niespodzianie odmieniło się w nim serce...

— Miarkując z tego, co nieraz i nieboszczyk tatuś, i Maćko gadali, to często się w nim serce odmienia.

— Przeciw cnotliwym nie, ale przeciw Krzyżakom często, skroś tej przyczyny, że oni sami w niczym wiary nie dotrzymują. Chcieli teraz od niego, by im zbiegów wydał, a on im powiedział, że ludzi podłego stanu wyda, a zaś wolnego nie myśli, gdyż ci, jako wolni, mają prawo żyć, gdzie chcą. Dopieroż się na siebie kwasić a listy ze skargami pisać, a wzajem się odgrażać. Zaszławszy o tym, Żmujdzini nuż w Niemców! Załogi wycięli, zameczki poburzyli, a teraz ci i do samych Prus wpadają, zaś książę Witold nie tylko już ich nie hamuje, ale jeszcze się z frasunku niemieckiego śmieje i Żmujdzinom pomoc po cichu posyła.

— Rozumiem — rzekła Jagienka. — Ale jeśli po cichu ich wspomaga, to jeszcze wojny nie ma.

— Jest ze Żmujdzinami, a i z Witoldem w rzeczy już jest. Idą zewsząd Niemce bronić pogranicznych zamków, a radzi by i wielką wyprawę na Żmujdz uczynić, jeno z tym długo muszą czekać, aż do zimy, bo to jest kraj rozmokły i rycerzom nijak w nim wojować. Gdzie Żmujdzin przejdzie, tam Niemiec ulgnie, przeto zima Niemcom przyjaciółka. Ale z nastaniem mrozów ruszy się cała potęga krzyżacka, a zaś książę Witold pójdzie w pomoc Żmujdzinom; i pójdzie z pozwolenstwem króla polskiego, boć to przecie zwierzchni pan i nad wielkim kniazem, i nad całą Litwą.

— To może i z królem będzie wojna?

— Mówią ludzie i tam u Niemców, i tu u nas, że będzie. Zebrzą już pono Krzyżacy pomocy po wszystkich dworach i kaptury im na łbach gorą jako zwyczajnie na złodziejach, boć to przecie potęga królewska nie żart, a ponoć rycerstwo polskie, byle kto Krzyżaka wspomniął, zaraz w garście popluwa.

Westchnęła na to Jagienka i rzekła:

— Zawsze to chłopu weselej na świecie niż dziewczce, bo na ten przykład ty sobie pojedziesz na wojnę, równie jak pojechali Zbyszko i Maćko, a my tu ostaniem w Spychowie.

— Jakoż inaczej, panienko, ma być? Ostaniecie, ale we wszelkiej przepieczności. Straszne jeszcze i teraz Niemcom Jurandowe imię, com sam widział w Szczytnie, że gdy się dowiedzieli, iż jest w Spychowie, zaraz strach ich zdjął.

— To wiemy, że tu nie przyjdą, bo i bagno broni, i stary Tolima, jeno ciężko tu będzie siedzieć bez wieści.

— Jak się co przygodzi, dam znać. Wiem, że jeszcze przed naszym wyjazdem do Szczytna wybierało się stąd na wojnę z własnej woli dwóch dobrych pacholców, którym Tolima wzbronić tego nie może, bo są ślachtą z Łękawicy. Teraz pojedą razem ze mną i w razie czego zaraz którego tu pchnę z nowiną.

— Bóg zapłać. Wiedziałam zawsze, iż rozum masz w każdej przygodzie, ale za twoje serce i za chętność ku mnie to już ci do śmierci będę wdzięczna.

Na to Czech przykląkł na jedno kolano i rzekł:

— Nie krzywd ja, jeno dobrodziejstw u was zaznałem. Wziął ci mnie chłopięciem w jeństwo rycerz Zych pod Bolesławiem i bez okupu wolnością obdarował, aleć mi miłsza już była służba u was od wolności. Dajże mi, Boże, dla was krew rozlać, panienko moja!

— Boże cię prowadź i przyprowadź — odpowiedziała Jagienka, wyciągając ku niemu rękę.

Lecz on wołał pochylić się do jej nóg i całować stopy, aby jej cześć oddać tym większą, a potem podniósł głowę i nie wstając z klęczek, począł mówić nieśmiało i pokornie:

— Prosty ja pacholek, alem szlachcic i sługa wasz wierny... Dajcież mi jakowy wspominek<sup>1150</sup> na drogę. Nie odmawiajcie mi tego! Juźci nadchodzi czas košby<sup>1151</sup> wojennej, a święty Jerzy mi świadkiem, że tam w poprzódku, nie zaś w ociagu<sup>1152</sup> się znajduję.

— O jakież wspominek mnie prosisz? — zapytała nieco zdziwiona Jagienka.

— Przepaszcie mnie byle tam krajką na drogę, by jeśli polec mi przyjdzie, lżej mi było pod waszą przewiązką umierać.

<sup>1150</sup>wspominek (daw.) — dar, pozwalający wspominać osobę obdarowującą. [przypis edytorski]

<sup>1151</sup>košba (daw.) — żniwo, tu przen.: wojna, walka. [przypis edytorski]

<sup>1152</sup>w ociagu (daw.) — z tyłu. [przypis edytorski]

I znów pochylił się do jej stóp, a potem ręce złożył i tak błagał ją, patrząc w jej oczy, ale na twarzy Jagienki odbił się ciężki frasunek — i po chwili odrzekła jakby z wybuchem mimowolnej goryczy:

— A mój miły! Nie proszę mnie o to, bo ci nic z mojej przewiazki nie przyjdzie. Kto sam szczęśliwy, ten niech cię przepasze, bo ten ci szczęście przyniesie. A we mnie po prawdzie co jest? Nic, jeno smutek! A zaś przede mną: nic, jeno niedola! Oj! Nie napytam ja szczęścia ni tobie, ni komu, bo czego nie mam, tego i dać nie zdolę<sup>1153</sup>. Tak ci mi, Hlawo, źle teraz na świecie, że, że...

Tu umilkła nagle, czując, że jeśli słowo jeszcze powie, to płaczem wybuchnie, a i tak zaszły jej jakby chmurą oczy. Czech zaś wzruszył się ogromnie, albowiem zrozumiał, że i wracać jej było źle do Zgorzelic w pobliże drapieżnych komyszy<sup>1154</sup>: Cztana i Wilka, i równie źle zostawać w Spychowie, dokąd prędzej lub później zjechać mógł Zbyszko z Danusią. Zdawał sobie Hlawo doskonale sprawę ze wszystkiego, co dzieje się w sercu dziewczyny, że zaś nie widział żadnej rady na jej nieszczęście, więc tylko znów objął jej stopy, powtarzając:

— Hej! Polec dla was! Polec!

A ona rzekła:

— Wstań. A na wojnę niech cię Sieciechówna przepasze albo ci jaki inny da wspominek, gdyż rada cię ona widzi od dawna.

I poczęła ją wołać, ta zaś wyszła niebawem z przyległej izby, albowiem podsłuchując poprzednio pode drzwiami, nie pokazywała się tylko przez nieśmiałość, chociaż kipiała w niej chęć pożegnania się z pięknym giermkim. Wyszła tedy zmieszana, spłoszona, z bijącym sercem, z oczyma świecącymi zarazem od łez i od senności, i spuściwszy powieki, stała tak przed nim podobna do kwiatu jabłoni, nie mogąc ni słowa przemówić.

Hlawo miał dla Jagienki obok najgłębszego przywiązania cześć i nabożeństwo, ale nie śmiał ani myślać posięgnąć na nią, posięgał zaś często na Sieciechównę, czując bowiem wartką<sup>1155</sup> krew w żyłach, nie mógł obronić się przed jej urokiem. Teraz chwyciła go tym bardziej za serce swą urodą, a zwłaszcza swym zmieszanym i łzami, przez które przegądało kochanie, jak przez jasną wodę strumienia przegąda złote dno.

Więc zwrócił się ku niej i rzekł:

— Wiecie! Na wojnę jadę, może i legnę. Nie żal wam mnie?

— Żal ci mi! — odpowiedziała cienkim głosem dziewczyna.

I zaraz poczęła sypać łzami, gdyż zawsze miała je na pogotowiu. Czech wzruszył się do ostatka i jął całować jej ręce, tłumiąc w sobie wobec Jagienki ochotę do poufalszych jeszcze pocałunków.

— Przepasz go alibo daj mu wspominek na drogę, aby się pod twoim znakiem potykał — rzekła Jagienka.

Lecz Sieciechównie niełatwo było mu coś dać, gdyż miała na sobie męski ubiór wyrostka. Poczęła szukać: ni wstążki, ni jakiegokolwiek przewiazki!

Że zaś niewieście ubrania były jeszcze w łubach, nieruszone od czasu wyjazdu ze Zgorzelic, wpadła przeto w kłopot niemały, z którego znów wyratowała ją Jagienka, radząc, by mu oddała pątliczek, który nosiła na głowie.

— Boga mi! Niech będzie pątliczek! — zawołał nieco rozweselony Hlawo. — Powieszę go na hełmie i nieszczęsna mać tego Niemca, któren po niego sięgnie!

Więc Sieciechówna podniosła obie ręce do głowy i po chwili jasne promienie włosów rozsypały się jej po plecach i po ramionach. Hlawo zaś, widząc ją taką przetowłosą i cudną, aż zmienił się na twarzy. Policzki zapłonęły mu, a potem zaraz pobladły; wziął pątlík, ucałował go, schował w zanadrze, raz jeszcze objął kolana Jagienki, a następnie mocniej, niż było trzeba, Sieciechówny i po słowach: „Niechże tak będzie!” — wyszedł, nie mówiąc nic więcej, z izby.

A chociaż był zdrożon i niewypoczęty, nie położył się spać. Pił na umór przez całą noc z dwoma młodymi szlachcicami z Łękawicy, którzy mieli z nim jechać na Żmujdź.

<sup>1153</sup>zdolić (daw.) — zdolać. [przypis edytorski]

<sup>1154</sup>komysz — legowisko zwierzęce w zaroślach. [przypis edytorski]

<sup>1155</sup>wartką krew — gorąca krew. [przypis edytorski]

Nie upił się jednak — i o pierwszym brzasku był już na dziedzińcu w fortalicji<sup>1156</sup>, gdzie czekały gotowe do drogi konie.

W ścianie nad wozownią rozchyliło się zaraz błoniaste okno i przez szparutkę wyjrzały na dziedziniec modre oczy. Czech, który je dostrzegł, chciał iść ku nim, by pokazać pątlík przypięty na hełmie i pożegnać się raz jeszcze, ale przeszkodził mu w tym ksiądz Kaleb i stary Tolima, którzy zesłali umyślnie, aby mu udzielić rad na drogę.

— Jedź na dwór księcia Januszowy — rzekł ksiądz Kaleb. — Może i rycerz Maćko tam wstąpił. W każdym jednak razie wieści pewnych zasięgniesz, boć tam znajomków ci nie brak. Drogi też stamtąd na Litwę znajome i o przewodnika przez puszcę łatwo. Chcesz-li na pewno do pana Zbyszka dojechać, to wprost na Żmujdź nie jedź, bo tam jest przegroda pruska, jeno jedź przez Litwę. Bacz, że i Żmujdzini mogą cię zabić, nim zakrzykniesz, ktoś jest, a inna sprawa będzie, jeśli od strony kniazia Witolda przyjedziesz. Zresztą Boże błogosław tobie i obudwom tamtym rycerzom, obyście w zdrowiu wrócili i dziecko przywieźli, na którą to intencję będę każdego dnia po niesporach aż do pierwszej gwiazdy krzyżem leżał.

— Dziękuję wam, ojczy, za błogosławieństwo — odrzekł Hława. — Niełatwo to ochwiarę<sup>1157</sup> z tamtych diabelskich rąk żywą wydobyć, ale przecie wszystko w rękę Pana Jezusowych i lepsza nadzieja niż smutek.

— Juźci lepsza, przeto jej nie tracę. Tak... Żywie nadzieja, chociaż serce i trwogi niepróżne... Najgorzej, że sam Jurand, byle jej imię wspomnieć, zaraz ku niebiosom palce prostuje, jakby ją tam już widział.

— Jakoże ją może widzieć, oczu stradawszy?

A ksiądz począł mówić na wpół do Czecha, na wpół do siebie:

— Bywa tak, że gdy komu ziemskie oczy zagasną, ten właśnie widzi to, czego inni dojrzeć nie potrafią. Bywa tak, bywa! Ale i to się rzecz niepodobna widzi, by Bóg dopuścił krzywdy takiego jagniątko. Bo i cóż ona choćby Krzyżakom przewiniła? Nic! A niewinne to ci było jak lelija<sup>1158</sup> boża, a mile ku ludziom, a jako ta ptaszyna polna śpiewające! Bóg dzieci miłuje i nad męką ludzką ma litość... Ba! Jeśli ją zabili, to ją może i wskrzesi jako Piotrowina<sup>1159</sup>, któren wstawszy z grobu, długie potem roki gospodarzył... Jedź w zdrowiu i niech ręka boska was wszystkich i ją piastuje!

To rzekłszy, wrócił do kaplicy, by mszę ranną odprawić, a Czech siadł na koń, skłonił się raz jeszcze przed przytwartym<sup>1160</sup> błoniastym oknem — i pojechał, bo już też rozedniało zupełnie.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Książę Janusz i księżna wyjechali razem z częścią dworu na wiosenny połów ryb do Czerska, gdyż lubili niezmiernie to widowisko i mieli je sobie za najprzedniejszą zabawę. Dowiedział się jednak Czech od Mikołaja z Długolasu wielu rzeczy ważnych, dotyczących się zarówno spraw prywatnych, jak i wojny. Dowiedział się więc naprzód, że rycerz Maćko widocznie poniechał zamiaru jechania na Żmujdź prosto przez „pruską przegrodę”, gdyż przed kilku dniami był w Warszawie, gdzie zastał jeszcze obojga księstwa. O wojnie potwierdził stary Mikołaj te wszystkie wieści, które Hława słyszał w Szczytnie. Cała Żmujdź podniosła się przeciw Niemcom jak jeden mąż, a kniaź Witold nie tylko że już Zakonowi przeciw nieszczęsnym Żmujdzinom nie pomagał, ale nie wypowiadając jeszcze mu wojny i ludząc go układami, zasilal wszelako Żmujdź pieniędzmi, ludźmi, końmi, zbożem.

Tymczasem tak on, jak Krzyżacy ślali posłów do papieża, do cesarza i do innych panów chrześcijańskich, zarzucając sobie wzajem wiarołomstwo, niewierność i zdradę. Ze strony wielkiego kniazia pojechał z tymi listami mądry Mikołaj ze Rzeniewa, który umiał rozplątywać nici namotane przez przebiegłość krzyżacką, dowodnie wykazując niezmiernie krzywdy krain litewskich i żmujdzkich. Tymczasem, gdy na sejmie wileńskim wzmocniły się jeszcze związki między Litwą a Polską, potruchały serca krzyżackie, łatwo

<sup>1156</sup>fortalicja — mała warownia. [przypis edytorski]

<sup>1157</sup>ochwiarą — dziś popr.: ofiara. [przypis edytorski]

<sup>1158</sup>lelija — dziś popr.: lilia. [przypis edytorski]

<sup>1159</sup>Piotrowin — według legendy rycerz wskrzeszony przez św. Stanisława, by świadczyć w sądzie przed królem Bolesławem Śmiałym. [przypis edytorski]

<sup>1160</sup>przytwarty (daw.) — uchylony. [przypis edytorski]

Oko

Bóg

Polityka

było bowiem przewidzieć, że Jagiełło, jako zwierzchni pan wszystkich ziem będących pod władzą kniazia Witolda, stanie w razie wojny po jego stronie. Hrabia Jan Sayn, komtur grudziądzki, i hrabia Schwartzburg, gdański, wyjechali z rozkazu mistrza do króla z zapytaniem, czego się mają od niego spodziewać. Nic im król nie rzekł, chociaż mu dary przywieźli: ściągłe<sup>1161</sup> krzeczoty<sup>1162</sup> i drogie naczynia. Więc zagrozili wojną, ale nieszczerze, gdyż dobrze wiedzieli, że mistrz i kapituła boją się w duszach strasznej Jagiełłowej potęgi i pragną odwlec dzień gniewu i klęski.

I rwały się jak nić pajęcza wszelkie układy, a rwały się zwłaszcza z Witoldem. Wieczorem po przyjeździe Hławy przyszyły znów na warszawski zamek świeże nowiny. Przyjechał Bronisz z Ciasnoci, dworzanin księcia Janusza, którego on wysłał był poprzednio po wieści na Litwę, a z nim dwóch znacznych litewskich kniaziów z listami od Witolda i od Żmujdzinów. Nowiny były groźne. Zakon gotował się do wojny. Wzmacniano zamki, mielono prochy, krzesano kule kamienne, ściągano ku pograniczu knechtów i rycerstwo, a lżejsze oddziały jazdy i piechoty wpadały już w granice Litwy i Żmujdzi od strony Ragnety<sup>1163</sup>, od Gotteswerder i innych zamków brzegowych. Już po gęstwach leśnych, już w polach, już po wsiach rozlegały się okrzyki wojenne, a wieczorami ponad ciemnym morzem lasów świeciły luno pożaru. Witold przyjął wreszcie Żmujdz w jawną opiekę, wysłał swych rządców, a wodzem zbrojnemu ludowi ustanowił słynnego z męstwa Skirwoiłę. Ów wpadał do Prus, palił, niszczył, pustoszył. Sam książę przymknął<sup>1164</sup> wojsko ku Żmujdzi, niektóre zamki opatrzył, inne, jak na przykład Kowno, zniszczył, aby nie stały się oparciem Krzyżakom, i nie było już tajno nikomu, że gdy nadejdzie zima, a mróz popęta mokradła i błota, albo nawet wcześniej, jeśli lato będzie suche, pocznie się wojna wielka, która ogarnie wszystkie litewskie, żmujdzkie i pruskie krainy, gdyby zaś król w pomoc Witoldowi przybieżał, tedy musi nastąpić dzień, w którym fala niemiecka albo drugie pół świata zaleje, albowi też, odbita, cofnie się na długie wieki w dawniej zajęte łóżyisko.

Lecz to nie zaraz jeszcze miało nastąpić. Tymczasem po świecie rozlegał się jęk i wołanie o sprawiedliwość. Czytano list nieszczęsnego narodu w Krakowie i w Pradze, i na dworze papieskim, i w innych królestwach zachodnich. Do księcia Janusza przywieźli to otwarte pismo owi bojarzynkowie, którzy z Broniszem z Ciasnoci przybyli. Niejeden więc z Mazurów mimo woli macał korda przy boku i rozważał w duszy, czyby z własnej ochoty pod znak Witoldowy się nie zaciągnąć. Wiedzano, że rad był wielki książę hartownej lechickiej szlachcie, równie zażartej w boju, jak litewscy i żmujdzcy bojarzynowie, a więcej ćwiczonej i lepiej zbrojnej. Niektórych popychała też i nienawiść do starych wrogów lechickiego plemienia, a innych litość. „Słuchajcie, słuchajcie! — wołali do królów, książąt i wszystkich narodów Żmujdzini. — Wolnym ci my byli i szlachetnej krwi ludem, a Zakon chce nas w niewolników przemienić! Nie dusz on naszych szuka, lecz ziemi i dostatków. Już nędza nasza taka, że nam chyba żebrać lub rozbijać! Jakoże im wodą chrztu nas obmywać, gdy sami nie mają rąk czystych! My chcemy chrztu, ale nie krwią i mieczem, i chcemy wiary, ale jeno takiej, jakiej zacni monarchowie, Jagiełło i Witold, nauczają. Słuchajcie i ratujcie nas, bo giniemy! Nie chce nas Zakon chrzcić, by nas uciemięczał łatwiej; nie księży, lecz zasie katów nam posyła. Już ule nasze, już stada, już wszystkie płody ziemi nam zabrali; już nam ni ryby łowić, ni zwierza bić w puszczech nie wolno! Błagamy! Słuchajcie, bo oto zgieśli nam wolne drzewiej karki do robót nocnych przy zamkach, dzieci nam jako zakładników uwieźli, a żony i córki w oczach mężów i ojców bezczeszcza. Nam słuszniej należałoby jęczeć, niż mówić! Rodziny nasze ogniem popalili, panów do Prus uwieźli, wielkich ludzi: Korkucia, Wassygina, Swolka i Sagaję, potracili i jako wilcy krew naszą żłopia. O, słuchajcie! Przecież my ludzie, nie zwierzęta, przeto wołamy do Ojca Świętego, by nas przez polskich biskupów chrzcić kazał, gdyż całą duszą chrztu pragniemy, ale chrztu wodą łaski, nie żywą krwią zniszczenia”.

Tak i tym podobnie skarżyli się Żmujdzini, więc gdy ich skargi i na mazowieckim dworze usłyszano, zaraz kilku rycerzy i dworzan postanowiło iść im w pomoc, rozumiejąc,

<sup>1161</sup>ściągły (daw.) — szybki. [przypis edytorski]

<sup>1162</sup>krzeczot — ptak drapieżny podobny do sokoła. [przypis edytorski]

<sup>1163</sup>Ragneta — obecnie Nieman w obwodzie kaliningradzkim; w 1289 krzyżacy zbudowali tam zamek. [przypis edytorski]

<sup>1164</sup>przymknąć (daw.) — potajemnie sprowadzić. [przypis edytorski]

że księcia Janusza nawet i pytać o pozwolenie nie trzeba, choćby z tego powodu, że księżna jest rodzoną siostrą Witolda. Zawrzały też powszechnym gniewem serca, gdy dowiedziano się od Bronisza i bojarzynek, że wielu szlachetnych młodzianków żmujdzkich będącymi zakładnikami w Prusiech, nie mogąc znieść pohańbienia i okrucieństw, jakich dopuszczali się nad nimi Krzyżacy, poodbierało sobie życie.

Hława cieszył się zaś z tej ochoty mazowieckiego rycerstwa, myślał bowiem, że im więcej ludzi z Polski pociągnie do księcia Witolda, tym wojna rozgorzeje większa i tym pewniej można będzie czegoś przeciw Krzyżakom dokazać. Cieszyło go także i to, że zobaczy Zbyszka, do którego się przywiązał, i starego rycerza Maćka, o którym mniemał, że godzien widzenia przy robocie, a razem z nim nowe dzikie kraje, nieznanne miasta, niewidziane dotychczas rycerstwo i wojska, wreszcie samego księcia Witolda, którego sława szeroko wówczas rozbrzmiewała po świecie.

I w tej myśli postanowił jechać „wielkimi i pilnymi drogami”, nie zatrzymując się nigdzie dłużej, niż było dla wypoczynku koniom potrzeba.

Owi bojarzynkowie, którzy z Broniszem z Ciasnoci przybyli, i inni Litwini znajdujący się na dworcu księżny, świadomi dróg i przejść wszelkich, mieli prowadzić jego i ochotniczych rycerzy mazowieckich od osady do osady, od grodu do grodu i przez głuche, niezmierne puszcze, którymi większa część Mazowsza i Litwy, i Żmujdzi była pokryta.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

W lasach o milę na wschód za Kownem, które sam Witold zniszczył, stały główne siły Skirwoiłły, przerzucając się w razie potrzeby błyskawicą z miejsca na miejsce, czyniąc szybkie wyprawy bądź to w granice pruskie, bądź na zamki i zameczki będące jeszcze w rękę krzyżackim i podsycając płomień wojny w całej krainie. Tam to znalazł wierny giermek Zbyszka, a przy nim i Maćka, który był dopiero przed dwoma dniami przyjechał. Po przywitaniu się ze Zbyskiem przespał Czech całą noc jak zabity i dopiero na drugi dzień wieczorem poszedł powitać starego rycerza, który będąc strudzon i zły, przyjął go gniewliwie, pytając, dlaczego wedle rozkazania w Spychowie nie został — i udobruchał się nieco dopiero wówczas, gdy ów, znalazłszy sposobną chwilę, w której Zbyszka nie było w namiocie, usprawiedliwił się przed nim wyraźnym rozkazem Jagienki.

Powiedział też, że prócz rozkazu i prócz przyrodzonej ochoty do wojny przywiodła go także w tę stronę chęć, by w razie czego pchnąć zaraz gońca z wiadomością do Spychowa. „Panienka — mówił — która ma duszę jak anioł, sama przeciw własnemu dobru modli się za Jurandównę. Ale wszystkiemu musi być koniec. Jeśli Jurandówna nie żyje, to niech Bóg da jej światłość wiekiustą, boć była jako jagnię niewinne, ale jeśli się odnajdzie, to trzeba panienkę jako najprędzej zawiadomić, aby wraz jechała precz ze Spychowa, nie zaś dopiero po powrocie Jurandówny, jakoby wypędzona, ze sromotą a wstydem”.

Maćko słuchał tego z niechęcią, powtarzając od czasu do czasu: „Nic ci do tego”. Ale Hława, postanowiwszy mówić otwarcie, wcale się tym nie tropił i w końcu rzekł:

— Lepiej było panie w Zgorzelicach ostawać i na nic była ta podróż. Wmawialiśmy w niebogę, że Jurandówna już nie żywie, a może się pokazać inaczej.

— A kto opowiadał, że nie żywie, jeżeli nie ty? — zapytał z gniewem Maćko. — Trzeba było trzymać język za zębami. Ja zaś zabrałem ją, bo się bała Cztana i Wilka.

— Pozór to tylko był — odpowiedział giermek. — Mogła siedzieć w Zgorzelicach bezpiecznie, bo oni by tam sobie wzajem przeszkadzali. Ale baliście się, panie, żeby w razie śmierci Jurandówny nie ominęła pana Zbyszka i panienka, i dlategoście ją zabrali.

— Cóż tak zhardział? Zaliś to już rycerz pasowany, nie sługa?

— Sługam ci jest, ale sługa panny, przeto dbam, aby jej hańba nie spotkała.

A Maćko zamyślił się posępnie, gdyż nie był z siebie rad. Nieraz on już sobie wyrzucał, że zabrał Jagienkę ze Zgorzelic, czuł bowiem, że w każdym razie w takim podwożeniu Jagienki Zbyszkowi była jakowaś dla niej ujma, a na wypadek, gdyby Danusia się odnalazła — więcej niż ujma. Czuł również, że w hardych słowach Czecha tkwi prawda, bo choć Jagienkę zabrał dlatego, by ją do opata odwieźć, mógł jednak, dowiedziawszy się o jego śmierci, w Płocku ją zostawić, a tymczasem on ją aż do Spychowa przywiózł, by w razie czego blisko przy Zbyszku była.

Sługa

— Dyc mnie to do lba nie przyszło — rzekł jednak, chcąc siebie i Czecha stumanić — jeno sama się jechać naparła.

— Juźci się naparła, bośmy w nią wmówili, że tamtej nie ma na świecie, a że braciom bezpieczniej było bez niej niż z nią — więc i pojechała.

— Tyś wmówił! — zakrzyknął Maćko.

— Ja; i moja wina. Ale teraz musi się pokazać, jako jest. Trzeba, panie, co wskórać. Inaczej: lepiej poginiemy.

— Co tu wskórasz — rzekł z niecierpliwością Maćko — z takim wojskiem, w takiej wojnie!... Będzie-li co lepszego, to dopiero w lipcu, bo dla Niemców dwie są pory wojenne: zimą i suchym latem, a teraz to się jeno tli, nie pali. Książ Witold podobno do Krakowa pojechał królowi się opowiedzieć i pozwolenie a pomoc jego sobie zjednać.

— Są przecie w pobliżu zamki krzyżackie. Gdyby choć ze dwa zdobyć, znaleźlibyśmy może Jurandównę albo wiadomość o jej śmierci.

— Albo i nic.

— W tę stronę ją przecie Zygfryd wywiózł. Powiadali to nam i w Szczytnie, i wszędy, i samiśmy tak myśleli.

— A widziałeś to wojsko? Wyjdźże za namiot i spójrz. Niektórzy pałki jeno mają, a niektórzy miedziane miecze po pradziadach.

— Ba! Jako słyszałem, chłopcy do bitki dobre!

— Ale nie im z gołymi brzuchami zamków dobywać, zwłaszcza krzyżackich.

Dalszą rozmowę przerwało im przybycie Zbyszka i Skirwoiłły, który był wodzem Żmujdzinów. Był to mąż małego wzrostu, ale krzepki w sobie i barczysty. Pierś posiadał tak wypukłą, że prawie wyglądała na garb, i niezmiernie długie, sięgające prawie do kolan ręce. W ogóle przypominał Zyndrama z Maszkowic, słynnego rycerza, którego Maćko i Zbyszko poznali swego czasu w Krakowie, miał bowiem równie ogromną głowę i takie same pałkowate<sup>1165</sup> nogi. Mówiono o nim także, że dobrze rozumiał się na wojnie. Wiek życia zbiegł mu w polu przeciw Tatarom, z którymi długie lata walczył na Rusi, i przeciw Niemcom, których nienawidził jak zarazy. W tych wojnach nauczył się po rusińsku<sup>1166</sup>, a potem na dworze Witoldowym nieco po polsku; po niemiecku umiał, a przynajmniej powtarzał tylko trzy wyrazy: ogień, krew i śmierć. W swojej ogromnej głowie miał zawsze pełno pomysłów i podstępów wojennych, których Krzyżacy nie umieli ani przewidzieć, ani im zapobiegać — dlatego bano się go w pogranicznych komturiach.

— Mówiliśmy o wyprawie — rzekł z niezwykłym ożywieniem do Maćka Zbyszko — i dlategośmy tu przyszli, byście też swoje doświadczone zdanie rzekli.

Maćko usadził Skirwoiłłę na sosnowym pniaku pokrytym niedźwiedzią skórą, następnie kazał przynieść czeladzi stągiewkę miodu, z której poczęli czerpać rycerze blaszankami i pić, gdy zaś pokrzepili się godnie, dopieroż Maćko zapytał:

— Chcecie wyprawę uczynić albo co?

— Zamki Niemcom okurzyć<sup>1167</sup>...

— Któren?

— Ragnetę albo Nowe Kowno.

— Ragnetę — rzekł Zbyszko. — Cztery dni temu byliśmy pod Nowym Kownem i pobili nas.

— To właśnie — rzekł Skirwoiłło.

— Jakże to?

— Dobrze.

— Poczekajcie — rzekł Maćko — bo ja tutejszej krainy nie znam. Gdzie jest Nowe Kowno, a gdzie Ragneta?

— Stąd do Starego Kowna niespełna mila — odpowiedział Zbyszko — a od Starego do Nowego też mila. Zamek jest na wyspie. Onegdaj<sup>1168</sup> chcieliśmy się przeprawić, ale

<sup>1165</sup>pałkowaty — (o nogach) wykrzywiony; częsta przypadłość ludzi spędzających dużo czasu na koniu. [przypis edytorski]

<sup>1166</sup>po rusińsku — język ruski jeszcze długie wieki potem był urzędowym językiem Wielkiego Księstwa Litewskiego. [przypis edytorski]

<sup>1167</sup>okurzyć — tu: wywołać pożar w okolicy. [przypis edytorski]

<sup>1168</sup>onegdaj (daw.) — dawniej, jakiś czas temu. [przypis edytorski]



pobili nas u przeprawy. Ścigali ci nas pół dnia, aż utailiśmy się w tych lasach, a wojsko tak się rozproszyło, że niektórzy dopiero dziś nad ranem się znaleźli.

— A Ragneta?

Skirwoiło wyciągnął swe długie jak gałąź ramię na północ i rzekł:

— Daleko! Daleko...

— Właśnie dlatego, że daleko! — odparł Zbyszko. — Spokój tam wokoło, bo co było zbrojnych ludzi z tej strony granicy, to ściągnęło ku nam. Nie spodziewają się tam teraz Niemcy żadnej napaści, więc na ubezpieczonych uderzym.

— Słusznie prawi — rzekł Skirwoiło.

Maćko zaś spytał:

— Zali myślicie, że będzie można i zamku dobyć?

Na to Skirwoiło potrząsnął głową na znak przeczenia, a Zbyszko odpowiedział:

— Zamek mocny, więc chyba wypadkiem<sup>1169</sup>. Ale krainę spustoszym, wsie i miasta popalim, spyżę poniszczym, a co nade wszystko jeńców nabierzemy, między którymi mogą być ludzie znaczni, a takich chętnie Krzyżacy wykupują albowi też wymieniają...

Tu zwrócił się do Skirwoiły:

— Samiście, kniaziu, przyznali, że słusznie prawię, a teraz rozważcie jeno: Nowe Kowno na wyspie. Ni tam wsi nie poburzym, ni stad nie zagarniem, ni jeńców nie nabierzem. I przecie dopiero co nas tam pobili. Ej! Pójdźmy lepiej tam, gdzie się nas teraz nie spodziewają.

— Kto pobije, ten się napaści najmniej spodziewa — mruknął Skirwoiło.

Lecz tu zabrał głos Maćko — i począł popierać zdanie Zbyszkowe, zrozumiał bowiem, że młodzianek ma większą nadzieję dowiedzieć się czegoś pod Ragnetą niż pod Nowym Kownem — i że pod Ragnetą łatwiej będzie przede wszystkim schwytać jakiego znacznego jeńca, który by mógł posłużyć na wymianę. Mniemał także, że w każdym razie lepiej jest iść dalej i wychynąć niespodzianie w kraj mniej strzeżony, niż porywać się na wyspę od przyrodzenia obronną, a strzeżoną prócz tego przez silny zamek i zwycięską załogę.

Jako zaś człek doświadczony w wojnie, mówił jasno i przytaczał tak walne powody, że każdego mógł przekonać. Tamci słuchali go też uważnie. Skirwoiło poruszał kiedy niekiedy wzniesionymi brwiami jakby na znak przytakiwania, chwilami pomrukiwał: „Słusznie prawi!” — wreszcie wsunął swą ogromną głowę między szerokie ramiona, tak że wyglądał całkiem jak garbaty, i zamyślił się głęboko.

Lecz po pewnym czasie wstał — i nic nie mówiąc, począł się żegnać.

— A jakoże, kniaziu, będzie? — spytał go Maćko. — Dokąd ruszyc?

Ów zaś rzekł krótko:

— Pod Nowe Kowno.

I wyszedł z namiotu.

Maćko i Czech spoglądali czas jakiś ze zdziwieniem na Zbyszka, po czym stary rycerz uderzył się dłońmi po udach i zawołał:

— Tfu! Cóż to za pień!... To niby słucha, słucha, a potem swoje. Żal gęby drzeć!...

— Słyszałem ci ja o nim, że taki jest — odrzekł Zbyszko — a po prawdzie, to i cały tu naród uporczywy jako mało który. Cudzego zdania wysłucha, a potem jakoby kto na wiatr dmuchał.

— To czego pyta?

— Bośmy pasowani rycerze i dlatego, żeby każdą rzecz na dwie strony rozważyć. Ale głupi on nie jest.

— Pod Nowym Kownem też może najmniej się nas spodziewają — zauważył Czech — właśnie dlatego, że dopiero co was pobili. W tym miał ci on słuszność.

— Pójdźmy obaczyć tych ludzi, którym ja przywodzę — rzekł Zbyszko, któremu duszno było w namiocie. — Trzeba im zapowiedzieć, aby zaś byli gotowi.

I wyszli. Na dworze noc już zapadła zupełna, chmurna i ciemna, rozświetlona tylko przez ogniska, przy których siedzieli Żmujdzini.

<sup>1169</sup>wypadek — tu: przypadek. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Dla Maćka i dla Zbyszka, którzy, służąc poprzednio u Witolda, napatrzili się do syta litewskim i żmujdzkim wojownikom, widok obozowiska nie przedstawiał nic nowego; ale Czech patrzył na nich z ciekawością, rozważając sobie zarazem w umyśle, czego od takich ludzi można w bitwie oczekiwać, i porównyując ich z polskim i z niemieckim rycerstwem. Obóz stał w nizinie otoczonej borem i bagnami, zatem ubezpieczon zupełnie od napadu, albowiem żadne inne wojsko nie zdołałoby przebrnąć przez owe zdradliwe mokradła. Sama nizina, na której stały szałas, była także grząska i błotnista, lecz oni nakrzesawszy<sup>1170</sup> jodłowych i sosnowych gałęzi, przyrzucili ją nimi tak grubo, że spoczywali jakby na najsuchszym miejscu. Kniaziowi Skirwoille sklecono naprędce coś w rodzaju „numy”, czyli chaty litewskiej z ziemi i drewnianych, nieociosanych bierwion, dla znaczniejszych ludzi uwito z gałęzi kilkadziesiąt szałasów, pospolici zaś wojownicy siedzieli koło ognisk, pod gołym niebem, mając ochronę przeciw zmianom pogody i dżdżom tylko w kozuchach i skórach, które na nagim ciele nosili. W obozie nikt nie spał jeszcze, albowiem ludzie, nie mając po ostatniej porażce nic do roboty, sypiali we dnie. Niektórzy siedzieli lub leżeli wokół jasnych ognisk podsycanych suszem i gałęźmi jałowca, inni grzebali w przygasyłych już i zasutych popiołem watrzykach<sup>1171</sup>, od których rozchodził się zapach pieczonej rzepy, zwykłego pokarmu Litwinów, i swąd przypalonych mięs. Między ogniskami widniały stosy broni poskładane blisko, tak aby w danym razie łatwo było każdemu za swój oręż pochwycić. Hława przypatrywał się z ciekawością oszczepom o grotach wąskich i długich, wykutych z hartownego żelaza, kiścieniom<sup>1172</sup> uczynionym z młodych dąbczaków, w które ponabijano krzemieni lub gwoździ, okszom<sup>1173</sup> o trzonkach krótkich, podobnych do polskich toporów, którymi posługiwali się jezdni, i okszom o trzonkach tak niemal długich jak u berdyszów<sup>1174</sup>, którymi walczyli piesi. Trafiły się między nimi i miedziane, pochodzące z dawnych czasów, kiedy żelazo w małym jeszcze było użyciu w tych zapadłych stronach. Niektóre miecze były również z miedzi, ale większość z dobrej, dostarczanej z Nowogrodu stali. Czech brał w rękę oszczepy, miecze, oksze, smoliste, prażone w ogniu luki i przy blasku płomienia badał ich doskonałość. Koni niewiele było przy ogniskach, gdyż stada pasły się opodal w lasach i na łąkach pod strażą czujnych koniuchów, ale że znaczniejsi bojarowie chcieli mieć swoje rumaki na zawołanie, przeto było ich w obozie kilkadziesiąt, które niewolnicy pańscy karmili z ręki u toku. Hławę zdumiewały kudłate ciała tych rumaków, nadzwyczaj drobnych, o potężnych karkach i w ogóle tak dziwnych, że zachodni rycerze pocztywali je za jakieś całkiem odmienne zwierzęta leśne, więcej do jednorożców<sup>1175</sup> niż do prawdziwych koni podobne.

Broni

— Na nic tu wielkie, bojowe ogiery — mówił doświadczony Maćko, wspominając swoje dawne służby u Witolda — bo wielki zaraz w młakach ugrzęźnie, a tutejszy chmyz<sup>1176</sup> przejdzie wszędy, tak prawie jako i człowiek.

— Ale w polu — odrzekł Czech — tutejsze wielkim niemieckim nie dostoją.

— Juźci nie dostoją. Za to nie ucieknie Niemiec przed Żmujdzinem ani też go nie zgoni, bo te są tak właśnie ściągłe albo i ściągłsze niż tatarskie.

— A wszelako dziwno mi to jest, bo com widział jeńców Tatarów, których rycerz Zych do Zgorzelic przyprowadził, to chłopcy były nieduże i takiego byle koń udźwignie, a to lud rosły.

Lud zaś istotnie był dorodny. Przy blasku ognia widać było spod skór i kozuchów szerokie piersi i tęgie ramiona. Chłop w chłopca suchy był, ale kościsty i długi, w ogóle zaś wzrostem ludzie ci przewyższali mieszkańców innych krain litewskich, albowiem siedzieli na ziemiach lepszych i obfitszych, w których głody, trapiące kiedy niekiedy Litwę, rza-

<sup>1170</sup>*nakrzesać* — tu: naciąć. [przypis edytorski]

<sup>1171</sup>*watra* — ognisko. [przypis edytorski]

<sup>1172</sup>*kiścieni* — rodzaj broni obuchowej składającej się z drzewca, łańcucha i umieszczonej na jego końcu kuli; często (jak w tym przypadku) błędne określenie broni podobnej do maczugi z nabijaną czymś twardym główką. [przypis edytorski]

<sup>1173</sup>*oksza* (daw.) — rodzaj topora bojowego. [przypis edytorski]

<sup>1174</sup>*berdysz* — szeroki topór na długim drzewcu. [przypis edytorski]

<sup>1175</sup>*jednorożec* — mityczne zwierzę, często pojawiające się w legendach średniowiecznych, podobne do konia, z jednym wyrastającym z czoła rogiem. [przypis edytorski]

<sup>1176</sup>*chmyz* — mały, niepozorny koń. [przypis edytorski]

dziej dawały się we znaki. Natomiast dzikością przewyższali jeszcze Litwinów. W Wilnie był dwór wielkoksiążęcy, do Wilna ściągali księża ze Wschodu i Zachodu, przychodzili poselstwa, napływał kupiec zagraniczny, przez co mieszkani miasta i okolicy oswajał się nieco z obczyzną; tu cudzoziemiec zjawiał się tylko pod postacią Krzyżaka lub Mieczowego Kawalera<sup>1177</sup>, niosących w głuche leśne osady ogień, niewolę i chrzest z krwi, więc wszystko tu było grubsze, surowsze i bardziej do dawnych czasów zbliżone, bardziej przeciw nowościom zawzięte; starszy obyczaj, starszy tryb wojowania, a i pogaństwo uporczywsze, dlatego że czci Krzyża nauczał nie łagodny zwiastun Dobrej Nowiny z miłością apostoła, lecz zbrojny niemiecki mnich z duszą kata.

Wróg

Skirwoiło i znaczniejsi kniazie a bojarzyny byli już chrześcijanami, albowiem poszli za przykładem Jagiełły i Witolda. Inni, nawet najprostszy i najdzikszy wojownicy, nosili w piersiach głuche poczucie, że nadchodzi śmierć i skon dawnemu światu, dawnej ich wierze. I gotowi byli pochylić głowy przed Krzyżem, byle tego Krzyża nie wznosiły niemieckie nienawistne ręce. „My prosimy chrztu — wołali do wszystkich książąt i narodów — lecz wspomnijcie, że ludzie jesteśmy, nie zwierzęta, które można darować, kupić i sprzedać<sup>1178</sup>”. Tymczasem, gdy dawna wiara gasła, jak gaśnie ognisko, do którego nikt drow nie przyrzuci, a od nowej odwracały się serca właśnie dlatego, że wmuszała ją niemiecka przemoc, rodziła się w ich duszach pustka, niepokój i żal po przeszłości, i głęboki smutek. Czech, który od dziecka zrosł się z wesołym gwarem żołnierskim, z pieśniami i szumną<sup>1179</sup> muzyką, widział po raz pierwszy w życiu obóz tak cichy i posępny. Ledwie gdzieś gdzie, przy dalszych od Skirwoiłowej numy ogniskach, słychać było odgłos fujarki lub piszczałki, albo słowa przyciszonej pieśni, którą śpiewał „burtinikas”. Wojownicy słuchali z pochylonymi głowami i oczyma utkwionymi w zarzewie. Niektórzy siedzieli w kucki wedle ognia, mając łokcie wsparte na kolanach, a twarze ukryte w dłoniach, okryci skórą, podobni do drapieżnych zwierząt leśnych. Lecz gdy podnosili ku przechodzącym rycerzom głowy, blask płomienia oświecał twarze łagodne i niebieskie źrenice, wcale nie srogie ni drapieżne, ale tak raczej patrzące, jak patrzą smutne i pokrzywdzone dzieci. Na krańcach obozowiska leżeli na mchach ranni, których zdołano unieść z ostatniej bitwy. Wróżbici, tak zwani łabdarysty i sejtonowie, mruzczyli nad nimi zaklęcia lub opatrywali ich rany, przykładając na nie znane sobie zioła gojące, a oni leżeli w milczeniu, znosząc cierpliwie ból i męki. Z głębin leśnych, od strony polan i ługów, dochodziło poświstywanie koniuchów, kiedy niekiedy podnosił się wiatr, przysyłając dymami obozowisko i napełniając szumem bór ciemny. Ale noc czyniła się coraz późniejsza, więc ogniska poczęły mdleć i gasnąć i cisza zapadła jeszcze większa, potęgując owe wrażenie smutku i jakby pognębienia.

Religia, Chrzest

Muzyka

Zbyszko wydał rozkaz gotowości ludziom, którym przywoził i z którymi łatwo mógł się rozmówić, albowiem była między nimi garść połocczan<sup>1180</sup>, po czym zwrócił się do swego giermka i rzekł:

— Napatrzyłeś się do woli, a teraz czas wrócić pod namiot.

— Już ci się napatrzyłem — odpowiedział giermek — ale nie bardzo rad z tego, com widział, bo zaraz znać, że to pobici ludzie.

— Dwa razy: cztery dni temu przy zamku i onegdaj<sup>1181</sup> u przeprawy. A teraz chce się Skirwoiłe trzeci raz tam iść, by trzeciej porażki doznać.

— Jakże, to on nie rozumie, że z takim wojskiem przeciw Niemcom nie wskóra? Powiadał mi to już rycerz Maćko, a teraz i sam miarkuję, że liche to muszą być i do bitki pacholki.

— I w tym się mylisz, bo to lud chrobry jak mało który w świecie. Jeny się kupą bezładną biją, a Niemcy w szyku. Jeśli się uda szyk rozerwać, to częściej Żmujdzin Niemca niż Niemiec Żmujdzina połoczy. Ba, ale tamci to wiedzą i tak się zwierają, że jako ściana stoją.

<sup>1177</sup>*Kawalerowie Mieczowi* — niemiecki zakon rycerski założony w Rydze przez biskupa Alberta von Buxhövdena w 1202, w 1237 połączył się z Krzyżakami, zachowując pewną odrębność administracyjną. [przypis edytorski]

<sup>1178</sup>*przedać* — dziś popr.: sprzedać. [przypis edytorski]

<sup>1179</sup>*szumny* (daw.) — patetyczny bądź hałaśliwy i energiczny. [przypis edytorski]

<sup>1180</sup>*Połock* — wczesnośredniowieczny gród słowiański, obecnie miasto na Białorusi. [przypis edytorski]

<sup>1181</sup>*onegdaj* (daw.) — dawniej, kiedyś; tu prawdopodobnie: wczoraj. [przypis edytorski]

— A już o zamków dobywaniu to pewnie nie ma co i myśleć — rzekł Czech.

— Boć nijakiego sprzętu do tego nie ma — odpowiedział Zbyszko. — Sprzęt ma książę Witold i póki ku nam nie nadciągnie, nie ugryziem żadnego zamku, chyba by trafunkiem<sup>1182</sup> albo zdradą.

Tak rozmawiając, doszli do namiotu, przed którym płonął duży, podsycany przez czeladź ogień, a w nim kopcily się przygotowane przez czeladź mięsiwa. W namiocie chłodno było i wilgotno, więc rycerze, a z nimi i Hława, pokładli się przed ogniem na skórach.

Za czym posiliwszy się, próbowali zasnąć, lecz nie mogli. Maćko przewracał się z boku na bok, a następnie ujrawszy, że Zbyszko siedzi przed płomieniem, otoczywszy ramionami kolana, zapytał:

— Słuchaj! Dlaczegoś ty radził iść daleko pod Ragnetę, nie tu blisko pod ten Goteswerder? Co masz w tym?

— Bo tak mi coś do duszy gada, że Danuśka jest w Ragnecie; i tam się mniej strzegą niż tu.

— Nie było czasu się rozgadać, bom i sam był utrudzon, i tyś ludzi po boru po kłęsce zbierał. Ale teraz mówże, jako jest: chcesz-li ty zawsze tej dziewczki szukać?

— Dyc to nie żadna dziewczka, jeno moja niewiasta<sup>1183</sup> — odpowiedział Zbyszko.

Nastało milczenie, albowiem Maćko rozumiał dobrze, że nie masz na to odpowiedzi. Gdyby Danuśka była dotychczas panną Jurandówną, byłby niechybnie stary rycerz namawiał bratanka, by jej poniechał, ale wobec świętości sakramentu poszukiwanie stawało się prostą powinnością i Maćko nie byłby nawet zadawał takiego pytania, gdyby nie to, że nie będąc obecny ni na ślubie, ni na weselu, mimowiednie uważał Jurandównę zawsze za dziewczkę.

— Jużci! — rzekł po chwili. — Ale o com przez te dwa dni miał czas się spytać, tom się spytał, i rzekłeś mi, że nic nie wiesz.

— Bo nic nie wiem, jeno to, że chyba gniew Boski jest nade mną.

Wtem Hława przypodniósł się z niedźwiedziej skóry, siadł i nastawiwszy uszu, począł słuchać pilnie a ciekawie.

A Maćko rzekł:

— Pókić sen nie zmorzy, gadaj: coś widział, coś robił i coś wskórał w Malborgu?

Zbyszko odgarnął włosy, które, dawno niepodcinane z przodu, spadały mu aż na brwi, chwilę posiedział w milczeniu, po czym jął mówić:

— Dałby Bóg, abym ja tyle mógł wiedzieć o mojej Danuśce, ile wiem o Malborgu. Pytacie, com tam widział? Widziałem potęgę krzyżacką niezmierną, przez wszystkich królów i przez wszystkie narody wspomaganą, z którą nie wiem, czyli kto w świecie mierzyć się zdoła. Widziałem zamek, jakiego chyba i sam cesarz rzymski nie ma. Widziałem skarby nieprzebrane, widziałem zbroje, widziałem mrowie orężnych mnichów, rycerzy i knechtów, i relikwie jakby u Ojca Świętego w Rzymie, i mówię wam, że aże dusza zdrętwiała we mnie, bom sobie pomyślał: gdzie się tam komu na nich porywać? Kto ich zmoże? Kto się im oprze? Kogo ich siła nie przełamie?

— Nas! Zatracona ich mać! — zawołał, nie mogąc wytrzymać, Hława.

Maćkowi dziwne wydały się także słowa Zbyszka, więc choć chciało mu się poznać wszystkie przygody młodzianka, jednakże przerwał mu i rzekł:

— A toś zapomniał o Wilnie? A mało to razy zderzaliśmy się z nimi tarczą o tarcz i łbem o łeb! A toś zabaczył, jako im niesporo<sup>1184</sup> bywało ku nam i jak na zatwardziałość naszą narzekali: że to nie dość było konia zapocić i kopię pokruszyć, jeno trza było cudze gardło wziąć albo swoje dać! Byli tam przecie i goście, którzy nas pozywali, a wszyscy z hańbą odeszli. Cóżes to tak zmięknąć?

— Nie zmięknę ja, bom się i w Malborgu potykał, gdzie też i na ostre gonili. Ale wy ich wszystkim<sup>1185</sup> potęgi nie znacie.

Lecz stary rozgniewał się.

— A ty znasz-li całą moc polską? Widziałeś wszystkie chorągwie w kupie? Nie widziałeś. A ich potęga na krzywdzie ludzkiej i na zdradzie stoi, bo tam i piędzi ziemi nie

Żona

Polak, Niemiec

<sup>1182</sup>trafunek (daw.) — przypadek. [przypis edytorski]

<sup>1183</sup>niewiasta — tu: żona. [przypis edytorski]

<sup>1184</sup>niesporo (daw.) — niechętnie, niewygodnie. [przypis edytorski]

<sup>1185</sup>wszystek (daw.) — cały. [przypis edytorski]

ma, która by była ich. Przyjęli ci ich książęta nasi, jak się ubogiego w dom przyjmuje, i obdarowali, a oni porósłszy w moc, pokasali tę rękę, co ich żywiła, jako psi bezecni i wściekli. Ziemię zagarnęli, miasta zdradą pobrali i ot ich moc! Ale choćby wszyscy królowie świata szli im w pomoc, nadejdzie dzień sądu i pomsty.

— Skoroście mi kazali gadać, com widział, a teraz się gniewacie, to wolej zaniecham — rzekł Zbyszko.

Maćko zaś sapał przez jakiś czas gniewnie, po chwili jednak uspokoił się i rzekł:

— Albo to raz tak bywa! Stoi ci w lesie chojar jako wieża sroga, myślałbyś, że wiek wieków postoi, a stukniesz w niego godnie obuchem<sup>1186</sup>, to ci się pustką obezwie. I próchno się w nim sypie. Taka to i krzyżacka moc! Ale jam ci kazał gadać, coś robił i coś wskórał. Gonileś tam na ostre, powiadasz?

— Gonilem. Hardo i niewdzięcznie ci mnie tam z początku przyjęli, bo było im już wiadomo, że się z Rotgierem potykał. Może i przygodziłoby mi się coś złego, jeno że z listem od księcia przyjechał i pan Lorche, którego oni szanują, od ich złości mnie bronił. Ale potem przyszły uczyty i gonitwy, w których Pan Jezus mi pobłogosławił. Toście słyszeli, że mnie brat mistrzów<sup>1187</sup> Ulryk pokochał i dał mi rozkaz od samego mistrza na piśmie, aby mi Danuškę wydali?

— Powiadali nam ludzie — rzekł Maćko — iżę popręg mu pękł przy siedle<sup>1188</sup>, co ty widzący<sup>1189</sup>, nie chciałeś na niego uderzać.

— Jużci, podniosłem kopię w górę, a on mnie od tej pory pokochał. Hej, miły Boże! Srogie mi pisma dali, z którymi mogłem od zamku do zamku jeździć i szukać. Już myślałem, że koniec mojej biedy i mego frasunku, a teraz ot, tu siedzę, w dzikiej stronie, bez rady nijakiej, w strapieniu i smutku, a co dzień ci mi gorzej i tęskniej...

Tu umilkł na chwilę, po czym rzucił z całej mocy wiórem w ogień, aż iskry posypały się z płonących głowni, i rzekł:

— Bo jeśli ta nieboga jęczy tu gdzie w jakim zamku, a myśli, że ją zabaczył, to niechby mnie nagła śmierć nie minęła!

I tyle w nim się widocznie zapiekło zniecierpliwienia i bólu, że jął znów rzucać wiórami w ogień jak gdyby nagłym, ślepym bólem uniesion, a oni zdumieli się bardzo, nie przypuszczali bowiem, żeby tak kochał Danuškę.

— Pohamuj się! — zawołał Maćko. — Jakoże było z onym glejtem? Zali komturowie nie chcieli rozkazów mistrza słuchać?

— Pohamujcie się, panie — rzekł Czech. — Bóg was pocieszy; może wkrótce.

Zbyszkowi zaś lzy błysły w źrenicach, ale uspokoił się nieco i rzekł:

— Otwierali odmienne zamki i więzienia. Byłem wszędy, szukałem! Aż wybuchła ta wojna i w Gierdawach<sup>1190</sup> powiedział mi wójt von Heideck, że wojenne prawo inne i że glejty wydane w czasie pokoju nic nie znaczą. Pozwalem go zaraz, ale nie stanął i z zamku mnie wyżenąć kazał.

— A w innych? — spytał Maćko.

— Wszędy to samo. W Królewcu komtur, który jest zwierzchnikiem gierdawskiego wójta, nie chciał nawet czytać mistrzowego pisma, mówiąc, że wojna wojną i głowę, póki cała, kazał mi precz unosić. Pytałem i gdzie indziej, wszędy to samo.

— To teraz rozumiem — rzekł stary rycerz. — Widząc, że nic nie wskórasz, wolałeś tu przyjść, gdzie chociaż pomsta może się zdarzyć.

— Tak jest — odpowiedział Zbyszko. — Myślałem także, że jeńców nabierzem i może zamków kilka ogarniem; ale oni nie umieją zamków zdobywać.

— Hej, przyjdzie sam książę Witold, to będzie inaczej.

— Daj go Bóg.

— Przyjdzie. Słyszałem na mazowieckim dworze, że przyjdzie, a może i król z nim razem z całą potęgą polską.

<sup>1186</sup>obuch — tępa część siekiery a. topora, przeciwległa do ostrza. [przypis edytorski]

<sup>1187</sup>mistrzów (daw.) — mistrzowy, mistrza. [przypis edytorski]

<sup>1188</sup>siedle — dziś popr.: siodło. [przypis edytorski]

<sup>1189</sup>widzący (daw.) — widząc. [przypis edytorski]

<sup>1190</sup>Gierdawy — obecnie miasteczko w obwodzie kaliningradzkim, 3 km od granicy z Polską. [przypis edytorski]

Lecz dalszą rozmowę przerwało im przyjście Skirwoiłły, który wychylił się niespodzianie z cienia i rzekł:

— W pochód ruszamy.

Uszławszy to, rycerze powstali żywo na nogi, Skirwoiłło zaś zbliżył ku ich twarzom swoją ogromną głowę i rzekł przyciszonym głosem:

— Są nowiny: idą do Nowego Kowna posiłki. Dwóch rycerzy prowadzi knechtów, bydło i spyżę. Zaskoczym im<sup>1191</sup>.

— To przejdziem Niemen? — zapytał Zbyszko.

— Tak. Wiem<sup>1192</sup> bród.

— A w zamku wiedzą o posiłkach?

— Wiedzą i wyjdą im na spotkanie, ale na tych uderzycie wy.

I począł im objaśniać, gdzie mają się zasadzić, tak aby niespodzianie uderzyć na tych, którzy pokwapią się z zamku. Chodziło mu o to, by jednocześnie stoczyć dwie bitwy i pomścić ostatnie porażki, co mogło się udać tym łatwiej, że po świeżym zwycięstwie nieprzyjaciel czuł się zupełnie bezpieczny. Więc wskazał im miejsce i czas, w którym mieli tam zdążyć, a resztę zdał na ich męstwo i przemyślność. Oni zaś uradowali się w sercach, gdyż zaraz poznali, że mówi do nich wojownik doświadczony i sprawny. Skończywszy, kazał im iść za sobą i wrócił do swej numy, w której czekali już na niego kniaziowie i bojarzynie setnicy<sup>1193</sup>. Tam powtórzył rozkazy, wydał nowe, a wreszcie podniósłszy do ust piszczałkę, wyrzeźbioną z wilczej kości, wydał donośny i przeraźliwy świst, który usłyszano od jednego do drugiego końca obozu.

Na ów odgłos zakotłowało się coś wedle przygasłych ognisk; tu i ówdzie poczęły strzelać iskry, potem błysnęły płomyki, które rosły i wzmagały się z każdą chwilą, a przy ich blasku widać było dzikie postacie wojowników zbierające się koło stosów z bronią. Bór zadrgał i zbudził się. Po chwili z głębin poczęły dochodzić wołania koniuchów pędzących stada ku obozowi.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Doszli rankiem do Niewiaży<sup>1194</sup> i przepawili się: kto konno, kto przy ogonie końskim, kto na pęku łóz<sup>1195</sup>. Poszło to tak prędko, że aż Maćko, Zbyszko, Hława i ci z Mazurów, którzy przyszli na ochotnika, dziwili się sprawności tego ludu i teraz dopiero zrozumieli, dlaczego ni bory, ni bagna, ni rzeki nie mogły powstrzymać wypraw litewskich. Wyszędłszy z wody, żaden nie zewłókl odzieży, nie zrzucił kozucha ni wilczury, jeno suszyli się, nadstawiając grzbiety słońcu, aż dymiło się z nich jak ze smolarni — i po małym wycoczynku ruszyli śpiesznym pochodem na północ. Ciemnym wieczorem dotarli do Niemna. I tu przeprawa, jako przez rzekę wielką, a do tego nabrzmiałą wiosennymi wodami, nie była łatwą. Bród, o którym wiedział Skirwoiłło, zmienił się miejscami w topiel, tak że konie musiały pływać więcej niż na ćwierć stajania. Dwóch ludzi uniósł prąd tuż przy boku Zbyszka i Czecha, którzy na próżno chcieli ich ratować, albowiem z powodu ciemności i wzburzonej wody rychło stracili ich z oczu, oni zaś nie śmieli wołać o ratunek, ponieważ poprzednio wódz wydał rozkaz, aby przeprawa odbyła się w jak najgłębszym milczeniu. Jednakże wszyscy inni dotarli szczęśliwie do drugiego brzegu, na którym przesiedzieli bez ognia do rana.

O pierwszym brzasku całe wojsko rozdzieliło się na dwa oddziały. Z jednym Skirwoiłło poszedł w głąb kraju na spotkanie owych rycerzy prowadzących posiłki do Gotteswerder, drugi powiódł Zbyszko wstecz ku wyspie, aby zaskoczyć<sup>1196</sup> ludziom zamkowym, którzy naprzeciw tamtym wyjść chcieli. Dzień czynił się w górze jasny i pogodny, ale na dole bór, łęgi i krze przysłonione były gęstym, białawym oparem, który całkiem zakrywał dal. Była to dla Zbyszka i jego ludzi okoliczność pomyślna, albowiem Niemcy ciągnący od zamku nie mogli ich z dala dojrzeć i w porę cofnąć się przed bitwą. Młody rycerz rad był z tego niezmiernie i tak mówił do jadącego obok Maćka:

<sup>1191</sup>zaskoczym im (daw.) — przetniemy im drogę. [przypis edytorski]

<sup>1192</sup>wiedzieć (daw.) — znać. [przypis edytorski]

<sup>1193</sup>setnik — przełożony nad setką ludzi. [przypis edytorski]

<sup>1194</sup>Niewiaża — prawy dopływ Niemna. [przypis edytorski]

<sup>1195</sup>łozy — zarośla wierzbowe. [przypis edytorski]

<sup>1196</sup>zaskoczyć — tu: przeciąć drogę. [przypis edytorski]

— Pierwej uderzym się o siebie, niż się w takim tumanie zobaczymy, daj Bóg tylko, aby nie zrzędniał choć do południa.

To rzekłszy, poskoczył naprzód, by wydać setnikom jadącym na przodzie rozkazy, niebawem jednak wrócił i rzekł:

— Niezadługo trafim na gościniec idący od przewozu przed wyspą do środka kraju. Tam się w gęstwinie położym i będziem na nich czekać.

— Skąd wiesz o gościńcu? — zapytał Maćko.

— Od chłopów tutejszych, których mam między ludźmi kilkunastu. Oni to wszędy nas prowadzą.

— A jak daleko od zamku i od wyspy przypadniesz<sup>1197</sup>?

— W mili.

— To dobrze, bo gdyby było bliżej, mogliby z zamku knechtów w pomoc pchnąć, a tak nie tylko nie nadążą, ale i krzyku nie usłyszą.

— Jużci, że o tym pomyślałem.

— Pomyślałeś o jednym, pomyślże i o drugim: jeśli to wierne chłopcy, wyślij ich dwóch albo trzech naprzód, aby który pierwszy obaczy Niemców, zaraz dawał nam znać, że idą.

— Ba, już i to zrobione!

— Tedy jeszcze ci coś powiem. Każ stu albo dwustu ludziom, zaraz jak tylko bitka się zacznie, nie mieszać się do niej, jeno skoczyć i przeciąć drogę od wyspy.

— Pierwsza rzecz! — odpowiedział Zbyszko. — Ale już i takie rozkazy wydane. Wpadną Niemce jakoby w potrzask albo jako w oklepce!

Usłyszawszy to, Maćko spojrział na bratanka życzliwym okiem, rad był bowiem, że Zbyszko mimo wczesnych lat życia tak dobrze wojnę rozumiał, więc uśmiechnął się i mruknął:

— Nasza prawa krew!

Lecz giermek Hława uradowany był w duszy jeszcze bardziej od Maćka, gdyż nie było dla niego większej nad bitwę rozkoszy.

— Nie wiem — rzekł — jak ci nasi ludzie będą się potykali, ale idą cicho, sprawnie i ochotę znać po nich okrutną. Jeżeli ów Skirwoiło dobrze wszystko wymędrował<sup>1198</sup>, to żywa noga nie powinna wyjść ze skrzętu.

— Da Bóg, mało się ich wymknie — odpowiedział Zbyszko. — Ale kazałem jak najwięcej jeńców brać, a gdyby trafił się między nimi rycerz albo brat zakonny, to już koniecznie nie zabijać.

— A czemu to, panie? — spytał Czech.

Zbyszko zaś odrzekł:

— Pilnujcie i wy, aby tak było. Rycerz, jeśli z gości, to włóczy się po miastach, po zamkach, siła ludzi widuje i siła nowin słyszy, a jeśli zakonny, to jeszcze więcej. Toć Bogiem a prawdą po to ja tu przyjechałem, żeby kogoś znacniejszego pochwycić i zamianę uczynić. Jedna mi ta droga ostała... jeżeli jeszcze ostała.

To rzekłszy, dał ostrogi koniowi i znów wysunął się na czoło oddziału, aby wydać ostatnie rozporządzenia i uciec razem od smutnych myśli, na które brakło i czasu, albowiem miejsce na zasadzkę wybrane nie było już zbyt odległe.

— Czemu to młody pan tuszy, że jego niewiastka<sup>1199</sup> jeszcze żyje i że się w tych stronach znajduje? — spytał Czech.

— Bo jeśli jej Zygryfd od razu w Szczytnie w pierwszym zapędzie nie zamordował — odparł Maćko — to sprawiedliwie można się spodziewać, że jeszcze żywa. A jeśli ją był zamordował, toby szczytnieński ksiądz nie był nam takich rzeczy rozpowiadał, które przecie i Zbyszko słyszał. Ciężka to rzecz nawet dla największego okrutnika podnieść rękę na niewiastę bezbronną, ba! na dziecko niewinne.

— Ciężka, ale nie dla Krzyżaka. A księcia Witoldowe dzieci?

— Prawda jest, że wilcze oni serca mają, wszelako i to prawda, że w Szczytnie jej nie zgładził, a że sam w tę stronę pociągnął, więc może i ją w którymś zamku ukrył.

— Hej! Żeby się to tak udało tę wyspę i ten zamek ubiec!

<sup>1197</sup>przypaść (daw.) — zacząć się. [przypis edytorski]

<sup>1198</sup>wymędrować — tu: zaplanować. [przypis edytorski]

<sup>1199</sup>niewiastka — tu: żona. [przypis edytorski]

- Spójrzj jeno na tych ludzi — rzekł Maćko.  
— Pewnie! Pewnie! Ale mam ci ja jedną myśl, którą młodemu panu powiem.  
— Choćbyś miał i dziesięć, dzidami murów nie rozwalisz.

To powiedziawszy, ukazał Maćko na szeregi dzid, w które większa część wojowników była uzbrojona, po czym zapytał:

- Widziałeś kiedy takie wojsko?

A Czech rzeczywiście nic podobnego nie widział. Przed nim jechał gęsty zastęp wojowników i jechał bezładnie, bo w boru i wśród krzów trudno się było trzymać szeregow. Zresztą piesi pomieszani byli z konnymi i by nadażyć krokom końskim, trzymali się grzyw, kulbak i ogonów. Barki wojowników pokryte były skórami wilków, rysiów i niedźwiedzi, z głów sterczały to kły dzicze, to rogi jelenie, to kosmate uszy, tak że gdyby nie broń stercząca w górę i nie smoliste łuki i kobiałki<sup>1200</sup> ze strzałami na plecach, patrzącym z tyłu mogłoby się wydać, zwłaszcza we mgle, że to całe gromady dzikich leśnych bestii wyruszyły z głębi leśnych mateczników<sup>1201</sup> — i ciągną gdzieś na wyraj<sup>1202</sup> gnane żądzą krwi lub głodem. Było w tym coś strasznego, a zarazem tak niezwyčajnego, jak gdyby się patrzyło na ów dziw zwany gomon<sup>1203</sup>, w czasie którego, jak wierzy prostactwo, zrywają się i idą przed się zwierzęta, a nawet kamienie i krzaki.

Toteż na ów widok jeden z owych włodyczków z Łękawicy, którzy przybyli z Czechem, zbliżył się do niego, przeżegnał się i rzekł:

- W imię Ojca i Syna! Dyc ze stadem prawych wilków idziem, nie z ludźmi.

Hława zaś, choć sam pierwszy raz podobne wojsko oglądał, odrzekł jako doświadczony człowiek, który wszystko przeznał i niczemu się nie dziwi:

- Wilcy stadem w zimie chadzają, ale krzyżacka jucha smakuje i na wiosnę.

A rzeczywiście była już wiosna — maj! Leszczyna, którą bór był podszyty, pokryła się jasną zielenią. Z mchów puszystych a miękkich, po których stąpały bez szelestu nogi wojowników, wydobywały się białe i sinawe sasanki oraz młode jagodzisko i ząbkowana paproć. Zmoczony obfitymi dżdżami drzewa pachniały wilgotną korą, a z leśnego podłoża biła surowa woń opadłego igliwia i próchna. Słońce grało tęczą na zwieszonych wśród liści kropkach i ptactwo głośliło się w górze radośnie.

Oni szli coraz prędzej, bo Zbyszko przynagłał. Po chwili przyjechał znów na tyły oddziału, gdzie był Maćko z Czechem i mazurskimi ochotnikami. Nadzieja dobrej bitki widocznie ożywiła go znacznie, bo w twarzy nie miał zwykłej troski i oczy świeciły mu po dawnemu.

- Nuże! — zawołał. — W przodku nam teraz iść, nie w ociągu!

I powiódł ich na czoło oddziału.

— Słyszycie — rzekł jeszcze — może zaskoczym Niemców niespodzianie; ale jeśli co wymiarkują i w szyku zdołają stanąć, to jużci pierwsi uderzymy, bo zbroja na nas godniejsza i miecze lepsze!

- Tak ono i będzie! — rzekł Maćko.

Inni zaś osadzili się mocniej w kulbakach, jakby już zaraz mieli uderzyć. Ten i ów nabral w piersi powietrza i zmacał, czy kord łatwo z pochew wychodzi.

Zbyszko powtórzył im jeszcze raz, aby jeśli wśród pieszych knechtów znajdą się rycerze lub bracia w białych płaszczach na zbroi, nie zabijać ich, jeno w niewolę brać, po czym skoczył znów do przewodników i po chwili zatrzymał oddział.

Przyszli do gościńca, który od przystani leżącej naprzeciw wyspy biegł w głąb kraju. Właściwie nie był to jeszcze prawdziwy gościniec, ale raczej szlak niedawno przez lasy przetarty i wyrównany tylko o tyle, aby wojska i wozy od biedy mogły przejść po nim. Z obu stron wznosił się wysokopienny bór, a po obu brzegach piętrzyły się pościnane dla otwarcia drogi pnie starych sosen. Leszczynowe podszycie było miejscami tak gęste, że przesłaniało całkiem głąb leśną. Wybrał przy tym Zbyszko miejsce na zakręcie, aby nadchodzący, nie mogąc nic dojrzeć z dala, nie mieli czasu albo cofnąć się w porę, albo ustawić w bojowym szyku. Tam zajął oba boki szlaku i kazał czekać nieprzyjaciela.

<sup>1200</sup>kobiałka — koszyk, tu: kolczan. [przypis edytorski]

<sup>1201</sup>matecznik — legowiska dzikich zwierząt bądź trudno dostępne miejsce w puszczy. [przypis edytorski]

<sup>1202</sup>wyraj (daw.) — odlot ptaków na zimę bądź „cieple kraje”. [przypis edytorski]

<sup>1203</sup>gomon — bajkowy pochod zwierząt, roślin i kamieni. [przypis edytorski]



Złyci z borem i z leśną wojną Żmujdzini przypadli tak sprawnie za kłody, za wykroty<sup>1204</sup>, za leszczynowe krze i kępy młodej jedliny — jakby ich ziemia pochłonęła. Człowiek się nie ozwał, koń nie parsknął. Od czasu do czasu koło zaczajonych ludzi przeciągał to drobny, to gruby zwierz leśny i dopiero niemal otarłszy się o nich, rzucał się z przerażeniem i fukiem w bok. Chwilami zrywał się powiew i napępiał bór szumem uroczystym i poważnym, chwilami cichnął, a wówczas słychać było tylko odległe kukanie kukulek i bliskie kucie dzięciołów.

Żmujdzini słuchali z radością tych odgłosów, albowiem szczególnie dzięcioł był dla nich zwiastunem dobrej wróżby. Było zaś owych ptaków pełno w tym boru i kowanie dochodziło ze wszystkich stron, usilne, szybkie, podobne jakby do pracy ludzkiej. Rzekłbyś, wszystkie tam miały swe kuźnie i od wczesnego rana zabrały się do gorliwej roboty. Maćkowi i Mazurom zdawało się, że słyszą cieśłów pobijających krokwie<sup>1205</sup> na nowym domu, i przypomnially im się strony rodzinne.

Lecz czas upływał i dłużył się, a tymczasem nic nie było słychać prócz szumu leśnego i głosów ptactwa. Mgła leżąca na dole zrzędła, słońce podniosło się znacznie i jęło przygrzewać, a oni leżeli ciągle. Wreszcie Hlawa, któremu znudziło się oczekiwanie i milczenie, pochylił się do ucha Zbyszka i począł szeptać:

— Panie... Jeśli, da Bóg, żaden z psubratów nie ujdzie, czybyśmy nie mogli nocą pociągnąć pod zamek, przeprowić się i zdobyć go niespodzianie?

— A to myślisz, że tam łodzi nie strzegą i hasła nie mają?

— Strzegą i mają — odszepnął Czech — ale jeńcy pod nożem hasło powiedzą, ba! sami się po niemiecku do nich obezwą. Byle na wyspę się dostać, to sam zamek...

Tu przerwał, gdyż Zbyszko położył mu nagle dłoń na ustach, albowiem z gościńca doszło krakanie kruka.

— Cichaj! — rzekł. — To znak!

Jakoż we dwa pacierze później na szlaku zjawił się Żmujdzin na małym, kudłatym koniu, którego kopyta obwiniete były w skórę baranią, tak aby nie wydawały tętentu i nie zostawiały śladów na błocie.

Jadąc, rozglądał się bystro na obie strony i nagle usłyszawszy z gąszczy odpowiedź na krakanie, nurknął w las, a po chwili był już przy Zbyszku.

— Idą!... — rzekł.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Zbyszko począł wypytywać śpiesznie, jak idą, ile jest jazdy, ilu knechtów pieszych, a przede wszystkim, jak daleko się jeszcze znajdują. Z odpowiedzi Żmujdzina dowiedział się, że oddział nie przenosi stu pięćdziesięciu wojowników, z tych pięćdziesięciu konnych, pod wodzą nie Krzyżaka, lecz jakiegoś świeckiego rycerza, że idą w szyku, prowadząc za sobą puste wozy, a na nich zapas kół, że przed oddziałem idzie w odległości dwóch strzeleń z łuku „straża” złożona z ośmiu ludzi, która zjeżdża często gęsto z gościńca i bada bór i gąszcza, a na koniec, że znajdują się o ćwierć mili.

Zbyszko nie bardzo był rad, że idą w szyku. Wiedział z doświadczenia, jak trudno jest w takim razie rozerwać sfornych<sup>1206</sup> Niemców i jak taka „kupia” umie bronić się, cofając i ciąć na kształt osaczonego przez psy odyńca. Natomiast ucieszyła go wiadomość, iż są nie dalej niż o ćwierć mili, wymiarkował bowiem z tego, że ów zastęp ludzi, których poprzednio wysłał, zajął już był tyły Niemcom i że w razie ich klęski nie przepuści żadnej żywej duszy. Co do czaty<sup>1207</sup> idącej w przodzie oddziału, niewiele z niej sobie robił, gdyż spodziewając się z góry, że tak będzie, rozkazał już poprzednio swym Żmujdzinom albo przepuścić ową straż spokojnie, albo też, gdyby ludzie z niej chcieli badać wnętrze boru, wyłowić ich po cichu co do jednego.

Lecz to ostatnie polecenie okazało się zbyt celnym. Podjazd nadciągnął niebawem. Ukryci pod wykrotami bliżej gościńca Żmujdzini widzieli doskonale tych knechtów, jak stanawszy na skraj, poczęli z sobą rozmawiać. Naczelnik, tęgi, rudobrody Niemiec,

<sup>1204</sup>wykrot — dziura po wyrwanym z korzeniami drzewie. [przypis edytorski]

<sup>1205</sup>krokiew — ukośna belka podtrzymująca dach. [przypis edytorski]

<sup>1206</sup>sforny — tu: walczący w szyku. [przypis edytorski]

<sup>1207</sup>czata (daw.) — straż. [przypis edytorski]

nakazawszy im znakiem milczenie, począł następnie nasłuchiwać. Przez chwilę widać było, że waha się, czyby nie zjechać w bór, wreszcie, słysząc tylko kowanie<sup>1208</sup> dzieciółów, widocznie pomyślał, iż ptactwo nie pracowałoby tak swobodnie, gdyby w lesie był kto ukryty, więc machnął ręką i powiodł oddział dalej.

Zbyszko przeczekał, póki nie znikli za następnym skrzętem, po czym zbliżył się cicho do samego gościńca na czele ciężej zbrojnych mężów. Był między nimi Maćko, Czech, dwóch włodyków z Łękawicy, trzech młodych rycerzy spod Ciechanowa i kilkunastu znaczniejszych, lepiej zbrojnych bojarów żmujdzkich. Dalsze ukrywanie się nie było już zbyt potrzebne, miał więc Zbyszko zamiar, zaraz gdy zjawią się Niemcy, wysunąć się na środek szlaku, skoczyć, uderzyć w nich i rozerwać. Gdyby to się udało i gdyby walka ogólna zamieniła się na szereg pojedynczych, mógł już być pewien, że Żmujdzini poradzą sobie z Niemcami.

I znów nastąpiła chwila ciszy, którą mącił tylko zwykły gwar leśny. Ale wkrótce do uszu wojowników doszły od wschodniej strony gościńca i głosy ludzkie. Zrazu pomieszane i dość odległe, stopniowo stawały się coraz bliższe i wyraźniejsze.

Zbyszko w tej samej chwili wyprowadził swój oddział na środek gościńca i ustawił go w klin. Sam stał na czele, mając za sobą bezpośrednio Maćka i Czecha. W następnym szeregu stało trzech ludzi, w następnym czterech. Zbrojni byli wszyscy dobrze: brakło im wprawdzie potężnych „drzew”, czyli kopii rycerskich, gdyż te stawały się w leśnych pochodach wielką zawadą; natomiast mieli w ręku krótkie i lżejsze dzidy żmujdzkie do pierwszego natarcia, a miecze i topory przy siodłach do walki w ścisłości.

Hława nastawił pilnie uszy, posłuchał, a następnie szepnął do Maćka:

— Śpiewają, zatracona ich mać!

— Ale mi to dziwno, że tam bór zamyka się przed nami i że ich nie widać dotąd — odpowiedział Maćko.

Na to Zbyszko, który już dalsze skrywanie się, a nawet ciche mówienie uważał za zbyteczne, odwrócił się i rzekł:

— Bo gościeńiec idzie wedle strumienia i przez to często się zakręca. Obaczym się niespodzianie, ale to lepiej.

— A wesoło ci jakoś śpiewają! — powtórzył Czech.

Istotnie zaś Niemcy śpiewali wcale niepobożną pieśń, co łatwo było z samej nuty wymiarkować. Wsłuchawszy się, można również było odróżnić, że śpiewa nie więcej niż kilkunastu ludzi, a tylko jeden wyraz powtarzają wszyscy, który też wyraz rozlegał się jak grzmot po lesie.

I tak sobie szli ku śmierci, weseli i pełni ochoty.

— Wnet już ich ujrzym — rzekł Maćko.

Przy czym twarz zmierzchnęła mu nagle i nabrała jakiegoś wilczego wyrazu, gdyż dusza w nim była nieużyta i zawzięta, a prócz tego nie odplącił dotychczas za ów postrzał z kuszy, który otrzymał wtedy, gdy dla ratowania Zbyszka wyprawił się z listem siostry Witoldowej do mistrza.

Więc teraz poczęło się w nim burzyć serce, a zaś żądza pomsty oblała go jak ukrop.

„Nie będzie temu dobrze, któren się z nim pierwszy szepi” — pomyślał Hława, rzucając okiem na starego rycerza.

Tymczasem powiew przyniósł wyraźnie okrzyk, który powtarzali wszyscy chórem: „Tandaradei! Tandaradei!” — i wraz Czech usłyszał słowa znajomej sobie pieśni:

Śpiew

Bi den rôsen er wol mac  
tandaradei!  
merken wa mir'z houbet lac...<sup>1209</sup>

Wtem pieśń urwała się, albowiem po obu stronach szlaku rozległo się krakanie tak gwarne i rozgłośnie, jakby w tym zakątku lasu odbywał się sejm kruków. Niemców za-

<sup>1208</sup> *kowanie* — dziś popr.: kucie. [przypis edytorski]

<sup>1209</sup> *Bi den rôsen er wol mac tandaradei! merken wa mir'z houbet lac...* — pieśń autorstwa Walthera von der Vogelweide (1170–1230). W przekładzie Leopolda Staffa powyższy fragment brzmi: [Śmiały się może/ Ktoby czasem/ Przechodził i przystanął tam]/ Zaraz by po różach zgadł/ Tandaradei!/ Mej leżącej głowy ślad. [przypis edytorski]

dziwiło jednak to, skąd się mogło wziąć ich tyle i dlaczego wszystkie głosy odzywają się z ziemi, nie zaś z wierzchołków drzew. Pierwszy szereg knechtów ukazał się właśnie na skręcie i stanął jak wryty na widok nieznanych, stojących naprzeciw jeźdźców.

A Zbyszko w tej samej chwili pochylił się w siodle, uderzył konia ostrogami i skoczył: — W nich!

Walka

Za nim skoczyli inni. Z obu stron boru podniósł się straszliwy okrzyk żmujdzkich wojowników. Około dwustu kroków dzieliło Zbyszkowych ludzi od Niemców, którzy w mgnieniu oka pochylili las dzied ku jeźdźcom, podczas gdy dalsze szeregi zwróciły się z równą szybkością czołem ku obu stronom lasu, aby bronić się od napaści z boków. Byliby podziwiali ową sprawność polscy rycerze, gdyby znaleźli czas na podziw i gdyby konie nie niosły ich w największym pędzie ku błyszczącym, nastawionym grotom.

Pomyślnym dla Zbyszka wypadkiem jazda niemiecka znajdowała się z tyłu oddziału przy wozach. Ruszyła ona wprawdzie zaraz ku swojej piechocie, ale ani przejechać przez nią, ani jej ominąć, a tym samym i zasłonić od pierwszego uderzenia nie mogła. Otoczyło przy tym ją samą mrowie Żmujdzinów, którzy poczęli się wysypywać z gąszczów jak jadowity rój os, których gniazdo niebaczny podróżny nogą potrafi. Zbyszko uderzył się tymczasem razem ze swoimi ludźmi o piechotę.

Walka

I uderzył bez skutku. Niemcy, powbijawszy tylne końce ciężkich włóczni i berdyszów w ziemię, trzymali je tak równo i krzepko, że lekkie mierzyny żmujdzkie przełamać tego muru nie mogły. Maćków koń, cięty berdyszem w goleń, wspiął się na tylne nogi, a następnie zarył nozdrzami w ziemię. Przez chwilę śmierć zawisła nad starym rycerzem, lecz on, świadom wszelkiej bitwy i doświadczony w przygodach, wypuścił nogi ze strzemion, chwycił potężną dłonią za ostrze niemieckiej dzidy, która zamiast pogrążyć się w jego piersiach posłużyła mu tym samym jako oparcie, za czym zerwał się, uskoczył między konie i dobywszy miecza, począł nacierać nim na dzidy i berdyse, równie jak drapieżny krzeczot naciera zajadłe na stado długodziobych żurawi.

Zbyszko, gdy koń jego powstrzymany w zapędzie siadł prawie całkiem na zadzie, podparł się dzirytem<sup>1210</sup> — i złamał go, więc jął się także miecza. Czech, który wierzył nade wszystko w topór, rzucił nim w kupę Niemców — i chwilowo pozostał bezbronny. Jeden z włodyków z Łękawicy zginął, drugiego ogarnął na ten widok szal wściekłości, tak iż począł wyc jak wilk i wspinając skrwawionego konia, parł na oślep w środek zastępu. Bojarowie żmujdzy siekli brzeszczotami po grotach i drzewcach, spoza których spoglądały twarze knechtów jakby przejęte zdziwieniem i zarazem jakby pokurczone przez upór i zawziętość. Lecz stało się, że szyk nie został rozerwany. Żmujdzini też, którzy uderzyli z boków, odskoczyli zrazu od Niemców jak od jeża. Wrócili wprawdzie niebawem z większą jeszcze natarczywością, ale wskórać nie mogli.

Niektórzy powdrapywali się w mgnieniu oka na przydrożne chojary i poczęli szyc z łuków w środek knechtów, których dowódca, spostrzegłszy to, wydał rozkaz cofania się ku swojej jeździe. Kuszownicy niemieccy jęli się też odstrzeliwać, więc od czasu do czasu niejeden ukryty między gałęziami sosny Żmujdzin spadał jak dojrzała szyszka na ziemię i konając, darł rękoma mchy leśne lub rzucał się na kształt wyjętej z wody ryby. Otoczeni ze wszystkich stron Niemcy nie mogli wprawdzie liczyć na zwycięstwo, widząc jednak skuteczność obrony, mniemali, że może choć garść ich zdoła się wycofać z pogromu i dostać się na powrót do rzeki.

Żadnemu nie przyszło na myśl poddać się, gdyż sami nie oszczędzając jeńców, wiedzieli, że nie mogą rachować na litość przywiedzionego do rozpacz i zbuntowanego ludu. Cofali się więc w milczeniu chłop przy chłopie, ramię przy ramieniu, to podnosząc, to zniżając włócznie i berdyse, tnąc, bodąc, rażąc z kusz, o ile zamęt bitwy na to pozwalał, i zbliżając się ciągle ku swojej jeździe, która walczyła na śmierć i życie z innymi zastępami nieprzyjaciół.

Brat

Wtem stało się coś niespodzianego, co rozstrzygnęło losy uporczywej bitwy. Oto ów włodyka z Łękawicy, którego pochwycił szal po śmierci brata, pochylił się, nie zsiadając z konia, i podniósł ciało z ziemi, pragnąc widocznie zabezpieczyć od stratowania i złożyć gdzieś tymczasem w spokojnym miejscu, aby łatwiej odnaleźć je po bitwie. Ale w tej samej chwili nowa fala wściekłości napłynęła mu do głowy i odjęła zupełnie przytomność,

<sup>1210</sup>dzirynt — włócznia. [przypis edytorski]

albowiem zamiast zjechać z drogi uderzył na knechtów i rzucił trupa na ostrza włóczni, które utkwivszy w jego piersiach, brzuchu i biodrach pochyliły się pod ciężarem, nim zaś knechci zdołali je wydobyć, szalenięc runął przerwą w szeregi, przewracając ludzi jak burza.

W mgnieniu oka dziesiątki rąk wyciągnęły się ku niemu, dziesiątki włóczni przebiły bok konia, ale tymczasem szeregi zwichrzyły się i zanim przyszły do sprawy<sup>1211</sup>, wpadł naprzód jeden z bojarów żmujdzkich, który najbliżej się znajdował, po nim Zbyszko, po nim Czech, i straszliwy zamęt powiększał się z każdą chwilą. Inni bojarowie chwycili również za ciała poległych i poczęli je rzucać na ostrza; z boków natarli znów Żmujdzini. Cały sforny dotychczas zastęp zakolebał się, zatrząsł jak dom, w którym pękają ściany, rozszczępił się jak drzewo pod klinem i wreszcie prysnął.

Bitwa zmieniła się w jednej chwili w rzeź. Długie dzidy niemieckie i berdysze stały się w ścisku nieużyteczne. Natomiast brzeszczoty konnych zgrzytały po czaszkach i karkach. Konie wpierały się w gęstwą ludzką, przewracając i tratując nieszczęsnych knechtów. Jeźdźcom łatwo było ciąć z góry, cięli więc bez odetchnienia i spoczynku. Z boków drogi wysypywały się coraz nowe gromady dzikich wojowników w wilczych skórach i z wilczą żądzą krwi w piersiach. Wycie ich głuszyło błagalne głosy o litość i jęki konających. Zwyciężeni rzucali broń; niektórzy usiłowali wymknąć się do lasu; niektórzy, udając zabitych, padali na ziemię; niektórzy stali prosto, mając twarze blade jak śnieg i zmrużone oczy; inni modlili się; jeden, któremu umysł pomieszał się widocznie z przerażenia, począł grać na piszczalce, przy czym uśmiechał się, podnosząc w górę oczy, póki maczuga żmujdzka nie strzaskała mu głowy. Bór przestał szumieć, jakby się przeląkł śmierci.

Stopniała wreszcie garść krzyżacka. Czasem tylko w gąszczach zabrzmiał odgłos krótkiej walki lub przeraźliwy krzyk rozpacz. Zbyszko i Maćko, a za nimi wszyscy konni, skoczyli teraz ku jeździe.

Ta zaś broniła się jeszcze, ustawiona kręgiem, tak zawsze bowiem bronili się Niemcy, gdy nieprzyjaciół zdołał ich przeważną siłą otoczyć. Jeźdźcy, siedząc na dobrych koniach i w zbrojach lepszych od piechurów, walczyli mężnie i z godnym podziwu uporem. Nie było między nimi żadnego białego płaszczka, jeno przeważnie średnia i drobniejsza szlachta pruska, która miała obowiązek stawać do wojny na rozkaz Zakonu. Konie ich po większej części były także zbrojne, niektóre w kropierce, a wszystkie w żelazne naczółki z osadzonym w środku stalowym rogiem. Dowództwo nad nimi dzierżył wysoki, smukły rycerz w ciemnobłękitnym pancerzu i w takimże hełmie z zapuszczoną przyłbicą.

Z głębin leśnych padała na nich ulewa strzał, ale groty odbijały się bezskutecznie od naczółków, od pancerzy i hartownych naramienników. Wał pieszych i jezdnych Żmujdzinów otaczał ich z bliska, lecz oni bronili się, tnąc i bodąc długimi mieczami tak zażarcie, iż przed kopytami końskimi leżał wieniec trupów. Pierwsze szeregi napastników chciały się cofać i — parte z tyłu — nie mogły. Na ogół uczynił się ścisk i zamęt. Oczy olśniewały od migotania włóczni, od błysków mieczów. Konie poczęły kwiczeć, kąsać i wierzeć. Przypadli bojarzynie żmujdzcy, przypadł Zbyszko i Czech, i Mazurowie. Pod ich potężnymi ciosami poczęła się „kupia” chwiać i kołysać jak bór pod wichrem, oni zaś, na podobieństwo drwali rąbiących gęstwinę leśną, posuwali się z wolna naprzód w trudzie i znoju.

Lecz Maćko kazał zbierać na pobojowisku długie berdysze niemieckie i uzbroiwszy nimi blisko trzydziestu dzikich wojowników, począł przeciskać się przez skrzęt ku Niemcom. Dotarłszy, krzyknął: „Konie po nogach!” — i wnet okazał się skutek straszliwy. Rycerze niemieccy nie mogli dosięgnąć mieczami jego ludzi, a tymczasem berdysze poczęły kruszyć okrutnie golenie końskie. Poznał wówczas błękitny rycerz, że nadchodzi koniec bitwy i że pozostaje tylko albo przebić się przez ten zastęp, który odcinał drogę powrotną, albo zginąć.

Wybrał to pierwsze — i w mgnieniu oka z jego rozkazu ława rycerzy zwróciła się czołem w stronę, z której nadeszła. Żmujdzini wnet wsiedli im na karki, atoli Niemcy, zarzucając na plecy tarcze i tnąc od przodu i na boki, rozerwali otaczający ich pierścień, rozpuścili konie i poczęli gnać na kształt huraganu ku wschodowi. Skoczył im na spotkanie ów oddział, który właśnie nadjeżdżał do bitwy, lecz zgniecion przez przewagę zbroic i koni,

<sup>1211</sup>przysięć do sprawy (daw.) — sprawić, czyli wyrównać szyk. [przypis edytorski]

padł w jednej chwili pokotem jak łan zboża pod wichrem. Droga do zamku była wolna, ale ocalenie dalekie i niepewne, albowiem konie żmujdzkie ściglejsze były od niemieckich. Błękitny rycerz zrozumiał to doskonale.

„Biada! — rzekł sobie w duszy. — Nie uratuje się z nich nikt, chyba że własną krwią okupię ich ratunek”.

I pomyślawszy to, począł krzyczeć na najbliższych, aby wstrzymali konie, sam zaś zatoczył koło — i nie bacząc, czy ktokolwiek posłuchał jego wezwania, zwrócił się czołem ku nieprzyjacielowi.

Zbyszko biegł pierwszy, więc uderzył go Niemiec w zakrywający oblicze okap od hełmu, ale go nie strzaskał i twarzy nie uszkodził. Wówczas Zbyszko zamiast odpowiedzię cięciem na cięcie chwycił rycerza wpół, związał się<sup>1212</sup> z nim i pragnąc koniecznie wziąć go żywcem, usiłował wyciągnąć z siodła. Ale strzemię pękło mu od zbytniego parcia i spadli obaj na ziemię. Przez chwilę tarzali się, walcząc rękoma i nogami, wnet jednak niezwykle krzepki młodzian pokonał przeciwnika i przygniótłszy mu brzuch kolanami, trzymał pod sobą, jak wilk trzyma psa, który ośmielił się stawić mu w gęstwinie czoło.

I trzymał niepotrzebnie, gdyż Niemiec zemdłał. Tymczasem nadbiegli Maćko i Czech, których dostrzegłszy, Zbyszko począł wołać:

— Bywaj i wiąż! Znaczny to jakiś rycerz i pasowany!

Czech zeskoczył z konia, ale widząc bezwładność rycerza, nie wiązał go, natomiast rozbroił, odpiął naramienniki, odjął pas z wiszącą przy nim mizerykordią, poprzecinał rzemienie podtrzymujące hełm i — wreszcie zabrał się do śrub zamykających przyłbicę.

Lecz zaledwie spojrział w twarz rycerza, zerwał się i zawołał:

— Panie! Panie! Patrzcie tu jeno!

— De Lorche! — zakrzyknął Zbyszko.

A de Lorche leżał z bladą, spotniałą twarzą i z zamkniętymi oczyma, bez ruchu, do trupa podobny.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Zbyszko kazał go włożyć na jeden ze zdobycznych wozów, naładowanych nowymi kołami i osiami dla owej wyprawy, która ciągnęła zamkowi w pomoc. Sam przesiadł się na innego konia i ruszyli razem z Maćkiem w dalszą pogoń za pierchającymi Niemcami. Nie była to pogoń zbyt trudna, albowiem konie niemieckie złe były do ucieczki, zwłaszcza na znacznie rozmiękłym od wiosennych deszczów szlaku. Szczególnie Maćko, mając pod sobą ścigłą a lekką kłacz po zabitym włodyce z Łękawicy, minął po kilku stajach wszystkich niemal Żmujdzinów i wnet potem dojechał pierwszego rajtara<sup>1213</sup>. Wezwał go wprawdzie, wedle rycerskiego zwyczaju, żeby albo się oddał w niewolę, albo zawrócił do walki, ale gdy ów, udając głuchego, cisnął nawet tarczę dla ulżenia koniowi i pochyliwszy się, bódł mu ostrogami boki, ciał go okrutnie stary rycerz szerokim toporem między łopatki — i zwałił z konia.

I tak mścił się na uciekających za ów zdradziecki postrzał, który niegdyś otrzymał, a oni zaś biegli przed nim na kształt stada jeleni, mając w sercu trwogę nieznośną, a w duszy chęć nie do walki ni do obrony, jeno do ucieczki przed strasznym mężem. Kilku wpadło w bór, ale jeden ulgnał<sup>1214</sup> przy ruczaju<sup>1215</sup> i tego zdusili powrozem Żmujdzini. Za pozostałymi całe gromady rzuciły się w gąszcza, w których wnet rozpoczęły się dzikie łowy, pełne wrzasków, okrzyków i nawoływań. Brzmiały nimi długo głębiny kniei, dopóki wszystkich nie pochwytano. Za czym stary rycerz z Bogdańca, a z nim Zbyszko i Czech wrócili na pierwsze pobojuwisko, na którym leżeli wycięci piesi knechtowie. Trupy ich były już poobdzierane do naga, a niektóre poszpecone okrutnie rękoma mściwych Żmujdzinów. Zwycięstwo było znaczne i lud upojon radością. Po ostatniej kłęsce Skirwoiłły pod samym Gotteswerder już zniechęcenie zaczęło być ogarniać żmujdzkie serca, zwłaszcza że przybiecane przez Witolda posiłki nie przychodziły tak prędko, jak się ich spodziewano; teraz jednakże odżyła nadzieja i zapał rozgorzał na nowo, właśnie jak płomień, gdy nowych na węgle drew dorzucisz.

<sup>1212</sup>związać się (daw.) — chwycić, jak w walce zapaśniczej. [przypis edytorski]

<sup>1213</sup>rajtar (z niem. *Ritter*: jeździec) — żołnierz konny. [przypis edytorski]

<sup>1214</sup>ulgnać (daw.) — ugrzęznąć. [przypis edytorski]

<sup>1215</sup>ruczaj (daw.) — strumyk. [przypis edytorski]

Zbyt wielu było poległych i Żmujdzinów, i Niemców, by ich grześć<sup>1216</sup>, lecz Zbyszko kazał wykopać dzidami doły dla dwóch włodyków z Łękawicy, którzy głównie przyczynili się do zwycięstwa, i pochować ich pod sosnami, na których korze wyciosał mieczem krzyże. Po czym przykazawszy Czechowi pilnować pana de Lorche, który wciąż był nieprzytomny, ruszył ludzi i szedł śpiesznie tym samym szlakiem ku Skirwoille, aby na wszelki wypadek podać mu pomoc skuteczną. Lecz po długim pochodzie trafił na puste już pobojowisko, zasypane jak i poprzednie trupami Żmujdzinów i Niemców. Łatwo zrozumiał Zbyszko, że groźny Skirwoille musiał też odnieść znaczne zwycięstwo, gdyby bowiem został rozbity, spotkaliby ciągnących ku zamkowi Niemców. Lecz zwycięstwo musiało być krwawe, gdyż dalej poza właściwym polem bitwy leżały jeszcze gęsto ciała poległych. Doświadczony Maćko wywnioskował z tego, że część Niemców zdołała się nawet wycofać z pogromu.

Czy Skirwoille ścigał ich, czy nie, trudno było odgadnąć, gdyż ślady były błędne i zatarte jedne przez drugie. Wywnioskował jednakże również Maćko, że bitwa odbyła się dość dawno, wcześniej może od Zbyszkowej, albowiem trupy były poczerńiałe i wzdęte, a niektóre nadzarte już przez wilki, które pierzchały w gąszcz za zbliżeniem się zbrojnych mężów.

Wobec tego postanowił Zbyszko nie czekać na Skirwoillę i wrócić na dawne bezpieczne obozowisko. Przybywszy późną nocą, znalazł już tam żmujdzkiego wodza, który przyciągnął nieco wcześniej. Ponurą zwykle twarz jego rozświecała tym razem złowroga radość. Zaraz począł rozpytywać o bitwę, a dowiedziawszy się o zwycięstwie, rzekł głosem do krakania kruka podobnym.

— Z tobą rad i z sobą rad. Nieprędko przyjdą posiłki, a jeśli książę wielki nadejdzie, będzie też rad, bo zamek będzie nasz.

— Kogoś wziął z jeńców? — spytał Zbyszko.

— Płóć jeno, żadnej szczuki<sup>1217</sup>. Była jedna, było dwie, ale uszły. Zębate szczuki! Ludzi nacięły i uszły!

— Mnie Bóg zdarzył jednego — odrzekł młodzian. — Można to rycerz i znamienity, chociaż świecki — gość!

A straszny Żmujdzin objął się za szyję rękoma, po czym prawicą uczynił gest, jakby pokazując idący w górę od szyi powróż.

— Będzie mu tak! — rzekł. — Tak jako i innym... Tak.

Na to Zbyszko zmarszczył brwi.

— Nie będzie mu ani tak, ani inak, gdyż to mój jeńiec i przyjaciel. Razem nas książę Janusz pasował i jednym palcem tknąć ci go nie dam.

— Nie dasz?

— Nie dam.

I poczęli patrzeć sobie w oczy, marszcząc brwi. Zdawało się, że obaj wybuchną, lecz Zbyszko, nie chcąc kłótni ze starym wodzem, którego cenił i szanował, a mając przy tym serce rozkołysane wypadkami dnia, chwycił go nagle za szyję, przycisnął do piersi i zawołał:

— Zali chciałbyś mi go wydrzeć, a z nim i nadzieję ostatnią? Za co mnie krzywdzisz?

Skirwoille nie bronił się uściskom, a wreszcie wysunąwszy głowę z ramion Zbyszka, począł spoglądać na niego spode łba i sapać.

— No — rzekł po chwili milczenia — jutro każę moich jeńców powiesić, ale jeśli ci który był potrzebny, to ci go też daruję.

Po czym uściskali się po raz wtóry i rozeszli w dobrej zgodzie ku wielkiemu zadowoleniu Maćka, który rzekł:

— Złością widać z nim nic nie wskórasz, ale dobrocią możesz go jako воск ugnieść.

— Taki to już naród — odpowiedział Zbyszko — jeno Niemce o tym nie wiedzą.

I to rzekłszy, kazał przywieść przed ognisko pana de Lorche, który wypoczywał w szalasi; jakoż po chwili przyprowadził go Czech, rozbrojonego, bez hełmu, jeno w skórzanym kaftanie, na którym wyciśnięte były pręgi od pancerza, i w czerwonej, miękkiej mycce na głowie. De Lorche wiedział już przez giermka, czym jest jeńcem, ale właśnie

<sup>1216</sup>grześć — dziś popr.: grzebać. [przypis edytorski]

<sup>1217</sup>szczuka — szczupak. [przypis edytorski]

dlatego przyszedł chłodny, dumny, z twarzą, na której przy blasku płomienia można było czytać upór i wzgardę.

— Dziękuj Bogu — rzekł mu Zbyszko — że cię podał w moje ręce, bo nic ci ode mnie nie grozi.

I wyciągnął ku niemu przyjaźnie dłoń, lecz de Lorche ani się poruszył.

— Nie podaję ręki rycerzom, którzy cześć rycerską pohańbili, z Saracenami przeciw chrześcijanom walcząc.

Jeden z obecnych Mazurów przełożył jego słowa, których znaczenia Zbyszko i tak się zresztą domyślił. Więc w pierwszej chwili zagotowała się w nim krew jak ukrop.

— Głupcze! — krzyknął, chwytając mimo woli za rękojęć mizerykordii.

A de Lorche podniósł głowę.

— Zabij mnie — rzekł. — Wiem, iż wy nie szczędzicie jeńców.

— A wy ich szczędzicie? — zawołał, nie mogąc znieść spokojnie takich słów, Mazur.

— A to nie powiesiliście na brzegu wyspy wszystkich, których ujęliście w poprzedniej bitwie? Dlatego i Skirwoiło wieś waszych.

— Tak uczyniono — odrzekł de Lorche — ale to byli poganie.

Jednakże widać było jakby pewien wstyd w jego odpowiedzi i nietrudno było odgadnąć, że w duszy takiego uczynku nie pochwałał.

Tymczasem Zbyszko ochłonął i ze spokojną powagą rzekł:

— De Lorche! Z jednych rąk dostaliśmy pasy i ostrogi; znasz mnie też i wiesz, że cześć rycerska nad życie i szczęście mi milsza, przeto słuchaj, co ci pod przysięgą na świętego Jerzego powiem: wielu z tych ludzi nie od wczoraj przyjęło chrzest, a ci, którzy nie są jeszcze chrześcijanami, jak do zbawienia wyciągają ręce do Krzyża, ale zali wiesz, kto im przeszkody czyni, do zbawienia nie dopuszcza i chrztu broni?

Mazur przetłumaczył w lot Zbyszkowe słowa, więc de Lorche spojrział pytającym wzrokiem w twarz młodzianka.

A ów zaś rzekł:

— Niemce!

— Nie może być! — zakrzyknął geldryjski rycerz.

— Na włócznię i na ostrogi świętego Jerzego, Niemce! Bo gdyby tu Krzyż zapanował, utraciliby pozór do najazdów, do panowania nad tą ziemią i do gnębienia tego nieszczęsnego ludu. Tyś ich przecie poznał, de Lorche, i wiesz najlepiej, zali sprawiedliwe są ich uczynki.

— Alem mniemał, że grzechy gładzą, z pogany walcząc i do chrztu ich nakłaniając.

— Chrzczą ci oni ich mieczem i krwią, nie wodą zbawienia. Czytaj jeno tę kartę, a wraz poznasz, czy nie ty to właśnie krzywdzicielom, drapieźnikom i starościcom<sup>1218</sup> piekielnym przeciw wierze i miłości chrześcijańskiej służysz.

To rzekłszy, podał mu list Żmujdzinów do królów i książąt, który bardzo był wszędy upowszechnion<sup>1219</sup>, a de Lorche wziął go i zaczął przebiegać oczyma przy blasku ognia.

I przebiegł prędko, albowiem nie była mu obcą trudna sztuka czytania, za czym zdumiał się niepomiernie i rzekł:

— Zali to wszystko prawda?

— Tak mnie i tobie dopomóż Bóg, któren najlepiej widzi, że nie własnej ja tu tylko sprawie, ale i sprawiedliwości służę.

De Lorche zamilkł na chwilę, po czym rzekł:

— Jeńcem twoim jestem.

— Daj rękę — odpowiedział Zbyszko. — Bratem moim jesteś, nie jeńcem.

Więc podali sobie prawice i zasiedli do wspólnej wieszaki, którą Czech kazał przygotować pacholkom. Podczas posiłku de Lorche dowiedział się z nie mniejszym zdumieniem, że Zbyszko mimo listów nie odzyskał Danusi i że komturowie zaprzeczyli ważności glejtom z powodu wybuchu wojny.

— To teraz rozumiem, dlaczegoś tu jest — rzekł do Zbyszka — i dziękuję Bogu, że ci mnie jeńcem oddał, bo tak myślę, że za mnie oddadzą ci zakonni rycerze, kogo zechcesz, gdyż inaczej wielki byłby krzyk na Zachodzie, albowiem z możnego rodu pochodzę...

<sup>1218</sup>starościc (daw.) — syn starosty. [przypis edytorski]

<sup>1219</sup>upowszechnion — dziś popr.: rozpowszechniony. [przypis edytorski]

Tu uderzył się nagle dłonią w myckę i zawołał:

— Na wszystkie relikwie z Akwizgranu! Toż na czele posiłków, które nadciągały do Gotteswerder, stali Arnold von Baden i stary Zygfryd von Löwe. Wiemy to z listów, które do zamku przysły. Zali ich nie wzięto w niewolę?

— Nie! — rzekł, zrywając się, Zbyszko. — Nikogo ze znaczniejszych! Ale przebóg! Wielką mi nowinę powiadasz. Przebóg! Są inni jeńce, od których dowiem się, nim ich powiesz, czyli nie było jakiej niewiasty przy Zygfrydzie.

I począł wołać na pachółków, aby świecili mu łuczywem, i biegł w stronę, gdzie byli pobrani przez Skirwoiłłę jeńce. De Lorche, Maćko i Czech biegli z nim razem.

— Słuchaj! — mówił mu po drodze Geldryjczyk. — Puścisz mnie na słowo i sam w całych Prusiech będę jej szukał, a gdy ją znajdę, wrócę do ciebie i wówczas mnie na nią wymienisz.

— Jeżeli żywa! Jeżeli żywa! — odrzekł Zbyszko.

Ale tymczasem pobiegli do ławy Skirwoiłłowych jeńców. Jedni z nich leżeli na wznak, drudzy stali przy pniach, okrutnie przykrępowani do nich łykiem<sup>1220</sup>. Łuczywo jasno oświecało głowę Zbyszka, więc wszystkie oczy nieszczęśników zwróciły się ku niemu.

Wtem z głębi zawołał jakiś donośny, pełen przerażenia głos:

— Panie mój i obrońco, ratuj mnie!

Zbyszko porwał z rąk pachółka parę płonących szczeppek, skoczył z nimi do drzewa, spod którego dochodził głos — i podniósłszy je w górę, zawołał:

— Sanderus!

— Sanderus! — powtórzył ze zdumieniem Czech.

A ów, nie mogąc poruszyć skrępowanymi rękoma, wyciągnął szyję i jął znowu wołać:

— Miłosierdzia!... Wiem, gdzie jest córka Juranda!... Ratujcie mnie!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Pachółkowie rozwiązali go zaraz, lecz on, mając członki zdrętwiałe, upadł na ziemię, a gdy go podniesiono, począł mdleć raz po raz, gdyż był i srodze poturbowan. Próżno z rozkazu Zbyszka zawiedziono go przed ognisko, dano jeść i pić, natarto sadłem, a następnie okryto ciepło skórami; Sanderus nie mógł przyjść do siebie, a następnie zapadł w sen tak głęboki, że zaledwie na drugi dzień w południe zdołał go Czech rozbudzić.

Zbyszko, którego niecierpliwość paliła jak ogień, przyszedł do niego natychmiast. Z początku nie mógł się jednak niczego dowiedzieć, albowiem czy to ze strachu po strasznych przejściach, czy z folgi, jaka ogarnia zwykle słabe dusze, gdy grożące im niebezpieczeństwo przeminie, porwał Sanderusa płacz tak niepoohamowany, iż próżno usiłował odpowiadać na zadawane mu pytania. Łkanie ścisnęło mu gardło, wargi się trzęsły, a z oczu płynęły łzy tak obfite, jakby życie miało razem z nimi wypłynąć.

Wreszcie, przemógłszy się nieco i pokrzepion kobyliwym mlekiem, którym Litwa nauczyła krzepić się od Tatarów, począł biadać, że go „synowie Beliala” zbili na leśne jabłko<sup>1221</sup> dzidami, że mu zabrali konia, na którym wioził relikwie wyjątkowej mocy i ceny, a na koniec, że gdy go przykrępowano do drzewa, mrówki pogryzły mu tak nogi i całe ciało, iż czeka go na pewno śmierć, nie dziś, to jutro.

Lecz Zbyszka chwycił w końcu gniew, więc porwał się i rzekł:

— Odpowiadaj, powsinogo, na to, o co pytam, i bacz, aby cię coś gorszego nie spotkało!

— Jest tu opodał mrowisko czerwonych mrówek — ozwał się Czech. — Każcie go, panie, na nim położyć, a wnet język w gębie odnajdzie.

Hława nie mówił tego szczerze i uśmiechał się nawet, albowiem w sercu miał dla Sanderusa życzliwość, lecz ów przeraził się i jął wołać:

— Miłosierdzia! Miłosierdzia! Dajcie mi jeszcze tego pogańskiego napitku, a opowiem wszystko, com widział i czegom nie widział!

— Jeśli choć słowo zelżesz, wbiję ci klin między zęby! — odrzekł Czech.

<sup>1220</sup>łyko — włóknista tkanka roślinna przewodząca wodę. [przypis edytorski]

<sup>1221</sup>na leśne jabłko — dziś: na kwaśne jabłko. [przypis edytorski]



Lecz zbliżył mu powtórnie do ust bukłak<sup>1222</sup> z kobyli mleką, ów zaś chwycił go, przywarł do niego chciwie ustami jak dziecko do piersi matki i począł łykać, otwierając i zamykając na przemian oczy. Aż gdy wyciągnął ze dwie kwarty lub więcej, otrząsnął się, położył sobie na kolanach bukłak i rzekł, jakby się poddając konieczności:

— Paskudztwo!...

Po czym do Zbyszka:

— Ale teraz pytaj, zbawco!

— Była-li moja niewiasta w tym oddziale<sup>1223</sup>, z którym szedłeś?

Na twarzy Sanderusa odbiło się pewne zdziwienie. Słyszał on był wprawdzie, że Danusia była żoną Zbyszka, ale że ślub był tajny i że zaraz ją porwano, więc w duszy zawsze myślał o niej tylko jako o Jurandowej córce. Jednakże odpowiedział z pośpiechem:

— Tak, wojewodo! Była! Ale Zygfryd de Löwe i Arnold von Baden przebili się przez nieprzyjaciół.

— Widziałeś ją? — pytał z bijącym sercem młodzian.

— Oblicza jej nie widziałem, panie, ale widziałem między dwoma końmi kolebkę z wikliny, całkiem zamkniętą, w której kogoś więzli, i strzegła jej ta sama jaszczurka, ta sama służka zakonna, która przyjeżdżała od Danvelda do leśnego dworu. A i śpiewanie słyszałem też żalosne z kolebki dochodzące...

Zbyszko aż pobladł ze wzruszenia, siadł na pniu i przez chwilę nie wiedział, o co pytać więcej. Maćko i Czech byli też wzruszeni niepomiernie, gdyż ważną i wielką usłyszeli nowinę. Czech pomyślał może przy tym o tej swojej kochanej pani, która została w Spychowie, a dla której wiadomość ta była jakby wyrokiem na niedolę.

Nastąpiła chwila milczenia.

Wreszcie chytry Maćko, który Sanderusa nie znał — i zaledwie coś o nim poprzednio zasłyszał, spojrział na niego podejrzliwie i spytał:

— Coś ty za jeden? I coś robił między Krzyżakami?

— Com za jeden, wielmożny rycerzu — odpowiedział włóczęga — niech i na to odpowiedzą: ten waleczny książę — tu wskazał Zbyszka — i ten mężny czeski hrabia, którzy mnie znają od dawna.

Tu widocznie kumys<sup>1224</sup> począł na niego działać, bo się ożywił i zwróciwszy się do Zbyszka, począł mówić donośnym głosem, w którym nie było już ani śladu poprzedniego osłabienia:

— Panie, ocaliliście mi podwójnie życie. Bez was byłoby mnie wilcy zjedli albo dosięgła kara biskupów, którzy wprowadzeni w błąd przez moich nieprzyjaciół (o, jak ten świat jest niegodziwy!), wydali rozkaz ścigania mnie za sprzedaż relikwii, których podejrzewali prawdziwość. Ale ty, panie, przygarnęłaś mnie; dzięki tobie i wilcy mnie nie strawili, i pościg nie mógł mnie dosięgnąć, albowiem brano mnie za jednego z twoich ludzi. Nigdy też nie zbrakło mi przy tobie ni jadła, ni napoju, lepszego niż to tu kobyłe mleko, którym się brzydę, ale którego napiję się jeszcze, aby okazać, że ubogi, pobożny pielgrzym nie cofa się przed żadnym umartwieniem.

— Gadaj, skomorochu, żywo, co wiesz, i nie błaznuj! — zawołał Maćko.

Lecz ów podniósł powtórnie bukłak do ust, opróżnił go całkowicie i jakby nie słysząc słów Maćkowych, zwrócił się znów do Zbyszka:

— Za to też pokochałem cię, panie. Święci, jak mówi Pismo, dziewięć razy na godzinę grzeszyli, więc i Sanderusowi czasem zdarzy się zgrzeszyć, ale Sanderus nie był i nie będzie niewdzięcznikiem. Przeto gdy przyszło na cię nieszczęście, pamiętasz, panie, com ci rzekł: oto pójde od zamku do zamku i nauczając ludzi po drodze, będę szukał twojej straty. Kogom nie pyta! Gdziem nie był! Długo by mówić; dość, żem znalazł, i od tej chwili nie tak rzep przyczepi się do opończy, jako ja przyczepiłem się do starego Zygfryda. Uczyniłem się sługą jego i od zamku do zamku, od komturii do komturii, od miasta do miasta chodziłem za nim bez przestanku aż do tej ostatniej bitwy.

Zbyszko tymczasem opanował wzruszenie i rzekł:

<sup>1222</sup>bukłak — skórzany worek do przewożenia płynów. [przypis edytorski]

<sup>1223</sup>oddziale — dziś popr.: oddziale. [przypis edytorski]

<sup>1224</sup>kumys — napój alkoholowy ze sfermentowanego mleka, najczęściej mleka kłaczy. [przypis edytorski]

— Wdzięcznym ci jest i nie ominie cię nagroda. Ale teraz opowiadaj, o coś zapytam: zali przysięgniesz mi na zbawienie duszy, że ona żyje?

— Przysięgam na zbawienie duszy! — odrzekł poważnie Sanderus.

— Czemu Zygfyrd opuścił Szczytno?

— Nie wiem, panie, jeno się domyślam: nie był ci on nigdy starostą w Szczytnie, a opuścił je, może bojąc się rozkazów mistrza, który, jako mówiono, pisał do niego, aby brankę<sup>1225</sup> oddał księżnie mazowieckiej. Może przed owym pismem uciekał, gdyż dusza zapiekła się w nim od boleści i pomsty za Rotgiera. Powiadają teraz, że to był jego syn. I nie wiem, jako tam było, jeno wiem, że aż mu się coś w głowie pomieszało z zaciekłości i że póki żyw, póty córki Jurandowej — chciałem rzec: młodej pani — z rąk nie popuści.

— Dziwne mi się to wszystko zdawa — przerwał nagle Maćko — bo gdyby ów stary pies taki był na całą Jurandową krew zawzięty, toby był Danuskę zabił.

— I chciał to uczynić — odparł Sanderus — ale coś ci go takiego potkało, że aż potem ciężko zachorzał i o mało ostatniej pary nie puścił. Siła o tym szepcą sobie jego ludzie. Niektórzy prawią, jako idąc nocą na wieżę, aby młodą panią zamordować, napotkał złego ducha; inni, że właśnie anioła. Dość, że go znaleziono na śniegu przed wieżą całkiem bez duszy. Teraz jeszcze gdy o tym wspomni, to mu włosy dębem stają na głowie, a przez to i sam nie śmie podnieść na nią ręki, i boi się innym rozkazać. Wozi z sobą niemowę, dawnego kata szczytnieńskiego, ale nie wiadomo dlaczego, bo ów się też boi jako i wszyscy.

Słowa te uczyniły wielkie wrażenie. Zbyszko, Maćko i Czech zbliżyli się do Sanderusa, który przeżegnał się i tak dalej mówił:

— Niedobrze tam być między nimi. Nieraz słyszałem i widziałem rzeczy, od których ciarki po skórze chodzą. Waszym miłościom mówiłem już, że staremu komturowi poposowało się coś w głowie. Ba, jakoże inaczej miało być, kiedy go duchy z tamtego świata nawiedzają! Byle sam został, poczyna coś koło niego sapać tak właśnie, jakby komuś tchu nie stawało. A to jest ów Danveld, którego zabił straszny pan ze Spsychowa. To Zygfyrd mówi mu: „Czego? Msze ci na nic, po cóż przychodzisz?”. A tamten tylko zgrzytnie i potem znów sapie. Ale częściej jeszcze przychodzi Rotgier, po którym też siarką w izbie czuć, i z nim jeszcze więcej komtur rozmawia: „Nie mogę, mówi mu, nie mogę! Jak sam przyjdę, to wówczas, ale teraz nie mogę!”. Słyszałem także, jak się go pytał: „Zali ci to ulży, synku?”. I tak ciągle. A i to bywa, że przez dwa albo i trzy dni do nikogo słowem się nie odezwie, na twarzy zaś widać mu boleść okrutną. Kolebki onej pilnie strzeże i on, i ta służka zakonna, tak że młodej pani nikt nigdy dojrzeć nie może.

— Nie znęcają się nad nią? — spytał głucho Zbyszko.

— Szczerą prawdę waszej miłości powiem, zem bicia i krzyków nie słyszał, ale śpiewanie żalosne tom słyszał, a czasem jakoby ptak kwilił...

— Gorze! — ozwał się przez zaciśnięte zęby Zbyszko.

Lecz Maćko przerwał dalsze pytania.

— Dość tego — rzekł. — Praw teraz o bitwie. Widziałeś? Jakoże uszli i co się z nimi stało?

— Widziałem — odpowiedział Sanderus — i wiernie opowiem. Bili się z początku okrutnie, ale gdy poznali, że ich oskoczono ze wszystkich stron, dopieroż poczęli myśleć, jakoby się wyrwać. I rycerz Arnold, który jest prawy olbrzym, pierwszy rozerwał koło i taką drogę otworzył, że przedostał się przez nią i stary komtur razem z kilkoma ludźmi i z kolebką, która była między dwoma końmi przywiązana.

— A to pogoni nie było? Jakże się stało, że ich nie dościgli?

— Pogoń była, ale nie mogła nic poradzić, bo jak dotarła zbyt blisko, to rycerz Arnold zwracał się ku niej i potykał się ze wszystkimi. Boże broń każdego od spotkania się z nim, gdyż to jest człek tak strasznej siły, że nic mu to i ze stoma się potykać. Trzy razy się tak zwracał, trzy razy pościg wstrzymał. Ludzie, co byli przy nim, poginęli wszyscy. Sam on był, widzi mi się, że ranny i konia miał rannego, ale ocalał, a przy tym dał czas staremu komturowi do przepiecznej ucieczki.

Maćko, słuchając tego opowiadania, pomyślał jednak, że Sanderus prawdę mówi, przypomniał sobie bowiem, iż począwszy od miejsca, w którym Skirwoiło stoczył bi-

<sup>1225</sup>branka (daw.) — porwana kobieta. [przypis edytorski]

twę, droga na długiej przestrzeni w stronę odwrotną pokryta była trupami Żmujdzinów, pociętych tak strasznie, jakby ich pobiła ręka olbrzyma.

— Wszelako jakżeś ty to wszystko mógł widzieć? — zapytał Sanderusa.

— Widziałem to — odparł włóczęga — bom się chylił za ogon jednego z tych koni, które niosły kolebkę, i uciekałem razem, pókim nie dostał kopytem w brzuch. Naonczas mnie zemdlilo i dlatego się dostał w ręce waszmościów.

— Juźci, mogło się tak przygodzić — rzekł Hława — ale ty bacz, abyś czego nie zełgał, gdyż źle byś na tym wyszedł!

— Znak jeszcze jest — odpowiedział Sanderus. — Kto chce, może go zobaczyć; wszelako lepiej jest na słowo uwierzyć, niż być potępionym za niedowiarstwo.

— Choćbyś i prawdę czasem niechcący rzekł, będziesz wy<sup>1226</sup> za świętokupstwo<sup>1227</sup>.

I poczęli się przekomarzać, jak to mieli zwyczaj czynić dawniej, lecz dalszą rozmowę przerwał Zbyszko:

— Szedłeś tamtym krajem, więc go znasz. Jakież tam są w pobliżu zamki i gdzie, jak mniemasz, mogli się schronić Zygfryd i Arnold?

— Zamków tam w pobliżu nijakich nie masz, gdyż wszystko tam jedna puszcza, przez którą niedawno przerąbany jest ów gościniec. Wsi i osad też nie ma, bo co było, to sami Niemcy popalili wskrós tej przyczyny, że jak się zaczęła ta wojna, to tamtejszy lud, który z tego samego plemienia co i tutejszy pochodzi, podniósł się także przeciw krzyżackiemu panowaniu. Ja myślę, panie, że Zygfryd i Arnold tułają się teraz po boru i albo będą chcieli wrócić, skąd przyszli, albo przedostać się ukradkiem do onej fortecy, do której ciągnęliśmy przed oną nieszczęsną bitwą.

— Pewnikiem tak i jest! — rzekł Zbyszko.

I zamyślił się głęboko. Ze zmarszczonych jego brwi i skupionego oblicza łatwo było wymiarkować, z jakim rozmyśla wysiłkiem, ale nie trwało to długo. Po chwili podniósł głowę i rzekł:

— Hława! Niech konie i pachołcy będą gotowi, bo wraz ruszamy w drogę.

Giermek, który nie miał nigdy zwyczaju zapytywać się o powody rozkazów, podniósł się i nie rzekłszy ni słowa, skoczył ku koniom; natomiast Maćko wytrzeszczył na bratanka oczy i zapytał ze zdumieniem:

— A... Zbyszko? Hej! A ty dokąd? Co?... Jakoże?...

Lecz ów odpowiedział równie pytaniem:

— A wy co myślicie? Zalim nie powinien?

Na to zamilkł stary rycerz. Zdumienie gasło stopniowo na jego twarzy: ruszył głową raz i drugi, a wreszcie odetchnął z głębi piersi i rzekł, jakby odpowiadając sobie samemu:

— No! Juźci... Nie ma rady!

I poszedł też ku koniom. Zbyszko zaś zwrócił się do pana de Lorche i za pośrednictwem umiającego po niemiecku Mazura rzekł mu:

— Tęgo od ciebie nie mogę chcieć, abyś mi przeciw tym ludziom pomagał, z którymi pod jedną chorągwią służyłeś, przeto jesteś wolny i jedź, gdzie chcesz.

— Nie mogę ci teraz mieczem przeciw czci mojej rycerskiej pomagać — odparł de Lorche — ale co do wolności, to też nie. Zostaję twoim jeńcem na słowo i stawię się na wezwanie, dokąd każesz. A ty w razie jakowejś przygody pamiętaj, że za mnie każdego jeńca Zakon wymieni, gdyż nie tylko z możnego, lecz i zasłużonego Krzyżakom rodu pochodzę.

I poczęli się żegnać, położywszy sobie wedle zwyczaju dłonie na ramionach i całując się w policzki, przy czym de Lorche rzekł:

— Pojadę do Malborge albo na dwór mazowiecki, abyś wiedział, że jeśli nie tu, to tam mnie znajdziesz. Pośl swój niech mi jeno powie dwa słowa: Lotaryngia-Geldria!

— Dobrze — odpowiedział Zbyszko. — Pójdę jeszcze do Skirwoiłły, by ci dał znak, którego Żmujdzini szanują.

Po czym udał się do Skirwoiłły. Stary wódz dał znak i nie czynił żadnych trudności co do odjazdu, wiedział bowiem, o co chodzi, lubił Zbyszka, był mu wdzięczny za ostatnią bitwę i przy tym nie miał żadnego prawa zatrzymywać rycerza, który należał do

<sup>1226</sup>wył — domyślnie: w piekle. [przypis edytorski]

<sup>1227</sup>świętokupstwo — symonia, sprzedaż godności i sakramentów kościelnych; tu mowa o sprzedaży relikwii. [przypis edytorski]

innego kraju, a przyszedł tylko z własnej ochoty. Więc dziękując za znaczną usługę, jaką oddał, opatrzył go żywnością, która w opustoszałym kraju przydać się mogła i pożegnał życzeniem, aby kiedyś w życiu mogli się jeszcze napotkać w jakiejś wielkiej i ostatecznej z Krzyżakami rozprawie. Temu zaś śpieszno było, albowiem trawiła go jakby gorączka. Ale przyszedłszy do pocztu, zastał wszystko gotowe, a między ludźmi i stryja Maćka już na koniu, uzbrojonego w kolczugę i w hełmie na głowie. Więc zbliżywszy się do niego, rzekł:

— To i wy ruszacie ze mną?

— A zaś co mam robić? — spytał nieco opryskliwie Maćko.

Na to Zbyszko nie odrzekł nic, pocałował tylko zbrojną prawicę stryja, po czym siadł na koń i ruszyli.

Sanderus jechał z nimi. Drogę aż do pobojowiska wiedzieli dobrze, ale dalej on miał być przewodnikiem. Liczyli też i na to, że jeśli napotkają gdzie w lasach chłopów miejscowych, to ci, jako nienawidzący swych panów krzyżackich, pomogą im w tropieniu starego komtura i owego Arnolda von Baden, o którego nadludzkiej mocy i męstwie tyle Sanderus opowiadał.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Do pobojowiska, na którym Skirwoiłło wyciał Niemców, droga była łatwa, bo znajoma. Dotarli też do niego rychło, ale przejechali je pośpiesznie z przyczyny nieznośnego zaduchu, jaki wydawały niepogrzebione<sup>1228</sup> ciała. Przejeżdżając, spędzili prócz wilków ogromne stada wron, kruków i kawek, po czym jęli szukać na szlaku śladów. Jakkolwiek przeszedł tą drogą poprzednio cały oddział, jednakże doświadczony Maćko znalazł bez trudu na stratowanej ziemi wyciski<sup>1229</sup> olbrzymich kopyt idące w kierunku powrotnym i tak począł mniej biegłej w wojennych sprawach młodzieży rzecz objaśniać:

— Szczęście, iż od bitwy nie było deszczu. Baczcie jeno: koń Arnoldów<sup>1230</sup>, jako niosący męża nad miarę wielkiego, musiał też być ogromny, a i to łącznie wymiarkować, że cwałując w ucieczce, mocniej nogami bił w ziemię, niż idąc powoli w tamtą stronę, a przeto i większe powybił doły. Patrz, którego masz oczy, jako na wilgotnych miejscach znać podkowy! Da Bóg, wysłakujemy<sup>1231</sup> psubratów godnie, byle przedtem gdzie za murami ochrony nie znaleźli.

— Sanderus mówił — odpowiedział Zbyszko — że nie masz tu w pobliżu zamków, i tak to jest, gdyż kraj ten świeżo Krzyżacy zajęli i nie zdążyli się w nim pobudować. Gdzie im się schronić? Chłopi, którzy tu mieszkali, są w obozie u Skirwoiłły, bo to ten sam lud, co i Żmujdzini... Wsie, jako mówił Sanderus, sami Niemcy popalili, a baby z dziećmi w głębiach borowych zatajone<sup>1232</sup>. Byle koni nie żałować, to ich dognamy.

— Koni trzeba żałować, bo choćby się nam i udało, to potem w nich zbawienie nasze — rzekł Maćko.

— Rycerz Arnold — wtrącił Sanderus — był w bitwie kiścieniem po plecach uderzon. Nie zważał na to, z początku bił się i zabijał, ale później musiało go rozebrać, bo tak zawsze bywa, że zrazu nic, a potem boli. Z tej przyczyny nie lża im<sup>1233</sup> zbyt prędko umykać, a może trzeba będzie i wypoczywać.

— A ludzi, mówiłeś, nie ma przy nich nijakich? — zapytał Maćko.

— Jest dwóch, którzy między siodłami kolebkę wiozą, a prócz nich rycerz Arnold i stary komtur. Była spora garść i innych, ale tych Żmujdzini dognałszy, pozabijali.

— Tak ma być — rzekł Zbyszko — że tych ludzi, co przy kolebce, nasi pachółkowie powiążą, wy, stryjku, chycicie starego Zygfyda, a ja na Arnolda uderzę.

— No! — odpowiedział Maćko. — Jużci, Zygfydowi poradzę, bo za łaską Pana Jezusową moc w kościach żywie! Ale ty sobie zbyt nie dufaj, bo tamten ma być wielkolud!

— O wa! Obaczym! — odparł Zbyszko.

<sup>1228</sup>*niepogrzebione* — dziś popr.: niepogrzebane. [przypis edytorski]

<sup>1229</sup>*wyciski* — odciski, ślady. [przypis edytorski]

<sup>1230</sup>*Arnoldów* (daw.) — Arnoldowy, Arnolda. [przypis edytorski]

<sup>1231</sup>*wysłakować* (daw.) — wytropić. [przypis edytorski]

<sup>1232</sup>*zatajony* (daw.) — przyczajony, ukryty. [przypis edytorski]

<sup>1233</sup>*nie lża im* (daw.) — nie mogą. [przypis edytorski]

— Krzepkiś jest, tego nie przeczę, ale przecie są tężsi od ciebie. Zaliś to zabaczył o tych naszych rycerzach, którycheśmy w Krakowie widzieli? A panu Powale z Taczewa dałbyś rady? A panu Paszkowi Złodziejowi z Biskupic, a tym bardziej Zawiszy Czarnemu? Co? Nie puszcza zbyt i bacz, o co chodzi.

— Rotgier był też nie ułomek — mruknął Zbyszko.

— A dla mnie znajdzie się robota? — spytał Czech.

Lecz nie otrzymał odpowiedzi, gdyż myśl Maćka była zajęta czym innym.

— Jeśli nam Bóg pobłogosławi — rzekł — to byle się potem do puszczy mazowieckich dostać! Tam już będziemy przepieczni i raz się wszystko skończy.

Lecz po chwili westchnął, pomyślawszy zapewne, że i wówczas jeszcze nie wszystko się skończy, trzeba bowiem będzie coś zrobić z nieszczęsną Jagienką.

— Hej! — mruknął. — Dziwne są wyroki boskie. Nieraz ja o tym myślę, czemu też to nie przypadło na cię spokojnie się ożenić, a mnie spokojnie przy was siedzieć... Bo przecie najczęściej tak bywa; i wśród wszystkiej szlachty w naszym Królestwie my jedni tylko włączym się, ot, po różnych krajach i wertepach, miast<sup>1234</sup> doma gospodarzyć po bożemu.

— Ano! Prawda jest, ale wola boska! — odpowiedział Zbyszko.

I czas jakiś jechali w milczeniu, po czym znów stary rycerz zwrócił się do synowca:

— Ufasz ty temu powsinodze? Co to za jeden?

— Człek jest lekki i może nicpoń, ale dla mnie okrutnie życzliwy i zdrady się od niego nie boję.

— Jeśli tak, niechże jedzie naprzód, bo jeśli ich zgoni, tedy się nie spłoszą. Powie im, że z niewoli uciekł, czemu łatwo uwierzą. Lepiej tak będzie, bo gdyby nas z dala ujrzeli, to albowy zdołali się gdzie zataić, albo obronę przygotować.

— W nocy on sam naprzód nie pojedzie, bo jest strachliwy — odrzekł Zbyszko — ale w dzień pewnie, że tak będzie lepiej. Powiem mu, żeby trzy razy w dzień zatrzymywał się i czekał na nas; jeśli zaś nie znajdziem go na postoju, to będzie znak, że już jest z nimi, i wtedy, pojechawszy jego śladem, uderzymy na nich niespodzianie.

— A nie ostrzeże ich?

— Nie. Lepiej on mnie życzy niż im. Powiem mu też, że napadłszy na nich, zwiążem i jego, by się zaś ich pomsty później nie potrzebował bać. Niech się do nas wcale nie przyznaje...

— To ty myślisz tamtych żywych ostawić?

— A jakoże ma być? — odpowiedział nieco frasobliwie Zbyszko. — Widzicie... Żeby to było na Mazowszu albo gdzie u nas, tobyśmy ich pozwali, jako Rotgiera pozwałem, i potykali się na śmierć, ale tu, w ich kraju, nie może to być... Tu chodzi o Danuskę i o pośpiech. Trzeba się duchem i cicho sprawić, aby biedy na się nie napytać, a potem, jakoście rzekli, co pary w koniach walić do puszczy mazowieckich. Uderzywszy zaś niespodzianie, może zaskoczym ich bez zbroi, ba, i bez mieczów! To jakoże ich zabijać? Hańby mi strach! Obaśmy teraz pasowani, a i oni także...

— Juźci — rzekł Maćko. — Ale może i do potkania się przyjść.

Lecz Zbyszko zmarszczył brwi i w twarzy odbiła mu się głęboka zawziętość, wrodzona widocznie wszystkim mężom z Bogdańca, albowiem w tej chwili stał się, zwłaszcza ze spojrzenia, tak do Maćka podobny, jakby był jego rodzonym synem.

— Czego bym też chciał — rzekł głucho — to cisnąć tego krwawego psa, Zygryda, pod nogi Jurandowi! Dajże to Bóg!

— A dajże, daj — powtórzył zaraz Maćko.

Tak rozmawiając, ujechali spory szmat drogi, gdyż zapadła noc pogodna wprawdzie, ale bez miesiąca. Trzeba się było zatrzymać, dać wytchnąć koniom i ludzi pokrzepić jadłem i snem. Przed spoczynkiem zapowiedział jednakże Zbyszko Sanderusowi, że nazajutrz ma sam jechać naprzód, na co ten zgodził się chętnie, wymówiwszy sobie tylko, by w razie niebezpieczeństwa od zwierza lub miejscowego ludu miał prawo ku nim uciekać. Prosił też, by nie trzy, ale cztery razy wolno było czynić postoje, gdyż w samotności ogarnia go zawsze jakowyś niepokój, nawet w zbożnych krainach, a cóż dopiero w boru tak dzikim i szkaradnym jak ów, w którym znajdują się obecnie.

<sup>1234</sup>miast (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

Rozłożyli się tedy na nocleg i pokrzepiwszy siły jadłem, pokładli się na skórach przy małym ognisku, nanieconym pod wykrotem o pół stajania od drogi. Pacholicy pilnowali kolejno koni, które wytarzawszy się, drzemały po zjedzeniu obroków, zakładając sobie wzajem głowy na karki. Lecz zaledwie pierwszy brzask osrebrzył drzewa, zerwał się pierwszy Zbyszko, pobudził innych i o świcie ruszyli w dalszy pochód. Ślady olbrzymich kopyt Arnoldowego ogiera odnalazły się znów bez trudności, albowiem zaschły w niskim, błotnistym zwykle gruncie i utrwaliły się od posuchy. Sanderus wyjechał naprzód i znikł im z oczu, wszelako na połowie czasu między wschodem słońca a południem znaleźli go na postoju. Powiedział im, że nie widział żywej duszy prócz wielkiego tura, przed którym jednakże nie umywał, ponieważ zwier pierwszy zeszedł mu z drogi. Natomiast o południu, przy pierwszym posiłku, oświadczył, iż ujrzał chłopca, bartodzieja<sup>1235</sup> z leziwem, i nie zatrzymał go tylko z obawy, że w głębi boru mogło się ich znajdować więcej. Próbował go o to i owo wypytywać, ale nie mogli się rozmówić.

W czasie następnego pochodu Zbyszko począł się niepokoić. Co będzie, jeśli przyjadą w okolice wyższe i suchsze, gdzie na twardym szlaku znikną widoczne dotąd ślady? Również gdyby pościg trwał zbyt długo i doprowadził ich do kraju ludniejszego, w którym mieszkańcy przyzwyczaili się już z dawna do posłuszeństwa Krzyżakom, napad i odebranie Danusi stałoby się prawie niepodobnym, albowiem choćby Zygryda i Arnolda nie ubezpieczyły mury jakiego zamku lub gródka, ludność miejscowa wzięłaby z pewnością ich stronę.

Lecz na szczęście obawy te okazały się płonne, gdyż na następnym postoju nie znaleźli o umówionej porze Sanderusa, a natomiast odkryli na sośnie, stojącej tuż przy drodze, wielki zacios w kształcie krzyża, świeżo widocznie uczyniony. Wówczas spojrzeli na się i spoważniały im twarze, a serca poczęły bić żywiej. Maćko i Zbyszko zeskoczyli natychmiast z sodeł, by zbadać ślady na ziemi, i szukali pilnie, ale niedługo, gdyż same rzuciły się w oczy.

Sanderus widocznie zjechał z drogi w bór, idąc za wyciskami wielkich kopyt, nie tak głębokimi jak na gościńcu, ale dość wyraźnymi, grunt bowiem był tu torfiasty i ciężki koń wtlaczał za każdym krokiem igliwie hacelami<sup>1236</sup>, po których zostawały czarniawe po brzegach dolki.

Przed bystrymi Zbyszkowymi oczyma nie ukryły się i inne wyciski, więc siadł na koń, a Maciek za nim i poczęli się naradzać z sobą i Czechem cichymi głosami, jakby nieprzyjaciel był tuż.

Czech radził, by zaraz pójść piechotą, ale oni nie chcieli tego czynić, nie wiedzieli bowiem, jak daleko przyjdzie im jechać borem. Piesi pacholkiwie mieli ich jednak poprzedzać i w razie dostrzeżenia czego dać im znać, aby byli w pogotowiu.

Jakoż niebawem ruszyli w bór. Drugi zacios na sośnie upewnił ich, iż nie stracili śladu Sanderusa. Wkrótce też dostrzegli, że są na dróżce, a przynajmniej na perci<sup>1237</sup> leśnej, którą nieraz ludzie musieli przechodzić. Wówczas byli już pewni, że znajdą jakąś osadę leśną, a w niej tych, których szukają.

Słońce zniżyło się już nieco i świeciło złotem między drzewami. Wieczór zapowiadał się pogodny. Bór był cichy, albowiem zwier i ptactwo miało się ku spoczynkowi. Gdzieś tam tylko wśród świecących w słońcu gałęzi migały wiewiórki, całkiem od wieczornych promieni czerwone. Zbyszko, Maćko, Czech i pacholcy jechali jeden za drugim, gęsiego. Wiedząc, że piesi pacholcy znacznie są na przedzie i że w porę ostrzegą, stary rycerz mówił tymczasem do bratanka, nie tłumiąc zbyt głośno:

— Porachujmy się ze słonkiem — mówił. — Od ostatniego postoju do miejsca, w którym był zacios, ujechaliśmy okrutny szmat drogi. Na krakowskim zegarze byłoby godzin ze trzy... To tedy Sanderus dawno jest między nimi i miał czas opowiedzieć im swoje przygody. Byle jeno nie zdradził.

— Nie zdradzi — odrzekł Zbyszko.

— I byle mu uwierzyli — kończył Maćko — bo jeśli nie uwierzą, to będzie z nim źle.

<sup>1235</sup>bartodziej a. bartnik — pszczelarz hodujący pszczoły leśne. [przypis edytorski]

<sup>1236</sup>hacel — hak wkręcany w tylną część podkowy, by zapobiec ślizganiu się konia. [przypis edytorski]

<sup>1237</sup>perc — ścieżka (z gwary góralskiej, którą Sienkiewicz wykorzystywał do naśladowania staropolszczyzny). [przypis edytorski]

— A czemu by zaś nie mieli uwierzyć. Albo to o nas wiedzą? A przecie jego znają. Nieraz zdarzy się brańcowi<sup>1238</sup> z niewoli uciec.

— Bo mnie o to chodzi, że jeśli powiedział im, iż z niewoli ucieka, to może pościgu się za nim bali i zaraz ruszyli.

— Nie. Potrafi on klimkiem rzucić<sup>1239</sup>. A to rozumieją, że pościg tak daleko by nie poszedł.

Na czas umilkli, lecz po chwili Maćkowi zdało się, że Zbyszko coś szepce do niego, więc się odwrócił i zapytał:

— Jako powiadasz?

Ale Zbyszko oczy miał wzniesione w górę i nie do Maćka szeptał, tylko polecał Bogu Danuskę i swoje śmiałe przedsięwzięcie.

Maćko począł się też żegnać, ale zaledwie uczynił pierwszy znak krzyża, gdy jeden z posłanych naprzód pacholików wysunął się ku nim nagle z leszczynowych gąszczów:

— Smolarnia! — rzekł. — Są!

— Stój! — szepnął Zbyszko i w tej samej chwili zeskoczył z konia.

Za nim zeskoczył Maćko, Czech i pacholikowie, z których trzech dostali rozkaz, aby zatrzymali się z końmi, mając je w pogotowiu i bacząc, aby broń Boże który z rumaków nie zarżał. Pięciu pozostałym rzekł Maćko:

— Będzie tam dwóch masztalerzy<sup>1240</sup> i Sanderus, których w mig mi powiążecie, a gdyby któren zbrojny był i chciał się bronić, to go w łeb.

I ruszyli zaraz naprzód. Po drodze szepnął jeszcze Zbyszko stryjcowi:

— Bierzcie starego Zygryda, a ja Arnolda.

— Pilnuj się jeno! — odpowiedział stary.

I mrugnął na Czecha, dając mu do zrozumienia, aby w każdej chwili gotów był nieść pomoc młodemu panu.

Ów zaś skinął głową, że tak i będzie, przy czym nabrał tchu w piersi i zmacał, czy miecz łatwo mu wychodzi z pochew.

Lecz Zbyszko spostrzegł to i rzekł:

— Nie! Tobie rozkazuję ku kolebce zaraz skoczyć i nie odstępować jej ni piędzią podczas bitki.

Szli szybko i cicho, ciągle wśród leszczynowej gęstwy, ale nie szli już daleko, gdyż najwyżej po dwóch stajaniach zarośla urywały się nagle, okalając małą polankę, na której widać było wygasłe kopce smolarskie i dwie ziemne chaty, czyli numy, w których zapewne mieszkali smolarze, dopóki nie wyгнаła ich stąd wojna. Zachodzące słońce oświecało ogromnym blaskiem łąkę, kopiec i obie stojące dość daleko od siebie numy. Przed jedną z nich siedziało na kłodzie dwóch rycerzy, przed drugą — barczysty, czerwonowłosy prostak i Sanderus. Ci obaj zajęci byli wycieraniem szmatami pancerzy, a u nóg Sanderusa leżały prócz tego dwa miecze, które widocznie miał zamierzyć oczyścić później.

— Patrz — rzekł Maćko, cisnąc z całej siły ramię Zbyszka, aby go jeszcze przez chwilę powstrzymać. — Umyślnie im wziął miecze i pancerze. Dobrze! Ten z siwą głową musi być...

— Naprzód! — krzyknął nagle Zbyszko.

I wichrem skoczyli na polanę. Tamci zerwali się także, lecz nim zdolali dobiec do Sanderusa, chwycił groźny Maćko starego Zygryda za pierś, przegiął go w tył i w jednej chwili wziął go pod siebie. Zbyszko i Arnold szepnęli się z sobą jak dwa jastrzębie, oplekli się ramionami i poczęli się zмагаć straszliwie. Barczysty Niemiec, który siedział przedtem koło Sanderusa, porwał wprawdzie za miecz, ale nim zdolał nim machnąć, uderzył go pacholek Maćków, Wit, obuchem w rudą głowę i rozciągnął na miejscu. Rzucili się potem wedle rozkazu starego pana wiązać Sanderusa, ten zaś, choć wiedział, iż to rzecz była umówiona, jął tak ryczeć ze strachu jak cielę, któremu podrzynają gardło.

Lecz Zbyszko, chociaż tak krzepki, iż ścisnąwszy gałąź drzewa, sok z niej wyciskał, poczuł, że dostał się jakby nie w ludzkie, ale niedźwiedzie łapy. Poczuł nawet i to, że gdyby nie pancerz, który miał na sobie, nie wiedząc, czy nie przyjdzie mu potykać się na

Walka

<sup>1238</sup>braniec — jeniec. [przypis edytorski]

<sup>1239</sup>klimkiem rzucić (daw.) — kłamać. [przypis edytorski]

<sup>1240</sup>masztalerz — tu: człowiek opiekujący się końmi. [przypis edytorski]

ostre, olbrzymi Niemiec byłby mu pokruszył żebra albo może i kość pacierzową połamał. Uniósł go wprawdzie nieco młodzian w górę, ale ów podniósł go jeszcze wyżej i zebrawszy wszystkie siły, chciał grzmotnąć nim o ziemię, tak aby więcej nie powstał.

Lecz Zbyszko ścisnął go również z tak okrutnym wysiłkiem, że aż oczy Niemca krwią zaszyły, po czym wsunął mu nogę między kolana, uderzył w zgięcie i zwałił na ziemię.

Zwalili się raczej oba, młodzian jednakże padł pod spód, ale w tej chwili baczny na wszystko Maćko rzucił na wpół zgniecionego Zygryda w ręce pacholkom, sam zaś ruszył ku leżącemu, w mgnieniu oka skrępował pasem nogi Arnolda, po czym skoczył, siadł na nim jak na zabitym dziku i przyłożył mu ostrze mizerykordii do karku.

Ów zaś krzyknął przeraźliwie i ręce osunęły mu się bezwładnie ze Zbyszkowych boków, a potem począł jęczeć, nie tyle od ukłucia, ile dlatego, że nagle uczuł okrutny i niewypowiedziany ból w plecach, w które otrzymał był uderzenie maczugą jeszcze podczas bitwy ze Skirwoiłą.

Maćko chwycił go obu rękoma za kołnierz i ściągnął ze Zbyszka, a Zbyszko przypodniósł się z ziemi i siadł, po czym chciał wstać i nie mógł, więc siadł znowu i przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu. Twarz miał bladą i spotniałą, oczy krwią nabiegłe i posiniałe usta — i spoglądał przed się jakby nie całkiem przytomnie.

— Coć jest? — zapytał z niepokojem Maćko.

— Nic, jenom utrudzon bardzo. Pomóście mi stanąć na nogach.

Maćko zasunął mu ręce pod pachy i podniósł go od razu.

— Możesz stać?

— Mogę.

— Boli cię co?

— Nic. Jeno mi brak tchu.

Tymczasem Czech, ujrawszy widocznie, że na majdanie<sup>1241</sup> wszystko już ukończone, zjawił się przed numą, dzierżąc za kark służkę zakonną. Na ten widok zapomniał Zbyszko o trudzie, siły wróciły mu od razu i jak gdyby nigdy nie zmagął się ze strasznym Arnoldem, skoczył do numy.

— Danuśka! Danuśka!

Ale na to wołanie nie odpowiedział żaden głos.

— Danuśka! Danuśka! — powtórzył Zbyszko.

I umilkł. W izbie było ciemno, zatem w pierwszej chwili nie mógł nic dojrzeć. Natomiast spoza kamieni przyładowanych pod ognisko doszedł go szybki i głośny oddech jakby przyczajonego zwierzątka.

— Danuśka! Przebóg! To ja! Zbyszko!

A wtem ujrzał w mroku i jej oczy, szeroko otwarte, przerażone, nieprzytomne. Więc skoczył ku niej i chwycił ją w ramiona, lecz ona nie poznała go zupełnie i wyrwijąc mu się z rąk, zaczęła powtarzać zdyszonym szeptem:

— Boję się! Boję się! Boję się!...

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Nie pomogły łagodne słowa ni pieszczoty, ni zaklęcia — Danusia nie poznawała nikogo i nie odzyskała przytomności. Jedynym uczuciem, które opanowało całą jej istotę, był przestach podobny do takiego płochliwego przestachu, jaki okazują schwyte ptaki. Gdy przyniesiono jej posiłek, nie chciała przy ludziach jeść, jakkolwiek z chciwych jej spojrzeń rzucanych na jadło znać było głód, może nawet zadawniony. Zostawszy sama, rzucała się na spyzę z łakomstwem dzikiego zwierzątka, ale gdy Zbyszko wszedł do izby, w tej chwili skoczyła w kąt i skryła się za wiązką suchego chmielu. Próżno Zbyszko otwierał ramiona, próżno wyciągał ręce, próżno błagał, dusząc w sobie łzy. Nie chciała z tego ukrycia wyjść nawet wówczas, gdy naniecono ognia w świetlicy i gdy przy jego blasku mogła dobrze rozeznąć rysy Zbyszka. Zdawało się, że pamięć opuściła ją razem ze zmysłami. On za to patrzył na nią i na jej wychudłą twarz z zastygłym wyrazem przerażenia, na zapadłe oczy, na potargane strzępy odzieży, w które była przybrana, i serce skowyczało w nim z bólu i wściekłości na myśl, w jakich była rękach i jak się z nią obchodziło. Porwał go wreszcie szał gniewu tak straszny, że chwyciwszy za miecz, skoczył

<sup>1241</sup> *majdan* (daw.) — plac, dziedziniec. [przypis edytorski]

Strach, Szaleństwo

Szaleństwo

Zemsta



z nim ku Zygrydowi i byłby go uśmiercił niechybnie, gdyby Maćko nie był go schwycił za ramię.

Poczęli się wówczas pasować z sobą prawie po nieprzyjacielsku, ale młodzian tak był osłabion poprzednią walką z olbrzymim Arnoldem, że stary rycerz przemógł go i wykręciwszy mu rękę, zawołał:

— Wściekleś się czy co?

— Puśćcie! — odpowiedział, zgrzytając, Zbyszko. — Bo się dusza podrze we mnie.

— Niech się podrze! Nie puszcze! Wolej łeb rozbij o drzewo, niżbyś miał pohańbić siebie i cały ród.

I ściskając jakoby w żelaznych cęgach dłoń Zbyszkową, począł mówić groźnie:

— Obacz się!<sup>1242</sup> Pomsta ci nie ucieknie, a pasowanyś jest rycerz. Jakże to? Związanego jeńca będziesz dźgał? Danuśce nie pomożesz, a co ci zostanie? Nic, jeno hańba. Rzekniesz, iż królom i książętom nieraz przygodziło się jeńców mordować? Ba! Nie u nas! I co im uchodzi, tobie nie ujdzie. Mają ci oni królestwa, miasta, zamki, a ty co masz? Rycerską cześć. Kto im nie przygani, tobie w oczy plunie. Opamiętaj się, przebóg!

Rycerz, Honor

Nastała chwila milczenia.

— Puśćcie — powtórzył ponuro Zbyszko. — Nie zadżgam go.

— Pójdź do ognia, naradzim się.

I powiódł go za rękę do ogniska, które pacholkiwie naniecili wedle smolistych kopców. Tam siadłszy, Maćko zamyślił się nieco, po czym rzekł:

— Wspomnij też i to, żeś tego starego psa Jurandowi obiecał. Ten ci się dopiero pomocy nad nim i za swoją, i za Danusią mękę! Ten ci mu zapłaci, nie bój się! I powinieś w tym Jurandowi wygodzić. Należy mu się to. A czego tobie nie wolno, to Jurandowi będzie wolno, bo nie on jeńca wziął, jeno go w podarunku od ciebie dostanie. Bez hańby i bez przygany może go choć i ze skóry obłupić, rozumiesz mnie?

— Rozumiem — odpowiedział Zbyszko. — Słusznie mówicie.

— To ci widać rozum wraca. Jeśliby cię diabeł jeszcze kusił, pamiętaj także i na to, żeś ty przecie i Lichtensteinowi, i innym Krzyżakom ślubował, a gdybyś bezbronnego jeńca zarznął i gdyby się to przez pacholków rozgłosiło, żaden rycerz nie chciałby ci stanąć i byłby praw<sup>1243</sup>. Boże uchowaj! Nieszczęśliwości i tak nie brak, niechże choć hańby nie będzie. Lepiej, ot, gadajmy o tym, co teraz należy czynić i jako nam się obrócić.

Honor

— Radźcie! — rzekł młodzian.

— Poradzę tak: tę zmiję, która była przy Danusi, można by zgładzić, ale że nie przystoi rycerzom niewieścią krwią się babrać, przeto ją księciu Januszowi oddamy. Knuła ona zdrady jeszcze w leśnym dworcu przy księciu i księżnie, niechże ją mazowieckie sądy sądzą, a jeśli jej kołem za to nie pokruszą, to chyba sprawiedliwość boską chcą obrazić. Póki innej jakiej niewiasty nie spotkamy, która by się przy Danusi starunku podjęła, póty ona potrzebna, potem się ją koniowi do ogona przywiąże. Ninie trzeba nam do puszczy mazowieckich jako najprędzej wykręcić.

— Jużci nie zaraz, bo noc. Może też Bóg da jutro Danuśce większe opamiętanie.

— Niech i konie dobrze wypoczną. Na świtanu ruszym.

Dalszą rozmowę przerwał im głos Arnolda von Baden, który leżąc opodal na plecach, związany w kij do własnego miecza, począł coś wołać po niemiecku. Stary Maćko podniósł się i poszedł ku niemu, ale nie mogąc dobrze wyrozumieć jego mowy, począł się oglądać za Czechem.

Ale Hława nie mógł zaraz przyjść, albowiem zajęty był czym innym.

Podczas ich rozmowy przy ognisku poszedł właśnie do służki zakonnej i położywszy jej dłoń na karku i potrząsnąwszy nią jak gruszką, rzekł:

— Słuchaj, suko! Pójdiesz do chaty i wymościsz dla pani posłanie ze skór, ale przedtem wdziejiesz na nią swoje porządne szaty, a sama ubierzesz się w te łachmany, w których kazaliście jej chodzić... zatracona wasza mać!

I nie mogąc także pohamować nagłego gniewu, trząśł nią tak silnie, że aż oczy wylazły jej na wierzch. Byłby jej może skręcił kark, ale że widziała mu się jeszcze potrzebna, więc puścił ją wreszcie, rzekłszy:

<sup>1242</sup>obacz się! — sens: zobacz, co robisz! [przypis edytorski]

<sup>1243</sup>byłby praw (daw.) — miałby rację. [przypis edytorski]

— A potem wybierzem dla cię gałąź.

Ona chwyciła go w przerażeniu za kolana, ale gdy w odpowiedzi kopnął ją, skoczyła do chaty i rzuciwszy się do nóg Danusi, poczęła skrzeczeć:

— Obroń mnie! Nie daj!

Ale Danusia przymknęła tylko oczy, a z ust jej wyszedł zwykły, zdyszany szept:

— Boję się, boję się, boję się!

I następnie zdrętwiała całkiem, albowiem każde zbliżenie się do niej służki zakonnej wywoływało zawsze ten skutek. Pozwoliła się też rozebrać i oblec w nowe szaty. Służka, wymościwszy posłanie, położyła ją na nim jak figurkę drewnianą lub woskową, sama zaś siadła koło ogniska, bojąc się wyjść z izby.

Ale Czech wszedł po chwili i zwróciwszy się naprzód do Danusi, rzekł:

— Między przyjaciółmi jesteście, pani, więc w imię Ojca i Syna, i Ducha, śpijcie spokojnie!

I przeżegnał ją ręką, a następnie nie podnosząc głosu, aby jej nie przelęknąć, rzekł do służki:

— Ty poleżysz związana za progiem, ale jeśli narobisz krzyku i przestraszysz, to ci zaraz szyję pokruszę. Wstań i chodź.

I wywiódłszy ją z izby, skrepował tak, jako rzekł, mocno, po czym udał się do Zbyszka.

— Kazałem oblec panią w te szaty, które miała na sobie ta jaszczurka — rzekł. — Posłanie wymoszczone i pani śpi. Najlepiej nie chodźcie tam już, panie, by się zaś nie przelękła. Da Bóg, jutro po spoczynku oprzytomnieje, a wy teraz pomyślcie też o jadle i spoczynku.

— Położę się przy progu izby — odrzekł Zbyszko.

— To odciągnę sukę na stronę do tego trupa z ryżymi<sup>1244</sup> kudłami, ale teraz musicie jeść, bo droga i trud niemały przed wami.

To rzekłszy, poszedł wydobyć z biesagów<sup>1245</sup> wędzone mięsiwo i wędzoną rzepe, w którą zaopatryli się na drogę w obozie żmujdzkim, ale zaledwie złożył zapas przed Zbyszkiem, Maćko odwołał go do Arnolda.

— Wymiarkuj no rzetelnie — rzekł — czego chce ten waligóra, bo choć niektóre słowa wiem, nijak nie mogę go wyrozumieć.

— Poniosę go, panie, do ogniska, to się tam rozmówicie — odrzekł Czech.

I odpasawszy się, przeciągnął pas pod ramionami Arnolda, po czym zadał go sobie na plecy. Zgiął się pod ciężarem olbrzyma mocno, ale chłopem będąc krzepkim, doniósł go do ogniska i rzucił jak wór grochu obok Zbyszka.

— Zdejmijcie ze mnie pęta — rzekł Krzyżak.

— Mogłoby to być — odpowiedział przez Czecha stary Maćko — gdybyś na cześć rycerską poprzysiągł, że się za jeńca będziesz uważał. Jednakże i bez tego każę ci wyciągnąć miecz spod kolan i rozwiązać ręce, abys mógł się przy nas, zaś powrozów na nogach nie popuszczę, póki się nie rozmówim.

I skinął na Czecha, ten zaś przeciął Niemcowi pęta na rękę, a następnie pomógł mu usiąść. Arnold spojrzał hardo na Maćka, na Zbyszka i zapytał:

— Co wyście za jedni?

— A ty jak śmiesz pytać? Co ci do tego?! Wywiedz się sam.

— To mi do tego, że na cześć rycerską mógłbym tylko rycerzom przysięgać.

— To patrz!

I Maćko, uchyliwszy opończy, pokazał pas rycerski na biodrach.

Na to Krzyżak zdumiał się wielce i dopiero po chwili rzekł:

— Jakże to? I lotrzykujecie dla łupu po puszczy? I pogan przeciw chrześcijanom wspomagacie?

— Łżesz! — zawołał Maćko.

I w ten sposób poczęła się rozmowa, nieprzyjazna, harda, często do kłótni podobna. Gdy jednak Maćko zakrzyknął w uniesieniu, że właśnie Zakon nie dopuszcza do chrtu Litwy, i gdy przytoczył wszystkie dowody, zdumiał się znów i zamilkł Arnold, gdyż prawda ta była tak oczywista, że niepodobna było jej nie widzieć lub jej zaprzeczyć. Uderzyły

<sup>1244</sup>ryży — rudy. [przypis edytorski]

<sup>1245</sup>biesagi (daw.) — podwójny worek przewieszany przez ramię albo przywiązywany do siodła. [przypis edytorski]

szczególniej Niemca te słowa, które Maćko wyrzekł, czyniąc przy nich zarazem znak krzyża: „Kto wie, komu wy w rzeczy służycie, jeśli nie wszyscy, to poniektórzy!” — a uderzyły go dlatego, że i w samym Zakonie był posąd na kilku komturów, że oddają cześć szatanowi. Nie czyniono im z tego sprawy ni żadnych procesów, aby hańby na wszystkich nie ściągać, ale Arnold wiedział dobrze, że szeptano sobie takie rzeczy między braćmi i że podobne słuchy chodziły. Przy tym Maćko, wiedząc z opowiadań Sanderusa o niepojętym zachowywaniu się Zygryda, zaniepokoił do reszty prostodusznego olbrzyma.

— A ówże Zygryd, z którym szedłeś w pochód na wojnę — rzekł — zali Bogu i Chrystusowi służysz? Zaliś to nigdy nie słyszał, jak ze złymi duchami gadał, jako z nimi szeptał i śmiał się alibo zgrzytał?

— Prawda jest! — mruknął Arnold.

Ale Zbyszko, któremu żal i gniew napłynęły do serca nową falą, zakrzyknął nagle:

— I ty o czci rycerskiej prawisz? Hańba ci, boś katu i piekielnikowi pomagał! Hańba ci, boś na mękę bezbronnej niewiasty i rycerskiej córki spokojnie patrzył, boś może i sam ją dręczył. Hańba ci!

A Arnold wytrzeszczył oczy i czyniąc w zdumieniu znak krzyża, rzekł:

— W imię Ojca i Syna, i Ducha!... Jak to?... Ta opętana dziewczka, w której głowie dwudziestu siedmiu diabłów mieszka?... Ja?...

— Gorze! Gorze! — przerwał chrapliwym głosem Zbyszko.

I chwyciwszy za rękojeść mizerykordii, począł znów spoglądać dzikim wzrokiem w stronę leżącego opodal w mroku Zygryda.

Maćko położył mu spokojnie dłoń na ramieniu i przycisnął z całej mocy, aby mu przytomność powrócić, sam zaś zwróciwszy się do Arnolda, rzekł:

— Ta niewiasta to córka Juranda ze Spychowa, a żona tego młodego rycerza. Rozumiesz teraz, dlaczego ślakowaliśmy<sup>1246</sup> was i dlaczego jeńcem naszym zostałeś!

— Przebóg! — rzekł Arnold. — Skąd? Jak? Ona ma rozum pomieszany...

— Bo ją Krzyżacy jako jagnię niewinne porwali i męką do tego ją przywiedli.

Zbyszko przy wyrazach „jagnię niewinne” przybliżył pięść do ust i ścisnął zębami knykie<sup>1247</sup>, a z oczu poczęły mu kapać jedna za drugą wielkie łzy niepoohamowanej boleści. Arnold siedział w zamyśleniu. Czech zaś w kilku słowach opowiedział mu zdradę Danvelda, porwanie Danusi, mękę Juranda i pojedynek z Rotgierem. Gdy skończył, nastąpiła cisza, którą mącił tylko szum lasu i trzaskanie skier w ognisku.

I siedzieli tak przez chwil kilka; wreszcie Arnold podniósł głowę i rzekł:

— Nie tylko na rycerską cześć, lecz na krzyż Chrystusów przysięgam wam, żem tej niewiasty prawie nie widział, żem nie wiedział, kto ona, i żem do jej męki w niczym i nigdy ręki nie przyłożył.

— To przysiążże jeszcze, że dobrowolnie pójdziesz za nami i że uciezki nie będziesz próbował, a każę cię całkiem rozwiązać — rzekł Maćko.

— Niech i tak będzie, jak mówisz; przysięgam! Dokąd mnie powiedziecie?

— Na Mazowsze, do Juranda ze Spychowa.

To mówiąc, Maćko rozciął mu sam powróż na nogach, po czym wskazał mięsiwo i rzepe. Zbyszko po jakimś czasie podniósł się i poszedł spocząć u progu chaty, przy którym nie znalazł już służki zakonnej, albowiem poprzednio zabrali ją pacholki między konie. Tam położywszy się na skórce, którą mu przyniósł Hława, postanowił czekać bezsennie, czy świt jakiej szczęśliwej zmiany w Danusi nie przyniesie.

Czech zaś wrócił do ogniska, gdyż ciążyło mu na duszy coś takiego, o czym chciał pogadać ze starym rycerzem z Bogdańca. Zastał go pogrążonego też w zadumie i niezważającego na chrapanie Arnolda, który po spożyciu niezmiernej ilości wędzonej rzepey i mięsiwa zasnął z utrudzenia snem kamiennym.

— A wy nie spoczniecie, panie? — spytał giermek.

— Sen ucieka mi z powiek — odrzekł Maćko. — Daj Bóg dobre jutro...

I to powiedziawszy, spojrzął ku gwiazdom.

— Wóz<sup>1248</sup> widać już na niebie, a ja wciąż rozmyślam, jako to ono wszystko będzie.

— I mnie nie do spania, bo mi panienska ze Zgorzelic w głowie.

<sup>1246</sup>ślakować (gw.) — tropić, śledzić. [przypis edytorski]

<sup>1247</sup>knykieć — staw palca u ręki bądź odcinek między takimi stawami. [przypis edytorski]

<sup>1248</sup>Wóz — gwiazdozbiór Wielkiego bądź Małego Wozu. [przypis edytorski]

— Hej, prawda, nowa bieda! Toć przecie ona w Spychowie.  
— A w Spychowie. Wywieźliśmy ją ze Zgorzelic nie wiadomo po co.  
— Sama chciała do opata, a gdy opata nie stało<sup>1249</sup>, cóżem miał czynić — odrzekł niecierpliwie Maćko, który nie lubił o tym mówić, bo w duszy poczuwał się do winy.

— Tak, ale co teraz?

— Ha! Cóż? Odwiozę ją na powrót do domu i dziej się wola boska!...

Po chwili jednak dodał:

— Jużci, dziej się wola boska, ale żeby chociaż ta Danuśka była zdrowa i taka jako inni ludzie, byłoby przynajmniej wiadomo, co robić. A tak, licho wie! Nuż nie ozdrowieje... i nie zamrze. Niechby Pan Jezus dał już na tę albo na tamtą stronę.

Ale Czech myślał w tej chwili tylko o Jagience.

— Widzicie, wasza miłość — rzekł. — Panienska, gdym wyjeżdżał ze Spychowa i żegnał się z nią, powiedziała mi tak: „W razie czego przyjedziecie tu przed Zbyszkiem i przed Maćkiem, bo, powiada, mają przez kogo innego nowinę przysłać, to przysłać przez was i odwieziecie mnie do Zgorzelic”.

— Hej! — odpowiedział Maćko. — Pewnie, że jakoś nieskładno by jej było zostawać w Spychowie, gdy Danuśka przyjedzie. Pewnie, że trzeba jej teraz do Zgorzelic. Żal mi sierotki, szczerze żal, ale skoro nie było woli boskiej, to i trudno! Jeno jakoże to urządzić? Poczekaj... Powiadasz, że kazała ci wracać przed nami z nowiną, a potem odwieźć się do Zgorzelic?

— Kazała, jakom wam wiernie powtórzył.

— Ano! To może byś i ruszył przed nami. Staremu Jurandowi też by trza oznajmić, że się córka nalazła, aby go zaś nagle radość nie zabiła. Jak mi Bóg miły, nie ma nic lepszego do zrobienia. Wracaj! Powiedz, żeśmy Danuśkę odbili i że niebawem z nią przyjedziem, a sam zabierz tamtą niebogę i wieź ją doma.

Tu westchnął stary rycerz, bo żal mu istotnie było i Jagienki, i tych zamiarów, które w duszy piastował<sup>1250</sup>.

Po chwili znów spytał:

— Wiem, żeś chłop i roztropany, i mocny, ale potrafiszże ty ustrzec jej od jakiej krzywdy albo przygody? Bo to w drodze łatwie się może to i owo zdarzyć.

— Potrafię, choćby też przyszło i łbem nałożyć! Wezmę kilku dobrych pachółków, których mi pan spychowski nie pożałuje, i doprowadzę ją przezpiecznie choćby na koniec świata.

— No! Zbyttno sobie nie dufaj. Pamiętaj też, że na miejscu, w samych Zgorzelicach, trzeba znów mieć oko na Wilków z Brzozowej i na Cztana z Rogowa... Ale prawda! Nie do rzeczy gadam, bo ich trzeba było strzec, póki się miało co innego na myśli. A teraz nie żywie już nadzieja i będzie, co ma być.

— Wszelako ustrzegę ją panienski i od tamtych rycerzy, bo ta, pana Zbyszkowa nieboga, ledwie chudziątko zipie... Nużby zmarła!

— Słusznie, jak mi Bóg miły: ledwie chudziątko zipie — nużby zmarła...

— Trzeba to na Pana Boga zdać, a teraz myślmy jeno o paniencie zgorzelickiej.

— Po sprawiedliwości — rzekł Maćko — godziłoby się<sup>1251</sup>, abym sam ją do ojcowizny odprowadził. Ale trudna rada. Nie mogę ja teraz Zbyszka odstąpić, a to z różnych wielkich przyczyn. Widziałeś, jako zgrzytał i jako się do tego starego komtura rwał, by go zadźgać niby warchlaka<sup>1252</sup>. Niechże, jako powiadasz, ta dziewczka skapieje w drodze, to nie wiem, czy i ja go pohamuję. Ale jeśli mnie nie będzie, to nic go nie strzyma i hańba wiekuista spadnie na niego i na cały ród, czego nie daj Bóg, amen!

Na to zaś Czech:

— Ba! Jest przecie prosty sposób. Dajcie mi jego katowską mać, a już ja go nie uronię<sup>1253</sup> i dopiero w Spychowie panu Jurandowi z worka go wytrząsnę.

Zemsta, Hańba

<sup>1249</sup>gdy opata nie stało — sens: po śmierci opata. [przypis edytorski]

<sup>1250</sup>piastować (daw.) — opiekować się; tu przen.: żywić zamiary. [przypis edytorski]

<sup>1251</sup>godzi się (daw.) — wypada. [przypis edytorski]

<sup>1252</sup>warchlak — młody dzik. [przypis edytorski]

<sup>1253</sup>uronąć (daw.) — zgubić. [przypis edytorski]

— A niechże ci Bóg da zdrowie! O, to masz rozum! — zawołał z radością Maćko. — Prosta rzecz! Prosta rzecz! Zabieraj go razem i byleś go żywięcym do Spychowa dowiozł, rób z nim, co chcesz.

— To dajcie mi i onę sukę szczytnieńską! Jeśli mi nie będzie po drodze wadzić, to dowiozę ją też; a jeśli będzie, to na gałąź!

— Prędzej też może Danuskę strach opuści i prędzej się opamięta, gdy nie obaczy tych dwojga. Ale jeśli służkę zabierzesz, jakoże bez pomocy niewieściej się obejdziesz?

— Nie bez tego, byście w puszczech nie spotkali jakich miejscowych albo zbiegłych chłopów z babami. Weźmiecie pierwszą lepszą, a już każda będzie lepsza od tej. Tymczasem pana Zbyszkowa opieka wystarczy.

— Dziś jakoś roztropniej mówisz niż zwyczajnie. Prawda i to. Może się prędzej obaczy, widząc Zbyszka wciąż przy sobie. Potrafi ci on być dla niej jako ojciec i matka. Dobrze. A kiedy ruszysz?

— Nie będę świtania czekał, ale teraz przylegnę trochę. Nie ma jeszcze chyba północkska.

— Wóz, jako mówiłem, już świeci, ale Kurki<sup>1254</sup> jeszcze nie weszły.

— Chwała Bogu, żeśmy cokolwiek uradzili, bo okrutnie było mi markotno.

I to rzekłszy, Czech wyciągnął się przy dogasającym ognisku, nakrył się kudłatą skórą i w mig zasnął. Niebo jednak nie pobielalo jeszcze ani trochę i noc była głęboka, gdy zbudził się, wylazł spod skóry, spojrzął ku gwiazdom i przeciągnawszy zeszywniale nieco członki, zbudził Maćka.

— Czas mi się zbierać! — rzekł.

— A dokąd? — zapytał na wpół przytomnie Maćko, przecierając pięściami oczy.

— Do Spychowa.

— A prawda! Kto tu tak chrapie obok? Umarłego by rozbudził.

— Rycerz Arnold. Dorzucę gałęzi na głównie i idę do pacholków.

Jakoż odszedł, po chwili wrócił jednak pośpiesznym krokiem i począł wołać z daleka cichym głosem:

— Panie, jest nowina — i to zła!

— Co się stało? — zawołał, zrywając się, Maćko.

— Służka uciekła. Wzięli ją pacholcy między konie i rozwiązali jej nogi; żeby ich pioruny zatrzaskły! A gdy się pospali, wyczołgała się jako wąż spomiędzy nich i uciekła. Pójdźcie, panie.

Zaniepokojony Maćko ruszył spiesznie z Hławą do koni, ale zastali przy nich jednego tylko pacholka. Inni rozbiegli się szukać zbiegłej. Głupie to jednak było szukanie w ciemnościach i w gęstwinie; jakoż popowracali wkrótce z pospuszczanymi głowami. Maćko począł ich okładać w milczeniu pięścią, po czym wrócił do ogniska, gdyż nie było nic innego do zrobienia.

Po chwili nadszedł Zbyszko, który strażował przed chatą i nie mógł spać, a usłyszawszy stapania, chciał wiedzieć, co to jest. Maćko opowiedział mu, co uradzili razem z Czechem, potem zaś oznajmił o ucieczce służki zakonnej.

— Nieszczęście wielkie nie jest — rzekł — bo albo zdechnie z głodu w lesie, albo znajdą ją chlopi, którzy dadzą jej łupnia, jeśli wpraw nie znajdą jej wilcy. Żal jeno, że ją kara w Spychowie minęła.

Zbyszko żałował także, że ją kara minęła, ale zresztą przyjął wiadomość spokojnie. Nie sprzeciwił się również odjazdowi Czecha z Zygfydem, gdyż wszystko, co nie dotyczyło wprost Danusi, było mu obojętne. Zaraz też zaczął o niej mówić:

— Wezmę ją jutro przed się na koń i tak pojedziem — rzekł.

— A jakoże tam? Śpi? — zapytał Maćko.

— Czasem kwili trochę, ale nie wiem, przez sen-li czy na jawie, a nie chcę wchodzić, aby się nie przelękla.

Dalszą rozmowę przerwał im Czech, który ujrawszy Zbyszka, zawołał:

— O, to i wasza miłość na nogach? No, czas mi! Konie gotowe i stary diabeł przywiązany do siodła. Wkrótce zaświta, bo teraz noc krótka. Ostawajcie z Bogiem, wasze miłości!

<sup>1254</sup>Kurki — Plejady (gwiazdozbiór). [przypis edytorski]

— Jedź z Bogiem, a zdrowo!

Ale Hława odciągnął jeszcze Maćka na bok i rzekł:

— Chciałem też pięknie prosić, w razie gdyby co zaszło... Wiecie, panie... aby jakowe nieszczęście albo co... aby pchnąć zaraz pacholka na łeb do Spychowa. Jeślibyśmy zaś już wyjechali, niech nas goni!

— Dobrze — rzekł Maćko. — Zabaczyłem ci też powiedzieć, byś Jagienkę do Płocka wiozł, rozumiesz! Idź tam do biskupa i powiedz mu, kto ona jest, że opatowa chrześniaczka, dla której jest u biskupa testament, dalej pros dla niej o opiekuństwo, bo to też stoi w testamencie.

— Jeśli zaś biskup każe nam ostać w Płocku?

— Słuchaj go we wszystkim i uczyn, jako poradzi.

— Tak i będzie, panie. Z Bogiem!

— Z Bogiem.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Rycerz Arnold, dowiedziawszy się nazajutrz o ucieczce służki zakonnej, uśmiechnął się pod wąsem, ale rzekł to samo, co Maćko: że albo ją wilcy zjedzą, albo Litwini zabiją. Jakoż było to prawdopodobne, albowiem ludność miejscowa, litewskiego pochodzenia, nienawidziła Zakonu i wszystkiego, co miało z nim styczność. Chłopi częścią puciekali do Skirwoiły, częścią poburzyli się<sup>1255</sup> i pomordowawszy tu i ówdzie Niemców, pokryli się razem z rodzinami i dobytkiem w niedostępnych głębiach leśnych. Szukano jednakże na drugi dzień służki, ale bez skutku, bo niezbyt gorliwie, a to z tej przyczyny, że Maćko i Zbyszko, mając głowy zajęte czym innym, nie wydali dość surowych rozkazów. Pilno im było jechać ku Mazowszu i chcieli zaraz o wschodzie słońca wyruszyć, ale nie mogli tego uczynić, gdyż Danuśka usnęła nade dniem głęboko i Zbyszko nie dał jej budzić. Słyszał ją, jak „kwiliła” w nocy, domyślał się, że nie spała, więc teraz wiele sobie dobrego z tego snu obiecywał. Dwukrotnie zakradał się do chaty i dwukrotnie widział przy świetle wpadającym przez szpary między bierwionami jej zamknięte oczy, otworzone usta i mocne rumieńce na twarzy, takie, jakie mają głęboko uspięne dzieci. Topniało w nim wówczas z rozrzewnienia serce i mówił do niej: „Daj ci Bóg wypoczynek i zdrowie, kwiatuszku najmilszy!” A potem mówił jeszcze: „Skończona twoja niedola, skończone płkanie, a da Pan Jezus miłosierny, to szczęśliwość będzie jako te wody rzeczne nieprzepłynione”. Przy tym, mając prostą i dobrotliwą duszę, wznosił ją ku Bogu i zapytywał sam siebie: czym by się wywdzięczyć, czym by się wypłacić, co by jakiemu kościołowi ofiarować z dostatków, z ziarna, ze stad, z wosku albo z innych podobnych, miłych boskiej potędze rzeczy? Byłby nawet zaraz ślubował i wymienił dokładnie, co ofiaruje, ale wolał zaczekać, nie wiedząc bowiem, w jakim zdrowiu Danuśka się rozbudzi i czy się rozbudzi przytomna, nie miał jeszcze pewności, czy będzie za co dziękować.

Maćko, chociaż rozumiał, że będą zupełnie bezpieczni dopiero w krajach księcia Janusza, był jednak także zdania, że nie należy Danusi mącić tego spoczynku, który mógł być dla niej zbawieniem, więc trzymał wprawdzie w pogotowiu parobków i juczne konie, ale czekał.

Wszelako gdy minęło południe, a ona wciąż spała jeszcze, poczęli się niepokoić. Zbyszko, który ustawicznie zaglądał przez szpary i przez drzwi, wszedł wreszcie po raz trzeci do chaty i siadł na pieńku, który wczorajszego wieczoru służka przyciągnęła do posłania i na którym przebierała Danusię.

Siadł i wpatrzył się w nią, ona nie otworzyła wcale oczu, ale po upływie takiego czasu, jakiego potrzeba by na odmówienie bez pośpiechu *Ojcze nasz* i *Zdrowaś*, drgnęły nieco jej usta i wyszeptala, jakby widząc przez zamknięte powieki:

— Zbyszko...

On zaś rzucił się w jednej chwili przed nią na kolana, chwycił jej wychudzone ręce i całując je z uniesieniem, jął mówić przerywanym głosem:

— Bogu dzięki! Danuśka! Poznałaś mnie!

Głos jego rozbudził ją zupełnie, więc siadła na posłaniu i z otwartymi już oczyma powtórzyła:

<sup>1255</sup>poburzyć się — tu: zbuntować się. [przypis edytorski]

— Zbyszko...

I poczęła mrugać, a następnie rozglądać się naokoło jakoby ze zdziwieniem.

— Już ty nie w niewoli! — mówił Zbyszko. — Wydarłem cię im i do Spychowa jedziem!

Ale ona wysunęła dłonie z jego rąk i rzekła:

— To wszystko przez to, że tatusiowego pozwolenstwa nie było. Gdzie pani?

— Przebudźże ty się, jagódko. Księżna daleko, a my cię Niemcom odjęli.

Na to ona, jakby nie słysząc tych słów i jakby sobie coś przypominając:

— Zabrali mi też luteńkę i o mur rozbili, hej!

— Na miły Bóg! — zawołał Zbyszko.

I dopiero spostrzegł, że oczy jej są nieprzytomne i błyszczące, a policzki pałają<sup>1256</sup>. W tejże chwili mignęła mu przez głowę myśl, że ona może być ciężko chora i że wymówiła dwukrotnie jego imię tylko dlatego, że się jej majaczył w gorączce.

Więc zadrżało w nim serce z przerażenia i pot zimny pokrył mu czoło.

— Danuśka! — rzekł. — Widziszże ty mnie i rozumiesz?

A ona odrzekła głosem pokornej prośby:

— Pić... Wody!

— Jezu miłosierny!

I wyskoczył z izby. Przed drzwiami potrafił starego Maćka, który szedł właśnie zobaczyć, jak tam jest — i rzuciwszy mu jedno słowo: „Wody!” — przebiegł pędem ku strumieniowi płynącemu w pobliżu wśród gęstwy i mchów leśnych.

Po chwili wrócił z napełnionym naczyniem i podał je Danusi, która poczęła pić chciwie. Przedtem jeszcze wszedł do izby Maćko i popatrzawszy na chorą, spochmurniał widocznie.

— W gorętwie<sup>1257</sup> jest? — rzekł.

— Tak! — jęknął Zbyszko.

— Rozumie, co mówisz?

— Nie.

Stary zmarszczył brwi, po czym podniósł rękę i począł dłonią trzeć po karku i potylicy.

— Co robić?

— Nie wiem.

— Jedna jest tylko rzecz — zaczął Maćko.

Ale Danusia przerwała mu w tej chwili. Skończywszy pić, utkwiała w nim swe rozszerezone przez gorączkę źrenice, po czym rzekła:

— I wam też nie zawiniłam. Mieścież zmiłowanie!

— Mam ci ja zmiłowanie nad tobą, dziecko, i tylko dobra chcę twojego — odpowiedział z pewnym wzruszeniem stary rycerz.

A potem do Zbyszka.

— Słuchaj! Na nic jej tu ostawać. Jak ją wiatr obwieje, a słonko ogrzeje, to może się jej lepiej zrobi. Nie traćże ty, chłopie, głowy, jeno ją bierz do tej samej kołyski, w której ją wieźli, albo też na kulbakę i w drogę! Rozumiesz?

To rzekłszy, wyszedł z izby, aby wydać ostatnie rozporządzenia, ale zaledwie spojrzął przed siebie, gdy nagle stanął jak wryty.

Oto silny zastęp pieszego ludu, zbrojnego w dzidy i w berdysze, otaczał z czterech stron jak murem chatę, kopce i polankę.

„Niemce!” — pomyślał Maćko.

Więc zgroza napełniła mu duszę, ale w mgnieniu oka chwycił za głównię miecza, zacisnął zęby i stał tak podobny do dzikiego zwierza, który niespodzianie przez psy osaczony gotuje się do rozpaczliwej obrony.

A wtem od kopca począł iść ku niemu olbrzymi Arnold z jakimś drugim rycerzem i zbliżywszy się, rzekł:

— Wartkie koło fortuny. Byłem waszym jeńcem, a teraz wyście moimi.

To rzekłszy, spojrzął z dumą na starego rycerza jakby na lichszą<sup>1258</sup> od siebie istotę. Nie

Choroba

Pycha

<sup>1256</sup>pałać — być rozpalonym, rozgrzanym. [przypis edytorski]

<sup>1257</sup>gorętwa (daw.) — gorączka. [przypis edytorski]

był to człowiek całkiem zły ani zbyt okrutny, ale miał przywarę<sup>1259</sup> wspólną wszystkim Krzyżakom, którzy ludzcy, a nawet układni w nieszczęściu, nie umieli nigdy pohamować ani pogardy dla zwyciężonych, ani bezgranicznej pychy, gdy czuli za sobą większą siłę.

— Jesteście jeńcami! — powtórzył wyniośle.

A stary rycerz spojrział ponuro naokół. W piersi jego biło nie tylko niepłochliwe, lecz aż nazbyt zuchwałe serce. Gdyby był we zbroi na bojowym koniu, gdyby miał przy sobie Zbyszka i gdyby obaj mieli w ręku miecze, topory albo owe straszne „drzewa”<sup>1260</sup>, którymi tak sprawnie władała ówczesna lechicka szlachta, byłby może próbował przelamać ów otaczający go mur dzid i berdyszów. Ale Maćko stał oto przed Arnoldem pieszo, sam jeden, bez pancerza, więc spostrzegłszy, że pachołkowie porzucali już oręż, i pomyślałszy, że Zbyszko jest w chacie przy Danusi całkiem bez broni, zrozumiał, jako człek doświadczony i z wojną wielce obyty, że nie ma żadnej rady.

Więc wyciągnął z wolna kord z pochwy, a następnie rzucił go pod nogi owego rycerza, który stał przy Arnoldzie. Ów zaś z nie mniejszą od Arnoldowej dumą, ale zarazem z łaskawością ozwał się w dobrej polskiej mowie:

— Wasze nazwisko, panie? Nie każę was wiązać na słowo, boście, widzę, pasowany rycerz i obesłiście się po ludzku z bratem moim.

— Słowo! — odpowiedział Maćko.

I oznajmiwszy, kto jest, zapytał, czy wolno mu będzie wejść do chaty i ostrzec bratanka, „by zaś czego szalonego nie uczynił” — za czym, uzyskawszy pozwolenie, zniknął we drzwiach, a po jakimś czasie zjawił się znów z mizerykordią w ręku.

— Bratanek mój nie ma nawet miecza przy sobie — rzekł — i prosi, aby póki w drogę nie ruszycie, mógł zostać przy swojej niewieście.

— Niech zostanie — rzekł brat Arnoldów — przyślę mu jadło i napitek, bo w drogę nie ruszycie zaraz, gdyż lud utrudzon, a i nam samym pożywić się i spocząć potrzeba. Prosim też was, panie, do kompanii.

To rzekłszy, zawrócili i poszli ku temu samemu ognisku, przy którym Maćko noc spędził, ale bądź to przez pychę, bądź przez prostactwo dość między nimi powszechne, poszli przodem, pozwalając mu iść z tyłu. Ale on, jako wielki bywalec, rozumiejący, jaki ma być w każdym zdarzeniu zachowany obyczaj, zapytał:

— Proście, panie, jako gościa czy jako jeńca?

Dopieroż zawstydził się brat Arnoldów, bo zatrzymał się i rzekł:

— Przejdźcie, panie.

Stary rycerz przeszedł, nie chcąc jednak ranić miłości własnej człowieka, na którym mogło mu dużo zależeć, rzekł:

— Widać, panie, że nie tylko znacie różne mowy, lecz i obyczaje macie dworne.

Na to Arnold, rozumiejąc zaledwie niektóre słowa, ozwał się:

— Wolfgang, o co chodzi i co on mówi?

— Do rzeczy mów! — odpowiedział Wolfgang, któremu widocznie pochlebily Maćkowe słowa.

Po czym zasiedli przy ognisku i przyniesiono jeść i pić. Nauka dana Niemcom przez Maćka nie poszła jednakże w las, gdyż Wolfgang od niego zaczynał poczęstunek. Z rozmowy dowiedział się przy tym stary rycerz, jakim sposobem wpadli w pułapkę. Oto Wolfgang, młodszy brat Arnolda, prowadził człuchowską piechotę także przeciw zbuntowanym Żmujdzinom do Gotteswerder, ta jednakże, jako pochodząca z dalekiej komturii, nie mogła nadażyć jeździe. Arnold zaś nie potrzebował na nią czekać, wiedząc, że po drodze napotka inne piesze oddziały z miast i zamków bliższych litewskiej granicy. Z tej przyczyny młodszy ciągnął o kilka dni drogi później — i właśnie znajdował się na szlaku w pobliżu smolarni, gdy służka zakonna, zbiegłszy nocą, dała mu znać o przygodzie, jaka spotkała starszego brata. Arnold słuchając tego opowiadania, które powtórzono mu po niemiecku, uśmiechnął się z zadowoleniem, a wreszcie oświadczył, że spodziewał się, że tak się może zdarzyć.

<sup>1258</sup>lichszy (daw.) — gorszy. [przypis edytorski]

<sup>1259</sup>przywara — wada. [przypis edytorski]

<sup>1260</sup>drzewo — tu: kopia. [przypis edytorski]



Ale przebiegły Maćko, który w każdym położeniu starał się znaleźć jakąś radę, pomyślał, że z pożytkiem będzie zjednać sobie tych Niemców — więc po chwili rzekł:

— Ciężka to zawsze rzecz popaść w niewolę, wszelako Bogu dziękuję, że mnie nie w inne, jeno w wasze oddał ręce, bo, wiera, żeście prawi rycerze i czci przestrzegający.

Na to Wolfgang przymknął oczy i skinął głową, wprawdzie dość sztywnie, ale z widocznym zadowoleniem.

A stary rycerz mówił dalej:

— I że to mowę naszą tak znacie! Dał wam, widzę, Bóg rozum do wszystkiego!

— Mowę waszą znam, bo w Człuchowej naród po polsku mówi, a my z bratem od siedmiu lat pod tamtejszym komturem służym.

— A z porą i z czasem weźmiecie po nim i urząd! Nie może inaczej być... Wždy wasz brat nie mówi tak po naszymu.

— Rozumie trochę, ale nie mówi. Brat ma siłę większą, chociaż i ja nie ułomek, a za to dowcip<sup>1261</sup> tępszy.

— Hej! Nie widzi mi się i on głupi! — rzekł Maćko.

— Wolfgang! Co on powiada? — zapytał znów Arnold.

— Chwali cię — odpowiedział Wolfgang.

— Juźci, chwałę — dodał Maćko — bo prawy jest rycerz, a to grunt! Szczerze wam też powiem, że chciałem go dziś całkiem na słowo puścić, niechby był jechał, gdzie chciał, byle się chociażby i za rok stawił. Także to przecie między pasowanymi rycerzami przystoi.

I począł pilnie patrzeć w twarz Wolfganga, ale ów zmarszczył się i rzekł:

— Puściłbym może i ja was na stawiennictwo, gdyby nie to, żeście psom pogańskim przeciwko nam pomagali.

— Nieprawda jest — odparł Maćko.

I począł się znów taki sam ostry spór jak wczorajszego dnia z Arnoldem. Staremu rycerzowi jednak, chociaż miał słuszność, trudniej szło, gdyż Wolfgang bystrzejszy był istotnie od starszego brata. Wynikła wszelako z owego sporu ta korzyść, że i młodszy dowiedział się o wszystkich szczytniejszych zbrodniach, krzywoprzysięstwach i zdradach, a zarazem o losach nieszczęsnej Danusi. Na to, na owe niegodziwości, którymi rzucił mu w oczy Maćko, nie umiał nic odpowiedzieć. Musiał przyznać, że pomsta była sprawiedliwą i że polscy rycerze mieli prawo tak czynić, jak czynili, a wreszcie rzekł:

— Na błogosławione kości Liboriusza<sup>1262</sup>! Nie ja będę Danvelda żałował. Mówili o nim, że się czarną magią parał, ale moc i sprawiedliwość boska od czarnej magii mocniejsze! Co do Zygryda, nie wiem, czyli takż diablę służył, ale za nim nie pogonię, bo naprzód konnicy nie mam, a po wtóre, jeśli, jako powiadacie, ową dziewicę udęczył, to niechby też z piekła nie wyrzał!

Tu przeżegnał się i dodał:

— Boże, bądź mi ku pomocy i przy skonaniu!

— A z ową nieszczęsną męczennicą jakoże będzie? — zapytał Maćko. — Zali nie pozwolicie jej odwieźć do domu? Zali ma w waszych podziemiach konać? Wspomnijcie na gniew Boży!...

— Mnie do niewiasty nic — odpowiedział szorstko Wolfgang. — Niech jeden z was odwiezie ją ojcu, byle się potem stawil; ale drugiego nie puszczę.

— Ba, a gdybym na cześć i na włócznie świętego Jerzego zaprzysiął?

Wolfgang zawahał się nieco, gdyż wielkie to było zakłęcie, ale w tej chwili Arnold spytał po raz trzeci:

— Co on powiada?

I dowiedziawszy się, o co chodzi, począł przeciw się zapalczywie i po grubiańsku wypuszczaniu obu na słowo. Miał on w tym swoje wyrachowanie: oto był zwyciężon w większej bitwie przez Skirwoillę, a w pojedynczej przez tych polskich rycerzy. Jako żołnierz wiedział także, że ta piechota brata musi teraz wracać do Malborga, bo chcą iść dalej do Gotteswerder, szłaby po zniszczeniu poprzednich oddziałów jako na rzeź. Wiedział więc, że trzeba mu będzie stanąć przed mistrzem i marszałkiem, i rozumiał, że mniejszy mu będzie wstyd, gdy będzie miał do pokazania choć jednego znaczniejszego

<sup>1261</sup>dowcip (daw.) — rozum. [przypis edytorski]

<sup>1262</sup>św. Liboriusz (zm. IV w.) — biskup Le Mans. [przypis edytorski]

jeńca. Żywy rycerz, którego się przedstawia do oczu, więcej znaczy niż opowiadanie, że się takich dwóch wzięło w niewolę.

Jakoż Maćko, słuchając chrapliwego wrzasku i klątw Arnolda, pojął od razu, że należy przyjąć, co dają, gdyż więcej nic nie wskóra, i rzekł, zwracając się do Wolfganga:

— To proszę was, panie, jeszcze o jedno: pewien ci jestem, iż mój bratanek sam będzie rozumiał, że jemu wypada zostać przy żonie, a mnie z wami. Ale na wszelki wypadek pozwólcie oznajmić mu, że nie ma o tym co gadać, bo taka wasza wola.

— Dobrze, wszystko mi to jedno — odpowiedział Wolfgang. — Pomówmy jeno o okupie, który wasz bratanek za siebie i za was ma przywieźć, bo od tego wszystko zależy.

— O okupie? — zapytał Maćko, który wolałby był odłożyć tę rozmowę na później. — Albo to mało mamy czasu przed sobą? Gdy z pasowanym rycerzem sprawa, to słowo tyle znaczy, co gotowe pieniądze, a i wedle ceny można się na sumienie zdać. My oto pod Gotteswerder wzięliśmy w niewolę znacznego waszego rycerza, niejakiego pana de Lorche, i bratanek mój (on to bowiem go pojmał) puścił go na słowo, wcale się o cenę nie umawiając.

— Wzięliście pana de Lorche? — zapytał żywo Wolfgang. — Ja go znam. Można to rycerz. Ale czemu to nie spotkaliście go w drodze?

— Bo widać tędy nie pojechał, jeno do Gotteswerder albo ku Ragnecie — odparł Maćko.

— Można i znamienitego rodu to rycerz — powtórzył Wolfgang. — Suto się obłowicie! Ale dobrze, żeście o tym wspomnieli, bo teraz i was za byle co nie puszczać.

Maćko przygryzł wąsa, jednakże podniósł dumnie głowę:

— My i bez tego wiemy, ileśmy warci.

— Tym lepiej — rzekł młodszy von Baden.

Ale zaraz potem dodał:

— Tym lepiej, nie dla nas, bośmy pokorni mnisi, którzy ubóstwo ślubowali, lecz dla Zakonu, który waszych pieniędzy użyje na chwałę Bożą.

Maćko nie odrzekł na to nic, spojrział tylko na Wolfganga tak, jakby mu chciał powiedzieć: „Powiedz to komu innemu” — i po chwili poczęli się ukladać. Była to dla starego rycerza ciężka i drażliwa rzecz, bo z jednej strony czuły był wielce na wszelką stratę, z drugiej zaś rozumiał, że nie wypada mu siebie i Zbyszka zbyt mało cenić. Wił się tedy jak piskorz, tym bardziej że Wolfgang, lubo niby ludzki i gładki w mowie, okazał się niepomniernie chciwym i twardym jako kamień. Jedyłą pociechą była Maćkowi myśl, że zapłaci za to wszystko de Lorche, ale i tak żałował straconej nadziei zysku, na przybytek<sup>1263</sup> zaś z wykupu Zygryfryda nie liczył, myślał bowiem, że Jurand, a nawet i Zbyszko za żadną cenę nie wyrzekną się jego głowy.

Po długich układach zgodził się wreszcie na ilość grzywien i na termin i zawarowawszy<sup>1264</sup> wyraźnie, ilu pacholków i ile koni ma wziąć Zbyszko, poszedł mu to oznajmić, przy czym widocznie w obawie, aby Niemcom nie strzeliła jaka inna myśl do głowy, radził mu, aby wyjeżdżał natychmiast.

— Tak to w rycerskim stanie — mówił, wzdychając — wczora tyś za łeb trzymał, dzisiaj ciebie trzymają! Ano, trudno! Da Bóg, przyjdzie znów nasza kolej! Ale teraz czasu nie trać. Warto jadący<sup>1265</sup>, zgonisz Hławę i przepieczniej wam będzie razem, a byle raz z puszczy się wydostać i w ludzkim kraju na Mazowszu stanąć, to przecie u każdego szlachcica alibo włodyki znajdziecie gościnę i pomoc, i starunek. Obcym ci tego u nas nie odmówią, a cóż dopiero swoim! Dla tej niebogi może też być w tym zbawienie.

Tak mówiąc, spoglądał na Danusię, która pogrążona w półśnie, oddychała szybko i rozgłośnie. Przezroczyście jej ręce leżące na ciemnej niedźwiadkowej skórze drgały gorączkowo.

Maćko przeżegnał ją i rzekł:

— Hej, bierz ją i jedź! Niechże to Bóg odmieni, bo widzi mi się, że cienko ona przędzie!

— Nie mówcie! — zawołał z rozpaczliwym przyciskiem Zbyszko.

<sup>1263</sup>przybytek — tu: zysk. [przypis edytorski]

<sup>1264</sup>zawarować (daw.) — zastrzec. [przypis edytorski]

<sup>1265</sup>jadący — dziś popr.: jadąc. [przypis edytorski]

— Moc boska! Każę ci tu konia podprowadzić, a ty jedź!

I wyszedłszy z izby, zarządził wszystko do odjazdu. Turczynkowie, podarowani od Zawiszy, podprowadzili konie z kołyską wymoszczoną mchem i skórą, a pacholek Wit Zbyszkiego wierzchowca — i po chwili Zbyszko wyszedł z izby, trzymając na ręku Danusię. Było w tym coś tak wzruszającego, że obaj bracia von Baden, których ciekawość przywiodła przed chatę, ujrawszy na wpół dziecinną jeszcze postać Danuśki, jej twarz podobną istotnie do twarzy świętych pańienek z kościelnych obrazów i jej słabość tak wielką, że nie mogąc dźwignąć głowy, trzymała ją wspartą ciężko na ramieniu młodego rycerza, poczęli spoglądać po sobie ze zdziwieniem i burzyć się w sercach przeciw sprawcom jej niedoli. „Jużci, katowskie, nie rycerskie serce miał Zygfryd — szepnął do brata Wolfgang — a ową żmiję, chociaż za jej przyczyną uwolnion, każę różgami osmagać”. Wzruszyło ich i to także, że Zbyszko niesie Danusię na ręku jak matka dziecko — i zrozumieli jego kochanie, gdyż obaj mieli jeszcze młodą krew w żyłach.

On zaś zawahał się przez chwilę, czy chorą przed się wziąć na siodło i trzymać w drodze przy piersi, czy też złożyć w kołysce. Namyślił się wreszcie na to ostatnie, mniemając, że wygodniej jej będzie jechać, leżący<sup>1266</sup>. Zatem zbliżywszy się do stryjca, pochylił się do jego ręki, aby ucałować ją na pożegnanie, ale Maćko, którego w rzeczy miłował go jak źrenicę oka, jakkolwiek nie chciał okazywać przy Niemcach wzruszenia, nie mógł się jednak powstrzymać i objąwszy go mocno, przycisnął usta do jego bujnych, złotych włosów.

— Boże cię prowadź! — rzekł. — A o starym przecie pamiętaj, bo niewola zawsze to ciężka rzecz.

— Nie zapomnę — odpowiedział Zbyszko.

— Daj ci Matko Najświętsza pociechę!

— Bóg wam zapłać i za to... i za wszystko.

Po chwili Zbyszko siedział już na koniu, ale Maćko przypomniał sobie jeszcze coś, gdyż skoczył ku niemu i położywszy mu dłoń na kolanie, rzekł:

— Słuchaj! A jeśli Hławę dogonisz, to co do Zygfryda, bacz, byś hańby i na się, i na mój siwy włos nie ściągnął. Jurand: dobrze, ale nie ty! Na miecz mi to przysięgnij i na cześć!

— Póki nie wrócicie, to i Juranda pohamuję, aby się na was za Zygfryda nie pomścili — odpowiedział Zbyszko.

— Tak-że ci o mnie chodzi?

A młodzianek uśmiechnął się smutno:

— Przecie wiecie.

— W drogę! Jedź w zdrowiu!

Konie ruszyły i wkrótce przesłoniła je jasna leszczynowa gęstwina. Maćkowi stało się nagle okrutnie markotno i samotnie, a dusza rwała mu się ze wszystkich sił za tym umiłowanym chłopakiem, w którym była cała nadzieja rodu. Ale wraz otrząsnął się z żalu, gdyż był człowiekiem twardym i moc nad sobą mającym.

„Dziękować Bogu — rzekł sobie — że nie on w niewoli jest, jeno ja...”. I zwrócił się ku Niemcom:

— A wy, panie, kiedy ruszycie i dokąd?

— Kiedy nam się spodoba — odpowiedział Wolfgang — a ruszymy do Malborga, gdzie przed mistrzem naprzód musicie, panie, stanąć.

„Hej, jeszcze mi tam szyję gotowi za pomaganie Żmujdzinom uciąć!” — rzekł sobie Maćko.

Jednakże uspokajała go myśl, że jest w odwodzie pan de Lorche i że sami von Badenowie będą bronili jego głowy choćby dlatego, aby ich okup nie minął.

„Bo jużci — mówił sobie — że w takowym zdarzeniu Zbyszko nie potrzebowałby ni sam stawać, ni chudoby pomniejszać”.

I myśl ta przyniosła mu pewną ulgę.

Niewola

<sup>1266</sup>leżący — dziś popr.: leżąc. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Zbyszko nie mógł zgonić swego giermka, albowiem ów jechał dniem i nocą, tyle tylko wypoczywając, ile było koniecznie trzeba, aby konie nie popadały, które, jako żywione samą trawą, mdle były i nie mogły czynić tak wielkich pochodów jak w krajach, w których łatwiej było o owies. Sam siebie Hława nie szczędził, a na późny wiek i osłabienie Zygryda nie zważał. Cierpiał też stary Krzyżak okrutnie, tym bardziej że żyłasty Maćko nadwerężył mu poprzednio kości. Ale najcięższe były dla niego komary rojące się w wilgotnej puszczy, od których, mając związane ręce, a przykrępowane do brzucha końskiego nogi, opędzać się nie mógł. Giermek nie zadawał mu wprawdzie żadnych osobnych<sup>1267</sup> mąk, ale i litości nad nim nie miał, i uwalniał mu prawicę z więzów tylko na postojach przy jedle: „Jedz, wilcza mordo, abym cię żywiego panu na Spychowie mógł dowieźć!”. Takie były słowa, którymi go do posiłku zachęcał. Zygrydowi przyszła wprawdzie z początku podróży myśl, by się głodem zamorzyć, ale gdy usłyszał zapowiedź, że będą mu zęby nożem podważać i przemocą w gardło łać, wołał ustąpić, aby do poniewierania swej godności zakonnej i czci rycerskiej nie dopuścić.

A Czech chciał koniecznie znacznie przed „panami” przybyć do Spychowa, aby swoją uwielbianą panienkę od wstydu uchronić. Prostym, ale roztropnym i niepozbawionym uczuć rycerskich szlachetką będąc, rozumiał to jednak doskonale, że byłoby w tym coś upokarzającego dla Jagienki, gdyby znalazła się w Spychowie razem z Danusią. „Można będzie w Płocku biskupowi powiedzieć — myślał — że staremu panu z Bogdańca z opiekuństwa tak wypadło, że ją z sobą musiał brać, a potem niech się jeno rozgłosi, że ona pod biskupią opieką i że prócz Zgorzelic jeszcze i po opacie dziedzictwo na nią idzie — to choćby i wojewodziński syn nie będzie dla niej za dużo”. I ta myśl osładzała mu trudy pochodów, bo zresztą trapił się myślą, że ta szczęśna nowina, którą do Spychowa wiezie, będzie jednak dla panienki wyrokiem niedoli.

Często też stawiała mu przed oczyma rumiana jak jabłuszko Sieciechówna. Naówczas, o ile drogi pozwalały, lechał boki konia ostrogami, albowiem tak pilno było mu do Spychowa.

Jechali błędnymi drogami, a raczej bezdrożem przez bór, wprost przed siebie, jak sierpem rzucił. Wiedział tylko Czech, że jadąc nieco ku zachodowi, a wciąż na południe, musi dojechać na Mazowsze, a wówczas wszystko już będzie dobrze. W dzień kierował się słońcem, a gdy pochód w noc się przeciągnął, gwiazdami. Puszcza przed nimi zdawała się nie mieć granic ni końca. Płynęły im wśród mroków nocnych dni i noce. Nieraz myślał Hława, że nie przewiezie młody rycerz żywej niewiasty przez to okropne bezludzie, gdzie znikąd pomocy, znikąd żywności, gdzie nocami koni trzeba było strzec od wilków i niedźwiedzi, w dzień ustępować z drogi stadom żubrów i turów, gdzie straszne odyńce ostrzyły krzywe kły o korzenie sosen i gdzie często, kto nie przedział z kuszy albo nie przebódl dzidą cętkowanych boków jelonka lub warchlaka, ten całymi dniami jeść co nie miał.

„Jakże tu będzie — myślał Hława — jechać z taką niedomęczoną dziewczką, która ostatnim tchem goni!”

Przychodziło im raz po raz objeżdżać rozległe grzędzawy<sup>1268</sup> lub głębokie parowy<sup>1269</sup>, na których dnie szumiały wzdęte wiosennymi dżdżami potoki. Nie brakło w puszczy i jezior, w których widywali przy zachodzie słońca pławiące się w rumianych, wygładzonych wodach całe stada losiów lub jeleni. Czasem spostrzegali też dymy zwiastujące obecność ludzi. Kilkakrotnie Hława zbliżał się ku takim borowym osadom, ale wysypywał się z nich na spotkanie lud dziki, przybrany w skóry na gołym ciele, zbrojny w kiścienie i łuki, a patrzący tak złowrogo spod poskręcanych przez kołtun<sup>1270</sup> czupryn, że trzeba było korzystać co ducha z pierwszego zdumienia, w jaki ich wprawiał widok rycerzy, i odjeżdżać jak najspieszniej.

Dwa razy jednak świstały za Czechem groty i gonił go okrzyk: „Wokili!” (Niemcy!), on zaś wołał umykać, niż wywodzić się, kto jest. Nareszcie po kilku jeszcze dniach za-

<sup>1267</sup>osobny — tu: dodatkowy. [przypis edytorski]

<sup>1268</sup>grzędzawa — dziś popr.: grzędzawisko. [przypis edytorski]

<sup>1269</sup>parów — wąwóz. [przypis edytorski]

<sup>1270</sup>kołtun — splecione włosy, często zaatakowane przez robactwo. [przypis edytorski]

czął przypuszczać, że może już i przejechał granicę, ale na razie nie było się kogo spytać. Dopiero od osaczników mówiących polską mową dowiedział się, że na koniec stanął na ziemiach mazowieckich. Tam szło już łatwiej, chociaż całe wschodnie Mazowsze szumiało również jedną puszcza. Nie skończyło się także bezludzie, ale tam, gdzie zdarzyła się osada, mieszkaniem mniej był nieużyty, może dlatego, że nie karmił się wciąż nienawiścią, a może i z tej przyczyny, że Czech odzywał się zrozumiałym dla niego językiem. Bieda bywała tylko z niezmierną ciekawością tych ludzi, którzy otaczali gromadnie jeźdźców i zarzucali ich pytaniami, a dowiedziawszy się, że jeńca-Krzyżaka wiodą, mówili:

— Podarujcież go nam, panie; już my go sprawim<sup>1271</sup>!

I prosili tak natarczywie, że Czech często musiał się gniewać albo tłumaczyć im, że jeńiec jest książęcy. To wówczas ustępowali. Później, w kraju już osiadłym, ze szlachcą i włódkami nie szło też łatwo. Wrzała tam nienawiść przeciw Krzyżakom, pamiętano bowiem żywo wszędzie zdradę i krzywdę wyrządzoną księciu wówczas, gdy w czasie największego spokoju porwali go Krzyżacy pod Złotoryją i zatrzymali jako więźnia. Nie chciano tam już wprowadzić „sprawiać” Zygryda, ale ten lub ów twardy szlachcic mówił: „Rozwiążcie go, to mu dam oręż i za miedzą pozwę go na śmierć”. Takim wkładał jako łopatą w głowę Czech, że pierwsze prawo do pomsty ma nieszczęsny pan spychowski i że nie wolno go jej pozbawiać.

Ale w osiadłych stronach łatwo już szła podróż, bo były jakie takie drogi i konie wszędzie karmiono owsem lub jęczmieniem. Jechał też Czech żywo, nie zatrzymując się nigdzie, i na dziesięć dni przed Bożym Ciałem stanął w Spychowie.

Przyjechał wieczorem, jak wówczas, gdy go był Maćko ze Szczytna z wiadomością o swoim odjeździe na Żmujdz przysłał, i tak samo jak wówczas zbiegła do niego, ujrawszy go z okna, Jagienka, a on jej do nóg padł, słowa przez chwilę nie mogąc przemówić. Ale ona podniosła go i pociągnęła co rychlej na górę, nie chcąc przy ludziach wypytywać.

— Co za nowiny? — spytała, drżąc z niecierpliwości i ledwie mogąc dech złapać. — Żywi są? Zdrowi?

— Żywi! Zdrowi!

— A ona znalazła się?

— Jest. Odbili ją.

— Pochwalony Jezus Chrystus!

Ale mimo tych słów twarz jej stała się jakby skrzepła, bo od razu wszystkie jej nadzieje rozsypały się w proch.

Siły wszakże nie opuściły jej i nie straciła przytomności, a po chwili opanowała się zupełnie i poczęła znów pytać:

— Kiedy zaś tu staną?

— Za kilka dni! Ciężka to droga z chorą.

— Chora ci jest?

— Skatowana. Umysł się jej od męki pomieszał.

— Jezu miłosierny!

Nastało krótkie milczenie, tylko przybladłe nieco usta Jagienki poruszały się jakby w modlitwie.

— Nie obaczyłaże się przy Zbyszku? — spytała znowu.

— Może się i obaczyła, ale nie wiem, bom wraz wyjechał, aby wam, pani, oznajmić nowinę, nim tu staną.

— Bóg ci zapłać. Powiadaj, jako było?

Czech począł opowiadać w krótkich słowach, jak odbili Danusie i wzięli olbrzyma Arnolda razem z Zygrydem. Oznajmił też, że Zygryda przywiózł z sobą, albowiem młody rycerz chciał go dać w podarunku i dla pomsty Jurandowi.

— Trzeba mi teraz do Juranda! — rzekła, gdy skończył, Jagienka.

I wyszła, ale Hława niedługo pozostał sam, gdyż z alkierza wybiegła ku niemu Sieciechówna, a on, czy to dlatego, że nie całkiem był przytomny ze zmęczenia i trudów niezmiernych, czy że tęsknił do niej i zapamiętał się na razie na jej widok, dość że chwycił ją wpół, przycisnął do piersi i począł całować jej oczy, policzki, usta, tak jakby dawno

Zemsta

Miłość

<sup>1271</sup>sprawiać — tu: zamęczyć, oprawić jak zwierzę. [przypis edytorski]

już przedtem powiedział jej wszystko, co przed takim uczynkiem powiedzieć dziewczynie wypada.

I może, że istotnie wypowiedział jej to już w duchu w czasie podróży, bo całował i całował bez końca, a tulił ją do się z taką siłą, że aż w niej oddech zapierało, ona zaś nie broniła się, z początku ze zdumienia, a potem z omdłości tak wielkiej, że byłaby osunęła się na ziemię, gdyby trzymały ją mniej krzepkie ręce. Na szczęście nie trwało to wszystko zbyt długo, gdyż na schodach dały się słyszeć kroki i po chwili wpadł do izby ojciec Kaleb.

Odkoczyli więc od siebie, a ksiądz Kaleb począł znów zarzucać Hławę pytaniami, na które ów, nie mogąc tchu złapać, z trudnością odpowiadał. Ksiądz myślał, że to z trudu. Usłyszawszy jednak potwierdzenie nowiny, że Danusia odbita i znaleziona, a kat jej przywiezion do Spychowa, rzucił się na kolana, aby Bogu dzięki uczynić. Przez ten czas uspokoiła się nieco krew w żyłach Hlawy i gdy ksiądz wstał, mógł mu już spokojnie powtórzyć, jakim sposobem znaleźli i odbili Danusię.

— Nie po to ją Bóg wybawił — rzekł, wysłuchawszy wszystkiego, ksiądz — aby rozum jej i duszę w ciemnościach i we władaniu mocy nieczystych miał pozostawić! Położy Jurand na niej swoje święte ręce i jedną modlitwą przywróci jej rozum i zdrowie.

— Rycerz Jurand? — zapytał ze zdziwieniem Czech. — Takąż on ma moc? Świętym ci może już za życia został?

— Przed Bogiem jest już za życia, a gdy zemrze, będą mieli ludzie w niebiesiech jednego więcej patrona-męczennika.

— Powiedzieliście wszelako, wielbny ojcze, że położy ręce na głowie córki. Zali by mu prawica odrosła? Bo wiem, żeście o to Pana Jezusa prosili.

— Powiedziałem: „ręce”, jako się zwyczajnie mówi — odrzekł ksiądz — ale przy łasce Boskiej i jedna wystarczy.

— Pewnie — odpowiedział Hlawa.

Ale w głosie jego było nieco zniechęcenia, gdyż myślał, że widomy cud zobaczy. Dalszą rozmowę przerwał wejście Jagienki.

— Oznajmiłam mu — rzekła — nowinę ostrożnie, aby go nagła radość nie zabiła, a on zaraz padł krzyżem i modli się.

— On i bez tego całymi nocami tak leży, a dziś tym bardziej pewnie do rana nie wstanie — powiedział ksiądz Kaleb.

Jakoż tak się stało. Kilka razy zaglądali do niego i za każdym razem znajdowali go leżącego, nie w uspieniu, lecz w modlitwie tak gorliwej, że do zupełnego zapamiętania się dochodzącej.

Dopiero nazajutrz, znacznie po jutrzni, gdy Jagienka zajrzała znów do niego, dał znać, że chce widzieć Hławę i jeńca. Wyprowadzono wówczas z podziemia Zygfyda ze skrupowanymi w krzyż na piersiach rękoma i wszyscy razem z Tolimą udali się do starca.

W pierwszej chwili Czech nie mógł mu się dobrze przyjrzeć, gdyż błoniaste okna mało przepuszczały światła, a dzień był ciemny z powodu chmur, które zawały całkiem niebo i zapowiadały groźną nawałnicę. Ale gdy bystre jego oczy przywykły do mroku, zaledwie go poznał, tak jeszcze wychudł i wynędzniał. Olbrzymi mąż zmienił się w olbrzymiego kościeja<sup>1272</sup>. Twarz miał tak białą, że nie różniła się wiele od mlecznej barwy włosów i brody, a gdy przechyliwszy się na poręcz krzesła, przymknął powieki, wydał się Hławie po prostu trupem.

Przy krzesle stał stół, a na nim krucyfiks, dzban z wodą i bochen czarnego chleba z utkwioną w nim mizerykordią, czyli groźnym nożem, którego rycerze używali do dobijania rannych. Innego pokarmu prócz chleba i wody od dawna już Jurand nie używał. Za odzież służyła mu gruba włosiennica<sup>1273</sup>, przepasana powróstem<sup>1274</sup>, którą nosił na gołym ciele. Tak to od czasu powrotu ze szczycieńskiej niewoli żył możny i straszny niegdyś rycerz ze Spychowa.

Posłyszawszy wchodzących, odsunął nogą oswojoną wilczycę, która ogrzewała mu bosa stopy, i podał się w tył<sup>1275</sup>. Wtedy to właśnie wydał się Czechowi jak umarły. Nastąpiła chwila oczekiwania, spodziewano się bowiem, że uczyni jakiś znak, aby kto zaczął mówić,

<sup>1272</sup>kościęj (daw.) — szkielet. [przypis edytorski]

<sup>1273</sup>włosiennica — szorstkie ubranie, noszone na gołe ciało w celach pokutnych. [przypis edytorski]

<sup>1274</sup>powrósto (daw.) — powróż, gruby sznur. [przypis edytorski]

<sup>1275</sup>podać się w tył (daw.) — pochylić się w tył. [przypis edytorski]

ale on siedział nieruchomy, biały, spokojny, z otwartymi nieco ustami, jakoby istotnie pogrążony w wieczystym uspieniu śmierci.

— Jest tu Hlawa — ozwała się wreszcie słodkim głosem Jagienka — chcecie-li go wysłuchać?

Skinął głową na znak zgody, więc Czech rozpoczął po raz trzeci opowiadanie. Wspomniał pokrótce o bitwach stoczonych z Niemcami pod Gotteswerder, opowiedział walkę z Arnoldem von Baden i odbicie Danusi, ale nie chcąc przydawać staremu męczennikowi boleści do dobrej nowiny i budzić w nim nowego niepokoju, zataił, że umysł Danusi pomieszał się przez długie dni okrutnej niedoli.

Natomiast mając serce zawzięte przeciw Krzyżakom i pragnąc, aby Zygfryd jak najniemiłosierniej był pokaran, nie zataił umyślnie, że znaleźli ją przeleknioną, wynędzniałą, chorą, że znać<sup>1276</sup> było, że obchodzono się z nią po katowsku i że gdyby była dłużej pozostała w tych strasznych rękach, byłaby uwiędła i zgasła tak właśnie, jako więdnie i ginie podeptane nogami kwiecie. Ponurej tej opowieści towarzyszył niemniej posępny pomruk zapowiadającej się burzy. Miedziane zwały chmur kłębiły się coraz potężniej nad Spychowem.

Jurand słuchał opowiadania bez jednego drgnienia i ruchu, tak że obecnym zdawać się mogło, iż pogrążony jest we śnie. Słyszał jednak i rozumiał wszystko, bo gdy Hlawa zaczął mówić o niedoli Danusi, wówczas w pustych jamach oczu zebrały mu się dwie wielkie łzy i spłynęły mu po policzkach. Ze wszystkich ziemskich uczuć pozostało mu jeszcze jedno tylko: miłość do dziecka.

Potem sinawe jego usta poczęły się poruszać modlitwą. Na dworze rozległy się pierwsze, dalekie jeszcze grzmoty i błyskawice jęły kiedy niekiedy rozświecać okna. On modlił się długo i znów łzy kapały mu na białą brodę. Aż wreszcie przestał i zapadło długie milczenie, które przedłużając się nad miarę, stało się na koniec uciążliwe dla obecnych, bo nie wiedzieli, co mają z sobą robić.

Na koniec stary Tolima, prawa Jurandowa przez całe życie ręka, towarzysz we wszystkich bitwach i główny stróż Spychowa, rzekł:

— Stoi przed wami, panie, ten piekielnik, ten wilkołak krzyżacki, który katował was i dziecko wasze; dajcie znak, co mam z nim uczynić i jako go pokarać?

Na te słowa przez oblicze Juranda przebiegły nagle promienie — i skinął, aby mu przywiedziono tuż więźnia.

Dwaj pachołkowie chwycili go w mgnieniu oka za barki i przywiedli przed starca, a ów wyciągnął rękę, przesunął naprzód dłoń po twarzy Zygfryda, jakby chciał sobie przypomnieć lub wrazić w pamięć po raz ostatni jego rysy, następnie opuścił ją na piersi Krzyżaka, zmacał skrzyżowane na nich ramiona, dotknął powrozów — i przymknąwszy znów oczy, przechylił głowę.

Obecni mniemali, że się namyślał. Ale cokolwiek bądź czynił, nie trwało to długo, gdyż po chwili ocknął się — i skierował dłoń w stronę bochenka chleba, w którym utkwiona była złowroga mizerykordia. Wówczas Jagienka, Czech, nawet stary Tolima i wszyscy pachołkowie zatrzymali dech w piersiach. Kara była stokroć zasłużona, pomsta słuszna, jednakże na myśl, że ów na wpół żywy starzec będzie rzezał omackiem skropowanego jeńca, wzdrygnęły się w nich serca.

Ale on, ująwszy w połowie nóż, wyciągnął wskazujący palec do końca ostrza, tak aby mógł wiedzieć, czego dotyka, i począł przecinać sznury na ramionach Krzyżaka. Zdumienie ogarnęło wszystkich, zrozumieli bowiem chęć — i oczom nie chcieli wierzyć. Tego jednak było im zanadto. Hlawa jął pierwszy szemrać, za nim Tolima, za tymi pachołkowie. Tylko ksiądz Kaleb począł pytać przerywanym przez niepomamowany płacz głosem:

— Bracie Jurandzie, czego chcecie? Czy chcecie darować jeńca wolnością?

— Tak! — odpowiedział skinieniem głowy Jurand.

— Chcecie, by odszedł bez pomsty i kary?

— Tak!

Pomruk gniewu i oburzenia zwiększył się jeszcze, ale ksiądz Kaleb nie chcąc, by zmarzał tak niesłychany uczynek miłosierdzia, zwrócił się ku szemrzącym i zawołał:

<sup>1276</sup>znać — poznać, widać. [przypis edytorski]

— Kto się świętemu śmie sprzeciwić? Na kolana!

I klękawszy sam, począł mówić:

— Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje...

I odmówił *Ojcie nasz* do końca. Przy słowach: „i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”, oczy jego zwróciły się mimo woli na Juranda, którego oblicze zajaśniało istotnie jakimś nadziemskim światłem.

A widok ów w połączeniu ze słowami modlitwy skruszył serca wszystkich obecnych, gdyż stary Tolima o zatwardziałej w ustawicznych bitwach duszy, przeżegnawszy się krzyżem świętym, objął następnie Jurandowe kolano i rzekł:

— Panie, jeśli wasza wola ma się spełnić, to trzeba jeńca do granicy odprowadzić.

— Tak! — skinął Jurand.

Coraz częstsze błyskawice rozświecały okna; burza była bliżej i bliżej.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Dwaj jeźdźcy zdążyli wśród wichru i nawałnego już chwilami dżdżu ku spychowskiej granicy: Zygfyrd i Tolima. Ten ostatni odprowadzał Niemca z obawy, aby po drodze nie zabili go chłopci czatownicy<sup>1277</sup> lub czeladź spychowska, płonąca ku niemu straszną nienawiścią i zemstą. Zygfyrd jechał bez broni, ale i bez pęt. Burza, którą gnał wicher, była już nad nimi. Kiedy niekiedy, gdy huknął niespodziany grzmot, konie przysiadły na zadach. Oni jechali w głębokim milczeniu zapadłym wądołem, nieraz z powodu ciasnoty drogi tak blisko siebie, że strzemię trącało o strzemię. Tolima, przywykły od całych lat do stróżowania jeńców, spoglądał i teraz chwilami na Zygfylda baczynym okiem, jak gdyby mu chodziło o to, aby niespodzianie nie umknął — i dreszcz mimowolny przejmował go za każdym razem, albowiem wydawało mu się, że oczy Krzyżaka świecą w pomroce jak oczy złego ducha albo upióra. Przychodziło mu nawet do głowy, aby go przeżegnać, ale na myśl, że pod znakiem krzyża może mu zawyje nieludzkim głosem i zmieniwszy się w szkaradny kształt, pocznie kłapać zębami, zdejmował go strach jeszcze większy. Stary wojownik, który umiał bić w pojedynkę w całe kupy Niemców, jak jastrząb bije w stado kuropatw — bał się jednakże sił nieczystych i nie chciał mieć z nimi do czynienia. Wolałby też był pokazać Niemcowi po prostu dalszą drogę i zawrócić, ale wstyd mu było samego siebie, więc odprowadził go aż do granicy.

Tam, gdy dotarli do krańca spychowskiego lasu, nastąpiła przerwa w dżdżu i chmury zajaśniały jakimś dziwnym żółtym światłem. Uczyniło się widniej i oczy Zygfyryda utraciły ów poprzedni niesamowity blask. Ale wówczas napadła na Tolimę inna pokusa: „Kazali mi — mówił sobie — odprowadzić tego wściekłego psa przepiecznie aż do granicy, tom go i odprowadził; ale zaliż ma on odjechać bez pomsty i kary, ów kat pana mojego i jego dziecka, i czy nie byłby to godny a miły Bogu uczynek zgładzić go? Ej! Nużbym go pozwał na śmierć? Nie ma ci on wprawdzie broni, ale o miłą zaraz, w pana Warcimowym dworzyszczu, dadzą mu przecie jaki miecz albo okszę — i będę się z nim potykał. Da Bóg, obalę go, a potem dorżnę, jako przystoi, i głowę w gnoju zakopię!”. Tak mówił do siebie Tolima i spoglądając łakomie na Niemca, jął poruszać nozdrzami, jakby już zwietrzył zapach świeżej krwi. I ciężko musiał walczyć z tą żądzą, ciężko łamać się z sobą, aż dopiero gdy pomyślał, że Jurand nie do granicy tylko darował życie i wolność jeńcowi i że w takim razie na nic by się nie przydał pański święty uczynek i zmniejszyłaby się za niego nagroda niebieska, przewyciężył się wreszcie i powstrzymałszy konia, rzekł:

— Oto granica nasza, a i do waszej niedaleko. Jedźcie wolny, a jeśli cię zgryzota nie zdławi i piorun boski nie doścignie, to od ludzi nic ci nie grozi.

I to rzekłszy, zawrócił, a tamten pojechał przed siebie z jakąś dziką skamieniałością w twarzy, nie odezwaawszy się ani jednym słowem i jakby nie słysząc, że ktoś do niego przemówił.

I jechał dalej szerszym już gościńcem, rzekłbyś, pogrążon we śnie.

Krótką była przerwa w burzy i krótko trwało rozjaśnienie. Ściemniło się znów tak, iż rzekłbyś, na świat padł mrok wieczorny i chmury zstały nisko, prawie nad sam bór. Z góry dochodził złowrogi pomruk i jakby niecierpliwy syk i warczenie piorunów, które

<sup>1277</sup> czatownik (daw.) — wartownik lub zwiadowca. [przypis edytorski]



hamował jeszcze anioł burzy. Ale błyskawice rozświecały już co chwila oślepiającym blaskiem groźne niebo i przerażoną ziemię i wówczas widać było szeroką drogę idącą wśród dwóch czarnych ścian boru, na niej zaś w pośrodku samotnego jeźdźca na koniu. Zygryfd jechał na wpół przytomny, trawiony przez gorączkę. Rozpacz żrała mu duszę od czasu śmierci Rotgiera, zbrodnie popełnione przez zemstę, zgryzoty, przerażające widzenia, duszne<sup>1278</sup> targaniny zmąciły jego umysł już od dawna do tego stopnia, że z największym tylko wysiłkiem bronił się szaleństwu, a chwilami nawet mu się poddawał. Świeżo zaś — i trudy podróży pod twardą ręką Czecha, i noc spędzona w spychowskim więzieniu, i niepewność losu, a nade wszystko ów niesłychany, nadludzki niemal czyn łaski i miłosierdzia, który po prostu go przeraził, wszystko to potargało go do ostatka. Chwilami tężała<sup>1279</sup> i krzepła w nim myśl, tak że zupełnie tracił rozpoznanie, co się z nim dzieje, ale potem znów gorączka budziła go i zarazem budziła w nim jakieś głuche poczucie rozpaczy, zatruty, zguby — poczucie, że wszystko już minęło, zgasło, skończyło się, że nadszedł jakiś kres, że naokół jeno noc i noc, i nicość, i jakby jakaś otchłań okropna wypełniona przerażeniem, ku której musi jednak iść.

— Idź! Idź! — szepnął mu nagle nad uchem jakiś głos.

A on obejrzał się — i ujrzał śmierć. Sama kształtu kościotrupa, siedząc na kościotrupie końskim, sunęła tuż obok, biała i klekocąca kośćmi.

— Jesteś? — zapytał Krzyżak.

— Jestem. Idź! Idź!

Ale w tej chwili spostrzegł, że z drugiej strony ma także towarzysza: strzemię w strzemię jechał jakiś twór ciałem podobny do człowieka, ale z nieludzką twarzą, głowę miał bowiem zwierzęcą, ze stojącymi uszami, długą, spiczastą i pokrytą czarną sierścią.

— Ktoś ty? — zawołał Zygryfd.

Ów zaś, zamiast odpowiedzieć, pokazał mu zęby i począł głucho warczeć.

Zygryfd zamknął oczy, ale natychmiast usłyszał potężniejszy chrzęst kości i głos mówiący mu w samo ucho:

— Czas! Czas! Śpiesz się! Idź!

I odpowiedział:

— Idę!...

Ale odpowiedź ta wyszła z jego piersi tak, jakby ją dał kto inny.

Potem, rzekłbys, popychany jakąś nieprzepartą zewnętrzną siłą, zsiadł z konia i zdjął z niego wysokie rycerskie siodło, a następnie uzdę. Towarzysze, zsiadłszy także, nie odstąpili go ani na mgnienie oka — i zawiedli ze środka drogi na skraj boru. Tam czarny upiór pochylił mu gałąź i pomógł przywiązać do niej rzemień uzdy.

— Śpiesz się! — szepnęła śmierć.

— Śpiesz się! — zaszumiały jakieś głosy w wierzchołkach drzew.

Zygryfd, pogrążony jakby we śnie, przewlókł drugi lejc przez sprzączkę, uczynił pętlę — wstąpiwszy na siodło, które złożył poprzednio pod drzewem, założył ją sobie na szyję.

— Odepchnij siodło!... Już! Aa!

Trącone nogą siodło potoczyło się o kilka kroków — i ciało nieszczęsnego Krzyżaka zwisło ciężko.

Przez jedno mgnienie oka wydało mu się, że słyszy jakiś chrapliwy, stłumiony ryk i że ów ohydny upiór rzucił się na niego, zakołysał nim i począł zębami szarpać mu piersi, aby ukąsić go w serce. Ale potem gasnące jego źrenice ujrzały jeszcze co innego: oto śmierć rozplynęła się w jakiś białawy obłok, który z wolna posunął się ku niemu, objął go, ogarnął, otoczył i zakrył wreszcie wszystko okropną, nieprzenikliwą zasłoną.

W tej chwili burza rozsiałała się z niezmierną wściekłością. Piorun huknął w środek drogi z tak straszliwym łoskotem, jakby ziemia zapadała się w posadach. Cały bór ugiął się pod wichrem. Szum, świst, wycie, skrzypienie pni i trzask łamanych gałęzi wypełniły głębie leśne. Fale dżdżu gnane wichrem przesłoniły świat — i tylko w czasie krótkich, krwawych błyskawic można było dojrzeć rozhuśtany dziko nad drogą trup Zygryfda.

Nazajutrz tą samą drogą posuwał się dość liczny orszak. Na przodzie jechała Jagienka z Sieciechówną i Czechem, za nimi szły wozy, otoczone przez czterech zbrojnych w kusze

<sup>1278</sup>duszny — tu: dotyczący duszy. [przypis edytorski]

<sup>1279</sup>tężeć — zastęgać. [przypis edytorski]

i miecze pacholków. Z woźniców każdy miał też obok siebie oszczep i siekiere, nie licząc okutych widel i innych narzędzi w drodze przydatnych. Potrzebne to było tak dla obrony od dzikiego zwierza, jak od kup rozbójniczych, które wiecznie grasowały na krzyżackiej granicy, a na które gorzko się skarżył wielkiemu mistrzowi Jagiello i w listach, i osobiście na zjazdach w Raciążu.

Ale mając ludzi sprawnych i dobry sprzęt obronny, można się było ich nie lękać, poczet więc jechał ufny w siebie i wolny od obaw. Po wczorajszej burzy nastął dzień przeczudny, rzeźwy, cichy i tak jasny, że tam, gdzie nie było cienia, oczy podróżnych mrużyły się od zbytniego blasku. Żaden liść nie poruszał się na drzewach, a z każdego zwisały się wielkie krople dżdżu, mieniające się tęczą w słońcu. Wśród sosnowych igieł błyszczwały jakby wielkie diamenty. Ulewa potworzyła na gościńcu małe strumyki, które spływały z wesołym szelestem ku niższemu miejscu, tworząc we wgłębieniach płytkie jeziora. Cała okolica była zroszona, mokra, ale śmiejąca się w porannej jasności. W takie poranki radość ogarnia i serce ludzkie, więc woźnice i parobcy podśpiewywali sobie z cicha, dziwiąc się milczeniu, które panowało między jadącymi na przódzie.

Oni zaś milczeli, bo na duszy Jagienki osiadła ciężka troska. W życiu jej coś się skończyło, coś złamało i dziewczyna, chociaż nie bardzo biegła w rozmyślaniu i nieumiejąca wypowiedzieć sobie wyraźnie, co się w niej dzieje i co się jej wydaje, czuła jednak, że wszystko, czym dotychczas żyła, zawiodło i poszło na marne, że rozwiła się w niej wszelka nadzieja, jako poranna mgła rozwiewa się nad polami, że wszystkiego trzeba się będzie wyrzec, wszystkiego zaniechać, o wszystkim zapomnieć i zacząć życie jakby całkiem nowe. Myślała też, że choćby z woli bożej nie było ono całkiem złe, jednakże nie może być inne, jeno smutne, a w żadnym razie nie tak dobre, jak mogłoby być to, które się właśnie skończyło.

Smutek

I żal niezmierny ścisnął jej serce po owej zamkniętej raz na zawsze przeszłości i podnosił się strumieniem łez do oczu. Ale nie chciała płakać, bo i bez tego czuła jakby w dodatku do całego brzemienia, które jej gniotło duszę, jeszcze i wstyd. Wolałaby była nigdy nie wyjeżdżać ze Zgorzelic, byle tak nie wracać teraz ze Spychowa. Bo że tu przyjechała nie tylko dlatego, że nie wiedziała, co czynić po śmierci opata, i nie tylko dlatego, by Czatanowi i Wilkowi odjąć przyczynę do napaści na Zgorzelice, tego nie mogła przed sobą zaprzecić! Nie! Wiedział o tym i Maćko, który też nie z tego powodu ją brał, a dowie się niechybnie i Zbyszko. Na tę myśl zapalały jej policzki i gorzka zalała serce. „Nie byłam ci dość harda — mówiła sobie w duszy — a teraz mam, czegom chciała”. I do troski, do niepewności jutra, do zgryźliwego smutku i do niezgłębionego żalu po przeszłości dołączyło się upokorzenie.

Ale dalszy przebieg ciężkich myśli przerwał jej jakiś człowiek nadchodzący z przeciwka. Czech, mający na wszystko baczne oko, ruszył też koniem ku niemu i z kuszy na ramieniu, z torby borsuczej i z piór sójki na czapce poznał w nim borowego<sup>1280</sup>.

— Hej, a ktoś jest? Stój! — zawołał jednak dla pewności.

Ów zbliżył się pośpiesznie i z obliczem poruszonym, jakie miewają zwykle ludzie, którzy chcą coś niezwykłego oznajmić, zawołał:

— Człowiek przed wami wisi nade drogą!

Czech więc zaniepokoił się, czy to nie jakaś sprawa zbójcka, i począł pytać żywo:

— Daleko stąd?

— Na strzelenie z kuszy. Nad samą drogą.

— Nikogo przy nim?

— Nikogo. Spłoszyłem jeno wilka, który go obwąchiwał.

Wzmianka o wilku uspokoiła Hławę, dowodziła bowiem, że w pobliżu nie było ludzi ni żadnej zasadzki.

Tymczasem Jagienka rzekła:

— Obacz, co to jest.

Hława skoczył przed siebie, a po chwili powrócił jeszcze szybciej.

— Zygryd wisi! — zawołał, osadzając przed Jagienką konia.

— W imię Ojca i Syna, i Ducha! Zygryd? Krzyżak?

— Krzyżak! Na uździenicy się powiesił!

<sup>1280</sup>borowy — gajowy, leśnik. [przypis edytorski]

— Sam?

— Sam, widać, bo siodło leży wedle niego. Gdyby to zbóje uczynili, byłiby go po prostu zabili i siodło byłoby zabrali, bo zacne.

— Jakoże przejedziem?

— Nie jedźmy tam, nie jedźmy! — zaczęła wołać bojaźliwa Anula Sieciechówna. — Jeszcze się co do nas przyczepi!

Jagienka przełękła się nieco także, gdyż wierzyła, że koło trupa samobójcy zbierają się całymi gromadami duchy paskudne, ale Hława, który był zuchwały i niczego się niebojący, rzekł:

— O wa! Byłem blisko niego, a nawet trąciłem go oszczepem, i jakoś nie czuję diabła na karku.

— Nie bluźnij! — zawołała Jagienka.

— Nie bluźnię — odpowiedział Czech — jeno ufam w moc bożą. Wszelako, jeśli się boicie, to można borem objechać.

Sieciechówna zaczęła prosić, by objechać, ale Jagienka namyśliwszy się przez chwilę, rzekła:

— Ej! Nie godzi się umarłego nie pogrześć! Krześcijański to uczynek, od Pana Jezusa nakazany, a to przecie człowiek.

— Ba, ale Krzyżak, wisielec i kat! Kruki i wilcy się nim zajmą.

— Nie powiedaj byle czego! Za winy Bóg go będzie sądził, my zaś uczynimy swoje. Nie przyczepi się też do nas nijakie zło, jeśli pobożne przykazanie spełnimy.

— Ha! To niech się i stanie wedle waszej woli — odrzekł Czech.

I wydał odpowiedni rozkaz parobkom, którego posłuchali z ociąganiem się i ze wstrętem. Bojąc się jednakże Hławy, pobrali, w niedostatku łopat, widły i topory dla wybrania<sup>1281</sup> dołu w ziemi i poszli. Czech udał się też z nimi dla przykładu i przeżegnawszy się, przeciął własnoręcznie rzemień, na którym trup wisiał.

Zygfyda twarz zbłękitniała już na powietrzu i wyglądał dość okropnie, albowiem oczy miał niezamknięte i przerażone, usta zaś otwarte jakby dla złapania ostatniego tchu. Prędko więc wykopali tuż obok dół i zepchnęli do niego ciało rękojęściami wideł, twarzą do ziemi, po czym przysypawszy je, zaczęli szukać kamieni, był bowiem obyczaj odwieczny, że pokrywano nimi samobójców, inaczej bowiem wstawali nocami i przeszkadzali podróżnym.

Zabobony

Kamieni było dosyć i na drodze, i między mchami leśnymi, wkrótce więc urosła nad Krzyżakiem kopiasta mogiła, a potem Hława wyciął siekierą na pniu sosny krzyż, co uczynił nie dla Zygfyda, lecz aby złe duchy nie zbierały się w tym miejscu, i wrócił do orszaku.

Obyczaje

— Dusza w piekle, a ciało już w ziemi — rzekł do Jagienki. — Możem teraz jechać.

I ruszyli. Jednakże Jagienka, przejeżdżając, udarła gałązkę sośniny i cisnęła ją na kamienie, a za przykładem pani uczynili tak samo wszyscy inni, bo i to nakazywał także obyczaj.

Długi czas jechali w zadumie, rozmyślając o tym złowrogim mnichu-rycerzu, o karze, jaka go dosięgła, a wreszcie Jagienka rzekła:

— Sprawiedliwość boska nie folguje. I nie godzi się nawet *Wieczny odpoczynek* za niego odmówić, bo dla niego nie masz zmiłowania.

— Litościwą macie i tak duszę, żeście kazali go pogrześć — odpowiedział Czech.

A następnie zaczął mówić z pewnym wahaniem:

— Ludzie prawią, ba! może i nie ludzie, jeno czarownice i czarowniki, że niby powróż albo też rzemień z wisielca daje jakoweś szczęście we wszystkim, ale nie wziąłem rzemienia z Zygfyda, bo ja dla was nie od czarnoksięstwa, tylko od Pana Jezusowej mocy szczęścia wyglądam.

Jagienka nie odrzekła na razie nic i po chwili dopiero, westchnąwszy kilkakroć, rzekła jakby sama do siebie:

— Hej! Moje szczęście za mną, nie przede mną!

<sup>1281</sup>wybrać — tu: wykopać. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Dopiero w dni dziewięć po wyjeździe Jagienki stanął Zbyszko na granicy Spychowa, ale Danusia była już tak bliska śmierci, że zupełnie stracił nadzieję, czy ją żywą ojcu dowiezie. Zaraz następnego dnia, gdy poczęła nie do rzeczy odpowiadać, spostrzegł, iż nie tylko umysł jej jest zwichnięty, ale że przy tym i ciało ogarnia jakaś choroba, przeciw której nie ma już sił w tym wycieńczonym przez niewolę, więzienie, mękę i ustawiczny strach dziecku. Może być, że odgłosy zacieklej walki, jaką Zbyszko i Maćko stoczyli z Niemcami, przepęłniły ten kielich przerażenia i że właśnie w tej chwili napadła ją owa choroba, dość że gorączka nie opuszczała jej odtąd prawie aż do końca drogi. Była to nawet poniekąd okoliczność pomyślna, albowiem przez straszną puszcę, wśród niezmiernych trudów, wioził ją Zbyszko jak martwą, nieprzytomną i o niczym niewiedzącą. Po przebyciu puszczy, gdy weszli do „zbożnego” kraju, między osady kmiecie i szlacheckie, skończyły się niebezpieczeństwa i trudy. Ludzie dowiadując się, że to wiozą swojackie dziecko, odbite Krzyżakom, a do tego córkę sławnego Juranda, o którym „gądkowie” tyle śpiewali już pieśni po gródkach, dworzyszczach i chatach, prześcigali się w usługach i pomocy. Dostarczano zapasów i koni. Wszystkie drzwi stawały otworem. Nie potrzebował już Zbyszko wieźć Danusi w kolebce między końmi, gdyż silni młodziankowie przenosili ją w noszach ode wsi do wsi tak troskliwie i ostrożnie, jakby jakąś świętość nieśli. Niewiasty otaczały ją najtkliwszą opieką. Mężowie, słuchając opowieści o jej krzywdach, zgrzytali zębami i niejedni nakładali zaraz żelazne blachy, chwytali za miecz, za topór albo za kopię i jechał dalej za Zbyszkiem, by pomścić się „z nawiązką”, bo nie dość wydawało się zawziętemu pokoleniu równo krzywdą za krzywdę zapłacić. Ale Zbyszko nie myślał w tej chwili o zemście, tylko jedynie o Danusi. Żył między przebłyskami nadziei, gdy chwilowo czyniło się chorej lepiej, głuchą rozpaczą, gdy stan jej pogarszał się widomie. A co do tego nie mógł się już łudzić. Nieraz z początku podróży przelatywała mu przez głowę zabobonna myśl, że może tam gdzieś po bezdrożach, które przebywali, jedzie za nimi ślad w ślad śmierci i czyha tylko na sposobną chwilę, by się rzucić na Danusie i wyssać z niej ostatek życia. Widzenie to, a raczej poczucie, bywało zwłaszcza wśród ciemnych nocy tak wyraźne, że nieraz porywała go rozpaczliwa chęć zawrócić, wyzwąć martwicę<sup>1282</sup>, jak się wyzywa rycerza, i potykać się z nią do ostatniego tchu. Ale przy końcu drogi było jeszcze gorzej, czuł bowiem śmierć nie za orszakiem, ale wśród samego orszaku, niewidzialną wprawdzie, ale tak bliską, iż obwiewało ich jej mroźne tchnienie. I rozumiał już, że przeciw temu nieprzyjacielowi na nic męstwo, na nic krzepka dłoń, na nic oręż, że trzeba będzie oddać bezradnie najdroższą głowę na łup bez walki.

I to było uczucie najstraszniesze, albowiem łączył się z nim żal, niepohamowany jak wichler, bezdenne jak morze. Jakże nie miała jęczeć, jakże nie miała się rwać z boleści w Zbyszku dusza, gdy spoglądając na swoją kochaną, mówił jej jakby z mimowolną wymówką: „Na tożem cię miłował, na tom cię odszukał i odbił, aby cię jutro ziemią przysypać i nie widzieć cię już nigdy?”. A tak mówiąc, spoglądał na jej kwitnące gorączką policzki, na jej mętne, nieprzytomne oczy i znów ją pytał: „Ostawisz mnie? Nie żal ci? Wolisz ode mnie niż ze mną?”. I wówczas myślał, że chyba i jemu samemu w głowie się pomiesza, piersi zaś rozpiekał mu jakby płacz przeogromny, ale zapiekły i niemogący wybuchnąć, albowiem tamowała mu ujście i jakaś złość, i jakiś gniew na tę bezlitosną siłę, która wywarła się na niewinne dziecko, ślepa i zimna. Gdyby złowrogi Krzyżak znajdował się wówczas w orszaku, byłby go poszarpał jak dziki zwierz.

Dobiwszy się do leśnego dworca, chciał się zatrzymać, ale tam na wiosnę było pusto. Od stróżów dowiedział się przy tym, że oboje księstwo<sup>1283</sup> wybrali się do brata Ziemowita do Płocka, poniechał więc zamiaru jechania do Warszawy, gdzie by dworski medyk mógł dać chorej ratunek. Trzeba mu było ciągnąć do Spychowa, co było strasne, albowiem zdawało mu się, iż wszystko już się kończy i że trupa tylko dowiezie Jurandowi.

Ale właśnie na kilka godzin drogi przed Spychowem padł znów na jego serce jaśniejszy promyk nadziei. Policzki Danusi poczęły blednąć, oczy stawały się mniej mętne, oddech nie tak głośny i mniej pośpieszny. Zbyszko spostrzegł to natychmiast i po nie-

Podróż

Zemsta

Rozpacz

<sup>1282</sup> *martwica* — tu: śmierć, upiór. [przypis edytorski]

<sup>1283</sup> *oboje księstwo* — Janusz I Mazowiecki i Anna Danuta. [przypis edytorski]

jakim czasie nakazał ostatni postój, aby mogła spokojnie oddychać. Byli o milę może od Spychowa, z dala od mieszkań ludzkich, na wąskiej drodze między polem a łąką. Ale stojąca w pobliżu dzika grusza dawała ochronę od słońca, zatrzymali się więc pod jej gałęziami. Pacholkiwie pozłaziwszy z koni, rozkiełznali<sup>1284</sup> je, aby łatwiej im było szczypać trawę. Dwie niewiasty najęte do posług przy Danusi i młodziankowie, którzy ją nieśli, znużeni drogą i upałem pokładli się w cieniu i usnęli; tylko Zbyszko czuwał przy noszach i siadłszy tuż na korzeniach gruszy, nie spuszczał z chorej oczu.

A ona leżała wśród popołudniowej ciszy, spokojnie, z przymkniętymi powiekami. Zbyszkowi wydawało się jednakże, że nie śpi. Jakoż gdy na drugim końcu rozległej łąki koszący siano chłop stanął i począł brzękać w kosę oselką, drgnęła lekko i otworzyła na chwilę powieki, po czym przymknęła je zaraz; pierś jej podniosła się jakby głębszym oddechem, a z ust wyszedł ledwie dosłyszalny szept:

— Kwiecie pachnie...

Były to pierwsze niegorączkowe i niebłędne słowa, jakie od początku podróży wymówiła, albowiem z przygrzanej słońcem łąki powiew przynosił istotnie mocną woń, w której czuć było i siano, i miód, i przeróżne pachnące zioła. Więc w Zbyszku na myśl, że przytomność wraca chorej, zadrzało z radości serce. W pierwszym uniesieniu chciał rzucić się do jej nóg, ale z obawy, by jej nie przestraszyć, pohamował się, klęknął tylko przy noszach i pochyliwszy się nad nią, jął wołać z cicha:

— Danusiu! Danusiu!

A ona otworzyła znów oczy, czas jakiś patrzyła na niego, po czym uśmiech rozjaśnił jej twarz i tak samo jako poprzednio w chacie smolarzy, ale daleko przytomniej, wymówiła jego imię:

— Zbyszko!...

I próbowała wyciągnąć ku niemu ręce, ale dla zbytnej słabości nie mogła tego uczynić; on natomiast objął ją ramionami, z sercem tak wezbranym, jakby jej dziękował za jakąś niezmierną łaskę.

— Przebudziłaś się! — mówił. — O, Bogu chwała... Bogu...

Po czym zbrakło mu głosu — i przez czas jakiś patrzyli na siebie w milczeniu. Ciszę pełną mącił tylko wonny powiew od strony łąki, którego szemrał w liściach gruszy, ksykanie koników w trawach i dalekie, niewyraźne śpiewanie kosiarza.

Danusia spoglądała coraz przytomniej i nie przestawała się uśmiechać, zupełnie jak dziecko, które we śnie widzi anioła. Powoli jednak w oczach jej poczęło się odbijać jakby pewne zdziwienie:

— Gdzie jest?... — rzekła.

Wówczas z ust jego wyrwał się cały rój krótkich, przerywanych przez radość odpowiedzi.

— Przy mnieś jest! Pod Spychowem! Do tatusia jedziemy. Skończona twoja niedola! Oj! Danuško moja! Oj, Danuško! Szukałem cię i odbiłem. Nie w niemieckiej tyś już mocy. Nie bój się! Zaraz będzie Spychów. Chorzałaś<sup>1285</sup>, ale Pan Jezus się zmiłował! Ile było boleści, ile płakania! Danuško!... Teraz już dobrze!... Nic, jeno szczęśliwość przed tobą. Ej, com się naszukał!... Com się nawędrował!... Ej, mocny Boże!... Ej!

I odetchnął głęboko a prawie z jękiem, jakby ostatek ciężaru boleści zrzucił z piersi.

Danusia leżała spokojnie, coś sobie przypominając, coś rozważając, a na koniec spytała:

— Toś ty nie zabaczył mnie?

I dwie łzy, wezbrawszy jej w oczach, stoczyły się z wolna po twarzy na wezłowie.

— Ja miałbym ciebie zabaczyć! — zawołał Zbyszko.

Było zaś w tym stłumionym okrzyku więcej mocy niż w największych zaklęciach i przysięgach, albowiem miłował ją zawsze całą duszą, a od czasu, gdy ją odzyskał, stała mu się droższą niż cały świat.

Ale tymczasem zapadła ponownie cisza; w dali jeno chłop przestał śpiewać i jął raz drugi klepać oselką kosę.

Usta Danusi poczęły się znów poruszać, ale szeptem tak cichym, że Zbyszko nie mógł jej dosłyszeć, więc pochyliwszy się, zapytał:

<sup>1284</sup>rozkiełznać — zdjąć uprząż. [przypis edytorski]

<sup>1285</sup>chorzeć — dziś popr.: chorować. [przypis edytorski]

— Co zaś, jagódko, mówisz?

A ona powtórzyła:

— Kwiecie pachnie...

— Bośmy przy łące — odrzekł — ale wnet pojedziem dalej. Do tatusia, którego też z niewoli wybawion. I będziesz moja do śmierci. Słyszysz ty mnie dobrze? I rozumiesz?

Wtem targnął nim nagły niepokój, spostrzegł bowiem, że twarz jej czyni się bleda i coraz bledsza, a na twarzy osiadają gęsto drobne krople potu.

— Co ci jest? — spytał z okropnym przestraczem. I uczuł, jak włosy zjeżają mu się na głowie, a mróz przechodzi przez kości.

— Co ci jest? Powiedz! — powtórzył.

— Ciemno! — szepnęła.

— Ciemno? Słońko świeci, a tobie ciemno? — zapytał zdyszczonym głosem. — Dopiero co mówiłaś przytomnie! Na imię Boskie, rzeknij choć słowo!

Poruszyła jeszcze ustami, ale nie mogła już nawet szeptać. Zbyszko odgadł tylko, że wymawia jego imię i że go woła. Wnet potem wychudzone jej dłonie jęły drgać i trzepotać się po kilimku, którym była okryta. Trwało to chwilę. Nie było już się co ludzić — konała!

A on w przerażeniu i rozpaczę począł ją błagać, jakby prośba mogła coś wskórać:

— Danuśka! O Jezu miłosierny!... Poczekaj choć do Spychowa! Poczekaj! Poczekaj! O Jezu! Jezu! Jezu!

Podczas tego błagania rozbudziły się niewiasty i nadbiegli pachołkowie, którzy byli opodal przy koniach na łące. Ale zrozumiawszy od pierwszego rzutu oka, co się dzieje, poklękali i poczęli odmawiać w głos litanie.

Powiew ustał, przestały szemrać liście na gruszy i tylko słowa modlitwy rozlegały się wśród wielkiej, polnej ciszy.

Danusia przed samym końcem litanii otworzyła jeszcze oczy, jakby chcąc spojrzeć po raz ostatni na Zbyszka i na świat słoneczny, po czym zaraz zasnęła snem wiekuistym.

Śmierć

\*

Niewiasty zamknęły jej powieki, a następnie poszły po kwiaty na łąkę. Pachołcy udali się ich śladem — i tak chodzili w słońcu wśród bujnych traw, podobni do duchów polnych, pochylając się co chwila i płacząc, albowiem w sercach mieli litość i żal. Zbyszko klęczał w cieniu, przy noszach, z głową na kolanach Danusi, bez ruchu i słowa, sam jak martwy, a oni krążyli to bliżej, to dalej, rwąc złoty kaczeniec i dzwonki, i obficie rosnące różowe smółki, i białą, pachnącą miodem drobniczkę. W wilgotnych dołkach znaleźli też lilie polne, a na miedzy przy ugorze janowiec. Aż gdy już mieli pełne naręcza, otoczyli smutnym korowodem nosze i poczęli je mać<sup>1286</sup>. Pokryli więc prawie całkiem kwieciami i ziołmi zwłoki zmarłej, nie zasłaniając tylko twarzy, która wśród dzwonek i lilij bielą, cicha, ukojona snem nieprzespanym<sup>1287</sup>, pogodna i po prostu anielska.

Do Spychowa nie było nawet i mili, więc po jakimś czasie, gdy im smutek i boleść łzami spłynęły, podnieśli nosze i ruszyli ku borom, od których zaczynały się już Jurandowe ziemie.

Pachołcy wiedli za orszakiem konie. Sam Zbyszko niósł w głowach nosze, a niewiasty, obarczone zbywającymi pękami ziół i kwiatów, śpiewały na przodzie pieśni pobożne — i tak z wolna szli i szli między zieloną łąką a równym, szarym ugiem, jakby jaka procesja żałobna.

Na modrym niebie nie było żadnej chmurki i świat cały wygrzewał się w złotym blasku słonecznym.

Kwiaty

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Przyszli na koniec ze zwłokami dziewczyny do borów spychowskich, na których granicy stróżowali dniem i nocą zbrojni pachołkowie Jurandowi. Jeden z nich skoczył z wieścią do starego Tolimy i do księdza Kaleba, inni poprowadzili orszak z początku krętą i zapadłą, a potem szeroką leśną drogą aż do miejsca, gdzie bór się kończył, a poczynały się rozległe

<sup>1286</sup> *mać* (daw.) — ozdabiać kwiatami. [przypis edytorski]

<sup>1287</sup> *sen nieprzespany* — metafora śmierci, użyta w trenie VII Jana Kochanowskiego. [przypis edytorski]

wilgotne grudzie i grząskie, rojne od błotnego ptactwa trzęsawy, za którymi na suchej wyżni leżał spychowski gródek. Poznali też wraz, że już żalobna wieść o nich doszła do Spychowa, gdyż zaledwie wychylili się z leśnego cienia na jasne błonie, doleciał do ich uszu odgłos dzwonu z gródkowej kaplicy. Wkrótce potem ujrzeli idącą z dali naprzeciw liczną drużynę ludzi, w której byli mężowie i niewiasty. Gdy gromada owa zbliżyła się na trzy lub dwa strzelenia z łuku, można już było rozróżnić osoby. Na czele szedł sam Jurand, podtrzymywany przez Tolimę i macający przed sobą koszturę. Łatwo go było poznać po ogromnym wzroście, po czerwonych jamach w miejsce oczu i po białych, opadających aż na ramiona włosach. Obok postępował z krzyżem i w białej komży<sup>1288</sup> ksiądz Kaleb. Za nimi niesiono chorągiew z Jurandowym znakiem, przy której szli zbrojni „woje” spychowscy, a za nimi niewiasty zamężne w naleczkach na głowach i przetowłose panny. Na końcu gromady ciągnął wóz, na którym miano złożyć zwłoki.

Rozpacz

Zbyszko, ujrawszy Juranda, kazał postawić nosze na ziemi, które sam niósł do tej chwili od strony wezglowia, za czym posunawszy się ku niemu, jął wołać takim okropnym głosem, jakim woła niezmierna boleść i rozpacz:

— Szukałem ci jej, pókim nie znalazł, i odbiłem, ale ona wołała do Boga niż do Spychowa!

I boleść złamała go zupełnie, albowiem padłszy na piersi Juranda, objął go za szyję i począł jęczeć:

— O Jezu, o Jezu! O Jezu!...

Na ów widok wzburzyły się serca zbrojnej czeladzi spychowskiej i poczęli bić włóczniami o tarcze, nie wiedząc, jak inaczej swój ból i swoją chęć pomsty wyrazić. Niewiasty uczyniły lament i zawodząc jedna przez drugą, podnosiły zapaski<sup>1289</sup> do oczu albo też całkiem pokrywały nimi głowy, wołając wniebogłosy:

„Hej! Dola! Dola! Tobie wesele, a nam płkanie. Śmierć cię skosiła, Kościej<sup>1290</sup> cię zabrał — oj! oj!”

A niektóre, przechylając w tył głowy i zamykając oczy, wołały znów:

„Źle ci tu było, kwiatuszku, z nami — źle? Ostał się rodzic w wielkiej żalobie, a ty już chodzisz po boskich pokojach — oj! oj!”

Inne na koniec wymawiały zmarłej, że się nie ulitowała tatkowego i mężowego sieroctwa i łez. A był ten lament i ten żal na wpół śpiewem, bo nie umiał ów lud inaczej swojego bólu wypowiadać.

Rozpacz

Atoli Jurand, wysunawszy się z ramion Zbyszka, wyciągnął kosztur przed siebie na znak, że chce iść do Danusi. Wówczas Tolima ze Zbyszkiem chwycili go pod ramiona i przywiedli do noszów, a on klęknął przy zwłokach, powiódł po nich dłonią od czoła aż do złożonych w krzyż rąk zmarłej i pochylił kilkakrotnie głowę, jakby chciał rzec, że ona to jest, jego Danusia, nie kto inny — i że poznaje dziecko. Potem objął ją jednym ramieniem, a drugie, pozbawione dłoni, wznosił w górę, zaś obecni odgadli także i tę niemą skargę przed Bogiem, wymowniejszą od wszelkich słów boleści. Zbyszko, któremu po chwilowym wybuchu odrętwiała znów twarz zupełnie, klęczał z drugiej strony milcząco, do kamiennego posągu podobny i naokół uczyniło się tak cicho, że słychać było ksykanie koników polnych i brzęczenie każdej przelatującej muchy. Wreszcie ksiądz Kaleb pokropił święconą wodą Danusię, Zbyszka, Juranda i rozpoczął *Requiem aeternam*<sup>1291</sup>. A po ukończeniu pieśni długi czas modlił się głośno, przy czym ludziom zdawało się, że słyszą proroczy głos, gdy błagał, aby ta męka niewinnego dziecka była oną kroplą, która przepelnia naczynie nieprawości, i aby nastął dzień sądu, kary, gniewu i klęski.

Proroctwo

Następnie ruszyli do Spychowa; ale nie położyli Danusi na wóz, tylko nieśli ją na przedzie orszaku na umajonych<sup>1292</sup> noszach. Dzwon, nie przestając bić, zdawał się ich wzywać i zapraszać ku sobie, a oni szli śpiewający szerokim błoniem, pod ogromną złotą zorzę wieczorną, jakby ich ta zmarła prowadziła naprawdę do odwiecznych blasków i jasności. Wieczór już był i trzody wracały z pól, gdy doszli. Kaplica, w której złożono zwłoki, jaśniała od pochodni i świec jarzących. Z rozkazu księdza Kaleba siedem panien

<sup>1288</sup>komża — szata liturgiczna krótsza od alby. [przypis edytorski]

<sup>1289</sup>zapaska — rodzaj dekoracyjnego fartucha. [przypis edytorski]

<sup>1290</sup>Kościej — szkielet, personifikacja śmierci. [przypis edytorski]

<sup>1291</sup>Requiem aeternam (łac.) — wieczne odpoczywanie. [przypis edytorski]

<sup>1292</sup>umajony — ozdobiony kwiatami. [przypis edytorski]

odmawiało kolejno litanię nad ciałem aż do świtu. Do świtu również Zbyszko nie odstępował Danusi i sam o jutrzni wkładał ją w trumnę, którą biegli rzemieślnicy uciosali przez noc z pnia dębowego, wprawiwszy w wieku nad głową szybę złotego bursztynu.

Juranda nie było przy tym, albowiem działy się z nim rzeczy dziwne. Zaraz po powrocie do domu utracił władzę w nogach, a gdy położono go na łożu, utracił ruch i świadomość, gdzie jest i co się z nim dzieje. Próżno ksiądz Kaleb przemawiał do niego, próżno zapytywał, co mu jest: nie słyszał, nie rozumiał, tylko leżąc na wznak, podnosił do góry powieki pustych oczu i uśmiechał się z twarzą rozjaśnioną i szczęśliwą, a czasem poruszał ustami, jak gdyby z kim rozmawiał. Ksiądz i Tolima rozumieli, że ze zbawioną córką rozmawia i do niej się śmieje. Rozumieli również, że już kona i własną wieczną szczęśliwość żrenicami duszy ogląda, ale w tym się pomylili, gdyż on, nieczuły i głuchy na wszystko, uśmiechał się tak całe tygodnie, i Zbyszko, wyjechawszy wreszcie z okupem za Maćka, zostawił go jeszcze przy życiu.

Choroba

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Po pogrzebie Danusi Zbyszko nie chorzał obłożnie, ale żył w odrętwieniu. Z początku, przez pierwsze dni, nie było z nim tak źle: chodził, rozmawiał o swojej zmarłej niewieście, odwiedzał Juranda i siadywał przy nim. Opowiedział też księdzu o niewoli Maćkowej i uradzili obaj wysłać do Prus i Malborga Tolimę, aby wywiedział się, gdzie Maćko jest, i żeby go wykupił, zapłaciwszy zarazem i za Zbyszka tyle grzywien, na ile zgodzili się z Arnoldem von Baden i jego bratem. W spychowskich podziemiach nie brakło srebra, które Jurand bądź swego czasu wygoszparzył, bądź zdobył, przypuszczał więc ksiądz, że Krzyżacy, byle otrzymali pieniądze, łatwo i starego rycerza wypuszczą, i nie będą żądali, aby młody stawiał się osobiście.

— Jedź do Płocka — rzekł na drogę Tolimie ksiądz — i weź od tamtejszego księcia glejt. Inaczej pierwszy lepszy komtur złupi cię i samego uwięzi.

— Ba! Przecie ich znam — odrzekł stary Tolima. — Wzdycć umieją oni łupić nawet i tych, którzy z glejtami przyjeżdżają.

I pojechał. Ale niebawem pożałował ksiądz Kaleb, że samego Zbyszka nie wyprawił. Bał się on wprawdzie, że w pierwszych chwilach boleści nie potrafi się młodzian sprawić jak należy lub może przeciw Krzyżakom wybuchnie i na niebezpieczeństwo się poda; wiedział również, że trudno mu będzie zaraz odjechać od kochanej trumny, w świeżym żalu, w świeżym osieroceniu i wnet po takiej strasznej a bolesnej podróży, którą gdzieś od Gotteswerder do Spychowa odbył. Potem jednak żałował, iż wziął to wszystko w rachubę, gdyż Zbyszkowi z każdym dniem czyniło się ciężej. Żył on aż do śmierci Danusi w okrutnym wysiłku, w okrutnym napięciu wszystkich sił: jeździł na kraje świata, potykał się, odbijał swoją niewiastę, przeprowadzał się przez dzikie puszcze, i nagle to wszystko skończyło się, jakby kto mieczem uciął, a została tylko pamięć, że to wszystko poszło na marne, że trudy były daremne — i że wprawdzie przeszły, ale razem z nimi przeszła część życia, przeszła nadzieja, przeszło dobro, zginęło kochanie, a nie pozostało nic. Każdy żyje jutrem, każdy coś zamierza i coś układa sobie na przyszłość, a Zbyszkowi jutro stało się obojętne, co zaś do przyszłości, to miał takie poczucie, jakie miała Jagienka, gdy wyjeżdżając ze Spychowa, mówiła: „Moje szczęście za mną, nie przede mną”. Ale na domiar w jego duszy to poczucie bezradności, pustki i niedoli wyrastało na gruncie ogromnej boleści i coraz większego żalu po Danusi. Ów żal przejmował go, opanowywał i zarazem tężał w nim coraz bardziej, tak że w końcu nie było w Zbyszkowym sercu miejsca na nic innego. Więc o nim tylko myślał i hodował go w sobie, i żył z nim jednym, nieczuły na wszystko inne, zamknięty w sobie, pogrążon jakby w półśnie, nieświadom tego, co się naokół dzieje. Wszystkie władze jego duszy i ciała, jego dawna wartość i dzielność przeszły w stan folgi<sup>1293</sup>. W spojrzeniu i w ruchach miał teraz jakąś ociężałość starca. Całymi dniami i nocami przesiadywał albo w podziemiu przy trumnie Danusi, albo na przyzbie<sup>1294</sup>, grzejąc się w południowych godzinach w blasku słonecznym. Chwilami zapamiętywał się tak, że nie odpowiadał na pytania. Ksiądz Kaleb, który go miłował, poczył obawiać się, aby ów ból nie przeżarł go tak, jak rdza przeżera żelazo — i ze smutkiem

Smutek, Żaloba

<sup>1293</sup>przeszły w stan folgi — sens: osłabiły się. [przypis edytorski]

<sup>1294</sup>przyzba — wał ziemny otaczający podmurówkę domu. [przypis edytorski]



myślał, że może lepiej było wyprawić Zbyszka, choćby do Krzyżaków z okupem. „Trzeba — mówił do miejscowego klechy, z którym w braku kogo innego o swoich frasunkach rozmawiał — aby jakowaś przygoda targnęła nim jako wichur drzewem, bo inaczej gotów skapiec do szcztetu”. A klecha przyświadczał roztropnie, mówiąc dla porównania, że gdy się człek kością udławi, to także najlepiej dać mu dobrze pięścią po karku.

Przygoda żadna nie przytrafiła się jednak, ale natomiast kilka tygodni później przyjechał niespodzianie pan de Lorche. Widok jego wstrząsnął Zbyszka, albowiem przypomniał mu wyprawę na Żmujdz i odbicie Danusi. Sam de Lorche bynajmniej nie wahał się potrać tych bolesnych wspomnień. Owszem, dowiedziawszy się o nieszczęściu Zbyszka, poszedł zaraz modlić się z nim razem nad trumną Danusi, mówił też o niej bez ustanku, a następnie, będąc przez pół minstrelem, ułożył o niej pieśń, którą śpiewał przy lutniach w nocy u kraty podziemia tak rzewliwie i żałośnie, że Zbyszka, chociaż słów nie rozumiał, od samej nuty chwycił ogromny płacz do samego świtania trwający. A potem zmorzony tym płaczem i żalem, i niewywczasem<sup>1295</sup>, zapadł w długi sen, lecz gdy się zbudził, znacznie widać mu boleść łzami spłynęła, gdyż był rzeświejszy<sup>1296</sup> niż dni poprzednich i różnie przed się spoglądał. Ucieszył się też wielce do pana de Lorche i począł mu za przybycie dziękować, a następnie wypytywać, skąd by się o jego nieszczęściu dowiedział.

A ów odpowiedział mu przez usta księdza Kaleba, że o śmierci Danusi dowiedział się dopiero w Lubawie od starego Tolimy, którego widział w więzach u tamtejszego komtura, ale że do Spychowa i tak jechał, by oddać się Zbyszce w niewolę.

Wiść o uwięzieniu Tolimy wielkie i na Zbyszku, i na księdzu uczyniła wrażenie. Zrozumieli, że okup przepadł, albowiem nie było trudniejszej rzeczy w świecie, niż wydrzeć z gardła Krzyżakom raz zagrabione pieniądze. Wobec tego należało jechać z drugim okupem.

— Gorze! — zawołał Zbyszko. — To biedny stryżko czeka tam i myśli, że go przepomniał! Trzeba mi teraz co ducha do niego śpieszyć.

Potem zwrócił się do pana de Lorche:

— Wiesz, jako się zdarzyło? Wiesz, że on w rękach krzyżackich?

— Wiem — odpowiedział de Lorche — bom go widział w Malborgu i dlatego sam tu przyjechałem.

Tymczasem ksiądz Kaleb począł narzekać.

— Żleśmy postąpili — mówił — ale nikt głowy nie miał... Więcej się też po rozumie Tolimy spodziewałem. Czemu zaś nie jechał do Płocka i bez nijakiego glejtu między tych rozbójników się puścił!

A na to pan de Lorche ruszył ramionami:

— Co im tam glejty! Albo to sam książę płocki, również jak i wasz tutejszy, mało od nich krzywd cierpią? Nad granicą wieczne bitwy i napaści, bo i wasi swego nie darują. Każdy też komtur, ba! każdy wójt robi, co chce, a w drapieźności to już chyba jeden drugiego prześciga...

— Tym bardziej powinien był Tolima do Płocka jechać.

— Tak i chciał uczynić, ale go w drodze nad granicą z noclegu porwali. Byliby go zabili, gdyby im nie był rzekł, iż dla komtura do Lubawy pieniądze wiezie. Tym się ocalił, ale też komtur postawi teraz świadków, jako Tolima sam to mówił.

— A stryż Maćko jakoże się ma? Zdrów? Nie nastają tam na jego szyję? — pytał Zbyszko.

— Zdrów jest — odrzekł de Lorche. — Zawziętość tam jest na „króla” Witolda i na tych, którzy pomagają Żmujdzinom, wielka; i pewnie by starego rycerza ścięli, gdyby nie to, że im żal okupu. Bracia von Baden także go z tej samej przyczyny bronią, a wreszcie chodzi kapitule o moją głowę, którą gdyby poświęcili, zawrzałoby przeciw nim rycerstwo i we Flandrii, i w Geldrii, i w Burgundii... Wicie, jakożem jest krewny grafa geldryjskiego.

— A przecże o twoją głowę ma chodzić? — przerwał ze zdziwieniem Zbyszko.

— Bom jest przez ciebie pojman. Powiedziałem w Malborgu tak: „Weźmiecie gardło staremu rycerzowi z Bogdańca, to młody weźmie moje...”

<sup>1295</sup>niewywczas (daw.) — niewygoda. [przypis edytorski]

<sup>1296</sup>rześwy — tu: energiczny. [przypis edytorski]

— Nie wezmę! Tak mi dopomóż Bóg!

— Wiem, że nie weźmiesz, ale oni się tego boją i przez to Maćko ostanie między nimi bezpieczny. Mówili mi, żeś i ty jest także w niewoli, bo cię tylko na rycerskie słowo Badenowie puścili, że zatem nie potrzebuję ci się stawiać. Ale ja odrzekłem im, że gdyś mnie w jeństwo brał, byłeś wolny. I ot mnie masz! A pókim w twoich rękach, nic oni ani tobie, ani Maćkowi nie uczynią. Ty okup von Badenom spłać, zaś za mnie zażądaj we dwoje albo we troje tyle. Muszą zapłacić. Nie dlatego tak mówię, abym mniemał, że więcej od was wart, ale aby ich chciwość pokarać, którą pogardzam. Całkiem inne miałem o nich niegdyś pojęcie, ale teraz zbrzydli mi i oni, i ich gościna. Pójdę do Ziemi Świętej, tam szukać przygód, bo im dłużej służyć nie chcę.

— Albo też u nas, panie, ostanicie — rzekł ksiądz Kaleb. — A myślę, że tak i będzie, bo co do tego, żeby oni mieli okup za was dawać, to mi się nie wydaje.

— Jeśli nie zapłacą, to sam zapłacę — odrzekł de Lorche. — Przyjechałem tu z poczem znacznym i wozy mam ładowne, a tego, co na nich jest, wystarczy...

Ksiądz Kaleb powtórzył Zbyszkowi te słowa, na które Maćko pewnie nie byłby pozostał nieczuły, ale Zbyszko, jako młody i mało o majątność dbający, odrzekł:

— Na moją cześć! Nie będzie tak, jako mówisz. Byłeś mi jako brat i przyjaciel i okupu nijakiego od ciebie nie wezmę.

Po czym uściskali się, czując, że nowy węzeł został między nimi zawiązany. Ale de Lorche uśmiechnął się i rzekł:

— Dobrze. Niech jeno Niemce o tym nie wiedzą, bo się o Maćka będą droczyć. A widzicie, muszą zapłacić, gdyż będą się bali, że inaczej rozgłoszę po dworach i między rycerstwem, że radzi niby zapraszają i widzą rycerskich gości, ale gdy który w niewolę popadnie, to o nim zapominają. A Zakonowi o gości okrutnie teraz chodzi, bo mu Witolda strach, a jeszcze bardziej Polaków i ich króla.

— To niech tedy tak będzie — rzekł Zbyszko — że ty tu ostaniesz albo gdzie chcesz na Mazowszu, a ja do Malborga po stryjca pojedę i będę okrutną przeciw tobie udawał zawziętość.

— Na świętego Jerzego! Uczyn tak! — odpowiedział de Lorche. — Ale wpieryw wysłuchaj, co ci powiem. W Malborgu mówią, że ma zjechać do Płocka król polski i spotkać się z mistrzem w samym Płocku albo gdzie na granicy. Krzyżacy wielce tego pragną, albowiem chcą wymiarkować, czy król będzie pomagał Witoldowi, jeśli ów otwartą im wojnę o Żmujdz wypowie. Ha! Chytrzy oni są jako węże, ale przecie w tym Witoldzie mistrza znaleźli. Zakon się go też boi, ponieważ nigdy nie wiadomo, co on zamysła i co uczyni: „Oddał nam Żmujdz — mówią w kapitule — ale przez nią trzyma ciągle jakoby miecz nad naszymi karkami”. „Słowo — mówią — rzeknie i bunt gotów!”. Jakoż tak jest. Muszę się kiedy wybrać na jego dwór. Może przygodzi się w szrankach u niego potykać, a prócz tego słyszałem, że i niewiasty tamtejsze anielskiej czasem bywają urody.

— Mówiliście, panie, o przyjeździe króla polskiego do Płocka? — przerwał ksiądz Kaleb.

— Tak jest. Niech Zbyszko przyłączy się do królewskiego dworu. Mistrz chce sobie króla ująć<sup>1297</sup> i niczego mu nie odmówi. Wiecie, że w potrzebie nikt nie umie być pokorniejszy od Krzyżaków. Niech się Zbyszko do orszaku przyłączy i niech się o swoje upomina, niech jak najgłośniejsz na bezprawie krzyczy. Inaczej go będą słuchali wobec króla i wobec krakowskich rycerzy, którzy sławni są w świecie i których wyroki szeroko rozchodzą się między rycerstwem.

— Przednia rada! Na Pański Krzyż! Przednia! — zawołał ksiądz.

— Tak — potwierdził de Lorche. — I sposobności też nie braknie. Słyszałem w Malborgu, że będą uczyty, będą turnieje, bo się goście zagraniczni koniecznie chcą z królewskimi rycerzami potykać. Na Boga! Toż ma przyjechać i rycerz Jan z Aragonii, największy ze wszystkich w chrześcijaństwie. Nie wiecie? Przecie on podobno aż z Aragonii rękawicę waszemu Zawiszy przysłał, aby zaś nie mówiono po dworach, że jest drugi równy jemu na świecie.

Przyjazd pana de Lorche, jego widok i cała rozmowa tak jednak rozbudziła Zbyszka z owej bolesnej martwoty, w której był przedtem pogrążony, że z ciekawością słuchał jego

<sup>1297</sup>ująć — zjednać. [przypis edytorski]

nowin. O Janie z Aragonii wiedział, gdyż powinnością było wówczas każdego rycerza znać i pamiętać nazwiska wszystkich najsłynniejszych wojowników, sława zaś szlachty aragońskiej, a szczególnie owego Jana, obiegała świat cały. Żaden rycerz nie sprostał mu nigdy w szrankach, a Maurowie<sup>1298</sup> pierzchali na sam widok jego zbroi i powszechne było mniemanie, że on jest pierwszy w całym chrześcijaństwie.

Więc na wieść o nim ozwała się w Zbyszku bojowa rycerska dusza i począł wypytywać się z wielkim zajęciem:

— Pozwał ci Zawiszę Czarnego?

— Rok już podobno, jak przyszła rękawica i jak Zawisza odesłał swoją.

— To Jan z Aragonii na pewno już przyjedzie.

— Czy na pewno, nie wiedzą, ale są takowe posłuchy. Krzyżacy dawno posłali mu zaproszenie.

— Daj Bóg takie rzeczy widzieć!

— Daj Bóg! — rzekł de Lorche. — I choćby Zawisza był pokonan, co łatwo się może zdarzyć, wielka to chwała dla niego, że go taki Jan z Aragonii pozwał, ba! i dla całego waszego narodu.

— A obaczmy! — rzekł Zbyszko. — Mówię tylko: daj Bóg widzieć.

— A ja przywtarzam<sup>1299</sup>.

Jednakże życzenie ich nie miało się tym razem spełnić, gdyż stare kroniki wspominają, że pojedynek Zawiszy z przesławnym Janem z Aragonii odbył się dopiero w kilkanaście lat później w Perpignano, gdzie w obecności cesarza Zygmunta, papieża Benedykta XIII, a dalej króla aragońskiego i wielu książąt i kardynałów, Zawisza Czarny z Garbowa zwałił z konia pierwszym uderzeniem kopii swego przeciwnika i świetnie nad nim odniósł zwycięstwo. Tymczasem wszelako i Zbyszko, i de Lorche cieszyli się w sercach, myśleli bowiem, że gdyby nawet Jan z Aragonii nie mógł się na ów termin stawić, to i tak ujrzą znamienite czyny rycerskie, bo w Polsce nie brakło zapaśników mało co Zawiszy ustępujących, a między gośćmi krzyżackimi można było zawsze znaleźć najprzedniejszych szermierzy francuskich, angielskich, burgundzkich i włoskich, gotowych z każdym iść o lepszą<sup>1300</sup>.

— Słuchaj — rzekł do pana de Lorche Zbyszko. — Cni mi się bez stryja Maćka i pilno mi go wykupić, przeto jutro zaraz do dnia do Płocka ruszę. Ale po co ty masz tu ostawać? Nibyś to u mnie w niewoli, więc jedź ze mną, a obaczysz króla i dwór.

— Chciałem cię właśnie o to prosić — odrzekł de Lorche — bom z dawna chciał widzieć waszych rycerzy, a przy tym słyszałem, że damy z dworu królewskiego więcej do aniołów niż do mieszkanek ziemskiego padołu są podobne.

— Dopiero coś to powiedział o Witoldowym dworze — zauważył Zbyszko.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Zbyszko wyrzucał sobie w duszy, iż w swej boleści o stryju przepomniał, a że i bez tego prędko zwykł był wykonywać, co zamierzył, więc nazajutrz do dnia wyruszyli razem z panem de Lorche do Płocka. Nadgraniczne drogi nawet w czasach największego spokoju nie bywały bezpieczne z przyczyny łotrów, których liczne kupy wspierali i otaczali opieką Krzyżacy, co ostro wymawiał im król Jagiełło. Mimo skarg, które aż o Rzym się opierały, mimo pogroźek i srogiego wymiaru sprawiedliwości komturowie sąsiedni pozwalali często zaciężnym knechtom zakonnym łączyć się ze zbójami, wypierając się wprawdzie tych, którzy mieli nieszczęście wpaść w ręce polskie, ale dając schronienie powracającym ze zdobyczą i jeńcami, nie tylko we wsiach zakonnych, lecz i w zamkach.

W takie to właśnie zbójcekie ręce dostawali się niejednokrotnie podróżni i mieszkańcy nadgraniczni, a zwłaszcza dzieci bogatych ludzi, które porywano dla okupu. Ale dwaj młodzi rycerze, mając znaczne poczyty, złożone każdy, prócz woźniców, z kilkunastu orężnych pieszych i konnych pacholków, nie obawiali się napadu i bez przygód dotarli do Płocka, gdzie zaraz na wstępie miła czekała ich niespodzianka.

<sup>1298</sup>Maurowie — w średniowieczu: określenie muzułmanów zamieszkujących na terenie dzisiejszej Hiszpanii.

[przypis edytorski]

<sup>1299</sup>przywtarzać (daw.) — wtórować, zgadzać się. [przypis edytorski]

<sup>1300</sup>iść o lepszą (daw.) — starać się wykazać przewagę. [przypis edytorski]

Oto w gospodzie znaleźli Tolimę, który przybył na dzień przed nimi. Stało się to takim sposobem, iż starosta krzyżacki z Lubawy zasłyszawszy, że wysłannik, w chwili gdy go napadnięto niedaleko Brodnicy, zdołał ukryć część okupu, odesłał go do tego zamku z poleceniem do komtura, aby go zmusił do wskazania, gdzie pieniądze zostały schowane. Tolima skorzystał ze sposobności i uciekł, gdy zaś rycerze dziwili się, iż udało mu się to tak łatwo, objaśnił im rzecz, jak następuje:

— Wszystko przez ich łakomstwo. Nie chciał komtur brodnicki przydawać mi znacznej straży, bo nie chciał, by się o pieniądzech rozgłosiło. Może ułożyli się z lubawskim, że się podzielą, a bali się, iż gdy się rozgłosi, to trzeba będzie znaczną część do Malborga odesłać albo i wszystko owym Badenom oddać. Dodał ci mi tedy jeno dwóch ludzi: jednego zaufanego knechta, który musiał po Drwęcy razem ze mną wiosłować, i jakowegoś pisarza... A zaś chodziło im, by nikt nas nie widział, więc było to pod noc, i wiecie, że granica tuż. Dali mi też wiosło dębowe... no i łaska Boska... bom jest oto w Płocku.

— Wiem, a tamci nie wrócili! — zawołał Zbyszko.

Na to uśmiech rozjaśnił srogą twarz Tolimy.

— Wždy Drwęca do Wisły płynie — rzekł. — Jakoże im było pod wodę<sup>1301</sup> wracać? Znajdą ich Krzyżaki chyba w Toruniu.

Po chwili zaś zwróciwszy się do Zbyszka, dodał:

— Pieniędzy część mi komtur lubawski zagrabił, ale te, którem przy napaści ukrył, tom odnalazł i teraz dałem je, panie, waszemu giermkowi do schowania, bo on w zamku u księcia mieszka, a tam im przepieczniejsz niż u mnie w gospodzie.

— To mój giermek jest tu w Płocku? A co on tu robi? — zapytał ze zdziwieniem Zbyszko.

— On przecie po przywiezieniu Zygfyda odjechał z tą panną, która w Spychowie była, a teraz jest dwórką tutejszej księżny. Tak ci mi wczoraj gadał.

Ale Zbyszko, który przygłuszon boleścią po śmierci Danusi o nic w Spychowie nie pytał i o niczym nie wiedział, teraz dopiero przypomniał sobie, że Czech był naprzód z Zygfydem wyprawiony — i na to wspomnienie serce ścisnęło mu się żalem i pomstą.

— Prawda! — rzekł. — A gdzie zaś ów kat? Co się z nim stało?

— Nie powiadał wam ksiądz Kaleb? Zygfyd powiesił się i przejeżdżaliście, panie, wedle jego mogiły.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Mówił giermek — rzekł wreszcie Tolima — iż się do was wybiera, a byłby to już dawno uczynił, jeno że panny musiał pilnować, która tu po powrocie ze Spychowa chorzała.

A Zbyszko spytał znów, otrząsnąwszy się z żalonych wspomnień jakby ze snu:

— Jakiej panny?

— No, tej — odrzekł stary — waszej siostry albo krewniaczki, która tu z rycerzem Maćkiem do Spychowa w pacholikowych szatkach przyjechała, a po drodze pana naszego omackiem idącego znalazła. Żeby nie ona, nie byłiby rycerz Maćko ani wasz giermek pana poznali. Miłował ci też ją potem nasz pan wielce, bo w takim go miała starunku jak córka i prócz księdza Kaleba ona jedna mogła go wyrozumieć.

Więc młody rycerz otworzył ze zdumienia szeroko oczy.

— Nie powiadał mi ksiądz Kaleb o żadnej pannie i ja nijakiej krewniaczki nie mam...

— Nie powiadał, boście, panie, w zapamiętaniu od boleści żyli i o bożym świecie nie wiedzieli.

— A jakoże na ową pannę wołali?

— Wołali na nią: Jagienka.

Zbyszkowi wydawało się, że śni. Myśl, że Jagienka z odległych Zgorzelic mogła przyjechać aż do Spychowa, nie chciała mu się w głowie pomieścić. I po co? Dlaczego? Nie było mu wprawdzie tajnym, że dziewczyna rada go widziała i lgnęła do niego w Zgorzelicach, ale on jej przecie wyznał, że był żonaty — więc wobec tego nie mógł żadną miarą przypuścić, aby stary Maćko zabrał ją do Spychowa w tym celu, aby ją za niego wydać. Zresztą i Maćko, i Czech nawet mu o niej nie wspomnieli... Wszystko to wydało

<sup>1301</sup> pod wodę (daw.) — pod prąd. [przypis edytorski]

mu się ogromnie dziwne i zupełnie niezrozumiałe, więc zaczął znów zarzucać pytaniami Tolimę, jak człowiek, który własnym uszom nie wierzy i chce, by mu powtórzone nieprawdopodobną nowinę.

Tolima jednak nie umiał mu nic więcej powiedzieć nad to, co poprzednio powiedział, ale natomiast poszedł na zamek szukać giermka i niebawem, jeszcze przed zachodem słońca, z nim powrócił. Czech witał młodego pana z radością, ale i ze smutkiem, bo się już był poprzednio o wszystkim, co zaszło w Spychowie, dowiedział. A Zbyszko również rad mu był z całej duszy, czując, iż to jest serce przyjazne i wierne, jedno z takich, jakich człowiek w nieszczęściu najbardziej potrzebuje. Rozrzewnił się też i roztkliwił, opowiadając mu o śmierci Danusi, i podzielił się z nim bólem, żalem, łzami tak właśnie, jak brat dzieli się z bratem. Długo to wszystko trwało, zwłaszcza że w końcu na prośbę Zbyszkową powtórzył im pan de Lorche ową pieśń żalną, którą był o zmarłej ułożył, i śpiewał ją przy cytrze<sup>1302</sup> w otwartym oknie, podnosząc oczy i twarz ku gwiazdom.

Aż gdy już im wreszcie znacznie ulżyło, poczęli mówić o sprawach, które czekały ich w Płocku.

— Wstąpiłem tu po drodze do Malborka — rzekł Zbyszko — bo to wiesz, że stryj Maćko w niewoli i że po niego z okupem jadę.

— Wiem — odparł Czech. — Dobrzeście zrobili, panie. Chciałem sam do Spychowa jechać, aby wam drogę na Płock doradzić; król w Raciążu ma układy z wielkim mistrzem prowadzić, przy królu zaś łatwiej się upomnieć, ile że wobec majestatu nie tacy Krzyżacy hardzi i udają poczciwość chrześcijańską.

— A mówił Tolima, że miałeś do mnie jechać, ale cię niezdrowie Jagienki Zychówny wstrzymało. Słyszałem, że ją stryj Maćko w te strony przywiózł i że w Spychowie też była? Okrutniem się dziwowałem! Ale gadaj, skroś jakiejże przyczyny stryj Maćko ją ze Zgorzelic zabierał?

— Siła było przyczyn. Bał się rycerz Maćko, że gdy ją bez nijakiej opieki zostawi, to rycerze Wilk i Cztan będą na Zgorzelice najeżdżali, przy czym mogła się stać i młodszym dzieciom krzywda. A bez niej jużci przezpieczniej, bo w Polsce, jako wiecie: zdarzy się, iż szlachcic, nie mogąc inaczej, siłą dziewczkę bierze, ale na małe sieroty nikt ręki nie podniesie, gdyż za to i miecz katowski, i gorsza od miecza hańba! Była wszelako i druga takowa przyczyna, że opat umarł i pannę dziedziczką swych włości uczynił, nad którymi opiekę miał tutejszy biskup. Przeto rycerz Maćko pannę do Płocka przywiózł.

— Ale ją i do Spychowa brał?

— Brał, na czas wyjazdu biskupa i księstwa, gdyż nie było jej przy kim ostawić. I szczęście, że ją wziął. Gdyby nie panienska, bylibyśmy ze starszym panem przejechali wedle rycerza Juranda jak koło obcego dziada. Dopieroż jak się poczęła nad nim litować, uznaliśmy, kto ów dziad. Pan Bóg to wszystko zrządził przez jej miłosierne serce.

I począł opowiadać, jak następnie Jurand nie mógł się bez niej obyć, jak ją miłował i błogosławił, a Zbyszko, choć to już wiedział od Tolimy, słuchał tego opowiadania ze wzruszeniem i wdzięcznością dla Jagienki.

— Niech jej Bóg da zdrowie! — rzekł wreszcie. — Dziwno mi jeno, żeście mi nic o niej nie mówili.

A Czech zakłopotał się nieco i chcąc zyskać czas do namysłu nad odpowiedzią, zapytał:

— Gdzie, panie?

— A u Skirwoiłty, tam, na Żmujdzi.

— Nie mówiliśmy? Jako żywo! Mnie się wydaje, żeśmy mówili, ale wam w głowie było co innego.

— Mówiliście, że Jurand wrócił, ale o Jagience nic.

— Ej! Czyście nie zabaczyli? A wreszcie, Bóg raczy wiedzieć! Może rycerz Maćko myślał, że ja powiedziałem, a ja, że on. Na nic to było, panie, cośkolwiek wam wtedy powiadać. I nie dziwota! Ale teraz rzekę co innego: szczęście, że panienska tu jest, bo ona i rycerzowi Maćkowi się przyda.

— Cóż zaś może wskórać?

— Niech jeno słowo tutejszej księżnie powie, która okrutnie ją miłuje! A znów Krzyżacy niczego księżnie nie odmawiają, bo raz, że królewska rodzona, a po wtóre, wielka

Smutek, Śpiew

Miłosierdzie

<sup>1302</sup>cytra (muz.) — instrument strunowy szarpany z płaskim pudłem rezonansowym. [przypis edytorski]

Zakonu przyjaciółka. Teraz, jakoście może słyszeli, książ Skirgieł<sup>1303</sup>, też rodzony brat królewski, podniósł się przeciw kniaziowi Witoldowi i do Krzyżaków uciekł, którzy chcą go wspomóc i na Witoldowym stolcu<sup>1304</sup> posadzić. Król bardzo księżnę nawidzi i rad, jako mówią, ucha jej podaje, więc Krzyżacy chcą, by na stronę Skirgiełła przeciw Witoldowi króla skłoniła. Rozumieją to (mac ich zatracona!), że byle się Witolda pozbyli, będą mieli spokój. Więc posły krzyżackie od rana do wieczora księżnie pokłony biją i każdą jej chęć zgadują.

— Jagienka miłuje wielce stryja Maćka i pewnie za nim się wstawi — rzekł Zbyszko.

— Juźci, że nie będzie inaczej! Ale chodźcie, panie, na zamek i powiedzcie jej, jak i co ma mówić.

— Mieliliśmy i tak na zamek z panem de Lorche iść — odrzekł Zbyszko — i po tom tu przyjechał. Trzeba nam tylko włosy utrefić<sup>1305</sup> i przyodziać się przystojnie.

Po chwili zaś dodał:

— Chciałem z żalości włosy obciąć, alem przepomniał.

— To i lepiej! — rzekł Czech.

I wyszedł wołać służebnych pacholków, wróciwszy zaś z nimi, podczas gdy dwaj młodzi rycerze przyodzabiali się godnie na wieczorną ucztę do zamku, powiadał dalej, co się na królewskim i książęcym dworze dzieje.

— Krzyżacy — mówił — jako mogą, pod kniazem Witoldem kopiają, bo póki on żywi i z ramienia królewskiego potężną krainą władnie<sup>1306</sup>, póty nie zaznac im spokoju! Naprawdę jego jednego oni się boją! Hej! Kopiają też, kopiają jako krety! Podburzyli już na niego tutejszych księstwa oboje, a ponoć dokazali także, że nawet i księżę Janusz teraz na niego krzyw z przyczyny Wizny...

— A księżę Janusz i księżna Anna też tu są? — zapytał Zbyszko. — Siła znajomych się znajdzie, bom przecie i w Płocku nie pierwszy raz.

— Jakże — odrzekł giermek — są oboje, mają oni niemało spraw z Krzyżakami, które to krzywdy chcą mistrzowi przy królu do oczu wymówić.

— A król co? Za kim jest? Zali mu nie gniewno na Krzyżaków i mieczem nad nimi nie potrząsa?

— Król Krzyżaków nie kocha i mówią, że z dawna już wojną grozi... A co do kniazia Witolda, to woli go król od rodzzonego Skirgiełła, którego jest wicher<sup>1307</sup> i opój... I dlatego rycerze, którzy są przy majestacie, powiadają, że król się przeciw Witoldowi nie opowie i nie obiecnie Krzyżakom, że go nie będzie wspomagał. I to może być, bo od kilku dni księżna tutejsza, Aleksandra, bardzo wedle króla zabiega i jakaś frasobliwa chodzi.

— Zawisza Czarny tu jest?

— Nie masz go, ale i tym, którzy są, napatrzeć się nie można i gdyby co do czego przyszło, hej, mocny Boże! polecą też wióry i paździerze z Niemców, polecą!...

— Nie ja ich będę żałował.

W kilka pacierzy później, przybrawszy się pięknie, wyszli na zamek. Uczta wieczorna miała się odbyć tego dnia nie u samego księcia, lecz u starosty grodowego Andrzeja z Jasiońca, którego obszerne domostwo leżało w obrębie murów zamkowych przy Baszcie Większej. Z powodu przecudnej, aż nazbyt ciepłej nocy, starosta bojąc się, aby gościom nie było duszno w izbach, rozkazał zastawić stoły na podwórzu, na którym spomiędzy kamiennych płyt wyrastały jarzęby i cisy. Płonące beczki smolne oświecały je jasnym, żółtym płomieniem, ale jeszcze jaśniej oświecał księżyc, który błyszczał na bezchmurnym niebie wśród rojów gwiazd jak srebrna tarcza rycerska. Koronowani goście jeszcze nie nadeszli, ale roilo się już od miejscowego rycerstwa, od duchownych, od dworzan zarówno królewskich, jak i książęcych. Zbyszko znał ich wielu, zwłaszcza z dworu księcia Janusza, a z dawnych znajomych krakowskich ujrzał Krzozna z Kozichłów, Lisa z Targowiska, Marcina z Wrocimowic, Domarata z Kobyłan i Staszka z Charbimowic, a wreszcie i Po-

<sup>1303</sup>Skirgiełło (ok. 1355–1394) — brat i bliski współpracownik Jagielły, z jego ramienia namiestnik Litwy. [przypis edytorski]

<sup>1304</sup>stolec (daw.) — tron. [przypis edytorski]

<sup>1305</sup>utrefić — ułożyć w łoki. [przypis edytorski]

<sup>1306</sup>władnie — dziś popr.: władza. [przypis edytorski]

<sup>1307</sup>wicher — tu: wicherzyciel. [przypis edytorski]

wałę z Taczewa, którego widok szczególnie go ucieszył, pamiętał bowiem, jaką życzliwość okazał mu swego czasu ów sławny rycerz w Krakowie.

Nie mógł jednakże do żadnego z nich od razu dostąpić, albowiem miejscowi rycerze mazowieccy otaczali każdego z nich ciasnym kołem, wypytując się o Kraków, o dwór, o zabawy, o różne przewagi bojowe, a zarazem przypatrując się ich świetnym szatom, ich trefieniu włosów, których cudne zwoje polepione były białkiem dla mocy, i biorąc z nich we wszystkim wzór dworności i obyczajów.

Wszelako Powała z Taczewa dojrzał Zbyszka i rozsunawszy Mazurów, zbliżył się ku niemu.

— Poznałem cię, młodzianku — rzekł, ściskając jego dłoń. — Jakoż się miewasz i skąd się tu znalazłeś? Dla Boga! Widzę, że już pas i ostrogi nosisz. Inni do siwych włosów na to czekają, ale ty widać godnie świętemu Jerzemu służysz.

— Szczęść wam Boże, szlachetny panie — odrzekł Zbyszko. — Gdybym najprzedejniejszego Niemca z konia zwałił, nie tak bym się ucieszył jak z tego, że was we zdrowiu oglądam.

— Jam też rad. A rodzic twój gdzie?

— Nie rodzic, jeno stryj. W niewoli ci on u Krzyżaków i z wykupem za niego jadę.

— A oważ dziewczeczka, która cię nałęczką przykryła?

Zbyszko nie odrzekł nic, tylko podniósł w górę oczy, które załzawiły mu się w jednej chwili, co widząc, pan z Taczewa rzekł:

— Padół to jest leż... Nic, jeno prawy padół! Ale chodźmy na ławę pod jarzęba, to mi opowiesz swoje rzewliwe przygody.

I pociągnął go w kąć dziedzińca. Tam Zbyszko, siadłszy obok niego, począł mu opowiadać o niedoli Juranda, o pochwyceniu Danusi i o tym, jako jej szukał i jako mu zmarła po odbiciu. A Powała słuchał uważnie i na przemian to zdumienie, to gniew, to zgroza, to litość odbijały mu się na obliczu. Wreszcie, gdy Zbyszko skończył, rzekł:

— Opowiem to królowi, panu naszemu! Ma on i tak upomnieć się u mistrza o małego Jaśka z Kretkowa i srogiej domagać się kary na tych, którzy go porwali. A porwali dlatego, że bogaty i chcą wykupu. Nic to u nich na dziecko rękę podnieść.

Tu zamyślił się nieco, po czym mówił dalej jakby do siebie samego:

— Nienasycone to plemię, gorsze od Turków i Tatarów. Bo oni w duszy i króla, i nas się boją, a jednak od grabieży i mordów nie mogą się powstrzymać. Napadają wsie, rzeżają kmieciów, topią rybaków, chwytają dzieci jako wilcy. Cóż by to było, gdyby się nie bali!... Mistrz na króla listy do obcych dworów wysyła, a w oczy mu się łąsi, bo lepiej od innych naszą potęgę rozumie. Ale przebierze się w końcu miara!

I znów na chwilę ucichł, a potem położył dłoń na ramieniu Zbyszka.

— Powiem królowi — powtórzył — a w nim wre już z dawna gniew jak ukrop w garnku i tego bądź pewien, że kara okrutna nie minie sprawców twojej niedoli.

— Z tych, panie, już żaden nie żywie — odparł Zbyszko.

A Powała spojrział na niego z wielką przyjacielską życzliwością:

— Bogdajże cię! To, widać, swego nie darujesz. Jednemu Lichtensteinowi jeszcześ nie odpłacił, bo wiem, żeś nie mógł. Myśmy mu także w Krakowie ślubowali, ale z tym trzeba chyba wojny, którą daj Bóg, czekać, gdyż on bez pozwolenstwa mistrzowego stanąć nie może, a mistrzowi jego rozum potrzebny, dla którego ciągle go na różne dwory posyła, więc mu i niełatwo pozwoli.

— Pierwej muszę stryjca wykupić.

— Tak... I wreszcie pytałem się o Lichtensteina. Nie ma go tu i nie będzie w Raciążku, gdyż wysłan jest do króla angielskiego po łuczników. A o stryja niech cię głowa nie boli. Gdy król albo tutejsza księżna słowo rzekną, to z okupem nie pozwoli mistrz kręcić.

— Tym bardziej że mam jeńca znacznego, rycerza de Lorche, którego jest pan możny i między nimi sławny. Rad by on się pewnie wam, panie, pokłonił i znajomość z wami uczynił, bo nikt więcej nad niego nie wielbi sławnych rycerzy.

To rzekłszy, skinął na pana de Lorche, którego stał w pobliżu, a ów, rozpytawszy się już poprzednio, z kim Zbyszko rozmawia, zbliżył się skwapliwie, bo istotnie zapłonął chęcią poznania tak sławnego jak Powała rycerza.

Więc gdy ich Zbyszko zaznajomił, skłonił się wytworny Geldryczyk jak najukładniej i rzekł:

— Jeden tylko byłby większy zaszczyt, panie, od uściśnięcia waszej dłoni, a to potykać się z wami w szrankach albo w bitwie.

Na to uśmiechnął się potężny rycerz z Taczewa, gdyż przy drobnym i szczupłym panu de Lorche wyglądał jak góra, i rzekł:

— A ja tam rad, że się spotkamy jeno przy pełnych konwiach i da Bóg, nigdy inaczej.

De Lorche zaś zawahał się nieco, a potem ozwał się jakby z pewną nieśmiałością:

— Gdybyście jednak, szlachetny panie, chcieli twierdzić, że panna Agnieszka z Długolasu nie jest najpiękniejszą i najcnotliwszą damą w świecie... Wielki byłby dla mnie honor... zaprzeczyc i...

Tu przerwał i począł patrzeć w oczy Powale z szacunkiem, ba! nawet z uwielbieniem, ale bystro i uważnie.

Ale ów, czy dlatego, że wiedział, iż zgniótłby go w dwóch palcach jak orzech, czy dlatego, że duszę miał niezmiernie dobrotliwą i wesołą, roześmiał się głośno i rzekł:

— Ba, ja swego czasu ślubowałem księżnie burgundzkiej, ale ona wówczas miała z dziesięć років więcej ode mnie; jeżelibyście więc, panie, chcieli twierdzić, że moja księżna nie jest starsza od waszej panny Agnieszki, to trzeba nam będzie zaraz na koń...

Usłyszawszy to, de Lorche popatrzał przez chwilę w zdumieniu na pana z Taczewa, po czym twarz zaczęła mu drgać i wreszcie wybuchnął i on szczerym śmiechem.

A Powala pochylił się, otoczył mu biodra ramieniem, nagle podniósł go z ziemi i począł kołysać go z taką łatwością, jakby pan de Lorche był niemowlęciem.

— *Pax! Pax!* — rzekł. — Jak mówi biskup Kropidło... Udaliście mi się, rycerzu, i przebóg, nie będziemy się potykali o żadne damy.

Za czym uściskawszy go, postawił na ziemi, gdyż właśnie przy wejściu na dziedziniec huknęły nagle trąby — i wszedł książę Ziemowit płocki z małżonką.

— Tutejsi księstwo przed królem i przed księciem Januszem przybywają — rzekł do Zbyszka Powala — bo choć to ucztą u starosty, ale zawsze w Płocku: oni gospodarze. Pójdź ze mną do pani, boć ją znasz jeszcze z Krakowa, gdzie się do króla za tobą przyczyniała.

I wzięwszy go za rękę, powiodł przez dziedziniec. Za księciem i za księżną szli dworzanie i dwórki, wszyscy z powodu obecności króla bardzo strojni i świetni, że aż cały dziedziniec zajaśniał od nich jak od kwiatów. Zbyszko, zbliżając się z Powalą, przepatrywał z dala twarze, czyli nie dojrzy między nimi znajomych, i nagle aż przystanął ze zdumienia.

Bo oto tuż za księżną ujrzał rzeczywiście znajomą postać i znajomą twarz, ale tak poważną, tak piękną i tak pańską, iż pomyślał, że go chyba oczy mylą.

— Jagienka-li to czyli może córka księstwa na Płocku?

Ale to była Jagienka Zychówna ze Zgorzelic, gdyż w chwili, gdy oczy ich spotkały się, uśmiechnęła się do niego zarazem przyjaźnie i litościwie, a potem przybladła nieco i nakrywszy oczy powiekami, stała w złotej przepasce na ciemnych włosach i w niezmiernym blasku swej piękności, wysoka, smutna i cudna, nie tylko do księżniczki, ale do prawdziwej królowej podobna.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Zbyszko podjął panią na Płocku pod nogi i służby jej swoje ofiarował, ale ona nie poznała go w pierwszej chwili, gdyż nie widziała go od dawnego czasu. Aż dopiero, gdy jej powiedział, jako go wołają — rzekła:

— Prawdziwie! A ja myślałam, że kto z dworu królewskiego. Zbyszko z Bogdańca! Jakże! Gościł tu u nas wasz stryjko, stary rycerz z Bogdańca, i pamiętam, jako i mnie, i moim dwórkom służy ciurkiem leciały, gdy nam o was prawił. A odnaleźliście waszą niewiastę? Gdzie ona teraz?

— Zmarła mi, miłościwa pani...

— O miły Jezu! Nie mówcie, bo płakania nie strzymam. Jedno to pociecha, że pewnie w niebie, a wyście młodzi. Mocny Boże! Mdłe to stworzenie: każda niewiasta. Ale w niebie za wszystko nagroda i tam ją znajdziecie. Zaś stary rycerz z Bogdańca jest tu z wami?

— Nie masz go, bo w niewoli u Krzyżaków, z której jadę go wykupić.

Rycerz, Śmiech

Kobieta



— To i jemu się nie poszczęściło. A zdawał się człek bystry i wszelaki obyczaj znający<sup>1308</sup>. Ale jak go wykupicie, zajedźcie też do nas. Radzi was ugościm, bo szczerze powiadam, że jemu na rozumie, a wam na gładkości nie zbywa.

— Uczynim tak, miłościwa pani, tym bardziej żem i teraz umyślnie tu przyjechał, aby waszą miłość o dobre słowo za nim prosić.

— Dobrze. Przyjdźcie jutro przed wyjazdem na łowy, to będę miała czas...

Dalsze jej słowa przerwał znowu huk trąb i kotłów oznajmujących przybycie księstwa Januszów Mazowieckich. Ponieważ Zbyszko z panią na Płocku stał tuż przy wejściu, więc księżna Anna Danuta spostrzegła go od razu i natychmiast zbliżyła się do niego, nie zważając na pokłony gospodarza starosty.

A w młodzianku rozdarło się na nowo serce na jej widok, więc klęknął przed nią i objąwszy rękoma jej kolana, klęczał w milczeniu, ona zaś pochyliła się nad nim i ścisnąwszy mu dłońmi skronie, ronila łzę po łzie na jego jasną głowę, zupełnie jak matka, która płacze nad nieszczęściem syna.

I ku wielkiemu zdziwieniu dworzan i gości płakała tak długo, powtarzając: „O Jezu, o Jezu miłosierny!” — po czym podniosła Zbyszka z klęczek i rzekła:

— Płacę po niej, po mojej Danuśce, i płacę nad tobą. Bóg tak wszelako zrządził, że na nic były twoje trudy i na nic teraz nasze łzy. Ale ty mi praw o niej i jej śmierci, bo choćbym do północkska słuchała, nigdy nie będzie mi tego dosyć.

I wzięła go na stronę, tak jak poprzednio brał go pan z Taczewa. Ci z gości, którzy nie znali Zbyszka, poczęli dopytywać się o jego przygody i w ten sposób przez jakiś czas wszyscy rozmawiali tylko o nim, o Danusi i o Jurandzie. Dopytywali się także posłowie krzyżaccy, Frydrych von Wenden, komtur toruński, wysłany na spotkanie króla, i Jan von Schönfeld, komtur z Osterody. Ten ostatni, Niemiec, ale rodem ze Śląska, umiejąc dobrze po polsku, z łatwością dopytał, o co chodzi, i wysłuchawszy opowieści z ust Jaśka z Zabierza, dworzanina księcia Janusza, rzekł:

— Danveld i de Löwe byli samemu mistrzowi podejrzani, że zajmowali się czarną magią.

Po czym pomiarkował wnet, że jednak opowiadanie podobnych rzeczy mogło rzucić na cały Zakon cień taki, jaki padł swego czasu na templariuszów<sup>1309</sup>, i dodał prędko:

— Tak przynajmniej bajczarze<sup>1310</sup> prawili, ale to nie była prawda, bo takich nie masz między nami.

Lecz stojący w pobliżu pan z Taczewa odpowiedział:

— Komu wadził chrzest Litwy, tego może mierzić i krzyż.

— My krzyż na płaszczach nosim — odpowiedział z dumą Schönfeld.

Na to zaś Powąła:

— A trzeba go nosić w sercach.

Tymczasem zagrały trąby jeszcze rozgłośniej i nadszedł król, a z nim razem arcybiskup gnieźnieński, biskup krakowski, biskup płocki, kasztelan krakowski i kilku innych dygnitarzy i dworzan, między którymi był i Zyndram z Maszkowic, herbu Słońce, i młody książę Jamont, przyboczny pański. Król mało się zmienił od czasu, jak go Zbyszko nie widział. Na jagodach miał takie same mocne rumieńce, takie same długie włosy, które co chwila zakładał za uszy, i tak samo niespokojnie strzelające oczy. Zdawało się tylko Zbyszowski, że więcej ma w sobie powagi i więcej majestatu, jak gdyby się już czuł pewniejszy na tym tronie, który po śmierci królowej chciał był zrazu opuścić, nie wiedząc, czy się na nim osiedzi<sup>1311</sup>, i jak gdyby świadomszy teraz był swej niezmiernej potęgi i siły. Obaj książęta mazowieccy ustawili się zaraz przy bokach pana, od przodu bili powitalne pokłony Niemcy-posłowie, a naokół stanęli dygnitarze i przedniejsi dworscy.

<sup>1308</sup>znający — dziś popr.: znający. [przypis edytorski]

<sup>1309</sup>templariusze — zakon rycerski, założony ok. 1120 w Jerozolimie, pełna nazwa: Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona. Upadek zakonu spowodowały oskarżenia króla Francji Filipa IV Pięknego (1268–1314), poważnie zadłużonego u zakonu. Oskarżenia dotyczyły świętokradztwa, herezji, czarów oraz spisków z poganami. Francuska gałąź zakonu została skasowana w 1311, a wielu spośród zakonników, włącznie z wielkim mistrzem Jakubem de Mollay i 54 najwyższymi dostojnikami, spalono na stosie. Ostatecznie zakon został zawieszony przez papieża w 1317. [przypis edytorski]

<sup>1310</sup>bajczarz — dziś popr.: bazarz. [przypis edytorski]

<sup>1311</sup>osiedzić się (daw.) — pozostać, przetrwać w danym miejscu a. na danym stanowisku. [przypis edytorski]

Łzy

Diabeł

Król

Mury okalające dziedziniec drżały od nieustających okrzyków, od odgłosu trąb i grzmienia kotłów.

Gdy wreszcie nastąpiła cisza, poseł krzyżacki von Wenden począł coś mówić o sprawach Zakonu, ale król, gdy po kilku słowach zmiarkował, do czego zmierza przedmowa, machnął niecierpliwie ręką i ozwał się swym grubym, donośnym głosem:

— Milczałbyś! Na uciechę my tu przyszli: i jadło a napitek, nie twoje pergaminy<sup>1312</sup> radzi obaczym.

Lecz uśmiechnął się przy tym dobrotliwie, nie chcąc, aby Krzyżak myślał, że mu gniewnie odpowiada, i dodał:

— O sprawach będzie czas gadać z mistrzem w Raciążku.

Potem do księcia Ziemowita:

— A jutro do puszczy na łów, co?

Pytanie to było zarazem oznajmieniem, że tego wieczoru nie chce o czym innym mówić, jeno o łowach, w których z całej duszy się kochał i dla których rad na Mazowsze przyjeżdżał, gdyż Mało- i Wielkopolska mniej były lesiste, a w niektórych ziemiach tak już zaludnione, że im zgoła brakło lasów.

Więc poweselały oblicza, bo wiadano, że król przy rozmowie o łowach bywa także i wesół, i niezmiernie łaskaw. Książę Ziemowit począł też zaraz opowiadać, dokąd pojedą i na jakiego zwierza będą polowali, a książę Janusz posłał jednego z dworzan, aby sprowadził z miasta jego dwóch „brońców”, którzy żubry wywodzili<sup>1313</sup> z ostępów za rogi i łamali kości niedźwiedzim, pragnął ich bowiem królowi pokazać.

Zbyszko chciał bardzo pójść pokłonić się panu, ale nie mógł do niego dostąpić. Z dała tylko kniaź Jamont, zapomniawszy widocznie o ostrej odpowiedzi, jaką swego czasu młody rycerz dał mu w Krakowie, kiwnął mu przyjaźnie głową, dając zarazem znać na migi, aby się do niego przy sposobności zbliżył. Ale w tej chwili jakaś ręka dotknęła ramienia młodego rycerza i słodki, smutny głos ozwał się tuż przy nim:

— Zbyszku...

Młodzian odwrócił się i ujrzał przed sobą Jagienkę. Zajęty poprzednio powitaniem księżny Ziemowitowej, a następnie rozmową z księżną Januszową, nie mógł dotychczas zbliżyć się do dziewczyny, więc ona sama, korzystając z zamieszania, jakie wywołało przybycie króla, przysła ku niemu.

— Zbyszku — powtórzyła — niech cię pocieszy Bóg i Najświętsza Panna.

— Bóg wam zapłać — odpowiedział rycerz.

I spojrzął z wdzięcznością w jej modre oczy, które w tej chwili przesłoniły się jakby rosą. Po czym stali przed sobą w milczeniu, bo choć ona przysła do niego jak dobra i smutna siostra, wydała mu się jednak w swej królewskiej postawie i w świetnych dworskich szatach tak inną od dawnej Jagienki, że w pierwszej chwili nie śmiał nawet mówić jej: ty, jak ongi w Zgorzelicach i w Bogdańcu. Ona zaś myślała, że po tych słowach, które wyrzekła, nie ma mu nic więcej do powiedzenia.

I aż zakłopotanie odbiło się na ich twarzach. Ale w tej chwili rum<sup>1314</sup> uczynił się na dziedzińcu, albowiem król zasiadł do wieczerzy. Do Zbyszka zbliżyła się znów księżna Januszowa i rzekła:

— Żałośliwa to będzie dla nas obojga uczta, ale mi służ, jakoś dawniej służywał.

Więc młody rycerz musiał odejść od Jagienki i gdy goście zasiedli, stanął przy ławce za plecami księżny, aby zmieniać miski i nalewać jej wody i wina. Służąc, mimo woli spoglądał kiedy niekiedy na Jagienkę, która będąc dwórką księżny na Płocku, siedziała tuż obok niej — i również mimo woli musiał podziwiać jej urodę. Jagienka od tych kilku lat urosła znacznie, ale zmienił ją jednak nie tyle wzrost, ile powaga, której nie miała przedtem ani śladu. Dawniej, gdy w kozuszkę i z liśćmi w roztarganych włosach ganiała na koniu po borach i lasach, można ją było poczytać bogdaj za urodziwą chłopiankę, teraz na pierwszy rzut oka widać w niej było dziewczkę znacznego rodu i wielkiej krwi — taki rozlewał się w jej twarzy spokój. Zbyszko zauważył też, że znikła jej dawna wesołość, ale temu mniej się dziwił, wiedział bowiem o śmierci Zycha. Dziwiła go natomiast najwięcej ta jakowaś

<sup>1312</sup>pergaminy — specjalnie preparowana skóra zwierzęca, przystosowana do pisania na niej; tu: dokumenty. [przypis edytorski]

<sup>1313</sup>wywozić (daw.) — wyprowadzać. [przypis edytorski]

<sup>1314</sup>rum (daw.) — rumor, hałas, zamieszanie. [przypis edytorski]

jej godność i z początku zdawało mu się, że to strój daje jej takie pozory. Więc spoglądał kolejno to na złotą przepaskę, która obejmowała jej białe jak śnieg czoło i ciemne włosy spadające w dwóch warkoczach na plecy, to na niebieską, obcisłą, a bramowaną<sup>1315</sup> purpurowym szlakiem szatę, pod którą rysowała się wyraźnie jej strzelista postać i dziewicza pierś — i mówił sobie: „Iście prawa księżniczka!”. Ale potem uznał, że to nie tylko ubiór jest przyczyną odmiany i że choćby teraz wzięła na siebie prosty kozuch, to już by nie potrafił jej tak lekko brać i tak być z nią śmiałym jak dawniej.

Zauważył następnie, że rozmaici młodzi, a nawet starsi rycerze wpatrują się w nią pilnie i łakomie, a raz, gdy zmieniał przed księżną misę, spostrzegł zapatrzoną i jakby wniebowziętą twarz pana de Lorche i na ten widok uczuł na niego gniew w duszy. Nie uszedł geldryjski rycerz baczności<sup>1316</sup> i księżny Januszowej, która, poznawszy go nagle, rzekła:

— Widzisz: de Lorche! Pewnikiem znów się w kim kocha, bo całkiem olśnął.

Za czym pochyliła się nieco nad stołem i spojrzawszy w bok ku Jagience, rzekła:

— Wiera, że gasną inne świece przy tej pochodni.

Zbyszka ciągnęło jednak do Jagienki, gdyż wydała mu się jakby kochająca i kochana krewna, i czuł, że lepszej spółniczki<sup>1317</sup> do smutku i większej litości w niczym sercu nie znajdzie, ale tego wieczora nie mógł do niej więcej przemówić, a to dlatego, że był zajęty służbą, a po wtóre, że przez cały czas uczyli gądkowie śpiewali pieśni albo trąby czyniły tak hałaśliwą muzykę, że ci nawet, którzy koło siebie siedzieli, zaledwie mogli się dosłyszeć. Obie też księżne, a z nimi niewiasty, wstały wcześniej od stołów, od króla, książąt i rycerzy, którzy mieli zwyczaj do późna w noc zabawiać się kielichami. Jagience, która niosła poduszkę do siedzenia dla księżny, nijako się było zatrzymać, więc odeszła także, tylko na odchodnym uśmiechnęła się znów Zbyszkowi i skinęła mu głową. Późno dopiero przede dniem młody rycerz, pan de Lorche i dwaj ich giermkowie wracali do gospody. Czas jakiś szli pogrążeni w myślach, ale gdy już byli niedaleko domu, de Lorche począł coś mówić do swego giermka, Pomorzanina, umiającego dobrze po polsku, a ten zwrócił się następnie do Zbyszka:

— Pan mój chciałby o coś waszą miłość zapytać.

— Dobrze — odpowiedział Zbyszko.

Wówczas tamci znów pogadali chwilę z sobą, po czym Pomorzanin, uśmiechając się nieco pod wąsem, rzekł:

— Pan mój chciałby spytać: czy to jest pewna, że ta panna, z którą wasza miłość rozmawiała przed ucztą, jest śmiertelna, czyli też to jest właśnie anioł albo święta?

— Powiedz twemu panu — odpowiedział z pewną niecierpliwością Zbyszko — że już mnie drzewiej tak samo pytał i że aż mi cudnie tego słuchać. Bo jakże: w Spychowie mówił mi, że się na dwór księcia Witoldowy dla urody Litwinek wybiera, potem skroś tejże przyczyny chciał jechać do Płocka, w Płocku dziś chciał rycerza z Taczewa dla Agnieszki z Długolasu pozywać, a teraz znów w inną godzi. Zali taka to u niego stateczność i taka rycerska wiara?

Pan de Lorche wysłuchał tej odpowiedzi z ust swego Pomorczyka, westchnął głęboko, popatrzył chwilę w błędące nocne niebo i tak na zarzuty Zbyszkowe odpowiedział:

— Słusznie mówisz. Ni statku<sup>1318</sup>, ni wiary! Bom jest człek grzeszny i niegodny ostróg rycerskich nosić. Co do panny Agnieszki z Długolasu: prawda, ślubowałem jej i Bóg da, że wytrwam, ale uważ, jak cię wzruszę, gdy ci opowiem, jak okrutnie ze mną w czerskim zamku postąpiła.

Tu znów westchnął, znów spojrzął w niebo, na którego wschodzie czyniła się coraz jaśniejsza smuga, i poczekawszy, dopóki Pomorzanin nie przetłumaczył jego słów, tak dalej po chwili mówił:

— Powiedziała mi, że wrogiem jej jest pewien czarnoksiężnik w wieży wśród lasów mieszkający, który corocznie smoka przeciw niej wysła, a ów podchodzi każdej wiosny pod mury czerskie i patrzy, czyby jej pochwycić nie zdołał. Co gdy rzekła, wraz oświadczyłem, że będę walczył ze smokiem. Ach! Uważ, co dalej opowiem: gdym stanął na

<sup>1315</sup>bramować — obszywać brzegi. [przypis edytorski]

<sup>1316</sup>baczność — uwaga. [przypis edytorski]

<sup>1317</sup>spólniczki — dziś popr.: współniczki. [przypis edytorski]

<sup>1318</sup>statek (daw.) — tu: stateczność. [przypis edytorski]

wskazanym miejscu, ujrzałem okropną potworę czekającą mnie nieruchomie i radość zalała mi duszę, bom myślał, że albo polegnę, albo dziewicę z plugawej paszczy ocalę i nieśmiertelną sławę pozyskam. Ale gdym natarł z bliska kopią na poczwarcę, cóżem, jak mniemasz, ujrzał? Oto wielki wór słomy na drewnianych kołkach, z ogonem z powróseł! I śmiech ludzki, nie sławę, zyskałem, i aż dwóch mazowieckich rycerzy musiałem potem pozwać, od których obu ciężki szwank<sup>1319</sup> w szrankach poniosłem. Tak postąpiła ze mną ta, którąm nad wszystkie uwielbił i jedną jedyną kochać chciałem...

Pomorzanin, tłumacząc słowa rycerza, wypychał językiem od środka policzki i chwila mi przygryzał go, aby nie parsknąć, a i Zbyszko w innych czasach byłby się roześmiał z pewnością, ale że boleść i niedola wyszlamowały<sup>1320</sup> w nim do cna wesołość, więc odrzekł poważnie:

— Może z pustoty<sup>1321</sup> to jeno uczyniła, nie ze złości.

— Toteż jej przebaczyłem — odpowiedział de Lorche — a najlepszy dowód masz w tym, że się z rycerzem z Taczewa chciał o jej piękność i cnotę potykać.

— Nie czyn tego — rzekł jeszcze poważniej Zbyszko.

— Ja wiem, że to śmierć, ale wolej mi polec niż w ciągłym smutku i strapieniu...

— Panu Powale już takie rzeczy nie w głowie. Pójdź lepiej jutro ze mną do niego i zawrzyj z nim przyjaźń.

— Tak i postąpię, bo mnie do serca przycisnął, ale on jutro na łowy z królem jedzie.

— To pójdziem z rana. Król miłuje łowy, atoli i wywczasem nie gardzi, a dziś do późna biesiadował.

I tak uczynili, ale na próżno, gdyż Czech, który jeszcze przed nimi na zamek pośpieszył, aby się widzieć z Jagienką, oznajmił im, że Powala spał nie u siebie tej nocy, jeno na pokojach królewskich. Opłacił im się wszelako zawód, bo spotkał ich książe Janusz i kazał im się do swego orszaku przyłączyć, przez co mogli wziąć udział w łowach. Jadąc ku puszczy, znalazł też Zbyszko sposobność rozmówienia się z kniazem Jamontem, który powiedział mu dobrą nowinę.

— Rozbierając króla do łoża — rzekł — przypomniałem mu ciebie i twoją krakowską przygodę. A że był przy tym rycerz Powala, więc zaraz przydał, że ci stryjca Krzyżaki chyciły i prosił króla, aby się o niego upomniał. Król, który okrutnie jest na nich za porwanie małego Jaśka z Kretkowa i za inne napaści zagniewan, rozsierzdził się jeszcze więcej: „Nie z dobrym słowem — powiada — by do nich, ale z dzidą! Z dzidą! Z dzidą!”. A Powala umyślnie drew na ów ogień dorzucał. Rano też, gdy posłowie krzyżaccy czekali przy bramie, ani ci na nich król spojrział, chociaż się do ziemi kłaniali. Hej, nie wydobędą oni z niego teraz obietnicy, iż nie będzie kniazia Witolda wspomagał, i nie będą wiedzieli, co począć. Ale ty bądź pewien, że o twego stryjca nie zaniecha król samego mistrza przycisnąć.

I tak pocieszył jego duszę kniazik Jamont, a jeszcze bardziej pocieszyła ją Jagienka, która towarzysząc księżnie Ziemowitowej do puszczy, postarała się o to, aby z powrotem jechać obok Zbyszka. Podczas łowów bywała wielka swoboda, wracano przeto zwykle parami, a że nie chodziło o to żadnej parze, by być zbyt blisko drugiej, więc można się było rozmówić swobodnie. Jagienka dowiedziała się już poprzednio o Maćkowej niewoli od Czecha i nie straciła czasu. Na jej prośbę dała księżna list do mistrza, a prócz tego wymogła, że nadmienić o tym i komtur toruński von Wenden w piśmie, w którym zdawał sprawę z tego, co w Płocku się dzieje. Chwalił się on sam przed księżną, iż dopisał, że: „chcąc króla udobruchać, nie można mu w tej sprawie czynić trudności”. A mistrzowi chodziło wielce w tej chwili o to, aby jak najbardziej potężnego władcę udobruchać i z całkowitym bezpieczeństwem obrócić wszystkie siły na Witolda, z którym Zakon istotnie nie umiał sobie dotychczas dać rady.

— I tak, com mogła, tom wskórała, bacząc, aby zaś nie było mitręgi — kończyła Jagienka. — A że król, nie chcąc siostrze w wielkich sprawach ustąpić, będzie się pewnie starał wygodzić jej choć w mniejszych, przeto mam jako najlepszą nadzieję.

— Zeby nie z tak zdradliwymi ludźmi sprawa — odpowiedział Zbyszko — tobym po

Śmiech

<sup>1319</sup>szwank (z niem.) — szkoda. [przypis edytorski]

<sup>1320</sup>wyszlamować — wyjąć (metafora odnosząca się do wyjmowania szlamu z cieku wodnego). [przypis edytorski]

<sup>1321</sup>pustota (daw.) — lekkomyślność i skłonność do figłów. [przypis edytorski]

prostu odwiózł okup i na tym by się skończyło, z nimi wszelako może się przygodzić, jako się Tolimie przygodziło, że i pieniądze zagrabią, i temu, co je przywiózł, nie przepuszczą, jeśli za nim jakowaś potęga nie stoi.

— Rozumiem — odrzekła Jagienka.

— Wy teraz wszystko rozumiecie — zauważył Zbyszko — i pókim żyw, wdzięczem wam będę.

A ona, podniósłszy na niego swe smutne i dobre oczy, zapytała:

— Czemu zaś nie mówisz mi: ty, jako znajomce od małego.

— Nie wiem — odpowiedział szczerze. — Coś mi niełacno<sup>1322</sup>... I wyście już nie ten dawny skrzat, jakoście bywali, jeno... niby... coś całkiem...

I nie umiał znaleźć porównania, ale ona przerwała mu wysilek i rzekła:

— Bo mi kilka років przybyło... A Niemce i mnie rodzica na Śląsku zabiły.

— Prawda! — odrzekł Zbyszko. — Daj mu Boże światłość wiekuistą.

Czas jakiś jechali cicho obok siebie, zamyśleni i jakby zasłuchani w nieszporny<sup>1323</sup> szum sosen, po czym ona spytała znowu:

— A po wykupie Maćka ostaniecie w tych stronach?

Zbyszko spojrział na nią jakby ze zdziwieniem, gdyż dotąd oddany był tak wyłącznie żalowi i smutkom, że ani do głowy nie przyszło mu pomyśleć o tym, co będzie później. Więc podniósł oczy w górę, jakby się namyślając, a po chwili odrzekł:

— Nie wiem! Chryste miłosierny! Skądże mam wiedzieć? To jeno wiem, że gdzie powędruję, tam i dola moja pójdzie za mną. Hej! Ciężka dola!... Stryja wykupię, a potem chyba do Witolda pójdę, ślubów przeciw Krzyżakom dopełnić; i może zginę.

A na to zamglily się oczy dziewczyny i pochyliwszy się nieco ku młodziankowi, zaczęła mówić z cicha, jakby z prośbą:

— Nie giń, nie giń!

I znów przestali rozmawiać, aż dopiero pod samymi murami miasta Zbyszko otrząsnął się z myśli, które go gryzły, i rzekł:

— A wy... A ty ostaniesz tu przy dworze?

— Nie — odpowiedziała. — Cni mi się bez braci i bez Zgorzelic. Cztań i Wilk musieli się tam już pożenić, a chociażby i nie, to się już ich nie boję.

— Da Bóg, że cię stryj Maćko do Zgorzelic odwiezie. Taki on ci przyjaciel, że we wszystkim możesz się na niego zdać. Ale i ty o nim pamiętaj...

— Świącie ci to przyrzekam, że mu będę jako rodzone dziecko...

I po tych słowach rozplakała się na dobre, bo w sercu uczyniło się jej ogromnie smutno.

Smutek

\*

Nazajutrz dzień Powała z Taczewa przyszedł do gospody Zbyszka i rzekł mu:

— Po Bożym Ciele król zaraz do Raciąza wyjeżdża na spotkanie z wielkim mistrzem, a tyś jest do rycerzy królewskich zaliczon i razem z nami ruszysz.

A Zbyszko aż się sponił z uciechy po tych słowach — nie tylko bowiem ubezpieczało go to zaliczenie do rycerzy królewskich od zdrad i podstępów krzyżackich, ale okrywało go chwałą niezmierną. Należał przecie do tych rycerzy i Zawisza Czarny, i bracia jego: Farurej i Kruczek, i sam Powała, i Krzon z Kozichgłów, i Stach z Charbimowic, i Paszko Złodziej z Biskupic, i Lis z Targowiska — i wielu innych strasznych, najślawniejszych, o których wiedziano w kraju i za granicą. Niewielki ich zastęp wziął król Jagiełło z sobą, bo niektórzy w domu zostali, a inni szukali przygód w zamorskich, odległych krajach, ale to wiedział, że i z tymi mógł, nie lękając się zdrady krzyżackiej, choćby do Malborge jechać, gdyż w razie czego mury pokruszyliby potężnymi ramiony i wysiekli mu drogę wśród Niemców. Mogło też zapłonąć dumą młode Zbyszkowe serce na myśl, że takich będzie miało towarzyszków.

Więc Zbyszko w pierwszej chwili zapomniął nawet o swoim żalu — i ściskając ręce Powały z Taczewa, mówił do niego z radością:

Rycerz

<sup>1322</sup>niełacno (daw.) — niełatwo, trudno. [przypis edytorski]

<sup>1323</sup>nieszporny — tu: poważny, dostojny. [przypis edytorski]

— Wam to, nie komu, winienem, panie, wam! Wam!

— Mnie w części — odrzekł Powął — w części tutejszej księżnie, ale najbardziej panu naszemu miłościwemu, którego idź zaraz podjąć pod nogi, by cię zaś o niewdzięczność nie posądził.

— Jakom dla niego zginać gotów, tak mi dopomóż Bóg! — zawołał Zbyszko.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Zjazd na wyspie wiślanej w Raciążu, na który król udał się koło Bożego Ciała, odbywał się pod złą wróżbą i nie doprowadził do takiej zgody i załatwienia różnych spraw jak te, które w tym samym miejscu odbyły się we dwa lata później i na których odzyskał król zastawioną zdradliwie przez Opolczyka Krzyżakom ziemię dobrzyńską wraz z Dobrzyniem i Bobrownikami. Jagiełło przybył rozdrażnion wielce obmową, jakiej dopuszczali się względem niego Krzyżacy po dworach zachodnich i w samym Rzymie, a zarazem zgniewany nieuczciwością Zakonu. Mistrz nie chciał układów o Dobrzyni prowadzić, czynił zaś to umyślnie — i zarówno on sam, jak inni dygnitarze zakonni powtarzali codziennie Polakom: „Wojny ni z wami, ni z Litwą nie chcemy, ale Żmujdz nasza, bo sam Witold nam ją oddał. Obiecnijcie, że nie będziecie mu pomagali, to wojna z nim prędzej się skończy, a wówczas pora będzie gadać o Dobrzyniu i siła wam ustępstw poczynimy”. Ale rajcy królewscy, mając bystry, doświadczony rozum i znając kłamstwo krzyżackie, nie dawali się zdurzyć<sup>1324</sup>: „Gdy w potęgę wzrosńecie, zuchwałości wam jeszcze przybędzie — odpowiadali mistrzowi. — Mówicie, że nic wam do Litwy, a Skirgiełłę chcecie na stolcu w Wilnie posadzić. Ależ na miły Bóg! Wždy to Jagiełłowe dziedzictwo, który jeden, kogo chce, księciem na Litwie stanowi; przeto się hamujcie, aby was nie pokarał nasz wielki król!”. Na co mistrz mówił, że jeśli król jest prawdziwym panem Litwy, niechże nakaze Witoldowi, by wojny zaniechał i Zakonowi Żmujdz wrócił — gdyż inaczej Zakon musi uderzyć w Witolda tam, gdzie go dosięgnąć i zranić może. I w ten sposób spory wlokły się od rana do wieczora jakoby błędną drogą idącą w kółko. Król, nie chcąc się do niczego zobowiązać, niecierpliwił się coraz bardziej i mówił mistrzowi, że gdyby Żmujdz była pod krzyżacką ręką szczęśliwa, nie poruszyłby się Witold i jednym palcem, bo nie znalazłby ni pozoru, ni przyczyny. Mistrz, który był człowiekiem spokojnym i lepiej od innych braci zdawał sobie sprawę z potęgi Jagiełłowej, starał się króla ułagodzić i nie zważając na szemranie niektórych zapalczywych i dumnych komturów, nie szczędził pochlebnych słów, a chwilami uderzał i w pokorę. Ale że nawet w tej pokorze nieraz odzywały się ukryte pogroźki, przeto nie wiodło to do niczego. Układy o rzeczy ważne rozchwiały się prędko i drugiego już dnia poczęto mówić tylko o sprawach pomniejszych. Natarł król ostro na Zakon o utrzymywanie kup łotrów, o napaści i grabieże nad granicą, o porwanie Jurandówny i małego Jaśka z Kretkowa, o mordowanie kmieciów i rybaków. Mistrz wypierał się, wykręcał, przysięgał, że to było bez jego wiedzy, i wzajem wyrzuty czynił, że nie tylko Witold, ale i rycerze polscy pomagali pogańskim Żmujdzinom przeciw Krzyżowi — na dowód czego przytoczył Maćka z Bogdańca. Szczęściem, wiedział już król przez Powąłę, czego rycerze z Bogdańca szukali na Żmujdzi — i umiał na zarzut odpowiedzieć, tym łatwiej że w orszaku jego był Zbyszko, a w mistrzowym obaj von Badenowie, którzy przybyli w tej nadziei, że zdarzy im się może z Polakami w szrankach potykać.

Ale nie było i tego. Chcieli Krzyżacy, w razie gdyby im gładko poszło, zaprosić wielkiego króla do Torunia i tam przez kilka dni wyprawiać na jego cześć uczty i igrzyska, ale wobec nieudałych<sup>1325</sup> układów, które zrodziły zobopólną niechęć i gniew, brakło do zabaw ochoty. Na boku tylko w porannych godzinach między sobą popisywali się nieco wzajem rycerze siłą i zręcznością, lecz jak mówił wesoły książę Jamont, poszło i to pod włos Krzyżakom, gdyż Powął z Taczewa okazał się tęższym na rękę od Arnolda von Baden, Dobek z Oleśnicy kopią, a Lis z Targowiska skakaniem przez konie wszystkich przewyższył. Przy tej sposobności porozumiewał się Zbyszko z Arnoldem von Baden o okup. De Lorche, który jako grabia i pan wielkiego znaczenia patrzył na Arnolda z góry, sprzeciwiał się temu, twierdząc, iż sam wszystko na siebie bierze. Zbyszko jednak mniemał, że cześć rycerska nakazuje mu zapłacić tę ilość grzywien, do której się zobowiązał, i dlatego

<sup>1324</sup>zdurzyć (daw.) — oszukać. [przypis edytorski]

<sup>1325</sup>nieudałych — dziś popr.: nieudanych. [przypis edytorski]

choć sam Arnold chciał spuścić z ceny, nie przyjął ani tego ustępstwa, ani pośrednictwa pana de Lorche.

Arnold von Baden był człowiekiem dość prostym, którego największą zaletę stanowiła olbrzymia siła ramienia, dość głupowatym, nieco na pieniądze łakomym, ale prawie uczciwym. Nie było w nim chytrności krzyżackiej i dlatego nie ukrywał przed Zbyszkiem, z jakiej przyczyny nie chce spuścić z umówionej ceny: „Do układów — mówił — między wielkim królem a mistrzem nie przyjdzie, ale przyjdzie do wymiany jeńców, a w takim razie będziesz mógł stryja darmo odebrać. Ja wolę wziąć coś niż nic, gdyż mieszek u mnie zawsze próżny i nieraz ledwie na trzy garnce piwa dziennie wstrzyma<sup>1326</sup>, zaś bez pięciu lub sześciu krzywda mi!”. Lecz Zbyszko gniewał się na niego za takie słowa: „Płacę, bom dał rycerskie słowo, a taniej nie chcę, abys wiedział, żeśmy tyle warci”. Na to ścisnął go Arnold, a rycerze i polscy, i krzyżacy chwalili go, mówiąc: „Słuszna, iż w tak młodych latach pas i ostrogi nosi, bo się do czci i godności poczuwa”.

Tymczasem król z mistrzem ułożyli się istotnie o wymianę jeńców, przy czym ukazały się dziwne rzeczy, o których biskupi i dygnitarze Królestwa pisali później listy do papieża i różnych dworów: oto w rękach polskich sporo było wprawdzie jeńców, ale byli to mężowie dorośli, w sile wieku, wzięci zbrojną ręką w nadgranicznych bitwach i potyczkach. Tymczasem w rękach krzyżackich znajdowała się większość niewiast i dzieci pojmanych wśród nocnych napadów dla okupu. Sam papież w Rzymie zwrócił na to swoją uwagę i pomimo całej przebiegłości Jana von Felde, prokuratora krzyżackiego w stolicy apostołskiej, głośno wyrażał swój gniew i oburzenie na Zakon.

Co do Maćka, były trudności. Nie czynił ich mistrz naprawdę, ale tylko pozornie, aby każdemu ustępstwu przydać wagi. Twierdził więc, że rycerz chrześcijanin, który wojował razem ze Żmujdzinami przeciw Zakonowi, powinien być po sprawiedliwości skazan na śmierć. Próżno rajcy królewscy przytaczali na nowo wszystko, co im było wiadomym o Jurandzie i jego córce oraz o straszliwych krzywdach, jakich się względem tych dwojga i względem rycerzy z Bogdańca dopuścili szludzy Zakonu. Mistrz w odpowiedzi przytoczył dziwnym trafem te same prawie słowa, które powiedziała w swoim czasie księżna Aleksandra Ziemowitowa do starego rycerza z Bogdańca:

— Za baranków się podajecie, a naszych za wilków. Tymczasem z tych czterech wilków, którzy w porwaniu Jurandówny wzięli udział, ani jeden nie żywie, a barankowie chodzą przepiecznieni po świecie.

I była to prawda, wszelako na tę prawdę odpowiedział obecny przy obradach pan z Taczewa następującym pytaniem:

— Tak, ale czy zabito którego zdradę? I zali ci, którzy polegli, nie polegli wszyscy z mieczami w ręku?

Mistrz nie miał co na to odrzec, a gdy spostrzegł przy tym, że król poczyna marszczyć się i błyskać oczyma, ustąpił, nie chcąc doprowadzać groźnego władcy do wybuchu. Uradzono potem, że każda strona wyśle posłów po odbiór jeńców. Ze strony polskiej mianowani zostali w tym celu Zyndram z Maszkowic, który pragnął się potędze krzyżackiej z bliska przypatrzeć, i rycerz Powąła, a z nimi razem Zbyszko z Bogdańca.

Zbyszkowi usługę tę oddał książę Jamont. Przyczynił się za nim do króla w tej myśli, że młodzian i zobaczy prędzej stryja, i tym pewniej go odwiezie, gdy pojedzie po niego jako poseł królewski. A król nie odmówił prośbie kniazika, który z powodu swej wesołości, dobroci i cudnego oblicza był i jego, i całego dworu ulubieńcem, a przy tym nigdy o nic dla siebie nie prosił. Zbyszko dziękował mu też z całej duszy, gdyż teraz był już zupełnie pewien, że Maćka z rąk krzyżackich wydostanie.

— Tobie niejeden zajrzy<sup>1327</sup> — mówił mu — że przy majestacie zostajesz, ale to sprawiedliwie tak jest, bo jeno na dobro ludzkie swojej podufałości z królem używasz i lepszego nad cię serca nikt chyba nie ma.

— Przy majestacie dobrze — odrzekł bojarzynek — ale ja bym jeszcze wołał w pole ku Krzyżakom i tego tobie zajrzę, żeś w nich już bijał.

Po chwili zaś dodał:

<sup>1326</sup>wstrzymać a. strzynać, strzymać (daw.) — tu: wystarczyć. [przypis edytorski]

<sup>1327</sup>zajrzeć a. zażrzeć (daw.) — zazdrościć. [przypis edytorski]

— Komtur toruński von Wenden przyjechał wczoraj, a dziś wieczór pojedziecie do niego na noc z mistrzem i z mistrzowym orszakiem.

— A potem do Malbarga.

— A potem do Malbarga.

Tu książę Jamont począł się śmiać:

— Niedaleka to będzie droga, ale kwaśna<sup>1328</sup>, bo nic od króla nie potrafili Niemce uzyskać, a z Witoldem nie będą mieli też uciechy. Zebrał ci on pono całą potęgę litewską i na Żmujdź idzie.

— Jeśli go król wspomże, to będzie wielka wojna.

— Proszę o to Pana Boga wszyscy nasi rycerze. Ale choćby król z żalu nad krwią krześcijańską wielkiej wojny nie uczynił, wspomże Witolda zbożem i pieniędzmi, a nie bez tego także, aby coś polskich rycerzy na ochotnika do niego nie poszło.

— Jako żywo — odpowiedział Zbyszko. — A może za to sam Zakon wypowie królowi wojnę?

— Ej, nie! — odpowiedział książę. — Póki dzisiaj mistrz żywie, nie będzie tego.

I miał słuszność. Zbyszko znał już mistrza dawniej, ale teraz, po drodze do Malbarga, będąc razem z Zyndramem z Maszkowic i z Powalą prawie ciągle przy jego boku, mógł mu się lepiej przypatrzeć i lepiej go przeznac. Owóż ta podróż utwierdziła go tylko w przekonaniu, że wielki mistrz Konrad von Jungingen nie był złym i zepsutym człowiekiem. Musiał on często postępować w sposób nieprawy, gdyż cały Zakon krzyżacki stał na nieprawości. Musiał czynić krzywdy, bo cały Zakon zbudowany był na ludzkiej krzywdzie. Musiał kłamać, bo kłamstwo odziedziczył razem z oznakami mistrzostwa, a od wczesnych lat przywykł uważać je tylko za polityczną przebiegłość. Ale nie był okrutnikiem, bał się Sądu Bożego i ile mógł, hamował pychę i zuchwałość tych dygnitarzy zakonnych, którzy pchali umyślnie do wojny z potęgą Jagiełłową. Był jednakże człowiekiem słabym. Zakon tak dalece przywykł od całych wieków czyhać na cudze, grabić, zabierać siłą lub podstępem przyległe ziemie, że Konrad nie tylko nie umiał powściągnąć tego drapieżnego głodu, ale mimo woli, siłą nabytego pędu sam poddawał mu się i usiłował go zaspokoić. Dalekie też były już czasy Winrycha von Kniprode, czasy żelaznej karności, którą Zakon wprowadził w podziwienie świat cały. Już za poprzedniego przed Jungingenem mistrza, Konrada Wallenroda, Zakon upoił się własną, coraz wzrastającą potęgą, której nie zdołały osłabić chwilowe klęski, odurzył się sławą, powodzeniem, krwią ludzką, tak że rozluźniły się karby<sup>1329</sup>, które trzymały go w sile i jedności. Mistrz przestrzegał, ile mógł, prawa i sprawiedliwości, ile mógł, łagodził osobiście żelazną ręką Zakonu ciężącą na chłopach, mieszczanach, a nawet na duchowieństwie i szlachcie siedzącej na prawie lennym<sup>1330</sup> w ziemiach krzyżackich, więc w pobliżu Malbarga ten i ów kmieć albo mieszczanin mógł się pochwalić nie tylko dostatkiem, lecz i bogactwem. Ale w dalszych ziemiach samowola, srogość i rozpasanie komturów deptały prawa, szerzyły ucisk i zdzierstwa, wyciskały z pomocą nakładanych na własną rękę podatków albo i bez wszelkiego pozoru ostatni grosz, wyciskały lzy, często krew, tak że w całych obszernych krainach jeden był jęk, jedna nędzka i jedna skarga. Jeśli nawet dobro Zakonu nakazywało, jak chwilami na Żmujdzi, większą łagodność — i takie nakazy szły wniwecz wobec niesforności komturów i przyrodzonego im okrucieństwa. Czuł się więc Konrad von Jungingen niby woźnicą, który rozhukanymi powodując końmi, wypuścił lejce z rąk i zdał wóz na wolę losu. Często też opanowywały jego duszę złe przeczucia, często przychodziły mu na myśl prorocze słowa<sup>1331</sup>: „Postanowiłem ich pszczołami pożyteczności i utwierdziłem na progu ziem chrześcijańskich, ale oto powstał przeciw mnie. Bo nie dbają o duszę i nie litują się ciał tego ludu, który z błędu<sup>1332</sup> nawrócił się ku wierze katolickiej i ku mnie. I uczynili z niego niewolników i nie nauczając go przykazań bożych, i odejmując mu sakramenta święte, na większe jeszcze piekielne męki go skazują, niż gdyby był w pogaństwie pozostał. A wojny

Przywódca

Proroctwo

<sup>1328</sup>kwaśny — tu: niezadowolony. [przypis edytorski]

<sup>1329</sup>karby (daw.) — dyscyplina. [przypis edytorski]

<sup>1330</sup>prawo lenne — prawo regulujące stosunki między suzerenem a wasalem, z reguły oparte na nadawaniu ziemi w zamian za służbę. [przypis edytorski]

<sup>1331</sup>prorocze słowa — proroctwo św. Brygidy Szwedzkiej (1303–1373), świętej, wizjonerki i pisarki, założycielki zakonu brygidek. [przypis edytorski]

<sup>1332</sup>błąd (daw.) — tu: pogaństwo. [przypis edytorski]



toczą ku rozpostarciu swej chciwości. Przeto przyjdzie czas, iżę wylamane im będą zęby i będzie ucięta im ręka prawa, a prawa noga im ochromieje, aby uznali grzechy swoje”. Mistrz wiedział, że owe wyrzuty, które tajemniczy Głos uczynił Krzyżakom w objawieniu świętej Brygidy, były słuszne. Rozumiał, że gmach zbudowany na cudzej ziemi i cudzej krzywdzie, wsparty na kłamstwie, podstępnie, srogości, nie może się długo ostać. Bał się, że podmywany od lat całych krwią i łzami, runie od jednego uderzenia potężnej ręki polskiej; przeczuwał, że wóz, który ciągną rozhukane konie, musi skończyć w przepaści, więc starał się, aby przynajmniej godzina sądu, gniewu, klęski i nędzy przyszła jak najpóźniej. Z tej przyczyny, pomimo swej słabości, w jednym tylko stawał niezłomny opór swym dumnym i zuchwałym rajcom: oto nie dopuszczał do walki z Polską. Próżno zarzucano mu bojaźń i niedołęstwo, próżno pograniczni komturowie parli wszelkimi siłami do wojny. On, gdy ogień miał już, już wybuchnąć, cofał się zawsze w ostatniej chwili, a potem Bogu czynił dzięki w Malborgu, że mu się udało miecz podniesiony nad głową Zakonu zatrzymać.

Ale wiedział, że do tego przyjść musi. Więc owo przeświadczenie, że Zakon stoi nie na prawie bożym, ale na nieprawości i kłamstwie, i owo przecucie bliskiego dnia zaguby czyniło go jednym z najbardziej nieszczęsnych ludzi w świecie. Byłby niechybnie dał życie i krew, gdyby mogło być inaczej i gdyby czas był jeszcze zawrócić na prawą drogę, ale sam czuł, że już nie czas! Zawrócić — to by znaczyło oddać prawym posiadaczom całe ziemie żyzne, bogate i pochwycone przez Zakon od Bóg wie jak dawna, a z nimi razem mnóstwo miast tak bogatych jak Gdańsk. I nie dość! To znaczyło wyrzec się Żmujdzi, wyrzec się zamachów na Litwę, włożyć miecze do pochew, wreszcie całkiem wynieść się z tych krain, w których Zakon nie miał już kogo nawracać — i osiąść chyba znów w Palestynie lub na której z wysp greckich, aby tam Krzyża od prawdziwych bronić Saracenów. Ale było to niepodobieństwem, gdyż równałoby się wyrokowi zagłady na Zakon. Kto by się na to zgodził? I jakież mistrz mógł czegoś podobnego zażądać? Konradowi von Jungingen zawłóczyła się<sup>1333</sup> cieniem dusza i życie, ale człowieka, który by z podobną radą wystąpił, on pierwszy skazałby, jako pozbawionego zmysłów, na ciemną izbę. Trzeba było iść dalej i dalej, aż do dnia, w którym sam Bóg kres naznaczy. Więc siedł, ale w dusznej trosce i smutku. Włos na brodzie i skroniach już mu się posrebrzył, a bystre niegdyś oczy pokryły się do połowy ociężałymi powiekami. Zbyszko ani razu nie dostrzegł na jego twarzy uśmiechu. Oblicze mistrzowe nie było groźne ani nawet chmurne, było tylko jakby zmęczone jakimś cichym cierpieniem. W zbroi, z krzyżem na piersiach, w środku którego

Smutek

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Jechali suchą drogą na Chełmżę do Grudziądza, gdzie zatrzymali się na noc i dzień, gdyż wielki mistrz miał tam do osądzenia sprawę o rybołówstwo między zamkowym starostą krzyżackim a okoliczną szlachtą, której ziemie przylegały do Wisły. Stamtąd płynęli na skutach<sup>1335</sup> krzyżackich rzeką aż do Malborga. Zyndram z Maszkowic, Powąła z Taczewa i Zbyszko znajdowali się przez cały czas przy boku mistrza, który ciekawy był, jakie wrażenie uczyni, zwłaszcza na Zyndramie, widziana z bliska potęga krzyżacka. Chodziło

<sup>1333</sup>zawłóczyć się (daw.) — zaslaniać się. [przypis edytorski]

<sup>1334</sup>malmazja — słodkie wino greckie. [przypis edytorski]

<sup>1335</sup>szkuta — płaskodenny statek rzeczny. [przypis edytorski]

zaś mistrzowi o to dlatego, że Zyndram z Maszkowic był nie tylko mężnym i strasznym w pojedynkę rycerzem, ale nadzwyczaj biegłym wojownikiem. W całym Królestwie nikt tak jak on nie znał się na prowadzeniu wielkich wojsk, na szykowaniu hufców do bitwy, na budowie i burzeniu zamków, na rzucaniu mostów przez szerokie rzeki, na „armacie”, to jest na uzbrojeniu u rozmaitych narodów, i na wszelkich wojennych sposobach. Mistrz wiedząc, że na radzie królewskiej dużo zależało od zdania tego męża, mniemał, że jeśli zdoła go przerazić wielkość zakonnych bogactw i wojsk, to wojna odwlecze się jeszcze na długo. A przede wszystkim sam widok Malbarga mógł przejąć trwogą serce każdego Polaka, albowiem z twierdzą ową, licząc Wysoki Zamek, Średni i Przedzamacze, żadna inna w całym świecie nie mogła się nawet w przybliżeniu porównać. Już z dala, płynąc Nogatem<sup>1336</sup>, ujrzeli rycerze potężne baszty rysujące się na niebie. Dzień był jasny i przeźroczy<sup>1337</sup>, więc widać je było doskonale, a po jakimś czasie, gdy szkuty zbliżyły się, jeszcze bardziej rozbrzysły szczyty kościoła na Wysokim Zamku i olbrzymie mury piętrzące się jedne nad drugimi — w części barwy ceglanej, przeważnie jednak pokryte ową słynną szarobiałą zaprawą, którą przyrządzać umieli tylko mularze<sup>1338</sup> krzyżacy. Ogrom ich przewyższał wszystko, co w życiu widzieli polscy rycerze. Zdawać się mogło, że tam gmachy wyrastają na gmachach, tworząc w nizinym z natury miejscu jakby górę, której szczytem był Stary Zamek, a stokami — Średni i rozłożyste Przedzamacze. Biła od tego olbrzymiego gniazda zbrojnych mnichów moc i potęga tak nadzwyczajna, że nawet długa i zwykle posępna twarz mistrza wypogodziła się nieco na ów widok.

Zamek

— *Ex luto*<sup>1339</sup> Marienburg: z błota Marienburg — rzekł, zwracając się do Zyndrama.  
— Ale tego błota moc ludzka nie pokruszy.

Zyndram nie odpowiedział — i w milczeniu obejmował oczyma wszystkie baszty i ogrom murów wzmocnionych potwornymi skarpami.

A Konrad von Jungingen dodał po chwili milczenia:

— Wy, panie, którzy się na twierdzach znacie, cóż nam o tej powiecie?

— Twierdza widzi mi się nie do zdobycia — odrzekł jakby w zamyśleniu polski rycerz — ale...

— Ale co? Co w niej możecie przyganić?

— Ale każda twierdza może zmienić panów.

Na to mistrz zmarszczył brwi.

— W jakiejże to myśli mówicie?

— W tej, że zakryte są przed oczyma ludzkimi sądy i wyroki Boże.

I znów patrzył w zamyśleniu na mury, a Zbyszko, któremu Powąła przetłumaczył należycie odpowiedź, spoglądał na niego z podziwem i wdzięcznością. Uderzyło go przy tym w tej chwili podobieństwo między Zyndramem a żmujdzkim wodzem Skirwoiłą. Obaj mieli takie same ogromne głowy, jak gdyby wbite między szerokie ramiona, obaj równie potężne piersi i takie same pałkowate nogi.

Tymczasem mistrz nie chcąc, by ostatnie słowo zostało przy polskim rycerzu, znów zaczął:

— Mówią — rzekł — że nasz Marienburg sześć razy większy od Wawelu.

— Tam na skale nie masz tyle miejsca, ile tu w równi<sup>1340</sup> — odparł pan z Maszkowic — ale serce, widzę, u nas na Wawelu większe.

Konrad podniósł ze zdziwieniem brwi:

— Nie rozumiem.

— Bo cóż ci jest sercem w każdym zamku, jeśli nie kościół? A nasza katedra za trzy takie jak oto ów obstanie<sup>1341</sup>.

I to rzekłszy, wskazał na istotnie niewielki kościół zamkowy, na którego prezbiterium<sup>1342</sup> błyszcząca na złotym tle olbrzymia mozaikowa figura Najświętszej Panny.

A mistrz znowu był nierad z takiego obrotu rozmowy:

Świątynia

<sup>1336</sup>*Nogat* — wschodnie ujście Wisły. [przypis edytorski]

<sup>1337</sup>*przeźroczy* — dziś popr.: przeźroczy. [przypis edytorski]

<sup>1338</sup>*mularz* — dziś: murarz. [przypis edytorski]

<sup>1339</sup>*ex luto* (łac.) — z błota. [przypis edytorski]

<sup>1340</sup>*w równi* — na równinie. [przypis edytorski]

<sup>1341</sup>*obstać* — wystarczyć. [przypis edytorski]

<sup>1342</sup>*prezbiterium* — część kościoła, w której znajduje się ołtarz. [przypis edytorski]

— Prędkie, ale dziwne macie, panie, odpowiedzi — rzekł.

W tymże czasie dojechali. Wyborna policja krzyżacka uprzedziła widocznie miasto i zamek o przyjeździe wielkiego mistrza, gdyż u przeprawy czekali już, prócz kilku braci, trębacze miejscy, którzy przygrywali zwykle wielkiemu mistrzowi w czasie przewozu. Z drugiej strony czekały gotowe konie, na które siadłszy, przebył orszak miasto i przez Szewską Bramę, wedle Wróblej Baszty, wjechał do Przedzamcza. W bramie witali mistrza: wielki komtur Wilhelm von Helfenstein, który zresztą tytuł już tylko nosił, albowiem od kilku miesięcy obowiązki jego sprawował naprawdę Kuno Lichtenstein, wysłany podówczas do Anglii; a dalej: wielki szpitalnik, krewny Kunona, Konrad Lichtenstein, wielki szatny<sup>1343</sup> Rumpenheim i wielki podskarbi Burghard von Wobecke, i wreszcie mały komtur<sup>1344</sup>, przełożony nad warsztatami i nad zarządkiem zamku. Prócz tych dostojników stało tam kilkunastu braci wyświęconych, którzy zawiadowali rzeczami dotyczącymi kościoła w Prusiech i ciężko gnębili inne klasztory oraz świeckie duchowieństwo, zmuszając je nawet do robót przy drogach i przy łamaniu lodów — a z nimi gromada braci świeckich, to jest rycerzy nieobowiązanych do godzin kanonicznych. Rosłe i silne ich postawy (słabych nie chcieli Krzyżacy przyjmować), szerokie ramiona, kręte brody i srogie spojrzenia czyniły ich podobniejszymi do drapieżnych zbójów-rycerzy niemieckich<sup>1345</sup> niż do mnichów. Z oczu patrzyła im odwaga, hardość i pycha niezmierna. Nie lubili oni Konrada za jego obawę wojny z potęgą Jagiełłową; nieraz na kapitulach otwarcie wyrzucali mu bojaźliwość, rysowali go na murach i podmawiali<sup>1346</sup> błaznów do wyśmiewania go w oczy. Jednakże na jego widok pochylili teraz głowy z pozorną pokorą, zwłaszcza że mistrz wjeżdżał w towarzystwie obcych rycerzy, i poskoczyli hurmem, aby potrzymać mu konia za uzdę i strzemię.

Pycha

Mistrz zaś zsiadłszy, zwrócił się zaraz do Helfensteina i zapytał:

— Są-li jakie nowiny od Wenera von Tettingen?

Werner von Tettingen, jako wielki marszałek, czyli przywódca zbrojnych sił krzyżackich, był w tej chwili na wyprawie przeciw Żmujdzinom i Witoldowi.

— Ważnych nowin nie ma — odpowiedział Helfenstein — ale są szkody. Dzicz popaliła osady pod Ragnetą i miasteczka przy innych zamkach.

— W Bogu nadzieja, że jedna wielka bitwa złamie ich złość i zatwardziałość — odparł mistrz.

I to rzekłszy, podniósł oczy w górę, a usta jego poruszały się przez chwilę modlitwą, którą odmawiał za powodzenie wojsk zakonnych.

Po czym ukazał na polskich rycerzy i rzekł:

— To są wysłannicy króla polskiego: rycerz z Maszkowic, rycerz z Taczewa i rycerz z Bogdańca, którzy z nami dla wymiany jeńców przybyli. Niechaj komtur zamkowy wskaże im gościnne komnaty i podejmie ich, i ugości, jako przystało.

Na te słowa bracia-rycerze poczęli spoglądać z ciekawością na wysłanników, a zwłaszcza na Powalę z Taczewa, którego imię, jako słynnego zapaśnika, było niektórym znane. Tych zaś, którzy nie słyszeli o jego czynach na dworze burgundzkim, czeskim i krakowskim, przejmowała podziwem jego ogromna postawa i jego ogier bojowy tak nadzwyczajnej wielkości, że bywalcom, którzy za młodych lat zwiedzili Ziemię Świętą i Egipt, przypomnieli wielbłądy i słonie.

Kilku poznało też Zbyszka, który swego czasu potykał się w szrankach w Malborgu, i ci witali go dość uprzejmie, pamiętając, że potężny i mający wielką wziętość<sup>1347</sup> w Zakonie brat mistrzów, Ulryk von Jungingen, okazywał mu szczerą przyjaźń i przychyłność. Najmniej zwracał uwagi i podziwu ten, który w niedalekiej już przyszłości miał być najstraszliwszym pogromcą Zakonu, to jest Zyndram z Maszkowic, albowiem gdy zsiadł z konia, wydawał się z powodu swej niezwyklej krępości i wysokich ramion prawie garbatym. Nazbyt długie jego ręce i pałkowate nogi budziły uśmiech w twarzach

Śmiech

<sup>1343</sup>wielki szatny — w zakonie krzyżackim urzędnik zajmujący się składami odzieży, a także pancierzami i zbrojownią. [przypis edytorski]

<sup>1344</sup>mały komtur — wicekomtur, zastępca komtura. [przypis edytorski]

<sup>1345</sup>rycerz rozbójnik (niem. *Raubritter*) — rycerz utrzymujący się z rabunku. [przypis edytorski]

<sup>1346</sup>podmawiać (daw.) — namawiać, podjudzać. [przypis edytorski]

<sup>1347</sup>wziętość (daw.) — popularność. [przypis edytorski]

młodszych braci. Jeden z nich, znany krotofilnik<sup>1348</sup>, przystąpił nawet do niego, chcąc mu przemówić, ale spojrzawszy w oczy pana z Maszkowic, stracił jakoś ochotę i odszedł w milczeniu.

Tymczasem komtur zamkowy zabrał gości i powiódł ich z sobą. Weszli naprzód na niewielki dziedziniec, na którym prócz szkoły, starego lamusa<sup>1349</sup> i warsztatu siodlarskiego, znajdowała się kaplica świętego Mikołaja, po czym przez most Mikołajski wkroczyli na właściwe Przedzamcze. Komtur prowadził ich przez niejaki czas wśród potężnych murów, bronionych tu i ówdzie mniejszymi i większymi basztami. Zyndram z Maszkowic pilnie przypatrywał się wszystkiemu, przewodnik zaś, nawet niezapytywany, chętnie pokazywał rozmaite budynki, jakby mu zależało właśnie na tym, aby goście przypatrzyli się wszystkiemu jak najdokładniej.

— Ten okrutny gmach, który wasze miłości widzicie przed sobą po lewej ręce — mówił — to nasze stajnie. Ubodzyśmy mnisi, a przecie ludzie mówią, że gdzie indziej i rycerze tak nie mieszkają jak u nas konie.

— Nie pomawiają was ludzie o ubóstwo — odrzekł Powąła — ale coś tu musi być więcej prócz stajni, bo gmach okrutnie wysoki, a koni przecie po schodach nie sprowadzacie.

— Nad stajnią, która jest w dole i w której czterysta koni się mieści — odrzekł komtur zamkowy — są śpichrze, a w nich zboża choćby na dziesięć lat, nie przyjdzie tu nigdy do obłężenia, ale gdyby przyszło, to głodem nas nie wezmą.

To rzekłszy, zawrócił w prawo i znów przez most między basztą świętego Wawrzyńca a basztą Pancerną wwiódł ich na inny dziedziniec, olbrzymi, leżący w samym środku Podzamcza.

— Zważcie, wasze moście — rzekł Niemiec — że to wszystko, co ku północy widzicie, jakkolwiek za łaską Bożą nie do zdobycia, jest tylko *Vorburg*<sup>1350</sup>: i utwierdzeniem<sup>1351</sup> nie może się porównać ani ze Średnim Zamkiem, do którego was prowadzę, ani tym bardziej z Wysokim.

Jakoż oddzielna fosa i oddzielny zwodzony most dzieliły Średni Zamek od dziedzińca i dopiero w bramie zamkowej, która leżała znacznie wyżej, rycerze obróciwszy się za poradą komtura jeszcze raz, mogli objąć oczyma cały ów olbrzymi kwadrat zwany Podzamczem. Gmach tam wznosił się przy gmachu, tak iż wydawało się Zyndramowi, iż widzi przed sobą całe miasto. Były tam nieprzebrane zapasy drzewa ułożone w szychty<sup>1352</sup> tak wielkie jak domy, składy kul kamiennych sterzące na kształt piramid, cmentarze, lazarety<sup>1353</sup>, magazyny. Nieco z boku, wedle leżącego w środku stawu, czerwieniały potężne mury „templu”, to jest wielkiego magazynu z jadalnią dla najemników i czeladzi. Pod północnym wałem widać było inne stajnie dla koni rycerskich i dla wyborowych mistrzowskich. Wzdłuż młynówki<sup>1354</sup> wznosiły się koszary dla giermków i wojsk najemnych, a po przeciwległej stronie czworoboku mieszkania dla przeróżnych zawiadowców i urzędników zakonnych — znów składy, śpichrze, piekarnie, szatnie, ludwisarnie<sup>1355</sup>, niezmierny arsenał, czyli Karwan, więzienia, stara puszkarnia<sup>1356</sup>, każdy gmach tak niezłomny i obronny, że w każdym można się było tak jak w osobnej twierdzy bronić, a wszystko otoczone murem i gromadą groźnych baszt, za murem fosą, za fosą wieńcem olbrzymich palisad, za którymi dopiero na zachód toczył żółte fale Nogat, na północ i wschód błyszczala toń ogromnego stawu, a od południa sterczały silniej jeszcze umocnione zamki: Średni i Wysoki.

Gniazdo straszne, od którego biła nieubłagana potęga i w którym skupiły się dwie największe znane wówczas w świecie siły: siła duchowna i siła miecza. Kto oparł się jednej,

Zamek

<sup>1348</sup>krotofilnik (daw.) — żartowniś. [przypis edytorski]

<sup>1349</sup>lamus — budynek gospodarczy, składzik. [przypis edytorski]

<sup>1350</sup>Vorburg (niem.) — podzamcze. [przypis edytorski]

<sup>1351</sup>utwierdzenie (daw.) — umocnienie. [przypis edytorski]

<sup>1352</sup>szychta (daw.) — tu: warstwa, stos. [przypis edytorski]

<sup>1353</sup>lazaret — szpital wojskowy bądź przytułek. [przypis edytorski]

<sup>1354</sup>młynówka — potok, przeważnie sztuczny, napędzający młyn wodny. [przypis edytorski]

<sup>1355</sup>ludwisarnia (daw.) — warsztat ludwisarski, w którym wytwarzano dzwony, lufy dział i inne duże przedmioty z brązu. [przypis edytorski]

<sup>1356</sup>puszkarnia (daw., z węg. *puska*: karabin) — zakład pracy puszkarza, tj. rzemieślnika zajmującego się artylerią. [przypis edytorski]

tego pokruszyła druga. Kto podniósł przeciw nim ramię, na tego krzyk powstawał we wszystkich krajach chrześcijańskich, że przeciw Krzyżowi je podnosi.

I wnet rycerstwo zbiegało się ze wszystkich stron na pomoc. Gniazdo też roilo się wiecznie rzemieślniczym i zbrojnym ludem i wrzało w nim ciągle jak w ulu. Przed gmachami, w przejściach, przy bramach, w warsztatach — wszędzie panował ruch jak na jarmarku. Echo roznosiło odgłos młotów i dłut krzesających kamienne kule, huczenie młynów i deptaków<sup>1357</sup>, rżenie koni, szczęk zbroi i oręża, dźwięk trąb i piszczałek, nawoływania i rozkazy. Na owych dziedzińcach słyzałeś wszystkie mowy świata i mogłeś napotkać żołnierzy ze wszystkich narodów: więc niechybnych łuczników angielskich, którzy o sto kroków przesywali gołębia uwiązane go na maszcie, a których groty przebijały pancerze tak łatwo jak sukno, i strasznych szwajcarskich piechurów walczących dwuręcznymi mieczami, i mężnych, choć niepomiarkowanych w jedle i napoju Duńczyków, i skłonnych zarówno do śmiechu, jak zwady rycerzy francuskich, i małomówną a dumną szlachtę hiszpańską, i świetnych rycerzy włoskich, najbieglejszych fecht mistrzów<sup>1358</sup> przybranych w jedwabie, aksamity, a na wojnę w niezłomne zbroje, kowane w Wenecji, Mediolanie i Florencji — i rycerzy burgundzkich, i Fryzów, i wreszcie Niemców ze wszystkich ziem niemieckich. Kręciły się między nimi „białe płaszcze”, jako gospodarze i zwierchnicy. „Wieża pełna złota”, a ściślej: osobna izba zbudowana na Wysokim Zamku obok mieszkania mistrza, napełniona od dołu do góry pieniędzmi i sztabami z drogiego metalu, pozwalała Zakonowi na godne podejmowanie „gości”, również jak na zaciągi najemnego żołdactwa, które wysyłało stąd na wyprawy i do wszystkich zamków, do rozporządzenia wójtów, starostów i komturów. Tak to z siłą miecza i z siłą duchowną kojarzyło się tu niezmiernie bogactwo, a zarazem żelazny ład, który lubo rozluźnion już po prowincjach przez zbytnią ufność i upojenie się własną potęgą, trzymał się jeszcze w samym Malborgu mocą dawnego wezwyczajenia<sup>1359</sup>. Monarchowie przybywali tu nie tylko walczyć z pogany lub pożyczać pieniędzy, lecz i uczyć się sztuki rządzenia, rycerze — uczyć się sztuki wojennej. W całym bowiem świecie nikt nie umiał tak rządzić i wojować jak Zakon. Gdy niegdyś przybył w te strony, prócz szczupłej okolicy i kilku zamków podarowanych przez niebaczne go księcia polskiego, nie należała do niego ani piędź ziemi, teraz zaś władał obszerną, większą od wielu królestw krainą, pełną ziem żyznych, potężnych miast i niezdobytch zamków. Władał i czuwał, jak włada pająk rozpiętą siecią, której wszystkie nici dierży pod sobą. Stąd, z tego Wysokiego Zamku, od mistrza i od białych płaszczów rozbiegały się przez pocztowych pacholków rozkazy na wszystkie strony: do lenne go szlachty, do rad miejskich, do burmistrzów, do wójtów, podwójcich i kapitanów najemnych wojsk, a co tu zrodziła i postanowiła myśl i wola, tam wnet wykonywały setki i tysiące żelaznych dłoni. Tu spływał pieniądz z całego kraju, tu zboże, tu wszelkiego rodzaju spyża, tu daniny od jęczącego pod srogim jarzmem świeckiego duchowieństwa i od innych klasztorów, na które patrzył niechętnym okiem Zakon; stąd wreszcie wyciągały się drapieżne ramiona ku wszystkim okolicznym krajom i ludom.

Stolica

Liczne pruskie mówiące litewską mową narody starte już były z oblicza ziemi. Litwa czuła do niedawna żelazną stopę krzyżacką ciężącą jej na piersiach tak straszliwie, że za każdym tchnieniem oddawała zarazem krew spod serca; Polska, lubo zwycięska w straszliwej bitwie pod Płowcami, straciła jednak za Łokietkowych czasów swe dzierżawy na lewym brzegu Wisły razem z Gdańskiem, Tczewem, Gniewem i Świeciem. Rycerski Zakon Inflancki<sup>1360</sup> sięgał po ziemie ruskie, i szły oba te zakony jak pierwsza olbrzymia fala niemieckiego morza, które zalewało coraz szerzej i szerzej słowiańskie ziemie.

Aż nagle zaszło chmurą słońce krzyżacko-niemieckiej pomyślności. Litwa przyjęła chrzest z rąk polskich, a tron krakowski razem z ręką cudnej królowny odzierżył<sup>1361</sup> Jagiełło. Nie utracił wprawdzie Zakon przez to ani jednej ziemi, ani jednego zamku, ale uczuł, że przeciw sile stanęła siła, i stracił przyczynę, dla której istniał w Prusiech. Po chrzcie Litwy wrócić im było chyba do Palestyny i strzec pątników dążących do świętego miejsca. Ale wrócić — to znaczyło wyrzec się bogactw, władzy, potęgi, panowania,

<sup>1357</sup>deptak — maszyna wykorzystująca koło wprawiane w ruch przez ludzi bądź zwierzęta. [przypis edytorski]

<sup>1358</sup>fechtmistrz — wytrawny szermierz. [przypis edytorski]

<sup>1359</sup>wezwyczajenie — dziś popr.: przyzwyczajenie. [przypis edytorski]

<sup>1360</sup>Rycerski Zakon Inflancki — chodzi o Kawalerów Mieczowych. [przypis edytorski]

<sup>1361</sup>odzierżyć (daw.) — otrzymać. [przypis edytorski]

miast, ziem i całych królestw. Więc począł miotać się Zakon w przerażeniu i wściekłości jak potworny smok, w którego boku utkwiono żeleźce. Mistrz Konrad bał się stawić wszystkiego na jeden rzut kości i drżał na myśl o wojnie z wielkim królem, władcą ziem polskich, litewskich i obszernych dzierżaw ruskich, które Olgierd wydarł z gardła Tatarom, ale większość rycerzy krzyżackich parla do niej, czując, że trzeba stoczyć bój na śmierć i życie, póki siły są nienaruszone, póki urok Zakonu nie zblednie, póki świat cały śpieszy mu na pomoc i póki gromy papieskie nie spadną na to ich gniazdo, dla którego rzeczą życia i śmierci było teraz — nie rozszerzanie chrześcijaństwa, lecz właśnie utrzymanie pogaństwa.

A tymczasem między narodami i po dworach oskarżano Jagiełłę i Litwę o chrzest pozorny i fałszywy, przedstawiając jako rzecz niepodobną, aby stać się mogło w ciągu roku to, czego miecz zakonny nie mógł przez wieki dokonać. Burzono przeciw Polsce i przeciw jej władcy królów i rycerzy, jako przeciw opiekunom i obrońcom pogaństwa — a głosy te, którym jedynie w Rzymie nie dowierzano, rozchodziły się szeroką falą po świecie i ściągały ku Malborgowi książąt, grafów i rycerzy z Południa i Zachodu. Zakon nabierał ufności i poczuwał się w mocy. Marienburg ze swymi groźnymi zamkami i Przedzamczem olśniewał ludzi potęgą więcej niż kiedykolwiek — i olśniewało bogactwo, olśniewał pozorny ład — i cały Zakon wydawał się być władniejszy i bardziej na wiek wieków niepożyty niż dawniej. I nikt z książąt, nikt z owych rycerskich gości — nikt — prócz mistrza — nawet spomiędzy Krzyżaków nie rozumiał, że od czasu chrztu Litwy stało się coś takiego, jak gdyby te fale Nogatu, które osłaniały z jednej strony straszną twierdzą — zaczęły podmywać cicho i nieubłagane jej mury. Nikt nie rozumiał, że w owym olbrzymim ciele została jeszcze siła — ale uleciała z niego dusza; kto świeżo przybył i spojrzął na ów wzniesiony *ex luto* Marienburg, na owe mury, baszty, na czarne krzyże w bramach, na budynkach i na szatach, temu przede wszystkim przychodziło na myśl, że i bramy piekielne nie przemogą<sup>1362</sup> tej północnej Krzyża stolicy.

Z podobną też myślą patrzyli na nią nie tylko Powała z Taczewa i Zbyszko, który tu już był poprzednio, lecz i wiele bystrzejszy od nich Zyndram z Maszkowic. I jemu, gdy w tej chwili spoglądał na to zbrojne rojowisko żołnierskie objęte w ramę baszt i olbrzymich tyków, zmierzchną twarz, a na pamięć nasunęły się mimo woli dumne słowa, którymi niegdyś Krzyżacy grozili królowi Kazimierzowi:

„Większać nasza moc i jeśli nie ustąpisz, do samego Krakowa mieczami naszymi ściągać cię będziemy”.

Ale tymczasem komtur zamkowy powiódł rycerzy dalej, do Średniego Zamku, w którego wschodniej połaci leżały gościnne komnaty.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Maćko i Zbyszko długi czas trzymali się w ramionach, gdyż miłowali się wzajem zawsze, a w ostatnich latach wspólne przygody i nieszczęścia uczyniły tę miłość jeszcze silniejszą. Stary rycerz od pierwszego wejrzenia na bratanka odgadł, że Danusi nie ma już na świecie, więc nie pytał o nic, jeno tulił do siebie młodzianka, chcąc przez moc tego uścisku pokazać mu, że nie został zupełnym sierotą i że ma jeszcze bliską żywą duszę, gotową podzielić się z nim niedolą.

Aż dopiero gdy im smutek i boleść znacznie łzami spłynęły, zapytał po długim milczeniu Maćko:

— Zali wydarli ci ją znów, czyli też ci na rękę skonała?

— Na rękę mi skonała pod samym Spychowem — odrzekł młodzian.

I począł opowiadać, jak i co było, płaczem i wzdychaniami przerywając sobie opowiadanie, a Maćko słuchał uważnie, wzdychał także i w końcu znów jął wypytawać:

— A Jurand żywie jeszcze?

— Juranda żywiącęgom odjechał, ale niedługo mu na świecie i pewnie go już nie obaczę.

— To może lepiej było nie odjeżdżać.

— Jakoże mi było was tu ostawiać?

— Parę niedziel wcześniej albo później, wszystko jedno!

<sup>1362</sup>bramy piekielne nie przemogą — w oryginale (Mt 16, 18) odnosiło się do Kościoła. [przypis edytorski]

Ale Zbyszko popatrzył na niego bacznie i rzekł:

— I tak musieliście tu chorzeć! Jako Piotrowin wyglądacie.

— Bo choć słonko na ziemi przygrzewa, w podziemiu zawsze zimno i wilgoć tam jest okrutna z takowej przyczyny, że tu naokół zamku wody. Myślałem, że do szczętu spleśnieję. Dychać też nie ma czym i od tego wszystkiego rana mi się odnowiła; ta, wiesz... co to mi w Bogdańcu dopiero po bobrowym sadle szczebrzuch wylał.

— Pamiętam — rzekł Zbyszko — bośmy po bobra z Jagienką chodzili. A to was tu psubraty w podziemiu trzymali?

Maćko poruszył głowę i odpowiedział:

— Żeby ci tak szczerze rzec, to nieradzi oni mnie widzieli i już było ze mną źle. Wielka tu jest zawziętość na Witolda i Żmujdzinów, ale jeszcze większa na tych spomiędzy nas, którzy im pomagają. Próżnom gadał, dlaczegośmy między Żmujdzinów poszli. Byliby mi głowę ucięli i jeśli tak nie uczynili, to jeno dlatego, że im wykupu było żal, bo jako wiesz, pieniądz im nawet i od pomsty wdzięczniejszy, a po wtóre chcieli mieć w rękę dowód, że król Polaków poganom w pomoc posyła. Bo że Żmujdzini niebożęta proszą się o krzest, byle nie z ich rąk, to wiemy, którzyśmy tam byli, ale Krzyżaki udają, że nie wiedzą, i skarżą ich po wszystkich dworach, a z nimi razem i naszego króla.

Tu porwała Maćka zadyszka, tak że musiał na chwilę umilknąć, i dopiero odsapnąwszy, mówił dalej:

— I byłbym może skapiał w podziemiu. Wstawiał ci się za mną po prawdzie Arnold von Baden, któremu też o okup chodziło. Ale on nie ma między nimi nijakiej powagi i nazywają go niedźwiedziem. Szczęściem de Lorche dowiedział się o mnie od Arnolda i okrutnego zaraz narobił warchołu<sup>1363</sup>. Nie wiem, czy ci o tym powiadał, bo on rad kryje swoje dobre uczynki... Jego oni tu to za coś mają, bo już jeden de Lorche wielkie niegdyś w Zakonie piastował godności, a ten jest znamienitego rodu i bogacz. Mówił im tedy, że sam jest naszym jeńcem i że gdyby mi tu gardło wzięli albo gdybym skapiał z głodu i wilgotności, to ty jemu szyję utniesz. Groził ci kapitule, że rozpowie po zachodnich dworach, jak Krzyżacy z pasowanymi rycerzami postępują. Aż zlekli się i wzięli mnie do lazaretu, gdzie i powietrze, i strawa lepsza.

— Od Lorchego jednej grzywny nie wezmę, tak mi dopomóż Bóg!

— Miło od nieprzyjaciela brać, ale przyjacielowi słuszna rzecz przepuścić — rzekł Maćko — a skoro, jako słyszę, ugoda z królem o wymianę jeńców stanęła, to i za mnie nie potrzebujesz płacić.

— Ba! A nasze słowo rycerskie? — zapytał Zbyszko. — Ugoda ugodą, a Arnold bezecność mógłby nam zadać.

Usłyszawszy to, zatroskał się Maćko, pomyślał nieco i rzekł:

— Ale można by coś odtargować?

— Samiśmy się cenili. Zaliśmy to teraz mniej warci?

Maćko zatroskał się jeszcze bardziej, ale w oczach odbił się podziw i jakby jeszcze większa miłość dla Zbyszka.

— A czci potrafi strzec!... Taki ci się już urodził — mruknął sam do siebie.

I począł wzdychać. Zbyszko myślał, że z żalu o te grzywny, które mieli von Badenowi zapłacić, więc rzekł:

— Wiecie! Pieniędzy i tak jest dość, byle ona dola nie była taka ciężka.

— Bóg ci ją odmieni! — rzekł ze wzruszeniem stary rycerz. — Mnie tam niedługo już na świecie.

— Nie powiadajcie! Będziecie zdrowi, niech jeno was wiatер przewieje.

— Wiatер? Wiatер młode drzewo przygnie, a stare złamie.

— O wa! Nie próchnieją w was jeszcze gnaty i do starości wam daleko. Nie smućcie się!

— Żeby tobie było wesoło, to i ja bym się śmiał. Wszelako mam ci ja i inną do smutku przyczynę, a prawdą rzekłszy, nie tylko ja, ale i my wszyscy.

— Co zaś? — zapytał Zbyszko.

Choroba

Więzienie

Chciwość

Starość

<sup>1363</sup>warchoł (daw.) — tu: raban, hałas. [przypis edytorski]

— A pamiętasz, jakom cię w obozie u Skirwoiłły zgromił za to, żeś moc krzyżacką sławił? W polu juści twardy jest nasz naród, ale tak z bliska, to ja się tutejszym psubratom dopiero teraz przypatrzył!...

Tu Maćko jakby w obawie, aby go kto nie dosłyszał, zniżył głos:

— I teraz widzę, żeś ty był praw<sup>1364</sup>, nie ja. Niech ręka boska broni, co to za moc, co to za potęga! Swędzą naszych rycerzy ręce i chce im się jak najprędzej k'Niemcom<sup>1365</sup>, a nie wiedzą, że Krzyżaków wszystkie narody i wszyscy królowie wspomagają, że pieniądze u nich więcej, że ćwiczenie lepsze, że zamki warowniejsze i sprzęt wojenny godniejszy. Niech ręka boska broni!... I u nas, i tu mówią, że do wielkiej wojny przyjść musi i przyjdzie, ale gdy przyjdzie, to niechże Bóg zmiłuje się nad naszym Królestwem i naszym narodem!

Tu objął dłońmi swą szpakowatą głowę, łokcie wsparł na kolanach i zamilkł.

Zbyszko zaś rzekł:

— A widzicie. W pojedynkę niejedyn z naszych od nich tęższy, ale co do wielkiej wojny, pomiarkowaliście sami.

— Oj, pomiarkowałem! A da Bóg i ci posłowie królewscy pomiarkują także, a zwłaszcza rycerz z Maszkowic.

— Widziałem, jako spochmurniał. Wielki z niego sprawca wojenny i powiadają, że nikt na świecie nie rozumie się tak na wojnie.

— Jeśli prawda, to chyba jej nie będzie.

— Jeśli Krzyżacy obaczą, że mocniejsi, to właśnie będzie. I powiem wam szczerze: bogdaj już przyszedł wóz albo przewóz, gdyż dłużej nie lża nam tak żyć...

I z kolei Zbyszko, jakby przygniecion niedolą własną i powszechną, opuścił głowę, a Maćko rzekł:

— Szkoda zacnego Królestwa, a boję się, by nas Bóg za zbytnią zuchwałość nie pokarał. Pamiętasz, jak to rycerstwo przed katedrą na Wawelu przede mszą, wtedy kiedy ci to mieli głowę uciąć i nie ucięli, samego Tymura Kuternogę wyzywało, którego czterdziestu królestw jest panem i którego góry z głów ludzkich uczynił... Nie dość im Krzyżaków! Wszystkich naraz chcieliby wyzwać; i w tym może być obraza boska.

A Zbyszko na owo wspomnienie chwycił się za płoże włosy, bo go niespodzianie ogarnął żal okrutny — i zakrzyknął:

— A któż mnie wówczas od kata zratował, jeśli nie ona! O Jezu! Danuśka moja!... O Jezu!...

I począł drzeć włosy, a następnie gryźć pięści, którymi łkanie chciał potłumić, tak rozskowyczało się w nim serce z nagłego bólu.

— Chłopie! Miej Boga w sercu!... Cichaj! — wołał Maćko. — Co wskórasz? Hamuj się! Cichaj!...

Ale Zbyszko długi czas nie mógł się uspokoić i upamiętał się dopiero, gdy Maćko, który był istotnie jeszcze chory, zesłabł tak bardzo, że zachwiał się na nogach i padł na ławę w zupełnym zmysłów zamroczeniu. Wówczas młodzian położył go na tapczanie, pokrzepił winem, które przysłał komtur zamkowy, i czuwał nad nim, póki stary rycerz nie zasnął.

Nazajutrz zbudzili się późno, rzeświejsi i wypoczęci.

— No — rzekł Maćko — chyba jeszcze na mnie nie czas, i tak myślę, że byle mnie wiatr polny przewiał, to i na koniu dosiedzę.

— Posłowie ostaną jeszcze kilka dni — odpowiedział Zbyszko — bo coraz to do nich ludzie przychodzą z prośbą o jeńców, którzy na Mazowszu albo w Wielkopolsce na rozboju schwytani, ale my możemy jechać, kiedy chcecie i kiedy poczujecie się w siłach.

W tej chwili wszedł Hława.

— Nie wiesz zaś, co tam czynią posłowie? — spytał go stary rycerz.

— Zwiedzają Wysoki Zamek i kościół — odrzekł Czech. — Komtur zamkowy sam ich oprowadza, a potem pójda do wielkiego refektarza<sup>1366</sup> na obiad, na który i wasze miłości ma mistrz zaprosić.

— A ty coś od rana czynił?

<sup>1364</sup>żeś ty był praw (daw.) — że miałeś rację. [przypis edytorski]

<sup>1365</sup>k'Niemcom (daw.) — do Niemców. [przypis edytorski]

<sup>1366</sup>refektarz — pomieszczenie w klasztorze służące jako jadalnia. [przypis edytorski]



— A ja przypatrywałem się niemieckiej najemnej piechocie, którą kapitanowie ćwiczyli, i przyrównywałem ją z naszą czeską.

— A ty czeską pamiętasz?

— Wyrostkiem mnie pojmał rycerz Zych ze Zgorzelic, ale pamiętam dobrze, bom od małego był do takich rzeczy ciekawy.

— No i cóż?

— A nic! Jużci tęga jest krzyżacka piechota i ćwiczona godnie, ale to są woły, a nasi Czesi wilcy. Gdyby tak przyszło co do czego, to przecie wasze miłości wiedzą: woły wilków nie jadają, a wilki okrutnie na wołowinę łakome.

— Prawda jest — rzekł Maćko, który widocznie coś o tym wiedział — kto się o waszych otrze, to jako od jeża odskoczy.

— W bitwie konny rycerz za dziesięciu piechoty stanie — rzekł Zbyszko.

— Ale Marienburga jeno piechota może dobyć — odpowiedział giermek.

I na tym skończyła się rozmowa o piechocie, gdyż Maćko, idąc za biegiem swych myśli, rzekł:

— Słysz, Hława, dziś, jak podjem i poczuję się w mocy, to pojedziemy.

— A dokąd? — spytał Czech.

— Wiadomo, że na Mazowsze. Do Spychowa — rzekł Zbyszko.

— I tam już ostaniem?...

Na to spojrział Maćko na Zbyszka pytającym wzrokiem, gdyż dotychczas nie było między nimi mowy o tym, co dalej uczynią. Młodzian może miał gotowe postanowienie, ale nie chciał nim widocznie stryjca zasmucić, więc rzekł wymijająco:

— Wpierw musicie wydobrzeć.

— A potem co?

— Potem? Wróćcie do Bogdańca. Wiem, jako Bogdaniec miłujecie.

— A ty?

— I ja go miłuję.

— Nie mówię, żebyś do Juranda nie jechał — rzekł powoli Maćko — bo jeśli zamrze, to pogrześć go przystojnie należy, ale ty bacz, co powiem, gdyż, jako młody, rozumem mi nie dorównasz. Nieszczęśliwa to jakowaś ziemia ten Spychów. Co cię spotkało dobrego, to gdzie indziej, a tam nic, jeno strapienia ciężkie i frasunki.

— Prawdę mówicie — rzekł Zbyszko — ale tam Danusina truchelka<sup>1367</sup>...

— Cichaj! — zawołał Maćko w obawie, że Zbyszka chwyci taki sam niespodziany ból jak wczoraj.

Ale na twarzy młodzianka odbiło się tylko rozrzewnienie i smutek.

— Będzie czas uradzać — rzekł po chwili. — W Płocku i tak musicie odpocząć.

— Starunku waszej miłości tam nie zbraknie — wtrącił Hława.

— Prawda! — rzekł Zbyszko. — Wiecie, że tam jest Jagienka? Jest dwórką przy księżnie Ziemowitowej. Ba, ale przecie wiecie, boście ją sami tam przywieźli. Była i w Spychowie. Aż mi to dziwno, żeście mi nic o niej u Skirwoiłły nie wspomnieli.

— Nie tylko była w Spychowie, ale bez niej Jurand alby dotychczas macał koszturem drogi, alby zamarł gdzie przy drodze. Przywiozłem ją do Płocka wedle opatowego dziedzictwa, a nie wspominałem ci o niej, bo choćbym był wspomniał, byłoby to samo. Na nic tyś, niebożę, wówczas nie baczył.

— Wielce ona was kocha — rzekł Zbyszko. — Chwalić Boga, że nijakie listy nie były potrzebne, ale ona od księżny dostała listy za wami i przez księżnę od posłów krzyżackich.

— Niech Bóg za to dziewce błogosławi, bo lepszej na świecie nie ma! — rzekł Maćko.

Dalszą rozmowę przerwało im wejście Zyndrama z Maszkowic i Powały z Taczewa, którzy zasłyszawszy o wczorajszym omdleniu Maćka, przyszli go dziś odwiedzić.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — rzekł, przestąpiwszy próg, Zyndram. — Jakoże wam dziś?

— Bóg zapłać! Pomału! Zbyszko prawi, że byle mię wiatr obwiał, to będzie całkiem dobrze.

— Co nie ma być?... Będzie! Wszystko będzie dobrze — wtrącił Powala.

<sup>1367</sup>truchelka (daw.) — trumienka. [przypis edytorski]

— Wywczasowałem<sup>1368</sup> się też na porządek! — odrzekł Maćko. — Nie tak jak wasze miłoście, którzy jako słyszę, ranoście wstali.

— Naprzód przychodzili do nas ludzie tutejsi mianować<sup>1369</sup> jeńców — rzekł Zyndram — a potem oglądaliśmy gospodarstwo krzyżackie: Przedzamicze i oba zamki.

— Tęgie gospodarstwo i tęgie zamki! — mruknął posępnie Maćko.

— Pewnie, że tęgie. Na kościele są arabskie ozdobności, o których powiadali Krzyżacy, że się takiego murowania od Saracenów w Sycylii nauczyli, a w zamkach komnaty ci osobliwe, na słupkach w pojedynkę alibo gromadami stojących. Obaczycie sami wielki refektarz. Utwierdzenie też wszędy okrutne, jakiego nigdzie nie masz. Takich murów i kula kamienna, chociażby największa, nie ugryzie. Wiera, iż miło patrzeć...

Zyndram mówił to tak wesoło, że Maćko spojrział na niego zdziwiony i zapytał:

— A bogactwo ich, a porządki, a wojsko i gości widzieliście?

— Wszystko nam pokazywali niby z gościnności, a w rzeczy dlatego, aby serce w nas upadło.

— No i cóż?

— Ano, da Bóg, że jak przyjdzie wojna, wyżeniem ich het, za góry i morza; tam, skąd przyszli.

A Maćko, przepomniawszy w tej chwili o chorobie, aż zerwał się na równe nogi ze zdziwienia.

— Jak to, panie — rzekł. — Mówią, że rozum macie bystry... Bo mnie aż zemdliło, gdym się ich potęgi napatrzył... Dla Boga! Z czegoż to miarkujecie?

Tu zwrócił się do bratanka:

— Zbyszku, każ zaś to wino, które nam przysłali, postawić. Siadajcie, wasze moście, i mówcie, bo lepszej driakwi żaden medyk na moje choróbko nie wymyśli.

Zbyszku, zaciekawion też bardzo, sam postawił dzbaniec z winem, a przy nim kubki, po czym siedli naokół stołu i pan z Maszkowic tak mówić począł:

— Utwierdzenie to jest nic, bo co ręką ludzką stawiane, to ręką ludzką zburzyć zdoła. Wiecie, co trzyma w kupie cegły? Wapno! A wiecie, co ludzi? Miłość.

— Rany boskie! Miód wam, panie, z gęby płynie — zawołał Maćko.

A Zyndram uradował się w sercu tą pochwałą i tak dalej rzecz prowadził:

— Z tutejszych ludzi ten ci ma u nas w pętach brata, ten syna, ten krewniaka, inny zięcia alibo kogo. Komturowie graniczni każą im na rozbój do nas chodzić, więc niejeden polegnie i niejednego nasi ułapią. Ale że tu już się zwiedzieli ludzie o ugodzie między królem a mistrzem, przychodzili tedy do nas od samego rana podawać nazwiska jeńców, które nasz pisarz spisywał. Był naprzód bednarz tutejszy, możny mieszczanin, Niemiec, mający dom w Malborgu, który w końcu rzekł: „Bym mógł waszemu królowi i Królestwu w czym się przysłużyć, nie tylko bym majątność, ale i głowę oddał”. Odprawiłem go, myśląc, że Judasz. Ale potem przychodzi ksiądz świecki spod Oliwy, prosi o brata i tak powiada: „Prawda-li to, panie, że na naszych pruskich panów wojną nastąpicie? Bo wieście, że tu już cały naród, gdy mówi: »Przyjdź Królestwo Twoje«, to o waszym królu myśli”. Było potem o synów dwóch szlachty, co na lennych ziemiach wedle Sztumu siedzą; byli kupcy z Gdańska, byli rzemieślnicy, był, który dzwony w Kwidzynie leje, była różnych ludzi kupa i wszyscy gadali to samo.

Tu przerwał pan z Maszkowic, wstał, obaczył, czy za drzwiami nikt nie podsłuchuje, i wróciwszy, kończył przyciszonym nieco głosem:

— Długom ja o wszystko wypytywał. Nienawidzą w całych Prusiech Krzyżaków i księża, i szlachta, i mieszczanie, i kmiecie. I nienawidzi ich nie tylko ten naród, którego naszą alibo pruską mową mówi, ale nawet i Niemcy. Kto musi służyć, służy, ale zaraza każdemu miłsza niż Krzyżak. Ot, co jest...

— Ba, ale co się to ma do krzyżackiej mocy — rzekł niespokojnie Maćko.

A Zyndram pogładził dłonią swoje potężne czoło, pomyślał chwilę, jakby szukał porównania, a wreszcie uśmiechnął się i zapytał:

— Potykaliście się kiedy w szrankach?

— Jużci i nieraz — odrzekł Maćko.

<sup>1368</sup>wywczasować się (daw.) — odpocząć. [przypis edytorski]

<sup>1369</sup>mianować — tu: wyznaczać do uwolnienia. [przypis edytorski]

— To jakże myślicie? Nie zwali ci się z konia przy pierwszym starciu rycerz, choćby najmocniejszy, ale taki, którego ma poderżnięty poprąg u siodła i strzemiona?

— Jako żywo!

— No, widzicie: Zakon to taki rycerz.

— Przebóg! — zawołał Zbyszko. — Pewnie i w książce nic lepszego nie wyczytasz!

A Maćko aż wzruszył się i rzekł nieco drżącym głosem:

— Bóg wam zapłać. Na waszą głowę, panie, chyba umyślnie płatnerz musi hełm robić, bo gotowego na nią nigdzie nie masz.

Mądrość

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Obiecywali sobie Maćko i Zbyszko wyjechać zaraz z Malborga, ale tego dnia, w którym tak bardzo pokrzepił ich dusze Zyndram z Maszkowic, nie wyjechali, gdyż był na Wysokim Zamku obiad, a potem wieczerza na cześć posłów i gości, na którą Zbyszko był zaproszony jako królewski rycerz, a dla Zbyszka i Maćko. Obiad odbywał się w mniejszym gronie, we wspianiałym wielkim refektarzu, który oświecało dziesięć okien, a którego palczaste sklepienie wspierało się, rzadko widzianym kunsztem budowniczym, tylko na jednym słupie. Prócz królewskich rycerzy zasiadł do stołu z obcych tylko jeden graf szwabski<sup>1370</sup> i jeden burgundzki, który, lubo bogatych władców poddany, przyjechał w ich imieniu pożyczyć pieniędzy od Zakonu. Z miejscowych, obok mistrza, wzięło udział w obiedzie czterech dostojników zwanych filarami Zakonu, to jest wielki komtur, jałmużnik, szatny i podskarbi. Piąty filar, to jest marszałek, był w tym czasie na wyprawie przeciw Witoldowi.

Jakkolwiek Zakon ślubował ubóstwo, jedzono na złocie i srebrze, a popijano małmązją, albowiem mistrz chciał olśnić oczy posłów polskich. Lecz pomimo mnóstwa potraw i obfitego poczęstunku przykrzyła się nieco gościom ta uczta z powodu trudności rozmowy i powagi, jaką wszyscy musieli zachowywać. Natomiast wieczerza w olbrzymim refektarzu zakonnym (*Convents Remter*) wiele była weselsza, albowiem zgromadził się na nią cały konwent i wszyscy ci goście, którzy nie zdążyli jeszcze pociągnąć przeciw Witoldowi z wojskiem marszałka. Weselości tej nie zmącił żaden spór ni żadna kłótnia. Wprawdzie rycerze zagraniczni przewidując, że przyjdzie im się kiedyś spotkać z Polakami, patrzali na nich niechętnym okiem, ale Krzyżacy z góry zapowiedzieli im, że muszą się zachować spokojnie, i prosili ich o to bardzo usilnie, bojąc się w osobach posłów obrazić króla i całe Królestwo. Ale nawet i w tym wypadku okazała się niezyczliwość Zakonu, przestrzegali bowiem goście przed zapalczewością Polaków: „że gdy ma w głowie<sup>1371</sup>, za każde ostrzejsze słowo wraz brodę ci wyszarpie albo cię nożem pchnie”. Więc goście zadziwieni byli potem dobroduszością i Powały z Taczewa, i Zyndrama z Maszkowic, a bystrzejsi pomiarkowali, że nie obyczaj polskie są grube, lecz języki krzyżackie złośliwe i jadowite.

Wróg

Niektórzy, przywykli do wykwintnych zabaw na polerownych dworach zachodnich, nieszczęśliwie nawet wynieśli pojęcie o obyczajach samychże Krzyżaków, gdyż była na tej uczcie wrzaskliwa nad miarę kapela, grubiańskie pieśni szpylmanów, grube żarty trefniaków, płasy niedźwiedzie i płasy bosych dziewczek. A gdy dziwiono się obecności niewiast na Wysokim Zamku, wydało się, że zakaz łamano już od dawna i że sam wielki Winrych Kniprode tańczył tu swego czasu z piękną Marią von Alfleben. Bracia tłumaczyli, że na Zamku niewiasty nie mogą tylko mieszkać, ale mogą przychodzić do refektarza na uczty i że zeszłego roku księżna Witoldowa<sup>1372</sup>, która mieszkała w urzędzonej po królewsku starej Puszkarzni na Przedzamczu, przychodziła jednak tu codziennie grywać w złote arcaby<sup>1373</sup>, które jej każdego wieczora darowywano.

Obyczaje

Grano i tego wieczora nie tylko w arcaby i w szachy, lecz i w kości; więcej tego nawet było niż rozmowy, którą głużyły pieśni i owa zbyt wrzaskliwa kapela. Jednakże wśród powszechnego gwaru zdarzały się chwile ciszy i raz korzystając z takiej chwili, Zyndram

<sup>1370</sup>Szwabia — region w południowych Niemczech. [przypis edytorski]

<sup>1371</sup>mieć w głowie — być pod wpływem alkoholu. [przypis edytorski]

<sup>1372</sup>księżna Witoldowa — Anna Światosławowna, księżniczka smoleńska (zm. 1418) [przypis edytorski]

<sup>1373</sup>arcaby — dziś popr.: warcaby. [przypis edytorski]

z Maszkowic, niby to nie wiedząc o niczym, zapytał wielkiego mistrza, czyli poddani we wszystkich ziemiach bardzo miłują Zakon.

Na co Konrad von Jungingen rzekł:

— Kto miłuje Krzyż, ten i Zakon powinien miłować.

Odpowiedź ta podobała się i zakonnikom, i gościom, więc poczęli go za nią chwalić, ów zaś ucieszywszy się, tak mówił dalej:

— Kto nam przyjaciel, temu pod nami dobrze, a kto nieprzyjaciel, na tego mamy dwa sposoby.

— Jakież to? — pytał polski rycerz.

— Wasza cześć może nie wiesz, że ja tu z moich komnat schodzę do tego refektarza małymi schodami w murze, a przy tych schodach jest pewna sklepiona izba, do której gdybym waszą cześć zaprowadził, poznałbyś pierwszy sposób.

— Jako żywo! — zawołali bracia.

A pan z Maszkowic domyślił się, że mistrz mówi o owej „wieży” pełnej złota, którą się chlubilili Krzyżacy, więc zastanowił się nieco i odpowiedział:

— Niegdyś, hej! okrutnie już temu dawno, pokazał pewien cesarz niemiecki naszemu posłowi, który zwał się Skarbek<sup>1374</sup>, taką komorę i rzekł: „Mam ja twojego pana czym pobić!”. A Skarbek dorzucił ci mu pierścień kosztowny i powiada: „Idź złoto do złota, my, Polacy, bardziej w żelazie się kochamy...”. I wiecie, wasze czeście, co potem było? Potem było *Hundsfeld*<sup>1375</sup>...

— Co to takiego *Hundsfeld*? — zapytało kilkunastu naraz rycerzy.

— To — odpowiedział spokojnie Zyndram — takie pole<sup>1376</sup>, na którym nikt nie mógł nadażyć grześć Niemców i grzebli ich w końcu psi.

Więc stropili się bardzo i rycerze, i bracia zakonni, usłyszawszy taką odpowiedź, i nie wiedzieli, co mają mówić, a Zyndram z Maszkowic rzekł jakby na zakończenie:

— Złotem przeciw żelazu nie wskórasz.

— Ba! — zawołał mistrz. — Wždy to nasz drugi sposób: żelazo. Widziałeś wasza cześć na Przedzamczu płatnerskie majsternie. Kują tam młoty noc i dzień, i takich panczerzy, równie jak mieczów, na świecie nie masz.

Lecz na to znów Powąła z Taczewa wyciągnął rękę ku środkowi stołu, wziął długi na łokieć i szeroki więcej niż na pół piędzi tasak służący do rąbania mięsa, zwinął go lekko w trąbkę jak pergamin, podniósł w górę, tak aby wszyscy mogli go widzieć, a potem podał mistrzowi.

— Jeśli takie i w mieczach żelazo — rzekł — to niewiela nimi dokażecie.

I uśmiechnął się, rad z siebie, a duchowni i świeccy aż popodnosili się ze swych miejsc i hurmem zbiegli się do wielkiego mistrza, po czym jeden drugiemu podawał zwinięty w trąbkę tasak, ale milczeli wszyscy, mając na widok takiej mocy struchlałe w piersiach serca.

— Na głowę świętego Liboriusza! — zawołał w końcu mistrz. — Żelazne, panie, macie ręce.

A graf burgundzki dodał:

— I z lepszego niż to żelaza. Tak ci zwinął ten tasak, jakby był z wosku.

— Nawet się nie splonił i żyły mu nie nabrały! — zawołał jeden z braci.

— Bo — odpowiedział Powąła — prosty jest nasz naród, nieznanący takich dostatków i wygod, jakie tu widzę, ale czerstwy.

A tu zbliżyli się ku niemu rycerze włoscy i francuscy i poczęli odzywać się do niego swym dźwiękliwym językiem, o którym stary Maćko mówił, że jest taki, jakby kto cynowe misy potrzasał. Podziwiali tedy jego siłę, on zaś trącał się z nimi kielichem i odpowiadał:

— Często u nas przy biesiadach takie rzeczy czynią, a zdarzy się, że mniejszy tasak to ci i poniektóra dziewczka zwinie.

<sup>1374</sup>Skarbek — według legendy był to protoplasta rodu Awdaćów. [przypis edytorski]

<sup>1375</sup>Hundsfeld (niem.) — psie pole. [przypis edytorski]

<sup>1376</sup>takie pole — bitwa na Psim Polu, według tradycji propagowanej przez sto lat późniejszą kronikę mistrza Wincentego, miała odbyć się w 1109 w pobliżu Wrocławia między oddziałami Bolesława Krzywoustego a oddziałami cesarza niemieckiego Henryka V. Wcześniejszy kronikarz, Gall Anonim, o tej bitwie nie wspomina. [przypis edytorski]

Ale Niemcom, którzy lubili się chęłpic między obcymi wzrostem i mocą, wstyd było — i brała ich złość, więc stary Helfenstein ją wołać przez cały stół:

— Hańba to dla nas! Bracie Arnoldzie von Baden, pokaż, że i nasze kości nie ze świec kościelnych uczynione! Dajcie mu tasak!

Służba przyniosła wnet tasak i położyła go przed Arnoldem, ale on, czy to że zmieszał go widok tyłu świadków, czy że siłę w palcach miał istotnie mniejszą od Powały, zgiął wprawdzie tasak przez połowę, ale nie zdołał go skrócić.

Więc niejedyn z gości zagranicznych, któremu nieraz poprzednio szeptali Krzyżacy, jako w zimie nastąpi wojna z królem Jagiełłą, zamyślił się mocno i przypomniał sobie w tej chwili, że zima w tym kraju okrutnie bywa ciężka i że lepiej by może wrócić póki czas pod łagodniejsze niebo, do rodzinnego zamku.

A było w tym to dziwnego, że podobne myśli poczęły im przychodzić do głowy w lipcu, czasu pięknej pogody i upałów.

Strach

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

W Płocku Zbyszko i Maćko nie zastali nikogo z dworu, albowiem oboje księstwo<sup>1377</sup> razem z osmiorgiem dzieci pojechali w odwiedzin do Czerska, dokąd ich zaprosiła księżna Anna Danuta. O Jagience dowiedzieli się od biskupa, że miała zostać w Spychowie przy Jurandzie aż do jego śmierci. Wiadomości te były im na rękę, bo i sami chcieli jechać do Spychowa. Maćko wysławiał przy tym bardzo poczciwość Jagienki, że wolała udać się do umierającego człowieka, który nie był nawet jej krewny, niż na zabawy czerskie, na których płaśów i wszelakiej ochoty<sup>1378</sup> nie mogło zabraknąć.

— Może też uczyniła to i dlatego, aby się z nami nie zminąć — mówił stary rycerz. — Nie widziałem jej już dawno i rad ją obaczę, gdyż wiem, że i ona dla mnie życzliwa. Musiała mi dziewczka wyrosnąć; i pewno jeszcze gładsza, niż była.

A Zbyszko rzekł:

— Odmieniła się okrutnie. Gładka była zawsze, ale pamiętałem ją prostą dziewczką, a teraz to jej... choćby na pokoje królewskie.

— Tak że ci się odmieniła? Ba! Ale to i stary ród tych Jastrzębców ze Zgorzelic, którzy się „Na gody!” czasu wojen wołają.

Nastała chwila milczenia, po czym znów ozwał się stary rycerz:

— Pewnie tak będzie, jakom ci mówił, że jej się zechce do Zgorzelic.

— Mnie i to dziwno było, że z nich wyjeżdżała.

— Bo chorego opata chciała doglądać, którego należytego starunku nie miał. Bała się przy tym Cztana i Wilka, a ja sam jej rzekłem, że przepiecznie będzie braciom bez niej niżeli przy niej.

— Wiera, że nijak im było sieroty najeżdzać.

A Maćko zamyślił się.

— Ale czy się tam na mnie nie pomścili za to, żem ją wywiózł, i czy z Bogdańca choć jedno drewno zostało, Bóg raczy wiedzieć! Nie wiem też, czy wróciwszy, podołam im się obronić. Chłopy młode i krzepkie, a ja stary.

— Ej! To, to już chyba mówcie temu, kto was nie zna — odpowiedział Zbyszko.

Jakoż Maćko nie mówił tego zupełnie szczerze, chodziło mu bowiem o co innego, ale na razie machnął tylko ręką:

— Żebym był nie chorzał w Malborgu, no, to jeszcze! — rzekł. — Ale o tym w Spychowie pogadamy.

I nazajutrz po noclegu w Płocku ruszyli do Spychowa.

Dni były jasne, droga sucha, łatwa, a przy tym bezpieczna, gdyż z powodu ostatnich układów wstrzymali Krzyżacy rozboje na granicy. Zresztą dwaj rycerze należeli do takich podróżnych, którym i dla zbója lepiej się z dała pokłonić, niż z bliska ich zaczepić, więc podróż szła wartko i piątego dnia po wyjeździe z Płocka stanęli rankiem bez trudu w Spychowie. Jagienka, która była przywiązana do Maćka jak do najlepszego w świecie przyjaciela, witała go niemal tak, jakby witała ojca, a on, choć nie byle co mogło go poruszyć, rozrzewnił się jednak tą życzliwością kochanej dziewczyny — i gdy w chwilę

Starość, Siła

Podróż

<sup>1377</sup> oboje księstwo — Ziemowit IV i Aleksandra Olgierdówna. [przypis edytorski]

<sup>1378</sup> ochota (daw.) — zabawa. [przypis edytorski]

później Zbyszko wypytawszy się o Juranda, poszedł do niego i do swojej „truchelki” — odetchnął stary rycerz głęboko i rzekł:

— Ano, kogo Bóg chciał wziąć, to wziął, a kogo chciał ostawić, to ostawił, ale tak myślę, że przecie skończone już te nasze mitręgi i te nasze wędrowania po różnych mie-  
rzejach i wertepach.

Po chwili zaś dodał:

— Hej! Gdzie to nas Pan Jezus przez te ostatnie lata nie nosił!

— Ale was ręka boska piastowała — odrzekła Jagienka.

— Prawda, że piastowała, wszelako szczerze rzekłszy, czas już do dom.

— Trzeba nam tu zostać, póki Jurand żywie — rzekła dziewczyna.

— A jakoże z nim?

— Patrzy do góry i śmieje się; widać już raj ogląda, a w nim Danuskę.

— Pilnujesz go?

— Pilnuję, ale ksiądz Kaleb powiada, że i anieli go pilnują. Wczoraj gospodyni tutejsza  
dwóch widziała.

— Powiadają — rzekł na to Maćko — że szlachcicowi najprzystojniej w polu<sup>1379</sup>  
umierać, ale tak jak Jurand kona, to i na łożu dobrze.

— Nie je nic, nie pije, jeno się ciągiem śmieje — rzekła Jagienka.

— Pójdźmy do niego. Zbyszko też tam musi być.

Ale Zbyszko krótko zabawił przy Jurandzie, który nikogo nie poznawał — i poszedł  
następnie do Danusinej trumny, do podziemia. Tam zabawił dopóty, dopóki stary Tolima  
nie przyszedł szukać go na posilek. Wychodząc, zauważył przy blasku pochodni, że na  
trumnie pełno było wianuszków z chabru i z nagietków, a naokół wymieciona czysto  
polepa przytrząśnięta była tatarakiem, kaczeńcem i kwiatem lipowym, który roznosił woń  
miodową. Więc wezbrało w młodzianku na ten widok serce i zapytał:

— Któż to tak zdobi tę truchelkę?

— Panna ze Zgorzelic — odpowiedział Tolima.

Młody rycerz nie rzekł na to nic, ale w chwilę później, ujrzawszy Jagienkę, pochylił  
się nagle do jej kolan i objąwszy je, zawołał:

— Bógże ci zapłać za twoją pocziwość i za one kwiecie dla Danuśki.

I to rzekłszy, rozplakał się rzewnie, a ona objęła mu rękoma głowę jak siostra, która  
pragnie kwilącego brata utulić, i rzekła:

— Oj, mój Zbyszku, rada by ja cię bardziej pocieszyć!

Po czym lzy obfite puściły się i jej z oczu.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Jurand umarł w kilka dni później. Przez cały tydzień odprawiał ksiądz Kaleb nabożeństwo  
nad jego ciałem, które nie psuło się wcale — w czym wszyscy cud boży widzieli — i przez  
cały tydzień roilo się od gości w Spychowie. Potem przyszedł czas ciszy, jaki zwykle bywa  
po pogrzebach. Zbyszko chadzał do podziemia, a czasem też z kuszą do boru, z której  
zresztą nie strzelał do zwierz, jeno chodził w zapamiętaniu, aż wreszcie pewnego wieczora  
przyszedł do izby, w której dziewczyny siedziały z Maćkiem i Hlawą — i niespodzianie  
rzekł:

— Posłuchajcie, co powiem! Nie płuży<sup>1380</sup> smutek nikomu, a przez to lepiej wam do  
Bogdańca i do Zgorzelic wracać, niżeli tu w smutku siedzieć.

Nastało milczenie, wszyscy bowiem odgadli, że to będzie wielkiej wagi rozmowa —  
i dopiero po chwili ozwał się Maćko:

— Lepiej nam, ale i tobie lepiej.

Lecz Zbyszko potrząsnął swymi jasnymi włosami.

— Nie! — rzekł. — Wróć, da Bóg, i ja do Bogdańca, ale teraz w inną mi trzeba  
drogę.

— Hej! — zawołał Maćko. — Mówiłem, że koniec, a tu nie koniec! Bójże ty się  
Boga, Zbyszku!

— Przecie wiecie, iżem ślubowałem.

<sup>1379</sup>w polu — chodzi o pole bitwy. [przypis edytorski]

<sup>1380</sup>płużyć (daw.) — opłacać się, służyć, sprzyjać. [przypis edytorski]

— To to jest przyczyna? Nie masz Danuśki, nie masz i ślubowania. Śmierć cię od przysięgi zwolniła.

— Moja by mnie zwolniła, ale nie jej. Na rycerską cześć ja Bogu przysięga! Jakożecie? Na rycerską cześć!

Każde słowo o rycerskiej czci wywierało na Maćku jakby czarodziejski wpływ. W życiu, prócz przykazań boskich i kościelnych, niewiele się innymi kierował, ale natomiast tymi kilkoma kierował się niezachwianie.

— Ja ci nie mówię, żebyś przysięgi nie dotrzymał — rzekł.

— Jeno co?

— Jeno to, żeś młody i że na wszystko masz czas. Jedź teraz z nami; wypoczniesz, z żalu i boleści się otrząsniesz, a potem ruszysz, dokąd zechcesz.

— To już wam tak szczerze jak na spowiedzi powiem — odrzekł Zbyszko. — Jeźdź, widzicie, gdzie trzeba, gadam z wami, jem i piję jak każdy człowiek, a sprawiedliwie mówię, że we wnętrzu<sup>1381</sup> i w duszy rady sobie nijakiej dać nie mogę. Nic, jedno smutek we mnie, nic, jedno boleść, nic, jedno te gorzkie śluzę same mi z oczu płyną!

— To ci właśnie między obcymi będzie najgorzej.

— Nie! — mówił Zbyszko. — Bóg widzi, że do reszty bym skapał w Bogdańcu. Kiedy wam mówię, że nie mogę, to nie mogę! Wojny mi trza, bo w polu łatwiej przepomnieć. Czuję, że jak ślubu dokonam, jak onej zbawionej duszy będę mógł rzec: wszystkim ci spełnił, com przyobiecał, dopiero mnie popuści. A pierwiej: nie! Nie utrzymalibyście mnie i na powrozie w Bogdańcu...

Po tych słowach stało się w izbie cicho, tak że słycać było muchy latające pod pałepem.

— Ma-li skapieć w Bogdańcu, to niech lepiej jedzie — ozwała się wreszcie Jagienka.

Maćko założył obie ręce na kark, jak miał zwyczaj czynić w chwilach wielkiego fransunku, po czym westchnął ciężko i rzekł:

— Ej, mocny Boże!...

Jagienka zaś mówiła dalej:

— Zbyszku, ale ty przysięgnij, że jeżeli cię Bóg zachowa, to nie ostaniesz tutaj, jeno powrócisz do nas.

— Co bym nie miał wrócić! Juźci nie ominę Spychowa, ale tu nie ostanę.

— Bo — ciągnęła dalej cichszym nieco głosem dziewczyna — jeśli ci o tę truchelkę chodzi, to my ci ją zawieziem do Krześni...

— Jaguś! — zawołał z wybuchem Zbyszko.

I w pierwszej chwili uniesienia i wdzięczności padł jej do nóg.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Stary rycerz pragnął koniecznie towarzyszyć Zbyszowski do wojsk księcia Witoldowych, ale ów nie dał sobie nawet o tym mówić. Uparł się jechać sam, bez pocztu, bez wozów, z trzema tylko konnymi pachołkami, z których jeden miał wieźć spyżę, drugi zbroję i ubiory, trzeci niedźwiedzie skóry do spania. Próżno Jagienka i Maćko błagali go, by wziął z sobą chociaż Hławę, jako giermka wypróbowanej siły i wierności. Uparł się i nie chciał, mówiąc, że trzeba mu o tej boleści, która go toczy<sup>1382</sup>, zapomnieć, a obecność giermka przypominałaby mu właśnie wszystko, co było i przeszło.

Ale jeszcze przed jego wyjazdem toczyły się ważne narady nad tym, co uczynić ze Spychowem. Maćko radził tę majątność sprzedać. Mówił, iż to jest ziemia nieszczęсна, która nikomu nie przyniosła nic prócz klęsk i niedoli. W Spychowie dużo było wszelkiego bogactwa, począwszy od pieniędzy aż do zbroi, koni, szat, kożuchów, drogich skór, kosztownych sprzętów i stad, więc Maćkowi chodziło w duszy o to, aby owym bogactwem wspomóc Bogdaniec, który miłszy był mu od wszystkich innych ziem. Radzili tedy nad tym długo, ale Zbyszko żadną miarą nie chciał się zgodzić na sprzedaż.

— Jakożecie mi — mówił — Jurandowe kości przedawać? Tak ci to mu się mam wypłacić za one dobrodziejstwa, którymi mię obsypał?

— Obiecaliśmy ci wziąć Danusiń truchleczkę — odrzekł Maćko — możemy i Ju-

Smutek

Trup, Grób

<sup>1381</sup>wnętrzu — dziś popr.: wnętrzu. [przypis edytorski]

<sup>1382</sup>toczyć — tu: zżerać od środka. [przypis edytorski]

randa ciało zabrać.

— Ba, on tu z ojcami, a bez ojców będzie mu się cniło w Krześni. Weźmiecie Danuskę, to on tu ostanie z dala od dziecka, weźmiecie i jego, to tu ojce sami ostaną.

— Bo ty nie baczysz, że Jurand w raju wszystkich co dzień ogląda, a ojciec Kaleb powiada, że on w raju — odpowiedział stary rycerz.

Ale ksiądz Kaleb, który był po stronie Zbyszka, rzekł:

— Dusza w raju, ale ciało na ziemi aż do dnia sądu.

Maćko zaś zastanowił się nieco i idąc dalej za własną myślą, dodał:

— Jużci, takiego chyba Jurand nie widzi, którego nie został zbawion, na to wszelako nie ma rady.

— Co tu wyroków boskich dochodzić! — odrzekł Zbyszko. — Ale i tego nie daj Bóg, aby tu obcy człek nad tymi świętymi prochami mieszkał. Lepiej tu wszystkich ostawię, a Spychowa nie przedam, choćby mi za niego księstwo dawali.

Po tych słowach wiedział już Maćko, że nie ma rady, bo znał uporczywość bratanka i wielbił ją w głębi duszy na równi ze wszystkim, co tylko w młodzianku było.

Więc po chwili rzekł:

— Prawda jest, że pod włos mi chłop mówi, ale w tym, co mówi, to praw.

I zafrasował się, bo jednakże nie wiedział, co czynić.

Ale Jagienka, która milczała dotychczas, wystąpiła z nową radą:

— Żeby tak znaleźć poczciwego człeka, coby tu rządził alibo dzierżawą Spychów wziął, to by była wyborna rzecz. Najśluszniej by wydzierżawić, bo nijakich nie mielibyście kłopotów, jeno gotowy grosz. Może by Tolima?... Stary on jest i więcej się na wojnie niż na gospodarstwie rozumie, ale jeśli nie on, to może ojciec Kaleb?...

— Miła panno! — odpowiedział na to ksiądz Kaleb. — Obu nam z Tolimą ziemia się patrzy, ale ta, która nas pokryje, nie ta, po której chodzimy.

I to rzekłszy, zwrócił się do Tolimy:

— Prawda, stary?

Więc Tolima ogarnął dłonią spiczaste ucho i zapytał:

— O co chodzi?

A gdy mu powtórzono głośniejszy, rzekł:

— Święta to prawda. Nie do gospodarstwa ja! Topór głębiej orze od pługa... Pana i dziecko to bym rad jeszcze pomścił...

I wyciągnął chude, lecz żyłaste dłonie z zakrzywionymi na kształt szponów drapieżnego ptaka palcami, po czym zwracając swą siwą, podobną do wilczej głowę w stronę Maćka i Zbyszka, dodał:

— Na Niemców, wasze moście, mnie weźcie; to moja służba!

I miał słuszność. Przysporzył on niemało bogactwa Jurandowi, ale tylko drogą wojny i łupu — nie gospodarstwem.

Więc Jagienka, która przez czas tej rozmowy namyślała się, co ma powiedzieć, rzekła znów:

— Tu by się patrzył<sup>1383</sup> człek młody, a nie bojący, bo zaś ściana<sup>1384</sup> krzyżacka obok; taki, powiadam, co by się przed Niemcami nie tylko nie chował, ale jeszcze ich szukał, więc tak myślę, że, nie przymierzając, Hława w sam raz by się do tego nadawał...

— Obaczcie, jak to uradza! — rzekł Maćko, któremu, pomimo całej miłości do Jagienki, nie chciało się w głowie pomieścić, by w takiej sprawie zabierała głos niewiasta, a do tego dziewczka przetowłosa.

Ale Czech podniósł się z ławy, na której siedział, i rzekł:

— Bóg na mnie patrzy, że rad bym z panem Zbyszkiem na wojnę iść, bośmy już razem trocha Niemców wyluskali, i jeszcze by się zdarzyło... Ale jeśli mam zostawać, to bym tu został... Tolima mi przyjaciel i on mnie zna... Ściana krzyżacka obok, to i co? To właśnie! A obaczmy, komu się somśiedztwo<sup>1385</sup> wpierw uprzykrzy! Miałbym się ja ich bać, to niech oni się mnie boją. Nie daj też, Panie Jezu, abym ja waszym gościom krzywdę w gospodarstwie czynił i k'sobie wszystko garnął. W tym panienka za mną poświadczy, bo

<sup>1383</sup>patrzył się — tu: wydawać się na właściwym miejscu. [przypis edytorski]

<sup>1384</sup>ściana — tu: granica. [przypis edytorski]

<sup>1385</sup>somśiedztwo — dziś popr.: sąsiedztwo. [przypis edytorski]



wie, iżebym wołał szeznąć sto razy, niżli jej nierzetelne oczy pokazać... Na gospodarstwie tyle się znam, ilem się go w Zgorzelicach napatrzył, ale tak miarkuję, że więcej tu trzeba toporem i mieczem niż pługiem gospodarzyć. I to wszystko wielce mi jest po myśli, jeno, że przecie, tak... niby tu zostać...

— To i co? — zapytał Zbyszko. — Czego się ociągasz?

A Hława zmieszał się wielce i tak dalej, zająkując się, mówił:

— Niby, że jak panienka odjedzie, to z nią i wszyscy odjadą. Wojować dobrze i gospodarzyć też, ale tak samemu... bez nijakiej pomocy. Okrutnie by mi się tu cniło bez panienki i bez... tego, jako właśnie chciałem rzec... i jako że panienka nie sama jeździła po świecie... to jakby mi tu nikt nie pomógł... to nie wiem!

— O czym ten chłop gada? — spytał Maćko.

— Rozum macie bystry, a niceście nie pomiarkowali — odrzekła Jagienka.

— Bo co?

A ona zamiast odpowiedzi zwróciła się do giermka:

— A jakby tak Anula Sieciechówna z tobą ostała, wytrzymałbyś?

Na to Czech grzmotnął się do jej nóg, aż kurz powstał z polepy.

— I w piekle bym z nią wytrzymał! — zawołał, obejmując jej stopy.

Zbyszko, usłyszawszy ten okrzyk, patrzył ze zdumieniem na giermka, gdyż poprzednio o niczym nie wiedział i niczego się nie domyślał, a Maćko dziwił się także temu w duszy, ile to niewiasta znaczy we wszystkich ludzkich sprawach i jak przez nią każda rzecz może się udać albo też zgoła chybić.

— Bóg łaskaw — mruknął — że już ja do nich nieciekaw.

Jednakże Jagienka, zwróciwszy się znów do Hławy, rzekła:

— To teraz trzeba nam jeno wiedzieć, czy i Anula z tobą wytrzyma.

I zawołała Sieciechównę, a ta weszła, wiedząc lub domyślając się widocznie, o co chodzi, gdyż weszła z zasłoniętymi ramieniem oczyma i z głową spuszczoną tak, że widać było tylko rozbiór jej jasnych włosów, które rozjaśniał jeszcze bardziej padający na nie promień słońca. Naprzód zatrzymała się przy odrzwiach, potem skoczywszy ku Jagience, padła przed nią na kolana i ukryła twarz w fałdach jej spódnicy.

A Czech klęknął koło niej i rzekł do Jagienki.

— Pobłogosławcie nas, panienko.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Nazajutrz nadeszła chwila odjazdu Zbyszka. On sam siedział wysoko na roslym koniu bojowym, a swoi otaczali go dokoła. Jagienka, stojąc wedle strzemięcia, wznosiła ku młodziankowi w milczeniu swe smutne niebieskie oczy, jakby chcąc przed rozstaniem napatrzeć się na niego do woli. Maćko razem z księdzem Kalebem przy drugim strzemieniu, a tuż obok giermek z Sieciechówną. On zwracał głowę to w jedną, to w drugą stronę, zamieniając z nimi takie krótkie słowa, jakie zwykle wypowiada się przed długą podróżą: „Ostańcie zdrowi!” — „Niech cię Bóg prowadzi!” — „Czas już!” — „Hej, czas! czas!”. Poprzednio już był pożegnał się ze wszystkimi i z Jagienką, którą pod nogi podjął, dziękując jej za życzliwość. A teraz, gdy spoglądał na nią z wysokiego rycerskiego siodła, miał ochotę powiedzieć jej jeszcze jakie dobre słowo, gdyż jej wzniesione oczy i twarz mówiły mu tak wyraźnie: „Wróć!” — że serce wzbierało mu rzetelną wdzięcznością.

I jak gdyby odpowiadając na tę jej niemą wymowę, rzekł:

— Jaguś, ku tobie jako ku siostrze<sup>1386</sup> rodzonej... Wiesz!... Nic więcej nie rzekę!

— Wiem. Bóg ci zapłać.

— I o stryjcju pamiętaj.

— I ty pamiętaj.

— Jużci, wrócę, jeśli nie zginę.

— Nie gin.

Raz już, w Płocku, gdy wspomniał o wyprawie, powiedziała mu tak samo: „Nie gin”, ale teraz słowa te wyszły z jeszcze większej głębi jej duszy i może dla ukrycia łez pochyliła się przy tym tak, że czoło jej dotknęło na chwilę kolana Zbyszka.

A tymczasem pacholkiwie konni przy bramie trzymający juczne konie, gotowi już do

Miłość

Pożegnanie

Śpiew

<sup>1386</sup>siostrze — dziś popr.: siostrze. [przypis edytorski]

drogi, poczęli śpiewać:

Nie zginie pierścień, złocisty pierścień  
Nie zginie.  
Kruk go odniesie, z pola odniesie  
Dziewczynie.

— W drogę! — zawołał Zbyszko.  
— W drogę.  
— Boże cię prowadź! Matko Najświętsza!...

Zatętniły kopyta na drewnianym zwodzonym moście, jeden z koni zarżał przeciągle, inne poczęły parskać i orszak ruszył.

Ale Jagienka, Maćko, ksiądz, Tolima oraz Czech ze swą niewiastą i ci słudzy, którzy zostawali w Spychowie, wyszli na most i patrzyli na odjeżdżających. Ksiądz Kaleb żegnał ich krzyżem czas długi, aż gdy wreszcie znikli za wysokimi krzami olszyny, rzekł:

— Pod tym znakiem nie dosięgnie ich zła przygoda.  
A Maćko dodał:  
— Pewnie, ale i to też dobrze, że konie czyniły parskanie okrutne.

\*

Lecz i oni nie zostali już długo w Spychowie. Po dwóch tygodniach załatwił stary rycerz sprawę z Czechem, który osiadł dzierżawą na majątności, sam zaś na czele długiego szeregu wozów otoczonych zbrojną czeladzią ruszył z Jagienką w stronę Bogdańca. Niezupełnie radzi patrzyli na owe wozy ksiądz Kaleb i stary Tolima, bo, prawdę rzekłszy, Maćko złupił trochę Spychów — ale ponieważ Zbyszko całkiem zdał na niego rządy — nikt nie śmiał mu się sprzeciwić. Zresztą byłby zabrał jeszcze więcej, gdyby go nie była hamowała Jagienka, z którą sprzeczał się wprawdzie, wydziwiając na „babskie rozumy” — ale której słuchał jednak prawie we wszystkim.

Trumny Danusinej nie wieźli jednak, gdyż skoro Spychów nie został sprzedany, Zbyszko wołał, aby została z ojcami.

Wieźli natomiast moc pieniędzy i różnych bogactw, w znacznej części złupionych swego czasu na Niemczech w rozlicznych bitwach, które stoczył z nimi Jurand. Toteż Maćko, spoglądając teraz na ładowne, pokryte rogożami<sup>1387</sup> wozy, radował się w duszy na myśl, jak wspomocze i urządzi Bogdaniec. Zatrwała mu jednak tę radość obawa, że Zbyszko może polec, ale znając sprawność rycerską młodzianka, nie tracił jednak nadziei, że wróci szczęśliwie, i z rozkoszą o tej chwili rozmyślał.

— Może to Bóg tak chciał — mówił sobie — żeby wpiery dostał Zbyszko Spychów, a potem Moczydoły i wszystko, co po opacie zostało? Niech jeno wróci szczęśliwie, to mu kasztel godny w Bogdańcu wystawię; a wtedy obaczym!...

Tu przypomniało mu się, że Cztan z Rogowa i Wilk z Brzozowej pewnie niezbyt mile go przyjmą i że może trzeba się będzie z nimi potykać, ale o to nie dbał, równie jak stary koń bojowy nie dba, gdy mu do bitwy iść przyjdzie. Zdrowie mu wróciło, czuł siłę w kościach i wiedział, że tym zabijakom, groźnym wprawdzie, ale niemającym nijakiego ćwiczenia rycerskiego, łatwo da rady. Wprawdzie co innego mówił przed niedawnym czasem Zbyszkowi — mówił to jednak tylko dlatego, by go do powrotu skłonić.

„Hej! Szczuka ja, a oni kielbie<sup>1388</sup> — myślał. — Niech mi lepiej od głowy nie zachodzą!” Natomiast zaniepokoiło go co innego: Zbyszko Bóg wie kiedy oto wróci, a przy tym Jagienkę uważa całkiem tylko za siostrę. Nuż dziewczka patrzy na niego też jak na brata i nuż nie zechce czekać na jego niepewny powrót?

Więc zwrócił się do niej i rzekł:

— Słuchaj, Jagna, nie mówię ja o Cztanie i Wilku, bo to grube chłopiska i nie dla ciebie. Tyś teraz dwórka!... Ale wedle tego<sup>1389</sup>, że to roki ci są!... Już nieboszczyk Zych

Chciwość

Siła

<sup>1387</sup> *rogoża* (daw.) — mata upleciona z łyka lub z sitowia. [przypis edytorski]

<sup>1388</sup> *kielb* — ryba słodkowodna z rodziny karpowatych. [przypis edytorski]

<sup>1389</sup> *wedle tego* — tu: mówiąc o tym. [przypis edytorski]

powiadał, że czujesz bożą wolę, a to temu kilka lat... Bo ja tam wiem! Mówią, że jak dziewczę za ciasno we wianusku, to ci sama gotowa szukać takiego, co by jej go z głowy zdjął... Ma się rozumieć, że ni Cztan, ni Wilk... Ale jakoże miarkujesz?

— O co wy się pytacie?

— Nie wydasz-li ty się za kogo bądź?

— Ja?... Ja mniszką ostanę.

— Nie powiadaj byle czego! A jak Zbyszko wróci?

Ale ona potrząsnęła głową:

— Mniszką ostanę.

— No, a jakby cię pokochał? Jakby cię prosił okrutnie?

Na to dziewczyna odwróciła zarumienioną twarz do pola, ale wiatr, który właśnie od pola wiał, przyniósł Maćkowi cichą odpowiedź:

— To nie ostanę.

Miłość niespełniona

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Zabawili czas jakiś w Płocku, aby się z dziedzictwem i z testamentem opatowym uładzić<sup>1390</sup>, a potem, zaopatrzeni w należyte dokumenta, ruszyli dalej, niewiele wypoczywając w drodze, która była łatwa i bezpieczna, gdyż upał osuszył błota, pozwężał rzeki, a gościńce szły krajem spokojnym, zamieszkałym przez lud swojacki i gościnny. Z Sieradza pchnął jednak ostrożny Maćko pachółka do Zgorzelic, ażeby o przybyciu swoim i Jagienkowym oznajmić, skutkiem czego Jaśko, brat Jagienki, wyskoczył ku nim na pół drogi i na czele dwudziestu zbrojnych parobków odprowadził ich do domu.

Było przy tym spotkaniu niemało radości, powitań i okrzyków. Jaśko podobny był zawsze do Jagienki jak dwie krople wody, ale już ją przerósł, chłopak był na schwał: dziarski, wesoly jak nieboszyk Zych, po którym ochotę do ciągłego śpiewania odziedziczył, a żywy jak skra. Poczul się też już w latach, w sile i za dojrzałego męża się uważał, bo rządził swymi pachółkami jak prawy wódz, a oni w mig każdy jego rozkaz spełniali, bojąc się widocznie jego powagi i władzy.

Brat

Dziwili się więc temu Maćko i Jagienka, a on dziwił się także z wielką uciechą urodzie i dworności siostry, której od dawna nie widział. Mówił przy tym, że już się ku niej wybierał i że małuczko, a byliby go w domu nie zastali, gdyż i tak trzeba mu świat obaczyć, o ludzi się otrzeć, ćwiczenia rycerskiego nabrać i sposobność tu i owdzie znaleźć do potykania się z wędrownymi rycerzami.

— Świat i obyczaje ludzkie poznać — rzekł mu na to Maćko — dobra jest to rzecz, gdyż uczy to, jak się w każdej przygodzie znaleźć, co powiedzieć, i wzmaga przyrodzony rozum. Ale co do potykania się, lepiej, że ja ci powiem, iżeś na to jeszcze za młody, niż żeby ci to miał jaki obcy rycerz powiedzieć, którego by cię przy tym wyśmiać nie omieszkął.

— Toby po tym śmiechu zapłakał — odrzekł na to Jaśko — a jeśli nie on, to jego żona i dzieci.

I spojrzął z okrutną zuchwałością przed siebie, jakby chciał rzec wszystkim wędrownym rycerzom na świecie: „Gotujcie się na śmierć!”. Lecz stary rycerz z Bogdańca zapytał:

— A Cztan i Wilk ostawili tu was w spokoju? Bo to oni radzi na Jagienkę patrzyli.

— Ba! Wilk zabity na Śląsku. Chciał tam jednego kasztelu niemieckiego dobyć i dobył, ale że go kłoda z murów przywalili, więc po dwóch dniach ostatnią parę puścił.

— To go szkoda. Chadzał i jego ojciec na Niemców do Śląska, którzy tam nasz naród cisną, i łupy z nich brał... Najgorsze to dobywanie zamków, bo przy nim ni zbroja, ni ćwiczenie rycerskie nie pomoże. Da Bóg, że tam książę Witold nie będzie zamków dobywał, jeno w polu Krzyżaków gnębił... A Cztan? Co z nim słyhać?

Jaśko poczał się śmiać:

— Cztan się ożenił! Wziął córkę kmiecia z Wysokiego Brzegu, sławną z urody. Hej! Nie tylko gładka dziewczka, ale i zaradna, bo Cztanowi niejeden woli z drogi ustąpić, a ona go po włochatym pysku bije i za nozdrza ci go wodzi jako niedźwiedzia na łańcuchu.

Rozweselił się, usłyszawszy to, stary rycerz.

Ślub, Kobieta

<sup>1390</sup>uładzić — dojść do porządku. [przypis edytorski]

— Widzisz ją! Wszystkie baby jednakże! Jagienka, i ty taka będziesz! Chwała Bogu, że nie było z tymi dwoma zabijakami kłopotu, bo szczerze mówiąc, aże mi to dziwno, że na Bogdańcu złości nie wywarli.

— Cztan chciał, ale Wilk, który był mądrzejszy, nie dał mu. Przyjechał do nas do Zgorzelic pytać, co się z Jagienką stało. Rzekłem, iż pojechała po opatowe dziedzictwo. A on powiada: „Czemu zaś mi Maćko o tym nie mówili?”. Więc ja znów na to: „A cóż to, Jagienka twoja, żeby ci się mieli opowiadać?”. On też, pomyślawszy chwilę: „Prawda, mówi, że nie moja”. I jako to rozum miał bystry, zaraz widać pomiarkował, że was i nas sobie zjedna, jeśli Bogdańca będzie przed Cztanem bronił. Potykali się też na Ławicy wedle Piasków i poszczerbili się wzajem, a potem pili na umór, jak to im się zawdy przytrafiało.

— Panie świeć nad Wilkową duszą! — rzekł Maćko.

I odetchnął głęboko, rad, że w Bogdańcu nie znajdzie innych szkód nad te, których długa jego nieobecność mogła być przyczyną.

Jakoż i nie znalazł; owszem, pomnożył się nawet dobytek w stadach, a z niewielkiego stadka świerzop były już źrebaki dwulatki, niektóre — po bojowych fryzyjskich ogierach — nad zwykłą miarę rosły i silne. Szkoda znalazła się tylko w tym, że kilku brańców uciekło, ale niewielu, bo mogli uciekać wyłącznie do Śląska, a tam niemieccy lub ziemczeni rabusie-rycerze gorzej obchodzili się z jeńcami niż szlachta polska. Stare, ogromne domosko pochyliło się jednakże znacznie do upadku. Popękały polepy, skrzywiły się ściany i pułapy, a modrzewiowe belki zrębane przed dwustu albo więcej laty poczęły próchnieć. We wszystkich izbach, które zamieszkiwał ongi liczny rój Gradów Bogdanieckich, zaciekalo w czasie obfitych dżdżów letnich. Dach zdiurawiał i pokrył się całymi kępami zielonych i rudych mchów. Cała budowa przysiadła i wyglądała jak grzyb rozłożysty, ale zmurszały.

— Żeby był starunek, toby jeszcze trwało, bo od niedawna zaczęło się psować — mówił Maćko do starego karbowego Kondrata, który pod nieobecność panów zawiadował majątnością.

A po chwili:

— Ja bym i tak do śmierci domieszkał, ale Zbyszkowi kasztel się patrzy.

— O dla Boga! Kasztel?

— He! Albo co?

Była to ulubiona myśl starego postawić Zbyszkowi i przyszłym jego dzieciakom kasztel. Wiedział, że szlachcica, który nie w zwykłym dworcu, ale za rowem i częstokołem siedzi, a przy tym czatownię<sup>1391</sup> ma, z której straż spogląda na okolicę, zaraz i sąsiedzi „za coś uważają” — i o urząd mu łatwiej. Dla siebie niewiele już żądał Maćko, ale dla Zbyszka i jego synów nie chciał na małym poprzestać, tym bardziej teraz, gdy majątność wzrosła tak znacznie.

„Niechby jeszcze Jagienkę wziął — myślał — a z nią Moczydoły i opatowe dziedzictwo: nikt by w okolicy nie był z nami na równi; co daj Boże!”

Ale to wszystko zależało od tego, czy Zbyszko wróci — a to była rzecz niepewna i zależna od łaski Boskiej. Mówił sobie tedy Maćko, że trzeba mu być teraz z Panem Bogiem jak najlepiej i nie tylko w niczym mu się nie narazić, ale czym można, to go zjednać. W tej chęci nie żałował dla kościoła w Krześni ni wosku, ni odsepów, ni zwierzyny, a pewnego wieczora przyjechawszy do Zgorzelic, tak rzekł do Jagienki:

— Do Krakowa ci jutro jadę, do grobu świętej naszej królowej Jadwigi.

A ona aż zerwała się z ławy ze strachu.

— Zaliście dostali jaką złą nowinę?

— Nijakiej nowiny nie było, bo i nie mogło jeszcze być. Ale ty pamiętasz, jako wtedy, gdym chorzał od tego zadziora w boku, co toście, wiesz, po bobry ze Zbyszkciem chodzili: ślubowałem, że jeśli Bóg mi wróci zdrowie, to do tego grobu pójdę. Bardzo mi wówczas wszyscy te chęć chwalili. I pewnie! Ma tam Pan Bóg dość świętej czeladzi, ale przecie byle święty nie znaczy i tam tyle, co nasza Pani, której urazić nie chcę i wskrós tej przyczyny, że mi i o Zbyszka chodzi.

<sup>1391</sup>czatownia — wartownia. [przypis edytorski]

— Prawda! Jako żywo! — rzekła Jagienka. — Ale żeście dopiero z takiej okrutnej wędrówki wrócili...

— To i co! Wolę już wszystko naraz odbyć, a potem siedzieć spokojnie doma aż do Zbyszkowego powrotu. Niech jeno królowa nasza wstawi się za nim do Pana Jezusa, to mu przy dobrej zbroi i dziesięciu Niemców nie poradzi... Będę potem z lepszą nadzieją kasztel budował.

— Ale też kości macie niepożyte!

— Pewnie, żem jeszcze jary<sup>1392</sup>. Powiem ci też i co innego. Niech Jaśko, którego się w drogę rwie, jedzie ze mną. Jam człek doświadczony i pohamować go potrafię. A gdyby przygoda się jaka trafiła, bo to chłopaka ręce swędzą, to wiesz przecie, że i potykać mi się nie nowina, zarówno pieszo, jak konno, na miecze albo na topory...

— Wiem! Nikt go lepiej od was nie ustrzeże.

— Ale tak myślę, że nie przygodzi się potykać, bo póki królowa żyła, to pełno bywało w Krakowie obcych rycerzy, którzy jej urodę chcieli oglądać, ale teraz wołają do Malborga ciągnąć, bo tam beczi z malmazją pękatsze.

— Ba! Przecie jest nowa królowa<sup>1393</sup>.

A Maćko skrzywił się i machnął ręką:

— Widziałem! I nic więcej nie rzekę; rozumiesz.

Po chwili zaś dodał:

— Za trzy albo cztery niedziele będziemy z powrotem.

Jakoż tak się stało. Kazał tylko stary rycerz poprzysiąc Jaškowi na rycerską cześć i na głowę świętego Jerzego, że się w żadną dalszą drogę nie będzie napierał<sup>1394</sup> — i wyjechali.

W Krakowie stanęli bez przygody, bo kraj był spokojny, a od wszelkich napadów ze strony zniemczonych książątek granicznych i zbójów-rycerzy niemieckich ubezpieczał go strach przed potęgą Królestwa i męstwem mieszkańców. Po odprawieniu ślubów dostali się przez Powalę z Taczewa i kniazika Jamonta na dwór królewski. Myślał Maćko, że i na dworze, i po urzędach będą go skwapliwie wypytywali o Krzyżaków, jako człeka, który ich przeznał dobrze i który im się z bliska przypatrywał. Ale po rozmowie z kanclerzem i z miecznikiem krakowskim przekonał się ze zdziwieniem, że wiedzą oni o Krzyżakach nie tylko nie mniej, ale więcej od niego. Wiedziano wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów, co się działo i w samym Malborgu, i w innych, choćby najodleglejszych zamkach. Wiedziano, jakie są komendy, jaka gdzie liczba żołnierza, jaka ilość dział, ile czasu potrzeba na zebranie wojsk, jakie są zamiary Krzyżaków na wypadek wojny. Wiedziano nawet o każdym komturze, czy jest człowiek porywczy i zapalczywy, czy rozważny, a zapisywano wszystko tak troskliwie, jakby wojna miała jutro wybuchnąć.

Stary rycerz uradował się tym w sercu wielce, zrozumiał bowiem, że do owej wojny gotują się daleko rozważniej, rozumniej i potężniej w Krakowie niż w Malborgu. „Pan Jezus dał nam takie albo i większe męstwo — mówił sobie Maćko — a widać większy rozum i większą zapobiegliwość”. I tak wówczas było. Dowiedział się też niebawem, skąd pochodzą owe wiadomości: oto dostarczali ich sami mieszkańcy Prus, ludzie wszystkich stanów, zarówno Polacy, jak i Niemcy. Zakon potrafił taką wzbudzić przeciw sobie nienawiść, że wszyscy w Prusiech wyglądali jak zbawienia przyjscia wojsk Jagiełłowych.

Maćkowi przypomniało się wówczas, co swego czasu mówił w Malborgu Zyndram z Maszkowic — i jął powtarzać sobie w duchu:

— Ten ci ma głowę! Czysty ceber<sup>1395</sup>!

I rozpamiętywał każde jego słowo, a raz zapożyczył nawet od niego mądrości, bo gdy trafiło się, że młody Jaśko począł wypytywać o Krzyżaków, rzekł:

— Mocni oni, juchy, są, ale jakoże myślisz? Zali nie wyleci z siodła rycerz najmocniejszy, jeśli ma poderżnięty poprąg i strzemiona?

— Wyleci, jako to prawda, że tu stoje! — odrzekł młodzianek.

— Ha! Widzisz! — zawołał grzmiącym głosem Maćko. — Do tegom cię chciał przywieść!

<sup>1392</sup>jary (daw.) — mocny. [przypis edytorski]

<sup>1393</sup>Anna Cylejska (ok. 1380–1416) — druga żona Władysława Jagiełły, wnuczka Kazimierza Wielkiego. [przypis edytorski]

<sup>1394</sup>napierać się (daw.) — upierać się, usilnie na coś namawiać. [przypis edytorski]

<sup>1395</sup>ceber (daw.) — duże naczynie, wykonane z drewnianych klepek. [przypis edytorski]

— Bo co?

— Bo Zakon to taki rycerz!

A po chwili dodał:

— Z lada gęby tego nie usłyszysz, nie bój się!

I gdy młody rycerzyk nie mógł jeszcze wymiarkować dobrze, o co chodzi, począł mu rzecz wyjaśniać, zapomniał jednak dodać, że porównanie to nie sam wymyślił, ale że wyszło ono co do słowa z potężnej głowy Zyndrama z Maszkowic.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

W Krakowie niedługo zabawili, a byłiby zabawili jeszcze krócej, gdyby nie prośby Jaśka, który chciał się ludziom i miastu napatrzeć, albowiem wszystko wydawało mu się snem cudownym. Jednakże staremu rycerzowi śpieszyło się okrutnie do domowych pieleszy i do żniw, więc niewiele pomogły i prośby, tak że na Wniebowzięcie Najświętszej Panny<sup>1396</sup> byli już z powrotem — jeden w Bogdańcu, drugi w Zgorzelicach przy siostrze.

I od tej pory zaczęło im się życie wlec dość jednostajnie, zapełnione pracą gospodarczą i zwykłymi wiejskimi zabiegami. Żniwa w położonych nizinie Zgorzelicach, a zwłaszcza w Jagienkowych Moczydołach, wypadły wysmienicie, ale w Bogdańcu z powodu suchego roku plon okazał się chudy i nie trzeba było dużo trudu, by go zebrać. W ogóle skąpo tam mieli ziemi uprawnej, bo majątność była pod borem, a wskutek długiej niebytności panów te nawet lechy, które już był karczunkiem przysposobił pod orkę opat, zapuszczono z braku rąk na nowo. Stary rycerz, jakkolwiek czuł na każdą stratę, nie brał tego zbyt do serca, wiedział bowiem, iż przy pieniądzach łatwo będzie wprowadzić we wszystkim ład i porządek — byle tylko było dla kogo trudzić się i pracować. Ale właśnie ta wątpliwość zatruwała mu pracę i dni. Rąk wprawdzie nie opuszczał, wstawał do dnia, jeździł do stad, doglądał robót polnych i leśnych, wybrał nawet miejsce na kasztel i przysposabiał budulec, ale gdy po dniu znojnym słońce roztapiało się w złotych i czerwonych blaskach zórz, nieraz chwytała go tęsknota okrutna, a obok niej i niepokój, jakiego przedtem nigdy nie doznawał. „Ja tu zabiegam, ja się tu mozolę — mówił sobie — a tam chłopisko mój leży może gdzie w polu włócznią przebodzion<sup>1397</sup> i wilcy mu zębami pozgonne dzwonią”. Na tę myśl ścisłało mu się serce i wielką miłością, i wielkim bólem. Nastuchiwał też wówczas pilnie, czy tętentu nie usłyszy, który zwiastował codzienne przybycie Jagienki, udając bowiem przy niej, że ma dobrą otuchę, nabierał jej sam i krzepił się nieco w strapionej duszy.

Ona zaś przyjeżdżała codziennie, zwykle pod wieczór, z kuszą przy siodle i z oszczepem, od wypadku w drodze powrotnej. Nie była to rzecz wcale możliwa, aby mogła kiedy niespodzianie zastać Zbyszka już w domu, gdyż Maćko nie śmiał się go przed jakimś rokiem albo i półtora spodziewać — ale widocznie i ta nadzieja tała się w dziewczynie, gdyż przybywała nie tak jak niegdyś za dawnych czasów, w zaściągniętej<sup>1398</sup> tasiemką koszulinie, w kożuszku wełną do góry i z liśćmi w powichrzonych włosach, ale z pięknie splecionym warkoczem i z piersią opiętą w barwne sieradzkie sukno. Maćko wychodził ku niej — i pierwsze jej pytanie było zawsze, jakby kto zapisał: „A co?” — a pierwsza jego odpowiedź: „A nic!” — potem wprowadzał ją do izby i gwarzył przy ogniu o Zbyszku, o Litwie, o Krzyżakach i o wojnie — ciągle w kółko, ciągle o tym samym — a nigdy żadnemu z nich nie tylko nie naprzykrzyły się te rozmowy, ale nigdy nie mieli ich dosyć.

I tak było przez całe miesiące. Bywało, że i on jeździł do Zgorzelic, ale częściej ona do Bogdańca. Czasem jednak, gdy w okolicy zdarzały się jakieś niepokoje albo w porze rui<sup>1399</sup> niedźwiedzich, gdy stare samce, idąc rozwścieczone za samicą, skłonne bywały do zaczepki, Maćko odprowadzał dziewczynę do dom. Zbrojny dobrze, nie obawiał się stary żadnych dzikich zwierząt, był bowiem niebezpieczniejszy dla nich niż one dla niego. Jeździli tedy wówczas strzeżem w strzeżem — i często bór odzywał im się z głębin groźnie, lecz oni, zapominając o wszystkim, co im się mogło przygodzić, rozmawiali tylko o Zbyszku: gdzie jest? co robi? zali już nabił albo czy prędko nabije tyłu Krzyżaków, ilu nieboszczce Danusi i jej nieboszczce matce ślubował — i czyli rychło powróci? Jagienka zadawała przy tym

<sup>1396</sup>Wniebowzięcie Najświętszej Panny — 15 sierpnia. [przypis edytorski]

<sup>1397</sup>przebodzion (daw.) — przebity. [przypis edytorski]

<sup>1398</sup>zaściągnięty — dziś popr.: zaciągnięty. [przypis edytorski]

<sup>1399</sup>ruja — okres godowy u zwierząt. [przypis edytorski]

Maćkowi pytania, które już ze sto razy zadawała poprzednio, a on odpowiadał na nie z taką uwagą i rozmysłem, jakby je pierwszy raz słyszał.

— To mówicie — pytała — że bitwa w polu nie tak dla rycerza straszna jak zamków dobywanie?

— A obacz, co się Wilkowi przygodziło? Przed kłodą, którą z wałów stoczą, żadna zbroja nie uchroni, a w polu, byle rycerz ćwiczenie należyte miał, może się i dziesięciu nie dać.

— A Zbyszko? Zali zaczął ma zbroję?

— Ma ich kilka zacnych, a najlepszą tę zdobyczną po Fryzie, bo w Mediolanie kuta. Jeszcze przed rokiem była cośkolwiek na Zbyszka za luźna, ale ninie w sam raz.

— To już przeciw takiej żadna broń nie poradzi, prawda?

— Co ręka ludzka zrobiła, przeciw temu ręka ludzka poradzi. Na mediolańską zbroję: mediolański miecz albo też strzały Angielczyków.

— Strzały Angielczyków? — pytała z niepokojem Jagienka.

— A tom ci nie mówił? Nie masz nad nich w świecie luczników... Chyba Mazurowie puszczańscy, ale i ci tak godnego sprzętu nie mają. Angielska kusza przeszyje na sto kroków najlepszą zbroję. Widziałem pod Wilnem. I żaden z nich nie chybi, a znajdzie się poniekąd, co i jastrzębia w lot ustrzeli.

— O pogańscy synowie! Jakożście sobie z nimi radzili?

— Nie było innej rady, jeno zaraz w nich! Dobrze psiajuchy i berdyszami obracają, ale z bliska to już nasz sobie poradzi.

— Piastowała was przecie ręka boska, to i teraz Zbyszka ustrzeże.

— Często ja też tak mówię: „Panie Boże, skoroś nas stworzył i w Bogdańcu osadził, to teraz pilnuj, abyśmy zaś nie szcześli!”. Ha! Boska to już sprawa. Po prawdzie, nie miała to rzecz na cały świat dawać baczenie i o niczym nie przepomnieć, ale po pierwsze, człek się tam czym może przypomina, Kościołowi świętemu nie skąpiąc, a po wtóre, co boska głowa, to nie ludzka.

Tak to oni nieraz z sobą gwarzyli, dodając sobie wzajem otuchy i nadziei. Tymczasem jednak płynęły dni, tygodnie i miesiące. W jesieni zdarzyła się Maćkowi sprawa ze starym Wilkiem z Brzozowej. Był z dawna spór graniczny między Wilkami a opatem o leśne nowocie<sup>1400</sup>, które opat, trzymając zastawem Bogdaniec, wykarczował i zagarnął. W swoim czasie pozywał on nawet obu naraz Wilków w pole, na kopie albo na długie miecze, ci wszelako nie chcieli stawać z duchownym, w sądzie zaś nie mogli nic wskórać. Teraz stary Wilk upomniał się o owe grunta. Maćko zaś, który na nic w świecie nie był tak chciwy jak na ziemię, idąc zrazu za popędem swej natury, a zarazem podniecon myślą, że jęczmiona udają się doskonale na nowinach, ani chciał słyszeć o ich ustąpieniu. Byliby też niechybnie poszli do grodu<sup>1401</sup>, gdyby nie to, że wypadkiem zjechali się u proboszcza w Krześni. Tam gdy nagle stary Wilk rzekł w końcu srogiej kłótni: „Zanim ludzie rozsądzą, na Boga się zdaję, który na waszym rodzie za moją krzywdę się pomści” — zmiękł nagle zawzięty Maćko, pobladł, na chwilę umilkł, a potem tak ozwał się do kłótniwego sąsiada:

— Słuchajcie, nie ja począłem sprawę, jeno opat. Bóg wie, czyja sprawa słuszna, ale macie-li zlorzeczyć Zbyszkowi, to bierzcie nowiny, a Zbyszkowi niech tak Bóg da zdrowie i szczęście, jako je wam z serca odstępuję.

I wyciągnął ku niemu dłoń, a ów, znając go z dawnych czasów, zdumiał się niezmiernie, ani bowiem domyślał się, jaka w tym twardym pozornie sercu tkwiła miłość dla bratanka i jaki panował niepokój o jego losy.

Przez długi też czas nie mógł i słowa przemówić, aż dopiero gdy ucieszony takim obrotem sprawy proboszcz krześniński przeżegnał ich znakiem krzyża — odrzekł:

— A kiedy tak, to co innego! Nie o zysk mi chodziło, bom stary i majątności nie mam komu ostawić, jeno o słuszność. Kto ze mną po dobroci, temu jeszcze i swego ustąpię. A waszemu bratankowi niech tam Bóg błogosławi, abyście na starość nie płakali po nim, jako ja po moim jedynym chłopie...

Kłótnia

<sup>1400</sup>nowoc a. nowina — świeżo wykarczowany grunt. [przypis edytorski]

<sup>1401</sup>do grodu — do sądu grodzkiego. [przypis edytorski]

I rzucili się sobie wzajem w ramiona, a potem długi czas spierali się o to, kto weźmie nowiny. Maćko dał się wszelako w końcu przekonać — ile że Wilk sam był na świecie — i majątności nie miał istotnie komu zostawić.

Po czym zaprosił starego do Bogdańca, gdzie uczcił go obficie jadłem i napojem — albowiem i sam miał w duszy radość wielką. Cieszyła go i nadzieja, że jęczmień na nowinach tego zejdzie, i zarazem myśl, że odwrócił od Zbyszka niełaskę Bożą.

„Byle wrócił, to mu ta ziemi i dobytku nie zbraknie!” — myślał.

Jagienka nie mniej była z tej zgody zadowolona.

— Juźci teraz — mówiła, wysłuchawszy, jak się wszystko odbyło — jeśli Pan Jezus miłosierny zechce okazać, że mu zgoda od swarów miłsza, to musi wam Zbyszka szczęśliwie powrócić.

Na to twarz Maćka pojaśniała, jakby padł na nią promień słońca.

— Tak i ja myślę! — rzekł. — Pan Bóg wszechmocny, bo wszechmocny, ale i na moce niebieskie są sposoby, trzeba jeno rozum mieć...

— Wam chytrności nigdy nie brakło — odpowiedziała dziewczyna, podnosząc w górę oczy.

I po chwili, jakby się nad czym namyśliwszy, ozwała się znowu:

— Ale też wy tego waszego Zbyszka miłujecie! Miłujecie! Hej!

— Kto by jego nie miłował! — odparł stary rycerz. — A ty? Niby to go nienawidzisz?

Jagienka nie odpowiedziała nic wprost, tylko jak siedziała na ławie w podległości<sup>1402</sup> Maćka, tak przysunęła się do niego jeszcze bliżej i odwróciwszy głowę, poczęła go trącać z lekka łokciem:

— Dajcie spokój! Com wam winna!

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Jednakże wojna o Żmudź między Krzyżakami a Witoldem zbyt zajmowała ludzi w Królestwie, aby nie mieli dopytywać się o jej przebieg. Niektórzy pewni byli, że Jagiełło przyjdzie w pomoc stryjecznemu bratu i że walnej wyprawy przeciw Zakonowi rychło patrzeć. Rycerstwo rwało się do niej, a po wszystkich siedzibach szlacheckich powtarzano sobie, że i znaczna liczba panów krakowskich zasiadających w królewskiej radzie przechyla się na stronę wojny, mniemając, że raz trzeba skończyć z tym nieprzyjacielem, który nigdy nie chciał poprzestać na swoim, a o zagrabieniu cudzego myślał nawet wówczas, gdy ogarniała go bojaźń przed potęgą sąsiedzką. Lecz Maćko, który był człowiekiem rozumnym, a jako bywalec widział i przeznał wiele, nie wierzył w bliską wojnę i tak nieraz o tym mówił do młodego Jaśka ze Zgorzelic i do innych sąsiadów, których w Krześni spotykał:

— Póki mistrz Konrad żywie, nie będzie z tego nic, bo on mądrzejszy od innych i wie, że nie byłaby to zwyczajna wojna, ale jakoby rzecz: „twoja albo moja śmierć!”. I do tego on, znając moc królewską, nie dopuści.

— Ba! A jeśli król pierwszy wojnę wypowie? — pytali sąsiedzi.

Lecz Maćko kręcił głową:

— Widzicie... z bliska ja się wszystkiemu przypatrowałem i niejednom potrafił wymiarować. Żeby to był król z naszego dawnego rodu królów od wiek wieków krześcijańskich, toby może i pierwszy na Niemców uderzył. Ale nasz Władysław Jagiełło (nie chcę ja mu czci umknąć, bo zacny to pan, którego niech Bóg w zdrowiu zachowa), nimeśmy go królem sobie obrali, był wielkim księciem litewskim i poganinem<sup>1403</sup>; krześcijaństwo dopiero co przyjął, a Niemce szczerzą po świecie, że dusza jeszcze w nim pogańska. Przeto okrutnie mu nie przystoi pierwszemu wojnę wypowiadać i krześcijańską krew rozlewać. Dla której przyczyny i Witoldowi w pomoc nie rusza, chociaż go ręce śwędzą, bo i to wiem, że nienawidzi on jak trądu Krzyżaków.

Takimi mowami jednał sobie Maćko sławę bystrego człowieka, którego każdą rzecz potrafi jako na stole położyć. W Krześni też otaczano go co niedziela po mszy kołem, a potem weszło w zwyczaj, że ten lub ów sąsiad zasłyszawszy jaką nowinę, zajeżdżał do

<sup>1402</sup>w podległości (daw.) — obok. [przypis edytorski]

<sup>1403</sup>był (...) poganinem — w rzeczywistości Jagiełło został w dzieciństwie ochrzczony w obrządku wschodnim. [przypis edytorski]

Miłość

Król, Religia, Wojna

Mądrość



Bogdańca, aby mu stary rycerz wytłumaczył to, czego zwykła szlachecka głowa nie mogła wyrozumieć. On zaś przyjmował wszystkich gościnnie i rozmawiał z każdym ochotnie, a gdy wreszcie gość nagawędziwszy się, odjeżdżał, nie zapominał nigdy pożegnać go takimi słowami:

— Dziwujecie się mojemu dowcipowi, ale gdy Zbyszko, da Bóg, wróci, to się dopiero będziecie dziwowali! Jemu choćby w radzie królewskiej zasiadać, taka juha<sup>1404</sup> łebska i przemyślna.

I wmawiając to gościom, wmówił na końcu sobie, a zarazem i Jagience. Zbyszko wydał się im obojgu z dala jak król w bajce. Gdy nadeszła wiosna, zaledwie już mogli usiedzieć w domu. Wróciły jaskółki, wróciły bociany; chruściele<sup>1405</sup> poczęły grać po łąkach, przepiórki odzywać się w zielonej runi<sup>1406</sup> zbóż; przyleciały przedtem jeszcze klucze żurawi i cyranek<sup>1407</sup> — Zbyszko jeden nie wracał. Ale gdy ptactwo ciągnęło z południa, natomiast z północy wichur skrzydlaty przynosił wieści o wojnie. Mówiono o bitwach i licznych potyczkach, w których obrotny Witold to zwyciężał, to bywał pobity; mówiono o wielkich klęskach, które poczyniła między Niemcami zima i choroby. Aż wreszcie rozgrzmiała po całym kraju radosna wieść, że dzielny Kiejstutowicz wziął Nowe Kowno, czyli Gotteswerder, zburzył je, kamienia na kamieniu i belki na belce nie zostawił. Maćko, gdy doszła go ta wiadomość, siadł na koń i w te pędy poleciał do Zgorzelic.

— Ha! — mówił. — Znanie mi to strony, bośmy tam ze Zbyszkiem i ze Skirwoiłą tego Krzyżaków potłukli. Tam wzięt<sup>1408</sup> był przez nas i ten poćciwy de Lorche. Oto Bóg dał, że się Niemiaszkom noga powinęła, bo to kasztel był do zdobycia trudny.

Jagienka jednak słyszała już była przed przybyciem Maćka o zburzeniu Nowego Kowna, a nawet słyszała i coś więcej, a mianowicie, że Witold rozpoczął układy o pokój. Ta ostatnia nowina więcej ją nawet obeszła od poprzedniej, albowiem gdyby pokój stanął, Zbyszko, jeśli został żywym — musiałby powrócić do domu.

Więc zaczęła wypytывать starego rycerza, czy to jest rzecz podobna do wiary, a ów zastanowiwszy się, tak jej odrzekł:

— Z Witoldem wszystko jest do wiary podobne, gdyż to człek całkiem od innych różny i pewnie ze wszystkich panów krześcijańskich najchytrzejszy. Gdy mu trzeba ku Rusi swe panowanie rozszerzyć, to pokój z Niemcami czyni, a jak tam dokaże tego, co przed się zamierzył, znów Niemców za łeb! Nie mogą sobie oni dać rady ani z nim, ani z tą nieszczęsną Żmudzią. Raz on ją im odbiera, drugi raz oddaje; i nie tylko oddaje, ale sam im ją pomaga pognać. Są tacy między nami, ba, i na Litwie, którzy mu to za złe mają, że on ze krwią tego nieszczęsnego plemienia tak igra... I ja bym, szczerze mówiąc, za hańbę mu to miał, żeby to nie był Witold... Bo wždy tak sobie czasem myślę: a nuże on ode mnie mądrzejszy i wie, co robi? Jakoż słyszałem od samego Skirwoiły, że on z tej krainy wrzód wiecznie ciekący w krzyżackim ciele uczynił, aby zaś nigdy do zdrowia nie przyszło... Matki na Żmudzi zawdy będą rodziły, a krwi nie szkoda, byle nie szła na marne.

— Mnie tam jeno o to chodzi, czy Zbyszko wróci.

— Jak Bóg pozwoli, ale bogdajęś to, dziewczyno, w szczęśliwą godzinę powiedziała!

Jednakże upłynęło jeszcze kilka miesięcy. Doszły wieści, że pokój istotnie stanął; zboża stały się płowe, ciężarne kłosami, poletki<sup>1409</sup> zasiane gryką dobrze już zrudziały, a o Zbyszku nie było i słychu.

Na koniec po pierwszych sprzętach<sup>1410</sup> nie mógł już wytrzymać Maćko i zapowiedział, że wyruszy do Spychowa, wieści tam, jako w bliższych stronach Litwy, zasięgnąć i zarazem gospodarstwo Czecha obejrzeć.

Jagienka napała się z nim jechać, ale on jej nie chciał brać, więc poczęły się między nimi o to spory, które trwały przez cały tydzień. Aż gdy pewnego wieczoru sprzeczali się tak z sobą w Zgorzelicach, wpadł jak wichur na dworski podwórzec chłopak z Bogdańca

<sup>1404</sup>juha — krew, tu: obelga użyta w pieścizotliwy sposób. [przypis edytorski]

<sup>1405</sup>chruścieł — ptak wodny. [przypis edytorski]

<sup>1406</sup>runi — wschodząca roślinność. [przypis edytorski]

<sup>1407</sup>cyranek — ptak wodny podobny do kaczki. [przypis edytorski]

<sup>1408</sup>wzięt — dziś popr.: wzięty. [przypis edytorski]

<sup>1409</sup>poletki — dziś popr.: poletka. [przypis edytorski]

<sup>1410</sup>sprzęty — tu: żniwa. [przypis edytorski]

boso, oklep<sup>1411</sup>, bez kapelusza na płowej czuprynie i zakrzyknął im przed przyłapem, na którym właśnie siedzieli:

— Młody pan wrócił!

Zbyszko wrócił istotnie, ale jakiś dziwny: nie tylko wychudły, spalony wichrem po-  
lnym, wynędzniały, lecz zarazem obojętny i małowówny. Czech, który przyjechał wraz  
z żoną z nim razem — gadał za niego i za siebie. Mówił tedy, że wyprawa widocznie  
się jednak udała młodemu rycerzowi, gdyż w Spychowie złożył na trumnach Danusi i jej  
matki cały pęk rycerskich pawich i strusich pióropuszków. Wrócił też ze zdobycznymi  
końmi i zbrojami, z których dwie były nadzwyczaj cenne, choć okrutnie razami miecza  
i toporu pocięte. Maćko płonął z ciekawości, aby się o wszystkim dokładnie z ust bra-  
tanka wywieść, ale ów machał tylko ręką i odpowiadał półsłówkami — a trzeciego  
dnia zachorzał i musiał się położyć. Pokazało się, że miał zbity lewy bok i złamane dwa  
żebra, które, źle złożone, „przeszkadzały” mu w chodzeniu i oddychaniu. Odezwały się  
także i te dolegliwości, na które swego czasu cierpiał po wypadku z turem — a do zupeł-  
nego poderwania jego sił przyczyniła się i droga ze Spychowa. Nie było to wszystko samo  
w sobie groźne, bo chłop był młody i niepożyty jak dąb — ale na razie ogarnęło go jakieś  
niezmierne znużenie, jak gdyby wszystkie trudy, które poniósł, teraz dopiero zaczynały  
mu chodzić po kościach. Z początku myślał Maćko, że po dwóch albo trzech dniach od-  
poczynku w łożu wszystko minie, a tymczasem stało się przeciwnie. Nie pomogły żadne  
smarowania ni okadzania ziółmi, które owczarz miejscowy zalecił, ni odvary przysyłane  
przez Jagienkę i księdza z Krześni: Zbyszko coraz był słabszy, coraz bardziej znużon i —  
coraz smutniejszy.

— Co ci jest? Może byś czego chciał? — wypytywał go stary rycerz.

— Niczego nie chcę i wszystko mi za jedno — odpowiadał Zbyszko.

I w ten sposób upływał dzień za dniem. Jagienka, wpadłszy na myśl, że to może jest  
coś więcej niżeli zwyczajna krzypota — i że młodzian ma chyba jakąś tajemnicę, która  
go gnębi, poczęła namawiać Maćka, aby raz jeszcze popróbował wypytać, co by to mogło  
być.

Maćko zgodził się bez wahania, jednak pomyślawszy chwilę, rzekł:

— A nużby tobie chętniej powiedział niż mnie? Bo lubić, to on cię przecie lubi, a to  
też widziałem, że jak się tam kręcisz po izbie, to za tobą oczyma wodzi.

— Widzieliście? — zapytała Jagienka.

— Kiedy powiedziałem, że wodzi, to wodzi. A jak cię długo nie ma, to raz po raz na  
drzwi spogląda. Pytaj go ty.

I na razie na tym stanęło. Jednakże pokazało się, że Jagienka nie umie i nie śmie.  
Dopiero gdy przyszło co do czego, zrozumiała, że trzeba by jej mówić o Danusi i o miłości  
Zbyszka do nieboszczki — a te rzeczy nie chciały się jej przez usta przecisnąć.

— Wyście chytrzejsi — rzekła do Maćka — i rozum a doświadczenie macie lepsze;  
wy mówcie, ja nie mogę.

Więc Maćko rad nierad<sup>1412</sup> zabrał się do rzeczy — i pewnego ranka, gdy Zbyszko  
zdawał się być nieco rzeświejszy niż zwykle, taką rozpoczął z nim rozmowę:

— Powiadał mi Hława, żeś godną wiązkę czubów pawich w Spychowie w podziemiu  
położył.

A ów, nie odejmując oczu od pułapu, na który, leżąc na wznak, patrzył — skinął tylko  
głową na znak potwierdzenia.

— No! Pan Jezus ci poszczęścił, bo przecie i na wojnie łatwiej o ciurów<sup>1413</sup> niż o ry-  
cerzy... Knechtów możesz nabić, ilu chcesz, ale za rycerzem trzeba się nieraz dobrze oglą-  
dać... Także ci to sami leżli pod miecz?

— Pozywałem różnych kilkakrotnie na udeptaną ziemię, a raz otoczyli mnie w bitwie  
— odrzekł leniwie młodzian.

— I zdobycznego dobra dość przywiozłeś...

— W części kniaź Witold obdarzył.

— Zawsze taki hojny?

Zbyszko skinął znów głową, widocznie nie mając ochoty do dalszej rozmowy.

<sup>1411</sup>oklep — jadąc na koniu bez siodła. [przypis edytorski]

<sup>1412</sup>rad nierad — niezależnie od chęci. [przypis edytorski]

<sup>1413</sup>ciura (daw.) — pacholek wojskowy. [przypis edytorski]

Ale Maćko nie dał za wygraną i postanowił przystąpić do rzeczy.  
— Powiedz mi tak szczerze — rzekł. — Jakiś już tam owymi czubami truchelkę nakrył, musiało ci okrutnie ulżyć?... Człek zawsze rad, gdy ślub spełni... Radeś był? Co?

Krew, Zbawienie

Zbyszko oderwał swe smutne oczy od pułapu, zwrócił je na Maćka — i odpowiedział jakby z pewnym zdziwieniem:

— Nie.

— Nie? Bójże się Boga! Bo ja myślałem, że jak tam te dusze w niebie ucieszysz, to już będzie i koniec.

A młodzian zamknął na chwilę oczy jakby w zamyśleniu i wreszcie odrzekł:

— Na nic widać zbawionym duszom krew ludzka.

Nastąpiła chwila milczenia.

— To po cóżeś na tę wojnę chodził? — zapytał wreszcie Maćko.

— Po co? — odpowiedział z pewnym ożywieniem Zbyszko. — Ja sam myślałem, że mi ulży! Sam myślałem, że i Danuskę, i siebie ucieszę... A potem aże mi się dziwno uczyniło. Wyszedłem z podziemia od tych truchel i tak samo mi ciężko było jako i przedtem. Tak ci to widać jest, że na nic zbawionym duszom krew ludzka.

— Musiał ci to ktoś powiedzieć, bo sam byś tego nie wymyślił.

— Samem wymiarkowałem z tego właśnie, że mi się świat nie wydał weselszy potem niż przedtem. Książd Kaleb tylko mi przytwierdził<sup>1414</sup>.

— Zabić nieprzyjaciela na wojnie nie grzech to żaden, ba! nawet chwalebna rzecz, a to przecie nieprzyjaciele naszego plemienia.

— Ja też za grzech sobie tego nie mam i nie żałuję ich.

— Jeno ciągle Danuski?

— Jużci: jako ją sobie wspomnę, to mi żal. Ale woła boska! Lepiej jej na dworcu niebieskim i już ja do tego przywykłem.

— To czemu się ze smutków nie otrząchniesz? Czego ci trzeba?

— Bo ja wiem...

— Wypocznienia ci nie brak, a krzypota cię rychło popuści. Idź do łaźni, wykąp się, wypij łagiewkę miodu na poty, i hoc!

Smutek

— No i co?

— I wnet wesołości nabierzesz.

— A skąd jej wezmę? W sobie ci jej nie znajdę, a pożyczyć mi jej: nikt nie pożyczy.

— Bo ty coś skrywasz!

Zbyszko ruszył ramionami.

— Nie mam wesołości, ale nie mam też nic do skrywania.

I powiedział to tak szczerze, że Maćko od razu przestał posądzać go o tajemnicę, a natomiast począł się gładzić szeroką dłonią po siwej czuprynie, jak miał zwyczaj czynić zawsze, gdy się nad czymś mocno namyślał, i w końcu rzekł:

— To ja ci powiem, czego ci brak: tobie się jedno skończyło, a drugie się jeszcze nie zaczęło, rozumiesz?

— Nie bardzo, ale może być! — odpowiedział młodzianek.

I przeciągnął się jak człowiek, którego ogarnia sen.

Maćko jednak był pewien, że odgadł prawdziwą przyczynę i rad był ogromnie, albowiem przestał się zupełnie niepokoić. Nabrał też jeszcze większej niż przedtem ufności do własnego rozumu i mówił sobie w duchu: „Nie dziwować się ludziom, że się mnie radzą!”

Duma

A gdy po owej rozmowie wieczorem tego samego dnia przyjechała Jagienka — jeszcze nim zdążyła zsiąść z konia, powiedział jej, że wie, czego Zbyszkowi brakuje.

Więc dziewczyna zsunęła się w jednej chwili z siodła i nuż dopytywać:

— No co? Czego? Mówcie!

— Ty właśnie masz dla niego lekarstwo.

— Ja? Jakie?

<sup>1414</sup>przyczwierdzić (daw.) — przytaknąć, potwierdzić. [przypis edytorski]

A on objął ją wpół i począł szeptać jej coś do ucha, ale niedługo, gdyż po chwili odskoczyła od niego jak oparzona i ukrywszy między czaprakiem<sup>1415</sup> a wysokim siodłem spłonioną twarz, zawołała:

— Idźcie sobie! Nie cierpię was!

— Jak mi Bóg miły, tak prawdę mówię — rzekł, śmiejąc się, Maćko.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Stary Maćko odgadł dobrze, ale tylko w połowie. Zbyszkowi istotnie jedna część życia skończyła się całkowicie. Za każdym wspomnieniem było mu Danusi żal, ale sam przecie powiadał, że lepiej jej musi być na dworcu niebieskim, niż było na książęcym. Żył się już z myślą, że jej na świecie nie ma, przywykł do niej i uważał, że wcale nie mogło być inaczej. Swego czasu w Krakowie podziwiał bardzo na szybach kościelnych wycięte ze szkła i poprawiane w olów postaci różnych świętych panienek — barwne, przeświecające w słońcu, a teraz wyobrażał sobie tak samo Danusię. Widział ją niebieską, przezroczystą, odwróconą bokiem, ze złożonymi rączkami, ze wzniesionymi oczyma i grającą na luteńce, wśród różnych zbawionych bożych skrzypaczek, którzy w niebie grywają Matce Boskiej i Dzieciątku. Nic już w niej nie było ziemskiego, a stała mu się duchem tak czystym i bezcielesnym, że gdy czasem wspominał sobie, jak w leśnym dworcu posługiwała księżnie, śmiała się, rozmawiała, siedała z innymi do stołu — przejmowało go jakby zdziwienie, że to być mogło. Już w czasie wyprawy, przy Witoldzie, gdy sprawy wojenne i bitwy pochłaniały jego uwagę, przestał tęsknić do swojej nieboszeczki, tak jak tęskni mąż do niewiasty, a myślał tylko tak, jak myśli pobożny człowiek o swej patronce. W ten sposób miłość jego, tracąc stopniowo ziemskie pierwiastki, zmieniała się coraz bardziej tylko w słodkie, tak błękitne jak właśnie samo niebo, wspomnienie — i po prostu w cześć nabożną.

Gdyby był człkiem wątłego ciała i głębszej myśli, byłby został mnichem — i w którym życiu klasztornym byłby przechował jak świętość owo niebieskie wspomnienie aż do chwili, w której duch z więzów cielesnych ulata w nieskończone przestworza jak ptak z klatki. Ale jemu ledwie się zaczynał trzeci dziesiątek lat — i sok z surowego wióra w pięści wyciskał, i konia ścisnąwszy udami, mógł tchu pozbawić. Był taki, jakimi byli wówczas powszechnie szlachta i włodykowie — którzy, jeśli nie marli w dzieciństwie lub nie zostawali księżmi — to, nie znając granic ni miary w zapędach cielesnych i sile, albo puszczali się na zbój, rozpustę i pijactwo — albo też, żeniąc się młodo, stawali, gdy wici wyszły na wojnę, z dwudziestu czterema albo i więcej synami do dzików siłą podobnymi.

Ale on nie wiedział, że był taki — tym bardziej że z początku chorzał. Powoli jednak źle ustawione żebra zrosły mu się, tworząc nieznaczną zaledwie z boku wyniosłość, która nie przeszkadzała mu w niczym i którą nie tylko pancierz, ale i zwykła szata mogła całkowicie pokryć. Znużenie mijało. Bujne, płowe włosy obcięte na znak żałoby po Danusi odrosły mu znów do w pół pleców. Wracała mu dawna nadzwyczajna uroda. Gdy kilka lat temu w Krakowie szedł na śmierć z ręki kata, wyglądał jak pacholę z wielkiego rodu — a teraz stał się jeszcze piękniejszy, istny królewicz, podobien<sup>1416</sup> z barków, z piersi, z łędźwi i ramion do olbrzyma, z twarzy zas do dziewicy. Moc i życie kipiało w nim jak war<sup>1417</sup> w garnku — a spotężnione czystością i długim wypoczynkiem chodziło mu po kościach jak płomień<sup>1418</sup>. On, nie wiedząc, co to jest, myślał, że wciąż chorzeje, i wylegiwał się w łóżku, rad, że Maćko i Jagienka strzegą go, pilnują i dogadzają mu we wszystkim. Chwilami wydawało mu się, że mu jest tak dobrze jak w niebie, chwilami — zwłaszcza gdy nie było przy nim Jagienki — że źle, smutno, nieznośnie. Brało go wówczas ziewanie, ciągoty, gorączka, i zapowiadał Maćkowi, że wróciwszy do zdrowia, pójdzie znów na koniec świata, na Niemców, na Tatarów — albo na inną podobną dzicz — byle zbyć<sup>1419</sup> życia, które mu ciąży okrutnie. A Maćko, zamiast sprzeciwić się, kiwał głową, przyświadczał — ale tymczasem posyłał po Jagienkę, za której przyjazdem topniały zaraz w Zbyszku

<sup>1415</sup>czaprak — sukienna podkładka pod siodło, mająca chronić konia przed obtarciami. [przypis edytorski]

<sup>1416</sup>podobien — dziś popr.: podobny. [przypis edytorski]

<sup>1417</sup>war — ukrop, wrzątek. [przypis edytorski]

<sup>1418</sup>płomień — dziś popr.: płomień. [przypis edytorski]

<sup>1419</sup>zbyć (daw.) — pozbyć się. [przypis edytorski]

myśli o nowych wyprawach wojennych, tak jak topnieją śniegi, gdy je wiosenne słońce przygrzeje.

Ona zaś przyjeżdżała skwapliwie i na wezwanie, i z własnej woli — gdyż pokochała Zbyszka ze wszystkich sił duszy i serca. Za czasów swego pobytu na dworze biskupim i ksiązęcym w Płocku widywała rycerzy równie pięknych, równie sławnych z siły i męstwa, którzy nieraz klękali przed nią, ślubując jej wierność do zgonu, ale ten był jej wybrany, tego ukochała w zaraniu lat pierwszą miłością, a nieszczęścia, przez jakie przeszedł, wzmogły tylko jej kochanie do tego stopnia, że był jej miłszym i stokroć droższym nie tylko od wszystkich rycerzy, ale i od wszystkich książąt ziemi. Teraz, gdy przychodząc do zdrowia, stawał się z dnia na dzień cudniejszy, miłość jej zmieniła się niemal w zapamiętanie i przesłoniła jej cały świat.

Nie przyznawała się jednak do niej nawet sama przed sobą, a przed Zbyszkiem tała ją jak najstaranniej z obawy, aby nią znowu nie wzgardził. Nawet z Maćkiem, o ile dawniej skora była do zwierzeń, o tyle teraz stała się ostrożna i milcząca. Mogła ją tylko zdradzić troskliwość, jaką okazywała w pielęgnowaniu Zbyszka, ale i tej troskliwości starała się inne nadać pozory — i w tym celu tak pewnego razu ozwała się przebiegle do Zbyszka:

— Bo, że cię tam trochę doglądam, to jeno z przychylności dla Maćka, a tyś zara co pomyślał? Powiadaj!

I niby poprawiając włosy na czole, przysłoniła twarz dłonią i poczęła pilnie patrzeć na niego przez palce, on zaś, zaskoczony niespodzianym pytaniem, zaczerwienił się jak panna i dopiero po jakimś czasie odrzekł:

— Nicem nie pomyślał. Tyś teraz inna.

Nastąpiła znów chwila milczenia.

— Inna? — zapytała wreszcie dziewczyna jakimś cichym i miękkim głosem. — No! Pewnie, że inna. Ale żebym cię już tak całkiem miała nie cierpieć, to tego też Boże nie daj!

— Bóg ci zapłać i za to — odrzekł Zbyszko.

I odtąd bywało im z sobą dobrze, tylko jakoś niezręcznie i niesporo. Nieraz mogło się zdawać, że oboje o czym innym mówią, a o czym innym myślą. Zapadało między nimi częste milczenie. Zbyszko, wylegując się wciąż w łożu, wodził wedle słów Maćka za nią oczyma, gdziekolwiek się ruszyła, albowiem, chwilami zwłaszcza, wydawała mu się tak cudna, że się jej napatrzeć nie mógł. Bywało także, że spojrzenia ich spotykały się nagle, a wówczas płonily im się twarze i wypukła pierś dziewczyny poruszała się śpiesznym oddechem, i serce jej biło jakby w oczekiwaniu, czy czegoś nie usłyszy, od czego stopnieje i rozplynie się w niej dusza. Ale Zbyszko milczał, albowiem stracił do niej dawną śmiałość i bał się ją spłoszyć niebacznym słowem, i wbrew temu, co widziały jego oczy, sam w siebie wmawiał, że ona mu tylko siostrzaną przychylnością gwoli Maćkowej przyjaźni okazuje.

I raz począł mówić o tym z Maćkiem. Starał się mówić niby spokojnie, a nawet obojętnie, i ani się spostrzegł, jak słowa jego stawały się coraz podobniejsze do skargi przez pół gorzkiej, przez pół smutnej. Maćko zaś wysłuchał cierpliwie wszystkiego, a w końcu rzekł tylko jedno jedyne słowo:

— Głupiś!

I wyszedł z izby.

Ale na oborze począł zacierać ręce i klepać się z wielkiej radości po udach.

„Ha! — mówił sobie. — Wtedy, kiedy ci tanio mogła przyjść, toś i patrzeć na nią nie chciał, najedźże się teraz strachu, kiedyś głupi. Ja będę kasztel stawał, a ty się przez ten czas oblizuj. Nic ci nie rzekę i bielma z oczu nie zdejmę, choćbyś rżał głośniejsz od wszystkich koni w Bogdańcu. Gdzie wióry na zarzewiu<sup>1420</sup> leżą, tam i tak prędzej czy później płomień buchnie, ale ja ci nie będę na zarzewie dmuchał, bo tak myślę, że i nie trzeba”. I nie tylko nie dmuchał, ale się nawet Zbyszkowi sprzeciwiał i drażnił go jako stary przechera, który rad igra z niedoświadczonym młodzieńcem.

Więc razu pewnego, gdy Zbyszko znów mu powtórzył, że chyba na jaką daleką wyprawę pójdzie, aby się nieznośnego żywota pozbyć, rzekł mu:

— Pókiś goło miał pod nosem, tom tobą rządził, ale teraz: twoja wola. Chcesz-li koniecznie swojemu jeno rozumowi dufać i iść, to idź.

<sup>1420</sup>zarzewie — żar. [przypis edytorski]

A Zbyszko aż zerwał się ze zdziwienia i siadł na łożu.  
 — Jak to? To już się nawet i temu nie przeciwicie?  
 — Co mam się przeciwiać? Żal mi tylko okrutnie rodu, który by razem z tobą zaginał, ale i na to może znajdzie się rada.  
 — Jaka rada? — pytał niespokojnie Zbyszko.  
 — Jaka? No! Nie ma co gadać, że roki mi godne są, ale też i mocy w kościach nie brak. Juźci, Jagience patrzyłby się młodszy jakowys chłop, ale żem to jej nieboszczykowi ojcu był przyjacielem, to kto wie...  
 — Byliście jej ojcu przyjacielem — odrzekł Zbyszko — ale dla mnie nigdyście nie mieli życzliwości; nigdy, nigdy!...  
 I przerwał, bo się mu poczęła broda trząść, a Maćko rzekł:  
 — Ba! Skoro koniecznie chcesz ginąć, to cóż mam robić?  
 — Dobrze! Róbcie, co chcecie; ja jeszcze dziś w świat pojedę!  
 — Głupiś! — powtórzył Maćko.  
 I znów wyszedł z izby doglądać chłopów i bogdanieckich, i tych, których pożyczyla ze Zgorzelic i z Moczydołów Jagienka, aby pomagali w kopaniu rowu mającego otaczać kasztel.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Zbyszko nie spełnił wprawdzie swej groźby i nie wyjechał, ale za to po upływie jeszcze tygodnia zdrowie wróciło mu zupełnie i nie mógł już dłużej wylegiwać się w łożu. Maćko powiedział, że wypada im teraz pojechać do Zgorzelic i podziękować Jagience za starunek, więc pewnego dnia, wyprażywszy się dobrze w łaźni, postanowił jechać, nie zwłócząc<sup>1421</sup>. W tym celu kazał wydobyć ze skrzyni piękne szaty, aby nimi zastąpić zwykłą odzież, którą miał na sobie — a następnie zajął się trefieniem włosów. Była to jednak czynność nietatwa i niemala, a to nie tylko z powodu bujności Zbyszkowej czupryny, która z tyłu spadała mu jak grzywa aż za łopatki. Rycerze w życiu codziennym nosili włosy w pątlkach kształtu grzyba, co miało i tę dobrą stronę, że w czasie wypraw hełm daleko mniej ich uwierał, natomiast na rozmaite uroczystości, wesela lub jadąc w odwiedziny do domów, w których były panny, układali je w pięknie poskręcane zwoje, które często smarowano białkiem dla połysku i mocy. Tak to właśnie chciał utrefić się Zbyszko. Ale dwie niewiasty wezwane z czeladnej, nieprzywykłe do takiej roboty, nie umiały sobie dać rady. Wyszłe i wzburzone po łaźni włosy nie chciały się układać i jeżyły się jako źle poszyta strzecha na chałupie. Nie pomogły ani zdobyczne na Fryzach grzebienie, ozdobnie z bawolego rogu wyrobione, ani nawet zgrzebło<sup>1422</sup>, po które jedna z niewiast poszła do stajni. Zbyszko począł się w końcu niecierpliwić i gniewać — gdy wtem do izby wszedł Maćko w towarzystwie Jagienki, która przez ten czas niespodzianie nadjechała.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — rzekła dziewczyna.  
 — Na wieki wieków! — odpowiedział z rozpromienioną twarzą Zbyszko. — O, to dziwne! Bo myśmy właśnie chcieli do Zgorzelic jechać, a tyś tu!  
 I oczy rozbłyły mu radością, bo już tak było, iż ilekroć ją zobaczył, tylekroć czyniło mu się w duszy tak jasno, jakby na wschód słońca patrzył. A Jagienka, ujrawszy zakłopotane baby z grzebieniami w ręku, zgrzebło leżące na ławie wpodle<sup>1423</sup> Zbyszka i jego zwichrzoną czuprynę, poczęła się śmiać.  
 — Ej, wiecha też to, wiecha! — zawołała, ukazując spod koralowych ust cudne, białe zęby. — W konopiach by cię albo w sadzie wiśniowym na strach ptactwu postawić!  
 On zaś zasępił się i rzekł:  
 — Chcieliśmy do Zgorzelic jechać, ale w Zgorzelicach nijak by ci było gościowi uchybiać, a tu możesz sobie ze mnie dworować, ile chcesz, co, wiera, zawsze rada czynisz.  
 — Ja rada to czynię? — zapytała dziewczyna. — Ej, mocny Boże! Toż przyjechałam prosić was na wieczerzę, a śmieję się nie z ciebie, jeno z tych bab, bo żeby tak na mnie, wnet bym tu sobie dała rady.  
 — Nie wskórałabyś i ty!

<sup>1421</sup>nie zwłócząc — dziś popr.: nie zwlekając. [przypis edytorski]

<sup>1422</sup>zgrzebło — grzebień lub szczotka służąca do czyszczenia sierści zwierząt. [przypis edytorski]

<sup>1423</sup>wpodle (daw.) — obok. [przypis edytorski]

— A Jaškowi to niby kto to robi?  
— Jasiek ci brat — odparł Zbyszko.  
— Juźci!...

Lecz tu stary i doświadczony Maćko postanowił im przyjść z pomocą.

— Po domach — rzekł — gdy po postrzyżynach rycerskiemu pacholęciu włosy odrosną, trefi mu je siostra, a w żrałym<sup>1424</sup> wieku żona mężowi; ale obyczaj też jest, że gdy rycerz siostry albo żony nie ma, to mu dziewczki szlacheckie służą, nawet i całkiem obce.

— Zali istotnie jest taki obyczaj? — pytała, spuszczać oczy, Jagienka.

— Nie tylko po dworach, lecz i po zamkach, ba! nawet na królewskim dworze — odrzekł Maćko.

Po czym zwrócił się do niewiast:

— Kiedyście do niczego, ruszajcie do czeladnej!

— To niech mi też grzanej wody przyniosą — dodała dziewczyna.

Maćko wyszedł razem z niewiastami, niby dla pilnowania, aby w posłudze nie było marudztwa — i po chwili wysłał grzaną wodę, którą gdy zostawiono w izbie, młodzi zostali sami. Jagienka zamoczywszy naprzód nałęczkę, poczęła nią zwilżać silnie włosy Zbyszkowe, gdy zaś przestały się wicherzyć i opadły ciężarem wilgoci, wzięła grzebień i siadła na ławie obok młodzianka, aby zabrać się do dalszej roboty.

I tak siedzieli tuż koło siebie, oboje nad miarę śliczni i nad miarę w sobie rozkochani, ale stropieni i milczący. Jagienka poczęła wreszcie układać jego złote włosy, a on czuł bliskość jej wzniesionych ramion, jej dłoni i drżał od stóp do głowy, hamując się całą siłą woli, aby nie porwać jej w pół i nie przycisnąć ze wszystkich sił do piersi.

W ciszy słyhać było przyspieszone ich oddechy.

— Możeś ty chory? — spytała po chwili dziewczyna. — Co ci jest?

— Nic! — odpowiedział młody rycerz.

— Bo jakoś tak dychasz.

— I ty dychasz...

Znów zapadła cisza. Policzki Jagienki zakwitły jak róże, czuła bowiem, że Zbyszko oczu nie odrywa ani na chwilę od jej twarzy, więc chcąc zagadać własne zakłopotanie, znów zapytała:

— Czego się tak patrzysz?

— Wadzi ci?

— Nie wadzi mi, jeno się pytam.

— Jagienka?

— Co...

Zbyszko nabrał w piersi powietrza, westchnął, poruszył ustami, jakby zabierając się do dłuższej rozmowy, ale widać nie starczyło mu jeszcze odwagi, bo tylko powtórzył znów:

— Jagienka?...

— Co?

— Kiedy się boję coś rzec...

— Nie bój się. Prosta ja dziewczyna, nie żaden smok.

— Juźci, nie smok! Ale że stryj Maćko powiada, że cię chce brać!...

— Bo chce, jeno nie dla siebie.

I zamilkła, jakby przestraszona własnymi słowy.

— Przemiliły Bóg! Jaguś moja... A ty co na to, Jaguś? — zawołał Zbyszko.

Lecz jej niespodzianie oczy wezbrały łzami, śliczne usta poczęły drgać, a głos stał się tak cichy, że Zbyszko ledwo mógł dosłyszeć, gdy rzekła:

— Tatus i opat chcieli... a ja... to... ty wiesz!...

Na te słowa radość buchnęła mu w sercu jak nagły płomień — więc porwał dziewczynę na ręce, podniósł ją w górę jak piórko i począł krzyczeć w zapamiętaniu:

— Jaguś! Jaguś! Złoto ty moje! Słonko ty moje, hej! hej!...

Obyczaj, Podstęp

Miłość

Miłość

<sup>1424</sup>żrały — dziś popr.: dojrzały. [przypis edytorski]

I krzyczał tak, że stary Maćko, myśląc, że stało się coś niezwykłego, wpadł do izby. Dopieroż ujrzawszy Jagienkę na ręku Zbyszka, zdumiał się, że wszystko poszło tak niespodziewanie prędko, i zawołał:

— W imię Ojca i Syna! Miarkuj się, chłopie!

A Zbyszko przypadł do niego, postawił Jagienkę na ziemi i oboje chcieli przyklęknąć, lecz nim zdolałi to uczynić, chwycił ich stary w kościste ramiona i przycisnął ze wszystkich sił do piersi.

— Pochwalony! — rzekł. — Wiedziałem ci ja, że tak się skończy, ale mi przecie radość! Boże wam błogosław! Lżej będzie umierać... Dziewucha jako złoto najszczerze... Ku Bogu i ku ludziom! Prawdziwie! A niech ta już będzie, co chce, kiedy się takiej pociechy doczekał... Bóg doświadczył, ale i Bóg pocieszył. Trzeba jechać do Zgorzelic, Jaśkowi oznajmić. Hej, żeby stary Zych żył!... I opat... Ale ja wam za obu strzymam<sup>1425</sup>, bo żeby tak prawdę rzec, to was tak oboje miłuję, że i wstyd gadać.

I chociaż miał w piersi serce hartowne, wzruszył się tak, że aż ścisnęło go coś w gardle, więc ucałował jeszcze Zbyszka, a potem w oba policzki Jagienkę i wykrztusiwszy na wpół przez zły: „Miód, nie dziewczyna!” — poszedł do stajen, aby kazać konie kulbaczyć.

Wyszedszy, zatoczył się z radości na dziewanny, które rosły przed domem, i począł spoglądać na ich ciemne kręgi otoczone żółtymi liśćmi, zupełnie jak człowiek pijany.

— Ano! Kupa was — rzekł — ale da Bóg, Gradów Bogdanieckich będzie więcej.

Po czym, idąc ku stajni, jął znów mrużyć i wyliczać:

— Bogdaniec, opatowe majątki, Spychów, Moczydoły... Bóg zawsze wie, do czego prowadzi, a przyjdzie czas na starego Wilka, to by i Brzozową warto kupić... Łęki godne!...

Tymczasem Jagienka i Zbyszko wyszli także przed dom, radośni, szczęśliwi, jaśniejący jak słońce.

— Stryjku! — ozwał się z dala Zbyszko.

A on zwrócił się ku nim, otworzył ręce i począł wołać jak w lesie:

— Hop! hop! Bywajcie!!!

Chciwość

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

Oni mieszkali w Moczydołach, a stary Maćko wznosił dla nich kasztel w Bogdańcu. Wznosił mozolnie, gdyż chciał, żeby odsady<sup>1426</sup> były z kamienia na wapno, a czatownia z cegły, o którą trudno było w okolicy. W pierwszym roku wykopał rowy, co przyszło dość łatwo, albowiem wzgórze, na którym miał stanąć kasztel, było niegdyś okopane, może za czasów jeszcze pogańskich, należało więc tylko oczyścić owe wądoły z drzew, z głogowych gąszczów, którymi zarosły, a następnie umocnić je i pogłębić należycie. Przy pogłębianiu dokopano się też obfitego źródła, które w niedługim czasie napełniło fosę tak, że musiał Maćko obmyślać ujście dla zbytku<sup>1427</sup> wody. Potem na wale wznosił częstokół i począł zgromadzać budulec na ściany zameczku, bale dębowe tak grube, że trzech chłopów jednego objąć nie mogło, i modrzewiowe, niegnijące ni pod glinianą polepą, ni pod przykryciem z darniny<sup>1428</sup>. Do wznoszenia tych ścian zabrał się pomimo stałej pomocy chłopów ze Zgorzelic i Moczydołów dopiero po roku, ale zabrał się tym gorliwiej dlatego, że przedtem jeszcze Jagienka powiła bliźnięta. Niebo otworzyło się wówczas przed starym rycerzem, miał już bowiem dla kogo pracować, zabiegać, wiedział, że ród Gradów nie zaginie, a Tępa Podkowa nieraz jeszcze ubroczy się we krwi nieprzyjacielskiej.

Bliźniakom dano imiona: Maćko i Jaśko. „Chłopy — mówił stary — na schwał, tak że w całym Królestwie nie masz podobnych, a przecie jeszcze nie wieczór<sup>1429</sup>”. I ukochał ich od razu wielką miłością, a za Jagienką świata nie widział. Kto mu ją w oczy słał, ten wszystko mógł u niego uzyskać. Zazdrośczone jej jednak Zbyszkowi szczerze i sławiono ją nie tylko dla korzyści, gdyż istotnie jaśniała ona w okolicy niby kwiat najpiękniejszy ze wszystkich na łące. Przyniosła mężowi wielkie wiano, ale i więcej niż wiano, bo wielkie kochanie i urodę olśniewającą oczy ludzkie, i dworność, i dzielność taką, że niejedyn rycerz mógłby się nią pochlubić. Nic to dla niej było w kilka dni po położu do gospodarstwa

<sup>1425</sup>strzymać (daw.) — wystarczyć. [przypis edytorski]

<sup>1426</sup>odsada — krawędź wału. [przypis edytorski]

<sup>1427</sup>zbytek (daw.) — nadmiar. [przypis edytorski]

<sup>1428</sup>darnina — warstwa ziemi z korzeniami traw. [przypis edytorski]

<sup>1429</sup>a przecie jeszcze nie wieczór — sens: a przecież rodzice jeszcze są młodzi. [przypis edytorski]



wstać, a potem z mężem na łowy jechać albo konno z Moczydołów do Bogdańca rano skoczyć i przed południem do Jaśka i Maćka wrócić. Kochał ją tedy jak żrenicę oka mąż, kochał stary Maćko, kochała czeladź, dla której ludzkie miała serce, a w Krześni, gdy w niedzielę wchodziła do kościoła, witał ją szmer podziwu i uwielbienia. Dawniejszy jej zalotnik, groźny Cztań z Rogowa, żeniaty z córką kmiecia, który po mszy pijał w karczmie ze starym Wilkiem z Brzozowej, mawiał, podpiswszy, do niego: „Szczerbiliśmy się o nią nieraz z waszym synem i chcieliśmy ją brać, ale to tak właśnie było, jakby po miesiąc na niebie sięgać”.

Inni zaś głośno wyznawali, że takiej chybaby na dworze królewskim w Krakowie szukać. Bo obok bogactwa, urody i dworności czczono także niezmiernie jej czerstwość i siłę. I był o tym jeden głos, że „to dopiero niewiasta, co niedźwiedzia oszczepem w boru podeprze, a orzechów nie potrzebuje gryźć, jeno je na ławie ułoży i z nagłą przysiedzie, to ci się wszystkie tak pokruszą, jakobyś je młyńskim kamieniem przycisnął”. Tak to ją sławiono i w parafialnej Krześni, i po sąsiednich wsiach, a nawet w wojewódzkim Sieradzu. Jednakże, zazdroszcząc Zbyszkowi z Bogdańca, nie dziwiono się zbytecznie, że ją dostał, albowiem opromieniła i jego taka chwała wojenna, jakiej nikt w okolicy nie miał.

Młodzi włodykowie i szlachta prawili sobie wzajem całe opowieści o Niemcach, których „nałuszczył” w bitwach pod wodzą Witolda i w pojedynkę, na udeptanej ziemi. Mówiono, że żaden mu się nigdy nie odjął, że w Malborgu dwunastu ich zbił z koni, między nimi brata mistrzowego Ulryka, wreszcie, że nawet z krakowskimi rycerzami mógł się potykać i że sam niezwykłym Zawisza Czarny był mu życzliwym przyjacielem. Niektórzy nie chcieli tak nadzwyczajnym klechdanom<sup>1430</sup> wierzyć, ale i ci jednak, gdy była mowa o tym, kogo by okolica wybrała, gdyby polskim rycerzom przyszło z obcymi iść w zawód, mówili: „Juźci, Zbyszka” — a potem dopiero włochoatego Cztań z Rogowa i innych miejscowych osilków, którym pod względem ćwiczenia rycerskiego daleko było do młodego dziedzica z Bogdańca.

Wielka zamożność jednała mu na równi ze sławą szacunek ludzki. Bo że za Jagienką wziął Moczydoły i wielką majątność opatową, to nie była jego zasługa, ale on już przedtem miał Spychów wraz z ogromnymi skarbami zgromadzonymi przez Juranda, a prócz tego szeptali sobie ludzie, że samych łupów zdobytych i wziętych przez rycerzy z Bogdańca w zbrojach, koniach, szatach, klejnotach wstrzymałoby na trzy albo i cztery dobre wsie.

Widziano więc w tym jakąś szczególną łaskę Bożą nad rodem Gradów herbu Tępa Podkowa, który do niedawna podupadły, tak że prócz pustego Bogdańca nic nie miał, wyrastał teraz nad wszystkie inne w okolicy. „Przecie w Bogdańcu ostało po pogorzełi<sup>1431</sup> jeno garbate domosko — mówili starzy ludzie — i samą majątność z braku rąk roboczych musieli krewnemu zastawić, a teraz kasztel wznoszą”. I podziw był wielki, ale że towarzyszyło mu ogólne, instynktowne poczucie, że cały naród idzie także niepowstrzymanym pędem do jakiegoś niezmiernego dorobku i że z woli bożej taki ma być właśnie porządek rzeczy, więc nie było w tym podziwie złej zawiści. Owszem, chęłpiła się okolica i była dumna z tych rycerzy z Bogdańca. Byli oni jakby oczywistym dowodem, do czego może doprowadzić szlachcica krzepkie ramię w połączeniu z męznym sercem i rycerską poządliwością przygód. Niejeden też na ich widok uczuwał, że mu za ciasno w domowych pieleszach, w rodzimych granicach, i że o ścianę są we wrażej mocy wielkie bogactwa i obszerne ziemie, które można zdobyć z niezmierną dla siebie i dla Królestwa korzyścią. A ów nadmiar sił, który odczuwały rody, rozpierał całą społeczność, tak iż była jakby war, który musi z naczynia wykypieć. Mogli mądrzy panowie krakowscy i miłujący pokój król hamować te siły do czasu i odkładać wojnę z odwiecznym wrogiem na długie lata, ale żadna moc ludzka nie mogła przytłumić ich całkowicie ani też powstrzymać tego pędu, którym idzie ku wielkości dusza powszechna.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

Dożył Maćko szczęśliwych dni żywota. Nieraz mawiał też sąsiadom, że więcej dostał, niżli sam się spodziewał. Nawet starość ubieliła mu tylko włos na głowie i brodzie, ale nie odjęła mu dotychczas ni sił, ni zdrowia. Serce miał pełne tak wielkiej wesołości, jakiej

<sup>1430</sup>klechdania — klechdy, bajania, przesadzone opowieści. [przypis edytorski]

<sup>1431</sup>pogorzel (daw.) — pożar. [przypis edytorski]

Sława

Dom

Szczęście

dotychczas nie zasnął. Surowa niegdyś jego twarz stawała się coraz więcej dobroduszną, a oczy śmiały się do ludzi dobrym uśmiechem. W duszy miał przekonanie, że wszystko zło skończyło się na zawsze i że żadna troska, żadna niedola nie zmaci już płynących tak spokojnie jak jasny strumień dni życia. Do starości wojować, na starość gospodarzyć i majątność dla „wnęków”<sup>1432</sup> powiększać — to było przecie jego największe pragnienie we wszystkich czasach, a oto właśnie wszystko spełniło mu się doskonale. Gospodarka szła jak z płatka. Bory były znacznie wycięte; wykarczowane i obsiane nowocześnie zieleniły się co wiosna runią zbóż rozmaitych; mnożył się dobytek; na łąkach było czterdzieści świerzop ze źrebięty, które stary szlachcic codziennie oglądał; stada baranów i bydła pasły się po ugorach i zagajach; Bogdaniec zmienił się całkowicie: z opustoszałej osady czynił się wsią ludną i zamożną, a kto się do niego zbliżał, tego oczy olśniewała widna z dala czatownia i niepoczerwiałe jeszcze ściany kasztelu, błyszczące złotem w słońcu, a purpurą zorzy wieczorem.

Więc radował się stary Maćko w sercu dobytkiem, gospodarstwem, pomyslną dolą — i nie przeczył, gdy ludzie mówili, że ma szczęsną rękę. W rok po bliźniętach przyszedł znowu na świat chłopak, którego Jagienka, na cześć i dla pamięci swego rodzica, nazwała Zychem. Maćko przyjął go z radością i nie zatroszczył się tym bynajmniej, że gdyby tak miało pójść dalej, majątność z takim trudem i zabiegliwością zebrana musiałaby się rozdrobnić: „Bo co my mieli? — mówił o tym pewnego razu do Zbyszka. — Nic! A przecie Bóg przysporzył. Stary Pakosz z Sulisławic — mówił — ma jedną wieś, synów zaś dwudziestu dwóch, a przecie głodem nie przymierają. Małoż to jest ziem w Królestwie i na Litwie? Małoż to wsi i zamków w psubrackich rękach Krzyżaków? Hej! Nużby tak Pan Jezus zdarzył! Byłoby godne pomieszczenie, bo tam zamki całe z cegły czerwonej, z których by kasztelanie<sup>1433</sup> nasz miłościwy król poczynił”. I była to rzecz godna uwagi, że Zakon stał przecie na szczycie potęgi, że bogactwy, siłą, mnogością ćwiczonych wojsk wszystkie zachodnie królestwa przewyższał, a jednak ten stary rycerz myślał o zamkach krzyżackich jako o przyszłych siedzibach dla swoich wnuków. I wielu zapewne tak samo myślało w Królestwie Jagiellowym, nie tylko dlatego, że to były stare polskie ziemie, na których Zakon siedział, ale i w poczuciu tej siły potężnej, która burząc się w piersiach narodu, szukała na wszystkie strony ujścia.

W czwartym dopiero roku, licząc od małżeństwa Zbyszka, stanął kasztel, a i to z pomocą rąk roboczych nie tylko miejscowych, zgorzelickich, moczylowskich, lecz i sąsiedzkich, a szczególnie starego Wilka z Brzozowej, który zostawszy sam po śmierci syna na świecie, zaprzyjaźnił się bardzo z Maćkiem, a potem zwrócił serce ku Zbyszkowi i Jagience. Maćko przyozdobił komnaty łupami z wojen, które albo sami ze Zbyszkim wzięli, albo po Jurandzie ze Spychowa odziedziczyli, przydał do tego dostatki po opacie i to, co Jagienka z domu wywiozła, okna szklane sprowadził z Sieradza — i wspaniałą urządził siedzibę. Zbyszko z żoną i dziećmi przeniósł się jednak do kasztelu w piątym dopiero roku, gdy już i inne budowy, jak oto: stajnie, obory, kuchnie i łaźnie, były ukończone, a z nimi razem i sklepy podziemne, które stawiał stary na kamień i wapno, aby zaś trwałość miały niepożyta. Sam się jednak do zamku nie przeniósł; wolał zostać w starym domostwie, a na wszelkie prośby Zbyszka i Jagienki odpowiadał odmownie, w taki sposób myśl swoją wyluszczał:

— Tu już zamrę, gdzie się urodziłem. Widzicie, za czasów wojny Grzymalitów z Nałęczami spalony był do cna Bogdaniec: wszystkie budynki, wszystkie chałupy, ba! płoty nawet, jeno to domosko ostało. Ludzie gadali, że dla zbytku mchów na dachu nie chcieli gorzeć, ale ja myślę, że była w tym i łaska Boża, i wola, abyśmy tu wrócili i stąd znowu wyrosli. Za czasów naszej wojaczki biadałem ja nieraz, że nie mamy do czego wracać, ale nie całkiem słusznie tak mówiłem, bo, wiera, nie było na czym gospodarzyć i co do gęby włożyć, ale było się gdzie schronić. Wy, młodzi, to co innego, ale ja tak już myślę, że skoro nas ów stary dom nie poniechał, to i mnie nie godzi się go poniechać.

I został. Lubił jednakże przychodzić do zameczku, aby oglądać jego wielkość i wspaniałość w porównaniu z dawną siedzibą, a zarazem patrzeć na Zbyszka, na Jagienkę i na „wnęków”. Wszystko, co tam widział, było w znacznej części jego dziełem, a jednak przeje-

<sup>1432</sup>wnęki — (gw.) wnuki. [przypis edytorski]

<sup>1433</sup>kasztelania — jednostka urzędowo-terytorialna w dawnej Polsce. [przypis edytorski]

mowało go ono dumą i podziwem. Przyjeżdżał czasem do niego stary Wilk, aby z nim „ugwarzyć” przy ognisku, albo też on sam odwiedzał go w tymże zamiarze w Brzozowej, więc raz tak mu swoje myśli o tych „nowych porządkach” wypowiedział:

— Wiecie! Aże mi czasem cudnie<sup>1434</sup>. Bo przecie wiadomo, że Zbyszko i w Krakowie na zamku u króla bywał (ba! mało mu tam głowy nie ucięli!), i na Mazowszu, i w Malborgu, i u księcia Janusza, a Jagienka też się w dostatku chowała, ale przecie własnego kasztelu nie mieli... Ale teraz to tak, jakby nigdy inaczej nie żywili<sup>1435</sup>... Chodzą, mówię wam, po komnatach, chodzą, chodzą i służbie rozkazania dają, a jak się zmęczą, to sobie siedną. Prawy kasztelan i kasztelanowa! Mają ci też komnatę, w której z sołtysami, z karbowymi i czeladzią obiadują, a w niej ławy, dla niego i dla niej wyższe — inni zaś poniżej siedzą i czekają, póki państwo godnie mis nie nałożą. Taki to dworski obyczaj, aże człek musi sobie przypominać, że to nie żadne wielkie państwo, jeno bratanek i bratanekowa, którzy po rękę starego boćkają, na pierwszym miejscu sadzą i dobrodziejem swoim zowią.

— Dlatego im też Pan Jezus błogosławi — zauważył stary Wilk.

Za czym, pokiwałszy smutnie głową, popił miodu, poruszył żelaznym pogrzebaczem głównie w ognisku i rzekł:

— A mojemu chłopu się szczęło!

— Wola boska.

— Ano! Starsi, których było pięciu, przedtem dawno polegli. Przecie wiecie. Jużci, wola boska. Ale ten był ze wszystkich najtęższy. Prawy Wilk i gdyby nie był legł, toby dziś też może na własnym zamku siedział.

— Wolej by był Cztan poległ.

— Co ta Cztan! Niby to kamienie młyńskie na plecy bierze, a ile to razy mój go poszczerbił! Mój miał ćwiczenie rycerskie, a Cztana teraz żona po pysku pierze, bo choć jest chłop mocarny, ale głupi.

— Hej! Jako podogonie<sup>1436</sup>! — przyświadczył Maćko.

I przy sposobności wynosił pod niebo nie tylko ćwiczenie rycerskie, ale i rozum Zbyszka, że to w Malborgu z najprzedniejszymi rycerzami gonił na ostre, „a z książęty to ci wam tak będzie gadał, jakoby orzechy gryzł”. Chwalił też jego porządek w głowie i zbiegliwość w gospodarce, bez której prędko by kasztel majątność zjadł. Nie chcąc jednak, by stary Wilk myślał, że coś podobnego im może grozić, kończył przyciszonym głosem:

— No z łaski Boga jest ta wszelkiego dobra dosyć, więcej niż ludzie wiedzą, ale nie mówcie o tym nikomu.

Ludzie jednak domyślali się, wiedzieli i opowiadali sobie aż do przesady, zwłaszcza o bogactwach, które Bogdanieccy mieli wywieźć ze Spychowa. Mówiono, że pieniądze solówkami<sup>1437</sup> wozili z Mazowsza. Wygodził też raz Maćko pożyczką kilkunastu grzywien możliwym dziedzicom na Koniecpolu, co do ostatka utwierdziło okolicę w mniemaniu o jego „skarbach”. Z tego powodu rosło znaczenie Bogdanieckich, rósł szacunek ludzki i gości nigdy nie brakło w kasztelu, na co Maćko, choć oszczędny, nie patrzył niechętnym okiem, gdyż wiedział, że i to sławy rodowi przymnaża.

Szczególnie chrzciny bywały sute, a raz na rok, po Matce Boskiej Zielnej, wyprawił Zbyszko wielką ucztę dla sąsiedztwa, na którą i szlachcianki przyjeżdżały patrzeć na ćwiczenia rycerskie, słuchać gądków i płasać z młodymi rycerzami przy smolnych pochodniach aż do rana. Wtedy to pasł oczy i radował się w sercu stary Maćko widokiem Zbyszka i Jagienki, tak wyglądali dwornie i pańsko. Zbyszko zmężniał, rozrósł się, a choć przy potężnej i wyniosłej postawie twarz jego wydawała się zawsze zbyt młoda, jednakże gdy bujny włos opiął przepaską z purpury, przybrał się w świetną, naszytą srebrnymi i złotymi nićmi szatę, to nie tylko Maćko, ale i niejeden szlachcic mówił sobie w duszy: „Boga mi! Iście książę jakoweś na zamku swoim siedzące”. A przed Jagienką przyklękali nieraz rycerze znający zachodni obyczaj, prosząc, by chciała im być damą ich myśli — taki bił od niej blask zdrowia, młodości, siły i urody. Sam stary dziedzic na Koniecpolu, który był wojewodą sieradzkim, zdumiewał się jej widokiem i z zorzą poranną, a nawet

<sup>1434</sup> *aże mi czasem cudnie* — aż się czasem dziwię. [przypis edytorski]

<sup>1435</sup> *żywili* — dziś popr.: żyli. [przypis edytorski]

<sup>1436</sup> *podogonie* — część ciała zwierzęcia znajdująca się pod ogonem; zad. [przypis edytorski]

<sup>1437</sup> *solówka* — naczynie na sól. [przypis edytorski]

i z słonkiem ją porównywał, „które światu jasność daje, a nawet i stare kości żywszą gorącością napelnia”.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

Jednakże w piątym roku, gdy ład był wprowadzon we wszystkich wsiach nadzwyczajny, gdy nad skończoną czatownią powiewała już od kilku miesięcy chorągiew z Tępą Podkową, a Jagienka powiła szczęśliwie czwartego syna, którego nazwano Jurandem — tak rzekł raz stary Maćko do Zbyszka:

— Wszystko się darzy i gdyby Pan Jezus jeszcze jedno zdarzył szczęśliwie, tobym już umarł spokojny.

A Zbyszko popatrzał nań pytającym wzrokiem i po chwili zapytał:

— Chyba o wojnie z Krzyżaki mówicie, bo czegoż by wam więcej trzeba?

— To ci rzekę, com drzewiej mówił — odpowiedział Maćko — że póki mistrz Konrad żywie, wojny nie będzie.

— Albo to mu wiecznie żyć?

— Ale i mnie niewiecznie i dlatego o czym innym myślę.

— A zaś o czym?

— Ii! Lepiej nie zapowiadać. Tymczasem się do Spychowa wybieram, a może zdarzy się i książąt na Płocku<sup>1438</sup> i na Czersku odwiedzić.

Zbyszka nie zdziwiła zbytnio ta zapowiedź, albowiem w ciągu ostatnich lat kilkakrotnie stary Maćko wyjeżdżał do Spychowa, więc tylko zapytał:

— Długo zabawicie?

— Dłużej niż zwykle, bo się w Płocku zatrzymam.

Jakoż w tydzień później wyjechał Maćko, wzięwszy ze sobą kilka wozów i zbroję dobrą, „na wypadek, jeśli się przyjdzie w szrankach potykać”. Na odjeźdźnym zapowiedział, że może zabawi dłużej niż zwykle, i istotnie zabawił dłużej, gdyż przez pół roku nie było o nim żadnej wieści. Zbyszko począł się niepokoić i w końcu wyprawił umyślnego do Spychowa, ale ów spotkał Maćka za Sieradzem i wrócił z nim razem.

Stary rycerz wrócił jakiś chmurny, ale wypytawszy dokładnie Zbyszka o wszystko, co się podczas jego niebytności działo — i zaspokojon, że wszystko szło dobrze, rozpogodził się nieco — i pierwszy zaczął mówić o swej wyprawie.

— Wiesz, że byłem w Malborgu — rzekł.

— W Malborgu?

— A gdzie by indziej?

Zbyszko popatrzał na niego przez chwilę zdumionymi oczyma, po czym uderzył się nagle dłonią po udzie i rzekł:

— O przebóg! A ja na śmierć zapomniałem.

— Wolno było tobie zapomnieć, boś ślubów dopełnił — odrzekł Maćko — ale nie daj Bóg, abym ja przysiędę i czci własnej umknął<sup>1439</sup>. Nie nasz to obyczaj, aby czegoś zaniechać, i tak mi dopomóż Święty Krzyż, jako póki mi tchu w nozdrzach, póty ja go nie zaniecham.

Tu zmierzchnęła twarz Maćka i stała się tak groźną i zawziętą, jako ją Zbyszko widywał tylko za dawnych lat u Witolda i Skirwoiły, gdy miało przyjść do bitwy z Krzyżaki.

— No i co? — zapytał. — Odjął się wam?

— Nie odejmował się, bo mi nie stanął.

— Czemu zaś?

— Komturem wielkim został.

— Kuno Lichtenstein komturem ci wielkim został?

— Ba! Może go i wielkim mistrzem obiorą. Kto go wie! Ale on już i teraz z książętą się równym być mniema. Mówią, że wszystkim rządzi i że wszystkie sprawy Zakonu na jego głowie, a mistrz nic bez niego nie poczyna. Gdzie ci tam taki stanie na udeptaną ziemię! Na śmiech ludzki jeno zarobisz.

— Wyśmieli was? — zapytał Zbyszko, któremu oczy zaiskrzyły się nagle gniewem.

Przysięga, Zemsta

<sup>1438</sup>książęta na Płocku — Ziemowit IV i Aleksandra Olgierdówna. [przypis edytorski]

<sup>1439</sup>umknąć czci — postąpić niehonorowo. [przypis edytorski]

— Śmiała się księżna Aleksandra w Płocku: „Jedźże, powiada, i cesarza rzymskiego pozwij! Jemu, powiada (niby Lichtensteinowi), jako wiemy, przysłali także pozwy i Zawisza Czarny, i Powala, i Paszko z Biskupic, a też nawet takim mężom nie odkazał nic, bo nie może. Przecie nie serca mu brak, jeno że jest zakonnik i że, prawi, urząd ma tak znaczny i godny, że mu te rzeczy nie w głowie, i że więcej by czci uchybił, przyjmując, niżli na pozwy nie zważając”. Tak ci to pani mówiła.

— A wy co na to?

— Zafrasowałem się okrutnie, ale rzekłem, że i tak do Malborga muszę jechać, abym mógł powiedzieć Bogu i ludziom: „Co było w mojej mocy, tom uczynił”. Prosiłem tedy pani, żeby mi obmyśliła jakoweś poselstwo i dała pisanie do Malborga, bom wiedział, że inaczej głowy z tego wilczego gniazda nie wywiozę. W duszy zaś myślałem tak: „Jużci nie chciał wyznaczyć zroku ni Zawiszy, ni Powale, ni Paszkowi, ale jeśli go wobec samego mistrza, wszystkich komturów i gości za gębę porwę, a wasy i brodę mu wyszarpnę, to przecie stanie”.

— Bogdajże was! — zawołał z zapalem Zbyszko.

— Co? — rzekł stary rycerz. — Na wszystko jest rada, byle głowę na karku mieć. Ale tu Pan Jezus łaski umknął, bom go w Malborgu nie zastał. Powiedzieli, że do Witolda w posły pojechał. Nie wiedziałem wtedy, co czynić: czekać czy za nim jechać. Bałem się rozminąć. Ale żem to z mistrzem i wielkim szatnym miał z dawnych czasów znajomość, spuściłem im się z tajemnicy<sup>1440</sup>, dlaczegom przyjechał, oni zaś zakrzyknęli, że to nie może być.

— Czemu?

— Skroś tej samej przyczyny, którą księżna na Płocku wyluszczyła. I mistrz przy tym rzekł: „Co byś o mnie myślał, gdybym ja każdemu rycerzowi z Mazowsza albo z Polski stawał?”. No i praw był, bo dawno by go już na świecie nie było. Cudowali się tedy obaj z szatnym i opowiedzieli to przy stole na wieczery. To ci mówię, jakobyś w ul dmuchnął! A szczególnie między gośćmi podniosła się ich zaraz kupa: „Kuno — krzyczeli — nie może, ale my możemy!”. Wybrałem sobie tedy trzech, chcąc się z nimi po kolei potykać, ale mistrz po wielkich prośbach pozwolił jeno z jednym, któremu na przezwisko było też Lichtenstein i który był Kuna krewny.

— No i co? — zakrzyknął Zbyszko.

— Ano, jużci przywiozłem jego blachy, ale tak całkiem popękane, że i jednej grzywny nikt za nie nie da.

— Bójcie się Boga, toście przysięgę spełnili!

— Zrazu byłem rad, bom i sam tak mniemał, ale potem pomyślałem: „Nie! To nie to samo!”. I teraz spokoju nijakiego nie mam, bo nuż to nie to samo!

Lecz Zbyszko począł go pocieszać.

— Mnie też znacie, że w takich rzeczach ni sobie, ni komu nie folguję, ale gdyby mi się tak przygodziło, to miałbym dosyć. I to wam mówię, że najwięksi rycerze w Krakowie mi w tym przyświadczą. Sam Zawisza, który na czci rycerskiej najlepiej się zna, pewnie nie co innego powie.

— Tak mówisz? — zapytał Maćko.

— Pomyślcie jeno: oni sławni w całym świecie i pozwalają go też, a żaden nie sprawił nawet i tyle, ile wyście sprawili. Ślubowaliście śmierć Lichtensteinowi: i przecie Lichtensteinaście zarżnęli.

— Może — rzekł stary rycerz.

A Zbyszko, który był ciekaw spraw rycerskich, zapytał:

— Nuże! Mówcie: młody był czy stary? I jakże było: z konia czy piechtą?

— Było mu ze trzydzieści pięć roków i brodę miał do pasa, a było z konia. Bóg mi pomógł, że go kopią zmacałem, ale potem przyszło do mieczów. To tak, mówię ci, krew mu z gęby buchała, że cała broda była jakoby jeden sopel.

— A narzekaliście nieraz, że się starzejecie?

— Bo jak na koń siędę albo się na ziemi rozkraczę, to się trzymam krzepko, ale już na siodło we zbroi całej nie skoczę.

— Ale i Kuno nie byłby się wam odjął.

<sup>1440</sup>spuścić się z tajemnicy — wyznać tajemnicę. [przypis edytorski]

Stary machnął pogardliwie ręką na znak, że z Kunonem byłoby mu poszło znacznie łatwiej — po czym poszli oglądać zdobyczne „blachy”, które Maćko zabrał tylko na znak zwycięstwa, bo zresztą były zbyt potrzaskane i dlatego bez wartości. Tylko nabiodrza i nagolenniki były nietknięte i roboty bardzo przedniej.

— Wołałbym wszelako, żeby to były Kunona — mówił posepnie Maćko.

Na co Zbyszko:

— Wie Pan Bóg, co lepiej. Kunona, jeśli mistrzem zostanie, to już nie dostaniecie, chyba w jakowej wielkiej bitwie.

— Nastawiałem ci ja ucha, co ludzie mówią — odrzekł Maćko. — Jedni tedy gadają, że po Kondracie będzie Kuno, a drudzy, że brat Kondratowy, Ulryk.

— Wołałbym, żeby był Ulryk — rzekł Zbyszko.

— I ja, a wiesz dlaczego? Kuno rozum ma większy i chytrzejszy, a Ulryk zapalczywszy. Prawy to jest rycerz, którego czci dochowuje, ale do wojny z nami aż drży. Powiadają też, że byle mistrzem ostał, to przyjdzie wnet taka nawałnica, jakiej na świecie nie bywało. A na Kondrata omdlałości pono już często przychodzą. Raz go zamroczyło i przy mnie. Hej! Może doczekamy!

— Daj to Bóg! A są jakie nowe niezgody z Królestwem?

— Są stare i nowe. Krzyżak zawsze Krzyżakiem. Chociaż wie, żeś mocniejszy i że z tobą źle zdrzeć, będzie ci na twoje dybał<sup>1441</sup>, bo inaczej nie może.

— Przecie oni myślą, że Zakon od wszystkich królestw mocniejszy.

— Nie wszyscy, ale wielu, a między nimi i Ulryk. Bo w rzeczy, potęga to jest okrutna.

— A pamiętacie, co mówił Zyndram z Maszkowic?

— Pamiętam i tam z każdym rokiem gorzej. Brat brata tak nie przyjmie jako mnie tam przyjmowali, gdy żaden Krzyżak nie poglądał. Mają ich tam wszyscy dosyć.

— To i niedługo czekać!

— Niedługo albo i długo — rzekł Maćko.

I po chwili zastanowienia dodał:

— A tymczasem trza harować i majątności przysparzać, aby godnie w pole wystąpić.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

Mistrz Konrad zmarł jednak dopiero w rok później. Jaśko ze Zgorzelic, brat Jagienki, który pierwszy usłyszał w Sieradzu nowinę i o jego śmierci, i o obiorze Ulryka von Jungingen, pierwszy też przywiózł ją do Bogdańca, w którym zarówno jak i we wszystkich szlacheckich siedzibach wstrząsnęła ona do głębi dusze i serca. „Nastają czasy, jakich dotychczas nie było” — rzekł uroczyście stary Maćko, a Jagienka przyprowadziła w pierwszej chwili wszystkie dzieci przed Zbyszka i sama poczęła się z nim żegnać, jakby już nazajutrz miał wyruszyć. Maćko i Zbyszko wiedzieli wprawdzie, że wojna nie rozpala się tak od razu jak ogień w kominie, niemniej jednak wierzyli, że do niej przyjdzie — i poczęli się gotować. Wybierali konie, zbroje, ćwiczyli w wojennym rzemiośle giermków, czeladź, sołtysów ze wsi, siedzących na niemieckim prawie<sup>1442</sup>, którzy obowiązani byli konno stawać na wyprawę — i uboższą szlachtę — włodyków — ci bowiem radzi garnęli się do możniejszych. A to samo czyniono i po wszystkich innych dworach, wszędy były młoty w kuźniach, wszędy czyszczono stare pancerze, nacierano stopionym w sałhanach<sup>1443</sup> sadłem łuki i rzemienie, kowano wozy, czyniono zapasy spyży w krupach i wędzonym mięsiwie. Przy kościołach w niedziele i święta wypytywano o nowiny i smucono się, gdy przychodziły pokojowe, albowiem każdy nosił w duszy głębokie poczucie, że raz trzeba skończyć z tym strasznym wrogiem całego plemienia i że nie zakwitnie w potęgę, w spokoju i pracy Królestwo, póki, wedle słów świętej Brygidy, nie będą wylamane Krzyżakom zęby i nie będzie odcięta im prawa ręka.

W Krześni zaś szczególnie otaczano Maćka i Zbyszka, jako ludzi znających Zakon i świadomych wojny z Niemcami. Wypytywano się ich nie tylko o nowiny, ale i sposoby na Niemców: jak najlepiej w nich bić, jak mają zwyczaj się potykać, w czym od Polaków

Prorocstwo

<sup>1441</sup>dybać (daw.) — czyhać. [przypis edytorski]

<sup>1442</sup>prawo niemieckie a. prawo magdeburskie — wzorowane na prawie miejskim Magdeburga, mogło dotyczyć także lokacji wsi. [przypis edytorski]

<sup>1443</sup>sałhan (z ukr.) — naczynie na sadło. [przypis edytorski]

wyżsi, a w czym niżsi, i czy po skruszeniu kopii łatwiej na nich zbroje łamać toporem czyli też mieczem.

Oni zaś byli istotnie tych rzeczy świadomi, więc słuchano ich z wielką uwagą, tym bardziej że było przekonanie powszechne, że wojna to nie będzie łatwa, że przyjdzie się mierzyć z najprzedniejszym rycerstwem wszelkich krajów i nie poprzestawać na tym, że tu i owdzie pokolące się nieprzyjaciela, jeno uczynić to rzetelnie do „cna” albo też zgiąć z kretesem. Mówili tedy między sobą włodykowie: „Skoro trzeba, to trzeba — ich śmierć albo nasza”. I pokoleniu, które w duszach nosiło poczucie przyszłej wielkości, nie odbierało to ochoty, owszem! rosła ona z każdą godziną i dniem, ale przystępowano do dzieła bez próżnej chwalby i chełpliwości, a raczej z pewnym zawziętym skupieniem i z gotową na śmierć powagą.

— Nam alibo im śmierć pisana.

Ale tymczasem czas upływał i dłużył się, a wojny nie było. Mówiono wprawdzie o niezgodach między królem Władysławem a Zakonem — i jeszcze o ziemi dobrzyńskiej, choć była już przed laty wykupiona, i o sporach nadgranicznych, o jakowymś Drezdenku, o którym wielu po raz pierwszy w życiu słyszało, a o które spierały się jakoby obie strony, ale wojny nie było. Niektórzy poczęli nawet już wątpić, czy będzie, bo przecie spory bywały zawsze, ale kończyły się zwykle na zjazdach, układach i wysyłaniu poselstw. Owóż rozeszła się wieść, że i teraz przyjechali jacyś posłowie krzyżacy do Krakowa, a polscy udali się do Malboga. Poczęto mówić o pośrednictwie królów czeskiego i węgierskiego, a nawet samego papieża. Z dala od Krakowa nie wiedziano niczego dokładnie, więc rozmaite, a często dziwaczne i niepodobne chodziły między ludźmi słuchy, ale wojny nie było.

W końcu i sam Maćko, za którego pamięci nie mało przeszło grózb wojennych i układów — nie wiedział, co o wszystkim myśleć, i wybrał się do Krakowa, aby jakiejś pewniejszej wieści zasięgnąć. Zabawił tam niedługo, bo szóstego tygodnia był już z powrotem — i wrócił z twarzą wielce wyjaśnioną<sup>1444</sup>. Gdy zaś w Krześni otoczyła go jak zwykle ciekawa nowin szlachta, na liczne pytania odpowiedział im pytaniem:

— A groty u kopij i topory macie wyostrzone?

— Albo co? Nuż! Na rany boskie! Jakie nowiny? Kogoście widzieli? — wołano ze wszystkich stron.

— Kogo widziałem? Zyndrama z Maszkowic! A jakie nowiny? Takie, że pono wraz konie siodłać przyjdzie.

— Przebóg! Jakże to? Powiadajcie!

— A słyszeliście o Drezdenku?

— Juźci, żeśmy słyszeli. Ale zameczek to jakich wiele i ziemi bogdaj tam nie więcej niżli u was w Bogdańcu.

— Marna to wojny przyczyna, co?

— Pewnie, że marna; bywały i większe, a przecie nic potem nie nastąpiło.

— A wiecie, jaką mi przypowieść Zyndram z Maszkowic z przyczyny Drezdenka powiedział?

— Prędeż mówcie, bo nam czapki na łbach zgorzeją!

— Powiedział mi tedy tak: „Szedł ślepy gościńcem i przewalił się przez kamień. Przewalił się, bo był ślepy, ale przecie kamień przyczyną”. Otóż Drezdenko to taki kamień.

— Jakże to? Co? Jeszcze ci Zakon stoi.

— Nie rozumiecie? Tedy wam inaczej tak powiem: gdy naczynie zbyt pełne, to jedna kropla je przeleje.

Więc zapał ogarniał rycerstwo tak wielki, iż Maćko musiał go hamować, bo chcieli zaraz na koń siadać i do Sieradza ciągnąć.

— Bądźcie gotowi — mówił im — ale czekajcie cierpliwie. Juź też i o nas nie zapomną.

Więc trwali w gotowości, ale czekali długo, tak nawet długo, że niektórzy poczęli znów wątpić. Lecz Maćko nie wątpił, bo jako z przylotu ptactwa poznaje się nadejście wiosny, tak on, jako człek doświadczony, umiał z rozmaitych oznak wywnioskować, że zbliża się wojna — i to wielka.

<sup>1444</sup>wyjaśniony — tu: rozjaśniony. [przypis edytorski]

Więc naprzód nakazano łowy we wszystkich borach i puszczech królewskich tak ogromne, jakich najstarsi ludzie nie pamiętali. Zbierano tedy tysiącami osaczników na obławy, na których padały całe stada żubrów, turów, jeleni, dzików i różnej pomniejszej zwierzyny. Lasy dymiły przez całe tygodnie i miesiące, w dymach zaś wędzono solone mięswo, a następnie odsyłano je do miast wojewódzkich, a stamtąd na skład do Płocka. Oczywiście było, że szło o zapasy dla wielkich wojsk. Maćko wiedział dobrze, co o tym myśleć, bo takie same łowy nakazywał przed każdą większą wyprawą na Litwie Witold. Lecz były i inne oznaki. Oto chłopci poczęli całymi gromadami uciekać „spod Niemca” do Królestwa i na Mazowsze<sup>1445</sup>. W okolicę Bogdańca przybywali głównie poddani niemieckich rycerzy ze Śląska, ale wiedziano, że wszędzie dzieje się to samo, a zwłaszcza na Mazowszu. Czech gospodarzący w Spychowie na Mazowszu przysłał stamtąd kilkuset Mazurów, którzy schronili się do niego z Prus. Ludzie ci prosili, by im pozwolono wziąć udział w wojnie „na pieczętę” — albowiem chcieli pomścić się swych krzywd na Krzyżakach, których nienawidzili duszą całą. Powiadali też, że niektóre nadgraniczne wsie w Prusiech prawie zupełnie opustoszały, albowiem kmiecie przenieśli się z żonami i dziećmi do księstw mazowieckich. Krzyżacy wieszali wprawdzie schwytanych zbiegów, ale nieszczęsnego ludu nic już nie mogło powstrzymać i niejeden wołał śmierć od życia pod straszliwym jarzmem niemieckim. Następnie poczęli się roić w całym kraju „dzia-  
dowie” z Prus. Ciągnęli oni wszyscy do Krakowa. Napływali z Gdańska, z Malborka, z Torunia, z dalekiego nawet Królewca, ze wszystkich pruskich miast i ze wszystkich komandorii. Byli między nimi nie tylko dziady, ale klechowcy, organiści, różni słudzy klasztorni, a nawet klerycy i księża. Domyślano się, że znoszą wiadomości o wszystkim, co się dzieje w Prusiech: o przygotowaniach wojennych, o utwierdzaniu zamków, o załogach, o wojskach najemnych i gościach. Jakoż szeptano sobie, że wojewodowie po miastach wojewódzkich, a w Krakowie rajcy królewscy zamykali się z nimi całymi godzinami, słuchając ich i spisując ich wiadomości. Niektórzy wracali chyłkiem do Prus, a potem znowu zjawiali się w Królestwie. Dochodziły wieści z Krakowa, że król i panowie rada wiedzą przez nich o każdym kroku Krzyżaków.

Szpieg

Przeciwnie działo się w Malborku. Pewien duchowny, zbiegły z tej stolicy, zatrzymał się u dziedziców Koniecpola i opowiadał im, że mistrz Ulryk i inni Krzyżacy nie troszczą się o wieści z Polski i że pewni są, iż jednym zamachem zawojują i obalą na wieki wieków całe Królestwo, „tak, aby ślad po nim nie został”. Powtarzał przy tym słowa mistrza wypowiedziane na uczcie w Malborku: „Im ich więcej będzie, tym bardziej kozuchy w Prusiech potanieją”. Gotowali się więc do wojny w radości i upojeniu, dufni we własną siłę i pomoc, którą im wszystkie, najdalej nawet królestwa nadeślą.

Wróg

Lecz mimo tych wszystkich wojennych oznak, przygotowań i zabiegów, wojna nie przychodziła tak prędko, jak sobie ludzie życzyli. Młodemu dziedzicowi z Bogdańca „cniło się” już także w domu. Wszystko było od dawna gotowe, dusza rwała się w nim do sławy i do boju, przeto ciężki mu był każdy dzień zwłoki — i często czynił o to wymówki stryjcowi, tak jakby wojna lub pokój od niego zależały.

— Boście obiecywali na pewno, że będzie — mówił — a tu nic i nic!

Na to zaś Maćko:

— Mądryś, ale nie bardzo! A to nie widzisz, co się dzieje?

— A jak się król w ostatniej godzinie zgodzi? Mówią, że nie chce wojny.

— Bo nie chce, ale któż jak nie on zakrzyknał: „Chybabym nie był królem, gdybym Drezdenko zabrać pozwolił”, a Drezdenko Niemce jak wzięli, tak i dotychczas dzierżą. Ba! Król nie chce rozlewu krwi chrześcijańskiej, ale panowie rada, którzy rozum mają bystry, czując większą moc polską, przypierają Niemców do ściany; i to ci jeno rzekę, że gdyby nie było Drezdenka, toby się znalazło co innego.

Król

— Bo jako słyszałem, to jeszcze mistrz Kondrat zabrał Drezdenko, a on się przecie króla bał.

— Bał się, gdyż lepiej od innych przeznał potęgę polską, ale chciwości zakonnej i on nie umiał pohamować. W Krakowie mówili mi tak: stary von Ost, dziedzic Drezdenka,

<sup>1445</sup>*Mazowsze* — Mazowsze było wówczas samodzielnym organizmem politycznym, rządzonym przez książąt z dynastii Piastów. [przypis edytorski]



w czasie gdy Krzyżacy zabierały Nową Marchię<sup>1446</sup>, pokłonił się jako hołdownik królowi, gdyż to ziemia była od wieków polska, więc chciał do Królestwa należeć. Ale zaprosili ci go Krzyżacy do Malborga, spili winem i uzyskali od niego zapis. Wtedy to zbrakło już do ostatka królowi cierpliwości.

— Wiera, że mogło mu zbraknąć — zawołał Zbyszko.

Lecz Maćko rzekł:

— Ale to tak jest, jako Zyndram z Maszkowic powiadał: Drezdenko to jeno kamień, przez który się ślepy przewalił.

— Gdyby zaś Niemce oddali Drezdenko, to co będzie?

— To znajdzie się inny kamień. Ale nie odda ci Krzyżak tego, co raz połknął, chyba mu brzuch rozplataś<sup>1447</sup>, co daj Bóg, abyśmy prędko uczynili.

— Nie! — zawołał pokrzepiony na duchu Zbyszko. — Kondrat może by oddał, Ulryk nie odda. Prawy to rycerz, na którym skazy nijakiej nie masz, ale okrutnie zapalczywy.

Tak to oni ze sobą rozmawiali, a tymczasem zdarzenia staczały się, jakby kamienie potracone na stromych ścieżkach górskich nogą przechodnia, z coraz większym pędem ku przepaści.

Nagle rozegrzmiała po całym kraju wiadomość, że Krzyżacy napadli i zgrabili staropolski, zastawiony johannitom<sup>1448</sup> Santok<sup>1449</sup>. Nowy mistrz Ulryk, który, gdy posłowie polscy przybyli, aby mu złożyć życzenia z powodu jego wyboru, wyjechał umyślnie z Malborga i który od pierwszej chwili swych rządów nakazał, by w stosunkach z królem i Polską miasto<sup>1450</sup> łaciny używać języka niemieckiego — pokazał wreszcie, kim jest. Krakowscy panowie, którzy po cichu pchali do wojny, zrozumieli, że on do niej pcha głośno i nie tylko głośno, ale na oślep i z takim zuchwałstwem, jakiego względem polskiego narodu nie dopuszczali się nigdy mistrzowie nawet wówczas, gdy ich potęga była w istocie większą, a Królestwa mniejszą niż ninie.

Jednakże mniej zapalczywi a przebieglejsi od Ulryka dostojnicy Zakonu, którzy znali Witolda, starali się go sobie zjednać darami i pochlebstwami tak przechodzącymi wszelką miarę, iż podobnych trzeba było chyba szukać w tych czasach, gdy cesarom rzymskim wznoszono za życia świątynie i ołtarze. „Dwóch jest dobrodziejów Zakonu — mówili posłowie krzyżacy, bijąc czołem temu namiestnikowi Jagielly — pierwszy Bóg, a drugi Witold; przeto jest święte każde życzenie i każde słowo Witolda dla Krzyżaków”. I błagali go o rozjemstwo w sprawie o Drezdenko w tej myśli, że gdy jako podległy królowi podejmie się sądzić swego zwierzchnika, tym samym go obrazi — i dobre ich stosunki przerwą się, jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na czas dłuższy. Lecz że panowie rada wiedzieli o wszystkim, co się w Malborgu dzieje i zamierza, przeto król wybrał także Witolda na rozjemcę.

I pożałował Zakon wyboru. Dostojnicy krzyżacy, którym zdawało się, że znają wielkiego księcia, znali go nie dość jeszcze, albowiem Witold nie tylko przysądził Drezdenko Polakom, lecz wiedząc zarazem i odgadując, na czym się sprawa skończyć musi — podniósł znów Żmujdź i coraz groźniejsze ukazując Zakonowi oblicze, jął ją wspomagać ludźmi, orężem i zbożem z żywnych ziem polskich nadsyłanym.

Co gdy się stało, wszyscy po wszystkich ziemiach olbrzymiego państwa zrozumieli, że wybiła stanowcza godzina. Jakoż wybiła.

Raz w Bogdańcu, gdy stary Maćko, Zbyszko i Jagienka siedzieli przed bramą kasztelu, zażywając cudnej pogody i ciepła — zjawił się nagle na spienionym koniu nieznanego człowieka, osadził go przed bramą, cisnął coś na kształt wieńca splecionego z łozy i wierzby pod nogi rycerzy — i krzyknąwszy: „Wici! Wici!” — pomknął dalej.

<sup>1446</sup>*Nowa Marchia* (niem. *Neumark*) — zachodniopomorska prowincja Marchii Brandenburskiej, w latach 1402–1454 znajdowała się pod władzą Krzyżaków. [przypis edytorski]

<sup>1447</sup>*rozplatać* — rozciąć na pół. [przypis edytorski]

<sup>1448</sup>*joannici a. kawalerowie maltańscy* — zakon rycerski wywodzący się od XII-wiecznego nieformalnego bractwa zawiązanego przy szpitalu św. Jana Chrzyciela w Amalfi (Włochy), aktywny zwłaszcza w basenie Morza Śródziemnego, znany z dobrej floty. Terytorium na Malcie stracił dopiero w trakcie wojen napoleońskich. [przypis edytorski]

<sup>1449</sup>*Santok* — gród u ujścia Noteci, obecnie wieś. [przypis edytorski]

<sup>1450</sup>*miasto* (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

A oni zerwali się na równe nogi w wielkim wzruszeniu. Twarz Maćka stała się groźna i uroczysta. Zbyszko skoczył, aby pchnąć giermka z wicią dalej, po czym wrócił z ogniem w żrenicach i zawołał:

— Wojna! Wreszcie Bóg da! Wojna!

— I taka, jakiejśmy przedtem nie widzieli! — dorzucił poważnie Maćko.

Następnie krzyknął na czeladź, która w mig zebrała się wokół państwa:

— Dać w rogi z czatowni na cztery strony świata! A inni niech skoczą na wsie po sołtysów. Konie ze stajen wywieść i wozy zaprzęgać! Duchem!

I głos jego jeszcze nie przegrzmiał, gdy czeladź kopnęła się w różne strony, aby spełnić rozkazy, które nie były trudne, gdyż wszystko z dawna było gotowe: ludzie, wozy, konie, broń, zbroje, zapasy — tylko siadać i jechać!

Lecz przedtem Zbyszko jeszcze zapytał Maćka:

— A wy nie ostaniecie w domu?

— Ja? Co ci w głowie?

— Bo wedle prawa możecie, że to człowiek z was w leciech<sup>1451</sup> podeszły, a byłaby jakowaś opieka nad Jagienką i dziećmi.

— No, to słuchaj: ja do białego włosa czekał na tę godzinę.

I dosyć było spojrzeć na jego zimne, zawzięte oblicze, aby poznać, że na nic wszelka namowa. Zresztą, mimo siódmego krzyżyka, chłop był jeszcze czerstwy jak dąb i ręce łatwo chodziły mu w stawach, a topór w nich aż warczał. Nie mógł już wprawdzie skoczyć w pełnej zbroi bez strzemion na konia, ale i wielu młodych, zwłaszcza między zachodnimi rycerzami, tego uczynić nie mogło. Natomiast ćwiczenie rycerskie posiadał ogromne i bardziej doświadczonego wojownika nie było w całej okolicy.

Jagienka też widocznie nie obawiała się sama zostać, gdyż usłyszawszy słowa męża, wstała i ucałowawszy go w rękę, rzekła:

— Nie frasuj się ty o mnie, miły Zbyszku, bo kasztel jest godny, a i to wiesz, że ja tam niezbyt płochliwa i że ni kusza, ni sulica<sup>1452</sup> mi nie nowina. Nie czas o nas myśleć, gdy trza Królestwo ratować, a nad nami tu Bóg będzie opiekunem.

I nagle oczy jej wezbrały łzami, które stoczyły się w wielkich kroplach po cudnej liliowej twarzy. Więc ukazawszy gromadkę dzieci, tak dalej mówiła wzruszonym, drgającym głosem:

— Hej! Żeby nie one pędraki, póty by ja ci u nóg leżała, póki byś mnie nie wziął na tę wojnę!

— Jaguś! — zawołał Zbyszko, chwytając ją w ramiona.

A ona objęła mu też szyję i jęła powtarzać, tuląc się do niego z całej siły:

— Jeno mi ty wróć, mój złoty, mój jedyny, mój najmilejszy!

— A zaś co dzień dziękuj Bogu, że ci dał taką niewiastę! — dodał grubym głosem Maćko.

I w godzinę później ściągnięto z czatowni chorągiew na znak nieobecności panów. Zbyszko i Maćko zezwolili, aby Jagienka razem z dziećmi odprowadziła ich do Sieradza, więc po obfitym posiłku ruszyli wszyscy razem z ludźmi i całym taborem wozów.

Dzień był jasny, bez wiatru. Bory stały w ciszy nieruchome. Stada na polach i ugorach zażywały także południowego spoczynku, przeżuując paszę powolnie i jakby w zamyśleniu. Jeno z powodu suchości powietrza wznosiły się tu i ówdzie po drogach kłęby złotego kurzu, a nad owymi kłębami płonęły jakby ogniki niezmiernie w słońcu błyszczące. Zbyszko ukazywał je żonie i dzieciom, mówiąc:

— Wiecie, co to się tam tak łyska nad kurzawą? To groty kopij i sulic. Wszędy już widać wici doszły i zewsząd ciągnie naród na Niemca.

Jakoż tak było. Niedaleko za granicą Bogdańca spotkali brata Jagienki, młodego Jaśka ze Zgorzelic, który jako dziedzic dość możny szedł w trzy kopie<sup>1453</sup>, a luda prowadził z sobą dwudziestu.

Wkrótce potem na rozstaju wychyliło się ku nim z tumanów zarosłe oblicze Cztana z Rogowa, który nie był wprawdzie przyjacielem Bogdanieckich, ale teraz krzyknął z dala: „Bywaj na psubraty!” — i skłoniwszy się im życzliwie, pocałował w siwym obłoku dalej.

<sup>1451</sup>w leciech — dziś popr.: w latach. [przypis edytorski]

<sup>1452</sup>sulica — broń drzewcowa o cienkim grocie, używana do przebijania zbroi. [przypis edytorski]

<sup>1453</sup>w trzy kopie — w sile trzech pocztów rycerskich. [przypis edytorski]

Spotkali także i starego Wilka z Brzozowej. Głowa już mu się trzęsła nieco ze starości, ale ciągnął i on, by pomóc śmierć syna, którego mu na Śląsku Niemcy zabili.

I w miarę jak zbliżali się do Sieradza, coraz częstsze były po drogach obłoki kurzawy, a gdy z dala ukazały się już wieże miejskie, cały gościniec roił się od rycerstwa, od sołtysów i od zbrojnych miejskich pacholców, którzy wszyscy ciągnęli na miejsce zbioru. Widząc tedy ów lud rojny, a czerstwy i tęgi, w boju uporny, a na niewygody, słoty, chłody i wszelkie trudy nad wszystkie inne wytrzymały, krzepił się w sercu stary Maćko i pewne wróżył sobie zwycięstwo.

## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

I wojna wybuchła wreszcie, nieobfita z początku w bitwy, ale w pierwszych chwilach niezbyt dla Polaków pomyślna. Nim nadciągnęły siły polskie, zdobyli Krzyżacy Bobrowniki, zrównali z ziemią Złotorję — i znów zajęli nieszczęsną, a z takim trudem niedawno odzyskaną ziemię dobrzyńską. Lecz pośrednictwo czeskie i węgierskie przygasiło na czas burzę wojenną. Nastąpił rozejm, w czasie którego Wacław, król czeski, miał sędzić spory między Polską a Zakonem.

Nie przestano jednak gromadzić wojsk i posuwać ich ku sobie w czasie zimowych i wiosennych miesięcy, gdy zaś przekupiony król czeski wydał wyrok na korzyść Zakonu, wojna musiała wybuchnąć na nowo.

A tymczasem nadeszło lato, a z nim razem nadciągnęły „narody” pod Witoldem. Po przeprawie pod Czerwieńskiem połączyły się oba wojska i chorągwie książąt mazowieckich. Z drugiej strony w obozie pod Świeciem stanęło sto tysięcy zakutych w żelazo Niemców. Chciał król przeprować się przez Drwęcę i pójść krótką drogą ku Malborkowi, lecz gdy przeprawa okazała się niepodobną, zawrócił od Kurzętnika ku Działdowu i po skruszeniu zamku krzyżackiego Dąbrowna<sup>1454</sup>, czyli Gilgenburga, położył się tamże obozem.

Zarówno on, jak i dostojnicy polscy i litewscy wiedzieli, że walna rozprawa musi wkrótce nastąpić, nikt jednak nie sądził, żeby miało przyjść do niej prędzej niż za kilka dni. Przypuszczano, że mistrz, zabieżawszy drogę królowi, zechce dać wypoczynek swym zastępom, aby do śmiertelnej walki stanęły nieutrudzone i świeże. Tymczasem wojska królewskie zatrzymały się na noc w Dąbrownie. Wzięcie tej fortecy, lubo bez rozkazów, a nawet wbrew woli rady wojennej, napełniło otuchą serce króla i Witolda, zamek to bowiem był potężny, oblany jeziorem, o grubych murach i licznej załodze. A jednak rycerstwo polskie wzięło go niemal w mgnieniu oka, z zapalem tak niepohamowanym, że nim cały obóz nadciągnął, już z miasta i zamku pozostały tylko gruzy i zgliszcza, wśród których dzicy wojownicy Witolda i Tatarzy pod Saladysem wycinali ostatki broniących się z rozpaczą niemieckich knechtów.

Pożar jednakże nie trwał długo, gdyż zgasła go krótko wprawdzie trwająca, ale ogromna ulewa. Cała noc z czternastego na piętnasty lipca była dziwnie zmienna i nawałnista. Wicher przypędzał burzę za burzą. Chwilami niebo zdało się całe płonąć od błyskawic i grzmoty roztaczały się ze straszliwym łoskotem między wschodem a zachodem. Częste gromy napełniały zapachem siarki powietrze, to znów szum dżdżu zagłuszał wszystkie inne odgłosy. A potem wiatr rozpędzał chmury i wpośród ich strzępów widać było gwiazdy i jasny, wielki miesiąc. Po północy dopiero uciszyło się nieco, tak że można było przynajmniej ognie rozpałić. Jakoż w tej chwili zabłysły ich tysiące i tysiące w niezmiernym polsko-litewskim obozie. Wojownicy suszyli przy nich przemokłe szaty i śpiewali pieśni bojowe.

Król czuwał również, albowiem w domu położonym na samym skraju obozów, do którego schronił się przed burzą, zasiadała rada wojskowa, przed którą zdawano sprawę ze zdobycia Gilgenburga. Ponieważ w szturmie brała udział chorągiew sieradzka, więc przywódca jej, Jakub z Koniecpola<sup>1455</sup>, wezwany był wraz z innymi do usprawiedliwienia

Burza

<sup>1454</sup>Dąbrowna — obecnie Dąbrówno, wieś w powiecie ostródzkim. [przypis edytorski]

<sup>1455</sup>Jakub z Koniecpola (zm. 1430) — wojewoda sieradzki, starosta kujawski, uczestniczył w radzie królewskiej Władysława Jagiełły. [przypis edytorski]

się, dlatego bez rozkazów dobywali miasta i nie zaniechali szturmowi, chociaż król wysłał dla powstrzymania ich swego podwojskiego<sup>1456</sup> i kilku podręcznych pachółków.

Z tej przyczyny wojewoda, nie będąc pewien, czy nie spotka go nagana albo nawet i kara, zabrał z sobą kilkunastu przedniejszych rycerzy, a między nimi starego Maćka i Zbyszka, jako świadków, że podwojski dotarł do nich dopiero wówczas, gdy byli już na murach zamku i w chwili najzawziętszej bitwy z załogą. A co do tego, że uderzył na zamek: „Trudno — mówił — pytać o wszystko, gdy wojska na kilka mil się rozciągają”. Wysłany będąc w przodku, rozumiał, iż ma powinność kruszyć przeszkody przed wojskiem i bić nieprzyjaciela, gdzie go napotka. Więc wysłuchawszy tych słów król, książę Witold i panowie, którzy w duszy radzi byli temu, co się stało, nie tylko nie przyganili wojewodzie i Sieradzanom ich postępkowi, ale sławili jeszcze ich męstwo, że „tak wartko pożyli<sup>1457</sup> zamek i mężną załogę”. Mogli wówczas Maćko i Zbyszko napatrzeć się największym głowom w Królestwie, bo prócz króla i książąt mazowieckich znajdowali się tam dwaj przywódcy wszystkich zastępów: Witold, który Litwinom, Żmujdzi, Rusinom, Besarabom<sup>1458</sup>, Wołochom<sup>1459</sup> i Tatarom przywoził — i Zyndram z Maszkowic, herbu „tego samego co słońce”, miecznik krakowski, główny sprawca<sup>1460</sup> wojsk polskich, przewyższający wszystkich znajomością spraw wojennych. Oprócz nich byli w tej radzie wielcy wojownicy i statysci: kasztelan krakowski Krystyn z Ostrowa i wojewoda krakowski Jaśko z Tarnowa<sup>1461</sup>, i poznański Sędziwój z Ostroroga<sup>1462</sup>, i sędomiński<sup>1463</sup> Mikołaj z Michałowic, i proboszcz od świętego Floriana, a zarazem podkanclerzy Mikołaj Trąba<sup>1464</sup>, i marszałek Królestwa Zbigniew z Brzezia<sup>1465</sup>, i Piotr Szafraniec<sup>1466</sup>, podkomorzy krakowski, i wreszcie Ziemowit<sup>1467</sup>, syn Ziemowita, księcia na Płocku, jeden między nimi młody, ale dziwnie „do wojny przemyślny”, którego zdanie wysoce sobie sam wielki król cenił.

A w przyległej, obszernej izbie czekali, aby być pod ręką i w razie zapytania radą się przysłużyć, najwięksi rycerze, których sława grzmiąca szeroko w Polsce i za granicą: więc ujrzeni tam Maćko i Zbyszko Zawiszę Czarnego Sulimczyka i jego brata Farureja, i Skarbka Abdanka z Gór, i Dobka z Oleśnicy, który swego czasu dwunastu niemieckich rycerzy w Toruniu na turnieju z siodła wysadził, i olbrzymiego Paszka Złodzieja z Biskupic, i Powalę z Taczewa, który życzliwym im był przyjacielem, i Krzona z Kozichłów, i Marcina z Wrocimowic, który wielką chorągiew całego Królestwa nosił, i Floriana Jelitzyka z Korytnicy, i strasznego w ręcznym spotkaniu Lisa z Targowiska, i Staszka z Charbimowic, który w pełnej zbroi przez dwa rosłe konie mógł przeskoczyć.

Było i wielu innych słynnych rycerzy przedchorągiewnych z rozmaitych ziem i z Mazowsza, których przedchorągiewnymi zwano dlatego, że w pierwszym szeregu stawali do bitwy. Lecz znajomkowie, a szczególnie Powalę, radzi witali Maćka i Zbyszka i zaraz poczęli z nimi o dawnych czasach i przygodach rozmawiać.

— Hej! — mówił do Zbyszka pan z Taczewa. — Jużci ciężkie ty masz z Krzyżaki rachunki, ale tak tuszę, że im teraz za wszystkie czasy zapłacisz.

— Zapłacę choćby krwią, jako i wszyscy zapłacim! — odrzekł Zbyszko.

— A wiesz, że twój Kuno Lichtenstein jest ninie wielkim komturem? — ozwał się Paszko Złodziej z Biskupic.

<sup>1456</sup>podwojski — niższy urzędnik. [przypis edytorski]

<sup>1457</sup>pożyć — tu: zdobyć. [przypis edytorski]

<sup>1458</sup>Besarabia — kraina historyczna między rzekami Dniestrem a Prutem, obecnie pogranicze Moldawii i Ukrainy. [przypis edytorski]

<sup>1459</sup>Wołoszczyzna — kraina historyczna na Nizinie Wołoskiej, na południu dzisiejszej Rumunii. [przypis edytorski]

<sup>1460</sup>sprawca — tu: ten, co „sprawia”, tzn. ustawia szyk bojowy. [przypis edytorski]

<sup>1461</sup>Jan z Tarnowa (1367–1433) — wojewoda krakowski od 1409. [przypis edytorski]

<sup>1462</sup>Sędziwój z Ostroroga (1375–1441) — wojewoda poznański w latach 1406–1441, włączony do sztabu Jagiellów w czasie wojny polsko-krzyżackiej. [przypis edytorski]

<sup>1463</sup>sędomiński — dziś popr.: sandomierski. [przypis edytorski]

<sup>1464</sup>Mikołaj Trąba (ok. 1358–1422) — duchowny i polityk, podkanclerzy koronny w latach 1403–1412, później arcybiskup gnieźnieński i prymas Polski. [przypis edytorski]

<sup>1465</sup>Zbigniew z Brzezia (1360–1425) — marszałek wielki koronny, przez pewien czas również starosta krakowski. [przypis edytorski]

<sup>1466</sup>Piotr Szafraniec (zm. 1437) — w późniejszym okresie wojewoda sandomierski i krakowski. [przypis edytorski]

<sup>1467</sup>Ziemowit V (1389–1442) — książę mazowiecki, dziedziczny lennik Polski. [przypis edytorski]

— Wiem i stryj wiedzą też.  
— Daj mi go Bóg spotkać — przerwał Maćko — bo ja osobną mam z nim sprawę.  
— Ba! Przecie pozywaliśmy go i my — odpowiedział Powala — ale odrzekł, że urząd nie pozwala mu się potykać. No, teraz chyba pozwoli.

Na to zaś Zawisza, który zawsze mówił z powagą wielką, rzekł:

— Tego on będzie, komu go Bóg przeznaczy.

Lecz Zbyszko z samej ciekawości wytoczył zaraz przed sąd Zawiszy sprawę stryjka i zapytał, czy nie zadość się stało ślubowaniu przez to, że Maćko potykał się z krewnym Lichtensteina, który się ofiarował w zastępstwo, i takowego zabił. I wszyscy zakrzyknęli, że zadość. Sam tylko zawzięty Maćko, chociaż ucieszył się z wyroku, rzekł:

— Ba, przecież pewniejszy byłbym zbawienia, gdybym samego Kunona spotkał!

I następnie poczęli mówić o wzięciu Gilgenburga i o przyszłej wielkiej bitwie, której spodziewali się wkrótce, bo przecie nie miał mistrz nic innego do zrobienia, jeno królowi drogę zabiec.

Ale gdy właśnie łamali głowy nad tym, za ile dni spotkanie może nastąpić, zbliżył się ku nim chudy i długi rycerz, przybrany w czerwone sukno, z takąż mycką na głowie i rozłożywszy ręce, rzekł miękkiem, prawie niewieścim głosem:

— Pozdrowienie ci, rycerzu Zbyszku z Bogdańca!

— De Lorche! — zakrzyknął Zbyszko. — Tyś tu?

I chwycił go w objęcia, gdyż wdzięczne pozostało mu o nim wspomnienie, a gdy ucałowali się jakby najbliżsi przyjaciele, począł wypytywać z radością:

— Tyś tu? Po naszej stronie?

— Wielu może geldryjskich rycerzy znajduje się po tamtej stronie — odrzekł de Lorche — ale jam panu memu, księciu Januszowi, służby z Długolasu powinien<sup>1468</sup>.

— Toś ty dziedzicem po starym Mikołaju na Długolesie?

— Tak. Bo po śmierci Mikołaja i syna jego, którego pod Bobrownikami zabit, Długolas przypadł na cudną Jagienkę, a od lat pięciu moją niewiastę i panią.

— Dla Boga! — zawołał Zbyszko. — Powiadaj, jako ci to przyszło?

Lecz de Lorche, powitawszy starego Maćka, rzekł:

— Dawny wasz giermek, Głowacz, powiedział mi, że was tu znajdę, a teraz czeka u mnie w namiocie i nad wieczerną czuwa. Dalekoć to wprawdzie, bo na drugim końcu obozu, ale końmi prędko się przedzie, więc jedźcie ze mną.

Po czym, zwróciwszy się do Powala, którego poznał w dawniejszych czasach w Płocku, dodał:

— I wy, szlachetny panie. Będzie to dla mnie szczęście i honor.

— Dobrze — odparł Powala. — Miło ze znajomymi ugwarzyć, a po drodze jeszcze się obozowi przypatrzym.

Więc wyszli, by się na koń i jechać. Przedtem jednak sługa de Lorchego ponarzucał im na ramiona opończe, które widocznie przywiózł umyślnie.

Ów zbliżywszy się do Zbyszka, pocałował go w rękę i rzekł:

— Pokłon i cześć wam, panie. Jam dawny sługa wasz, ale w ciemności nie możecie mnie rozoznać. Czy pamiętacie Sanderusa?

— Przebóg! — zawołał Zbyszko.

I na chwilę odżyły w nim wspomnienia przeżytych smutków, bólów i dawnej niedoli, tak samo jak parę tygodni temu, gdy po połączeniu się wojsk królewskich z chorągwiemi książąt mazowieckich spotkał po długim niewidzeniu dawnego swego giermka Hławę.

Więc rzekł:

— Sanderus! Hej! Pamiętam i te dawne czasy, i ciebie! Cóżes od onej pory porabiał i gdzieś się obracał? Zali już nie nosisz relikwii?

— Nie, panie. Aż do ostatniej wiosny byłem klechą przy kościele w Długolesie, ale że nieboszczyk ojciec mój wojennym rzemiosłem się zajmował, przeto gdy wojna wybuchła, zaraz mi zbrzydła miedź na kościelnych dzwonach, a zbudziła się chęćka do żelaza i stali.

— Co słyszę! — zawołał Zbyszko, który jakoś nie mógł wyobrazić sobie Sanderusa stawającego z mieczem, rohatyną albo toporem do boju.

Ów zaś rzekł, podając mu strzemię:

<sup>1468</sup> *służby powinien* (daw.) — jest zobowiązany do służby. [przypis edytorski]

— Rok temu z rozkazu biskupa płockiego chodziłem do pruskich krajów, przez co znaczną posługę oddałem, ale to później opowiem, a teraz siadajcie, wasza wielkość, na koń, gdyż ów grabia czeski, którego wołacie Hława, czeka na was z wieczerzą w namiotach pana mego.

Więc Zbyszko siadł na koń i zbliżywszy się do pana de Lorche, jechał w pobok, aby swobodnie z nim rozmawiać, albowiem ciekawy był jego dziejów.

— Okrutniem rad — rzekł — iżeś po naszej stronie, ale mi to dziwne, boś przecie u Krzyżaków służył.

— Służą ci, którzy żołąd biorą — odparł de Lorche — a jam go nie brał. Nie. Jam między Krzyżaków przyjechał w tym jeno celu, aby przygód szukać i pas rycerski pozyskać, który, jak ci wiadomo, z rąk polskiego księcia pozyskałem. I bawiąc długie lata w tych krajach, poznałem, po czyjej stronie słuszność, a gdym się przy tym tu ożenił i osiedlił, jakże mi było przeciw wam stawać? Jam już tutejszy i patrz, jakom się mowy waszej wyuczył. Ba! Swojej już nieco zapomniałem.

— A twoja majątność w Geldrii? Bo jakom słyszał, toś tamtejszemu władcy pokrewny i dziedzic wielu zamków i włości.

— Dziedzictwo moje krewnemu, Fulkonowi de Lorche, ustąpiłem, który mi je splecił. Pięć roków temu byłem w Geldrii i dostatki wielkie stamtąd przywiozłem, za którym się na Mazowszu okupił.

— A jakże się to stało, żeś się z Jagienką z Długolasu ożenił?

— Ach! — odpowiedział de Lorche. — Kto zdoła odgadnąć niewiastę? Dworowała ci ona ze mnie zawsze, aż gdym, mając tego dosyć, oświadczył jej, że do Azji na wojnę z żalu pojedę i już nigdy nie wrócę, rozplakała się niespodzianie i rzekła: „To ja mniszka ostane”. Padłem jej do nóg za te słowa, a we dwie niedziele później biskup płocki pobłogosławił nam w kościele.

— Dzieci zaś macie? — zapytał Zbyszko.

— Po wojnie Jagienka wybiera się do grobu waszej królowej Jadwigi, aby ją o błogosławieństwo uprosić — odrzekł, wdychając, de Lorche.

— Dobrze. Powiadają, że to pewny sposób i że w tych rzeczach nie masz lepszej nad naszą świętą królową orędowniczki. Walne spotkanie nastąpi za kilka dni, a potem będzie spokój.

— Tak.

— Ale Krzyżacy pewnie cię za zdrajcę poczytują.

— Nie! — rzekł de Lorche. — Wiesz, jako czci rycerskiej przestrzegam. Jeździł Sanderus ze zleceniami biskupa płockiego do Malborga, więc posłałem przez niego pismo do mistrza Ulryka, w którym wypowiedziałem mu służbę i wyluszczyłem mu przyczyny, dla których po waszej stronie staję.

— Ha! Sanderus! — zawołał Zbyszko. — Mówił mi, że mu spiż na dzwonach zbrzydł i że do żelaza zbudziła się w nim chęćka, co mi i dziwne, bo zajęćze zawsze miał on serce.

A pan de Lorche począł się śmiać:

— Sanderus tyle ma ze stalą albo z żelazem do czynienia, że mnie i moich giermków goli.

— Tak to? — zapytał rozweselony Zbyszko.

Czas jakiś jechali w milczeniu, po czym de Lorche podniósł oczy ku niebu i rzekł:

— Prosiłem was na wieczerzę, ale nim zajedziem, to chyba będzie śniadanie.

— Miesiąc jeszcze świeci — odparł Zbyszko. — Jedźmy.

Więc zrównawszy się z Maćkiem i Powalą, jechali dalej razem we czwórkę szeroką obozową ulicą, którą wytykano zawsze z rozkazu dowódców między namiotami i ogniskami, aby przejazd był wolny. Chcąc dostać się do stojących na drugim końcu obozu chorągwi mazowieckich, musieli go cały wzdłuż przejechać.

— Jak Polska Polską — ozwał się Maćko — jeszcze takich wojsk nie widziała, bo spłynęły narody ze wszystkich krain ziemi.

— Żaden też inny król takich nie postawi — odpowiedział de Lorche — bo żaden tak potężnym państwem nie władał.

A stary rycerz zwrócił się do Powaly z Taczewa:

— Ile, mówicie, panie, przyszło chorągwi z kniazem Witoldem?

Święty

Śmiech

— Czterdzieście — odrzekł Powąła. — Naszych polskich wraz z Mazurami jest pięćdziesiąt, ale nie tak okryte<sup>1469</sup> jak Witoldowe, bo u niego czasem i kilka tysięcy ludzi pod jednym znakiem służy. Ha! Słyszeliśmy, iż mistrz rzekł, iż to hołota lepsza do żyłek niż do miecza, ale bogdajże w złą godzinę to wymówił, bo tak myślę, że litewskie sulice okrutnie się od krzyżackiej juchy zaczerwienią.

— A ci, wedle których teraz przejeżdżamy, którzy są? — zapytał de Lorche.

— To Tatarzy; przywiódł ich Witoldowy hołdownik<sup>1470</sup>, Saladyn<sup>1471</sup>.

— Dobrzyż do bitwy?

— Litwa umie z nimi wojować i znaczną ich część podbiła, z której przyczyny musieli na tę wojnę przyciągnąć. Ale zachodniemu rycerstwu ciężko z nimi, gdyż oni w ucieczce straszniejsi niż w spotkaniu.

— Przypatrzmy się im bliżej — rzekł de Lorche.

I pojechali ku ogniskom, które otaczali ludzie z nagimi całkiem ramionami, odziani mimo pory letniej w owcze tułuby<sup>1472</sup>, wełną do góry. Większa część ich spała wprost na gołej ziemi albo na mokrej i parującej od żaru słomie, lecz wielu siedziało w kuczki przy płonących stosach; niektórzy skracali sobie godziny nocne, podśpiewując przez nos dzikie pieśni i uderzając do wtóru jednym piszczelem końskim o drugi, co czyniło dziwny i nieprzyjemny loskot; inni mieli małe bębenki lub brzdąkali na naciągniętych cięciwach luków. Inni żarli świeżo wyjęte z ognia, dymiące, a zarazem krwawe kawały mięsiwa, na które dmuchali wzdętymi, sinymi wargami. W ogóle wyglądali tak dziko i złowrogo, że łatwiej ich było wziąć za jakieś okropne stwory leśne niż za ludzi. Dymy ognisk były gryzące od końskiego i baraniego tłuszczu, który w nich topniał, a prócz tego rozchodził się naokół nieznośny swąd przypalanej sierści, przygrzanych tułubów i kcliwa<sup>1473</sup> woń świeżo zdartych skór i krwi. Z drugiej ciemnej strony ulicy, gdzie stały konie, zawiewało ich potem. Szkapę owe, których kilkaset trzymano dla rozjazdów w pobliżu, wygryzłszy trawę spod nóg, gryzły się między sobą, kwicząc przeraźliwie i chrapiąc. Koniuchowie uśmierzali walkę głosem i batami z surowca<sup>1474</sup>.

Niebezpiecznie było zapuszczać się w pojedynkę między nich, gdyż dzicz to była niesłychanie drapieżna. Tuż za nimi stały niewiele mniej dzikie watahy Besarabów, z rogami na głowach, długowłosych Wołochów, noszących miast panczerzy drewniane, malowane deski na piersiach i plecach, z niezgrabnymi wizerunkami upiorów, kościotrupów lub zwierząt; dalej Serby, których uśpiony teraz obóz rozbrzmiewał we dnie w czasie postojów jakby jedna wielka lutnia, tyle w nim było fletni, bałabajek<sup>1475</sup>, multanków<sup>1476</sup> i różnych innych narzędzi muzycznych.

Świeciły ognie, a z nieba wśród chmur, które mocny wiatr rozwiewał, świecił jasny, wielki miesiąc i przy owych blaskach przypatrywali się nasi rycerze obozom. Za Serbami stała nieszczęsna Żmudź. Niemcy wytoczyli z niej potoki krwi, a jednak na każde wezwanie Witolda zrywała się do nowych bojów. I teraz jakby w przecuciu, że niedoła jej skończy się wkrótce raz na zawsze, przyciągnęła tu przejęta duchem tegoż Skirwoiłły, którego samo imię przejmowało Niemców wściekłością i trwogą. Ogniska żmudzkie stykały się wprost z litewskimi, gdyż ten sam był to naród, ten sam obyczaj i mowa.

Lecz przy wjeździe do litewskich obozów posępny obraz uderzył oczy rycerzy. Oto na zbitej z okrągłaków szubienicy zwisały się dwa trupy ludzkie, które wiatr kołysał, huśtał, okręcał i podrzucał z taką siłą, że aż bale szubienicy skrzypiały żałośnie. Chrapnęły na widok trupów i przysiadły nieco na zadach konie, więc rycerze poczęli się żegnać pobożnie, a gdy przejechali, Powąła rzekł:

— Książ Witold był razem z królem, a ja byłem przy królu, gdy przywieziono tych winowajców. Już poprzednio skarżyli się nasi biskupi i panowie, że Litwa zbyt okrutnie wojuje i kościołów nawet nie oszczędza. Więc gdy ich przywieziono (a byli to znaczni

Obcy

Trup

<sup>1469</sup>okryty — tu odnosi się do liczby rycerzy w chorągwi. [przypis edytorski]

<sup>1470</sup>holdownik — lennik. [przypis edytorski]

<sup>1471</sup>Saladyn właśc. *Dżalal ad-Din* (1380–1412) — lennik księcia Witolda, brał udział w bitwie pod Grunwaldem; pod koniec życia na krótko został chanem Złotej Ordy. [przypis edytorski]

<sup>1472</sup>tułub — futro, zwł. owcze. [przypis edytorski]

<sup>1473</sup>ckliwy — tu: mogący spowodować nudności. [przypis edytorski]

<sup>1474</sup>surowiec — niewyprawiona skóra. [przypis edytorski]

<sup>1475</sup>bałabajka a. *bałalajka* — instrument strunowy, mniejszy od gitary. [przypis edytorski]

<sup>1476</sup>multanki — dudy moldawskie, instrument dęty. [przypis edytorski]

ludzie, ale Najświętszy Sakrament nieszczęśnicy pono znieważyli), napęczniał kniaź tak gniewem, że strach było nań spojrzeć, i powiesić im się kazał. To niebożęta sami szubienicę utwierdzić musieli i sami ci się powiesili, a jeszcze jeden drugiego naganiał: „Nuże, przedź, bo kniaź się gorzej rozgniewa!”. I strach padł na wszystkich Tatarów i Litwinów, bo oni nie śmierci, ale księżęcego gniewu się boją.

— Ba, pomnę — rzekł Zbyszko — że gdy onego czasu w Krakowie król rozgniewał się na mnie o Lichtensteina, to młody kniaź Jamont, który był rękodajnym królewskim, też zaraz radził mi się powiesić. I z dobrego serca dawał tę radę, chociaż byłbym go za nią pozwał na udeptaną ziemię, gdyby nie to, że i tak mieli mi, jako wiecie, szyję uciąć.

— Kniaź Jamont nauczył się już rycerskich obyczajów — odrzekł Powąła.

Tak rozmawiając, minęli wielki obóz litewski i trzy świetne pułki ruskie, z których najliczniejszy był smoleński, a wjechali do polskiego obozu. Stało tam pięćdziesiąt chorągwi — jądro i zarazem czoło wszystkich wojsk. Zbroje tu były lepsze, konie ogromniejsze, rycerstwo bardziej ćwiczone, w niczym zachodniemu nieustępujące. Siłą członków ciała, wytrzymałością na głód, zimno i trudy przewyższali nawet ci dziedzice z Wielko- i Małopolski bardziej dbałych o wygodę wojowników z Zachodu. Obyczaj ich był prostszy, pancerze grubiej kowane, ale hart większy, a ich pogardę śmierci i niezmierną w boju uporczywość podziwiali już swego czasu nieraz przybyli z daleka francuscy i angielscy rycerze.

De Lorche, który znał polskie rycerstwo od dawna, tak też mówił:

— Tu cała siła i cała nadzieja. Pamiętam, jako w Malborgu nieraz narzekano, że w bitwie z wami każdą pięćdziesiątą ziemi trzeba rzeką krwi okupić.

— Rzeką też i teraz krew popłynie — odpowiedział Maćko. — Bo i Zakon nigdy dotychczas takiej potęgi nie zebrał.

Na to zaś Powąła:

— Powiadał rycerz Korzbóg, który od króla do mistrza z listami jeździł, iż Krzyżacy mówią, że ni cesarz rzymski, ni żaden król nie ma takiej potęgi i że Zakon mógłby wszystkie królestwa zawojować.

— Ba, przecie nas więcej! — rzekł Zbyszko.

— Tak, ale oni lekko sobie Witoldowe wojsko ważą, że to lud byle jako zbrojny i że się od pierwszego uderzenia skruszy jako gliniany garnek pod młotem. A prawda-li to czy też nieprawda, nie wiem.

— I prawda, i nieprawda! — ozwał się roztropny Maćko. — My ze Zbyszkiem znamy ich, bośmy razem z nimi wojowali. Jużci, zbroja u nich gorsza i chmyzowate<sup>1477</sup> konie, przeto często bywa, że się pod naporem rycerstwa ugną, ale serca mają tak chobre albo i mężniejsze niż Niemce.

— Niezadługo się to pokaże — rzekł Powąła. — Królowi ciągle służy do oczu płyną na myśl, że tyle się krwi chrześcijańskiej rozleje, i do ostatniej chwili rad by sprawiedliwy pokój zawrzeć, ale pycha krzyżacka do tego nie dopuści.

— Jako żywo! Znam ja Krzyżaków i wszyscy ich znamy — przytwierdził Maćko. — Bóg już tam wagi przyładował, na których położy krew naszą i nieprzyjaciół naszego plemienia.

Już byli niedaleko chorągwi mazowieckich, między którymi tkwiły namioty pana de Lorche, gdy wtem na środku „ulicy” spostrzegli sporą gromadę ludzi zbitych w kupę i patrzących na niebo.

— Stójcie tam! Stójcie! — zawołał jakiś głos na środku gromady.

— A kto mówi i co tu robicie? — zapytał Powąła.

— Proboszcz kłobucki. A wy kto?

— Powąła z Taczewa, rycerze z Bogdańca i de Lorche.

— Ach, to wy, panie — rzekł tajemniczym głosem ksiądz proboszcz, zbliżając się do konia Powąły. — Spójrzycie jeno na miesiąc i patrzcie, co się na nim wyrabia. Wróżebna to i cudowna noc!

Więc rycerze podnieśli głowy i poczęli patrzeć na księżyc, który już zbladł i bliski był zachodu.

— Nie mogę nic rozeznąć! — rzekł Powąła. — A wy co widzicie?

<sup>1477</sup>chmyzowaty — (o zwierzęciu) lichi. [przypis edytorski]



— Mnich w kapturze potyka się z królem w koronie! Patrzcie! O tam! W imię Ojca i Syna, i Ducha! O, jakże się okrutnie zmagają... Boże, bądź miłościw nam grzesznym!

Naokół zapadła cisza, bo wszyscy wstrzymali oddech w piersiach.

— Patrzcie, patrzcie! — wołał ksiądz.

— Prawda! Coś ci takiego jest! — rzekł Maćko.

— Prawda! Prawda! — potwierdzili inni.

— Ha! Król obalił mnicha — zakrzyknął nagle proboszcz kłobucki. — Nogę na nim postawił! Pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków!

W tej chwili duża, czarna chmura przykryła księżyc — i noc stała się ciemna — tylko blask ognisk drgał krwawymi pasmami w poprzek drogi.

Rycerze ruszyli dalej, a gdy już odjechali od gromady, Powała spytał:

— Widzieliście co?

— Z początku nic — odpowiedział Maćko — ale potem widziałem wyraźnie i króla, i mnicha.

— I ja.

— I ja.

— Znak boży — ozwał się Powała. — Ha! To już mimo łez naszego króla nic widać z pokoju nie będzie.

— A bitwa będzie taka, jakiej świat nie pamięta — rzekł Maćko.

I jechali dalej w milczeniu, mając serca wezbrane i uroczyście.

Lecz gdy już byli niedaleko namiotu pana de Lorche, zerwał się znów wichur z taką siłą, że w mgnieniu oka porozrzucił ogniska Mazurów.

Powietrze zaroilo się tysiącami głowni, płonących szczypek, skier, a zarazem przesłoniło się kłębam dymu.

— Hej, dmie okrutnie! — mówił Zbyszko, ociągając opończę, którą mu wiatr na głowę zarzucił.

— A w wichurze jakoby jęki i płacz ludzki słycać.

— Świt już niezadługo, ale nikt nie wie, co mu dzień przyniesie — dodał de Lorche.

Wiatr, Świt

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY

Nad ranem wichura nie tylko nie ustała, ale wzmogła się do tego stopnia, że niepodobna było rozpiąć namiotu, w którym król zwykł był od początku wyprawy słuchać codziennie trzech mszy świętych. Przybiegł wreszcie Witold z prośbami i błaganiami, aby nabożeństwo do stosowniejszej pory w zaciszach leśnych odłożyć i nie wstrzymywać pochodu. Jakoż stało się zadość jego życzeniu, bo i nie mogło być inaczej.

O wschodzie słońca ruszyły wojska ławą, a za nimi nieprzejrany tabor wozów. Po godzinie pochodu wiatr uciszył się nieco, tak że można było rozwinąć chorągwie. I wówczas pola, jak okiem sięgnąć, pokryły się niby kwieciami stubarwnym. Żadne oko nie mogło objąć zastępów i tego lasu rozmaitych znaków, pod którymi pułki posuwały się naprzód. Szła więc ziemia krakowska pod czerwoną chorągwią z białym orłem w koronie, była zaś to chorągiew naczelną całego Królestwa, wielki znak dla wszystkich wojsk. Niósł ją Marcin z Wrocimowic, herbu Półkozy, rycerz potężny i w świecie sławny. Za nim szły hufce nadworne, jeden mając nad sobą podwójny krzyż litewski, drugi pod Pogonią<sup>1478</sup>. Zaś pod znakiem świętego Jerzego ciągnął potężny zastęp najemników i ochotników zagranicznych, przeważnie z Czechów i Morawców złożony. Tych wielu stanęło na tę wojnę, bo i cała czterdziesta dziewięta chorągiew była wyłącznie z nich złożona. Lud to był, zwłaszcza w piechocie, która ciągnęła za kopijnikami, dziki, niesforny, ale do bitwy tak zaprawny, a w spotkaniu tak zaciekły, iż wszelkie inne piechoty, gdy się o nich otarły, odskakiwały co prędzej jako pies od jeża. Berdysze, kosy, topory, a szczególnie żelazne cepy stanowiły ich broń, którą władali wprost strasznie. Najmowali się oni każdemu, kto ich płacił, albowiem żywiołem ich jedynym była wojna, grabież i rzeź.

W pobok Morawców i Czechów szło pod swymi znakami szesnaście chorągwi ziem polskich, w tych jedna przemyska, jedna lwowska i jedna halicka, i trzy podolskie, a za

Wiatr, Modlitwa, Wojna

Broń

<sup>1478</sup> *Pogoni* — herb Litwy, przedstawiający rycerza na koniu z wzniesionym mieczem. [przypis edytorski]

nimi piechoty tychże ziem, przeważnie zbrojne w rohatyny i w kosy. Książęta mazowieccy Janusz i Ziemowit wiedli chorągwie dwudziestą pierwszą, drugą i trzecią. Tuż szły biskupie, a potem pańskie w liczbie dwudziestu dwóch. Więc Jaśka z Tarnowa, Jędrka z Tęczyna, Spytka Leliwy i Krzona z Ostrowa, i Mikołaja z Michałowa, i Zbigniewa z Brzezia, i Krzona z Kozichłów, i Kuby na Koniecpolu, i Jaśka Ligęzy, i Kmity, i Zakliki, a oprócz nich rodowa Gryfitów i Bobowskich, i Koźlich Rogów, i różnych innych, którzy w bitwach zbierali się pod wspólnym herbowym godłem i wspólne wykrzykiwali „zawołanie”.

I tak rozkwitła pod nimi ziemia, jak rozkwitają łąki na wiosnę. Szła fala koni, fala ludzi, nad nimi las kopij i z barwnymi „płachetkami” na kształt drobniejszych kwiatów, a z tyłu, w obłokach kurzawy, miejskie i kmiece piechoty. Wiedzieli, że ku bitwie straszliwej idą, ale wiedzieli, że „trzeba”, więc szli z ochotnym sercem.

Na prawym zaś skrzydle płynęły Witoldowe watahy, pod chorągwiami różnej barwy, ale z jednakim wyobrażeniem litewskiej Pogoni. Żaden wzrok nie mógł objąć wszystkich zastępów, ciągnęły się one bowiem wśród pól i lasów na szerokość przeszło mili niemieckiej.

Przed południem przyszedłszy wojska w pobliże wsi Logdau i Tannenberg<sup>1479</sup>, zatrzymały się na krawędzi lasu. Miejsce zdało się dobre na spoczynek i zabezpieczone od wszelkiej niespodzianej napaści, gdyż z lewej strony oblewała je łacha Jeziora Dąbrowskiego, z prawej zaś jezioro Lubeń, przed wojskami zaś otwierała się szeroka na milę przestrzeń polna. W środku owej przestrzeni, wznoszącej się ku zachodowi łagodnie w górę, zieleniły się łąki Grunwaldu, a nieco w dali szarzały słomiane dachy i puste, smutne ugory Tannenberg. Nieprzyjaciela, który by spuszczał się ku lasom z wyniosłości, łatwo było dostrzec, ale nie spodziewano się, aby mógł prędzej niż nazajutrz nastąpić. Zatrzymały się tu wojska tylko na postój, że jednak biegnęły w rzeczach wojny Zyndram z Maszkowic nawet w pochodzie przestrzegał bojowego porządku, więc stanęły tak, aby w każdej chwili mogły być do sprawy gotowe. Z rozkazu wodza wysłano wnet na lekkich a ściągłych koniach gońców hen, przed się, w stronę Grunwaldu i Tannenberg, i dalej, aby zbadali okolicę, a tymczasem dla łączącego nabożeństwa króla ustawiono na wysokim brzegu jeziora Lubeń namiot kapliczny, aby mógł zwykłych mszy wysłuchać.

Jagiello, Witold, książęta mazowieccy i rada wojenna udali się do namiotu. Przed nim zaś zgromadziło się przedniejsze rycerstwo, już to dlatego, aby polecić się Bogu przed dniem stanowczym, już aby na króla popatrzeć. I widziano go, jak szedł w szarej obozowej szacie, z twarzą poważną, na której osiadła wyraźnie ciężka troska. Lata mało zmieniły jego postać i nie pokryły mu zmarszczkami oblicza ani nie ubieliły mu włosów, które i teraz zakładał tak samo prędkim ruchem za uszy, jak wówczas, gdy Zbyszko widział go po raz pierwszy w Krakowie. Ale szedł jakby pochylony pod brzemieniem strasznej odpowiedzialności, która ciążyła na jego ramionach, jak gdyby pogrążony w wielkim smutku. W wojsku mówiono sobie, że król płacze ustawicznie nad tą krwią chrześcijańską, która ma być przelana, i tak było istotnie. Jagiello wzdrygał się przed wojną, zwłaszcza z ludźmi, którzy na płaszczach i chorągwiach krzyż nosili, i z całej duszy pragnął pokoju. Próżno mu panowie polscy, a nawet pośrednicy węgierscy, Ścibor i Gara, wystawiali pychę i dufność krzyżacką, którą przepelnion mistrz Ulryk gotów był cały świat wyzwąć do boju; próżno mu jego własny wysłannik Piotr Korzbóg przysięgał na Krzyż Pański i na swoje ryby herbowe, że Zakon ani chce słyszeć o pokoju i że jedynego komtura gniewskiego, hrabiego von Wende, który do pokoju nakłaniał, inni obrzucili szyderstwami<sup>1480</sup> i obelgami — on jeszcze miał nadzieję, że nieprzyjaciel uzna słuszność jego żądań, pożałuje krwi ludzkiej i sprawiedliwym układem straszliwą waśń zakończy.

Więc i teraz poszedł się modlić o to do kaplicy, gdyż prostą a dobrotliwą duszę jego dręczył ogromny niepokój. Nawiedzał już ongi Jagiello ogniem i żelazem ziemie krzyżackie, ale czynił to jako pogański książę litewski, lecz teraz, gdy jako król polski i chrześcijanin ujrzał płonące sioła, zgłiszczą, krew i łzy, ogarnęła go bojaźń gniewu Bożego, zwłaszcza że to był dopiero początek wojny. Gdyby choć na tym poprzestać! Ale oto dziś, jutro zetrą się narody i ziemia rozmięknie od krwi. Jużci, nieprawy jest ten nieprzyjaciel,

Król

Przywódca, Religia

<sup>1479</sup>Tannenberg — (obecnie Stębark), wieś w pobliżu Grunwaldu. [przypis edytorski]

<sup>1480</sup>szyderstwami — dziś popr.: szyderstwami. [przypis edytorski]

ale jednak krzyże na płaszczach nosi i bronią go tak wielkie i święte relikwie, że myśl cofa się przed nimi przerażona. W całym wojsku myślano przecież o nich z obawą i nie gro-tów, nie mieczów, nie toporów, ale tych świętych szczątków obawiali się głównie Polacy. „Jakoże nam będzie na mistrza ramię podnosić — mówili nieznający trwogi rycerze — gdy na pancerzu u niego relikwiarz<sup>1481</sup>, a w nim i kości święte, i drzewo krzyża Zbawicie-la!”. Witold gorzał wprawdzie wojną, pchał do niej i spieszył się do bitwy, lecz pobożne serce króla truchlało po prostu na wspomnienie tych mocy niebieskich, którymi Zakon osłaniał swą nieprawość.

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY PIERWSZY

Już właśnie ksiądz Bartosz z Kłobucka skończył jedną mszę, a Jarosz, proboszcz kaliski, miał wkrótce wyjść z drugą i król wyszedł przed namiot, aby rozprostować nieco zmęczone klęceniem kolana, gdy na spienionym koniu wpadł jak burza szlachcic Hanko Ostojczyk i nim z siodła zeskoczył, zakrzyknął:

— Niemce, miłościwy panie, idą!

Porwali się na te słowa rycerze, król zmienił się na twarzy, zamilkł przez mgnienie oka, po czym zawołał:

— Pochwalony Jezus Chrystus! Gdzieś ich widział i ile chorągwi?

— Widziałem jedną chorągiew przy Grunwaldzie — odpowiedział zdyszczanym głosem Hanko — ale zza wzgórza kurzawa szła, jakby ich więcej ciągnęło!

— Pochwalony Jezus Chrystus! — powtórzył król.

A wtem Witold, któremu za pierwszym słowem Hanki krew uderzyła do twarzy i oczy poczęły się żarzyć jak węgle — zwrócił się do dworzan i zawołał:

— Odwołać drugą mszę i konia mi!

Król zaś położył mu rękę na ramieniu i rzeki:

— Jedź ty, bracie, a ja ostanę i drugiej mszy wysłucham.

Więc Witold i Zyndram z Maszkowic wskoczyli na konie, lecz właśnie w chwili, gdy zawrócili ku obozom, przyleciał drugi goniec, szlachcic Piotr Oksza z Włostowa, i z dala już począł krzyżeć:

— Niemce! Niemce! Widziałem dwie chorągwie!

— Na koń!!! — ozwały się głosy między dworzany i rycerstwem.

A jeszcze Piotr mówić nie przestał, gdy znów rozległ się tętent i przypadł trzeci goniec, a za nim czwarty, piąty i szósty: wszyscy widzieli chorągwie niemieckie, nadciągające w coraz większej liczbie. Nie było już wcale wątpliwości, że cała armia krzyżacka zastępuje drogę wojskom królewskim.

Rycerze porozjeżdżali się w mgnienu oka do swoich chorągwi. Z królem przy namiocie kaplicznym pozostała tylko garstka dworzan, księży i pacholków. Ale w tej chwili rozległ się dzwonek na znak, że proboszcz kaliski wychodzi z drugą mszą, więc Jagiełło wyciągnął ramiona, złożył pobożnie dłonie i wzniołszy oczy ku niebu, wolnym krokiem udał się do namiotu.

\*

Lecz gdy po skończonej mszy wyszedł znowu przed namiot, mógł już własnymi oczyma przekonać się, że prawdę mówili gońce, gdyż na krańcach wznoszącej się coraz bardziej ku górze, rozległej równiny zaczerniało coś, jak gdyby bór wyrósł nagle na pustych polach, a nad tym borem grała i mieniła się w słońcu tęcza chorągwi. Jeszcze dalej, hen! za Grunwaldem i Tannenbergiem, wznosił się ku niebu olbrzymi obłok kurzawy. Król objął wzrokiem cały ten groźny widnokrąg, po czym zwróciwszy się do księdza podkanclerzego Mikołaja, zapytał:

— Jakiego dziś patrona?

— Dzień Rozesłania Apostołów<sup>1482</sup> — odrzekł ksiądz podkanclerzy.

A król westchnął:

<sup>1481</sup>relikwiarz — ozdoby pojemnik na relikwie, tj. na szczątki świętych. [przypis edytorski]

<sup>1482</sup>dzień Rozesłania Apostołów — 15 lipca. [przypis edytorski]

— Więc dzień Apostołów będzie ostatnim życia dla wielu chrześcijan, którzy się dziś na tym polu zetną.

I wskazał ręką na szeroką, pustą równinę, na której w pośrodku tylko, w połowie drogi do Tannenberg, wznosiło się kilka odwiecznych dębów.

Tymczasem jednak przyprowadzono mu konia, a w oddali ukazało się sześćdziesiąt kopii, które Zyndram z Maszkowic przysłał jako straż osoby królewskiej.

\*

Straż królewskiej przewodził Aleksander, młodszy syn księcia na Płocku, a brat tego Ziemowita, który, szczególną „przemysłnością” do wojny obdarzon, zasiadał w radzie wojskowej. Drugie po nim miejsce trzymał litewski synowiec monarchy, Zygmunt Korybut, młodzian wielkich nadziei i wielkich przeznaczeń, ale niespokojnego ducha. Między rycerstwem najślynniejsi byli: Jaśko Mążyk z Dąbrowy, prawdziwy olbrzym, postawą niemal Paszkowi z Biskupic równy, a siłą niewiele samemu Zawiszy Czarnemu ustępujący, Żóława, baron czeski, drobny i chudy, ale sprawności niezmiernej, słynny na dworze czeskim i węgierskim z pojedynków, w których kilkunastu rycerzy rakuskich rozciągnął, i drugi Czech Sokół, łucznik nad łuczniaki, i Wielkopolanin Bieniasz Wierusz, i Piotr Mediolański, i bojarzyn litewski Sienko z Pohosta, którego ojciec Piotr jednej chorągwi smoleńskiej przywoził, i krewny króla, książę Fieduszko, i książę Jamont, a zresztą sami polscy rycerze, „wybrani z tysięcy”, którzy wszyscy zaprzysięgli do ostatniej krwi króla bronić i od wszelkiej wojennej przygody go osłaniać. Zaś bezpośrednio przy osobie królewskiej znajdował się ksiądz podkanclerzy Mikołaj i sekretarz Zbyszko z Oleśnicy<sup>1483</sup>, młodzieńczyk uczony, biegły w sztuce czytania i w piśmie, ale zarazem siłą do dzika podobny. Nad zbroją pana czuwali trzej giermkowie: Czajka z Nowego Dworu, Mikołaj z Morawicy i Daniłko Rusin, który dzierżył łuk i sajdak<sup>1484</sup> królewski. Dopełniało orszaku kilkunastu dworskich, którzy na ścigłych biegunach<sup>1485</sup> mieli z rozkazami do wojska latać.

Giermkowie przybrali pana w świetną, błyszczącą zbroję, po czym przywieśli mu również „wybranego z tysięcy” cisawego<sup>1486</sup> rumaka, który parskał nozdrzami na dobrą wróżbę spod stalowego naczółka i napelniając rżeniem powietrze, przysiadał nieco jak ptak, który się chce zerwać do lotu. Król, gdy uczuł pod sobą konia, a w ręku kopię, zmienił się nagle. Smutek znikł mu z oblicza, małe, czarne oczy poczęły błyskać, a na twarzy zjawyły się rumieńce; lecz była to chwila tylko, bo gdy ksiądz podkanclerzy począł go żegnać krzyżem, spowaźniał znów i pochylił z pokorą przybraną w srebrzysty hełm głowę.

\*

Tymczasem armia niemiecka, zstępując z wolna z wyniosłej równiny, minęła Grunwald, minęła Tannenberg i zatrzymała się w zupełnym bojowym szyku w połowie pola. Z dołu, z polskiego obozu, widać było doskonale groźną ławę olbrzymich, zakutych w żelazne zbroje koni i rycerzy. Bystrzejsze oczy odróżniały nawet dokładnie, o ile wiatr targający chorągwie na to pozwalał, rozmaite znaki na nich wyszyte, jako: krzyże, orły, gryfy<sup>1487</sup>, miecze, hełmy, baranki, głowy żubrów i niedźwiedzi.

Stary Maćko i Zbyszko, którzy wojując poprzednio z Krzyżakami, znali ich wojska i herby, pokazywali swoim Sieradzanom dwie chorągwie mistrza, w których służył sam kwiat i dobór rycerstwa, i walną chorągiew całego Zakonu, której przewodził Fryderyk von Wallenrod, i potężną świętego Jerzego, z krzyżem czerwonym w polu białym, i wiele innych zakonnych. Nieznane im były jeno znaki różnych gości zagranicznych, których

Wróg

<sup>1483</sup>Zbigniew z Oleśnicy (1389–1455) — biskup krakowski (1423–1455), w 1449 został pierwszym kardynałem polskiego pochodzenia; jego karierę wydatnie przyspieszyło uratowanie życia Władysława Jagiełły podczas bitwy pod Grunwaldem. [przypis edytorski]

<sup>1484</sup>sajdak — kołczan. [przypis edytorski]

<sup>1485</sup>biegun — tu: koń. [przypis edytorski]

<sup>1486</sup>cisawy — o koniu: maści (barwy) czerwono-brunatnej. [przypis edytorski]

<sup>1487</sup>gryf — mityczne zwierzę o ciele lwa, mające głowę i skrzydła orła, często pojawiające się jako element herbów. [przypis edytorski]

tysiące nadciągały ze wszystkich stron świata: z Rakuz<sup>1488</sup>, z Bawarii, ze Szwabii, ze Szwajcarii, ze słynnej z rycerstwa Burgundii, z bogatej Flandrii, ze słonecznej Francji, o której rycerzach opowiadał ongi Maćko, że nawet leżąc już na ziemi, jeszcze waleczne słowa mówią, z zamorskiej Anglii, ojczyzny celnych łuczników, i nawet z dalekiej Hiszpanii, gdzie wśród ustawicznych walk z Saracenami rozkwitło nad wszystkie inne kraje męstwo i honor.

A zaś onej twardej szlachcie spod Sieradza, z Koniecpola, z Krześni, z Bogdańca, z Rogowa i Brzozowej, jak również z innych ziem polskich poczęła burzyć się krew w żyłach na myśl, że za chwilę przyjdzie im się związać<sup>1489</sup> z Niemcami i całym tym świętym rycerstwem. Twarze starszych stały się poważne i surowe, ci bowiem wiedzieli, jak ciężka i okrutna będzie to praca. Atoli serca młodych poczęły skowytac tak właśnie, jak skowyczą trzymane na uwężu psy myśliwe<sup>1490</sup>, gdy z dała dzikiego zwierza ujrzą. Więc niektórzy, ściskając silniej w garściach kopie, rękojeście mieczów i toporzyska, osadzali na zadach konie, jakby do skoku, inni płonili się na twarzach, inni poczęli oddychać szybko, jakby stało im się nagle za ciasno w pancerzach. Doświadczeni jednak wojownicy uspokajali ich, mówiąc: „Nie minie was, a starczy dla każdego, daj Bóg, by nie było nadto”. Lecz Krzyżacy, spoglądając z góry na lesistą nizinę, widzieli na krawędzi boru tylko kilkanaście polskich chorągwi i wcale nie byli pewni, czy to jest cała armia królewska. Wprawdzie na lewo, koło jeziora, widać było także szare gromady wojowników, a w kuszczach błyszczało coś na kształt grotów sulic, to jest lekkich dzid, których używali Litwini. Mógł to być jednak tylko znaczny podjazd polski. Dopiero zbiegowie ze zburzonego Gilgenburga, których kilkunastu sprowadzono przed mistrza, zaświadczyli, iż naprzeciw nich stoją wszystkie wojska polsko-litewskie.

Lecz próżno mówili o ich potędze. Mistrz Ulryk nie chciał im wierzyć, gdyż od początku tej wojny wierzył tylko w to, co było mu na rękę i wróżyło niechybne zwycięstwo. Zwiadów i gońców nie rozsyłał, rozumiejąc, że i bez tego wszystkiego musi przyjść do walnej bitwy, a bitwa owa nie może zakończyć się inaczej, jeno straszliwą klęską nieprzyjaciela. Dufny w siłę, jakiej żaden z mistrzów nie wyprowadził dotąd w pole, lekceważył też przeciwnika, a gdy komtur gniewski, który na swoją rękę czynił wywiady<sup>1491</sup>, przedstawiał mu, że jednak wojska Jagielly są liczniejsze — odpowiadał:

— Jakie tam wojska! Jeny z Polaki przyjdzie się nieco wysilić, a reszta, choćby ich było i najwięcej, posledni<sup>1492</sup> to lud, lepszy do łyżki niż do oręża.

I dążąc wszelkimi siłami do bitwy, zapłonął teraz wielką radością, gdy nagle znalazł się przed nieprzyjacielem i gdy widok walnej chorągwi całego Królestwa, której czerwień spostrzeżono na ciemnym tle boru, nie pozwalał już dłużej wątpić, że tkwi przed nim główna armia.

Ale na stojących pod lasem i w lesie Polaków nijak było Niemcom uderzać, gdyż rycerstwo straszne tylko było w czystym polu, nie lubiło zaś i nie umiało walczyć w gęstwinie drzewnej.

Zebrano się więc na krótką naradę przy boku mistrza, jakim sposobem wywabić z roli nieprzyjaciela.

— Na świętego Jerzego! — zawołał mistrz. — Dwie mile ujechaliśmy, nie spoczywając, i upał doskwiera, a ciała oblewają się nam potem pod zbroją. Nie będziemy tu czekali, póki nieprzyjacielowi nie spodoba się wystąpić w pole.

A na to hrabia Wende, mąż poważny wiekiem i rozumem, rzekł:

— Zaiste, już wysmiewano tutaj moje słowa; i wysmiewali je tacy, którzy bogdaj że umkną z tego pola, na którym ja polegę (i tu spojrzął na Wernera von Tettingen<sup>1493</sup>), ale wždy powiem, co mi sumienie i miłość do Zakonu nakazuje. Nie serca brak Polakom, jeno, jako wiem, król do ostatka spodziewa się wysłanników pokoju.

<sup>1488</sup>Rakuzy (daw.) — Austria. [przypis edytorski]

<sup>1489</sup>związać się — tu: rozpocząć walkę. [przypis edytorski]

<sup>1490</sup>myśliwe — dziś popr.: myśliwskie. [przypis edytorski]

<sup>1491</sup>wywiady — tu: zwiady. [przypis edytorski]

<sup>1492</sup>posledni — gorszy. [przypis edytorski]

<sup>1493</sup>Werner von Tettingen — wielki szpitalnik zakonu krzyżackiego, uciekając spod Grunwaldu, ocalał życie. [przypis edytorski]

Werner von Tettingen nie odrzekł nic, tylko parsknął wzgardliwym śmiechem, ale i mistrzowi niemiłe były słowa Wendego, więc ozwał się:

— Zali czas myśleć teraz o pokoju! Nad inną sprawą mamy radzić.

— Czas zawsze na dzieło Boże — odrzekł von Wende.

Lecz okrutny komtur człuchowski Henryk, który zaprzysiągł, że każe nosić przed sobą dwa nagie miecze, dopóki ich w polskiej krwi nie ubroczy — zwrócił do mistrza swe tłuste, spotniałe oblicze i zakrzyknął z gniewem okrutnym:

— Milsza mi śmierć od hańby! I choćby sam jeden, tymi mieczami na całe wojsko polskie uderzę!

Ulryk zmarszczył nieco brwi.

— Przeciw posłuszeństwu mówisz — rzekł.

A potem do komturów:

— Radźcie jeno o tym, jak nieprzyjaciela z boru wyciągnąć.

Więc różni różnie radzili, aż wreszcie podobało się i komturom, i przedniejszym gościom rycerskim zdanie Gersdorfa, aby wysłać dwóch heroldów do króla z oznajmieniem, że mistrz przysłała mu dwa miecze i wyzywa Polaków na bój śmiertelny, jeśli zaś mało im pola, to ustąpi nieco z wojskiem, aby im go przyczynić<sup>1494</sup>.

\*

Król zjechał właśnie z nadbrzeża jeziora i udał się na lewe skrzydło do polskich chorągwi, gdzie miał pasować całą gromadę rycerzy, gdy nagle dano mu znać, iż dwóch heroldów zjeżdża od krzyżackiego wojska.

Serce Władysława zabiło nadzieją.

— Nuże ze sprawiedliwym pokojem jadą!

— Daj Bóg — odrzekli duchowni.

Król posłał po Witolda, ale ów zajęty już szykowaniem swych wojsk nie mógł przybyć, a tymczasem heroldowie, nie spiesząc się, zbliżali się do obozu.

W jasnym świetle słońca widziano ich doskonale, podjeżdżających na ogromnych, pokrytych kropierzami koniach bojowych; jeden miał na tarczy cesarskiego czarnego orła na złotym polu, drugi, który był heroldem księcia szczecińskiego, gryfa na białym polu. Szeregi rozstąpiły się przed nimi, oni zaś zsiadłszy z koni, stanęli po chwili przed wielkim królem i skłoniwszy nieco głowy dla okazania mu czci, tak odprawili swoje poselstwo:

— Mistrz Ulryk — rzekł pierwszy herold — wzywa twój majestat, panie, i księcia Witolda na bitwę śmiertelną i aby męstwo wasze, którego wam widać brakuje, podniecić, śle wam te dwa nagie miecze.

Pycha

To rzekłszy, złożył miecze u stóp królewskich. Jaśko Mążyk z Dąbrowy wytłumaczył jego słowa królowi, ale ledwie skończył, wysunął się drugi herold z gryfem na tarczy i tak przemówił:

— Mistrz Ulryk kazał wam też oznajmić, panie, iż jeśli skąpo wam pola do bitwy, to się z wojskami wam ustąpi, abyście nie gnuśnieli<sup>1495</sup> w zaroślach.

Broń

Jaśko Mążyk znów przełożył jego słowa i nastąpi cisza, tylko w orszaku królewskim rycerze poczęli zgrzytać z cicha zębami na takie zuchwalstwo i zniewagę.

Ostatnie nadzieje Jagiełły rozwiały się jak dym. Spodziewał się poselstwa zgody i pokoju, a tymczasem było to poselstwo pychy i wojny.

Więc wzniosłszy załzawione oczy do góry, tak odrzekł:

— Mieczów ci u nas dostatek, ale i te przyjmuję jako wróżbę zwycięstwa, którą mi sam Bóg przez wasze ręce zsyła. A pole bitwy On także wyznaczy. Do którego sprawiedliwości ninie się odwołuję, skargę na moją krzywdę i waszą nieprawość a pychę zanosząc, amen.

Omen, Modlitwa

I dwie wielkie łzy spłynęły mu po ogorzałych policzkach.

Tymczasem głosy rycerskie w orszaku poczęły wołać:

— Cofają się Niemce. Dają pole!

Heroldowie odeszli i po chwili widziano ich znowu jadących pod górę na swych ogromnych koniach i błyszczących w świetle słonecznym od jedwabów, które po wierzchu zbroi nosili.

<sup>1494</sup>przyczynić (daw.) — tu: dodać. [przypis edytorski]

<sup>1495</sup>gnuśnieć (daw.) — lenić się, pozostawać w bezczynności. [przypis edytorski]

Wojska polskie wysunęły się z lasu i zarośli w składnym szyku bojowym. W przodku stał hufiec tak zwany „czelny”<sup>1496</sup>, złożony z najstraszniejszych rycerzy, za nim walny<sup>1497</sup> — a za walnym piechoty i lud najemny. Utworzyły się przez to między hufcami dwie długie ulice, po których przelatował Zyndram z Maszkowic i Witold. Ten ostatni bez hełmu na głowie, w świetnej zbroi, podobny do złowrogiej gwiazdy lub do gnanego wichrem płomienia.

Rycerze nabierali tchu w piersi i osadzali się mocniej w siodłach.

Bitwa miała tuż, tuż nastąpić.

\*

Mistrz spoglądał tymczasem na wojska królewskie, które wysuwały się z boru.

Patrzył długo na ich ogrom, na rozpostarte jakby u olbrzymiego ptaka skrzydła, na poruszaną wiatrem tęczę chorągwi i nagle serce mu się ścisnęło jakimś nieznanym, strasznym uczuciem. Może ujrzał oczyma duszy stopy trupów i rzeki krwi. Nie lękając się ludzi, może zląkł się Boga trzymającego już tam na wysokościach niebios szale zwycięstwa...

Po raz pierwszy uczuł, jaką niezmierną odpowiedzialność wziął na swoje ramiona.

Więc twarz mu pobladła, wargi poczęły drżeć, a z oczu puściły się obfite łzy. Komturowie ze zdziwieniem spoglądali na swego wodza.

— Co wam jest, panie? — zapytał hrabia Wende.

— Zaiste stosowna to do łez pora! — ozwał się okrutny Henryk, komtur człuchowski.

A wielki komtur Kuno Lichtenstein wyduł wargi i rzekł:

— Otwarcie naganiam<sup>1498</sup> ci to, mistrzu, bo ci teraz podnosić serca rycerzy, nie zaś osłabiać przystoi. Zaprawdę, nie takiegośmy cię przedtem widywali.

Lecz mistrzowi wbrew wszelkim wysiłkom spływały tak ciągle łzy na czarną brodę, jakby w nim płakał kto inny.

Wreszcie pohamował się nieco i zwróciwszy surowe oczy na komturów, zawołał:

— Do chorągwi!

Więc skoczyli każdy do swojej, bo bardzo potężnie przemówił, a on wyciągnął rękę do giermka i rzekł:

— Daj mi hełm.

\*

Już serca w obu wojskach były jak młoty, ale trąby nie dawały jeszcze znaku do boju.

Nastąpiła cięższa może od samej bitwy chwila oczekiwania. Na polu między Niemcami a armią królewską wznosiło się od strony Tannenberga kilka odwiecznych dębów, na które powłazili chłopci miejscowi, aby patrzeć na zapasy tych wojsk tak olbrzymich, jakich od niepamiętnych czasów świat nie widział. Lecz prócz tej jednej kępy całe to pole było puste, szare, przeraźliwe, do obumarłego stepu podobne. Chodził tylko po nim wiatr, a nad nim unosiła się cicho śmierć. Oczy rycerzy zwracały się mimo woli na tę złowrogą, milczącą równinę. Przelatujące po niebie chmury przesłaniały od czasu do czasu słońce, a wówczas padał na nią mrok śmiertelny.

Wtem wstał wicher. Zaszumił w lesie, oberwał tysiące liści, wypadł na pole, chwycił suche źdźbła traw, wzbil tumany kurzawy i podniósł je w oczy wojsk krzyżackich. W tej również chwili wstrząsnął powietrzem przeraźliwy głos rogów, krzywul, piszczałek i całe skrzydło litewskie zerwało się na kształt niezmiernego stada ptactwa do lotu. Poszli od razu wedle zwyczaju w skok. Konie wyciągnawszy szyje i potuliwszy uszy, rwały ze wszystkich sił przed siebie, jeźdźcy wymachując mieczami i sulicami, lecieli z krzykiem okropnym przeciw lewemu skrzydłu Krzyżaków.

Mistrz właśnie znajdował się przy nim. Wzruszenie jego już przeszło, a z oczu szły mu, zamiast łez, skry. Ujrawszy więc rozpędzoną ćmę litewską, zwrócił się do Frydrycha Wallenroda, który na tej stronie dowodził, i rzekł:

<sup>1496</sup> *hufiec czelny* — w średniowiecznej strategii zgrupowanie uderzające jako pierwsze, aby wprowadzić zamęt w szeregi wroga. [przypis edytorski]

<sup>1497</sup> *hufiec walny* — zasadnicze siły używane w bitwie. [przypis edytorski]

<sup>1498</sup> *naganiać* — ganić, krytykować. [przypis edytorski]

— Witold pierwszy wystąpił. Poczynajcie i wy w imię Boże!  
I skinieniem prawicy ruszył czternaście chorągwi żelaznego rycerstwa.  
— *Gott mit uns!*<sup>1499</sup> — zakrzyknął Wallenrod.

Chorągwie, zniżywszy kopie, poczęły z początku iść krokiem<sup>1500</sup>. Lecz równie jak skała stoczona z góry spadając, coraz większego pędu nabiera, tak i one: z kroku przeszły w rysią, potem w cwał i szły straszne, niepohamowane, jako lawina, która musi zetrzeć i zdruzgotać wszystko przed sobą.

Ziemia jęczała i gięła się pod nimi.

\*

Bitwa miała lada chwila rozciągnąć się i rozpaść na całej linii, więc polskie chorągwie poczęły śpiewać starą bojową pieśń świętego Wojciecha. Sto tysięcy pokrytych żelazem głów i sto tysięcy par oczu podniosło się ku niebu, a ze stu tysięcy piersi wyszedł jeden olbrzymi głos do grzmotu niebieskiego podobny:

Śpiew

Bogurodzica<sup>1501</sup>, dziewica,  
Bogiem<sup>1502</sup> sławiana<sup>1503</sup> Maryja!  
Twego syna gospodzina<sup>1504</sup>,  
Matko zwolena<sup>1505</sup>, Maryja,  
Zyszczy nam, spuści nam...  
Kiryjelejzon!<sup>1506</sup>...

I wraz moc zstąpiła w ich kości, a serca stały się na śmierć gotowe. Była zaś taka niezmierna zwycięska siła w tych głosach i w tej pieśni, jakby naprawdę grzmoty poczęły się roztaczać po niebie. Zadrżały kopie w rękach rycerzy, zadrżały chorągwie i chorągiewki, zadrżało powietrze, zakolebały się gałęzie w boru, a zbudzone echa leśne jęły odzywać się w głębinach i wołać, i jakby powtarzać jeziorom i lęgom, i całej ziemi jak długa i szeroka:

Zyszczy nam. spuści nam.  
Kiryjelejzon!...

A oni śpiewali dalej:

Twego dzieła<sup>1507</sup> krzciciela, bożycze<sup>1508</sup>,  
Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze,  
Słysz modlitwę, jaż<sup>1509</sup> nosimy,  
A dać raczy, jegoż<sup>1510</sup> prosimy,  
A na świecie zbożny pobyt,  
Po żywocie rajski przebyt<sup>1511</sup>.  
Kiryjelejzon!

Echo powtórzyło w odpowiedzi: „Kiryjelejzoon!” — a tymczasem na prawym skrzydle wrzała już bitwa zacięta i zbliżała się ku środkowi coraz bardziej.

<sup>1499</sup> *Gott mit uns!* (niem.) — Bóg z nami! [przypis edytorski]

<sup>1500</sup> *krokiem, rysią, cwałem* — określenia opisują chód/bieg konia od najwolniejszego do najszybszego. [przypis edytorski]

<sup>1501</sup> *Bogurodzica* — najstarsza znana polska pieśń religijna, często (jak w tej scenie) pełniąca rolę zbliżoną do hymnu narodowego. Tekst zachował się w rękopisie z 1407 roku. [przypis edytorski]

<sup>1502</sup> *Bogiem* — tu: przez Boga. [przypis edytorski]

<sup>1503</sup> *sławiana* (z czes.) — wysławiana. [przypis edytorski]

<sup>1504</sup> *gospodzin* (daw.) — pan. [przypis edytorski]

<sup>1505</sup> *zwolena* (daw.) — wybrana. [przypis edytorski]

<sup>1506</sup> *Kiryjelejzon!* (z gr.) — *Kyrie eleison*: Panie, zmiłuj się! [przypis edytorski]

<sup>1507</sup> *dzieła* (daw.) — dla. [przypis edytorski]

<sup>1508</sup> *bożyc* — Syn Boży; sens całej linijki: ze względu na tego, który cię ochrzcił, Synu Boży. [przypis edytorski]

<sup>1509</sup> *jaż* (daw.) — którą. [przypis edytorski]

<sup>1510</sup> *jegoż* (daw.) — którego. [przypis edytorski]

<sup>1511</sup> *przebyt* (daw.) — przebywanie. [przypis edytorski]



Łoskot, kwik koni, krzyki okropne mężów mieszały się z pieśnią. Ale chwilami krzyki cichły, jakby tym tam ludziom zbrakło tchu, i w jednej z takich przerw raz jeszcze można było dosłyszeć grzmiące głosy:

Adamie<sup>1512</sup>, ty Boży kmicciu,  
Ty siedzisz u Boga w wiecu,  
Domieściz<sup>1513</sup> twe dzieci,  
Gdzie królują anieli!  
Tam radość,  
Tam miłość,  
Tam widzenie Twórcy<sup>1514</sup>, anielskie, bez końca...  
Kiryjelejzon!

I znów runęło echo po boru: „Kiryjelejzooon!”. Krzyki na prawym skrzydle wzmo-gły się jeszcze, lecz nikt nie mógł ni widzieć, ni rozeznac, co się tam dzieje, albowiem mistrz Ulryk, który patrzył z góry na bitwę, stoczył w tej chwili pod wodzą Lichtensteina dwadzieścia chorągwi na Polaków.

A zaś do polskiego hufca „czelnego”, w którym stali najprzedniejsi rycerze, przypadł jak grom Zyndram z Maszkowic i ukazawszy ostrzem zbliżającą się chmurę Niemców, zakrzyknął tak donośnie, że aż konie poprzysiadaly w pierwszym szeregu na zadach:

— W nich! Bij!

Więc rycerze, pochyliwszy się na karki końskie i wyciągnawszy przed się włócznie, ruszyli.

\*

Lecz Litwa ugięła się pod straszliwą nawałą Niemców. Pierwsze szeregi, najlepiej zbrojne, złożone z możniejszych bojarów, padły mostem<sup>1515</sup> na ziemię. Następne zwały się z wściekłością z krzyżactwem, lecz żadne męstwo, żadna wytrwałość, żadna moc ludzka nie mogła ich od zguby i klęski uchronić. I jakże mogło być inaczej, gdy z jednej strony walczyło rycerstwo całkiem zakute w stalowe zbroje i na koniach stałą osłoni-onych, z drugiej lud, rosły wprawdzie i silny, ale na drobnych konikach i skórami jeno okryty?... Próżno też szukał uporny Litwin, jak do skóry niemieckiej się dobrać. Sulice, szable, ostrza oszczepów, pałki nasadzone krzemieniem lub gwoździami odbijały się tak o żelazne blachy jak o skałę lub jak o mury zamkowe. Ciężar ludzi i koni gniótł nie-szczęśne Witoldowe zastępy, cięły ich miecze i topory, bodły i kruszyły kości berdysze, tratowały kopyta końskie. Książ Witold daremnie ciskał w tę paszczę śmierci coraz nowe watahy, daremny był upór, na nic zaciekłość, na nic pogarda śmierci i na nic rzeki krwi! Pierzchło naprzód tatarstwo, Besaraby, Wołochy, a wkrótce pękła ściana litewska i dziki popłoch ogarnął wszystkich wojowników.

Większa część wojsk pierzchła w stronę jeziora Lubeń i za nią pognały główne siły niemieckie, czyniąc kośćbę tak straszłą, że całe pobraże pokryło się trupami.

Druga atoli część wojsk Witoldowych, mniejsza, w której było trzy pułki smoleńskie, cofała się ku skrzydłu polskiemu, parta przez sześć chorągwi Niemców, a następnie i przez te, które wracały z pogoni. Lecz lepiej zbrojni Smoleńszczanie skuteczniejszy stawili też opór. Bitwa zmieniła się tu w rzeź. Potoki krwi okupowały każdy krok, każdą niemal piędź ziemi. Jeden z pułków smoleńskich wycięto niemal co do nogi. Dwa inne broniły się rozpaczą i wściekłością. Lecz zwycięskich Niemców nic już nie mogło powstrzymać. Niektóre ich chorągwie ogarnął jakby szal bojowy. Pojedynczy rycerze, bodąc ostrogami i wspinając rumaki, rzucali się na oślep ze wzniesionym toporem lub mieczem w najwięk-szą gęstwinę nieprzyjaciół. Cięcia ich mieczów i berdyszów stały się niemal nadludzkie, cała zas ława prąc, tratując i miażdżąc konie i rycerzy smoleńskich, przyszła na koniec

Walka

<sup>1512</sup>Adamie... — ta strofa pieśni została dopisana później. [przypis edytorski]

<sup>1513</sup>domieściz (daw.) — doprowadź do miejsca. [przypis edytorski]

<sup>1514</sup>Twórcy — tu: Stwórcy. [przypis edytorski]

<sup>1515</sup>mostem — pokotem. [przypis edytorski]

w bok czelnemu i walnemu hufcowi polskiemu, albowiem oba od godziny już przeszło zmagaly się z Niemcami, którym Kuno Lichtenstein przywoził.

Nie poszło tu tak łatwo Kunonowi, gdyż większa była równość broni i koni, a jednakie ćwiczenia rycerskie. Wsparły nawet Niemców „drzewa”<sup>1516</sup> polskie i odrzuciły ich w tył, zwłaszcza że pierwsze uderzyły w nich trzy straszne chorągwie: krakowska, gończa pod Jędrkiem z Brochocic i nadworna, której Powala z Taczewa przewodził. Jednakże bitwa rozgorzała najprzeróżliwsza dopiero wówczas, gdy po strzaskaniu kopij chwycono za miecze i topory. Tarcza uderzała wówczas o tarczę, mąż zwierał się z mężem, padały konie, przewracały się znaki, pękały pod uderzeniem brzeszczotów i obuchów hełmy, naramienniki, pancerze, oblewało się krwią żelazo, walili się z siodła na kształt podciętych sosen witezie<sup>1517</sup>. Ci z rycerzy krzyżackich, którzy już pod Wilnem zaznali bitew z Polakami, wiedzieli, jaki to „nieużyty” i „natarczywy” jest ten lud, lecz nowaków<sup>1518</sup> i gości zagranicznych ogarnęło zrazu podobne do strachu zdumienie. Niejeden też wstrzymywał mimo woli konia, spoglądał przed się niepewnie i nim się namyślił, co czynić, ginął pod ciosem polskiej prawicy. I równie jak grad sypie się niemiłosiernie z miedzianej chmury na łan żyta, tak gęsto sypały się ciosy okrutne i były miecze, były oksze, były topory, były bez tchu i miłosierdzia, dźwięczały jak w kuźniach żelazne blachy, śmierć gasiła niby wichur żywoty, jęki rwały się z piersi, gasły oczy, a zbiegłe młodzieńcze głowy pograżały się w noc wiekuisną.

Leciały w górę skry skrzesane żelazem, złamki drzewców, proporce, pióra strusie i pawie. Kopyta rumaków obsuwały się po krwawych, leżących na ziemi pancerzach i trupach końskich. Kto padł ranny, tego miażdżyły podkowy.

Lecz żaden jeszcze nie padł z przedniejszych rycerzy polskich i szli przed się w zgiełku i ciasnocie, wykrzykując imiona swych patronów lub zawołania rodowe, jak idzie ogień po suchym stepie, który pożera krze i trawy. Pierwszy tam Lis z Targowiska porwał mężnego komtura z Osterody, Gamrata, którego straciwszy tarczę, zwinął w kłęb swój biały płaszcz koło ramienia i płaszczem się od ciosów zasłaniał.

Ostrzem miecza przeciął Lis płaszcz i naramiennik, odwalił od pachy ramię, drugim zaś pchnięciem przebił brzuch, aż ostrze w kość pacierzową zgrzytnęło. Krzyknęli z trwogi na widok śmierci wodza ludzie z Osterody, lecz Lis rzucił się między nich jak orzeł między żurawie, a gdy Staszko z Charbimowic i Domarat z Kobyłan skoczyli mu na pomoc, poczęli ich we trzech łuskać okropnie, tak jak niedźwiedzie łuszczą strąki, gdy się na pole zasiane młodym grochem dostaną.

Tamże Paszko Złodziej z Biskupic zabił sławnego brata Kunca Adelsbacha. Kunc, gdy ujrzał przed sobą wielkoluda z krwawym toporem w dłoni, na którym wraz z krwią przylepły kudły ludzkie, zląkł się w sercu i chciał się oddać w niewolę. Ale Paszko, nie dosłyszawszy go wśród wrzawy, podniósł się w strzemiionach i rozciął mu głowę wraz ze stalowym hełmem, jakby ktoś rozciął jabłko na dwoje. Wraz potem zgasił Locha z Meklemburgii i Klingensteina, i Szwabę Helmsdorfa z możnego hrabiowskiego rodu, i Limpacha spod Moguncji, i Nachterwitza też z Moguncji, aż wreszcie poczęli się cofać przed nim przerażeni Niemcy w lewo i w prawo, on zaś bił w nich jak w walącą się ścianę i co chwila widziano go, jak wznosił się do cięcia na siodle, po czym widziano błysk topora i hełm niemiecki zapadający się w dół między konie.

Tamże potężny Jędrzej z Brochocic, złamawszy miecz na głowie rycerza, który miał sowę na tarczy i przyłbicę w kształt sowej głowy wykutą, chwycił go za ramię, skruszył je i wydarłszy mu brzeszczot, zaraz go nim życia pozbawił. On również młodego rycerza Dynheima wziął w niewolę, którego widząc bez hełmu, pożałował zabijając, gdyż ów prawie był dzieckiem jeszcze i dziecinnymi nań spoglądał oczyma. Rzucił go tedy Andrzeju giermkom swoim, nie odgadując, że zięcia sobie bierze, albowiem rycerzyk ten córkę jego wziął później za żonę i na zawsze w Polsce pozostał.

<sup>1516</sup>drzewa — kopie. [przypis edytorski]

<sup>1517</sup>witeż (daw.) — rycerz. [przypis edytorski]

<sup>1518</sup>nowak (daw.) — człowiek „nowy”, niedoświadczony. [przypis edytorski]

Natarli atoli teraz ze wściekłością Niemcy, chcąc odbić młodego Dynheima, który z możnego rodu grafów nadreńskich pochodził, lecz przedchorągiewni rycerze: Sumik z Nadbroża i dwaj bracia z Płomykowa, i Dobko z Ochwia, i Zych Pikna, osadzili ich na miejscu, jak lew osadza byka, i odepchnęli ku chorągwi świętego Jerzego, szerząc wśród nich zgubę i zniszczenie.

Zaś z rycerskimi gośćmi starła się chorągiew królewska nadworna, której Ciołek z Żelechowa przywodził. Tam Powąła z Taczewa siłę nadludzką mający obalał ludzi i konie, kruszył żelazne hełmy jak skorupy jaj, bił sam jeden w całe gromady, a obok niego szli Leszko z Goraja, drugi Powąła z Wyhucza i Mścisław ze Skrzynna, i dwóch Czechów: Sokół i Zbysławek. Długo toczyła się tu walka, gdyż na tę jedną chorągiew uderzyły trzy niemieckie, lecz gdy dwudziesta siódma Jaśka z Tarnowa przyszła w pomoc, siły zrównały się mniej więcej i odrzucono Niemców prawie na pół strzelania z kuszy od miejsca, w którym nastąpiło pierwsze spotkanie.

Lecz jeszcze dalej odrzuciła ich wielka krakowska chorągiew, której sam Zyndram przywodził, a na czele między przedchorągiewnymi szedł najstraszniejszy ze wszystkich Polaków: Zawisza Czarny herbu Sulima. W pobok walczyli: brat jego Farurej i Florian Jelitczyk z Korytnicy, i Skarbek z Gór, i właśnie ów sławny Lis z Targowiska, i Paszko Złodziej, i Jan Nałęcz, i Stach z Charbimowic. Pod okropną ręką Zawiszy ginęli bitni<sup>1519</sup> mężowie, jakby w tej czarnej zbroi sama śmierć szła im naprzeciw, on zaś walczył z namarszczoną brwią i ściśniętymi nozdrzami, spokojny, uważny, jakby zwykłą odbywał robotę; czasem równo poruszał tarczą, odbijał cios, lecz każdemu błyskowi jego miecza odpowiadał krzyk straszny porażonego męża, a on nie oglądał się nawet i szedł, pracując, naprzód jak czarna chmura, z której co chwila piorun wypada.

Poznańska chorągiew, mająca w znaku orła bez korony, walczyła też na śmierć i życie, a arcybiskupia i trzy mazowieckie szły z nią w zawody. Ale i wszystkie inne przesadzały się wzajem w zawziętości i natarczywym męstwie. W sieradzkiej młody Zbyszko z Bogdańca rzucał się jak dzik w najęstsze tłumy, zaś przy boku jego szedł stary, straszny Maćko, walcząc rozważnie, jak walczy wilk, który inaczej niż na śmierć nie ukąsi.

Szukał on wszędy oczyma Kunona Lichtensteina, ale nie mogąc go w tłoku dostrzec, upatrywał tymczasem innych, takich, którzy świetniejsze mieli na sobie stroje, i nieszczęsny był każdy rycerz, któremu się z nim potkać przyszło. Niedaleko od obu rycerzy bogdanieckich ciskał się nieznośnie złowrogi Cztań z Rogowa. Po pierwszym spotkaniu rozbito mu hełm, więc walczył teraz z gołą głową, strasząc swą zakrwawioną, włochatą twarzą Niemców, którym się zdało, że nie człowieka, ale jakąś poczwarę leśną mają przed sobą.

Jednakże setki, a potem tysiące rycerzy zaległy z obu stron ziemię, aż wreszcie pod razami zaciekłych Polaków poczęła się chwiać niemiecka nawała, gdy wtem zaszło coś takiego, co losy całej bitwy mogło w jednej chwili przeważać.

Oto wracając z pogoni za Litwą, rozgorzałe<sup>1520</sup> i upojone zwycięstwem chorągwie niemieckie uderzyły w bok polskiego skrzydła.

Sądząc, że wszystkie wojska królewskie już rozbite i bitwa stanowczo wygrana, wracały one w wielkich, bezładnych gromadach z krzykiem i śpiewaniem, gdy nagle ujrzały przed sobą srogą rzeź i Polaków prawie już zwycięskich, ogarniających zastępy niemieckie.

Więc Krzyżacy, zniżając głowy, spoglądali ze zdumieniem przez kraty przyłbic na to, co się dzieje, a potem, jak który stał, wbijał koniowi ostrogi w boki i puszczał się w zamęt bojowy.

I tak gromada uderzała po gromadzie, aż wkrótce tysiące ich zwały się na znużone walką chorągwie polskie. Krzyknęli Niemcy radośnie, widząc przybywającą pomoc, i z nowym zapalem poczęli bić w Polaków. Okropna bitwa zawrzała na całej linii, ziemia spłynęła potokami krwi, zachmurzyło się niebo i odezwały się głuche grzmoty, jakby sam Bóg chciał mieszać się między walczących.

Lecz zwycięstwo poczęło chylić się ku Niemcom... Już, już zaczynała się zamieszka w ławie polskiej, już rozszalałe w boju zastępy krzyżackie poczęły jednym głosem śpiewać pieśń tryumfu:

<sup>1519</sup>bitny — waleczny. [przypis edytorski]

<sup>1520</sup>rozgorzały — rozpalony, przen.: ogarnięty entuzjazmem a. szałem bojowym. [przypis edytorski]

A wtem stało się coś jeszcze okropniejszego.

Oto jeden leżący na ziemi Krzyżak rozpruł nożem brzuch konia, na którym siedział Marcin z Wrocimowic trzymający wielką, świętą dla wszystkich wojsk chorągiew krakowską z orłem w koronie. Rumak i jeździec zwalili się nagle, a wraz z nimi zachwiała się i padła chorągiew.

W jednej chwili setki żelaznych ramion wyciągnęło się po nią, a ze wszystkich piersi niemieckich wyrwał się ryk radości. Zdało im się, że to koniec, że strach i popłoch ogarną teraz Polaków, że przychodzi czas kłęski, mordy i rzezi, że już uciekających tylko przyjdzie im ścigać i wycinać.

Ale oto właśnie czekał ich straszny i krwawy zawód.

Krzyknęły wprawdzie z rozpaczą jak jeden mąż wojska polskie na widok upadającej chorągwi, lecz w tym krzyku i w tej rozpaczy był nie strach, ale wściekłość. Rzekłbyś, żywy ogień spadł na pancerze. Rzucili się jak lwy rozżarte ku miejscu najstraszniejsi mężowie z obu armii i rzekłbyś, burza rozpętała się koło chorągwi. Ludzie i konie zbili się w jeden wir potworny, a w tym wirze śmigły ramiona, szczękały miecze, warczały topory, zgrzytała stal o żelazo, łomot, jęki, dziki wrzask wyrzynanych mężów zlały się w jeden przeokropny głos, taki, jakby potępieńcy odezwali się nagle z głębi piekła. Wstała kurzawa, a z niej wypadły tylko ośleple z przerażenia konie bez jeźdźców, z krwawymi oczyma i rozwianą dziko grzywą.

Lecz trwało to krótko. Ni jeden Niemiec nie wyszedł żywy z tej burzy i po chwili powiała znów nad polskimi zastępami odbita chorągiew. Wiatr poruszył ją, rozwinął i rozkwitła wspaniale jak olbrzymi kwiat, jako znak nadziei i jako znak gniewu Bożego dla Niemców, a zwycięstwa dla polskich rycerzy.

Całe wojsko powitało ją okrzykiem tryumfu i uderzyło z taką zapamiętałością w Niemców, jakby każdej chorągwi przybyło w dwójnasób sił i żołnierzy.

A Niemcy, bici bez miłosierdzia, bez wytchnienia, bez takiej nawet przerwy, jakiej pierśmi trzeba dla złapania oddechu, parci ze wszystkich stron, naciskani, rażeni nieublaganie ciosami mieczów, siekier, toporów, maczug, poczęli znów chwiać się i ustępować. Tu i owdzie ozwały się głosy o litość. Tu i owdzie wypadł ze skrzytu jakiś zagraniczny rycerz z twarzą zbiebiałą ze strachu i zdumienia i uciekał w zapamiętaniu, gdzie go niósł nie mniej przerażony rumak. Większość białych płaszczów, które na zbrojach nosili bracia zakonni, leżała już na ziemi.

Więc ciężki niepokój ogarnął serca przywódców krzyżackich, gdyż zrozumieli, że cały ich ratunek tylko w mistrzu, który dotychczas w pogotowiu stał na czele szesnastu odwodowych chorągwi.

On zaś, patrząc z góry na bitwę, zrozumiał także, że chwila nadeszła, i ruszył swe żelazne hufce, tak jak wichur porusza ciężką, niosącą kłęskę chmurę gradową.

Lecz wcześniej jeszcze, przed trzecią linią polską, która dotąd nie brała udziału w boju, zjawił się na rozhukanym rumaku, czuwający nad wszystkim i baczny na przebieg bitwy, Zyndram z Maszkowic.

Stało tam wśród polskiej piechoty kilka rot zaciężnych Czechów. Jedna z nich zachwiała się jeszcze przed spotkaniem, ale zawstydzona w porę, została na miejscu i rzuciwszy swego dowódcę, płonęła teraz żądzą bitwy, aby wynagrodzić męstwem chwilową słabość. Lecz główne siły składały<sup>1522</sup> pułki polskie, złożone z konnych, ale nie pancernych ubogich włodyków, z piechot miejskich i najliczniejszych kmiecych, zbrojnych w rohatyny, w ciężkie oszczepy i w kosy, osadzone sztorcem na dragach.

— Gotuj się! Gotuj! — wołał ogromnym głosem Zyndram z Maszkowic, przelatując jak błyskawica wzdłuż szeregów.

— Gotuj się! — powtórzyli mniejsi przywódcy.

<sup>1521</sup> *Christ ist erstanden!* (niem.) — Chrystus zmartwychwstał! [przypis edytorski]

<sup>1522</sup> *składały* — tu: stanowiły. [przypis edytorski]

Więc kmiecie, zrozumiawszy, że przychodzi na nich czas, poopierali drągi od dzid, cepów i kos o ziemię i przeżegnawszy się krzyżem świętym, poczęli popluwać w pracowite, ogromne dłonie.

I dało się słyszeć przez całą linię to złowrogie popluwanie, po czym chwycił każdy broń i nabrał tchu. W tej chwili przyleciał do Zyndrama pachołek z rozkazem od króla i szepnął mu coś zdyszczym głosem do ucha, a on, zwróciwszy się do piechurów, machnął mieczem i zakrzyknął:

— Naprzód!

— Naprzód! Ławą! Równy! — rozległy się wołania przywódców.

— Bywaj! Na psubraty! W nich!

Ruszyli. By zaś iść krokiem równym i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać:

— Zdro — waś — Ma — ry — ja — Łas — kiś — peł — na — Pan — z To — bą!...

I szli jak powódź. Szły pułki najemne i pachołkowie miejscy, kmiecie z Małopolski i Wielkopolski i Ślązacy, którzy przed wojną schronili się do Królestwa, i Mazury spod Elku, którzy od Krzyżaków uciekli. Zajaśniało i rozbłysło od grotów na oszczepach i od kos całe pole.

Aż doszli.

— Bij! — zakrzyknęli dowódcy.

— Uch!

I stęknął każdy jako krzepki drwał, gdy się pierwszy raz toporem zamachnie, a potem jął walić, ile mu sił i pary w piersiach starczyło.

Wrzask i krzyki wzbily się aż ku niebiosom.

Modlitwa

\*

Król, który z wyniosłego miejsca zawiadował całą bitwą, rozsyłał pachołków i aż ochrypl od dawania rozkazów, gdy ujrzał wreszcie, że już wszystkie wojska pracują, począł i sam rwać się do boju.

Nie puszczali go dworzanie, bojąc się o świętą osobę pańską. Żóława chwycił za cugle konia i choć król uderzył go włócznią po rękę, nie puścił. Inni zastąpili też drogę, prosząc, błagając i przedstawiając, że i tak losów bitwy nie przeważą.

A tymczasem największe niebezpieczeństwo zawisło nagle nad królem i nad całym jego orszakiem.

Oto mistrz, idąc za przykładem tych, którzy wrócili po rozgromie Litwy, i chcąc także zajechać z boku Polakom, zatoczył koło, skutkiem czego jego szesnaście wyborowych chorągwi musiało przechodzić właśnie nieopodal wzgórza, na którym stał Władysław Jagiełło.

Spostrzeżono wraz niebezpieczeństwo, ale nie było czasu się cofać.

Zwinięto tylko znak królewski, a jednocześnie pisarz królewski Zbigniew z Oleśnicy skoczył co siły w koniu do najbliższej chorągwi, która gotowała się właśnie na przyjęcie nieprzyjaciela, a której rycerz Mikołaj Kielbasa przywodził.

— Król w obieży<sup>1523</sup>. Na pomoc! — zawołał Zbigniew.

Lecz Kielbasa, straciwszy poprzednio hełm, zerwał całą mokrą od potu i pokrwawioną mykę z głowy i pokazując ją gońcowi, zakrzyknął z gniewem okrutnym:

— Patrz, jeśli tu próżnujem! Szalony! Zali nie widzisz, że na nas idzie ta chmura i że właśnie naprowadzilibyśmy ją na króla; za czym ruszaj precz, bo cię tu mieczem przebodę.

I niepomny, z kim mówi, zziąjany, uniesion gniewem zmierzyl się istotnie na gońca, ów zaś widząc, z kim sprawa, a co większa, że stary wojownik ma słuszość, skoczył na powrót do króla i powtórzył mu, co usłyszał.

Więc straż królewska murem wysunęła się naprzód, aby pana piersiami zasłonić. Tym razem jednak król nie dał się powstrzymać i stanął w pierwszym szeregu. Lecz ledwie się ustawili, chorągwie niemieckie były już tak blisko, że herby na tarczach można było doskonale odróżnić. Widok ich dreszczem mógł przejąć najodważniejsze serca, był to

Król

Król

<sup>1523</sup>w obieży (daw.) — w niebezpieczeństwie. [przypis edytorski]

bowiem sam kwiat i wybór rycerstwa. Przybrani w świetne zbroje, na ogromnych jak tury koniach, nieuznieni w boju, w którym dotychczas nie brali udziału, wypoczęci szli jak huragan z tętentem, z hukiem, z szumem chorągwi i chorągiewek, a sam wielki mistrz leciał przed nimi w białym, szerokim płaszczu, który rozpuszczony na wiatr wyglądał jak olbrzymie skrzydła orła.

Mistrz minął już orszak królewski i biegł ku głównej bitwie, bo co mu tam znaczyła jakaś garstka rycerzy stojących na uboczu, między którą nie domyślał się i nie rozpoznał króla! Ale spod jednej chorągwi oderwał się olbrzymi Niemiec i czy to poznawszy Jagiełłę, czy też znęcony srebrzystą zbroją królewską, czy wreszcie chcąc popisać się odwagą rycerską, schylił głowę, wyciągnął kopię i skoczył wprost na króla.

Król zaś spał ostrogami konia i nim go zdołano zatrzymać, skoczył także ku niemu. I byłoby się niechybnie starli śmiertelnie, gdyby nie ten sam Zbigniew z Oleśnicy, młody sekretarz królewski, zarówno biegły w łacinie, jak i w rycerskim rzemiośle. Ten, mając złomek kopii w ręku, zajechał Niemca z boku i grzmotnąwszy go w łeb, skruszył mu hełm i zwałił na ziemię. „W tej chwili sam król uderzył go ostrzem w odkryte czoło i własną ręką zabić go raczył”<sup>1524</sup>.

Tak zginął sławny rycerz niemiecki, Dypold Kikieritz von Dieber. Konia jego pochwylił książę Jamont, a on sam leżał śmiertelnie porażony, w swej białej jace na stalowej zbroi i w pozłocistym pasie. Oczy zasły mu bielmem, lecz nogi kopały jeszcze czas jakiś ziemię, póki największa ludzka uspokoielka, śmierć, nie pokryła mu nocą głowy i nie uspokoiła go na zawsze.

Skoczyli rycerze spod chełmińskiej chorągwi, chcąc pomścić śmierć towarzysza, lecz sam mistrz zabiegł im drogę i krzycząc: *Herum!*<sup>1525</sup> *Herum!* — zaganiał ich tam, gdzie miały rozstrzygnąć się losy tego krwawego dnia, to jest do głównej bitwy.

I znów zdarzyła się rzecz dziwna. Oto najbliżej od pola stojący Mikołaj Kielbasa poznał wprawdzie nieprzyjaciół, ale w kurzawie nie poznały ich inne polskie chorągwie i myśląc, że to Litwa wraca do boju, nie pośpieszyły na ich przyjęcie.

Dopiero wyskoczył Dobko z Oleśnicy naprzeciw pędzącego w przedzie wielkiego mistrza i poznał go po płaszczu, po tarczy i po złotym, wielkim relikwiarzu, który on nosił na piersiach, na pancerzu. Ale nie śmiał uderzyć kopią polski rycerz w relikwiarz, choć niezmiernie siłą mistrza przewyższał, więc ów podbił mu ostrze do góry, zranił nieco konia, po czym minąwszy się, zatoczyli koło i rozbiegli się, każdy ku swoim.

— Niemce! Sam mistrz! — zakrzyknął Dobko.

Usłyszawszy to, kopnęły się<sup>1526</sup> z miejsca największym pędem ku wrogom chorągwie polskie. Pierwszy uderzył ze swymi Mikołaj Kielbasa i znów rozgorzała bitwa.

Lecz czy to, że rycerstwo z ziemi chełmińskiej, między którymi wielu było ludzi polskiej krwi, nie uderzyło szczerze, czy też, że zaciekłości Polaków nic już nie mogło powstrzymać, dość że ten nowy napad nie wywarł takiego skutku, jakiego się mistrz spodziewał. Zdawało mu się bowiem, że to będzie ostatni cios zadany potędze królewskiej, a tymczasem spostrzegł wkrótce, że to Polacy prą, idą naprzód, biją, rażą, biorą jakoby w żelazne cęgi te hufce, a jego rycerstwo raczej się broni, niż naciera.

Próżno zachęcał głosem, próżno zapędzał mieczem w bój. Bronili się wprawdzie i bronili mocno, ale nie było w nich ni tego rozmachu, ni tego zapału, który porywa wojska zwycięskie i którym rozgorzały serca polskie. W zbrojach potłuczonych, we krwi, w ranach, z poszczerbioną bronią, bez głosu w piersi rwali się jednak w zapamiętaniu polscy rycerze ku najgęstszym kupom Niemców, a ci poczęli to zdzierać konie, to oglądać się za siebie, jakby chcąc wiedzieć, czy nie zamknęły się jeszcze te żelazne cęgi, które obejmowały ich coraz okropniej i ustępowali z wolna, ale ciągle, jakby pragnąc wydostać się nieznacznie z morderczego skrzyżtu. A wtem od strony lasu zagrzmiały naraz nowe okrzyki. To właśnie Zyndram wprowadził i puścił kmieciów do boju. Zazgrzytały wnet po żelazie kosy, zagrzmiały pod cepami pancerze, trup jął padać coraz gęstszy, krew lała się strumieniem na zdeptaną ziemię i bitwa stała się jak jeden płomień niezmierny, gdyż Niemcy poznawszy, że tylko w mieczu ratunek, poczęli się bronić rozpaczliwie.

<sup>1524</sup>W tej chwili sam król uderzył go ostrzem w odkryte czoło i własną ręką zabić go raczył — niedokładny cytat z Kroniki Jana Długosza, z której Sienkiewicz korzystał, opisując bitwę pod Grunwaldem. [przypis edytorski]

<sup>1525</sup>*Herum!* (niem.) — Zawracać! [przypis edytorski]

<sup>1526</sup>*kopnąć się* — szybko podążyć. [przypis edytorski]

\*

I zmagali się tak jeszcze w niepewności zwycięstwa, dopóki olbrzymie kłęby kurzawy nie wzbily się niespodzianie po prawej stronie bitwy.

— Litwa wraca! — huknęły radośnie głosy polskie.

I odgadli. Litwa, którą łatwiej było rozbić, niż zwyciężyć, wracała teraz i z wrzawą nieludzką pędziła jak wicher na swych ścigłych koniach do boju.

Wówczas kilku komturów, a na ich czele Werner von Tettingen, przyskoczyło do mistrza.

— Ratuń się, panie! — wołał pobladłymi ustami komtur Elbląga. — Ratuń siebie i Zakon, póki się koło<sup>1527</sup> nie zawrze.

Ale rycerski Ulryk spojrział na niego ponuro i wzniosłszy rękę ku niebu, zawołał:

— Nie daj Bóg, abym ja opuścił to pole, na którym tylu mężnych poległo! Nie daj Bóg!

I krzyknawszy na ludzi, aby szli za nim, rzucił się w war bitwy. Nadbiegła tymczasem Litwa i stał się taki zamęt, taki wir i kotłowanie, że oko ludzkie nic już w nich rozróżnić nie mogło.

Mistrz, uderzon ostrzem litewskiej sulicy w usta i dwukrotnie raniony w twarz, odbijał przez jakiś czas mdlejącą prawicą ciosy; wreszcie, pchnięty rohatyną w szyję, zwałił się jak dąb na ziemię.

Mrowie przybranych w skóry wojowników pokryło go zupełnie.

\*

Werner Tettingen z kilku chorągwiami pierzchł, lecz naokół wszystkich pozostałych chorągwi zamknęło się żelazne koło wojsk królewskich. Bitwa zmieniła się w rzeź i w kłęskę krzyżacką tak niesłychaną, że w całych dziejach ludzkich mało zdarzyło się podobnych. Nigdy też w czasach chrześcijańskich, od walki Rzymian i Gotów z Attylą<sup>1528</sup> i Karola Młota<sup>1529</sup> z Arabami, nie walczyły z sobą wojska tak potężne. Ale teraz jedno z nich leżało już po większej części jak zżęty łan zboża. Poddały się te chorągwie, które ostatnie wprowadził do boju mistrz. Chełmińczycy pozatykali w ziemię proporce. Inni niemieccy rycerze pozeskakiwali z koni na znak, że chcą iść w niewolę, i poklękali na obluźganej krwią ziemi. Cała chorągiew świętego Jerzego, pod którą służyli goście zagraniczni, uczyniła razem ze swym dowódcą to samo.

\*

Lecz bitwa trwała jeszcze, albowiem wiele chorągwi krzyżackich wołało umierać, niż błagać o litość i o niewolę. Zbili się teraz Niemcy wedle swego wojennego zwyczaju w ogromne kolisko i bronili się tak, jak broni się stado dzików, gdy je gromady wilków otoczą. Pierścień polsko-litewski opasał owo kolisko, jak wąż opasuje ciało byka, i zacieśniał się coraz bardziej. I znów śmigły ramiona, grzmiały cepy, zgrzytały kosy, cięły miecze, bodły oszczepy, chlastały topory i oksze. Wycinano Niemców jak bór, a oni marli w milczeniu, posepni, ogromni, nieustraszeni.

Niektórzy popodnosiwszy przyłbice, żegnali się z sobą, dając sobie ostatni przed śmiercią pocałunek; niektórzy rzucali się na oślep w ukrop bojowy jakby zdjęci szaleństwem, inni walczyli jak przez sen, inni na koniec mordowali się sami, wbijając sobie w gardło mizerykordię lub porzuciwszy naszyjniki<sup>1530</sup>, zwracali się do towarzyszków z prośbą: „Pchnij!”

Zaciekłość polska rozbiła wkrótce wielkie kolisko na kilkanaście mniejszych kup i wtedy znów łatwiej było wymykać się pojedynczym rycerzom. Ale w ogóle i te rozbite gromady były się ze wściekłością i rozpaczą.

<sup>1527</sup> *koło* — tu: okrążenie. [przypis edytorski]

<sup>1528</sup> *Attyła* (406–453) — wódz Hunów, twórca rozległego imperium, wielokrotnie najeżdżał Rzymian; ze względu na okrucieństwo zyskał przydomek „Bicza Bożego”. [przypis edytorski]

<sup>1529</sup> *Karol Młot* (686–741) — majordom (odpowiednik marszałka dworu, a w istocie faktyczny władca) państwa Franków; zwyciężył Saracenów w bitwie pod Poitiers (732), co powstrzymało ich ekspansję na Galie. [przypis edytorski]

<sup>1530</sup> *naszyjnik* — tu: osłaniający szyję element zbroi. [przypis edytorski]

Rycerz, Śmierć bohaterska

Samobójstwo

Mało kto klękał, prosząc o litość, a gdy straszny zapęd Polaków rozpłoszył wreszcie i mniejsze kupy, nawet pojedynczy rycerze nie chcieli oddawać się żywcom w ręce zwycięzców. Dzień był dla Zakonu i dla wszystkiego zachodniego rycerstwa największej klęski, ale i chwały największej. Pod olbrzymim Arnoldem von Baden otoczonym przez piechotę kmiecią utworzył się wał polskich trupów, on zaś, potężny i niezwalczony, stał nad nim, jak stoi słup graniczny wkopany na wzgórzu, i kto zbliżył się do niego na długość miecza, marł jakby piorunem rażony. Najechał go wreszcie sam Zawisza Czarny Sulimczyk, lecz widząc rycerza bez konia i nie chcąc przeciw rycerskiemu prawu z tyłu nań uderzać, zeskoczył także z rumaka i począł nań wołać z daleka:

— Zwróć, Niemcze, głowę i poddaj się albo spotkaj ze mną!

A Arnold zwrócił się i poznawszy Zawiszę po czarnej zbroi i po Sulimie na tarczy, rzekł sobie w duszy:

„Śmierć idzie i moja godzina wybiła, albowiem jemu nikt nie odejmie się żywy. Gdybym jednakże go zwyciężył, zyskałbym chwałę nieśmiertelną, a może i życie ocalił”.

To rzekłszy, skoczył ku niemu i starli się jak dwie burze na ziemi trupami zasłanej. Lecz Zawisza tak okrutnie siłą nad wszystkimi górował, że nieszczęśni to byli rodzice, których dzieciom wypadło się z nim spotkać w boju. Jakoż pod cięciem jego miecza pękła kuta w Malborgu tarcza, pękł jak gliniany garnek stalowy hełm i mężny Arnold padł z rozciętą na dwoje głową...

\*

Henryk, komtur człuchowski, ten sam najzawziętszy wróg polskiego plemienia, który zaprzysiągł, że póty dwa miecze każe przed sobą nosić, póki obu w krwi polskiej nie ubroczy, wymykał się teraz chyłkiem z pola, jako lis wymyka się z otoczonego przez myśliwców ostępu, gdy wtem zajechał mu drogę Zbyszko z Bogdańca. Krzyknął komtur, widząc nad sobą wzniesiony brzeszczot: *Erbarme dich meiner!* (oszczędź mnie) — i złożył z przestachu ręce, co usłyszawszy, młody rycerz nie zdołał już wprawdzie wstrzymać ręki i rozmachu, ale zdołał jeszcze przekręcić miecz i płazem tylko w spasy, spotniały pysk komtura uderzył. I rzucił go potem swemu giermkowi, który założywszy mu powróż na szyję, powlókł go jak wołu tam, dokąd spędzano wszystkich jeńców krzyżackich.

\*

A stary Maćko szukał wciąż na krwawym poboju Kunona Lichtensteina — i szczęśny we wszystkim dnia tego los dla Polaków wydał go wreszcie w jego ręce w zarosłach, w których przytała się garść uchodzących ze straszego pogromu rycerzy. Blask słońca, który odbił się w zbrojach, zdradził ich obecność przed pościgiem. Padli wraz wszyscy na kolana i poddali się natychmiast, lecz Maćko dowiedziawszy się, iż wielki komtur Zakonu znajduje się między jeńcami, kazał go stawić przed sobą i zdjawszy hełm z głowy, zapytał:

— Kunonie Lichtensteinie, zali poznajesz mnie?

A on zmarszczył brwi i utkwivszy oczy w oblicze Maćka, rzekł po chwili:

— Widziałem cię na dworze w Płocku.

— Nie — odpowiedział Maćko — widziałeś mnie przedtem. Widziałeś mnie w Krakowie, gdy cię błagał o życie mego bratanka, który za nierozważny napad na ciebie na utratę gardła był skazan. Wówczas to ślubowałem Bogu i zaprzysiągłem na rycerską cześć, iż cię odnajdę i spotkam się z tobą śmiertelnie.

— Wiem — odparł Lichtenstein i wydał dumnie usta, chociaż zarazem pobladł mocno — ale jeńcem twoim teraz jestem i zhańbiłbyś się, gdybyś miecz na mnie podniósł.

Na to twarz Maćka ściągnęła się złowrogo i stała się zupełnie do paszczy wilczej podobna.

— Kunonie Lichtenstein — rzekł — miecza na bezbronnego nie wzniosę. Ale to ci powiadam, że jeśli mi walki odmówisz, tedy cię każę jak psa na powrozie powiesić.

— Nie mam wyboru, stawaj! — zawołał wielki komtur.

— Na śmierć, nie na niewolę — zastrzegł raz jeszcze Maćko.

— Na śmierć.

Rycerz, Śmierć bohaterska

Zemsta



I po chwili starli się z sobą wobec niemieckich i polskich rycerzy. Młodszy i zręczniejszy był Kunon, lecz Maćko tak dalece siłą rąk i nóg przeciwnika przewyższał, że w mgnieniu oka obalił go na ziemię i kolaniem brzuch mu przycisnął.

Oczy komtura wyszły z przerażenia na wierzch.

— Daruj! — jęknął, wyrzucając ślinę i pianę ustami.

— Nie! — odpowiedział nieubłagany Maćko.

I przyłożywszy mizerykordię do szyi przeciwnika, pchnął dwukrotnie, a tamten zacharczał okropnie; fala krwi buchnęła mu ustami, drgawki śmiertelne wstrząsnęły jego ciałem, po czym wyprężył się i wielka uspokoielka rycerzy uspokoiła go na zawsze.

\*

Bitwa zmieniła się w rzeź i pościg. Kto nie chciał się poddać, zginął. Wiele bywało w owych czasach na świecie bitew i spotkań, ale nikt z żywych ludzi nie pamiętał tak straszliwego pogromu. Padł pod stopami wielkiego króla nie tylko Zakon krzyżacki, ale i całe Niemcy, które najświetniejszym rycerstwem wspomagały ona „przednią straż” teutońską, wżerając się coraz głębiej w ciało słowiańskie.

Z siedmiuset „białych płaszczów”, przodujących jako wodzowie tej germańskiej powodzi, zostało ledwie piętnastu. Czterdzieści przeszło tysięcy ciał leżało w wiekiustym śnie na onym krwawym boisku.

Rozliczne chorągwie, które w południe jeszcze powiewały nad niezmiernym wojskiem krzyżackim, wpadły wszystkie w krwawe i zwycięskie ręce Polaków. Nie ostała, nie ocaliła się ani jedna i oto rzucali je teraz polscy i litewscy rycerze pod nogi Jagiełły, który wznosząc pobożnie oczy ku niebu, powtarzał wzruszonym głosem: „Bóg tak chciał!”. Stawiano też przed majestatem pana przedniejszych jeńców. Abdank Skarbek z Gór przywiódł szczecińskiego księcia Kazimierza, Trocnowski, rycerz czeski, księcia na Oleśnicy Konrada, a Przedpełko Kopidlowski, herbu Dryja, mdlejącego z ran Jerzego Gersdorfa, który pod chorągwią świętego Jerzego wszystkim gościom rycerskim przywodził.

Dwadzieścia dwa narody uczestniczyły w tej walce Zakonu przeciw Polakom, a teraz pisarze królewscy spisywali jeńców, którzy klękając przed majestatem, błagali o miłosierdzie i o powrót za okupem do domu.

Cała armia krzyżacka przestała istnieć. Pogoń polska zdobyła też ogromny obóz krzyżacki, a w nim, prócz niedobitków, nieprzeliczoną ilość wozów wyładowanych pętami na Polaków i winem przygotowanym na wielką ucztę po zwycięstwie.

\*

Słońce chyliło się ku zachodowi. Spadł krótki, obfity deszcz i potłumił kurzawę. Król, Witold i Zyndram z Maszkowic gotowali się właśnie zjechać na pobojuwisko, gdy poczęto zwozić przed nich ciała poległych wodzów. Litwini przynieśli skłute sulicami, pokryte kurzem i posoką ciało wielkiego mistrza Ulryka von Jungingen i położyli je przed królem, a ów westchnął żałośnie i spoglądając na ogromne zwłoki leżące na wznak na ziemi, rzekł:

— Oto jest ten, który jeszcze dziś rano mniemał się być wyższym nad wszystkie mocarze świata.

Za czym lży poczęły mu spływać jak perły po policzkach i po chwili ozwał się znowu:

— Ale że śmiercią walecznych poległ, przeto sławić będziemy jego męstwo i godnym chrześcijańskim uczymy go pogrzebem.

Jakoż zaraz wydał rozkaz, by ciało obmyto starannie w jeziorze, by przybrano je w piękne szaty i przysłoniono, nim trumna będzie gotowa, zakonnym płaszczem.

Tymczasem przynoszono coraz nowe zwłoki, które rozpoznawali jeńcy. Przyniesiono wielkiego komtura Kunona Lichtensteina, z gardłem okropnie mizerykordią rozciętym, i marszałka Zakonu Fryderyka Wallenroda, i wielkiego szatnego, grafa Alberta Szwarcburga, i wielkiego skarbnika Tomasza Mercheima, i grafa Wendego, który legł z ręki Powaly z Taczewa, i przeszło sześćset ciał znakomitych komturów i braci. Czeladź kładła ich jednego przy drugim, a oni leżeli na kształt zrąbanych pni, ze zwróconymi ku niebu i białymi jak ich płaszcze twarzami, z otwartymi szklanymi oczyma, w których zastygł gniew, duma, wściekłość bojowa i przerażenie.

Nad ich głowami pozatykano zdobyte chorągwie — wszystkie!!! Wieczorny powiew to zwijał, to rozwijał barwne płótna, one zaś szumiały jakby do snu poległym. Z dała pod zorzą widać było oddziały litewskie ciągnące zdobyte armaty, których po raz pierwszy użyli Krzyżacy w bitwie polnej, ale które nie przyczyniły żadnej szkody zwycięzcom.

Na wzgórzu koło króla skupili się najwięksi rycerze i dysząc utrudzonymi piersiami, spoglądali na te chorągwie i na te trupy leżące u ich stóp, jak spoglądają uznojeni żeńcy na zżęte i powiązane snopy. Ciężki był dzień i straszny plon tego żniwa, ale oto nadchodził wielki, Boży, radosny wieczór.

Więc niezmiernie szczęście rozjaśniło twarze zwycięzców, bo rozumieli wszyscy, że to był wieczór kładący koniec nędzy i trudom nie tylko dnia tego, ale całych stuleci.

A król, chociaż zdawał sobie sprawę z ogromu klęski, jednakże patrzył jakby w zdumieniu przed siebie i w końcu spytał:

— Zali cały Zakon tu leży?

Na to podkanclerzy Mikołaj, który znał przepowiednie świętej Brygidy, rzekł:

— Nadszedł czas, iż wyłamane są ich zęby i odcięta jest ich ręka prawa!!!...

Po czym podniósł dłoń i począł żegnać nie tylko tych, którzy leżeli najbliżej, ale i całe pole między Grunwaldem a Tannenbergiem. W jaskrawym od blasku zorzy i oczyszczonym przez deszcz powietrzu widać było doskonale olbrzymie, dymiące, krwawe pobojowisko, zjeżone uławkami włóczni, rohatyn, kos, stosami trupów końskich i ludzkich, wśród których sterczały do góry martwe ręce, nogi, kopyta — i ciągnęło się owo żalosne pole śmierci z dziesiątkami tysięcy ciał dalej, niż wzrok mógł sięgnąć.

Czeladź uwijała się na tym niezmiernym cmentarzu, zbierając broń i zdejmując zbroje z poległych.

A w górze, na rumianym niebie, wichrzyły się już i zataczały koła stada wron, kruków i orłów, kracząc i radując się rozgłosnie na widok żeru.

I nie tylko przeniewierczy Zakon krzyżacki leżał oto pokotem u stóp króla, ale cała potęga niemiecka, zalewająca dotychczas jak fala nieszczęsne krainy słowiańskie, rozbiła się w tym dniu odkupienia o piersi polskie.

\*

Więc tobie, wielka, święta przeszłości, i tobie, krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!

## ROZDZIAŁ PIĘĆDZIESIĄTY DRUGI

Maćko i Zbyszko wrócili do Bogdańca. Stary rycerz żył jeszcze długo, a Zbyszko doczekał się w zdrowiu i sile tej szczęsnej chwili, w której jedną bramą wyjeżdżał z Malbarga ze łzami w oczach mistrz krzyżacki, drugą wjeżdżał na czele wojsk polski wojewoda, aby w imieniu króla i Królestwa objąć w posiadanie miasto i całą krainę aż po siwe fale Bałtyku.

Proroctwo

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/krzyzacy>

Tekst opracowany na podstawie: Henryk Sienkiewicz, *Krzyżacy*, tom 1, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1976

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agata Paszkowska, Aleksandra Kurzep, Marianna Czabator, Marta Niedziałkowska, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-0885-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.